

„NAJLEPSZY POWOJENNY ROK NA AKADEMII MEDYCZNEJ”

OPOWIEŚCI BYŁYCH STUDENTÓW ÓWCZESNEJ AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU W LATACH 1965-1970 (ODDZIAŁ STOMATOLOGICZNY WYDZIAŁU LEKARSKIEGO) I 1965- 1971 (WYDZIAŁ LEKARSKI)

Spis treści

WPROWADZENIE. RZECZ O PAMIĘTNIKACH.	7
Pamiętnikarstwo.....	7
Pamiętniki lekarzy wydane w Polsce	8
Pasje kronikarskie Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz i tradycje rodzinne Jerzego T. Marcinkowskiego. Profesor Tadeusz Marcinkowski romantyczny narrator, „maluje obrazy słowami”	12
WSTĘP	17
A może zaczęło się od poezji?	17
O treści wspomnień Koleżanek i Kolegów i o nas, powojennym pokoleniu.....	17
„KSIĄDZ NAS WYCHOWYWAŁ” - OPOWIEŚĆ O NIEZWYKŁYM CZŁOWIEKU - KS. FELIKSIE MICHALSKIM	25
Ksiądz Feliks Michalski (1911-1977)- pierwszy powojenny junikowski proboszcz Poznańskiej parafii pw. Św. Andrzeja Boboli w latach 1945 – 1974. „Charyzmatyczny kapłan, skromny człowiek”	25
Podręczniki do nauki anatomii - wspomnienie dr n. med. Czesława Stachowiaka o którym pisze Danuta:	27
Obraz księdza Feliksa Michalskiego zachowany w pamięci wiernych.....	27
Ksiądz Feliks Michalski– dobry i nieustraszony gospodarz.....	27
Biblioteka parafialna.....	28
Zarzuty władzy komunistycznej np. wykorzystywanie ambony do wystąpień antyrządowych, co groziło karą więzienia	29
Odniesienie Księdza do wydarzeń w marcu 1968 roku.....	29
„wiele lat od jego śmierci, okazuje się, że dał ludziom, oprócz słów, wspaniały przykład swojego życia”	29
Dziewiętnastowieczny park na Junikowie imienia księdza Feliksa Michalskiego, 2014 r.	29
NASI PIERWSI ZNAKOMICI NAUCZYCIELE NA AKADEMII MEDYCZNEJ	30
Józef Antoni Kołaczkowski (1910-1980)	32
Kazimierz Miętkiewski (1906-1973)	35
Czesław Gerwel (1909-1974), pseudonim z Powstania Warszawskiego: Orłoś.	37
Józef Wiza	44

Halina Karoń (1924-2011).....	46
Alfons Chodera (1925- 2005).....	46
Antoni Horst (1915-2003)	50
Przemysław Gabryel (1919-2014)	53
Roman Drews (1908-1977).....	54
Olech Szczepski (1914-1980)	56
Jan Roguski (1900-1971).....	59
Mieczysław Wender (1926-2019).....	62
Hieronim Powiertowski (1915-1983)	63
Wiktor Marian Dega (1896-1995)	65
Witold Michałkiewicz (1914-1998).....	67
Aleksander Zakrzewski (1909-1985).....	71
Edmund Jan Chrościelewski („Chrościeł”) (1914–1998). Pseudonim z Powstania Warszawskiego: Heb	74
Tadeusz Marcinkowski (1917-2011). Dobrosław - Pseudonim w AK i w Powstaniu Warszawskim	76
Stanisław Dąbrowski (1922–2012)	87
Rudolf Willi Sarrazin (1906-1974).....	93
IMIENNY WYKAZ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z ODDZIAŁU STOMATOLOGII WYDZIAŁU LEKARSKIEGO AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU.	96
Lista przyjętych na I rok studiów. Dane z dnia 20.IX.1965 przekazane aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu	96
Lista absolwentów. Dane z 1970 r. otrzymane aktualnie z Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu	97
IMIENNY WYKAZ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z WYDZIAŁU LEKARSKIEGO AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU.	99
Lista przyjętych na I rok. Dane z 20.IX.1965.r przekazane aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu	99
Lista absolwentów. Dane z 1971 roku przekazane aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu	101
Szczegółowa lista absolwentów z 1971 r. (także tych, którzy rozpoczęli studia przed 1965 r.) .	102
udostępniona przez Dziekanat Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu - układ wg daty ostatniego egzaminu	102
Lista absolwentów z 1971 r. w układzie alfabetycznym (także tych, którzy rozpoczęli studia przed 1965 r.	106
NASI NIEOBECNI. KOLEŻANKI I KOLEDZY KTÓRZY JUŻ JAKO LEKARZE „ODESZLI NA WIECZNY NIEBIAŃSKI DYŻUR”	108
Śp. Absolwenci Wydziału Lekarskiego	108
Śp. Absolwenci Oddziału Stomatologii	109

ODNOWIENIE DYPLOMÓW PO 50 LATACH	109
OPOWIEŚCI KOLEŻANEK I KOLEGÓW (PO 44- 54 LATACH OD UKOŃCZENIA STUDIÓW)	110
Aleksandra Arndt.....	111
Alina Mróz-Urbańska – żona kolegi z naszego roku śp. Krzysztofa Urbańskiego.....	116
Andrzej Cent	117
Andrzej Kupczyk	118
Andrzej Świderczuk	120
Aniela Groszkowska.....	123
Anna Horst-Szymczyńska.....	125
Barbara Kucińska-Klessa	126
Bogdan Jesiołowski.....	128
Danuta Bakoś-Grzesiak.....	129
Danuta Pupek-Musialik (opowieść własna z 2017 r. też o mężu - naszym koledze Ryszardzie Musialiku. Wspomnienie kolegów po odejściu Danuty w 2019 r.)	132
Elżbieta Wiśniewska	135
Ewa Barabasz (primo voto Feliks, z d. Kabat).....	136
Ewa Baszkowska (z d. Lutkowska). Studia i krótka historia spotkania w Afganistanie z koleżanką z naszego roku Anisą Szarifi, która z poznańskim dyplomem lekarza wróciła do swojej ojczyzny... ..	139
Ewa Jóźwik (z d. Reinke)	141
Halina Biedzińska-Janowicz	142
Halina Kowalska-Hüntten	143
Hanka Paluszkiewicz-Janusz	144
Henryk Zdun	147
Hieronim Głowacki (Hirek, Motocyklista)	159
Jan Głębocki.....	170
Jerzy Tadeusz Marcinkowski	172
Jerzy Nowicki	196
Jerzy Zgrajek (opowieść własna z 2017 r. i wspomnienia po Jego śmierci 21 listopada 2024)... ..	200
Joanna Bukalska (z d. Musiał).....	202
Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)	204
Józef Ryżko.	211
Kazimierz Petrykowski – Kajtek (1947- 1967???) . Wspomnienia Leszka Milanowskiego i Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz z Filharmonią i barem ‘Kociak’ w tle)	211
Krystyna Anioł.....	215
Krystyna Graduszevska - Czerebiej.....	217
Krzysztof Kupczyk	221

Krzysztof Linke (wspomnienia po nagłym odejściu w grudniu 2016 r. z opowieścią Leszka Milanowskiego o Chórze Akademii Medycznej w tle).....	225
Krzysztof Urbański (1947-2014). Wspomnienie Jerzego T. Marcinkowskiego.....	230
Leszek Milanowski.....	232
Ludwik Krzysztof Szereszewski zwany Krzysiem lub Szerszeniem (22.06.1945 – 05.09.1971). Wspomnienia i zaskakujące Piękno Jego Duszy odkryte przed nami przez Krysię Anioł i Ewą... 255	255
Reinke. Wiersze Krzysia, które przekazał Ewie Reinke.....	255
Magda Zabel.....	260
Majka Jankowska.....	264
Marek Tuszewski (1948- 1998). Kilka słów z życia zawodowego. Wspomnienie Jerzego T. Marcinkowskiego, Wojciecha Kasprzaka.....	266
Maria Buchwald-Rogalka.....	268
Maria Jolenta Nowakowska (Mariolka) z d. Hołoga.....	271
Michał Dolata (1947 – 2012). Bardzo krótkie wspomnienie Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz .	281
Michał Ryglewicz – wywiad z Michałem przeprowadził Jerzy T. Marcinkowski.....	282
Mieczysław Wisielica (1947-2023). Wspomnienia własne o śp. żonie, naszej koleżance ze stomatologii – Barbarze Dreszer- Wasielicy, o czasach studenckich, rodzinnych i zawodowych spisane dnia 29.11.2015 r. Nekrolog.....	285
Olga Heim (z d. Kleczewska).....	296
Piotr Janaszek (1947-1998). Biografia i wspomnienia kolegów ze studiów na poznańskiej Akademii Medycznej	298
Ryszard Musialik (1947-2013). Wspomnienia spisane w 2015 r. przez żonę, koleżankę z roku, od 2019 śp. Danutę Pupek-Musialik).....	305
Szymon Tylicz (1947-2014). Wspomina naszego Kolegę i wspólny z Nim czas Józef Ryżko.	307
Tadeusz Kaczmarek [1947-2012] (wspomnienia Jerzego T. Marcinkowskiego i syna Szymona)	309
Teresa Gawrońska – Deja (1947- 1972). Wspomnienia koleżanek i kolegów.....	311
Ula Drązkiewicz.....	313
Urszula Mikołajczak.....	315
Wanda Grońska	319
Wiesław Uryszek – relacja z rozmowy z Jerzym T. Marcinkowskim.....	320
Wojciech Kasprzak.....	322
Wojciech Michałek-Grodzki (ok. 1947- ok. 1980). Wspomnienia.	329
Zofia Woźniak	330
Zofia Zommer	331
Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz.....	332
NIEZAPOMNIANY CHÓR AKADEMII MEDYCZNEJ.....	369
Opowieść koleżanki z roku Joanny Paździora (z d. Piotrowiak).....	369
Opowieść Leszka Milanowskiego:	370

List Leszka Milanowskiego do dr Fischbacha po Koncercie w Woźnikach	372
Korespondencja Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz z dr Jerzym Fischbachem i Leszkiem Milanowskim - nawiązanie do marca 1968 r.....	375
NASZ ROK W INTERNECIE	378
Dr n. med. Andrzej Baszkowski (1947-2021).....	378
Prof. dr hab. Piotr Dylewicz	382
Prof. dr hab. Marian Grzymisławski	383
Lek. med., specjalista ortopedii i rehabilitacji Piotr Janaszek (1947-1998).....	383
Dr n. med. Wojciech Kasprzak.....	386
Dr n. med. Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz.....	387
Dr n. med. Krzysztof Kupczyk	389
Prof. dr hab. Małgorzata Krajewska-Walasek	390
Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski	391
Prof. dr hab. Krzysztof Linke (1946-2016)	395
Prof. dr hab. Jerzy Tadeusz Marcinkowski	397
Lek. med., specjalistka chirurgii, Alicja Michalewicz z d. Kaczmarek	401
Dr n. med. Andrzej Pawlak (1946-2024).....	402
Prof. dr hab. Danuta Pupek-Musialik (1947-2019).....	403
Dr hab. n. med. Franciszek Rajewski	405
Prof. dr hab. Józef Ryżko	414
Prof. dr hab. Jana Skrzypczak	418
Prof. dr hab. Andrzej Szkaradkiewicz	419
Prof. dr hab. Marek Tuszewski (1948-1997)	420
Prof. dr hab. Jacek Jan Wciórka.....	423
Prof. dr hab. Maciej Jan Zabel	424
TRADYCJE COROCZNYCH SPOTKAŃ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z NASZEGO ROKU	427
Nasze spotkania po studiach (od 1991- 2015).	427
„Znamy się już 50 lat”, spotkanie w 2015 r., relacja z rysem historycznym tradycji zjazdów opublikowana przez dziennikarkę Faktów UMP (Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu).	427
Relacja z corocznego spotkania naszego roku w Baranowie. Apel Jerzego T. Marcinkowskiego o pisanie pamiątek lekarzy, 2015	428
Program wycieczki do Białowieży. t e r m i n: 07 - 11. 06. 2017	429
Zjazd – wycieczka naszego roku, Olsztyn i okolice, 2018 r.	430
My, radośni absolwenci (...) poznańskiej Alma Mater. Wojaże po Żuławach pod egidą Pani Muzyki, 2019	431
Pod znakiem „Ptaków Ognistych”. Relacja z kolejnej tradycyjnie corocznej wycieczki naszego roku, Szczecin, 2023 r.	434

Relacje z corocznego wycieczkowego zjazdu naszego roku. Moszna - Katowice – Opole z wątkami o naszym pokoleniu w tle. 2024 r.....	436
Biskupin – Wenecja – uroczę zakątki Bydgoszczy – Ostromecko, 2025	441
STYL ŻYCIA ZA NASZYCH STUDENCKICH CZASÓW I NIEŚWIADOME ? W TAMTYCH CZASACH PRÓBY OCHRONY WŁASNEGO ZDROWIA PSYCHICZNEGO	447
Dbłość władz komunistycznych o sprawność fizyczną młodych.....	449
O tym jak się odżywialiśmy w czasach studiów, szczególnie my, spoza Poznania	451
Palenie tradycyjnych papierosów i spożywanie alkoholu w czasach naszych studiów.....	455
Podążanie za modą? Problem tatuowania ciała.....	457
Nasze, studenckie „Uczty duchowe” nawet w... „Kociaku” ale przede wszystkim w Filharmonii, Operze czy Teatrze	458
Kociak jako centrum relaksu i zażartych dyskusji	458
Filharmonia.....	460
Poznańska Opera czyli Teatr Wielki	463
Fajfy	466
Praca podczas studiów.....	467
Wytworny dookolny świat	468
WIELOLETNIE TEMATY ‘TABU’ – TO STAN ZDROWIA PSYCHICZNEGO STUDENTÓW MEDYCYNY I LEKARZY. A JAK BYŁO NA NASZYM ROKU?	469
Nasilony stres, doświadczanie dyskryminacji a nawet przemocy w opowieściach Koleżanek i Kolegów	470
Przewlekły stres	470
Doświadczanie dyskryminacji podczas studiów	472
Przemoc?	472
„Klucze” do dobrostanu psychicznego podczas naszych studiów.....	474
Wsparcie rodziny i dobry związek	474
Nasz entuzjazm i poczucie szczęścia z dostania się na uczelnię.....	475
Zajęcia dodatkowe	475
Blisko kultury- teatru, Opera, Filharmonia a nawet kawiarnie i kluby studenckie.....	475
Rajdy, Juwenalia.....	476
Doświadczanie zwykłej ludzkiej życzliwości	476
Muzyka.....	477
Podróże nawet w marzeniach.....	477
Zachowane dawne obiekty Poznania, pamiętające też czasy naszych studiów mają wpływ na nasz aktualny dobrostan	477
ZAINTERESOWANIE ZDROWIEM I HIGIENĄ PSYCHICZNĄ.....	481
Nasza fascynacja psychologią i psychiatrią	481

Ogólne informacje o szpitalach psychiatrycznych w Polsce i narodzinach higieny psychicznej.....	483
Słynna od II Rzeczypospolitej nasza- znana ze studiów - Dziekanka i budzenie się higieny psychicznej w Polsce	484
Higiena Psychiczna w Polsce na tle innych krajów – kalendarium	485
XXI w. - pierwsze zainteresowanie zdrowiem psychicznym lekarzy, studentów (przede wszystkim medycyny) – rozwój badań	489
Problemem zdrowia psychicznego studentów podczas naszych studiów a także wiele lat później nikt się nie zajmował a obecnie jest szeroko badany i opisywany.... opracowanie własne.....	490
Skutki doznawania przemocy podczas studiów medycznych.....	500
Długość życia lekarek i lekarzy – niższa od ogółu populacji?.....	501
Luźne myśli o nas i życiu lekarza po 54 latach od Absolutorium.....	502
Najważniejsze piosenki naszej wczesnej młodości – indywidualna perspektywa. Temat otwarty...	503
Piosenki Czesława Niemena często otwierały nam świat i budziły refleksje nad życiem.	503
Frank Sinatra - „My Way”	510
„We Are the Champions”	513

WPROWADZENIE. RZECZ O PAMIĘTNIKACH.

*„Pisząc i mówiąc do samego siebie, człowiek dochodzi do większej jasności i porządku w myślach”
Marek Aureliusz (II w. p. n. e), dzieło Rozmyślenia (łac. Meditationes)*

Nie zawsze przywiązuje się wagę do opowieści osób ze starszego pokolenia i dopiero, gdy odchodzą, pozostaje nabrzmiewający żal, że się nie zapamiętało, nie zadawało pytań....Jednakże gdy zostało to zapisane, a nawet odtworzone z pamięci słuchacza nabiera mocy, jest żywe a nawet często inspirujące dla potomków.....

Znaczenie zapisywania własnych wspomnień jest niepodważalnie ważne, jednak warto pamiętać, że:
„Dobre czasy to nie te, w których się żyło, ale które się wspomina”. Wiesław Myśliwski, Ostatnie rozdanie,
Wydawnictwo: Znak, I wyd. 2013, II wyd.: 2019

Pamiętnikarstwo...

„pamiętnikarstwo, socjol. ruch pisarstwa dokumentalno-biogr. członków różnych zbiorowości społ., inspirowany przez socjologów, dla których stanowi ważne źródło materiałów badawczych stosowanych w metodzie dokumentów osobistych” <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/pamietnikarstwo;3953696.html>
[dostęp 09.06. 2025].

„Pamiętnikarstwo jako szczególny rodzaj aktywności pisarskiej, dedykowanej potrzebie zapisania swojego czasu, uprawiane prawdopodobnie od początków piśmiennictwa, według Georga Mischa – z pewnością od starożytności, co potwierdzają znane i cytowane w całym cywilizowanym świecie dzieła Ksenofonta (Hellenika, V–IV w. p.n.e.) i Juliusza Cezara (Commentarii de bello Gallico oraz Commentarii de bello civili, 100–44 r. p.n.e.), i dawniej, i dziś przysparza sporo problemów definicyjnych”. Sztachelska J, Pamiętnikarstwo. Z dziejów terminu i gatunku w XIX w., STUDIA PODLASKIE tom XXI, Białystok, 2013

Już w starożytności notowano refleksje na temat wartości pisania pamiętników (choć samo pojęcie „pamiętnika” nie było jeszcze stosowane). Przykładowo Marek Aureliusz (II w. p. n. e) w dziele

Rozmyślania (łac. *Meditationes*) będącym formą filozoficznego pamiętnika pisał: „Pisząc i mówiąc do samego siebie, człowiek dochodzi do większej jasności i porządku w myślach”....Seneka Młodszy w Listach moralnych do Lucyliusza wyrażał zdanie, że codzienne refleksowanie nad sobą oczyszcza umysł i wzmacnia charakter.

Ksenofont we Wspomnieniu o Sokratesie (Hellenika, V–IV w. p.n.e.) ukazuje potrzebą dokumentowania myśli i życia dla potomnych.

Marek Tulliusz Ciceron (106 p.n.e.- 43 p.n.e.) choć nie pisał pamiętników podaje: „Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci” (łac. *Historia testis temporum, lux veritatis, vitae memoriae*) Traktat O mówcy (łac. *De oratore*, ks. II, rozdz. 36, spisany ok 55 p.n.e.)

„Pamiętnik to relacja, będąca efektem praktyki wydobywania z pamięci oraz opisywania doświadczeń i zdarzeń z przeszłości, w których się samemu uczestniczyło lub które wywarły istotny wpływ na życie piszącego. Wymaga całościowego ujęcia życia lub przynajmniej jego pewnego okresu oraz nadania mu spisanej, linearnej postaci. Pamiętniki różnią się od wspomnień (te mogą mieć charakter wybiórczy), autobiografii (skupionych na losach jednostki) czy dzienników (w których brak dystansu czasowego) – chociaż zdarza się, że wszystkie określane są tym właśnie mianem. Spisywane są zwykle w pierwszej osobie liczby pojedynczej, choć zdarzają się pamiętniki z podmiotowym „my” (opisujące doświadczenia o charakterze wspólnotowym, np. XX-wieczne pamiętniki wojenne dotyczące powstań lub przeżyć obozowych), a nawet pisane w trzeciej osobie (np. pamiętniki Gajusza Juliusza Cezara [100–44 p.n.e.] mające postać rocznych protokołów, uznawane często za jedną z pierwszych realizacji tego gatunku. (...). Pamiętnik nie stanowi odtworzenia, ale rekonstrukcję zapamiętanej przeszłości. Mówi więc raczej o tym, co i jak zostało zapamiętane przez pamiętnikarza, niż o przedstawianym świecie. Pisząc pamiętniki, autor korzysta zwykle nie tylko z własnej pamięci, lecz także z zasobów rodzinnych archiwów (zapisków, fotografii, dokumentów), starych roczników gazet, a nawet opracowań historycznych. Na rekonstruowaną przeszłość mają wpływ motywacje pamiętnikarza, a także jego społeczne ramy pamięci oraz wiedza i wyobrażenia o przeszłości wyniesione z książek lub filmów”. Sztachelska J, Pamiętnikarstwo. Z dziejów terminu i gatunku w XIX w., STUDIA PODLASKIE tom XXI, Białystok, 2013

„Pamiętnik nie był (przynajmniej pierwotnie) gatunkiem literackim (...). W Polsce rękopiśmienne pamiętniki, pisane przez członków warstwy szlacheckiej, a następnie mieszczańskiej, funkcjonowały – podobnie jak sylwy, w obręb których często wchodziły – w obiegu rodzinno-sąsiedzko-przyjacielskim i spełniały przede wszystkim funkcję archiwum pamięci o przeszłości rodu (...). Dopiero w XIX stuleciu, często nazywanym wiekiem pamiętników, zaczęto odnajdywać je i wydawać drukiem na dużą skalę. Wtedy też coraz częściej ich autorkami zostawały kobiety. W XX w. zaczęto organizować konkursy pamiętnikarskie (w Polsce ponad 1500 konkursów od lat 20. do końca lat 80. XX w.) (...). Po II wojnie światowej pojawiły się pamiętniki mówione (a więc nagrane, a następnie spisane rozmowy ze znanymi postaciami życia publicznego; Maciąg 2001). Jeszcze później zaczęto nagrywać relacje o charakterze pamiętnikarskim mające postać historii mówionej (Filipkowski 2010)”. Z: Paweł Rodak, Pamiętniki, Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie [online:] <https://cbh.pan.pl/pl/pami%C4%99tnik>

Pamiętniki lekarzy wydane w Polsce

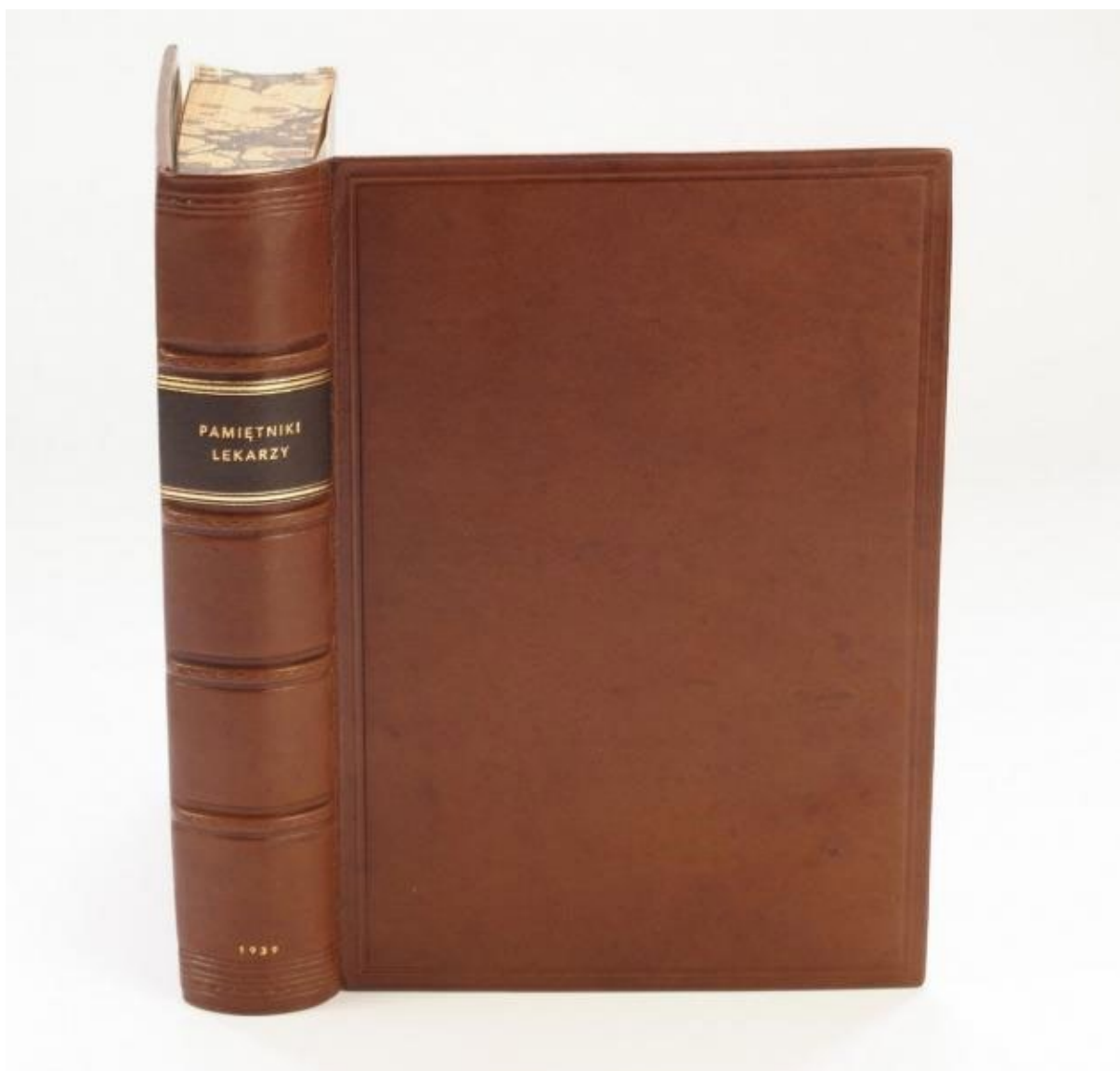
Poza indywidualnymi wspomnieniami, zbiorcze Pamiętniki lekarzy ukazywały się w Polsce parokrotnie:

1. Pamiętniki lekarzy, Współtwórca: Wańkowicz, Melchior (1892-1974), Wydawca: Wydawnictwo Zakładu Ubezpieczeń Społecznych - ZUS, Warszawa 1939
[Digitalizacja: Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego:
<https://pbc.gda.pl/dlibra/publication/618/edition/31052?language=pl>]

„*Pamiętniki lekarzy* – zbiór dziesięciu pamiętników nadesłanych przez praktykujących lekarzy z różnych części Polski na konkurs Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, i wydanych w **1939 r.**

Na wezwanie do udziału w konkursie odpowiedziało 51 lekarzy, z których odznaczono dziesięciu. Pomysłodawcą konkursu był Melchior Wańkowicz, który wszedł w skład jury konkursu, pod przewodnictwem Stanisława Roupperta.(...). Lekarze opisują problemy związane z codzienną pracą z pacjentami z najuboższych warstw przedwojennego społeczeństwa. Najbardziej znanym fragmentem książki jest jej pierwszy rozdział napisany przez dr Zofię Karaś, który zdobył pierwsze miejsce spośród wszystkich nadesłanych prac”.
https://pl.wikipedia.org/wiki/Pami%C4%99tniki_lekarzy

Jest to: „Interesujące dzieło, które gromadzi wspomnienia i refleksje lekarzy różnych specjalności, stanowiąc kronikę ich życia oraz działalności w trudnych czasach. Książka oferuje wgląd w codzienność przedstawicieli zawodów medycznych, ich wyzwania oraz sukcesy w leczeniu pacjentów, a także ich rolę w kształtowaniu systemu ochrony zdrowia. Z perspektywy społecznej i historycznej, ‘Pamiętniki Lekarzy’ przedstawiają, jak medycyna ewoluowała w Polsce, otwierając nowe horyzonty dla przyszłych pokoleń”. ze strony internetowej: <https://antykwariat-polski.pl/produkt/pamietniki-lekarzy/>



Egzemplarz w bibliofilskiej oprawie skórzanej wykonanej w pracowni Antykwariatu Polskiego liczy 678 str. i kosztuje 890,00 zł brutto”
<https://antykwariat-polski.pl/produkt/pamietniki-lekarzy/>

2. Pamiętniki lekarzy - lekarze PZWL, Warszawa, 1956
3. Pamiętniki lekarzy, Wydawca: Czytelnik, Warszawa, I wyd. 1964 (Stron 1030, okładka twarda)

Autorami tej ostatniej, trzeciej pozycji są: Stefański Wacław, Starkiewicz Szymon, Koronkiewicz Kazimierz Romuald, Nowak Ignacy, Mieszkowski Witold, **Marcinkowski Tadeusz**, Loth Felicjan, Geisler Stefania, Fejkiel Władysław, Sadowski Cyprian, Rogalska-Chrzanowska Ewa, Ziętkiewicz Witold, Gutt Romuald Wiesław, Bałasz Aleksander, Sterkowicz Stanisław, Mierzejewska-Tomaszewska Alina

„Tom niniejszy jest plonem konkursu na pamiętniki lekarzy ogłoszonego 10 sierpnia 1958 roku przez tygodnik ‘Służba Zdrowia’. (...) Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło 2 marca 1960 roku. (...) Sąd konkursowy (...) przyznał: I nagrodę - drowi Felicjanowi Lothowi z Warszawy, II nagrodę - doc. drowi Władysławowi Fejklowi z Krakowa, III nagrodę - drowi Adamowi Strusiowi z Lublina, IV nagrodę - drowi Cyprianowi Sadowskiemu z Ciechocinka, V nagrodę - prof. drowi Ludwikowi Zembruskiemu z Lisowa Malborskiego

Ponadto 4 pamiętniki wyróżniono.

Pod koniec 1961 roku PZWL, który podjął się wydania trzech pierwszych prac nagrodzonych, odstąpił zawarte już z autorami umowy oraz prawa wydawnicze do pozostałych pamiętników Spółdzielni Wydawniczej "Czytelnik".

Na tom niniejszy złożyło się 16 najcenniejszych prac konkursowych, w tym prace nagrodzone I, II i IV nagrodą.*

Dokonując wyboru redakcja kierowała się chęcią przedstawienia Czytelnikowi całokształtu codziennej pracy lekarza (lecznictwo otwarte, zamknięte, w mieście i na wsi), ukazania jego roli społecznej, a także zobrazowania olbrzymiego postępu, jaki dokonał się w naszej medycynie w ciągu ostatniego półwiecza. Przy wyborze tekstów brano również pod uwagę ich walory literackie. W pewnych wypadkach dokonano, za zgodą autorów, koniecznych skrótów lub poproszono o rozwinięcie zbyt epizodycznie potraktowanego fragmentu.

Wszystkie prace konkursowe - zgodnie z warunkiem konkursu - zostały zdeponowane w Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie. gdzie stanowić będą cenny materiał do badań nad dziejami naszej medycyny.

* Praca dra Adama Strusia (III nagroda) - powieść ujęta w formę pamiętnika - ukazała się w roku 1962 nakładem "Czytelnika" jako oddzielna pozycja ("Rok w miasteczku"). Natomiast praca prof. dra Ludwika Zembrzuskiego (V nagroda) nie została włączona do niniejszego tomu ze względu na jej naukowy charakter.

Ponadto jako osobna publikacja ukazał się także (nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie) wyróżniony pamiętnik prof. dra J. Aleksandrowicza ("Kartki z dziennika doktora Twardego").

[Czytelnik, 1964]

Cztery prace z tej antologii ukazały się jako publikacje zwarte rozszerzone w późniejszych latach:

1. Szymon i Wanda Starkiewiczowie: "Czyn i łza: Wspomnienia z Górki" (Agencja Wydawniczo-Promocyjna "Opoka", 2004).
2. Tadeusz Marcinkowski: "W stronę medycyny - moja droga dość wyboista" (Bios, 1992; wyd. 2 uzup. 2000).
3. Cyprian Sadowski: "Pamiętnik doktora »Skiby«" (MON, 1990).
4. Stanisław Sterkowicz: "Zagubiony na polskich drogach: Półwiecze pracy lekarza" (Lega, 2000; wyd. rozsz. pt. "Medicus sum", 2005) [przyp. mój. - Astral]".

<https://www.biblionetka.pl/book.aspx?id=127897>

"Pamiętniki lekarzy" to fascynująca książka, której redaktorem jest Kazimierz Bidakowski. Wydana w 1968 roku, ta obszerna publikacja odkrywa przed czytelnikami świat medycyny, opowiadając historie i przeżycia lekarzy. Fabuła i tematyka: Wspomnienia lekarzy: Książka zawiera pamiętniki różnych lekarzy, ich codzienne wyzwania, sukcesy i porażki. To nie tylko opowieść o medycynie, ale także o ludziach, którzy poświęcają się pomaganiu innym. Historia medycyny: Bidakowski może opisać zmiany w medycynie na przestrzeni lat, odkrycia, postępy i wyzwania, z

jakimi musieli się zmierzyć lekarze. Etyka i dylematy: Czytelnik może dowiedzieć się, jakie dylematy etyczne stawia praca lekarza i jakie wybory muszą podjąć w trudnych sytuacjach. Ludzkie historie: Książka może zawierać opowieści o pacjentach, ich walkach z chorobami, nadziei i rozpacz”.
https://www.empik.com/pamietniki-lekarzy-opracowanie-zbiorowe,p1612734271,ksiazka-p?mpShopId=18517&utm_source=google&utm_medium=cpc&utm_campaign=22592548468&utm_id=22592548468&utm_term=empik_ksiazka&gclid=aw.ds&gad_source=1&gad_campaignid=22592548468&gclid=CjwKCAjw6ZTCBhBOEiwAqfwJd6TjegWniKEYnhV-qDb7OMJx3qUBaqrT_sbfritdpn9xd7m7clAr3BoCWXUQAvD_BwE#ProductDescription

Pasje kronikarskie Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz i tradycje rodzinne Jerzego T. Marcinkowskiego. Profesor Tadeusz Marcinkowski romantyczny narrator, „maluje obrazy słowami”

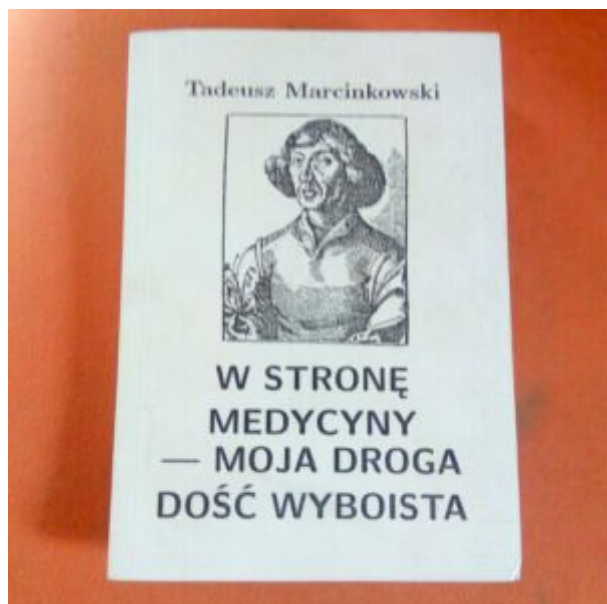
Jak podano w poprzednim podrozdziale, cztery nagrodzone prace z Pamiętników lekarzy, Wydawca: Czytelnik, Warszawa, I wyd. 1964 (Stron 1030, okładka twarda) ukazały się „w późniejszych latach jako publikacje zwarte i rozszerzone”. Wśród nich wymienia się pozycję: Tadeusz Marcinkowski: „W stronę medycyny - moja droga dość wyboista” (Bios, 1992; wyd. 2 uzup. 2000).

Od kilkunastu lat koleżanka z roku Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz prowadzi blog, w którym napisała przed laty: Na „scenie” tego swoistego blogowego teatrum – już są: dr Stanisław Michałek-Grodzki i dr Zofia Szamowska-Borowska. Właśnie „spotkali się” w Szpitalu Ujazdowskim gdy nastał tragiczny czas wojenny. Ona, młodziutka sanitariuszka, on ordynator chirurgii plastycznej – może jej nie widzi – a może widzi, bo pewnie wszystko wie i bacznie obserwuje, nawet sanitariuszki jak pracują – nie wiem. Niebawem dotrze to tego Szpitala prof. Tadeusz Marcinkowski

Tymczasem odwracam głowę w stronę drzwi, bo skrzyknęły – bo właśnie wszedł na scenę blogowego teatrum bardzo skromny, nieco utykający Człowiek – już czuję Jego siłę spokoju – tak jak kiedyś w poznańskim tramwaju i patrzę w jego duże wyraziste przenikliwie patrzące dobre oczy – prawdziwe oczy Ojca. Milczymy, a nasze Milczenie ma treść – między nami jest Dobroć i Łagodność Ojca Jurka, ciepło Ojcowskie które czuję do tej pory. To jak „Pieśń bez słów”, którą oddać może tylko muzyka



.... To Pan prof. Tadeusz Marcinkowski. Wręcza mi – oczywiście w wyobraźni – niewielką w poręcznym formacie książkę liczącą 193 strony, w miękkiej bładoszarej aczkolwiek świetlistej okładce. Jak dobrze Jurek, że mi ją wypożyczyłeś – mówię w myślach do Jego Syna. Otwieram książkę – strony zapisane na papierze beżowo szarym – szacunek – jak do starodruków czuję. Wracam do okładki – Kopernik – zdjęcie – nie Autor – dlaczego – potem wyjaśnienie – czytam: Tadeusz Marcinkowski „W stronę medycyny – moja droga dość wyboista”, Oficyna Wydawnicza „BIOS”, Goleniów, 1992. [po latach dowiaduję się, że prof. T. Marcinkowski uważał że Kopernik jest „człowiekiem wszechczasów”]



Czytam całość łapczywie, potem wracam do szczegółów, na mapie wyszukuję wspomniane miasteczka i wsie, postanawiam je odwiedzić – pewnie skończy się na wędrówce wirtualnej – choć Bzura pociąga mnie jak magnes. Bo tam się tyle działo tyle stron pamiętnika zajęło. Bitwa nad Bzurą.

Ale spokojnie mówię do siebie – przepisuj co się da, bo na razie skanu nikt nie zrobił – więc tylko Twoje przepisywanie w internecie będzie. I pomimo tego, że oczy odmawiają posłuszeństwa no i

kręgosłup nie lubi siedzenia – przepisuję , ale niewielkie fragmenty Profesor, który w 1936 roku rozpoczął studia medyczne tak opowiada o czasie przed i po wybuchu drugiej wojny światowej:

(...) OBÓZ LEGII AKADEMICKIEJ

Zajęcia wojskowe dla studentów odbywały się wtedy w ramach Legii Akademickiej. Otrzymaliśmy nowe sukienne mundury i płaszcze z białą – czerwonymi obszywkami na naramiennikach („strzelec z cenzusem „) (...) . Przed wielkimi wakacjami zachęcano nas do wyjazdu na obozy wojskowe, ale nie było to obowiązkowe. (...)

w ciągu wakacji letnich 1939 roku miałem mniej roboty w Poznaniu , chętnie przyjąłem ofertę wyjazdu na taki obóz , zwłaszcza że było to moim zdaniem celowe z uwagi na sytuację polityczną na świecie. (...)

Korzystając z rozkazu wyjazdu postanowiłem pojechać do Lwowa drogą okrężną, aby jak najwięcej zwiedzić po drodze muzeów i zabytków (...)

WRZESIEŃ 1939 ROKU

Spadły już pierwsze bomby. Pierwszą śmiertelną ich ofiarę zobaczyłem na ulicy Strumykowej, w pobliżu przejścia pod mostem kolejowym – w kierunku Łazarza. Był to kolejarz. Przyklęknąłem przy nim, by zobaczyć, czy jeszcze żyje. Był martwy.

Kręciłem się po mieście, starając się być użyteczny. Z ramienia Legii Akademickiej odbieraliśmy z domów mundury wojskowe naszych kolegów i zanosiliśmy na ulicę Bukowską do koszar, gdzie kwitowano odbiór , pakowano je prowizorycznie, zrzucano z okien i w pośpiechu pakowano na wozy.

Zgłosiłem się do ładowania wagonów – towarów z magazynów wojskowych . Ileż się nachodziłem z pakami gwoździ, śrub i różnego rodzaju żelastwa – (...) byłem bez obiadu, wygłodniały i spragniony, lecz starałem się o tym nie myśleć. Aby tylko Niemcy nie zagarnęli tego żelastwa (...)

Innego dnia kopaliśmy rowy przeciwpancerne na Ławicy. W czasie tej pracy byłem świadkiem zestrzeliwania niemieckiego bombowca: triumfował nasz myśliwiec. Działo się to niemal nad naszymi głowami. Ludzie bili brawa.

W tym miejscu należy dodać, że tuż przed wojną werbowano ochotników do obsługi (jednoosobowej) torped śmierci. Torpeda taka po trafieniu w okręt nieprzyjacielski wybuchwała, a obsługujący ją ochotnik ginął. Otóż ja również byłem kandydatem do takiej obsługi ... (....)

Wreszcie 4 września pojawiło się na murach dworca kolejowego obwieszczenie, że mężczyźni zdolni do służby wojskowej winni na własną rękę podążać do Warszawy . Pobiegnąłem szybko do domu, aby się pożegnać i właściwie tak jak stałem, czym prędzej pognałem z powrotem na dworzec . (....)

Różnymi pociągami i pieszo podążałem w stronę Warszawy. Miałem ze sobą pistolet FN i prawie 50 naboji, gdyż postanowiłem, że nie dam się Niemcom wziąć do niewoli żywy. (...)

W międzyczasie następują wstrząsające opisy tego co się działo po drodze – bombardowanie Gniezna i innych miast, tragedie ludzkie i trupy, trupy, trupy

Wiele razy znajdowałem się pod ostrzałem sztukasów. Szedłem nocą i dniem, rzadko tylko trochę odpoczywając. Doszedłem do Łłowa. W miasteczku tym udało mi się kupić trochę chleba i sweterek. Ten ostatni sprzedała mi sympatyczna Żydówka za 2 złote, mówiąc, że sprzedaje mi sweter tak tanio, bo idę do wojska walczyć.

Po kilkudniowej wędrówce dostałem się do Giżyca i zgłosiłem w jednostce wojskowej, mając nadzieję, że zaraz otrzymam karabin i pójdę na front. Okazało się, że nie jest to takie proste. Kiedy jeszcze powiedziałem oficerowi, że jestem studentem i skończyłem trzy lata medycyny, z miejsca skierował mnie do majora Bielińskiego, lekarza szpitala polowego. Ten przyjął mnie do pracy w charakterze sanitariusza. Moim pierwszym obowiązkiem było prowadzenie listy rannych, umieszczonych w dwóch stodółach i opiekowanie się nimi. Zabrałem się ochoczo do wypełnienia tego polecenia, widząc, że w końcu mogę się do czegoś przydać. Jedna ze stodół stała w końcu podwórza, równoległe do szosy, prowadzącej z Sannik do Sochaczewa – druga – po prawej stronie od wejścia na podwórze – prostopadle do tejże drogi. Ta ostatnia miała jakiś oryginalny dach (z drewnianych gontów) w kształcie stożka. W niej było moje właściwe miejsce pracy; leżało tam między innymi paru ciężko rannych.

Giżyce to miejscowość położona mniej więcej w połowie drogi z Sochaczewa do Sannik. W toku ciężkich walk wieś ta znalazła się prawie w centrum rejonu objętego bitwą nad Bzurą – największą bitwą września 1939 roku. (...)

Sala operacyjna znajdowała się w pałacyku – po lewej stronie drogi – patrząc w kierunku Sannik. Po przeciwnej stronie od tej drogi znajdowały się – na dość dużym terenie stodoły, w których leżeli ranni. (....)

Stosy trupów ułożonych jeden na drugim, a między nimi – odcięte ręce i nogi. Były tam i zwłoki osób cywilnych. Jakaś ciężko ranna staruszka, bodaj że z przestrzeloną krtanią, jeszcze nie skończyła; słychać było charczenie. Robiło to wstrząsające wrażenie.

Prawdziwe piekło powstało dopiero w czasie nalotu i po nim (.....)

Okropny był nalot bodajże 17 września, w niedzielę (...)

Wiele koszul i kalesonów z rozbitych wozów podarłem na bandaż. (...)

Wiedzieliśmy, że zbliża się najgorsze. Pomagałem przy zakopywaniu karabinów. Wiele broni i amunicji powrzucał wprost do stawu. Już zaczęło świtać, gdy poczułem ogromne zmęczenie. Z pobliskiego pola walki dochodziły głucho okrzyki: „ Hurra! ... „ Przypuszczalnie była to walka na bagnety. Zobojętniały na wszystko i zmęczony zakopałem się w stertę plew i zasnąłem nad ranem na jakąś krótką chwilę.

Rano 18 września zaczęło się ostrzeliwanie przez artylerię niemiecką (...)

Właśnie klęczałem przy rannym i poprawiałem mu opatrunek na głowie. Nagle – okropny trzask i Pełno kurzu, to plewy uniosły się w powietrze. Dachy już nie było. Jęki. Poruszam się i dotykam pleców, bo coś mnie uderzyło, ale nic, tylko noga trochę jakby odrętwiała. Ktoś został zabity, kilku powtórnie rannych. Prowizorycznie ich opatruję. Widzę, że z nogi cieknie mi krew.(...)”.

Opublikowane 6 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4330>, rozdział: Z pamiętnika Jerzego T. Marcinkowskiego (23). Wspomnienia Ojca .

A to początkowy fragment tegoż Pamiętnika, bo dla udowodnienia tytułu podrozdziału należałoby przepisać cały Pamiętnik:

„WIEŚ MOJEJ MATKI

Wioska nad Dzitwą. Z Wilna matka moje powróciła do swojej rodzinnej wioski – położonej w województwie nowogrodzkim, w pobliżu rzeki Dzitwy, prawobrzeżnego dopływu Niemna. Wieś ta nazywała się Chodziuki i znajdowała się nieopodal innej wioski, Porzeczan – położonej jeszcze bliżej

Dzitwy. W Chodziukach zamieszkiwali katolicy, a w Porzeczanach przeważali prawosławni. Był to więc tego rodzaju podział na wpływy Rzymu i Bizancjum, o jakim wspomina Czesław Miłosz. Jego słowa zostały przytoczone jako motto moich wspomnień z krainy lat dziecińczych. Tam podział ten był wręcz namacalny, ale nie było wzajemnej wrogości lub nienawiści. (...). Nasz kościół parafialny znajdował się w Białohrudzie, za rzeką Dzitwą. Idąc do Białohrudy przechodziliśmy początkowo przez most kolejowy. Raz bardzo się przeląknęłam z obawy przed wpadnięciem do rzeki z wysokiego mostu, co zresztą było dość realne. Później – niedaleko tego mostu wybudowano kładkę, co bardzo ułatwiało przejście przez rzekę. Oczywiście do kościoła chodziło się boso z butami na ramieniu; zakładało się je dopiero na murawie przy ogrodzeniu kościelnym – po uprzednim obmyciu nóg w rzece, albo przy studzience, jaką później wybudowano.

Kościół był murowany i dość wielki (....). Dookoła kościoła na wzgórzu nad Dzitwą był cmentarz. Zapamiętałam wysokie krzyże cmentarne. Wiele z nich było mocno pochylonych (jakby z „Dziadów” Mickiewicza). Na tym cmentarzysku spoczywał i mój wuj. Zmarł on w parę lat po powrocie z Ameryki, dokąd wybrał się w celach zarobkowych. Chorował na gruźlicę. Nieraz z matką modliliśmy się nad jego grobem. (...). W tym kościele latem 1925 roku przystąpiłam do pierwszej komunii i tego samego dnia byłam bierzmowana.

Kraj lat dziecińczych... Sama nasza wieś była czarująca jakby wzięta z bajki lub z ‘Pana Tadeusza’”.

Opowiada Jerzy T. Marcinkowski: W 1968 roku wydawnictwo „Czytelnik” wydało „Pamiętniki lekarzy”, na które składały się prace autorów złożone na ogłoszony wcześniej konkurs, i które to prace po wspomnianym postępowaniu konkursowym zostały zakwalifikowane do druku. Były to głównie wspomnienia pokolenia lekarzy, które studiowało bądź już pracowało w okresie II wojny światowej. Był to bardzo trudny okres dla studentów medycyny bądź już lekarzy i piszę o tym dlatego, że wśród prac, które wygrały wspomniany konkurs, były min. pamiętniki mojego ojca, którego zapewne koleżanki i koledzy z mego roku studiów na Wydziale Lekarskim pamiętają, albowiem prowadził on wykłady z medycyny sądowej. W późniejszych latach, już po zakończeniu naszych studiów w 1971 roku, mój ojciec – Tadeusz Marcinkowski (ur. 16.10.1917 r. w Wilnie - zm. 08.11.2011 r. w Szczecinie) wygrał konkurs na Kierownika Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej ówczesnej Akademii Medycznej w Szczecinie, obecnie Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. I ponownie mieszkając i pracując tamże powrócił do myśli napisania pamiętników lekarskich, które następnie własnym sumptem wydał pt.: „Moja droga ku medycynie – dość wyboista”. Pokolenie moich rodziców miało bogate życiorysy, co związane było z tym, że przeżywali bardzo trudny okres II wojny światowej.

Skoro mojemu ojcu tak dobrze szło pisanie pamiętników lekarskich, to postanowiłam powtórzyć tego rodzaju działalność i wystąpiłam z apelem do koleżanek i kolegów z roku o pisanie pamiętników lekarzy. Tenże apel ogłosiłam w biuletynie informacyjnym Wielkopolskiej Izby Lekarskiej po dorocznym zjeździe absolwentów, którzy rozpoczęli studia lekarskie ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu w 1965 r. Zmobilizowało mnie do tej działalności wspaniałe wystąpienie naszego kolegi prof. Krzysztofa Linke (obecnie śp.) zilustrowane doskonałą prezentacją multimedialną.

„Najlepszy powojenny rok na Akademii Medycznej. Tak ocenił to ówczesny rektor prof. Witold Michałkiewicz na naszym dyplomatorium. Myślę że do dzisiaj nie było lepszego roku. Wszyscy chcieli być dobrzy, a nawet bardzo dobrzy. Należeliśmy do wielu kół naukowych, żeby więcej umieć i chyba umiemy”.

Aleksandra Arndt

WSTĘP

A może zaczęło się od poezji?

„Gonimy za szczęściem, / Sięgamy do gwiazd / Na gwałt świat chcemy zmieniać / Lecz to najważniejsze, / Co żyje gdzieś w nas / Panowie, szanujmy wspomnienia / Szanujmy wspomnienia, / Smakujmy ich treść / Nauczmy się je cenić / Szanujmy wspomnienia, / Bo warto coś mieć / Gdy zbliży się nasz fin de siècle”. Tekst Andrzej Jastrzębiec- Kozłowski, Muzyka: Andrzej Zieliński, rok wydania 1975, wykonanie oryginalne: Skaldowie

My, z pokolenia boomersów, kiedy słuchaliśmy tej piosenki mając wówczas nieco ponad 25 lat, nie przywiązaliśmy do tych słów uwagi, nie myśleliśmy o tym, że kiedyś nadejdzie „nasz fin de siècle”. Żyliśmy tu i teraz.... Aż pewnego dnia obudziliśmy się ze świadomością, że symboliczny „nasz koniec wieku” właśnie nadchodzi.... I wówczas powrócił do nas wiersz Ocalić od zapomnienia, wyśpiewany przez Marka Grechutę w 1971 r. na podstawie Pieśni Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1905-1953). Pieśni, będące testamentem poetyckim, powstały w czasach naszego dzieciństwa w 1953 r. w leśniczówce Pranie na wysokim brzegu jeziora Nidzkiego:

„Ile razem dróg przebytych? / Ile ścieżek przedeptanych? / Ile deszczów, ile śniegów / Wiszących nad latarniami? (...) Pieśń III;

„Jesteśmy w pół drogi. Droga / pędzi z nami bez wytchnienia. / Chciałbym i mój ślad na drogach / ocalić od zapomnienia” Pieśń X.

<http://www.kigalczynski.pl/wiersze/piesni.html?p= wi> ; <https://culture.pl/pl/tworca/konstanty-ildefons-galczynski> [dostęp 11.06. 2025]

O treści wspomnień Koleżanek i Kolegów i o nas, powojennym pokoleniu...

Zainspirowani słowami poety lub czując wewnętrzną potrzebę czy namówieni przez innych, Koleżanki i Koledzy spisywali przedstawione poniżej wspomnienia od 2015 r. ale niektórzy już znacznie wcześniej, ale te opowieści przeleżały spokojnie w laptopie przez 8 lat, były inne koncepcje redakcyjne, potem o nich pozornie zapomniano. Jednak czytając je aktualnie trudno nie zauważyć, że nadal są żywe bo spisane sercem każdego z nas, czasem błyszczą emocjami, czasem iskrzą się dowcipem.... i dotyczą najbardziej aktywnej części naszego życia. Bo przez te ostatnie 10 lat jedynie część z nas nadal pracuje zawodowo, niektórzy przeszli „na drugą stronę cienia” i piszemy o nich śp., wnuki wyrosły i przybyły prawnuczęta. Pomimo wysiłków nie da się dopędzić czasu który nieubłaganie biegnie.... ale można go zatrzymać w kadrze co też czynimy....

Dzięki pomysłowi spisywania Pamiętników już w 2015 r. możemy dziś czytać osobiste wspomnienia Koleżanek i Kolegów, którzy później niestety nas opuścili. Są teraz bezcenne, niepowtarzalne i już niemożliwe do takiego indywidualnego opowiedzenia. I tak przed 10 laty Kolega Mieczysław Wasielica, (odszedł 12 grudnia 2023 r.) zdążył opisać swoje piękne i ciekawe życie pełne

zaangażowania w pomoc cierpiącym. Dzięki Mieczysławowi mogliśmy poznać losy i historię Wielkiej Miłości z późniejszą Żoną a naszą Koleżanką – śp. Barabara Dreszer- Wasielicą. Całą Jego opowieść zawarto w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów a w tym miejscu warto zacytować istotny dla wstępu fragment: „Dyplomatorium odbyło się w Auli Uniwersyteckiej. Przeglądając ostatnio tablo znalazłem w nim pożółkły wycinek z gazety o naszej uroczystości rozdania dyplomów [1971 r.]. Podano też informację, że z 240 słuchaczy, którzy rozpoczęli w 1965 r. studia, naukę ukończyło w terminie 198 osób (6 z odznaczeniami). Po wojnie poznańska uczelnia wykształciła 5599 lekarzy medycyny i 1936 lekarzy stomatologów. Mój dyplom ma numer 5400 (mam zdjęcie z odbioru dyplomu)”.

Dla uściślenia informacji zawartych w tym miejscu i w odpowiednich dalszych rozdziałach należy dodać, że cytowane przez Kolegę dane zda się nie korespondują z informacją przekazaną aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Zgodnie z tymi danymi pod datą 20.IX.1965 r. na liście przyjętych na Oddział Stomatologii Wydziału Lekarskiego naszej Akademii Medycznej znajduje się 114 osób, a na liście absolwentów z 1970 r. - 126 osób. Natomiast wg tego samego źródła i także pod datą 20.IX.1965 r. na Wydziale Lekarskim zamieszczono liczbę 235 studentów a w 1971 r. 223 osoby uzyskały dyplom lekarza. Przed kilku laty Dziekanat tej uczelni udostępnił nam dość szczegółowy wykaz absolwentów Wydziału Lekarskiego z 1971 r. gdzie podano liczbę 271. Jak wspomniano, dane te zamieszczono w tych Pamiętnikach w odpowiednich rozdziałach i można tam znaleźć informacje kiedy każda z osób wymienionych rozpoczęła studia i kiedy zdała ostatni egzamin. Wg tych danych 22 osoby były już studentami przed 1965. r. Nie znamy dokładnej liczby osób które pomimo przyjęcia na Akademię Medyczną studiów nie podjęły, od razu lub już czasie studiów przeniosły się na uczelnię w innym mieście w czasie trwania studiów przeniosły się do Akademii Medycznych w innych miastach, a znamy kilka np. Zofia Łukaszewicz i Jacek Imiela po trzecim roku przenieśli się do Akademii Medycznej w Warszawie a Olga Kleczewska po IV roku - do Akademii Medycznej w Łodzi. W przypadku obu dziewczyn przyczyną było zamążpójście a motywacji kolegi nie znamy. Nie znamy też liczby osób które porzuciły studia lub miały przerwę czy powtarzały rok (było to możliwe dopiero na późniejszych latach niż pierwszy) jak również tych, którzy być może przenieśli się do naszej uczelni z innych miast.

Podobnie niepełna jest lista osób, które zmarły po przebyciu tych trudnych studiów, mając już dyplom lekarza. Dla przypomnienia młodszym czytelnikom, nasz czas młodości to era papierowych wydań książek, gazet- nie było internetu gdzie teraz umieszcza się biografie, nekrologi, Tak więc nasze długie lata życia „utonęły w morzu niepamięci” i tylko dzięki Koleżance Mariolce, która skrzętnie zbierała dane, m. in. podczas corocznych zjazdów powstał prezentowany w dalszej części pamiętników spis Koleżanek i Kolegów, którzy przenieśli się do tego drugiego ponoć lepszego świata.

Większość z nas urodziła się dwa lata po zakończeniu II Wojny Światowej i zapewne zostaliśmy epigenetycznie obciążeni traumą rodziców z czego wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy [zresztą epigenetykę poznano relatywnie niedawno]. Jednakże zachowaliśmy dziecięcą radość a też pomimo tego, że dzieciństwo i wczesną młodość spędziliśmy w odeszłych już siermiężnych czasach PRL-u, oddzieleni od zachodniego świata „żelazną kurtyną”, żyliśmy pełną piersią z marzeniami by zostać lekarzami i nieść pomoc innym.

Rozpoczynając studia mieliśmy zaledwie 18 lat gdyż maturę wówczas się uzyskiwało w tym wieku, a tylko nieliczni mieli 17 lat, choć niektórzy jak np. felczerzy (przyjmowani bez egzaminu) byli nieco starsi.

Szczególnie na początku studiów wielu z nas, którzy przybyli z mniejszych miejscowości czuło się zagubionymi w wielkim mieście jakim jawił się Poznań. Sytuację pogarszały niekiedy skrajnie trudne warunki życia na stancjach a szczególnie w akademikach. Oddaleni od domu i bliskich nie czuli ich wsparcia. Byliśmy tak młodzi, że nie zauważaliśmy urody tego wieku tym bardziej, że często „buzowały w nas” typowe młodzieńcze emocje jak porzucenie przez dziewczynę czy chłopaka. Wobec wspomnianego już zamknięcia „za żelazną kurtyną” i „przaśnych” czasów PRL-u właściwie nie istniał problem nadążania za modą choć niektóre dziewczyny malowały we wzory bawełniane szarobure zwykle opadające pończochy czy samodzielnie sporządzały z plastikowych kwiatków modne wówczas klipsy [kolczyki nosiły jedynie nieliczne] a tylko nieliczne, których rodzice pracowali np. na placówkach w krajach zachodu błyszczały elegancją. Na szczęście nie były to czasy mediów społecznościowych i nie doświadczaliśmy hejtu. Nasz czas studiów i lata późniejsze to długo brak troski o własne zdrowie,

niehigieniczny tryb życia jak np. namiętne, modne wtedy palenie tradycyjnych papierosów co opisujemy w jednym z ostatnich rozdziałów.

Jednak późniejsze doświadczenia zawodowe, bezmierne trudy bycia lekarzem, liczne problemy rodzinne czy zdrowotne zatarły te ostre rysy czasu studiów, pozostały wspomnienia właściwie miękkie i łagodne a czasem nawet powraca się do nich z pewnym rozczuleniem..... Ponadto z uwagi na znaczną odległość czasową od podawanych faktów możliwe są pewne nieścisłości w poszczególnych relacjach gdyż pamięć jest ulotna a też potrafi „płatać figle” zmieniając i zapisując trwale to co się działo dawniej. Jednocześnie, tak jak pisze uznany i ulubiony przez wielu pisarz Wiesław Myśliwski w książce o znamiennym także dla nas, będących już w okresie „późnej młodości” tytule: Ostatnie rozdanie, którego myśl zamieszczono przed rozdziałem Opowieści Koleżanek i Kolegów: „Dobre czasy to nie te, w których się żyło, ale które się wspomina”, czas studiów z tej odległej perspektywy zda się jest pozbawiony tamtego „pazura” lęków przed ogromem koniecznej do przyswojenia wiedzy, często przerażenia, że się nie da rady a pierwszego roku studiów medycznych nie można było wtedy powtarzać....

Każdy z nas przedstawia ten okres z własnej perspektywy widziany ale całość daje obraz poznańskiej Akademii Medycznej tamtych lat ale też rysuje czas w którym kształtowało się nasze pokolenie i stanowi przyczynek do rozmyślań o tym jacy byliśmy.

Obecnie, w sytuacji drapieżnej często konkurencji na rynku pracy, współcześni z pewnym zdumieniem mogą zauważać w opowieściach kilku osób nieomal bez troskie podejście do podpowiadania koleżance czy koledze na egzaminach wstępnych. Czytając to z tej odległej perspektywy czasowej można to postrzegać jako pewnego rodzaju infantylność wyniesioną ze szkoły podstawowej czy liceum, gdzie nikt nam nie zagrażał a może jest to jakiś szczególny rys tamtego, powojennego pokolenia gdzie silna była jeszcze tradycja pomocy słabszym? Silniejsza niż walka o dostanie się na te trudne, wymarzone studia a konkurencja była znaczna, gdyż na jedno miejsce kandydowało kilkanaście osób a nawet później po zdobyciu dyplomu o pracę także łatwo nie było. Obrazuje to opisana przez kolegę Jerzego T. Marcinkowskiego poznana z autopsji tułaczka po różnych miastach Polski jego rodziców – lekarzy z trójką dzieci gdyż obowiązywały wówczas tzw. nakazy pracy. Być może podpowiadającymi kolegom na egzaminie wstępnym kierowała bezwarunkowa solidarność międzyludzka, gdyż zapewne niektórzy przyszły rodzic potomka urodzonego jak my dwa lata po zakończeniu II wojny światowej, całkiem niedawno, jeszcze w czasie trwania wojny ryzykując życiem wyciągał ранego kolegę poza linię ostrzału, nawet kierowanego bezpośrednio do siebie, czy przez przekop pod murem getta dostarczał tam jedzenie, przechowywał Żydów czy pracował w szpitalu powstańczym nieprzerwanie, przez bardzo wiele dni a nawet miesięcy udzielając pomocy kosztem własnych sił i zdrowia czy wreszcie tak jak ojciec Jurka – późniejszy prof. med. Tadeusz Marcinkowski – wówczas student akademii medycznej zamiast spokojnie spędzać czas na terenach gdzie działań wojennych wtedy nie było, dobrowolnie podążył na pomoc walczącej Warszawie, co opłacił ciężką raną nogi, zagrożeniem amputacją i utrzymującym się do końca życia problemem. Takich historii zapewne Koleżanki/ Koledzy mogliby opisać wiele, choć pomimo apeli nie zdecydowali się na obszerniejsze omówienia rodziny w tym Pamiętniku. Może kierowała nimi skromność, może rodzice im nie opowiadali, gdyż w czasach PRL- u z uwagi na represje nawet obejmujące dzieci (m.in. problemy z dostaniem się na studia) i dlatego działalność np. w AK ukrywano czy wreszcie dla tych którzy przeżyli wojnę stanowiło to niewyobrażalną traumę, że zamykali ją w sobie nikomu nic nie odpowiadając.... Może w przedstawionym kolejnym rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów ktoś spoza naszego środowiska zauważy też charakterystyczny rys naszego powojennego pokolenia?

W „Pamiętnikach” znajdujemy też ciekawe historie z egzaminu ustnego przed przyjęciem na uczelnię, ze znamiennym, dawno niestety zarzuconym egzaminem ustnym zwanym przez niektórych „testem

na inteligencję” w czasie którego przedstawiciele uczelni mogli poznać kandydata który obecnie jest całkiem anonimowy gdyż ukryty za „arkuszami ocen”.

Nieomal w każdej wypowiedzi poza wrażeniami z zajęć, egzaminów czy ćwiczeń też odbywanych w ramach obowiązkowego także dla dziewczyn szkolenia wojskowego, odtwarzany jest żywy obraz może dawno już zapomnianych profesorów – nestorów polskiej medycyny i poznańskiej uczelni czy zapisanych w pamięci asystentów. Dlatego utworzyliśmy rozdział pt. Nasi nauczyciele na Akademii Medycznej starając się nieco poszerzyć i udostępnić Kolegom więcej informacji (choć szczupłych z racji nieobecnego w czasach gdy żyli i pracowali Internetu) jednocześnie Ich odbrązowić a często ukazać inne niż nam znane- ludzkie oblicze jak w przypadku profesora Czesława Gerwela, postrzeganego przez studentów jako suchy, nieco szalony dziwak....

Czas naszych studiów to też dla wielu rozwój myśli patriotycznej czy pobudzanie świadomości politycznej co szczególnie było związane z ważnymi wydarzeniami tego okresu, jak marzec 1968 roku, które opisywane są przez wielu z nas. Opowieści przenikają się, uzupełniają i są osobistą narracją bezpośrednich świadków i uczestników tych wydarzeń, tak mocnych, że upływ czasu ich nie pochłoniął.

Niezwykle interesujące są też, często bardzo intymne, nieliczne wprawdzie opowieści dotyczące rodzin z których pochodzimy gdyż to one kształtowały nasze człowieczeństwo i w znacznym stopniu determinowały to, jakimi zostaliśmy lekarzami a też opisy nietypowych na tle innych uczelni studiów, praktyk, warunków życia ówczesnych studentów, choć w tym przypadku dotyczących ogółu studiujących poza miejscem zamieszkania, dalsze losy życiowe, szczegóły pracy zawodowej i budowania własnych rodzin...

Bardzo istotne są przykłady zaangażowanie niektórych osób w zajęcia pozauczelniane, jak np. udział w Chórze Akademii Medycznej, co wymagało znacznej samodyscypliny i wysiłku, gdyż zajmowało dużo czasu który musiał być dzielony z czasem intensywnej nauki czy zajęć na uczelni i potem w klinikach. Jednocześnie Chórzyści dzięki temu mogli zwiedzić różne zakątki świata, poznawać przedstawicieli innych krajów a nawet kultur....

Fascynujące są też opowiadane historie świadczące o radości życia młodych medyków, gdyż pomimo nieustannego zajmowania się nauką czyli tzw. kucia na znanej z tego chyba jedynej poznańskiej uczelni jak i akademii medycznych w Polsce, korzystaliśmy z różnych form dóbr kultury co nie tylko poszerzało horyzonty wielu z nas, ale też kształtowało wrażliwość jakże ważną nie tylko w zawodzie lekarza ale w nawet codziennym życiu. Były to spektakle w poznańskich teatrach, w Operze czyli w Teatrze Wielkim m.in. podziwialiśmy taniec słynnego Conrada Drzewieckiego, ówczesnego szefa zespołu baletowego, który w 1973 r. utworzył Polski Teatr Tańca a w Filharmonii Poznańskiej, czyli w precudnej scenerii Auli Uniwersytetu Adama Mickiewicza z zapartym tchem słuchaliśmy gry Marthy Argerich, laureatki I nagrody VII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina (1965) a następnie koncertującej też Poznaniu. Ta niezwyklej urody i siły ekspresji argentyńska pianistka zostawiła w naszych umysłach, sercach, wyobraźni i w pamięci głęboki ślad. Występuje nadal z taką samą energią i ekspresją, choć jej bujne czarne włosy przyjęły modne teraz naturalne srebro... Gdy oglądamy Ją teraz a przede wszystkim słuchamy od razu powraca tamten czas - naszej pięknej nieposkromionej młodości...

Powszechne były też nasze radosne zabawy „żaków” podczas Juwenaliów, odwiedzanie klubów studenckich, gdzie odbywały się słynne „fajfy” ale też występowały „wschodzące” gwiazdy polskiej piosenki jak Krystyna Prońko, czy Urszula Sipińska a do tańca, (jeszcze wówczas w parach - oczywiście wyłącznie różnopłciowych) śpiewał nam Czesław Niemen, który od 1962 r. jaśniał już na ogólnopolskim firmamencie sław piosenki. Grano nieustannie jego przeboje takie jak z 1960 r. „Pod

papugami” co przenosiło nas w świat pełnego relaksu, nieznanego nam ale kuszącego perspektywą ciekawego życia Zachodu... ale piosenka z 1964 r. Bo czas jak rzeka może tylko u niektórych budziła refleksje o przemijaniu, przyszłości. Bo żyliśmy tu i teraz...

Z uwagi na niezaprzeczalne i niepowtarzalne walory osobistych narracji co ma już znaczenie dokumentu, teksty wszystkich Koleżanek i Kolegów zostały zamieszczone w całości, bez korekty, retuszu i ingerencji w styl i treści. Redaktorzy nie odpowiadają też za wyrażane przez Autorów poglądy, opinie i zdania... Jedynie z uwagi na możliwość czytania pamiętników przez osoby z młodszych niż my pokoleń - w nawiasach kwadratowych redaktorzy podali wyjaśnienia albo skrótów albo opisanych wydarzeń. Większość narracji kończy się na latach 2015-2017, czasami udało się uzupełnić. Jednak aktualnie z różnych powodów nie jest możliwy kontakt z autorami.

Czytając te teksty, odnosi się wrażenie zapamiętane z dzieciństwa, kiedy oglądało się różne obrazy w prymitywnym kalejdoskopie. Obrazu tworzone z tych samych szkiełek, ale jakże inne. Tutaj te same zdarzenia, oglądane z indywidualnych perspektyw, zmieniają barwy i na nowo mogą pobudzać zainteresowanie tym odległym czasem PRL-u, czasem studiujących medycynę czy stomatologię w latach 1965-1971...

Na marginesie warto dodać, co podano w ostatnim rozdziale naszych „Pamiętników”, że w Polsce od czasów przedwojennych poza wspomnieniami indywidualnymi ukazały się zaledwie trzy zbiorcze pamiętniki lekarzy których wydania są wznawiane i szerzej opisano te pozycje ostatnim rozdziale tych Pamiętników. Są to: 1. Pamiętniki lekarzy, Współtwórca: Wańkowicz, Melchior (1892-1974), Wydawca: Wydawnictwo Zakładu Ubezpieczeń Społecznych - ZUS, Warszawa 1939; 2. Pamiętniki lekarzy - lekarze PZWL, Warszawa, 1956; 3. Pamiętniki lekarzy, Wydawca: Czytelnik, Warszawa, I wyd. 1964 (Stron 1030, okładka twarda). Wszystkie zawarte w nich teksty głównie dotyczą życia zawodowego, różnych problemów zdrowotnych czy relacji z pacjentami choć czasem ukazane są na tle realiów ówczesnej Polski.

W dostępnym piśmiennictwie nie udaje się znaleźć Pamiętników lekarzy ze szczegółowym opisem studiów na Akademii Medycznej, ówczesnych profesorów uczelni czy warunków i stylu życia medyków z kontynuacją dalszych dziejów zawodowych czy rodzinnych. Takie ujęcia tematu proponują Autorzy i Redaktorzy naszej książki zatytułowanej: „NAJLEPSZY POWOJENNY ROK NA AKADEMII MEDYCZNEJ”. OPOWIEŚCI BYŁYCH STUDENTÓW ÓWCZESNEJ AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU W LATACH 1965- 1971 (WYDZIAŁ LEKARSKI) I 1965-1970 (STOMATOLOGIA)



Koleżanki i koledzy z roku. 20-lecie uzyskania dyplomów lekarza i 21- lecie uzyskania dyplomów lekarzy stomatologów z którymi zaczynaliśmy studia i spędziliśmy razem pierwsze trzy lata tej edukacji, ale nadal czujemy się mocno zintegrowani – 1991 r.



Zjazd koleżeński. Ślesin – 1997 r.



ZJAZD ABSOLWENTÓW
35-LECIE
2 CZERWCA 2006



Zjazd koleżeński, tradycyjny wycieczkowy. Świnoujście 28 maj 2010 r.

„KSIĄDZ NAS WYCHOWYWAŁ” - OPOWIEŚĆ O NIEZWYKŁYM CZŁOWIEKU - KS. FELIKSIE MICHALSKIM

Do zamieszczenia tego nietypowego, przekraczającego przyjętą wstępnie tematykę Pamiętników zainspirowała nas opowieść koleżanki z roku - Danuty Bakoś – Grzesiak która jak pisze, pochodziła z niezamożnej rodziny robotniczej. Ta opowieść jest zawarta w podrozdziale Danuty, ale fragment cytujemy też w tym miejscu: „Należałam do chóru kościelnego - Ksiądz Feliks Michalski – zabierał nas do opery – ksiądz nam to fundował.. Jeździliśmy rowerami nad jezioro do ‘grajzerówki’. Ksiądz pożyczał mi rower, bo ja nie miałam własnego roweru. Ksiądz jeździł razem z nami w sutannie. To był ksiądz przyjaciel młodzieży, opiekował się młodymi ludźmi, zapewniał im atrakcje. Podręczników własnych nie miałam, miałam zdobywane przez księdza Michalskiego. Ksiądz miał dobry kontakt ze Stachowiakami – studentami, potem lekarzami, od których książki zdobywał”. Tego księdza doskonale zapamiętał też Jurek Marcinkowski, który przez wiele lat mieszkał na Junikowie. Ksiądz opiekujący się młodymi z ojcowską czułością zwykle chodził w bardzo rozciągniętym swetrze i Jurek jako dziecko zwracał uwagę, na wielkie dziury na obu łokciach tegoż swetra..... Jednocześnie jak pisze Danuta, jakoś zdobywał fundusze na bilety dla uboższych dzieci umożliwiając im wspólne wyprawy do opery.....

Ksiądz Feliks Michalski (1911-1977)- pierwszy powojenny junikowski proboszcz Poznańskiej parafii pw. Św. Andrzeja Boboli w latach 1945 – 1974. „Charyzmatyczny kapłan, skromny człowiek”

KSIĄDZ FELIKS MICHALSKI

KAPŁAN
ASCETA
PRZYJACIEL



Z wielkim zainteresowaniem czytamy opowieść Małgorzaty Czabańskiej-Rosady pt. Junikowski proboszcz ksiądz Feliks Michalski, zamieszczoną w czasopiśmie Studia – Konteksty Pogranicza, nr 2/2018. Autorka zamieszcza tam liczne wypowiedzi osób które dobrze poznały tego Księdza i podajemy fragmenty tegoż artykułu:

Podręczniki do nauki anatomii - wspomnienie dr n. med. Czesława Stachowiaka o którym pisze Danuta:

O bezinteresowności i niezwykłym darze dzielenia się z innymi świadczy wspomnienie dr n. med. Czesława Stachowiaka: „Pamiętam dobrze, gdy rozpoczęliśmy studia lekarskie, brakowało wielu fachowych podręczników do nauki. Ja z bratem nauczyliśmy się zazwyczaj osobno z dwóch podręczników jednocześnie. Kiedy mieliśmy problem ze znalezieniem Anatomii Prawidłowej Bochenka, zwróciliśmy się do naszego księdza proboszcza o pomoc. Po kilku dniach dostarczył nam potrzebne podręczniki. Niech ten przykład świadczy, że ksiądz proboszcz Michalski był uczynny i rozumiał problemy współczesnej młodzieży chcącej uczyć się i studiować’ (...).

Obraz księdza Feliksa Michalskiego zachowany w pamięci wiernych

„Jest jeszcze jeden obraz księdza Feliksa Michalskiego, który powtarzają wszyscy pytani o niego. Mianowicie obraz skromnego człowieka. Niemal ascety. Taki obraz zachowali w pamięci i młodszy i starsi mieszkańcy Junikowa. Wszyscy pamiętają prochowiec – beżowy, a właściwie pozbawiony już koloru – nieodłączny wręcz rekwizyt księdza. I oczywiście beret, którym nakrywał głowę w chłodne i mroźne dni. Jest też w naszej pamięci jego stara zniszczona teczka, z którą się nie rozstawał. Możemy te rekwizyty zobaczyć na wielu zdjęciach z różnych lat.

W pamięci Junikowian pozostał także jego rower. Jeździł tramwajem, kiedy musiał z Junikowa udać się ‘do miasta’. Po najbliższej okolicy jednak przemieszczał się wielkim rowerem. ‘Jego rower też był parafialny, wspomina Jadwiga Gałęska-Tritt. Pani Maria Krupecka, z domu Gałęzewska, mówiła mi, że nieraz pytano księdza, dlaczego jeździ rowerem, skoro zimno i deszcz, a on słabego zdrowia i może się przeziębć. Odpowiadał wówczas żartobliwie, że ‘przynajmniej głupie myśli wywieje wiatr z głowy’”.

„Odpowiadasz za 6000 ludzi. Oni patrzą na ciebie i oczekują czegoś więcej niż słów. Co mogę im dać – sam biedny?” – zapisał w 1971 roku.

Ksiądz Feliks Michalski – dobry i nieustraszony gospodarz

„Ksiądz Feliks Michalski przybył do parafii junikowskiej 20 lutego 1945 roku kiedy trwały jeszcze walki o Poznań. Na wieść o księdzu powołanym na administratora junikowskiej parafii przez księdza biskupa Walentego Dymka, ludzie spontanicznie przystąpili do uporządkowywania świątyni. Nie było w niej już niczego wartościowego, tylko gruz, odpadły tynk, puste ściany. Kościół stał niemal przez cały okres niemieckiego terroru zamknięty. Nie było księdza – przedwojenny proboszcz Leonard Gierczyński był w latach okupacji więźniem obozu koncentracyjnego w Dachau i nie powrócił jeszcze z niewoli. „Z [...]entuzjazmem uzupełniono braki wyposażenia wnętrza kościoła, począwszy od krzyża, aż do krzesła włącznie. I właśnie z tymi krzesłami przypomina mi się pewna przygoda. Przenosiłem wspólnie z ks. Michalskim krzesła od p. Ratajczaka z ul. Krośnieńskiej do kościoła. Gdy szliśmy dzisiaj ul. Bełchatowską (w miejscu, w którym przepływa łąkami strumień), zostaliśmy ostrzelani przez żołnierzy stojących obok dział przy ul. Sieradzkiej. Pociski poszły ponad naszymi głowami, a my zgięci wpół, z duszą na ramieniu, jakoś donieśliśmy krzesła do kościoła. Najgorsze w tym było to, że aby przenieść wszystkie krzesła, musieliśmy naszą przeprawę dwukrotnie powtórzyć, ku każdorazowej uciechu ruskich dowcipnisiów”.

Dnia 25.02.1945 ksiądz Michalski odprawił w junikowskim kościele pierwszą po wojnie mszę świętą. Z pewnością przybyło na nią wielu Junikowian. Spragnieni byli przecież Boga. Kiedy wczytamy się uważnie w spisane ręką ks. Michalskiego zapiski z 1945 roku, ukaże nam się obraz zastanej biedy, permanentnego braku wszystkiego, w tym także naczyń i szat liturgicznych. Nawet monstrancję musiał ksiądz Michalski pożyczyć, gdyż parafia nie posiadała własnej. Przede wszystkim zaś zobaczymy ogrom wyzwań, przed jakimi postawiony został proboszcz wraz ze swymi parafianami –

prace budowlane, porządkowe, montaż instalacji elektrycznej – a wszystko to za z trudem zdobywane środki finansowe i przy jakże ofiarnej, bezinteresownej pracy fizycznej parafian. (...)

Proboszcz Michalski stanął w 1945 roku przed wieloma zadaniami. Najważniejszym, oprócz uporządkowania kościoła i przystosowania go do godnego spełniania funkcji sakralnej, było skonsolidowanie wiernych i otoczenie ich opieką po traumatycznych przeżyciach wojennych. Odbudować trzeba było struktury parafialne i grupy duszpasterskie. Już jesienią 1945 roku ksiądz Feliks Michalski wznowił działalność Krucjaty Eucharystycznej, co spotkało się z entuzjazmem młodzieży i masowym jej udziałem w spotkaniach

<<Cotygodniowe zbiórki odbywały się początkowo w pomieszczeniu przylegającym do zakrystii nieistniejącego już starego kościoła. Później młodzież spotykała się w starym domku parafialnym. Organizowano też, ku wielkiej radości dzieciarni, zbiórki w plenerze [...] Oprócz tego ksiądz proboszcz Michalski organizował z Krucjatą wycieczki krajoznawcze [...] Młodzieży bardzo się to podobało, zwłaszcza, gdy ksiądz proboszcz pokazywał i objaśniał w terenie wszystkie zwiedzane obiekty (...)

Krucjata Eucharystyczna spełniała w naszym środowisku bardzo pożyteczną rolę. Wychowała liczne zastępy młodzieży w duchu żywej, pogłębianej wiary, wewnętrznej dyscypliny, poczucia obowiązku i odpowiedzialności. Te wartości rzutowały na ich późniejszą postawę życiową. W początkach okresu stalinowskiego, gdy zaznaczyły się silne naciski ze strony komunistycznych władz zmierzające do kontroli państwa nad działalnością organizacji katolickich, Krucjata Eucharystyczna wraz z innymi stowarzyszeniami została przez Kościół rozwiązana>>.

Tejże jesieni 1945 roku proboszcz Michalski powołał ponownie do życia Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży (...).

Biblioteka parafialna

Biblioteka parafialna przewija się w wielu wspomnieniach. Ksiądz Michalski był świadom tego, że w wielu domach brakowało pieniędzy na życie, a tym bardziej na książki. Postanowił więc zebrać najbardziej potrzebny księgozbiór i udostępnić go parafianom. Korzystała z niego głównie młodzież. A na niej proboszczowi zależało najbardziej. Motywował młodych ludzi do zdobywania wykształcenia. Wielu zawdzięcza mu swoje życiowe sukcesy. Pierwsze naukowe szlify zdobywali na plebanii. Zawsze miał dla młodzieży czas. I choć nieraz bywał bardzo wymagający, wszyscy oni jednak wspominają go jak ojca. Pytając o niego, często usłyszeć można opinię, że był niedoścignionym wzorem (...).

‘Był to »człowiek renesansu«: władał biegle pięcioma językami, znał się na stolarstwie, instalacji elektrycznej, potrafił prowadzić młodzież drogami antyku, geografii, leczył ziołami i... śpiewał – zawsze z niezwykłą dbałością o poprawną intonację, kulturę i styl. Miałam więc w dzieciństwie i młodości najdoskonalszy wzór jednoczesnej ascezy i doskonałości wokalne. Niewątpliwie wpłynęły one na wybór mojej muzycznej profesji. Ksiądz proboszcz osobiście uczył śpiewu swoich parafian. Wprowadzając po jednej zwrotce nowej pieśni (zawsze przed rozpoczęciem kolejnej Mszy Świętej w niedzielę). [...] Oprócz muzyków, wychował ks. Feliks lekarzy, inżynierów, farmaceutów, a przede wszystkim ludzi o zdrowych ambicjach, odpowiedzialnych i uduchowionych’ (...)

Profesor Gałęska-Tritt wspomina ponadto: ‘Do tradycji też należały spotkania parafian z ludźmi nauki. W tematykach tych spotkań (kończących się często interesującymi dyskusjami) przeważała historia, geografia, teologia, pamiętam także ciekawe spotkanie z astronomią w obserwatorium i z archeologią, w czasie odkrywczych’ (...).

Zarzuty władzy komunistycznej np. wykorzystywanie ambony do wystąpień antyrządowych, co groziło karą więzienia

Wobec księdza Feliksa Michalskiego, tak jak wobec całego duchowieństwa w Polsce Ludowej, władze bezpieczeństwa prowadziły stałą, niejawną obserwację w ramach teczki ewidencji operacyjnej założonej księdzu w 1963 roku. Państwowe władze komunistyczne dążyły do likwidacji Kościołów i związków wyznaniowych oraz stworzenia nowego, laickiego, socjalistycznego społeczeństwa. Badaczka Instytutu Pamięci Narodowej, dr hab. Elżbieta Wojcieszek, dotarła w swoich poszukiwaniach do dokumentów bezpieki dotyczących księdza Feliksa Michalskiego: 'Zarzucano także księdzu Michalskiemu wykorzystywanie ambony do wystąpień antyrządowych, co groziło karą więzienia. Ksiądz Michalski był ostrożny i starał się unikać wizyt, korzystając z interwencyjnej pomocy osób przebywających na plebanii: sióstr zakonnych, gospodyni lub przypadkowych interesantów. Skonstruował urządzenie sygnalizacyjne umieszczone między biurem parafialnym, kuchnią i kościołem' (...).

Odniesienie Księdza do wydarzeń w marcu 1968 roku

Proboszcz Michalski nie wahał się publicznie piętnować antynarodowych działań władz komunistycznych. W dokumentach aparatu represji zachowały się informacje m.in. o stosunku proboszcza do wydarzeń w marcu 1968 roku. Zanotowano tam, że: „W dniu 17.03.68 w parafii p.w. św. Andrzeja Boboli w Poznaniu kazanie wygłosił proboszcz parafii ks. Feliks Michalski, który poinformował wiernych o wypadkach w Warszawie, Poznaniu i innych miastach. Podał także podłoże tych manifestacji – zdjęcie ze sceny Dziadów’. Następnie zrobił własny komentarz, w którym ubolewał nad ‘masakrą’, jaką MO dokonało na studentach w Poznaniu, bijąc studentów pałkami. [...] Jednocześnie zwrócił się z apelem do wiernych o modlitwę i o pomoc dla studentów”.

„wiele lat od jego śmierci, okazuje się, że dał ludziom, oprócz słów, wspaniały przykład swojego życia”

„Odpowiadasz za 6000 ludzi. Oni patrzą na ciebie i oczekują czegoś więcej niż słów. Co mogę im dać – sam biedny?” – zapisał w 1971 roku. Dziś, kiedy minęło tak wiele lat od jego śmierci, okazuje się, że dał ludziom, oprócz słów, wspaniały przykład swojego życia. Ewaryst Czabański w przemówieniu pożegnalnym w dniu przejścia proboszcza na emeryturę podkreślał: ‘mogliśmy widzieć zgodność głoszonych przez Ciebie słów z Twoim życiem osobistym’. Jadwiga Gałęska-Tritt pisze w swoim wspomnieniu: ‘Mój Proboszcz umarł na parafialnym łóżku, rodzina nie otrzymała żadnego majątku’.

Szukając śladów księdza Michalskiego na Junikowie, rozpytując o niego, spotkałam ludzi, którzy twierdzą otwarcie, że ksiądz Michalski towarzyszy im przez całe życie. W trudnych chwilach i trudnych sprawach powierzają Bogu za jego pośrednictwem swoje troski. Spotkałam ludzi, w których opinii ksiądz Michalski był człowiekiem nacechowanym świętością i niezwykłą pobożnością.

Wszyscy wspominają i podkreślają jego ascezę. Spotkałam ludzi, dla których był opiekunem i ojcem, którzy otwarcie mówią, że był ich przyjacielem.

Dziewiętnastowieczny park na Junikowie imienia księdza Feliksa Michalskiego, 2014 r.

Z tej dobrej pamięci zrodziła się w 2013 roku idea uwiecznienia postaci skromnego księdza. Społeczny komitet, w skład którego weszli mieszkańcy poznańskiej dzielnicy Junikowo wraz z duszpasterzami miejscowych parafii, postanowili nadać pięknemu dziewiętnastowiecznemu parkowi imię księdza Feliksa Michalskiego. Społeczna zbiórka środków finansowych pozwoliła na postawienie w parku kamienia upamiętniającego pierwszego powojennego junikowskiego proboszcza.

Projekt wykonany został bezinteresownie przez mgr inż. arch. Martę Wiktorię Rosadę. Pomnik wykuto w Warsztacie Kamieniarskim pana Lecha Henglewskiego.

Na pomniku umieszczono napis: „KSIĄDZ FELIKS MICHALSKI, 1911-1977, PIERWSZY POWOJENNY JUNIKOWSKI PROBOSZCZ, CHARYZMATYCZNY KAPŁAN, SKROMNY CZŁOWIEK. IN MEMORIAM – MIESZKAŃCY JUNIKOWA”. Uroczystość nadania parkowi imienia księdza Feliksa Michalskiego oraz odsłonięcie pomnika odbyła się 14.06.2014 r. i poprzedziła ją uroczysta msza święta, której przewodniczył ksiądz biskup Zdzisław Fortuniak. Tłumy wiernych w uroczystej procesji przeszły ulicami Junikowa do parku, gdzie krewna księdza Michalskiego, pani Regina Michalska wraz z Sekretarzem Miasta Poznania Stanisławem Tammem dokonali odsłonięcia pomnika”.

Małgorzata Czabańska-Rosada, Junikowski proboszcz ksiądz Feliks Michalski, Studia – Konteksty Pogranicza, nr 2/2018



Jadwiga Gałęska-Tritt, Duszpasterz, który wyprzedził epokę, [online:] <https://www.przewodnik-katolicki.pl/Archiwum/2006/Przewodnik-Katolicki-35-2006/Archidiecezja-Poznanska/Duszpasterz-ktory-wyprzedzil-epoke>

NASI PIERWSI ZNAKOMICI NAUCZYCIELE NA AKADEMII MEDYCZNEJ

Redagując te wspomnienia postanowiliśmy zamieścić ten rozdział, gdyż to Im Pierwszym Nauczycielom na Akademii Medycznej im zawdzięczamy to, jakimi zostaliśmy lekarzami... Chcemy przekazać potomnym informacje, które są wprowadzić w Internet, ale wybraliśmy najistotniejsze by czytało się łatwiej. Biogramy zachwycają, gdyż każdy z naszych wykładowców miał bardzo aktywne życie ściśle związane z patriotyzmem i zapewne niełatwym czasem powojennym, kiedy musieli ukrywać prawdę np. o zaangażowaniu w działania Armii Krajowej, o udziale w Powstaniu Warszawskim i „lawirować” wśród nakazów władzy komunistycznej czasu PRL...

Jerzy T. Marcinkowski tak opisuje nasz czas a też nam nieodległy: pragnę wstawić informację, którą zasłyszałem od naszego kolegi z roku, prof. Marka Tuszewskiego. Otóż pracował on w klinice, którą kierował wówczas prof. Roman Drews – niezwykle sprawny manualnie. Marek Tuszewski powiedział mi kiedyś tak: „Stary raz po raz kompletnie nas zaskakuje tym, że równocześnie wiąże węzeł prawą i lewą ręką, ale robi to tak szybko, że nie jesteśmy w stanie podpatrzeć jak to robi. Tutaj pragnę dodać jeszcze o tym, jakie były stawiane wymogi młodym lekarzom, którzy w okresie przedwojennym zgłaszali się do kierowników klinik poznańskich o zatrudnienie. Otóż w klinice chirurgii w szpitalu im. Przemienienia Pańskiego warunek stawiany młodym lekarzom chcącemu się specjalizować z chirurgii był taki, ażeby przez 9 lat pozostał on w stanie kawalerskim, dopiero później mógł się ożenić. Wspominał mi o tym nasz kolega z roku, Michał Ryglewicz, wskazując na okoliczności zatrudnienia jego ojca w klinice ginekologii i położnictwa. Otóż jego ojciec, późniejszy profesor, dlatego wybrał ginekologię i położnictwo, że ówczesny kierownik kliniki podał mu okres pozostawania w stanie

kawalerskim krótszy – nie 9 lat a 8. Ci młodzi lekarze specjalizujący się w dziedzinach zabiegowych mieszkali – jak mnie informowano – na terenie szpitali i wykonywali czy też asystowali, przy bardzo dużej liczbie zabiegów, stąd dochodzili do niewiarygodnej wręcz zręczności manualnej. Warto o tym pomyśleć w kontekście współczesnych młodych lekarzy, którzy chyba również chcieliby wykonywać jak najwięcej zabiegów operacyjnych, ale nie są do ich wykonywania dopuszczani albo też dopuszczani są zbyt rzadko. Taki bardzo często operujący chirurg miał niejako obrzydzenie do prowadzenia dokumentacji lekarskiej i spychał ją zazwyczaj na młodszych lekarzy, w szczególności stażystów. Jeszcze jedną pragnę dodać uwagę o prof. Romanie Drewsie – byłem świadkiem tego, jak po wykonaniu najważniejszego fragmentu 1 operacji zmieniał fartuch i rękawiczki i przechodził do 2 sali operacyjnej, gdzie już wcześniej był prowadzony zabieg operacyjny i włączał się do tej operacji w najważniejszym jej momencie. Spostrzegałem w twarzach asystujących mu lekarzy, że z wielką atencją odnosili się do profesora i jego umiejętności. Staż z dziedziny pediatrii odbyłem w szpitalu im. Św. Józefa, który później przemianowano na szpital im. Krysiwicza. Pamiętam, że niełatwo było mi się nauczyć pracy z małymi pacjentami.

Tekst zamieszczono 20 czerwca 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=3706> pt. Z pamiętnika Jerzego T. Marcinkowskiego (4).
Mistrzowie wykładów i dalsze refleksje

- Jesteśmy bardzo dumni, że mogliśmy oglądać „na żywo”, słuchać jak pięknie wykładają nauczając nas nie tylko medycyny, ale też mądrości życiowej.... w naszych, dalej opublikowanych opowieściach wielokrotnie pojawiają się Ich nazwiska, w różnych, zawsze ciekawych kontekstach.

Zapamiętaliśmy wielu znakomitych profesorów czy asystentów – naszych Mistrzów ale przedstawienie wszystkich nie jest możliwe. Oto władze uczelni z okresu naszych studiów:

Prof. dr hab. Witold Michałkiewicz (1964–1972 - rektor)

Prof. dr hab. Przemysław Gabryel (1969–1972 - Dziekan Wydziału Lekarskiego)

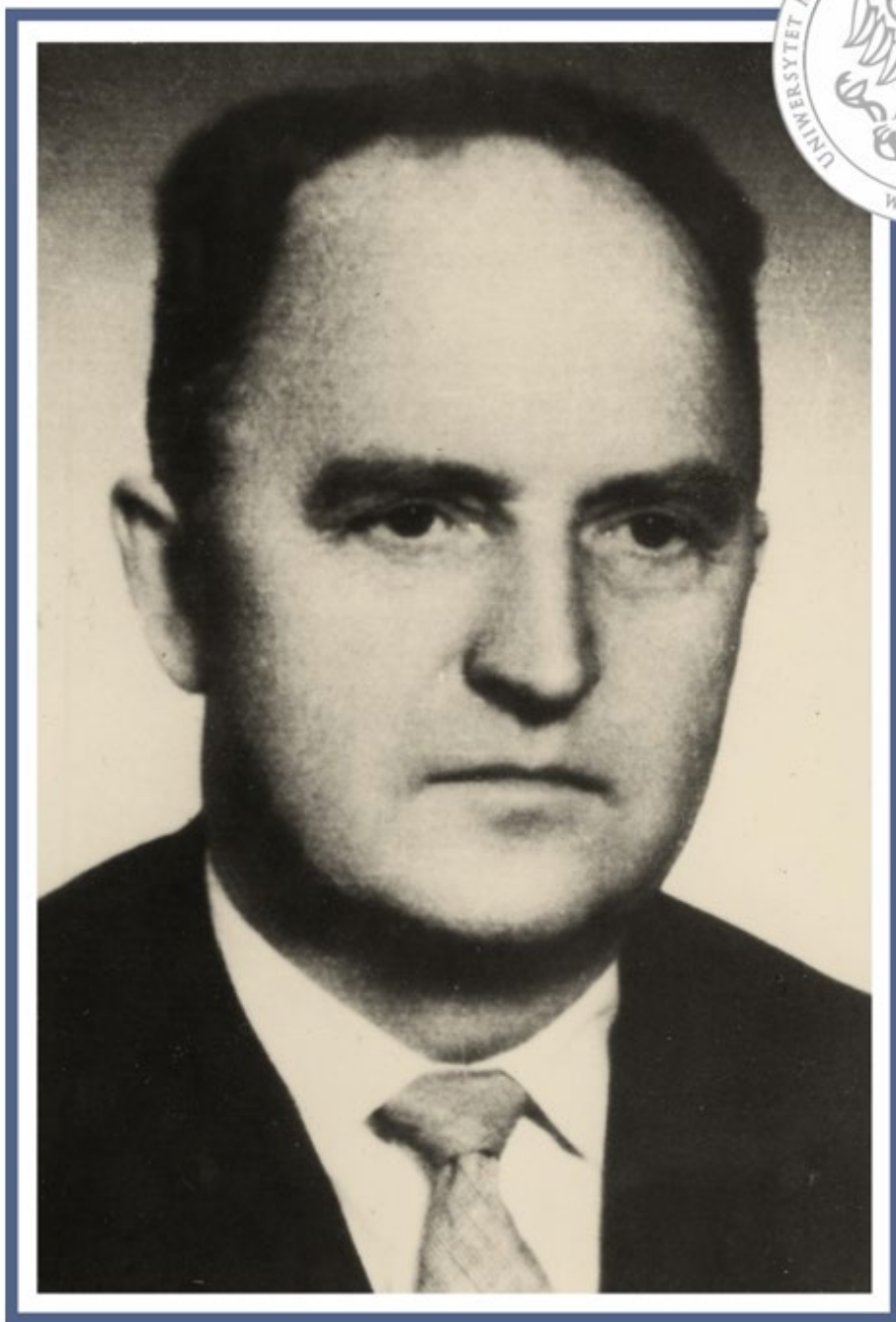
W skład Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu w okresie naszych studiów w latach 1965-1971 wchodziły następujące katedry, zakłady i kliniki, którymi kierowali:

- Katedra i Zakład Anatomii Opisowej i Topograficznej – prof. dr Józef Kołaczkowski
- Katedra i Zakład Anatomii Patologicznej – prof. dr Przemysław Gabryel
- Katedra i Zakład Biologii Ogólnej – prof. dr Czesław Gerwel
- Katedra i Zakład Histologii Prawidłowej i Embriologii – prof. dr Kazimierz Miętkiewski
- Katedra i Zakład Medycyny Sądowej – prof. dr Edmund Chróścielewski, doc. Tadeusz Marcinkowski
- Katedra Medycyny Wojskowej, Studium Wojskowe – kierownik płk lek. Zbigniew Psuja
- Katedra i Zakład Patologii Ogólnej i Doświadczalnej – prof. dr Antoni Horst
- Katedra i Zakład Radiologii – prof. dr Bolesław Gładysz
- Katedra i II Klinika Chirurgiczna (następnie II Katedra i Klinika Chirurgiczna) – prof. dr Roman Drews
- Katedra i II Klinika Chorób Dziecięcych (następnie II Katedra i Klinika Pediatryczna) – prof. dr Olech Szczepski
- Katedra i Klinika Ortopedyczna – prof. dr Wiktor Dega
- Katedra i Klinika Ftyzjatryczna – doc. dr Jerzy Jurkowski

- Katedra i Klinika Neurochirurgiczna – zastępca profesora dr Hieronim Powiertowski
- Katedra i Klinika Otolaryngologiczna – prof. dr Aleksander Zakrzewski
- Katedra i Klinika Neurologiczna – prof. dr Mieczysław Wender
- Katedra i I Klinika Położnictwa i Chorób Kobiety (następnie I Katedra i Klinika Położniczo-Ginekologiczna) – prof. dr Witold Michałkiewicz
- Katedra i Klinika Psychiatryczna – prof. dr Stanisław Dąbrowski
- Zakład Filozofii – prof. dr Mieczysław Stański
- Katedra i Zakład Medycyny Sportu – prof. dr Eligiusz Preisler,
https://amu.edu.pl/_data/assets/pdf_file/0025/122947/UMP_Historia_1950-2019_Seria_UP_1919_2019.pdf

Józef Antoni Kołaczkowski (1910-1980)

Józef Kołaczkowski: od 1 listopada 1954 r do 30 września 1975 r. Kierownik Zakładu Anatomii Opisowej i Topograficznej Akademii Medycznej w Poznaniu



Prof. Józef Kołaczkowski, Zdjęcie z monografii: Collegium Anatomicum w Poznaniu – o historii, sztuce i nauce (red. Zabel M, Sumelka E), Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Rok wydania: 2015

„Józef Antoni Kołaczkowski, lekarz i późniejszy profesor anatomii Akademii Medycznej w Poznaniu, urodził się w 1910 r. w Trzemesznie k/Gniezna. W 1928 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego i w 1936 r. uzyskał dyplom lekarza. Po ukończeniu stażu, w 1937 r. rozpoczął pracę w sanatorium w Tuszyńku koło Łodzi.

W czasie II wojny Światowej przebywał w obozie jenieckim Oflag II w Dobiegniewie.

W marcu 1945 r. został zatrudniony na stanowisku młodszego asystenta w Zakładzie Anatomii Opisowej i Topograficznej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. W grudniu 1949 r.

uzyskał tytuł doktora med na podstawie rozprawy pt. Zagadnienia polskiego mianownictwa anatomicznego. W dniu 22 października 1954 r. otrzymał nominację na stanowisko docenta i od 1 listopada 1954 r do 30 września 1975 r. był Kierownikiem Zakładu Anatomii Opisowej i Topograficznej Akademii Medycznej w Poznaniu. Stanowisko Kierownika pełnił do 30 września 1975 r. kiedy na własną prośbę został zwolniony z obowiązków dydaktycznych i organizacyjnych.

Tytuł Profesora nadzwyczajnego uzyskał 19 lipca 1961 r.

W latach 1960- 1964 prof. Józef Kołaczkowski był Prodziekanem Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej, w latach 1958- 1965 był Kierownikiem Zakładu Anatomii i Biomechaniki Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu, a następnie w latach 1965- 1971 Kierownikiem Zakładu Biomechaniki tej Uczelni. Od 1969 r. Do 1972 był Prorektorem Akademii Wychowania Fizycznego.

Dorobek naukowy prof Józefa Kołaczkowskiego obejmuje 67 pozycji, w tym pracę oryginalną czy podręczniki i skrypty.

W początkowym okresie pracy dużo wysiłku i pracy pochłaniała odbudowa Zakładu i organizację dydaktyki. Pracę naukową dotyczyły uporządkowania polskiego mianownictwa anatomicznego. Prof. Józef Kołaczkowski był członkiem Komisji d/s Mianownictwa Anatomicznego przy Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Anatomicznego. Komisja ta opublikowała mianownictwa anatomiczne łacińsko- polskie w 1958 r.

Prof. Józef Kołaczkowski zapoczątkował pracę doświadczalną nad anatomia ośrodkowego i obwodowego układu nerwowego oraz badania porównawcze układu nerwowego zwierząt doświadczalnych.

Badania ośrodkowego układu nerwowego dotyczyły lokalizacji jąder mózdzku , jak również układu przedsionkowego i ślimakowego.

W ostatnim okresie działalność naukowa prof. Józefa Kołaczkowskiego dotyczyła czynności układu dokrewnego w stanach emocjonalnych i w sporcie. Badania te były prowadzone we współpracy z Akademią Wychowania Fizycznego w Poznaniu.

Prof. Józef Kołaczkowski był członkiem wielu towarzystw naukowych w kraju oraz uczestniczył w licznych kongresach i zjazdach naukowych krajowych i zagranicznych. W 1971 r zorganizował Zjazd Polskiego Towarzystwa Anatomicznego w Poznaniu.

Był promotorem 36 rozpraw doktorskich i patronem 6 przewodów habilitacyjnych.

Zmarł 20 grudnia 1980 r.”. z monografii: Collegium Anatomicum w Poznaniu – o historii, sztuce i nauce (red. Zabel M, Sumelka E), Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Rok wydania: 2015

Ur 1910

Nasza koleżanka z roku Olga Heim (z domu Kleczewska) uzupełnia: Profesor studia ukończył przed wojną i będąc lekarzem, podczas kampanii wrześniowej 1939 roku został wzięty do niewoli, do obozu jenieckiego dla polskich oficerów Oflag II w Woldenbergu. Został zapamiętany jako oddany kolegom lekarz. Obecnie w byłym obozie znajduje się muzeum, Pan Profesor jest tam na zdjęciach. Miejscowość nazywa się Dobiegniew woj. Pomorskie. Dane te potwierdzają oficjalne źródła. Po wojnie kontynuował karierę naukową w Poznaniu, uzyskując stopień doktora medycyny w 1949 roku, a następnie tytuł profesora nadzwyczajnego w 1961 roku. Specjalizował się w anatomii układu nerwowego oraz medycynie sportowej”. [Poznaj historię+2Wikipedia, wolna encyklopedia+2Archiwum TVN24+2Poznaj historię+3IPN+3Wikipedia, wolna encyklopedia+3Archiwum Korporacyjne](#)

Jerzy T. Marcinkowski opowiada: Mistrzowie wykładów z lat naszych studiów lekarskich (1965-1971), z histologii – prof. Kazimierz Miętkiewski – i anatomii prawidłowej – prof. Józef Kołaczkowski – byli

nie tylko teoretykami, ale prowadzili i to z powodzeniem prywatne internistyczne praktyki lekarskie. Cieszyli się wielkim uznaniem wśród pacjentów, gdyż poświęcali im dużo czasu, wsłuchując się w wywiady chorobowe, oraz sprawdzając już w trakcie wizyt swoje wątpliwości w podręcznikach klinicznych. Pamiętamy, jak energiczny i ogromnie zaangażowany w przekaz istotnych informacji z anatomii był prof. Józef Kołaczkowski...

Kazimierz Miętkiewski (1906-1973)

Od 1960 r. Kierownik Zakładu Histologii Prawidłowej i Embriologii Akademii Medycznej w Poznaniu.



„Kazimierz Miętkiewski (ur. 2 lipca 1906 w Kraśnicy, zm. 2 czerwca 1973 w Poznaniu^{[1][2]}) – polski lekarz^{[1][2]}. Specjalizował się w zagadnieniach z zakresu cytochemii, endokrynologii^[1] oraz histologii ogólnej, histologii zwierząt i embriologii^[2]. W 1954 r. został profesorem Akademii Medycznej w Poznaniu , od 1960 r. był kierownikiem Zakładu Histologii Prawidłowej i Embriologii tej uczelni Profesor zwyczajny Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu (ówcześnie pod nazwą Akademia Medyczna w Poznaniu)^[2]. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Histochemii i Cytochemii^[1]. Członek Polskiego Towarzystwa Anatomicznego, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego, Komitetu Zoologicznego Polskiej Akademii Nauk i Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina^[2].

Życiorys. Syn Józefa i Stanisławy z Leśniewskich, miał ośmioro rodzeństwa^[2]. Początkowo uczył się w szkole powszechnej w Radolinie, do gimnazjum zaś uczęszczał w Koninie. Maturę zdał w 1928, a 4 lipca 1934 roku ukończył studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W trakcie studiów, w 1930 roku, podjął pracę naukową w Zakładzie Histologii i Embriologii na tej uczelni. Pracował najpierw jako wolontariusz, a następnie pełnił funkcję starszego asystenta profesora Tadeusza Kurkiewicza. Doktoryzował się w 1937 roku na podstawie pracy zatytułowanej Badania morfologiczne, cytologiczne i histofizjologiczne nad najądrzem świnki morskiej. Później rząd Francji przyznał mu stypendium naukowe, dzięki któremu mógł rozpocząć pracę na Uniwersytecie w Lyonie oraz w Instytucie Radowym w Paryżu. Równocześnie przyjmował pacjentów z problemami otorynolaryngologicznymi pracując w klinice otolaryngologicznej Uniwersytetu Poznańskiego. W czasie II wojny światowej ukrywał się w Słupcy, gdzie kontynuował praktykę lekarską^[2].

Po wojnie przyczynił się do zrekonstruowania i wznowienia działalności naukowej swojego macierzystego zakładu pracy poprzez odzyskanie zrabowanego przez Niemców sprzętu laboratoryjnego^[2]. W 1948 roku był adiunktem. W tym samym roku na podstawie dotychczasowego dorobku naukowego i rozprawy, której tematem były badania doświadczalne nad układem płciowym szczura i świnki morskiej, otrzymał veniam legendi (formalną habilitację) – prawo do prowadzenia wykładów z histologii i embriologii^[2]. Od 1960 roku był kierownikiem Zakładu Histologii Prawidłowej i

Embriologii Akademii Medycznej w Poznaniu[1]. Profesorem nadzwyczajnym został 25 września 1954, zwyczajnym 12 maja 1970 roku[1][2].

Był współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Histochemii i Cytochemii oraz Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego, a także członkiem Polskiego Towarzystwa Anatomicznego, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Societe Francaise d'Histochime, Association des Anatomistes, International Society for Research in Biology of Reproduction^[1]. W 1958 roku został członkiem Komitetu Zoologicznego II Wydziału Polskiej Akademii Nauk, a w roku 1969 członkiem „Deutsche Akademie der Naturforscher Leopoldina”^[2].

Zmarł 2 czerwca 1973 roku po długiej chorobie^[2]. Pochowano go na Cmentarzu parafialnym w Czempiniu^[3]. https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Mi%C4%99tkiewski

Po trzech latach od śmierci Profesora, w 1976 r. Jego następca ówczesny doc. A. Łukaszyk, kierownik Zakładu Histologii i Embriologii Instytutu Biostruktury AM w Poznaniu opublikował Wspomnienie o profesorze Kazimierzu Miętkińskim. Oto fragmenty:

„Z wyjątkiem okresu okupacji hitlerowskiej cała niemalże działalność naukowa, dydaktyczna, organizacyjna i społeczna prof. Miętkińskiego związana była z Zakładem Histologii i Embriologii Uczelni Poznańskiej. Pracę w tym Zakładzie prof. Miętkiński rozpoczął w 1930 r., a więc już w okresie studiów. Pod wpływem swojego nauczyciela prof. Tadeusza Kurkiewicza, inspirującego w Zakładzie kierunek histofizjologiczny w badaniach nad układem dokrewnym, prof. Miętkiński podjął intensywne badania układu płciowego męskiego, które następnie kontynuował w różnych aspektach aż do ostatnich chwil życia. (...) prowadził badania do rozprawy doktorskiej i habilitacyjnej, przeprowadził liczne eksperymenty własne i wspólne z badaczami innych specjalności oraz popierał badania swoich uczniów-i wszystkich zainteresowanych. (...) Od listopada 1936 r. aż do okresu okupacji Profesor utrzymywał kontakt również z medycyną praktyczną, specjalizując się w laryngologii. Z początkiem okupacji prof. Miętkiński zmuszony był przerwać pracę naukowo-badawczą i dydaktyczną, i pracował w charakterze lekarza ogólnopraktykującego w Słupcy w woj. poznańskim. W tym czasie **opiekował się ofiarnie ludnością polską.**

Po okupacji ponownie podjął pracę w Zakładzie Histologii. (...). **Szczególną opieką prof. Miętkiński otaczał zawsze swoich uczniów, służąc im pomocą i cenną fachową radą.** Wynikiem tej troski są liczne prace publikowane przez Jego uczniów i współpracowników. Był promotorem 11 doktoratów oraz patronował dwom habilitacjom, a ponadto pod Jego patronatem wykonywane były prace habilitacyjne dwóch uczniów, którzy ukończyli przewody w 1975 roku.

Uczniowie Profesora zawsze byli wdzięczni Swojemu Nauczycielowi za rady, cenne dyskusje i wysokie wymagania. Te wysokie wymagania od Siebie i uczniów były dewizą Jego życia”.

A. Łukaszyk, Wspomnienie o profesorze Kazimierzu Miętkińskim, Zeszyty Problemowe Postępów Nauk Rolniczych, 1976 z. 176

WSPOMNIENIA KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z NASZEGO ROKU

Pan Profesor pojawia się w większości wspomnień kolegów z roku a tak wspomina Go Jerzy T. Marcinkowski: Niezwykle ciekawe były wykłady z histologii prowadzone przez prof. Kazimierza Miętkińskiego, który zachwycał się poszczególnymi obrazami pokazywanymi na przezroczach, powtarzając – to były jego częste słowa – „to jest bardzo instruktywna rycina”. Profesor to słowo „instruktywna” wyraźnie lubił. Najgorsze było to, że później na ćwiczeniach trudno nam było dostrzec pod mikroskopem to wszystko, co pokazywano nam na rycinach. Mieliśmy za zadanie rysować to w zeszytach, co było jeszcze trudniejsze.

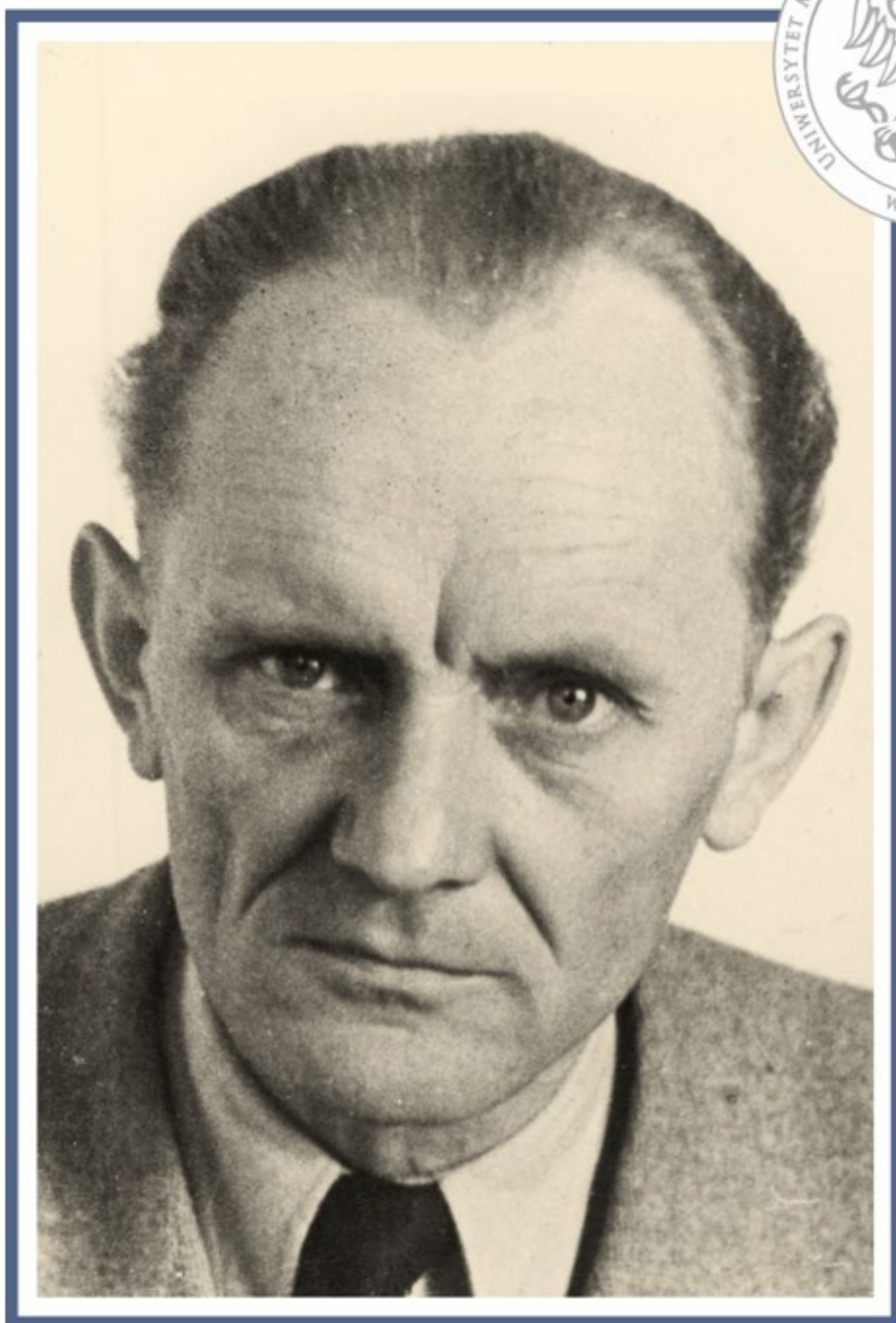
Czesław Gerwel (1909-1974), pseudonim z Powstania Warszawskiego: Orłoś.

Kierownik Katedry i Zakładu Biologii Ogólnej i Parazytologii Lekarskiej poznańskiej Akademii Medycznej, lata 1951- 1974.

„W 1950 roku z uniwersytetów wydzielono wydziały lekarskie włączając je do Akademii Lekarskich, przemianowanych wkrótce na Akademii Medyczne. Od tego czasu Zakład funkcjonował w obrębie Akademii Medycznej. W 1951 roku decyzją Senatu Akademii Medycznej włączono do Zakładu Biologii Ogólnej, Pracownię Zoologii i Parazytologii Wydziału Farmaceutycznego, a kierownictwo powierzono dr Czesławowi Gerwelowi, dotychczasowemu kierownikowi wspomnianej Pracowni. W tym samym roku zmieniono nazwę Zakładu na Katedra i Zakład Biologii Ogólnej.(...). W 1963 roku przemianowano dotychczasową nazwę na Katedra i Zakład Biologii i Parazytologii Lekarskiej i Klinika Chorób Pasożytniczych. W 1970 roku wskutek zmian organizacyjnych w Uczelni oddzielono Klinikę Chorób Pasożytniczych od Katedry i Zakładu Biologii i Parazytologii Lekarskiej. Kolejne zmiany struktury Uczelni i wejście Katedry w obręb Instytutu Biostruktury spowodowały, że w 1971 roku zmieniono nazwę Katedry na Zakład Biologii i Parazytologii Lekarskiej, ponieważ w ramach instytutów zlikwidowano katedry. Po śmierci prof. Gerwela przez rok obowiązki kierownika Katedry pełnił doc. Witold Kasprzak, który w październiku 1975 roku został powołany na kierownika Katedry. W roku 1982, po likwidacji Instytutu Biostruktury, przywrócono nazwę Katedry z 1970 roku”. <https://parasite.ump.edu.pl/03>



<https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/czeslaw-gerwel,13770.html>



Czesław Gerwel

Profesor Czesław Gerwel urodził się w 1909 r. w Baranowiczach (obecnie teren Białorusi). Po wojnie kontynuował karierę naukową w Poznaniu, gdzie pełnił funkcje kierownika Katedry i Zakładu Biologii Ogólnej i Parazytologii Lekarskiej poznańskiej Akademii Medycznej. Zmarł w 1974 r. w Poznaniu, jest pochowany na Cmentarzu na Miłostowie w Poznaniu.

Ponieważ nam prof. Gerwel kojarzy się jako osoba „sucha”, z różnymi dziwactwami, cytujemy w całości tekst zamieszczony w Internecie, który przybliży tę niezwykłą postać i ociepla wizerunek. Jest to relacja współpracownicy profesora, Wandy Kociękiej pt. Profesor Czesław Gerwel w mojej pamięci, Wiadomości parazytologiczne 2005 • tom 51 • zeszyt 1 • s. 73–77. „Droga życiowa i naukowa Pana Profesora była trudna, gdyż spletała się z okresami dwóch wojen światowych, które niszczyły jego plany i marzenia od dzieciństwa i wczesnej młodości. Ten koszmarny rozdział życia, pełen poniżenia i niedostatku w okresie caratu na ziemiach polskich, a potem podczas wojny polsko-bolszewickiej od 1919 roku, pragnął jak najszybciej zamknąć niepamięcią.

W późniejszych jednak latach z krótkich, prywatnych opowiadań wynikało, że obrazy z okresu dzieciństwa i bardzo wczesnej młodości widział w łagodniejszych barwach.

Jest pewna nić, która stale przenika drogę życiową i późniejszą dojrzałą działalność profesora Gerwela. To nauki przyrodniczo–medyczne i pasja, z jaką działał i organizował życie naukowe wbrew wszystkiemu, wbrew pogarszającemu się stanowi zdrowia. Przypomnijmy, że w Odrodzonej Polsce, w latach 1921–1931, kiedy studiował medycynę na Uniwersytecie Poznańskim, choroba płuc wymusiła zmianę kierunku studiów na Wydziale Matematyczno–Przyrodniczym UP, zakończonych sukcesem uzyskania dyplomu magistra filozofii w zakresie biologii ogólnej. Do medycyny powraca znów, w latach późniejszych, w niezwykłych okolicznościach.

Rok 1939. Zdawało się, że wszystko będzie przebiegać szczęśliwym torem. W sierpniu ślub z panną Jadwigą Szłozowską i piękny okres sierpniowego lata, w posiadłości pod Toruniem. Krótki to był jednakże czas... Wojna. Wybuchła II Wojna Światowa. W maju 1940 roku wywieziony został wraz z całą rodziną na przymusowe roboty do Martenshausen pod Stralsundem w Niemczech. Kiedy powrócił do okupowanej Polski, a potem do Warszawy, włączył się w 1941 roku w działalność konspiracyjną AK i podjął pracę w Dziale Bakteriologii Ogólnej, a potem w Dziale Tyfusu Plamistego, w którym prowadził obserwacje dotyczące biologii Rickettsia prowazeki. Otrzymuje legitymację pracownika – Mgr Gerwel Czesław, Lehr Institut Asistent (Nr 399), a potem Kennkarte (z odciskami palców) ważną od 1942 do 1947 roku.

W 1942 roku, jako członek organizacji „Alfa” Wydziału Marynarki Wojennej Komendy Głównej Armii Krajowej, odbywa kurs podchorążych i zostaje zaangażowany w pracy Podziemia Państwa Polskiego pod pseudonimem „Orłós”.

Jak wiadomo (na podstawie danych archiwum PZH) Dział Bakteriologii i Tyfusu Plamistego znajdował się w centrum zainteresowania władz okupacyjnych ze względu na produkcję szczepionek przeciw durowi brzuszemu, a po 1941 roku przeciw durowi plamistemu. Należy przypomnieć, że dur osutkowy panował w czasie II Wojny Światowej na okupowanych ziemiach polskich w postaci epidemii, zbierając śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej, i był postrachem wojsk okupujących niemieckich i sowieckich. Państwowemu Zakładowi Higieny w Warszawie nadano nazwę niemiecką: DAS GENERALGOU – VERNEURS STAATLICHES INSTITUT FÜR HYGIENE. Usunięto ze wszystkich stanowisk kierowniczych polskich uczonych, wyznaczając im jedynie prace techniczne. Wymienić tu należy doc. Feliksa Przesmyckiego, doc. Jana Adamskiego, prof. Marcina Kacprzaka, dr Jerzego Morzyckiego i doc. Jana Kostrzewskiego. Naukowców pochodzenia żydowskiego – prof. Ludwika Hirszfelda, doc. Henryka Brokmana, dr Różę Amsel i Teklę Epstein osadzono w getcie. Stanowiska kierownicze obejmowali kolejno przedstawiciele władz okupacyjnych – prof. Richter, potem prof. Nauck i prof. Kudlicke. Zastrzeżono, że: „szczepionki są oficjalnie przeznaczone dla żołnierzy Wehrmachtu i cywilnej ludności niemieckiej”. Przekazywanie szczepionek ludności polskiej zakazano pod groźbą śmierci. I wówczas Polacy – pracownicy Generalgouver–neurs Staatliches Institut für Hygiene zajęli się tym problemem konspiracyjnie. Rozpoczęła się tajna produkcja szczepionki przeciw

durowi plamistemu przeznaczona dla więźniów Pawiaka, dla chorych w szpitalach zakaźnych, oddziałów partyzanckich, a także polskiej służby medycznej najbardziej narażonej na zakażenie. Podchorąży „Orłoś” należy do wąskiej grupy członków Podziemia, która przemycza szczepionki do najbardziej zagrożonych grup ludności, do getta warszawskiego i oddziałów partyzanckich. W tym czasie sam zachorował i przeżył ciężką postać duru plamistego.

* * *

W historii wojennej profesora Czesława Gerwela były studia medyczne na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich (1942–1944). Z dokumentów Archiwum PZH wynika, że nauczanie było masowe i studenci tego osobliwego uniwersytetu słuchali wykładów i odbywali ćwiczenia praktyczne pod kierunkiem przyszłych sław naukowych w naszym kraju. Do grona wykładowców należeli: doc. Feliks Przesmycki – wybitny bakteriolog i twórca tajnego nauczania, prof. Marcin Kacprzak – znakomity higienista, doc. Jan Adamski – po wojnie kierownik Katedry Mikrobiologii Uniwersytetu Poznańskiego, doc. Jan Kostrzewski – słynny epidemiolog, dr Jerzy Morzycki – pierwszy wiceminister po wojnie i twórca Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Tak więc, wbrew wszystkiemu, była to edukacja wysokiej klasy, była to Szkoła, którą wyniósł profesor Gerwel z okresu wojny. Przed przyjęciem w szeregi studentów Tajnego Uniwersytetu obowiązywała przysięga. Brzmiała ona osobiście i zapewne zapadała głęboko i raz na zawsze w serca i umysły studiujących potajemnie na własnej ziemi.

Tak oto brzmiała w całości:

„Przysięgam:

1. Zachowania bezwzględnej tajemnicy czasu, miejsca, osób, tytułów, treści wykładów i ćwiczeń nie tylko wobec obcych i nieznajomych, ale tym bardziej wobec wrogów Polski, a nawet wobec przyjaciół nie wtajemniczonych oraz zachować (...)”.

Wielu ze studiujących na tajnych kompletach przysięgą tą związanych było na całe życie. Wielu z nich zginęło pod gruzami podczas Powstania Warszawskiego i nie doczekało wolnej Polski.

1 Sierpnia 1944 roku. Powstanie Warszawskie – to jakby kolejny etap życia profesora Gerwela – wtedy w stopniu mata podchorążego walczącego w zgrupowaniu „Chrobry II”, w oddziale sierżanta „Kazika”. Bierze udział w zdobywaniu „PASTy” i ataku na Bank Gospodarstwa Krajowego. Rozkazem dowódcy AK z dnia 2 października 1944 roku (a więc 60 lat temu) awansował do stopnia podporucznika. Przeżył piekło walk w płonącej Warszawie i dramat kapitulacji po 63 dniach walki... Wyobrażam sobie, co czuł wówczas jako żołnierz, jako Polak, patrząc tak na agonię Stolicy.

I kolejny etap niepewnego losu i strachu i szukania dróg ucieczki z tej piekielnej matni. Obóz jeniecki w Zeithen w Niemczech, a tam pełnienie funkcji zastępcy ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Jeńców Wojennych przy Stalagu IV B. A potem nadzieja na bliski koniec tej szaleńczej wojny.

Podporucznik Czesław Gerwel, nadal w mundurze wojskowym, nie rezygnuje z dalszych studiów. I tak, po wyzwoleniu, na podstawie rozkazu sił Wojska Polskiego na Zachodzie, zostaje przeniesiony z obozu do Komendy Ośrodka Wojskowego w Northheim, a stamtąd odkomenderowany do Centrum Wyższych Studiów Polskich w Brukseli, gdzie kontynuował studia medyczne w Université Libre de Bruxelles.

Po powrocie do Poznania w 1946 roku w wyniku dalszych studiów uzyskał tytuł doktora nauk matematyczno–przyrodniczych, a dyplom lekarza medycyny otrzymał w 1950 roku.

* * *

Wiedza jaką nabył Profesor Czesław Gerwel na Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich pod kierunkiem znakomitych uczonych, a później studia zagraniczne, kontakty naukowe z profesorem Brumptem w Instytucie Parazytologii w Paryżu (1945–1946), a następnie specjalizowanie się w zakresie chorób pasożytniczych i tropikalnych w Bernhard-Nocht Institut für Schiff und Tropenkrankheiten w Hamburgu (1957 rok) gdy był już kierownikiem Zakładu Biologii Ogólnej i Parazytologii Lekarskiej w Poznaniu – pozwoliły na zdobycie ogromnego doświadczenia w zakresie parazytologii lekarskiej. Stały się podstawą twórczych inicjatyw naukowych Profesora, trafnych wyborów kierunków badawczych i ułatwiły podejmowanie naukowej współpracy z zagranicą w tych trudnych okresach rozwoju nauki w naszym kraju.

Od czasu objęcia stanowiska kierownika Zakładu Biologii Ogólnej i Parazytologii Lekarskiej AM w Poznaniu w 1952 roku entomologia była początkowo jednym z najbardziej poważnych działów naukowych i stanowiła tradycję wniesioną przez profesora Rudolfa Weigla – poprzednika profesora Gerwela, legendarnego twórcy szczepionki przeciw durowi plamistemu w okresie wojny we Lwowie. Wiązało się to także z pracą profesora Gerwela w PZH w Warszawie. Tak więc w Zakładzie prowadzono hodowlę *Pediculus humanus*, lecz głównie dla celów dydaktycznych, a żywicielami naturalnymi wszy byli przeznaczani laboranci. Bywało i tak, że po wizycie w przeznaczonych na ten cel pracowni Pan Profesor wychodził na zewnątrz z paroma egzemplarzami *Pediculus vestimenti* na płaszczu ochronnym i nie wiedząc o tym wkraczał na salę ćwiczeń.

Gdy padło z naszej strony ostrzeżenie o niebezpiecznym przemieszczaniu się owych insektów w stronę kołnierza – przerywał natychmiast tok prowadzonych objaśnień i nie odwracając się zadawał szybkie pytanie: „Jest pani pewna, koleżanko, że to jest to?”. „Ależ tak Panie Profesorze” – odpowiadałam z pewnością siebie, „znam je dobrze z czasu wojny”. Natychmiast opuszczał salę, na korytarzu padało kilka ciężkich słów pod adresem laborantów i ostrożne zdejmowanie pięknych okazów z płaszcza Profesora. Potem gniew mijał szybko.

Od połowy lat 50. Profesor Gerwel koncentruje uwagę na nowej dziedzinie – parazytologii lekarskiej, której nie było dotychczas w Polsce. Działalność w tym zakresie rozwija bardzo dynamicznie (...)

Od czasu, gdy w 1960 roku wybuchła pod Poznaniem w Mosinie nienotowana dotąd w swoich rozmiarach epidemia włośnicy obejmująca około 1200 zachorowań parazytologia lekarska w Poznaniu i w Polsce nabiera rozpędu. Problemami badawczymi interesuje się nie tylko Międzynarodowa Komisja Włośnicowa, lecz i Stany Zjednoczone. Od 1964 roku rozpoczynają się kompleksowe badania w ramach współpracy polsko-amerykańskiej, czego wyrazem był zatwierdzony Grant Badawczy uzyskany z CDC (Atlanta, USA/05–326–2).

Głównym badaczem ze strony polskiej został Profesor Czesław Gerwel. Program obejmował opracowanie epidemiologii i rezerwuarów zwierzęcych *Trichinella*, dróg transmisji, patologii klinicznej, oceny obrazu i przebiegu klinicznego włośnicy, metod leczenia i zapobiegania. Wymagało to współpracy wielospecjalistycznej i zaangażowania licznych placówek badawczych.

Wieloletnie badania immunopatologiczne, histopatologiczne oraz przy pomocy mikroskopu elektronowego inwazji jelitowej i mięśniowej *Trichinella* u ludzi i zwierząt doświadczalnych, prowadzone w zespole badawczym Profesora Przemysława Gabryela kierownika Katedry Patomorfologii Klinicznej AM w Poznaniu przyczyniły się do poznania mechanizmu zaburzeń we włośnicy. Opracowanie zjawiska transformacji bazofilnej w komórkach mięśni zajętych przez larwy *Trichinella* – stało się istotnym wkładem do wiedzy na temat patologii włośnicy i jest dziś podstawą do dalszych współczesnych badań na poziomie molekularnym.

Można powiedzieć, że włośnica i badania nad nią stały się nowym rozdziałem w dziejach parazytologii lekarskiej nie tylko poznańskiej, lecz i w całym kraju. Osiągnięcia w zakresie prac doświadczalnych w zakresie trychinellozy uzyskały uznanie w skali międzynarodowej i cytowane są do dzisiaj w piśmiennictwie światowym. Wyrazem uznania jest fakt, że sekretariat ICT znajdował się w Polsce do 2000 roku.

* * *

Portret osoby Profesora Gerwela można ująć krótko i wyraziście. Poważny, skoncentrowany, z dystansem odnosił się do Władz i otoczenia, co wynikało ze znajomości trudnych spraw i odpowiedzialności w owych czasach i nabytej podczas wojny czujności. Dla studentów był wymagającym i surowym nauczycielem, lecz wśród nich wyszukiwał indywidualności, uważał bowiem, że mądrej młodzieży należy się zielone światło. Tępił brak umiejętności rozumowania podczas egzaminu, lecz dobrym stopniem nagradzał tych, którzy potrafili przeprowadzić logiczny wywód danej kwestii, choć wiedział, że zasób wiedzy z zakresu biologii pasożytów posiadali niewielki. Dbał o jasne, klarowne formułowanie myśli, poprawną polszczyznę, piękny styl.

Był patriotą – wiedziałam o tym i czułam to – chociaż nie manifestował swoich uczuć. Pilnował polskich spraw i dbał o dobry wizerunek polskiej nauki w kraju i na arenie międzynarodowej. To było Jego służbą. Nie mówił nigdy o odznaczeniach – chociaż odznaczony był Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, Odznaką Grunwaldzką i Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.

Ogromnie wrażliwy na muzykę, również klasyczną, o czym przekonałam się w późniejszych latach jako asystent i doktorant Pana Profesora. Uważał, że spotkania towarzyskie pracowników Zakładu i Kliniki po zakończonej pracy – okraszone dobrą kawą, ciekawą muzyką i opowiadaniem dowcipnych wydarzeń – łączą wszystkich, łagodzą napięcia i pozostawiają miłe wspomnienia. Zwykle zapowiadał na wstępie spotkania: „Kupiłem nową płytę...!” i nastawiał na przykład suitę Griega lub koncert f-moll Chopina. Zasiadał potem wśród nas, zapalał papierosa i rozpoczynał rozmowę... I często opowiadał kapitalne historie z Ugańska nad Donem lub z Odessy, gdzie spędzał dzieciństwo w okresie caratu. Robił to z talentem i bawił nas znakomicie!

Człowiek o żarliwym sercu i ogromnej przenikliwości. Rozumiał ludzkie sprawy i w dyskretny sposób umiał pomóc. Nietakty popełniane wobec Jego osoby potrafił zapomnieć.

Gdy w 1974 roku wróciłam po 3-miesięcznym pobycie naukowym w Egipcie dowiedziałam się, że Pan Profesor jest ciężko chory. Poważny proces płucny... Gdy po leczeniu klinicznym wrócił do domu postanowiłam Go odwiedzić, zobaczyć i opowiedzieć o swoim pobycie w tropiku. W pokoju Pana Profesora było gwarno, przyszli tu Jego asystenci. Było późne popołudnie, pogodny nastrój, mnóstwo kwiatów. Uśmiechał się do nas, słuchał każdego. Gdy po godzinie opuszczałam mieszkanie Profesora odprowadził mnie do windy. Jeszcze raz dziękowałam Mu za wszystko i stojąc w windzie zawołałam z udawaną beztroską: „Do widzenia Panie Profesorze, do zobaczenia, może w przyszłym tygodniu?...” Wówczas Profesor spojrzał na mnie poważnym i smutnym wzrokiem, podniósł rękę do czoła, tak jakby chciał zsalutować czy „zrobić cześć” i powiedział dziwnie spokojnym głosem: „A ja... żegnam panią...” Serce we mnie zadrżało. Nie ruszyłam się z miejsca. Wówczas podszedł, naciśnął przycisk windy i zaczęłam wolno zjeżdżać w dół.

Po kilku dniach nadeszła wiadomość, że Profesor Gerwel nie żyje. Umarł w gwałtownym krwotoku. Było to 12 września 1974 roku. Profesor Czesław Gerwel został pochowany na Cmentarzu Komunalnym na Miłostowie w Poznaniu. Uchwałą Miejskiej Rady Narodowej w Poznaniu, z dnia 12 maja 1983 roku, jednej z nowo utworzonych ulic w obrębie Junikowa w Poznaniu (w rejonie ulicy Michała Wołodyjowskiego) nadano nazwę Czesława Gerwela”.

Konferencja naukowa „Profesor dr Czesław Gerwel jako człowiek i naukowiec” 9 października 2009

W dniu 9 października 2009 r., w Sali Posiedzeń Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk przy ul. Seweryna Mielżyńskiego 27/29 w Poznaniu odbyła się konferencja naukowa pt. „Profesor dr Czesław Gerwel jako człowiek i naukowiec”. Konferencja zorganizowana w 100. rocznicę urodzin Profesora, upamiętniała Jego dokonania, jako skromnego patrioty i wybitnego twórcy parazytologii lekarskiej w Polsce.

Konferencja została zorganizowana przez Komitet Parazytologii Polskiej Akademii Nauk przy aktywnej współpracy Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Parazytologicznego, Katedry i Zakładu Biologii i Parazytologii Lekarskiej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Komisji Medycyny Doświadczalnej oraz Komisji Historii i Filozofii Medycyny Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Honorowy patronat nad konferencją objął prof. dr hab. Jacek Wysocki – Rektor Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Gośćmi honorowymi konferencji byli przedstawiciele najbliższej rodziny Pana Profesora Czesława Gerwela.

Konferencja obejmowała dwie sesje, z których pierwsza miała charakter wspomnieniowy i przybliżyła uczestnikom dokonania Pana Profesora, natomiast druga obejmowała referaty naukowe o charakterze przeglądowym poświęcone dziedzinom parazytologii lekarskiej, którymi aktywnie zajmował się Profesor Czesław Gerwel. W konferencji wzięło udział 70 osób, przede wszystkim dawnych uczniów i wychowanków Pana Profesora, a dzisiaj wybitnych specjalistów w swoich dziedzinach.

Powitania uczestników i otwarcia konferencji dokonała Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego – prof. dr hab. Anna C. Majewska, wiceprzewodnicząca Oddziału Poznańskiego PTP oraz kierownik Katedry i Zakładu Biologii i Parazytologii Lekarskiej tj. jednostki naukowej, którą przez wiele lat kierował Profesor Cz. Gerwel. Następnie prof. dr hab. Jerzy Wójtowicz jako przedstawiciel JM Rektora Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu powitał zebranych i otworzył obrady pierwszej sesji.

Sesji pierwszej przewodniczyli profesorowie: Roman Meissner oraz Piotr Kurnatowski. Głównym referatem tej sesji było wystąpienie prof. dr hab. Wandy Kocięckiej, która w referacie pt. „Profesor Czesław Gerwel w pamięci społeczności akademickiej, jako człowiek i twórca parazytologii lekarskiej w Polsce” w słowach pełnych ekspresji przybliżyła sylwetkę Profesora Cz. Gerwela, Jego pełną poświęcenia postawę studenta, naukowca i żołnierza w czasie II Wojny Światowej, tragiczne koleje losu okresu powojennego, wspaniałego nauczyciela i wychowawcy wielu pokoleń studentów, a także niestrudzonego i pełnego wiary organizatora nowoczesnych parazytologicznych jednostek naukowych w kraju. To z inicjatywy Pana Profesora Cz. Gerwela powstała już w 1953 r. w Poznaniu pierwsza w Polsce Wojewódzka Specjalistyczna Poradnia Chorób Pasożytniczych, która była wzorem dla następnych, podobnych placówek w naszym kraju. Dalszym etapem Jego działań było utworzenie w 1961 r. placówki klinicznej – Oddziału Chorób Pasożytniczych Akademii Medycznej w Poznaniu, która wkrótce została przekształcona w samodzielną Klinikę Chorób Pasożytniczych.

Profesor Cz. Gerwel był członkiem Komitetu Parazytologii PAN i członkiem Rady Naukowej Zakładu Parazytologii PAN; w latach 1956–1958 pełnił funkcję Prezesa Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Parazytologicznego; był członkiem zwyczajnym i tytularnym Międzynarodowego Towarzystwa Hydatologicznego; w latach 60. XX w. działał przez okres 2 kadencji (10 lat) jako ekspert WHO w zakresie parazytologii; czynnie współpracował z Komitetem Redakcyjnym Acta Parasitologica Polonica (wydawnictwo PAN) oraz z Komitetem Redakcyjnym Wiadomości Parazytologicznych.

Od 1964 r. w ramach współpracy polsko-amerykańskiej w zakresie włośnicy (grant badawczy uzyskany w CDC, U. S. Public Health Service, Atlanta, GA, USA) reprezentował stronę polską i był odpowiedzialny za realizowanie programu nowatorskiego w skali kraju i świata, który obejmował badania prowadzone w zespołach wielospecjalistycznych na terenie naszego kraju. Program obejmował opracowanie: epidemiologii i rezerwuarów zwierzęcych *Trichinella*; dróg transmisji,

patogenezy i patologii klinicznej; oceny obrazu i przebiegu włośnicy u ludzi; zjawisk immunologicznych oraz diagnostyki współczesnej i metod leczenia włośnicy. W efekcie prowadzonych badań, w latach 1964–1974 ukazało się 109 prac naukowych z zakresu epidemiologii i biologii włośnia krętego, immunologii oraz aspektów klinicznych i biochemicznych. W ciągu następnych lat zgromadzone materiały naukowo-badawcze i ciągłość obserwacji stały się podstawą 5 rozpraw doktorskich i 2 habilitacyjnych na temat włośnicy.

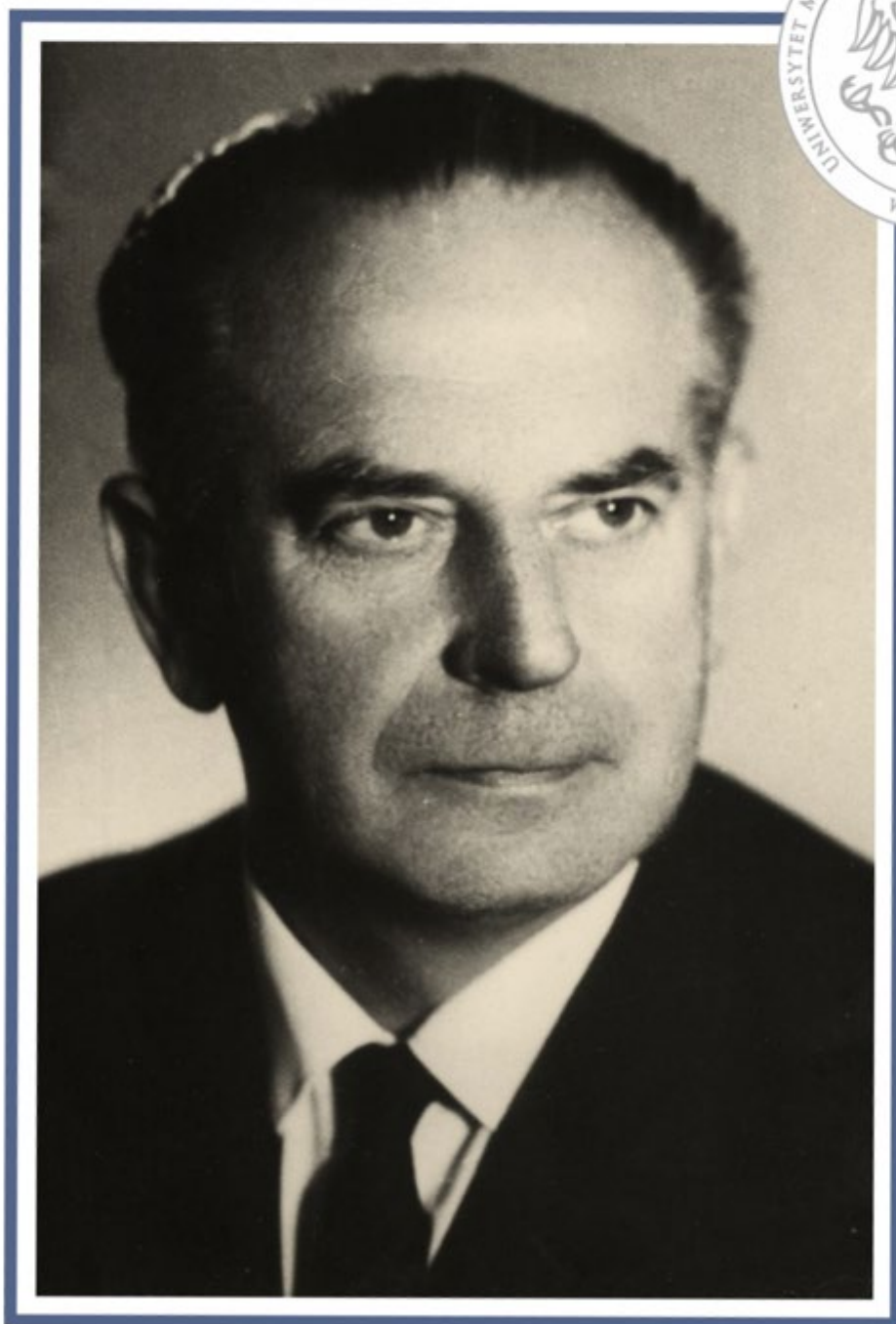
Po referacie prof. dr hab. W. Kocięckiej uczestnicy konferencji wysłuchali recitalu prof. Andrzeja Tatarskiego, wykładowcy Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu, który zaprezentował m.in. utwory Fryderyka Chopina oraz Ignacego J. Paderewskiego.

Pierwszą sesję zakończyły wypowiedzi Uczniów Profesora i zaproszonych Gości, którzy we wzruszających słowach, wypowiedziach poważnych, jak i pełnych humoru ukazali zebranym Profesora, jako człowieka prawego, patriotę, wymagającego lecz sprawiedliwego nauczyciela, które mu tak wiele zawdzięczają.

Dr Piotr Nowosad, Katedra i Zakład Biologii i Parazytologii Lekarskiej, Uniwersytet Medyczny w Poznaniu

Józef Wiza

Profesor Józef Wiza był kierownikiem Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej Akademii Medycznej (1959–1975).



: prof. Józef Wiza: Syn kupca Józefa Wizy i Joanny z Jaskólskich[1]. W 1915 r. wstąpił do 1. Drużyny Harcerzy „Lech” w Gnieźnie. Pełnił funkcje pomocnicze w czasie powstania wielkopolskiego. Po 1918 r. uczył się w gimnazjum, równocześnie był drużynowym 2. DH im. Zawiszy Czarnego. Następnie zdał maturę w Gimnazjum im. Bergera w Poznaniu, gdzie pełnił funkcję drużynowego 13. Poznańskiej Drużyny Harcerzy im. Jana Zamojskiego. W czasie studiów medycznych na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1925–1933 był członkiem Akademickiego Koła Harcerskiego im. Heliodora Święcickiego. Uzyskał stopień harcmistrza. W latach 1930–1939 pracował w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej Uniwersytetu Poznańskiego. W 1939 r. jako lekarz ochotniczo zgłosił się do służby wojskowej, poprzez Łódź trafił do szpitala wojskowego w Kowlu. Tam został internowany wraz z

innymi lekarzami i oficerami przez Sowietów. Dzięki jego inicjatywie podczas postoju pociągu z jeńcami na stacji w Równem kolejarzy otworzyli wagony, wielu internowanych skorzystało z okazji i uciekło. Józef Wiza powrócił do Poznania. W latach 1939–1940 pod pseudonimem Siwy Sęp pełnił funkcję komendanta Chorągwi Wielkopolskiej Szarych Szeregów. Był współautorem kryptonimu Szare Szeregi, który później przyjął się także w innych regionach okupowanej Polski. Poszukiwany przez Gestapo musiał uciekać do Warszawy, gdzie nadal działał w konspiracji. W nocy 26/27 marca 1943 – po Akcji pod Arsenalem udzielał pomocy medycznej skatowanemu przez Gestapo Janowi Bytnarowi ps. Rudy. Jako lekarz batalionu „Iwo” brał udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie wrócił do Poznania i pracował nadal w swoim zawodzie, był m.in. kierownikiem Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej Akademii Medycznej (1959–1975). 30 października 1975 roku przeszedł na emeryturę, ale „do ostatnich dni swego życia brał czynny udział w pracy dydaktycznej”. Zmarł w maju 1976 w Poznaniu i został pochowany 19 maja 1976 na cmentarzu komunalnym Junikowo tamże[2]- przyp. JTM].

Halina Karoń (1924-2011)

„Wykształcenie: Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu (1951)

Nekrolog: Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że 21 listopada 2011 r. zmarła Prof. dr hab. Halina Karoń emerytowany profesor zwyczajny, Kierownik Katedry i Zakładu Chemii Fizjologicznej w latach 1969-1995, w latach 1966-1972 Prodzikan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Wychowawca wielu pokoleń studentów i nauczycieli akademickich. Doskonały dydaktyk i organizator działalności przed i podyplomowej, autor wielu prac naukowych, promotor szeregu prac doktorskich. W latach 1959-1960 przebywała jako stypendysta Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w Instytucie Biochemii w Strasburgu, w roku 1966 jako stypendysta naukowy w Instytucie Biochemii w Strasburgu oraz w laboratorium *Hospital Des Enfants Malades* w Paryżu. Czynny członek Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego i Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Za wyróżniającą się działalność naukową, dydaktyczną i organizacyjno-wychowawczą Zmarła została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Mężowi Panu Prof. dr. hab. Henrykowi Karoniowi, Córce i Synowi z Wnukami składamy wyrazy głębokiego współczucia. Rektor i Senat, Dziekani i Rady Wydziałów Lekarskiego I, Lekarskiego II, Farmaceutycznego i Nauk o Zdrowiu, Dyrekcja oraz pracownicy Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu

<https://www.nekrologi.net/nekrologi/halina-karon/12617719>

Alfons Chodera (1925- 2005)

Wybitny polski farmakolog, profesor Alfons Chodera urodził się 6 lutego 1925 r. w Nowej Świętnej pow. Złotów. W dostępnych w interencje źródłach nie udaje się znaleźć danych dotyczących miejsc edukacji ani dat uzyskiwania stopni naukowych. W Zakładzie Farmakologii Akademii Medycznej w Poznaniu zajmował się dydaktyką prowadząc zajęcia ze studentami ydziałów medycznego i stomatologii i jednocześnie działał we współpracy z I Kliniką Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej Poznaniu. Te dane umieszczono w afiliacjach autora kilku publikacji - Alfonsa Chodery np: publikacja z 1956 r. pt. Badania doświadczalne nad wpływem niektórych hormonów na przebieg stanów hipoglikemicznych, książka z 1965 r. pt. Badania nad wpływem morfiny i środków zastępczych na poziom noradrenaliny w pniu mózgu w zestawieniu z ich działaniem farmakologicznym czy pozycja z 1972 r. pt. Wybrane zagadnienia z morfologii czynności, farmakologii

i kliniki układu nerwowego autonomicznego (dane znajdują się w bazie Biblioteki Narodowej). Jednak wymieniana jest szczególnie ważna dla dydaktyki podręcznik Farmakologia autorstwa Chodery, który powstał we współpracy ze znakomitymi farmakologami m.in. z Piotrem Kubikowskim, Andrzejem Danyszem, Ryszardem Gryglewskim, Zdzisławem Kleinorkiem. Od lat 70 - 80 XX w. ukazywały się kolejne wydania podręcznika też w wersjach dla stomatologów. Ponadto wymieniana są inne pozycje autorstwa Chodery jak: Farmacja kliniczna (1973) czy „Uboczne działania leków” (1982). O rozległości zainteresowań prof. Chodery świadczy m. in. wydana w 1976 r. przez Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich w Warszawie, książka pt. Ziołolecznictwo. Poradnik dla lekarzy.

Profesor działał też w Polskim Towarzystwie Farmakologicznym (PTF), którego w latach 1980- 1983 był prezesem a od 2004 r. – członkiem honorowym.

Profesor Alfons Chodera zmarł w 2005 i został pochowany na cmentarzu Junikowo w Poznaniu.

Po śmierci prof. Chodery ukazało się wspomnienie obecnej profesor Elżbiety Nowakowskiej zawierające notę biograficzną ale też osobiste ciepłe uwagi. Profesor Elżbieta Nowakowska była współpracownicą i chyba uczennicą prof. Chodery, gdyż od 1973 r. pracowała na Uniwersytecie Medycznym im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, początkowo w Katedrze Farmakologii jako farmakolog i kierownik Pracowni Farmakoeconomiki a od 2007 r. kierowała Katedrą Farmakoeconomiki i Farmacji Społecznej (którą stworzyła od podstaw) <https://podyplomowe.ump.edu.pl/file/138b10/origin/mnrf-elzbieta-nowakowska.pdf>. Obecnie pełni funkcję: Proroktor ds. Collegium Medicum / Collegium Medicum / Instytut Nauk o Zdrowiu / Zakład Farmakologii i Toksykologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. <https://pers.uz.zgora.pl/pracownik-36568>

Poniższą publikację zamieszczono w interencje w języku angielskim i oto jej tłumaczenie:

„Profesor Alfons Chodera urodził się 6 lutego 1925 r. w Nowej Świętnej, powiat Złotów, i uczęszczał tam do szkoły podstawowej dla mniejszości z językiem polskim. W październiku 1939 r. wraz z rodziną został wysiedlony i wywieziony do Niemiec na roboty przymusowe, a majątek jego rodziców został skonfiskowany. W kwietniu 1945 r. został wyzwolony przez wojska amerykańskie i powrócił do rodzinnej miejscowości, która w międzyczasie została wcielona do Polski. W latach 1946–47 pracował jako urzędnik w Starostwie Powiatowym w Złotowie i w Powiatowym Związku Cechowym, przygotowując się na prywatnych kursach wieczorowych do egzaminu na świadectwo dojrzałości, które otrzymał w 1948 r. W 1949 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego i w 1954 r. uzyskał dyplom lekarza. Następnie od 1954 do 1996 roku pracował w Katedrze Farmakologii Akademii Medycznej w Poznaniu jako asystent, adiunkt, docent i wreszcie profesor. W 1960 roku uzyskał II stopień specjalizacji z chorób wewnętrznych. W latach 1963–64 wizytował ośrodki naukowe w Związku Radzieckim i Niemczech. Uczestniczył w licznych konferencjach naukowych w kraju i za granicą. 1 marca 1967 r. Profesor Chodera został mianowany Kierownikiem Katedry Farmakologii Akademii Medycznej w Poznaniu i piastował to stanowisko do października 1990 r. **Za ogromną wiedzę, wyjątkowe zdolności organizacyjne i talent menedżerski w kierowaniu tak dużym zespołem, był ceniony przez współpracowników. W szczególności szanowali go za umiejętność prowadzenia dialogu, chęć współpracy i pozytywne nastawienie do wszelkich pojawiających się problemów organizacyjnych i interpersonalnych. Był nie tylko wybitnym naukowcem i klinicystą, ale także wybitnym nauczycielem akademickim przekazującym swoją wiedzę studentom i lekarzom pracującym w swojej specjalizacji. Jego wykłady często przeplatane anegdotami i oparte na szerokiej wiedzy przedmiotowej cieszyły się dużym zainteresowaniem.** Po przejściu na emeryturę pozostawał w kontakcie naukowym z Katedrą Farmakologii. Był profesorem, który nadał tytuł magistra 105 studentom studiów podyplomowych i tytuł doktora 20 studentom studiów podyplomowych, ponadto 8 jego współpracowników awansowało na stanowisko profesora nadzwyczajnego, a 7 jego współpracowników uzyskało tytuł profesora zwyczajnego. Profesor Alfons Chodera był autorem i współautorem 305 artykułów, z których większość miała zasięg międzynarodowy, był autorem 11 podręczników, które miały łącznie 25 wydań, 6 podręczników i

wielu monografii. Prace zwykle koncentrowały się na tolerancji ośrodkowego układu nerwowego na leki, a także na kardiologicznych efektach pochodnych propandionu, wpływie glukagonu i innych związków endogennych na przebieg wstrząsu hipoglikemicznego oraz roli amin biogennych w działaniu narkotycznych leków przeciwbólowych. W latach 1972-1995 Profesor Chodera był członkiem Rady Naukowej Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, od 1975 do 1986 członkiem Komitetu Terapii Doświadczalnej, od 1972 do 1974 i od 1981 do 1986 członkiem Komitetu Nauk Fizjologicznych, od 1978 do 1980 członkiem Komisji Farmakokinetiki i Biofarmacji w sekcji Komisji Terapii Doświadczalnej PAN, a od 1981 do 1983 członkiem Rady Naukowej przy Ministerstwie Zdrowia jako Przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Farmakologicznego, którego był członkiem honorowym. Profesor Chodera był jednym z organizatorów farmakologii klinicznej w Polsce.

Z jego inicjatywy zorganizowano w kraju i za granicą wiele sympozjów z tej dziedziny. W uznaniu zasług w nauce, oświacie i organizacji nauki został uhonorowany wieloma nagrodami: 4 nagrodami Ministra Zdrowia, prestiżową Nagrodą Begańskiego za wybitne osiągnięcia w dydaktyce i wychowaniu oraz 20 nagrodami Rektora Akademii Medycznej. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką Honorową za Zasługi dla Rozwoju Województwa Poznańskiego, Odznaką Honorową za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia i innymi.

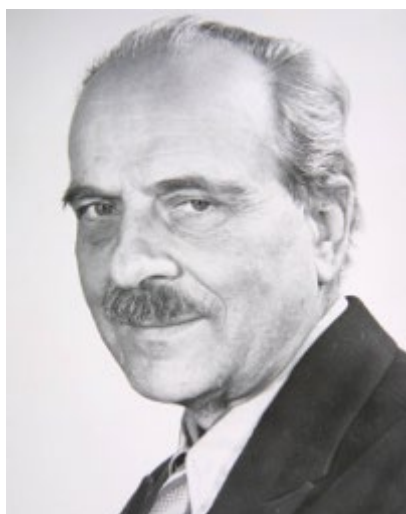
Profesor Chodera zmarł 23 lipca 2005 roku. W jego pogrzebie, obok rodziny i władz Uczelni, hołd Jego godności serca i umysłu oddali liczni Jego uczniowie – lekarze, farmaceuci i studenci. **Profesor Chodera był dla nas symbolem doskonałości, człowiekiem niezwykle skromnym, uczciwym i życzliwym, który zawsze mistrzowsko i właściwie układał akcenty ważne w życiu”.**

Nowakowska E, Professor Alfons Chodera, Ph.D., M.D. (1925–2005) OBITUARY, *Pharmacological Reports*, 2005, 57, 683, 684, http://if-pan.krakow.pl/pjp/pdf/2005/6_683.pdf

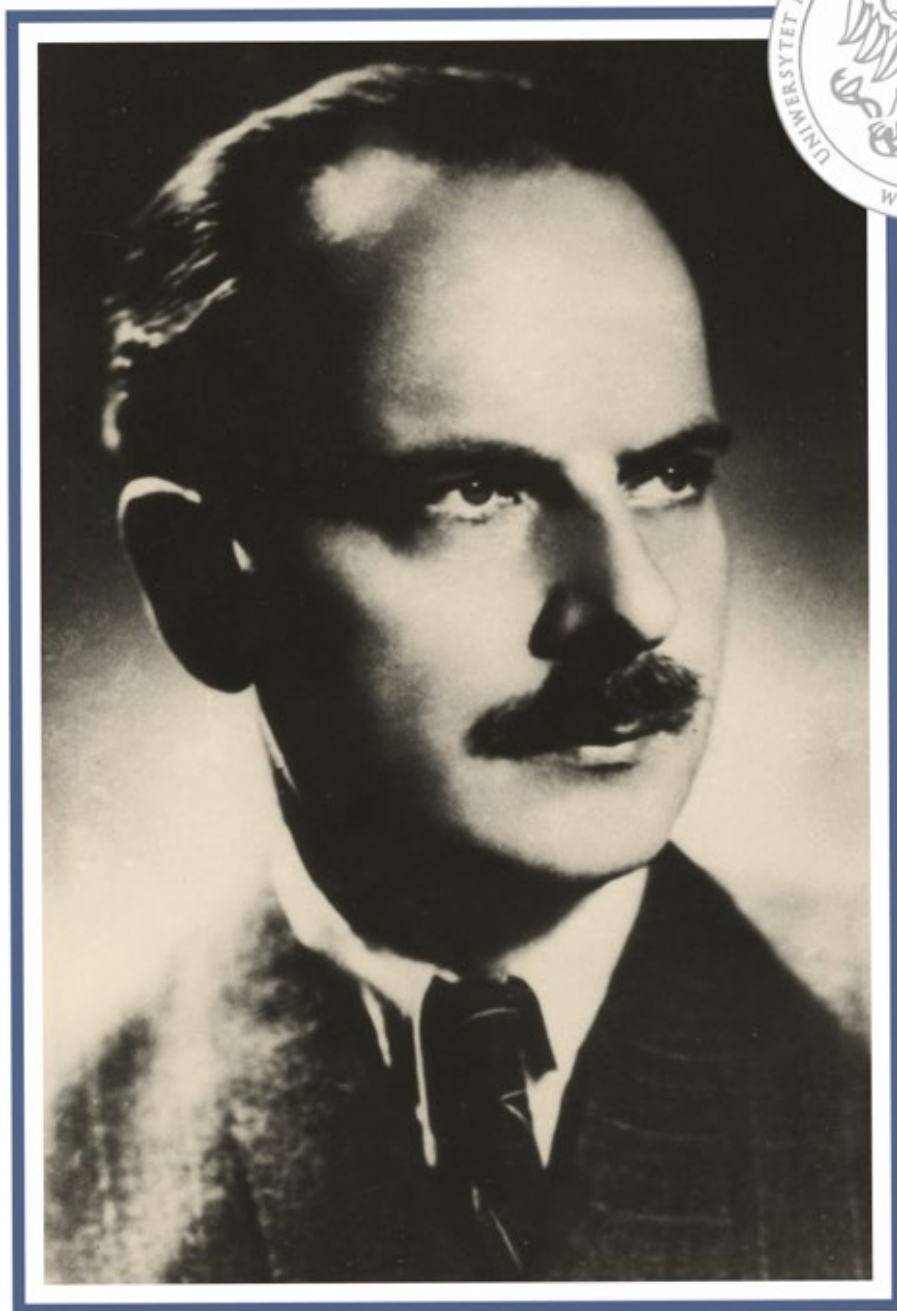
W uzupełnieniu warto podkreślić, że prof. Chodera w Zakładzie Farmakologii Akademii Medycznej w Poznaniu nie tylko zajmował się dydaktyką ale jednocześnie był specjalistą chorób wewnętrznych i współpracował z I Kliniką Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Poznaniu. Te dane umieszczono w afiliacjach autora kilku publikacji - Alfonsa Chodery np: praca z 1956 r. pt. Badania doświadczalne nad wpływem niektórych hormonów na przebieg stanów hipoglikemicznych, książka z 1965 r. pt. Badania nad wpływem morfiny i środków zastępczych na poziom noradrenaliny w pniu mózgu w zestawieniu z ich działaniem farmakologicznym czy pozycja z 1972 r. pt. Wybrane zagadnienia z morfologii czynności, farmakologii i kliniki układu nerwowego autonomicznego (dane znajdują się w bazie Biblioteki Narodowej). Jednak wymienia się szczególnie ważny dla dydaktyki podręcznik Farmakologia autorstwa Chodery, który powstał we współpracy ze znakomitymi farmakologami m.in. z Piotrem Kubikowskim, Andrzejem Danyszem, Ryszardem Gryglewskim, Zdzisławem Kleinorkiem. Od lat 70 - 80 XX w. ukazywały się kolejne wydania podręcznika też w wersjach dla stomatologów. Ponadto wymienia się inne pozycje autorstwa Chodery jak: Farmacja kliniczna (1973) czy „Uboczne działania leków”(1982) . O rozległości zainteresowań prof. Chodery świadczy m. in. wydana w 1976 r. przez Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich w Warszawie, książka pt. Ziołolecznictwo. Poradnik dla lekarzy.



Antoni Horst (1915-2003)



<https://igcz.poznan.pl/instytut/historia/attachment/prof-dr-hab-antoni-horst-web/>



Antoni Horst

Antoni Horst – polski naukowiec, lekarz, fizjolog i genetyk, w latach 1956–1959 rektor Akademii Medycznej w Poznaniu, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

„W 1934 roku rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. W chwili wybuchu II wojny światowej do ukończenia studiów pozostał mu jeden trymestr i egzaminy końcowe. We wrześniu 1939 roku pracował w Szpitalu Przemienienia Pańskiego w Poznaniu. Podczas okupacji mieszkał i pracował w Warszawie, w 1944 roku ukończył studia na Tajnym Uniwersytecie Ziemi

Zachodnich. Uczestniczył w konspiracji, podczas powstania warszawskiego był zastępcą szefa sanitarnego obszaru centralnego Armii Krajowej. Odpowiadał za opiekę medyczną wysiedlanych szpitali i ludności Warszawy, korzystając ze środków Delegatury Rządu na Kraj zorganizował doraźną składnicę sanitarną.

Po zakończeniu wojny pracował w warszawskim Szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie był współpracownikiem profesora Witolda Orłowskiego. Jeszcze w 1945 roku przeniósł się do Poznania, gdzie uzyskał stopień doktora medycyny i otrzymał stanowisko adiunkta w II Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Poznańskiego organizowanej przez profesora Jana Roguskiego. Habilitację uzyskał w 1947 roku. Od 1950 roku był kierownikiem Zakładu Patologii Ogólnej i Doświadczalnej Akademii Medycznej w Poznaniu, w 1950 roku uzyskując stanowisko profesora nadzwyczajnego, a w 1956 tytuł profesora zwyczajnego. Także w 1956 roku został wybrany rektorem Akademii Medycznej. W 1963 roku utworzył na Akademii Medycznej Zakład Genetyki Człowieka, pierwszą tego typu placówkę naukową w Polsce”. Spoczywa na Cmentarzu Junikowo w Poznaniu.

Wikipedia

Prof. Antoni Horst słynął ze swojej niepokorności wobec komunistycznych władz Polski. Przykładowo, będąc rektorem Akademii Medycznej w Poznaniu dnia 26 VIII 1957 r. złożył rezygnację ze stanowiska. „Pismo o rezygnacji odczytał podczas posiedzenia Senatu 29 VIII 1957 r. Ta decyzja była spowodowana pozaprawnym powołaniem jednego z pracowników [administracyjnych] Akademii Medycznej w Poznaniu na stanowisko adiunkta na Wydziale Lekarskim i niezgodnym z prawem przeniesieniem go do Zakładu Organizacji Służby Zdrowia, pomimo sprzeciwu Rady Wydziału Lekarskiego. W konsekwencji Senat podjął uchwałę stwierdzającą, że całkowicie solidaryzował się on z rektorem i wszyscy członkowie Senatu złożyli rezygnację na ręce ministra zdrowia (...). A. Horst w następujący sposób opisywał powyższą sytuację w opublikowanych w 1995 r. wspomnieniach: Poprzedni dyrektor administracyjny Akademii Medycznej – w okresie wypadków poznańskich czując się zagrożony na swym stanowisku – z pominięciem ustawy akademickiej i wszystkich innych przepisów, samowolnie, nie mając po temu najmniejszych kwalifikacji, przeniósł się na stanowisko adiunkta w Zakładzie Organizacji Służby Zdrowia, gdzie kierownikiem był jego polityczny kumpel. Jednocześnie był przewodniczącym uczelnianej Rady Zakładowej, mając tym samym immunitet związkowy, czyli nie wolno go było zwolnić z pracy. Zawezwalem go do siebie i oświadczyłem mu, że bezprawnie, z pogwałceniem wszystkich przepisów zajął stanowisko naukowe adiunkta w Zakładzie Organizacji Służby Zdrowia (...). Po około dziesięciu dniach otrzymałem pismo z Ministerstwa Zdrowia mniej więcej takiej treści: Doszło do wiadomości Ministerstwa, że obywatel rektor zwolnił takiego a takiego pana ze stanowiska. Proszę natychmiast przywrócić mu stanowisko i niezwłocznie zawiadomić pisemnie Ministerstwo Zdrowia o wykonaniu polecenia. Podpisał dyrektor Departamentu Kadr, Potocki, jeśli dobrze zapamiętałem to nazwisko. Na to odpisałem: ‘Do Pana Ministra Zdrowia, prof. Barańskiego. Jest rzeczą niesłychaną, aby dyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Zdrowia kierował do rektora wyższej uczelni tego rodzaju pismo, jak w załączeniu. Ob. dyrektor Departamentu Kadr nawet nie pofatygował się, aby ustalić, dlaczego musiałem podjąć tego rodzaju decyzję. Proszę uprzejmie pouczyć ob. dyrektora Departamentu Kadr, aby w przyszłości tego rodzaju pism do rektora wyższej uczelni nie kierował’. Odpis tego pisma skierowałem też do wiadomości ob. dyrektora Departamentu Kadr Ministerstwa Zdrowia. No i piekło się zrobiło. Z Komitetu Centralnego PZPR przyjechała jakaś pani (zdaje się Zemankowa, odpowiedzialna w KC za sprawy nauki, mająca tyle wspólnego z nauką, co czarne gołoty z paznokciem – jej nazwiska nie jestem pewny) z wielką awanturą, że mam natychmiast przywrócić na stanowisko adiunkta byłego pana dyrektora administracyjnego. Oświadczyłem, że tego nie zrobię, na stanowisku rektora mi nie zależy, mogę od razu przestać tu urzędować, a w żadnym wypadku bezprawia nie będę tolerował. Na skutek mojej stanowczej decyzji musieli tego pana zabrać z Akademii Medycznej na inne stanowisko, będące

w gestii Partii – w każdym razie w Akademii Medycznej przestał pracować. Przy tej okazji warto nadmienić, że wspomniany dyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Zdrowia został później aresztowany za bliżej mi nieznane przestępstwa (...). Nadszedł rok 1956 z głośnymi wypadkami poznańskimi w czerwcu, potem 'Październik' z zapowiedzią zmian politycznych i reform oraz nadziei na lepsze w uczelni. Podczas pierwszych niezależnych wyborów rektora, a nie, jak dotychczas, nominacji narzucanej przez czynniki polityczne zostałem wybrany rektorem Akademii Medycznej na lata 1956– 1959. Również z pozycji rektora trzeba było, że się tak wyrażę, oczyścić tę stajnię Augiasza”.

za: https://amu.edu.pl/_data/assets/pdf_file/0025/122947/UMP_Historia_1950-2019_Seria_UP_1919_2019.pdf

Przemysław Gabryel (1919-2014)



Prof. zw. dr hab. dr honoris causa, zasłużony nauczyciel akademicki Katedry Patomorfologii Klinicznej, w latach 1963-1990 Kierownik Katedry i Zakładu Patomorfologii Klinicznej, Dyrektor Instytutu Biostruktury Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Prawo wykonywania zawodu otrzymał w 1949 r. W 1953 r. uzyskał specjalizację II stopnia w dziedzinie anatomii patologicznej. W 1963 r. uzyskał stopień doktora nauk medycznych, w 1962 r. - doktora habilitowanego nauk medycznych, a w 1977 4. - nominację profesorską.

W latach 1966-1972 był prodziekanem Wydziału Lekarskiego, a następnie jego dziekanem, a od roku 1975 przez dwie kadencje pełnił funkcję prorektora ds. Nauki. W 2000 roku Uczelnia nadała Profesorowi tytuł honoris causa.

Pełnił też szereg funkcji m.in.: przewodniczącego Oddziału Polskiego Towarzystwa Patologów, członka Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego i Nauki, członka Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, przewodniczącego Rady Bibliotecznej oraz Komisji Statutowej Uczelni.

Był członkiem Polskiego Towarzystwa Onkologicznego oraz Polskiego Towarzystwa Patologów.

Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem za zasługi dla Uczelni, Medalem Edukacji Narodowej, Honorową Odznaką Miasta Poznania, Honorową Odznaką za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia.

Jako Dziekan wręczył nam dyplomy lekarza.

[Roman Drews \(1908-1977\)](#)

Prof. dr hab. med., jeden z najwybitniejszych chirurgów polskich XX wieku, kontynuator poznańskiej szkoły chirurgicznej prof. Antoniego Jurasza (juniora).



Życiorys:

Roman Drews urodził się jako syn Konstantego 6 sierpnia 1908 w Chodzieży, gdzie w maju 1927 ukończył Państwowe Gimnazjum św. Barbary, zdając egzamin dojrzałości. W latach 1927-1933 odbył studia w Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego, na którym 10 czerwca 1933 otrzymał tytuł lekarza medycyny. W latach 1934–1939 pracował jako asystent, a następnie jako starszy asystent w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Poznańskiego, pod kierunkiem profesora Antoniego Jurasza juniora. Po wybuchu wojny, w październiku 1939 został wysiedlony z Poznania.

Wojnę spędził w Ostrowcu Świętokrzyskim, pracując na stanowisku ordynatora oddziału chirurgicznego w szpitalu ubezpieczalni społecznej. W tych latach wielokrotnie leczył i ukrywał partyzantów w szpitalu, a także udzielał pomocy lekarskiej w terenie. W Ostrowcu Świętokrzyskim poznał swoją przyszłą żonę, Marię Osłońską, wysiedloną z Sosnowca, ówczesną studentkę Wydziału Lekarskiego TUZZ w Warszawie, łączniczkę AK (później lekarza stomatologa, doktora nauk medycznych). W kwietniu 1944 ożenił się z Marią Osłońską, z którą miał czterech synów: Michała, Andrzeja, Krzysztofa i Romana. Michał^[1] i Krzysztof^[2] są obecnie kierownikami klinik Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, Andrzej jest architektem (mieszka i pracuje w Nowym Jorku), a Roman jako doktor biologii pracuje w Instytucie Badania Żywności i Leków w Waszyngtonie. Należał do Polskiej Korporacji Akademickiej *Aesculapia* w Poznaniu. Habilitował się z chirurgii na podstawie pracy „Badania kliniczne i doświadczalne nad glikoneogenezą w stanach pooperacyjnych”. W czerwcu 1951 mianowany został profesorem nadzwyczajnym, a w kwietniu 1962 profesorem zwyczajnym. W 1974 roku Akademia Medyczna w Poznaniu wyróżniła prof. Romana Drewsa najwyższą swą godnością, tytułem doktora honoris causa.

Pochowany w alei zasłużonych na Cmentarzu Junikowskim w Poznaniu (AZ-P-126)^[3].

Przypisy:

↑ [Michał Drews](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2012-05-22].

↑ [Krzysztof Drews](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2012-05-22].

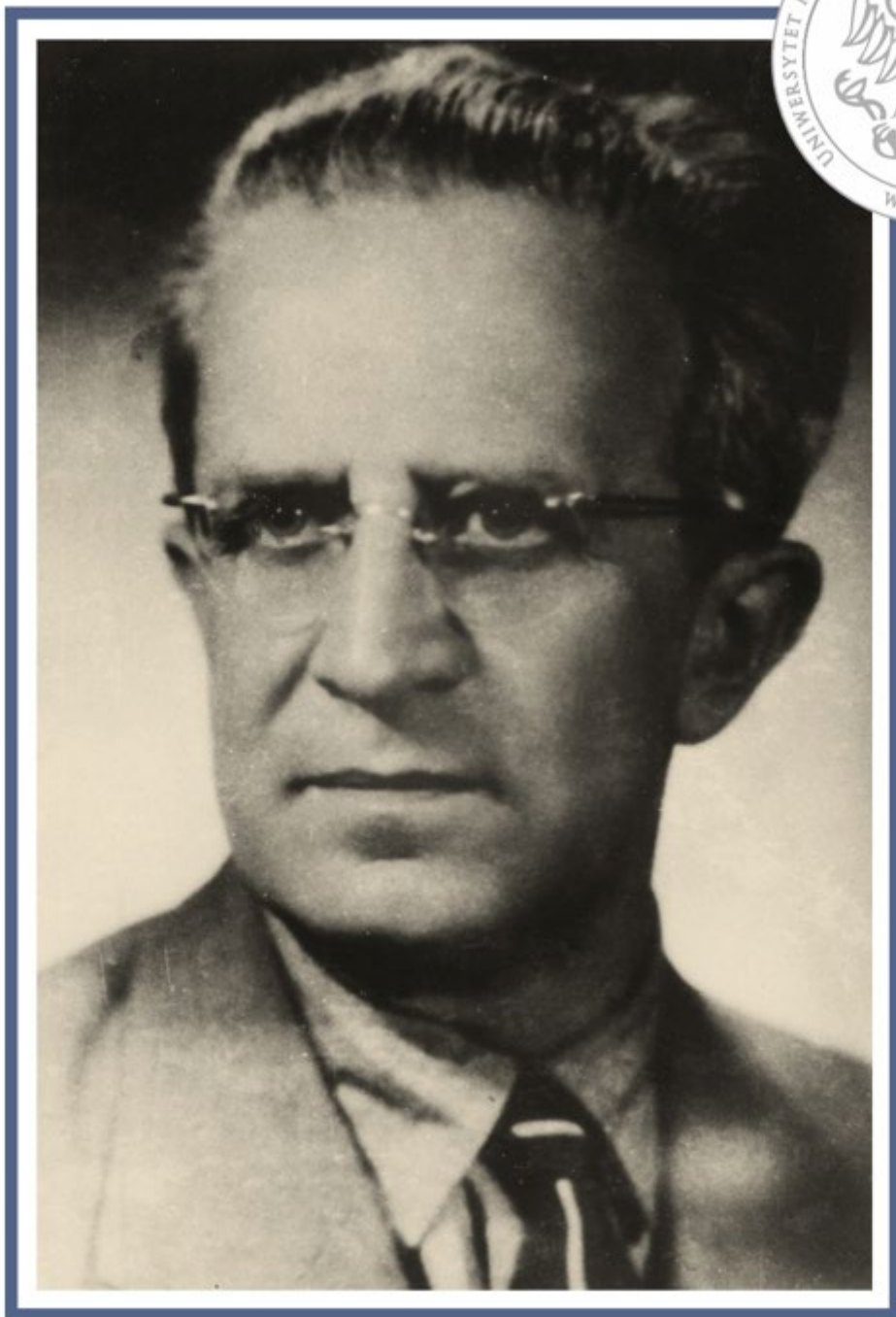
↑ [Wyszukiwarka grobów w Poznaniu](#).

↑ [M.P. z 1954 r. nr 99, poz. 1213](#).

za: https://pl.wikipedia.org/wiki/Roman_Drews

Olech Szczepski (1914-1980)





Olech Szczepski

Olech Szczepski - pediatra, wykładowca Akademii Medycznej w Poznaniu, rektor (1962-1964). W czasie II wojny światowej uczestnik kampanii wrześniowej, walk o Tobruk i bitwy o Monte Cassino.

Wspomina nasz kolega Jerzy T. Marcinkowski: Pamiętam wykłady z pediatrii prowadzone przez prof. Olecha Szczepskiego, który polecał aby w trakcie wykładów przywożono z oddziału dzieci. Profesor omawiał te przypadki z nami, wspominał o wielu ważnych kwestiach klinicznych, w tym o zlecaniu

leków. Pamiętam dobrze słowa profesora, który mówił do nas: „Ja więcej leków w życiu odstawiłem aniżeli zleciłem”. Po latach muszę stwierdzić, że to były mistrzowskie wykłady doskonałego klinicysty, które – niestety – nie były przez nas należycie doceniane, a przynajmniej przez większość z nas, bo nie cieszyły się zbyt dużą frekwencją i podczas wykładów prowadziliśmy rozmowy między sobą a nie z wykładowcą.

Jan Roguski (1900-1971)







Profesor Jan Roguski Patron Wielkopolskiego Stowarzyszenia Alzheimerowskiego, <https://alzheimer-poznan.pl/przyjaciele-wsa/>

– polski naukowiec, lekarz, internista, wieloletni kierownik II Kliniki Chorób Wewnętrznych, rektor Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1953–1955.

Ukończył studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł doktora wszechnauk lekarskich uzyskał 10 lipca 1926 roku. Po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Sanitarnych Rezerwy, w 1928 roku został starszym asystentem II Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego, kierowanej przez profesora Witolda Orłowskiego. W 1938 roku został ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Wolskiego. 15 marca 1939 roku uzyskał habilitację i stopień docenta, na podstawie pracy *Gospodarka wodna, chlorowa i białkowa w przewlekłej niewydolności krążenia*. Przez cały okres okupacji pełnił funkcję ordynatora, prowadząc jednocześnie tajne nauczanie dla studentów Tajnego Uniwersytetu Warszawskiego i Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich. Jesienią 1941 roku opiekował się chorym Edwardem Śmigłym-Rydzem. Podczas powstania warszawskiego przebywał w stolicy, udzielając pomocy lekarskiej powstańcom i ludności cywilnej.

W lutym 1946 roku został powołany na stanowisko kierownika II Kliniki Chorób Wewnętrznych i profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Poznańskiego. Po wydzieleniu Akademii Medycznej został jej wykładowcą, w latach 1953–1955 pełnił funkcję rektora. Zmarł 7 września 1971 roku i został pochowany na Cmentarzu Junikowskim...

Mieczysław Wender (1926-2019)

Profesor, wieloletni kierownik Katedry i Kliniki Neurologii, Dyrektor Instytutu Chorób Układu Nerwowego i Narządów Zmysłów.



[WSPOMNIENIE O PROFESORZE MIECZYŚLAWIE WENDERZE | neuroedu.pl](https://neuroedu.pl)

Prorektor ds. Klinicznych Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu w latach 1969-1972.

Przewodniczący Komitetu Nauk Neurologicznych PAN, Przewodniczący Komisji Neurochemii PAN, Członek Rady Naukowej Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN, Członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, Członek Niemieckiej Akademii Nauk Leopoldina. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Znakomity naukowiec i dydaktyk.

Hieronim Powiertowski (1915-1983)





Hieronim Powiertowski (1915-1983), współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Neurochirurgów, opracował metodę leczenia kraniostenozy. Kierownik Kliniki Neurochirurgii Akademii Medycznej w Poznaniu (1952-1971)

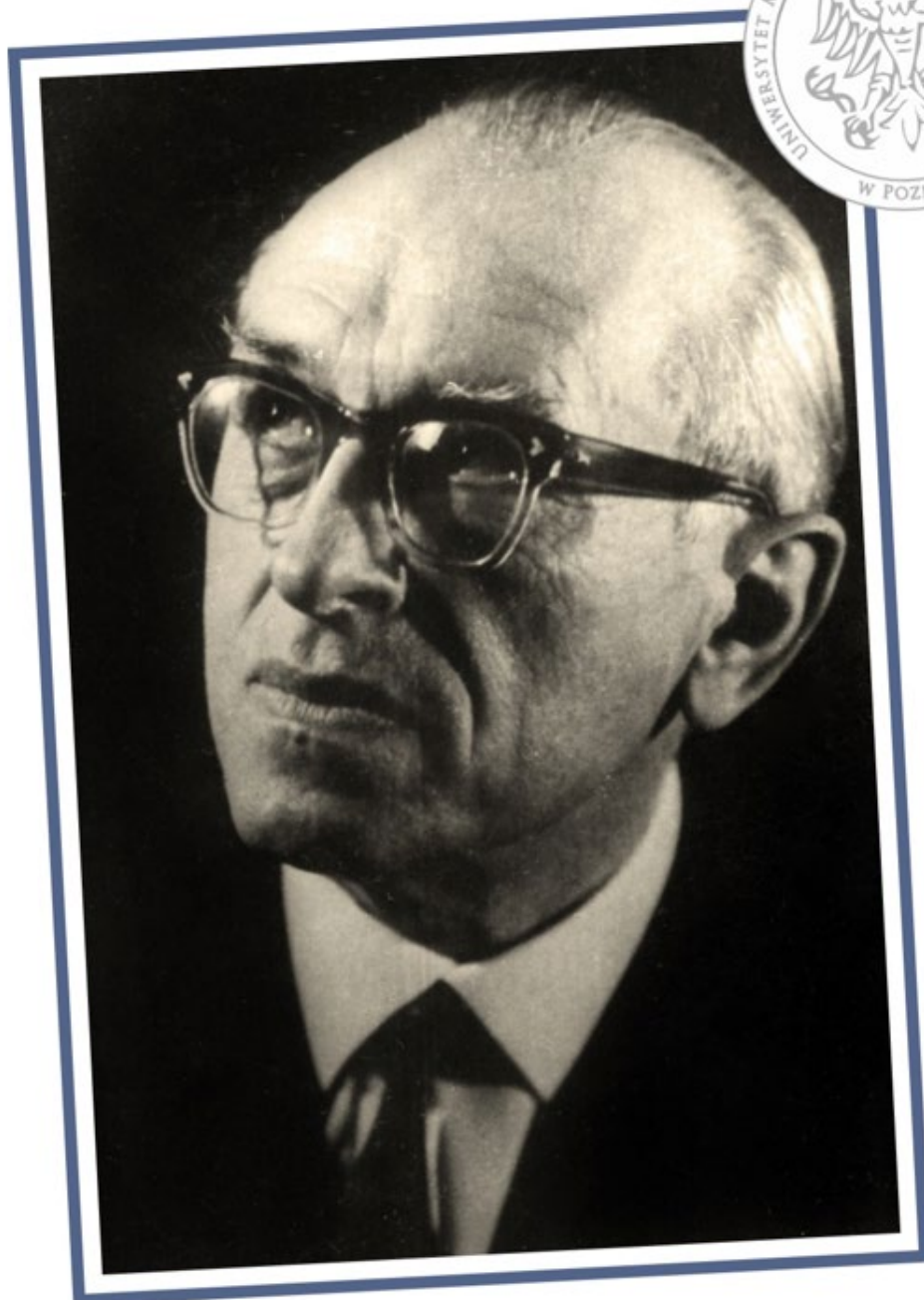
Wspomina nasz kolega Jerzy T. Marcinkowski: Wykład z neurochirurgii prowadzony przez prof. Hieronima Powiertowskiego wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Szczególnie to, iż profesor zademonstrował na przezroczach, że osoby, które mają zmasakrowaną twarzoczaszkę częściej jednak przeżywają niż osoby u których w obrębie głowy wyraźnie nie widać śladów obrażeń. Tutaj mieliśmy

pokazane zdjęcie głowy takiego pacjenta i obraz sekcyjny, kiedy to okazywało się, że miał miejsce rozległy śmiertelny uraz czaszkowo-mózgowy.

Wiktor Marian Dega (1896-1995)



Wiktor Dega podczas operacji (1975)



Wiktor Dega

– polski lekarz, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, a później AM w Poznaniu, naukowiec, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, jeden ze współzałożycieli Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego. Pierwszy Kawaler Orderu Uśmiechu – odznaczenie to odebrał 6 lutego 1969 w Poznaniu

Uczył się w Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, jednak nie ukończył tam nauki z powodu wybuchu I wojny światowej. Podczas nauki w tej placówce należał do Towarzystwa Tomasza Zana. W 1915 powołany został do armii niemieckiej, w której służył do końca I wojny światowej. Od 28 grudnia 1918 do maja 1919 uczestniczył w powstaniu wielkopolskim i z 10 p. Strz. Wlkp. brał udział w walkach o lotnisko na Ławicy, walkach pod Kcynią, Rynarzewem i nad Notecią w stopniu sierżanta. W

maju 1919 został przeniesiony do batalionu Zapasowego 68 p.p. i następnie skierowany na kurs medyczny, po którym został podporucznikiem, a w rok później porucznikiem i przydzielony w 1920 do 7 komp. Zapasowej sanitariatu.

Jeszcze podczas służby w armii niemieckiej w 1919 zdał maturę w Koblencji, a następnie rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie w Berlinie. Po opuszczeniu armii w 1920 wznowił przerwane studia na Uniwersytecie Warszawskim, a 1922 przeniósł się na Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego, na którym uzyskał tytuł doktora wszechnauk lekarskich w 1924. Po studiach specjalizował się w ortopedii i chirurgii ortopedycznej w Klinice Ortopedii Uniwersytetu Poznańskiego pod kierunkiem prof. Ireneusza Wierzejewskiego.

W latach 1925–1926 pogłębiał swoją wiedzę w zakresie ortopedii, pracując u prof. Nove-Josseranda w Lyonie oraz prof. Ombredanne’a w Paryżu.

W 1932 ponownie wyjechał za granicę, gdzie nawiązał kontakty prof. Puttim z Bolonii oraz prof. Patrikiem Haglundem ze Sztokholmu. W rok później (1933) habilitował się, pisząc rozprawę „Badania z dziedziny etiologii i patogenezy wrodzonego zwicnięcia biodra”.

Brał udział w kampanii wrześniowej. W stopniu kapitana służył w Armii Pomorze, został ranny w bitwie pod Kutnem, a 17 września 1939 wraz ze szpitalem polowym, w którym pracował, dostał się do niewoli. W kwietniu 1940 został zwolniony, po czym objął stanowisko ordynatora Oddziału Chirurgii Dziecięcej w warszawskim Szpitalu Karola i Marii. Podczas powstania warszawskiego był chirurgiem w punkcie opatrunkowym „Sano” przy ul. Lwowskiej. Po kapitulacji ewakuował się ze szpitalem Karola i Marii do Włodzimierzowa k. Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie pracował aż do wkroczenia Armii Czerwonej.

Zaraz po wojnie powrócił do Poznania, gdzie podjął nauczanie na Uniwersytecie. W grudniu 1945 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego i posadę kierownika Katedry i Kliniki Ortopedycznej. W okresie 1959–1962 był rektorem AM.

W 1960 jako jednemu ze światowych pionierów rehabilitacji udało mu się w Poznaniu utworzyć pierwszą na świecie Katedrę Medycyny Rehabilitacyjnej.

Zmarł 16 lutego 1995 roku w Poznaniu, pochowany na cmentarzu Junikowskim

https://pl.wikipedia.org/wiki/Wiktor_Dega

Witold Michałkiewicz (1914-1998)



[Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu](#)



Witold Michałkiewicz (1914-1998). Lekarz, ginekolog, rektor Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1964–1972, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

Życiorys:

Był starszym z dwóch synów Mieczysława, nauczyciela gimnazjalnego, oraz Józefy z Próchników. W 1919 przeprowadził się z rodziną do Poznania, gdzie jego ojciec objął posadę nauczyciela, a synowie zostali uczniami Gimnazjum św. Marii Magdaleny. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w 1932 rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Ukończył je w 1938, po czym został powołany do odbycia służby wojskowej w Centrum Wyszkożenia Sanitarnego. We wrześniu

1939 został przydzielony do batalionu strażniczego w Poznaniu, po wycofaniu się z miasta brał udział w bitwie nad Bzurą. Dostał się do niewoli niemieckiej. Osadzony w obozie jenieckim w Żyrardowie, uciekł w październiku 1939. Po krótkim pobycie w Poznaniu wyjechał do Krakowa, gdzie do zakończenia wojny pracował w Klinice Położnictwa i Chorób Kobietych profesora Januarego Zubrzyckiego i w Szpitalu św. Łazarza.

W marcu 1945 powrócił do Poznania. Otrzymał etat asystenta, następnie adiunkta w I Klinice Ginekologiczno-Położniczej Akademii Medycznej w Poznaniu. W 1946 uzyskał stopień doktora medycyny, a we wrześniu 1955 został powołany na stanowisko docenta, kierownika I Katedry i Kliniki Położnictwa i Chorób Kobietych. W latach 1962–1964 był prorektorem, 1964–1972 rektorem Akademii Medycznej. W 1967 uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Od 1970 do 1982 był dyrektorem Instytutu Ginekologii i Położnictwa, do 1985 kierownikiem Kliniki Ginekologii. Jego dorobek naukowy obejmuje około 300 publikacji. Był promotorem 33 prac doktorskich i opiekunem 13 habilitacji. Był członkiem korespondentem (od 1969) i członkiem rzeczywistym (od 1986) Polskiej Akademii Nauk[1], członkiem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego i Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, rad naukowych Centrum Zdrowia Dziecka, Instytutu Onkologii oraz poznańskiego Instytutu Balneoklimatycznego.

Został odznaczony między innymi krzyżami Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Medalem 10-lecia PRL. Zmarł 1 sierpnia 1998 i został pochowany w Alei Zasłużonych Cmentarza Junikowskiego w Poznaniu (AZ-2-P-6)[2].

Bibliografia:

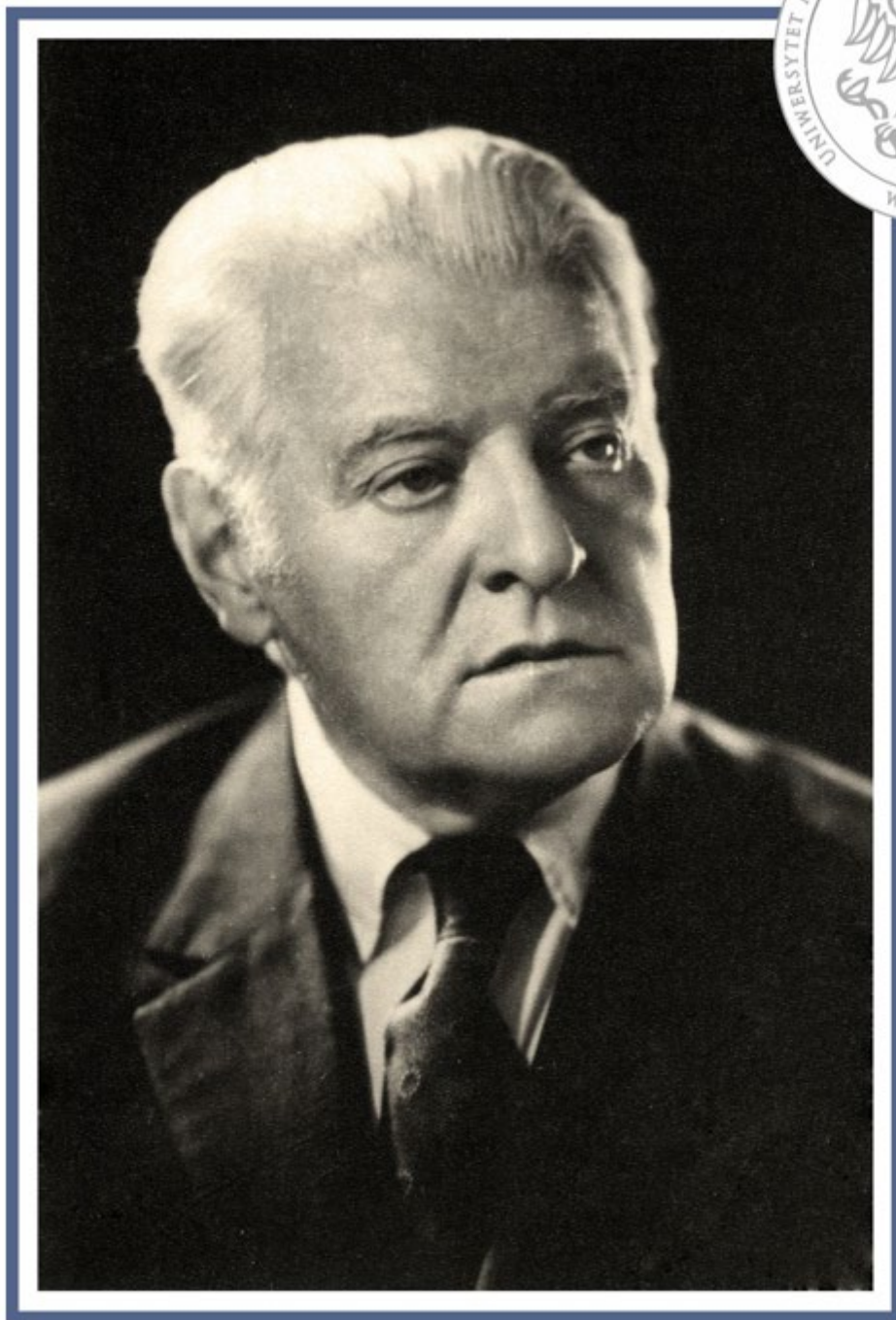
Jan Hasik: *Prof. dr med. Witold Michałkiewicz – w 80-lecie urodzin*. „Nowiny Lekarskie” Vol. 63 (1994), nr 5. ISSN 0860-7397.

Zbigniew Słomko: *Wspomnienie pośmiertne o Prof. zw. dr. med. Witoldzie Michałkiewiczu*. „Biuletyn Informacyjny AM Poznań”. Vol. 23 (1998), nr 4 (95).

za: https://pl.wikipedia.org/wiki/Witold_Micha%C5%82kiewicz

Aleksander Zakrzewski (1909-1985)





[prof. Aleksander Zakrzewski 1909-1985 zdjęcie - Wyszukaj Obrazy](#)

[Aleksander Zakrzewski - Aleksander Zakrzewski \(otorynolaryngolog\) – Wikipedia, wolna encyklopedia](#)

Życiorys:

W 1932 ukończył studia na [Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego](#), a następnie rozpoczął na tej samej uczelni studia filozoficzne, które ukończył w roku 1935^[1]. W roku 1945 przedstawił pracę habilitacyjną i został [docentem](#), w 1948 roku uzyskał [tytuł profesora](#)^[1] nadzwyczajnego, a w roku 1977 profesora zwyczajnego.

Był profesorem [Uniwersytetu Poznańskiego](#), a następnie [Akademii Medycznej w Poznaniu](#). Był autorem i współautorem ponad 200 publikacji naukowych. Żołnierz [AK](#), w czasie [powstania warszawskiego](#) organizował pomoc medyczną dla powstańców. Brał udział w tworzeniu Wydziału Lekarskiego [Uniwersytetu Ziem Zachodnich](#). Po zakończeniu II wojny światowej był głównym twórcą i kierownikiem Kliniki Otolaryngologii w Poznaniu. [Prorektor](#), a następnie [rektor](#) Akademii Medycznej w Poznaniu^[2].

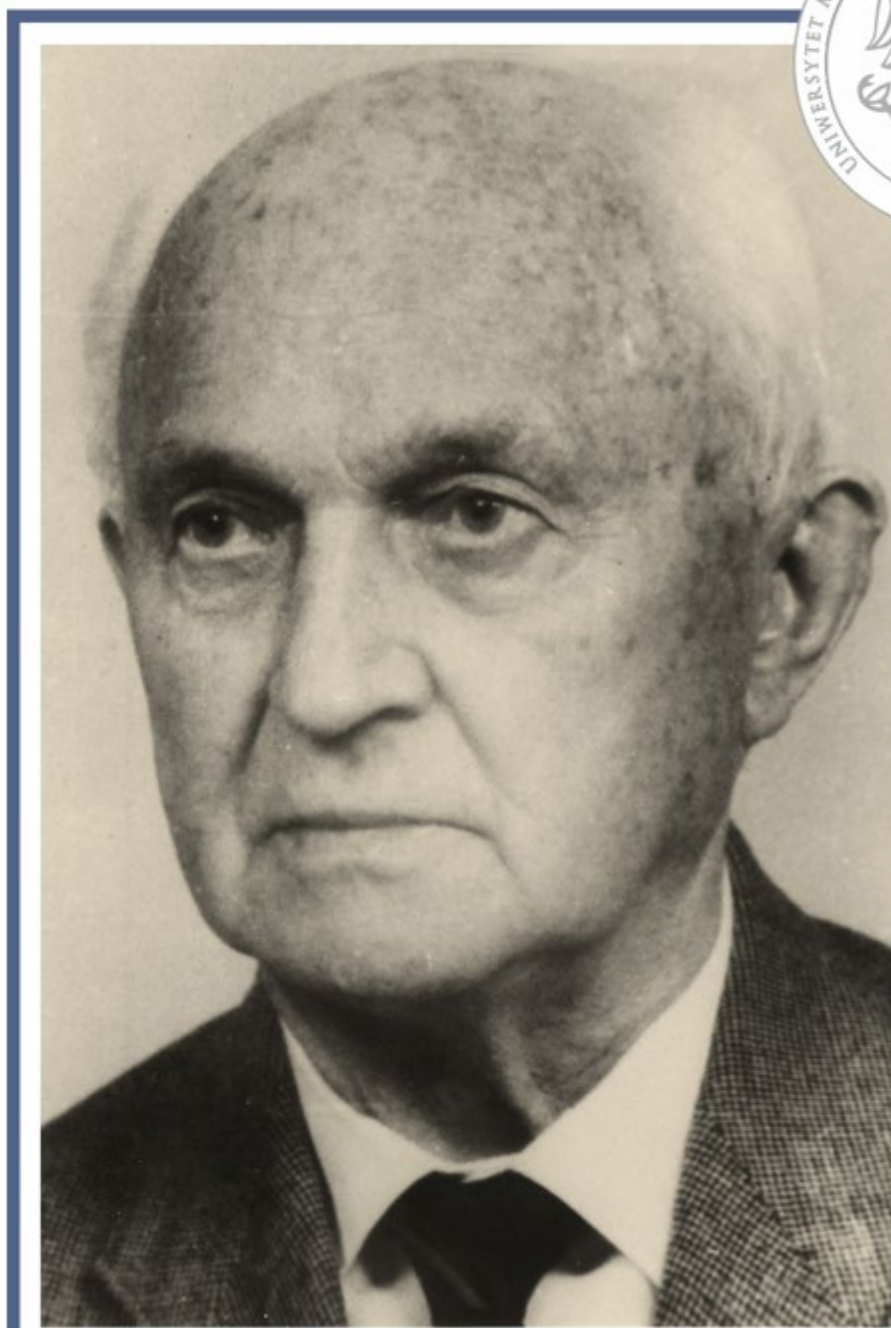
Został odznaczony [Złotym Krzyżem Zasługi](#) (1950)^[3], Krzyżem Kawalerskim [Orderu Odrodzenia Polski](#), Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski^[4].

Przypisy:

↑ [Skocz do:](#) [a](#) [b](#) [Prof. zw. dr hab. Aleksander Zakrzewski](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2016-02-28].

1. ↑ [Aleksander Zakrzewski](#). *Narodziny Nowoczesnej Otorynolaryngologii Poznańskiej. Klasycy Nauki Poznańskiej (tom 42)*. Poznań 2009. [ISBN 978-83-7654-009-2](#)
2. ↑ Postanowienie o odznaczeniu z dnia 22 lipca 1950 r. ([M.P. z 1950 r. nr 85, poz. 1021](#))
3. ↑ [Andrzej Szymański](#), *Absolwenci gminazjum i liceum ogólnokształcącego im. s. Staszica w Pleszewie - Nauce i sztuce polskiej*, Pleszew 1988, s. [6].

Edmund Jan Chróścielewski („Chróściel”) (1914–1998). Pseudonim z Powstania Warszawskiego: Heb



Edmund Chróścielewski (1914-1998) – Pseudonim z Powstania Warszawskiego:

Heb

<https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/edmund-chroscielewski,6027.html>

przez 34 lata kierownik Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu. Na podstawie jego opinii naukowej podważono fałszywą wersję UB dotyczącą śmierci najmłodszej ofiary Czerwca 1956- Romka Strzałkowskiego. Cieszył się wielkim autorytetem i

powszechnym szacunkiem. M.in. był mężem zaufania Episkopatu podczas badania ciała zamordowanego przez SB ks. Jerzego Popiełuszki.

„Edmunda Chróścielewskiego poznałam w 1943 r. w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Miał za sobą obóz koncentracyjny w Oświęcimiu, w którym przebywał przez wiele miesięcy. Podczas okupacji hitlerowskiej oboje byliśmy studentami na Wydziale Lekarskim Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, wywodzącego się z Uniwersytetu Poznańskiego. Edmund Chróścielewski był łącznikiem pomiędzy wieloma małymi grupami studentów, co było podyktowane względami bezpieczeństwa, a pełniącym obowiązki dziekana prof. Adamem Wrzosem.

Edmund Chróścielewski jako żołnierz Armii Krajowej brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po jego stłumieniu przez Niemców od października 1944 r. do wiosny 1945 r. opiekował się rannymi powstańcami pod kierunkiem doc. dr. hab. med. Jana Krotoskiego, początkowo w przystosowanej do warunków szpitalnych willi w Milanówku. W listopadzie 1944 r. znaczną liczbę rannych, głównie powstańców, przetransportowano w wagonach towarowych do Krakowa.

Zostali oni umieszczeni w budynku klasztornym przy ulicy Kopernika. Edmund Chróścielewski, podobnie jak inni studenci, pracował tam jako pielęgniarz, a przez chorych nazywany był siostrą Edzią. Jednocześnie kontynuował studia medyczne, ponieważ w tym szpitalu mieszkało kilku profesorów Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, którzy prowadzili wykłady i szkolenia praktyczne.

W maju 1945 r. Chróścielewski wraz z dużą grupą studentów znalazł się w Poznaniu i został przyjęty na V rok studiów na Wydziale Lekarskim UP. Dyplom lekarza uzyskał w 1946 r. Natychmiast po przyjeździe do Poznania włączył się w prace nad organizacją techniczną wydziału lekarskiego, usuwając szkody wojenne i przywracając do użytku pomieszczenia w zakładach naukowych. Wielką jego zasługą były prace nad uruchomieniem domów akademickich, ponieważ wielu studentów pochodziło ze spalonej Warszawy i trzeba było jak najszybciej stworzyć im warunki mieszkaniowe. Jednocześnie bardzo energicznie włączył się w reaktywowanie studenckiej organizacji Bratniej Pomocy, będąc we władzach organizacji aż do czasu jej likwidacji. Przez cały okres pracy zawodowej utrzymywał żywy kontakt z młodzieżą i przez wiele lat organizował wakacyjne obozy studenckie.

Dokonanie przeglądu działalności naukowej Edmunda Chróścielewskiego nie jest moim zdaniem. Pragnę jednak podkreślić, że podobnie jak wybitni medycy sądowi odznaczał się szeroką wiedzą dotyczącą wielu dziedzin medycyny, toksykologii i farmakologii. Niewiele już osób pamięta o jego zasługach w badaniach anatomo- i histopatologicznych płodów i noworodków, które zaowocowały unikatowym podręcznikiem 'Sekcja płodu i noworodka', przetłumaczonym na język rosyjski. Był współautorem pierwszych w Polsce opracowań zmian morfologicznych w chorobie hemolitycznej noworodków oraz uszkodzeń opon mózgu w przebiegu ciężkich porodów. Z jego doświadczenia w tej dziedzinie korzystali położnicy i neonatolodzy, czego wyrazem było jego wieloletnie uczestnictwo w zebraniach, na których omawiano każdy przypadek zgonu płodu i noworodka.

Edmund Chróścielewski to dla mnie wzór szlachetnego człowieka pełnego niespotykanej dobroci. Był on obdarzony wielką wrażliwością na ludzką krzywdę, zawsze gotów do niesienia pomocy oraz podejmowania opieki nad wszystkimi, którzy jej potrzebowali”.

prof. Halina Seyfriedowa, WIELKOPOLSKA IZBA LEKARSKA

Wspomina nasz kolega Jerzy T. Marcinkowski: Wykład prof. Edmunda Chróścielewskiego z medycyny sądowej utkwiał mi szczególnie w pamięci dlatego, że frekwencja na nim była tak liczna, że sala wykładowa dosłownie „pękała w szwach”. A chodziło o to, że był to właściwie wykład z seksuologii

okraszany bardzo pikantnymi zdjęciami, które dla profesora przygotowywał mgr Józef Strzyż. Podśmiewaliśmy się z tego, że w naszej opinii najbardziej świątobliwe koleżanki najbardziej się pchały aby zająć miejsca w pierwszych rzędach. Mój ojciec, który wówczas był docentem w tymże zakładzie medycyny sądowej, bardzo się tym denerwował mówiąc, że „dla Edka prawie cała medycyna sądowa do seksuologia”. Nie przypominam sobie, aby mój ojciec [Tadeusz Marcinkowski, późniejszy profesor medycyny sądowej] na wykładzie cokolwiek z obszaru seksuologii powiedział.

Tadeusz Marcinkowski (1917-2011). Dobrosław - Pseudonim w AK i w Powstaniu Warszawskim



Życiorys

W 1945 ukończył studia medyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a w 1952 studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1949 obronił pracę doktorską, otrzymując

doktorat, natomiast w 1974 uzyskał habilitację za pracę dotyczącą o skutkach cieplnego działania wystrzału z broni małokalibrowej na powierzchni kości. W 1979 otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego nauk medycznych^{[1][2]}.

Pracował w Zakładzie Medycyny Sądowej AM w Poznaniu (1953-1973) i w Zakładzie Medycyny Sądowej na Wydziale Lekarskim Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, gdzie był kierownikiem od 1973 r. Był recenzentem 13 prac doktorskich.

Odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, Odznaka Grunwaldzka, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej[3].

Przypisy:

1. [↑](#) [Profesor Tadeusz Marcinkowski 16.10.1917-08.11.2011](#). [www.amsik.pl](#). [dostęp 2019-02-13].
2. [↑](#) [Skocz do: a b Prof. Tadeusz Marcinkowski](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI](#) [PIB](#)) [dostęp 2019-02-13].
3. [↑](#) [Prof. dr hab. n. med. Tadeusz Marcinkowski](#). [www.pum.edu.pl](#). [dostęp 2019-02-13].

za: Wikipedia

A oto dane zamieszczone w Muzeum Postania Warszawskiego:

Tadeusz Marcinkowski: W 1926 r. przyjechał do Poznania, gdzie był uczniem Gimnazjum im Mickiewicza przy ul. Głogowskiej, następnie, od 1928 r. uczeń Gimnazjum w Szamotułach. W 1936 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Poznaniu. Członek Zrzeszenia Inteligencji Ludowej. Udział w wojnie obronnej 1939: 4 września 1939 r., po odezwie do mężczyzn wzywającej do wyjazdu ruszył do Warszawy. Dotarł do Giżyc, gdzie pracował jako sanitariusz w szpitalu polowym. Ranny w nogę. 18.09.1939 r. dostał się do niewoli. Pod koniec października zwolniony z niewoli na podstawie zaświadczenia o odroczeniu służby wojskowej. Przez Kutno wrócił do Poznania. Działalność w latach okupacji 1939-1944: W grudniu 1939 przyjechał do Warszawy - jako inwalida wojenny zastał przyjęty do Szpitala Ujazdowskiego na oddział VII-B, którego ordynatorem był płk Bętkowski. Przeszedł dwie operacje. Przeniesiony do Szpitala Św. Rocha, gdzie przeszedł trzecią operację. 2.05.1940 r. został pracownikiem - wolontariuszem Szpitala Ujazdowskiego, na oddziale wewnętrznym VI-E. po pewnym czasie został ponownie wpisany na listę chorych. 31.08.1941 r. wraz z dr Chrościckim uruchomił elektrokardiograf w Szpitalu Ujazdowskim. W okresie od października do listopada 1942 r. przebywał w szpitalu w Wyróżbach, 10.11.1942 rozpoczął kurs dla kierowników kolumn epidemiologicznych w Państwowym Zakładzie Higieny. Adres przed Powstaniem Warszawskim: Warszawa ul. Filtrowa 81. Oddział: "Bakcyl" (Sanitariat Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej) - Grupa Bojowa "Krybar" - Szpital Polowy ul. Karowa 2a. Dzielnica: Powiśle. 1.08.1944 r. jako ochotnik zgłosił się do dr Marii Szadkowskiej w Szpitalu Położniczym przy ul. Karowej 2a, w którym pełnił funkcję lekarza. 23.08.1944 r. Niemcy wyprowadzili ze szpitala wszystkich mężczyzn. Po spędzeniu nocy na pl. Piłsudskiego pozwolono im wrócić do szpitala, skąd zabrali swoje rzeczy, także leki, i przez pl. Piłsudskiego, Ogród Saski, gdzie zostali obrabowani, przez kościół św. Wojciecha przy ul. Wolskiej i Dworzec Zachodni dotarł do obozu przejściowego w Pruszkowie, gdzie został przydzielony do pracy w ambulatorium. Wkrótce z Pruszkowa wyjechał do Krakowa, następnie do Białowody koło Nowego Sącza. Losy po wojnie: 26.03.1945 wrócił do Warszawy; 31 marca zarejestrował się na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. 9 czerwca, po zdaniu odpowiednich egzaminów otrzymał dyplom lekarza. 13.07.1945 r. powołany do wojska, w którym służył do 1946 roku. W latach 1946-1949 lekarz Ubezpieczalni Społecznej w Inowrocławiu następnie ordynator

sanatoriów przeciwgruźliczych. W 1949 r. uzyskał stopień doktora na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1952 r. magister filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w latach 1953-1974 pracownik Zakładu Medycyny Sądowej AM w Poznaniu. W 1964 r. uzyskał stopień docenta w zakresie medycyny sądowej, od 1974 r. kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej PAM w Szczecinie, w 1980 uzyskał stopień profesora. Autor 250 publikacji naukowych poświęconych medycynie sądowej.

Ireneusz Mazurski. Tadeusz Marcinkowski, ps. Dobrosław (1917–2011), Wojenne losy studenta medycyny, przyszłego profesora. „Vox Medici”, s. 15-16, sierpień–wrzesień 2021. OIL Szczecin. ISSN 1426-6318

Powstańcze Biogramy, Muzeum Powstania warszawskiego:

<https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/tadeusz-marcinkowski,29826.html>

Polskie Towarzystwo Medycyny Sądowej i Kryminologii, ISSN 0324-8267312, Nr 4, 2011:

Wspomnienie pośmiertne

Profesor Tadeusz Marcinkowski 16.10.1917-08.11.2011

Wspominamy człowieka niezwykłego, niezwykle pracowitego, prawego i uczciwego, pod kierunkiem którego mieliśmy szczęście pracować od 1974 roku.

Profesor Tadeusz Marcinkowski dożył sędziwego wieku. Jego historia życia to cztery epoki naszego kraju: okres II Rzeczypospolitej, wojny, okres dominacji komunistycznej i wreszcie III Rzeczypospolitej. Tak rozległy przedział czasowy połączony był z burzliwym życiem Profesora wynikającym ze złożoności wymienionych okresów historycznych.

Profesor Tadeusz Marcinkowski urodził się w 1917 roku w Wilnie. Studia medyczne rozpoczął w 1936 roku na Uniwersytecie Poznańskim, które przerwał w dniu 1 września 1939 roku wybuch II wojny światowej. Profesor Tadeusz Marcinkowski nie pozostał bierny wobec krytycznej sytuacji historycznej i natychmiast zgłosił się do pracy jako ochotnik-sanitariusz w Szpitalu Polowym w Giżykach. Tam też wskutek ostrzału wroga został ranny i dopiero po leczeniu w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie kontynuował studia lekarskie w Tajnym Uniwersytecie. Narażając się na aresztowanie, a nawet na śmierć z rąk wroga, nie tylko kontynuował studia, ale także rozpoczął pracę dydaktyczną z młodszymi kolegami studentami, prowadząc zajęcia pod kierunkiem prof. dr. med. Teofila Kucharskiego w Szpitalu Ujazdowskim. W tym też okresie kontynuował walkę z najeźdźcą wstępując w szeregi Armii Krajowej pod pseudonimem Dobrosław. W Warszawie zaskoczyło go powstanie, w którym brał czynny udział jako lekarz, a po jego upadku przebywał w Obozie Przejściowym w Pruszkowie, gdzie również pełnił obowiązki lekarza. W okresie tym nie zaprzestał działalności konspiracyjnej pomagając w ukrywaniu wielu osób ściganych przez gestapo.

Zakończenie wojny pozwoliło na uzyskanie dyplomu lekarza w 1945 roku w Uniwersytecie Poznańskim. W pierwszym roku po uzyskaniu dyplomu pracował jako lekarz Batalionu, po czym został skierowany do Rejonowej Ubezpieczalni Społecznej w Inowrocławiu jako ordynator w Sanatorium Przeciwgruźliczym.

W 1949 roku uzyskał stopień doktora medycyny w Zakładzie Farmakologii Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierownictwem prof. Sypniewskiego.

Początkowe lata powojenne nie należały do najłatwiejszych ze względu na prześladowania żołnierzy Armii Krajowej przez Urząd Bezpieczeństwa. Profesorowi Tadeuszowi Marcinkowskiemu udało się uniknąć aresztowania i prześladowań (nie został zdekonspirowany).

W tym trudnym okresie powojennym Profesor rozpoczął dalsze studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uzyskał dyplom magistra filozofii w 1952 roku. Ten fakt wskazuje jaką miał ogromną potrzebę wiedzy, a przede wszystkim ogromną determinację w

jej zdobywaniu, co później w sposób istotny rzutowało na całe życie nie tylko Jego, ale i ludzi, którzy mieli szczęście z Nim się spotkać na drodze zawodowej i prywatnej.

Swoją przygodę z medycyną sądową rozpoczął w 1953 roku w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu, gdzie pracował do 1974 roku i w tym czasie uzyskał stopień doktora habilitowanego na podstawie rozprawy o skutkach cieplnego działania wystrzału z broni małokalibrowej na powierzchni kości. W tym okresie swoją rozległą działalność naukową w wielu dyscyplinach, nie tylko medycznych, rozszerzył na zainteresowania dydaktyczne prowadząc zajęcia z medycyny sądowej dla studentów Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i kontynuował te zajęcia przez cały ten okres czasu i nawet po odejściu na emeryturę.

Rok 1974 był punktem zwrotnym w karierze ówczesnego docenta Tadeusza Marcinkowskiego, bowiem po śmierci prof. Jana Walczyńskiego w 1974 roku objął stanowisko kierownika Zakładu Medycyny Sądowej ówczesnej Pomorskiej Akademii Medycznej, w której pracował praktycznie do śmierci, bowiem do ostatnich swoich dni zachował kontakt z Zakładem Medycyny Sądowej.

Wyliczenie prac naukowych, których twórcą był Profesor Tadeusz Marcinkowski jako autor czy też współautor, przekraczałby w znaczny sposób ramy wspomnienia. Z najważniejszych prac które zapisały się w pamięci studentów i lekarzy, to wydana w 1968 roku praca pod tytułem „Dowody rzeczowe w praktyce sądowo-lekarskiej”, w tym czasie rnież zredagował skrypty dla studentów. Monograficznie opracowane wyżej wymienione skrypty stanowiły później podstawę do wydania podręcznika pod tytułem „Medycyna Sądowa dla prawników” którego pierwsze wydanie ukazało się w 1982 roku. Podręcznik ten cieszył się ogromnym powodzeniem wśród studentów, co skutkowało jego wznowieniami z uzupełnieniami wynikającymi z postępu wiedzy w zakresie medycyny sądowej. W 1979 roku Profesor Tadeusz Marcinkowski uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Był promotorem licznych przewodów doktorskich, a także opiekunem dwóch przewodów habilitacyjnych oraz recenzentem prac doktorskich i habilitacyjnych.

Zdobył rozległą wiedzę z zakresu astronomii, fizyki teoretycznej, chemii, filozofii i historii. Tak rozległa wiedza pozwalała na interdyscyplinarne podejście do wielu zagadnień z zakresu medycyny, a w szczególności medycyny sądowej, która to specjalność właśnie w szczególny sposób wymaga sięgania do różnych źródeł wiedzy. Wpływało to również na relacje osobiste, w jakie wchodził Profesor Marcinkowski, związane z nabytą rozległą wiedzą z wielu dziedzin nauki. Często krytyczne bardzo ostrożne pojmowanie zdarzeń rzutowało na precyzyjnie wydawane opinie sądowo-lekarskie, ale nie tylko, albowiem zdobyte doświadczenie życiowe plus zdobyta wiedza tworzyły idealnego nauczyciela dla wielu pokoleń studentów i lekarzy.

Był naszym wspólnym nauczycielem, nie tylko w sprawach zawodowych, ale także często w sprawach osobistych.

Wraz z odejściem Profesora Marcinkowskiego kończy się pewna epoka, nie tylko w Zakładzie Medycyny Sądowej, ale i w polskiej medycynie sądowej. Odszedł jeden z ostatnich przedstawicieli rocznika Kolumbów 20 wieku, tj. ludzi, którzy tworzyli podwaliny polskiej medycyny sądowej, ale także wolnego kraju, w którym żyjemy.

W imieniu zespołu pracowników Zakładu Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie

Mirosław Parafiniuk, Danuta Deboa

2011 © by Polskie Towarzystwo Medycyny Sądowej i Kryminologii, ISSN 0324-826

Referat poświęcony działalności prof. dr hab. Tadeusza Marcinkowskiego w Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu.

Tadeusz Marcinkowski urodził się 16.10.1917 r. w Wilnie. Matką jego była Rozalia z domu Miakisz, a jego ojciec Stanisław Marcinkowski (1882-1939) był aptekarzem i pracował w bardzo wielu aptekach: m.in. w Berlinie (w 1912 r.), Królewcu (1913), gdzie równolegle rozpoczął, a w roku 1919 ukończył studia farmaceutyczne na tamtejszym Uniwersytecie Alberta oraz w Poznaniu, gdzie ochotniczo pełnił służbę w wojsku polskim odrodzonego Państwa Polskiego. Wcześniej brał udział w Powstaniu Wielkopolskim. Tutaj też w latach 1922-1929 Stanisław Marcinkowski był kierownikiem apteki Kasy Chorych przy ul. Prusa 19 w Poznaniu, aż do czasu jej likwidacji, po czym utworzył w końcu własną aptekę w Warlubiu na Pomorzu, lecz z nadejściem wojny w roku 1939 został aresztowany przez hitlerowców i najprawdopodobniej po wielu cierpieniach zgładzony podczas jednej z masowych egzekucji w Borach Tucholskich.

Tadeusz Marcinkowski dzieciństwo spędził we wsi Chodziuki w pobliżu rzeki Dzitwy, prawobrzeżnego dopływu Niemna. Swoje dzieciństwo tam spędzone wspomina bardzo ciepło i z nostalgią, często posługując się w opisie swego kraju rodzinnego słowami swego ulubionego poety i narodowego wieszcza Adama Mickiewicza z jego utworu „Pana Tadeusza”.

Tadeusz Marcinkowski uczęszczał do Państwowego Gimnazjum Humanistycznego im. Piotra Skargi w grodzie Halszki Ostrońskiej w Szamotułach, które to Gimnazjum, a przede wszystkim jego grono pedagogiczne upodobał sobie w sposób szczególny, jako że to tutaj w jego niezaspokojonym pędzie do pogłębiania wiedzy pomogło mu wielu doskonałych, wysoko wykwalifikowanych nauczycieli, którzy swoich podopiecznych wychowywali w przepojonym patriotyzmem duchu niezwykłego poszanowania dla nauki i otaczającego świata. W okresie gimnazjalnym Tadeusz Marcinkowski należał do Związku Harcerstwa Polskiego w Drużynie imienia Bolesława Chrobrego w Szamotułach, gdzie młodzież wspólnie nabywała dodatkowe umiejętności, organizowała wycieczki krajoznawcze i kształciła swą postawę patriotyczną w taki sposób, że – jak wspomina Tadeusz Marcinkowski – gdy śpiewali: „Wszystko, co nasze, Ojczyźnie oddamy...”, to rzeczywiście tak myśleli. Dowiodła tego później chociażby działalność Szarych Szeregów..., a i sam Tadeusz Marcinkowski w okresie okupacji nie raz wykazał się jako lekarz bohaterską postawą podczas m.in. kampanii wrześniowej, a następnie działalności konspiracyjnej w AK i w tajnym nauczaniu oraz w Powstaniu Warszawskim.

W roku 1936 Tadeusz Marcinkowski zdał egzamin na pierwszy rok Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego w Poznaniu. Studenci tego rocznika jako pierwsi odbywali zajęcia z anatomii w nowoutworzonym Collegium Anatomicum przy ul. Świącickiego 6, który zresztą – wraz z poznańskim Zakładem Medycyny Sądowej – funkcjonuje w tym miejscu do dnia dzisiejszego. Wśród znamienitych wykładowców znalazł się m.in. doc. Tadeusz Tucholski, który w tym czasie, aż do wybuchu wojny w 1939 roku współpracował z prof. Stefanem Horoszkiewiczem, ówczesnym kierownikiem Katedry Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Poznańskiego w latach 1921-1939, któremu pomagał m.in. przy organizacji i kierowaniu w tym zakładzie pracownią chemiczno-toksykologiczną. Doc. Tucholski wkrótce miał zginąć w Katyniu... W tym miejscu na marginesie można wspomnieć, że prof. Sergiusz-Schilling-Siengalewicz, kolejny po prof. Stefanie Horoszkiewicz, kierownik poznańskiego Zakładu Medycyny Sądowej w latach 1946-1951 został po wojnie wraz ze słynnym krakowskim prof. Janem Olbrychtem poproszony o wydanie opinii, czy tezy zawarte w niemieckim dokumencie „Amtliches Material zum Massenmord von Katyn” wytrzymują krytykę z punktu widzenia nauki, a w szczególności m.in. z zakresu medycyny sądowej, antropologii, archeologii i kryminalistyki. Należy również dodać, że jego następca prof. Edmund Chróścielewski, kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu w latach 1951-1985 był gorącym orędownikiem wyjaśnienia, udokumentowania i podania do publicznej wiadomości okoliczności

śmierci polskich oficerów w obozach jenieckich na terenie byłego Związku Radzieckiego. Nie szczędząc trudu kompletował listy żołnierzy tam poległych i publikował je. Tadeusz Marcinkowski pierwszy raz spotkał się z Edmundem Chrościelewskim (swoim późniejszym przełożonym) w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, gdzie obydwoj w czasie wojny studiowali na zorganizowanym tam Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, o czym będzie jeszcze mowa.

Wracając do okresu przedwojennego, Tadeusz Marcinkowski na III roku swych poznańskich studiów uczestniczył w zajęciach mikrobiologii, prowadzonych dr Franciszka Witaszka, który swe późniejsze wybitne zasługi na polu walki z niemieckim okupantem, również okupił męczeńską śmierciąadaną w osławionym Forcie VII. Mianowicie przy wykorzystaniu swej wiedzy naukowej prowadził on bezprecedensową walkę epidemiologiczną w okręgu poznańskim w ramach utworzonej przez siebie specjalnej komórki Armii Krajowej. Wraz z nim śmierć ponieśli jego współpracownicy, m.in. Helena „Lusia” Siekierska. Ich zgilotynowane głowy zostały przekazane *nomen omen* do poznańskiego zakładu medycyny sądowej, którym zarządzał wówczas okupant, lecz przetrwały dzięki staraniom zatrudnionych tu polskich laborantów i po wojnie spoczęły na poznańskiej cytadeli. Laboranci ci: Andrzej Szymański i Michał Woroch, pracowali tutaj jeszcze długo po wojnie i współpracę z nimi w trakcie swe bytności w poznańskim Zakładzie Medycyny Sądowej Tadeusz Marcinkowski pamięta do dziś, tak jak i samego dra Witaszka, kiedy miał możliwość uczestniczenia w jego zajęciach.

Tadeusz Marcinkowski, w trakcie swoich studiów w Poznaniu wstąpił do Wielkopolskiego Związku Młodzieży Wiejskiej z siedzibą w lokalu Stronnictwa Ludowego przy ul. Ratajczaka, a niebawem został wybrany do Zarządu tej organizacji. W spotkaniach Związku nierzadko uczestniczył Stanisław Mikołajczyk.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej Tadeusz Marcinkowski ochotniczo podjął się uczestniczenia w zajęciach wojskowych w ramach Legii Akademickiej, co aktywnie wypełniało czas wakacyjny i wiązało się z możliwością wyjazdu w inną część kraju, dzięki czemu mógł odwiedzić m.in. Kraków, Lwów, a przede wszystkim swoje rodzinne strony w tym Wilno.

Podczas ataku hitlerowskich Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 roku Tadeusz Marcinkowski przebywał w Poznaniu, gdzie od początku starał się uczestniczyć w czynnościach obronnych, m.in. kopiąc rowy przeciwpancerne na ławicy. Wkrótce chcąc wypełnić treść obwieszczonego nakazu mobilizacyjnego dla mężczyzn zdolnych do służby wojskowej, udał się pociągiem w kierunku Warszawy, lecz podróż w wyniku działań wojennych utknęła pod Gnieznem, więc zdecydował się na jej kontynuowanie piechotą. Po kilkudniowej wędrówce dotarł do jednostki wojskowej Giżycach, a tam skierowano go do szpitala polowego w charakterze sanitariusza. Cała ta okolica znalazła się w rejonie walk objętego największą w kampanii wrześniowej bitwą nad Bzurą. Warunki pracy były tam bardzo ciężkie i zawierało się w nich całe okropieństwo wojny. Tam Tadeusz Marcinkowski podczas opatrywania rannych został ranny w stopę w trakcie jednego z ostrzałów artyleryjskich, a wkrótce dostał się do niewoli i trafił do Żychlina, skąd po kilku tygodniach, i po nieudanym zabiegu wyjęcia odłamka został zwolniony, uchodząc za cywila na podstawie przedłożonego zaświadczenia o odroczeniu służby wojskowej. W ten sposób udało mu się wrócić do Poznania. Wkrótce jednak wyruszył do Warszawy, a tam udał się do Szpitala Ujazdowskiego z powodu wciąż tkwiącego odłamka w lewej stopie. Przebył tu aż dwa kolejne nieudane zabiegi usunięcia odłamka, co udało się zrobić dopiero za trzecim razem w Szpitalu Św. Rocha. Po jakimś czasie powrócił do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie nie bez problemów i po trosze dzięki znajomościom wyniesionym z Poznania w trakcie praktyk studenckich m.in. w tamtejszym Szpitalu Wojskowym udało mu się w końcu zatrudnić w charakterze pracownika-wolontariusza, występując równocześnie w roli rekonwalescenta- inwalidy wojennego po przebytych operacjach. Po jakimś czasie już jako „pełnowartościowy” pracownik zaczął otrzymywać z tego tytułu wynagrodzenie, dzięki czemu mógł stale powiększać swój fachowy księgozbiór. Wkrótce,

w uznaniu zasług za trud włożony uruchomienie elektrokardiografu i jego obsługę, pozwolono mu zamieszkać w jednym z pomieszczeń, przeznaczonym od tej chwili na pracownię kardiologiczną.

W Szpitalu Ujazdowskim Tadeusz Marcinkowski pracowicie spędził niemal całą okupację, aż do Powstania Warszawskiego. Praca w Szpitalu Ujazdowskim w tamtych trudnych czasach stała się dla Tadeusza Marcinkowskiego szczególnym błogostawieństwem, gdyż oprócz tego, że zapewniła mu byt i schronienie, to bezpośrednio wiązała się z obranym kierunkiem przez niego kierunkiem studiów, umożliwiając nabycie bogatego i wszechstronnego doświadczenia zawodowego, gdyż z czasem zajmował coraz bardziej odpowiedzialne funkcje w procesie leczenia pacjentów, dokonując również wiele zabiegów o wysokim stopniu trudności. Co więcej – w Szpitalu Ujazdowskim Tadeusz Marcinkowski mógł kontynuować, przerwane wojną na trzecim roku w Poznaniu, studia medyczne w ramach zorganizowanego tam Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich (TUZZ), który to Uniwersytet dzięki poświęceniu swej wysoko wykwalifikowanej kadry wykładowców oraz dobrej organizacji i solidarnej współpracy w warunkach konspiracyjnych, i przy umiejętnym wykorzystaniu sprzyjających warunków, zdołał zapewnić swym studentom wysoki poziom kształcenia. Wydział Lekarski TUZZ rozpoczął swą działalność roku akademickim 1942/1943 zainicjowany w 1940 r. przez tzw. Komitet Pięciu, w skład którego weszli: ks. dr Maksymilian Rode, prof. dr. Roman Pollak, prof. dr Ludwik Jaxa-Bykowski, doc. dr Władysław Kowalenko (wszyscy z Poznania) oraz dr Witold Sawicki z Uniwersytetu Warszawskiego. Prof. Jaxa-Bykowski Tadeusz Marcinkowski miał okazję spotkać jeszcze w Gimnazjum Szamotulskim, gdy ten przeprowadzał tam badania psychologiczne. Później już w czasie studiów odkrył w swoich dokumentach adnotację prof. Jaxa-Bykowski, który uznał go młodego Tadeusza Marcinkowskiego „wybitnie uzdolnionego”, co decyzją ministerstwa oświaty wystarczyło, żeby być zwolnionym z egzaminu na wszelkie uczelnie wyższe.

Przed wybuchem powstania warszawskiego na TUZZ było czynnych 95 wykładowców, w tym 18 z Uniwersytetu Poznańskiego. Realizowano prawie niezmienny przedwojenny program studiów. W wyniku nadspodziewanej frekwencji słuchaczy – nawet było to 500 osób, wykładali oni nawet po 8 godzin dziennie. Wykłady odbywały się na tajnych kompletach w prywatnych mieszkaniach zaufanych osób. Ćwiczenia z prosektorium były płatne, odbywały się w różnych Szpitalach i trudno było na nich pomieścić wszystkich zainteresowanych, których liczba sięgała 500 osób.

Równoległe z TUZZ konspiracyjnego kształcenia podjął się również Tajny Uniwersytet Warszawski oraz funkcjonująca w jego ramach oficjalnie zalegalizowana przez władze okupacyjne „Prywatna Szkoła Zawodowa dla pomocniczego Personelu Sanitarnego Jana Zaorskiego”, która kształciła przyszłych lekarzy, oficjalnie istniejąc jako szkoła zawodowa, lecz z czasem potajemnie rozwinęła swój program nauczania starając się w toku 12-miesięcznego kursu, przekazać wiedzę zawierającą 2 lata studiów. Podczas jednego ze wspólnych zajęć z byłymi „zaorszczakami” Tadeusz Marcinkowski poznał Marię Aleksandrę z d. Rzewuską, z którą 10 kwietnia 1944 r. wziął ślub.

W Szpitalu Ujazdowskim Tadeusz Marcinkowski został w październiku 1942 r. także wcielony w szeregi Armii Krajowej, przybierając imię „Dobrosław”. Przysięgę wojskową odebrał od niego dr Cyprian Sadowski, przydzielając go do swojej komórki organizacyjnej o nazwie „Rola”. Od tej pory Tadeusz „Dobrosław” Marcinkowski miał stale w pogotowiu podręczną apteczkę z materiałami opatrunkowymi i lekami potrzebnymi do udzielenia pierwszej pomocy. Sam Cyprian Sadowski w swoim powojennym zeznaniu dla ZbWiD-u z roku 1981 dot. działalności Tadeusza Marcinkowskiego w AK przedstawił go jako lekarza do zadań specjalnych, wykazującego się odwagą i bezgranicznym poświęceniem, do którego obowiązków poza udzielaniem pomocy i opiekowaniem się rannymi żołnierzami AK (m.in. w tajnych lokalach na ul. Szustra i na Nowym Świecie) należało też dostarczanie do macierzystej Komórki poczty i pieniędzy z Komendy Głównej AK, a w czasie Powstania Warszawskiego Tadeusz Marcinkowski pracował na punkcie opatrunkowym w Śródmieściu.

Powstanie Warszawskie zastało go w Klinice Położniczej na ul. Karowej, gdzie od tej pory pełnił swój powstańczy „dyżur”. Pod koniec walk Tadeusz Marcinkowski wraz z żoną i pozostałym personelem został internowany przez Niemców i po wielu przystankach w różnych miejscach zbornych na przestrzeni kilku dni dostali się do obozu w Pruszkowie, gdzie Tadeuszowi Marcinkowskiemu zwyczajowo powierzono obowiązki jednego z lekarzy obozowych. W obozie pruszkowskim Tadeusz Marcinkowski zaczął uprawiać proceder polegający na tym, iż w przypadkach, gdzie było to konieczne, diagnozował u pewnych pacjentów określone choroby, pouczając ich przy tym jak mają symulować ich objawy przed lekarzem niemieckim, i w ten sposób, zadbawszy także o całą procedurę administracyjną, doprowadził do bardzo wielu skutecznych ucieczek, zwolnień z obozu osób, którym groziło prześladowanie za powstańczą przeszłość.

Po jakimś czasie dzięki pomocy szkolnego kolegi Tadeusz Marcinkowski wraz z żoną uzyskał przepustkę na odwiedzenie go w Nowym Sączu, gdzie doczekali wyzwolenia, po czym 6 lutego 1945 dopełnił obowiązku rejestracji wojskowej, a 8 marca urodziła się ich córka Ewa. 25 marca w Krakowie odwiedził tymczasowe miejsce pobytu ewakuowanego tam Szpitala Ujazdowskiego, a 31 marca 1945 dotarł do Poznania, gdzie zarejestrował siebie i żonę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Natomiast 11 kwietnia 1945 r. otrzymał tymczasowe prawo praktyki lekarskiej, zarejestrował się w Izbie Lekarskiej oraz w Wydziale Zdrowia Zarządu Miejskiego, gdzie skierowano go do pracy w Ubezpieczalni. Po kilku dniach była już przy nim żona i parotygodniowa córka.

Na uniwersytecie urzędująca wówczas komisja, złożona z prof. Stefana Różyckiego i prof. Tadeusza Kurkiewicza, zobowiązała Tadeusza Marcinkowskiego do zdawania wielu przedmiotów, co też uczynił, zdając odpowiednio: położnictwo u prof. Kowalskiego, pediatrię u prof. Karola Jonschera, chirurgię u prof. Kazimierza Nowakowskiego oraz Medycynę Sądową u dr Stanisława Łaguny, który był krótkotrwale był pierwszym powojennym kierownikiem Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu, zanim objął to stanowisko prof. Sergiusz Schilling-Siengalewicz (w latach 1946-1951), a po nim kolega Tadeusza Marcinkowskiego z tajnych kompletów w Warszawie Edmund Chróścielewski (w latach 1951-1983) i wreszcie prof. Zygmunt Przybylski (w latach 1984 do chwili obecnej).

Po tych egzaminach końcowych w dniu 9 czerwca 1945 r. Tadeusz Marcinkowski otrzymał upragniony dyplom ukończenia studiów medycznych w postaci „zaświadczenia dyplomowego” (właściwy dyplom otrzymał dopiero kilka lat później).

Pod koniec wojny Tadeusz Marcinkowski został powołany do wojska polskiego w 37 batalionie saperów w II brygadzie sapersko-inżynieryjnej. Stacjonowała ona wówczas w Tarnowie, i zamieszkiwał on wtenczas w mieszkaniu prywatnym, gdzie otrzymał kwaterunek, i skąd codziennie udawał się do szpitala wojskowego. Po jakimś czasie znalazł się wraz ze swoim batalionem w miejscowości Brzostek za Pilznem. Do jego czynności należało m.in. transport wozem konnym rannych żołnierzy saperów do szpitala w Tarnowie – po uprzednim zaopatrzeniu ich na miejscu. Ponieważ zadania batalionu związane były z rozminowywaniem coraz rozleglejszego terenu, po jakimś czasie przeniósł się on do miejscowości Siedliska Bogusz. Po kilku z kolei miesiącach batalion ów przez Bochnię, Kraków, Mysłowice dotarł do Strzelina, na południe od Wrocławia. Tutaj również właściwych żołnierzy kwaterowano w mieszkaniu prywatnym. T. Marcinkowski poza badaniem żołnierzy i prowadzeniu dla nich pogadań na temat zdrowia zajmował się tu też pobieraniem próbek wojskowej kuchni do ewentualnych analiz. Oczywiście najbardziej odpowiedzialnym i głównym jego zajęciem było nadal opatrywanie rannych, ich transport do szpitala we Wrocławiu, a także asystowanie przy operacji.

Z nastaniem zimy batalion przy pomocy transportu kolejowego, w towarowych wagonach, przedostał się daleką i okrężną drogą do Poznania.

W Poznaniu Tadeusz Marcinkowski szybko się zorientował, że – z uwagi na to, iż były tu kliniki i zakłady naukowe – w wojsku nie prędko zrealizuje w pełni swoje zawodowe plany, toteż rozpoczął właściwe starania o zwolnienie ze służby wojskowej, co wcale nie przychodziło łatwo, i wiązało się z częstymi wizytami w Głównej Komisji Lekarskiej w Warszawie, która zresztą chętniej zwalniała oficerów od stopnia pułkownika wzwyż. Po jakimś czasie jednak T. Marcinkowski awansowany ze stopnia podporucznika do porucznika został skierowany do sanatorium pod nazwą „Odrodzenie” w Zakopanem. Wkrótce w miejscowości tej na pewien czas zatrudnienie znalazła Jego żona Maria (również lekarz) – z którą zawarł ślub w Warszawie, na krótko przed Powstaniem Warszawskim – pozostawiając ich niedawno urodzoną córeczką Ewę (dziś emerytowanego lekarza pulmonologa) w Poznaniu, pod opieką jego matki.

Po kolejnej wizycie przed Główną Komisją Lekarską, doczekał się w końcu zwolnienia ze służby wojskowej. Następnie wraz z małżonką zatrudnili się najpierw w Szpitalu Powiatowym w Żninie, potem w prowadzonym przez siostry zakonne Szpitalu Powiatowym w Kościanie, a następnie w Pakości pod Inowrocławiem. W Pakości Tadeusz Marcinkowski chwalił sobie warunki do wielorakiej praktyki lekarskiej, przy czym często, we dnie i w nocy wzywano go do chorych. Najczęściej były to przypadki poporodowe wymagające ręcznego odklejenia łożyska, czy szycia krocza, niejednokrotnie w ciężkich warunkach, i zabiegi te nigdy nie skończyły się powikłaniem. Niekiedy trzeba było np. likwidować odmę płucną. Sprostać też musiał zabiegom *stricte* dentystycznym jak wrywanie zębów i korzeni. Leczył tam też chorych na kiłę (syfilis). Jednocześnie był zatrudniony w tym samym czasie, aż w dwóch ubezpieczalniach społecznych: bydgoskiej i inowrocławskiej oraz opiekował się pracownikami Cukrowni w Janikowie. W tym okresie jego żona odbywała staż lekarski w Szpitalu im. Kopernika w Toruniu. Po jakimś czasie jednak Tadeusz Marcinkowski przeniósł się tym razem do Sanatorium w Andrychowie, otrzymując tam etat ordynatora w ramach współpracy z Ubezpieczalnią Społeczną w Bielsku-Białej. Tak więc drugie dziecko z małżeństwa Marcinkowskich – syn Jerzy Tadeusz (obecnie profesor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu) urodził się w Wadowicach, a ponieważ stało się to akurat w dzień świąteczny (1 maja), to poród syna – tak jak i zresztą wcześniej również córki – odebrał w Szpitalu osobiście. Poza zwyczajnymi zajęciami T. Marcinkowski dozorował opiekę nad młodymi pensjonariuszami prewentorium dla dzieci w Kętach, gdzie przede wszystkim zwracał uwagę na ewentualne nosicielstwo płonicy (szkarlatyny) i zapobieganie tej chorobie. Po około trzech latach objął stanowisko ordynatora w sanatorium dla dzieci w Jaworzu koło Bielska Białej. W sanatorium tym dokonywał też na swych podopiecznych drobniejszych zabiegów. Z Jaworza dojeżdżał do Krakowa, gdzie w Zakładzie Farmakologii prof. Janusza Supniewskiego i pod jego kierunkiem opracował swoją pracę doktorską pod tytułem: „Własności farmakologiczne chlorowodorku ?-dwufenylo-?-N-piperydylo- butylonitrylu”. Prace tą opublikowano w 1948 r. w wydawnictwie Polskiej Akademii Umiejętności. Dodatkowo prowadził tu badanie nad preparatem zsyntetyzowanym przez prof. Supniewskiego: „Tiosemikarbazon para-dwu-metyloaminobenzylowy”. Pobyt w Krakowie zaowocował też ukończeniem w roku 1951 przez Tadeusza Marcinkowskiego pracy magisterskiej na tamtejszym wydziale Matematyczno-Przyrodniczym pod kierunkiem prof. Franciszka Górskiego w Zakładzie Fizjologii Roślin. Jej tytuł brzmi: „Przyczynek do badań nad działaniem moczu kobiet ciężarnych na kiełkujące rośliny” i autor własnym staraniem opublikował ją po 43 latach w 1994 r.

Po jakimś czasie doktor Tadeusz Marcinkowski został przeniesiony wraz z rodziną najpierw do Ambulatorium Kopalni „Silesia” w miejscowości Czechowice-Dziedzice, a następnie jako lekarz pediatra do Zielonej Góry, gdzie sprawował kolejno funkcje: lekarza w poradniach D1 i D2, kierownika Kolumn Szczepień BCG, kierownika Oddziału Chorób Płuc dla Dzieci Szpitala Wojewódzkiego. Zorganizował też Przychodnię Radiologiczną dla Dzieci i prowadził audycje radiową na temat zdrowia w tamtejszym radiowęźle.

Po tym jak minął okres nakazu pracy dr T. Marcinkowski zdecydował się zatrudnić w Zakładzie Medycyny Sądowej AM w Poznaniu. Pracę znalazła też jego małżonka jako pediatra otrzymując rozległy teren lekarski. W okresie tym dr Marcinkowski rozpoczął udział w pierwszych zjazdach naukowych, krajowych i zagranicznych, np. w Berlinie, Dreźnie, Lipsku, Rostocku. To właśnie w poznańskim Zakładzie Medycyny Sądowej dr Tadeusz Marcinkowski napisał swoją rozprawę habilitacyjną: „Cechy strzałów z pobliza – na powierzchni kości – z broni sportowej małokalibrowej”, uzyskując w roku 1964 tytuł docenta. Recenzentami tej pracy byli: prof. Bronisław Puchowski i prof. Jan Walczyński.

W okresie, kiedy docent Tadeusz Marcinkowski pracował w Poznaniu, ukazały się jego trzy podręczniki:

1. „Dowody rzeczowe w praktyce sądowo-lekarskiej: ślady krwi”.

„Medycyna Sądowa dla prawników” (ukazały się cztery wydania). Pozycja ta została skierowana do prawników, gdyż jej autor przez szereg lat miał zajęcia dydaktyczne (i egzaminy) dla studentów Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dokąd dojeżdżał z Poznania a później ze Szczecina.

„Badania serologiczne w dochodzeniu ojcostwa” (ukazały się dwa wydania).

Ponadto opublikowano i inne Jego prace.

W okresie kiedy dr Tadeusz Marcinkowski wstąpił w szeregi pracowników Zakład zwyczajowo zajmował się nadal problematyką: tanatologii sądowo-lekarskiej, walki z umieralnością okołoporodową, zatruc grzybami, metodyki badań chemiczno-toksykologicznych, zwłaszcza wykrywania alkaloidów, serohematologii sądowo-lekarskiej. Szczególnym przedmiotem zainteresowania pracowników Zakładu i jego ówczesnego kierownika Edmunda Chróścielewskiego stały się zagadnienia wypadkowości drogowej. W okresie od 1952 r. 5 osób uzyskało w Zakładzie Medycyny Sądowej stopień doktora, a obok dra T. Marcinkowskiego (w roku 1964) habilitowały się jeszcze Halina Seyfriedowa, Stefan Raszeja uzyskując przy tym stopnie naukowe docenta.

W roku 1957 w Zakładzie zorganizowano Krajową Radę Roboczą, poświęconą urazowości wśród dzieci, przy czym dominował tam aspekt profilaktyczny.

W Poznańskim Zakładzie w owym czasie zajmowano się też zagadnieniem patomorfogenezy niedodmy płuc u noworodków, co zaowocowało to m.in. napisanym przez E. Chróścielewskiego i H. Seyfriedową podręcznikiem sekcji zwłok płodu i noworodka, który ukazał się w dwu wydaniach w języku polskim (1954 i 1956), w którym podano własne spostrzeżenia nad zależnością między wyglądem błon szklistych a długością życia dziecka po urodzeniu. Stosunkowo liczne w owym czasie sekcje zwłok płodów i noworodków umożliwiły T. Marcinkowskiemu ukończenie w roku 1958 pracy na temat zmian morfologicznych w ośrodkowym układzie nerwowym płodów i noworodków w zespole niedodmowym. Wykazał on w niej m.in., że zmiany w warstwie ziarnistej mózdzku mogą pomóc w rozpoznawaniu śmierci wskutek niedotlenienia.

W Zakładzie Medycyny Sądowej w Poznaniu po raz pierwszy w Polsce wprowadzono do rutynowych badań na zawartość alkoholu etylowego w płynach ustrojowych metodę enzymatyczną (ADH), opracowaną w 1951 r. w Niemczech i w Szwecji, a zarazem dołożono starań do spopularyzowania tego sposobu analizy nie tylko w naszym kraju, ale i w Czechosłowacji (J. Pfeiffer, 1958, 1961). Posługując się tą metodą wykonano szereg prac eksperymentalnych, m.in. nad jej przydatnością w ocenie źródeł błędów w badaniach sądowo-lekarskich (J. Pfeiffer, 1963), przenikaniem płynów

konserwujących przez ścianę pęcherza moczowego (T. Marcinkowski i J. Pfeiffer, 1962) oraz przemianą alkoholu etylowego.

Jednym z problemów, któremu poświęcono nieco więcej uwagi, było zagadnienie ubocznego działania antybiotyków. Na ten temat napisano kilka doniesień w językach: polskim, francuskim, czeskim i niemieckim oraz dość obszerną monografię pt.: „Śmiertelne powikłania po zastosowaniu antybiotyków” (E. Chróścielewski i T. Marcinkowski), która ukazała się w dwu wydaniach w 1964 i 1966 r. Podkreślano w niej potrzebę i celowość zapobiegania tym groźnym powikłaniom. Wspólnie z K. Gniewkowską T. Marcinkowski wykazał, że dodatnia próba penicylinowa u dzieci wypada znacznie częściej w następstwie uprzedniej hydrolizy penicyliny (1964).

Oprócz tego docent T. Marcinkowski opracował praktyczną modyfikację próby Lattes’a oraz wykazał, że zagęszczenie rozcieńczonych roztworów krwi za pomocą bibuły może okazać się bardzo przydatne, gdyż przy wykrywaniu obecności barwnika krwi metoda ta swą czułością dorównuje metodzie spektograficznej, a nawet ją przewyższa (1958-1959). Stwierdził on ponadto, że posłużenie się bibułą umożliwia uzyskanie przeźroczystych roztworów do próby perecypitacyjnej Uhlenhutha z roztworów mętnych, z których nie można tego zmętnienia usunąć przez wirowanie lub innymi sposobami (1960). Docent Tadeusz Marcinkowski opracował również m.in. sposób wykrywania antygenów grupowych w śladach krwi za pomocą połączonych i zmodyfikowanych metod absorpcji, elucji aglutynin i potrójnie wiążącej aglutynacji (1965), ułatwiający badanie dowodów rzeczowych.

W roku 1968 ukazała się jego obszerna monografia na temat badania śladów krwi na dowodach rzeczowych, oparta o najnowsze zdobycze serohematologii sądowo-lekarskiej, o których wiadomości rozproszone są w różnorodnym piśmiennictwie. Z pracowni serologicznej Zakładu wyszło też szereg prac dotyczących genetyki populacyjnej, częstości wykluczeń ojcostwa w różnych układach i innych. Niemalym usprawnieniem badania śladów nasienia jest wykrywanie kwaśnej fosfatazy po uprzednim dokonaniu elektroforezy w żelu skrobiowym. Temat ten był przedmiotem pracy doktorskiej Z. Przybylskiego (1967) pt. „Zastosowanie elektroforezy w żelu skrobiowym w wykrywania kwaśnej fosfatazy w sądowo-lekarskich badaniach śladów nasienia”.

Problem uszkodzeń postrzałowych był kolejnym tematem kilku prac T. Marcinkowskiego, a m.in. również i jego pracy habilitacyjnej, dotyczącej zmian spostrzeganych w kościach po wystrzałach broni sportowej małokalibrowej. Wykazał on, że dużą rolę odgrywa tu działanie termiczne. Dzięki temu możliwa jest w pewnym zakresie ocena odległości strzału, nawet wtedy, gdy dysponujemy tylko samym materiałem kostnym lub jego fragmentami. Z tym to działaniem termicznym związane jest w dużej mierze zjawisko zniekształcenia się pocisków, co wykazał Tadeusz Marcinkowski w roku 1964 oraz wspólnie z Zygmuntem Przybylskim w roku 1967.

Dokładne oznaczenie czasu śmierci jest jednym z czołowych zagadnień tanatologii sądowo-lekarskiej. W pierwszym okresie po zgonie możliwe to jest m.in. dzięki badaniu pobudliwości mięśniowej na bodźce elektryczne. Dr Tadeusz Marcinkowski jeszcze w roku 1960 skonstruował taki przyrząd, opierając się na znanych schematach, co umożliwiło wykorzystanie tych badań w praktyce i opublikowanie doniesienia na ten temat (1961).

Celem pogłębienia osiągnięć w zakresie profilaktyki choroby hemolitycznej noworodków, Zakład nawiązał współpracę z I Kliniką Położnictwa i chorób kobiecych AM w Poznaniu. Owocem tego była praca doktorów Zygmunta Słomki i Tadeusza Marcinkowskiego wskazująca na istotną rolę oznaczeń cech fenotypowych i genotypowych układu Rh dla oceny prawdopodobieństwa wystąpienia konfliktu serologicznego między matką a płodem.

Kiedy przed kilkoma dniami obecny kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu, prof. Czesław Żaba wręczył mi kilka pożółkłych kartek które zachowały się w przepastnych szafach i wśród wielu annałów Katedry...nie ukrywałem wzruszenia. Chciałbym w tym miejscu podziękować mojemu Wielkiemu Przyjacielowi Czesławowi za utrwalanie pamięci która jest tak ważna dla zachowania tego co Najważniejsze w życiu, pamięci o ludziach którzy zapisali się w historii medycyny ale też kultywowanej pamięci o wszystkich zwykłych czasem szarych Pracownikach Katedry czego wyrazem są m. in. coroczne spotkania emerytów. W dzisiejszych pospiesznych czasach jest to NIEZWYKŁE – Jerzy T. Marcinkowski.

Uzupełnienie:

Tadeusz Marcinkowski od 1974- 1988 r. kierował Zakładem Medycyny Sądowej na Wydziale Lekarskim Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, w 1979 r. otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego nauk medycznych.

8. listopada 2011 r. ukończywszy 94 lata odszedł na Wieczną Służbę...pozostaje w pamięci Bliskich, dawnych współpracowników, w tekstach książek które napisał i wiedzy w nich zawartej która jest przekazywana następnym pokoleniom medyków sądowych.

Był przykładem Prawdziwego Lekarza który działał w różnych specjalizacjach i poznał wszystkie tajemnice życia.

Odwiedzamy Go na Cmentarzu Junikowskim w Poznaniu by przeżyć chwilę zadumy nad przemijaniem ale też uporządkować tłoczące się w umysłach myśli i wreszcie porozmawiać. Porady których nam udzielał w trudnych sytuacjach życiowych i udziela nadal gdy stoimy nad Jego grobem, są nie tylko trafne mądre, bezcenne ... były i są naszym Drogowskazem i Światłem...

Syn, prof. dr hab. n. med. Jerzy T. Marcinkowski

[Stanisław Dąbrowski \(1922–2012\)](#)

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE o Profesorze Stanisławie Dąbrowskim, autorstwa prof. nadzw. dr hab. n. med. Janusza Heitzmana z Kliniki Psychiatrii Sądowej IPiN w Warszawie, Prezesa Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

21 czerwca 2012 roku w wieku 90 lat zmarł Profesor Stanisław Dąbrowski, inicjator powstania i współtwórca Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Niestrudzony w walce o prawa pacjentów chorych psychicznie, walczący o profesjonalizm w psychiatrii, piętnujący jakiegokolwiek formy nadużywania władzy w stosunku do chorych.

Profesor S. Dąbrowski, syn Zygmunta i Ewy, urodził się 30 marca 1922 roku w Żelechowie w powiecie garwolińskim.

Mieszkał w Skarżysku Kamiennej, gdzie uczęszczał do gimnazjum, a w latach 1937–1939 był uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Okres II wojny światowej spędził pracując jako robotnik na kolei. W latach 1940–1945 pracował w różnych jednostkach organizacyjnych podległych Dyrekcji Kolejowej w Radomiu (Reichsbahn Direktion) – początkowo w Warsztacie Telekomunikacyjnym, następnie w Warsztatach Urządzeń Sygnalizacyjnych jako robotnik, w Biurze Projektowym Dyrekcji Kolejowej w Radomiu na stanowisku

technika, a później, również jako technik, w Biurze Projektowym Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Radomiu. Pod koniec wojny, do marca 1945 roku, pracował w ZNTK PKP w Radomiu.

Dyplom lekarza medycyny uzyskał na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie studiował w okresie 15.03.1945–30.01.1950. Od 1 marca 1950 do 31 stycznia 1973 roku był pracownikiem Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Poznaniu. Jako asystent w tej klinice lata 1953–1957 spędził na stypendium w Moskwie w Klinice Psychiatrycznej II Instytutu Medycznego, gdzie był zatrudniony na stanowisku aspiranta (doktoranta), tam też obronił dysertację doktorską.

Po powrocie do Poznania w 1957 roku uzyskał II stopień specjalizacji z psychiatrii. Habilitował się w 1965 roku, a od 1 marca 1967 roku był mianowany docentem etatowym przy Katedrze Psychiatrii AM w Poznaniu i zarazem kierownikiem kliniki.

W 1973 roku decyzją ministra zdrowia Mariana Śliwińskiego został przeniesiony na stanowisko samodzielnego pracownika naukowo-badawczego w Instytucie Psychoneurologicznym w Pruszkowie. Pracował tam od 1 lutego 1973 roku, a po oddaniu nowej siedziby instytutu w Warszawie został powołany na stanowisko jego dyrektora. W tym dniu objął równocześnie funkcję kierownika III Kliniki Psychiatrycznej, którą zorganizował od podstaw i kierował do 10 września 1991 roku.

716

Wspomnienie pośmiertne

6 sierpnia 1973 roku Rada Państwa nadała mu tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego i z dniem 1 sierpnia 1973 roku został powołany na stanowisko profesora nadzwyczajnego w Instytucie Psychoneurologicznym w Warszawie. Od 1986 roku był kierownikiem programu resortowego MZ-V „Zaburzenia psychiczne i neurologiczne” na lata 1986–1990. Profesor Dąbrowski tytuł profesora zwyczajnego nauk medycznych uzyskał 20 lipca 1990 roku. Z dniem 1 grudnia 1990 roku został mianowany na stanowisko profesora zwyczajnego w IPiN w Warszawie.

W życiorysie Profesora Dąbrowskiego jest kilka epizodów, nad którymi warto się choćby przez chwilę zatrzymać. Z końcem listopada 1979 roku w Moskwie odbywało się Międzynarodowe Sympozjum Psychiatrów Krajów Socjalistycznych, po którego zakończeniu, 30 listopada 1979 roku, na wniosek gospodarzy zorganizowane zostało zebranie ekspertów – psychiatrów krajów socjalistycznych. Polska delegacja reprezentowana była przez Profesora Stanisława Dąbrowskiego – dyrektora Instytutu Psychiatrii i Neurologii, Profesora Adama Szymusika – przewodniczącego Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i ówczesnego doc. dra Jerzego Vetulaniego – psychofarmakologa. Zebraniu przewodniczył dr E. Babajan – pracownik Ministerstwa Zdrowia ZSRR. Po zakończeniu omawiania zagadnień związanych z rozszerzeniem dotychczasowej współpracy naukowej między krajami socjalistycznymi, dr E. Babajan wystąpił z krytyką „oszczerczej kampanii rozpętanej przez niektóre kraje kapitalistyczne, które piętnują wykorzystywanie psychiatrii w krajach socjalistycznych w celach politycznych”. Jak wynika z notatki sporządzonej przez Profesora Dąbrowskiego, zebrani eksperci, zdaniem gospodarzy, powinni wspólnie potępić te poczynania w formie bliżej niesprecyzowanej deklaracji. Przeciwno przyjęciu takiego potępienia zaprotestował Profesor Dąbrowski – przewodniczący polskiej delegacji. Argumentował to brakiem wyjaśnienia genezy tzw. wykorzystywania psychiatrii w celach politycznych, nieuwzględnianiem różnic między poszczególnymi krajami socjalistycznymi, możliwym osłabieniem więzi między krajami zrzeszonymi w WPA (World Psychiatric Association – Światowe Towarzystwo Psychiatryczne), a zwłaszcza tymi, które mają życzliwy stosunek do krajów socjalistycznych. Profesor zaproponował niewłączanie kwestii potępienia krajów kapitalistycznych do porządku obrad. Po tym oświadczeniu wystąpił prof. J. Temakow – przewodniczący delegacji Bułgarii, przypominając, że antyradziecka rezolucja w Honolulu w 1977 roku została przegłosowana tylko dlatego, że brak było delegata Polski (Prof. Dąbrowskiego). Mimo wywieranego na delegację polską nacisku nie odstąpiła ona jednak od złożonego wniosku i rezolucja potępiająca nie została przyjęta. Profesor Dąbrowski pisze w swojej notatce, że przyjęcie takiej

rezolucji było wadliwe zarówno proceduralnie (w porządku obrad nie było zaplanowanej dyskusji dotyczącej wykorzystywania psychiatrii w celach politycznych), jak i merytorycznie, bowiem jej podpisanie oznaczałoby akceptację co najmniej wątpliwych praktyk psychiatrów radzieckich oraz prawdopodobnie izolację psychiatrii polskiej w WPA. Naciski na zmianę stanowiska były wywierane

oddzielnie na każdego z polskich delegatów. Sprawa ta ostatecznie nie znalazła się w protokole końcowym, który polska delegacja podpisała, bowiem obejmował on tylko te zagadnienia, które wynikały z uzgodnionego wcześniej porządku obrad. To zdarzenie pokazuje, jak w tamtych czasach, przy ograniczonych możliwościach sprzeciwu, można było za chować się w sposób niezłomny, godny i odważny. Profesor Dąbrowski wspominał, że sprawa wydarzeń w Moskwie miała jeszcze swoje reperkusje w maju 1980 roku, kiedy to podczas międzynarodowej konferencji w Mosznej wiceminister zdrowia sugerował mu odwołanie ze stanowiska dyrektora instytutu. Ostatecznie do odwołania z tej przyczyny nie doszło, a w atmosferze strajków sierpniowych sprawa niepodpisania rezolucji dotyczącej nadużyć w psychiatrii radzieckiej zeszła na dalszy plan.

Warto przytoczyć zdarzenie, które pokazuje postawę Profesora. W okresie obowiązywania stanu wojennego, 10 listopada 1982 roku w Instytucie Psychiatrii i Neurologii ogłoszono strajk. Była to raczej demonstracja sprzeciwu wobec stanu wojennego w rocznicę rejestracji „Solidarności”. W holu instytutu zebrało się ok. 200 osób. Już po kilku godzinach Profesora Dąbrowskiego i jego zastępcę na stanowisku dyrektora IPiN Profesora Stanisława Pużyńskiego wezwano do ministra zdrowia. Po odmowie wyjaśnienia okoliczności strajku i odmowie podania nazwisk organizatorów minister zdrowia Tadeusz Szelachowski z dniem 12 listopada 1982 roku odwołał Profesora z funkcji dyrektora instytutu. Na tym stanowisku na 3 miesiące zastąpił go doc. Andrzej Piotrowski. Po złagodzeniu rygorów stanu wojennego minister zdrowia ponownie z dniem 10 stycznia 1983 roku powołał Profesora na dyrektora instytutu, którym kierował już nieprzerwanie do 1991 roku, kiedy przeszedł na emeryturę.

Nasza wiedza o człowieku winna być na tyle pełna, by każdy sam mógł dokonać czyjejś oceny. Nie można też oceniać nikogo pochopnie przez pryzmat faktów, które rozgrywały się w innych realiach historycznych i społecznych. Prawość człowieka, gotowość poświęcenia swojej pozycji i przyjęcia na siebie odpowiedzialności jest mierzona faktami, a nie deklaracjami. Stąd pisanie o człowieku przez pryzmat jego ideowych wyborów jest niezwykle trudne i zarazem odpowiedzialne. Można kogoś niechcący skrzywdzić, a pamięć o nim poddać nienależnemu dystansowi. Profesor Dąbrowski w latach 1947–1948 był członkiem PPS, a od 1948 roku członkiem PZPR.

Nie wiemy, jak się z tą partią rozstawał, niewiele na ten temat mówił. W dokumentach zachował się list, który 31 grudnia 1974 roku I sekretarz KC PZPR Edward Gierek skierował do Profesora Dąbrowskiego. List, który ze względu na przykład mentalności tamtych czasów i oryginalność pisowni warto zacytować: „Szanowny Towarzyszu Profesorze! Przyjmijcie wyrazy uznania za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i wychowawcze oraz działalność polityczną w roku XXX-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wysoko cenimy Wasz dorobek w dziedzinie medycyny psychiatrycznej oraz sukcesy w kształceniu kadry naukowej. Nasza Ojczyzna, Polska Ludowa, rośnie i pięknieje dzięki połączonemu wysiłkowi wszystkich Polaków. Szczególnie cenny wkład wnoszą polscy komuniści, którzy tak jak Wy torują drogę postępowi, dając przykład innym. Nauka stanowi ważne źródło materialnego i duchowego rozwoju społeczeństwa. Twórczą pracą i aktywną postawą polityczną przyczyniacie się godnie do spełnienia dążeń, ambicji i nadziei naszego narodu do umocnienia siły i autorytetu partii. Z okazji Nowego Roku życzę Wam dalszych sukcesów na polu naukowym i społecznym oraz wiele pomyślności w życiu osobistym. – Gierek”.

Oczywiście nie można przyjąć na podstawie tego okolicznościowego adresu, że Profesor Dąbrowski był ideowym komunistą. Jak wielu jego rówieśników, którzy przeżyli okupację i dojrzewali w nowej politycznej rzeczywistości, miał poglądy lewicowe, ale na pewno nie prowadził działalności politycznej. Dwukrotnie był nakłaniany – jeszcze w czasach poznańskich – do złożenia legitymacji partyjnej. Za pierwszym razem naciski te były wynikiem wydania opinii w sprawie chorego i skazanego na karę śmierci „wroga ludu”, który był oskarżony o zabójstwo kilku milicjantów. Profesor nie poddał się naciskom zarówno ze strony rektora AM, jak i Komitetu Wojewódzkiego PZPR, którym kierował wtedy Jan Szydłak, a jego sprawą zajmowała się Komisja Kontroli Partyjnej KW PZPR. Ponownie nakłaniany był do oddania legitymacji partyjnej w 1971 roku po dojściu do władzy ekipy Gierka. Profesor na spotkaniu z Mieczysławem Moczałem (wówczas członkiem Biura Politycznego KC) krytykował system sprawowania władzy przez Władysława Gomułkę, mówił o naciskach i złym traktowaniu pracowników uczelni.

Profesor S. Dąbrowski był promotorem 13 obronionych doktoratów i opiekunem kilku prac habilitacyjnych. Opublikowany do 1989 roku (do czasu wniosku o nadanie mu tytułu naukowego profesora zwyczajnego) dorobek naukowy Profesora Dąbrowskiego obejmuje 111 pozycji, z czego 66 ukazało się po uzyskaniu tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego, w tym 37 oryginalnych prac twórczych, 3 prace podręcznikowe oraz 26 prac poglądowych i koncepcyjnych. Od 1990 roku, będąc już na emeryturze, był autorem lub współautorem 76 publikacji. W sumie jego dorobek to blisko 200 prac naukowych. Był recenzentem 25 prac doktorskich i 23 habilitacyjnych.

Przed uzyskaniem tytułu profesora nadzwyczajnego zajmował się głównie psychozami afektywnymi okresu inwolucji. Dorobek w tym zakresie podsumował w pracy habilitacyjnej zatytułowanej „Przebieg okresowych psychoz afektywnych podczas inwolucji – zmiany w ukształtowaniu i dynamice zespołów depresyjnych” (PZWŁ; 1969) cytowanej wielokrotnie w kraju, jak i za granicą [1]. Z pracy tej wynika m.in., że zasadniczy kierunek przekształceń przebiegu okresowych psychoz afektywnych polega na zagęszczaniu – sprawiającym złudzenie przedłużenia – faz i nawrotów depresyjnych. Wyższy stopień tego zagęszczenia kojarzy się m.in. z wyższą częstotliwością zmian psychoorganicznych współistniejących ze zmianami zanikowymi mózgu. Wraz z ukazaniem się tej monografii stopniowo zaczęło zanikać pojęcie psychozy inwolucyjnej czy też depresji inwolucyjnej jako samodzielnej jednostki nozologicznej.

Drugą ważną dziedziną zainteresowań Profesora były zagadnienia sądowo- -psychiatryczne. Dorobek w tym zakresie przyczynił się do podniesienia poziomu orzecznictwa sądowo-psychiatrycznego. To właśnie on zainicjował zasadę i wdrażał ją później w życie, że badania sądowo-psychiatryczne mogą odbywać się wyłącznie w placówkach służby zdrowia. Zasada ta została później wprowadzona przez Profesora do Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego.

Nie można zapomnieć o upamiętnianiu przez Profesora zagłady chorych psychicznie podczas II wojny światowej. Zagładzie chorych psychicznie w szpitalu w Obrzycach poświęcił jedną ze swoich pierwszych publikacji, walczył, aby nie zapomnieć tych faktów [2].

Trzeci zakres zainteresowań, łączący działalność przed i po uzyskaniu tytułu profesora nadzwyczajnego, obejmuje prace dotyczące organizacji i optymalizacji psychiatrycznej opieki zdrowotnej. W tym obszarze rozciągającym się niemal do końca aktywności naukowej Profesora powstało blisko 100 publikacji. Wiele z koncepcji autora znalazło szerokie zastosowanie w praktyce. Sporo uwagi Profesor Dąbrowski poświęcił środkom zabezpieczającym w psychiatrii. Jego opracowania stały się w przyszłości najpierw podstawą instrukcji i rozporządzeń ministra zdrowia, a później unormowań kodeksowych. Nie wszystkie koncepcje Profesora wytrzymały próbę czasu. Początkowo był on przeciwny tworzeniu odrębnych 10 oddziałów sądowo- -psychiatrycznych (w dzisiejszych warunkach o maksymalnym i wzmocnionym poziomie zabezpieczenia). Uważał, może i słusznie, że wystarczy w Polsce tylko jeden taki szpital przeznaczony dla najbardziej niebezpiecznych chorych sprawców przestępstw. Nie chciał, by powstawały szpitale psychiatryczne przypominające więzienia. Chorych sprawców przestępstw chciał delikatnie wtopić w grupy pozostałych pacjentów szpitali. Jedną z ważniejszych aktywności Profesora Dąbrowskiego było zorganizowanie gromadzenia danych o wszystkich kontaktach pacjentów z placówkami leczenia psychiatrycznego. To pozwoliło na stworzenie źródła do niezwykle ważnych opracowań epidemiologicznych i organizacyjnych. Opracowana przez S. Dąbrowskiego koncepcja subrejonizacji – podziału rejonu szpitala psychiatrycznego na mniejsze jednostki terytorialne (subrejon) i powiązanie ich z określonymi oddziałami – stanowi obecnie elementarną zasadę funkcjonowania leczenia psychiatrycznego.

Wprowadzenie subrejonizacji przyczyniło się do wielu korzystnych przeobrażeń opieki stacjonarnej. Stworzyło to warunki do wewnątrzszpitalnej ciągłości opieki, znacznego ograniczenia tzw. oddziałów chronicznych, zahamowania tzw. zagęszczania szpitali.

Efekty tych działań Profesora stały się widoczne z początkiem lat osiemdziesiątych.

Gdy subrejonizacja stała się niemal powszechna, to liczba pacjentów na 10 tys. obniżyła się z 11 do 7,6, a odsetek przebywających w szpitalu ponad rok spadł z 54% do 46 %.

Pod koniec lat 60. Profesor ze swoimi współpracownikami zorganizował po raz pierwszy w Polsce nową formę opieki psychiatrycznej – hospitalizację domową. Dzisiaj stanowi ona jeden z

podstawowych elementów psychiatrycznego leczenia środowiskowego funkcjonującego w większych miastach [3]. Mało kto dzisiaj pamięta, że to S. Dąbrowski rozpropagował i wdrożył w Polsce psychiatryczne oddziały koedukacyjne, do czego większość środowiska psychiatrycznego podchodziła z lękiem i obawą. Koedukację próbował wprowadzić jeszcze w Poznaniu w klinice, którą wówczas kierował, jednak dopiero wprowadzenie jej w III Klinice Psychiatrycznej Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie przyczyniło się do rozpowszechnienia tego typu organizacji oddziałów psychiatrycznych w Polsce.

We wszystkich swoich pracach Profesor Dąbrowski zwracał szczególną uwagę na prawa pacjentów i ich nienaruszalność. Walczył ze wszystkimi, którzy chcieliby widzieć psychiatrię represyjną, ograniczającą swobody, stosującą przymus. Te idee zawarł w opracowanym wspólnie z A. Piotrowskim artykule „Przymusowe leczenie alkoholików” zawierającym propozycje nowelizacji Ustawy o zwalczaniu alkoholizmu. Wtedy nowatorskie pomysły zostały zawarte w obecnie obowiązującej Ustawie o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Punktem wyjścia dla proponowanych zmian była rewolucyjna niemal wtedy dobrowolność leczenia, a leczenie przymusowe jako wyjątkowe odstępstwo od tej zasady, możliwość warunkowego zawieszenia postanowienia o przymusowym leczeniu stacjonarnym, zobowiązanie pacjenta przez sąd do poddania się leczeniu stacjonarnemu lub ambulatoryjnemu, nadzór kuratora. Lata osiemdziesiąte XX w. to szczególne zaangażowanie Dąbrowskiego w opiekę środowiskową. Stąd pomysł, by III Klinika IPiN była prekursorem subrejonowego środowiskowego programu opieki psychiatrycznej. Program ten funkcjonował w oparciu o niewielki, bo 35-łóżkowy oddział całodobowy, oddział dzienny, psychiatryczny zespół środowiskowy, odwykowy oddział całodobowy, dzienny i środowiskowy, oddział detoksykacyjny oraz zespół młodzieżowy. Profesor słusznie przewidywał, że przy dobrej współpracy pomiędzy poszczególnymi ogniwami systemu, przy tak niskim wskaźniku łóżek, możliwe będzie pełne zaspokojenie potrzeb pacjentów. Te pierwsze projekty środowiskowej opieki psychiatrycznej dały asumpt dla innych programów badawczych związanych z oceną jakościową opieki i badaniem satysfakcji pacjentów ze świadczonych usług [4, 5].

Ukoronowaniem działalności naukowej i organizacyjnej Profesora Dąbrowskiego były badania i prace nad regulacją prawną ochrony zdrowia psychicznego. Niewątpliwie można już dzisiaj powiedzieć, że przeszedł on do historii psychiatrii nie tylko polskiej, ale i europejskiej jako twórca Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego, która stała się nowoczesnym aktem prawnym, na którym wzorowali się psychiatrzy i prawnicy wielu krajów. Dąbrowski został w 1972 roku powołany przez ministra zdrowia i opieki społecznej na stanowisko przewodniczącego Komisji Ekspertów do opracowania resortowego projektu Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Prace nad projektami prowadził aż do 1988 roku, kiedy to przekazał ministrowi zdrowia IV ich wersję [6]. Troska o prawa człowieka chorego psychicznie była ideą ducha ustawy. Profesor walczył z tymi, którzy chcieliby widzieć ustawę jako akt prawny dopuszczający stosowanie w psychiatrii przymusu. Przyjęcie przez Sejm RP ustawy poprzedzało wiele badań empirycznych, nie zakończyło też kolejnych jej nowelizacji, nad którymi Profesor pracował do końca. W prasie zagranicznej ukazało się wiele pozytywnych recenzji dotyczących ustawy. To, na czym S. Dąbrowskiemu szczególnie zależało, to wprowadzenie sądowej kontroli nad przymusowym przyjęciem chorego do szpitala psychiatrycznego, wprowadzenie szczegółowych regulacji dotyczących przyjmowania do szpitala pacjentów, którzy nie są zdolni do świadomego wyrażenia zgody na przyjęcie, ograniczanie stosowania przymusu bezpośredniego wobec chorych do niezbędnego i ściśle określonego wskazaniami minimum. Zawsze starał się przedstawiać ustawę jako akt gwarantujący prawa chorym psychicznie, dlatego monitorował jej wdrażanie, zauważał nieprawidłowości, szczególnie te dotyczące braku precyzji w definiowaniu świadomej zgody chorego i stosowaniu przymusu [7, 8].

Profesor Dąbrowski od 1970 roku był członkiem Rady Naukowej Instytutu Psychiatrii i Neurologii, w latach 1975–1978 sprawował funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, od 1972 do 1978 był członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia, od 1974 do 1980 członkiem Rady Naukowej Instytutu Matki i Dziecka, od 1984 roku Komisji Psychiatrycznej Komitetu Patofizjologii Klinicznej PAN. Od 1 stycznia 1983 roku do 1991 roku był przewodniczącym Krajowego Nadzoru Specjalistycznego w dziedzinie Psychiatrii. Do 1983 roku był

członkiem Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej do Spraw Kadr Naukowych. Zasiadał w radach redakcyjnych i programowych wielu czasopism: „Psychiatrii Polskiej”, „Biuletynu Instytutu Psychiatrii i Neurologii”, „Postępów Psychiatrii i Neurologii”, wschodnioeuropejskiej edycji „International Journal of Law and Psychiatry”. Był członkiem honorowym Czechosłowackiego Towarzystwa Medycznego im. J. E. Purkyniego, członkiem Honorowym Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, członkiem Sekcji Edukacji Psychiatrycznej WPA, członkiem korespondentem Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (APA).

W latach 1969–1973 był prezesem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, w kolejnej kadencji pełnił funkcję wiceprezesa PTP. W 1974 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1987 roku Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Trudno podsumować na kilku stronach życie, aktywność zawodową i naukową Profesora Stanisława Dąbrowskiego. Ci, którzy go znali i z nim współpracowali, mają wiele osobistych wspomnień, może ważniejszych niż zapisy bibliograficzne.

Ci, którzy postrzegają go przez pryzmat dyskusji i sporów, może dopiero po latach dostrzegą jego niezłomność i zaangażowanie, oddanie psychiatrii i oddanie walce o godność człowieka chorego.

Piśmiennictwo

1. Dąbrowski S. Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzyczach. Zeszyt 8. Oświęcim: Przegląd Lekarski; 1968.
2. Dąbrowski S. Przebieg okresowych psychoz afektywnych podczas inwolucji. Zmiany w ukształtowaniu i dynamice zespołów depresyjnych. Warszawa: ZWL; 1969.
3. Dąbrowski S, Truszczyńska Z. Hospitalizacja domowa – nowa forma opieki psychiatrycznej m. Poznania. Psychiatr. Pol. 1969; 3 (5): 531 – 542.
4. Dąbrowski S. Decentralizacja leczenia psychiatrycznego. Psychiatr. Pol. 1996; 30 (4): 547–554.
5. Dąbrowski S, Stańczak T. Treatment, care, and rehabilitation of the chronic mentally ill in Poland. Hosp. Community Psychiatr. 1988; 39 (6): 657–661.
6. Dąbrowski S. Zmiany w projekcie Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Psychiatr. Pol. 1987; 21 (2): 121–127.
7. Dąbrowski S. Przymus bezpośredni stosowany w niektórych czynnościach leczniczych. Psychiatr. Pol. 2002; 36 (2): 193–200.
8. Dąbrowski S, Brodniak WA, Werbel S. Stosowanie przymusu w psychiatrii – prawo i praktyka. Psychiatr. Pol. 2004; 38 (3) (supl.): 48.

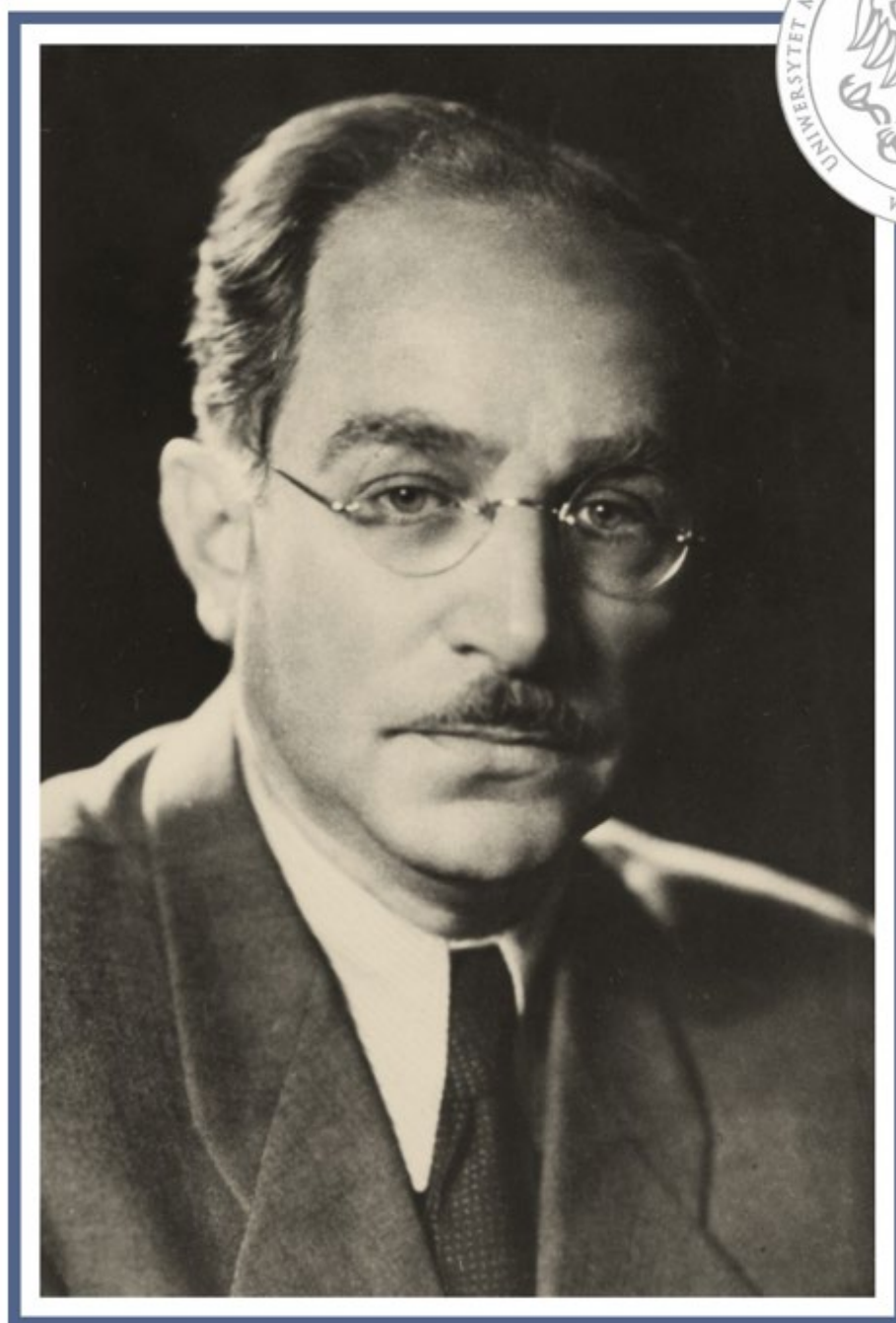
W powyższej pracy wykorzystano ponadto materiały z Archiwum Pracowni Historii Psychiatrii Polskiej IPiN.

prof. nadzw. dr hab. n. med. Janusz Heitzman

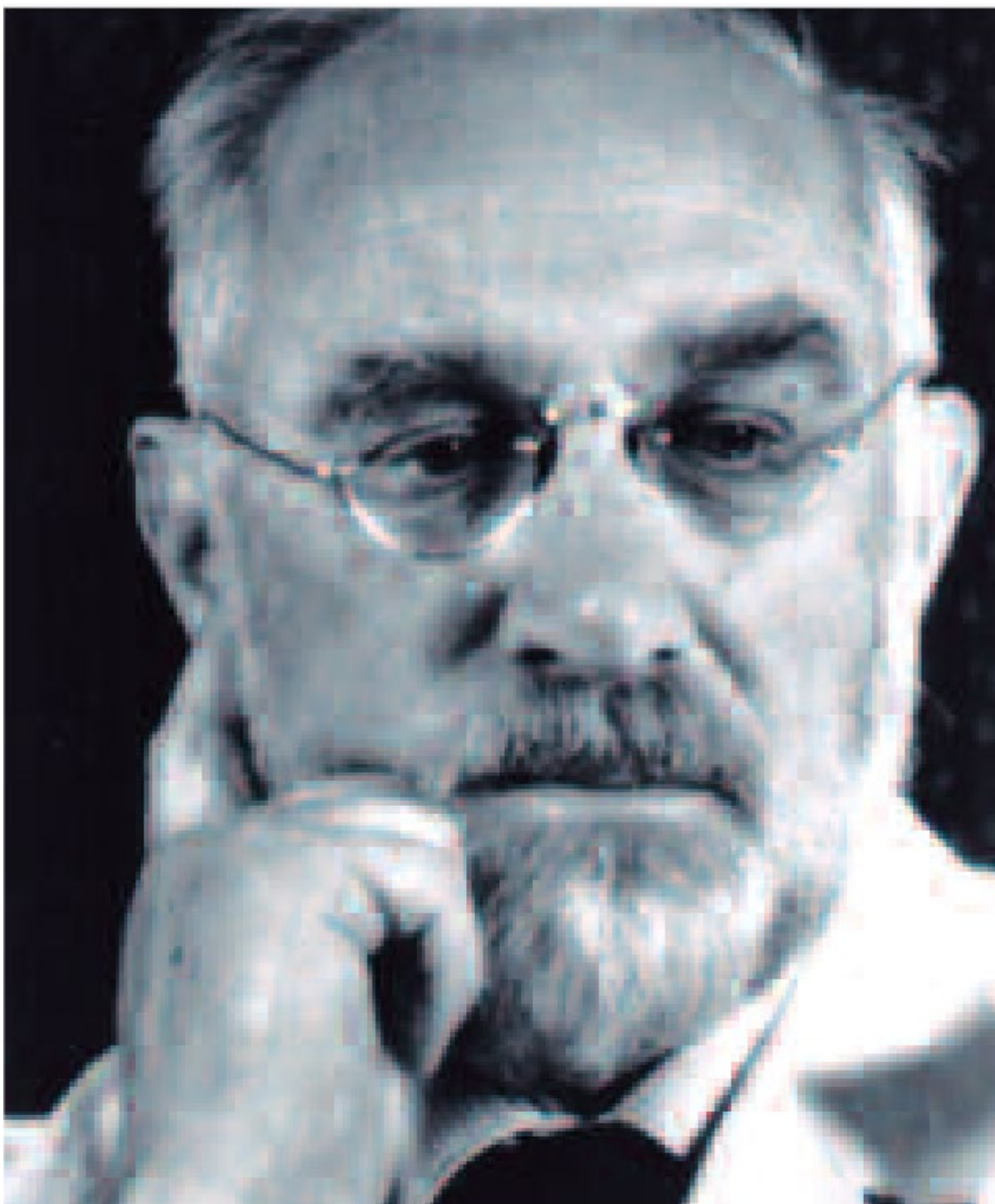
Klinika Psychiatrii Sądowej IPiN w Warszawie

Prezes Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego

Rudolf Willi Sarrazin (1906-1974)



Rudolf Sarrazin



https://wil.org.pl/wp-content/uploads/03_2017.pdf

„Rudolf Willi Sarrazin urodził się 15 lutego 1906 r. w Grodzisku Wielkopolskim jako syn Eryka – lekarza weterynarii – i Józefy z d. Jaskułów. Ojciec pochodził z rodziny niemieckiej i pod wpływem żony spolonizował się. Rudolf Sarrazin ukończył w 1926 r. Gimnazjum Amosa Komeńskiego w Lesznie i studiował medycynę na Uniwersytecie Poznańskim. Ożeniony z Czeszką Marią Wacławą Martin (1908–1989), miał czworo dzieci. Dyplom lekarski uzyskał 21 marca 1933 r. i do 1 grudnia tegoż roku

był młodszym asystentem w Poliklinice Stomatologicznej u prof. Józefa Jarząba, pod którego kierunkiem specjalizował się już w okresie studiów (1 października 1930–28 marca 1933). 13 czerwca 1938 r. doktoryzował się na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego na podstawie rozprawy: „Przypadek pozaszkieletowego kostnienia w następstwie urazu uda”, której promotorem był prof. Antoni Jurasz. Na początku roku 1939 Rudolf Sarrazin zapisał się do Polskiego Związku Zachodniego, a w grudniu tegoż roku został wysiedlony przez Niemców do Generalnej Guberni. Podczas powstania warszawskiego w 1944 r. był aresztowany i przetrzymywany jako zakładnik. Po zwolnieniu praktykował jako lekarz ogólny w Małszycach pod Łowiczem. Po powrocie do Poznania, na polecenie delegata Rządu do Spraw Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, Sarrazin zorganizował w marcu 1945 r. Poliklinikę Dentystyczną przy Wydziale Lekarskim UP, mieszczącą się w Poznaniu przy ul. Matejki 60. (...)

Po wyodrębnieniu Akademii Medycznej z Uniwersytetu Poznańskiego otrzymał 1 czerwca 1950 r. stanowisko zastępcy profesora na Oddziale Stomatologicznym oraz kierował Katedrą i Zakładem Protetyki Stomatologicznej mieszczących się od 1952 r. przy ul. Święcickiego 6. (...).

Chętnie i życzliwie dzielił się swymi doświadczeniami i umiejętnościami, demonstrując poszczególne wysokospecjalistyczne zabiegi i omawiając przypadki kliniczne. Zaszczepiał tym samym zamiłowanie do zawodu lekarza dentysty, a w indeksach studentów końca lat 40. i następnych widnieją podpisane przez R. Sarrazina zaliczenia i egzaminy z chirurgii stomatologicznej, rentgenologii, dentystyki zachowawczej i protetyki dentystycznej z ortodontcją.(...).

Prof. Rudolf Willi Sarrazin zmarł 1 września 1974 r. w Poznaniu i został pochowany na Cmentarzu Junikowskim. Był kilkakrotnie odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1958) oraz pośmiertnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1974).

W styczniu 2017 r. z inicjatywy prof. Ryszarda Koczorowskiego, redaktora naczelnego czasopisma „Dental Forum”, redakcja ufundowała tablicę upamiętniającą sylwetkę profesora. Rektor Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu prof. Andrzej Tykarski oraz córka prof. R. Sarrazina Iwona Lisiak w obecności szerokiego grona władz uczelni, rodziny, uczniów i innych znamienitych gości dokonali jej odsłonięcia w Collegium Stomatologicum UMP. Także za zgodą władz poznańskiej uczelni duża sala wykładowa w gmachu Collegium Stomatologicum UMP przy ul. Bukowskiej 70 otrzymała imię prof. Rudolfa Sarrazina.

PROF. ZW. DR HAB. RYSZARD KOCZOROWSKI

<https://wil.org.pl/wp-content/uploads/wil-06-2022-net.pdf>

Relacja naszego kolegi ze studiów, profesora dr hab. Ryszarda Koczorowskiego: Ponieważ w przygotowanym tekście jest niewiele akcentów stomatologicznych, pozwoliłem sobie napisać kilka słów z bliskiej mi dziedziny medycznej. Podczas moich studiów stomatologicznych miałem przyjemność uczestniczyć w wykładach i zajęciach fantomowych i praktycznych prowadzonych przez uznane polskie autorytety ze środowiska poznańskiego takie jak: Prof. Prof. Rudolf Sarrazin, Kazimierz Stawiński, Tadeusz Ziółkiewicz czy Maria Kobylańska. Prof. Sarrazin organizator powojennej poznańskiej stomatologii i naukowo-dydaktyczny ojciec wielu znanych pokoleń lekarzy dentystów miał zwyczaj częstego odwiedzania na zajęciach fantomowych czy klinicznych grup studenckich III, IV i V roku raz dogłębnego przepytывania przede wszystkim mężczyzn, którzy stanowili wówczas nieliczną część studencką. Na pytanie dlaczego tylko mężczyźni? Profesor mawiał: to Wy panowie będziecie głową rodziny odpowiedzialną za status rodziny podczas gdy panie mogą ale nie mają moralnego obowiązku wsparcia finansowego najbliższych. Jako świetny klinicysta i fantastyczny

znawca techniki dentystycznej zaszczepił mi umiejętność wszechstronnego analizowania a także rozwiązywania problemów praktyczno-klinicznych i technicznych w protetyce stomatologicznej. Ponieważ byłem jednym z części „maglowanych” studentów odnosiłem wrażenie, że profesor mnie nie darzy sympatią i próbuje udowodnić jak mało wiem. Okazało się jednak w końcowym etapie studiów, że nie musiało być najgorzej gdyż profesor zaproponował mi pracę asystenta w Zakładzie Protetyki. Ciekawym zwyczajem profesora Sarrazina było nadawanie swoim asystentom różnych pseudonimów (Bolek, Lolek, Józek itd.), którymi się posługiwał by rozładować stresujące z nim dyskusje. Czym się kierował nazywając mnie Tobiaszem? Zastanawiam się do dziś?! Prof. Sarrazin niekwestionowany autorytet w protetyce stom. ortodoncji a także stomatologii zachowawczej wyprzedzał o kilka lat osiągnięcia kliniczne i materiałowe, które kilka lat później pojawiły się jako „odkrycia” stomatologicznych firm zachodnich lub modyfikacje własne niektórych naukowców.

Stąd też jako wdzięczny uczeń profesora Sarrazina zainicjowałem i zorganizowałem uroczyste odsłonięcie przez Rektora UM prof. A. Tykarskiego i córkę profesora dr Iwonę Sarrazin tablicy pamiątkowej, zresztą jedynej w gmachu Collegium Stomatologicum tablicy stomatologa. Także warto podkreślić, że duża sala wykładowa na pierwszym piętrze tego gmachu jest imienia profesora Rudolfa Sarrazina. Ubolewam jednak, że nazwa Sali z imieniem profesora jest tak rzadko używana przez biuro promocji uczelni i rzadko kto wie czyjego imienia jest wykładowa sala 202 w Collegium. A przecież wiemy od lat gdzie znajdują się inne sale wykładowe np. sala Różyckiego, sala Śniadeckich czy sala Hoyer'a.

Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski

IMIENNY WYKAZ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z ODDZIAŁU STOMATOLOGII WYDZIAŁU LEKARSKIEGO AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU.

Lista przyjętych na I rok studiów. Dane z dnia 20.IX.1965 przekazane aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu

A	B 1. Bartóg Jerzy 2. Baszkowski Andrzej 3. Białęcka Teresa 4. Biryńczyk Grażyna 5. Brudek Halina 6. Brudek Wiesław 7. Bystrzycki Janusz	C 8. Cent Andrzej 9. Chrościelewski Jacek	D 10. Dąbrowska Irena 11. Deręgowska Aniela 12. Dębicki Ryszard 13. Dorożyński Zygmunt 14. Dreszer Barbara
E 15. Engel Daria	F 16. Figlerek Jan 17. Firfas Dorota 18. Fiszer Jadwiga 19. Fogt Krystyna 20. Friebe Ewa	G 21. Gorzelanna Irena 22. Górka Adela 23. Grońska Wanda 24. Gulczyńska Barbara	H 25. Haładaj Danuta
I 26. Iwanicka Ewa	J 27. Jankowska Maria	K 28. Karasińska Ewa 29. Karwatowska Krystyna 30. Kiełyczawa Bogdan 31. Kleczewska Olga 32. Koczorowski Ryszard 33. Koła Aleksandra 34. Kotkowska Mirosława 35. Kozłowska Danuta 36. Kruszyńska Maria 37. Krysztofkiwicz Hanna 38. Krzak Michał 39. Kujawa Barbara	L 41. Laskowska Eugenia 42. Leracz Romualda 43. Lewandowska Danuta 44. Litewka Bolesław 45. Lück Ryszard 46. Ludwig Małgorzata

		40. Kurzawska Grażyna	
Ł	M 47. Madejczyk Włodzimierz 48. Magott Maria 49. Majewska Regina 50. Malinowska Wanda 51. Mazowiecka Wanda 52. Mączka Ryszard 53. Mertz Mieczysław 54. Miłosz Stefania 55. Mormel Michał 56. Mucha Zofia 57. Musialik Ryszard 58. Musiał Joanna	N 59. Nowak Maria 60. Nowicki Jerzy	O 61. Olszewski Jerzy 62. Ostrowska Grażyna 63. Owczarzak Andrzej
P 64. Pawlak Barbara 65. Piasecki Andrzej 66. Piotrowiak Joanna 67. Pluta Joanna 68. Poźniak Alicja 69. Przybylska Danuta 70. Przybylska Magdalena 71. Pytel Zofia	R 72. Raczynska Urszula 73. Rataj Maria 74. Reinke Ewa 75. Roszak Bogumił 76. Ryter Krystyna	S 77. Sierankowska Zofia 78. Sieroń Iwona 79. Siudzińska Danuta 80. Słomińska Danuta 81. Smółka Maria 82. Sowińska Halina 83. Sójka Aleksandra 84. Stachowiak Bożena 85. Stawińska Ewa 86. Styperek Aleksandra 87. Swędrzyńska Iwona 88. Szczekocka Maria 89. Sznurkowska Grażyna 90. Szulczewska Ewa 91. Szymańska Bożena 92. Świder zam. Łasińska Anna Barbara	T 93. Talikowska Alina 94. Tatarkiewicz Lech 95. Tłoczek Stefan 96. Tomczak Małgorzata 97. Trzebny Krzysztof 98. Tułeczka Teresa
W 99. Waszak Krzysztof 100. Wessenberg Jolanta 101. Wiśniewska Elżbieta 102. Wlekińska Alicja 103. Wojnarowicz Walenty 104. Wojtyniak Romana 105. Wosiński Marek 106. Woydyłak Zbigniew 107. Woźniak Zofia 108. Wójcik Jan 109. Wróbel Barbara 110. Wybieralska Maria 111. Wyderska Grażyna	Z 112. Zegan Janina 113. Zommer Roman 114. Zydorczak Marian		

Lista absolwentów. Dane z 1970 r. otrzymane aktualnie z Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu

A 1. Andrzejewski Andrzej	B 2. Barłowski Jerzy 3. Baszkowski Andrzej 4. Benning Karbowska Krystyna 5. Białęcka Teresa 6. Biryńczyk Grażyna 7. Braun Grażyna 8. Brudek Wiesław 9. Buczkowska zd. Brudzińska Jolanta 10. Bujakiewicz Janssens Aleksandra 11. Bukalska zd. Musiał Joanna	C 12. Cent Andrzej 13. Chróścielewska Wanda 14. Chwist Wiktoria 15. Cieślakowska Tokarska Danuta 16. Czuba Halina	D 17. Dąbrowska Irena Teresa 18. Domagała Wojciechowska Maria 19. Domiński Marian 20. Dorożyński Zygmunt 21. Dreszer Barbara 22. Dzikowska Dreszer Aleksandra
E 23. Engel Daria	F 26. Fokt Krystyna	G 28. Gajdecka Buszko Anna	H 35. Haber zd. Gawel Regina

24. Ereńska Radzewska Hanna 25. Eustahiou zd. Zduku Stawrula	27. Foraita Ryszard	29. Garlińska zd. Pałęcka Krystyna 30. Geisler zd. Pluta Joanna 31. Glińska zd. Pluta Teresa 32. Głębański Marcin 33. Grabińska zd. Przybylska Bożena 34. Grońska Wanda	36. Haładaj Krawczyk Danuta 37. Hamera Czesława 38. Hellapermal zd. Miłosz Stefania 39. Hełkowski Jan
I/ J 40. Jakutka Hryńkow Maria 41. Janiak Irena Barbara 42. Jankowska Maria 43. Janowicz zd. Biedzińska Halina 44. Jaworska Maria 45. Jaworska Andrzejewska Ewa 46. Jurga Helena	K 47. Kaczorowska zd. Galantkiewicz Bożena 48. Kaźmierczak zd. Brudek Halina 49. Kępska zd. Kotkowska Mirosława 50. Kiszka Stanisława 51. Klaczyńska zd. Kozak Helena 52. Kliks zd. Lissowska Maria 53. Klimza Danuta 54. Knop Ryszard 55. Kochański Łucjan 56. Koczorowski Ryszard 57. Koła Aleksandra 58. Kozłowska Głębańska Danuta 59. Krysztafkiewicz Hanna 60. Kubczak zd. Graczyk Marianna 61. Kucharska zd. Moniuk Barbara 62. Kujawa Pietruszewska Barbara 63. Kulmińska Młodożyńska Teresa	L / ł 64. Litewska Bolesław 65. Lorenc zd. Ostrowska Grażyna	M 66. Malikowska Zofia 67. Mańko Kowalska Grażyna 68. Mańkowski Andrzej 69. Melich Danuta 70. Mikołajczak Maria 71. Molicki Ryszard 72. Mormel Michał
N-O-P 73. Paczosa Michał 74. Parcer Anna 75. Pawełek zd. Pernak Ewa Maria 76. Paździora zd. Piotrowiak Joanna 77. Pietrzak zd. Godowska Aleksandra 78. Płocharczyk Renata 79. Przybylska Danuta	R 80. Resler Michałowska Urszula 81. Ronge zd. Słomińska Danuta 82. Roszak Bogumił 83. Rybski Zdzisław	S 84. Siudzińska Danuta 85. Sowińska Halina 86. Stachura zd. Karasińska Ewa 87. Steczko Tadeusz 88. Stęplewski Jerzy 89. Strzałkowska Łojek Zofia 90. Styperek Aleksandra 91. Szafarkiewicz Krystyna 92. Szareyko zd. Ostatek Maria 93. Szawan zd. Gorzelanna Irena 94. Szczekocka Maria 95. Szczęśniewski Zbigniew 96. Szeląg Stanisława 97. Sztencel Barbara 98. Szymczak zd. Sowa Halina 99. Szymkowiak zd. Karwatowska Krystyna 100. Ślipczyńska Halina	T 101. Tarasiewicz Teresa 102. Tomawska zd. Wąsowska Daromiła 103. Tomys zd. Sierankowska Zofia 104. Tschurl zd. Lasińska Jadwiga
W 105. Wągrowa zd. Narusiewicz Barbara 106. Wiśniewska Elżbieta 107. Witecki Witold 108. Wjtczak Irena 109. Wojnarowicz Walenty 110. Wolińska Bożena 111. Woydyłak Zbigniew 112. Woźniak Danuta 113. Woźniak zd. Raczyńska Urszula	Z 118. Zawrotniak zd. Swędrzyńska Iwona 119. Zengteler Bożena 120. Ziemniarska zd. Nir Julita 121. Zommer Roman 122. Zommer zd. Mucha Zofia 123. Zydorczak Marian 124. Zabel zd. Przybylska Magdalena	125. Krzak Michał 126. Polimirski Andrzej	

114. Wróbel Halina 115. Wróblewska Teresa 116. Wybieralska Hasińska Maria 117. Wyderska Grażyna			

IMIENNY WYKAZ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z WYDZIAŁU LEKARSKIEGO AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU.

Lista przyjętych na I rok. Dane z 20.IX.1965.r przekazane aktualnie przez Archiwum
Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu

A 1. Anioł Krystyna 2. Arndt Aleksandra	B 3. Błaszczyk Władysława Kazimiera 4. Bentke Barbara 5. Buchwald Maria 6. Bąk Zbigniew 7. Banaszkiewicz Józef 8. Borsukiewicz Jacek 9. Bączyk Iwona 10. Bieniek Elżbieta 11. Broniarz Krystyna Maria 12. Bąkowski Zdzisław 13. Bekasiak Krystyna 14. Besser Maria 15. Bakoś (zam. Grzesiak) Danuta 16. Błażejczak Roman 17. Brodała Helena 18. Beger Hanna 19. Bogusz Zbigniew 20. Brzezicka Monika 21. Buczkowski Leszek 22. Bondar Edward	C 23. Ciesielski Mieczysław 24. Chmara Renata Maria 25. Chojnowski Józef 26. Czekąta Olga 27. Cieślińska (zam. Skuratowicz) Aleksandra 28. Ciesielski Krzysztof 29. Chwirot (zam. Chwirot- Głyda) Irena 30. Ćwiklińska Krystyna 31. Czechowska Aleksandra	D 32. Dziamski Ryszard 33. Dudzińska Irena 34. Drews Piotr 35. Dylewicz Piotr 36. Dolata Michał Andrzej 37. Dobkowska Urszula
F 38. Fundowicz Adam 39. Filek Ewa 40. Filipiak Danuta	G 41. Gałęska Maria 42. Gonera (zam. Babska) Blandyna 43. Gawrońska Teresa 44. Góralczyk Barbara 45. Grzesiak Elżbieta 46. Guzek Marek 47. Grzybowska Krystyna 48. Głowacki Hieronim 49. Głuch Jadwiga 50. Graduszevska Krystyna 51. Gieras Wiesława 52. Groszkowska Aniela 53. Grzymisławski Marian 54. Góreczna Anna 55. Gniłka Iwona 56. Gierecki Jerzy	H 57. Hess Alfred 58. Horst Anna 59. Hołoga Maria 60. Hyży Andrzej 61. Hauser Witold 62. Hantke Jan 63. Haller Barbara	I 64. Izydorczyk Danuta 65. Imiela Jacek
J 66. Jurga Wiesław 67. Janowski Włodzimierz 68. Janaszek Piotr 69. Jesiołowski Józef 70. Janiec Anna 71. Janki Kazimierz 72. Jankowska Halina 73. Jamnicki Jan	K 74. Królczyk Katarzyna 75. Kościukiewicz Zuzanna 76. Kmiec Elżbieta 77. Kosmala Urszula 78. Kozber Józef 79. Kita Leszek 80. Katafias Katarzyna 81. Kucińska Barbara 82. Kazińska Beata 83. Kleybor Maria 84. Kowalska Halina	L 111. Labryga Jan 112. Lewandowska Joanna 113. Lehmann Kryspin Marek 114. Lisowska Teresa Adela 115. Linke Krzysztof 116. Lutkowska Ewa	Ł 117. Łukaszewska Romana 118. Łukaszewicz Zofia 119. Ławicka Hanna

	85. Kurzawska Danuta 86. Kasprzak Krystyna Urszula 87. Kaczmarek Tadeusz 88. Konieczna Ewa 89. Krajewska Małgorzata 90. Kaczmarek Tadeusz 91. Kaftański Ryszard 92. Kaszecki Leszek 93. Kozłowski Winicjusz Maciej 94. Kosmańska Barbara 95. Kończal Alicja 96. Kupczyk Andrzej 97. Kowal Aniela 98. Konieczna Danuta 99. Kupczyk Krzysztof 100. Kabat Ewa 101. Kaczmarek Alicja 102. Kobusińska Daniela Władysława 103. Kosmowska Alina 104. Kaczorowski Eugeniusz 105. Kobiałkowski Stanisław 106. Kazimierska Jadwiga 107. Kowalak Pankowska Wanda Urszula 108. Kucharska Jolanta 109. Kraczek Ryszard 110. Kasprzak Wojciech		
M 120. Morawska Maria 121. Michałek -Grodzki Wojciech 121 122. Mizerny Maria 123. Młyńczak Stanisław 123 124. Małecka Maria Magdalena 124 125. Maziarz Lesław 126. Mieszkała (zam. Dolata) Anna 126 127. Milanowski Leszek 127 128. Mrugasiewicz Barbara 128 129. Marcinkowski Jerzy 129 130. Marinowicz (zam. Stamm) Aleksandra Teresa 130 131. Mróz Alina 131 132. Mikołajczak Urszula 132 133. Mikuta Henryka 134. Makowska Irena 135. Mierzwiak (zam. Klincewicz) Ewa 135 136. Muszyńska Janina Danuta 136 137. Miaskowski Władysław 137 138. Moskal Adam 138 139. Misiurewicz Wielisław 139	N 140. Niedźwiedzińska Barbara 140 141. Nelke Eugeniusz 142. Nowakowski Jacek 142 143. Nowacka Lucyna 144. Nagalewski Józef	O 145. Orlicki Wojciech 146. Olkowski Adam	P 147. Pniewski Stanisław 147 148. Pawlak Andrzej 149. Petrykowski Kazimierz 150. Pupek (zam. Pupek - Musialik) Danuta 150 151. Pieprzycka Grażyna 151 152. Porzyckiewicz Lidia 152 153. Poplewska Zofia 154. Pawela Barbara 155. Pawlarczyk Ewa 156. Poniży Aleksandra 156 157. Palma Jerzy 157 158. Pluciński Henryk 159. Plucińska Kinga 160. Pawlak Hanna 161. Paluszkiewicz Hanna 161 162. Piątyszek Janina 163. Potyrała Maria 164. Podsadny Lechosław 164 165. Przybylski Stefan 166. Piechocki Bogdan
R 167. Rajcoomar Preethooraj Sharmah 168. Rożek Jerzy 169. Ratajski Jacek 170. Ryżko Józef 171. Rojewski Franciszek 172. Ryglewicz Michał 173. Raciborski Marek 174. Rządowska Maria 175. Ratajczak Paweł 176. Radel Izabella 177. Roszak Andrzej	S 178. Szaflirski Włodzimierz Zenon 179. Stawny Bolestaw 180. Stasz Danuta 180 181. Święcicki Ireneusz 181 182. Surma Ryszard 183. Szereszewski Ludwik 183 184. Ślącza Krzysztof 185. Strońska Danuta 186. Stróżyk Ireneusz 187. Szrama Grażyna	T 204. Tanaś Szpadarska Jadwiga 204 205. Tuszewski Marek 206. Tyliczszak Szymon 206 207. Trejster Ewa 207	U 208. Uryszek Wiesław 209. Urbański Krzysztof 209 210. Umbreit Irena

	188. Szkaradkiewicz Andrzej 188 189. Świderczuk Andrzej Edward 189 190. Strzyżowski Maciej 190 191. Stróżyński Aleksander Wojciech 192. Sławiński Józef Edward 192 193. Sypniewska Alicja 194. Stoiński Marian 195. Stamm Stefan 196. Szajek Elżbieta 197. Schneider Maria 198. Skrzypczak Jana Maria 198 199. Steffen (zam. Grudka) Krystyna 199 200. Stachecki Franciszek 200 201. Sahra Hossein Naward Mahomed 202. Sharifi Anissa 202 203. Sharifi Ahmad Sedig 203		
W 211. Wojciechowska Anna 212. Wewiórkowska Jadwiga 213. Wenda Barbara 214. Wasielica Mieczysław 215. Wiekł Bogusław 216. Walkowiak Ryszard 217. Wciórka Jacek 218. Witaszek Monika 219. Woźnica Andrzej 220. Wojnerowicz (zam. Wojnerowicz -Pawlak) Elżbieta 221. Walczak Grażyna 222. Wróblewicz Iwona 223. Wójcik Zdzisław 224. Winiecka Iwona 225. Wroniak Edward 226. Wendland Marian	Z 227. Zawrotniak Roman 228. Zdebski Andrzej 229. Ziółkowska Danuta 230. Zgrajek Jerzy 231. Zdun Henryk 232. Zabel Maciej 233. Zarębska Elżbieta	234. Wiatrowski Włodzimierz 235. Hejda Zbigniew	

Lista absolwentów. Dane z 1971 roku przekazane aktualnie przez Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu

1. Nowakowski Jan 2. Sahra Hossein Naward Mahomed 3. Lehmann Kryspin 4. Halicki Leszek 5. Dudzińska Irena 6. Politowicz zd. Szrama Grażyna 7. Wójcik Zdzisław 8. Pupek-Musialik Danuta 9. Kmiec Elżbieta	10. Banaszekiewicz Józef 11. Witaszek Monika 12. Święcicki Ireneusz 13. Stefańska zd. Muszyńska Janina - 14. Wojnarowicz-Pawlak Elżbieta 15. Kowalska Halina 16. Pawlak Andrzej 17. Drews Piotr 18. Filek Ewa	19. Kurywczak Wacław 20. Kacmarek Tadeusz 21. Michałek-Grodzki Wojciech 22. Dziamski Ryszard 23. Ryszko Józef 24. Janowski Włodzimierz 25. Psuja Halina 26. Zdun Henryk 27. Kucharska-Kochańska Jolanta	28. Maziarski Lesław 29. Broniarz Krystyna 30. Pawlak zd. Brodała Helena 31. Durkiewicz Marianna 32. Wróblewicz Irena 33. Nowacka Lucyna 34. Ratajski Jacek 35. Schneider Maria 36. Graduszevska Krystyna
37. Bączek Iwona 38. Buchwald Maria 39. Ludwig Małgorzata 40. Nagalewski Józef 41. Strzyżowski Maciej 42. Pieprzycka Grażyna 43. Stermerowicz zd. Bieniek Elżbieta 44. Świderczuk Andrzej 45. Skrzypczak Jana	46. Kozber Józef 47. Woźnica Andrzej 48. Parchimowicz Stanisław 49. Potyrała Maria 50. Urbański Krzysztof 51. Mróz Alina 52. Kasprzak Krystyna 53. Wciórka Jacek 54. Ziółkowska Danuta 55. Katarfias Katarzyna	56. Jurga Wiesław 57. Kończal Alicja 58. Janiec Anna 59. Kaftański Ryszard 60. Kunawska Danuta 61. Kabał Ewa 62. Tyliczek Szymon 63. Wasielica Mieczysław 64. Mrugasiewicz Barbara	65. Walczak Grażyna 66. Paluszkiwicz Hanna 67. Błażejczak Roman 68. Matysiak zd. Pawlak Hanna 69. Talikowska Alina 70. Ryglewicz Michał 71. Kutnicka Alicja 72. Plucińska Kinga 73. Krajewska Małgorzata

74. Wenda Barbara 75. Stelmaszyk zd. Jankowska Halina 76. Bogusz zd. Rządowska Maria 77. Bogusz Zbigniew 78. Dylewicz Piotr 79. Stawny Bolesław 80. Kowal Aniela 81. Raciborski Marek 82. Głębocki Jan	83. Szerszewski Ludwik 84. Góreczna Anna 85. Kosmalska -Dubska Barbara 86. Mikołajczak Urszula 87. Grzybowska Krystyna 88. Zdebski Andrzej 89. Stasz Danuta 90. Beger Hanna 91. Bentke Barbara	92. Kleybor Maria 93. Mikuła Henryka 94. Kaczmarek Alicja 95. Kaczmarek Tadeusz 96. Kaczmarek zd. Królczyk Katarzyna 97. Trejster Ewa 98. Klincewicz zd. Mierzwiak Ewa 99. Hauser Witold 100. Mizerny Maria	101. Piętyszek Janina 102. Marcinkowski Jerzy 103. Kupczyk Krzysztof 104. Nelke Eugeniusz 105. Dobkowska Urszula 106. Lutkowska Ewa 107. Porzyczkiewicz Lidia 108. Horst Anna 109. Lewandowska Joanna
110. Ciesielski Mieczysław 111. Kucharska Wiesława 112. Pawlarczyk Ewa 113. Skuratowicz zd. Cieślińska Aleksandra 114. Rożek Jerzy 115. Linke Krzysztof 116. Sypniewska Alicja 117. Ciesielski Krzysztof 118. Groszkowska Aniela	119. Arndt Aleksandra 120. Roszak Andrzej 121. Brzezicka Monika 122. Kasprzak Wojciech 123. Stróżyk Ireneusz 124. Kaczorowski Eugeniusz 125. Czekala Olga 126. Lewandowski Zbigniew 127. Wikieł Bogusław	128. Grzymisławski Marian 129. Poplewska-Sybińska Zofia 130. Walkowiak Ryszard 131. Anioł Krystyna 132. Szyguła Wanda 133. Papież Danuta 134. Drążkiewicz Urszula 135. Milanowski Leszek 136. Uryszek Wiesław	137. Jesiołowski Józef 138. Grzesiak Elżbieta 139. Szkaradkiewicz Andrzej 140. Zabel Maciej 141. Dolata Michał 142. Szajek Elżbieta 143. Kaszecki Leszek 144. Sobańska Jadwiga 145. Głowacki Hieronim
146. Poniży Aleksandra 147. Małecka Maria 148. Dolata zd. Mieszała Anna 149. Grzesiak zd. Bakoś Danuta 150. Stróżyński Aleksander 151. Nowicki Jerzy 152. Labryga Jan 153. Kupczyk Andrzej 154. Stroińska-Dymek Danuta	155. Kozłowski Winicjusz 156. Reinke Ewa 157. Chwirot Irena 158. Trzebny Krzysztof 159. Ginelli zd. Oleszek Ewa 160. Sieńko zd. Zdunek Elżbieta 161. Kita Leszek 162. Keler zd. Wiewiórkowska Jadwiga 163. Wojciechowska Anna	164. Sulikowski Tomasz 165. Nowakowski Jacek 166. Tuszewski Marek 167. Borsukiewicz Jacek 168. Umbreit Irena 169. Makowska Irena 170. Bajońska Lucyna 171. Chmara Renata 172. Pfliegel zd. Strzałka Stefania	173. Bartz Danuta 174. Michalak zd. Izydorczyk Danuta 175. Nowakowska zd. Hołoga Maria 176. Fundowicz Adam 177. Rajewski Franciszek 178. Gieras Wiesława 179. Znamirowska zd. Karlińska Wielisława 180. Morawska Maria 181. Grudka zd. Steffen Krystyna
182. Szaflński Włodzimierz 183. Lisowska Teresa 184. Ślęczka Krzysztof 185. Gawrońska Teresa 186. Kucińska Barbara 187. Ćwiklińska Krystyna 188. Młyńczak Stanisław 189. Pszczolińska Teresa 190. Babska zd. Gonera Blandyna	191. Wendland Marian 192. Pniewski Stanisław 193. Pużycka Grażyna 194. Gałęska Maria 195. Orlicki Wojciech 196. Chyży Andrzej 197. Zawrotniak Roman 198. Ratajczak Paweł 199. Łukaszewska Romana	200. Ławicka Hanna 201. Gabis Krystyna 202. Góralczyk Barbara 203. Rajcoomar Preethooraj Sharmah 204. Sharifi Anissa 205. Janaszek Piotr 206. Pluciński Henryk 207. Sharifi Ahmad Sedig 208. Stamm Stefan	209. Stamm zd. Marinowicz Aleksandra 210. Guzek Marek 211. Rajewski Andrzej 212. Stasik Andrzej 213. Zgrajek Jerzy 214. Welke Waldemar 215. Tułeczka Teresa 216. Hantke Jan 217. Małecki Ryszard 218. Surma Ryszard 219. Niedźwiedzińska Barbara 220. Jankowski Andrzej 221. Dzik zd. Kadłubowska Anna 222. Szublewska zd. Paterka Maria 223. Wachowiak zd. Wojtkowiak Teresa

Szczegółowa lista absolwentów z 1971 r. (także tych, którzy rozpoczęli studia przed 1965 r.) udostępniona przez Dziekanat Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu - układ wg daty ostatniego egzaminu

LP	IMIĘ I NAZWISKO	INFORMACJE
1	Sahra Naward Mohamad Hossein	s. Mussa, ur. 21.03.1936 r. w Iranie, studiował 1965-71, pobierał stypendia dla obcokrajowców. ukończył 08.04.1971,

2	Lehmann Kryspin	s. Rudolfa, ur. 29.10.1947 w Nowym Tomyslu, pob. styp. naukowe, studiował 1965-71, ukończył 24.04.1971,
3	Halicki Leszek	s. Leopolda, ur. 20.01.1947, Witkowo, pob. styp fund PMRN Inowrocław, studiował 1965-71, ,
4	Dudzińska Irena	c. Walentego, ur. 27.10.1947, Śrem, pob styp nauk, studiowała 1965-71, ukończyła 04.05.1971,
5	Szrama-Politończyc Grażyna	c. Bolesława, ur. 02.07.1947 Wałbrzych, st f PPRN Sulechów, studiowała 1965-71, ukończyła 09.05.1971,
6	Wójcik Zdzisław	s. Władysława, ur. 10.10.1945 Jelenia Góra, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 11.05.1971,
7	Pupek-Musialik Danuta	c. Rudolfa, ur. 21.12.1947, Opole, styp nauk, studiowała 1965-71, ukończyła 07.05.1971,
8	Kmieć Elżbieta	c. Antoniego, ur. 28.05.1946 Kielce, pob styp fund PMRN Kielce, studiowała 1965-71, ukończyła 11.05.1971,
9	Banaszkiewicz Józef	s. Franciszka, ur. 12.01.1947 Gębice, pob styp fund PMRN Gniezno , studiował 1965-71, ukończył 11.05.1971,
10	Witaszek Monika	c. Mariana, ur. 03.10.1948 Ostrów Wlkp, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiowała 1965-71, ukończyła 11.05.1971,
11	Święcicki Ireneusz	s. Antoniego, ur. 27.03.1946 Konin, nie pob styp fund, studiował 1965-71, ukończył 13.05.1971,
12	Stefańska Janina zd. Muszyńska	c. Jana, ur. 20.05.1946 Wola Skarbkowa, styp fund PMRN Bydgoszcz, studiowała 1964-71, ukończyła 11.05.1971,
13	Wojnerowicz-Pawlak Elżbieta	c. Czesława, ur. 23.05.1948 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 11.05.1971,
14	Pawlak Andrzej	s. Lucjana, ur. 23.03.1946 Kalisz, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 11.05.1971,
15	Kowalska Halina	c. Klemensa, ur. 01.07.1947 Poznań, nie pob styp fund, studiowała 1965-71, ukończyła 31.03.1971,
16	Drewns Piotr	s. Karola, ur. 18.02.1947 Chodzież, nie pob styp fund, studiował 1965-71, ukończył 14.05.1971,
17	Filek Ewa	c. Antoniego, ur 19.10.1947 Września, nie pob styp fund, studiowała 1965-71, ukończyła 14.05.1971,
18	Kaczmarek Tadeusz	s. Jana, ur. 27.05.1947 Poznań, pob styp fund PMRN Piła, studiował 1965-71, ukończył 17.05.1971,
19	Michalek-Grodzki Wojciech	s. Stanisława, ur. 28.07.1946 Pabianice, nie pob styp fund, studiował 1965-71, ukończył 20.05.1971,
20	Dziamski Ryszard	c. Aleksandra, ur. 15.06.1947 Poznań, nie pob styp fund, studiował 1965-7, ukończył 20.05.1971,
21	Ryżko Józef	s. Aleksandra, ur. 04.09.1947 Stare Strączy, styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 20.05.1971,
22	Janowski Włodzimierz	s. Józefa, ur. 23.09.1946 Gostyń, nie pob styp fund, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
23	Psuj Halina	c. Zbigniewa, ur. 28.06.1944 Gostyń, nie pob styp, studiował 1961-66, ukończył 25.05.1971,
24	Zdun Henryk	s. Józefa, ur. 26.06.1947 Cerekwica, pob styp fund PMRN Gostyń, studiował 1965-71, ukończył 20.05.1971,
25	Kucharska-Kochańska Jolanta	c. Jerzego, ur. 16.02.1947 Łódź, nie pob styp fund, studiowała 1965-71, ukończyła 20.05.1971,
26	Maziarz Lesław	s. Jana, ur. 24.08.1947 Ulanów, styp fund PPRN Kolbuszowa, studiował 1965-71, ukończył 19.05.1971,
27	Broniarz Krystyna	c. Jarogniewa, ur. 01.07.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 26.05.1971,
28	Brodala-Pawlak Helena	ur. 20.01.1947 Glińnica, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
29	Durkiewicz Marianna	ur. 23.10.1946 Konin, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
30	Wróblewicz Iwona	c. Kazimierza, ur. 26.12.1946 Zielona Góra, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971,
31	Nowacka Lucyna	c. Antoniego, ur. 22.03.1947 Białobrzeże, nie pob styp, ukończyła 14.05.1971,
32	Ratajski Jacek	s. Stanisława, ur. 27.06.1947 Kielce, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
33	Schneider Maria	ur. 19.12.1947 Ostrów, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.05.1971,
34	Graduszevska Krystyna	c. Alfonsa, ur. 12.05.1947 Bydgoszcz, styp fund PMRN Bydgoszcz, studiowała 1965-71, ukończyła 15.05.1971,
35	Bączyk Iwona	c. Stefana, ur. 17.12.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 13.05.1971,
36	Buchwald Maria	c. Narcyza, ur. 05.12.1946 Ostrów, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 17.05.1971,
37	Ludwig Małgorzata	c. Bernarda, ur. 23.09.1947 Bytom, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 13.05.1971,
38	Nagalewski Józef	s. Antoniego, ur. 14.10.1933 Hallerowo, pob styp felczerskie, studiował 1965-71, ukończył 26.05.1971,
39	Strzyżowski Maciej	S. Józefa, ur. 03.11.1948 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 21.04.1971,
40	Pieprzyska (Stawna) Grażyna	c. Jana, ur. 05.03.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 24.05.1971,
41	Bieniek Stemerowicz Elżbieta	c. Edwarda, ur. 06.06.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 13.05.1971,
42	Świdereczuk Andrzej	s. Stanisława, ur. 13.10.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 11.05.1971,
43	Skrzypczak Jana	c. Stanisława, ur. 22.02.1946 Stęszew, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,
44	Kozber Józef	s. Szczepana, ur. 16.03.1947 Lwówek, pob styp fund PPRN Chojnice, studiował 1965-71, ukończył 11.05.1971,
45	Woźnica Andrzej	s. Stefana, ur. 15.02.1947 Piotrków Kujawski, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 22.05.1971,
46	Parchimowicz Stanisław	s. Jana, ur. 25.07.1946 Łokacz Mały, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 21.05.1971,
47	Potyrała Maria	c. Andrzeja, ur. 01.04.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 20.05.1971,
48	Urbański Krzysztof	s. Witolda, ur. 29.09.1947 Poznań, styp nauk, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
49	Mróz-Urbańska Alina	c. Bernarda, ur. 13.07.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
50	Kasprzak Krystyna	c. Stanisława, ur. 03.04.1947 Gorzów Wlkp, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
51	Wciórka Jacek	s. Jana, ur. 02.02.1948 Ostrów Wlkp, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 20.05.1971,
52	Ziółkowska Danuta	c. Władysława, ur.09.06.1946 Słomczyce, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiowała 1965-71, ukończyła 12.05.1971,
53	Katafias Katarzyna	c. Henryka, ur. 17.12.1947 Toruń, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiowała 1965-71, ukończyła 12.05.1971,
54	Jurga Wiesław	s. Stanisława , ur. 19.04.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 26.05.1971,
55	Kończal Alicja	c. Ludwika, ur. 01.01.1948 Strzelce Kraj, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 26.05.1971,
56	Janiec Anna	c. Juliana, ur. 01.11.1947 Starachowice, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971,
57	Kaftński Ryszard	s. Zbigniewa, ur. 15.02.1947 Kalisz, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 29.04.1971,
58	Kurawska Danuta	c. Edmunda, ur. 23.01.1948 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 17.05.1971,
59	Kabat Ewa	c. Henryka, ur. 18.10.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 17.05.1971,
60	Tyliszczak Szymon	s. Bazylego, ur. 03.08.1946 Jastrzębik, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 25.05.1971,
61	Wasielica Mieczysław	s. Kazimierza, ur. 27.11.1947 Rawicz, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 25/05/1971,
62	Mrugasiewicz Barbara	c. Wktora, ur. 24.02.1948 Krotoszyn, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971,
63	Walczak Grażyna	c. Mariana, ur. 20.01.1947 Sulechów, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 10.05.1971,
64	Paluszkiewicz Hanna	c. Edmunda, ur. 16.02.1947 Strzelno, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 18.05.1971,
65	Błażejczak Roman	s. Szczepana, ur. 05.08.1947 Pogorzela, pob styp fund PWRN Krotoszyn, studiował 1965-71, ukończył 18.05.1971,
66	Pawlak-Matysiak Hanna	c. Leona, ur. 12.08.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
67	Talikowska Alina	c. Jana, ur. 18.02.1948 Końskie, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 29.05.1971,
68	Ryglewicz Michał	s. Karola, ur. 09.04.1947 Poznań, nie pob styp, ukończył 13.05.1971,
69	Kutnicka Alicja	c. Zygmunta, ur. 11.01.1946 Poznań, pob styp fund PPRN Śrem, studiowała 1963-71, ukończyła 25.05.1971,
70	Plucińska Kinga	c. Felicjana, ur. 10.06.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
71	Krajewska Małgorzata	c. Henryka, ur. 04.08.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 20.05.1971,
72	Wenda Barbara	c. Juliana, ur. 31.03.1948 Międzyrzecz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
73	Jankowska-Stelmaszyk Halina	c. Stanisława, ur. 22.11.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,

74	Bogusz-Rzadkowska Maria	c. Stanisława, ur. 16.11.1947 Kalisz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971
75	Bogusz Zbigniew	s. Teodora, ur. 02.12.1946 Radomsko, pob styp fund PPRN Radomsko, studiowała 1965-71, ukończyła 31.05.1971,
76	Dylewicz Piotr	s. Eugeniusza, ur. 17.08.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 22.05.1971,
77	Stawny Bolesław	s. Bolesława, ur. 29.05.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 14.05.1971,
78	Kowal Aniela	c. Stefana, ur. 13.05.1947 Leszno, pob styp fund PPRN Wolsztyn, studiowała 1965-71, ukończyła 26.05.1971,
79	Raciborski Marek	s. Mieczysława, ur. 09.04.1947 Włocławek, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
80	Głębocki Jan	s. Józefa, ur. 23.09.1941 Warszawa, pob styp fund POKP Poznań, studiował 1964-71, ukończył 01.06.1971,
81	Szereszewski Ludwik	s. Zygmunta, ur. 22.06.1945 Szebekin, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 02.06.1971,
82	Góreczna Anna	c. Antoniego, ur. 23.05.1946 Wilkołaz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 02.06.1971,
83	Kosmalska-Dulska Barbara	c. Tadeusza, ur. 16.12.1947 Słupca, pob styp fund PPRN Słupca, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
84	Mikołajczak Urszula	c. Czesława, ur. 06.01.1948 Białcz, pob styp fund PPRN Szubin, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
85	Grzybowska Krystyna	c. Wacława, ur. 09.01.1947, pob styp fund PMRN Gniezno, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
86	Zdebski Andrzej	s. Stanisława, ur. 15.07.1946 Poznań, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiował 1965-71, ukończył 27.05.1971,
87	Stasz Danuta	c. Bogusława, ur. 31.05.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 01.05.1971,
88	Beger Hanna	c. Witolda, ur. 12.07.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 24.04.1971,
89	Bentke Barbara	c. Kazimierza, ur. 29.11.1945 Czacz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.05.1971,
90	Kleybor Maria	c. Edmunda, ur. 12.04.1947 Bydgoszcz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 17.05.1971,
91	Mikuła Henryka	c. Stanisława, ur. 06.04.1947 Sulisławice, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 28.04.1971,
92	Kaczmarek Alicja	c. Jana, ur. 06.04.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 11.05.1971,
93	Kaczmarek Tadeusz	s. Leona, ur. 28.03.1947 Stęszew, pob styp fund PPRN Strzelce Kraj, studiował 1965-71, ukończył 19.05.1971,
94	Kaczmarek-Królczyk Katarzyna	c. Franciszka, ur. 11.01.1946 Stęszew, pob styp fund PPRN Strzelce Kraj, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,
95	Trejster Ewa	c. Mieczysława, ur. 16.10.1947, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 31.05.1971,
96	Klinczewicz-Mierziak Ewa	c. Hieronima, ur. 03.06.1948 Słupsk, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,
97	Hauser Witold	s. Hieronima, ur. 17.04.1947 Barcin, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 13.05.1971,
98	Mizerny Maria	c. Józefa, ur. 01.05.1939 Poznań, pob styp fund PPRN Chodzież, studiowała 1965-71, ukończyła 20.05.1971,
99	Piątyszek Janina	c. Jakuba, ur. 03.03.1946 Gdańsk, pob styp fund PPRN Nowa Sól, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
100	Marcinkowski Jerzy	s. Tadeusza, ur. 01.05.1948 Wadowice, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 31.05.1971,
101	Kupczyk Krzysztof	s. Ewalda, ur. 27.09.1947 Odolanów, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 05.06.1971,
102	Nelke Eugeniusz	s. Józefa, ur. 23.12.1947 Poznań, pob styp fund PPRN Gostyń, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
103	Dobkowska Urszula	c. Aleksandra, ur. 22.07.1946 Warszawa, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 31.05.1971,
104	Lutkowska-Baszkowska Ewa	c. Floriana, ur. 05.12.1946, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,
105	Porzyczkiewicz Lidia	c. Edwarda, ur. 01.04.1948 Kalisz, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
106	Horst-Szymczyńska Anna	c. Antoniego, ur. 26.03.1948 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.05.1971,
107	Lewandowska Joanna	c. Maksymiliana, ur. 17.05.1947 Inowrocław, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 05.06.1971,
108	Ciesielski Mieczysław	s. Stanisława, ur. 03.12.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 31.05.1971,
109	Kucharska Wiesława	c. Mariana, ur. 23.09.1945 Jastrzębniki, nie pob styp, studiowała 1963-71, ukończyła 31.05.1971,
110	Pawlarczyk Ewa	c. Bogusława, ur. 09.05.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971,
111	Cieślińska-Skuratowicz Aleksandra	c. Andrzeja, ur. 21.02.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.06.1971,
112	Rożek Jerzy	s. Antoniego, ur. 27.01.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
113	Linke Krzysztof	s. Mariana, ur. 27.04.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 21.05.1971,
114	Sypniewska-Ciesielska Alicja	c. Tadeusza, ur. 06.01.1947 Tuliszków, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończył 02.06.1971,
115	Ciesielski Krzysztof	s. Mariana, ur. 01.01.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 20.05.1971,
116	Groszkowska Aniela	c. Franciszka, ur. 24.02.1947 Jarocin, pob styp fund PPRN Poznań, studiowała 1965-71, ukończyła 27.05.1971,
117	Arndt Aleksandra	c. Aleksandra, ur. 18.09.1946 Gniezno, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiowała 1965-71, ukończyła 29.05.1971,
118	Roszak Andrzej	s. Bolesława, ur. 30.08.1946 Pleszew, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 01.06.1971,
119	Brzezicka Monika	c. Stanisława, ur. 28.05.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 25.05.1971,
120	Kasprzak Wojciech	s. Mariana, ur. 27.08.1946 Wałbrzych, pob styp fund PPRN Głogów, studiował 1965-71, ukończył 28.04.1971, 1
121	Stróżyk Ireneusz	s. Bronisława, ur. 02.12.1947 Komorniki, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 21.05.1971,
122	Kaczorowski Eugeniusz	s. Andrzeja, ur. 03.10.1935 Pęczki, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 31.05.1971,
123	Czekała Olga	c. Czesława, ur. 28.05.1947 Wolsztyn, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 05.06.1971,
124	Lewandowski Zbigniew	s. Józefa, ur. 01.06.1942 Łubno, pob styp fund PMRN Gniezno, studiował 1963-71, ukończył 11.06.1971,
125	Wikieł Bogusław	s. Ireneusza, ur. 03.01.1947 Kraków, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
126	Grzymisławski Marian	s. Jana, ur. 02.07.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
127	Poplewska-Sibińska Zofia	c. Jana, ur. 29.01.1947 Staw pow. Kalisz, pob styp fund PPRN Głogów, studiowała 1965-71, ukończyła 20.05.1971,
128	Walkowiak Ryszard	c. Czesława, ur. 16.12.1947 Międzyrzecz, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
129	Anioł Krystyna	c. Tadeusza, ur. 24.01.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 08.06.1971,
130	Szyguła Wanda	c. Stefana, ur. 26.05.1946 Leszno, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1963-71, ukończyła 31.05.1971,
131	Papież Danuta	c. Józefa, ur. 16.04.1946 Leszno, nie pob styp, studiowała 1964-71, ukończyła 29.05.1971,
132	Drażkiewicz Urszula	c. Kazimierza, ur. 28.02.1946 Zbąszynek, pob styp fund PMRN Inowrocław, studiowała 1964-71, ukończyła 28.05.1971,
133	Milanowski Leszek	s. Józefa, ur. 11.11.1947 Kutno, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
134	Uryszek Wiesław	s. Bronisława, ur. 03.07.1947 Kamień Pom, pob styp fund PMRN Poznań, studiował 1965-71, ukończył 04.06.1971,
135	Jesiołowski Józef	s. Henryka, ur. 15.03.1946 Uniejów, pob styp fund PPRN Września, studiował 1965-71, ukończył 05.06.1971,
136	Grzesiak Elżbieta	c. Teodora, ur. 07.11.1947 Kutno, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 01.06.1971,
137	Szkaradkiewicz Andrzej	s. Cezarego, ur. 23.10.1947 Poznań, pob styp nauk, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
138	Zabel Maciej	s. Andrzeja, ur. 23.06.1947 Mosina, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
139	Dolata Michał	s. Maksymiliana, ur. 05.05.1947 Szamotuły, pob styp fund PMRN Piła, studiował 1965-71, ukończył 26.05.1971,
140	Szajek Elżbieta	c. Stanisława, ur. 13.04.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 11.06.1971,
141	Kaszecki Leszek	s. Leona, ur. 22.09.1947 Legnica, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 23.04.1971,
142	Sobańska Jadwiga	c. Wawrzyna, ur. 14.10.1940 Wielkowieś, pob styp fund PPRN Sulechów, studiowała 1963-71, ukończyła 01.06.1971,
143	Głowacki Hieronim	s. Waleriana, ur. 25.08.1946 Poznań, pob styp fund PMRN Poznań, studiował 1965-71, ukończył 14.05.1971,
144	Poniży Aleksandra	c. Józefa, ur. 04.02.1946 Krzywiń, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1965-71, ukończyła 11.06.1971,
145	Małecka Maria	c. Wacława, ur. 23.01.1947 Śrem, pob styp fund PPRN Śrem, studiowała 1965-71, ukończyła 11.06.1971,

146	Mieszala-Dolata Anna	c. Waleriana, ur. 09.07.1947 Ostrzeszów, pob styp fund PMRN Piła, studiowała 1965-71, ukończyła 12.06.1971,
147	Grzesiak-Bakoś Danuta	c. Władysława, ur. 13.07.1947 Poznań, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1965-71, ukończyła 14.05.1971,
148	Stróżyński Aleksander – nie żyje	s. Tomasza, ur. 05.11.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
149	Nowicki Jerzy	s. Kazimierza, ur. 18.10.1947 Pniewy, pob styp fund PPRN Międzychód, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
150	Labryga Jan	s. Huberta, ur. 16.10.1947, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
151	Kupczyk Andrzej	s. Hieronima, ur. 18.10.1947 Ostrów Wlkp., nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 21.05.1971,
152	Stroińska-Dymek Danuta	c. Mariana, ur. 14.01.1947 Więcbork, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1965-71, ukończyła 19.05.1971,
153	Kozłowski Winicjusz	s. Zbigniewa, ur. 21.02.1946 Powidz, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 01.06.1971,
154	Reinke Ewa	c. Zefiryna, ur. 13.09.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 09.06.1971,
155	Chwirot-Głyda Irena	c. Romana, ur. 04.03.1948 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.06.1971,
156	Trzebný Krzysztof	s. Stefana, ur. 09.04.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 24.05.1971,
157	Ginelli-Oleszek Ewa	c. Zbigniewa, ur. 21.03.1945 Lublin, nie pob styp, studiowała 1963-71, ukończyła 31.05.1971,
158	Sienko-Zdunek Elżbieta	c. Kazimierza, ur. 19.11.1944 Częstochowa, nie pob styp, studiowała 1963-71, ukończyła 08.06.1971,
159	Kita Leszek	s. Aleksandra, ur. 04.05.1948 Warszawa, pob styp fund PMRN Toruń, studiowała 1965-71, ukończyła 08.06.1971,
160	Keler-Wiewiórkowska Jadwiga	c. Aleksandra, ur. 13.07.1946 Opatówek, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 08.06.1971,
161	Wojciechowska Anna	c. Ludwika, ur. 11.09.1946 Pleszew, pob styp fund PPRN Poznań, studiowała 1965-71, ukończyła 09.06.1971,
162	Sulikowski Tomasz	s. Ludwika, ur. 29.09.1944 Poznań, nie pob styp, studiował 1963-71, ukończył 01.06.1971,
163	Nowakowski Jacek	s. Kazimierza, ur. 02.12.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
164	Tuszewski Marek	s. Zbigniewa, ur. 20.03.1948 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 07.06.1971,
165	Borsukiewicz Jacek	s. Jerzego, ur. 07.03.1947 Międzychód, pob styp fund PPRN Międzychód, studiował 1965-71, ukończył 08.06.1971,
166	Umbreit Irena	c. Bernarda, ur. 10.12.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 07.06.1971,
167	Makowska Irena	c. Adama, ur. 07.05.1947 Grodziec, pob styp fund PPRN Pleszew, studiowała 1965-71, ukończyła 01.06.1971,
168	Bajońska Lucyna	c. Henryka, ur. 05.04.1941 Robakowo, pob styp fund PPRN Środa, studiowała 1962-71, ukończyła 15.06.1971,
169	Chmara Renata	c. Jana, ur. 01.04.1947 Inowrocław, pob styp fund PMRN Toruń, studiowała 1965-71, ukończyła 07.06.1971,
170	Pflegel-Strzałka Stefania	c. Adama, ur. 23.11.1940 Gorajec, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1964-71, ukończyła 12.06.1971,
171	Bartz Danuta	c. Alfreda, ur. 24.06.1946 Przemysław, pob styp fund PPRN Szamotuły, studiowała 1964-71, ukończyła 27.05.1971,
172	Michalak-Izydoreczek Danuta	c. Andrzeja, ur. 14.11.1946 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 11.06.1971,
173	Holaga-Nowakowska Maria	c. Apoloniusza, ur. 17.01.1947 Gniezno, pob styp fund PPRN Gniezno, studiowała 1965-71, ukończyła 28.05.1971,
174	Fundowicz Adam	s. Wiktora, ur. 11.01.1948 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 12.05.1971,
175	Rajewski Franciszek	s. Maksymiliana, ur. 22.03.1947 Kostrzyn Wlkp, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 31.05.1971,
176	Gieras Wiesława	c. Zygmunta, ur. 03.01.1946 Kamień, pob styp fund PPRN Konin, studiował 1965-71, ukończył 28.05.1971,
177	Karlińska-Znamirowska Wielisława	c. Edmunda, ur. 18.05.1942 Ostrzeszów, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1963-71, ukończyła 22.06.1971,
178	Morawska Maria	c. Kazimierza, ur. 15.09.1945 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 18.06.1971,
179	Steffen-Grudka Krystyna	c. Wiktora, ur. 02.02.1945 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 18.06.1971,
180	Szaflński Włodzimierz	s. Edwarda, ur. 22.12.1945 Leszno, pob styp fund PPRN Sulechów, studiował 1965-71, ukończył 02.06.1971,
181	Lisowska Teresa	c. Jana, ur. 13.04.1947 Ploty, pob styp fund PPRN Chełmno, studiowała 1965-71, ukończyła 17.06.1971,
182	Ślaczka Krzysztof	s. Bolesława, ur. 12.10.1945 Rzeszów, pob styp fund PPRN Nowy Tomyśl, studiował 1965-71, ukończył 17.06.1971,
183	Gawrońska Teresa – nie żyje	c. Józefa, ur. 15.10.1946 Ciechanów, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 31.05.1971,
184	Kucińska Barbara	c. Wincentego, ur. 18.02.1947 Nowy Sącz, pob styp fund PMRN Bydgoszcz, studiowała 1965-71, ukończyła 15.06.1971,
185	Cwiklińska Krystyna	c. Waldemara, ur. 16.05.1947 Wolsztyn, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 04.06.1971,
186	Młyńczak Stanisław	s. Józefa, ur. 11.09.1946 Bojanowo, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 18.06.1971,
187	Pszczołowska Teresa	c. Franciszka, ur. 12.04.1943 Chełmno, nie pob styp, studiowała 1963-71, ukończyła 01.06.1971,
188	Babska-Gonera Blandyna	c. Marcina, ur. 29.10.1946 Klonowa, pob styp fund PPRN Jarocin, studiowała 1965-71, ukończyła 21.06.1971,
189	Wendland Marian	s. Mariana, ur. 09.02.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 18.06.1971,
190	Pniewski Stanisław	s. Franciszka, ur. 16.06.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 27.05.1971,
191	Pużycka Grażyna	c. Mieczysława, ur. 02.02.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1964-71, ukończyła 01.06.1971,
192	Gałęska Maria	c. Jadwigi, ur. 27.01.1946 Poznań, pob styp fund PPRN Oborniki, studiowała 1965-71, ukończyła 01.06.1971,
193	Orlicki Wojciech	s. Bogdana, ur. 18.09.1947 Dziekanów, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 11.06.1971,
194	Hyży Andrzej	s. Stanisława, ur. 07.06.1947 Kalisz, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 13.05.1971,
195	Zawrotniak Roman	s. Ferdynanda, ur. 27.02.1947 Ulanów, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 21.06.1971,
196	Ratajczak Paweł	s. Tadeusza, ur. 09.11.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 05.05.1971,
197	Łukaszewska Romana	c. Zygmunta, ur. 23.02.1947 Lichoń Nowy, pob styp fund PPRN Konin, studiowała 1965-71, ukończyła 14.05.1971,
198	Ławicka Hanna	c. Tadeusza, ur. 20.05.1947 Włocławek, pob styp fund PMRN Włocławek, studiowała 1965-71, ukończyła 17.05.1971,
199	Gabis Krystyna	c. Stanisława, ur. 01.07.1944 Szczuczyn Nowogrodzki, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiowała 1963-71, ukończyła
200	Góralczyk Barbara	c. Edmunda, ur. 07.08.1946 Jarocin, pob styp fund PWRN Bydgoszcz, studiowała 1965-71,
201	Rajcoomar Preethoraj Sharmah	ur. 05.02.1942 Kabul, Afganistan, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 31.05.1971, zam. Mauritius
202	Anissa Sharifi	c. Mahamada, ur. 01.06.1946, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 21.06.1971, zam. Kabul – Afganistan
203	Janaszek Piotr	s. Witosława, ur. 21.04.1947 poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 22.06.1971,
204	Pluciński Henryk	s. Tomasza, ur. 10.11.1937, pob styp fund PPRN Pleszew, studiował 1965-71, ukończył 22.06.1971,
205	Sharifi Ahmad Sediq	s. Mohameda, ur. 12.01.1945, studiował 1965-71, zam. Afganistan
206	Stamm Stefan	s. Zygmunta, ur. 01.09.1947 Czempin, pob styp fund PMRN Gorzów Wlkp, studiował 1965-71, ukończył 04.06.1971,
207	Stamm-Marinowicz Aleksandra	c. Ignacego, ur. 10.09.1947 Poznań, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 01/06/1971,
208	Guzek Marek	s. Stefana, ur. 10.05.1947 Nowa Sól, nie pob styp, studiował 1965-71,
209	Rajewski Andrzej	s. Kajetana, ur. 01.10.1944 Nakło n. Notecią, pob styp fund PWRN Zielona Góra, studiował 1965-71, ukończył 22.06.1971,
210	Stasiak Andrzej	s. Adama, ur. 02.04.1943 Trembowla, nie pob styp, studiował 1963-71, ukończył 22.06.1971,
211	Zarek Jerzy	s. Bogdana, ur. 25.02.1946 Poznań, pob styp fund PPRN Szamotuły, studiował 1965-71, ukończył 22.06.1971,
212	Welke Waldemar	s. Jana, ur. 29.12.1944 Bydgoszcz, pob styp fund PPRN Świecie n/W, studiował 1963-71, ukończył 23.06.1971,
213	Tulecka Teresa	c. Jerzego, ur. 13.04.1947 Gorlice, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 15.06.1971,
214	Hantke Jan	s. Edwarda, ur. 18.04.1947 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 02.06.1971,
215	Małeki Ryszard	s. Franciszka, ur. 16.02.1946 Poznań, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 18.16.1971,
216	Surma Ryszard	s. Józefa, ur. 20.08.1946 Stajkowo, nie pob styp, studiował 1965-71, ukończył 25.06.1971,
217	Niedźwiedzińska Barbara	c. Wojciecha, ur. 28.01.1948 Szprotawa, nie pob styp, studiowała 1965-71, ukończyła 02.07.1971,

218	Jankowski Andrzej	s. Stanisława, ur. 15.08.1933 Poznań, nie pob styp, studiował 1957-60 i 1969-71, ukończył 01.10.1971,
219	Dzik Anna	c. Jana, ur. 01.03.1941, studiowała 1959-1966, ukończyła 26.10.1971,
220	Paterka Maria	c. Alberta, ur. 05.10.1945 Świebodzin, nie pob styp, studiowała 1963-71, ukończyła 19.10.1971,
221	Wachowiak-Wojtkowiak Teresa	c. Jana, ur. 14.10.1936 Wolsztyn, nie pob styp, studiowała 1953-58 i 1964-66, ukończyła 15.11.1971,
222		

Lista absolwentów z 1971 r. w układzie alfabetycznym (także tych, którzy rozpoczęli studia przed 1965 r.

A Anioł Krystyna Anissa Sharifi Arndt Aleksandra	B Babska-Gonera Blandyna Bajońska Lucyna Banaszkiewicz Józef Bartz Danuta Bączyk Iwona Beger Hanna Bentke Barbara Bieniek Stemerowicz Elżbieta Błażejczak Roman Bogusz Zbigniew Bogusz-Rzadkowska Maria Borsukiewicz Jacek Brodala-Pawlak Helena Broniarz Krystyna Buchwald Maria Brzezicka Monika	C Chmara Renata Chwirot-Głyda Irena Ciesielski Krzysztof Ciesielski Mieczysław Cieślińska-Skuratowicz Aleksandra Czekala Olga Ćwiklińska Krystyna	D Dobkowska Urszula Dolata Michał Drażkiewicz Urszula Drewns Piotr Dudzińska Irena Durkiewicz Marianna Dylewicz Piotr Dziamski Ryszard Dzik Anna
E	F Filek Ewa Fundowicz Adam	G Gabis Krystyna Gałęska Maria Gawrońska Teresa Gieras Wiesława Ginelli-Oleszek Ewa Głębocki Jan Głowacki Hieronim Góralczyk Barbara Góreczna Anna Graduszevska Krystyna Groszkowska Aniela Grzesiak Elżbieta Grzesiak-Bakoś Danuta Grzybowski Krystyna Grzymisławski Marian Guzek Marek	H Halicki Leszek Hantke Jan Hauser Witold Hołoga-Nowakowska Maria Horst-Szymczyńska Anna Hyży Andrzej
I	J Janaszek Piotr Janiec Anna Jankowska-Stelmaszyk Halina Jankowski Andrzej Janowski Włodzimierz Jesiołowski Józef Jurga Wiesław	K Kabat Ewa Kaczmarek Alicja Kaczmarek-Królczyk Katarzyna Kaczmarek Tadeusz Kaczmarek Tadeusz Kaczorowski Eugeniusz Kaftański Ryszard Karlińska-Znamirowska Wielisława Kasprzak Krystyna Kasprzak Wojciech Kaszecki Leszek Katafias Katarzyna Keler-Wiewiórkowska Jadwiga Kita Leszek Kleybor Maria Klincewicz-Mierzwiak Ewa Kmieć Elżbieta Kończal Alicja Kosmalska-Dulska Barbara Kowal Aniela Kowska Halina Kozber Józef Kozłowski Winicjusz Krajewska Małgorzata Kucharska Wiesława Kucharska-Kochańska Jolanta Kucińska Barbara Kupczyk Andrzej	L/ ł Labryga Jan Lehmann Kryspin Lewandowska Joanna Lewandowski Zbigniew Linke Krzysztof Lisowska Teresa Ludwig Małgorzata Lutkowska-Baszkowska Ewa Ławicka Hanna Łukaszewska Romana

		Kupeczyk Krzysztof Kurzawska Danuta Kutnicka Alicja	
M Makowska Irena Małecka Maria Małecki Ryszard Marcinkowski Jerzy Maziarz Lesław Michalak-Izydoreczyk Danuta Michalek-Grodzki Wojciech Mieszala-Dolata Anna Mikolajczak Urszula Mikuła Henryka Milanowski Leszek Mizerny Maria Młyniczak Stanisław Morawska Maria Mróz-Urbańska Alina Mrugasiewicz Barbara	N Nagalewski Józef Nelke Eugeniusz Niedźwiedzińska Barbara Nowacka Lucyna Nowakowski Jacek Nowicki Jerzy	O Orlicki Wojciech	P Paluszkiewicz Hanna Papież Danuta Parchimowicz Stanisław Paterka Maria Pawlak Andrzej Pawlak-Matysiak Hanna Pawlarczyk Ewa Pfleger- Strzałka Stefania Piątyśzek Janina Pieprzycka (Stawna) Grażyna Plucińska Kinga Pluciński Henryk Pniewski Stanisław Poniży Aleksandra Poplewska-Sibilska Zofia Porzyczekiewicz Lidia Potyrała Maria Psuja Halina Pszczolińska Teresa Pupek-Musialik Danuta Pużycka Grażyna
R Raciborski Marek Rajcoomar Preethorai Sharmah Rajewski Andrzej Rajewski Franciszek Ratajczak Paweł Ratajski Jacek Reinke Ewa Roszak Andrzej Rożek Jerzy Ryglewicz Michał Ryżko Józef	S Sahra Naward Mohamed Hossein Sharifi Ahmed Sediq Sieńko-Zdunek Elżbieta Skrzypczak Jana Sobańska Jadwiga Stamm Stefan Stamm-Marinowicz Aleksandra Stasik Andrzej Stasz Danuta Stawny Bolesław Stefańska Janina zd. Muszyńska Steffen-Grudka Krystyna Stroińska-Dymek Danuta Stróżyk Ireneusz Stróżyński Aleksander Strzyżowski Maciej Sulikowski Tomasz Surma Ryszard Sypniewska-Ciesielska Alicja Szaflński Włodzimierz Szajek Elżbieta Szereszewski Ludwik Szkarakiewicz Andrzej Szrama-Politowicz Grażyna Szyguła Wanda Ślaczka Krzysztof Świderczuk Andrzej Święcicki Ireneusz	T Talikowska Alina Trejster Ewa Trzebny Krzysztof Tułeczka Teresa Tuszeński Marek Tyliszczak Szymon	U Umbreit Irena Urbański Krzysztof Uryszek Wiesław
W Wachowiak-Wojtkowiak Teresa Walczak Grażyna Walkowiak Ryszard Wasielica Mieczysław Wciórka Jacek Welke Waldemar Wenda Barbara Wendland Marian Wikieł Bogusław Witaszek Monika Wojciechowska Anna Wojnerowicz-Pawlak Elżbieta Woźnica Andrzej Wójcik Zdzisław Wróblewicz Iwona	Z Zabel Maciej Zawrotniak Roman Zdebski Andrzej Zdun Henryk Zgrajek Jerzy Ziółkowska Danuta		

NASI NIEOBECNI. KOLEŻANKI I KOLEDZY KTÓRZY JUŻ JAKO LEKARZE „ODESZLI NA WIECZNY NIEBIAŃSKI DYŻUR”

Dyplom lekarza stomatologa otrzymało 126 osób a lekarza medycyny 271 osób.

Nie posiadamy pełnych danych o nieobecnych już - niektóre osoby wyjechały w daleki świat, inne „zaszyły się” w swoich miejscach na ziemi, nie szukały kontaktu a może nie chciały szukać. A może my, których tak mocno zajęła rzeczywistość, nie zadaliśmy o pielęgnowanie i podtrzymywanie kontaktów.

Ale zachowujemy Naszych Nieobecnych w dobrej pamięci i oddajemy im cześć !!!!

Podczas corocznych wycieczek/zjazdów Naszego Roku wielokrotnie oglądaliśmy wspólnie prezentacje multimedialne na których m.in. były przedstawiane zdjęcia z imionami i nazwiskami z poszczególnych grup studenckich, których było 10 na Wydziale Lekarskim, pozostałe były na Oddziale Stomatologii – i nierzadko okazywało się, że nie mamy wiedzy o danej osobie – nawet o tym czy żyje, czy też zmarła.

Poniżej przedstawiamy wykaz sporządzony przez Marię Nowakowską z d. Hołoga (Mariolkę) która stara się na bieżąco zbierać informacje o naszych zmarłych Koleżankach i Kolegach pielęgnując piękną tradycję WIECZNEJ PAMIĘCI.....

Śp. Absolwenci Wydziału Lekarskiego

A	B Bartz Anna (zm. 2016) Baszkowski Andrzej (zm. 12.12.2021) Bendke Barbara (zm. 2016) Bieniek (zm. 2016) Borsukiewicz Jacek (zm. 08.01.2021) Buczowski Leszek	C	D Dolata Michał (zm. 2012)
E/F	G Gałęcka Maria Gawrońska-Deja Teresa Gieras Wiesława Góreczna-Derewianka Anna (zm. 18.03.2017) Guzek Marek	H Halicki Leszek Handke Jan (zm. 9.05.2016) Hyży Andrzej	J Janaszek Piotr (zginął tragicznie, 1998) Janowski Włodzimierz Jurga Wiesław
K Kaczorowski Eugeniusz Kasprzak-Bąk Krystyna (zm. 30.08.2023) Kozłowski Winicjusz	L/L Linke Krzysztof (zm. nagle 16.12.2016) Łobodzińska- Gabis Krystyna	M Mieszała-Dolata Anna Michałek-Grodzki Wojciech Mizerny Maria (zm.3.10.2020) Mikuła-Telenga Henryka (zawał serca dwa dni po naszym zjeździe 50-lecia)	N Nagalewski Józef Nowacka Lucyna
O	P Pawlak Andrzej (zm. 6.04.2024) Petrykowski Kazimierz	R Raicomar Prethoraj Rożek Jerzy (zm. 31.10.2022) Rzadkowska-Bogusz Maria	S Sharifi Ahmed Stawna Grażyna (zm. 8.9.2015)

	Pluciński Henryk Pupek-Musialik Danuta (zm. 16 grudnia 2019)		Stawny Bolesław (zm. 14.07.2022) Stasik Andrzej Stemerowicz Elżbieta (zm. 2016) Stróżyński Aleksander Szereszewski Ludwik Krzysztof (zm. 05.09.1971)
T Tuszewski Marek (zm. 1998)	U Urbański Krzysztof (zm. 2014)	W Wasielica Mieczysław (zm. 12.12.2023)	Z Zgrajek Jerzy (zm.25.11.2024)

Śp. Absolwenci Oddziału Stomatologii

Barbara Dreszer-Wasielica
Ryszard Forajta (Wyszanów)
Barbara Kujawa-Pietruszewska ca
Michał Mormel
Zdzisław Rybski – Szpital przy ul. Zawady
Roman Zommer
Maria Jankowska zm. 7.04.2023

ODNOWIENIE DYPLOMÓW PO 50 LATACH

Na stronie internetowej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu podano:

W dniu 17 września 2021 r. w Centrum Kongresowo-Dydaktycznym UMP odbyła się Uroczystość Odnowienia Dyplomów po 50 latach pracy Lekarza i Lekarza denty.

W uroczystości uczestniczyła Pani prof. dr hab. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz - Prorektor ds. Organizacji, Promocji i Rozwoju Uczelni, reprezentująca JM Rektora prof. dra hab. Andrzeja Tykarskiego, Pani Prodzikan Wydziału Lekarskiego - dr hab. Anna Mania, oraz Pani Prodzikan Wydziału Medycznego - dr hab. Agnieszka Przysańska.

W uroczystości odnowienia wzięło udział 105 absolwentów kierunku lekarskiego oraz 21 absolwentów kierunku lekarsko-dentystycznego - rocznik 1965-1971.

Naszym Absolwentom życzymy jeszcze wielu lat w zdrowiu i szczęściu!



zdj z: [Odnowienie Dyplomów po 50 latach - Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu](https://www.ump.edu.pl/aktualnosci/odnowienie-dyplomow-po-50-latach-6)

<https://www.ump.edu.pl/aktualnosci/odnowienie-dyplomow-po-50-latach-6> [dostęp 09.06. 2025]

OPOWIEŚCI KOLEŻANEK I KOLEGÓW (PO 44- 54 LATACH OD UKOŃCZENIA STUDIÓW)

„Dobre czasy to nie te, w których się żyło, ale które się wspomina”.

Wiesław Myśliwski, Ostatnie rozdanie, Wydawnictwo: Znak, I wyd. 2013, II wyd.: 2019

Wiesław Myśliwski (ur. 25 marca 1932 w Dwikożach) – polski pisarz, dwukrotny laureat Nagrody Literackiej „Nike” (1997, 2007). W polskiej literaturze Wiesław Myśliwski uważany jest za reprezentanta nurtu chłopskiego, choć jego utwory znacząco wykraczają poza to pojęcie. Tematyka moralna, egzystencjalna, swoiste poczucie odpowiedzialności bohaterów za siebie i innych lokują jego prozę i dramaturgię wśród uniwersalnych przypowieści o skomplikowanej naturze świata i nieprzewidywalnym ludzkim losie. <https://culture.pl/pl/tworca/wieslaw-mysliwski>

Jak podano we WPROWADZENIU: Koleżanki i koledzy spisywali przedstawione poniżej wspomnienia od 2015 r. ale niektórzy już znacznie wcześniej. Podane są tu całe teksty w wersji całkowicie oryginalnej tj. bez ingerencji w treść, styl a jedynie czasem uzupełniane informacjami (nawiasy kwadratowe) które czytelnikom z młodszych pokoleń mogą wyjaśnić opisane miejsca czy zdarzenia. Z uwagi na znaczną odległość czasową od podawanych faktów możliwe są pewne nieścisłości w poszczególnych relacjach gdyż pamięć jest ulotna a też potrafi „płatać figle” zmieniając i zapisując trwale to co się działo dawniej. Jednocześnie, tak jak pisze ulubiony przez wielu pisarz Wiesław Myśliwski, którego myśl zamieszczono na wstępie - czas studiów z tej odległej perspektywy zda się jest pozbawiony tamtego „pazura” lęków przed ogromem koniecznej do przyswojenia wiedzy, często

przerażenia, że się nie da rady a pierwszego roku studiów medycznych nie można było wtedy potarzać. Rozpoczynając studia mieliśmy zaledwie 18 lat (nieliczni 17), gdyż maturę wówczas się uzyskiwało w tym wieku. Szczególnie na początku studiów wielu z nas którzy przybyli z mniejszych miejscowości czuło się zagubionymi w wielkim mieście jakim jawił się Poznań. Sytuację pogarszały niekiedy skrajnie trudne warunki życia na stacjach a szczególnie w akademikach. Oddaleni od domu i bliskich nie czuli ich wsparcia. Byliśmy tak młodzi, że nie czuliśmy urody tego wieku tym bardziej, że często „buzowały w nas” typowe młodzieńcze emocje jak porzucenie przez dziewczynę czy chłopaka. Wobec zamknięcia „za żelazną kurtyną” i „przaśnych” czasów PRL-u właściwie nie istniał problem nadążania za modą choć niektóre dziewczyny malowały we wzory bawełniane pończochy. Na szczęście nie były to czasy mediów społecznościowych i nie doświadczaliśmy hejtu. Jednak późniejsze doświadczenia zawodowe, bezmierne trudy bycia lekarzem, liczne problemy rodzinne czy zdrowotne zatęrzyły te ostre rysy czasu studiów, pozostały wspomnienia właściwie miękkie i łagodne a czasem nawet wspominane z pewnym rozczuleniem.....

I oto czas na zaprezentowanie indywidualnych opowieści Koleżanek i Kolegów:

Aleksandra Arndt

Dlaczego medycyna? Wówczas nie wiedziałam, kim chcę być. Zdecydowanie miałam zdolności matematyczne, ale raczej chciałam pracować z ludźmi. Psychologia? Pedagogika? Medycyna? I wówczas mój ojciec, który pracował od zawsze na kolei – w biurze – powiedział bardzo chciałbym, żebyś była lekarzem. Dobrze, chcesz to postaram się żebyś miał lekarza.

Egzamin wstępny zdawałam w 1964 roku (jestem rocznik 46, nie poszłam do szkoły od 6 lat). Egzamin okazał się dla mnie dość dziwny. Nie miałam żadnych znajomości, przecieków też nie było. Nie było Internetu, a nawet telefony często nie działały. Egzamin ustny: wchodzę na salę. Za wielkim stołem siedzi kilka osób (dzisiaj nie jestem pewna 7-8). Wszyscy raczej przyjaźni. Siadam na krześle dla kandydata. Zaczęła się rozmowa – dlaczego medycyna, ewentualnie jaka specjalizacja. Oczywiście pediatria, na pewno nie jakaś zabiegowa – nie mam talentu w tym kierunku. Czy chciałabym mieć samochód? Oczywiście, ale na razie mam rower i bardzo lubię na nim jeździć. Czy mam jakieś hobby? I jakie? Czytanie książek, słuchanie radia, szycie. Co ciekawego ostatnio słyszałam. Między innymi audycje Żabińskiego, które uwielbiałam. Ostatnia o mrówkach i doszłam aż do ewolucji. Następnie co wiem o węglowodanach. Bardziej lubię proste, czy złożone? Oczywiście proste – lubię słodyczne do dziś. Co wiem o Newtonie? Wiedziałam dużo. To jeden z tych niewytłumaczalnych w zwykły sposób przypadków. W liceum na lekcje wychowawczą pisałam artykuł o Newtonie. W tamtych czasach bardzo trudno było znaleźć w polskiej literaturze cokolwiek o tym genialnym człowieku. Bardzo musiałam się naszukać w bibliotekach, ale się udało. Padło też pytanie o prawa Newtona, ale to był drobiazg. Jak zakończyłam, że po śmierci został pochowany na cmentarzu Westminsterskim, to miałam wrażenie, że członkowie komisji byli usatysfakcjonowani, a chyba nawet zaskoczeni. Przewodniczący komisji powiedział, że dziękuję, a ja uznałam, że zakończyła się rozmowa, a teraz zacznie się egzamin. Powiedziałam też dziękuję, oczywiście za rozmowę i czekam na dalszy ciąg, ale ponownie usłyszałam dziękuję. Ponieważ wyglądałam na zdezorientowaną poprosili przedstawiciela organizacji studenckiej, żeby mnie wyprowadził. No i wyprowadził grzecznie. Myślałam, że idziemy dopiero teraz na egzamin w inne miejsce. I pytam dokąd teraz, a on mi mówi, że do domu, bo to był egzamin i bardzo dobrze ci poszło. Szok. Zdawałam egzamin nieświadomie, że to był egzamin.

Listę przyjętych poszedł sprawdzić mój tato. Opowiadał, że jak zobaczył mnie na liście przyjętych, to tak zaczęły mu się trząść ręce, że musiał je włożyć do kieszeni. Nie od razu uwierzyłam. Myślałam, że może pomylił listy. Przecież było tylu kandydatów na jedno miejsce. Jednak, kiedy następnego dnia

wysłałam do miasta i ludzie gratulowali mi, to uwierzyłam. W Gnieźnie ludzie o sobie wiedzieli dużo i wiadomości rozchodziły się bardzo szybko.

I zaczęło się. Październik – rozpoczęcie roku akademickiego. A potem biegi na zajęcia. Kłopoty ze zdążeniem, bo tramwaje jeździły bardzo niepunktualnie, a często nie mogłam do nich wejść, bo były zatłoczone. Uroki wielkiego miasta. Nie trwało to długo, bo po badaniach lekarskich do wojska okazało się, że choruję na gruźlicę. Świat się zawalił. Trzeba zrezygnować ze studiów i jechać do sanatorium przeciwgruźliczego – konieczny roczny urlop dziekański. Wyryczałam się i pojechałam. Nie było wyjścia. Potem okazało się, że nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Pół roku w Zakopanem w Sanatorium Akademickim, gdzie poznałam wiele wspaniałych osób również chorych. To historia na inne opowiadanie.

Po roku wróciłam na studia na super rok. Jak się potem okazało był to najlepszy powojenny rok na Akademii Medycznej. Tak ocenił to ówczesny rektor prof. Witold Michałkiewicz na Dyplomatorium. Myślę że do dzisiaj nie było lepszego roku. Wszyscy chcieli być dobrzy, a nawet bardzo dobrzy. Należeliśmy do wielu kół naukowych, żeby więcej umieć i chyba umiemy. Przedmioty normalne i dziwne: np. matematyka – dla mnie drobiazg – jestem umysłem ścisłym. Natomiast filozofia to już wysokie progi. Zawsze podziwiałam Leszka Milanowskiego, jak dyskutował z panią magister.

Wojsko dla „inwalidów” - bez większych zaskoczeń. Marzec 1968 – chyba też zdaliśmy egzamin. Pamiętam wystąpienie Piotra Janaszka – mądre i odważne.

Dzięki gruźlicy mieszkaliśmy jak na tamte czasy w warunkach niemal komfortowych - w półsanatorium akademickim - dobre warunki mieszkaniowe i ponadstandardowe wyżywienie. Studenci ze wszystkich uczelni. Byliśmy zaprzyjaźnieni, ale wśród nich miałam opinię kujona. Nikt nie musiał się tyle uczyć co studenci medycyny.

Dziwne egzaminy - chemia. Właściwie byłam średnia, ale przed wejściem na egzamin powtórzyłam sobie kilka tematów i z nich miałam pytania i bardzo dobry. To jeden z tych nieprawdopodobnych przypadków, które mi się przydarzyły.

Parazytologia - prof. Czesław Gerwel - postrach zdających. Chodziła fama, że trzeba zachować się na poziomie. Znać *savoir-vivre*. Nie trzeba było też mieć biżuterii, a ja miałam dość duży pierścionek, który dostałam po maturze od mojej chrzestnej. Wydawało mi się, że mi przynosi szczęście, ale strach przeważał i dałam go Markowi na przechowanie. Weszliśmy na egzamin w czwórkę: Ela, Andrzej, Marek i ja. Chłopcy podstawili nam krzesła i wrywali indeksy z ręki, żeby je podać profesorowi. Musiało to dziwnie wyglądać, bo po chwili naszych pokazów profesor powiedział żebyśmy przestali się wygłupiać. Zdaliśmy wszyscy. Ja trochę lepiej od Marka, który miał mój pierścionek, więc uznałam, że raczej szczęścia nie przynosi i więcej już go nie nosiłam.

Większość egzaminów szła normalnie i raczej dobrze.

Psychiatria - do dzisiaj nie do końca dla mnie zrozumiała. Przed egzaminem poszłam na giełdę. Przyszła też Danką i okazało się, że w tym dniu miała termin egzaminu, no więc odważnie weszła. Chodziły słuchy, że profesor ma psa, którego kocha i czasem przyprawdza go do kliniki. I jeżeli są wtedy egzaminy to łatwiej zdać. Kiedy Danką wyszła z egzaminu, to pierwsze pytanie – zdałaś? - tak. A był pies (Danką oczywiście o psie nie słyszała), taki pies to on dzisiaj nie był.

Ostatni egzamin – choroby zakaźne – zdany. Jestem lekarzem!

Praktyki – pierwsze tzw. pielęgniarskie – w Szpitalu Pediatrycznym Marii Magdaleny (teraz tam jest szkoła). Pamiętam dzieci, które nosiłam na rękach, ocierałam im łzy, karmiłam i dawałam im zastrzyki

- ogromne doświadczenie. Druga praktyka – w Klinice Ginekologicznej przy ul. Engla [obecnie: Szpital Ginekologiczno-Położniczy im. Św. Rodziny przy ul. Jarochońskiego 18; nastąpiła zmiana nazwy ulicy] – wiele wrażeń i cennych doświadczeń. Trzecia praktyka – Szpital Powiatowy w Gnieźnie. Byłam traktowana prawie jak lekarz - pierwsza duża odpowiedzialność. Po piątym roku praktyka zorganizowana w NRD [Niemiecka Republika Demokratyczna (oficjalny skrót NRD; niem. Deutsche Demokratische Republik, DDR, potocznie Niemcy Wschodnie) – istniejące w Europie środkowej w latach 1949–1990 państwo niemieckie powstałe 7 października 1949 roku na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej (niem. Sowjetische Besatzungszone in Deutschland, SBZ) będące częścią bloku wschodniego. Likwidacja NRD nastąpiła 3 października 1990 roku, gdy powstałe w miejsce NRD landy przystąpiły do RFN tworząc zjednoczone Niemcy] w Halle. Praktyka dobrze zorganizowana i kilka zaskoczeń. W ówczesnym NRD być lekarzem, to był biznes. Szpital jak u nas, czyli normalnie. Po praktyce, do Poznania przyjechał ordynator oddziału pediatrycznego (tam miałam praktykę). Razem z Danką oprowadzałyśmy go po mieście. Na Starym Rynku przy Farze [Bazylika kolegiacka Matki Bożej Nieustającej Pomocy, św. Marii Magdaleny i św. Stanisława Biskupa w Poznaniu (także pod nazwą: Fara Poznańska, od niem. Pfarre, Pfarrei, Pfarrkirche, czyli probostwo, parafia) barokowy kościół farny i zarazem kolegiacki] spytał, czy możemy wejść do kościoła i czy nie będę miała później kłopotów. Odpowiedziałam, że chodzę do kościoła, bo jestem katoliczką. Dla niego było to zaskakujące. W NRD ludzie, którzy chcieli coś osiągnąć albo skończyć dobre studia, nie mogli chodzić do kościoła.

A teraz te przykre wspomnienia: Piotr Janaszek [1947-1998] – osobowość – same miłe wspomnienia, Andrzej Hyży [1947-2004] – czułam się z nim zaprzyjaźniona i jego śmierć dotknęła mnie bardzo. Miał „hollywoodzki” uśmiech, mówiliśmy, że mógł jeść szparagi w poprzek. Po raz ostatni spotkałam go w windzie hotelu pielęgniarskiego, a potem rozmawialiśmy chyba ze dwie godziny. Nie przypuszczałam, że to nasze ostatnie spotkanie.

Zjazdy absolwentów super. Najciekawszy był pierwszy, po wielu latach od skończenia studiów. Nie wszyscy mogliśmy się poznać, ale po krótkich chwilach byliśmy jak za dawnych czasów, jakby tych lat które upłynęły nie było. I tak jest nadal. Każdy zjazd to spotkanie z ludźmi bliskimi takimi, na których można liczyć i wśród których czujemy się dobrze jak wśród przyjaciół.

Moja praca: Inowrocław. Miałam stypendium fundowane od trzeciego roku studiów i trzeba było odrobić. We wrześniu wylądowałam tam na staż. Niby wybór, ale trochę jak zesłanie na obczyznę. Mieszkanie z przydziału - stary budynek w samym centrum (teraz jest tam stacja benzynowa i McDonald's, stary budynek zburzony). Mieszkanie na poddaszu, w kranie zimna woda i to nie zawsze. Ubikacja na korytarzu, łazienki brak. Ogrzewanie - to piece węglowe i trzeba się było starać o węgiel. Mimo palenia w piecu to zimą w nocy temperatura 10-11 stopni. Mieszkłam nad Poradnią Przeciwwgruźliczą, oczywiście z aparatem RTG, nie wiem jak było z ochroną radiologiczną. Nikt nie wiedział. Jeden plus to bardzo sympatyczna rodzina mieszkająca obok. Nowe mieszkanie spółdzielcze kupiłam po 2 latach. W międzyczasie jeszcze kilka miesięcy mieszkłam w gabinecie w nowej poradni na osiedlu. Miałam łóżko szpitalne, nocny stolik, wieszak i pełno kartonów. Poprzednie mieszkanie musiałam opuścić. Moje nowe mieszkanie, to 1 pokój, kuchnia i nareszcie łazienka z WC. Jakoś się urządziłam. Kupione wtedy meble mam do dzisiaj.

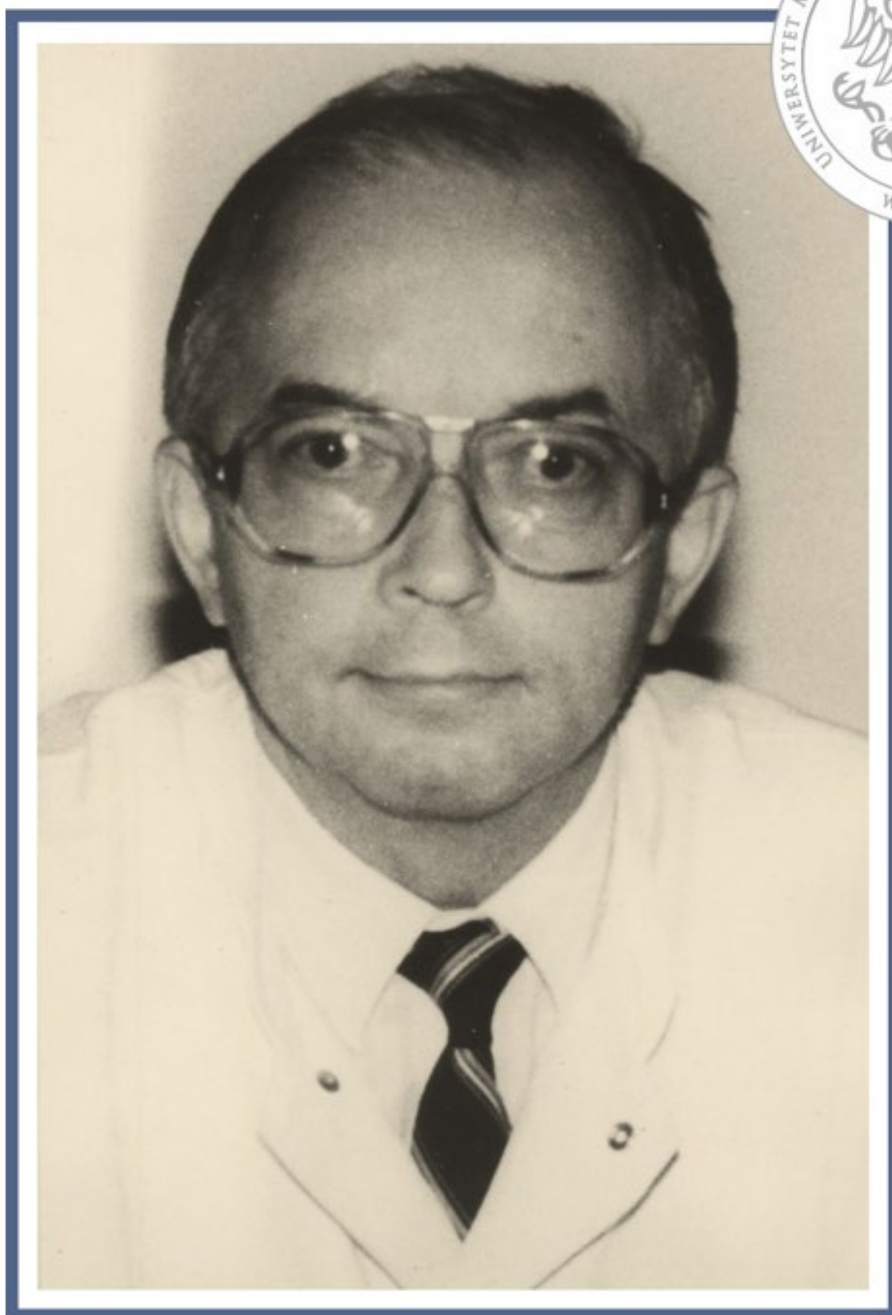
Staż w szpitalu powiatowym był ogromnym doświadczeniem. Chirurgia - operacje prawie codziennie. „Stanie na hakach”. I oczywiście całe prowadzenie historii chorób. Wielu super-chirurgów, którzy chcieli nauczyć nas jak najwięcej. Interna – mnóstwo ciekawych przypadków, wiele nauki na bieżąco. Ginekologia – zabiegi jak na chirurgii, „stanie na hakach”. Porody odbierane pod okiem specjalistów. Pediatria - moje ukochane. Pamiętam do dzisiaj wielu małych pacjentów. Byłam nie tylko ich lekarzem, ale i przyjaciółką. Jednak największe doświadczenie to dyżury w ogólnej izbie przyjęć. O

wszystkim musiałam decydować sama, bo specjaliści byli pod telefonem lub zajęci np. na sali operacyjnej. Jednak największe doświadczenie to Pogotowie Ratunkowe, gdzie się załatwiało wszystko.

Specjalizacja - oczywiście pediatria. Okazało się jednak, że to nie takie proste, że jest jedno miejsce i oczywiście nie dla mnie, bo ja nie byłam „swoja”. Sprzyjał mi tylko ordynator pediatrii, ale niestety to było za mało. Dostałam 3 inne propozycje: radiologia – wtedy tylko ocena zdjęć RTG i niewielki kontakt z pacjentem; analityka - to samo. Obie specjalizacje nie dla mnie. Dermatologia - jedyna kliniczna i kontakt z pacjentem na co dzień. Postanowiłam zrobić tę specjalizację, a potem oczywiście pediatrię. Specjalizacja odbywała się w szpitalu dermatologicznym w Bydgoszczy. Pierwsza wizyta w szpitalu - dużym oddzielnym budynku - pierwsze wrażenie dobre, ale mimo wszystko byłam do wszystkiego i wszystkich nastawiona sceptycznie, przecież to nie pediatria. Jednak po kilku pobytach (dojeżdżałam 1 raz w tygodniu), trafiłam do niezwykłego miejsca i niezwykłych ludzi zafascynowanych dermatologią. Szef – doc. Kozłowski – wspaniały człowiek z ogromną wiedzą i świetny dydaktyk. Po jakimś czasie zauważyłam, że dermatologii uczę się „mimo woli”. Zarazili mnie dermatologią. Odbywałam też staże stacjonarne w Bydgoszczy i w Warszawie. W Inowrocławiu był jedyny dermatolog pracujący tam „od zawsze” (starszy pan dobrze po sześćdziesiątce), starał się nie dopuścić nikogo nowego do zrobienia specjalizacji. Kilku lekarzy, którzy usiłowali jednak zostać dermatologami przede mną, nie wytrzymywali złej atmosfery i rezygnowali. Byłam pierwsza, która się zaparła i mimo wszystkich przeciwności zrobiła specjalizację – I stopień. W czasie robienia specjalizacji kilka miesięcy pracowałam jako lekarz zakładowy w Zakładach Sodowych w Janikowie pod Inowrocławiem. W zamian za to, że zgodziłam się dojeżdżać (był to wówczas wyczyn - Janikowo niby blisko, ale trzeba było dojechać do dworca autobusem, który albo jechał, albo nie, albo dojść pieszo, a potem pociągiem, który zwykle się spóźniał - dobrze jak 15 minut, ale bywało 30-60 minut). Dyrektor zakładów zgodził się przysyłać samochód, o ile akurat nie był potrzebny gdzie indziej, albo karetkę, która akurat była w mieście. Po miesiącu niespodzianka: zesłam do czekającego samochodu, a zza węgła wyszedł ponury mężczyzna i spytał kim ja jestem, że ten samochód po mnie przyjechał. Zamurowało mnie i niepewnie powiedziałam, że jestem tylko lekarzem. Okazało się, że pan jest jakimś ważnym sekretarzem partii [Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, PZPR – hegemonistyczna partia komunistyczna utworzona 15 grudnia 1948, poprzez połączenie Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, po przeprowadzeniu czystek w ich szeregach. Określana również jako realno-socjalistyczna, sprawująca rządy w PRL w latach 1948-1989. Istniała do 29 stycznia 1990 r.] i od następnego dnia dojeżdżałam już na starych zasadach. Trwało to 3 miesiące. Potem 3 miesiące dojeżdżałam go Gniewkowa jako „specjalist” pediatra. Po każdym powrocie do domu nauka, książki, doczytywanie na temat przyjętych przypadków (20-30) dzieci dziennie. Dużo stresu, ale też wiele satysfakcji. Po tym czasie powrót do Inowrocławia na rejon, gdzie pracowałam na etacie, a dodatkowo jeszcze w poradni dermatologicznej jako specjalista. Po kilku miesiącach pracy w Gniewkowie miałam dużą satysfakcję, bo od pielęgniarki z którą pracowałam w Pogotowiu dowiedziałam się, że mieszkańcy Gniewkowa napisali list do komitetu partii, żebym została u nich jako pediatra. Dalej robiłam dermatologię. Jedynek zdawałam w Warszawie i poszło dobrze a nawet lepiej niż się spodziewał doc. Kozłowski, bo ku mojemu zdziwieniu wręczył mi kwiaty, które otrzymał od zdających. Kiedy opowiedziałam o tym w Bydgoszczy, to nikt nie chciał wierzyć, bo nie był on wylewny w stosunku do kobiet. Nie wiem, czy była większa satysfakcja ze zdanego egzaminu, czy docenienia przez szefa.

Oczywiście wydawało mi się normalne, że będę teraz robiła dwójkę, ale okazało się że w Inowrocławiu jest to niemożliwe, bo jak mi powiedziano w dyrekcji, drugostopniowiec nie jest potrzebny, a mnie zbyt często nie byłoby w pracy. Zmieniłam pracę na sanatorium, gdzie mi zaproponowano zrobienie specjalizacji z interny. Rozpoczęłam, ale miłość do dermatologii pozostała.

Nie pozostało nic innego, tylko trzeba było zmienić miejsce zamieszkania na większe miasto. I znowu schody. Zamienić mieszkanie to prawie rzecz niewykonalna. I tu ponownie sytuacja nie do wytłumaczenia w sposób racjonalny. Rzadko czytałam gazety, a nigdy ogłoszenia. I nagle wpadła mi w ręce gazeta z ogłoszeniem o zamianie mieszkania z Poznania na Inowrocław. Starsza pani chciała się przenieść do Inowrocławia, gdzie mieszkali jej dzieci. Ze zgłoszonych ofert wybrała moją, bo mieszkanie było na parterze, a ona miała jeszcze psa. Moje jednopokojowe w Inowrocławiu zamieniłam na dwupokojowe w Poznaniu. Myślę, że to nie było bez interwencji „z góry”. Przed wyjazdem spotkała mnie jeszcze jedna przyjemna niespodzianka. Do gabinetu przyszła pani z 7-letnim chłopcem. Wyjaśniła mi, że przyszła tylko po to, żeby swojemu synkowi przedstawić lekarkę, która uratowała mu życie i dzięki któremu jest zdrowy. Przypomniała mi, że byłam u niego na wizycie jako lekarz Pogotowia. Byłam już trzecim lekarzem tego dnia. Matka była zaniepokojona tym, że dziecko jest dziwnie niespokojne, ma stan podgorączkowy i „dziwnie” płacze. Zbadałam bardzo dokładnie. Żadnych uchwytnych odchyleń, tylko w czasie ruchu główką dziwny, krzykliwy płacz. Przypomniało mi się – płacz, krzyk mózgowy. Zapalenie mózgu? Zawiozłam dziecko do szpitala. Następnego dnia ordynator pediatrii pogratulował mi rozpoznania. Dziecko uratowali i to był właśnie ten chłopczyk. Poznań. Pierwsza praca w poradni dermatologicznej przy ul. Grochowskiej. Chcę zrobić dwójkę. Chciałam robić specjalizację na wolontariacie, ale niestety w Klinice Dermatologii przy ul. Przybyszewskiego nie zgodzono się. Szukałam dalej. Szpital Wojewódzki na Lutyckiej. Rozmowa z ordynatorem dr Jerzym Zabłem [był bratem kolegi z Naszego Roku prof. Macieja Zabła] krótka. Wolontariat – nie, ale będzie wolny etat i jeżeli chcę to za miesiąc mogę podjąć pracę i rozpocząć specjalizację. Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, czy ponownie pomoc z „góry”. Pracowałam również w poradni przyszpitalnej, gdzie pacjent był tylko „mój”. Atmosfera w pracy była super. Mówi się, że „jaki pan taki kram”. Ten kram był po prostu dobry. Do dzisiaj przyjaźnimy się. Dwójkę zdałam w Warszawie jedyny egzamin zdany na celująco. Potem nastąpiły zmiany. Docent Jerzy Zabel [1942-1997; habilitacja: Jerzy Zabel: Badania nad rolą testosteronu w patogenezie trądzika pospolitego. 1982, wyd. AM w Poznaniu. Patron: doc. dr hab. med. Jerzy Bowszyc] umarł, a ja zaczęłam pracować tylko w poradni na kontrakcie, gdzie pracuję do dzisiaj. Praca dawała mi satysfakcję i nadal tak jest mimo, że czasami jest trudno. Mogę powiedzieć, że zdecydowanie zawodowo miałam w życiu szczęście i mogę powiedzieć, że to dzięki Bogu. Na koniec jeszcze jedno ważne wspomnienie tego czasu. Byłam jedną z osób, które zakładały w szpitalu „Solidarność”. Byłam Przewodniczącą Komisji Informacji i Propagandy. To była ważna komisja. I do dzisiaj uważam, że miałam dużo szczęścia, że nie byłam internowana, ani nikt z naszej organizacji w szpitalu. Dzisiaj nie jest to już moja organizacja, a ja jestem Polką gorszego ‘sortu’ a pewnie nawet najgorszego. Mam jednak nadzieję, że lekarzem jestem z dobrego ‘sortu’. No przecież z takiego roku.



Jerzy Zabel

Alina Mróz-Urbańska – żona kolegi z naszego roku śp. Krzysztofa Urbańskiego

Egzamin wstępny zdawałam w sali wykładowej Kliniki Ginekologiczno-Położniczej przy ul. Polnej (zdawaliśmy w grupach - podział był alfabetyczny). Przed wejściem na salę poznałam Marlenę Małecką i Jacka Ratajskiego. Porozmawialiśmy o biologii, wykładowcach.

Egzamin ustny zdawałam przed komisją w której była doc. Halina Karoń. Pytano mnie o liceum do którego uczęszczałam, o złoża ropy naftowej w Polsce i o nazwisko ambasadora amerykańskiego w Wietnamie.

Pierwszy rok, to przede wszystkim anatomia prawidłowa. Byłam w XIII grupie u dr. Sobusiaka. W mojej grupie byli również: Krysia Broniarz, Marysia Mizerny, Kinga Plucińska, Barbara Wenda, Tadeusz Kaczmarek, Piotr Drews, Krzysztof Urbański, Henryk Zdun, Aniela Groszkowska, Małgorzata Krajewska, Zygmunt Dorożyński.

Preparowanie zwłok odbywało się „na ochotnika”. Na szczęście chętnych nie brakowało.

Matematyka - pierwsze kolokwium, prawie wszyscy oblali. Przy drugim było znacznie lepiej. Nikt nie musiał zdawać egzaminu.

Mieszkłam w domu rodzinnym w Poznaniu. Chętnie bywałam w akademiku przy ul. Wawrzyniaka. Na korytarzu przy oknie, z Anielą Groszkowską przygotowywałyśmy się do egzaminów.

Wojsko. Marzyło mi się zwolnienie z wojska. Na strzelnicy zamiast „gola” [oceny niedostatecznej] (chciałam udowodnić, że nie widzę, nosiłam okulary), dostałam piątkę i pochwałę za odwagę. Gorzej było na zajęciach z musztry. Na komendę, kiedy mnie wywołano po nazwisku nie odpowiedziałam „tak jest”, a „słucham”. Dostałam do powtórnego nauczania się regulaminów I po dwóch tygodniach zdawałam regulamin z musztry.

Praktyki wakacyjne: po drugim roku w laboratorium w II Klinice Pediatrycznej Marii Magdaleny. Była ze mną Krysia Graduszevska, Basia Mrugasiewicz, Roma Wojtyniak, Paweł Ratajczak. Kiedy rozpoczynaliśmy praktykę, kierownik laboratorium był na urlopie. Gdy wrócił z wakacji, nie był taki groźny, jak mówiono. Przywiózł wędzone węgorze i opowiadał dowcipy.

Nie żyją już nasi koledzy: Andrzej Hyży [1947-2004] – neurolog, dobry człowiek i uczynny kolega; Ludwik Krzysztof Szereszewski – pasjonat mikrobiologii. Miał kłopoty osobiste. W końcu udało mu się odebrać sobie życie (było to po studiach w czasie stażu podyplomowego) [zmarł 10.09.1971 r., krótko po uzyskaniu dyplomu lekarza – podobno reakcja na zgon pacjenta, którym się opiekował; pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie; zwraca uwagę duży grobowiec ze zdjęciami w którym został pochowany – i to pośrodku grobów rodziców, przed których został zaadoptowany; o czym nam nie mówił].

Jestem pediatrą. Całe życie mieszkam w Poznaniu. Pracuję w Przychodni Lekarza Rodzinnego. Za mąż wyszłam za kolegę z grupy – Krzysztofa Urbańskiego w kwietniu 1972 r. Krzysztof zmarł 20 kwietnia 2014 r. - 9 dni przed naszą 42 rocznicą ślubu. Mam jednego syna i jednego wnuka.

Andrzej Cent

Pióro już „ciężkie” a pamięć ulotna, z tego też powodu tylko kilka wyrwanych wspomnień.

1. Egzamin wstępny. Świetna pomoc Andrzeja Baszkowskiego z biologii (Andrzej – dzięki!). Pytania „na inteligencję” miałem dwa: - kto napisał Eneidę? (Przerabiałem akurat w liceum). - dlaczego Finlandia nie przyjęła pianin „Calisia”? (po fińsku to dolna część bielizny męskiej). Pytań z fizyki i chemii nie pamiętam, ale już zupełną zagadką jest to, jak mogłem zdać egzamin z języka obcego? Przecież do dziś żadnego nie znam! Zdanie egzaminu wstępnego to musiał być po prostu „zwykły” cud.

2. W akademiku na ul. Grunwaldzkiej 88 (baraki), mieszkalem rok. W każdym barakopokoju mieszkało trzech studentów. Ja mieszkalem z Kazikiem Petrykowskim (późniejszym starostą naszego roku) oraz z Winicjuszem (Maćkiem) Kozłowskim [był bardzo aktywny fizycznie; zmarł tragicznie w 2005 roku: jadąc rowerem został potrącony przez samochód]. Następne cztery lata to stacja na ul. Szamarzewskiego.

3. Rok 1968. Wiec przed Urzędem Wojewódzkim w Alejach Niepodległości – była tam delegacja studentów z Warszawy. Po południu zbiegowisko przed zamkiem [Centrum Kultury "Zamek" to jedna z największych tego rodzaju instytucji w kraju, a w Poznaniu największy ośrodek upowszechniania kultury, która swój program kieruje do szerokiego grona odbiorców. Każdego roku odbywa się tu około 700 imprez: wystaw, koncertów, seansów filmowych, spektakli teatralnych, spotkań, warsztatów edukacyjnych i wiele innych wydarzeń kulturalnych. „Zamek” realizuje również imprezy plenerowe: „Imieniny Ulicy Święty Marcin”, Jarmark Świętojański, sylwester miejski oraz finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. „Zamek”, będąc jednostką samorządowa, włącza się w ważne poznańskie przedsięwzięcia, jest otwarty na inicjatywy różnych środowisk, a także współpracuje z wieloma instytucjami i ośrodkami kulturalnymi z miasta, kraju oraz z zagranicy]. Zaczęło się pałowanie. Uciekliśmy na trzecie piętro jakiegoś budynku. Przed nami wejście na strych zamknięte na kłódkę. Przypomnieliśmy sobie wszystkie zapomniane modlitwy. Zomowcy [Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej (ZOMO) – oddziały Milicji Obywatelskiej powołane w drugiej połowie 1956 (po Poznańskim Czerwcu) do zaprowadzania porządku w sytuacjach wyjątkowych (dosł. „likwidacji zbiorowych naruszeń porządku publicznego”), a także do udzielania pomocy ludności w czasie klęsk żywiołowych i ochrony imprez masowych] złapali jednak kogoś na parterze i nam dali spokój.

4. Po studiach. Rodzina – Żona i dwie córki. Obie skończyły prawo i mieszkają w Poznaniu.

My mieszkamy w Cekowie Kolonii i jesteśmy na emeryturze – czyli nareszcie wolni. Casy studenckie wspominam bardzo miło. Dorosłość jest przereklamowana. To pułapka! Pozdrawiam Andrzej

Andrzej Kupczyk

Relacja z rozmowy z Jerzym T. Marcinkowskim. Andrzej opowiada:

Jak każdy z nas wybierając kierunek studiów nie miałem większego rozeznania, ale czułem, że lekarski kierunek studiów będzie mi odpowiadał. W mojej rodzinie kuzynka i kuzyn byli lekarzami. Kuzynem mego ojca był Ewald Kupczyk - ojciec Krzysia Kupczyka z którym razem studiowaliśmy.

Mój syn Wojciech poszedł na medycynę – ukończył studia i jest chirurgiem. Córka natomiast skończyła anglistykę i jest w Anglii.

Z całych studiów najbardziej utkwiał mi w pamięci pierwszy rok – gdzie bardzo trudno było mi się zaadaptować – na przykład prosektorium gdzie do wszystkiego musiałem się przyzwyczajać – a asystenci na anatomii prawidłowej byli bardzo wymagający. Ale w miarę upływu czasu dopiero zacząłem rozumieć do czego należy przywiązywać większą wagę a do czego mniejszą, jak wychowanie fizyczne, Studium Języków Obcych.

Marzec 1968 roku – utkwili mi w pamięci słowa jak do nas przemawiano gdy nas zebrali dużej sali wykładowej szpitala przy ul. Przybyszewskiego i jeden z profesorów bardzo mądrze powiedział – sens jego wypowiedzi był taki: teraz jest sesja, macie egzaminy, przyłóżcie się do nauki, bo to co się dzieje wy i tak tego w tym momencie nie zrozumiecie – przekazał nam na te swoje możliwości i na tamte czasy bardzo dużo.

Mam II stopień z interny oraz pierwszy stopień z medycyny społecznej. Pracuję jako lekarz rodzinny – NZOZ 'Eskulap' w Ostrowie Wielkopolskim [NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ ZESPÓŁ LEKARZY RODZINNYCH "ESKULAP" S.C. ANDRZEJ KUPCZYK]. Moim największym marzeniem i osiągnięciem było zdobycie 2 stopnia specjalizacji z chorób wewnętrznych.

Młodym bym przekazał, że studia medyczne nie tylko dłużej trwają bo 6 lat w porównaniu z 5 np. na Uniwersytecie, ale należą do najtrudniejszych gdyż jest dużo materiału do opanowania. Za naszych czasów trzeba było wszystko opanowywać pamięciowo. Obecnie jest taka możliwość że na studiach można mieć także indywidualny tok studiów. Obecnie wymaga się od studenta procesu kojarzeniowego. Dawniej, też kiedy my studiowaliśmy trzeba się było podręcznika nauczyć prawie na pamięć a obecnie wymaga się od studenta głównie myślenia i kojarzenia. Sam układ pytań testowych

na egzaminie to zupełnie coś innego niż na egzaminie ustnym na którym egzaminujący już na samym początku wie z kim ma do czynienia, czy egzaminowany ma jakiś zasób wiadomości, czy ich nie ma. Na teście masz bazę wiadomości, ale musisz sobie wyrobić schemat wynajdywania różnic w odpowiedziach. Oczywiście to zależy jaki jest rodzaj testu – bo są różne testy. Jeśli masz wiadomości to umiesz się poruszać w testach. Tego uczą obecne studia. Nasze studia, jak na tamte czasy, były na bardzo wysokim poziomie – już na praktykach dawały wiarę w siebie tylko; trzeba było tylko znaleźć odpowiednie środowisko. Studia dodawały nam jakby skrzydeł. Każdy zdane kolokwium, egzamin – to było dla nas bardzo dużo. A potem miało się latem aż miesiące 3 miesiące dla siebie – długie wakacje. Jednak przez jeden miesiąc z tych trzech trzeba było poświęcić na obowiązujące praktyki.

Uważam że rozmowy kwalifikacyjne jakie mieliśmy były bardzo ważne, bo wtedy nie jesteś jakimś zdającym numerem, tylko kimś z imienia i z nazwiska – i rozmawiasz na zasadzie patrzenia w oczy, nie jesteś bezosobowy. Przedstawiciele uczelni mogą adepta obejrzeć i przynajmniej wstępnie ocenić sposób jaki kojarzy, odpowiada, zachowuje się. A kandydat uczy się pewnych form zachowania, pewnej gradacji, że ty jesteś kandydatem, a ten ktoś, kto ciebie obecnie egzaminuje, w przeszłości to samo przechodził – i tylko dzięki swojej pracy i wytrwałości doszedł aż tak wysoko, że cię może teraz egzaminować.

Na studiach jednych profesorów się bałem, drugich lubiłem - ale przed wszystkimi miałem respekt. Ja nie wiem czy to nadal istnieje.

Doszedłem do wniosku, że pierwszy rok studiów, 'wycisk' jaki dostawaliśmy, miał swój cel – do było przygotowanie do przyszłej pracy z pacjentem, wskazywało jak być dobrym, nawet bardzo dobrym, ale jeszcze musisz się nie zagubić w kontaktach z pacjentem i oczywiście w życiu.

Moja prośba do organizatorów opieki zdrowotnej jest następująca: Oczywiście nie można się obyć bez dokumentacji medycznej, ale musi to mieć umiar. Jest jedno z praw Parkinsona, które mówi, że jak pracuje w przedsiębiorstwie 1000 osób to ta komórka może się oderwać i pracować sama dla siebie.

„Parkinsona prawo, teza głosząca zasadę żywiołowego wzrostu liczby urzędników w administracji publicznej bez względu na to, ile jest pracy do wykonania i jaka to jest praca; sformułowana przez C.N. Parkinsona (1909–93), bryt. wykładowcę nauk polit.; tezę tę, podaną w żartobliwej formie i wyrażoną w postaci „prawa”, zawarł Parkinson w artykule czasopisma „Economist” (1955); wyszydzając biurokrację, ukazywał jednocześnie przyczyny i skutki jej nadmiernego rozrostu”. <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/3954432>

Przeżyłem kolejne organizacje systemu opieki zdrowotnej a dostosowanie się nie było dla mnie łatwe – bardzo dużo przeżyłem z tego powodu.

Jest jednak podstawowa rzecz: nie traćmy z oczu pacjenta. Pacjent nie musi być dla nas miły czy kochać nas, my musimy być sobą ale wykazywać ogromne opanowanie a też tolerancję. Nie może być sytuacji, że ktoś przed tobą (najczęściej niewłaściwie zachowujący się personel przychodni czy szpitala) tę osobę, z którą teraz rozmawiasz, przedtem wyprowadził z równowagi – i ostatecznie wpływa to na ciebie – dlatego że w tym momencie podwinąłeś się 'pod rękę'. Trzeba być sobą, robić to co dla nas należy – to jest trudne. Tak samo jak w małżeństwie – trzeba to uczucie stale odnawiać, a to jest już najtrudniejsze.

W pracy lekarza rodzinnego widzisz w kółko tych samych pacjentów – którzy przychodzą żeby się wygadać, żeby w ciepłku posiedzieć gdy jest zima. Ale często jest to dla nich jedyna forma kontaktu społecznego szczególnie gdy w poczekalni znajduje się kilka osób i można porozmawiać a ponadto czasem tylko wizyta u empatycznego lekarza ma działanie terapeutyczne. Jeśli chodzi o zdrowie człowieka, to tak naprawdę ono zależy od czynników medycznych maksymalnie w 10 procentach, reszta to behavior, czyli styl życia i środowisko.

Dzisiaj jest technizacja medycyny i nasila wiara pacjentów w badania – dlatego nie szanuje się dostępności wysokospecjalistycznych badań dodatkowych – według badań w USA w około 80% te badania były zlecane ponadwymiarowo – z obawy aby nas pacjent nie skarżył, gdyż roszczeniowość pacjentów narasta. Obecnie specjalizacją, która cierpi na brak młodych kadr jest pediatria, bo dzieci są rozkoszne, ale ich mamusie już nie.

Kiedy człowiek ma wiele lat - lekarz kiedy staje się pacjentem to dostaje olśnienia kiedy stanie po drugiej stronie biurka – że ja też się tak kiedyś zachowywałem, odburknąłem, ‘zgasilem’ pacjenta. A to się okazuje że to potem do ciebie wraca.

Empatia – lekarze w naszym wieku muszą walczyć z empatią emocjonalną bo nasz mózg ustawia nas w roli tego pacjenta. Razem cierpi a czasem nawet płacze. Kiedy człowiek jest za bardzo empatyczny w tym wymiarze, albo traci tzw. ‘zdrowy rozum’ a czasem zaczyna przekraczać swoje możliwości i niepotrzebnie wchodzić w rzeczy które nie należą do naszej specjalizacji. Natomiast dla zrozumienia pacjenta ważna jest empatia poznawcza.

Nie możesz się gniewać na pacjenta, że on przeczytał wszystko co dostępne w Internecie, na doktora google, że odpowie tobie: ja do takich samych wniosków doszedłem gdy o moich objawach się obczytałem w Internecie. Ale jednak ten pacjent do ciebie przyszedł i potem nadal przychodzi....

My świadczymy usługi a pacjent może ale nie musi korzystać z naszych porad.

W porównaniu z początkowym okresem naszej pracy, obecnie wymagane są pisemne zgody pacjenta na wiele badań, często na różne formy terapii a szczególnie wtedy, gdy jest przerywana ciągłość tkanek. Lekarz musi tego bardzo pilnować, wzrasta bowiem liczba skarg – a potem w sądzie jest to bardzo potrzebne...

Ostatecznie na koniec mogę powiedzieć, też myśląc o sobie, że człowiek – lekarz ogólnie z wiekiem pokornieje.

Andrzej Świderczuk

Z Andrzejem (AŚ) rozmawia Jerzy T. Marcinkowski (JTM)

JTM. Andrzej, dlaczego wybrałeś medycynę?

AŚ. To trudne pytanie – bo chciałem iść na matematykę. Ale jeden z kolegów z mojej klasy „A” w „Marcinku” [I Liceum Ogólnokształcące im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu] Piotr Weymann rozwiązał zadanie na maturze bardzo trudne w ciągu zaledwie paru minut – i mi odeszła ochota od studiów matematyki

JTM. Pobudziłeś moje wspomnienia, bo przecież razem uczyliśmy się w słynnym Marcinku i teraz czytam o naszym Koledze o którym mówisz - odszedł już przed laty....

„Piotr Weymann: Nekrologi Opublikowane w Głos Wielkopolski. Choć odszedłeś cicho, / Wśród nas ciągle żyjesz. / I w naszych sercach/ Twoje serce bije. Dnia 7 lutego 2018 roku w wieku 70 lat, zmarł nasz ukochany Ojciec, Brat, Szwagier, Wuj i Przyjaciół śp. Piotr Weymann. Pogrzeb odbędzie się w czwartek, 15.02.2018 r. o godz.13.10 na cmentarzu Junikowo. W smutku pogrążona Rodzina”

„Wyrazy współczucia i żalu przesyła W.E. Dembiński z Rodziną. Siedziałem za Piotrem w następnej ławce (po przekątnej) w ‘Marcinku’ przez 3 albo 4 lata. Często korzystałem z Jego rozwiązań z zadań domowych z matematyki. Bardzo mi przykro”. USA, NY, Buffalo, Włodzimierz E. Dembiński”

A Ś. Też się zamyśliłem nad losem. Ale dalej odpowiadając na Twoje poprzednie pytanie: Dlaczego medycyna? Otóż ...moja mama była pielęgniarką – dlatego interesowałem się naukami biologicznymi. Od dziecka miałem kontakt ze 111 Szpitalem Wojskowym w Poznaniu, w którym pracowała mam – bardzo chciała abym był lekarzem.

JTM. Czy założyłeś rodzinę ?

A Ś. Mam dwóch synów – architekta i historyka – nie chcieli iść na medycynę.

JTM. To tak jak moi synowie, ale może jedna z trzech wnuczek albo nawet wszystkie będą kontynuowały tradycje rodzinne. Na razie uczą się w LO....czas pokaże...

wracając do czasu naszych studiów Andrzej- czy zachowałeś w pamięci jakieś najmocniejsze wydarzenie z tego okresu?

A Ś. Największe wrażenie na studiach zrobił na mnie obóz wojskowy w Kłodzku który przeżyliśmy po V roku studiów. Obóz w Kłodzku.... – fajnie było – przeżycie jak pełniliśmy służbę wartowniczą i dali nam 4 magazynki – łącznie 120 sztuk amunicji – do ‘kałacha’.

[Kałach to „karabinek AK (także: AK-47, ros. AK, Автомат Калашникова, pol. *kałasznikow, kałach*) – radziecki karabinek automatyczny opracowany tuż po II wojnie światowej przez Michaiła Kałasznikowa. Zastąpiony pod koniec lat 50. przez karabinek AKM (będący jego zmodernizowaną wersją). Szerokie rozpowszechnienie broni opartej na systemie AK, czynią tę konstrukcję jedną z najpopularniejszych wśród karabinków automatycznych XX i XXI w.”, https://pl.wikipedia.org/wiki/Karabinek_AK]

Byłem rozprawdzającym wartowników – co godzinę wystawiałem wartownika przed wartownię i co dwie godziny zmieniałem wartowników na posterunkach. Nic się nie zdarzyło na warcie. Po paru latach słyszałem, że był wybuch amunicji – w magazynach, które pilnowaliśmy.

Jechaliśmy nad Odrę - spaliśmy na ziemi pod pałatkami – więc były trudności z myciem się. Dotarliśmy do Odry w ‘natarciu’. Wykopaliliśmy się, nie wiedząc o tym, w ujęciu wody pitnej. Jeździliśmy transporterami opancerzonymi SKOT.

[‘SKOT (cz. *Střední Kolový Obrněný Transportér – Šredni Kolový Opancerzony Transporter*; znany także pod oznaczeniem OT-64) – kołowy, pływający transporter opancerzony opracowany wspólnie przez CSRS i PRL na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Pojazd posiada cztery osie (układ 8×8), w najpopularniejszych wariantach jest także wyposażony w wieżę strzelecką. Do wczesnych lat 70. wyprodukowano około 4500 egzemplarzy w wielu wariantach, z czego ok. 2500 dla Wojska Polskiego, a resztę dla Czechosłowackiej Armii Ludowej. Po wprowadzeniu na uzbrojenie obu armii bojowych wozów piechoty BMP-1, transportery SKOT stopniowo wycofywano ze służby, wiele sprzedano do kilkunastu krajów świata’, <https://pl.wikipedia.org/wiki/SKOT>]

Graliśmy w Kłodzku w szachy – grałem z Eugeniuszem Nelke – był później lekarzem rejonowym, na 60-lecie matury w 2025 roku nie dojechał.

JTM. z który przedmiot najbardziej Ciebie interesował?

A Ś. Na studiach interna mnie najbardziej interesowała i dlatego po studiach poszedłem na internę a potem na kardiologię. Jednak najpierw pracowałem jako lekarz rejonowy w Poradni Rejonowej przy ul. Cegielskiego – przez 3 miesiące. Potem przeszedłem do Szpitala Wojewódzkiego przy ul. Lutyckiej w Poznaniu na Oddział Wewnętrzny. To był szpital wielospecjalistyczny. Pracowałem w tym Szpitalu którego mój oddział Wewnętrzny został potem zamieniony na Oddział Internistyczno-Kardiologiczny przez 40 lat. Przez 18 lat byłem szefem IOK – Intensywnej Opieki Kardiologicznej – mieliśmy 12 łóżek – 4 sale.

Krótko po studiach zrobiłem specjalizację 1 i 2 stopnia z interny oraz kardiologię w Szpitalu im. Przemienienia Pańskiego przy ul. Długiej – chodziłem tam na staż z kardiologii i kardiochirurgii.

JTM. Czy nadal pracujesz pomimo tak jak my wszyscy dawno przekroczenia wieku emerytalnego?

A Ś. Obecnie jestem na emeryturze. Ale od 1979 r. z małą przerwą orzekam w ZUS – od 2012 roku pracuję w ZUS cały czas – jako lekarz orzecznik. To jest ciekawa praca, ponieważ spotykam się z chorobami którymi nigdy nie miałem przedtem do czynienia w codziennej praktyce lekarskiej. W ZUS

orzecznictwo dotyczy wszystkich dziedzin medycyny; orzekam wszystkie przypadki. Dr med. Aleksander Szymczak – Główny Lekarz Orzecznik – ściągnął mnie do ZUS – on pracował wtedy u docenta Przybyła.

[Aleksander Szymczak: Nekrologi, Opublikowane w Głos Wielkopolski: „Nie umiera Ten, kto pozostaje w sercu i pamięci.”

A pozostaje i pozostanie, w sercu i pamięci nasz Przyjaciel ś+p dr n. med. Aleksander Szymczak od 1961 roku długoletni orzecznik do spraw inwalidztwa i zatrudnienia, a następnie w latach 1974-1999 Lekarz – Wojewódzki Inspektor Orzecznictwa Inwalidzkiego i Główny Lekarz Orzecznik w I Oddziale Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu. Jego twórcze i ofiarne zaangażowanie, perfekcyjna wiedza merytoryczna i doskonałe umiejętności organizacyjne złożyły się na bilans wspaniałych osiągnięć Oddziału. Zaś szczególna pozycja orzecznictwa lekarskiego I Oddziału Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu na tle orzecznictwa w Kraju była Jego zasługą. Wiadomość o Jego śmierci przyjęliśmy z wielkim żalem i smutkiem.

Cześć Jego pamięci. Żonie i Rodzinie serdeczne wyrazy współczucia składa grono Przyjaciół: Jadwiga, Henryk, Krzysztof i Edmund

W ZUS najpierw pracowałem w Komisji z docentem Jerzym Zawilskim kardiochirurgiem, potem już pojedynczo – jednoosobowe orzekanie. W tej chwili orzekam tylko sprawy zaoczne – nie mam już kontaktu z petentem.

Doktor Alessandro Szymczak proponował mi doktorat z materiałów ZUS – mogłem zrobić doktorat. Błędy orzeczników – to byłby dobry temat pracy doktorskiej.

Postrzegam nastawienie roszczeniowe w ZUS – to już lekarz POZ powinien dyskwalifikować roszczeniowe przypadki dążenia uzyskania orzeczenia niezdolności do samodzielnej egzystencji, teraz Ukraińcy do tego dochodzą. Kręgosłup chory i już chce orzeczenia, że jest niezdolny do ma samodzielnej egzystencji – to trochę irytuje. Podobnie prosty zawał – i już niezdolny do samodzielnej egzystencji.

JTM. czy masz jakieś pasje ?

Jestem bibliofilem – mam dużo książek, tysiące, nie dorównuję jednak śp. Krzysiovi Urbańskiemu, który miał ich jeszcze więcej. Za młodu interesowała mnie beletrystyka, teraz beletrystyka faktu.

Uważam, że książki medyczne się skończyły – teraz wszystko jest na bieżąco opisane w Internecie. Jak mam jakiś problem diagnostyczny, czy terapeutyczny, wrzucam hasło i wszystko wychodzi. Z aplikacji medycznych nie korzystam. Czytam ‘Kardiologię Polską’.

JTM. A może masz jakieś uwagi o Izbach Lekarskich ? czy są potrzebne?

AŚ. Moje uwagi o izbach lekarskich – założenia są słuszne, ale to chyba jest jak z prawem Parkinsona kiedy w krótkim, czasie tworzone organizacje zaczynają żyć swoim życiem... . Raz tylko byłem na spotkaniu seniorów i tyle. Wielkopolska Izba Lekarska miała jeden budynek przy ulicy Nowowiejskiego, potem dwa a teraz ma jeszcze część budynku przy ulicy Szyperskiej 14.

JTM. Na zakończenie, choć moglibyśmy rozmawiać godzinami, choćby z powodu, że ja też jestem biegłym sądowym od 1983 r. ale pora kończyć - więc jeszcze pytanie: Co byś chciał przekazać młodym medykom?

AŚ. Młodym – studentom i lekarzom przekazuję właściwe podejście do chorych – przestrzeganie obowiązków. Są utrudnienia w pracy – są wprowadzanie komputery, ale też mają wady.

Pielęgniarki muszą wszystko opisywać – tony papierów – zamiast zajmować się chorymi, wszystko muszą opisać, udokumentować.

Jakość pisma ręcznego lekarzy – to jest dramat – czasem nie mogę odczytać – jest dobrze jak są numery Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób. Modne są obecnie skróty – muszę je wrzucać do Internetu aby je odszyfrować – to jest utrudnienie. Te skróty zaczęły się chyba w ortopedii.

JTM. dobrze znam ten ból a opinia biegłego często ma wpływ na całe życie pacjenta. Na rozprawie sądowej czasem pytam prawników – mają ten sam problem z odczytaniem pisanej ręcznie dokumentacji.... I jeszcze jedno pytanie- często egzaminuję studentów – czy uważasz, że egzaminy formie testów są optymalnym rozwiązaniem?

AŚ. My byliśmy wychowani na egzaminach ustnych – dlatego nie możemy za bardzo testów oceniać. Drugi stopień z interny – miałem egzamin testowy. Można by egzaminować częściowo ustnie, częściowo testowo.

Aniela Groszkowska

Egzamin wstępny zdawałam w Collegium Anatomicum (późniejsza sala czarna – po remoncie miała czarne krzesła), w starym przedwojennym budynku. Z egzaminów wstępnych pamiętam Ankę. Siedziałyśmy obok siebie na języku rosyjskim i odpowiedziałam jej kilka słówek.

Pierwszy egzamin na studiach zdawałam trzynastego w piątek u prof. Czesława Gerwela [1909-1974]. Fama głosiła, że zdają dziewczyny ubrane tylko na niebiesko, a ja miałam granatową sukienkę ze studniówki i zdałam na czwórkę. Na wykłady przychodził chłopak, którego nazwiska nie pamiętam, w przykrótkich spodniach i sandałach na bosych stopach. Zawsze siadał na przeciwko wykładowcy, przed pierwszym rzędem pulpitów. Elegancki zawsze prof. Gerwel, jakoś do egzaminów ten widok znosił, ale jak chłopak przyszedł tak ubrany na egzamin to został wyrzucony bez pytania za drzwi. Z innych egzaminów pamiętam z farmakologii, że tak trzęsły mi się ręce, że pierścień benzoesowy, który miałam narysować wyglądał jak połamany człowieczek. Do tego egzaminu uczyłam się długo w nocy i rano byłam nieprzytomna. Dziewczyny dały mi tabletkę z kofeiną. A ja nigdy do tamtej pory nawet nie piłam kawy, a co dopiero tabletki. Byłam rozdygotana: trzęsły mi się ręce, serce biło jak szalone i dlatego wyszedł taki pierścień. Każdy egzamin był dla mnie dużym stresem. Na egzaminie z mikrobiologii u prof. Józefa Wizy [1905-1975] zdawaliśmy po trzy osoby. Pytania były przechodnie. Kiedy pierwsza osoba nie wiedziała lub odpowiedź była nie pełna, to dopowiadała druga i trzecia. Odpowiadałam jako trzecia. Byłam „obryta jak dzik”. Profesor bardzo poważny, nagle zaczął się dziwnie uśmiechać przy mojej odpowiedzi. Poprosił o mój indeks i wtedy dopiero zauważyłam co go rozbawiło. Indeks trzymałam w ręce na kolanach, a one mi tak skakały ze zdenerwowania, że rozbawiło to profesora. Dziwne, że nie drżał mi głos, tylko nogi.

Nasz pierwszy starosta roku zawsze się witał z prof. Józefem Kołaczkowskim [1910-1980] na wykładach z anatomii serdecznie się poklepując po ramieniu. Na ćwiczeniach z anatomii na sali były dwie grupy (za szafą i przed szafą) i dwóch asystentów. Pierwsze dni, to strach przed zwłokami, które na wózku wyjmowane z formaliny, przywoził laborant. Był to starszy człowiek który mówił „ja i pan profesor”, jak chciał nam czymś zaimponować. Dostał takie przezwisko. Potem, gdy okazało się, że nie są to całe zwłoki, a części, które mieliśmy preparować, został tylko strach przed odpytywaniem nas z materiału przez asystentów. Sam egzamin po wyćwiczeniu nas przez asystentów to było „małe piwo”.

Z innych ćwiczeń, to dekapitacja żab. Byłam w grupie XII z Istką Chwirot, Piotrem Drewsem i śp. Tadeuszem Kaczmarkiem [1947-2012]. Chłopcy za mnie ogłuszali żaby i odcinali głowy, a resztę preparowałam już sama.

Na sekcjach zwłok klinicznych do sali sekcyjnej schodziło się po pochylni, która służyła też jako podjazd dla wózków. Pierwsze, co było widać przez otwarte drzwi, to nogi zmarłych. Gdy ich nie było, to znaczyło, że nikt w ciągu doby nie zmarł. Z tych sekcji to pamiętam komandosa, około 40-ki o ciele gladiatora. Zmarł na przerost serca. Na sekcji z medycyny sądowej miałam więcej szczęścia: zwłoki noworodka, znalezione na polu, zmacerowane tak, że nie bałam się ich kroić.

Z ćwiczeń niesekcyjnych najbardziej mi utkwił w pamięci „internat” z ginekologii i położnictwa w Klinice na ul. Polnej, a zwłaszcza poród operacyjny przy pomocy *vacuum extractor*. Prowadził go chyba jakiś młody położnik, bo zakładał *vacuum* 3x i pelota 2x wyskakiwała bez dziecka. Po drugim założeniu zaczęło mi się robić słabo, ale wytrzymałam jeszcze do wyciągnięcia na szczęście żywego noworodka, po czym film mi się urwał. Przypomniałam na dużej sali porodowej. Coś strasznie gniotło mnie w podudzia. Otwieram powoli oczy: pod moim nosem wężyk z tlenem, a wokół łóżka porodowego na którym leżę z nogami na jego tylnej części, stoją lekarze, w tym główny dyżurny dr Zaremba, anestezjolog i wszyscy koledzy. Szok, chciałam się zapaść ze wstydu pod ziemię.

Smutne wspomnienia mam z ćwiczeń na ortopedii. Asystent pokazał nam chłopczyka z olbrzymim wodogłowie. Ciało poskręcane, sparaliżowane – wygląd 3-4 latka, ale jak zaczął rozmawiać z asystentem to przeżyliśmy szok. To był bardzo inteligentny nastolatek.

Na ostatnim roku na wykładach z psychiatrii profesor [Stanisław Dąbrowski (1922-2012)] udowadniał nam, jak trudno jest rozpoznać chorobę psychiczną. Tego dnia prowadził wykład ktoś inny niż profesor i całą godzinę opowiadał nam o splocie słonecznym. Słuchaliśmy zafascynowani. Na zakończenie wykładu profesor oznajmił, że wykładał chory człowiek - schizofrenik. Było to dowodem, że choroby psychiczne można leczyć i że wśród tych chorych są ludzie bardzo zdolni. Miało to zmienić negatywne społeczne nastawienie i częstą stygmatyzację osób z zaburzeniami zdrowia psychicznego...

Z weselszych wspomnień to ćwiczenia na internie. Uczymy się mierzyć ciśnienie tętnicze. Cała grupa się męczy, żeby zmierzyć RR Tadekowi Kaczmarkowi. Tadek, prawie dwa metry wzrostu i 70-80 kg wagi, zakładamy mu mankiet aparatu i każdy kolejno pompuje do ciśnienia 200-250-300, a tu nic nie słychać, mimo, że ręka jest już cała sina. Dopiero asystent oznaczył mu ciśnienie. Miał 90/50.

Wojsko – zajęcia z regulaminów: śliczna blondyneczka ze stomatologii rozrabia z koleżanką. Prowadzący kapitan przywołuje ją do porządku słowami „będzie szeregowiec miała stosunek z komendantem”. Na to dziewczyna „obywatelu komendancie ja stosunków z wojskowymi nie utrzymuję”.

Akademik: mieszkaliśmy w akademiku przy ul. Wawrzyniaka (ul. Św. Wawrzyńca). Na I i II roku mieszkaliśmy na IV piętrze. To były pokoje 6-cio osobowe z 2-3 łózkami piętrowymi. Uczyliśmy się na tych łózkach, w pokoju cichej nauki lub na zimnych korytarzach, które nie były ogrzewane więc stale byliśmy owinięte w koce. Na parterze była portiernia. Tam odwiedzający mężczyźni musieli zostawiać dowody osobiste i opowiadać się do kogo idą, żeby przypadkiem nie zostali na noc u którejś dziewczyny. Odwiedziny męskie były chyba tylko w niedziele. Mój ojciec często przyjeżdżał służbowo do Poznania i mimo że dobiegał 60-ki, też nie mógł wejść do mnie do pokoju bez wylegitymowania się. Za to działacze organizacji młodzieżowych wchodził do swoich dziewczyn, kiedy chcieli. Pewnego wieczoru do naszego pokoju do Basi przyszedł jeden taki „ważniak”. Tuż przed jego przyjściem wróciłam z łazienki z praniem i rozwiesiłam na kaloryferze mokre majtki. Działacz od razu je zauważył i skomentował to, a ja zaczerwieniłam się i od razu było wiadomo, do kogo one należą. Od tej pory suszyłam bieliznę przykrytą ręcznikiem.

W pierwszych latach studiów miałam częściowe stypendium, z akademik płaciłam 120 zł i tyle samo za obiady w stołówce. Chodziliśmy do stołówki na Święcickiego. Była duża. Ci z nas, którzy nie mieli bonów mogli za darmo dostać zupę. Nie był to szczyt możliwości kulinarnych kucharek. Z reguły była szaro-bura, chyba że to miała być pomidorowa lub czerwony barszcz, z namiastką jarzyn, ale było sporo pyrów [popularna nazwa ziemniaków w gwarze wielkopolskiej]. Miałam też bony śniadaniowe do barów mlecznych. Szybko odkryłyśmy, że w barach nie opłaca się jeść, a lepiej w nich kupić masło i

śniadania i kolacje robić w akademiku. Resztę bonów można było wydać w „Kociaku”, wtedy na Armii Czerwonej (obecnie ulica ma nazwę pierwotną Św. Marcin), na pyszne desery mleczne.

W czasie studiów miałam stypendium fundowane z Powiatowego Wydziału Zdrowia w Poznaniu do Ośrodka Zdrowia w Stęszewie. Wyglądało to tak, że po studiach miałam dzielony etat, bo musiałam odrobić staż. Trzy godziny stażu w szpitalu im. Franciszka Raszei, a później biegiem na PKS i dojazd do Stęszewa. Tam odpracowałam 3 lata w poradni dziecięcej. Po tym dostałam się na specjalizację do Wojewódzkiego Szpitala Dziecięcego im. Krysiwicza, gdzie zrobiłam I stopień z pediatrii. W tym czasie przeniosłam się do pracy do Ośrodka Zdrowia w Dopiewie, gdzie zaproponowano mi bardzo dobre warunki płacowe. Pracuję tam od 1977 roku do chwili obecnej. Ośrodek po rozpadzie ZOZ-u przeszedł w ręce gminy, zabrano połowę budynku na bank, a nam kazano pracować w nieodpowiednich warunkach. Powstanie Kas Chorych dało nam możliwość wybudowania nowej przychodni i poszerzenia zakresu świadczeń lekarskich. Pisząc o nas mam na myśli mojego kolegę z roku Irka Stróżyka i innych lekarzy. Wzięliśmy kredyt, który spłacamy, aby wybudować ten ośrodek. Mam dwóch synów, którzy skończyli wyższe studia, ale żaden nie pracuje w wyuczonym zawodzie. I mam jedną wnuczkę.

Anna Horst-Szymczyńska

A więc (nie zaczynamy zdania od „więc”!!!) egzamin wstępny - pamiętam i doceniam gest ze strony Jasia Hantke, który podpowiedział mi rozwiązanie 1 zadania z fizyki - dzięki Niemu dostałam maksymalną ocenę no i dostałam się na te studia z jedną z pierwszych lokat i to bez punktów „za pochodzenie”, no i byłam kobietą, a jak może pamiętasz brali nas równo pół na pół z chłopakami, co ich promowało, bo kobiet chętnych na medycynę zawsze było więcej.

Na pierwszym roku trafiłam do 9 grupy i żyliśmy się tak bardzo, że do dzisiaj z co najmniej połową Koleżanek i Kolegów mam sympatyczny kontakt.

Z zabawnych wydarzeń przypominam sobie „grę w okręty” na wykładach z socjologii (wtedy docent, a później prof. Mieczysław Stański [1925-2011] tak się zdenerwował słysząc „2A, 3B, trafiony, zestrzelony” że oskarżył nas o chorobę wrzodową żołądka - byliśmy młodzi i nas to bawiło co być może nie było zbyt poprawne. [wg kolegi Józefa Ryżko zajęcia na Nowowiejskiego prowadził ówczesny doc. Tadeusz Skolmowski]

Na wykłady chodziliśmy wszyscy, bo to była okazja do spotkania koleżeńskiego. Prawie zawsze po wykładach chodziliśmy na jakąś kawkę - średnią bez cukru albo herbatkę bez cytryny - było taniej, a z kasą różnie bywało - ale nie zawsze po to, żeby się tam czegoś nauczyć - cóż - młodość.

N przykład na wykładach z matematyki tak zdenerwowaliśmy biednego wykładowcę (o ile pamiętam nazywał się Albrycht [prof. Jerzy Albrycht (1924-2021)], że za karę kazał 100 razy napisać: „w czasie wykładów z matematyki będę zachowywał(a) się zgodnie z przyjętymi obyczajami” - co dziwniejsze myśmy to napisali, a on skrupulatnie sprawdzał jako, że był to warunek zaliczenia przedmiotu.

Juwenalia - piękna przygoda, super zabawa, objęliśmy w posiadanie całe miasto - najbardziej dumna byłam z tego, że nasza Koleżanka z Roku - Ewa wtedy Lutkowska, dzisiaj Baszkowska została wybrana „Najmilszą Studentką” całej imprezy.

Marzec 1968 - to wielki zryw przeciw władzy tłumiącej wolność myślenia – oczywiście demonstrowaliśmy na Placu Adama Mickiewicza, chociaż po latach mam wrażenie że można było lepiej zorganizować i wykorzystać nasze poglądy i zapał. Niestety dla wielu Kolegów skończyło się to śladami pobicia na plecach - na szczęście dla mnie poważniejszych obrażeń nie odniósł nikt z moich

bliskich - przynajmniej nic o tym nie wiem. Pamiętam, że w przerwie wykładu z fizjologii patologicznej prof. Antoni Horst [(1915-2003) – ojciec autorki wspomnienia] został poproszony o nawoływanie do NIEbrania udziału w tych demonstracjach i oczywiście zdecydowanie odmówił, a nawet więcej - zachęcił nas do wyrażania poglądów, jako, że w swoim życiu miał wiele „niepokornych” zachowań.

W akademiku nie mieszkalam, ale często bywałam jako, że najlepsze imprezki towarzyskie tam właśnie się odbywały - szczególnie sympatycznie wspominam „Wawrzyńka” [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce].

Spośród Koleżanek i Kolegów, którzy już odeszli najczęściej wspominam Hankę Beger i Piotra Janaszka [Piotr Janaszek – Wikipedia, wolna encyklopedia]. Co najmniej raz w roku odwiedzam ich groby na Cmentarzu przy ul. Lutyckiej w Poznaniu.

Dodaję parę informacji na temat moich losów po zakończeniu studiów nic specjalnie ciekawego ale było tak że po stażu wyszłam za mąż za Grzegorza Szymczyńskiego i potem moja kariera zawodowa splatała się z kolejnymi ciężami i zdobywaniem specjalizacji ponieważ nie bardzo miałam na kogo liczyć w sensie pomocy (nie miałam już Mamy, ani teściowej, mąż robił karierę), więc „za trzecie dziecko” straciłam etat w Akademii Medycznej i w ten sposób nigdy nie miałam szans zostać profesorem, co niektórych moich przyjaciół dziwiło no bo podobno potencjał miałam. Ostatecznie mam 2 synów i córkę. Starszy ma swój własny biznes, dwie córki i radzi sobie całkiem nieźle, młodszy robi karierę naukową na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu (habilitacja przed czterdziestką i wieczne zapracowanie, ale za to nie ma ani żony ani dzieci). Córka wyemigrowała do Londynu - dobrze sobie radzi zawodowo, a poza tym właśnie spodziewa się drugiego dziecka. Kontakt z angielską rodziną mojej córki obalił moje przekonanie że Anglicy są oschli i smętni.

Ja zakończyłam karierę zawodową na doktoracie i II stopniu specjalizacji w chorobach wewnętrznych, a ostatnie 43 lata nieprzerwanej pracy poświęciłam Klinice Kardiologii w Poznaniu.

Summa summarum nie mogę powiedzieć, że życie zmarnowałam, ale mogło być lepiej pewnie jak u wszystkich i wszędzie.

Barbara Kucińska-Klessa

Byłam przekonana, że nie dostanę się na studia, więc dość spokojnie podchodziłam do egzaminów wstępnych. Chodziłam na kurs przygotowawczy w Poznaniu (chyba był on w budynku Politechniki). Widziałam moje dość znaczne braki. Z biologii pisałam wolny temat, a dniu kiedy pisaliśmy fizykę i chemię siedziałam obok dziewczyny, która była mocna z fizyki, a ja byłam lepsza z chemii i wymieniałymy wiadomości. Na ustnym pamiętam rozmowę z prof. Przemysławem Gabryelem. Co wiem o nowym Zakładzie Elektro-Węglowym wybudowanym koło Nowego Sącza? Jest to przedsiębiorstwo, które po różnych przekształceniach funkcjonuje od 1965 roku do dnia dzisiejszego produkując elektrody grafitowe i inne podobne produkty z grafitu.

Pamiętam lektorat z łaciny. W czasie jednych zajęć miałam przetłumaczyć tekst. Szło gładko do pewnego momentu, gdy w zdaniu dotyczącym narzędzi chirurgicznych wymieniano nóż, lancet i wyraz, którego nie umiałam przetłumaczyć, więc szybko szukam w słowniku na końcu książki, a tu słyszę z tyłu „tasak”. Bez namysłu powtarzam to głośno i w tym momencie zdaję sobie sprawę co mówię. Ale było już za późno. Cała sala w śmiech. Podpowiadającym był oczywiście humorysta Piotruś Janaszek. Na ćwiczeniach z anatomii byłam w grupie dr Bolesława Otulakowskiego [urolog, androlog], którą później przejął dr Witold Woźniak [(1934-2016) – późniejszy profesor, dziekan,

prorektor]. Pytając nas o nazwiska zwraca się do Witka Hausera „a pan?” - on odpowiada „pan Hauser” i totalny śmiech grupy. Inne zdarzenie z Piotrkim Janaszkiem było na jakiejś białej niedzieli na wsi. Poprosiłam Piotra, żeby mi zrobił zdjęcie jak badam pacjenta i u mieścił później w gazetce, którą redagował. I zrobił to o co prosiłam. Tylko, że na tym zdjęciu jest wyraźnie, że badam człowieka, który tylko rozpiął koszulę, a nie rozebrał się do połowy, aby go dokładnie osłuchać. I znowu wyszło ciekawie. W 1966 roku były obchody milenijne Chrztu Polski [Milenium chrztu Polski (łac. *Sacrum Poloniae Millenium*) – religijne uroczystości związane z 1000. rocznicą chrztu Polski mające miejsce w 1966 roku]. Na zajęciach wojskowych zapowiedziano nam obowiązkowa obecność w studium w niedzielę przed południem, pod groźbą usunięcia ze studiów. Zrobiono to po to, abyśmy nie mogli uczestniczyć w tym dniu w nabożeństwie w Katedrze. Zaryzykowałam i poszłam do Katedry.

Na juwenalia nie zawsze chodziłam. Wspominam mile, że jednego roku przebrałam się za cygankę i spędzałam ten czas na zabawie na Starym Rynku.

Z marca 1968 r. pamiętam, że uczestniczyłam w wiecu przy Farze [Bazylika kolegiacka Matki Bożej Nieustającej Pomocy, św. Marii Magdaleny i św. Stanisława Biskupa w Poznaniu (także pod nazwą: Fara Poznańska, od niem. Pfarre, Pfarrei, Pfarrkirche, czyli probostwo, parafia) barokowy kościół farny i zarazem kolegiacki], gdzie był ogromny tłok i myślałam, że mnie zgniotą.

Przez całe studia mieszkalam u mojej siostry, która była poznanianką od 8 lat. To był jeden pokój, z kuchnią, gdzie mieszkało nas pięcioro. Siostra, jej mąż, dwoje małych dzieci i ja. Łazienka była wspólna z innymi lokatorami. Przez 5 lat mieszkaliśmy w takich warunkach na Jeźcach. Dopiero na 6 roku przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania na Winogradach. Byłam na całkowitym utrzymaniu siostry. Mój ojciec był pracownikiem PKP i przy swoich niskich zarobkach nie był w stanie mi pomagać. Od 15 roku życia nie miałam Mamy. Druga moja siostra mieszkała w Nowym Sączu. Do dzisiaj jestem bezgranicznie wdzięczna mojej siostrze Jadzi, która pomagała mi przez całe studia.

W czasie badań przez Wojskową Komisję Lekarską chciano mnie zwolnić ze szkolenia. Jestem niska (152 cm wzrostu), a graniczny wzrost do kategorii A to 150 cm. Lekarze mówili, żebym się tak nie prostowała, ale ja chyba koniecznie chciałam być szkolona w mundurze. I na zajęcia jeździłam autobusem i chyba byłam z tego dumna. Jeździliśmy na poligon do Biedruska [Poligon w Biedrusku – rozległy poligon wojskowy, umiejscowiony na terenie dużej części gminy Suchy Las oraz w południowo-wschodniej części gminy Oborniki] i w autobusie często śpiewaliśmy piosenkę „wybijemy majorowi złote zęby i zrobimy ... z gęby”.

Po II roku miałam praktykę w laboratorium na Szpitalnej [Szpital Kliniczny im. Karola Jonschera UM w Poznaniu, ul. Szpitalna 27/33]. Przeżyłam bardzo błąd, który robiłam wybarwiając materiał pobrany od niemowlaka. Na szczęście kierownik laboratorium to zauważył i powtórnie robiłam to badanie. Po III roku praktykę odbywałam z Ireną Dudzińską w szpitalu w Nowym Sączu [Szpital Specjalistyczny im. Jędrzeja Śniadeckiego w Nowym Sączu]. Było bardzo sympatycznie.

W czasie studiów na ortopedii byliśmy na sali operacyjnej, gdzie był trudny zabieg na kości udowej i stawie biodrowym. Ponieważ jestem niska, zawsze starałam się być blisko „wydarzeń”. I tak było tym razem. Operator w pewnym momencie powiedział „czoło”, więc ja szybko z własnej kieszeni wyciągam chusteczkę, która ląduje na jego czole. Operator zachował się wspaniale. Nie było krzyku.

Z mojej I grupy studenckiej nie żyją: Piotr Janaszek, którego podziwiałam za Jego społecznikostwo i dzieło życia, które stworzył w Ślesinie. Achmed Schariffi, że pokochał Polskę i w niej ułożył sobie życie, Józef Kozber w którym „kochałam się platonicznie”, bo był mądry i tym mi imponował. Na I zjeździe, kiedy zebraliśmy się na dziedzińcu Kościoła OO. Dominikanów, były rozmowy, powitania, weselość. Koleżankę z grupy pytam, czy jest tu gdzieś Józek Kozber. A ona w śmiech i mówi, że przez

cały czas z nim rozmawiałaś. Tak się zmienił, że go nie poznałam. W głowie cały czas miałam obraz Józka z czasów studenckich.

Pod koniec III roku była giełda stypendiów fundowanych. Ja wzięłam stypendium z Bydgoszczy, gdyż wtedy był mi bliski człowiek z tych okolic (studiował leśnictwo w Poznaniu). Tu 15 września 1971 roku rozpoczęłam pracę w szpitalu. Po 2 miesiącach na imieninach kolegi z mojej grupy studenckiej (był bydgoszczaninem i tu wrócił po studiach) poznałam mojego męża. Nasze plany pomieszała ciężka śmiertelna choroba mojego przyszłego męża, ale życie zostało mu darowane. Pobraliśmy się w 1977 roku i przez cały czas naszego wspólnego życia towarzyszył mi lęk o jego zdrowie i życie. I po 36 latach ponownie rozpoczęła się walka z chorobami, którą tym razem przegraliśmy, bo skończyła się jego śmiercią w styczniu 2014 roku.

Pragnęłam robić specjalizację z dermatologii lub radiologii, ale życie tak się potoczyło, że zostałam pediatrą i zrobiłam jeszcze specjalizację z neonatologii. Pracowałam na pełnym etacie do emerytury, na którą przesłam po ukończeniu 65 lat. Byłam zastępcą ordynatora w Oddziale Noworodkowym oraz Patologii Noworodka i Wcześnieńki w Szpitalu Miejskim w Bydgoszczy. Ordynator był człowiekiem odważnym, prężnym i bardzo mądrym. Ciągłe się szkoliliśmy. Mieliśmy jedną z najniższych w Polsce śmiertelność noworodków (np. w kraju średnia wynosiła 14 promili, a u nas 6). Jeszcze teraz trochę pracuję w Poradni Dziecięcej, a także w Poradni dla Wcześnieńki i Patologii Noworodka.

Mam zamiar przenieść się do mojego rodzinnego miasta tj. Nowego Sącza. Tam pochowałam męża i tam chcę dokończyć moje życie. Trudno mi żyć bez męża. Jestem w grupie Charyzmatycznej Odnowy w Duchu Świętym. Trochę działam społecznie. Mam bardzo duże grono bliskich ludzi, znajomych, przyjaciół od których będzie mi bardzo trudno „odpęnić się”, ale bliższa mi jest moja rodzinna Ziemia Sądecka.

Bogdan Jesiołowski

Jeździliśmy w czasie juwenaliów po ulicach Poznania w otwartym bagażniku Trabanta Anki Horst.

Przebieg „służby” wojskowej: Zaczęło się już pierwszego dnia naszej podróży na obóz wojskowy do Kłodzka. Zachowywaliśmy się jak zwykli poborowi, a więc lało się co nieco alkoholu... Po dotarciu do Kłodzka przy wysiadaniu, nie mogłem znaleźć swojego bagażu. Ktoś krzyknął, że zabrał cudzy bagaż. Myślałem, że to mój. Pociąg ruszył, a ja po chwili stwierdziłem, że to nie mój bagaż! No to czyj? Zaczęliśmy się rozglądać i okazało się, że nie ma Marka Tuszewskiego. Dźwigałem więc do koszar cudzy bagaż, a mój pojechał dalej. Z biura przepustek zadzwoniono do Bystrzycy Kłodzkiej o zaopiekowanie się „bezpiecznym” bagażem. Otrzymałem więc przepustkę aby pojechać po rzeczy, która była ważna do godziny 24-ej. Od razu z tego skorzystałem. Zwiedziłem Kłodzko, poszedłem do dobrej restauracji na obiad, później na kawę i dzień mi miło upłynął. Około godziny 22-ej dotarłem do koszar. Zostałem tam zmęczonych, zziębniętych kolegów żołnierzy. Okazało się, że piętro bloku koszarowego, gdzie nas zakwaterowano był świeżo po malowaniu, ale nie posprzątane i studenci - żołnierze szkiełkami skrobali posadzkę z „wrębami”. Co do Marka, to okazało się, że do Bystrzycy Kłodzkiej dojechał w „kibelku”. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Podczas naszej nieobecności (Marka i mojej) rozdzielone zostały różne funkcje i obowiązki. Dla nas zostało noszenie do pralni onuc i bielizny. I to okazało się fajne, bo braliśmy na plecy pałatki z brudami, szliśmy za budynek pralni i opalaliśmy się do 12.30. Pralnia przyjmowała „towar” do godziny 13-ej. Potem obiadek i jakieś lżejsze zajęcia popołudniu. Innym warty zapamiętania dla mnie był egzamin końcowy na obozie - oficerski. Regulaminy i musztrę zdawaliśmy na powietrzu, pod płótnem okalającym

koszary. Kiedy jeden student podchorąży był przepytany przez „wysoką komisję” (pamiętam, że byli w niej mjr Andriejczuk i mjr Buszewski – dwóch innych nie pamiętam), drugi przygotowywał się w pobliżu płotu. Zauważyłem, że przygotowujący się kolega podchorąży rozpaczliwie patrzy w kierunku koczujących w pewnej odległości kolegów. Zdecydowałem się pomóc biedakowi i podczołgałem się do zagłębienia przy płocie, zabierając ze sobą regulaminy. Kiedy zacząłem podpowiadać nad słuchający kolega kierował swoje ucho w moją stronę sycząc przez zęby „głośniej, nie słyszę”. Nie uszło to uwagi bystrej komisji i w rezultacie usłyszałem od kolegi „uciekaj”, ale na to było już za późno. Usłyszałem nad sobą ostry głos mjr. Buszewskiego: „wstańcie”. I w ten sposób, to ja stanąłem na baczność przed wysoką komisją. Po solidnym „opieprzeniu” mnie usłyszałem: „10 dni aresztu”! I tak było aż do chwili wręczania nominacji na stopnie wojskowe, kiedy to ten sam szorstki głos oznajmił mi: „Jesiółowski, jedziecie z nami”. Był zdziwiony, że nie skakałem z radości do góry, ale ja już oswoiłem się z myślą, że będę siedzieć.

Po studiach wyjechałem do Wrześni. W tamtejszym szpitalu odbyłem staż i następnie przepracowałem w nim 27 lat. Zrobiłem specjalizację z interny i medycyny rodzinnej. Teraz pracuję w Poradni Lekarza Rodzinnego. Mam troje dzieci. Córka skończyła prawo i mieszka w Szwecji, synowie: jeden skończył ekonomię i ma własną firmę, a drugi skończył prawo i zrobił aplikację z adwokatury. Mam dwie wnuczki i jednego wnuka.

Danuta Bakoś-Grzesiak

Pochodzę z rodziny robotniczej. W domu się nie przelewało. Mama nie pracowała, zajmowała się domem i dziećmi. Ojciec ciężko pracował. Od kiedy pamiętam, ale już jako małe dziecko widziałam tę sytuację rodzinną i wiedziałam, że jak nie zdobędę dobrego zawodu, to będę musiała ciężko pracować jak Ojciec, którego mi było bardzo żal. Staralam się pomagać jak umiałam- mając niewiele ponad 10 lat, podczas każdych wakacji jeździłam na wieś do Buku, gdzie zajmowałam się dziećmi których rodzice pracowali na roli i był to intensywny czas żniw.

Ale już bardzo wcześnie wiedziałam, że będę lekarzem.... Na medycynie trzeba było wkuwać a poza tym musiałam nadal pomagać mamie. W czasie wakacji pracowałam jako kelnerka w kawiarni, a też p.o. lekarz.

Co już podano w rozdziale pt. „Ksiądz nas wychowywał” - opowieść o niezwykłym Człowieku - ks. Feliksie Michalskim (str. 8), tak naprawdę (oczywiście poza rodzicami) wychowywał nas ksiądz. Miałam to szczęście, że mieszkalam w Jego parafii i znalazłam się w kręgu osób które Go poznały. Należałam do chóru kościelnego i ks. Feliks Michalski zabierał nas do opery i mniej zamożnym fundował bilety. W czasie studiów podręczników własnych nie miałam, miałam jedynie te, które zdobył ksiądz Michalski. Ksiądz miał dobry kontakt ze Stachowiakami – studentami, potem lekarzami, którzy Mu te książki przekazywali dla nas a my potem kolejnym rocznikom... Ksiądz pożyczał mi rower, bo ja nie miałam własnego roweru. Ksiądz jeździł razem z nami w sutannie. To był ksiądz przyjaciel młodzieży, opiekował się młodymi ludźmi, zapewniał im atrakcje. Jeździliśmy rowerami m.in. nad jezioro do ‘grajzerówki’ – relatywnie niedawnej siedziby Artura Greisera. Nie wszyscy znaliśmy historię tego okrutnego namiestnika Kraju Warty którym został w 1939 r. Może rodzice jak wielu innych milczeli o tym tragicznym czasie, chcieli zamknąć go pamięci i nie wracać a po zakończeniu II wojny światowej żyć pełnią życia a może bardzo zapracowani nie mieli czasu na rozmowy z dziećmi. I to Ksiądz przy okazji tych wycieczek dzielił się z nami wiedzą, pobudzał umysły i je rozwijał. Uczył patriotyzmu. Słuchaliśmy z zapartym tchem i przerażeniem dowiadując się, o szczegółach wyjątkowo brutalnej germanizacji i eksterminacji ludności polskiej zamieszkującej te

tereny. Dla mnie najbardziej chyba wstrząsająca była opowieść o zabieraniu na siłę zrozpaczonym rodzicom – Polakom – ich dzieci, wywożeniu do III Rzeszy, nadanie im imion i nazwisk niemieckich i umieszczaniu w niemieckich rodzinach zastępczych i publicznych zakładach opiekuńczych bez jakiegokolwiek możliwości łączności z własną rodziną... Po zakończeniu II wojny światowej Artur Greiser uciekł do Niemiec, ale w okolicy Salzburga został rozpoznany przez będącą tam na przymusowych robotach Polkę z Ostrzeszowa Wlkp. – Marię Michalak z domu Kinastowską. W 1945 r. został aresztowany przez wojska amerykańskie, przywieziony do Poznania, gdzie w auli Uniwersytetu Poznańskiego toczył się jego proces i zapadł wyrok śmierci. „Arthur Greiser został stracony 21 lipca 1946 o godzinie 7.00 przez powieszenie w obecności tysięcy zgromadzonych osób na stoku poznańskiej cytadeli. W czasie wieszania Greisera stutysięczna publiczność, wśród której były także dzieci, klaskała i gwizdała. Była to ostatnia egzekucja publiczna w Polsce. Ciało Greisera, po przeprowadzeniu sekcji w Zakładzie Anatomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, zostało spalone w tym samym krematorium, w którym palono zwłoki mordowanych Polaków w poznańskim więzieniu. Prochy zostały oddane do dyspozycji prokuratury i sądu” https://pl.wikipedia.org/wiki/Arthur_Greiser. Gdy czytam teraz te informacje, od razu wracam do naszych wypraw rowerowych, m.in. do ‘grajzerówki’, wytwornej rezydencji nad Jeziorem Góreckim, którą Greiser zbudował sobie za państwowe pieniądze w latach 1940–1942... Byliśmy bardzo młodzi, rozpierała nas radość i zachwyt nad światem a nawet opowieści ks. Michalskiego chyba nie do wszystkich docierały – wydawała się to tak odległa przeszłość, odległa nieomal taka jak piramidy Cheopsa...

I jak marzyłam, jestem już na studiach, ale pojawił się problem z czaszką. Żeby dobrze się nauczyć anatomii trzeba mieć tę czaszkę na dłużej, domu. Czaszkę „załatwił” mi starszy kolega który mieszkał obok i już zakończył anatomię. Przez całe dwa lata studiów czaszka leżała sobie spokojnie w pokoju. Początkowo moja mama była przerażona ale potem się całkowicie przyzwyczaiła. Innym problemem na osteologii były kości, które też warto było oglądać czasie edukacji, nie tylko w sali Collegium Anatomicum. Problem ten rozwiązały koleżanki bliźniaczki które mieszkaly przy cmentarzu a ich ojciec był grabarzem... tak więc ostatecznie myśmy się tam z tymi kośćmi oswoiili... Z zajęć na anatomii pamiętam ten okropny zapach prosektorium, białe fartuchy, skalpel i preparowanie – trzeba było odpreparować mięsień i go nazwać. Gnębili nas asystenci – dr Otulakowski czy dr Woźniak zarzucając niewiedzę i nie nadawanie się do zawodu lekarza.

Na fizjologii trzeba było żywe żaby najpierw ogłuszyć, co najczęściej robiła moja koleżanka ale też Koledzy nas wyręczali w ogłuszaniu tych biednych żabek i obcinaniu im główek na oczkami. Obcinaliśmy twarzoczaszkę – potem serduszko się umieszczało na kaniulach i obserwowano...

Na zajęciach z wojska, my dziewczyny w mundurach same siebie postrzegaliśmy jakbyśmy były jakimś karykaturami. Oczywiście była musztra, strzelanie na poligonie w Biedrusku. Ktoś z oficerów (którzy często byli na froncie a też mówili jakimś slangiem) zagroził blondynce a naszego roku że „będzie miała stosunek w komendantem”. Ona odpowiedziała, że „stosunków z wojskowymi nie utrzymuje”. Oczywiście wywołało to powszechny choć ukrywany przez nas śmiech. Teraz dużo kobiet zgłasza się do wojska, ale wg mnie, to nie jest normalne.

Na psychiatrii w szpitalu psychiatrycznym „Dziekanka” Gnieźnie – było mi trudno rozróżnić te wszystkie choroby psychiatryczne.

Lubiłam się uczyć sama, ale często odwiedzałam koleżanki w akademiku na ul. Wawrzyniaka. Odpytywałyśmy się nawzajem.

Przed ważnymi egzaminami lubiłam się uczyć rano, właściwie powtarzać, o piątej rano.

Na szóstym roku abym się nie przemęczała, to mąż mnie zabierał na spacer - i wtedy miałam najlepsze wyniki, bo przewietrzyłam sobie głowę. Razem z synem - Pawłem który był jeszcze w moim brzuchu zdawałam wszystkie najważniejsze egzaminy – poradziłam sobie.

Przez pierwsze dwa lata studiów wydawało mi się, że te wszystkie przedmioty są niepotrzebne. Na trzecim roku, gdy rozpoczęły się zajęcia kliniczne i już byli pacjenci - byłam w swoim żywiole. Zapisalam się do studenckiego koła nefrologów – opiekował się nami doktor Ryszard Czarnecki – późniejszy profesor, jeden z pionierów sztucznej nerki w Polsce. Przedmioty kliniczne to była sama przyjemność. Jednakże ciężko zniosłam internat [wówczas było to 7-dniowe zamknięcie w klinice i przebywanie jakby stale na ostrym dyżurze] z położnictwa na Polnej ciężko zniosłam. Widok ogromnej sali porodowej i kobiet rodzących oddzielonych od siebie tylko parawanikiem był przygnębiający a ponadto one wszystkie przeraźliwie krzyczały. Chyba nie zdawały sobie sprawy ze „swoistego misterium” w którym uczestniczyły, zresztą nie były przygotowane, nie rozumiały co się dzieje i dlaczego, bo chyba w ówczesnej Polsce nikt nie słyszał o tzw. szkołach rodzenia...

Uczyłam się bardzo dobrze – bardzo ładnie zdawałam egzaminy kliniczne.

Staż z interny miałam w Nowym Tomysłu – mieszkalam u koleżanki. Poza typowymi zajęciami stażystów jak badanie chorych i dokonywanie wpisów do historii chorób, podglądaliśmy pracę innych lekarzy. Ale też obserwowaliśmy różne zachowania i działania w tym systemie. Przykładowo doktor, ordynator blokował, żeby młoda lekarska nie zrobiła specjalizacji drugiego stopnia tzw. dwójki, „żeby go nie wygryzła”.

Od dzieciństwa interesowałam się pediatrią, zawsze miałam bardzo dobry kontakt z dziećmi. Jednak gdy pierwszy raz zobaczyłam igły wklute w główki dzieci, to byłam przerażona. Moi koledzy, koleżanki mówią nadal do mnie „nasza królowa” i domyślam się, że zajmując się człowiekiem od urodzenia jestem jakby „królową matką wszystkich”.

Do tej pory pracuję.

Mieszkalam w Jarocinie. Specjalizację zdawałam w Kaliszu.

W 1977 zachorowałam na żółtaczkę zakaźną A – zaraziłam się od pacjenta. Spędziłam w szpitalu 5 miesięcy. Miałam wtedy maleńkie dzieci, którymi zaopiekowały się ciotki. Jak wróciłam wreszcie ze szpitala moje małe dzieci były zachwycone, że mama żyje, bo mnie długo nie widziały. 15 lipca 1977 roku wyszłam na własne żądanie ze szpitala – bardzo mi moich dzieci brakowało.

Przez tą moją chorobę wszystko co jest związane z wątrobą nie jest mi obce. Z powodu mojej choroby zatrzymałam się na uzyskaniu pierwszego stopnia z pediatrii. Szukałam lepszej pracy i znalazłam ją w Przychodni Kolejowej – dobrze mi się tam pracowało, miałam czas na gotowanie dietetycznych obiadów niezbędnych dla zachowania zdrowia w mojej sytuacji. Po latach młodzi Koledzy poprosili mnie żebym wstąpiła do spółki razem z nimi. Zgodziłam się bo na tyle poczułam się już silna, że nadal daję radę. Był to taki czas, że nie było SOR-ów, Nocnej Pomocy Lekarskiej czy tzw. 'wieczorynek', trzeba było mieć dyżury cały czas. To trwało rok-dwa. Najgorsze były pierwsze kontrakty związane z nocnymi dyżurami, od 8 do 18 a o 18 przejmowała obowiązki inna osoba dyżurna.

Ciężka harówka była ale innej pracy sobie nie wyobrażam; mam dobry kontakt z dziećmi.

Przez wiele lat miałam prywatną praktykę, ale jak potem miałam spółkę to tą prywatną praktykę zlikwidowałam.

W pediatrii najpiękniejsza jest serdeczna wdzięczność rodzica, ale najgorsza jest śmierć dziecka. Na przykład na dyżurze przywieziono chłopczyka który wpadł do wrzących mydlin – przed domem. Wieczko było lekko uchylone – ten chłopiec siadł na tym wieczku i wpadł do wrzących mydlin. Ten chłopiec umierał na oddziale świadomie i modlił się o zdrowie braciszka. Nie dało się tego dziecka uratować.

Ale nie zapomnę też, gdy kiedyś małeńki chłopiec wskakuje mi na kolana i mówi „pani doktor, ja panią kocham”.

Dziecko nie kłamie.

Ratowałam inne dzieci a musiałam być przy śmierci własnego dziecka, Paweł miał 45 lat i umierał mi na raka żołądka.

Człowiek jest wart tyle ile komuś może dać. Bardziej się cieszę gdy daję niż kiedy otrzymuję.

Danuta Pupek-Musialik (opowieść własna z 2017 r. też o mężu - naszym koledze Ryszardzie Musialiku. Wspomnienie kolegów po odejściu Danuty w 2019 r.)

OPOWIEŚĆ DANUTY PUPEK- MUSIALIK Z 2017 R

Jak szybko mija czas, jak szybko mijają chwile. Czasem należy wrócić do wspomnień, aby samemu ocenić minione lata.

W roku 1965 przystąpiłam do egzaminów wstępnych na Akademię Medyczną. Obok obowiązkowych testów konieczna była rozmowa z kandydatem. Ale los płata figle; po napisaniu testów zaczęłam się źle czuć, na twarzy pojawił się obrzęk. Lekarz rozpoznał „świnkę” i zalecił przerwanie postępowania kwalifikacyjnego na Akademię Medyczną. Ale jak zawsze byłam uparciuchem: poszłam na egzamin owijając głowę chustą. Profesor Halina Karoń [(1924-2011), profesor zwyczajny, Kierownik Katedry i Zakładu Chemii Fizjologicznej w latach 1969-1995, w latach 1966-1972 Prodziekan Wydziału Lekarskiego] poleciła mi zdjąć chustę, a mój widok był przerażający; widziałam tylko jednym okiem. Pani profesor przerażona moją „facjatą” zapytała: „Pani chce zdawać na AM?”. Skinęłam głową, a komisja orzekła, że dobrze zrobiłam, ale mam się jak najszybciej wynosić z budynku. Czasem warto zaszokować komisję.

Na I roku studentów najtrudniejsza dla nas studentów była anatomia. Dlaczego? Bo nie dość, że materiał był olbrzymi (7 tomów „Bochenka” [Adam Bochenek, Michał Reicher: Anatomia człowieka]), to jeszcze asystenci znaleźli nowy sposób pytania. Brali jakiś fragment kości i rzucali w grupę studentów siedzących przy stole. Kto miał pecha, ten złapał kość i zostawał szczegółowo odpytywany z tego fragmentu szkieletu. Ale studenci to pomysłowa brać: gdy asystent chciał rzucić kość włożyliśmy pod stół. Ci pod stołem ocaleli i nie byli pytani, ale aby znaleźć sobie miejsce pod stołem wyrobiłam sobie świetny refleks.

Największe problemy mieliśmy z matematyką, bo program szkoły średniej nie przystawał do ćwiczeń z matematyki. Czasem siedziałam jak na przysłowiowym „tureckim kazaniu”.

Szkoda, że nie uczestniczyłam w imprezach studenckich, jak np. juwenalia, ale „wkuwałam” zadany materiał, także nocami.

Aż nadszedł rok 1968 – czas występów studenckich. Pewnego wieczoru przyszło dwóch „facetów”, którzy sprawdzali co też robią studenci, czy nie uczestniczą w rozruchach lub zebraniach. Ja w tym

momencie siedziałam w wannie, a że mieszkłam na kwaterze studenckiej, drzwi otworzyła właścicielka mieszkania. A, że była to późna pora, a Pani, u której mieszkłam rozsierdziła się, że jej przeszkodzili we śnie i odpowiednio potraktowała kontrolerów, proponując oglądnięcie mnie na golasa w wannie. Panowie jak niepyszni pognali po schodach, a było to IV piętro.

Pani Irena, bardzo dobra osoba, bardzo dbała o moją cnotę. Ponieważ mój pokój był przechodni, a zatem musiała dostać się do swojej sypialni przez mój pokój, zorganizowała tzw. „deskę cnoty”. Ponieważ już wtedy byliśmy parą z Ryśkiem, późniejszym moim mężem, a uczyliśmy się razem, w nocy, wspomniana „deska cnoty” nie pozwalała zamknąć drzwi, bo jej położenie na podłodze było kontrolowane, co powodowało bardzo przyzwoite nasze zachowanie. „Deska cnoty” przeszła do historii naszego małżeństwa.

Na I praktyce wakacyjnej chciałam wykazać, że ze mnie to „prawie doktor” i ciągle coś wpisywałam chorym. Opiekunem moim był dr med. Jerzy Głuszek. Znakomity nauczyciel i niezwykle cierpliwy człowiek poprawiał moje „dzieła”. Dziś jest już profesorem i moim serdecznym przyjacielem.

Wchodziłam w skład grupy IX i moim obowiązkiem było podpowiadanie, co koledzy z grupy IX mile wspominają.

Na III roku był egzamin z filozofii. Mój partner, Rysiek Musialik, niewiele umiał i zadecydował, że nie będzie podchodził do egzaminu ustnego. Przyszedł do mojego pokoju z „deską cnoty”, aby poinformować mnie o braku dostatecznej wiedzy filozoficznej. Ubranie miał tzw. codzienne, bez krawata i białej koszuli. Koledzy, gdy się o tym dowiedzieli, przyjechali do mnie: był to Andrzej Baszkowski i Zosia Zommer ze swoją sympatią. Orzekli, że Rysiek musi zdawać; nie pyta prof. Mieczysław Stański, lecz któryś z adiunktów. Chłopacy dali Ryśkowi koszulę, krawat i garnitur i popędzili na egzamin. O dziwo zdał, ale ubranie musiał oddać – przebieranka znowu w moim pokoju.

W 1970 r. wyszłam za mąż, a w 1971 skończyłam studia. Przez 30 lat pracowałam w Szpitalu im. Pawłowa, a obecnie Przemienienia Pańskiego. W roku 1977 obroniłam doktorat, a w roku później zdałam egzamin II° z zakresu chorób wewnętrznych. Zawsze pociągała mnie praca naukowa, które rezultatem była habilitacja (1988 r.), potem tytuł profesora nadzwyczajnego oraz zwyczajnego. Pracowałam wtedy w Klinice Chorób Wewnętrznych, która w 1995 r. została przekształcona w Klinikę Nadciśnienia Tętniczego. W roku 1996 zostałam kierownikiem Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Zaburzeń Metabolicznych i Nadciśnienia Tętniczego. Ze względu na profil kliniki – nadciśnienie tętnicze – zrobiłam specjalizację z hipertensjologii.

W tych latach starałam się uczestniczyć w naszych zjazdach organizowanych przez moim Kolegów. Największy wkład pracy w organizowanie naszych spotkań ma niewątpliwie Kol. Alicja Kaczmarek-Michalewicz. Te nasze zjazdy na zawsze pozostaną w mojej pamięci, jako miłe i wesołe spotkania. W ciepłej atmosferze dzieliliśmy się wiadomościami o naszych sukcesach, wspominaliśmy Kolegów, którzy odeszli na stały „ostry dyżur”. Ja jednym ze zjazdów wytoniliśmy kilka par z naszego roku z 25-letnim stażem małżeńskim. Ja i mój mąż Ryszard należeliśmy do tej grupy. Były kwiaty, uściski, łzy, wspomnienia dawnych, minionych chwil.

Dziś Ryszarda nie ma wśród nas. Pozostały obrazy, urok tamtych lat. Ja nadal pracuję jako kierownik Katedry; 19 osób zrobiło u mnie doktorat, a 3 kolegów habilitacje. Jako profesor mam prawo pracować do 70 lat. Zobaczymy jak się życie dalej potoczy. Zostałam sama z córką, także lekarzem, oraz poczuciem szybko mijającego czasu.

DANUTA PUPEK-MUSIALIK, ŻYWA I PIĘKNA W OPOWIEŚCIACH KOLEGÓW Z POZNAŃSKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ (2019). Jeszcze niedawno była wśród nas, w 2017 r. zamieściła tu swój pamiętnik a po dwóch latach odeszła. „Spieszmy się kochać ludzi...”

NEKROLOG

„Ze smutkiem informujemy, że w nocy, z 15 na 16 grudnia 2019 r. zmarła Pani Profesor Danuta Pupek-Musialik, wieloletni Lekarz Kierujący Oddziałem Nadciśnienia Tętniczego i Zaburzeń Metabolicznych. Prof. Danuta Pupek-Musialik była znakomitym lekarzem, naukowcem i dydaktykiem. Absolwentka Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu wychowała wiele pokoleń lekarzy i studentów. Była prezesem Polskiego Towarzystwa Kardiodiabetologicznego i kierownikiem Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Zaburzeń Metabolicznych i Nadciśnienia Tętniczego Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi i medalem za Długoletnią Służbę. Jest autorką około 330 prac z zakresu medycyny oraz członkiem licznych towarzystw naukowych. Rodzinie i bliskim przekazujemy wyrazy współczucia. Msza święta rozpocznie się o godz. 11 w Kościele Chrystusa Dobrego Pasterza w Poznaniu, a uroczystości pogrzebowe odbędą się na Cmentarzu Jeżyckim przy ul. Nowina 1 w Poznaniu, w czwartek (19 grudnia) o godz. 11.40”

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz wspomina: Była Damą. Już wtedy, 18-letnią Damą, gdy wchodziła do sali wykładowej z futrem niedbale zarzuconym na ramiona, wzrokiem błędzącym gdzieś poza nami – myszowatymi i z dumą na nieruchomym obliczu. Bywało że defilowała przed wypełnioną salą aż do pierwszego rzędu w którym siedało niewielu z nas. Tłoczyliśmy się w odległych rzędach i chichotaliśmy. Wszak niektórzy mieli zaledwie 17 lat... Zawsze była sama, odrębna i smutna w swej dumie. Taką ją zapamiętałam z tych pierwszych lat studiów na poznańskiej AM. Od tej pory minęło ponad pół wieku kiedy to nagle, przy smutnej okoliczności śmierci Danusi temat ożył w naszej messengerowej Grupie. I warto było żyć dłużej bo nastąpił nagły zwrot mojego pola widzenia. Nagle zajaśniał obraz przedstawiony poniżej przez kolegów. I jestem szczęśliwa że tak się stało. Bo jak w przypadku Krzysia Szereszewskiego który - ponurak niezbyt urodziwy - na studiach okazał się poetą, felietonistą, chłopakiem pełnym niezaspokojonej miłości do ludzi, kobiet... A Danusia okazała się nie tylko to ważnym i bardzo poważnym lekarzem i profesorem ale cudowną wrażliwą pełną ciepłą kobietą. I zobaczyłam jej ludzką opromienioną twarz ... Mam nadzieję że przeczytają opowieści kolegów, które poniżej – inni z naszego roku i może ktoś tak jak ja pomyśli, że nigdy, jak pisze Leszek, nigdy nie należy wierzyć pozorom

Mariolka Nowakowska z d. Hołoga: masz rację Zosiu – też pamiętam Ją siedzącą we futrach, samą, w pierwszym rzędzie sali wykładowej – też odbierałam Ją wówczas jako niedostępną. Dopiero po latach, na zjazdach okazała się miłą empatyczną osobą z którą dało się porozmawiać o wszystkim. Coraz częściej słyszymy że ubyłło kogoś z nas- przykre to!

Hieronim Głowacki (Hirek): W czasie studiów Danusia Pupek była bardzo akurтна, pracowita i sumienna. Jej notatki z wykładów były pierwszorzędne. Ja miałem z nią dobre koleżeński układ. Jak coś potrzebowałam, zawsze pomogła bez sprzeciwu. W szczególności z jej notatkami. Pamiętam na jednym z naszych spotkaniu opowiadała o studentce, która była w ciąży. Ona przyszła do niej na egzamin. W czasie egzaminu, a może przed, studentka dostała bóle porodowe. Ona jej ten egzamin zaliczyła. Postarała się o porodówkę i parę godzin później dziecko było na świecie. Ona to opowiadała z niesamowitą radością. Jej cała twarz promieniowała podziwem dla tej studentki. Niestety po studiach mieliśmy bardzo mało kontaktów. Tylko na spotkaniach. Dzięki Piotrowi Janaszкови.

Leszek Milanowski: Przed chwilą Jurek wysłał zawiadomienie o śmierci Danuty. Przyjaźniłem się z Jej mężem, laryngologiem w Szpitalu im. Franciszka Raszei. Wydawała się wyniosła a była w rzeczywistości i w życiu prywatnym bardzo ciepłą, życzliwą kobietą. ... Z powodu Jej „niedostępności”, „wyniosłości” oraz futrom nawet nie chciałem się z Danusią Pupek-Musialik zaprzyjaźnić i rozmawiać. Ot, kilka przypadkowych spotkań. Chyba otrzymała czerwony dyplom z Krzysiem Urbańskim do którego mi zabrakło trójki z farmakologii od późniejszego członka naszej rodziny, zresztą słusznie. Po latach dopiero prywatnie kontakty otworzyły mi oczy jak głęboko życzliwa, znająca swoją wartość i wcale nie wyniosła kobietą Ona była. Nie oceniamy nikogo po pozorach. Żałuję, że nie kontaktowałem się z Nią częściej, również dla własnego zdrowia. Niestety nie dojadę na Jej uroczystości pogrzebowe.

Tekst zamieszczono 24 stycznia 2020 r. w blogu: http://zofiakonopielko.pl/?p=4815_pt. Danuta Pupek – Musialik, żywa i piękna w opowieściach kolegów z poznańskiej Akademii Medycznej (1965- 1971

Elżbieta Wiśniewska

Z egzaminów wstępnych najbardziej pamiętam: twarde „klapki” do siedzenia [unoszące się po wstaniu] w auli na Przybyszewskiego. Trzeci dzień nie mogłam już wysiedzieć bo mnie po prostu tyłek bolał, więc szybko skończyłam pisanie. Z tego co pamiętam to pytania były zgodne z programem liceum, niezbyt trudne o ile pamięć nie zawiodła.

Nie znałam nikogo, ale zapamiętałam ładną blondynkę, która siedziała na brzegu szeregu „kłapek” dwa rzędy wyżej ode mnie i do której kilka razy podchodziła jedna z asystentek nas pilnujących.

Na liście przyjętych z najwyższą punktacją (120 na 100 za wiadomości) zapamiętałam nazwisko podziwianego przeze mnie geniusza: Stefania Miłosz. Na III roku do mojej grupy dołączyła ta Stefania i wtedy ją sobie przypomniałam z egzaminu wstępnego. Pochodziła spod Warszawy ale przyjechała na AM w Poznaniu, bo miała ciocię w sekretariacie, która ją przepchnęła przez całe studia, bo uczyła się słabo. Nieśmiała i nerwowa była, ale w końcu skończyła. Wyszła za mąż za Hindusa (rok niżej) i miała 2 córki. Wróciła pod Warszawę i mąż skończył studia w Warszawie a potem wyjechali na Mauritius. Z tego co mi się obilo o uszy to że mąż zmarł, ona wróciła i też już nie żyje.

Pierwsza lekcja anatomii to szok, że trzeba znać materiał przed a nie po lekcji i to po łacinie, której nie miałam w liceum. Na całą grupę tylko kolega Andrzej Hyży [1947-2004] odpowiadał śpiewająco. Później już było lepiej i zdawałam wszystkie kolokwia i egzaminy za pierwszym podejściem.

Przez pierwsze pół roku nie podobało mi się na AM i z powodu ograniczonej tematyki zajęć - myślałam o uniwersytecie. Z dobrego liceum byłam przyzwyczajona do dyskusji na różne tematy historyczne, literackie, kulturalne. I tego mi brakło, bo na AM tylko kucie i z nikim o niczym innym nie dało się porozmawiać, przynajmniej w mojej grupie. Po pół roku się przyzwyczaiłam i nadrabiałam w wakacje, które pomimo praktyk były długie.

Pamiętam że towarzystwo I roku było podzielone na 3 grupy towarzyskie: 1) mieszkający w akademikach, 2) dzieci profesorskie i 3) grupa miejscowa czyli z Poznania, do której należałam. Później już do cięższych egzaminów przygotowywałam się zwykle z Grażyną Lorenz i Danką Siudzińską na zmianę u każdej w mieszkaniu.

Co do zdjęć to albumów mam kilka. Mam pytanie czy skanować stronami (folderami, pocztówkami, opisami), Czy tylko moje własne fotki? Bo trochę tego jest. No to tyle na razie pozdrawiam Elżbieta

Ewa Barabasz (primo voto Feliks, z d. Kabat)

Dla mnie ten okres był najpiękniejszym czasem w moim życiu! Egzamin wstępnym zdałam bardzo dobrze, ale świadectwo maturalne miałam średnie i w rozmowie „na inteligencję” z p. profesor Marią Goncerzewicz [1917-2020 – późniejszy dyrektor Instytutu „Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka” w Warszawie] usłyszałam, że to nie do wiary aby były takie rozbieżności! Zadała mi pytanie czy chodzę do operetki. Odpowiedziałam, że nigdy. Powiedziała mi, że to skandal że nie byłam w operetce. Odgryzłam się Pani Profesor: „chodzę do opery przynajmniej 1 raz w miesiącu”. Jakoś udało się i dostałam się na naszą AM!! Chyba dla wszystkich pierwszy rok studiów był najtrudniejszy. Anatomia - 7 tomów Bochenka, nie wiem jak sobie poradziłam bo chyba cierpiałam na ADHD. Uczyłam się w rodzinnym domu wchodząc pod stół, w parku na Dębcu, w tramwaju itd. Materiał powtarzałam z Grażyną Walczak. Niestety nasza koleżanka skończyła studia i „poszła ” w biznes futrzarski. Egzamin z anatomii zdawałam na sali wykładowej tzw. popisowy - jakie to było łatwe. Wymagało tylko odwagi. Histologia – nie była łatwa. Profesor Kazimierz Miętkiewski [1906-1973] – wspaniały „staruszek”. Może miał mniej lat niż my teraz! Matematyka – bałam się tego przedmiotu okropnie! Zajęcia były na Engla [obecnie ul. Jarochońskiego] w Klinice Ginekologii i Położnictwa. O dziwo te całki i różniczki były łatwe jak bułka z masłem.

Juwenalia: wspaniałe imprezy studenckie. Co roku bawiłam się, przebierałam się i byłam królewną, wiewióreczką itd. Niestety na drugim roku, przeskakując przez linkę skrzyłam kolano. Uraz był poważny i do dnia dzisiejszego mam kłopoty z chodzeniem zwłaszcza po schodach. Uprawiam sport regularnie i to ratuje mnie przed artroskopią i operacjami. Haseł wznoszonych przez studentką brać nie pamiętam.

W marcu 1968 [Marzec 1968, Marzec '68 (8–23 marca 1968) – terminem tym najczęściej określa się wielopłaszczyznowy i często trudny do jasnego zdefiniowania kryzys społeczny i polityczny w Polsce, który rozpoczął się w czerwcu 1967 roku, apogeum osiągnął między 1967 a 1968 rokiem, by wygasnąć późnym latem tegoż roku. Najważniejsze wątki tego kryzysu to ostra walka frakcyjna wewnątrz rządzącej Polską Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR), kryzys społeczny będący skutkiem rozczarowania systematycznym kurczeniem się obszaru swobód obywatelskich i demokracji po wielkich przemianach 1956 roku, wreszcie sięgnięcie przez władze do antysemitycznych stereotypów i uprzedzeń, co zaowocowało największą po stalinowskich czystkach lat pięćdziesiątych kampanią antysemitką w powojennej Europie i masową emigracją resztek społeczności żydowskiej z Polski. Marzec 1968 – Wikipedia, wolna encyklopedia] – wiem, że bardzo boleśnie był pobity przez ZOMO jeden z naszych kolegów, Andrzej Zdebski.

Mieszkałam w Poznaniu z rodzicami a akademiki odwiedzałam chętnie, a zwłaszcza spotykałam się tam z Ulą Mikołajczak.

Wojsko, „dziurawe wojsko” było traktowane przez majorów i pułkowników ulgowo! („dziurawe wojsko – tak nazywano dziewczyny w mundurach - przyp. JTM). Egzamin z części pistoletu zdawałam tak: szepcząc „panie majorze, nie wiem ”, a major: na głos „dobrze studentka odpowiedziała!”. Ekstra!!! i wyszłam z 5-ką.

Na rajdy jeździłam namiętnie, ale najczęściej z Politechniką Poznańską. Zbieraliśmy się pod pomnikiem Adama Mickiewicza i nie było nas w Poznaniu przez 2-3 dni. Często spaliśmy w stodołach u gospodarzy i uczestniczyliśmy w weselach. Wytańczyłam się jak nigdy w życiu. Jedną z praktyk wakacyjnych pamiętam dobrze - pojechaliliśmy do Darłowa. Prowadziła ją prof. Maria Goncerzewicz. Na tej praktyce była Magda Zabel i Anissa Schariffi. Drugą praktykę, którą pamiętam to wyjazd do NRD, do Drezna. Byłam tam z Elą Szajek. Pracowaliśmy w szpitalu jako salowe. Nie zapomnę tego wczesnego wstawania, mierzenia tętna posługując się klepsydrą i wołania pacjentów „bitte, Schibeiin”

(proszę podsuwacz czyli basen). Był z nami chirurg ze szpitala na Przybyszewskiego, dobierał się do mnie, ale skutecznie odpierałam ataki. Mam nadzieję, że nikt nie będzie pytał kto zacz.

Muszę powiedzieć, że po studiach czułam się zagubiona i miałam odczucie, że „wiem, że nic nie wiem” oczywiście z medycyny. Staż podyplomowy odbywałam w Szpitalu im Hipolita Cegielskiego. Najfajniej było na chirurgii. Uczyłam się zdiagnozować ostre stany chirurgiczne, szyc „ketgutem” [Katgut, ketgut (z ang. catgut, prawdopodobnie od cattle – bydło, gut – jelito), struna chirurgiczna – włókno wytwarzane z baranich lub kozich jelit charakteryzujące się dobrymi właściwościami mechanicznymi, ulegające biodegradacji. Stosowane w chirurgii. Szwy wykonane z catgutu wchłaniane są stopniowo przez organizm pacjenta, rozpuszczając się bez żadnych pozostałości. Umożliwia to jednoczesne łączenie kilku warstw tkanek bez potrzeby usuwania szwów. Obecnie zastępowane przez syntetyczne włókna wchłanialne, np. poliglikolowe. W Europie wprowadzone w XIX wieku przez angielskiego chirurga Josepha Listera], intubować pacjentów i dyżurowałam za ordynatora, który oczywiście był pod telefonem i mógł natychmiast przybyć, gdyby się coś złego działo. Tantiemy dawał mi szef równe jego wynagrodzeniu. Och jak się to przydawało! Pierwszy stopień z pediatrii zrobiłam w Instytucie Pediatrii w Poznaniu. Kierownikiem był profesor Olech Szczepski [1914-1980; rektor w latach 1962–1964, doktor honorowy macierzystej uczelni od 1975 roku, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Kombatant II wojny światowej, uczestnik kampanii wrześniowej, walk o Tobruk i bitwy o Monte Cassino] – wspaniały człowiek i pediatra. Moim kierownikiem specjalizacji była doc. Maria Chmielowa [1929-1991; działaczka NSZZ „Solidarność”,



Maria Chmiel

członkini Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie]. Do egzaminu podeszłam już po dwóch latach. Profesor kręcił nosem bo to zbyt krótki okres aby zdobyć choć podstawowe wiadomości z chorób dzieci. Zdałam koncertowo. Natomiast drugi stopień specjalizacji robiłam dopiero po 7-miu latach w Warszawie na kursie atestacyjnym. Droga przez mękę. Mieszkłam w Domu Lekarza na Ursynowie i codziennie dojeżdżałam do Dziekanowa Leśnego (44 km), tak przez 3 miesiące. Udało się i pomyślnie zdałam egzamin i mogłam być specjalistą chorób dzieci.

Pomimo tego, że potem pracowałam w Klinice Pediatrii nie zrobiłam doktoratu. Ale można powiedzieć, że poświęciłam karierę naukową rodzinie. Co prawda pierwsze małżeństwo z dr Feliksem skończyło się rozwodem. Urodziłam w 1972 roku córkę Anię. Potem wyszłam za mąż za sędziego z którym mam syna Rafała (1984 r.). Udało się małżeństwo, lepiej trafić nie mogłam! Ania jest historykiem sztuki i pracuje w Warszawie w Muzeum Narodowym w „dziale mebla”, samotna a Rafał jest notariuszem i razem z ojcem prowadzą kancelarię notarialną w Bydgoszczy. Rafał w maju żeni się. Może doczekam się wnuków! [kiedy Ewa napisała ten tekst, minęło kilka lat a teraz razem z Mężem cieszą się dwójką wspaniałych Wnucząt!!!]. Ot samo życie. Ja jestem na emeryturze, ale mam praktykę prywatną, dobrze prosperującą, przynajmniej mi to wystarcza bo przecież „praca jest dobrodziejstwem ale nadmiar pracy przekleństwem”.

Można powiedzieć, że życie ułożyło mi się dobrze, choć wiadomo, że było trochę progów, ale „dałam radę”. Jestem szczęśliwym człowiekiem (kobieta to nie człowiek?) i zadowolonym lekarzem, pracującym cały czas.

Jeszcze chciałam dodać, że dzięki profesorowi [Zygmuntowi Przybylskiemu] z Zakładu Medycyny Sądowej, który miał patronat nad sportem studenckim - jeżdżę na nartach, bo to on wciągnął mnie w uczestnictwo w sportach (Sieraków - piłka nożna i koszykówka). Zwardoń - narty zjazdowe - to było narciarstwo zupełnie inne, inny sprzęt i żadnych wygod typu orczyki i kolejki linowe. Iwona Bączyk i Danusia Siudzińska też jeździły i do dziś uprawiają ten sport. Serce mi się kraje, że tylu kolegów odeszło i o wszystkich mogę powiedzieć, że byli wspaniali! Moja grupa 10-ta jest w całości.

I jeszcze jedno „mocne” wspomnienie z czasu pracy. Dyżur w Szpitalu Dziecięcym w Toruniu, noc z 12 na 13.12.1981 r. Ogłaszają Stan Wojenny [Stan wojenny w Polsce w latach 1981–1983 – stan nadzwyczajny wprowadzony 13 grudnia 1981 roku na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, niezgodnie z Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Został zawieszony 31 grudnia 1982 roku, a zniesiono go 22 lipca 1983 roku. W trakcie jego trwania internowano łącznie 10 131 działaczy związanych z Niezależnym Samorządnym Związkiem Zawodowym „Solidarność”, a życie straciło ponad 70 osób, w tym 9 górników z Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach podczas pacyfikacji strajku]. W szpitalu mam kilkoro dzieci w ciężkim stanie – śpiączka mocznicowa i stan przedśpiączkowy w cukrzycy. Laboratorium w Szpitalu Wojewódzkim na Bielanach kilka kilometrów ode mnie. Wzywam MO [Milicję Obywatelską] (stanęłam przed szpitalem na drodze) i oni wożą krew i mocz do badań i przywożą wyniki. Przecież nic nie działało, nie ma karetek (wymiotło!) nie działały telefony. Katastrofa!! Udało się - dzieci wyprowadziłam ze śpiączek i rano po dyżurze udałam się pieszo, w siarczystym mrozie do domu. Szpital był przy parku, na którego skraju leżał zakrwawiony człowiek. Jeszcze raz „złapałam” sukę policyjną. Byłam wykończona, ale szczęśliwa, że dałam radę. W domu zostałam córkę siedzącą przed TV, która spytała „czemu nie ma bajek? czemu przemawia ten ubrany na zielono Pan?”

Ewa Baszkowska (z d. Lutkowska). Studia i krótka historia spotkania w Afganistanie z koleżanką z naszego roku Anisą Szarifi, która z poznańskim dyplomem lekarza wróciła do swojej ojczyzny...

Studia. Mój wstępny egzamin ustny, to było wielkie szczęście. Dzień przed egzaminem siostra przepytывała mnie o białkach. Przed wejściem na salę ktoś ze zdających pytał się o wzór na równię pochyłą. Rysowałam ją palcem na ścianie i wyjaśniałam wzór. Kiedy weszłam na salę, jeszcze dobrze nie usiadłam dostałam pytanie, proszę podać wzór na równię pochyłą. Za chwilę pytanie co pani wie

o białkach. Chciało mi się śmiać, bo wyglądało jakbym wcześniej te pytania znała, albo telepatycznie przekazałam je komisji. Ćwiczenia z anatomii to był dla mnie wielki strach.

Na studiach mieszałam w klasztorze u Sióstr Elżbietanek przy ul. Kościelnej. Była taka siostra furtianka, która bardzo nie lubiła swoich dyżurów przy furcie i uciekała w chorobę. Kładła się w celi i nie mogła wstać. Nie przyjmowała żadnych pokarmów i zakonnice się dziwiły jak ona żyje nic nie jedząc. A to nie było tak. Codziennie wieczorem, kiedy wracałam z zajęć przynosiłam jej różne pożywienie, które stawiałam pod drzwiami celi i ona to zabierała do zjedzenia. Taka to była choroba.

###

Juwenalia 1966. Pod namową jednego z asystentów wzięliśmy w nich udział. Dr Kompf w stroju mnicha bawił się razem z nami. Każdy z nas wypożyczył stroje z Opery. Jednym z punktów zabawy były wybory Najmilszej Studentki. Oprócz miłego wyglądu należało przejść egzamin z ... „inteligencji”. Polegał na odpowiedzi na kilka pytań. Pamiętam do dziś, że zapytano mnie między innymi ile rowków ma płyta winylowa. Po pierwszej chwili pełnej paniki, „błyskotliwie” odpowiedziałam, że po jednym z każdej strony. I to było to. Po zwycięstwie była uroczysta chwila wręczenia pucharu przez rektora prof. Witolda Michałkiewicza i „tryumfalny” przejazd na koniu, podczas którego byłam pewna, że za chwilę spadnę. Na szczęście podtrzymywał mnie sprawny jeździec, student Wyższej Szkoły Rolniczej, Marek Kanafa. Najlepiej z tej przemijającej uroczystości pamiętam właśnie ten przejazd przez miasto i obolałą przez kilka dni, nie przyzwyczajoną do jazdy konnej określoną część ciała....

Spotkanie w Afganistanie z koleżanką z naszego roku Anisą Szarifi, która z poznańskim dyplomem lekarza wróciła do swojej ojczyzny. Było to w jesieni 1977 roku. Wracaliśmy z kilku tygodniowej wycieczki do Afganistanu. Wtedy nie było tak łatwo wyjechać jak dzisiaj. Pomijając problemy ze zdobyciem paszportu trzeba było mieć dużo samozaparcie żeby wyjazd zorganizować logistycznie. Nie było wycieczek, wszystko trzeba było zorganizować sobie samemu. Należało zarezerwować loty samolotem w obie strony do Moskwy, z Moskwy do Duszanbe, dalej pociągiem do Termezu, promem (nie było jeszcze wtedy mostu, zbudowali go dopiero później Rosjanie gdy najechali ten kraj) przez Amu-darię i już byliśmy w Afganistanie. Teraz jeszcze 60 kilometrów okazją do Mazar - i Szarif ze słynnym meczetem Alego, do którego niewierni, czyli my, nie mieli wstępu. Okazja dla nas okazała się ...wywrotka, co zostało naturalnie powitane entuzjastycznie przez Ewę... Potem kilka dobrych godzin psującym się wielokrotnie autobusem przez wysokie góry i już byliśmy w Kabulu. To był wtedy bardzo biedny, górzysty i muzułmański kraj. Ludzie byli otwarci i bardzo przyjaźnie nastawieni do cudzoziemców. Ciekawe było to, że trudno było wymienić pieniądze w banku. Oni nie potrzebowali zachodniej waluty... Można było wymienić tylko 50 marek zachodnich dziennie, dolarów nie chcieli wcale. Zwiedzanie to była pełna egzotyka, ale co się dało to zobaczyliśmy. Wynajęliśmy samochód z kierowcą i tak podróżowaliśmy. Oprócz stolicy z jego muzeum, skalne świątynie, kolosalne pomniki Buddy w Bamjanie, budowle w Ghazni... Powrót odbywał się tą samą drogą... I właśnie w powrotnym autobusie spotkała nas największa niespodzianka. Siedzieli w nim sami Afgańczycy. My wsiadamy i ktoś krzyczy Ewa! Pełen szok. Okazało się, że tym samym autobusem jechała nasza koleżanka z roku, Anisa Szarifi z rodziną. Skończyła studia w Poznaniu i wróciła do rodziców. Było to ogromnie wzruszające i serdeczne spotkanie. Anisa jechała właśnie do Mazar i Szarif. Byliśmy jej gośćmi podczas postojów na posiłki... Tyle tysięcy kilometrów od Polski, daleki i mało znany kraj i spotkanie koleżanki... Następnym razem spotkaliśmy się po latach już u nas w domu w Poznaniu z okazji 20-lecia ukończenia studiów...

Ewa Jóźwik (z d. Reinke)

Egzamin wstępny zdawałam w dużej sali na ul. Przybyszewskiego. Pisałam na temat nauki przyrodnicze a medycyna. Z pierwszego roku z zajęć z matematyki pamiętam, że były całki i różniczki, których nie wiem po co nas uczono skoro nigdy w życiu tego typu działań nie stosowałam.

Przez okres studiów mieszkalam u rodziców. Tata mój uważał, że powinnam w domu być o godzinie 20-ej. Mama jednak jego przekonała, żeby to była 22-ga. Chodziłam na juwenalia - to były wspaniałe zabawy. Bawiłam się głównie ze studentami z Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Znalazłam tam grupę bardzo fajnych ludzi, z którymi zaprzyjaźniłam się i spędzałam wolny czas. Z nimi jeździłam na rajdy i obozy.

W 1968 roku w marcu po wykładzie z anatomii patologicznej, który był w sali przy ul. Przybyszewskiego musieliśmy zostać na zebraniu roku. Przyszedł dziekan Przemysław Gabryel razem z sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR, aby nam naświetlić sytuację w Warszawie na Uniwersytecie Warszawskim. Sekretarz opowiadał tak straszne bzdury, że aż żal było tego słuchać. Wtedy Piotr Janaszek zabrał głos i powiedział, że jest brak rzetelnej informacji i że popieramy studentów z Warszawy. Wszyscy go poparliśmy. Dziekan zapowiedział nam, że nie wolno się grupować [trzy osoby to już zgromadzenie]. Piotr za swoje wystąpienie odcierpiał. Po studiach nie mógł dostać pracy w Poznaniu. Był notowany w SB [Służba Bezpieczeństwa (potocznie określana wraz ze swoim protoplastą jako bezpieka) – formacja powołana m.in. do zapewniania bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego kraju, działająca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i strukturach podległych w latach 1956–1989, a także w pierwszym roku istnienia III RP, ostatecznie rozwiązana w 1990 r. W końcowej fazie swojego istnienia (sierpień 1989 r.) ta służba specjalna zatrudniała 24 300 funkcjonariuszy, którzy nadzorowali 90 tys. tajnych współpracowników (TW) w Polsce i wielu agentów wywiadu pośród obywateli obcych państw. Oznacza to, że na jednego funkcjonariusza przypadało statystycznie 1564 obywateli, a TW stanowili w przybliżeniu 0,2% ogółu ludności PRL. Wszystkie organy formacji uznano na potrzeby lustracji i dekomunizacji za organy bezpieczeństwa państwa komunistycznego].

Pamiętam mój egzamin z filozofii - nie chodziłam na wykłady ale przed egzaminem poszłam na ostatnie dwa. Usiadłam w pierwszym rzędzie. Na egzamin szłam z przeświadczeniem, że go obleję. Kiedy weszłam do sali pan doc. Mieczysław Stański powitał mnie z uśmiechem i powiedział, że pamięta mnie z wykładów, że pilnie słuchałam i dał mi bardzo łatwe pytanie z historii filozofii. Egzamin poszedł bombowo.

Na zajęciach z pediatrii przy ul. Nowowiejskiego, postępowaliśmy za panem doc. Skalskim gęsiego, wąskim korytarzykiem utworzonym z jednej strony przez oszklone boksy z chorymi zakażnie dziećmi a z drugiej była ściana. Wtedy Krzysztof Szereszewski pospinał nas paskami fartuchów [z tyłu każdy fartuch miał pasek zapinany na dwa guziki]. Pierwszy student został przypięty do docenta. Utworzyła się dyskretnie chichocząca gąsienica postępująca zgodnie za mistrzem. W pewnej chwili pan docent Skalski odwrócił się i z takim dobrotliwym uśmiechem powiedział: „oj dzieci, dzieci”. Na zajęciach z ginekologii i położnictwa [tzw. internat], gdzie byliśmy zamknięci w klinice położniczej całodobowo nie wolno nam było wychodzić, ani nikt nie mógł nas odwiedzać, wyżywienie było bardzo kiepskie. Pewnego razu Andrzej przyniósł wałówkę dla Ewy. Ludzka portierka pozwoliła, aby Ewa odebrała paczkę od Andrzeja. W tym momencie zauważyła naszego rektora i biegiem uciekała po schodach do naszego internatu. Rektor biegł za nią. Wystraszona wpadła do pokoju wołając, że rektor ją goni. Zamartżyśmy. I nagle pukanie do drzwi. Wchodzi profesor, podaje Ewie wędzoną rybę ze słowami: „koleżanko, zgubiła to pani, po drodze”.

[BARDZO CIEKAWĄ OPOWIEŚĆ EWY O KOLEDZE Z ROKU, LUDWIKU KRZYSZTOFIE SZERESZEWSKIM ORAZ JEGO WERSZE KTÓRE PRZEKAZAŁ EWIE, PRZENIESIONO DO WSPOMNIEŃ O NIM]

Halina Biedzińska-Janowicz

Wspomnienie z lat studenckich... Moja przygoda z medycyną zaczęła się 50 lat temu. Wspomnienia z lat studenckich nadal budzą we mnie sporo emocji. Były to lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku - pięć lat spędzonych w żeńskim Domu Studenta w Poznaniu przy ulicy ks. Wawrzyniaka.

Początki tej drogi nie były łatwe. Paraliżował nas stres związany z rozłąką z rodziną, samotność i strach przed porażką i wydaleniem ze studiów. Dokuczała ciasnota w 5-6 osobowych pokojach, sypianie na metalowych, piętrowych łóżkach z mocno zniszczonymi sprężynami i materacami. Ze względu na powszechny brak podręczników i atlasów uczyliśmy się w grupach, powtarzając głośno teksty. Byliśmy z różnych wydziałów i grup: lekarski, stomatologia, farmacja. Każda z nas miała inny plan zajęć i wkuwała inny materiał. Zatem w różnych miejscach budynku szukałyśmy spokojnego kąta do nauki. Były to: pomieszczenia pralni, zakamarki korytarzy, a w godzinach nocnych nawet kabiny prysznicowe. Nie były to komfortowe warunki do nauki. Na wyższych latach studiów /po II-III roku/ warunki socjalne w naszym akademiku poprawiły się. Zamieszkałyśmy w nowo umeblowanych 4 osobowych pokojach. Życie studenckie zmieniało się. Odnalazłyśmy się w nowych warunkach. Dbaliśmy o dobrą atmosferę i poprawne relacje między koleżankami. Stałyśmy się silniejsze psychicznie. Chłonęłyśmy wiedzę medyczną, ale starałyśmy się znaleźć więcej czasu na poznanie nowego środowiska i miasta. Częściej chodziłyśmy do kina, opery i teatru. Wyjeżdżałyśmy autobusem poza miasto nad pobliskie jeziora i nad Wartę. Pozbywałyśmy się prowincjonalnych kompleksów. Śmielej nawiązywałyśmy kontakty damsko-męskie. Panowie mogli nas odwiedzać w niedziele w godzinach od 15 do 18-tej. Po wizytach bywało w pokojach bardzo ciekawie i wesoło. Opinie koleżanek o naszych sympatiach były bezcenne.

Do dzisiaj wspominamy tzw. fajfy w różnych klubach studenckich. Najpopularniejszym klubem była „Dziupla” przy WSR [wówczas: Wyższa Szkoła Rolnicza, obecnie Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu] i „Agora” na Politechnice Poznańskiej. W tym okresie sporo koleżanek poznało swoich życiowych partnerów. Nie brakowało nas na studenckich, pieszych rajdach. Najbardziej zapamiętane to rajdy parasolowe organizowane przez ZSP [Zrzeszenie Studentów Polskich] wspólnie z Politechniką Poznańską. Przyszli inżynierowie byli bardzo kreatywni i potrafili zadziwić.

Medycyna okazała się arcyciekawa, a przyswajanie jej stawało się łatwiejsze. Znajdywałyśmy również czas na pracę społeczną w organizacjach młodzieżowych działających na terenie uczelni. Co roku w czerwcu, w okresie Międzynarodowych Targów Poznańskich, udawało się popracować zarobkowo na stoiskach targowych. Podczas letnich wakacji odbywały się obowiązkowe praktyki studenckie w ciekawych miejscowościach w kraju i za granicą. Podczas ferii zimowych był czas na obozy studenckie w górach.

Z dumą wspominam jak wspierałyśmy się z koleżankami w akademiku całym sercem na dobre i złe: jak dzieliłyśmy się paczkami żywnościowymi, jak pożyczaliśmy między sobą ciuchy, szczególnie przed ważnymi randkami. Przyjaźnie z lat studenckich i pobytu w akademiku na Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce], przetrwały do dziś. Pomimo tego, że mieszkamy w miejscowościach w różnych rejonach kraju, kontaktujemy się telefonicznie i chętnie się spotykamy. Mamy to szczęście, że absolwenci naszego rocznika Wydziału Lekarskiego i Oddziału Stomatologii dawniej Akademii Medycznej w Poznaniu spotykają się co roku. Frekwencja na spotkaniach jest imponująca!

Po studiach pierwszą pracę miałam w województwie zielonogórskim we Wschowie. Przez 3 lata odpracowywałam stypendium fundowane. Proponowano mi tam mieszkanie, ale ja wolałam dojeżdżać z Leszna (17 km). Pracowało nas tam, w tym czasie, kilka osób. Przez mieszkańców byliśmy traktowani jako obcy. Oni byli repatriantami ze Wschodu i nas, którzy przyjechaliśmy z Poznania nazywali „krzyżakami” (zabór pruski). Po odpracowaniu stypendium wróciłam do Leszna, gdzie pracowałam w Wojewódzkiej Przychodni Specjalistycznej na stomatologii zachowawczej do emerytury i gdzie zrobiłam II stopień ze stomatologii zachowawczej. Mam jednego syna, który jest prawnikiem. Mam jednego wnuka. Syn z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych.

Halina Kowalska-Hüntten

List Haliny mieszkającej od 50 lat w Niemczech do Jurka Marcinkowskiego (maj 2025). Witam witam i o zdrowie pytam. Bardzo dziękuję za wiadomości jak zwykle z bardzo miłym pozdrowieniem na początku.

Postaram się krótko opisać moje życie w kontekście wspomnień. Urodziłam się 1 lipca 1947 roku w Poznaniu. Moi rodzice pobrali się w 1946 roku i mieli szczęście od razu dostać mieszkanie dla pracowników w budynku banku na Placu Wolności bo mój tata po studiach ekonomicznych pracował w tym banku. On skończył w 1938 roku gimnazjum humanistyczne, zdał maturę posiadając znajomość sześciu języków (niemiecki, angielski, francuski, łacina, grecki, rosyjski-po wojnie węgierski). Jego zdolności i pasja językowa mobilizowały jego dzieci do nauki języków obcych. Miałam sześć lat gdy zaczęłam naukę gry na fortepianie i języków. Początkowo był to niemiecki a potem doszły inne języki- angielski, rosyjski, francuski, łacina i hiszpański. Znajomość języka angielskiego umożliwiła mi na studiach otrzymanie stypendium na praktykę w klinice kardiologicznej w Coventry (Anglia). Niemiecki i angielski pomogły mi w pracy zawodowej.

Mój doktorat robiłam już na kontrakcie amerykańskim i po obronie pracy doktorskiej dostałam stypendium Essen w Niemczech na kontynuację mojej pracy. Podczas pobytu w Essen poznałam mojego męża, który był dentystą. Pracuję i mieszkam od prawie 50 lat w Niemczech.

Drugą pasją mojego ojca była przyroda. Jako dzieci spędzałyśmy każdy wolny czas z tatą w lesie, nad jeziorem, na wędrownkach. Poza zbieraniem grzybów i owoców leśnych, uczyłyśmy się z siostrą zbierać zioła. Mój tato znalazł je i my zbierałyśmy z radością ziółka które tato suszył, mieszał i przygotowywał wspaniałe herbatki ziołowe.

Również ta pasja zaowocowała w moim zawodzie. Jestem lekarzem medycyny ogólnej i homeopatii. Przez to wykształcenie i doświadczenie mam inne podejście do pacjentów. Praktykuję ponad 50 lat i niektóre rodziny pacjentów konsultuję już w czwartym pokoleniu. Homeopatyczna biografia w ramach tzw. terapii konstytucjonalnej umożliwia wyszukanie odpowiedniego lekarstwa.

Miałam ostatnio malucha 6- miesięcznego z neurodermatitis. Jego ojciec miał w tym samym wieku te same problemy. Ponieważ robię zdjęcia pacjentów, mogłam matce malucha pokazać zdjęcie ojca sprzed 30 lat i terapia była łatwa.

Mój mąż też się zafascynował homeopatią i był jednym z kolegów, którzy przed ponad 40 laty utworzyli towarzystwo medycyny alternatywnej dla dentystów.

Jestem bardzo wdzięczna, że mogłam w moim mieście rodzinnym Poznaniu studiować i zbierać dużo doświadczeń również w życiu kulturalnym. Moi rodzice zabierali nas na koncerty w Filharmonii i w operze.

Wspólne zainteresowania wzmacniają też związki małżeńskie i rodzinne. Moja teściowa Berta była sopranistka w Operze w Duisburgu. Dzięki temu mój mąż miał w bardzo wczesne możliwości kontaktu z muzyką klasyczną i operą. Jako 4 letnie dziecko był na scenie operowej jako statysta.

Nasz prawie 40 letni związek małżeński zacieśniał się coraz bardziej przez wspólne zainteresowania medyczne i wspólne pasje, hobby.

Otwarte podejście do życia i konsekwencja w zbieraniu doświadczeń razem z dużą porcją humoru ułatwiają życie i utrzymują zdrowie fizyczne i psychiczne.

Moje Motto życiowe:

Miłość, radość i spokój ducha

W Niemczech jest przysłowie które bardzo lubię:

Kocham życie, życie mnie kocha

Kocham pracę, praca mnie kocha

Kocham ludzi, ludzie mnie kochają

Chciałam krótkie epizody z mojego życia opisać i sprawa się trochę rozciągnęła. Serdecznie Ciebie pozdrawiam i jestem ciekawa tej publikacji. W przyszłym roku mamy znowu jubileusz. Może uda nam się osobiście spotkać. Pa, Halina

[Hanka Paluszkiewicz-Janusz](#)

O zawodzie lekarza marzyłam od zawsze, czyli od lat dziecięcych. Będąc córką lekarza codziennie bawiłam się w szpital lub otwierałam poradnię lekarską dla lalek. Gdy w 1964 r. mając lat 17 zdałam pomyślnie egzamin wstępny na Akademię Medyczną i nie zostałam przyjęta z powodu nieodpowiedniego pochodzenia był to dla mnie niesamowity cios i tragedia. Na szczęście, po odwołaniu za zgodą rektora A.M. prof. Witolda Michałkiewicza, aby uzyskać „prawa klasy robotniczej” od września 1964 r. rozpoczęłam pracę salowej w Klinice Ortopedycznej prof. Wiktora Degi w Poznaniu.

W podobnej sytuacji znalazł się Piotr Janaszek i razem przez to przechodziliśmy. Był wspaniałym, życzliwym kolegą. Piotr został ortopedą, a ja z ortopedii wyleczyłam się. Byliśmy szczęśliwi gdy po roku pracy bez ponownego egzaminu wstępnego pozwolono nam rozpocząć studia medyczne.

Uczyłam się jak szalona dzień i w nocy bo pierwszego roku nie repetowało się, a więc wisiło nad nami widmo wylecenia ze studiów po obłanych egzaminach.

Na pierwszej sesji poległam na egzaminie z biologii. Gdy dowiedziałam się, że za trzy dni zdaję komis, szłam przez Poznań płacząc na głos. Wszyscy pamiętamy jak wiele osób wtedy wyleciało z uczelni. W pewnym momencie podeszła do mnie starsza pani i spytała się „Co to się dziecko stało, że tak płaczesz? Czy ktoś z rodziny ci umarł?”. Gdy powiedziałam, że oblałam egzamin, czeka mnie komis i pewnie wylecę z studiów roześmiała się mówiąc „że to nie koniec świata”. Ale dla mnie był to koniec świata. Na szczęście egzamin komisyjny zdałam i z optymizmem popatrzyłam w przyszłość, odżyłam. Na egzaminie poznałam Joasię Piotrowiak-Paździorę ze stomatologii, w połowie 2 roku zamieszkałyśmy razem i tak już zostało do końca studiów. Po zakończeniu studiów Ona też zamieszkała na Śląsku i do dziś mamy ze sobą kontakt.

Mając nauczkę po tych dwóch egzaminach doszłam do wniosku, że wiedza nie zawsze wystarcza – trzeba mieć trochę szczęścia i sprytu, dlatego przed praktycznym egzaminem z anatomii uprosiłam laboranta z prosektorium, który mieszkał na tej samej ulicy co ja, aby po przygotowaniu preparatów wpuścił mnie do sali egzaminacyjnej. Zgodził się i nocą wprowadził mnie do prosektorium i zostawił mnie samą na kilka godzin. Byłam tak przejęta, że dopiero na drugi dzień po zdanym egzaminie zdałam sobie sprawę co ryzykowałam i że byłam tam sama z nieboszczykami.

Wojsko mundurowe miałam tylko jeden rok. Gdy wróciłam do domu po jednym z poligonów „uciorana” od stóp do głów, a był to efekt czołgania się w błocie, moja ukochana babcia z którą mieszkalam powiedziała: „dość tej poniewierki” i namówiła mnie abym odwołałam się do WKU [Wojskowy komendant uzupełnień – dawny terenowy organ wykonawczy niezespalonej administracji rządowej zajmujący się administracją rezerw osobowych. Był organem pierwszej instancji w strukturze administracji wojskowej w Polsce. Swoje zadania wykonywał przy pomocy wojskowej komendy uzupełnień] i ponownie stanęła na komisji lekarskiej. Tak też zrobiłam. Z powodu przebytej w dzieciństwie choroby nowotworowej dostałam kategorię „E” [Wyróżniamy następujące kategorie wojskowe: Kategoria A – osoby zdolne do czynnej służby wojskowej. Osoby te mogą pełnić służbę wojskową w pełnym wymiarze. Kategoria B – osoby czasowo niezdolne do służby wojskowej. Tego rodzaju niezdolność jest spowodowana przejściowymi problemami zdrowotnymi, które w ciągu maksymalnie 24 miesiące mają szansę się poprawić. Kategoria C – nie jest już przyznawana podczas kwalifikacji wojskowej w 2025 roku. Wcześniej osoby posiadające kategorię C były uznawane za zdolne do wzięcia udziału w pospolitym ruszeniu. Kategoria D – osoby niezdolne do służby wojskowej w czasie pokoju, ale mogące pełnić służbę wojskową w czasie wojny (np. w ramach Wojsk Obrony Terytorialnej). Kategoria E – osoby całkowicie niezdolne do służby wojskowej, zarówno w czasie pokoju, jak i podczas mobilizacji czy wojny.] i miałam wojsko z głowy.

Na pierwszym i drugim roku o imprezach nie było mowy, miałam na głowie naukę i bardzo chorą babcię. Po drugim roku podczas wakacji obowiązkowe były praktyki laboratoryjne, ja odbywałam ją razem z Kysią Graduszewską w Bydgoszczy, mieszkając u jej rodziny. Od tego czasu trwa nasza przyjaźń. Często razem uczętyśmy się i bawili – chodzyliśmy na rajdy, juwenalia, organizowaliśmy brydże. Przyjaźń nasza przetrwała do dnia dzisiejszego. Odwiedzamy się, często do siebie dzwonimy dzieląc się radościami, a w problemach służymy radą.

Po trzecim roku i podczas wszystkich następnych wakacji pracowałam na koloniach w Swornychgaciach na Kaszubach jako p.o. lekarz. Ponieważ dobrze sobie radziłam Wydział Zdrowia w Bydgoszczy powierzał mi dzieci swoich pracowników. Leczyłam dzieci kolonijne, ludność miejscową oraz wczasowiczów. „Ale byłam poważnym doktorem”. Tam poznałam mojego męża, który studiował na AGH [Akademia Górniczo-Hutnicza] w Krakowie, a do Swornychgac przyjechał na wakacje. Wtedy nie przypuszczałam, że skończy to się moją emigracją na Śląsk. O moim życiu na Śląsku opowiem później.

Od trzeciego roku studia moje toczyły się gładko, bez większych wpadek. Rozpoczęły się przedmioty zawodowe, co sprawiało mi wielką przyjemność. Było też więcej czasu na przyjemności i rozrywki: kino, operę, tańce, bale, rajdy i randki. Mile wspominam wyjazd naukowy zorganizowany przez Studenckie Koło Pediatryczne do miejscowości Torzym w województwie lubuskim. Tematem naszej pracy było „Zaowszczenie wsi polskiej”. Przeprowadzaliśmy nasze badania bardzo poważnie, ale też bawiliśmy się świetnie na pieszych wycieczkach do Łagowa, grzybobraniach i ogniskach.

Po ostatnich ćwiczeniach z interny po raz pierwszy zorganizowałam w domu imprezę dla kolegów z grupy. Bawiliśmy się świetnie, ale efekty tej imprezki odczułam dotkliwie. Sąsiedzi złożyli pisemne zażalenie do Urzędu kwaterunkowego i do rodziców za „NIEZNOŚNE ZACHOWANIE.”

W maju 1971 roku kończymy studia uroczystym dyplomatorium i pięknym bale, w lipcu wzięłam ślub, a od września, stażem w Szpitalu Miejskim w Pszczynie rozpoczęłam pracę na Śląsku.

Oprócz pracy na oddziałach pracowałam w Pogotowiu Ratunkowym i w Higienie Szkolnej. Zostałam „wrzucona na głęboką wodę”, co mi nawet odpowiadało. Po rocznym stażu zostałam oddelegowana do prowadzenia Ośrodka Zdrowia w małej czterotysięcznej miejscowości Kobiór, położonej w lasach między Tychami, Pszczyną i Mikołowem. Przyjęłam tę propozycję pracy z kilku względów: nie czuło się tam zadymionego Śląska, nad Przychodnią było piękne 4-pokojowe mieszkanie, no i po dwóch latach mieliśmy wracać do Poznania. Niestety, moje mrzonki o powrocie do dnia dzisiejszego nie zostały zrealizowane.

Przez ponad dziesięć lat byłam w Kobiórze jedynym lekarzem, nie licząc przychodni przyzakładowej przy tartaku, gdzie bardzo często też pracowałam na zastępstwach. Lekarz w takiej miejscowości jak Kobiór, jak to bywa na wsiach, musiał radzić sobie z najróżniejszymi przypadkami u dorosłych, dzieci i kobiet w ciąży. Były zachorowania internistyczne, pediatryczne, ginekologiczno-położnicze, a także i to często chirurgiczne. Szybie ran było na porządku dziennym i to w warunkach właściwie polowych. Do dzisiaj zastanawiam się jak to możliwe, że nigdy nie było powikłań, rany goiły się *per primam intentionem* [pierwotne gojenie rany – rychłozrost, gojenie doraźne, *sanatio per primam intentionem*]. Miałam też przypadki dentystyczne, kilkakrotnie usuwałam ząb, a zakładania kleszczy nauczyła mnie stomatolog z naszej przychodni. Poza obowiązkami w Kobiórze codziennie dojeżdżałam do Pszczyny gdzie byłam oddelegowana na oddział położniczo-ginekologiczny Szpitala Miejskiego celem zrobienia specjalizacji.

Medycyny miałam ponad miarę i bardzo mi to odpowiadało. Prowadzenie Ośrodka Zdrowia, praca na oddziale, dyżury, nauka do specjalizacji, oraz dom: mąż górnik, trójka dzieci – to była jazda, jak to teraz się mówi, „bez trzymanki”. Po dziesięciu latach takiej pracy i zrobieniu specjalizacji z bólem serca wycofałam się z szpitala. Była to decyzja przemyślana bo zdałam sobie sprawę, że nianie i gosposie dzieci mi odchowają, a nie wychowają. Miałam więcej czasu dla rodziny i na przyjemności. Góry były blisko więc jeździliśmy na nartach, na Zalewie Żywieckim pływaliliśmy na żaglówkach, gdzie dzieci porobiły patenty, w lasach kobiórskich organizowaliśmy kuligi i imprezy. Były też bale barbórkowe w Wieliczce i na kopalniach, lekarskie w Pszczynie, a także imprezy okolicznościowe w Kobiórze. Muszę przyznać że Ślązacy lubią i potrafią się bawić.

W 1997 r. udało mi się po wielu staraniach przekonać Lekarza Wojewódzkiego, Wójta i Radę Gminy Kobiór o konieczności rozbudowy naszej przychodni. Placówka, którą zarządzałam, mieściła się w piętrowym budynku z roku 1970, gdzie pomieszczenia poradniane znajdowały się na parterze, a na piętrze mieszkania. Łagodnie oceniając warunki były ciężkie, a o rozwoju nie było mowy. Środki na rozbudowę musiałam zorganizować sama, gdyż Gminy Kobiór nie było stać na taki wydatek. Zdobywałam je sukcesywnie przez dwa lata. Były to fundusze z Województwa, Ministerstwa Zdrowia na restrukturyzację Służby Zdrowia, z Unii Europejskiej i z Ochrony Środowiska. W 2000 roku mieliśmy już piękną, spełniającą wszystkie warunki sanitarne placówkę w której oprócz POZ [Podstawowa Opieka Zdrowotna] – tu działają poradnie specjalistyczne i rehabilitacja. Na piętrze w byłym mieszkaniu, które przez 30 lat zajmowałam (teraz mieszkam w swoim domku), planuję utworzyć Dom Diennej Opieki nad ludźmi starszymi. Po 45 latach tak intensywnej pracy trudno mi wyhamować, ale kiedyś musi to nastąpić i boję się o tym myśleć.

Moja rodzina: Mąż inżynier górnictwa – zmarł w 1997 r. w Gdańsku na zatorowość płucną. Dzieci - Krzysztof lat 43 mgr Wychowania Fizycznego i Rehabilitacji, jego żona Olga lek. med. specjalizacja z interny i gastroenterologii, ich dzieci to Zuzanna lat 16 uczennica szkoły średniej i syn Jan lat 12 szkoła podstawowa. Od 7 lat mieszkają w Szwecji. Córka Joanna lat 42 mgr protetyki i pedagogiki, prowadzi

własną działalność protetyczną, jej córka Alicja lat 18 uczennica L. O. w Tychach. Najmłodsze moje dziecko to Bogusław, lat 33 absolwent Politechniki w Poznaniu, właściciel Hostelu Very Berry w Poznaniu, jego partnerka to Karolina Turlejska z zawodu anglista i dyplomowany fotograf. Ich synek Jerzy urodzony 20.08.20015 r. jest pod serdeczną opieką naszego kolegi Pawła Ratajczaka.

Mieszkając na Śląsku żyło mi się o wiele łatwiej wiedząc, że zawsze mogę liczyć na pomoc naszych kolegów z roku, gdy moja liczna rodzina mieszkająca w Poznaniu „wołała o pomoc lekarską”.

1 stycznia 2023 r. po 50 latach pracy w Kobiórze przeszedłem na emeryturę. Miło było doczekać się docenienia mojego zaangażowania w lecznictwo i rozwój infrastruktury medycznej w Kobiórze. Uchwałą Rady Gminy nadano mi tytuł „Zasłużony dla Gminy Kobiór”.

Pisząc te wspomnienia korzystam z okazji i składam podziękowania Alicji Kaczmarek-Michalewicz, która zawsze chętnie służyła radą i wskazywała do kogo mam się zwrócić o pomoc i podawała kontakty. Dziękuję też Madzi i Maciejowi Zabel, Krzysztofowi Linke, Iwonie Bączyk, Pawłowi Ratajczakowi, Wojciechowi Kasprzakowi, Krystynie Graduszewskiej-Czerebiej, Joasi Jankowskiej-Paździora, Halinie Stasik i śp. Andrzejowi Stasikowi.

Henryk Zdun

Byłem w VI grupie studenckiej Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1965 – 1971. **Wspomnienia z mojej drogi do zawodu lekarza. Zamiast wstępu.** Nieczęsto zdarza się spełnić dziecięce czy młodzieńcze marzenia, zaplanować karierę zawodową, zaplanować swoje życie. Dla wielu koleżanek i kolegów medycyna była marzeniem od dzieciństwa, młodzieńczych lat, misją ratowania zdrowia i życia związanej z tajemniczą wiedzą o człowieku i jego otoczeniu.

Życie jest splotem przypadków. Ja zostałem lekarzem z przypadku. Od najmłodszych lat miałem szerokie zainteresowania, dużo czytałem, jeszcze przy lampie naftowej. Uczyłem się dla siebie ciekawy otaczającego świata. W latach 1961 - 65 ucząc się w Liceum Ogólnokształcącym w Jarocinie na świadectwach miałem tylko jedną ocenę dobrą - z języka polskiego. Nie mogłem zauważyć piękna w poezji, przeczytać niektórych obowiązkowych lektur. Taka była widać funkcja mojego mózgu. Pozostałe stopnie były zawsze bardzo dobre, włącznie z wychowaniem fizycznym i przysposobieniem wojskowym. Mimo to miałem czas na uprawianie różnych dyscyplin sportowych; poza piłką nożną, pchnięcie kulą, rzut dyskiem, ćwiczenia ze sztangą, boks. Wraz z młodszym bratem, późniejszym zawodowym oficerem WP, strzelcem wyborowym dziennym i nocnym, dużo strzelałem z wiatrówki, karabinka sportowego i pistoletu wujka milicjanta. Czasu na dziewczyny i pierwsze miłości już nie starczało. Poza tym miałem tylko 3 braci, więc psychika dziewcząt była dla mnie wtedy niezrozumiała, niekiedy denerwująca.

Prawdziwą moją miłością lat dziecięcych i młodzieńczych było i w głębi duszy jest nadal lotnictwo. W rodzinie nie było większych tradycji lotniczych. Tylko jeden z kuzynów mojego ojca był podoficerem pilotem w pułku we Lwowie. Zginął w wypadku lotniczym w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Ja kleiłem modele, obserwowałem samoloty, zgromadziłem sporo książek o tematyce lotniczej. Niestety pilot musi mieć bardzo dobry wzrok. Na genetycznie uwarunkowaną (po mamie) wadę późnej krótkowzroczności nałożyły się skutki zbyt długotrwałego czytania. Nie przeszedłem badań, także do Wojskowej Akademii Technicznej, nie mogłem podjąć studiów na kierunku lotniczym Politechniki Warszawskiej, bo jednym z warunków było wtedy posiadanie licencji pilota szybowcowego. Te niespełnione marzenia są w głębi duszy nadal bolesną traumą. Swoich synów wychowywałem inaczej. Mniej książek, nie przywiązywać nadmiernej uwagi do średniej ocen w szkole, reglamentowane oglądanie telewizji i video, więcej zabaw na świeżym powietrzu, więcej sportu.

Wyrośli na zdrowych chłopców. Obaj uprawiali szybownictwo, starszy zaczął latać na szybowcach od 14 roku życia, na samolotach od 18. Od wieku juniora jest nieprzerwanie członkiem szybowcowej kadry narodowej. Po ukończeniu pilotażu na Wydziale Lotnictwa Politechniki Rzeszowskiej podjął pracę w lotnictwie komunikacyjnym. Obecnie jest instruktorem i kapitanem w PLL LOT. Dzięki nim choć nie w pełni, ale wszedłem do lotnictwa - pracuję społecznie w Aeroklubie Leszczyńskim i korzystam z każdej okazji by polecieć z synem lub z zaprzyjaźnionym instruktorem.

Po zdaniu matury rodzice sugerowali mi studia na wydziale Maszyn i Pojazdów na Politechnice Warszawskiej, ale koledzy naśmiewali się, że będę klepał Syreny i zrezygnowałem. Rozważałem też studiowanie prawa, ale odradzono mi, bo trudno będzie przebić się bez koneksji, chyba, że ożenię się odpowiednio. Dziś mój drugi syn jest uznanym, szybko awansującym sędzią, ale by mógł wykazać się swymi zdolnościami pomógł mu szczęśliwy przypadek.

Jak zostałem lekarzem. Decyzję o podjęciu studiów medycznych zawdzięczam naszemu powinowatemu, świetnemu chirurgowi, wspaniałemu człowiekowi i oddanemu chorym lekarzowi, doktorowi Kazimierzowi Markowskiemu, pracującemu w Szpitalu Powiatowym w Gostyniu pod kierunkiem wykształconego w okresie międzywojennym doktora Walskiego. W drugiej klasie liceum doznałem silnych bólów brzucha z wymiotami. Nie było wtedy takiej jak dziś dostępnej służby zdrowia, powszechności telefonów, karettek pogotowia. Samochody posiadali nieliczni. Chorych woziło się do lekarza „podwózką” konną, a do obłożnie chorego też posyłało się podwózkę po lekarza. Na szybką pomoc i to w nocy nie było co liczyć na wsi. Mój ojciec zadzwonił po pomoc do „wujka” czyli doktora Markowskiego. Przyjechał w nocy własnym samochodem Skoda i rozpoznawszy ostre ropne zapalenie wyrostka robaczkowego zabrał mnie do szpitala i tej samej nocy zoperował. Pobyt w szpitalu był okazją do zapoznania się nowymi zagadnieniami. W wolnych chwilach dr Markowski opowiadał mi o blaskach i cieniach pracy chirurga. Po wyjściu ze szpitala zaczęły pojawiać się w mojej bibliotece książki o anatomii i fizjologii człowieka, książki o biologii. Na lekcjach biologii wątkowaliśmy ewolucję człowieka, uczyliśmy się o pantofelkach, robakach, żabach, a niewiele o człowieku. Tak samo nauczano moich synów. Stąd do dzisiaj trudno porozumieć się z pacjentem mającym szczątkową bądź żadną wiedzę o własnym organizmie. Podjąłem więc decyzję o przystąpieniu do egzaminów wstępnych na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Poznaniu i specjalizacji w chirurgii po ukończeniu studiów. Dr Kazimierz Markowski wtedy już nie żył. Zmarł nagle w wieku 37 lat, samotnie, na jednoosobowej sali na własnym oddziale. Z powodu silnych bóli brzucha był leczony z rozpoznaniem zapalenia trzustki. Badanie sekcyjne wykazało brzuszną postać zawału serca. Społeczeństwo szybko zapomina o swoich lekarzach. Od kilku lat nie mogę odnaleźć jego skromnego nagrobka, choć był przy jednej z głównych alei gostyńskiego cmentarza.

Egzamin wstępny. Na okres egzaminu wstępnego wielu kandydatów na studia medyczne było zakwaterowanych w akademiku utworzonym z kilkunastu drewnianych baraków przy ulicy Grunwaldzkiej. W barakach były głównie pokoje trzyosobowe, kilka dwuosobowych, skromnie wyposażonych w niezbędne meble. Ponadto świetlica, niewielka wspólna kuchnia i łazienka z 2 lub 3 prysznicami. Baraki były ogrzewane przez nadmuchiwanie do pokoi ciepłego powietrza. Nie było ogrodu. Niedaleko było niewielkie, złożone z kilku baraków, więzienie. Do dziś nie wiem, kto tam wcześniej mieszkał. Może robotnicy, żołnierze lub strażnicy więzienni? Przy wejściu do baraku mieszkała kierowniczką akademika, samotna z dorastającą córką, którą bardzo pilnowała by nie wchodziła na nasz korytarz i do świetlicy.

Mnie przydzielono do baraku przy ulicy Palacza. W przydzielonym na czas egzaminów pokoju spotkałem Józka Ryżkę i kandydata na lekarza z Koła. Józek zaimponował mi niezwykłą pracowitością. Niemal stale uczył się, ja mniej, kolega z Koła uczył się najmniej to też nie zdał egzaminu. Byliśmy później w tej samej VI grupie studenckiej. Józek Ryżko, zdolny, niezwykle pracowity, wykorzystał łut

szczęścia i jest dziś znanym lekarzem pediatrą, naukowcem, profesorem, wieloletnim kierownikiem Kliniki Gastroenterologii, Hepatologii i Immunologii w Centrum Zdrowia Dziecka. Mamy z sobą kontakt. Wyleczył moja wnuczkę. Ilekroć myślę o jego karierze, to mam przed sobą obraz z pierwszych dni znajomości- młodzieńca zatopionego w książkach.

Egzamin wstępny był w zasadzie pisemny: z biologii, chemii, fizyki i języka obcego. Nie miałem problemów. W liceum brałem udział w olimpiadach i podobnych zmaganiach z chemii i fizyki. W czasie egzaminu z fizyki pozwoliłem „ściągać” kandydatowi, który zdawał egzamin na medycynę trzeci raz. Tym razem zdał. Czasami wspominamy ten epizod. Zawsze dziwił się, że mu pomogłem, mimo że byliśmy konkurentami w walce o indeks. Dziś jest znanym lekarzem. Obronił pracę doktorską. Więc nie był głupi, ani leniwy. Na egzaminach, tak jak w ogóle w życiu, oprócz wiedzy i umiejętności trzeba także mieć szczęście. Ilu zdolnym, przygotowanym do egzaminu tego łutu szczęścia zabrakło i nie dostali się na wymarzone studia? Ze stratą dla chorych. Jako język obcy zdawałem język francuski. Zdawały ten język chyba 4 osoby. Moja nauczycielka języka francuskiego była bardzo wymagająca.

Ksywa „tygrysica” mówi sama za siebie. Języka obcego trzeba uczyć się systematycznie, polubić i jak najczęściej używać. Na studiach kontynuowałem naukę w fakultatywnej grupie konwersacyjnej. Wielu moich kolegów z klasy licealnej mówi do dziś dobrze po francusku. Przydało to się w życiu i karierze zawodowej kilku z naszej klasy, mnie też.

Ciekawa była ostatnia, ustna część egzaminu wstępnego, chyba pod hasłem wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Nie bałem się tego egzaminu, bo zawsze byłem na bieżąco, oczywiście w oparciu o dostępne media. Wszak w dziewiątym roku życia, ku zgorszeniu policjanta z miejscowego posterunku, czytałem dzieła Stalina. Jednak pytanie „kto jest I sekretarzem Socjalistycznej Partii Mongolii” zdziwiło mnie. Nie zdawałem przecież egzaminu do Wyższej Szkoły Partyjnej. Ale wiedziałem i znam do dziś (Cedenbałum), choć już zapominałem imienia. Wiedziałem też, że 4 dni wcześniej złożył wizytę w Moskwie. Zauważyłem, że egzaminator był nie mniej zaskoczony. Jeszcze kilka pytań i po egzaminach. Według obowiązującej wtedy punktacji zostałem przyjęty na studia na Wydziale Lekarskim z 6 pozycji. Wakacje spędziłem pracując w prywatnej firmie jako pomocnik murarza, po 10 - 12 godzin na dobę. Miałem z tego pieniądze na utrzymanie niemal na cały pierwszy rok studiów.

Pierwszą połowę studiów mieszkalem na pokoju u starszego małżeństwa przy ulicy Chełmońskiego, w sąsiedztwie Parku Kasprzaka. Byłem przyzwyczajony do nauki w spokoju umożliwiającym niezbędną koncentrację a wiedziałem, że o ukończeniu studiów decydują pierwsze lata. Przydała się umiejętność samodyscypliny i studiowanie wcześniej dla samej ciekawości świata. Po kilku miesiącach zastanawiałem się jak to było że w liceum, z cienkiego podręcznika uczyliśmy się przez cały rok. Po całym dniu wykładów i obowiązkowych do późnych godzin wieczornych ćwiczeń, trzeba było przed snem nauczyć się kilkadziesiąt stron. Opuszczone, nawet z powodów losowych, ćwiczenia trudno było odrobić. Nie warto było opuszczać wykładów, bo wykładający profesor szybko orientował podczas egzaminu, że student opuszczał wykłady. Wtedy sytuacja studenta była nie do pozazdroszczenia. Na ćwiczenia chodziło się z gorączką. Koledzy studiujący na innych uczelniach, zwłaszcza na Uniwersytecie, nie mogli nadziwić się, że tak przeciąża się studentów na medycynie. Oni naprawdę studiowali. Mieli czas na różną działalność, kluby studenckie, rozrywkę, sex i inną aktywność. Nasze studia, zwłaszcza na pierwszych latach, to brak czasu, chroniczne zmęczenie i niewyspanie. Niestety czekało to większość z nas przez całe życie zawodowe, a bywało, że do śmierci. Moim sublokatozem został student I roku Wydziału Technologii Rolno-Spożywczej Akademii Rolniczej w Poznaniu. Był inteligentnym, przystojnym, doświadczonym chłopakiem. Przez rok przez nasz pokój przewinęło się kilkanaście kobiet, także mężatek. Był ze mnie zadowolony, bo z powodu licznych zajęć nie było mnie

w pokoju do późnego wieczora. Studia zakończył po pierwszym roku i podjął służbę w SB. Żle na tym nie wyszedł. Na początku przemian ustrojowych został biznesmenem. Zmarł nagle w wieku 56 lat.

Po pierwszym semestrze podchodziliśmy do pierwszego egzaminu na studiach medycznych - z biologii. Żadnej informacji o zakresie materiału do opanowania. Wszak biologię studiowano na uniwersytecie przez 5 lat. Ćwiczenia to w zasadzie parazytologia. Asystenci byli wymagający, lecz kulturalni. Pierwszym egzaminem na uczelni była biologia zdawana u niezapomnianego profesora Czesława Gerwela. Zdawaliśmy w czwórkę, 4 chłopaków. Takiego egzaminu ani wcześniej ani później nie miałem. Był jakiś podniecony, krzyczał, przerywał złośliwymi uwagami. Na koniec z rozmachem wyrzucił wszystkie indeksy pod drzwi. Mój index ma do dziś uszkodzenia z powodu tego rzutu. Nie naprawiałem go u intrologatora. To swoista pamiątka z pierwszego egzaminu na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Pozbieraliśmy indeksy i szybko opuściliśmy profesorski gabinet. Okazało się, że z naszej czwórki tylko ja zdałem egzamin na stopień dostateczny. Cieszyłem się bardziej niż później ocenami bardzo dobrymi. Pozostałe egzaminy i zaliczenia na pierwszym roku zdałem na bardzo dobry, nawet matematykę. Prowadzący zajęcia, zdaje się, że wypożyczony z Uniwersytetu docent powtarzał, że większych tumanów jak studenci medycyny w życiu nie widział, ale wszyscy zaliczyli ten przedmiot nie lubiany przez większość medyków. Nie byłem więc głupkiem. Do dziś zastanawiam się jak taki nie zrównoważony człowiek mógł zostać nauczycielem akademickim. O podobnych zachowaniach profesora Gerwela opowiadali też inni koledzy. Niemożliwe, że nie wiedział o tym rektor ani przebijająca się w gronostaje szacowna Rada Wydziału. W szkole średniej my robiliśmy belfrom różne kawały a oni traktowali nas z kulturą, szacunkiem i wyrozumiałością.

Ćwiczenia z anatomii prawidłowej odbywałem w grupie prowadzonej przez dr med. Witolda Woźniaka i młodszego asystenta dra Andrzeja Kiersza. Dr Woźniak był surowym, wymagającym nauczycielem. Uszczypliwe uwagi kierował najczęściej do koleżanek i chyba delektował się gdy czerwieniły się. Natomiast dr Kiersz pod nieobecność dr Woźniaka pouczał nas po ojcowsku jak należy zachowywać się by nie podpaść asystentom i profesorom. Do dziś pamiętam najcenniejszą jego uwagę; „dyskutować z asystentem można po trzecim roku studiów, a mieć rację po ich ukończeniu”. Polubiłem jednak anatomię i utwierdziłem się we właściwym wyborze studiów.

Nie da się ominąć we wspomnieniach wychowania fizycznego i magistra Kobielskiego. Obecność na tych zajęciach była konsekwentnie wymagana. Ale dzięki temu ja nauczyłem się pływać i jeździć na nartach. Był propagatorem konieczności ćwiczeń fizycznych, które powinni uprawiać nawet ludzie niepełnosprawni. Koleżanki na ogół nie lubiły zajęć wychowania fizycznego i do dziś nadmiernie chętnie wydają dzieciom zwolnienia z zajęć wychowania fizycznego. Mgr Kobielski mawiał często „nieprawda, że baby są słabe, baby są tylko rozpieszczone”. Dzisiaj, gdy oglądam wyniki w kobiecym sporcie lub paraolimpiady, przypominam sobie zawsze te jego słowa. Poza tym mam na co dzień przykład mojej żony, nawiasem mówiąc absolwentki Wydziału Farmacji A.M. w Poznaniu. Była jedną z najlepszych pływaczek w Polsce. Później, będąc żoną i matką, przez kilkanaście lat z powodzeniem uprawiała taternictwo, ale wspinała się zawsze z mężczyznami. Bardzo szybko i zdecydowanie, a zarazem bezpiecznie, prowadzi samochód. Nigdy nic ją nie bolało i nie miała słabości.

Praktykę studencką po pierwszym roku odbywałem w Klinice Urologii przy ul. Szkolnej. Zmarł wtedy w tej klinice z powodu mocznicy jeden z najlepszych zapaśników polskich. Pamiętam, jak jeden z asystentów został pokarany za niecierpliwość i chamstwo. Asystowaliśmy przy zmianie opatrunków w sali opatrunkowej. Lekarz z wrzaskiem zażądał podania pęsetki. Nie pomogły tłumaczenia, że narzędzia są jeszcze gorące, dopiero co przyniesione ze sterylizatorni. Na to zaczął jeszcze bardziej krzyczeć, aż wszystkich sparaliżowało. No to podałem mu tą pęsetkę. Szybko ją odrzucił rycząc tym razem jak ranny lew. A my jak na komendę uciekliśmy. Mimo to praktykę zaliczyłem.

Na drugim i trzecim roku nadal mieszkalem w pokoju przy ulicy Siemiradzkiego, a nowym sublokatozem zostal student historii UAM Rysiek G. Rysiek studiowal naprawde, a dyskusje z nim bardzo wzbogacily moja wiedze ogolna. Napisal bardzo odważną pracę magisterską o stosunkach polsko-ukraińskich po I Wojnie Światowej. Przez długie lata był dyrektorem biblioteki Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Nadal utrzymujemy z sobą kontakt.

Z drugiego roku pamiętam duże wymagania na ćwiczeniach i trudny egzamin z biochemii u doc. Karoniowej. Niektórzy potknęli się na tym egzaminie i powtarzali rok lub kończyli studia. Ja zdałem na bardzo dobry. Za to chemię i fizykę, mimo brania udziału w olimpiadach na poziomie ogólnopolskim, zdałem na dobry. Niezapomniany przebieg miał egzamin z fizjologii u profesora Jana Kiersza. Zdawałem w parze z sympatyczną śp. Teresą Gawrońską. W trakcie egzaminu zadzwonił telefon. Profesor przyłożył telefon do czubka dużej, łysej głowy i zaczął rozmawiać. Teresa na ten widok wybuchła głośnym śmiechem. Profesor przerwał rozmowę, wpisał jej do indeksu dwóję i wyprosił. Natomiast mnie przepisał podwójnie, także za nią, oczywiście także z roli przewodnictwa kostnego w słyszeniu. Był jednak sprawiedliwy i zdałem egzamin z wynikiem bardzo dobrym. Natomiast wkrótce niespodziewanie zakończyła się sympatia Teresy do mnie. Stało to się na zimowym obozie narciarskim w Karpaczu. Jako jeden z młodych samców szukających adrenaliny, zjeżdżałem na sankach z Polany im. Bronka Czecha do kościółka Wang osiągając dużą prędkość w końcowym odcinku trasy. Teresa, ciekawa jak to dziewczyny, zapragnęła zjechać ze mną tą trasą. Jednak sanki z dwoma osobami zjeżdżają jeszcze szybciej. Zjechaliśmy szczęśliwie, ale Teresa głośno modliła się w czasie całego przejazdu. Po zjeździe powiedziała, że jestem wariat i nie chce mnie znać. I tak została przerwana nić sympatii. Nikt nie przewidział, że umrze już za 5 lat jako pierwsza kobieta z roku i to z powodu zatrucia ciążowego... Ale na polanie czekała jeszcze jedna chętna do zjazdu: Teresa Tułeczka, później wykładowca w Katedrze Mikrobiologii AM. Tu mieliśmy mniej szczęścia. Wypadliśmy z trasy w las łamiąc sanki. Na szczęście wytrzymały nasze młode kości, ale Tereska nie zapomniała mojego wariactwa nawet po 50 latach.

Po drugim roku z kol. Bogdanem Piechockim otrzymałem skierowanie na praktykę laboratoryjną w Szpitalu im. Józefa Strusia przy ul. Szkolnej. Kierownikiem Laboratorium była dr med. Maciejewska, kobieta w średnim wieku, znana szeroko jako bardzo wymagająca, przy tym niesympatyczna. Koledzy szczerze nam współczuli. Ale starszy ode mnie o 3-4 lata Bogdan znał już instrukcje obsługi kobiety. W pierwszym dniu praktyki kupiliśmy na Rynku Bernardyńskim bukiet róż. Zameldowaliśmy się na praktykę w jej gabinecie. Trzymaliśmy wspólnie ten bukiet, a Bogdan bajerował (a mowę miał gładką). Na koniec na przemian całowaliśmy ją w rękę. Po wyjściu orzekł, że ryba chwyciła. Ale kupowanie codziennie bukietu róż było dla nas za drogie. Tak więc przez cały miesiąc meldowaliśmy się u niej rano z jedną, ale długą różą utrzymaną wspólnie i powtarzaliśmy rytuał. Przez cały miesiąc nie zrobiliśmy żadnej analizy. Dzięki bajerom Bogdana chodziliśmy z laborantkami i uczyliśmy się wkłuwania do żył. To przydało nam się w życiu. Pracowite nasze koleżanki nie mogły ścierpieć naszego bezczelnego lenistwa. Po nieprzemyślanej mojej uwadze, że już śmierdzą moczem, wybrały się na skargę na nas do dr Maciejewskiej. Wróciły do pracowni moczu zapłakane, a my do końca leniliśmy się i zaliczyliśmy praktykę na bardzo dobry. Co to znaczy znać instrukcję obsługi kobiety.

Na III roku ćwiczenia i egzaminy przebiegły bez emocji. Poszukując możliwości ćwiczeń siłowych trafiłem na salę przy ulicy Matejki. Ćwiczyli tam bokserzy i ciężarowcy. Przygarnął mnie trener ciężarowców i prawie w tajemnicy przed kolegami uprawiałem ten sport do końca studiów. Miałem tam wielu przyjaciół. Trener żałował, że moje studia są tak czasochłonne, bo osiągałem dobre wyniki. Ponieważ w szkole średniej uprawiałem boks, szybko zaprzyjaźniłem się z trenującymi tam bokserami Olimpii Poznań i byłem dla nich sparing partnerem do końca studiów. Gdy w AZS brakowało młociarzy, nauczono mnie i tego sportu. W okresie wiosenno-letnim rzucałem młotem. Bardzo nie

cierpiał nas opiekun stadionu, bo robiliśmy duże dziury w nawierzchni. Ponadto podczas naszych treningów był odpowiedzialny za opuszczenie stadionu przez innych. Młot ważył ponad 7 kg i nie zawsze leciał w pożądanym kierunku. Z tym okresem wiąże się epizod już po studiach, gdy zaprosiłem moją narzeczoną (a obecną żonę) na mecz bokserski Polska - NRD. Chyba ze względu na moją narzeczoną, uczynni koledzy bokserzy zarezerwowali nam miejsca w pierwszym rzędzie przy ringu. W trzeciej walce, gdy Polak bardzo bił Niemca, a sędzia zwlekał z przerwaniem walki, publika wyła z zachwytu niczym podczas igrzysk rzymskich. Oglądam się i nie widzę mojej narzeczonej. Patrzę jeszcze raz, a ona trzymając głowę pod krzesłem tylko jęknęła „dlaczego on go tak bije”. Resztę meczu trzymała głowę pod krzesłem. Do dziś nie pozwala oglądać w swojej obecności boks w telewizji. Ale na szczęście zakochana wyszła za mnie za mąż.

Szczególnym wydarzeniem były marcowe protesty studentów, w 1968 r. w Poznaniu, które odbywały się pod pomnikiem Adama Mickiewicza. Większość moich kolegów, także z Uniwersytetu Adama Mickiewicza, nie bardzo wiedziała o co chodzi. To niemożliwe by z powodu zdjęcia z repertuaru jednego z warszawskich teatrów „Dziadów” Mickiewicza organizować takie protesty. Większość z nas przeczytała te „Dziady” w szkole średniej pod przymusem i byli byśmy radzi by je zdjęto z programu nauczania.

Było podejrzane, że przeciwko studentom wystąpili robotnicy, którzy nie zaczytywali się w „Dziadach”. Milicja i ZOMO pałowali studentów, oblewali wodą, najbardziej aktywnych aresztowali, ale jeszcze gorszy był aktyw **robotniczy, zwłaszcza z ‘pieszczocha socjalizmu’ HCP Cegielski.** Uzbrojeni w długie pały, z opaskami na ramionach z lubością tłukli studentów z okrzykiem: „do nauki”, „my na was pracujemy, a wy warcholcie.” Nie da się zapomnieć szpaleru aktywu robotniczego od pomnika Mickiewicza do akademików na Winogradach, ochoczo tłukącego studentów pałami.

Ostatecznie przeważała opinia pułkownika J. (nazwisko uciekło mi z pamięci), który przez rok prowadził zajęcia polityczne dla chłopców ze Studium Wojskowego. Na bezczelne pytania o Katyń odpowiadał zgodnie z prawdą. Dzięki niemu po raz pierwszy usłyszałem o wojnie fińsko-radzieckiej, zagarnięciu republik nadbałtyckich i wschodniej Polski przez ZSSR. Wprowadzał nas w zupełnie nam nieznane techniki wojny propagandowej i techniki manipulacji informacją. Przypominał, że mistrz propagandy Joseph Goebbels mawiał „kto ma radio ten ma władzę a kłamstwo powtarzane 1000 razy jest przyjmowane za prawdę”. Miał wśród nas wyjątkowy autorytet. W gorącym okresie tych dni zapytał nas kim chcemy zostać: politykami, starostami, wojewodami. Gdy odpowiedzieliśmy, że studiujemy medycynę po to by zostać lekarzami, odpowiedział „to po co wam chodzić pod pomnik, narażać się na pobicie, lanie wodą, areszt. Ci z ‘uniwerku’ to co innego, to są elity, które w przyszłości będą sięgać po władzę”. Po dyskusjach w akademiku uznaliśmy, że ma rację i prawie nikt ze znanych mi kolegów nie wziął udziału w tych manifestacjach. Wiem tylko o jednym przypadku z mojej VI grupy studenckiej, gdy jeden z kolegów z ciekawości poszedł pod pomnik. Gdy stanął w obronie szarpanej przez ZOMO koleżanki, został również zapakowany do „suki”. Miał pewne kłopoty, ale studia skończył bez problemów. Prawdy o tych wydarzeniach dowiedziałem się dopiero po latach dziewięćdziesiątych, gdy z braku cenzury zaczęły się ukazywać, choć w małych nakładach, rzetelne opracowania historyczne o tych wydarzeniach. Stało się jasne, że znaczna część studentów padła ofiarą sprytniej manipulacji. Prawdziwą przyczyną było starcie o władzę „chamów”, to jest komunistów polskich (choć tow. Mieczysław Moczar był Ukraińcem z pochodzenia) z komunistami pochodzenia żydowskiego, którzy zawłaszczyli kluczowe stanowiska w Polsce, zwłaszcza w resortach siłowych, tajnych służbach. Na pewno pamiętacie exodus Żydów do Izraela i krajów Europy Zachodniej spowodowany ich usuwaniem ze stanowisk przez „chamów”. Zresztą część z nich stopniowo wracała do Polski, by zwłaszcza po 1989 roku, zajmując powoli ponownie kluczowe

stanowiska tworzyć tubylczemu narodowi świetlaną przyszłość. Jeśli ktoś nie wierzy to służę spisem literatury.

Ciekawa była praktyka robotnicza po III roku. By poznać trud pracy robotnika, choć przed studiami pracowałem na budowach, odbywałem ją w grupie studentów medycyny skierowanej do jakiegoś przedsiębiorstwa budowlanego w Poznaniu. **Przyjęto nas jak wrogów ludu pogardliwie wymawiając słowo student.** Skierowano nas do jakiegoś kończonego biurowca. Wyposażono nas w wiadra z jakimś rozpuszczalnikiem i w szmaty nakazując wyczyszczenie świeżo położonych na podłogach płytek PCV, nieźle zabrudzonych prawdopodobnie na skutek chodzenia po nich w gumowych butach. Z powodu smrodu rozpuszczalnika i zawrotów głowy uciekaliśmy na dach. Wtedy zaczęto nas zamykać w czyszczonych pomieszczeniach. Gdy zaczęliśmy mdleć, a jeden z kolegów wypadł w Oddziale Ostrych Zatruc, zwolniono nas około połowy 4 tygodniowej praktyki. Nie tylko nie było badań lekarskich, czy odszkodowania, ale nie otrzymaliśmy też żadnego wynagrodzenia za pracę. My cieszyliśmy się z wcześniejszego końca tej praktyki. W indeksie nie ma żadnego wpisu o tej praktyce.

W połowie studiów zapragnąłem mieszkać w akademiku, wśród kolegów z roku. Sytuacja materialna rodziny pogorszyła się, tak że bez problemów przyznano mi i akademik, stołówkę i bony do baru mlecznego. Zakwaterowano mnie w baraku przy ulicy Palacza i mieszkalem tam do końca studiów. Tworzyliśmy zgraną paczkę. Razem ucztowaliśmy, razem pościliśmy. Średnio raz w tygodniu część z nas udawała się na kotleta mielonego do baru „As” przy Placu Wolności. Ja zapotrzebowanie na białko pokrywałem tanią końską kiełbasą. W tej społeczności trzeba było umieć dzielić się, zwłaszcza żywnością. Egoista nie zagrzebał długo miejsca w naszym baraku. Na początku mieszkalem z kolegą S., który był mistrzem w grze w pokera, na pieniądze. Kamienna twarz, zdolność do odwracania uwagi grających i zręczne palce rąk, którymi podmieniał karty. Wygrywał często i to znaczne sumy. Ja nigdy nie grałem w karty, ale wiele widziałem obserwując z boku. Pewnego dnia oszustwa podczas gry w karty o mało nie przypłacił życiem. Oszukany nieżyjący już kolega Z. z naszego baraku, wysoki ale szczupły, rzucił oszusta na łóżko i chwycił go za gardło. Najpierw zaczęliśmy się śmiać, bo widok był zabawny. Napadnięty był mały, dobrze odżywiony niczym Beria, a nad nim długi pająkowaty stwór. Ale gdy zauważyliśmy, że napadnięty zaczął sinieć rzuciliśmy się na ratunek. Z niemałym trudem oderwaliśmy palce rozsierzonego oszukanego od szyi napadniętego. Poker był pasją kilku mieszkańców naszego baraku. Gdy do jednego ze studiujących felczerów przyjeżdżała żona, złośliwcy zwoływali chętnych do gry w pokera. Stęskniona żona do późnych godzin nocnych czekała w pokoju na męża.

Poza tym mieszkalem z kolegą W., który powtarzał IV rok tylko z powodu niezaliczenia szkolenia wojskowego. Został kozłem ofiarnym dla postraszania studenterii, by nie lekceważyli przedmiotu tak ważnego na medycynie. Chodził po różnych lekarzach by uzyskać zwolnienie z wojska. Obniżono mu co prawda kategorię zdrowia, ale z przygotowywania się do pełnienia zaszczytnej służby nie go zwolniono. W dniu szkolenia budził nas hałas rzucanych przez niego ogólnowojskowych butów i przekleństw. Zazdrościliśmy szkolenia wojskowego dziewczynom. Mogły przerabiać swoje mundury, podczas gdy jeden z naszych kolegów za skrócenie płaszcza do kostek, musiał zapłacić 800 zł „za zniszczenie mienia wojskowego” i dostał nowy płaszcz - też do kostek. Pamiętam, jak niektóre dziewczyny molestowały swego kapitana. Gładziły go po głowie nacierały piersiami, kokietowały. On nie cierpiał z tego powodu. Był szczęśliwy, a one robiły co chciały. Nauką wojskową chyba też nie przejmowały się. Zdawałem taktykę, a jedna z koleżanek pyta mnie pod drzwiami „co jest większe, pluton czy kompania. Ona zdała, ja pytany o liczbę armat w pułku zmechanizowanym nie.

Na IV roku najciekawsza była anatomia patologiczna i ćwiczenia z sekcji zwłok. Pamiętam do dziś sekcję zwłok młodej kobiety w zaawansowanej ciąży zmarłej z powodu ropnia mózgu spowodowanego zaostrzeniem przewlekłego zapalenia ucha środkowego oraz sekcję zwłok zmarłego

nagle mężczyzny w średnim wieku. Wynik tej drugiej sekcji przedstawiałem profesorowi Przemysławowi Gabryelowi. Szczęśliwie znalazłem skrzeplinę czopującą tętnicę podstawną mózgu. Na trudne (bo nie mieliśmy jeszcze neurologii) pytanie profesora czy to było przyczyną śmierci, w oparciu o wiedzę z anatomii odpowiedziałem 'tak' i zdałem. Po sekcjach nie było możliwości przysznica i przebrania się. Gdy było ciepło, ludzie odsuwali się od nas w tramwaju.

W naszym baraku trzeba było dzielić się, zwłaszcza żywnością. Gdy po świniobiciu moja mama pakowała różne szynki, kiełbasy, itp. do walizy, nie wyprowadzałem jej z błędu że nie będę mógł spożyć sam tych smakołyków. Gdy pojawiał się taki chłopak ze wsi, to grupa głodomorów odbierała mu walizkę już przy wejściu. Odbывała się uczta Baltazara, a sponsor był tylko jednym z uczestników uczty. Kto nie umiał się podzielić był pokarany przez los. Jeden z współlokatorów przyniósł pewnego wieczora chyba z kopę jaj w foliowym worku. Usmażył na boczku 2-3 jajka. Resztę w worku wywiesił za okno (lodówek wtedy nie mieliśmy). Zapach jajeczniczy rozchodził się po całym baraku, ale głodomory musieli zadowolić się tylko zapachem. Rano budzą mnie jęki: „o zbójce, o bandyci”. Unoszę głowę i widzę jak wyciąga zza okna worek pełen zbitych jaj, gotowych do smażenia. Nieznany sprawca wyszedł w nocy z baraku i pobił wszystkie jajka. Usmażono więc wielką jajecznicę dla wszystkich chętnych, a ów nieszczęśnik w niedługim czasie wyprowadził się naszego baraku. Wspaniałe uczty bywały w okresie uboju nutrii. Jeden z kolegów, którego rodzice mieli dużą fermę nutrii, przywoził całe walizy trudnego do sprzedaży mięsa z nutrii. Oczywiście potrzebna była też „woda życia” i na trawienie i na odstresowanie. Wytwarzał ją w kuchence kolega z farmacji Staszek Sobiak, dziś znany profesor chemii leków. Gdy raz pewnego razu odwiedziła niespodziewanie nasz barak komisja z dziekanatu, spotkała Staszka nadzorującego pracę instalacji. Na pytanie jednej z pań co to jest, Staszek objaśnił spokojnie, że jako student farmacji przygotowuje się do ćwiczeń i usiłuje wytworzyć zasadę Schiffa. Nie wiem do dzisiaj co to jest. Ale komisja pochwaliła go za tak duże zaangażowanie się w naukę.

Na IV roku wziąłem stypendium fundowane ze Starostwa w Gostyniu. Dawali najwięcej, bo aż 900 zł. Płacili dużo, bo jak się później okazało mieli duże braki kadrowe. Poza tym było to około 60 km od rodzinnego domu. Przez to łatwiej był pomagać rodzicom.

Jako już stypendysta wakacyjną praktykę w Stacji Sanitarно-Epidemiologicznej odbyłem w Gostyniu. Ciekawa szkoła życia. Zostałem przydzielony do 2 pań z działu żywienia i żywności. Dzień zaczynaliśmy od kontroli państwowych piekarni, masarni, stołówek. Panie z reguły wypisywały tam jakiś mandat. Potem udawaliśmy się na kontrolę prywatnych cukierni, piekarni, masarni, sklepów mięsnych i innych wrednych przywaciarzy z branży spożywczej. Tu kontrola odbywała się przy kawie i herbacie z degustacją wytwarzanych lub sprzedawanych produktów. Po kontroli odnosiłem zawsze do domów kontrolerek 2 ciężkie teczki. Współczułem narzekającemu na swój los inspektorowi pobierającemu próbki wody z wodociągów lub publicznych studni i żyjącemu tylko z pensji.

V rok przeszedł bez problemów, nawet trudny egzamin z neurologii. Zdawaliśmy w formie krzyżówki egzaminu pisemnego z testem. Ja zdałem na bardzo dobrze, ale wielu studentów potknęło się, zwłaszcza studenci zagraniczni. Gdy reklamowali, że mieli trudności ze zrozumieniem pytań, poliglota prof. Mieczysław Wender zgodził się na powtórzenie egzaminu w formie ustnej w jednym z 3 zachodnich języków. Jednak większość z nich musiała uczyć się do poprawkowego egzaminu w wakacje. Niezłą przygodę miał kolega zdający ze mną pediatrię u profesora Olecha Szczepkiego. Otrzymał pytanie o wcześniakach. Gładko opowiadał o porażeniach spastycznych i niedorozwoju umysłowym. Na to profesor zapytał go: „czy ja wyglądam na debila?”. Kolega zbaraniał. Na to profesor: „bo wie pan ja jestem wcześniakiem, wróćmy do tej dyskusji za miesiąc”. Proszę zapisać się u mojej sekretarki i oddał mu index nie wpisując żadnego stopnia.

Na naszym roku studiowali też felczerzy. Niektórzy z nich mieli już około 40 lat i polubili młode dziewczyny. Zresztą jeden z nich po studiach ożenił się z koleżanką swojej córki. Nie wyszło mu to potem na zdrowie. Pewnego razu, gdy podrywaliśmy nachalnie nieznane dziewczyny, mieliśmy ubaw, bo jedna z pasażerek, starsza pani, zwróciła mu uwagę „panie, oni są młodzi to można im wybaczyć, ale starszemu panu nie przystoi tak się zachowywać”. Jednemu z felczerów pseudonim Hoess, nie wiodło się u dziewczyn i nieraz podśmiewaliśmy się z niego. Jednego wieczora Hoess przyprowadził do pokoju śliczną dziewczynę. Byliśmy zdziwieni, że taka ciamajda zarwała tak śliczną dziewczynę. Unosząc dumnie głowę w drodze do kuchenki powiedział tylko, że jest studentką Wyższej Szkoły Rolniczej. Wróciliśmy do nauk. Za jakieś 2 godziny rozległ się na korytarzu zwierzęcy ryk. Wyskakujemy na korytarz i widzimy Hoessa zakrwawionego. Na nasze pytania odpowiedział: „tak**** gryzie”. Rzeczywiście był mocno pogryziony na szyi i piersiach. Nie chciał już wracać do swego pokoju. Za około godzinę miał wrócić z ćwiczeń jego sublokator, student stomatologii (stomatolodzy mieli często ćwiczenia do dwudziestej). Był to chłopak przystojny, wysportowany, kolarz. Z Hoessa drwiliśmy, że jak nie umie obchodzić się z kobietą, to mu dobrze zrobiła. Kolega poradzi sobie z nią. Gdy zauważyliśmy, że i stomatolog maszeruje do kuchenki, przerwaliśmy naukę i podjęliśmy obserwację. Nie minęły 2 godziny a barakiem wstrząsnęła seria ryków. Okazało się, że tak mu uchwyciła głowę, że nie mógł się wyrwać. A gryzła jak w amoku, raz przy razie. On też nie zamierzał wracać do pokoju. Weszło więc kilku ochotników. Ona siedziała na łóżku z podciągniętymi kolanami i wpatrywała się w nas. My zaś, nie zbliżając się zbyt, prawie do rana pertraktowaliśmy by była łaskawa ubrać się i opuścić nasz barak. Odetchnęliśmy z ulgą gdy wyszła. Po tym incydencie zaniepokoiли się nawet znawcy kobiet. A jednak są kobiety wampiry....

Robiło się głupie kawały z lekami, tym bardziej, że studiujący z nami felczerzy mieli prawo wypisywania recept. Ofiarami tych głupich kawałów byli w zasadzie studenci spoza naszej uczelni. Sztandarowe działania to rycynus w rosole lub kilka kropel Fenactilu do kieliszka wódki. Najtężsi pijacy wpadali pod stół po maksimum 2 kieliszkach wódki. Nie mogli uwierzyć, że mieli taki słaby dzień. Ale wycofaliśmy się z tych głupich kawałów po skutkach ostatniego z nich. Przychodzący do naszego baraku na pokerka student Wyższej Szkoły Rolniczej zwierzył się, że chodzi z ładną dziewczyną, ale męski narząd odmawia mu posłuszeństwa w kluczowym momencie. Nazwy leku nie pamiętał (była to yohimbina), ale wiedział, że zażywa się od 1 do 4 tabletek. Przynaglał nas, bo jej rodzice wyjeżdżali i w perspektywie czekała wolna chata. Otrzymał 4 tabletki ale Tardyłu (silnego, później wycofanego, środka nasennego). Jak się później okazało osioł wziął od razu 4 tabletki i zapadł w taki sen, że zaniepokojona dziewczyna zadzwoniła na Pogotowie Ratunkowe. Wylądował w Oddziale Ostrych Zatruc. Później dość długo czatował z nożem w okolicy naszego baraku.

Po V roku po raz drugi zatrudniłem się na kolonii letniej udając doktora. Po IV roku byłem w Puszczy Kampinoskiej, po V roku nad jeziorem w okolicy Poznania. Trzeba było uważać, bo „prawie doktor” budził zainteresowanie żeńskiego personelu i unikać lekkomyślnego „gaciowania”. Niektórzy nieostrożni stali się ofiarami wiecznie polujących hien. Płacili później alimenty lub co gorsza żenili się.

Podczas internatu z ginekologii i położnictwa mieszkaliśmy na tym samym piętrze co położne. W naszej grupie nie było nikogo kto by nawiązał z nimi bliższe kontakty. Za to jednego ranka cofnęły nam o godzinę zegary na sali porodowej. Mieliśmy nieprzyjemności, że spóźniliśmy się na dyżur. One zaśmiewały się po kątach. Zaobserwowaliśmy też, że w klinice kierowanej przez prominentnego działacza PZPR profesora Witolda Michalkiewicza obowiązywały feudalne zwyczaje. Do dziś widzę jak przed windą, z której miał wysiąść profesor, ustawiał się szpaler docentów, doktorów, na końcu studentów. Gdy w otwierających się drzwiach windy pojawiał się profesor, wszystkie, nawet siwe głowy, pochylały się w czołobitnym ukłonie. On nierzadko z wrzaskiem wyrażał swe pretensje do

ważniejszych ze świty. Dochodziły do nas informacje o niezdrowej atmosferze w klinice, donosicielstwie, intrygach, niszczeniu konkurentów, czasami nawet kosztem zdrowia pacjentek.

Po V roku większość kolegów musiała uczestniczyć w obozie wojskowym. Ja byłem zwolniony z takiej przyjemności. Za to, dzięki znajomości języka francuskiego, otrzymałem skierowanie na miesięczną praktykę studencką w szpitalu Cochin w Paryżu. Na miejscu okazało się, że jestem jedynym studentem z Polski, a szpital Cochin jest szpitalem wojskowym, chociaż byli tam leczeni również cywile. Brałem udział w obchodach lekarskich, przedstawianiu chorych i planowaniu operacji w obecności kierownika działu ortopedycznego profesora Merle d'Aubigne, pioniera endoprotezoplastyki stawu biodrowego. Przez plastikową kopułę usytuowaną nad stołem operacyjnym obserwowałem operacje ortopedyczne, szczególnie endoprotezoplastyki stawu biodrowego w wykonaniu profesora. Profesor przez mikrofon informował o technice operacyjnej i trudnościach napotykanych podczas zabiegu operacyjnego. Jako student zza „żelaznej kurtyny” cieszyłem się dużym zainteresowaniem. Jednak dawno nauczyłem się więcej słuchać niż mówić. Miałem przyjemność przyjęcia przez profesora Merle d'Aubigne i rozmawiać z nim w serdecznej atmosferze. Wprosiłem się do jednego z lekarzy, by móc asystować podczas jego popołudniowych przyjęć w poradni. Robiłem mu dobrą reklamę. Przedstawiał mnie każdemu pacjentowi. Moja narodowość budziła zdumienie i zainteresowanie pacjentów. Mimo, że miałem ciche nadzieje, chytrus nie zaprosił mnie nigdy do restauracji. **Był rok 1970. Pan doktor przyjmował w towarzystwie sekretarki, która rozkładała zdjęcia i pisała na maszynie w historii choroby wyniki badania dyktowane przez doktora.** Doktor pisał co musiał - wypisywał recepty i składał podpis pod tekstem pisanym przez sekretarkę. Dzisiaj, po prawie pół wieku wspominam, jak bardzo nie szanuje się czasu wysoko wykształconych specjalistów. Nie trzeba wielu lat studiów i specjalizacji **by wykonywać pracę sekretarki medycznej.** Komputeryzacja, zamiast ulżyć lekarzom, poprzez nowe pomysły, zwłaszcza ambitnie samorealizujących się urzędników Narodowego Funduszu Zdrowia, drastycznie zmniejszyła nam czas dla pacjentów. Pojawiły się kody, procedury, loginy, itp. Dotyczy to także pielęgniarek wprowadzających do komputera każdą użytą igłę, tabletkę i gazik, badanie. Co z tego, jeśli nie ma to wpływu na wycenę procedur medycznych ani finansowanie służby zdrowia, jeśli rozwierają się nożyce między kosztami procedury medycznej a finansowaniem.

Podczas tej praktyki mieszkalem w miasteczku uniwersyteckim na południowym przedmieściu Paryża. Większość mieszkających tam studentów była cudzoziemcami. Najwięcej z Afryki i Azji, zwłaszcza z byłych kolonii francuskich. Ja mieszkalem w dwuosobowym pokoju ze studentem z Iraku, z którym zaprzyjaźniłem się. Nazywał się Imad Bakoss. Pochodził chyba z wysoko postawionej rodziny. Dobrze ubrany, z nienagannymi manierami i bardzo dobrą znajomością języka francuskiego zrobił na mnie wrażenie. Znał chyba wielu Rosjan, bo mawiał, że jestem do nich podobny. Był muzułmaninem i nie pił alkoholu, ale nie zauważyłem by modlił się codziennie. Dziwił się, że chodzę do szpitala pieszo, a ja oszczędzałem na bilety wstępu do muzeum. Pewnego dnia zaproponował mi wspólne pójście na striptiz do „Crazy Horse”. Z ostrożności zapytałem go o cenę biletu. Gdy usłyszałem, że tylko 150 franków, powaliło mnie. Ale gdy powiedziałem, że dla mnie to bardzo drogo, odpowiedział, że kupi mi bilet jeśli będę mu towarzyszył. Takiego pokazu striptizu nigdy później nie widziałem. Rozbierali się różnej rasy kobiety i mężczyźni, solo i grupowo, przy podniecającej muzyce. Kelnerzy dyskretnie zamieniali puste kielichy po wypiciu dobrego wina na pełne. Na koniec występów, około trzeciej w nocy byłem wyraźnie wstawiony. Mój sponsor nie pił. Przy wyjściu stał sznur taksówek i naganiaczy proponujących kobiety różnych ras i w różnym wieku, nawet „dziewice”. Ale tego sponsoring już nie obejmował.

Ponieważ Polska poparła kraje arabskie w wojnie sześciodniowej z Izraelem, Imad zaprosił mnie na przyjęcie w Ambasadzie Iraku w Paryżu. Sądząc naiwnie, że sobie pojem, nie wykupiłem tego dnia

obiadu. Niestety. Na około 30 osób były 3 półmiski małych, trójkątnych, pikantnych kanapek. Przyjęcie odbywało się na stojąco. Z kielichami wina w ręce krążyło się po sali i dyskutowało z napotkanymi osobami. Ja połknąłem tylko 3 kanapki, choć pożarłbym szybko całą zawartość przynajmniej jednego półmiska. Ale cóż, trzeba było trzymać fason, mimo głodowych skurczy żołądka. Po tym przyjęciu ledwo dotrwałem do śniadania. Poznaliśmy dwóch studentów medycyny mieszkających obok: Włocha i Greka. We czwórkę wyprawiliśmy się kilka razy na Montparnasse, by obserwować dziwy nocnego życia Paryża. Z prostytutek polujących na klientów nie korzystaliśmy, mimo zniżek po północy i mimo obrażania nas, że nie jesteśmy mężczyznami. Wiedząc jakie są w Paryżu ceny nocnych taksówek, inicjowałem w ramach wzmacniania kondycji fizycznej pieszy powrót do miasteczka uniwersyteckiego. Wtedy Paryż był jeszcze bezpiecznym miastem. Nasz kolega Włoch zwykle po przejściu około kilometra siadał na krawężniku chodnika i czekał na taksówkę. Mówił, że nigdy nie chodzi tak daleko, bo do szkoły dojeżdża samochodem. Zarówno Imad jak i Grek opowiadali, że po studiach muszą przez 2 lata służyć w wojsku. Z Imadem regularnie korespondowałem przez około 2 lata po studenckiej praktyce w Paryżu. Planowałem nawet zaprosić go do Polski. Nagle kontakt urwał się na zawsze. Rozpoczęła się okrutna wojna między Irakiem i Iranem. Najprawdopodobniej zginął... W Miasteczku Uniwersyteckim co kilka dni jakiś dom studencki zamieszkały przez studentów z określonego kraju lub kontynentu organizował dysputy ideologiczne i polityczne, w luźnej atmosferze, przy winie lub piwie. W Domu Afrykańskim dyskutowaliśmy przy wódce z liści palmowych. Najlepsi byli socjaliści z Afryki. Zamierzali po studiach zaprowadzać w swoich krajach sprawiedliwość społeczną poprzez budowę socjalizmu, ale z racji zasług w uszczęśliwianiu narodu rezerwowali dla siebie uprzywilejowane życie w bogactwie. Poznałem wtedy Pol Potę z Kambodży studiującego wtedy prawo na Sorbonie. Gdy przedstawiał swoje utopijne pomysły budowania raju na ziemi, niewiele wskazywało, że zostanie jednym z największych ludobójców w nowożytnej historii. Mnie też wywoływano do dyskusji, ale bez względu na ilość wypitego alkoholu mój mózg kontrolował język. Organizatorem i koordynatorem tych dysput był Niemiec. Był bardzo aktywny i krzykliwy, co mnie podpowiadało ostrożność. Gdy zaczął coraz bardziej natarczywe działania, by zakolegować się ze mną, w moim mózgu zapaliła się czerwona lampka. Zacząłem unikać spotkań z nim. Kropkę postawiła dziewczyna przedstawiająca się jako Amerykanka i z którą rozmawiałem tylko po francusku. Pewnego dnia niespodziewanie odezwała się do mnie po polsku: „czy myślisz, że ten Niemiec (imienia już nie pamiętam) to szpieg”. Zmroziło mnie, ale bez emocji, spokojnie odpowiedziałem, też po polsku: „niech on będzie kto chce, ja go po prostu nie lubię”. Odtąd unikałem spotkań i z Amerykanką. Unikałem nawiązywania kontaktów z nieznanymi Polakami. Wyszedłem na tym dobrze. Nie miałem problemów po powrocie do kraju. Wspominam o tych zdarzeniach, bo ciągle mam w pamięci Kajtkę Petrykowskiego, starostę naszego roku w latach 1966-1968. Zapamiętałem go jako zdolnego, inteligentnego studenta oraz sympatycznego, lubianego kolegę. Otrzymał skierowanie na praktykę studencką do Włoch. Poznał tam Polaków i goszczony przez nich przedłużył swój pobyt we Włoszech i podróżował z nimi po tym kraju. Z zazdrością oglądałem zdjęcia z tej podróży. Do dziś widzę jego zdjęcia z Polskiego Cmentarza Wojennego na Monte Cassino. Po kilku tygodniach przychodził do mnie jakiś smutny, zamyślony. Wypytywał o przebieg mojej praktyki. Podczas ostatniego naszego spotkania, gdzieś w połowie przedostatniego semestru, powiedział mi, że był już kilkakrotnie wzywany na ulicę Kochanowskiego [mieściła się tam Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej]: „wiedzą o mnie wszystko, znają każdy mój krok”. Później słyszałem, że popełnił samobójstwo w Szpitalu Sądowo-Psychiatrycznym w Pruszkowie. Nie wiem czy to prawda, ale nie ma go w tableau, ani nie słyszałem by ktoś coś o nim mówił. Wspominając krzykliwego Niemca, organizatora politycznych dysput, myślę i o Kajtku. To STASI lub jedna z największych wad Polaków - skłonność do zdrady, widoczna bardzo i współcześnie. A może obie te przyczyny jednocześnie?

Z **VI roku** najbardziej pamiętam dwie rzeczy: polowanie na mężów i zaliczenie ćwiczeń z medycyny sądowej. Nie dziwiłem się dziewczynom, bo każda normalna kobieta chce zostać matką, a najlepiej z mężem przy boku. A już wtedy służba zdrowia była mocno sfeminizowana i szanse na upolowanie męża po studiach gwałtownie spadały. Polowały intensywnie nie tylko nasze koleżanki, nie tylko na medycynie - dziewczyny z innych uczelni także zapuszczały się na polowanie na medycynie. Natomiast znaczna część młodych samców uważała, że to za wcześnie by tracić wolność. Przecierali oczy ze zdumienia, że nawet największe niedojdy w stosunkach damsko-męskich pojawiały się z narzeczonymi, ba, nawet żenili się przed zakończeniem studiów. Nie nauczyli się, że życie kobiety jest trudne, ale życie z kobietą jest skomplikowane.

Chociaż ożeniłem się rok po studiach, to moja samcza pycha została pokarana też na VI roku. W grudniu 1970 obecny profesor farmacji Staszek Sobiak zorganizował wyjazd na narty do Zieleńca. Pojechałem tam razem ze Staszkiem Pniewskim z mojej grupy, obecnie obywatelem USA. Oboje po wakacyjnych przejściach, przyrzekliśmy sobie nie zadawać się z dziewczynami, bo to niebezpieczne. Mieliśmy dwuosobowy pokój i szpulowy magnetofon. Dziewczyny cisnęły się do nas, ale Staszek je odpędzał. Mnie nudziło się, tym bardziej, że z jadalni dobiegała muzyka i śmiechy dziewcząt. W końcu powiedziałem mu, że chociaż zobaczę jakie „sztuki” przyjechały. Na to mruknął „ciebie zawsze do bab ciągnie”. Przysiadłem się do 3 dziewczyn, jak się okazało studentek ostatniego roku farmacji naszej Akademii Medycznej. Piło się grzane wino z korzeniami, chyba specjalnie przyprawionymi (farmaceutki znają się na ziołach) bo całkiem straciłem czujność. Od następnego dnia zacząłem szukać towarzystwa jednej z nich i zamiast jeździć na nartach powlokłem się za nią ciągnąc Staszka na szczyt Orlicy, na który ONA szła w towarzystwie 2 koleżanek i kolegi z roku. Staszek był zły bo szczyt był pokryty drzewami i nie było widoków. Nie odważyłem się wyjaśnić mu dlaczego tam siedłem. Po 3 dniach, widząc zainteresowanie innego samca oświadczyłem się. Później powiedziała, że potraktowała to jako żart, ale na pierwszą randkę przysłała. I tak przez wino z „korzeniami” od 50 lat jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Staszek Pniewski przez Szwecję uciekł z Polski. Wkrótce po ślubie, mając jego adres w Kanadzie napisałem do niego list, że ożeniłem się z Basią, którą zresztą znał dobrze, bo tak jak Ona trenował pływanie. Odpisał mi krótko: „a dobrze Ci tak, bo zawsze Cię do tych bab ciągnęło”. On z Kanady wyjechał do USA i po 10 latach od ukończenia studiów nostryfikował dyplom w USA i zrobił specjalizację z radiologii i prawdopodobnie pozostał wierny kawalerskiemu stanowi.

Na **zaliczenie ćwiczeń z medycyny sądowej** było nieszczęściem dostać do sekcji zwłok topielca. Widok nieciekawý a smród straszny. Mimo, że wiele już widzieliśmy nie każdy był zdolny do wykonania badania pośmiertnego takich zwłok. Na mnie przypadły zwłoki starszego mężczyzny, który wisiał w lesie około roku. Ciało było całkowicie zmumifikowane, trudne do przecięcia. Przy oględzinach zewnętrznych widziałem tylko bruzdę wisielczą. Ale lewa ręka była unieruchomiona gipsowym opatrunkiem Dessaulta. Jak mógł powiesić się jedną ręką. Po rozważaniach odpowiedziałem, że nie znalazłem dowodów na działanie osób trzecich i zaliczyłem ćwiczenia. Dnia 07.05.1971 r., zgodnie z tradycją jako ostatni egzamin na studiach zdałem egzamin z medycyny sądowej i to na bardzo dobrze.

Dyplom ukończenia studiów na Wydziale Lekarskim **Akademii Medycznej** w Poznaniu otrzymałem 20.05.1971 r.

Hieronim Głowacki (Hirek, Motocyklista)

Egzaminy na studiach. Giełda – Nie chodzi tu o giełdę finansową, lecz o zbieranie informacji przed własnym egzaminem. Idea była bardzo prosta: każdy profesor miał swoje ulubione tematy i pytania, które często się powtarzały.

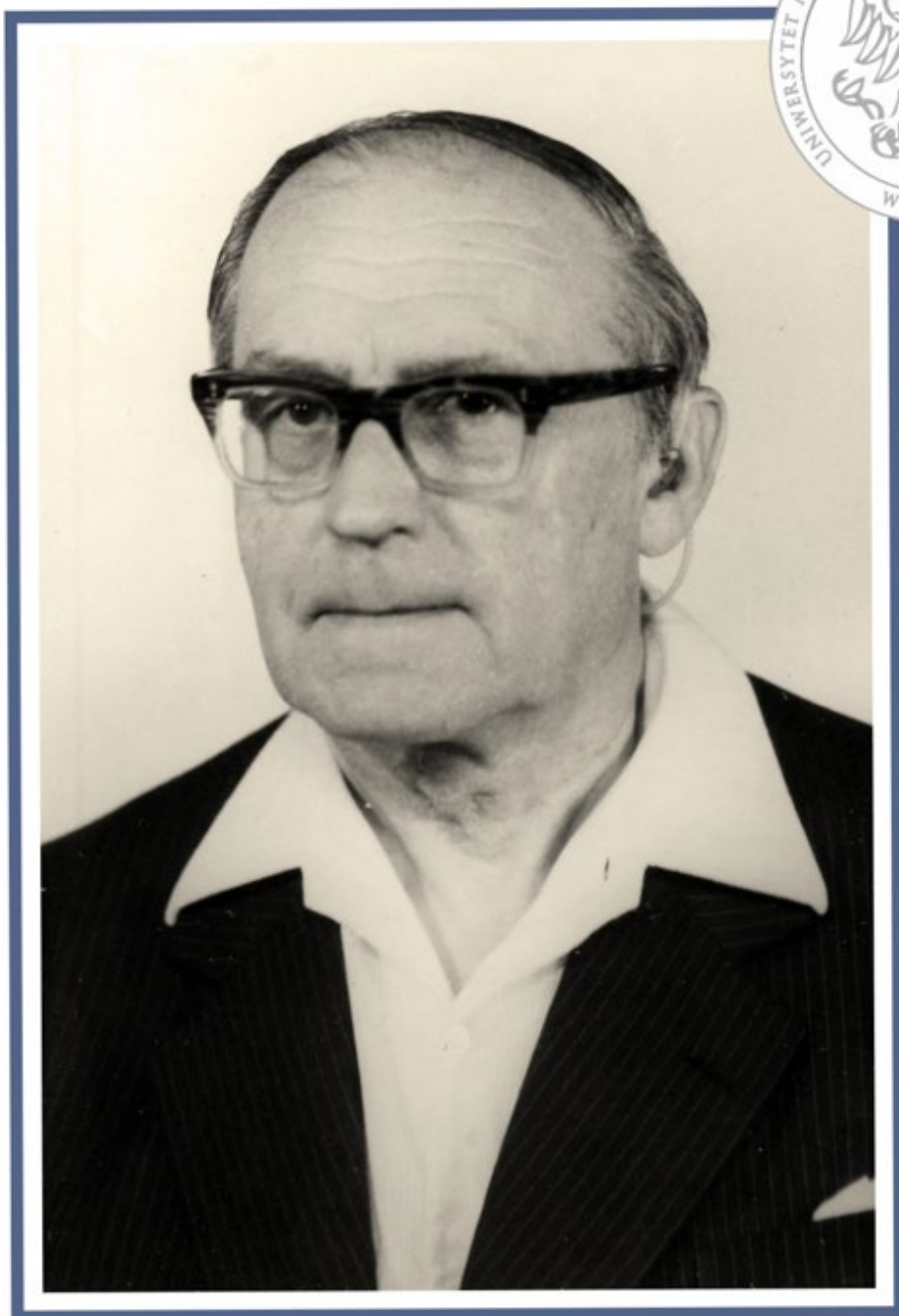
Byłem w grupie piątej, więc przede mną do egzaminu podchodziły cztery grupy – po 20 studentek i studentów, czyli łącznie 80 osób. Każdy otrzymywał minimum trzy, a czasem nawet pięć pytań. 80 osób razy 5 pytań to około 400 różnych pytań – a to sprawiało, że nie było możliwe, by się one nie powtarzały.

Dlatego w dniu egzaminów przebywałem niedaleko pokoju, w którym się one odbywały. Każdą koleżankę i każdego kolegę, którzy właśnie wychodzili z egzaminu, pytałem, czy zdali. Gratulowałem, jeśli wynik był pozytywny i natychmiast zadawałem pytanie: „Jakie dostałeś/dostałaś pytania i jak na nie odpowiedziałeś/odpowiedziałaś?”

W ten sposób poznawałem styl egzaminowania danego profesora, zdobywałem nową wiedzę i mogłem ocenić, czy jestem wystarczająco przygotowany, by zdać.

Czasem jednak trzeba było zastosować inną taktykę.

Na przykład na egzaminie z fizjologii u prof. Jana Kiersza [Andrzej Kiersz: [Profesor Jan Kiersz \[1912-1991\], czyli poznańska historia pewnego lwowiaka/ Andrzej Kiersz.](#) // Kron. M. Pozn. - 2001, nr 1, s. 309-320. Fot., portr.].



Jan Kiersz

Profesor miał problemy ze słuchem i nosił aparat. Pierwszy student wchodzący na egzamin miał za zadanie mówić bardzo głośno. Koleżanka przede mną mówiła więc donośnie, na co profesor zapytał: „Dlaczego pani krzyczy?” – a ona odpowiedziała: „Mówię normalnie”. Profesor pokręcił przy aparacie i ściszył dźwięk. Koleżanka siedziała naprzeciwko profesora, przy biurku, a ja na kanapie przy drzwiach. Kiedy zauważyłem, że nie zna odpowiedzi, szeptałem jej ją, a ona powtarzała na głos. I zdała. Gdyby skorzystała wcześniej z gietdy, nie miałyby tego problemu – profesor Jan Kiersz często zadawał te same pytania nawet w jednej grupie.

Egzaminy mają na celu sprawdzenie wiedzy studenta. Czasem jednak zdarza się – rzadko, ale się zdarza – że student wie więcej niż profesor.

Wyjątkowym studentem był Krzysztof Kupczyk – bardzo oczytany, inteligentny i odważny, gotów walczyć o prawdę naukową, nawet z profesorami i nawet podczas egzaminu. Na egzaminie z mikrobiologii u prof. Józefa Wiza wydarzyło się coś niezwykłego. Krzysztof dostał pytania i odpowiedział na nie zgodnie ze swoją wiedzą, ale profesor się z tym nie zgadzał. Próbował przedstawić Krzysztofowi inny punkt widzenia. Wtedy Krzysztof – jak miał w zwyczaju – przesunął się do przodu na brzeg krzesła, wyprostował, wyciągnął prawą rękę i zaczął nią podkreślać swoje słowa jak młotkiem. Widząc to, wiedziałem już, że egzamin nie zostanie zaliczony. Krzysztof rozpoczął: „Panie Profesorze, w tej i tej książce przeczytałem, że..., poza tym w tym i tym czasopiśmie znalazłem to i to...”. Jego wywód trwał około 4–5 minut. Profesor Józef Wiza nie przerywał, tylko uważnie słuchał. Po chwili milczenia powiedział: „Panie Kupczyk, w zasadzie ma pan rację. Muszę przyznać, że tego ostatniego artykułu nie czytałem”.

Profesor Józef Wiza zyskał w naszych oczach ogromny szacunek – przyznał studentowi rację i uznał, że student wie więcej od niego.

Wszyscy pozytywnie zaliczyliśmy ten egzamin z mikrobiologii.

Wojsko. Tego jeszcze nie było – zwolniony z ćwiczeń wojskowych z kategorią A. Maj 1965 r. Matura została odhaczona, zgłoszenie na studia medyczne również odhaczone.

Czerwiec 1965 r. Przede mną lekarska komisja wojskowa, badająca moją zdolność do służby wojskowej. W słoneczny dzień, musiał być wtorek, po otrzymaniu wezwania na badania zgłosiłem się do komisji. Zastanawiałem się nad swoją sylwetką, studiując ją przed lustrem. Z tyłu garb, z przodu brzuch.

Pierwsze pytanie wojskowego lekarza: „Co pan robi zawodowo?” Moją odpowiedzią była: „Krawiec”. Nie kłamałem, bo pomagałem ojcu w krawieckim warsztacie.

Na końcu badań zapytał mnie inny lekarz, co zamierzam robić z moją maturą. Moja odpowiedź była prosta: „Będę się starał studiować medycynę. A co zrobię, jeśli mnie nie przyjmą? To zastanowię się w przyszłym roku.”

Nie wiem, czy to przez moją nefizjologiczną (sztuczną) sylwetkę, czy przez sympatię do przyszłego lekarza – otrzymałem kategorię B, co oznaczało, że jestem niezdolny do służby wojskowej na rok. Dzięki temu miałem szansę w następnym roku ponownie starać się dostać na studia, w przypadku gdybym w tym roku miał pecha.

Jednak mój wstępny egzamin na studia medyczne był udany.

Na początku października, jako świeżo upieczony student medycyny, w ręce wojskowa książeczka, w której czarno na białym widniało, że jestem niezdolny do służby wojskowej na jeden rok, udałem się do wojskowego studenckiego oddziału.

Osobiście przyjął mnie pułkownik Zbigniew Psuja. Od razu przeszedłem do sedna sprawy.

„Panie pułkowniku” rozpocząłem, „lekarska komisja wojskowa dała mi kategorię B. Ponieważ nie czuję się chory, chciałbym w tym roku brać udział w ćwiczeniach wojskowych.” Oczy pułkownika Psuji zrobiły się duże – „Kategoria B jest kategorią B i nie może pan brać udziału w ćwiczeniach wojskowych.”

„No tak,” odpowiedziałem, „a co zrobię, jeśli dostanę kategorię A? Będę musiał 2 lata służyć, a jeszcze gorzej – powtórzyć.”

„Nie, nie będzie pan musiał, będzie pan zwolniony z ćwiczeń wojskowych do końca studiów.”

„Dostanę to na piśmie? Tylko tak na wszelki wypadek...”

Tak, otrzymałem zaświadczenie o zwolnieniu z ćwiczeń wojskowych.

W listopadzie zostałem wezwany do studenckiej lekarskiej komisji wojskowej. Jak się spodziewałem, dostałem kategorię A – zdolny 100% do służby wojskowej. A więc nic nie stało na przeszkodzie, aby w lutym następnego roku założyć mundur wojskowy.

W styczniu znalazłem moje nazwisko na liście niezdolnych do ćwiczeń wojskowych, pomimo mojej teraz kategorii A. Ale zaświadczenie pułkownika Psuji miało większe znaczenie niż kategoria komisji lekarskiej. Na końcu studiów miałem 25 lat i byłem za stary dla wojska.

Filozoficzne myśli w czasie studiów o przyszłości...

Każdy, który studiował miał przed oczyma karierę. Każdy z nas, studentów i studentek - pragnął zdobyć prestiżową specjalizację, godne stanowisko, marzył o zawodowym sukcesie. Wprawdzie rzadko kto mówi o tym głośno – obowiązujące w tamtej Polsce normy społeczne nakazywały skromność – ale szczerze mówiąc: **po co mieliśmy studiować, jeśli nie po to, by coś osiągnąć?** Również i mnie towarzyszyły myśli o przyszłości. O karierze. Tylko że w młodości było inne poczucie czasu. Wszystko wydawało się trwać za długo. Perspektywa osiągnięcia celu, czy to naukowego, czy medycznego nie zapominając o wpisaniu się do wymogów administracji była tak mglista że prawie niewidoczna.

Przeciętny wiek asystentów wynosił zapewne 30-40 lata, i choć z naszego młodzieńczego widzenia byli oni już bardzo starzy, ale do emerytury mieli jeszcze 20-30 lat. Docenci, profesorowie byli wprawdzie jeszcze starsi niż asystenci, ale drabina kariery szła przez stanowisko asystenta.

Nieosiągalne?

Jak wielu młodych ludzi, ja również myślałem o „wielkim świecie”. O świecie poza polskimi granicami, o krajach po drugiej stronie żelaznej kurtyny gdzie w naszym wyobrażeniu panowała całkowita wolność. W naiwności młodych takich jak ja był to obraz świetlisty - tam czeka na nas praca, szczytne i możliwe do zrealizowania zadania a nawet marzenia. Jednak ostatecznie sprawdziło się niemieckie powiedzenie: „gdzie indziej jest trawa bardziej zielona” „Zielońska jak mówił mój mały synek”

Kariera a partia. Jeszcze jedna myśl była dla mnie ważna w kontekście przyszłości: kariera w tamtych czasach była nierozzerwalnie związana z legitymacją partyjną PZPR. Dla mnie – niezależnie od ideologii danej partii – wstąpienie do niej tylko po to, by zrobić karierę, byłoby równoznaczne ze sprzedaniem duszy diabłu.

Co ciekawe – pomoc ze strony rodziny, przyjaciół, znajomych (i znajomych znajomych) była społecznie akceptowalna. Polecenie „swojego” kandydata opierało się na przekonaniu, że dana osoba ma odpowiednie kwalifikacje. Otrzymywała ona w pewnym sensie „**kredyt zaufania**”, który mogła spłacić tylko dobrą pracą.

Polecenia partyjne nie miały natomiast nic wspólnego z kwalifikacjami. Byłem świadkiem sytuacji, gdy student, członek partii, otrzymywał wyniki egzaminu z ekonomii... **jeszcze przed egzaminem.**

Jako idealista – bo taki byłem, było ważne, by bez partyjnej przynależności „maszerować do góry”. Itp. itd.

Mam nadzieję, że na medycynie nie było aż tak drastycznie, przynajmniej nie w medycynie klinicznej. Jeśli chodzi o działy teoretyczne, to mogło być wtedy wszystko możliwe...

Własne doświadczenie. Kiedyś próbowałem jednego z naszych kolegów z roku przekonać do udziału w studenckim związku ZSP. Sam związek podkreślał swój apolityczny charakter. Pomimo tego, że byłem „bezpartyjny” zostałem szefem komisji do spraw społecznych. Ale ten kolega powiedział mi otwarcie: „Hirek, ja chcę zrobić karierę naukową na Akademii Medycznej i dlatego wstąpiłem do ZMS”. ZMS czyli Związek Socjalistycznej Młodzieży był „partyjnym przedszkolem PZPR-u”. On wtedy obracał się w kręgach tych, którzy sami „wkręcali” się w kierunku kariery. Czy czynili to przy pomocy partii – prawdopodobnie tak, bo on inaczej nie wstąpiłby do ZMS-u.

Pierwsze starania o pracę. Ponieważ rozważałem wszystkie inne, pozapartyjne możliwe formy kariery próbowałem się do nich przygotować i choć byłem święcie przekonany, że poziom poznańskiej Akademii Medycznej był wysoki, jednak pytałem moich bliskich kolegów, czy mogą sobie wyobrazić podjęcie pracy w polskim ośrodku ale poza granicami Polski. Raczej nie mogli sobie tego wyobrazić. Dwa razy uzyskałem tą samą odpowiedź - „ja nie mogę opuścić swojej matki”. Zrozumiałe – obydwa byli jedynakami.

Po zdaniu egzaminu z ginekologii na 5 roku studiów, udałem się do szefa kliniki na Polnej prof. Michałkiewicza. Zapytałem go jaka byłaby możliwość dostania etatu po studiach w jego klinice. Był trochę zdziwiony, że mając jeszcze przed sobą 2 lata (rok studiów i rok stażu) staram się już teraz o pracę. Zapisał moje nazwisko i polecił mi się ponownie za rok u niego zameldować. Po roku pamiętał mnie, przyjął serdecznie i zapewnił, że po stażu będę miał etat, bo będą trzy etaty wolne. Poprosił też o oficjalny wniosek i dalsze dane.

Kiedy przyniosłem wszystkie dokumenty, poprosił mnie do gabinetu.

„Panie Głowacki - mam problem - docent Pisarski, wtedy szef Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP PZPR) na uczelni, zgłosił sprzeciw przeciw pana przyjęcia. On powiedział, że pan jest wrogiem socjalistycznego systemu. Ale niech pan się nie martwi, my będziemy walczyć”.

Muszę powiedzieć, że to mnie „poraziło”, uderzyło. To trwało we mnie i jest do dziś. Marzenia o karierze naukowym prysnęły jak bańka mydlana. Wprawdzie Michałkiewicz był aktywnym partyjniakiem, ale walka z PZPR-em i jej członkami wydawała mi się bez szansy, w końcu była to wówczas totalitarna i autorytarna organizacja.

Nowe miejsce i kolejne złe doświadczenie. Dzięki powiększeniu etatów lekarskich 1971/72 w Poznaniu o niemałą liczbę, po studiach jednak dostałem etat na położnictwie w Klinice na Engla. Tutaj przyjął mnie prof. Edward Howorka bardzo wrogo. Myślał, że jestem szpiegiem systemu. Jeden robi ze mnie wrogiem systemu, inny szpiegiem systemu! Czysta paranoja. A więc pozostało czekać na możliwość zrealizowania projektu zatrudnienia się w polskim ośrodku ale za granicą.

Ale to już inny temat.

Choć jednak to się sprawdziło - polscy lekarze byli za granicą, a w Niemczech szczególnie, bardzo uznawani i szanowani.

HISTORIA JEDNEGO SPOTKANIA – 1996. Wstęp. Bez przeszłości nie ma przyszłości. Nie istnieje żadne stworzenie, żadna istota biologiczna, która mogłaby funkcjonować bez korzeni. Rośliny czerpią życiodajne substancje przez korzenie i transportują je w górę – aż do korony.

Dla istot wyższych, jak ludzie, metaforycznymi korzeniami są zarówno wartości genetyczne i materialne, jak i – co najważniejsze – duchowe i intelektualne. Nasza przeszłość to fundament.

Dla nas, ludzi, przeszłość przybiera różne formy:

osobistą:

rodzinną,

szkolną,

studencką,

zawodową;

grupową – w podobnych formach.

Wspólnie tworzą one nasze doświadczenie. W szerszym ujęciu – są to tradycje: rodzinne, lokalne, narodowe czy zawodowe.

Te myśli towarzyszyły mi przez wiele lat – dokładnie dwadzieścia. Wyjechałem w 1976 roku, a wspomnienia spisywałem w latach 1996–1997.

Urodziliśmy się w systemie, który uznawał wszelkie związki z przeszłością i tradycją za wrogie i niepożądane. Dziś jednak nadszedł czas powrotu do korzeni, do odkrywania naszej tożsamości.

Istnieją dwie drogi: powrót do głęboko zakorzenionej tradycji – lub obudzenie nowej.

Bez przeszłości, bez tradycji, człowiek czuje się jak sierota – duchowo samotny. Osamotnienie to prowadzi do niepokoju, potrzeby nieustannego działania, wysiłku, podświadomego poszukiwania własnego miejsca w czasie i przestrzeni. Poszukiwania i tworzenia własnej tradycji – nawet jeśli dzieje się to zupełnie nieświadomie.

Warto uświadomić sobie, że jesteśmy częścią tradycji – a czasem możemy być jej twórcami. A do tego potrzebne są międzyludzkie spotkania.

Początek. Naturalnie, można by zacząć opowieść 12 miliardów lat temu – od powstania Układu Słonecznego. Albo od własnych narodzin, od szkoły, matury, studiów... Nie!

Wszystko zaczęło się od „Spotkania” zorganizowanego przez Piotra Janaszka w 1996 roku.

Często pytano mnie: „Jak długo jest pan w Niemczech?”, „Od kiedy jest pan lekarzem?”. Uświadomiło mi to, że właśnie mija 25 lat od ukończenia studiów – 25-lecie Dyplomatorium (dlaczego nie Absolutorium?). Ostatni egzamin 15 maja 1971, Dyplomatorium pod koniec czerwca, a potem – ostatni bal studencki.

Czekałem na wiadomość z Polski. Dzwoniłem do rodziny w Poznaniu – pytałem, czy coś przyszło z uczelni, czy ktoś z roku nie dzwonił.

Niestety – bez rezultatu.

W końcu, 10 maja 1996, zadzwoniłem do przyjaciół z Poznania (nie lekarzy) i poprosiłem: „Sprawdźcie, co z naszym 25-leciem?”.

Cztery dni później, 14 maja, przyszła odpowiedź: uroczystości odbędą się 16 maja w Koninie.

Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego, że będę musiał w dwa dni zorganizować wyjazd na długo wyczekiwane spotkanie. Cały plan – zawodowy, rodzinny – trzeba było przewrócić do góry nogami.

16 maja obchodziliśmy też w domu 12,5-lecie ślubu – tzw. „pietruszkowe wesele”. Za zgodą żony, to ja reprezentowałem naszą rodzinę w Koninie, a ona – świętowała w Oldenburgu.

Teamarbeit. Teamwork.

Po wielu rozmowach z Polską i przestawieniu wszystkich terminów w Niemczech stało się jasne: w sobotę muszę wyruszyć do Konina.

Podróż i pierwsze wrażenia. W drodze rozmyślałem: kogo spotkam, o czym będziemy rozmawiać, jakie pytania usłyszę (obczyzna?!), co odpowiem.

Po 20 latach w Niemczech i bardzo ograniczonym kontakcie z Polakami, w głowie pozostał głównie język niemiecki. Nawet sny były już po niemiecku... Zacząłem więc „trenować” polszczyznę – słowa, terminy, zdania.

I może by się nawet udało... gdyby nie pewien incydent.

W Berlinie do przedziału wsiadł mężczyzna – około 45 lat, elegancki, ale bardzo nerwowy. Wyglądał, jakby po raz pierwszy przekraczał granicę. Syndrom pomocnika zmusił mnie do rozmowy – najpierw po polsku – bez reakcji. Potem po niemiecku – nic. W końcu po angielsku – Bingo.

Rozmowa, której wcale nie potrzebowałem – ja przecież potrzebowałem ciszy i kontaktu z polskim językiem. Obawa przed kompromitacją była duża.

Pociąg dojechał do Konina z 2,5-godzinnym opóźnieniem. Dobry omen?

Pomimo opóźnienia, na dworcu czekał mikrobus Piotra Janaszka – tylko na mnie. Organizacja – wzorowa.

Spotkanie. W ośrodku – zameldowanie w biurze kongresu, przydzielenie pokoju i łóżka.

Tam otrzymałem ankietę – standardowe pytania o adres, telefon, rodzinę... ale też pytania o osobiste sukcesy. To mnie zaskoczyło. W Niemczech – przez 20 lat – wpajano mi skromność. Podobnie w Poznaniu. Mówienie o własnych osiągnięciach bez pytania – faux pas. A już publikowanie takich informacji – wręcz nietakt.

Co kraj, to obyczaj.

Po roku i po przeczytaniu książki Piotra Janaszka muszę przyznać – ten pomysł był świetny.

Wieczór wspomnień. Pierwsze spotkania – serdeczne, pełne radości, uścisków i łez. Niektórzy się zmienili, inni – pozostali tacy sami. Przede mną stanęły obrazy sprzed 25–30 lat: egzaminy, sesje, bale – jakby to było wczoraj.

Już wtedy wiedziałem – to nie będzie ostatnie spotkanie.

Rozpoznałem Ewę Mierzwiak, Stefana Stamma, Macieja Kozłowskiego i innych. Niektórych – wstyd się przyznać – nie rozpoznałem.

Wieczorem – gala. Panie w balowych sukniach, panowie w garniturach. Krawaty, muszki. Zapachy najlepszych perfum. Przed wejściem – wspólne zdjęcia. Wewnątrz – kolacja i radosne rozmowy.

Ktoś rzucił hasło: „Grupa V siada razem – jak na studiach”. Bez sprzeciwu – z entuzjazmem. Grupa V – znów prawie w komplecie.

Jak powiedziała Krystyna Kasprzak: „My naprawdę byliśmy zgraną grupą.”

Po oficjalnej części – szampańska zabawa, którą nasze dzieci mogłyby nam pozazdrościć. Rozmowy, pytania, wspomnienia – za mało czasu dla wszystkich.

Wtedy narodził się pomysł:

„Moi drodzy – na następne spotkanie zapraszam Was do Oldenburga (Holstein)!”

Zaproszenie padło jeszcze „na trzeźwo” – a obietnice były wiążące.

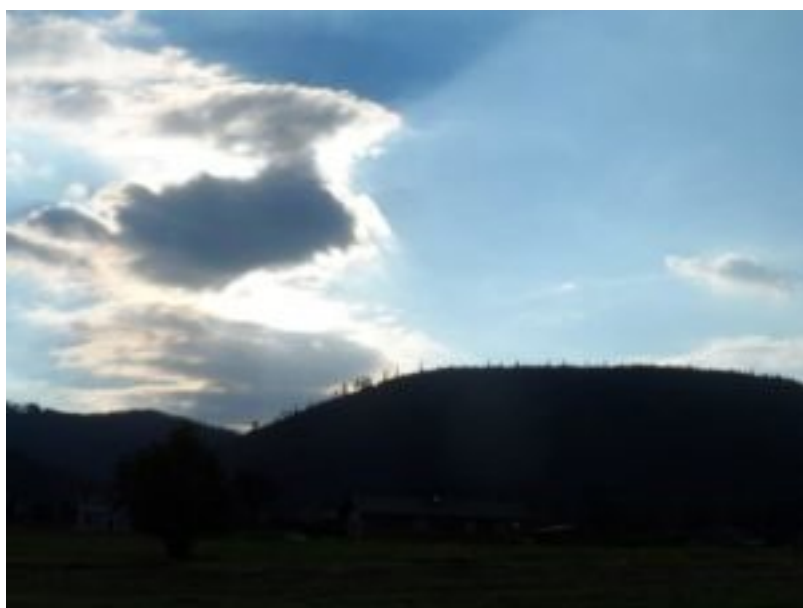
I rzeczywiście – spotkanie Grupy V odbyło się rok później, w dniach 28–30 czerwca 1997.

Zakończenie. Dzięki Piotrowi Janaszki udało się nie tylko ocalić dawną tradycję, ale też rozbudzić nową.

Te spotkania odbywają się niemal co roku – aż do dziś.

Oldenburg. 24.05.2025

WSPOMNIENIA 47 LAT PO STUDIACH.



Zupełnie niespodziewane rozmowy z Hieronimem (Hirkiem) Głowackim.

Tekst z blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4391> zamieszczony 09.11. 2018 r. przez Zofia Konopielko : *Dzisiaj wstał dzień otulony zimną mgłą i zapowiadał się smętnie. Moja zwykle radosna na przekór nazwie – ulica Szara nie zapraszała jak codzień. W naszej Grupie messengerowej Ewa Barabasz wrzuciła zdjęcia i coś napisawszy, zamilkła, bo zrozumiałe – Dziewczyna pracuje. Próbowałam jakiejś dyskusji z tym co wczoraj wieczorem napisał Leszek Milanowski o nowym warszawskim pomniku – ale odpowiedziało mi echo....*

Jednym słowem mocno wiało listopadowym chłodem....

.....i nagle – jakby zgadując moje wątpliwości czy warto udzielać się w tej Grupie – czy kogoś interesuje to, o czym myślę, co interesuje, co fotografuję – zupełnie niespodziewanie odezwał się Hirek – Hieronim Głowacki z naszego poznańskiego roku Akademii Medycznej (1965 – 1971).

Od razu zapachniało wielkim światem, bo Hirek od wielu lat mieszka i pracuje za granicą i zrobiło się ciepło ciekawie i tak jakoś radośnie , blisko – pomimo tego, że w ogóle siebie nie pamiętamy z okresu studiów.

Oto nasza dzisiejsza messengerowa rozmowa, w całości skopiowana i uzupełniona moją narracją (lityry pochyłe). Zwyczajowo słowa i inicjały Hirka są podane pogrubioną czcionką a moje – zwykłą:

H.G. – Sierpień 1976, przede mną otwarta droga na świat, kierunek – I druga połowa kuli ziemskiej – północ albo dalekie południe. Język angielski albo francuski. Na taki się przygotowałem.

W drodze na duży świat odwiedziłem kolegę Włodka Koniecznego, który już się w zagłębiu Ruhry znalazł.

Dziwnym trafem – tam się moja mama w 1912 r. urodziła. Przypadek?

I Włodek mi mówi – „mam pracę dla ciebie, u nas na ginekologicznym oddziale” zrobiłem duże oczy – strach jeszcze większy. Bo ja ani w ząb po niemiecku. Na to nie byłem przygotowany. Ale propozycja kusząca, więc się zgodziłem. A więc intensywna nauka języka – na to miałem tylko 2 miesiące czasu. Było nie łatwo, ale bardzo interesująco.

W głowie polski, na zewnątrz niemiecki. Jak to każdy obcokrajowiec, próbowałem 1 do 1 z polskiego na niemiecki tłumaczyć. Nie da się.

Ale też próbowałem trochę Polski przenieść do mojego otoczenia.

Właśnie zaczęła się jesień,

A więc moją łamaną niemiecczyzną próbuję im opowiadać – jesień, Polska, liście, złote, nasza, typowa i wyjątkowa.

Pakuję coraz więcej słów, zwrotów.

W końcu zdeterminowany pokazuję zdjęcie z naszej przepięknej polskiej złotej jesieni.

A oni na to znaleźli jedną odpowiedź:

ach – das meinst du. Das ist doch unserer wunderbaren, deutsche, goldene Herbst. Ist das nicht schön? –

ach to masz na myśli. To jest przecież nasza przepiękna niemiecka złota jesień. Czy nie jest to piękne?

Gdy przeczytałam ten tekst – zachwyciła mnie mnogość wątków, rodziło się wiele pytań – rozpoczęliśmy rozmowę:

Z.K. – Hirku, przeczytałam początek Twojej opowieści: „Sierpień 1976, przede mną otwarta droga na świat, (...)” – Dlaczego akurat sierpień 1976 ?....

H.G. – Bo była wtedy okazja

*Z. K. Nie pytałam dalej – może przyjdzie taka chwila i sam opowie – pomyślałam. Ale jednak drązę dalej: Hirku napisałeś, „**W głowie polski, na zewnątrz niemiecki.**” – No tak. Wajda gdy odbierał Oskara – podziękował po polsku, objaśniając – że on myśli po polsku...*

H.G. – Tak daleko w mojej głowie nie byłem

*Z.K. – Hirku, czuję w Tobie fajnie wrażliwą duszę, gdy mówisz – „**W końcu zdeterminowany pokazuję zdjęcie z naszej przepięknej polskiej złotej jesieni. A oni na to znaleźli jedną odpowiedź: (...). To jest przecież nasza przepiękna niemiecka złota jesień. Czy nie jest to piękne?**”*

– tak, Hirku, jest to piękne, bo przyroda , zdjęcia, muzyka nie znają granic....

Granice są w nas

Korzystając z okazji pogadania, zapytałam:

– Czy miałbyś ochotę wrócić do Polski

– Czy masz przyjaciół rdzennych Niemców

– Choć Tyś półkrwi jak zrozumiałam

H. G. – Przyjaciół to mam całą masę. Więcej Niemców jak Polaków (bo ich tu nie ma).
Urodzenie w Niemczech nie jest równoznaczne z narodowością

Z. K. – Kolega lekarz który mniej więcej w tym samym czasie co Ty, wyjechał mówi, że nie lubi towarzystwa Niemców. Ma wrażenie że kpią z Jego akcentu

Pewnie każdy ma inaczej...

– Bardzo ciekawy problem ...

– Co w duszy gra – zapytałam – myśląc – co gra w duszy naszemu Koledze, lekarzowi pracującemu od tak wielu lat poza krajem.

– My tu sporo piszemy o sobie

– Lub pośrednio poprzez zdjęcia, linki , czy nasze wypowiedzi – widać – jacy jesteśmy

– No trochę widać

(H.G. nie odpowiedział co Mu w duszy gra, tylko ciągnął myśl o moim koledze na emigracji:

H. G. – Kolega lekarz – różnica pomiędzy bratem a przyjacielem jest znana. A więc jest niemożliwe, żeby w kręgu miliona ludzi nie można było znaleźć paru sympatycznych osób.

Z.K. – Myślę że chyba mój kolega ma problem ze sobą: może Kompleksy. Nadwrażliwość. I to ogranicza. Tak tylko głośno myślę – bo pozornie jest Supermanem:)

– Ale czy Twoi przyjaciele są narodowości niemieckiej ?

H.G. – Akcent – ja też myślałem, że się nabijają. Poszedłem do logopedy i chciałem mój akcent zmienić. To by było możliwe. A na to pani mówi – panie Głowacki właśnie pana akcent robi pana sympatycznym. To jest pan, przez to pana wszyscy poznają. To jest pana marka. Pytałem się moich znajomych co o tym sądzą. Tak śmiali się, ale nie ze mnie, tylko z tego głupiego pomysłu zmienienia własnej osobowości

Z.K. – W Niemczech ponoć jest dużo mieszkańców narodowości tureckiej..

– Trafiłeś na wspaniałych ludzi

– pewnie Twoja empatia czy atrakcyjność fizyczna (nie pomnę i nie wiem jak wyglądasz) miała wpływ na kontakty z ludźmi

H.G. – Urodzenie w Niemczech nie jest równoznaczne z narodowością

– W naszym otoczeniu nie podkreśla się pochodzenia.

– Ja jestem politycznie bardzo aktywny, a więc jestem znany jako lekarz albo polityk ale nie jako Polak.

– Turków jest u nas bardzo mało.

Z.K. – Biedny Krzyś Szereszewski (nasz kolega z roku, lekarz, poeta, fotografik, który popełnił samobójstwo) nawet wśród Polaków nie znalazł ani przyjaźni ani miłości....

– To super że tak masz

– Miło się czyta

H.G. – Moja matka mówiła – Jak ty będziesz dla ludzi otwarty, to będą ludzie dla ciebie też otwarci.

Z.K. – Pięknie. Właśnie o tym pomyślałam

H.G. – Dziękuję.

Z.K. – Ale bywa że trafia się w próżnię z tą otwartością:)

H.G. – A teraz dajcie mi pracować.

Z.K. – Zanim jednak „wypuściłam” Hirka sprzed monitora do jego gabinetu, gdzie zapewne już czekali pacjenci, musiałam jednak zadać jeszcze jedno pytanie – bom kobieta – matka – a poza tym bardzo interesują mnie korzenie – bo przecież nie wzięliśmy się z pustki –

– Ciekawe powiedziałaś o swojej Mamie ...

Napisz kiedyś o Niej...

– Już pozwalałam pracować - zażartowałam niezbyt zręcznie

– Wybacz.

Ta niezwykle ciekawa i wielowątkowa a nawet trochę intymna rozmowa, która nie zdarza się często – spontaniczna i piękna -wobec takiego dictum jak praca – nie miała szansy na kontynuację. – rozeszliśmy się do swoich zajęć i zapanowało pomiędzy nami milczenie.....

Ponieważ niestety już jestem nieco uzależniona od zaglądania do smartfona – choć czy w tym wieku jakiegokolwiek uzależnienia są groźne ?

– po kilku godzinach nagle „zobaczyłam” Hirka, który właśnie wpisywał chyba wcześniej przygotowany tekst – kontynuację przerwanej rozmowy i swoją odpowiedź. Zachwycające, jak pomimo pracy – i długiej przerwy w rozmowie – nasza trochę urwana myśl – przetrwała i nagle pięknie dojrzała wpadła do naszej messengerowej Grupy

Na marginesie muszę wyznać, że te niespodziewane, nieomal „wiosennoburzowe” pojawianie się ze swoimi przemyśleniami – zarówno Hirka ale też Leszka – jest dla mnie radością. A Ich poglądy na ludzi, życie tak bardzo budujące – nic tylko czerpać z Nich siłę i mądrość

Ale koniec dygresji.

Bo Hirek tak spuentował nasz przerwany wątek o otwartości:

H.G. – Otwartość i próżność – nie ma 100 procentowego szczęścia. Jest tylko szczęście.

I tak też jest z otwartymi ramionami. Nieraz nie ma nikogo, ale wyjątkowo – nieraz jest ktoś nieodpowiedni, ale bardzo wyjątkowo – ale suma summarum przewaga jest bardzo pozytywna.

Dlatego pozostają moje ramiona otwarte.

Wyjątki nie wpływają na moja nastawienie.

Znacie te powiedzenie – butelka w połowie pusta i butelka w połowie pełna? O tym przy innej okazji.....

Z.K. Dziękuję Hirku za tę i wiele innych rozmów których część zamieściłam w chmurze...

Jan Głębocki

Jak mogłem zabić mjr Buszewskiego dowódcę naszej kompanii i spotkanie z Dziekanem w marcu 1968 roku. Wszyscy, którzy byli na obozie w Kłodzku, doskonale to wiedzą, ale posłuchajcie jak do tego doszło. Jechaliśmy na obóz wojskowy nocnym pociągami. Nie wiem czy był chociaż jeden z nas bez butelki wódki. W każdym razie picie było powszechne. Pijani zameldowaliśmy się o świcie w

naszej jednostce wojskowej. Na bramie zobaczyliśmy napis „WITAMY WAS”. Od wewnątrz zamienił się na „W DUPIE MAMY WAS”. Od razu rozdano nam szmaty, kubły i szczotki i rozkazano sprzątać rejon. Do tej samej jednostki wojskowej przyjechali studenci medycyny z Wrocławia i Katowic. Tym razem dowódcą całości był kierownik Studium Wojskowego z Wrocławia, późniejszy niesławnej pamięci minister zdrowia i opieki społecznej płk B. Nota bene nim został lekarzem pracował w naszym Studium Wojskowym jako jeden z oficerów. Jaki był dawniej, nie wiem. Jednak obecnie forował tylko tych z Wrocławia. Oni dostawali przepustki, a my często wychodziliśmy na miasto nielegalnie, przez płot. Pijani koledzy z Wrocławia w razie wylegitymowania przez patrol i odwiezieni do jednostki, nie trafiali do aresztu natomiast my lub katowiczanie, zawsze w nim lądowaliśmy.

Nie wiem jak to się stało, że dowódca wyznaczył mnie na swego tzw. pomocnika, prawdopodobnie zawdzięczam to pisarzowi kompani Frankowi R. On bowiem był w najlepszej komitywie z dowódcą i mógł mnie polecić. W każdym razie nie ubiegałem się o tę funkcję. Do moich obowiązków należało robienie zbiorów, meldowanie dowódcy stanu osobowego kompanii i maszerowanie na jej czele do wyznaczonych celów, podczas gdy oficer szedł sobie chodnikiem.

Pewnego dnia wydano nam broń krótką i amunicję i pomaszerowaliśmy na strzelnicę. Byliśmy obcy z pistoletem automatycznym trzydziestostrzałowym tzw. Kałasznikowem, ale z pistoletów ośmiostrzałowych typu PW, nigdy jak dotąd nie strzelaliśmy. Dodatkowym utrudnieniem była pozycja strzelecka „stojąc”, a nie leżąc. W wojsku nie strzela się jak na filmach, trzymając pistolet oburącz lecz stojąc bokiem do celu należy trzymać pistolet w jednej wyprostowanej ręce. Dla stabilizacji można próbować trzymać palcami naciągnięty rękaw munduru, ale na to nam nasz dowódca nie pozwolił. Dowódca po zameldowaniu mu przeze mnie gotowości do strzelania powiedział „a teraz pomocnik pokaże nam jak się strzela z broni krótkiej”. Był to jak każdego z nas mój pierwszy kontakt z pistoletem PW. Zająłem pozycję strzelecką stojąc, wycelowałem i oddałem trzy strzały do ukazującej się na przeciąg pięciu sekund sylwetki żołnierza, jak wtedy mówiono zbira z NATO. Stałem z opuszczonym lufą do dołu pistoletem, w którego magazynku znajdowało się jeszcze pięć nabojów, a dowódca poszedł sprawdzić trafienia. Ku mojemu zdumieniu powiedział „no ładnie pomocnik, macie dziesiątkę i dwie dziewiątki”. Moje zdumienie nie miało granic jednak z miną doświadczonego żołnierza odrzekłem „a co obywatel major myślał, że ja nie umiem strzelać”. Rozpierająca mnie duma sprawiła, że odruchowo uniosłem broń i wystrzeliłem. Pan major wykonał kilka piruetów jakby chciał się uchylić przed kulą, której prędkość wielokrotnie przekraczała prędkość dźwięku i nie mógł wydobyć głosu. Jednak gdy przyszedł do siebie zrugął mnie takim stekiem wyzwisk, że nie będę ich cytował, po czym kazał mi stanąć na końcu szyku i wyznaczył nowego pomocnika. Po odbytym strzelaniu, już ten nowy pomocnik przejął mą funkcję. Muszę przyznać że pan major mimo że nie zdążył być na wojnie, nie oddał bezwiednie moczu ani się nie zdefekował. I chwala mu za to! Wieczorem po capstrzyku kazałem się wraz z pisarzem zamknąć w magazynie broni i zaplombować drzwi. Wartownicy i oficer inspekcyjny co godzinę sprawdzali czy plomby są nie naruszone jednak do pomieszczeń nie wchodzili. Ponieważ nie zostałem osadzony w areszcie, doszliśmy do wniosku, że sprawa zostanie zatuszowana i nie stanę przed sądem wojskowym pod zarzutem zamachu z bronią w ręku na oficera Wojska Polskiego. To było najważniejsze, ale trzeba się było zastanowić jak ułożyć sobie stosunki z dowódcą. Franek R. znający najlepiej psychikę dowódcy, bo jako pisarz kompanijny miał z nim częste kontakty pod koniec opróżniania pół litra, doradził mi by z butelką wódki zameldować się u pana majora i powiedzieć tak: panie majorze, gdybym trafił nie byłoby człowieka, na szczęście nie trafiłem, proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny wraz z tą butelką wódki. Dokładnie tak postąpiłem i pan major mi wybaczył. Ktoś jednak musiał się wygadać, bo następnego dnia podczas zajęć płk Z. bardzo zadowolony pytał mnie, czy chciałem majora Buszewskiego zastrzelić. Oczywiście zaprzeczyłem, co było prawdą bo przecież nie planowałem zamachu na jego życie. Po prostu żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi.

Pułkownik Z. był prostakiem i podczas wykładu ze szkolenia ogniowego mówił np. „proch składa się z: wilgoć czyli HC_2O itd. Dlatego historia kolegi, który mógł zginąć, bardzo go ubawiła. Byli oczywiście różni oficerowie także bardzo na poziomie, jeden z nich skończył cywilne studia i obecnie jest cenionym profesorem belwederskim.

Jeśli chodzi o spotkanie z dziekanem Jasińskim po wykładzie z anatomii patologicznej w roku 1968, to pamiętam je doskonale. Pan Dziekan został podczas swej przemowy przyjęty przez większość z nas syczeniem i gwizdami i nie potrafił się opanować, zacisnął pięści i zaczął nam wygrażać. Powiedział między innymi „macie szczęście, że nie macie ćwiczeń w mojej klinice, bo ja bym was” i groził nam zaciśniętą pięścią, pewno został odznaczony.

Jerzy Tadeusz Marcinkowski

Rodzice. Pamiętniki lekarzy ukazywały się w piśmiennictwie polskim parokrotnie już począwszy od okresu międzywojennego. W 1967 roku wydawnictwo „Czytelnik” wydało „Pamiętniki lekarzy”, na które składały się prace autorów złożone na ogłoszony wcześniej konkurs, i które to prace po wspomnianym postępowaniu konkursowym zostały zakwalifikowane do druku. Były to głównie wspomnienia pokolenia lekarzy, które studiowało bądź już pracowało w okresie II wojny światowej. Był to bardzo trudny okres dla studentów medycyny bądź już lekarzy i piszę o tym dlatego, że wśród prac, które wygrały wspomniany konkurs, były między innymi pamiętniki mojego ojca, którego zapewne koleżanki i koledzy z mego roku studiów na Wydziale Lekarskim pamiętają, albowiem prowadził on wykłady z medycyny sądowej. W późniejszych latach, już po zakończeniu naszych studiów w 1971 roku, mój ojciec – Tadeusz Marcinkowski (ur. 16.10.1917 r. w Wilnie – zm. 08.11.2011 r. w Szczecinie) wygrał konkurs na Kierownika Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej ówczesnej Akademii Medycznej w Szczecinie, obecnie Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. I ponownie mieszkając i pracując tamże powrócił do myśli napisania pamiętników lekarskich, które następnie własnym sumptem wydał pt.: „Moja droga ku medycynie – dość wyboista”. Pokolenie moich rodziców miało bogate życiorysy, co związane było z tym, że przeżywali bardzo trudny okres II wojny światowej. W tym miejscu muszę się pochwalić, że mój ojciec miał niezwykle barwny i heroiczny życiorys, albowiem, gdy 1 września 1939 r. wybuchła II wojna światowa, zgłosił się na ochotnika do wojska i brał udział w bitwie nad Bzurą, gdzie był ranny w nogę 17 września 1939 r. Okoliczności zranienia były takie, że gdy opatrywał rannego żołnierza polskiego w jakiejś stodole – ojciec do wybuchu II wojny światowej ukończył 2 lata studiów na Wydziale Lekarskim ówczesnego Uniwersytetu Poznańskiego – doszło do wybuchu jakiegoś pocisku, chyba szrapnela i został ranny. Ponieważ odniesione obrażenia dyskwalifikowały ojca od dalszego udziału w działaniach wojennych, został on przetransportowany razem z innymi rannymi żołnierzami transportem wojskowym – były to wozy drabiniaste ciągnięte przez konie. Trafił do nie istniejącego już obecnie Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. Tutaj warto przypomnieć, że tenże szpital zlokalizowany jest w okolicy Parku Łazienkowskiego w Warszawie – jest tam nawet tablica upamiętniająca istnienie tegoż szpitala. Budynek z czerwonej cegły, w którym mój ojciec leżał, istnieje do dzisiaj i mieści się w nim filia Głównej Biblioteki Lekarskiej. Ojciec we wrześniu 1939 r. był parokrotnie operowany, ale nie udało się usunąć mu z nogi wszystkich metalowych odłamków po pocisku i 2 z nich pozostały w jego ciele aż do końca życia. Chciano mu wówczas dokonać amputacji kończyny dolnej z uwagi na zakażenie, do którego doszło, czemu ojciec się jednak stanowczo sprzeciwiał. Jak wspominał, przez dłuższy okres czasu był na granicy życia i śmierci, ale ostatecznie przeżył. Od czasów, kiedy ojciec został ranny w nogę, istniała u niego trwała wielka miłość do jodyny, której – w jego ocenie – zawdzięczał życie. Jak opowiadał bezpośredni po zranieniu prosił podoficera sanitarnego, aby wylał na jego ranną stopę całą butelkę jodyny – co tenże uczynił. Później wielokrotnie kurował się jedynie

jodyną. Z upływem czasu stan zdrowia mego ojca poprawiał się i pojawiła się przed nim możliwość kontynuowania studiów lekarskich na Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich. Tamże mój ojciec poznał studentkę medycyny, Marię Aleksandrę Rzewuską (ur. 24.02.1918 r. w Petersburgu – zm. 05.05.1975 r. w Poznaniu). To była później żona mego ojca i moja matka. Ich wielka miłość zakończyła się ślubem, do którego doszło 10 kwietnia 1944 r., jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Tu następuje ciekawy moment, a mianowicie, że ich ślub miał miejsce w kościele, w którym później po wielu latach działał i pracował św. ks. Jerzy Popiełuszko [Kościół pw. Św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu]. Rodzice brali udział w Powstaniu Warszawskim ale też z tamtego okresu pochodzi najgorsze wspomnienie mojej matki, które często za swego życia przypominała. Chodzi o kradzież, do której doszło w 1944 r. – włamanie do mieszkania. Miał później o tą kradzież wielki żal do mego ojca jego teść, Aleksander Rzewuski. Teść mianowicie zabronił pozostawiania otwartych okien w nocy. Mój ojciec jednak uchylił maleńkie okienko, tzw. lufcik i poprzez to małe okienko włożył łapę jakiś zbir, otworzył całe okno i banda złodziei opanowała mieszkanie, kradnąc z niego wszystko, co tylko się dało. Ten najtragiczniejszy moment dla mojej matki, to lufa pistoletu przykładana do jej głowy tak blisko, że widziała nagwintowanie tejże lufy. Bardzo bolesnym jest fakt, że ci, którzy okradli teściów mego ojca i rodziców, to byli Polacy płynnie mówiący po polsku. Stąd jakże bolesny wniosek, że poza licznymi bohaterami z 1944 r. również grasowali polskie rzezimieszki.....Moi rodzice po II wojnie światowej kontynuowali studia lekarskie na Wydziale Lekarskim ówczesnego Uniwersytetu Poznańskiego, które razem ukończyli. Ich nazwiska widnieją na pierwszej liście absolwentów powojennych Uniwersytetu Poznańskiego. Te wszystkie okoliczności mój ojciec szczegółowo opisał w swoich pamiętnikach, a lekarzom wojskowym, którzy go wówczas operowali i leczyli w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie poświęcił kilka książek, które wydał własnym kosztem. Tak okazywał swoją wielką wdzięczność pacjentom do swoich lekarzy. O moim ojcu pragnę jeszcze dodać opowieść o tym, jak pod koniec życia leżał w szpitalu w Szczecinie i został odwiedzony przez rodzinę, w tym moich synów Macieja i Michała. I moi synowie zadawali dziadkowi pytania w rodzaju: dziadku, jakie są twoje największe przeżycia, itp.? I można byłoby się spodziewać, że ich dziadek – profesor zwyczajny – będzie mówił o swoich największych dokonaniach zawodowych i naukowych. Jakiż było ich zaskoczenie, gdy zaczął opowiadać o roku 1945, kiedy to pracował w miejscowości Pakość na Kujawach jako lekarz w ówczesnych warunkach „od wszystkiego”. W tym opowiadaniu najwięcej uwagi poświęcił odbieraniu porodów. Nie był wzywany do zwykłych porodów, takich fizjologicznych, tylko do bardzo ciężkich przypadków położniczych, gdzie od jego umiejętności zależało, czy ta i tak już mocno wykrwawiona kobieta przeżyje czy też nie. Opowiadał, że nabył wielkiej wprawy położniczej w tamtym okresie i koncentrował się na tym, z jakiego sprzętu korzysta. Dużo miejsca w tym opowiadaniu było o konstrukcji latarki własnego pomysłu, którą montował sobie do głowy, żeby cokolwiek dostrzec podczas udzielania pomocy w przypadku porodów w porze nocnej. Nie było wtedy jeszcze światła w mieszkaniach, których tej pomocy udzielał, zwłaszcza na wsi. I tą opowieść dziadek moich Synów, zakończył słowami podkreślającymi, że wtedy najbardziej czuł, iż to tylko od niego zależało, czy pacjentka i noworodek przeżyją czy umrą. Przecież w tamtym okresie nie było jeszcze możliwości wezwania kogokolwiek innego na konsultację, do pomocy czy odesłanie do szpitala... **Moje studia.** W 1965 roku zdawaliśmy egzamin wstępny na studia lekarskie. Ten okres kojarzy mi się bardzo mocno z moim ogrodem – z domem rodzinnym przy ul. Dziewińskiej 25 w Poznaniu, w którym to ogrodzie godzinami przesiadywałem przygotowując się do tych egzaminów wstępnych. Najbardziej to się przygotowywałem z biologii – z dużego i obszernego podręcznika „Biologia” Claude E. Villego. [„Claude Alvin Villego Jr. (ur. 1917 - 2003) – amerykański biolog i profesor Uniwersytetu Harvarda. w roku 1941 jako adiunkt na University of North Carolina. Wtedy to rozpoczął pracę nad własnym podręcznikiem do biologii, w Polsce znanym jako "Biologia Villego", do dziś uznawanym za jedną z najlepszych książek z dziedziny nauk przyrodniczych”.https://pl.wikipedia.org/wiki/Claude_Alvin_Villego_Jr.]

W moim odczuciu byłem bardzo mocno obkuty z tego przedmiotu jak również z fizyki i chemii. Inni z moich domowników i moich rówieśników robili co innego a ja tylko się uczyłem – do tego stopnia byłem przejęty egzaminami wstępnymi. Pamiętam, że egzaminy wstępne miały formę pisemną i były do wyboru 3 czy 4 tematy z biologii. Wg mojej pamięci 1 z tematów, który wybrałem, dotyczył opisania najważniejszych narządów wewnętrznych człowieka. I tutaj miałem olbrzymie pole do popisu i ostro walczyłem z czasem, żeby wszystko czego się wyuczyłem przelać na papier. Zastanawiam się, ile godzin trwał egzamin z biologii, wydaje mi się, że długo – 4 czy 5 godzin. Patrzyłem coraz bardziej niespokojnie na zegarek i coraz wyraźniej brakowało mi czasu, bo zdążyłem tylko opisać układ krążenia, układ oddechowy i w kolejności zabrałem się za układ moczowy szczegółowo opisując nerki – a to wszystko pisałem tak, jak pamiętałem ze wspomnianej książki Villego. W międzyczasie zauważałem, że coraz więcej osób wychodzi z sali egzaminacyjnej – była to duża sala wykładowa szpitala przy ul. Polnej, no i w którymś momencie pozostałem sam jako ostatni zdający i prowadzący egzamin wg mojej pamięci był to doc. Zygmunt Kornacki – późniejszy profesor i kierownik Kliniki Położnictwa i Chorób Kobiety w Szczecinie. Docent Kornacki w ostrych dość słowach zwrócił się do mnie, żebym natychmiast swoją pracę oddał, bo inaczej to on już ode mnie jej nie odbierze, więc oddałem – w moim odczuciu niegotową, bo miałem jeszcze mnóstwo tematów do ukończenia. Potem było mi niezmiernie miło dowiedzieć się, że moja praca egzaminacyjna otrzymała bardzo wysoką ocenę, w szczególności za opis anatomiczny i funkcji nerki – ówczesna kierownik oddziału stomatologii w dziekanacie pani Drązkowska poinformowała o tym moja starszą siostrę, również studentkę medycyny (pani Drązkowska była teściową mojej siostry). Słyszała ona, że ponoć ci, co sprawdzali egzaminy wstępne, podziwiali mój egzamin wstępny z biologii. I tak to było, że ja oceniłem swoją pracę jako niedokończoną a uzyskałem z niej ocenę bardzo dobrą....Pamiętam, że jak egzaminy się rozpoczynały, to przed wejściem na salę egzaminacyjną był tłum kandydatów, z których nikogo nie znałem i nikogo nie zapamiętałem, a to dlatego, że miałem w głowie przede wszystkim jak najlepiej te egzaminy zdać. Wzbudził wówczas mój zachwyt wystrój sali egzaminacyjnej – dużej z ładnymi ławkami z jasnego drewna. Wówczas egzaminy wstępne kończyły się jeszcze rozmową kandydatów z komisją egzaminacyjną. Celem tej rozmowy było przyjrzenie się kandydatowi pod tym kątem, czy się on na studia medyczne kwalifikuje. Przypominam sobie, że miałem spotkanie z tą komisją egzaminacyjną na 2 piętrze Collegium Maius przy ul. Fredry 10, gdzie mieścił się Zakład Fizyki Lekarskiej. Niestety nie przypominam sobie już członków komisji ani zadawanych mi pytań.

Po latach tę formę egzaminowania zarzucono z uwagi na fakt, że stawiane przez tą komisję oceny mogły być subiektywne a więc niesprawiedliwe. Mogły być takie dlatego, że o przyjęcie na studia lekarskie ubiegało się bardzo dużo dzieci lekarzy i to nierzadko pracowników naszego Uniwersytetu. Od czasu, gdy zarzucono te rozmowy wstępne z kandydatami na studia lekarskie to pozostały już tylko same oceny z egzaminów. Z czasem wprowadzono egzaminy testowe i ta sytuacja utrzymywała się przez długi czas. Wtedy znowuź podniosły się głosy, że taka ocena jest również nie najlepsza, bo ktoś może się dostać na studia lekarskie a się na nie w ogóle nie nadawać – mam na myśli głównie cechy osobowości kandydatów na studia lekarskie. (*np. na weterynarię, nie wiem jak teraz, ale przed laty były testy psychologiczne- czy kandydat lubi zwierzęta. O to, czy przyszły lekarz lubi ludzi nikt nie pytał i chyba nie pyta -przyp. Z.K.*) Od paru lat o przyjęciu na studia decydują wyłącznie wyniki z egzaminów maturalnych – czyli nadal nie funkcjonuje ocena kandydatów z rozmowy z nim. Wydaje mi się jednak, że taka rozmowa z kandydatem na studia prowadzona przez nauczycieli akademickich z dużym doświadczeniem była bardzo dobra. Oczywiście jest to temat na dłuższą dyskusję.

W późniejszym okresie – już jako nauczyciel akademicki – przez wiele lat byłem członkiem Komisji Egzaminacyjnej, która zajmowała się kandydatami na studia lekarskie. Jak wymyślono egzaminy testowe, to oczywiście starano się maksymalnie zabezpieczyć książeczki z pytaniami na te egzaminy testowe. Szereg osób było zatrudnionych w tym obszarze. Wielokrotnie jeździłem wraz z innymi

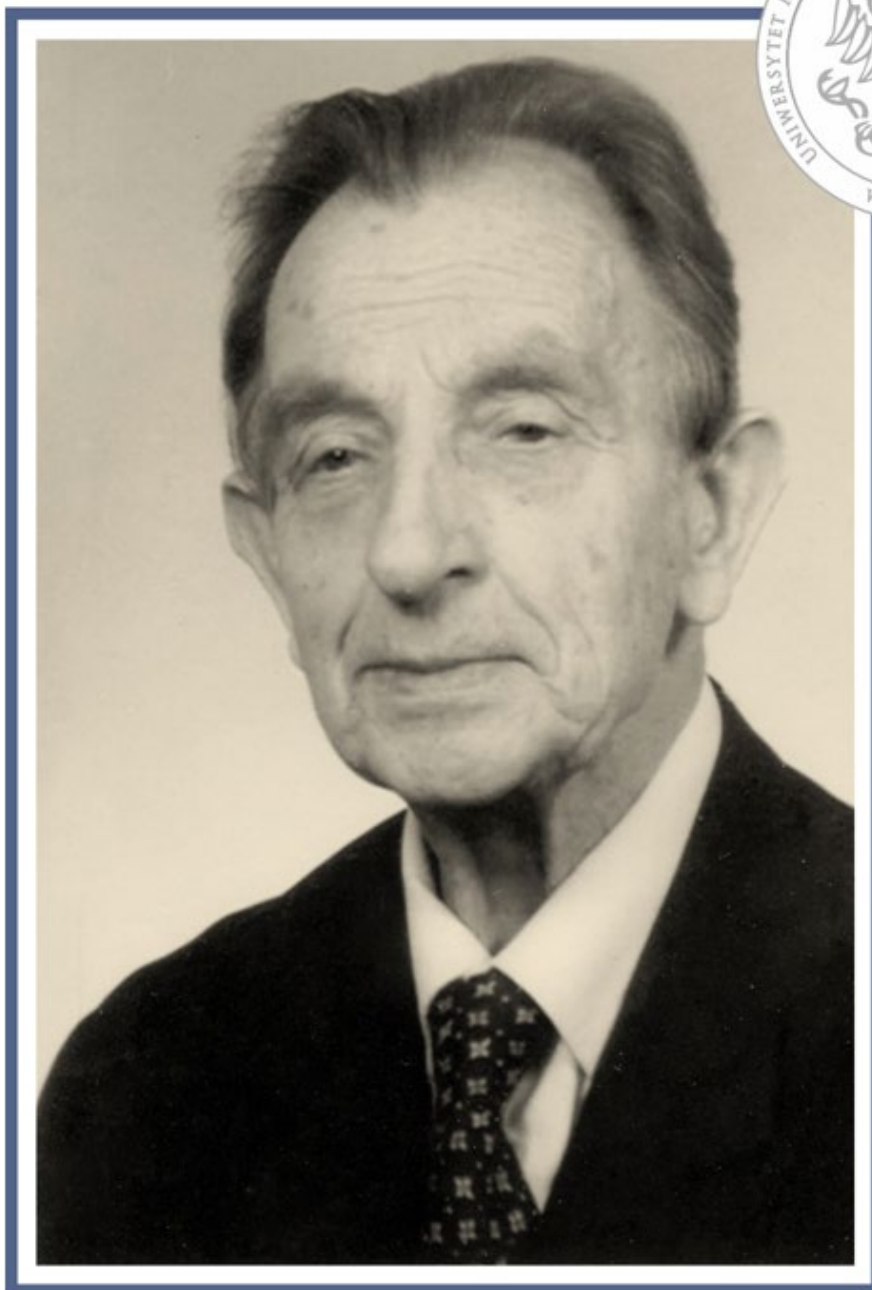
członkami komisji po odbiór książeczek testowych na egzaminy a następnie odwożąc karty, na których kandydaci na studia zakreślali odpowiedzi na pytania testowe. To wszystko było robione tak, aby nikt niepowołany nie zdobył książeczek z pytaniami przed egzaminami a później aby karty z wynikami odpowiedzi odpowiednio zabezpieczyć. Pamiętam te mocno zalakowane przesyłki w szczególności, jak odbywało się pakowanie publiczne kart egzaminacyjnych z odpowiedziami kandydatów, jak to pakowano, oblepiano różnymi taśmami, a na końcu sznurowano i sznurki były lakowane a na tym laku stawiana była pieczęć uczelni. Jak już wspomniałem jeździłem w tych konwojach do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, do Warszawy (wydaje mi się, że do Wojskowej Akademii Technicznej, która się tym obliczaniem wyników egzaminów zajmowała), do Krakowa. Jeden z tych wyjazdów pamiętam z tego powodu, że samochód służbowy, którym jechaliśmy – niebiesko-szara Nysa osobowa, mocno już wysłużony zepsuł się nam w szczerym polu i jak sprowadziliśmy z najbliższego miasteczka taksówkę osobową, do której przepakowaliśmy to, co najważniejsze, czyli paczki z odpowiedziami z egzaminów wstępnych i następnie jechaliśmy (niestety nie pamiętam już, czy to była Łódź czy Kraków). I w tej podróży taksówką był moment komiczny, bo wjeżdżając już do docelowego miasta w taksówce urwała się rura wydechowa, bo był to samochód bardzo wysłużony – i komentowaliśmy to żartobliwie w ten sposób, że to był kurs życia dla tego taksówkarza, co nas wiozł, który za otrzymane wynagrodzenie za kurs kupi sobie lepszy samochód. To były oczywiście czasy, kiedy jeszcze nie istniała telefonia komórkowa i Internet do powszechnego użytku, bo teraz to oczywiście nadal trzeba pilnować zdających egzaminy ale to już głównie pod takim kątem, aby nie otrzymywali oni pomocy drogą telefonów komórkowych bądź innego sprzętu elektronicznego. **Mistrzowie wykładów.** Pamiętam wykłady z pediatrii prowadzone przez prof. Olecha Szczepkiego, który polecał aby w trakcie wykładów przywożono z oddziału dzieci. Profesor omawiał te przypadki z nami, wspominał o wielu ważnych kwestiach klinicznych, w tym o zlecaniu leków. Pamiętam dobrze słowa profesora, który mówił do nas: „Ja więcej leków w życiu odstawiłem aniżeli zleciłem”. Po latach muszę stwierdzić, że to były mistrzowskie wykłady doskonałego klinicysty, które – niestety – nie były przez nas należycie doceniane, a przynajmniej przez większość z nas, bo nie cieszyły się zbyt dużą frekwencją i podczas wykładów prowadziliśmy rozmowy między sobą a nie z wykładowcą. Wykład prof. Edmunda Chróścielewskiego z medycyny sądowej utknął mi szczególnie w pamięci dlatego, że frekwencja na nim była tak liczna, że sala wykładowa dosłownie „pękała w szwach”. A chodziło o to, że był to właściwie wykład z seksuologii okraszany bardzo pikantnymi zdjęciami, które dla profesora przygotowywał mgr Józef Strzyż. Podśmiewaliśmy się z tego, że w naszej opinii najbardziej świątobliwe koleżanki najbardziej się pchały aby zająć miejsca w pierwszych rzędach. Mój ojciec, który wówczas był docentem w tymże Zakładzie Medycyny Sądowej, bardzo się tym denerwował mówiąc, że „dla Edka prawie cała medycyna sądowa do seksuologia”. Nie przypominam sobie, aby mój ojciec na wykładzie cokolwiek z obszaru seksuologii powiedział. Niezwykle ciekawe były wykłady z histologii prowadzone przez prof. Kazimierza Miętkiewskiego, który zachwycał się poszczególnymi obrazami pokazywanymi na przezroczach, powtarzając – to były jego częste słowa – „to jest bardzo instruktywna rycina”. Profesor to słowo „instruktywna” wyraźnie lubił. Najgorsze było to, że później na ćwiczeniach trudno nam było dostrzec pod mikroskopem to wszystko, co pokazywano nam na rycinach. Mieliśmy za zadanie rysować to w zeszytach, co było jeszcze trudniejsze. Wykład z neurochirurgii prowadzony przez prof. Hieronima Powiertowskiego [1915-1983] wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Szczególnie to, iż profesor zademonstrował na przezroczach, że osoby, które mają zmasakrowaną twarzoczaszkę częściej jednak przeżywają niż osoby u których w obrębie głowy wyraźnie nie widać śladów obrażeń. Tutaj mieliśmy pokazane zdjęcie głowy takiego pacjenta i obraz sekcyjny, kiedy to okazywało się, że miał miejsce rozległy śmiertelny uraz czaszkowo-mózgowy.

Internat z położnictwa doskonale pamiętam, bo było to za czasów prof. Witolda Michałkiewicza, który wówczas wszystko trzymał mocno w garści a z ginekologii i położnictwa tworzył wręcz najważniejszy przedmiot na studiach. Internat ten przede wszystkim kojarzy mi się z niedospaniem i zmęczeniem - bo nieźle nam dawano do wiwatu! Odnosnie porodów, to przede wszystkim dostrzegało się pracę położnych, które lwią część pracy z rodzącą odwalały, a lekarz zjawiał się łaskawie dopiero w ostatnim stadium porodu, brał w ręce nożyczki i nacinał krocze - teraz już nie pamiętam czy po prawej czy po lewej, ale zawsze z tej samej strony; chyba jednak po lewej. Tutaj było wiele rozważań i tłumaczeń ile naciąć i że lepiej więcej niż mniej. I demonstrowano nam - chyba nieopatrznie - to, zapomniałem jak się ten zabieg nazywał, że lekarz całym ciałem napierał na brzuch rodzącej. Nie pamiętam dokładnie jak to się stało, ale ja byłem też na położnictwie w Ostrowie Wielkopolskim, co wspominam nader miło, bo tam więcej pozwalano nam robić. Wprawdzie krocza nie pozwalano nacinać, ale pozwalano zeszywać. Ale to było przeżycie jak zeszyłem w paru przypadkach krocze! Najtrudniej oczywiście było założyć głęboko pierwszy szew. Następne łatwiej. No i skórę krocza trzeba było ładnie zeszyć - tak od strony kosmetycznej. Bardzo polubiłem położne, bo mi na wiele pozwalały przy porodach i "urodziłem" piękną dziewczynkę, która miała mieć na imię Dorotka. Wspaniałe uczucie, że mi tak dobrze poszło! I dobrze pamiętam wzrok pewnej rolniczki, która już miała 4 córki w domu i była w ciąży bliźniaczej, a przecież wtedy jeszcze nie badano ciężarnych z użyciem USG, więc płeć do końca porodu nie była znana. No i urodziła bliźniaki - córeczki, czyli miała już 6 córek. No ten wzrok rodzącej tyle mówił. Może bała się co stary w domu powie?

Zastrzyki - o kurcze - skończyłem studia i żadnego nie wykonałem. Dopiero na stażu z interny w Szpitalu im. Franciszka Raszei w Poznaniu. Tam byłem bardzo zaskoczony tym, że ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych był prof. Eligiusz Preisler - przemiły człowiek, którego jednak nie kojarzyłem z interną ale z medycyną sportową i fizjologią. I tutaj uwaga ogólna: wielu naszych nauczycieli z zakładów teoretycznych działało także jako klinicyści. Nie tylko prof. Preisler. Otóż - jak słyszałem - bardzo dobrym internistą był histolog prof. Kazimierz Miętkiewski. Był bardzo dobrym diagnostą, bo był niezwykle cierpliwy w zbieraniu wywiadu chorobowego i w badaniu przedmiotowym. Jak coś go głębiej zastanawiało, to szedł do drugiego pokoju i szukał w książkach. Dzisiaj ułatwia to Internet. Ja zawsze przyjmuję pacjentów mając włączony Internet i czuję, jak wielka to pomoc w porównaniu z okresem, kiedy my zaczynaliśmy pracę lekarską. Przecież pacjent nie widzi co ja tam mam w Internecie, i jak np. zapomnę nazwy leków, to sobie to łatwo znajdę, leczenie też. A kiedyś wypadało tylko spojrzeć ukradkiem do lekospisu, ooo!

Napieranie na brzuch rodzącej to wyciskanie. Szew kosmetyczny krocza to nazywa się "szew dla męża"

Czego nas nie nauczono na studiach? Bezpośrednio po studiach podjąłem pracę w dniu 19.07.1971 r. w szpitalu im. Franciszka Raszei w Poznaniu, gdzie zostałem przyjęty na odbycie rocznego stażu podyplomowego, który obejmował choroby wewnętrzne, ginekologię i położnictwo, chirurgię i pediatrię. Staż rozpocząłem od oddziału wewnętrznego, gdzie ordynatorem był wówczas prof. Eligiusz Preisler [1908-2008];



Eligiusz Preisler jako podchorąży uczestniczył w wojnie obronnej 1939 roku. W okresie okupacji pracował początkowo w Zakładzie Ginekologiczno-Położniczym im. Księżnej Anny Mazowieckiej w Warszawie, następnie w Sanatorium Przeciwgruźliczym w Otwocku oraz jako lekarz w Osiecku. Był żołnierzem Armii Krajowej, szefem służby zdrowia. Po zakończeniu wojny powrócił do Poznania] – znany nam uprzednio ze studiów z tego, że zajmował się również nauczaniem fizjologii a także był bardzo zaangażowany w medycynę sportową.

Mankamentem pracy początkującego lekarza było to, że nie miał przygotowania w obszarze prawidłowego kształtowania relacji pacjent – lekarz. Praktycznie nikt nam o tym na studiach nie mówił i jak rozpoczynaliśmy pracę jako lekarze, to w zasadzie domyślaliśmy się, jak z pacjentem należy postępować. Tu oczywiście ważną rolę odgrywały takie fakty, jak to, czy ktoś pochodził z

rodziny lekarskiej – w moim przypadku oboje rodziców było lekarzami medycyny – oraz cechy osobowościowe i wyniesiona z domu kultura. W tym to okresie doskwierało mi bardzo to, że w czasie studiów nie miałem praktycznej nauki wykonywania iniekcji dożylnych i dopiero na stażu zacząłem się tego uczyć. Na szczęście były bardzo wyrozumiałe pielęgniarki na oddziale, które mi w tym pomagały. Jako młody lekarz byłem zatrudniany głównie przy pisaniu historii chorób, w tym wpisywania w nich obserwacji lekarskich oraz wklejania w odpowiednich miejscach wyników badań dodatkowych. Jak sobie przypominam, nie korzystaliśmy wówczas z maszyn do pisania i wszystko wpisywane było ręcznie. Obowiązkiem młodego lekarza było noszenie historii chorób za ordynatorem oddziału podczas przeprowadzanych wizyt lekarskich. Oczywiście pozytywne było to, kiedy ten młody lekarz potrafił bardzo szybko znaleźć w historii choroby i pokazać ordynatorowi te wyniki badań, o które właśnie zapytał.

Kolejnym oddziałem, na którym odbywałem staż był oddział ginekologiczno-położniczy, którego ordynatorem był dr Szłapka. Tutaj przekonałem się, jak ciężka jest praca na oddziale położniczym, kiedy to konieczne było asystowanie przy porodach także w nocy. Z tamtego okresu pamiętam sceny, kiedy to położne w sytuacji gdy rodząca przy rozwarciu szyjki macicy wynoszącym zaledwie 1 cm tak głośno krzyczała, że położne parę razy uderzyły ją po twarzy i, co w tamtym okresie uchodziło „na sucho”, a obecnie rzecz jasna byłoby ocenione zdecydowanie negatywnie. Bardzo dużo zmieniło się od tego okresu w tym obszarze na korzyść dla pacjentek. Wielkim wydarzeniem dla mnie było szycie krocza po porodzie, ale i samo rodzenie, do którego dopuszczały mnie położne. Pamiętam, że pierwszy poród, jaki odebrałem, to była dziewczynka, której nadano imię Dorota. Jeśli chodzi o samo szycie krocza, to wykonywałem to po uprzednim przyjrzeniu się, jak to czynią położnicy i starałem się wykonywać to tak samo pod nadzorem oczywiście starszego lekarza i wydaje mi się, że wychodziło mi to całkiem sprawnie. Staż z chirurgii odbyłem w oddziale chirurgicznym, którym kierował prof. Aleksy Krokowicz [1915-1998].

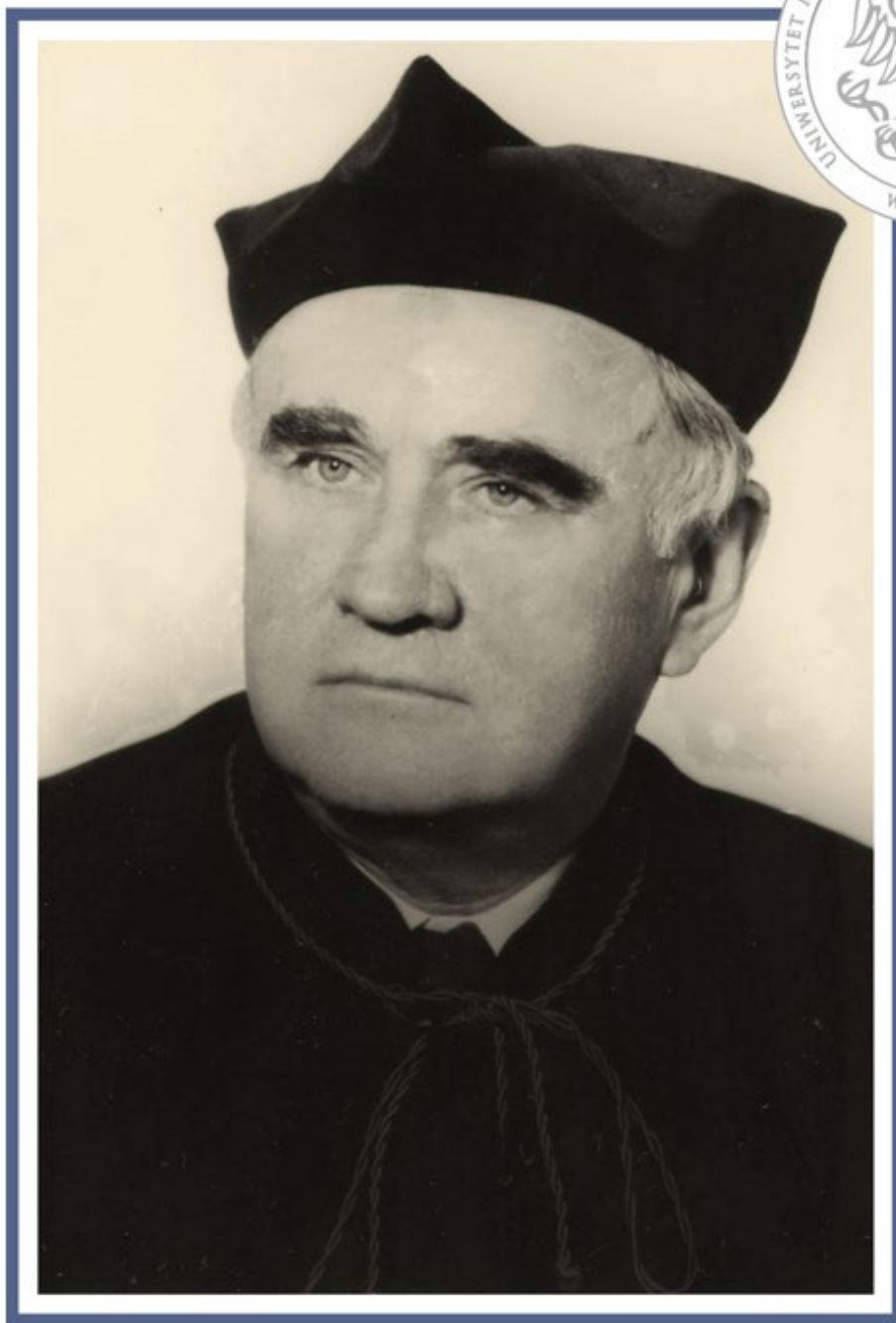


Aleksy Krokowicz

Byłem dumny z tego, że mogłem podczas zabiegów trzymać haki i przez to mieć bardzo dobry wgląd w pole operacyjne. Podziwiałem sprawność manualną chirurgów i w tym miejscu pragnę wstawić informację, którą zasłyszałem od naszego kolegi z roku, prof. Marka Tuszewskiego. Otóż pracował on w klinice, którą kierował wówczas prof. Roman Drews – niezwykle sprawny manualnie. Marek Tuszewski powiedział mi kiedyś tak: „Stary raz po raz kompletnie nas zaskakuje tym, że równocześnie wiąże węzeł prawa i lewą ręką, ale robi to tak szybko, że nie jesteśmy w stanie podpatrzeć jak to robi”. Tutaj pragnę dodać jeszcze o tym, jakie były stawiane wymagania młodym lekarzom, którzy w

okresie przedwojennym zgłaszali się do kierowników klinik poznańskich o zatrudnienie. Otóż w klinice chirurgii w szpitalu im. Przemienienia Pańskiego warunek stawiany młodemu lekarzowi chcącemu się specjalizować z chirurgii był taki, ażeby przez 9 lat pozostał on w stanie kawalerskim, dopiero później mógł się ożenić. Wspominał mi o tym nasz kolega z roku, Michał Ryglewicz, wskazując na okoliczności zatrudnienia jego ojca w klinice ginekologii i położnictwa. Otóż jego ojciec, późniejszy profesor, dlatego wybrał ginekologię i położnictwo, że ówczesny kierownik kliniki podał mu okres pozostawania w stanie kawalerskim krótszy – nie 9 lat a 8. Ci młodzi lekarze specjalizujący się w dziedzinach zabiegowych mieszkali – jak mnie informowano – na terenie szpitali i wykonywali czy też asystowali, przy bardzo dużej liczbie zabiegów, stąd dochodzili do niewiarygodnej wręcz zręczności manualnej. Warto o tym pomyśleć w kontekście współczesnych młodych lekarzy, którzy chyba również chcieliby wykonywać jak najwięcej zabiegów operacyjnych, ale nie są do ich wykonywania dopuszczani albo też dopuszczani są zbyt rzadko. Taki bardzo często operujący chirurg miał niejako obrzydzenie do prowadzenia dokumentacji lekarskiej i spychał ją zazwyczaj na młodszych lekarzy, w szczególności stażystów. Jeszcze jedną pragnę dodać uwagę o prof. Romanie Drewsie – byłem świadkiem tego, jak po wykonaniu najważniejszego fragmentu 1 operacji zmieniał fartuch i rękawiczki i przechodził do 2 sali operacyjnej, gdzie już wcześniej był prowadzony zabieg operacyjny i włączał się do tej operacji w najważniejszym jej momencie. Spostrzegałem w twarzach asystujących mu lekarzy, że z wielką atencją odnosili się do profesora i jego umiejętności. Staż z dziedziny pediatrii odbyłem w szpitalu im. Św. Józefa, który później przemianowano na szpital im. Kryśewicza. Pamiętam, że niełatwo było mi się nauczyć pracy z małymi pacjentami. **Czego wymaga student medycyny od prowadzących zajęcia?** To pytanie często sobie zadawałem od czasu, kiedy rozpocząłem pracę w Zakładzie Higieny Ogólnej, a miało to miejsce 01.11.1971 r. Musiałem w szybkim czasie przyswoić sobie wiedzę z poszczególnych seminariów i ćwiczeń, a było ich sporo, gdyż zajęcia z każdą grupą trwały przez okres 3 tygodni i był 1 asystent prowadzący. Później to zmieniono i poszczególni asystenci prowadzili tylko po kilka wybranych seminariów lub ćwiczeń. Ponieważ, jak już wyżej wspomniano, zajęcia z higieny trwały długo, to pamiętam, że przydzielono mi semina nt. hałasu i wibracji. Jeżeli asystent ma kilka godzin na to, aby omawiać ze studentami przykładowo tylko problematykę hałasu i jego wpływu na zdrowie, to oczywiście może mówić o szczegółach, przede wszystkim nawiązywać do zagadnień z obszarów stricte klinicznych, w tym np. głuchoty zawodowej, badań audiometrycznych, mówić o ochronach osobistych. Od tamtego okresu uważam, że ten kierunek w nauczaniu higieny, aby przybliżyć ją jak najbardziej w kierunku działań profilaktycznych jest szczególnie interesujący. **Niestety po latach widzę, że ciągle we współczesnej medycynie dominuje medycyna naprawcza (kliniczna) a nie medycyna profilaktyczna.** Trwający od wielu dziesięcioleci nawoływanie w podręcznikach ku temu by medycyna w przyszłości była przede wszystkim profilaktyczną, ciągle nie znajdują odzwierciedlenia w codziennej praktyce. Widać to, jak się analizuje w działaniu Ministerstwa Zdrowia, jak i NFZ. **Co robić, aby studenci nas polubili?** Oto wielkie wyzwanie, bo trzeba przede wszystkim poruszać zagadnienia z danego obszaru tematycznego w taki sposób, aby ich wciągać do dyskusji, zainteresować omawianym tematem. Jak rozpoczynałem pracę, to wówczas nowoczesnym narzędziem dydaktycznym były rzutniki przezroczy. Zadaniem asystenta było zrobienie odpowiednich zdjęć a po ich wywołaniu opracowanie w ramki i ułożenie w odpowiedniej kolejności. Wielkim zagrożeniem dla asystenta była możliwość, że te wszystkie starannie ułożone w pożądaną kolejności slajdy wypadły z wózka. I wówczas stawał się wielki problem, bo to wcale niełatwo jest szybko odtworzyć prawidłową kolejność. W tym momencie pragnę opowiedzieć o niezwyklej sytuacji, jaka miała miejsce na bardzo prestiżowej międzynarodowej konferencji neurologów w Nowym Jorku a co zasłyszałem od prof. Wojciecha Kozubskiego, kierownika katedry i kliniki neurologii UM w Poznaniu. Otóż w trakcie trwania tej ważnej konferencji nagle – ni stąd ni zowąd – urwał się z sufitu przymocowany tam rzutnik ze slajdami, które rozsypały się dookoła. Nastąpiła wielka konsternacja, bo wszystko to miało miejsce w

bardzo nowoczesnej Sali konferencyjnej. I tutaj refleksja, że takie niespodzianki zdarzają się nawet w najlepszych ośrodkach. **Zawodność sprzętu audiowizualnego.** Oj, zdarzały się sytuacje nieprzewidziane, że np. wyłączono prąd – no i cóż – trzeba było dalej prowadzić zajęcia bez sprzętu, mając do dyspozycji tylko tablicę i kredę. Ale przecież wielkość wykładowcy poznaje się i po tym, że w każdej sytuacji potrafi on wyklądać swój przedmiot. Tutaj wspomnę o sytuacji, z jaką miała do czynienia moja pierwsza doktorantka, dr Aneta Klimberg. Otóż pomimo tego, że bardzo dobrze zna się ona na sprzęcie komputerowym, to jednak nie była w stanie uruchomić projektora, aby pokazać prezentację multimedialną. Na szczęście tuż przed samą obroną zrobiłem jej szybko foliogramy i zabrałem na obronę rzutnik pisma – i z pomocą tegoż sprzętu moja doktorantka wygłaszała tezy swej rozprawy doktorskiej. I tu był mały mankament, mianowicie foliogramy te ułożyłem w innej kolejności niż spodziewała się doktorantka. Komisja Doktorska, w tym i ja, siedziała w oddaleniu paru metrów od doktorantki i nie mogłem jej w niczym pomóc, bo fizycznie byłem odgradzony szerokim stołem zastanym zielonym suknem. I pamiętam, jak wówczas zwróciłem się z wyrazami niepokoju do siedzącego obok mnie śp. prof. Eugeniusza Piotra Wąsiewicza – mojego ówczesnego szefa –



Eugeniusz Piotr Wąsiewicz

dyrektora Instytutu Medycyny Społecznej. A on mi na to dość głośno odpowiedział: „Nie martw się Jurek, to twarda baba, da sobie radę”. I rzeczywiście doktorantka sobie poradziła w tej trudnej dla niej sytuacji, co później komisja doktorska pozytywnie oceniła, podkreślając, że pomimo stresu psychicznego wybrnęła prawidłowo z sytuacji. Podobnych sytuacji w trakcie prezentacji też rozpraw doktorskich przypominam sobie więcej. Na przykład pamiętam młodą kobietę, która wygłaszając swój doktorat i chodząc przy tym wokół laptopa okręciła wokół swej nogi kable i po chwili wszystkie wtyczki zostały wyciągnięte z gniazdek prądu znajdujących się w ścianie. Wszystko zgasło. I w tym momencie pamiętam, jak koledzy z komisji doktorskiej ubrani w togi podbiegli i zaczęli pomagać, wkładać wtyczki do kontaktu, uruchamiać laptop i rzutnik. Inny doktorat i zbliżona sytuacja, zapewne

bardzo stresująca dla doktoranta – w połowie prezentacji zgasło na kilka minut światło w szpitalu. Doktorant opanowanym głosem zaczął przedstawiać bez żadnego sprzętu tezy rozprawy doktorskiej, a kiedy po kilku minutach znowu włączyło się światło to jeszcze raz pokazał w skrócie prezentację multimedialną. Podane przykłady pokazują, że najprzeróżniejsze sytuacje mogą zaistnieć i że trzeba sobie z nimi szybko i sprawnie umieć poradzić.

Oczywistym jest, że nie wszyscy wykładowcy są jednakowo lubiani przez studentów. Obserwując moich własnych asystentów zauważam, że jedni sobie radzą z dydaktyką lepiej, drudzy gorzej. W miarę upływu lat władze uczelni starają się coraz dokładniej sprawdzać, jak z dydaktyką radzą sobie poszczególni wykładowcy. W tym celu min. studenci proszeni są o podawanie swych opinii o poszczególnych wykładowcach. Ten system staje się coraz bardziej dokładny a wyniki podawane są do publicznej wiadomości podczas rad wydziałów. Przynależę do Rady Wydziału Lekarskiego I i raz w roku, w marcu bądź kwietniu, odbywa się połączona rada wydziałów lekarskich I i II poświęcona dydaktyce. Muszę przyznać, że jest to dla mnie stresujące i pewnie dla innych kierowników i zakładów również, bo jest nieprzyjemnie, gdy się kierownik dowiaduje, że jego asystenci w ocenie studentów wypadają słabo. Na szczęście w ostatnich latach o moich asystentach na tych radach nic nie słyszę, co świadczy, że nie było uwag krytycznych, bądź też słyszę pochwały o zaangażowaniu w proces dydaktyczny. Trzeba tutaj dodać, że podczas inauguracji roku akademickiego corocznie studenci wskazują swoich ulubionych asystentów, którym publicznie wręczają dyplomy uznania.

Wracając do wspomnień z okresu studiów nie można pominąć zajęć w ramach **STUDIUM WOJSKOWEGO**. Podczas zajęć odbywanych w ramach studium wojskowego istniały 2 możliwości: W mundurach – odbywali je studenci, którzy posiadali kategorię zdrowotną A wg której nie mieli przeciwwskazań zdrowotnych do odbywania tejże służby. Zajęcia te odbywali osobno mężczyźni i kobiety. Bez mundurów – czyli w cywilu, którą to służbę odbywali ci, u których stwierdzano przeciwwskazania zdrowotne do odbywania tejże służby w takich warunkach, jakich odbywali ją ci w mundurach. Ta druga grupa była, jak pamiętam, liczna i zastanawiałem się nad tym, czy aż tak często stan zdrowia koleżanek i kolegów był tak zły, że dyskwalifikował ich od służby w wojsku. O ile pamiętam, to zajęcia wojskowe bez mundurów były koedukacyjne. Sprawa płaszczy mundurowych. Odbieraliśmy z magazynów płaszcze, które szyte były wg takiego kroju, iż sięgały do połowy łydki a może i dalej. Mój płaszcz, który odebrałem, był w słabej kondycji, bardzo wygnieciony i jak na niego spojrzała moja mama, to postanowiła, aby go poprawić, tj. wyprasować i trochę skrócić. Później, jak mieliśmy 1 zajęcia w mundurach, to dowódca kompanii, a były to osoby w stopniu majora bądź kapitana, robił przegląd przyglądając się, czy osoby nie powinny wzajemnie mundurów między sobą wymienić. Ja wówczas bardzo drżałem o to, aby mi nie kazano oddać tak starannie przygotowanego munduru przez mamę, ale na szczęście to nie miało miejsca. Poza płaszczem mundurowym z magazynów dostaliśmy jeszcze czapki, na których było godło Polski, ale wówczas jeszcze bez korony, co większości z nas zdecydowanie się nie podobało. To były czapki polowe, a nie wizytowe, okrągłe i sztywne, w rodzaju rogatywek. Mundur noszony pod płaszczem też był polowy, drelichowy, z metalowymi guzikami. Do tego każdy z nas dostał nowy skórzany pas wojskowy i nowe buty skórzane wiązane na sznurowadła i zapinane wyżej na łydce na paski ze sprzączkami. Chcę tu podkreślić, że jakość tych butów była niezwykle dobra. Miały przyszytą podeszwę gumową z wrębami i trzeba tu mocno zaznaczyć, że tych butów nie można było zepsuć. Po zakończeniu służby wojskowej należało mundury i płaszcze mundurowe i czapki oddać, natomiast pozostawiono nam pasy wojskowe i buty. I ja tych butów jeszcze po studiach używałem a później używali moi synowie i oni również nie zdołali ich zniszczyć. Taka to była dobrej jakości obuwie wojskowe, bo przecież pełni ono znaczenie strategiczne – cóż ma robić żołnierz na polu walki, skoro buty mu spadną lub się rozpadną. Dodam jeszcze, że kolor tych butów i pasa był brązowy.

Podzielono nas na kilka kompanii – wydaje mi się, że były 2 kompanie męskie i 2 żeńskie. I tutaj uwaga, bardzo śmieszna, że mundury kobiet miały od tyłu tzw. klapy, co na początku wzbudzało naszą radość i różne uwagi. **Tajne zeszyty do notatek.** To też dość ważny szczegół, bo część notatek mogliśmy prowadzić w zeszytach tzw. jawnych a część w tajnych. Każdy tajny zeszyt miał na sobie pieczęć okrągłą z godłem i drugą pieczęć z napisem „tajne”. Jego wszystkie strony były przesyte i związane sznurkiem, na końcu opieczętowane. Po zajęciach te tajne zeszyty były zamykane w szafie pancerniej. Trudno mi uwierzyć, żeby w tych notatkach były jakieś kwestie istotnie tajne i niebezpieczne, gdyby dostały się w ręce obcego wywiadu i raczej robione to było po to, aby nauczyć nas obchodzenia się z tajnymi dokumentami. W tych zeszytach pisaliśmy mnóstwo szczegółów, na jakie oddziały dzieliła się armia polska, amerykańska czy też RFN. Ile żołnierzy było tam w kompaniach, ile w drużynach, jaką broń mieli na wyposażeniu, jakie mieli armaty, haubice, czołgi, itp. Dzisiaj, po latach, nie sposób przypomnieć sobie tych szczegółów, ale jest to dobrze opisane w ogólnodostępnej bibliografii wojskowej, do nabycia w księgarniach bez żadnych przeszkód, wraz ze zdjęciami, szkicami, itd. Jeśli chodzi o broń, to przede wszystkim należy wspomnieć o karabinkach AK Kałasznikowa [także: AK-47, ros. AK, Автомат Калашникова, pot. kałasznikow, „kałachy”] – tych to właśnie, co zrobiły furorę na początku w Armii Czerwonej, później w krajach demokracji ludowej, a od dziesiątków lat te „kałachy” to jest podstawowa broń terrorystów islamskich, z którą oni się nader chętnie fotografują. Tyle razy kazano nam rozkładać i składać te „kałachy”, że do dzisiaj potrafiłbym to w sposób płynny zrobić. Z „kałachów” raz po raz strzelaliśmy na strzelnicy. Oczywiście te stanowiska były przygotowane tak, aby nie doszło do nieszczęśliwych wypadków. Jak pamiętam strzelaliśmy w pozycji leżącej. To nie było takie proste trafić w środek tarczy. Wyniki tych strzelań były ogłaszane przez dowódcę kompani i trzeba przyznać, że była rywalizacja o to, komu uda się wystrzelać najwyższą liczbę punktów. Jeśli chodzi o broń, to pragnę dodać, że już na obozie wojskowym strzelaliśmy jeszcze z pistoletów TT – bardzo znanych, które nosiło się w kaburze przytroczonej do pasa. Pamiętam, że podczas jednego z takich strzelań jeden z kolegów tak się ucieszył, jak trafił do tarczy, którą była sylwetka nieprzyjacielskiego żołnierza i po trafieniu przewracała się, że odwrócił się gwałtownie i wypalił niechcący a kula przeszła tuż obok ucha majora, który zapewne był przyzwyczajony do takich sytuacji, ale wyraźnie zbladł. Kilka centymetrów dalej a byłby trafiony w głowę. **Kilka słów o kadrze oficerskiej studium wojskowego.** Kierownikiem studium wojskowego za czasów naszych studiów był pułkownik lekarz Zbigniew Psuja [1914-2002]



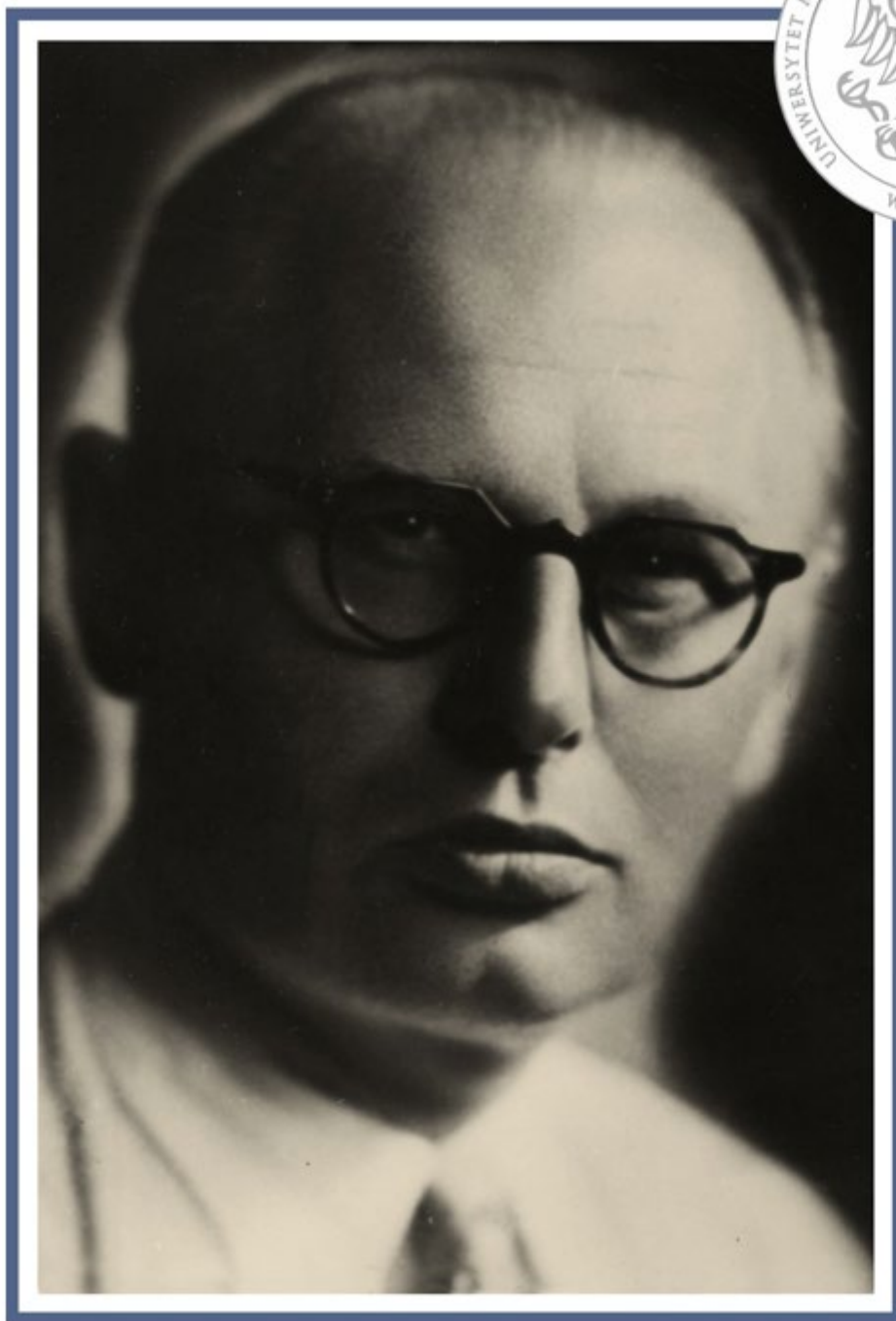
Zbigniew Psuja

a po nim pułkownik dr med. Stanisław Góra [1924-2019]. To byli bardzo mili lekarze i należało na początku zajęć po wojskowemu witać ich przed drzwiami studium wojskowego. Jak pamiętam, jeden ze studentów był wówczas wyznaczony do tej służby i siedział a raczej bardziej stał obok stolika do drzwi studium, patrząc uważnie, kiedy kierownik studium lub któryś z jego następców się pojawiał. Należało wówczas podejść ku niemu sprężystym krokiem wojskowym, następnie stanąć na baczność, zasalutować i złożyć raport, tzn. powiedzieć, że taki szeregowiec się melduje. Kadra oficerska w studium wojskowym w części złożona była z byłych żołnierzy frontowych, którzy brali czynny udział w

walkach i zdarzało im się potem udzielać bardzo praktycznych porad z tego zakresu, np. pamiętam majora Piotra Andrejczuka, który bardzo się denerwował, gdy leżeliśmy płasko na ziemi, celowaliśmy z karabinów a nasze stopy nie leżały przyłożone do ziemi, tylko podpieraliśmy się czubkami palców, przez co stopy sterczały. Major Andrejczuk mówił wówczas: „Nie zdajecie sobie sprawy z tego, że jak będziecie pod ogniem nieprzyjaciela w tak głupi sposób leżeć, to nieprzyjaciel wam pięty odstrzela. Należy leżeć jak najbardziej płasko na ziemi”. Po tym majorze widać było bardzo wyraźnie tą jego frontowość i znajomość żołnierskiego zachowania na polu walki. Jak sobie przypominam, jeden z zastępców kierownika studium wojskowego był zastępcą ds. politycznych – czyli był „politrukiem”. Oj, to trzeba mocno podkreślić, że mieliśmy zajęcia właśnie z tymi oficerami politycznymi, którzy w sposób odpowiedni – tzn. zgodnie z ówczesną doktryną komunistyczną – opisywali nam 2 wojnę światową, w tym powstanie warszawskie. Oczywiście z tych wykładów jasno i niezbiecie wynikało, że tylko PPR a następnie PZPR miała patent mądrości na wszystkie swoje postępowania a wróg polityczny, a szczególnie AK, jak i rząd tymczasowy w Londynie mylili się we wszystkim; nie przypominam sobie ani 1 podanego faktu, że w czymkolwiek postąpili słusznie. Tutaj trzeba też dobitnie podkreślić, że gdy zajęcia wojskowe rozpoczęliśmy w roku 1965 to gdy byliśmy na 3 roku doszło do znanych wydarzeń antykomunistycznych na terenie Czechosłowacji. Pamiętam wtedy, jak bardzo nasilona była propaganda socjalistyczna, podkreślająca, że jedyną i słuszną drogą była interwencja wojskowa, w tym wojsk polskich, na terenie Czechosłowacji. My oczywiście w to nie wierzyliśmy, ale zdarzały się wśród nas takie jednostki, które miały odwagę wprost o tym mówić do oficerów. Pamiętam, że to kolega Michał Krzak bardzo ostro potrafił protestować, głośno mówił na zajęciach prowadzonych przez politruków, że nie było tak a tak a wręcz inaczej. **Obóz wojskowy w Kłodzku.** Ci studenci, którzy odbywali zajęcia wojskowe w mundurach, to po 5 roku studiów byli kierowani na 6 tygodniowy obóz wojskowy w Kłodzku. Z tamtejszej jednostki pamiętam, że zakwaterowani byliśmy w typowych budynkach wojskowych, które otaczały bardzo duże podwórze. Na tymże podwórzu stało ok. 60 transporterów opancerzonych „SKOT”. W tychże Skotach byliśmy wożeni na zajęcia w terenie. Później docierały do mnie opinie, że tylko niektóre i to nieliczne z tych transporterów miały zamontowane liczniki, które mierzyły czas pracy silnika i co za tym idzie zużycie paliwa. I ten fakt był wykorzystywany przez dowódcę jednostki w ten sposób, że od czasu do czasu zarządzał on ćwiczenie wojskowe, w którym brał udział ten transporter wyposażony we wspomniane liczniki. Tymczasem w oficjalnych sprawozdaniach wyliczano zużycie paliwa jak dla 60 transporterów, co miało pokryć różne lewe wycieki paliwa z jednostki. Trudno mi się odnieść do tego, na ile to było prawdą, ale sądzę, że prawdą być mogło. Jak nas w tych transporterach wożono na ćwiczenia, to raz po raz przejeżdżaliśmy przez bardzo ciekawe okolice, np. pamiętam, że przejeżdżaliśmy pod Bazyliką w Wambierzycach, ale oczywiście nikt nam nic na temat tego kościoła nie mówił. **Ćwiczenia w terenie.** Pamiętam ćwiczenia, które w niektórych momentach były humorystyczne. Na przykład pamiętam majora Dybasia [Dybaś], który wszedłszy na niewielką górkę głośno mówił i wskazywał palcem, że właśnie doszło do wybuchu bomby atomowej. No i następnie opisywał, co się wtedy by mogło stać, jak wielu byłoby zabitych i rannych. Potem pamiętam inscenizację tych zajęć i utkwiał mi fakt, że najwięcej było chętnych do udawania trupów na polu walki. Niektórzy mieli ciężkie zadania, bo np. musieli nosić „rannych” kolegów. Kilka z tych dni ćwiczeń spędziliśmy na polu w rozbitych namiotach. Namordowaliśmy się z rozbiciem a następnie z urządzeniem tych namiotów a potem w nich spaliśmy i najgorsze było to, że było wtedy bardzo zimno. Nałożyłem na siebie wszystko co mogłem, nie zdejmując butów. Taka sytuacja trwała kilka dni co skutkowało tym, że byliśmy niewiarygodnie brudni. Ale trudno było wówczas odważyć się rozebrać i umyć, bo takie było wszechogarniające zimno, pomimo, że to było lato. **Egzamin na oficera.** Jak pamiętam, gdy przyjechaliśmy na obóz, to wszyscy byliśmy w stopniu starszego szeregowca (1 pasek na pagonach) poza kilkoma kolegami, którzy już wówczas mieli stopień kaprała (2 paski na pagonach) oraz tych, którzy za różne podpadnięcia na zajęciach ciągle byli szeregowcami. W trakcie tego obozu zdarzały

się nominacje na wyższy stopień i niektórzy dostali starszego kaprała (3 paski) a nawet plutonowego (4 paski). Ciągłe byłem w tym okresie starszym szeregowcem. Bardzo istotne było to, że pod koniec obozu wojskowego odbywał się egzamin na oficera. Trudno mi przypomnieć sobie pytania, jakie otrzymywałem i oceny, ale egzamin zdałem i wydaje mi się, że chyba wszyscy obecni na tym obozie egzamin zdali. Potem miała miejsce uroczysta przysięga wojskowa i otrzymaliśmy wszyscy „2 gwiazdki”, czyli stopień oficerski podporucznika. Odnośnie przysięgi wojskowej chcę wspomnieć o pewnym fakcie. Jedna rzecz to to, kto co rzeczywiście wówczas mówił, bo w tej przysiędze były słowa o socjalizmie a druga rzecz to to, czy po złożeniu przysięgi złożył stosowny podpis. Zdarzyło się, że do nie składania podpisu nakłaniał dowódca kompanii major jednego ze studentów, który miał pochodzenie żydowskie. I tenże kolega był skłonny tego podpisu nie złożyć myśląc, że dowódca kompanii dobrze mu doradza, ale w tym momencie kolega tegoż studenta Lesław Maziarz wytłumaczył mu dosadnie: „nie będzie twojego podpisu pod przysięgą, to nie zaliczą ci obozu wojskowego. A jak nie zaliczą ci obozu wojskowego, to nie zaliczą ci roku studiów i będziesz miał kłopoty”. Dzisiaj po latach należy bardzo negatywnie ocenić postawę tego majora. **Alkohol na obozie wojskowym w Kłodzku.** Osobiście nie piłem alkoholu w trakcie całych ćwiczeń wojskowych. Inna rzecz to picie alkoholu w drodze do Kłodzka – pamiętam, jak dojechaliśmy pociągiem do Kłodzka – jak wesoło było w pociągu i w pieszej wędrówce z dworca do jednostki wojskowej. W drodze powrotnej raczej nikt od alkoholu nie stronił. Ale zupełnie inna była sytuacja na obozie wojskowym, gdzie nas zdecydowanie ostrzeżono przez bardzo surowymi konsekwencjami picia alkoholu. Ja się do tego stosowałem i miałem wyobrażenie, że inni też, ale dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że niektórzy koledzy pili i to razem z dowódcami – oficerami.

Praktyki wakacyjne. Przed podjęciem studiów zostałem zachęcony przez Zrzeszenie Studentów Polskich do wzięcia udziału w obozie letnim, który odbywał się w Państwowym Gospodarstwie Rolnym [PGR] w miejscowości Osowa Sień. Była to typowa pomoc w okresie żniw. Po I roku studiów odbywałem praktykę – jak pamiętam, miała mieć charakter zapoznania się z podstawami pracy w szpitalu – w Katedrze i Klinice Dermatologii przy ul. Przybyszewskiego 39. Bardzo dobrze pamiętam ówczesne wyposażenie laboratorium diagnostycznego, kiedy to jeszcze laborantki szeroko posługiwały się szkłem laboratoryjnym, pipetami itp. Sprzętem, którego dzisiaj w nowoczesnych laboratoriach się nie uświadczy, bo wszystkie badania wykonują tzw. kombajny analityczne. W tejże klinice dostrzegłem wielką kulturę i szacunek względem byłych kierowników Katedry, którzy już przebywali na emeryturze. Pamiętam dobrze, że mieli oni osobne gabinety [prof. Adam Straszyński i prof. Julian Rosner] położone w pobliżu urzędującego kierownika kliniki [doc. Adam Burda]



Adam Burda

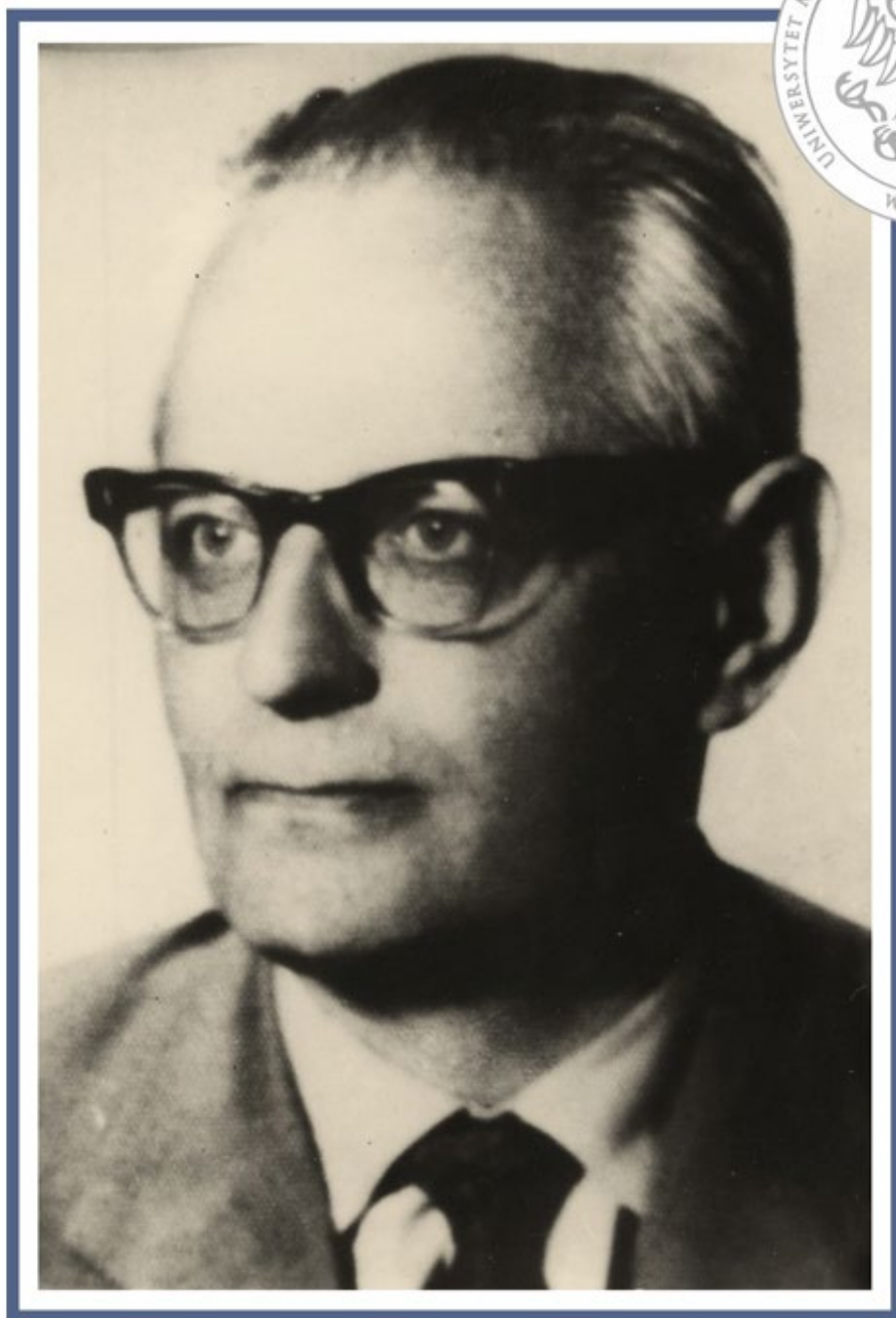
oraz brali oni udział w wizytach odbywających się na salach chorych. Pamiętam emerytowanego kierownika, prof. Adama Straszyńskiego [1893-???], autora podręcznika „Zarys dermatologii i wenerologii” wydanego przez PZWL. Na jednej z wizyt zagadnięto go na temat rozpoznania klinicznego u jednego z pacjentów, powiedział: „Dajcie mi tu Straszyńskiego – chodziło o jego podręcznik”. Profesor otworzył go na jednej ze stron i wskazał palcem na fotografię – tam była fotografia z rozpoznaniem klinicznym. Ten zwyczaj, że urzędujący kierownik kliniki czy zakładu udostępnia pokój byłemu kierownikowi jest wyrazem szacunku i winien być on naśladowany, ale

niestety nie zawsze ma miejsce – a bywa, że czasem z winy emerytowanego kierownika, który wyraźnie nie godzi się ze swoim następcą.

Praktyka wakacyjna w Szpitalu Powiatowym w Świnoujściu – odbywałem ją, jak pamiętam, po III roku studiów. Była to praktyka bardzo ciekawa ze względu na lekarzy wówczas tam pracujących. Pamiętam, iż od ginekologów dowiedziałem się, że przyływały ze Szwecji promem pacjentki. Jeśli się nie mylę, chodziło o aborcję, która wtedy w Szwecji była zabroniona. Pamiętam też przypadek, że wówczas na oddziale chorób wewnętrznych leżał 1 pacjent – a może było ich więcej – który w szpitalu był już ponad rok a to z tej racji, że rodzina nie chciała go ze szpitala odebrać.

Praktyka wakacyjna w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Będzinie – odbywałem ją po IV roku. Bardzo interesująca, gdyż zabierano mnie na pobieranie prób wody, powietrza, gleby oraz do zakładów pracy. Jedną z tych wizyt szczególnie była interesująca, albowiem zjechałem na dół do kopalni węgla kamiennego „Kazimierz Juliusz”. Za swym przewodnikiem z Sanepidu chodziłem a nawet przeczołgiwałem się przez bardzo wąskie chodniki, gdzie stropy były nisko i raz po raz słyszałem trzeszczenia w ścianach gdzieś w stropie, które mnie przerażały. Jak się rozpoczął kolejny rok studiów, to pamiętam, że każdy ze studentów był odpytywany na okoliczność tej praktyki i moja przez ta obecność w kopalni okazała się chyba najatrakcyjniejsza....

Praca zawodowa. Po uzyskaniu dyplomu lekarza medycyny rozpocząłem pracę zawodową w dniu 19.07.1971 r. w Szpitalu im. Franciszka Raszei w Poznaniu na oddziale chorób wewnętrznych, którego ordynatorem był wówczas prof. Eligiusz Preisler – był m.in. kierownikiem Zakładu Fizjologii. Odbywałem wtedy roczny staż podyplomowy obejmujący internę, chirurgię, pediatrię oraz ginekologię z położnictwem. Wówczas na tymże oddziale wewnętrznym pracował jako wolontariusz – specjalizując się w internie – dr Andrzej Laskowski – asystent Zakładu Higieny Ogólnej. I to on właśnie zaproponował mi pracę w Zakładzie Higieny Ogólnej, bo właśnie był tam wolny etat asystenta. Ponieważ moim marzeniem była praca w akademii Medycznej, to poszedłem na spotkanie z ówczesnym kierownikiem Zakładu Higieny Ogólnej, Panem doc. Adamem Jankowiakiem.



Adam Jankowiak

To był przeuroczy człowiek, bardzo zaangażowany w działalność dydaktyczną, niezwykle życzliwy, do którego zwracano się per „Panie Profesorze”, gdyż przedtem był na stanowisku zastępcy profesora – takie stanowiska w tamtym okresie czasu istniały. A podkreślam ten fakt z uwagi na to, że Adam Jankowiak nigdy tytułarnej profesury nie uzyskał a to za sprawą tego, iż nie należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, co było wówczas rzadkością w odniesieniu do osób piastujących stanowiska kierownicze. Od tego okresu moje życie zawodowe było i nadal jest niejako podwójne, gdyż z jednej strony pracowałem nadal w Zakładzie Higieny, obecnie Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu a z drugiej strony pracowałem jako neurolog. I tutaj

wyjaśnienie: dlaczego syn medyka sądowego nie został medykiem sądowym, a miałby bardzo ułatwioną karierę, a neurologiem. Otóż mój ojciec kształcił mnie w kierunku medyka sądowego i wykonałem osobiście około 250 sekcji zwłok, aby się w końcu przekonać, że to nie bardzo leży w mej naturze takie obcowanie ze zwłokami i że bardziej odpowiada mi praca z żywymi ludźmi.

W 1972 roku ukończyłem staż podyplomowy i chciałem podjąć specjalizację z neurochirurgii, ale już wówczas pracowałem w Zakładzie Higieny AM, więc mogłem się specjalizować tylko w ramach wolontariatu (bo inna forma zatrudnienia była wówczas niemożliwa). Gdy poszedłem na rozmowę do ówczesnego kierownika Kliniki Neurochirurgii AM doc. Feliksa Tokarza (późniejszy profesor),



ten stwierdził, że z uwagi na specyfikę tej Kliniki, taka forma specjalizacji z jednoczesną pracą w Zakładzie Higieny jest niemożliwa, gdyż wielokrotnie zabiegi się przedłużają i wyjście o określonej godzinie do miejsca właściwej pracy jest niemożliwe. W tej sytuacji po przemyśleniu postanowiłem rozpocząć specjalizację z neurologii i moja praca w ramach wolontariatu w Klinice Neurologii została zaakceptowana przez ówczesnego kierownika, Pana prof. Mieczysława Wendera. Tamże były wówczas następujące Oddziały: Intensywnej Terapii kierowany przez dr med. Mirosława Owsianowskiego, Męski – kierowany przez dr med. Olgę Mularek, Kobiety – kierowany przez dr med. Jana Mularkę, Dziecięcy kierowany przez dr med. Bożenę Zgorzalewicz [późniejszą profesor, kierownik Kliniki Neurologii Dziecięcej] i Neuroinfekcji – kierowany przez lek. med. Teresę Owsianowską. Staż specjalizacyjny odbyłem kolejno na wszystkich tych oddziałach. Moim kierownikiem specjalizacji na pierwszy stopień była lek. med. Teresa Owsianowska (I stopień z zakresu neurologii uzyskałem 05.04.1976 r.). Doktor Teresa Owsianowska wzorem dobrego ordynatora, fantastycznym, zorganizowanym, niezwykle skrupulatnym lekarzem, była bardzo oddana pacjentom, którzy ją uwielbiali. Do tego była kobietą bardzo urodziwą, wysoką, szczupłą o czarnych włosach. Była ona najlepsza w opisywaniu wyników EEG – i tego również mnie nauczyła. Kiedy w późniejszym okresie przedwcześnie owdowiała, wykazywała się cechami bardzo dobrej koleżanki z pracy a mianowicie pełniła dyżury lekarskie w dniach, w których żaden inny lekarz pełnić by sobie ich nie życzył, a mianowicie chodzi o Wigilię, święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok, święta wielkanocne i inne. [Po latach opisałem doktor Teresę Owsianowską w rozdziale książki: „Kobiety (nie)zwykłe” pod redakcją naukową zespołu w składzie: prof. Witold Sobczak, dr Anna Surendra, dr Paulina Maria Wiśniewska, dr Magdalena Zdrowicka-Wawrzyniak; Silva Rerum 2024]. O neuroinfekcjach dowiedziałem się od doktor Teresy Owsianowskiej szczególnie dużo. Wrażenie robili na mnie chorzy na gruźlicze zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych i mózgu z tego powodu, że codziennie otrzymywali intensywną terapię przeciwgruźliczą a poprawa kliniczna następowała niezwykle powoli. Taki pacjent leżał wówczas w Klinice około roku a nawet dłużej i w międzyczasie miał wykonanych kilkadziesiąt nakłuć lędźwiowych – jak ci pacjenci to wytrzymywali? Wykonałem mnóstwo nakłuć lędźwiowych i szło mi to bardzo dobrze i – co dla mnie niezwykle – igłę punkcyjną trzymałem zawsze w prawej ręce a przecież jestem mańkutem. Jak zacząłem kłuć prawą ręką, to już nigdy nie spróbowałem lewą. W innych niż gruźlicze neuroinfekcjach udawało się zazwyczaj uzyskiwać szybką poprawę kliniczną – co bardzo cieszyło. Najczęstsze przypadki hospitalizowane w Klinice Neurologii to udary mózgu – więcej niedokrwiennych niż krwotocznych, pęknięte tętniaki mózgu, choroba Parkinsona, stwardnienie rozsiane, padaczka, zespoły bólowe kręgosłupa na tle zmian zwyrodnieniowo-dyskopatycznych, miastenia, guzy mózgu. W okresie jak rozpoczynałem specjalizację z neurologii to o neurologii mówiło się, że dominuje w niej „nihilizm terapeutyczny” – no i tak rzeczywiście było. Przez ostatnie półwiecze dokonał się jednak znaczący postęp – co wyraźnie widzę, także z racji pilnego uczęszczania na zebrania naukowe Oddziału Wielkopolsko-Lubuskiego Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Chyba ten postęp najbardziej jest znamieny w terapii stwardnienia rozsianego, bo wreszcie stosowane leki przynoszą coraz wyraźniejsze efekty. Specjalizację drugiego stopnia z zakresu neurologii uzyskałem dnia 18.05.1982 r, również w ramach wolontariatu we wspomnianej Klinice Neurologii w Poznaniu. Dnia 28.02.1983 r. Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Neurologicznego wyróżnił mnie I nagrodą w konkursie na najlepszą pracę przedstawioną w związku z egzaminem specjalizacyjnym II stopnia („Zespoły bólowe dolnego odcinka kręgosłupa – wybrane zagadnienia na temat etiopatogenezy, biomechaniki, epidemiologii, organizacji opieki zdrowotnej, absencji chorobowej i leczenia zachowawczego”). W tamtym okresie mówiło się, że do zdania egzaminu specjalizacyjnego drugiego stopnia z neurologii należy przede wszystkim przygotować się z podręcznika: prof. Anatol Dowżenko „Neurologia kliniczna”. Uczyłem się z tego podręcznika – napisanego w formie encyklopedycznej – niezwykle pilnie dostrzegając, że aby dobrze

sobie całą wiedzę przyswoić to nie jest się w stanie „przerobić” więcej w ciągu dnia niż kilkunastu stron – maksymalnie około trzydziestu. Pamiętam horror. Egzamin specjalizacyjny drugiego stopnia z neurologii – pierwszą część – zdawaliśmy w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie przy Al. Sobieskiego 9. Był to egzamin testowy. Kilka dni przedtem mieliśmy jeszcze konsultacje w tymże Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie – i mieszkalem wówczas w Hotelu „Polonia” w Warszawie (obecnie „Hotel Polonia Palace”) przy Alejach Jerozolimskich 45. Horror miał miejsce w autobusie w którym jechałem na egzamin testowy z Alei Jerozolimskich do Alei Sobieskiego – albowiem co otworzyłem podręcznik prof. Anatola Dowżenka „Neurologia kliniczna” na takiej czy innej stronie to okazywało się, że wiele faktów jeszcze sobie nie przyswoiłem. Jak to możliwe, że już ze dwa lata czytam tak pilnie tą właśnie książkę i jeszcze jej nie opanowałem? Tą jazdę autobusem zapamiętałem do końca życia! Test był istotnie bardzo trudny a już seria pytań o zespół Pickwicka naprawdę „wyprowadzała w pole”. Najgorsze były podchwytliwe pytania testowe o to jaki z podanych objawów nie występuje w określonej chorobie. Przecież uczymy się zapamiętując przede wszystkim objawy które występują – i stąd była ta duża trudność. Potem był już egzamin praktyczny i egzamin ustny w Klinice Neurologii w Poznaniu – i dziwiłem się wręcz jak można egzaminowanemu zadawać tak proste pytania. I wszystkie oceny miałem „bardzo dobre” podobnie jak na pierwszy stopień. Ja po prostu byłem bardzo obkuty! W tejże Klinice Neurologii pracowałem przez kilkadziesiąt lat i jak wspominałem uzyskałem I a następnie II stopień specjalizacji z neurologii klinicznej.

Doktor Teresa Owsianowska, ordynator Oddziału Neuroinfekcji w którym odbywałem staż specjalizacyjny z neurologii oraz kierownik mojej specjalizacji, o której poprzednio napisałem wiele ciepłych słów, była także konsultantem neurologii zespołu opieki zdrowotnej Poznań-Grunwald. To Ona poprosiła mnie, abym rozpoczął pracę w Poradni Neurologicznej tegoż zespołu zlokalizowanej w Poznaniu przy ul. Grochowskiej 110. Oczywiście wyraziłem zgodę, bo zawsze chciałem pracować z chorymi.

Tak więc od 1 maja 1976 r. zostałem zatrudniony w Poradni Neurologicznej Zespołu Opieki Zdrowotnej Poznań-Grunwald. Mój ówczesny rejon to była połowa dzielnicy Grunwald w Poznaniu. Zakres mojej pracy obejmował ambulatoryjne przyjęcia chorych oraz wizyty domowe. Moje zatrudnienie ustało z chwilą likwidacji ww. Zespołu w 1999 r. Przeprowadzono wówczas reformę systemu opieki zdrowotnej i zespoły opieki zdrowotnej polikwidowano w całym kraju. Pracowałem tamże nieprzerwanie przez ponad 25 lat, nawet dostałem nagrodę jubileuszową. Do 31.03.2001 r. byłem zatrudniony w Poradni Neurologicznej Spółki Lekarskiej „Medic-Specjal”, ale potem założyłem własny specjalistyczny jednoosobowy gabinet lekarski neurologiczny. Zajmowałem się szeregiem pacjentów, którymi opiekowałem się od kilkadziesiąt lat – i to jest szczególnie cenne w pracy lekarskiej.

Czy pacjenci zawsze się stosowali do moich zaleceń? W jednym przypadku wyraźnie nie. Chodzi o moją pacjentkę, niezwykle sympatyczną, którą zajmowałem się przez ćwierć wieku. Cierpiała między innymi z powodu zawrotów głowy – więc ją wielokrotnie przestrzegałem aby nie wpadały jej do głowy takie czynności jak mycie okien, wchodzenie na stołki, czy wymiana żarówek. No i stało się, kobieta nie wytrzymała i postanowiła wymyć okna na święta – i wypadła z okna ponosząc śmierć na miejscu. To zrozumiałe, że lekarz bardzo przeżywa śmierć swoich pacjentów, zwłaszcza takich sympatycznych, wieloletnich....

Pracuję też jako neurolog w ramach **działalności w EHDN** (European Huntington’s Disease Network). Uczestniczyłem, po zdaniu testu (DIM20 CIBIC-plus Certification Test), w badaniach HORIZON – CIBIS/CIBIC-plus – DIM20: A Phase 3, Randomized, Double-Blind, Placebo-Controlled Safety and Efficacy Study nad lekiem Dimebon wśród pacjentów lekką do umiarkowanej postacią kliniczną choroby Huntingtona – jako niezależny badacz (Independent Rater). Główne objawy kliniczne w

zaawansowanej chorobie Huntingtona to ruchy płasawicze i otępienie. To niezwykle ciekawe doświadczenia z badaniami z podwójnie ślepą próbą, kiedy to badacz nie ma pojęcia kto otrzymuje badany lek a kto placebo. Żartuję, że w tych badaniach stałem się ekspertem od miłości. Mianowicie badałem zawsze w odstępach czasowych chorego/chorą i jego opiekuna, którym najczęściej był zdrowy współmałżonek/współmałżonka. I „po oczach” rozpoznawałem dwie sytuacje: 1) „i nie opuszczę cię aż do śmierci”, albo 2) „mam już tego serdecznie dosyć”.

Ponadto byłem powoływany przez prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej w latach 1998-2002 do składu komisji egzaminacyjnej na II stopień specjalizacji z zakresu neurologii.

Moje wykształcenie i doświadczenie w pracy neurologa znajduje zastosowanie także na niwie sądowej. W mej pracy zawodowej jest bowiem jeszcze trzecia droga – od 1983 r. **jestem stałym biegłym sądowym w dziedzinie neurologii**. Zachęcił mnie ku temu śp. dr med. Aleksander Piechowski [zmarł w 2004 r.] z Kliniki Neurologii, który tam funkcje biegłego sądowego pełnił od wielu lat. Podniosłem momentem było złożenie przeze mnie przysięgi biegłego sądowego, którą odebrał ode mnie dnia 26.01.1983 r. ówczesny Prezes Sądu Wojewódzkiego, Jan Małek. I tak stałem się biegłym sądowym a przeszkoliła mnie, szalenie krótko, Pani kierownik Sekcji Lekarskiej mieszczącej się wówczas na terenie Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu przy Al. Marcinkowskiego 32. Ta przeurocza Pani pokazała mi, jak obchodzić się z aktami, na której stronie na co należy spojrzeć i jak opinię spisać w ten sposób, aby inni biegli sądowi znaleźli miejsce na dopisywanie danych z wywiadu, badania przedmiotowego, rozpoznania klinicznego i właściwej opinii. Dlatego o tym piszę, że na tym faktycznie zakończyło się moje zasadnicze szkolenie i bezpośrednio po tym zacząłem pisać pierwsze opinie sądowo-lekarskie dot. orzecznictwa rentowego dla Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu. Oczywiście później zastępcy Prezesa Sądu Wojewódzkiego, później Sądu Okręgowego, wprowadzili szkolenia dla biegłych, ale ograniczały się one do parugodzinnych spotkań, na których znajdowali się biegli z wszystkich dziedzin. Tak więc, od 26.01.1983 r. stale pełnię funkcję stałego biegłego sądowego w zakresie neurologii w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, przekształconym następnie w Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych (Wydziały VI, VII i VIII Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu, a obecnie Sądu Okręgowego w Poznaniu) oraz od 2017 r. w Sądzie Okręgowym w Kaliszu Wydziale V – Sądzie Pracy i Wydziale Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Moje doświadczenia w opiniowaniu sądowo-lekarskim rozwijały się a wkrótce potem ówczesny kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu Pan prof. Zygmunt Przybylski zaproponował mi, abym pisał opinie sądowo-lekarskie w ramach tegoż zakładu. Od tego też okresu, do tej pory, ściśle współpracuję z Zakładem Medycyny Sądowej w Poznaniu, którym obecnie kieruje prof. UMP dr hab. Czesław Żaba. I ostatecznie sprawdziło się stare porzekadło „niedaleko pada jabłko od jabłoni”- zacząłem powtarzać drogę zawodową mojego ojca – pisać opinie sądowo-lekarskie. Jako biegły wydałem już kilkadziesiąt tysięcy opinii – niestety dokładnie nie liczyłem. Występowałem jako biegły na rozprawach w wielu sądach – w każdym z województw w kraju. Stąd też znam się na architekturze budynków sądowych. Prowadziłem badania sądowo-lekarskie na terenie wielu zakładów karnych i aresztów śledczych – stąd i tą architekturę i funkcjonowanie tychże jednostek nieźle poznałem. To są szczególne doświadczenia – bardzo ciekawe poznawczo. Na przykład dowiedziałem się od wychowawców w zakładach karnych o bardzo odmiennym traktowaniu przez współwięźniów ojcobójców i matkobójców. Otóż o ile współwięźniowie „są w stanie zrozumieć” i jakoś tam zaakceptować ojcobójców, to dla matkobójców „nie ma zmiłuj się” w tym środowisku – nigdy nie przebaczą! To zagadnienia warte szerszego opisu. W związku z tą działalnością napisałem szereg prac oryginalnych, w których analizowałem wydawane opinie sądowo-lekarskie oraz szereg prac poglądowych, opublikowanych głównie w „Orzecznictwie Lekarskim” – gdzie byłem najczęściej

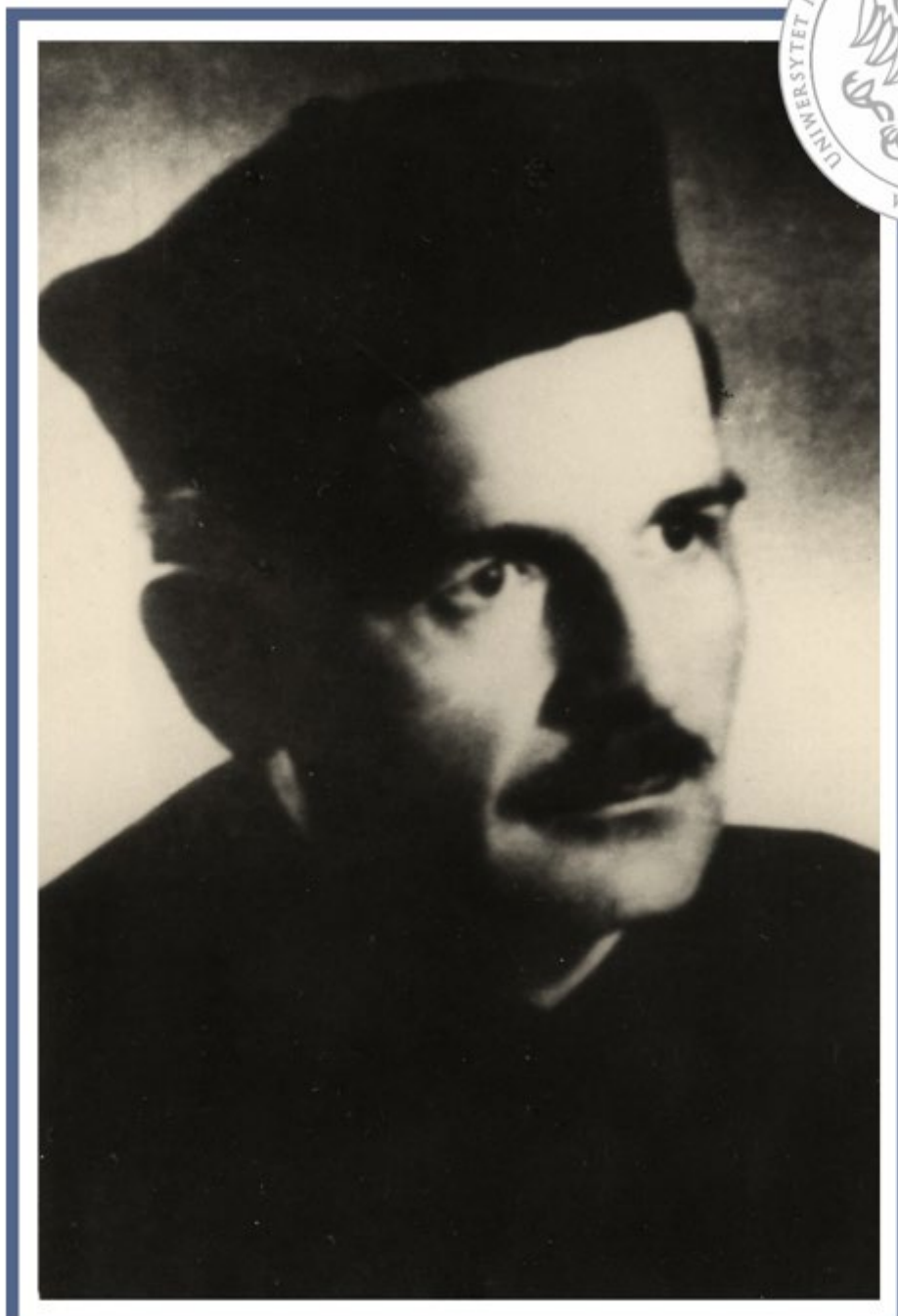
występującym autorem prac. To czasopismo zawiesiło swoją działalność, ale obecnie następuje jego reaktywacja.

Na marginesie, muszę tu wspomnieć, że czasami odczuwam agresję ze strony niektórych adwokatów i radców prawnych, której sceną są sale sądowe. Za nieeleganckie uważam częste pisanie przez adwokatów i radców prawnych następującego zwrotu: „kwestionuję opinię biegłego w całości” a potem się okazuje, że zastrzeżenia dotyczą tylko względnie drobnego problemu. Zdarzają się kolejne zastrzeżenia, nieraz wielokrotne, do opinii z pytaniami na które już udzieliłem odpowiedzi. Takie zachowanie wspomnianych prawników jest szczególnie odczuwane w sprawach dotyczących „obalania testamentów”. Wielokrotnie występowałem w takich sprawach – około tysiąca spraw – i wiadomo, że końcowe konkluzje w opinii mogą być korzystne tylko na rzecz jednej ze stron. Chodzi o to, czy spadkodawca w dniu sporządzenia testamentu był świadomy i zdolny do czynności, jaką jest sporządzenie testamentu. Adwokat, który stoi po stronie, dla której opinia jest niekorzystna, potrafi atakować biegłego na wszystkie możliwe sposoby. Ja opinie sądowo-lekarskie staram się napisać jak najrzetelniej. Wypisać z akt sprawy wszystkie istotne fakty i opierając się na tychże faktach ostatecznie rozstrzygnąć, czy spadkodawca/spadkodawczyni była zdolna do sporządzenia testamentu w danym dniu czy też nie. Adwokat jednej ze stron atakuje moją opinię i zachodzą różne sytuacje, chociażby taka: Pani mecenas na Sali sądowej mówi: „dlaczego biegły tak twierdzi, skoro tutaj – i wskazuje palcem na tekst z historii choroby, gdzie są obserwacje lekarskie – zostało napisane „kontakt z chorym zachowany”. Podchodzę do Pani mecenas i proszę, żeby mi pokazała, gdzie to jest napisane. Pani mecenas pokazuje palcem. Wobec tego, biorę wskazaną kartkę papieru, odwracam i pokazuję Sędziemu ze słowami: „Pani mecenas twierdzi, że tutaj jest napisane „kontakt z chorym zachowany”. Sędzia zakłada okulary, patrzy uważnie na kartkę i mówi „ja nie wiem, co tutaj jest napisane”. W tym miejscu ja mówię – ja też nie wiem Wysoki Sądzie, ale Pani mecenas twierdzi, że jest napisane „kontakt z chorym zachowany”. To jest dotąd jeszcze wielki problem w polskich sądach albowiem obserwacje lekarskie a często całe historie chorób pisywane są ręcznie. Wiadomo, że pismo lekarskie bywa mało czytelne a czasami wręcz nieczytelne. Ja jako neurolog często mam problemy w odczytaniu zapisów poczynionych przez innych neurologów. I tu jeszcze wtrąciłbym uwagę o rzetelności, prawdziwości danych zawartych w dokumentach medycznych. W sprawach o obalenie testamentu wielokrotnie zwróciłem uwagę sądowi na to, że w aktach sądowych nie jest jeszcze pełna dokumentacja medyczna z pobytu w szpitalu. Chodzi o to, że istnieją jeszcze raporty pielęgniarski, pisywanie niezależnie od obserwacji lekarskich. I zdarzały się wielokrotnie takie przypadki, że wyrażnie co innego odnotowywano w obserwacjach lekarskich a co innego w pielęgniarskich. Pamiętam jedną sprawę z oddziału neurologicznego, gdzie pani ordynator wydała opinię dla sądu, że świadomość pacjentki w danym dniu była pełna, podczas gdy zupełnie co innego wynikało z raportów pielęgniarskich. Kiedyś w sądzie karnym na rozprawie spotkałem się z niezwykle wręcz agresją ze strony pani mecenas, która broniła męża oskarżonego o to, że wywiózł do lasu swoją żonę a następnie zarzucił jej niespodziewanie pętlę na szyję i udusił na śmierć. Z akt wynikało, że chodziło mu o przejęcie majątku żony. Badałem oskarżonego w areszcie i dowiedziałem się od niego, że nie ma żadnych napadów padaczkowych, nie bierze żadnych leków przeciwpadaczkowych, nie ma żadnych dolegliwości z kręgu padaczki. Ale pani mecenas odwoływała się do faktu, że w dzieciństwie rozpoznawano u oskarżonego na przestrzeni paru lat padaczkę, której napady później całkowicie ustąpiły. Pani mecenas chciała wymóc na mnie, jako na biegłym, że ta zbrodnia została popełniona w napadzie padaczkowym, jakimś zamroczeniu, czy czymś podobnym. Broniłem się zawzięcie w obliczu 3 sędziów, 4 ławników i 2 prokuratorów a także dość licznej publiczności na sali rozpraw. A potem zostałem „poczęstowany” tym, że pani mecenas skierowała na mnie doniesienie o popełnieniu przestępstwa na policję, aby to policja sprawdziła, czy rzeczywiście posiadam specjalizację z neurologii i czy rzeczywiście mam tytuł naukowy profesora, jak podaje. Byłem w komisariacie policji,

pokazywałem moje dokumenty – wszystko sprawdzono i okazało się, że wszystko jest prawdą. A wspominam o tym dlatego, by zilustrować, a być może uprzedzić innych lekarzy, którzy podejmują się roli biegłego sądowego, z jaką agresją się mogą spotkać ze strony niektórych adwokatów. Jednocześnie chcę podtrzymać tych lekarzy na duchu, by się nie zniechęcali, nie rezygnowali, i bez niepotrzebnie wzbudzanych emocji, które mogą się źle skończyć dla ich zdrowia – pewni swego zdania, bronili swojej opinii. Opinia ta musi być zgodna z ich sumieniem i wiedzą lekarską, którą nieustannie muszą pogłębiać. Jednym słowem rola biegłego lekarza to trudny przysłowiowy „kawałek chleba” ale równocześnie misja, by pomagać sądowi w ferowaniu sprawiedliwych wyroków.

Jerzy Nowicki

II rok studiów. Nasza grupa zdaje egzamin z biofizyki u mającego opinię „groźnego” dr Andrzeja Pilawskiego. W grupie mamy bardzo zdolnego i ambitnego kolegę Piotra. Przed drzwiami Zakładu Biofizyki grupa studentów obserwuje kolejnych wychodzących po egzaminie delikwentów. Jedni wychodzą „z tarczą”, inni niestety „na tarczy”. W pewnym momencie wychodzi również Piotr, ale minę ma „nietęgą”. Na nasze pytanie czy coś poszło „nie tak” pada odpowiedź „piątka, ale jakoś tak z łaski...”.



Andrzej Pilawski

Na III roku zdajemy egzamin pisemny z patofizjologii. Co jakiś czas rozlega się dzwonek budzika - sygnał do przewrócenia kartki. Razem ze wszystkimi zdaje nasz kolega Andrzej [chyba chodzi o Andrzeja Hyżego], bardzo ambitny i zdolny student. Po ogłoszeniu wyników wielu z nas było bardzo zadowolonych, gdyż lepiej lub gorzej ale egzamin zdaliśmy. Andrzej dostał niestety „tylko” trójkę. Postanowił więc poprawić ocenę ustnie u Kierownika Zakładu prof. Antoniego Horsta. Po wejściu do gabinetu i przedstawieniu sprawy nasz kolega usłyszał: „panie kolego, mogę panu zaraz udowodnić, że nie zasługuje pan nawet na trójkę - ryzykuje pan?” Kolega nie zaryzykował.

Na koniec dodam, że obaj bohaterowie powyższych epizodów są od dawna profesorami Naszej Uczelni.

Na VI roku zdawaliśmy pisemny egzamin z chirurgii. Ponieważ od dawna myślałem o tej specjalizacji, gromadząc odpowiednią literaturę myślałem, że egzamin ten będzie dla mnie przysłowiową „pestką”. Podczas pisania korzystałem czasem z oficjalnie niedozwolonych pomocy, jak również wymienialiśmy „doświadczenia” z sąsiadami. Wydawało się więc, że nie ma możliwości aby mogło stać się coś nieprzewidzianego. Jakież było moje zdziwienie, gdy sprawdzając listę wyników znalazłem moje nazwisko wśród „naukowców”, którzy egzamin muszą powtórzyć. Postanowiłem jednak sprawdzić co było przyczyną klęski. W tym celu udałem się do sekretariatu Kliniki Chirurgii myśląc, że uda mi się porozmawiać z - wtedy jeszcze docentem - Romanem Góralem [prof. Roman Góral (1925-1989);



Roman Góral

lekarz i polityk, poseł na Sejm PRL VII i VIII kadencji, profesor doktor nauk medycznych, żołnierz Armii Krajowej, doktor honoris causa wielu uczelni (m.in. w Halle z 1977 i w Wilnie)]. Po krótkim okresie oczekiwania zjawił się docent i oznajmił: „Kolego Nowicki, jeżeli chodzi o egzamin, to nie mamy o czym rozmawiać”. Tak więc próba wyjaśnienia przyczyny mojej porażki spełzła na niczym. Ustny egzamin poprawkowy zdawałem razem z Jackiem Borsukiewiczem, późniejszym chirurgiem, u profesora Romana Drewsa [prof. Roman Drews (1908-1977), jeden z najwybitniejszych chirurgów polskich XX wieku, kontynuator poznańskiej szkoły chirurgicznej prof. Antoniego Jurasza (juniora)].

Na zakończenie Profesor poklepał nas po ramieniu i stwierdził: „Orientujecie się chłopcy”. Tak skończyła się moja „kariera” chirurgiczna. Obecnie jestem anestezjologiem i pediatrą.

Jerzy Zgrajek (opowieść własna z 2017 r. i wspomnienia po Jego śmierci 21 listopada 2024)

Egzamin wstępny na studia pamiętam do dzisiaj jako ogromne przeżycie. Ważyły się moje losy. Bardzo chciałem być lekarzem a do tego moja mama, która godziła się i akceptowała nasze tj. swoich dzieci wybory, mimo trudnej sytuacji rodzinnej.

Część pisemną egzaminu wstępnego pisałem z biologii, która do dzisiaj mnie fascynuje. Po pisemnym był egzamin ustny. To pierwszy bezpośredni mój kontakt z kadrą dydaktyczną uczelni. I wyniki egzaminów. Pierwsze sprawdzanie listy przyjętych. Nie ma mnie. Na liście nieprzyjętych też nie ma. Dopiero przy drugim sprawdzaniu i przy pomocy znajomych jest potwierdzenie, że jestem przyjęty do grona studentów AM. Byłem zdumiony, że mi tak dobrze poszły egzaminy i znajdowałem się w czołówce przyjętych kandydatów.

Studia były dla mnie potężną dawką wiedzy i świadomości, że można sobie dać radę intelektualnie. Ciekawe i bogate emocjonalnie otoczenie koleżanek i kolegów. Bezpośredni kontakt z Chórem Stefana Stuligrosza i duszpasterstwem akademickim.

Na I roku mieliśmy wykłady i ćwiczenia z matematyki. Przedmiot ten był zawsze dla mnie dużym problemem (pomijając tabliczkę mnożenia). To było trudne do łknięcia, gdy człowiek zmagał się z całkami i różniczkami. Utkwił mi w pamięci charyzmatyczny wykładowca, który starał się niezbyt zainteresowanym materiałem studentom, jednak przekazać wiedzę matematyczną. Kiedyś, gdy rozwiązywał na tablicy jakiś problem matematyczny zapisał dwie tablice, co wydawało mi się czymś niezwykłym.

Na III roku egzamin z mikrobiologii zdawałem za trzecim podejściem, już jako komisyjny. To było duże napięcie nerwowe, które obezwładniało przede wszystkim intelektualnie. Było to okazja, żeby uzmysłowić sobie swoją przeciętność.

Od III roku studiów zaangażowałem się w działalność Klubu „Aspirynka”. Mogłem dać upust moim zainteresowaniom muzycznym, a przy okazji trochę sobie dorobić grosza. Tutaj poznałem aktywność studencką z innych uczelni i doświadczyłem tego, jaką siłę ma przekaz muzyczny.

Przez pięć lat odbywałem szkolenie wojskowe. Pewnego razu idąc na zajęcia z wojska skręciłem sobie nogę. Uraz był bardzo bolesny i przykry. Musiałem poruszać się o jednej zdrowej nodze, podpierając się chorą z konieczności. W Przychodni Akademickiej robiono mi blokady skręconego stawu i poinformowano mnie, że być może trzeba będzie założyć gips. Trwało to około pół roku, co sprawiało mi duże trudności w chodzeniu na zajęcia. Innym razem jeden z kolegów podpowiedział mi, że 1 tabletka Pantocidu ma być stosowana do odkażenia jednego wiadra wody i skorzystałem z tej informacji otrzymując dobrą ocenę. Wreszcie nadszedł czas użycia masek p/gazowych. Zdjąłem moje okulary, założyłem maskę i nic przez nią nie widząc (zaparowały szkła w okularowe w masce), usłyszałem komendę „naprzód”. Ruszyłem i wpadłem na drzewo, nakryłem się nogami i natychmiast dostałem skierowanie do 111 Szpitala Wojskowego w Poznaniu celem uzyskania stosownego orzeczenia kategorii wojskowej. Była to kat. „C”.

Na studiach zaprzyjaźniłem się z Winicjuszem Kozłowskim, na którego wołaliśmy Maciek. Maciek tak jak ja lubił muzykę. I nasze częste spotkania były jej poświęcone i długo mogliśmy o niej rozmawiać i słuchać. Gdy kończyliśmy studia Maciuś poprosił mnie, bym na taśmę magnetofonową nagrał mu jego ulubionych wykonawców. Zrobiłem tak i pewnego letniego dnia zawiozłem ją do Powidza.

Miejscowość i dom rodziców Maćka urzekły mnie swoim pięknem, ale najbardziej spodobała mi się najmłodsza siostra Macieja - Halina. Do tego stopnia, że się z nią ożeniłem. Od tamtej chwili nasze kontakty były jeszcze bliższe, bo rodzinne. Mimo naszych obowiązków zawodowych staraliśmy się często spotykać. Ja zostałem internistą, a Maciej chirurgiem. Ja związałem się z Szamotułami, a on z Gnieznem, Słupcą i Ostrowem Wielkopolskim. W 2005 roku Maciej zmarł w tragicznych okolicznościach [był bardzo aktywny fizycznie; zmarł tragicznie w 2005 roku: jadąc rowerem został potrącony przez samochód].

KRÓTKIE WSPOMNIENIE KOLEGÓW ZE STUDIÓW I OSÓB Z OTOCZENIA PO ODEJŚCIU JURKA „NA WIECZNY DYŻUR”.

Leszek Milanowski: „Kochani, dziś dowiedziałem się, że w czwartek, 21-go listopada 2024 r. odszedł nasz Kolega, mój Przyjaciel, Jurek Zgrajek. W czerwcu tego roku mieliśmy wspólnie pojechać na tradycyjne spotkanie naszego roku do Katowic - odmówił, mówiąc, że jedzie z pielgrzymką a dwa miesiące temu próbowałem Go namówić na wspólny wyjazd do naszego kolegi – też odmówił, mówiąc, że idzie na badania do szpitala. Teraz żałuję, że nie odwiedziłem Jurka choć mieszkaliśmy w odległości niecałych 100 km.... Odchodzimy sami, niespodziewanie, nie zdążamy się spotkać „ostatni raz”. Ja byłem szczególnie silnie z Jurkiem związany z powodu mojego szacunku do Jego odpowiedzialności wobec pacjentów w czasie Jego pracy zaraz po studiach. Od razu próbował przekazywać innym wiedzę medyczną na najwyższym nowoczesnym poziomie. Ale nie tylko – wiem, że potrafił składać wizyty pacjentom, których wcześniej konsultował, stojąc u ich drzwi o wpół do trzeciej w nocy. Kierował Nim niepokój o ich stan zdrowia a może niepewność diagnozy lub zalecanej terapii. Potrafił też przyjmować pacjentów do północy, bo każdego chorego próbował rozgryźć ‘do ostatniego atomu’. Dla mnie Jurek był wyjątkowy a od prawie pół wieku służył też kręgom seminaryjnym, zakonnym, klasztorным, które szczególnie doceniały Jego oddanie. Na Jego pogrzebie był tłum ludzi, jak podaje osoba uczestnicząca, ale chyba bez tak wielkich emocji jak nasze, gdyż zdołała policzyć, że w miejscu Ostatniego Pożegnania zgromadziło się aż 267 osób.

Cokolwiek byśmy nie myśleli o Jego życiu, aktywności, to był bardzo ciepłym, życzliwym człowiekiem, życzliwym wszystkim wokół siebie. Był niezwykle fanem współczesnej muzyki rozrywkowej, klasycznej, rockowej, miał niesamowicie bogatą płytotekę. W czasie naszych wspólnych studiów (1965-1971), na zajęciach wojskowych sporządzał własne listy wówczas aktualnych przebojów na które głosowali wszyscy studenci... Jurek, na pewno niedługo się spotkamy...

Ewa Barabasz z d. Kabat: Kochani Koledzy, nie chce się wierzyć i przyjmować do wiadomości o śmierci naszych studenckich kolegów. Lubiłam Jurka, „zalewał mnie” informacjami o muzyce. Na 50-lecie odnowienia dyplomów robił nam zdjęcia. Był serdeczny i wszyscy bez wyjątku Go lubili (...). Leszku, nie wyrzucaj sobie braku zainteresowania jego pobytem w szpitalu ale Ty jesteś bardzo bardzo zapracowany. Niezmiernie mi smutno. JUREK czemu to Cię spotkało? Przecież czekają nas wspólne wyjazdy, a Ciebie nie będzie! Wyrazy współczucia dla Rodziny.

Fragmenty postu zamieszczonego na Fb przez Dom Dziennego Pobytu – „Betlejemka” w

Szamotułach „Pan dr Jurek Zgrajek uczęszczał do Domu Dziennego Pobytu od 2005 r. Był mile widziany we wspólnocie. Przez wiele lat co tydzień prowadził zajęcia z seniorami, omawiając różne schorzenia i podejmując różne zagadnienia medyczne. Miał wiedzę bardzo szczegółową i praktyczną. Dostrzegał seniorów, którzy się źle mieli, udzielał porad i służył chorym seniorom nawet dowożąc im posiłek. Umiał bawić się, tańczyć i pięknie śpiewać. Śpiewał w zespole seniorów ‘Betlejemka’. Chętnie uczestniczył w różnych wyjazdach i zajęciach. Posiadał wielką wiedzę o ważnych miejscach w Polsce i na świecie – czasem lepszą od przewodników. Znał się na muzyce, zwłaszcza klasycznej, ale nie tylko. Na piosenkach i piosenkarzach. Na sztuce, malarstwie i malarzach. Przy swojej wielkości był pokorny i

życzliwy dla każdego. Seniorzy i pracownicy mają smutek w sercach, ale też ufność, że odpoczywa w pokoju, przez swoją wiarę i miłość” - s. Regina To tak trochę o naszym p. Jerzym, Jurku. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. s. Regina. **Komentarze do ww. postu:** „Prosimy Dobrego Boga, aby w tajemnicy śmierci Pana dr Jerzego, naszego Jurka, wypełniło się Słowo Boże: ...a duszę sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka... Dziękujemy za każde dobro, zwłaszcza za dobrą mowę i wrażliwość na człowieka w potrzebie, za pokorę, która wszystko znosi i zapomina, za dzielenie się wiedzą i mądrością. Ufamy miłosiernemu Bogu i jesteśmy blisko przez modlitwę. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen” - s. Regina

„Wielka strata. Rozmawiałam na wykładzie jeszcze we wtorek. Miły, spokojny i mądry człowiek. Spoczywaj w pokoju” - Danuta M.

„Niech spoczywa w Pokoju Wiecznym Nasz Drogi Niezapomniany i zawsze tryskający dobrym humorem Doktor Jerzy Zgrajek – Adrian P.

„Jurek nie chciał by aby ktoś się smucił. Kochał ludzi i muzykę!” - Jarosław J.

Zamieszczono 30 listopada 2024 r. w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=5097>, pt. Nasz śp. kolega ze studiów lek. med. Jerzy Zgrajek

Joanna Bukalska (z d. Musiał)

Z moich wspomnień z egzaminu wstępnego, to tyle, że na pisemnym z biologii pisałam o ewolucji któregoś z układów.

Ćwiczenia na anatomii miałam z dr Flejsierowiczem, który był bardzo sympatyczny, ale przygadywał mi, kiedy się mądrowałam, że na stomatologii to nie będzie mi potrzebne. Wtedy odpowiadał spokojnie „chciał nie chciał, ale musiał” (aluzja do nazwiska). No i studentka, czyli ja, musiała się nauczyć. W mojej anatomicznej grupie (I i II rok), był Krzysztof Kupczyk, który zawsze wszystko bardzo dobrze umiał. Podziwiałam go za to i zazdrościłam. Anatomię zdawałam przed terminem, co u profesora było chyba normą, chociaż układ pokarmowy i oddechowy (te najłatwiejsze) za drugim podejściem. Natomiast histologii uczyłam się i uczyłam, a termin egzaminu ciągle przekładałam prawie w nieskończoność. Ale nauka w Strzeszynie połączona z opalaniem, kąpielami i pogaduchami z Jasiem oraz jazdy skuterem – czerwoną Lambrettą – nie były sprzyjającymi okolicznościami - jeżeli chodzi o naukę, oczywiście. No ale na początku lipca zdałam. We wrześniu miałam poprawkę z biologii, ale też mi poszło nieźle.

Na juwenalia chodziłam z grupą studentów z prawa, bo Janek, a także moja siostra, studiowali na UAM. Pamiętam, że jednego razu mój kolega z podstawówki wdrapał się na PEGAZA na budynku opery [Najbardziej widowiskowa jest rzeźba Pegaza, stojąca na naczółku fasady budynku Teatru Wielkiego im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu. Według mitologii greckiej, Pegaz uderzeniem kopyta, spowodował wytrysnięcie wody ze źródła Hippokrene w Beocji. Źródło było poświęcone muzom, a jego wody wzbudzały natchnienie].

W marcu 1968 roku, kiedy działy się ważne sprawy, rodzice nie pozwolili mi chodzić na zajęcia. Nie byłam na ćwiczeniach z farmakologii, ale za to był śp. Marek Tuszewski i inni koledzy, którzy później poszli na demonstrację i kiedy ich rozgoniła milicja, Marek zgubił podręcznik do farmakologii, który był podpisany moim imieniem i nazwiskiem. Zostałam wezwana, za pośrednictwem naszego dziekanatu na przesłuchanie na ul. Kochanowskiego [Wówczas w budynku Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Poznaniu przy ul. Kochanowskiego 2a działała także Służba Bezpieczeństwa (SB, potocznie określana wraz ze swoim protoplastą jako bezpieka) – formacja powołana m.in. do zapewniania bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego kraju, działająca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i strukturach podległych w latach 1956–1989, a także w pierwszym roku istnienia III RP, ostatecznie rozwiązana w 1990 r. W końcowej fazie swojego istnienia (sierpień 1989 r.) ta służba specjalna zatrudniała 24 300 funkcjonariuszy, którzy nadzorowali 90 tys. tajnych współpracowników (TW) w Polsce[1] i wielu agentów wywiadu pośród obywateli obcych państw. Oznacza to, że na jednego funkcjonariusza przypadało statystycznie 1564 obywateli, a TW stanowili w przybliżeniu 0,2% ogółu ludności PRL].

Pani sekretarka dziekanatu, trochę wystraszona, przekazała mi tę informację. Miałam uzgodnioną wersję z chłopakami i jakoś się z tego wywinęłam, chociaż zdjęto mi odciski palców, a podręcznik też miał gładziutkie strony bo mu też zdjęto odciski palców.

Szkolenie wojskowe, to było coś głupiego. No, ale jak mus, to mus. Droga z mojego domu do Collegium Anatomicum (mieszkałam z rodzicami *vis a vis* akademika żeńskiego przy ul. Wawrzyniaka), to po prostu koszmar. Ciągłe spotykałam tam mundurowych, którym trzeba było salutować. Te okolice to koszary i 111 Szpital Wojskowy (róg ul. Stolarskiej i ul. Grunwaldzkiej). Wyjeżdżaliśmy na poligon, gdzie przeprowadzano ćwiczenia ze strzelania i musztry. Błoto było straszne. A nam kazali iść tyralierą. No poszliśmy. Potem padła komenda „tyraliera stój”. I zatrzymaaliśmy się zadowolone i stoimy i czekamy. Oficer, który prowadził te zajęcia wrzeszczy na nas, że „stój” oznacza to samo co „padnij”. Oczywiście żadna z nas w to błoto nie padła. Inne wydarzenie na wojskowych zajęciach z historii II Wojny Światowej, które zapadło bardzo w mojej pamięci, to pytanie śp. Hanki Beger o Katyń [Zbrodnia katyńska – zbrodnia popełniona przez NKWD poprzez rozstrzelanie wiosną 1940 roku prawie 22 tys. obywateli Polski (w tym prawie 15 tys. oficerów Wojska Polskiego i Policji Państwowej)]. Pułkownik był tak zaskoczony, że zrobił się czerwony na twarzy, nie wiedział co powiedzieć i kazał studentce usiąść, nie podejmując tematu. Potem w domu ojciec dokładnie opowiedział mi o Katyniu i o swojej drodze do niewoli rosyjskiej. O tym co tam przeżył i o wymianie jeńców z Niemcami. Na IV i V roku byłam pisarzem kompanijnym. To była fajna fucha, szczególnie na egzaminach końcowych z poszczególnych przedmiotów z wojska. Chyba byłam oceniana za to, co umiałam plus dodatkowo za pełnioną funkcję. Zdałam wojsko z oceną bardzo dobrą.

Z praktyk wakacyjnych, po IV roku odbywałam ją w Przychodni Kolejowej przy ul. Chudoby (dzisiaj ul. Taczaka), bo tam pracował mój tata. Tam „wyrobiłam” wszystkie ekstrakcje potrzebne do zaliczenia ćwiczeń z chirurgii stomatologicznej. Po III roku mieliśmy praktykę na chirurgii i internie. Razem z koleżanką Krysią Fogt chodziłyśmy na dodatkowe dyżury na chirurgię i doglądałyśmy pacjentów po wypadkach komunikacyjnych, szczególnie tych na motocyklach. Śledziłyśmy ich stan zdrowia i cieszyłyśmy się, jak zdrowieli szczególnie z ciężkich stanów (np. pęknięcia wątroby, śledziony, czy potłuczonych kości).

Na zajęcia na IV i V roku uczęszczał Zdzisiek Rybski. Skończył lekarski i dorabiał stomatologię, bo chciał pływać na statkach. Zrobił specjalizację z medycyny tropikalnej. Spotkałam się z nim w 1986 roku, kiedy wylądowałam na Zawadach [wówczas przy ul. Zawady mieściła się Klinika Chorób Zakaźnych Akademii Medycznej] z żółtaczką, którą się zaraziłam od pacjenta (nie było jeszcze obowiązkowych szczepień przeciwko wzw. typu B). Wiem że on potem bardzo chorował i zmarł chyba na raka płuc (palił papierosy i cygara).

W mojej grupie był też Michał Mormel. Miał przezwisko „prześcieradełko”, bo był zawsze bardzo blady. Był to miły i trochę nieśmiały chłopak. Trochę żartowaliśmy z niego, bo pochodził z Pacanowa i wszystkim kojarzył się z Koziołkiem Matołkiem Kornela Makuszyńskiego.

Studia ukończyłam w terminie. Między egzaminem ze stomatologii zachowawczej a chirurgią stomatologiczną wzięłam ślub cywilny z Jankiem Bukalskim. Całe studia chodziliśmy ze sobą i „wychodziliśmy” Magdę – naszą córkę, która urodziła się w grudniu 1970 roku. Egzamin z ortodoncji zdążyłam zdać w przedterminie w maju tego samego roku. W terminie była zachowawcza i chirurgia. Została protetyka u profesora Rudolfa Sarrazina [1906-1974]. Poszłam na przedtermin 30 czerwca, bardzo zdenerwowana. Szło mi dość słabo, ale dobra trójka mogła być. Profesor zapytał dlaczego tak się denerwuję. Odpowiedziałam mu, zgodnie z prawdą, że o 17-tej biorę ślub kościelny. Na to profesor dał mi w prezencie ślubnym ocenę bardzo dobrą, ale musiałam przyrzec, że się douczę i będę umiała protetykę na pięć. Tak się też stało!!!

Pracować zaczęłam 01.10.1970 r. w Przychodni Kolejowej i tak tam dobrnęłam do 31.12.2002 roku, kiedy to po 32 latach pracy zostałam zwolniona z powodu reorganizacji (miesiąc przed emeryturą).

Prowadziłam też praktykę prywatną do końca 2012 roku. Mam dwoje dzieci, pięcioro wnuków i jednego prawnuka.

Katowice, 2015 rok

Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)

Dziecięce marzenie i jego realizacja. Ciepłe powietrze unosiło zapachy wczesnej jesieni. Świat, w moich oczach, był jasny i barwny, pulsował szczęściem. A ja pędziłam, przed siebie, ulicami Poznania, by jak najszybciej doświadczyć tego, o czy marzyłam od najmłodszych lat. Miałam właśnie rozpocząć studia medyczne. Był to dzień 1 października 1965 roku.

*

Po zdanej maturze, w maju 1965 roku, podjęłam decyzję o kontynuowaniu nauki. Postanowiłam, że będę studiowała na Akademii Medycznej w Poznaniu. Dlaczego wybrałam właśnie takie studia? Kierowałam się empatią i dziecięcym marzeniem, że kiedy dorosnę, pomogę mojemu młodszemu bratu, zmagającemu się ze zdrowotnymi skutkami mózgowego porażenia dziecięcego. Jego leczenie i rehabilitacja nie przynosiły oczekiwanych skutków. Podjęłam więc decyzję, że zostanę lekarzem i zrobię wszystko, by mu pomóc. Z biegiem lat, okazało się, że moim przeznaczeniem jest jednak droga edukacji stomatologicznej. Egzaminy wstępne na studia, poprzedzone zostały dwutygodniowym kursem przygotowawczym, organizowanym przez ZMS [Związek Młodzieży Socjalistycznej]. Pamiętam, że uczęszczałam na zajęcia z Rysiem Musialikiem, który czynnie brał udział w wykładach, szczególnie z matematyki. Nie wyniosłam z tego kursu żadnych potrzebnych wiadomości. Uznałam jednak, że cóż szkodzi spróbować zdobyć indeks upragnionej uczelni? Ukończyłam bardzo dobre Liceum Ogólnokształcące w Gostyniu, z którego, oprócz umiejętności uczenia się, dyscypliny oraz dobrej organizacji własnej pracy, wyniosłam poczucie wiary w możliwość osiągania właściwych celów. Przyjechałam do Poznania i zamieszkałam u znajomych rodziców, w dzielnicy Dębiec, przy ulicy Brzozowej, położonej daleko od centrum. Nie stanowiło to dla mnie problemu, bo byłam przyzwyczajona do wczesnego wstawania. Z łatwością opanowałam sztukę poruszania się po mieście tramwajami. W pierwszym dniu egzaminów wstępnych, przyjechał mój tata, nauczyciel. Jego obecność, w tym momencie, miała dla mnie ogromną wartość. Egzamin, który odbył się w budynku, przy ulicy Szamarzewskiego, przeprowadzony był w formie pisemnej – po raz pierwszy, w historii rekrutacji uczelni, na ten kierunek studiów. Pisaliśmy wypracowanie na jeden z trzech tematów. W następnych dniach czekał nas tzw. egzamin testowy z chemii i fizyki – znacznie odbiegający od dzisiejszych testów, a także z języka obcego. Wybrałam język rosyjski, ponieważ miałam bardzo wymagającego, a jednocześnie wspaniałego profesora w szkole średniej. Po sprawdzeniu i ocenieniu prac, ci szczęśliwi, którzy przeszli pozytywnie dotychczasowy etap weryfikacji, zostali wezwani na rozmowę kwalifikacyjną, nazywaną wówczas „rozmową na inteligencję”. Wśród nich, byłam również ja. Doc. dr Andrzej Pilawski, fizyk, zadał mi pytanie, co to jest 1 atmosfera? Wyrecytowałam regułę i egzamin był zaliczony. Stojąc przy drzwiach sali egzaminacyjnej, wraz z innymi kandydatami, dowiadywałam się, że pytania były różne, na przykład, co to jest cybernetyka? Wówczas było to zagadnienie zahaczające niemal o sferę *science fiction*! Z niecierpliwością czekałam na wyniki egzaminów.

Aż w końcu, dowiedziałam się, że zostałam przyjęta na pierwszy rok studiów, z wysoką notą 121 punktów na 130 możliwych. W dniu uroczystej inauguracji roku akademickiego, byłam

immatrykulowana przez samego rektora, prof. dr hab. Witolda Michałkiewicza. Dzieliłam ten zaszczyt z kolegami: Danusią Pupek, Marianem Grzymisławskim, Stefanią Miłosz, po mężu Chella-Pernal, a także Romkiem Zommerem – dalekim krewnym, wspaniałym, kolegą szkolnym z rodzinnych stron, którego znałam od wczesnych lat życia.

W pierwszych dniach października, przyjechałam do Poznania. Zakwaterowałam się w akademiku przy ulicy Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce]. Otrzymałam miejsce w czteroosobowym pokoju, na czwartym piętrze. Zamieszkałam z Moniką Witaszek i Marylą, chyba Orłowską, koleżankami z Ostrowa Wielkopolskiego oraz z Wandą Malinowską, z Nowego Dworu Mazowieckiego. Nazwisko Maryli słabo pamiętam, bo była z nami tylko przez pierwszy rok. Wanda, również odeszła od nas po roku nauki, ale pozostała w mej pamięci jako dziewczyna bardzo barwna.

Rozpoczęłam samodzielne życie. Musiałam zadbać o siebie, organizować książki, fartuchy do ćwiczeń, czepki na głowę i załatwiać wiele innych spraw. Ten początek był dla mnie bardzo trudny, ale powoli wdrażałam się we wszystko. Z czasem okrzełam i czerpałam radość z samodzielności.

W akademiku, początkowo, miałyśmy w pokoju jeden podręcznik do anatomii, ale wkrótce każda z nas zaopatrzyła się we własny. Nigdy nie zapomnę pierwszych zajęć z tego przedmiotu i stresu przez wejściem do prosektorium. Wszyscy dzielili się z innymi swoimi makabrycznymi wyobrażeniami o tym, co nas za chwilę czeka. Atmosferę podkreślał niemiły zapach formaliny. Powoli oswajaliśmy się ze specyfiką ćwiczeń, „preparatami ludzkimi” – tak nazywały się zwłoki.

Realizację programu studiów rozpoczęliśmy od tematu „Kości”. Następnie przyszedł czas na pamiętne „Mięśnie”. Po przybyciu na zajęcia, zastaliśmy leżące, na stole do preparowania zwłok, ciało kobiety. Okazało się, że w tym dniu mieliśmy omawiać budowę mięśni grzbietu. W tym celu, należało odwrócić ciało, by znalazło się w odpowiedniej, do ćwiczeń, pozycji. Nikt nie kwapił się, by to zrobić. Dr Roman Zimny, który prowadził nasze zajęcia, zażartował, że skoro panowie, w silnej grupie, nie potrafią dać rady jednej kobiecie, to nie pozostaje nic innego jak odgórne wyznaczenie ochotników. Wybór padł na Romka Zommera i Zbyszka Wojdyłaka. Po tym „chrzcie” dwóch kolegów, ćwiczenia potoczyły się bez przeszkód. Na każde następne przychodziliśmy już z innym nastawieniem. Z czasem, na zajęcia w prosektorium, zaczęliśmy nawet przynosić kanapki. Pierwsze wykłady z anatomii, na których omawialiśmy kości kręgosłupa, mimo upływu wielu lat, wciąż tworzą w mej pamięci, wyraźny obraz tamtych dni. Trzeba było wykazać się na nich znajomością łaciny, którą znałam tylko z niedzielnych i świątecznych mszy w kościele [Odprawianie tradycyjnej mszy jedynie w języku łacińskim, zwanej trydencką, trwało do okresu reformy w 1970 r.]. Postanowiłam więc uczęszczać na lektorat z języka Wergiliusza. Na egzamin z anatomii przybyłam punktualnie. Przeprowadzał go prof. Józef Kołaczkowski – wykładowca bardzo przyjazny studentom. Byliśmy tzw. rocznikiem eksperymentalnym – niektóre przedmioty realizowaliśmy w mniejszym zakresie godzin niż nasi starsi koledzy. Studenci, którzy rozpoczęli naukę rok wcześniej, zaliczali anatomię dopiero po czwartym semestrze. Nam przydzielono ten obowiązek nieco wcześniej. By przystąpić do egzaminu, trzeba było zdobyć zaliczenie z ćwiczeń. I tu nie obyło się bez przygód. Mimo solennego przygotowania, nie mogłam zaliczyć przedmiotu Anatomia człowieka żywego, prowadzonego przez dra. Jerzego Fischbacha. Swoje trudy dzieliłam ze starostą roku, Jackiem Ratajskim. Zdawaliśmy według kolejności alfabetycznej. Jacek był na liście zaraz po mnie. Mieliśmy zawsze te same pytania. Mój kolega: „kostne ograniczenie nosa”, ja, „kostne ograniczenie oczodołu”. Walczyliśmy o zaliczenie trzy razy. Egzamin się zbliżał, a nasza sytuacja stawała się coraz poważniejsza. W końcu Jacek wykazał się charyzmą godną starosty roku. Dowiedział się, że jeśli nie możemy uzyskać zaliczenia u prowadzącego danego przedmiotu, to możemy spróbować je zdobyć u opiekuna roku, doc. Grottela [prof. dr hab. Kazimierz Grottel (1930-2017), wieloletni pracownik Katedry i Zakładu Anatomii Prawidłowej i były

kierownik Zakładu Patofizjologii Narządu Ruchu Akademii Medycznej w Poznaniu; nie wiedzieliśmy wtedy, bo w czasach PRL tym się nie chwaloło, że był to żołnierz Armii Krajowej (ps. „Dzidek” i „Patyk”) w okręgu Łódź inspektorat Piotrków Trybunalski, obwód Pabianice]. Pan docent przepytwał nas niezwykle skrupulatnie. Można powiedzieć, że zweryfikował naszą anatomiczną wiedzę „od stóp do głów”. Udzielaliśmy odpowiedzi w oparciu o zdjęcia rentgenowskie. Oboje zdaliśmy na piątki. Potem, dotarliśmy do przyczyny naszych kłopotów. Była tragikomiczna. Pan dr Jerzy Fischbach, który jednocześnie prowadził Chór Akademii Medycznej, zachwyił się moim głosem i dykcją. By nie budzić podejrzeń, postanowił przepytawać nas w damsko-męskich parach. Dobrał kolegę następnego z listy i padło na Jacka. W wesołym nastroju, pewni swej wiedzy, już bez przeszkód zdaliśmy egzamin z anatomii.

Biologia była postrachem wszystkich studentów, choć ćwiczenia przebiegały całkiem przyjemnie. Siedziałam przy jednym mikroskopie z Leszkiem Maziarzem. Każde ćwiczenia zaliczałam na wysokie oceny. Nadszedł egzamin ze słynnym prof. Czesławem Gerwelem. Był to szok i koszmar. W pierwszym terminie nie zdążyłam udzielić odpowiedzi i już byłam za drzwiami. Drugi raz, tak samo. Pozostał egzamin komisyjny. Był to najgorszy moment w moim studenckim życiu. „Komis” zdawałam we wrześniu i w tym całym nieszczęściu, spotkało mnie szczęście. Zostałam przydzielona do grupy studentów zdających u doc. Piotrowskiego. Pan docent okazał się być człowiekiem przyjemnym i taki również był egzamin, który zdałam już bez problemów.

Matematyka również budziła niepokój całego roku, tzw. matematyka wyższa – całki i różniczki. Przedmiot kończył się zaliczeniem w formie pisemnej. Ten, komu się nie powiodło, musiał ponownie próbować szczęścia u prowadzącego. Już sama myśl o tym była straszna. Tutaj znów muszę odwołać się do mojego liceum. Myślę, że dzięki dobrej znajomości teorii, zdobytej w szkole średniej, a także sprytowi, udało mi się zaliczyć ten przedmiot na ocenę dobrą.

Histologię zdałam za drugim podejściem. Problemem okazały się preparaty, które, w zakresie mojej percepcji, wyglądały jednakowo.

Po trzecim semestrze studiów, otrzymałam w akademiku, inny pokój. Zmiana lokalu była tożsama ze zmianą współlokatorek i atmosfery miejsca, na bardziej rozrywkową. To były bardzo miłe dziewczyny, ale stwierdziłam, że będzie mi trudno uczyć się w warunkach bezustannej zabawy i zaczęłam szukać innego zakwaterowania. Ktoś powiedział mi, że jedna z koleżanek, Hania Paluszkiewicz, szuka współlokatorki, by opłacić czynsz za mieszkanie, po zmarłej babci. Zdołałam adres i pojechałam. Hania mieszkała na Wildzie, przy ulicy Langiewicza. Gdy tam dotarłam, drzwi otworzyła mi ciocia Hani, p. Ola, która była siostrą babci. W pierwszej chwili, widok cioci, wzbudził we mnie lekki niepokój. Przedwojenny styl jej stroju przeplatał się z powierzchowną surowością. Zostałam zaproszona do mieszkania i powiadomiona, że Hania jeszcze nie wróciła z zajęć. Czekaając na, nieznaną mi jeszcze wtedy, koleżankę, byłam solennie przepytwana skąd pochodzę i kim są moi rodzice? Rozmowa ta trwałaby pewnie dłużej, ale we właściwym momencie stanęła przede mną oczekiwana osoba. Od razu porozumiałymy się w sprawie warunków najmu. Tak to zamieszkałam na prywatnej kwaterze. To był fantastyczny czas. W osobie cioci i Hani, miałam namiastkę rodziny, za którą bardzo tęskniłam. W kamienicy obok, mieszkał doc. Włodzimierz Zwoździak, neurolog. Był to starszy pan, który czasami siadał na balkonie. Wówczas, ukradkiem, spoglądałyśmy na niego, przesyłając serdeczne uśmiechy.

Po studiach, Hania, ukończyła specjalizację z ginekologii i położnictwa. Przez lata, była kierownikiem przychodni w Kobiórze, na Śląsku. Przeprowadziła rozbudowę tej placówki, poszerzając jej działalność w zakresie dodatkowych usług medycznych.

Nadszedł marzec 1968 roku. Na początku, nie wiedziałam co się dzieje. Uświadomili mnie koledzy. W ramach studiów, realizowałam studium wojskowe. Byłam dowódcą plutonu. Podczas jednego zebrania, pytano nas o zdanie na konkretny temat. Zachęcano do swobodnych wypowiedzi z zastrzeżeniem braku konsekwencji. Jedna z koleżanek, która na to przystała, musiała później powtarzać rok, a była dobrą studentką.

Drugi rok, był pod znakiem chemii nieorganicznej i organicznej. Przedmioty te, wymagały systematyczności i uwagi. Pamiętając o tym, nie miałam z chemią problemu, byłam spokojna. Lecz i tu pojawiło się pewne zaskoczenie. Spodziewaliśmy się wykładów z prof. Zdzisławem Stolzmannem [1906-1997], ale uwarunkowania polityczne roku 1968, spowodowały, że Pan profesor opuścił Polskę.



Zdzisław Stolzmann

Zastąpiła go pani doc. Halina Karoń [(1924-2011), profesor zwyczajny, Kierownik Katedry i Zakładu Chemii Fizjologicznej w latach 1969-1995, w latach 1966-1972 Prodziekan Wydziału Lekarskiego]. My studenci, byliśmy zadowoleni ze zmiany prowadzącego, bo Pan profesor słynął z niezwyklej surowości. Każdego roku, nieliczna grupa studentów przechodziła zwycięsko przeprowadzany przez niego egzamin. Pani Docent była uczennicą Profesora i choć uchodziła za Jego wierną kopię, znacznie łatwiej było zdobyć u niej ocenę pozytywną. Chemia nieorganiczna, nie była też specjalnym

wyzwaniem, pod warunkiem, że studentki podarowały sobie wykonanie porannego makijażu przed zajęciami z prof. Stefanem Bączykiem...



[Stefan Bączyk urodzony w Landgner (Niemcy 1911-2001). W 1934 r. uzyskał maturę w Poznaniu, odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim W 1933 r. rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno- Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. Był pionierem biochemii sportu w Polsce i odegrał kluczową rolę w rozwoju tej dziedziny. Pełnił funkcję rektora Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego oraz Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu (lata 1965- 1995). Był związany z Uniwersytetem Medycznym im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu gdzie był profesorem chemii. Zmarł w 2001 r.(Muzeum AZS, UAM, UMP Poznań)]

Wojsko. Była jedna kompania w skład której wchodziły dwa plutony. Byłam dowódcą jednego z nich. Dowódcą kompanii była Alicja Kaczmarek [później: Michalewicz]. Na jednych zajęciach major

Andrejczuk wymyślił, że zorganizuje nam zabawę ze studentami Wyższej Szkoły Wojsk Pancernych. Byliśmy nawet chętni, bo dlaczego nie potaćzyć, ale powiedział, że mamy iść w mundurach. Oczywiście nastąpił bunt z naszej strony, bo powiedziałyśmy, że możemy iść, ale w ubraniu cywilnym. I do zabawy nie doszło. Na strzelaniu miałam problem. Jestem leworęczna i do strzelania zamykałam prawe oko, a przez to nie mogłam zgrać muszki i szczerbinki. Dopiero któryś z kadry zauważył co robię i skorygował moje poczynania. Wtedy poszło dobrze. Kiedyś pojechaliśmy na poligon do Biedruska. Było bardzo zimno. Stałyśmy skulone i ściśnięte, żeby się trochę ogrzać. Major Andrejczuk wydał rozkaz: „kierunek niebo, w miejscu, biegiem, marsz.” Nie wiedziałyśmy o co u chodzi i on się denerwował. W końcu dotarło do nas, że ten dziwny rozkaz był tylko po to, abyśmy się rozgrzały.

Fizjologia należała do grupy przedmiotów przyjemnych. Ćwiczenia były realizowane w miłej atmosferze, choć czasem z dreszczykiem grozy, z powodu żab i myszy. Sam egzamin też miał spokojny przebieg. Prof. dr Edward Chróścielewski [?], zadawał pytania i, razem ze studentem, odpowiadał na nie.

Na trzecim roku, postrachem była mikrobiologia, prowadzona przez prof. Józefa Wizę [zupełnie nieznany był nam wówczas Jego życiorys - niezwykłą biografię prof. Wizy zamieszczono w rozdziale Nasi Wykładowcy]. Zdawałam egzamin z tego przedmiotu z Zosią Muchą i Dziką Szczekocką. Zdaliśmy na oceny pozytywne, czwórki. Bardzo wiele naszych koleżanek i kolegów nie miało tyle szczęścia co my. W sesji letniej, czekały nas kolejne egzaminy, z zakresu chorób wewnętrznych, tzw. „interny”, a także z chirurgii, pediatrii, higieny. Najbardziej zapamiętałam „interne”, bo prowadzący ją doc. Stasiński, bardzo lubił kolor niebieski. Uwielbiał tę barwę do tego stopnia, że sława jego upodobań rozeszła się szerokim echem po całej Akademii Medycznej. Każda studentka wiedziała, że błękitny strój egzaminacyjny to absolutny pewnik sukcesu w czasie sesji.

W lipcu, przed czwartym rokiem studiów, realizowałam czterotygodniową praktykę zawodową, z zakresu chirurgii i „interny”, w Szpitalu im. Hipolita Cegielskiego. Na oddziale chirurgii, udało mi się uczestniczyć przy zabiegu usuwania wyrostka robaczkowego. Operowana była młoda dziewczyna, bez pewnej diagnozy, czy to faktycznie jest wyrostek? Finalnie, ku zadowoleniu lekarza prowadzącego, okazało się, że jego przypuszczenia były słuszne. Wyrostek był umiejscowiony nietypowo i w każdej chwili mogło dojść do tragedii. Zabieg zrobił na mnie duże wrażenie. Byłam dumna ze swojego uczestnictwa w tym wydarzeniu, choć wówczas, moim zadaniem, było wyłącznie ocieranie potu z czoła chirurga. Na „internie” nauczyłam się wykonywać iniekcje dożylnie. Pozwolono mi wstrzykiwać pacjentom Strofantyne i Calcium. Dzisiaj, kiedy o tym myślę uważam, że było to trochę niefrasobliwe ze strony lekarzy, którzy opiekowali się nami podczas praktyk. Na naukę miałam tylko jeden dzień. Jednak, dzięki tym doświadczeniom, stałam się jeszcze bardziej odpowiedzialna i wzbogacona o umiejętność właściwego skupienia. Najlepszą nagrodą i motywacją był dla mnie natomiast brak skarg i zażaleń ze strony pacjentów. **[dalej Joanna niezmiernie interesująco i barwnie opowiada o Chórze Akademii Medycznej, wojażach a nawet życiu towarzyskim Chórzystów – jednak całość przeniesiono do rozdziału pt. NIEZAPOMNIANY CHÓR AKADEMII MEDYCZNEJ– przyp. JTM]**

Zaraz po studiach, wyszłam za mąż i wyjechałam na Śląsk. Zamieszkaliśmy, z mężem, najpierw w Chorzowie, a potem w Katowicach, gdzie od początku podjęliśmy pracę. Mąż, obecnie profesor historii, został zatrudniony najpierw w Śląskim Instytucie Naukowym, a następnie na Uniwersytecie Śląskim. Ja natomiast, przez 21 lat praktykowałam w higienie szkolnej.

Pogłębiałam wiedzę i poszerzałam kompetencje na kursach doszkalających w klinikach w Zabrze i w Warszawie. W latach 90. zatrudniłam się, dodatkowo, w sektorze prywatnym. Pierwszą placówką stomatologiczną, tego typu, w Katowicach, było MED CENTRUM, przy ul. Kościuszki, z którą byłam związana przez cztery lata. Realizowałam się również w pracy dydaktycznej, w Studium Medycznym

nr 1 w Katowicach, na Wydziale Higieny Stomatologicznej. W 1995 roku otworzyłam własny gabinet stomatologiczny, w którym nadal przyjmuję pacjentów.

Prywatnie, jestem mamą dwóch córek, Małgorzaty (politologa, doktora habilitowanego nauk humanistycznych, pracownika Uniwersytetu Śląskiego) i Ewy (grafika plastyka, fotografa artystycznego, historyka kultury i sztuki, pedagoga, bibliotekoznawcy, specjalisty w zakresie informacji naukowej oraz public relations).

Moje życie wzbogacają także dwie wnuczki: ośmioletnia Marta oraz sześcioletnia Aleksandra. Kiedy na nie spoglądam, nasuwa mi się pytanie – ciekawe, jakie w nich kiełkują marzenia?

Józef Ryżko.

Bardzo interesującą i barwną opowieść o czasach studenckich Kolegi prof. Józefa Ryżko można znaleźć w Jego wspomnieniu o śp. Szymonie Tyliszczaku. Redaktorzy Pamiętników zapraszają by poczytać, bo naprawdę warto....

Kazimierz Petrykowski – Kajtek (1947- 1967???)*. Wspomnienia Leszka Milanowskiego i Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz z Filharmonią i barem 'Kociak' w tle)*

OPOWIADA LESZEK MILANOWSKI: Wszyscy pamiętamy naszego pierwszego i najlepszego starostę Roku wybranego już w październiku 1965 roku. Wszyscy Go pamiętamy jako faceta żywiołowego, zawsze pogodnego, rozwiązującego łatwo wszystkie problemy. Faceta który był autentycznie dla wszystkich życzliwy i który na pewno nie miał wśród nas wrogów. Tragiczna samobójcza tajemnicza śmierć nas wszystkich zaskoczyła. Nie mówi się o sprawach tajemniczych i niewyjaśnionych. Chciałbym o Kajtku napisać trochę moich wspomnień i może rzucić światło na Jego tajemniczą tragiczną śmierć. **Nasz kolega Andrzej Hyży.** Zacznę niestety od Andrzeja Hyżego – bo to z Nim wiąże się tragiczna śmierć Kajtka. Gdy po spraniu mnie po głbie przez Olę odszedłem z grupy 15-tej, przeniósłem się do pierwszej, gdzie był Andrzej Hyży. Uzyskał On 120 punktów na egzaminie wstępnym i dla mnie był wzorem niedoścignionym. Wówczas, ale nie po śmierci Kajtka. Dlaczego był wzorem tylko wtedy, to później. Na drugim roku razem z Andrzejem zaczęliśmy równoległe studia na Uniwerku na chemii. Mi przeszło po kilku miesiącach, ale Andrzej dociągnął do końca i też przerwał. **Dyskusje o Lemie.** Prawie cały czas do śmierci Kajtka chodziliśmy we trójkę z Andrzejem między Obozową i Gospodą Targową na Grunwaldzie, gdzie obaj najpierw osobno potem wspólnie mieszkali. Dyskutowaliśmy o Lemie i gdy ja się zatrzymałem na „pilocie Pirxie „, Oni przedstawiali wyższość „Dzienników znalezionych w wannie”. **O zaangażowaniu politycznym.** Przed śmiercią Kajtek mieszkał w jednym dwuosobowym pokoju z Andrzejem, co było rzadkością. Kajtek nigdy nie angażował się politycznie, a Andrzej wciągnął mnie do ZMS [skrót od nazwy Związku Młodzieży Socjalistycznej] i nawet organizowałem Studencki Ośrodek Dyskusyjny. Gdy nie chciałem podpisać tzw. „deklaracji potępiającej wichrzycieli i młodzież bananową” przyniesionej z KW PZPR [Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej] – która zresztą z prawdziwymi robotnikami nie miała wiele wspólnego] przez szefa ZMS tow. ?Piszcza. Nawet Andrzej nie mógł mnie obronić, bo mówił mi że „taka jest teraz potrzeba”. Niech mu tam. Zostałem usunięty z ZMS-u. Po wyrzuceniu nie chciano mnie puścić na praktykę do Anglii. I tak w końcu pojechałem, bo Marek Lehmann zrezygnował na rzecz Szwajcarii, a nikogo innego z angielskim nie mieli. Dlaczego ten długi wstęp? Andrzej był członkiem miłośnicwie wówczas panującej przodującej siły Narodu [tak nazywano oficjalnie i a przez ogół ludzi – prześmiewczo Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą – PZPR]. Andrzej Hyży był głęboko przekonany o słuszności idei. Po Marcu 1968 roku moje kontakty z Andrzejem się rozluźniły, ale nadal w pewien sposób szanowaliśmy się. Tak długi wstęp do Kajtka był potrzebny, żeby zobaczyć Jego miejsce przed tragiczną śmiercią.

Kajtek najbardziej przyjaźnił się z Bolkiem Stawnym. Choć uważałem Go za swojego drugiego, po Andrzeju idola. **Jak poznałem Kajtkę.** Poznaliśmy się jeszcze przed Jego wyborem na Starostę Roku. Zawsze się spóźniałem. Anatomia była o 3-ciej i o tej porze na 'bimbach' [gwarowa, pieszczotliwa nazywa poznańskich tramwajów] wisiały „winogrona” [tak mówiło się potocznie o żywej masie ludzkiej skłębionej przy wejściu do tramwaju – bo taboru było za mało, autobusy i tramwaje jeździły wolno a drzwi nie były zamykane przez motorniczego – więc nadmiar wisiół ledwie się trzymając – albo nawet lokował na zderzakach]. Byłem wśród nich. Tuż przed przystankiem na Przybyszewskiego po prostu odpadłem. Ktoś popchnął? Straciłem równowagę, patrzyłem tylko by nie wpaść pod kola. Ledwo wstałem podbiegł do mnie chłopak z roku, pomógł się otrząść i razem jeszcze do tej „13”-tki się wepchaliśmy. To był Kajtek na którego z przekonaniem później również głosowałem. **Dyskusje nad artykułami Rema.** Pamiętam najpierw gorące z Nim dyskusje o artykułach z Życia Literackiego: „Viola da gamba” i „Viola d’amore” pisane przez niejakiego Rema [Jerzy Urban, w latach 1957-1961 oraz 1964-1969 objęty zakazem druku, publikował pod pseudonimami (m.in. Jan Rem, Jerzy Kibic). Od 1961 r. do 1981 r. kierował działem krajowym w tygodniku „Polityka”. W sierpniu 1981 r. został rzecznikiem prasowym rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego]. Przemyczał ciekawe spojrzenia na system choć potem okazał się być rzecznikiem rządu Jaruzelskiego – to ten, który zasłynął wypowiedzią: „Rząd i tak zawsze sam się wyżywi”. Wtedy jeszcze w latach 60-tych był ciekawą jakby opozycją. **Koncerty w poznańskiej Filharmonii.** Chodziliśmy na Koncerty Poznańskie z Mariolą Hołogą [Mariola Jolenta Nowakowska] i Tereską Tułecką. Tam spotkaliśmy Kajtkę i odtąd chodziliśmy razem. Kajtek wspaniale interpretował np. Vivaldiego „Cztery Pory Roku”, Symfonie Beethovena i Koncerty Czajkowskiego. Zarażał nas swoją wyobraźnią. Na koncerty wchodziliśmy tajemnymi wejściami bez biletów. Na konkursie Wieniawskiego chyba w 1967 roku razem z Kajtkiem po przejściu przez Collegium Iuridicum i garderobę artystów z jaskółki (tak nazywano najwyższe piętro w teatrze, operze czy filharmonii, często nieomal przychepione pod sufitem – zwykle przypominające gniazdo jaskółki – z bardzo słabą widocznością ale za to bardzo tanie – przyp. Z. K.) wypatrzyliśmy dwa wolne miejsca w pierwszym rzędzie obok Profesor Ireny Dubiskiej na finałowym koncercie. Usiedliśmy jak najważniejsi goście. No bo przecież na te miejsca nie trzeba było kupować biletów. Głośno i długo biliśmy brawa wspaniałemu Rosjaninowi (muszę sprawdzić nazwisko) ale Pani Dubiska patrzyła na nas zgorszona jak na komunistycznych prowokatorów. Wtedy pierwszy raz widzieliśmy i słuchaliśmy wspaniałego Konstantego Kulkę [Konstanty Andrzej Kulka (ur. 5 marca 1947 w Gdańsku) – polski skrzypek wirtuoz, solista, kameralista, pedagog]. **Pochodzenie Kajtkę.** Kajtek pochodził z biednej rodziny o której niechętnie opowiadał, ale to było widać. Czasem zapraszałem Go na Obozową do Cioci, ale chyba lepiej czuł się gdzie indziej. Myślę, że ten tajemniczy kolega Marioli za którego zjadłem u Jej Mamy obiad, to właśnie był Kajtek. On nigdy sam się nie narzucał, ale czasem razem chodziliśmy na tzw. „zupy” lub „resztki” do stołówki przy Parku Kasprzaka [obecnie Park Wilsona]. **Kajtek najlepszym studentem na medycynie bo „ta wiedza jest prawdziwa i potrzebna” mówił.** Kajtek miał same bardzo dobre oceny. Był najlepszy na roku. Nauka i egzaminy przychodziły Mu niezmiernie łatwo. Naprawdę był bardzo zdolny. Kiedyś mi powiedział, że repetował którąś klasę w szkole średniej i miał słabe stopnie. Nie chciało mi się wierzyć. Zresztą też na studia się dostał z nie najlepszymi ocenami. Powiedział, że szkoda było mu czasu by uczyć się nieważnych rzeczy. Teraz na medycynie to jest prawdziwa i potrzebna wiedza – to było Jego zdanie. Chłonał Ją całym sobą. Tak samo jak kulturalne życie Poznania. **Poza medycyną studiuje psychologię.** Gdy na trzecim roku zapisał się na psychologię zapisałem się z Nim. Chodziliśmy razem na statystykę, filozofię, matematykę ale do dziś pamiętam wykłady i prace z osobowości. Nasza edukacja zakończyła się po roku, bo Kajtek powiedział, że „nie będzie stawiał browaru, gdy chce tylko wypić piwo”. Ja napisałem pracę o osobowości noworodka i niemowlęcia, o czym teraz mówi w Poznaniu Profesor Monika Brzezińska z Katedry Psychologii Wieku Rozwojowego zawierając moje spostrzeżenia, choć nie podając mnie, jako źródła. **Nurkowanie.** Ponieważ z Kajtkiem stwierdziliśmy, że mamy jeszcze trochę czasu chodziliśmy

razem na kurs żeglarski prowadzony w Radzie Okręgowej przez Marka Orkiszewskiego (późniejszego niepokornego docenta, chirurga dziecięcego) i na kurs dla pletwonurków. To zamiłowanie do nurkowania Kajtka pośrednio zgubiło. Po kursie uczestnicy mieli jechać na obóz do Jugosławii. Ja też miałem jechać z Kajtkiem, ale wydawało mi się za drogo. A poza tym przede wszystkim w ostatniej chwili dostałem praktykę do Glasgow. Teraz pracowałem kilka miesięcy w tym samym szpitalu i spotkałem Mr Spencera, któremu 50 lat wcześniej asystowałem do Jego pierwszych samodzielnych operacji. Może i dzięki temu, że nie pojechałem z Kajtkiem ja żyję do dziś gdy On odszedł?

Europejskie wojaże Kajtka i nierozwiązana zagadka. Nie wiem skąd Kajtek miał forszę, bo na pewno Rodzice Mu nie dali. Może tu ktoś Go za coś zasponsorował? Jak wrócił i spotkaliśmy się na początku października to z entuzjazmem opowiadał, że po tym obozie się urwał i zjeździł całą Europę. Wiedeń, Niemcy, Paryż przez całe dwa miesiące. Gdy Go spytałem za co jeździł, to mówił, że trochę pracował i że „zawsze jakieś pieniądze się znajdują”. Zazdrościłem Mu jego włóczęgowskiej duszy, ale nie zdawałem sobie sprawy jaką cenę za to musiał zapłacić. Nie chcę nic sugerować, ale pewno znów ktoś Mu musiał dać jakąś kasę. Może z drugiej strony? **Andrzej, Kajtek w pułapce i moje rozważania.** I tu powrót do Andrzeja. Kajtek do tego czasu mieszkał chyba z Winicjuszem Kozłowskim i jeszcze kimś. Po powrocie z Zachodu dostał dwójkę razem z Andrzejem. Kajtek, całkowite zaprzeczenie politycznego zaangażowania z głęboko zaangażowanym członkiem partii Andrzejem. Obaj nie żyją, więc mogę sobie pozwolić na moją analizę tego, co się z Kajtkiem stało. Andrzej mówił mi, że Kajtek jest w depresji. Mogę podejrzewać, że albo Partia chciała z Kajtka zrobić TW [tajnego współpracownika] ale raczej to te nieznane pieniądze z Wiednia Kajtka zgubiły. Myślę, że ktoś mógł na Niego naciskać, żeby się wywiązywał ze zobowiązań na rzecz tzw. „Zachodu” a Andrzej dostał polecenie pilnowania Go. Kajtek był w pułapce. Zamknął się w sobie. Już nie chodziliśmy na koncerty, żadne zajęcia dodatkowe, żadne spotkania. W KAJTKU WIDZIAŁEM JAKBY „ZASZCZUTEGO PSA”. NIE ROZMAWIAŁ Z NIKIM, TYLKO Z ANDRZEJEM. **Szpital psychiatryczny.** Pamiętacie wszyscy że znalazł się w Szpitalu Psychiatrycznym na Śląsku? Chyba był tam dwa razy. Po pierwszym krótkim pobycie szybko nadrobił zaległości, ale potem poszedł na dłużej. Gdy Go widziałem między tymi pobytami, wydawał się spokojny, ale już nie tak entuzjastyczny. Jakby gryzła Go jakaś tajemnica. Zmiana była zbyt widoczna i zdecydowanie wiązałem to z Jego pobytem na obozie pletwonurków i późniejszym wyrwaniu się na Zachód. Tak. Odniosłem wrażenie, że On wcale nie jest chory psychicznie a tylko symuluje. Dla mnie to była jakby chęć schowania się przed czymś za zasłoną rzekomych zaburzeń psychicznych. Widział na psychiatrii swoje bezpieczne miejsce, bo tam nikt Go nie mógł osiągnąć, mógł swoje zagubienie składać na karb rzekomej choroby. Dlaczego chcieli Go zwolnić? Dlaczego nie powiedział lekarzom o przyczynach swojego ukrywania się? A może lekarze też dostali jakieś polecenia i też się bali o siebie? Wiemy wszyscy że Kajtek powiesił się w łazience w Szpitalu z wypisem w ręku....**Dlaczego Kajtek odszedł?** Wydaje mi się, że nie widział już dla siebie wyjścia. Ktoś mógł Go szantażować, może grozić Jego Rodzinie i Kajtek już nie widział innego sposobu żeby to wszystko ratować. Która strona? Może obie? Kajtek czuł się w potrzasku bez wyjścia między siłami silniejszymi od Niego. On zawsze wygrywał. Był na studiach najlepszy a trafił na siły potężniejsze. Jestem pewien, że mam rację, bo zbyt dobrze Kajtka znałem. Widząc i pamiętając jego optymizm, żywiołowość i autentyczną fascynację medycyną, przyczyną Jego samobójczej śmierci nie mogła być choroba psychiczna. Moim zdaniem stał się ofiarą własnego przekonania, że Jemu musi się wszystko udać. Gdy znalazł się w sytuacji bez wyjścia, skończył ze sobą. **Co powiedział po latach Andrzej.** Te moje przypuszczenia potwierdziła po kilku latach rozmowa z Andrzejem, gdy Go wprost się spytałem, czy Kajtek zginął przez depresję. – Nie, było coś silniejszego od nas wszystkich, padła Andrzeja skąpa odpowiedź. Nie chciał powiedzieć co i tę tajemnicę zabrał już do grobu. **Pogrzeb Kajtka.** Na pogrzeb Kajtka pojechało nas kilkanaście osób z roku. Bez Andrzeja Hyżego z którym przecież mieszkał do końca. Czy Andrzej czuł się winny? Nie wiem i nie sędzę, bo nawet gdyby chciał nie mógł Kajtkowi w niczym pomóc. Nasz wielki żal i smutek, gdy trumna z Kajtkiem była składana do ziemi. Łzy same

ciekły całej naszej delegacji. Pamiętam, był ksiądz. A wtedy samobójców nie chowano z księdzem. Może był to wpływ Jego rodziny, ale Ksiądz był stary i jakby dobrze znał Kajtkę. Mówił o krótkim życiu które musiało się skończyć. Brzmiało to jakoś dwuznacznie. Może Kajtek Mu się spowiadał przed śmiercią? Żal ogromny. Siedzieliśmy z Jego Rodziną przy wspólnym stole. Opowiadaliśmy Im jaki Kajtek był wspaniały. Trudno było coś więcej mówić, bo Jego Rodzice ciągle płakali. Nie pamiętam, czy miał rodzeństwo, ale chyba tak. **Nasz powrót z pogrzebu.** Wracaliśmy pociągiem ze Śląska do Poznania nocą. Chyba ze 16 osób w jednym przedziale. Na pewno był Bolek Stawny ze swoją przyszłą Żoną bo pamiętam, jak swoimi butami siedząc na półce, wycierał nogi o moją czuprynę, co mi absolutnie nie przeszkadzało. Była Mariola Hołoga, nie pamiętam czy Tereska Tułeczka, choć były nierozłączne. Może odezwie się ktoś jeszcze którego nie pamiętam? Przez całą noc chyba ze 6 godzin śpiewaliśmy piosenki studenckie. Było nam naprawdę ciężko i trzeba to było jakoś rozładować. To był jakby hymn dla Kajtki. Jak już Jego nie było uczciliśmy Go śpiewem. To był jakby „najweselszy powrót z pogrzebu”. Nie żałuję. Śpiewaliśmy dla Kajtki. Na pewno by sobie tego życzył...

Kajtek mógł być wspaniałym mądrym, współczującym, wykształconym, kompetentnym lekarzem. Chyba nawet rozmawialiśmy o chirurgii, która problemy rozwiązuje radykalnymi cięciami, jak On to opowiadał.

Jak zakończyć? Cześć Jego pamięci brzmi zbyt banalnie... Leszek Milanowski. Birmingham październik 2018. Pół wieku po...

JERZY T. MARCINKOWSKI. Pamiętam dokładnie scenę na obozie studenckim? (nie pamiętam gdzie) jak siedzieliśmy w lesie na trawie i Kajtek Petrykowski podszedł do nas z plikiem grubych, białych kopert pełnych dużego formatu kolorowych zdjęć. W każdej kopercie miał zdjęcia z innego, dużego miasta z Europy Zachodniej – coś dla nas wówczas absolutnie niedostępnego! Berlin Zachodni, Paryż, Rzym... I wszędzie na tych zdjęciach był On. Z wielką pasją opowiadał o tym co widział. Ale nic nie wspominał o tym kto mu zafundował tę wspaniałą podróż.

Tekst zamieszczono 14 października 2018 blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4353> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (11).Kazimierz Petrykowski (Kajtek) stale obecny w naszej pamięci....

ZOFIA KONOPIELKO Z D. ŁUKASZEWICZ: Nasz kolega z roku, Kajtek był niezapomnianym animatorem naszych dusz. Ten chłopak uosabiał samą radość życia, temperament i aktywność. Ukończył studia medyczne z bardzo dobrym wynikiem. Wkrótce potem zmarł jak podają niektórzy koledzy z powodu guza mózgu. Losie, okrutny losie, dlaczego...

Kajtek. Był naszym kolegą z roku. Spotykaliśmy na korytarzu przed zajęciami z anatomii, ale nie przypominam sobie dokładnie w jakich okolicznościach Go poznałam. Teraz, po latach wiem, że przez Leszka, z którym miałam szczęście być bliżej. Właściwie obaj Chłopcy nieomal się zdawali Jednością – tak bardzo podobni – może niezupełnie fizycznie – ale ten sam temperament, wielka inteligencja, radość życia, empatia, wielość zainteresowań i potrzeba integrowania wszystkich.

Był niewysoki, dość masywnie zbudowany, wiecznie radosny, tryskający energią i wielką zaraźliwą siłą ducha. To on był naszym prowodyrem, ojcem duchowym szaleństw. Tworzyliśmy wtedy paczkę kumpli. Użyłam określenia – szaleństw. Uśmiecham się teraz do tych wspomnień z przeszłości. Jakież one były niewinne a ile dawały niezapomnianej dziecięcej radości. Na przykład jednego dnia Kajtek rzucał hasło - na Kiciusia!!! Wtedy po zajęciach rzucaliśmy się gromadką do drzwi wyjściowych z Collegium Anatomicum. Był zwykle późny wieczór. Szliśmy ulicami Poznania, podziwiając jak pięknie miasto w rozpalających się światłach. Trasa była dość długa, może ze 2-3 km. Przemierzaliśmy jedną z głównych ulic zwaną wtedy Armii Czerwonej (obecnie Św. Marcin) i docieraliśmy do „Kiciusia” [Bar Kawowy Kociak]. Był to niewielki bar, położony po lewej stronie ulicy,

idąc w kierunku Starego Miasta. Ulokowany na parterze wielkiej kamienicy stanowił w naszych latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia nowy element w krajobrazie miasta. Miał lśniąco wielkie szyby i wyraźny napis – Kociak. Nie było tam alkoholu a jedynie wyroby cukiernicze. Jednak największym hitem w tamtych czasach były cocktaile mleczne. Dla nas to była niezwykła nowość, wielka pycha z pianką. Oczywiście zajmowaliśmy kilka stolików, zamawialiśmy cocktaile. Czekaliśmy łykając ślinę i gadaliśmy. W ogóle nie zapamiętałam naszych rozmów, ale nastrój był wesoły a nawet wesołkowaty. Musieliśmy odparowywać ciężkie doznania nauki anatomii, ponure sekcje i wydalić z siebie odór formaliny, którym nasiąkaliśmy w Anatomicum. Po bardzo wielu latach odwiedziłam Poznań. Nie miałam nadziei, że „Kiciuś” jeszcze „żyje”. Wokół tyle się zmieniało, przyszły nowe inne czasy. Ale nie dowierzałam własnym oczom, gdy ujrzałam Kiciusia. Był i czekał jak zwykle. To niesamowite uczucie, gdy się odnajdzie dowód, nawet maleńki, na to, że jednak nie wszystko przemija....

I jeszcze o naszych czasach z Kajtkiem. Ten chłopak nie mieścił się w żadnych ramach, jego impulsywna osobowość burzyła się jak piwo niecierpliwie nalewane do szklanki, wypływała na zewnątrz, zagarniając nas bez reszty. Proszę mi wybaczyć to porównanie, ale właśnie tak wspominam te młodzieńczo szalone lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku... Kiedy Kajtek rzucał hasło – dzisiaj muzyka, wiedzieliśmy, że czeka nas uczta w Filharmonii. Koncerty filharmoniczne odbywały się w Auli Uniwersytetu Poznańskiego. Docieraliśmy tam jak zwykle per pedes, zatapialiśmy się w tłum bardzo eleganckich mieszkańców Poznania. Mieliśmy na sobie zwykłe łachy codzienne, nieustannie nosiłam kraciastą albo burozieloną luźną koszulę, w której zatracam osobowość żeńską a stawałam się zwykłym sztubakiem o charakterze uniseks. Czasy zresztą był zgrzebne co mi odpowiadało bo nigdy nie lubiłam się stroić.

Gdy przekraczaliśmy próg Filharmonii, zagarniał nas wielki świat. Już nie baraszkowaliśmy jak zwykle, ale poważnie zajmowaliśmy miejsca na parterze ogromnej wielkiej sali. I była tylko muzyka. Tam słuchałam jak gra i oglądałam piękną młodą dziewczynę z długimi, kruczoczarnymi włosami, odkrycie w świecie muzycznym, która nazywała się Martha Argerich. Ileż minęło już lat, a ona stale koncertuje. I nadal jest piękna, może tylko trochę inaczej... Po koncertach Kajtek zrywał się z miejsca i inicjował spontaniczne wielkie wszechogarniające brawa. Potem pędziliśmy za nim za kulisy. Tam jeszcze raz gratulował artystom i prosił o autografy. Wcześniej zaopatrywaliśmy się w programy. Ustawialiśmy się za Kajtkiem grzecznie w kolejce po upragniony podpis światowych sław. Do tej pory przechowuję programy a m.in. z tamtego koncertu z podpisem tej Wielkiej Pianistki, chyba jedynej takiej....

Tekst zamieszczono 19 lipca 2012 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=2423> pt. Na medycznej ścieżce. Muzyka i Kajtek oraz Kajtek i filharmonia.

Krystyna Anioł

Mail od Krysi otrzymany 16.06. 2025 r. : Witam, Jurku, jeśli to nie jest za późno, to chciałabym dorzucić nieco informację o sobie - dla zilustrowania naszego pokolenia powojennego, na którym wojna jednak wycisnęła swoje piętno. Moi Rodzice oszczędnie dawkowali mi informacje o swoich czasach wojennych, lecz wyciągnęłam z nich sporo i na tyle, że mogłam zrozumieć ich walkę o życie i byt, i budowanie życia od imentu na gruzach powojennych. Mama z łapanki ulicznej w Poznaniu, jako 14-letnie dziecko - wywieziona na roboty do Niemiec. Ojciec, w czynnej służbie wojskowej w Jarosławcu (8 Baon Radiotelegraficzny) zgarnięty jako jeńiec wojenny przebył pieszo Polskę południową, przez Czechy, Austrię - trafił do fabryki broni pod Hamburgiem, skąd podczas dywanowych nalotów z garstką Polaków uciekł jakieś 100 km i zatrzymał się "u bauera" - o nazwisku Koch, gdzie pracował jako robotnik rolny. Tam spotkał Mamę, tamże pobrali się (tajny ślub, tajny ksiądz, mam zdjęcia). Tamże, w Erxleben urodził się mój brat w 1944 roku. W gospodarstwie rolnym pracowali Polacy, Ukraińcy, Węgrzy.....i śpiewali narodowe piosenki, zwłaszcza Ukrainki pięknie zawodziły. Mama nauczyła mnie: "Ridna maty maja..", którą to pieśń przepięknie wyśpiewywał

Barnard Ładysz. Mogli wracać do Polski w roku 1946, bo nie było transportu wcześniej lub wcześniej - do Kanady. Z tymi, którzy wyjechali do Kanady przez długie lata utrzymywali kontakt listowy. Mama, Poznanianka, rodzinę sprowadziła do gniazda rodzinnego.

Mimo trudnych warunków życiowych moi Rodzice żyli długo; Mama 88 lat, Ojciec 98 lat. Może te trudne warunki bytowe i ciężka praca tak ich ukształtowały. Mama maturę zdawała w wieku dojrzałym, ojciec zdobywał "papiery mistrzowskie" w Izbie Mistrzowskiej w Poznaniu. Był kowalem artystą, mechanikiem samochodowym, elektrykiem i w końcu elektronikiem (na tamte czasy to było novum). Oboje pracowali w Centrali Nasiennictwa Ogrodniczego i Szkółkarstwa w Poznaniu; Mama w dziale kwiatów (stąd wiem, że wagowo nasiona petunii są droższe niż złoto), a Ojciec - w dziale technicznym, gdzie po kilku kursach w Brukseli i Londynie, obsługiwał maszyny ALEXO, które przebierały nasiona grochów, fasol, buraków, bobu, cebul itp. pod względem wielkości, barwy, kształtu, deformacji itp. W Polsce były w pięciu miastach CNOSy, Ojciec sprowadzał te maszyny z Brukseli, Hamburga i Londynu do Polski, uczył obsługi, konserwował itp. przez wiele lat, nawet na emeryturze do 85 roku życia był zapraszany jako ekspert do napraw czy uruchamiania tego sprzętu. Posługiwał się językiem niemieckim. Był też tzw. próbobiorcą /ą - z zakontraktowanych poletek, od hodowców pobierał próbki 100 nasion, które w laboratorium nasadzano na kiełkowniki, w zależności ile % wykiełkowało, przy ręcznym liczeniu, ustalone były klasy nasion: super elita, elita, i 3 odsiewy kontrolowane (OK). Pamiętam wiele spraw tego typu.....ponieważ jako mała Krysia, nasadzałam te nasionka pod lampami grzewczymi i liczyłam. Nauczyłam się szybciej liczyć niż pisać... Poznałam bardzo dużo nazw łacińskich kwiatów, ziół i warzyw, i może stąd mój pęd do łaciny....pięknego języka Przodków.

Chciałam być ogrodniczką, biologia dla mnie to była główna wiedza, którą chciałam pogłębiać, okazało się, że owszem jest potrzebna, ale to nie było moje powołanie. Wychowałam się na podwórku trzech rodzin, w gronie pięciu chłopaków, w tym mój jeden brat. W różnych zabawach, gonitwach starałam się im dorównać i dlatego, w szkole podstawowej byłam najszybsza z dziewcząt, podobnie w liceum. Jednak to przysłowiowe podwórko wychowuje do życia aktywnego. Zdobyłam edukację w Szkole Podstawowej Nr 4 przy ul.Rawickiej, w której Dyrektor Kazimierz Filoda zarządził wolne od nauki soboty, w które przychodziło się do szkoły po naukę praktyczną, dotyczyło klas siódmych. Był to fenomen, o którym mało kto pamięta i wiem, że tego nie było w żadnej szkole podstawowej. Na zmianę w jedną sobotę dziewczynki miały naukę gotowania (szkoła miała stołówkę) w drugą- naukę szycia na maszynach mechanicznych (30 uczennic = 30 maszyn). Zdobyłam czeladnika kroju i szycia w 14 roku życia!

Chłopcy w jedną sobotę mieli pracę w drewnie, w drugą - w metalu. Pracownie były świetnie wyposażone.

Dalej - zwykłe liceum Nr 8, im. Adama Mickiewicza na Łazarzu z dobrą łaciną. Ponieważ w szkole podstawowej i średniej, podczas starć fizycznych band chłopaków i nie tylko, zawsze byłam pielęgniarką...tak to jakoś do mnie przylgnęło, że oprócz roślin i zwierząt najdoskonalszym stworzeniem jest Człowiek. Jego ochrona - to tylko przez medycynę, to tego namówiła mnie moja wychowawczyni w liceum, wuefistka, Rodzina była przekonana, że pójdę na biologię....

...i dalej ,prawdziwe zdarzenie, nie anegdota: na egzamin wstępny, który był w auli na Przybyszewskiego, zapomniałam zabrać dowodu osobistego i wymaganych zaświadczeń. Wywołana do zajęcia miejsca w sali powiedziałam, że nie mam ze sobą NIC, co potrzebne. Przekazano mnie do gabinetu prof. Przemysława Gabryela (nie znany zupełnie mnie) i powiedziałam, co się stało. Pozwolił mi zadzwonić do domu i Ojciec na pytanie gdzie ma przywieźć te dokumenty spytał, a dlaczego biologia zdaje w szpitalu.....nie słyszał tego Profesor, ale powiedziałam sobie nie wiedząc, jakiej jest

specjalizacji, że zrobię tę JEGO, jako pierwszą i słowa dotrzymałam. Jestem patomorfologiem pierwszego stopnia, a dalej.....jeszcze parę innych.

Przez całe życie uprawiałam jakiś sport od łucznictwa i gimnastyki przyrządowej w szkole podstawowej, do lekkiej atletyki i piłki siatkowej w liceum i na studiach. Po ukończeniu szkoły podstawowej trenowałam w II ligowym GKS "Olimpia" Poznań lekką atletykę, jednocześnie grałam w piłkę siatkową w MKS, Później AZS i KS "Energetyk" Poznań, również w II lidze. W czasie studiów reprezentowałam Uczelnię na MTU w piłce siatkowej, lekkiej atletyce i narciarstwie, aż do 10 lat po studiach jako asystent....

potem wyprowadziłam się do Warszawy. Pracę doktorską przygotowałam w Poznaniu i tu ją obroniłam, choć termin był kilkakrotnie przesuwany z powodu stanu wojennego. Pracowałam już wtedy w nowo powstałym Instytucie Sportu w Warszawie, który powołano w 1978 roku ,w miejsce poprzedniego INKF (Instytut Naukowy Kultury Fizycznej). Jestem członkiem Zarządu i przewodniczącą Sądu Koleżeńskiego Polskiego Towarzystwa Medycyny Sportowej od sześciu kadencji, jestem delegatem lekarzy sportowych na Zjazdy Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie, prowadzę sekcję ringo lekarzy w OIL, jestem od 2001 roku Prezesem Polskiego Towarzystwa Ringo i w roku bieżącym mamy 53. Mistrzostwa Polski w Ringo w Błoniu k. Warszawy 28 czerwca, natomiast Mistrzostwa Polski Lekarzy i innych Profesji Ochrony Zdrowia w Ringo odbędą się W Warszawie w dniu 14 września na stadionie GKS "Świt" na Jelonkach, na które serdecznie zapraszam..... bo w ringo może grać każdy o różnym stopniu zaawansowania sportowego i wydolności psychofizycznej.

Wydaje się, że bez tak ogromnej dawki sportu w całym moim życiu, nie tylko nie przeżyłabym ciężkich przecież studiów, ale nie dotrwałabym do dnia dzisiejszego w takiej kondycji, ponieważ nadal pracuję na pełnym etacie....ale od kilku już lat poszukuję następców, którym nie spieszno do takiego twardego "kawałka chleba", jaki mam aktualnie. Szkolę stażystów z zakresu wydolności skierowanych z COMS (Centralny Ośrodek Medycyny Sportowej), posiadających już jakąś specjalizację... i nikt nie wie widzi się w ciężkiej pracy. Takie czasy, które tworzą ludzie wyrośli już w czasach względnego dobrobytu...

"Róbmy swoje" - według Wojtka Młynarskiego i najlepiej jak potrafimy, oby po nas pozostał ŚLAD, po ponoć byliśmy zreformowanym, najlepszym rokiem... jak to ocenił nieoceniony J.T.M.

Serdeczności i gratulacje dla Ciebie Jurku, za ogromne zaangażowanie w pozostawianie tego ŚLADU po nas.

Z uznaniem i poważaniem - Krystyna Anioł-Strzyżewska

[Krystyna Graduszevska - Czerebiej](#)

Wyjazd na studia do Poznania był moim pierwszym dłuższym rozstaniem z rodziną. Moi rodzice nie byli lekarzami. Stanowiliśmy bardzo zżyłą rodzinę, więc początkowo było mi dosyć trudno z dala od domu.

Egzamin wstępny zdawałam na dużej sali w Collegium Anatomicum. Podczas egzaminu podpowiadaliśmy sobie wzajemnie z osobami siedzącymi w pobliżu. Z egzaminu ustnego pamiętam niewiele – jedynie to, że miałam zarekomendować miasto z którego pochodzę czyli Bydgoszcz.

W Poznaniu zamieszkałam na stacji w dzielnicy Wilda wraz z koleżanką Olą, która studiowała na Akademii Rolniczej ogrodnictwo. Na Wildzie mieszkało więcej osób z naszego roku. Codzienne dojazdy na uczelnię i rozmowy w tramwaju zbliżyły nas do siebie. Zaprzyjaźniłam się zwłaszcza z Hanią Paluszkiewicz-Janusz, Ewą Klincewicz i jej siostrą Iwoną, Romą Wojtyniak, Ewą Barabasz, Aliną

Mróz-Urbańską. Na początku studiów, gdy zajęcia odbywały się wspólnie dla wydziału lekarskiego i stomatologii należałam do grupy XV. Nauka na pierwszym roku zajmowała dużo czasu. Do dziś uważam, że ten rok miałam „wyrwany” z życiorysu, ponieważ bardzo dużo uczyłam się, aby nie „wylecieć” ze studiów. Asystenci na zajęciach z anatomii straszili bowiem naiwny nowy „narybek”, że trzy oceny niedostateczne to koniec nauki w Akademii Medycznej. Na zajęciach praktycznych z anatomii wraz z grupą „za ścianką” preparowaliśmy ciało „babci” /tak je nazwaliśmy/ w którym tkwiło bardzo dużo szpilek. Jak pewnie wszyscy pamiętają, trzeba było znać nazwę narządu, kości, naczynia w którym tkwiła szpilka. Czasem udało się nazwać bezbłędnie, czasem nie. Do tych niedouczonej asystent mówił „nadajesz się do żłobka lub przedszkola a nie na wyższą uczelnię”. Było to bardzo deprymujące. Z miesiąca na miesiąc, w miarę postępu ćwiczeń ciała „babci” ubywało, natomiast zapach formaliny był coraz intensywniejszy. Żartowaliśmy że „babcia” lubi wyciskać tży z oczu. Po drugim roku nauki nastąpiła zmiana grup, ponieważ stomatologia miała zajęcia odrębne. Trafiłam do grupy VIII w której pozostałam do końca studiów. Pamiętam różne zajęcia, różnych wykładów, ale specyficzne było zwłaszcza szkolenie wojskowe. Wiadomości uzyskiwane na wykładach były tajne. W tym celu zakładaliśmy specjalne zeszyty z ponumerowanymi kartkami i przeszyte sznurkiem, które po zajęciach zostawiało się w studium wojskowym. Aby powtórzyć materiał należało swój zeszyt wypożyczyć i uczyć się w salce studium. Było to uciążliwe i zabierało dużo czasu. Ale od czego pomysłowość młodych ludzi? Aby uniknąć tych korowodów każdy wykład pisałam przez kalkę. Potem te luźne kartki zabierałam do domu, a „tajny” zeszyt zdawałam do studium wojskowego. Po drugim roku studiów praktykę laboratoryjną odbywałyśmy razem z Hanią Paluszkiewicz w moim rodzinnym mieście. Nie przeciążano nas pracą, więc było wiele czasu na rozrywkę i zwiedzanie okolicy. Z Hanią mam kontakt i przyjaźnię się do dziś. Od czasu do czasu odwiedzamy się i wówczas z przyjemnością wspominamy czasy naszej młodości.

W czasie studiów mieszkłam przy ul. Wybickiego naprzeciwko Kliniki Ortopedii. Po zakończeniu zajęć z ortopedii zapisałam się do koła studenckiego umożliwiającego poszerzenie wiedzy z zakresu ortopedii i rehabilitacji. Duże wrażenie wywarły na mnie nowatorskie metody rehabilitowania inwalidów. Widziałam sztuczne kończyny zastępujące z powodzeniem prawdziwe ale uszkodzone. W olbrzymiej sali z różnymi stanowiskami pracy ludzie bez rąk lub nóg po zaprotezowaniu przyuczani byli do konkretnego zawodu. A pomysłodawcą i realizatorem nowoczesnej ortopedii i rehabilitacji, jak wiadomo, był profesor Wiktor Dega. Profesor - szczupły, elegancki pan już w zaawansowanym wieku, znajdował czas aby uczestniczyć w zajęciach koła studenckiego. Dyskutował z nami i w sposób prosty wyjaśniał skomplikowane metody leczenia. Byłam pod tak wielkim wrażeniem osobowości profesora Degi, że przez pewien czas myślałam aby w przyszłości zająć się ortopedią. Niestety moje warunki fizyczne nie pozwoliły na to, ponieważ nie jestem zbyt wysoką osobą. Wybrałam pediatrię. W czasie studiów ważne było nie tylko mieszkanie, ale również jedzenie. Od drugiego roku przyznano mi bony żywieniowe na trzy posiłki dziennie. Obiady jadałam w stołówce uczelnianej, z reguły były dobre. Jednakże od czasu do czasu serwowano danie dla mnie koszmarnie. Pani z kuchni wrzucała na talerz solonego śledzia „łypiącego okiem” i papkę ziemniaczaną. Z tego powodu do dnia dzisiejszego nie mogę polubić śledzi. Bony śniadaniowe i kolacyjne oszczędzałam, aby w barze kawowym „Kociak” wymienić je na poziomki z bitą śmietaną. Nigdy później ten deser nie smakował mi tak bardzo jak w czasie pobytu w Poznaniu. Na dalszych latach studiów było już łatwiej. Był więc czas na teatr, kino, życie towarzyskie. Uczestniczyłam w studenckich rajdach turystycznych o pięknych nazwach jak: „Przylatujące ptaki”, „Odlatujące ptaki”, „Parasolowe” i innych. Mile wspominam coroczne juwenalia. Przebrani w różne przedziwne stroje wędrowaliśmy ulicami Poznania. Przechodnie życzliwie uśmiechali się do nas, a niektórzy wrzucali symboliczną złotówkę na potrzeby biednych żaków. Utkwił mi w pamięci pewien fakt: obcokrajowiec na Starym Rynku otworzył bagażnik samochodu wypełniony po brzegi kartonami ze słodyczami i częstował uczestników juwenaliów garściami

smakołyków. Cieszyłam się także wtedy, gdy koleżankę z mojej grupy, Ewę Lutkowską, wybrano „Najmilszą Dziewczyną” juwenaliów.

Po ukończeniu studiów wróciłam do mojego rodzinnego miasta, wyszłam za mąż, urodziły się dzieci. Po odbyciu stażu rozpoczęłam pracę w Wojewódzkim Szpitalu Dziecięcym w Bydgoszczy. Uzyskałam specjalizację z pediatrii, obroniłam pracę doktorską, przez 20 lat kierowałam Pracownią Diagnostyki Nieinwazyjnej Układu Krążenia w tymże szpitalu, do czasu mojego przejścia na emeryturę w wieku 60 lat.

Na prośbę kolegów redagujących tę książkę, dorzucam trochę wspomnień z czasów mojej pracy zawodowej. Przez prawie 40 lat pracując w tym samym szpitalu, byłam obserwatorem rozwoju kardiologii dziecięcej w naszym mieście. W 1972r dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Dziecięcego w Bydgoszczy, dr Edward Latos zaproponował mi pracę w oddziale III Wewnętrznym o profilu kardiologicznym i reumatologicznym. W owym czasie było dużo dzieci z wrodzonymi wadami serca i chorobami serca w przebiegu gorączki reumatycznej. Rozpoznanie patologii układu krążenia u małych pacjentów opierało się głównie o wywiad, badanie przedmiotowe, rtg i ekg. Postawienie prawidłowego rozpoznania w oparciu o tak niewiele badań dodatkowych było sporym wyzwaniem. Los jednak postawił na mojej drodze zawodowej wspaniałych lekarzy, pasjonatów swojego zawodu, którzy chętnie dzielili się wiedzą i doświadczeniem z młodymi kolegami. Moje szefowe - dr Urszula Latos, dr n.med Wanda Sokalska-Nowak nauczyły mnie bardzo wnikliwego osłuchiwania serca małych pacjentów, a dr n.med Antonina Hipp- analizy ekg. Przypominały także o starej lekarskiej zasadzie, że pacjenta po zebraniu szczegółowego wywiadu należy porządnie zbadać. W połowie lat 70-tych szpital zakupił bardzo nowoczesny, na ówczesne czasy aparat do polikardiografii. Można było wykonywać fonokardiografię, zapisy tętna, uderzenia koniuszkowego, wektokardiografię - co w znacznym stopniu ułatwiało rozpoznanie wady serca. Z początków mojej pracy jako asystenta w oddziale, pamiętam 14-letnią dziewczynkę, która trafiła do naszego szpitala po incydencie zatrzymania krążenia. Mieszkała ona wraz z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa w maleńkiej wiosce, jak to mówią "zabitej deskami". Społeczność lokalna odrzucała tę rodzinę, uważając że "wisi nad nimi klątwa". Zebrany wywiad wykazał, że ojciec zmarł w wieku 40 lat, a czworo dzieci umarło nagle mając 8-12 lat. U dziewczynki która została skierowana do naszego szpitala, a jako jedyna z rodzeństwa mieszkała w internacie szkolnym w pobliskim mieście, rozpoznaliśmy kardiomiopatię przerostową. Planowaliśmy w trybie pilnym przekazać ją do ośrodka referencyjnego, ale nastąpił nieoczekiwany zgon. Wiedząc o tak obciążonym wywiadzie rodzinnym poprosiliśmy o przyjazd jej 13-letniego brata. Niestety u niego również były cechy kardiomiopatii przerostowej. Chłopiec ciężko przeżył wiadomość o swojej chorobie. W domu stawiał „ołtarzyki" zmarłemu rodzeństwu, a po śmierci matki (rak jajnika) podjął decyzję o zakończeniu życia w wieku 16 lat. Myślę, że w Polsce dzisiaj nie ma już takich wsi „odciętych do świata". Jako młody lekarz musiałam transportować dzieci z ciężką patologią układu krążenia do referencyjnych ośrodków kardiologicznych i kardiochirurgicznych. Zapamiętałam zwłaszcza transport 15-letniego Grzesia z ciężką, złożoną, siniczą wadą serca do Kliniki Kardiochirurgii w Zabrze. Była późna jesień, padał śnieg z deszczem, który w godzinach wieczornych przeszedł w prawdziwą zamieć. Wycieraczki karetki nie nadążały oczyszczać szyb, trudno było rozwinąć większą prędkość, a ponadto trzeba było co jakiś czas zatrzymywać się aby podać chłopcu sinemu jak śliwka, dożylnie leki. Wszyscy skrajnie wyczerpani dotarliśmy do Zabrze ok. godz. 21. Tam natychmiast podbiegł do karetki personel kliniki i zajął się pacjentem. Mnie poproszono do gabinetu lekarskiego, aby przedstawić historię choroby Grzesia. Po chwili do gabinetu wszedł lekarz w ubiorze operacyjnym, który właśnie skończył trudną wielogodziną operację. Tym lekarzem był profesor Zbigniew Religa. Ze skupieniem słuchał mojej relacji- podsumowując „zobaczymy, w jaki sposób można będzie pomóc chłopcu". Potem poprosił pielęgniarkę aby zaparzyła mi gorącą herbatę, bo „przecież czeka panią doktor długa droga do domu". Niby drobiazg, ale byłam zaskoczona i wzruszona troską i tym że tak wspaniały, znany w

całej Polsce (i nie tylko w Polsce) lekarz potrafił zniżyć się i dostrzec wysiłek młodej lekarki. Grześ przebywał w Klinice w Zabrze ok. 1 miesiąca, był przygotowywany do przeszczepu serca, niestety nie znalazł się dawca... Pamięta się najczęściej te najtrudniejsze przypadki, lub te które skończyły się niepowodzeniem. Ale przecież olbrzymia większość dzieci z chorobami serca uzyskiwała skuteczną pomoc. Przełomem w diagnostyce patologii układu sercowo-naczyniowego było wprowadzenie echokardiografii. W 1979 r. szpital zakupił jednopłaszczyznowy echokardiograf. Obrazy serca pacjentów fotografowałam na filmie, który po wywołaniu w ciemni rtg analizowałam przy użyciu powiększalnika fotograficznego. W kolejnych latach pozyskiwano coraz nowsze typy aparatów echokardiograficznych, a obecnie koleżanki pracują przy użyciu echokardiografii z techniką 3D. W 1989 r. powierzono mi kierowanie Pracownią Diagnostyki Nieinwazyjnej Układu Krążenia. Z przyjemnością rozpoczynałam każdy dzień pracy ponieważ echokardiografia była moją pasją, a ponadto miałam zespół zaangażowanych, bardzo zdolnych osób, z którymi świetnie mi się pracowało. Przez wiele lat pełniłam z koleżanką całodobowe dyżury echokardiograficzne pod telefonem. Niejednokrotnie wzywano nas nocą w przypadkach gdy rodziły się noworodki, u których podejrzewano wrodzoną wadę serca wymagającą pilnej interwencji kardiochirurgicznej. Satysfakcją było potwierdzenie naszego rozpoznania w ośrodku referencyjnym, do którego dziecko było kierowane w trybie pilnym. Trudno zapamiętać wszystkie dzieci, u których w ciągu 40 lat pracy zdiagnozowałam nieprawidłowości w układzie krążenia. Pamiętam jednak dziewczynkę 16-letnią, która trenowała wyczynowo kajakarstwo w klubie sportowym i jak mówiła jej mama „miała półkę pełną pucharów i medali za osiągnięcia sportowe”. Gdy zawodniczka zasłabła, skierowano ją do naszego szpitala celem wyjaśnienia przyczyny zasłabnięcia. Okazało się, że ma wrodzoną wadę serca pod postacią dużego ubytku w przegrodzie między przedsionkowej. W związku z tym została poddana operacji w ośrodku referencyjnym, gdzie skutecznie zamknięto ubytek i po pewnym czasie mogła kontynuować uprawianie swojego ulubionego rodzaju sportu. Pamiętam również chłopca 14-letniego grającego intensywnie w piłkę nożną i aktywnie uczestniczącego w lekcjach wychowania fizycznego, który został przyjęty do szpitala z powodu głośnego szmeru nad sercem. Zastanawiające było, że dotychczas nikt nie wysłuchał tego szorstkiego, stenotycznego szmeru nad aortą. Badanie echokardiograficzne wykazało ciasne zwężenie zastawki aortalnej z gradientem lewa komora/aorta powyżej 100mmHg. Chłopcu wszczepiono sztuczną zastawkę aortalną co niewątpliwie uratowało go przed nagłym zgonem.

Obecnie jestem na emeryturze. Czasem spotykam dawnych pacjentów, już dorosłych ludzi i cieszę się widząc że założyli rodziny, mają własne dzieci, pracują... Przed ośmioma laty zmarł mój mąż. Pałeczkę zawodową przejęło w mojej rodzinie młodsze pokolenie: syn Michał uzyskał specjalizację z interny i jest ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych, a w grudniu ubiegłego roku wygrał konkurs na dyrektora Szpitala w Szubinie. Synowa Ania- jest lekarzem pediatrą i specjalistą z neurologii dziecięcej, synowa Magda jest specjalistą diagnostyki laboratoryjnej. Obie pracują w „moim” szpitalu. Jedynie starszemu synowi Zbyszkowi udało się uniknąć „znamienia służby zdrowia”, pracuje w Wodach Polskich i zajmuje się rzekami naszego regionu. Mam sześcioro wnuków: trójka młodszych uczy się w szkole podstawowej, Zosia – przeszła do czwartej klasy Liceum, Maciej – tegoroczny maturzysta zamierza dostać się na medycynę, a najstarszy – Mikołaj studiuje na drugim roku prawa w Łodzi.

Zdjęcia: Juwenalia: od prawej – siedzą: Hanna Paluszkiewicz, Krystyna Graduszevska. Stoją: Joanna Piotrowiak. Ola Kubacka, Ryszard Musialik

Już z dyplomem lekarza, 1971r: od prawej – Ola Kubacka, Krystyna Graduszevska

Jeżeli jest taka chęć i potrzeba, to zgadzam się na zamieszczenie tych zdjęć w powstającej książce

Zdjęcia są w mailu od Krysi ale w PDF: SSBNP212505211

Krzysztof Kupczyk

Jerzy T. Marcinkowski (JTM) najczęściej łącząc się telefonicznie ale też w ramach bezpośrednich rozmów zebrał do tych Pamiętników kilka opowieści Koleżanek i Kolegów których nie chcieli z różnych powodów sami napisać. Jedną z możliwych przyczyn jest skromność. I tu wpisuje się Krzysztof Kupczyk o którym JTM pisze: „**jest niezwykle skromny i uważa, że jego postać nie zasługuje na szczególną uwagę – choć został uhonorowany rzadko nadawanym przez Uniwersytet Medyczny w Poznaniu Medalem Karola Marcinkowskiego oraz Medalem nadanym mu przez papieża Franciszka. Zaznacza, że w żaden sposób nie zabiegał o nadanie mu tych odznaczeń a ich przyznaniu dowiadywał się dopiero później.** Prawdziwy lekarz z powołania. <https://infostrow.pl/wiadomosci/prawdziwy-lekarz-z-powolania-foto/cid.89851,a>

Ponieważ nie sposób było uzyskać od Krzysztofa opowieści o sobie, poza kilkoma zdaniami które znajdują się dalszej części tego podrozdziału, dlatego zamieszcza się tu dane zdobyte w internecie które znakomicie postać tego Kolegi nam przybliżają: „Doktor Krzysztof Kupczyk został laureatem papieskiego odznaczenia Benemerenti! Medal jest przyznawany za długoletnie zasługi dla Kościoła katolickiego. Benemerenti” to odznaczenie honorowe, ustanowione w 1832 roku, przez Papieża Grzegorza XVI, przyznawane za długoletnie i wyjątkowe zasługi dla Kościoła Katolickiego osobom wyróżnionym, rodzinom lub społecznościom.

Medal jest złotym krzyżem w kształcie karo. Na rewersie widnieje słowo Benemerenti na tle godła Watykanu, w awersie medalu widnieje postać Jezusa Chrystusa. Wstążka orderowa jest w barwach papieskich.

Laureat to człowiek zasad, prawości i świadomości, kim jest. Osoba wierna przysiędze Hipokratesa. Jest nie tylko wspaniałym lekarzem, ale jednocześnie człowiekiem z sercem na dłoni, cierpliwym, oddanym pacjentowi.

Pan Kupczyk, jako wieloletni lekarz specjalista w zakresie chorób wewnętrznych nadal przyjmuje mieszkańców Gminy i Miasta Odolanów w Przychodni Lekarza Rodzinnego w Odolanowie mających problemy ze schorzeniami układu pokarmowego; przełyku, żołądka, jelit itp. Ponadto jeden dzień w tygodniu sprawuje opiekę medyczną nad mieszkańcami Odolanowskiego Domu Pomocy Społecznej, którym poświęca dużo czasu, prowadząc dokładne badania każdego mieszkańca. Szczególna opieka nad mieszkańcami Domu wpływa na ich długowieczność. Należy dodać, że przychodzi do nich z wizytą również w każdą niedzielę.

Serdecznie gratulujemy Panu Doktorowi tak zaszczytnego wyróżnienia, którego dokonał papież Franciszek oraz życzymy dobrego zdrowia na długie lata”.

Gminno-Miejskie Centrum Pomocy "Wiara – Nadzieja – Miłość", Laureat papieskiego odznaczenia Benemerenti, 07.01.2021 roku, <https://gmcentrum.pl/laureat-papieskiego-odznaczenia-benemerenti/>





„Doktor Krzysztof Kupczyk znany lekarz z Odolanowa został laureatem papieskiego odznaczenia Benemerenti! Odebrał je z rąk Papieża Franciszka. Medal ma swoją długą tradycję i ustanowiony został przez Papieża Grzegorza XVI w 1832 roku. Przyznawany jest za długoletnie i wyjątkowe zasługi dla Kościoła katolickiego. Cieszymy się i gratulujemy. Wspólnie z ówczesnym Przewodniczącym Rady Powiatu Ostrowskiego #AndrzejLeraczyk mieliśmy wielką przyjemność wręczyć temu znanemu i lubianemu lekarzowi jednego z pierwszych WOJCIECHÓW. Nagrodę Starosty Ostrowskiego ustanowioną w 2012 roku, w roku jubileuszu 125-lecia powstania pierwszego powiatu ostrowskiego. Dr Kupczyk to bardzo wrażliwy i skromny człowiek, zwany często Doktorem Judymem naszych czasów! Wiele osób przekonywało go, żeby przyjął nasze wyróżnienie i przybył na uroczystość. Na co on skromnie odpowiadał, że nie wie czy zasłużył. Zasłużył Pan na wiele nagród, ale przede wszystkim na słowo DZIĘKUJEMY!”

<https://www.facebook.com/photo.php?fbid=246296873575201&id=104212781116945&set=a.104698404401716>

Krzysztof w rozmowie z Jerzym T. Marcinkowskim podkreśla, że już od okresu szkolnego bardzo lubił się uczyć i miał wszechstronne zainteresowania, szczególnie w kierunku nauk biologicznych – sam zauważa, że uczył się znacznie więcej niż inni a żadnych hobby poza nauką nie miał. Często był widywany z książkami i czasopismami medycznymi w drodze do biblioteki. Wszechstronnie był zainteresowany światową prasą medyczną, szczególnie *The New England Journal of Medicine*. Na wybór studiów lekarskich miał wpływ jego Ojciec- Ewald, który był lekarzem o wspaniałej biografii a także to, że jego dwaj wujkowie też byli lekarzami – jeszcze w okresie międzywojennym.

Ojciec Krzysztofa i wuj Andrzeja którzy razem z nami studiowali na tym samym roku Akademii Medycznej w Poznaniu- „Ewald Kupczyk urodził się 3 grudnia 1916 roku w Berlinie jako syn Stanisława (urzędnika pocztowego) i Praksedy z domu Joks. Po odzyskaniu niepodległości razem ze swoją rodziną powrócił do Polski. Szkołę powszechną ukończył w Bralinie koło Kępna. Naukę w gimnazjum rozpoczął w Kępnie, skąd po dwóch latach przeniósł się do Ostrowa Wielkopolskiego. W tamtejszym Gimnazjum Męskim w roku 1934 uzyskał świadectwo dojrzałości. W okresie nauki należał do V Drużyny Harcerskiej im. Tomasz Zana, zdobywając stopień Harcerza Orlego. Po maturze ochotniczo ukończył jako prymus szkołę podchorążych w Gnieźnie. W 1937 roku uzyskał stopień oficerski. Już dwa lata wcześniej podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Przed wybuchem II wojny światowej został zmobilizowany do Ośrodka Zapasowego

25 Dywizji Piechoty w Łodzi i ewakuowany na wschodnie tereny Polski. Pełnił tam obowiązki lekarza w szpitalach w Hrubieszowie i Zamościu. Po zakończeniu kampanii wrześniowej wrócił do Ostrowa i podjął pracę jako sanitariusz w Fabryce Wagon. Od roku 1940 związał się z konspiracją. Należał najpierw do Związku Walki Zbrojnej, a następnie do Armii Krajowej. Posługiwał się pseudonimami „Jan” i „Rusinek”. W stopniu podporucznika powołany został do kierownictwa Inspektoratu Rejonowego AK w Ostrowie, pełniąc funkcję szefa łączności, a następnie szefa służby sanitarnej. W maju 1944 roku Ewald Kupczyk został aresztowany przez gestapo i przeszedł ciężkie śledztwo w Łodzi. Osadzono go w obozie w Radogoszczu. Zdołał uciec z transportu podczas jego likwidacji w styczniu 1945 roku. Po zakończeniu wojny dokończył studia medyczne w Poznaniu, uzyskując w dniu 18 lipca 1945 roku dyplom lekarski. Przez krótki okres pracował na oddziale ginekologiczno-położniczym szpitala w Ostrowie. Od 1946 roku rozpoczął pracę w ośrodku zdrowia w Odolanowie i związał się z nim na długie lata. W 1965 roku uzyskał specjalizację drugiego stopnia z zakresu medycyny ogólnej. Na emeryturę przeszedł w grudniu 1981 roku, ale jeszcze do końca 1990 roku pracował nadal. Posiadał wiele odznaczeń regionalnych i branżowych. Jego żoną była Zofia z domu Zimniak. Ewald Kupczyk zmarł 6 sierpnia 2006 roku, w wieku 89 lat. Spoczywa na cmentarzu parafialnym na „Górcie” w Odolanowie. W jego ślady poszedł syn Krzysztof (rocznik 1947) – doktor nauk medycznych, lekarz specjalista w zakresie chorób wewnętrznych. Z kolei drugi syn Przemysław (1949-2014) był farmaceutą”. <https://wlkp24.info/wspomnienie/ewald-kupczyk/>

Krzysztof w rozmowie z Jerzym T. Marcinkowskim (JTM) podkreśla, że miał wielkie szczęście trafić na wspaniałych nauczycieli w Państwowym Szpitalu Klinicznym Nr 2 im. Heliodora Święcickiego w Poznaniu, jak lekarz Adolf Leszyk i docent (późniejszy profesor) Andrzej Wojtczak. To oni – doksztalając się wówczas na Zachodzie – przenieśli do ówczesnej Polski nowatorskie metody diagnostyki i terapii w obszarze gastroenterologii i nefrologii.

[JTM: Doktora Adolfa Leszyka doskonale pamiętam z zajęć praktycznych z interny, szczególnie z nauki opukiwania – jak opukiwał to było to wręcz głośno słysząc a próby naśladowania „mistrza” nie za bardzo nam wychodziły. On – tak samo jak Krzysztof Kupczyk – często był widywany z czasopismami medycznymi i w bibliotece medycznej. O ile mnie pamięć nie myli, to nie był nawet zainteresowany zrobieniem doktoratu, a tylko samą pracą kliniczną i nauczaniem studentów. Bezsprzecznie był dla nas wielkim autorytetem.]

Adolf Leszyk: Nekrologi. Opublikowane w Głos Wielkopolski. Z sercem pełnym smutku i żalu zawiadamiam, że dnia 15 kwietnia 2013 roku w wieku 84 lat odszedł od nas ś.p. Adolf Leszyk lekarz. Kremacja dnia 19 kwietnia 2013 r. o godz. 12.30. Pogrzeb odbędzie się dnia 24 kwietnia 2013 roku o godz. 14.00 na cmentarzu przy ul. Nowina. Msza św. pogrzebowa odprawiona zostanie tego samego dnia o godz. 16.00 w kościele pw. św. Wawrzyńca, ul. Przybyszewskiego. Hanna Łucka z Rodziną

Andrzej Maciej Wojtczak (ur. 11 grudnia 1933 w Bielsku lub Białej, zm. 20 maja 2020 w Warszawie[1]) – polski lekarz internista, specjalista zdrowia publicznego, nauczyciel akademicki, profesor nauk medycznych. Życiorys: Syn Józefa i Marii[1]. W 1955 ukończył z wyróżnieniem studia w Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Specjalista w zakresie chorób wewnętrznych (I stopień 1957 i II stopień 1961) i zdrowia publicznego[2][3]. Stopień doktora nauk medycznych uzyskał w 1962 w Akademii Medycznej w Poznaniu na podstawie rozprawy pt. *Znaczenie kliniczne oceny zaburzeń równowagi kwasowo-zasadowej*. W 1966 w tej samej uczelni uzyskał [stopień doktora habilitowanego](#) na podstawie pracy pt. *Zapalenie odmiedniczkowe nerek w świetle badań czynnościowych*[2]. W 1972 otrzymał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego[3]. W latach 1978–1986 pracował w Światowej Organizacji Zdrowia w Biurze Regionalnym na Europę w Kopenhadze[4]. Do 1982 był dyrektorem ds. nauki i kształcenia kadr medycznych, a w 1984 został mianowany na stanowisko dyrektora ds. polityki i systemów zdrowia, nauki i kształcenia medycznego[2]. Pod koniec 1986 decyzją Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej został wezwany do kraju gdzie został kierownikiem Zakładu Międzynarodowych Problemów Zdrowia w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego w Warszawie. W styczniu 1989 został powołany na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej oraz na współprzewodniczącego podzespołu ds. Zdrowia w obradach Okrągłego Stołu. W latach 1989–1991 w rządzie Tadeusza Mazowieckiego pełnił funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej[4]. W 1991 został Dziekanem Studium Medycyny Społecznej w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego, a następnie dyrektorem Szkoły Zdrowia Publicznego CMKP. W 1995 przyjął od Światowej Organizacji Zdrowia propozycję utworzenia i zarządzania Centrum Badań nad Zdrowiem w Kobe w Japonii. Jako dyrektor Centrum uczestniczył w posiedzeniach Komitetu Wykonawczego, Zgromadzeniach Ogólnych Organizacji i Komitetach Doradczych Światowej Organizacji Zdrowia. Funkcję dyrektora Centrum pełnił do przejścia na emeryturę w 1999. W latach 1999–2005 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Międzynarodowych Problemów Kształcenia Medycznego w Nowym Jorku. Od 2006 pracował w Collegium Mazovia Innowacyjna Szkoła Wyższa w Siedlcach na stanowisku profesora w Katedrze Zdrowia Publicznego[2].

Członek wielu organizacji i towarzystw naukowych, w tym m.in.: Europejskiego Towarzystwa Zarządzania Opieką Zdrowotną (członek honorowy), Europejskiego Towarzystwa Szkół Medycznych (członek honorowy), Królewskiej Akademii Medycyny

Katalonii (członek korespondent), Europejskiego Towarzystwa Edukacji Medycznej (członek dożywotni)^[2]. Autor lub współautor ponad 500 publikacji z zakresu medycyny, kształcenia medycznego i zdrowia publicznego. Redaktor podręcznika *Choroby wewnętrzne*^[5] oraz autor *Zdrowie publiczne wyzwaniem dla systemów zdrowia XXI wieku*^{[6][7]}. Promotor wielu prac doktorskich. Członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Zmarł 20 maja 2020. Został pochowany na Cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie^[8] (kwatery 15-7-2)^[9].

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej_Wojtczak_\(lekarz\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej_Wojtczak_(lekarz))

Krzysztof Kupczyk w dalszym ciągu rozmowy z Jerzym T. Marcinkowskim podkreśla, że zawsze poświęcał wiele czasu i uwagi swoim pacjentom – tyle ile wymagał dany przypadek kliniczny. Zgadza się z twierdzeniem, że dobrze zebrany wywiad chorobowy i badanie przedmiotowe to bardzo często jest już aż 80% prawidłowego rozpoznania klinicznego. Z tego powodu gdy pracował w Poradni Gastroenterologicznej Państwowego Szpitala Klinicznego Nr 2 w Poznaniu to pracował tam aż „do nocy”. Dobitnie zaznacza, że nigdy nie był zainteresowany aspektami finansowymi zawodu lekarskiego.

Po okresie pracy w Poznaniu i w kilku jeszcze innych miejscach pracy zdecydował się wrócić w latach 90-tych XX wieku do rodzinnego Odolanowa, gdzie wcześniej pracował jego Ojciec.

Krzysztof Kupczyk ma bardzo pochlebne opinie wśród pacjentów: <https://www.rankinglekarzy.pl/krzysztof-kupczyk/odolanow-145285> jak na przykład: „Wspaniały lekarz. Bardzo mi pomógł. Stawia trafne diagnozy od razu. Nie jest drogi. Bardzo oddany swojej pracy.”; „Zazdroszczę ludziom z Odolanowa, że mają u siebie najlepszego gastroenterologa. Doktor Kupczyk jest niezwykle kompetentny i inteligentny, co pozwala mu stawiać trafne diagnozy.” Obecnie pracuje jeszcze w Odolanowskim Domu Opieki Społecznej gdzie zdarza mu się przyjmować pacjentów także spoza tego Domu”, <https://gmcentrum.pl/odolanowski-dom-pomocy-spoecznej/>

O Krzysztofie Kupczyku tak opowiadają Koleżanki i Koledzy z naszego roku w opowieściach zawartych w tych Pamiętnikach: Joanna Bukalska (z d. Musiał): „W mojej anatomicznej grupie (I i II rok), był Krzysztof Kupczyk, który zawsze wszystko bardzo dobrze umiał. Podziwiałam go za to i zazdrościłam”. Hieronim Głowacki (Hirek): „Wyjątkowym studentem był Krzysztof Kupczyk – bardzo odcytany, inteligentny i odważny, gotów walczyć o prawdę naukową, nawet z profesorami i nawet podczas egzaminu. Na egzaminie z mikrobiologii u prof. Józefa Wiza wydarzyło się coś niezwykłego. Krzysztof dostał pytania i odpowiedział na nie zgodnie ze swoją wiedzą, ale profesor się z tym nie zgadzał. Próbował przedstawić Krzysztofowi inny punkt widzenia. Wtedy Krzysztof – jak miał w zwyczaju – przesunął się do przodu na brzeg krzesła, wyprostował, wyciągnął prawą rękę i zaczął nią podkreślać swoje słowa jak młotkiem. Widząc to, wiedziałem już, że egzamin nie zostanie zaliczony. Krzysztof rozpoczął: ‘Panie Profesorze, w tej i tej książce przeczytałem, że..., poza tym w tym i tym czasopiśmie znalazłem to i to...’. Jego wywód trwał około 4–5 minut. Profesor Józef Wiza nie przerywał, tylko uważnie słuchał. Po chwili milczenia powiedział: ‘Panie Kupczyk, w zasadzie ma pan rację. Muszę przyznać, że tego ostatniego artykułu nie czytałem’. Profesor Józef Wiza zyskał w naszych oczach ogromny szacunek – przyznał studentowi rację i uznał, że student wie więcej od niego”.

Krzysztof Linke (wspomnienia po nagłym odejściu w grudniu 2016 r. z opowieścią Leszka Milanowskiego o Chórze Akademii Medycznej w tle)

Krzysztof Linke odszedł nagle 16 grudnia 2016 roku a 20 grudnia tak pisano o śp. prof. Krzysztofie Linke we wszystkich poznańskich i krajowych mediach:

„Profesor Linke to niekwestionowany autorytet moralny, wychowawca kilku pokoleń lekarzy, znany nauczyciel akademicki, autor podręczników dla studentów i lekarzy. Pacjenci cenili go nie tylko za swoje podejście do chorego, ale także za działalność społeczną. Profesor oddany był idei integracji i rozwoju społeczności lekarskiej. Przez wiele lat kierował Katedrą i Kliniką Gastroenterologii, Żywienia Człowieka i Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Był także współtwórcą Kodeksu Etyki Lekarskiej.

Absolwent Akademii Medycznej w Poznaniu (1971 r.).

W 1976 r. uzyskał stopień doktora nauk medycznych, 3 lata później – specjalizację II stopnia w dziedzinie chorób wewnętrznych, a w 1987 r. – został specjalistą gastroenterologiem.

W 1993 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk medycznych na podstawie rozprawy pt. 'Zanikowe zapalenie błony śluzowej żołądka. Możliwości i ograniczania metod rozpoznawczych z uwzględnieniem żołądkowego układu regulacji hormonalnej'.

W 2003 r. otrzymał nominację profesorską.

Był Przewodniczącym Okręgowego Sądu Lekarskiego Wielkopolskiej Izby Lekarskiej w latach 1997-2005, twórcą (2010 r.) i wieloletnim redaktorem naczelnym 'Medycznej Wokandy' - pisma wydawanego przez Naczelną Izbę Lekarską i Wielkopolską Izbę Lekarską; a także Przewodniczącym Zarządu Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii.

Krzysztof Linke był pasjonatem kreującym w środowisku wizerunek lekarza społecznika, zawsze oddanym idei integracji i rozwoju społeczności lekarskiej.

Aktywnie wspierał w środowisku akademickim rolę i zadania wykonywane przez lekarski samorząd.

Ale przede wszystkim był prawym i oddanym chorym lekarzem.

Zmarł nagle w ubiegły piątek.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w piątek tj. 23 grudnia 2016 r. na cmentarzu przy ul. Nowina w Poznaniu: – Msza Święta o godz. 11 00 w kościele parafialnym pw. Chrystusa Dobrego Pasterza przy ul. Nowina 1, – pogrzeb o godz. 11 45”.

za: https://www.nil.org.pl/_data/assets/pdf_file/0005/112010/01-Sobczak.pdf,
<https://www.fakt.pl/wydarzenia/polska/poznan/poznan-nie-zyje-profesor-krzysztof-linke/95ktl52>,
<https://www.mp.pl/gastrologia/wiadomosci/155565.zmarl-prof-krzysztof-linke>

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz: Krzysiu Linke był mi zupełnie nieznany w czasie naszych wspólnych studiów na Akademii Medycznej w Poznaniu i naturalnie później, więc nic osobistego o Nim nie mogę opowiedzieć. Pozostają jedynie relacje Kolegów ... Gdy przed niespełna dwoma laty (chyba w lutym 2017 r.) nawiązałam kontakt z Leszkiem Milanowskim na FB a za Jego sprawą z innymi Kolegami, w naszych rozmowach nieustannie wracał temat nagle zmarłego zaledwie dwa miesiące wcześniej (16 grudnia 2016 roku) – Krzysztofa Linke. Wszyscy Koledzy byli jeszcze w szoku, przeżywali potężną traumę, tym bardziej, że jeszcze w październiku tego znamienego 2016 roku bardzo wesoło spędzali czas na kolejnym zjeździe – wycieczce naszego roku – w Gnieźnie, z Krzysiem na czele, który był istną Duszą Towarzystwa... – integrował, rozbawiał, dowartościowywał nawet nieco zakompleksione koleżanki, zabierał całe towarzystwo na lody Chyba cała Starówka Gnieźnieńska była wtedy pełna radości i młodzieńczej energii tej grupy wcale nie nastoletnich już medyków pewnie wszystkim się zdawało, że kto jak kto ale Krzyś jest nieśmiertelny, że nie złamie Go żaden problem – bo wszystkie rozwiązuje, że Zwycięża, daje radę I że kolejne wspólne podobne chwile będą się powtarzały Jakże złudne było to myślenie, jeśli w ogóle wtedy było, choć na pewno przyszło w momencie ostatecznego ziemskiego pożegnania

Po 2 miesiącach od nagłego odejścia Krzysztofa Linke – w numerze marcowym 2017 roku Biuletynu Wielkopolskiej Izby Lekarskiej https://wil.org.pl/wp-content/uploads/03_2017.pdf, zamieszczono krótkie, serdeczne, koleżeńskie wspomnienie – właściwie dwugłos Ireny Masłoń i Jerzego T. Marcinkowskiego. Nie byłoby nic dziwnego, że potwierdzają Oni oficjalne dane, kim był, czym się

zajmował i pasjonował zawodowo, z kim spotykał, jakim był Kolegą, jakie miał plany – jednak stale mam w pamięci pierwszą krótką opowieść o wydarzeniu w którym uczestniczyła m. in. pisząca wspomnienie Koleżanka. W tej opowieści Krzysztof Linke – Krzysiu rozmyślał nieustannie – jawi się jako chyba pogubiony w tamtym czasie i w tamtej przestrzeni Profesor [dotyczyło zakwaterowania w hotelu w Moskwie]. Czy roztargniony, czy trochę naiwny ale na pewno dość bezradny wobec zaistniałej sytuacji. To takie Ciepłe, Ludzkie, Zwyczajne Ten temat jest stale dla mnie otwarty – nie mogę przestać analizować.... Jednak należy się oderwać od rozmyślań na temat tego, co kryje się czasem za wielką aktywnością, wysoko ustawioną poprzeczką w życiu zawodowym czy pozorną żywiołowością i stałym może pozornym otwarciem na świat i ludzi – jakie wewnątrz się odkrywa gdy człek zostaje sam, jak sobie radzi z klęskami i własnymi słabościami.... A że Krzysiek lękał się emerytury, która nieubłaganie nadchodziła, że nie widział swojego miejsca w opuszczanej z tego powody klinice, a może i w zwykłym życiu nie widział miejsca – tego oczywiście nie wiemy i nie warto analizować, bo i po co? Można jedynie domniemywać o Jego lękach obawach czy problemach ostatnich lat z dość zdawkowych opowieści Kolegów. No cóż Krzysiek był po prostu Człowiekiem Może trochę innym niż my, ale tylko Człowiekiem ...

Maria Jolenta Nowakowska z d. Hołoga (Mariolka): Jaki był śp. Krzysztof Linke? – Dusza człowiek np. jechaliśmy do małżeństwa kolegów z naszego roku – Drewsów (jeden z naszych corocznych zjazdów) – zbliżamy się do granicy polsko – niemieckiej – a tam przy drodze mnóstwo straganów z krasnalami.

Krzysztof zatrzymuje autobus, zbliża się do krasnali – bierze kolejno, przystawia do swojej twarzy pytając czy podobny i kupuje... Potem uroczyście wręczył Marlenie i Piotrowi Drewsom prosząc by stał w ogrodzie przed domem – bo podobny do niego. Można sobie wyobrazić ile było śmiechu.

Nie zadzierał nosa profesorskiego, zawsze wesoły i skłonny do zabawy którą często inicjował.

Inny obrazek – też z wyjazdu (nie pamiętam dokąd) mijamy inny autokar obok którego leży człowiek – nasz zatrzymał się i na drogę wysypała się cała masa medyków – chyba ze 30 – każdy przepełniony powołaniem chciał pomagać – ale oczywiście każdy miał inną wizję jak to realizować i wtedy Krzysiek profesjonalnie, jak nas tego uczą i jak my powinniśmy to realizować – ryknął na nas: do autokaru – zostaniesz ty i ty! POKAZAŁ CO TO ZNACZY BYĆ AUTORYTETEM

– pamiętam Go zawsze uśmiechniętego

– lubiłam słuchać Jego wykładów – czasami gdy byłam u mamy w Poznaniu (zawsze sprawdzałam co się dzieje w Centrum Kongresowo-Dydaktycznym przy ul. Przybyszewskiego bo to kilka przecznic od mamy i obok mojego kościoła parafialnego – więc po drodze) chodziłam na różne wykłady niekoniecznie z pediatrii - słuchałam też jego wykładów a były ciekawie prowadzone, z wtrętami humorystycznymi, co rozluźniało atmosferę, dawało chwilę wytchnienia i pozwalało na powrót skupić się na prowadzonym temacie.

Krzysztof też był bardzo towarzyskim ludzikiem – zawsze pierwszy tancerz – to on rozkręcał nasze wieczorki – jeśli nie w parach to wężykiem, w kółeczko a wszystko z nieustającym humorem...

– po jego śmierci czytałam nekrologi w gazetach poznańskich („Głos Wielkopolski”, „Gazeta Poznańska”) – oprócz patetycznych były też bardzo ciepłe od pielęgniarek. Nie potrafię dokładnie przytoczyć ale chyba były o... „tatulku”...

Tekst zamieszczono 17 grudnia 2018 r. w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4501> rozdział pt. Krzysztof Linke – Profesor wielkiej aktywności, Wspaniały Kolega i Zwykły Człowiek Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (26). Wspomnienia przebite o Krzysiu Linke

Leszek Milanowski: Krzysiu Linke był członkiem Chóru Stuligrosza, zdaje mi się. Na studiach miałem z Nim dość powierzchowny kontakt, bo było mi przykro, gdy jako prezes Chóru Akademii Medycznej w Poznaniu, o czym dalej piszę, ciągle szukałem nowych członków, a On się nie angażował. Teraz zrozumiałem, ale dopiero po latach co pośrednio wynikało z naszych długich rozmów, gdy robiłem staż specjalizacyjny na internie do medycyny rodzinnej. Chór to nie tylko chęć i potrzeba śpiewania. To grupa bliższych i dalszych przyjaciół, a przede wszystkim charyzma dyrygenta. Trudno było Krzysiu Linke wejść do gorszego zespołu pod gorszym dyrygentem, którego miał przedtem. Taka wybitnie jednoczącą osobowością był dr Jerzy Fischbach, ale przecież ze Stuligroszem nikt nie mógł się równać. Zresztą wspinały, jednoczący, charyzmatyczny Jerzy Fischbach jako bezpartyjny został pozbawiony możliwości dalszego kierowania Chórem Akademii Medycznej w Poznaniu. To była Wielka tragedia również dla Chórzystów. On Chór stworzył, dyrygował i Jego osobowość przyciągała. Niestety, jak Krzysiu Linke, po przebytych doświadczeniach z muzyką, wówczas nie kwapiłem się do Chóru. Znam dr Fischbacha też z opowieści, zwłaszcza śp. Ani Górecznej – koleżanki z naszego roku (studia w latach 1965-1971) na Akademii Medycznej w Poznaniu. W 1968 r. byłem działaczem Komisji Kultury Rady Uczelnianej ZSP. Ówczesny jej szef, partyjniak JH zaproponował mi „współpracę” przy usunięciu dr Fischbacha. Jakieś śmieszne, naciągane zarzuty, jak to w polityce, nie tylko ówczesnej, „bo taka jest potrzeba”. Nie zgodziłem się, a najbardziej mnie bolało wyrzucenie Jej Wielkiego Założyciela. Chór za Jego kadencji był żywą, wesołą grupą towarzyską i zbierał nagrody na festiwalach międzyuczelnianych. Śpiewał też za granicą. Chórowi groziło rozwiązanie. Ania Góreczna z naszego roku próbowała zbierać nowych członków. Jako posiadający podstawowe, rozszerzone o korepetycje, wykształcenie muzyczne z Kutna (dzięki temu, że ojciec wywiózł mnie do pasania krów, gdy musiałem powtarzać II klasę w Szkole Muzycznej i nie chciałem się dalej uczyć muzyki – ale wobec takiego pomysłu Ojca – potulnie ukończyłem tę szkołę) uważałem, że nie można zmarnować tego, co dr Jerzy Fischbach stworzył. Ania Góreczna zaproponowała mi zostanie prezesem Chóru. Jako wesoły człowiek, lubiący śpiewać, czułem że to moje powołanie dla zachowanie w pamięci dzieła jego Twórcy, zmuszonego do emigracji. Nowi członkowie Chóru pochodzili z różnych lat studiów. Śpiewała tam razem ze mną moja późniejsza pierwsza żona, Danusia Pawlak. Do dzisiaj na wspólnych, rodzinnych uroczystościach śpiewamy „Gaude Mater Polonia”. Ona i Ania Góreczna, alty, ja baryton ze Stasiem... Podporą basów był „Generał” Andrzej Polimirski. W sopranach była piękna blondynka Ewa Lutkowska. Główny trzon Chóru AM Poznań stanowili jednak studenci czwartego Wydziału Akademii Muzycznej. Duszą towarzystwa był Marek Bykowski. Od strony chóralnej najmilej wspominam śpiewanie „Exultate Deo...” Scarlattiego w Kościele na Górze Przemysła [kościół św. Antoniego Padewskiego, Sanktuarium Matki Bożej w Cudzy Wielmożnej Pani Poznania i klasztor franciszkanów konwentualnych w Poznaniu mieści się u podnóża Góry Przemysła (Góry Zamkowej)]. Oczywiście też „Mruczkowe Bajki” Nowowiejskiego, które do dziś potrafimy zaśpiewać. Najwięcej członków z nowego naboru miał nasz Chór w latach 1969-1971 – nawet nieco ponad 40. W 1969 roku na wiosnę pojechalśmy do Charkowa. Na 40 członków było chyba około 26 chórzystów, a reszta to zasłużeni członkowie Rady Okręgowej ZSP. Jechał z nami również Krzysztof Jaślar i szef późniejszego Kabaretu TEY Zenon Laskowik. Z Anią Góreczną dostaliśmy podpis autora „Anatomii prawidłowej” Prof. Sinielnikowa, który był kierownikiem Katedry Anatomii na Uniwersytecie w Charkowie. Kilka koncertów, ale najbardziej zapamiętałem akademię w rocznicę urodzin Lenina. Ceremoniał – jak na Mszy Świętej z „kazaniem” samego Lenina, odtworzonym z płyty, po którym burza oklasków. Tak wspaniale „przemawiał”!!! Patrzyliśmy z boku na tą bałwochwalczą euforię tambylców, ale nie wypadało nie wstać, jako że byliśmy gośćmi... Utkwiły mi w pamięci rozliczne kawały, które Zdichu i Krzysztof Linke robili z systemu. Gdy przyjechaliśmy, na ulicach były półmetrowe hałdy śniegu. W ciągu 2 dni całkowicie zniknęły, bo wszyscy mieszkańcy w czasie „subotnicy” je wysprzątały. Mieszkańcy czuli, że robią to dla swego dobra. To może po części wynikało z systemu politycznego, ale – jak widać – totalitaryzm potrafił być pożyteczny w czasach kryzysu.

Gospodarze zawieźli nas pod Charków i kazali grabić jakiś las. To się nazywało, że to „park”. Oczywiście wygłupy, żarty. A to było miejsce pochówku polskich oficerów, o czym nas nie poinformowano. Do dziś myślę o tym ze zgrozą, że nie szanowaliśmy tego miejsca. Gospodarze nam tego nie powiedzieli. Myślę, że celowo mogli nas tam wpuścić, żebyśmy się zabawiali na grobach Polaków. Wolałbym wierzyć, że sumienie jakiegoś „wierchuszki” nas tam wysłało, żebym po latach wspominał to miejsce.

Niezapomniane były obozy w Łagowie Lubuskim pod światłym kierownictwem Jurka Marcinkowskiego. Ostatnio spotkałem w Kościanie jedną z członkiń, żonę Włodka Zydorcza, psychiatrę o dwa lata młodszą, których skojarzył na jakiejś imprezie Piotr Drews. Bardzo szczęśliwe i dobre małżeństwo. Włodek jest szefem organizacji Małych i Średnich Przedsiębiorstw i razem rok temu próbowaliśmy założyć nową partię polityczną „ORP” – „Obywatelska Rzeczpospolita Polska”. Rozpad nastąpił przez typowe polskie kłótnie.

Niestety zerwałem z Chórem zaraz po uzyskaniu dyplomu lekarza. Staże, dyżury po 30 godzin na dobę (tak! wówczas to było możliwe: po pracy w szpitalu, poradnia szkolna – 2 godziny – z jednoczesnym dyżurem w Pogotowiu Ratunkowym do rana i z jednoczesnym zabezpieczeniem „Pomocy Wieczorowej” – 4 godziny – zresztą za grosze). Po kolejnym dniu u Prof. Wojnerowicza znowu szkoła, pomoc wieczorowa i jeszcze wieczorem 2 godziny w więzieniu pod Iwnem. Kiedyś, po takich 40 godzinach pracy, tzw. „klawisze” [więzienni] przyprowadzili mi 40-latkę, który nie chciał pracować. Uważali, że jest chory psychicznie. Rozmowa – zorientowany, zdrowy i wreszcie pytam, dlaczego nie pracuje – bo nigdy nie pracowałem. A z czego Pan żyje? z renty 70-letniej mamusi. Uważałem za swój obowiązek nawrócić go „na dobrą drogę”. Opowiedziałem mu o swojej pracy prze ostatnie 40 godzin i spytałem jak on się czuje, gdy patrzy na takiego jak ja zapracowanego człowieka. Odpowiedź pamiętam do dziś: „A po coś pan taki głupi?!” Klawisze pękali ze śmiechu, ale nie wiem, czy później czasem ruszył łopatą.

Całe życie miałem takie poczucie, że po studiach Chór zdradziłem. Myślę, że Krzysiu Linke miał podobne poczucie w stosunku do swej chóralnej przeszłości u Stuligrosza, bo był Opiekunem Chóru z ramienia Uczelni. Jednak wykształcenie muzyczne tkwi w nas i przy sprzyjających okolicznościach się odzywa.

I teraz spotkanie po latach z Krzysiem Linke. Cztery lata temu postanowiłem na starość znaleźć sobie inne, spokojniejsze zajęcie w miejsce chirurgii i rozpocząłem na wolontariacie w Poznaniu na Osiedlu Rumcajsa (koło Lotniska Ławica) specjalizację z medycyny rodzinnej. Przylatuję rzadko do Poznania [na Lotnisko Ławica], na kilka dni kiedy akurat nie mam zajęć w Anglii. W czasie urlopu chciałem odrobić staż z interny. Więc po ponad 40 latach do Kliniki do Krzysia Linke. Spotkanie jakbyśmy się rozstali wczoraj. Niekończące się opowieści o Chórze. Krzysiu wrócił do korzeni. Opowiadał o licznych wyjazdach na festiwale, koncerty po całej Europie. Byłem dumny, że udało mi się przechować najtrudniejszy okres dla Chóru po wyrzuceniu Jerzego Fischbacha. Krzysiu był wspaniałym kontynuatorem Jego dzieła. A najważniejsze, że Chór AM w Poznaniu pod Jego kuratelą tak wspaniale rozkwita. W ciągu tego miesiąca rozmawialiśmy często. Czułem Jego ogromną życzliwość i opiekę w moich nieudolnych wysiłkach do bycia internistą. Chirurg ma proste rozwiązania, co prawda z ogromną odpowiedzialnością. Lecz internista musi być mądrym lekarzem, by pomagać i rozwiązywać prawdziwie trudne, zawikłane i niejasne problemy. Większy szacunek czuję tylko do pediatrów, którzy w rzeczywistości muszą badać i matkę i dziecko i leczyć oboje. Niestety, miałem tylko miesiąc stażu w Szpitalu im. Kryśewicza w Poznaniu, bo wysłano mnie do Stacji Krwiodawstwa.

Byłem świadkiem pracy lekarskiej i profesorskiej Krzysia, który badał wnikliwie i widać było Jego osobiste zaangażowanie w rozwiązywanie problemów pacjenta. Z obawą mówił o zakusach na Jego

Katedrę i planach usunięcia Go ze stanowiska z racji emerytury. Myślę, że nie miał pomysłu na czas swej emerytury. Całego siebie oddał swej pracy zawodowej. Umiał położyć nacisk na rzeczy istotne dla pacjenta, pomijając błędy poprzedników.

Pamiętamy Jego wspaniały profesorski wykład na naszym spotkaniu w Baranowie w 2015 roku. Zmarł nagle na zawał serca [16 grudnia 2016 r.]. Myślę, że niestety do Jego śmierci przyczyniła się typowa polska zawiść między lekarzami i zakusy na Jego pozycję związane z Jego wiekiem emerytalnym.

W Anglii każdy lekarz wręcz stara się jak najwięcej nauczyć swych następców. Nie ma tu stanowiska ordynatora, a każdy specjalista jest samodzielny. Każdy ma swoich pacjentów przyjętych na jego dyżurze lub badanych w jego poradni. Specjalista – „Consultant” – ma zespół złożony z tzw. „SpR” – Specialist Registrar’a, „SHO” Senior House Officer’a, i jednego lub dwóch (HO) House Officer’ów. Nie ma walki między specjalistami. Tylko raz byłem świadkiem, gdy Hindus Subramanian „wykańczał” świetnego Mr Davidsona, chirurga rekonstruującego piersi w Środkowej Anglii. Wyjątek potwierdzający regułę. Nie żeby mówić o tym pacjentom. Jest wyścig szczurów, polegający na ambicji i doskonaleniu się, lecz nie na wykańczaniu się. Wygrywa naprawdę najlepszy. A wygrana nie oznacza wykończenia kogoś, a zdobycie najlepszych umiejętności. Potem się idzie w bardzo wąską specjalizację. W Durrham (gdzie spoczywa Venerable Bede od 780 r.n.e.) poznałem młodą chirurg plastyk, która umiała odtwarzać piersi tylko jedną metodą. Nie miała dyżurów, co prawda pracowała w Poradni, ale na sali operacyjnej robiła tylko jedno, zresztą świetnie.

Myślę, że Krzysiu Linke padł ofiarą typowej polskiej zawiści, polskiego piekła, przed którym nie potrafił się obronić. Zbyt delikatny, ufny, otwarty.

Byłby wspaniałym mentorem i nauczycielem zawodu każdego lekarza w Anglii, gdzie korzysta się z doświadczenia i wiedzy takich osób dopóki sami tego chcą. Z powodu lepszych zarobków tylko niektórzy pasjonaci pracują po dojściu do emerytury, ale jest przeogromna różnica we wzajemnych relacjach.

Mówienie źle i krytykowanie innego lekarza przed pacjentem dyskredytują całkowicie tego, który to mówi. Przy mnie nigdy nikt nie powiedział słowa krytyki wobec lekarzy poprzednio leczących.

Krzysiu Linke nie miał szczęścia do współpracy w życzliwym otoczeniu.

W Anglii po 65 roku życia dostaje się od państwa emeryturę, ale nadal można pracować do późnej starości, o ile pozwala zdrowie i umiejętności. Widać ze mną jeszcze nie jest tak źle, choć świadomie się coraz bardziej ograniczam. Krzysiu nie miał tego szczęścia, bo Jego wrogom zależało na Jego stanowisku. Dla mnie Krzysiu dużo zrobił. Dał mi szansę na nową specjalizację a przede wszystkim uratował i rozwinął „mój” Chór AM.

Leszek Milanowski, Sherwood Forest Hospitals NHS Foundation Trust, Anglia, w grudniu 2018 r.

Ten tekst zamieszczono 18 grudnia 2018 r. w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4509> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (15). Wspomnienia o Krzysiu Linke i Chórze Akademii Medycznej w Poznaniu.

Krzysztof Urbański (1947-2014). Wspomnienie Jerzego T. Marcinkowskiego.

Pożegnanie doktora Krzysztofa Urbańskiego (1947-2014). Dnia 20 kwietnia 2014 r. zmarł po długiej i ciężkiej chorobie dr med. Krzysztof Urbański – specjalista chorób wewnętrznych, kardiolog, wieloletni pracownik Wielospecjalistycznego Szpitala Miejskiego im. Józefa Strusia w Poznaniu przy ulicy Szkolnej 8/12, a ostatnio przy ulicy Szwajcarskiej 3, który wyróżniał się pośród praktykujących w tym zawodzie najważniejszą i najbardziej pożądaną umiejętnością, z głębi serca płynącą, jaka jest całościowe (używając modnego dzisiaj słowa: holistyczne) postrzeganie swych pacjentów, czyli nie tylko zajmował się chorobami swych pacjentów, ale także dostrzegał ich sferę społeczną – i to co

najważniejsze – psyche, duchową. To było nader widoczne w bezpośrednich Jego kontaktach ze swymi pacjentami, czyli, co tak się szumnie i naukowo określa, budował właściwe, nader pożądane relacje pacjent-lekarz. Tym właśnie się wyróżniał w środowisku lekarskim – a widoczne to było w tych jakże bardzo ludzkich odruchach Jego pacjentów. Oni po prostu bardzo lubili doktora Krzysztofa, który miał wszelkie cechy dobrego lekarza. A dobry lekarz to ten, do którego pacjent jak przyjdzie po pomoc, po poradę, to już z tej wizyty wychodzi zdrowszy.

Doktor Urbański, urodzony 29.09.1947 r. w Poznaniu, był absolwentem „Marcinka”, czyli I Liceum Ogólnokształcącego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu – z 1965 roku, kiedy to jeszcze do tego liceum chodzili wyłącznie chłopcy. Koedukację wprowadzono w tym liceum dopiero później. Uczył się bardzo dobrze i po zdaniu matury podjął studia na Wydziale Lekarskim ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu, obecnie Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego. Ukończył ją w 1971 roku z wyróżnieniem – a więc przed blisko 43 laty – i ten tak długi okres czasu, to Jego nader staranna i z pełnym poświęceniem wykonywana praca lekarza.

Bezpośrednio po studiach rozpoczął staż lekarski w Szpitalu Miejskim im. Józefa Strusia w Poznaniu, gdzie wkrótce – dostrzegając Jego umiejętności i zaangażowanie w pracę zawodową – zaproponowano Mu etat. Pracował pod kierownictwem prof. Leszka Przybyła (ordynatora II Oddziału Wewnętrznych) – prowadząc m.in. zajęcia i wykłady z podstawowej opieki zdrowotnej dla studentów Akademii Medycznej w Poznaniu.

Warto wspomnieć o Jego hobby – kupował mnóstwo książek i czasopism, które nie tylko gromadził ale zapamiętałe studiował dzięki czemu nieomal wszystko wiedział o świecie...

Ci, co Go widzieli w ostatnich miesiącach Jego pracy zawodowej, widzieli lekarza uśmiechniętego, pogodnego, nader życzliwego – i w olbrzymiej zapewne większości Jego pacjenci nie mieli pojęcia, że ich lekarz toczony jest śmiertelną chorobą. To była heroiczna postawa zawodowa – oddawanie się sprawom swoich pacjentów z całym sercem i zaangażowaniem aż do samego końca, bez oglądania się na siebie i swoją chorobę. Umarł nieprzeciętny lekarz, wielkiego serca i charakteru, kochający życie i ludzi, osieracając mnóstwo swych pacjentów i środowisko lekarskie – pozostawiając w naszych sercach pustkę i żal. Można o Nim powiedzieć, że stosował się do zasady podanej przez Władysława Biegańskiego, lekarza i filozofa: „Jest to złota zasada w życiu: wymagać mało od świata, a dużo od siebie.”

Doktor Krzysztof Urbański, który w otoczeniu rodziny, wielu przyjaciół i pacjentów został pochowany w dniu 25 kwietnia 2014 r. na zabytkowej poznańskiej nekropolii – Cmentarzu Parafii Bożego Ciała przy ulicy Bluszczowej 14 w Poznaniu – pozostanie na zawsze we wdzięcznej naszej pamięci. Żegnamy Cię, Wspaniały Doktorze Krzysztofie, Mistrzu, Nauczycielu wielu pokoleń lekarzy, Przyjacielu i Serdeczny Kolego! W imieniu Koleżanek i Kolegów z roku – Jerzy T. Marcinkowski

Ten tekst Jerzego T. Marcinkowskiego był zamieszczony w Biuletynie Wielkopolskiej Izby Lekarskiej.

Pamiętam tak niewiele – gdy pomyślę Krzyś Urbański wyświetla mi się tylko obraz 18-latka jakim wtedy był, na tym naszym pierwszym roku Akademii Medycznej w Poznaniu – niewysokiego blondyna o chłopięcej buzi – Jasnego Chłopaka, którego spotykałam na korytarzach Anatomicum. Chyba nigdy nie miałam okazji pogadać. Mam tylko w oczach Jego sylwetkę i twarz. To mało, bardzo mało Zofia Konopielko (z d. Łukaszewicz).

Pamiętam Krzysia doskonale. Mieszkał na ul. Marcelesińskiej – ja kilka domów dalej (narożnik Marcelesińskiej i Grochowskiej) więc często jeździliśmy razem na wykłady z tego samego przystanku autobusowego. Wesoly, pogodny – zawsze miał coś dobrego do powiedzenia. A wiedza wielka –

wydawało się że znał książki na pamięć. Uczynność to jego ważna cecha. Po wielu latach spotkałam Go w szpitalu na ul. Strusia zupełnie przypadkowo. Poznał. Pomógł załatwić wszystko. Maria Nowakowska (z d. Hołoga).

W gazecie „Głos Wielkopolski” opublikowano dnia 23.04.2014 następujący nekrolog:
„Z głębokim żalem żegnamy Dr n. med. Krzysztofa Urbańskiego wieloletniego pracownika Rejonowej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Poznaniu, lekarza oddanego pacjentom i cenionego przez współpracowników. Wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie oraz Bliskim składają Dyrektor i pracownicy”.

Otóż Krzysiu Urbański przez wiele lat jeździł w karetce Pogotowia Ratunkowego, którą to pracę bardzo lubił, a jak pojawiał się na miejscu zdarzenia to emanował od Niego wielki spokój, skupienie i zdecydowanie w podejmowanych szybko działaniach. Dlatego Go powszechnie szanowano a w chwili składania trumny z Jego ciałem do grobu nad tymże grobem utrzymywał się w powietrzu śmigłowiec Pogotowia Ratunkowego oraz „wyły” karetka Pogotowia Ratunkowego – bo wielkiego lekarza chowano! (Jerzy T. Marcinkowski)

Całość zamieszczono 21 września 2018 r. w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4263> pod tytułem: Z pamiętnika Jerzego T. Marcinkowskiego. Wspomnienie o Krzysztofie Urbańskim

Leszek Milanowski

Leszek pracując Anglii miał żywy kontakt z kolegami zjednoczonymi w grupie messengerowej, często do nas dzwonił i na prośbę o spisanie wspomnień, wrzucał poniższe teksty w formie listów, które zostały skrzętnie zapisane w blogu. Aktualnie zostały zebrane i powstała Jego osobista część naszych Pamiętników.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz tak przed laty napisała do Kolegów: Dziwnym zrządzeniem Losu tu się spotkaliśmy – Mariolka, Jurek, Ty Leszku i ja. Zadziwiające jak bardzo jesteśmy do siebie podobni – mamy tę samą potrzebę rozmowy – o sobie, swoich losach i o Kolegach, szczególnie tych, którzy przedwcześnie nas opuścili – zapamiętaliśmy tych samych ludzi – pomimo licznych roku. I chcemy utrwalać pamięć, by Ci którzy odeszli nie rozpuścili się w niebycie – właściwie żyjący tylko w naszej i swoich Bliskich pamięci – by istnieli dalej. I czuję radość, że wróciłam do Was i widzę że te nasze trzy pierwsze lata na wspólnej uczelni (potem wyjechałam) – Akademii Medycznej w Poznaniu stały się tak intensywne i tak dla nas Wspólne i że mogę za pośrednictwem tego blogu te nasze wspomnienia wysyłać w wirtualną przestrzeń ocalając od zapomnienia

O PRADZIADKU, KOCIEWIAKACH I PATRIOTYZMIE

Tata pochodził ze Starej Kiszewy. To pogranicze Kaszub i Kociewia. Kociewiaci zaliczyli się do Kaszubów i Polaków bardziej równolegle – gdy z Kociewiaci używali podobnej mowy co Kaszubi lecz „bliższej” polskiego. Czuli się Polakami bardziej niż dumni „samostojni” Kaszubi.

Opowiem ciekawą historię o moim pradziadku. Był wysokim potężnym mężczyzną i polskim patriotą. Pod koniec XIX wieku za HAKATY (siedziba była w Poznaniu w naszej obecnej AM) na 3 Maja chodził z białą-czerwona flaga i śpiewał „Jeszcze Polska...” za co był sądzony i skazywany.

Na Mszy Św. niemiecki ksiądz w czasie kazania krzychał i obrażał to. Stojąc pod amboną, ten wysoki mężczyzna wstał i zawołał do księdza „- Milcz sługo, gdy z Twym Panem rozmawiam!”.

Fajna lekcja dla nas, katolików w dzisiejszym doktrynalnym Kościele i dla Wałęsy. Szkoda, że Wałęsa tego nie powiedział, gdy w czasie mszy biskup i „prezydent” prowadzili swoją propagandę.

List od Leszka zamieszczony 24 września 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4272> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (7). Kociewskie korzenie – mocna opowieść o Dziadku

SIADAJ, DWÓJA. SZKOLNE CZASY

Miałem szczęście do moich Wychowawczyń w Kutnie. A były tylko dwie. Obie kobiety samotne, poświęcające się swoim uczniom i obie polonistki. To One odkryły u mnie „niewątpliwy” talent

literacki. Przez 7 klas podstawówki była nią Pani Eleonora Górka, która była właścicielką domu na Dąbrowskiego w którym mieszkaliśmy. Dom został wybudowany dla Niej przez Księdza Wolanina w latach dwudziestych. Musieli się ogromnie kochać. Dla Niej zdjął sutannę. Był potem w latach dwudziestych nauczycielem w mojej późniejszej szkole, lecz Kościół nigdy Jej tego nie wybaczył. Za to, że „uwiodła” Księdza szybko Jej grób na cmentarzu w Kutnie został zlikwidowany. Teraz jako Jej wychowankowie wmurowaliśmy pamiątkową tablicę na murze cmentarza. To ona uratowała mnie przed pasaniem świń i krów na które wywiózł mnie Ojciec, gdy nie chciałem chodzić do Szkoły Muzycznej. A może niestety, to przez Nią nie zostałem bogatym obszarnikiem

... To ja niestety pierwszy stwierdziłem Jej odejście do lepszego świata po powrocie z praktyki w Szkoci..

Pani Górka często po lekcjach brała do swojego domu uczniów, którzy mieli gorsze stopnie. Dawala im bezpłatne lekcje bez żadnego dodatkowego wynagrodzenia. Po prostu kazała przyjść.

Ja miałem blisko z parteru na piętro.

Karała nas biciem linijką po rękach, aż dłonie puchły.

Ani my ani Rodzice nie mieli o to żalu, bo to było sprawiedliwe. Teraz Ziobro by Ją skazał .

Pamiętam, jak mnie biła lub stawiała do kąta za drobniejsze przewinienia.

To Ona spowodowała, że razem – z całą klasą z podstawówki – znaleźliśmy się w liceum. Razem przez 11 lat.

To cementuje.

Te przyjaźnie muszą zostać, bo w tym czasie dojrzewaliśmy....

Drugą Wychowawczynią w Liceum była wspaniała, drobnutka, dystygowana i surowa Pani Profesor Janina Kowalewska. Pochodziła z Warszawy. Najbliższą rodzinę chyba straciła w Powstaniu. Mieszkała ok. 2 km od szkoły i przez całe miasto codziennie dochodziła do pracy... Na pewno nie była zwolenniczką słusznie minionego systemu, bo pozwalała nam na dość śmiało i ostre dyskusje między sobą na lekcjach polskiego i godzinach wychowawczych. Sama nigdy nie zabierała głosu, co najwyżej obserwowwała i moderowała nasze kłótnie. Obserwowała nas i panowała nad dyskusją. Gdy jeden z kolegów (Kaziu Jerzak) zrobił kurs „operatora filmowego” sprowadziła debiutancki film „Dwoje ludzi z szafą” nieznanego wtedy młodego reżysera. Gorąca dyskusja po filmie znów tylko przez Nią moderowana. Tak zobaczyłem pierwszy w życiu film Romana Polańskiego. Nie wiem jak Ona przewidziała Jego przyszłą karierę..... Zadawała nam wypracowania do domu. Przerabialiśmy „Placówkę” Prusa. Lekturę trzeba było przeczytać, ale jakoś nie miałem czasu. No i tragedia: Klasówka z „Placówki”! Opanowany z zimną krwią pisałem jak to Ślimak bronił swojej ziemi przed sprzedażą, jak tę ziemię kochał, czuł jej zapach. No i zaliczenie z powodzeniem. Do dziś nie przeczytałem, ale sobie obiecuję, że muszę ją przeczytać. Kiedyś przerabialiśmy tryb przypuszczający. Kazała nam w tym trybie napisać wypracowanie. Na drugi dzień wezwany do odpowiedzi mówię. „Brak wypracowania”. SIADAJ DWÓJKA..... Pani Profesor, to tylko tytuł. I zacząłem jak by to było pięknie pograć w piłkę, iść do kina, gdyby nie to wypracowanie. Pełne 2 kartki. Klasa w śmiech. Zaliczyłem....

Każdy z nas miał swoich nauczycieli. To na pewno byli różni ludzie. Jednych pamiętamy, o innych chcielibyśmy zapomnieć. Po latach ja nie mam takich, których mógłbym źle wspominać. Każdy z Nich brał odpowiedzialność za nasze wychowanie, przygotowanie do dalszej nauki i do życia.

Żyliśmy w systemie totalitarnym, oby nigdy już tego w Polsce nie było. Mimo tego nawet Ci najbardziej zaangażowani których znam, nie przekroczyli granicy, którą mógłbym nazwać ślełą indoktrynacją....

Na pierwszym obozie harcerskim w Zuzinowie pod Gostyninem Komendantem był wspaniały, uwielbiany przez harcerzy harcmistrz druh Witczak. Potem był pierwszym sekretarzem w Kutnie. Dla mnie Jego działalność była trochę jak gra. Nie był kimś, kogo można uznać za zajadłego komucha. Takie były czasy. Po zmianie ustroju odwiedziłem Go z lekarską wizytą. Mieszkanie skromne, wręcz biedne, nie dorobił się niczego. Dostawał najniższą emeryturę „na przeżycie”. Mimo systemu, wysokiej pozycji i swej roli pozostał porządnym człowiekiem.

Patrzę teraz na te dziesiątki tysięcy złotych, które dostają szefowie spółek i beneficjenci, „swoi ludzie” jednej zwycięskiej partii walczącej o „sprawiedliwość”. Jedno jest pewne. Mimo, że były sklepy „za żółtymi firankami”, to nie było takich różnic płacowych jakie teraz fundują sobie funkcjonariusze „dobrej zmiany”. Znamy pensje pielęgniarek, stewardess, ratowników medycznych, los niepełnosprawnych i ich opiekunów. Solidarność jest daleką przeszłością. Uważam, że społeczeństwo obywatelskie patrzące bezpośrednio na ręce władzy jest jedyną drogą do bardziej sprawiedliwego podziału wypracowanych dóbr poza tymi, które każdy sobie sam wypracował i zbierał.

Na Wszystkich Świętych staram się odwiedzić groby moich nauczycieli i kutnowskich lekarzy. Nie mogę Im inaczej podziękować jak tylko postawić świeczkę. Będą żyli tak długo, jak długo my będziemy o Nich pamiętać.

Tekst zamieszczono 3. listopada 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4384> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (12). Siadaj, Dwója.

MUZYCZNE WYDARZENIA Z „KROWĄ” W TLE :)

Gdy na geografii była lekcja o Kaszubszczyźnie ja – głupi – wstałem i pochwaliłem się, że mam kaszubskie korzenie. Odtąd koledzy nazywali mnie „Kaszubkiem” co dzielnie znosiłem.

Gorzej było z „Krową”, ale to inna historia....

Mama miała ambicje zrobić ze mnie muzyka. Od 6-go roku życia byłem również uczniem Szkoły Muzycznej. Powtarzałem drugą klasę i dlatego jako prelegent i mentor nie mam u dzieci szacunku. Żadne nie repetowało.

W czwartej klasie zdobyłem się na odwagę i oświadczyłem Rodzicom, że do Szkoły Muzycznej chodzić nie będę.

Ojciec – spokojnie – wsadził mnie na motor i wywiózł na wieś do znajomych do pasania bydła.

Następnego dnia przyszła do domu – do Ojca – delegacja z klasy – „żeby Pan doktor nie wywoził Leszka do pasania świń” ...

Ojciec zmiękł – ale ksywa „Krowa” została do matury.

Ale potem grałem nawet Chopina, Beethovena, Mozarta.

Tak więc pośrednio dzięki Mamie zostałem szefem Chóru AM w Poznaniu po odesłaniu wspaniałego Fiszbacha. Na szczęście ręki do tego nie przyłożyłem ...

[dzięki Jurkowi mamy kontakt mailowy z dr Fischbachem i wiemy – że po latach wyrzucenia w pamiętnym 1968 roku – z uczelni , chóru i chyba z kraju – powstał, odrodził się i pomimo słusznego wieku Pięknie kontynuuje swe dzieło, które nazywam Misją Zleconą przez Stwórcę – nadal prowadzi Chór Madrygalistów, który stworzył po latach wygnania. ZK]

A propos morza.

Ostatnio – w zeszłym roku – usłyszałem tę „Krowę” od przyjaciela, który kiedyś , dawno dawno temu, ale w czasie wspólnej edukacji w Kutnie – w ataku w koszykówkę natknął się na mnie. „Krowa” był nie do przejścia. Okazało się, że on do dziś pamięta nokaut w splot słoneczny, bo sam nadział się

na moje kolano w ataku. Na wszelki wypadek uciekł przede mną na oceany.

Jako kapitan Żeglugi Wielkiej ledwo wyszedł z życiem gdy radziecki trawler w czasie sztormu staranował „Nysę”.

W gazetach czytaliśmy że to sztorm, ale wówczas nie można było nic zarzucać naszym „przyjaciółom”

Jako obrońca w szczypiorniaku – „Krowa” – również nie był do przejścia, przypominał ten przyjaciel – napastnicy strony przeciwnej mieli pecha, bo dwa razy złamali sobie rękę, raz nos – a jeden utracił dwie górne jedyńki.

Zostaliśmy na zawsze przyjaciółmi, bo wiedzieli, że ja byłem bezwzględny obrońcą wszystkich uciśnionych.

Nie raz byłem karany za „pyskowanie”, ale agresja nauczycieli kierowała się na mnie, nie na winowajców.

Hadko wspominać....

Tekst zamieszczono 11 stycznia 2019 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4555> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (17) . Muzyczne wydarzenia z „ Krową ” w tle :)

JAK NIE CHCIAŁEM ZOSTAĆ LEKARZEM I CHIRURGIEM

W szkole koledzy wróżyli mi pracę adwokata, bo zawsze stawałem w obronie słabszych. Przy mnie nikt nie miał prawa nikogo poniżyć. Rodzice bardzo mocno wpoili mi poczucie sprawiedliwości. Wierzyłem w niezależne sądy do czasu. kiedy sam nie trafiłem na skorumpowanych sędziów i prokuratorów, a także adwokatów w Lipnie i Włocławku.

OJCIEC – despotyczny ordynator chirurgii w Kutnie od 1945 do 1980 roku chciał, bym został leśnikiem, co jemu się nie udało. Studia w Poznaniu skończył w czerwcu 1939 roku razem z późniejszymi Profesorami: ANTONIM HORSTEM (tak, Ojcem naszej koleżanki z roku HANKI), Wysockim (internista), Eligiuszem Preislerem (internista i lekarz sportowy), Kornackim (ginekolog), Kazimierzem Duxem (onkolog), Prof. Marią Mastyrską (chirurg) .

Tata z kilkoma kolegami z roku, głównie o niemieckich korzeniach, studiował równolegle w słynnej Szkole Profesora Piaseckiego – prekursora Akademii Wychowania Fizycznego po wojnie. Szkoła

mieściła się na terenie parku Kasprzaka – dziś a wtedy Wilsona, przy Palmiarni (gdzie z ZOSIĄ uczyliśmy się anatomii). Tam poznał przy mazurze moją Mamę – historyczkę z Uniwerku.

Na tym studium było najwięcej kolegów o niemieckich korzeniach, bo tak nakazywały im niemieckie przedwojenne organizacje.

Jednym ze słuchaczy był ich kolega z roku – Friedrich Karl Hermann Entress – ten słynny morderca z Oświęcimia. Przez swoją wiarę w wielkość Hitlera i chęć zostania prawdziwym Niemcem oraz pragnienie zrobienia kariery zawisnął na stryczku. Jak to się stało, że kolega ze studiów, przyjaciel profesorów Horsta, Duxa – też o niemieckich nazwiskach- ale zwłaszcza polskiego patrioty Profesora Horsta mógł robić doświadczenia na ludziach? Gdy spotkał w czasie wojny Ojca na ulicy w Poznaniu powiedział. „Józek, lepiej byś mnie nie znał”. Przecież on nawet nie zdążył zostać prawdziwym lekarzem. Stał się członkiem totalitarnej hitlerowskiej ludobójczej hitlerowskiej maszyny. Na pewno miał możliwość ukrycia się jak jego zwierzchnik, Mengele i wielu zbrodniarzy hitlerowskich. Myślę, że widział konieczność poniesienia kary za swe zbrodnie i się nie ukrywał. Zresztą był przecież małym pionkiem. Dopiero co po studiach i od razu został lekarzem obozu zagłady. Przecież nawet nie zdążył nikogo uleczyć tylko mordował. Dlaczego nie wyniósł zasad etyki od swoich poznańskich nauczycieli?. Moim zdaniem stanowi przykład samodestrukcji, gdy jednostka poddaje się totalitaryzmowi i wierzy w jednego namaszczonego wodza. Bez komentarza do sytuacji obecnej.....

Tuż przed wybuchem II Wojny Światowej Ojciec zaczął pracę w Toruniu na ginekologii. Jednak wkrótce Niemcy zaatakowali Polskę i jeszcze przed wysadzeniem mostu kolejowego Tata przeszedł z kolegą, dr Nikodemem Niekielem przez Wisłę ..Uzbrojony w Parabellum które zabrał młodszemu bratu, również później chirurgowi – mężowi Prof. Adamskiej – Milanowskiej (rehabilitant) ruszył na ratunek Warszawie. Siódmego września 1939 roku, wieczorem znalazł się w Kutnie. Poszli do dyrektora dr Perkowicza z prośbą o nocleg. „Zawsze w szpitalu są wolne łóżka – idźcie chłopcy się przespać”.

8 września zaczęła się Bitwa pod Kutnem. Do szpitala zwożono rannych. Dyrektora Perkowicza pytali się co mają robić, bo oni chcą iść na pomoc Warszawie.

„- zróbcie jak uważacie, ale pamiętajcie MIEJSCE LEKARZA JEST PRZY CHORYCH I RANNYCH”.

I dlatego ja w Kutnie się urodziłem.

Ojciec urządził Szpital Polowy w budynku mojego późniejszego Gimnazjum. Wybierał kogo operować: obwieszzonego orderami zasłużonego powstańca czy młodego żołnierza. Wybór jasny. Żołnierza, czy cywila. Wybrał żołnierza. Gdy wrócił, przy zmarłym siedziała mała dziewczynka.

– „GDYBY PAN KAZAŁ OPEROWAĆ MOJEGO TATUSIA TO BY ŻYŁ”

Straszne wybory. Ta mała była wyrzutem sumienia mojego Ojca do końca życia. Ale każdy wybór był zły.

Trafił się niemiecki ranny pilot. Polacy chcieli go zlinczować. Ze swoim parabellum Ojciec stanął w drzwiach i krzyknął :

” – pierwszy, który go dotknie dostanie ode mnie kule w łeb. Teraz jest moim pacjentem. Będziemy go sprawiedliwie sądzić po wojnie jeśli wyzdrowieje...” No i nie osądził, ale dał mi naukę na całe życie, ŻE PACJENTA, NAWET NAJWIĘKSZEGO WROGA TRZEBA LECZYĆ JAK KAŻDEGO CHOREGO.

Ojciec nauczył mnie, że pacjent, za którego odpowiadam nie jest w moich prywatnych zainteresowaniach. O swoich wrogów, a takich też leczyłem, starałem się dbać nawet specjalnie

lepiej, by potem, jak będą zdrowi móc z nimi ostro walczyć. Nie zdarzyło się żeby nie schowali głowy w piasek lub nie przeprosili.

Po zakończeniu tej wielkiej heroicznej bitwy nad Bzurą , która miała zamknąć drogę do Warszawy – wkroczyli Niemcy, którzy Ojca, tego młodego niedoświadczzonego stażystę, zrobili zastępcą niemieckiego ordynatora. Jego podwładnymi był i dyrektor i kilku starszych doświadczonych chirurgów wśród nich znany wówczas profesor Krotkiewski, i dr Piorek, były Powstaniec Śląski.

Trafił się w środku wojny ranny, obwieszony orderami generał organizacji Todt. Gdy dr Piorek go zobaczył powiedział Ojcu: ” Józek, już po mnie. Ja przeciwko niemu walczyłem na Śląsku...”

Tenże generał wezwał Ojca i rzekł, „niech pan powie dr Piorkowi, że ja go nie pamiętam.”

– Po prostu: W KAŻDYM SYSTEMIE MOŻNA BYĆ PORZĄDNYM CZŁOWIEKIEM....

Tekst zamieszczono 4. listopada 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4386> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (13) . Jak nie chciałem zostać lekarzem i chirurgiem – część pierwsza

Jak nie chciałem zostać lekarzem i chirurgiem – część druga

W moim rodzinnym Kutnie , w Liceum – Dąbrowszczaku, uczyłem się do matury.

Zamiast iść na Studniówkę studiowałem „Fizykę” Piekary....

Na 2 miesiące przed maturą we wstępnym formularzu zapisałem, że będę fizykiem jądrowym.

Żaden z kolegów nie chciał zostać lekarzem bo na tym zawodzie ciążyło przekleństwo „komuny” jako obcego klasowo. *(był to rok 1965 – przyp. Z. K.)*

Gdy na kilka dni przed maturą trzeba było wysłać papiery, zdałem sobie sprawę, że te jadra będę mógł rozbijać tylko w radzieckiej Dubnej a do partii nie chciałem się zapisywać.

W ostatniej chwili zmieniłem na medycynę bo przynajmniej będę mógł służyć ludziom.

Miałem też na myśli prawo, bo zawsze w szkole pełniłem rolę „advokata uciśnionych”, ale to przeznaczenie tkwiące od dawna mną pokierowało i pewno wspomnienia Ojca – lekarza i Jego praca.

Chciałem do Krakowa, ale w Poznaniu był brat Ojca i Ciocia Ziuta (prof. Milanowska).

Poza tym tam studiowali moi Rodzice.

W albumie rodzinnym było Ich zdjęcie na drzewie nad jeziorem w Sierakowie na obozie sportowym Profesora Pułkownika Piaseckiego.

Byłem na 6-tygodniowym kursie przygotowawczym na „Wysrołu”. *(tak nazywano skrótowo Akademię Rolniczą w Poznaniu – przyp. Z. K.)*

Popołudniami zaczytywałem się w książce „wielkiego” (w/g Profesora Miętkiewskiego) Brachet’a o budowie białka, komórki, DNA, działaniu białych krwinek, o odporności.

Wówczas postanowiłem zostać naukowcem, który znajdzie lek na raka.

CZEKAŁ NA MNIE NOBEL!

Dlatego praktykę po drugim roku miałem w laboratorium na Garbarach. Trochę daleko od badania moczu do Nobla, ale od czegoś trzeba zacząć ...

Wszyscy wokół od dawna mówili, że powinienem zostać chirurgiem jak Ojciec. Dlatego w wakacje przed rozpoczęciem studiów przez kilka tygodni asystowałem przy operacjach. Chyba nie powinienem o tym mówić, ale przez pierwsze kilka dni za każdym razem mdlałem. Pierwszy raz, przy cholecystektomii do której trzymałem haki. Padłem niespodziewanie na podłogę sali operacyjnej aż głowa jak garnek zadudniła. Widać od tego czasu jestem taki „narwany”.

Potem była oddelegowana salowa, która za mną stała i pilnowała żebym bezpiecznie upadał.

Honor nie pozwalał mi nie stawać do stołu.

Kilka razy padłem przed upływem godziny, ale potem to przeszło.

Pamiętam do dziś pierwsze trepanacje czaszki, rozległe oparzenia, operacje prostaty metoda Milina, pęcherzyki żółciowe, wyrostki, diagnozę ostrego brzucha i

.....śmierć młodej pięknej dziewczyny z martwicą jelit po niedrożności trwającej kilka dni. Młoda kobieta wytrzyma każdy ból. Dlatego nie prosiła wcześniej o pomoc. Byłem potem przy Jej sekcji bo chciałem wiedzieć dlaczego...Czy chirurdzy popełnili jakiś błąd? Oczywiście że nie, ale chciałem wiedzieć jak uniknąć błędów. A poza tym czułem się blisko z Nią związany. NIE MOŻNA WYGRAĆ Z PANEM BOGIEM.

Na marginesie, znacznie później – najdłuższa operacja którą sam wykonałem w Łodzi trwała 11 godzin – resekcja nowotworowej żuchwy z językiem i rekonstrukcja płatami uszypułowanymi . A najdłuższa – do której asystowałem – to resekcja wątroby w Warszawie z naszym kolegą WÓJCIKIEM, którą robił przez 30 godzin profesor... z doc. Zieleniewskim. Też motocyklowy bohater z Kutna, któremu trzeba było wycinać wątrobę po kawałku, by zostało jak najwięcej

W wakacje po pierwszym roku znowu byłem na chirurgii w Kutnie tym razem z moim przyjacielem ze szkoły, Andrzejem Szewczykiem, który po pierwszym zaliczonym roku na biologii, (gdzie musiał liczyć nogi pająkom) zdawał na medycynę. Do niedawna był zastępcą ordynatora na laryngologii w Raszei . (*skrótowa nazwa szpitala w Poznaniu im. Raszei – przyp. Z.K.*). Przyjaźnił się i pracował z naszym kolegą śp. Ryszardem Musialikiem, mężem Prof. Danusi Popek.

Trafiła nam się koleżanka z klasy z liceum, cudna blondynka KW ze złamaną miednicą. Motocykl oczywiście. Wtedy zakładało się tzw. portki gipsowe i asystenci oddziału kazali nam je założyć. Chyba złośliwie. Jak myśmy z Andrzejem się wstydzieli ! Ale ręce się nie trzęsły . Profesjonalnie bez komentarza, śmiertelnie poważnie zrobiliśmy naszą robotę. Niestety jeszcze bardziej chyba to przeżywała nasza koleżanka, bo już nigdy Jej nie spotkaliśmy na Zjazdach. Krysiu ! naprawdę nie masz się czego wstydzić. Dla mnie masz nadal wspaniałe ciało! Teraz po latach mogę się przyznać, że obaj to zauważyliśmy.. Pierwsze spotkanie z tak pięknym, kobiecym ciałem o blond włosach. Była jak bogini, którą my, dzielni rycerze mieliśmy uratować z więziennej wieży. Tylko, że wsadziliśmy jej tak ciężkie portki, których dziś się już nie zakłada ! Chciałbym Ją przeprosić.....

PRZYSIĘGAŁEM SOBIE, ŻE NIGDY NIE BĘDĘ CHIRURGIEM !

Nie żebym mdlał wcześniej !

Ale przecież bywało, że nawet w czasie Wigilii Ojca nie było z nami !

JAK ZWALCZYĆ NOWOTWORY? To miało być moje naukowe wyzwanie.

Do czwartego roku się tego trzymałem dopóki z Markiem Tuszewskim nie zacząłem trochę dyżurować na Przybyszewskiego. Wtedy pogodziłem swój zapał do walki z rakiem z immunologią i chirurgią.

Najgorsze, że poza dostatecznym z farmakologii jedną z nielicznych czwórek dostałem właśnie z chirurgii.

To było jak wyzwanie. Musiałem to naprawić i nadal naprawiam.

CO NIE POKONA TO WZMOCNI...

Tekst zamieszczono 18. listopada 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4402> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (14). Jak nie chciałem zostać lekarzem i chirurgiem – część druga

PISEMNE EGZAMINY WSTĘPNE NA AKADEMIĘ MEDYCZNĄ I PIERWSZE SPOTKANIE Z TERESĄ GAWROŃSKĄ

Egzamin wstępny zdawałem w sali Anatomii Patologicznej na Przybyszewskiego. Nie bałem się. W końcu same piątki ze wszystkiego i tylko 4 z matematyki przez potwierdzoną pomyłkę w zadaniu, w Dąbrowszczaku w Kutnie. Nie miałem komu dotychczas się tym pochwalić i jak widać lubię dobrze mówić o sobie, zwłaszcza, że u dzieci mam opinie repetenta, bo powtarzałem drugą klasę Szkoły Muzycznej w Kutnie. Z tym wiąże się już opisana historia o mojej ksywie „Krowa”.

Zaliczyłem jeszcze kurs przygotowawczy na WySRolu. *(czyli Wyższej Szkole Rolniczej na poznańskich Winogradach – przyp. Z.K.)*

Egzamin wstępny to konsekwencja poprzednich decyzji. Trzeba dać z siebie wszystko.

Biologia to niewiadoma, rosyjski lubiłem jak i niemiecki i angielski na które Mama mnie posyłała. Mówiła, że trzeba znać języki sąsiadów, wrogów i przyjaciół. Sama znała francuski i niemiecki. Ojciec tylko niemiecki. Zgadnijcie o kim myślała po pobycie w obozach koncentracyjnych i jako nauczycielka historii w czasach PRL- u zmuszona omijać milczeniem prawdę w tamtej „światlanej” rzeczywistości?. Zadania z fizyki i chemii trzeba rozwiązać.

W tłumie oczekujących na egzaminy wstępne na studia w Akademii Medycznej znalazłem się przypadkiem obok ślicznej blondynki. Takiej typowej, o jakich dziś się mówi „mądra jak blondynka”. Naprawdę cała trzęsła się ze strachu co się rzucało w oczy bardziej niż u innych. Złapała mnie za ramię. Teraz już się nie przyznam – czy przypadkiem nie z chęci Jej poderwania nawet w tak krytycznej chwili – ale wtedy raczej w moim naturalnym odruchu chęci pomocy potrzebującym, pokazałem swoją spolegliwą (za Kotarbińskim) stronę. [Leszek już kilkakrotnie wspominał, że w tak młodym wieku przeczytał wszystkie dzieła profesora Kotarbińskiego] – Niech Pani się nie boi. Przecież przygotowywała się Pani przez całą szkołę średnią, zdała Pani maturę, zrobiła Pani wszystko żeby do egzaminu przystąpić i musi Pani zdać. Chyba trochę się uspokoiła. – Na sali nie mogłem Jej znaleźć. Mimo własnych problemów ciągle szukałem Jej wzrokiem.

Mi przeszkadzał jakiś facet, który i tak się nie dostał. Widocznie był krótkowzroczny bo ciągle pokazywałem mu moje odpowiedzi.

PS : pisane w pociągach między Londynem, Birmingham, Norwich, Chesterfield latem 2018 roku

Tekst zamieszczono 12 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4348> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (10). Wspomnienie o Teresie Gawrońskiej

EGZAMIN WSTĘPNY – ROZMOWA Z KOMISJĄ. WYNIKI I DRUGIE SPOTKANIE Z TERESĄ GAWROŃSKĄ

Na egzaminie pisemnym wybrałem temat „Biologia a medycyna”. Genetyka, budowa komórki, nauka zachowań i odruchów (bez Łysenki!), doświadczenia na zwierzętach... trans pisanie. Biologia a medycyna – mój temat – dlaczego można i nie można doświadczeń na zwierzętach przenosić na ludzi, czym się różnią..... Chyba nawet zdania nie dokończyłem z braku czasu.

Po kilku dniach rozmowa. Siedziało kilku poważnych facetów, a ten najważniejszy w środku spytał się skąd jestem. „– Z Kutna”. „- A, to tam stoi ten słup milowy?”

A ja beczelnie: „Nie, proszę Pana. Słup milowy stoi w Koninie w połowie drogi między Gnieznem a Kaliszem. Postawił go komes Dunin za czasów Władysława Hermana”.

Wtedy nie skojarzyłem, dlaczego pozostali członkowie komisji odwrócili głowy i jakoś miny im się zmieniły. Ja byłem zbyt napięty. Więcej pytań nie było. Tak to stałem się lepszy od Pana Rektora Michałkiewicza o czym dowiedziałem się później.

Po egzaminach z rodzeństwem i Rodzicami pojechaliśmy pod namiot nad Bug. Do najbliższego telefonu było ponad 5 kilometrów. W dniu ogłoszenia wyników poszliśmy całą piątką do Siemiatycz by od Stryka dowiedzieć się o wyniki. Poczta, międzymiastowa, słabo słychać ale radosny głos mojego Ojca Chrzestnego: „Jesteś przyjęty”. Moje pytanie: „- A na którym miejscu?”. I dumna odpowiedź: „- na 21-szym”

We mnie jakby strzelił piorun. Co? dopiero na 21-szym? co źle napisałem? A tylko pierwsza dwudziestka ma odebrać indeksy na podium Filharmonii. I mnie tam nie będzie! Wakacje popsute do samego końca.

Po przyjeździe do Poznania pierwsze kroki do Collegium Maius. Tłumek przed tablica i jest moja blondynka! Znów się cała trzęsie. Ja spokojny choć przybity podchodzę i pytam: „– Może ja pomogę Pani się znaleźć ? Jak Pani się nazywa?” „– Teresa Gawrońska, a Ty?” „- Leszek”. Ja zaczynam ciągnąć palcem od góry, Ona od dołu coraz bardziej zdenerwowana i trzęsąca. Jest! spotkaliśmy się w połowie.

Jaka odmiana! Rzuciła mi się na szyję, zaczęła całować – „to dzięki tobie, Lechu”. a ja ciągle myślałem o swojej „klęsce”. – Poczekaj na mnie chwile, muszę wejść do Sekretariatu. „Tylko Lechu się pośpiesz” – odtąd już tak zawsze mnie nazywała. W sekretariacie pytam, czy można sprawdzić jakie wyniki mam z poszczególnych przedmiotów. Można.. wszystko pięć, tylko fizyka cztery pada odpowiedź..

– A czy ja mogę zobaczyć swoją pracę z fizyki, bo chcę wiedzieć gdzie popełniłem błąd?

„– A uciekaj mi smarkaczu i ciesz się że jesteś przyjęty” rozbawiona Pani sekretarka wyrzuciła mnie z pokoju.

Jeszcze bardziej przybity i z depresją wychodzę w czarnym nastroju, Gdy sprawdziłem w sekretariacie, że mam same piątki, poza fizyką i nie mogę obejrzeć **swojej** pracy czułem się przybity a **wręcz** depresyjny gdy tymczasem Tereska czekała a ja zamiast zaprosić Ją do kawiarni, odprowadziłem na przystanek i pojechałem smutny w drugą stronę.

Potem znaleźliśmy się w jednej grupie. Zawsze się denerwowała – ale gdy wymienialiśmy na anatomii spojrzenia, to już ani Kiersz, ani Woźniak [nasi asystenci na anatomii] nie potrafili Jej zniszczyć. Dobrze się przygotowywała, choć ja już nie miałem do Niej serca za to, że była świadkiem mojej „klęski”. **O** Teresce już nie myślałem. Gdzie mi tam do tak pięknej kobiety. Ma na pewno wielu lepszych ode mnie wielbicieli.

Zresztą Zosia była na pierwszym miejscu. Konkretna, logiczna, z dobrą pamięcią i wyobraźnią. Dobrze mi się z Nią uczyło i nie myśleliśmy o „głupotach” bo nie było czasu.. Nie wyobrażałem sobie możliwości nauki z Tereską. Zosia była najlepszą partnerką!

Tereska zawsze wydawała mi się taka uduchowiona, naiwna, egzaltowana, błędząca w obłokach blondynka na której próbował się mścić najpierw Woźniak na anatomii, a potem pewnie i inni asystenci zwracający uwagę na Jej urodę. Na pewno nie miała lekko, ale miło mi myśleć, że w pewności siebie i racjonalnego rozpoznania swoich możliwości pomogło spotkanie ze mną. O ile wiem, nigdy nie powtarzała żadnego egzaminu, ale wyglądała na zawsze zdziwiona. Typowa „blondynka” z wyglądu i na pierwszy rzut oka jak to się dziś mówi. Była w rzeczywistości zaprzeczeniem tego epitetu.

Gdy przez Olę zmieniłem grupę (o tym nieporozumieniu, hańbiącym a po latach śmiesznym wydarzeniu Leszek opowiedział w poprzednich wpisach – przyp. Z. K.), widywaliśmy się rzadziej, ale ta nić porozumienia i wsparcia została. Po dyplomie wyszła za mąż za naszego starszego o rok Kolegę, z którym zresztą jakiś czas potem pracowałem u Wojnerowicza. Mieszkali po sąsiedzku na Obozowej w domku, w którym potem mieszkała Ela Wojnerowicz z Andrzejem Pawlakiem.

W czasie ciąży uporczywe wymioty ciężarnych. Dostała Dolargan, zapaść, tragiczne odejście. Byłem świadkiem tragedii Zdżicha M. A mnie też to mocno przybiło. Jakby wtedy skończył się okres studiów, który z Nią się zaczął.....Tereska była piękną kobietą, jednocześnie życzliwą, otwartą, nikomu nigdy źle nie życzyła. Nie była w stanie. To nie było w Jej charakterze. Ja będę Ją pamiętał zawsze i chciałbym, by pamięć o Niej przetrwała. Choć to już ponad pół wieku od kiedy Ją poznałem. Nie wiem gdzie jest pochowana. Chciałbym postawić dla Niej świeczkę.

Dla mnie Tereska była taka „anielska”. Nie wiem, dlaczego się wokół Niej nie zakręciłem. Nie było czasu na romanse. Ale byłem głupi! Po zawale i reanimacji w Kilonii u Profesora Hammelmanna w 32 roku życia zmądrzałem. Zdecydowanie za późno...

PS : pisane w pociągach między Londynem, Birmingham, Norwich, Chesterfield latem 2018 roku

Tekst zamieszczono 12 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4348> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (10). Wspomnienie o Teresie Gawrońskiej

KRÓTKOTRWAŁA PRZYJAŹŃ Z ANDRZEJEM HYŻYM I SERDECZNA Z KAJTKIEM PIETRYKOWSKIM. OBÓZ STUDENCKI DLA NURKÓW I....HAZARD. ZAANGAŻOWANIE W RUCHU HOSPICYJNYM.

Gdy ja byłem dopiero! 21 na liście przyjętych, Śp. ANDRZEJ HYŻY miał 120 punktów !!! .

Imponował mi i dlatego na drugim roku razem z Nim zaczęliśmy równolegle studiować chemię w Collegium Chemicum.

Wszak byłem kiedyś wojewódzkim laureatem chemicznej olimpiady ...

Szybko się zniechęciłem do tych dodatkowych studiów – później Andrzej – też. *[nie jestem pewna, czy to było zniechęcenie, czy chroniczny brak czasu na studiach medycznych – przyp. Z. K.]*

Zresztą już wtedy ogromny na mnie wpływ miała przyjaźń z Kajtkiem Pietrykowskim.

To On mnie zaraził Filharmonią, potem też studiami psychologii, nurkowaniem, żeglarstwem. Kursy prowadził późniejszy Docent Marek Orkiszewski (bardzo zdolny chirurg dziecięcy o niewyparzonej głębie...). Dlatego byliśmy po trzecim roku na obozie studenckim dla nurków nad Jeziorem Narie. Schodziliśmy zaledwie na 8 metrów, ale polowania z kuszą na szczupaki i węgorze w nocy... to było TO !!!

Tam mieszkalem w jednym namiocie z medykiem 5 roku z Wrocławia. Deszcz, zimno, sami w namiocie bo się nic nie działo i gra w trzy zapałki. Jak przy hazardzie. Grałem dopóki nie przegrałem całej forsy. Powiedział mi prawdę która została na całe życie i się przydała nie raz :

Jeśli grasz to musisz wiedzieć kiedy przestać.

Potem w czasie praktyki studenckiej w Glasgow po czwartym roku od jednorękiego bandyty wygrałem chyba ze sto funtów – zaczynając od własnych dziesięciu kieszonkowego za praktykę. Oczywiście jak to hazardzista wszystko przegrałem – ale tej mojej dziesiątki już nie postawiłem. Dzięki za lekcje z obozu dla płetwonurków ! . A za tą dziesiątkę kupiłem dwa lekkie śpiwory, które służyły chyba ze 20 lat i prezenty dla siostry i Mamy..

Wówczas też odwiedziłem Hospicjum Świętego Krzysztofa na Laurie Street w Londynie gdzie terminalnie chorzy pacjenci wystawiali Hamleta. Desdemonę grała pacjentka umierająca na raka. Nie zapomnę Jej szczęścia. Całe życie marzyła, żeby tę rolę zagrać i po przedstawieniu mówiła że to najszczęśliwszy dzień Jej życia ...

WARTO WALCZYĆ DO KOŃCA, BO NIE WIADOMO CO MOŻE SIĘ ZDARZYĆ NAWET W OSTATNIEJ CHWILI.

Pacjenci terminalnie chorzy dostawali marihuanę, haszysz, morfinę by umierać szczęśliwymi i bez bólu. Nigdy nie mogłem i nie mogę nadal pogodzić się z zakazami tych leków dla cierpiących terminalnie.

Potem zaangażowałem się w ruch Hospicyjny pod kierunkiem Profesora Łuczaka z Poznania i dr Walden-Gałuszko z Gdańska. Zresztą to może być często naturalny koniec choroby nowotworowej a pacjent jest moim pacjentem do końca swego życia

Później – w Lipnie, zorganizowałem opiekę terminalną na swoim oddziale przy pomocy i pod kierunkiem dr Zbyszka Kaczmarka z Włocławka

Tekst zamieszczono 9 stycznia 2019 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4553> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (16). EGZAMINY.

EGZAMINY NA STUDIACH :

Biologia.

Zlekceważyłem.

Co, ja – piątkowy uczeń z liceum nie będę wiedział?

Nie przyłożyłem się i pierwsza trójka, którą potem – zresztą na własne życzenie poprawiłem u ówczesnego DOCENTA GERWELA na piątkę.

To był też skutek kompleksu nie bycia rodowitym poznaniakiem !

Jedyna trójka na dyplomie była z Farmakologii u Profesora Chodery – z mojej winy. Chciałem podać jeden miligram digoksyny – o zgrozo!!!!. Należała się ta zła ocena, ale przez to nie było czerwonego dyplomu.

Anatomia.

Aula na Polnej. Profesor Kołaczkowski, „Aurea Scapula”. Można zdawać na sali przy wszystkich . Zapiisałem się.

Gdy mnie wywołał – zapytał – gdy jeszcze byłem na górze – jakimi mięśniami kieruje nerw jedenasty. Schodząc – wzruszałem ramionami. PROFESOR KOŁACZKOWSKI: „A to kolega nie wie...” - „Nie, ja tylko pokazałem Panu profesorowi którymi mięśniami”. Sala w śmiech. Potem poszło jak z płatka. Dostałem brawa, ale jakoś nie uwierzyłem w siebie.

Miałem kompleks wobec „tubylców – poznaniaków”. Dlatego zbliżyłem się do Kajtka Petrykowskiego i Andrzeja Hyżego. Dyskusje wspólne o Lemie, droga na pieszo po Koncertach Poznańskich w Collegium MInus do Gospody Targowej na Grunwaldzie z dyskusją o „Dzienniku znalezionym w wannie”, Lema, którego i tak do końca nie rozumiałem.

Histologia

Kochany PROFESOR KIERSZ! . Wielbiciel Wielkiego Brachet’a, którego czytałem przed studiami....Piątkę dostałem bo trochę niedosłyszał. Po wspianalej i dobrej dyskusji – na koniec chciał sprawdzić moją znajomość norm poziomu glukozy we krwi. Pustka w głowie, ale z rozpędu – niewyraźnie, ale z pewnością siebie – wystrzeliłem: „ ... dziesięć miligram procent Panie Profesorze” – „Dobrze „

Jedną z nielicznych czwórek dostałem z chirurgii. To było jak wyzwanie.

CHIRURGIĘ MOŻNA KOCHAĆ ALE BEZ WZAJEMNOŚCI.

Tak zresztą układało się dalsze życie.

Przyjemność w dawaniu bez oczekiwania na nagrodę

I wspianala nauka PROFESORA KOTARBINSKIEGO z „Traktatu o życiu godziwym” z rolą „opiekuna spolegliwego” na którym można polegać...

Tekst zamieszczono 9 stycznia 2019 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4553> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (16). EGZAMINY.

CZAS RELAKSU PODCZAS STUDIÓW I REFLEKSJE O SENSIE PISANIA PAMIĘTNIKÓW

Pięknie wspominam czasy z 1 -go roku gdy razem z MARIOLĄ [Maria Jolenta Nowakowska] i Teresą Tułecką chodziliśmy m. in. na lodowisko przy Promienistej/Grunwaldzkiej. Były inne spacer i spotkania. Tereska, nigdy się ze mną nie umówiła a zawsze spotykaliśmy się w towarzystwie Marioli, która wcale dla mnie nie była przeszkodą. Wręcz przeciwnie. Wnosiła śmiech, świeżość, normalność i potem już sam nie wiedziałem, która mi bardziej zawróciła w głowie. A po drugim roku był obóz sportowy w Sierakowie, gdzie moi rodzice się „zaprzyjaźnili”. Tam spotkałem niesamowitą żywiołową „torpedę” z która o 4-tej rano chodziliśmy słuchać pierwszych śpiewów słownika i potem kilkumiesięczne codzienne pisanie listów na korze brzoźowej z konsekwencjami możliwymi do przewidzenia...

Jurek, wspianale „zapłodniłeś” nasze życie pomysłem spisania Pamiętników. Moja Mama, historyczka mówiła, że nie jest ważne gdzie się jest ale co się napisze. Jako dowód podawała przykład mnicha żyjącego na „końcu świata” który korespondował z papieżami i opatem klasztoru na Monte Cassino. Spisał historie swego kraju choć nigdy nie ruszył się ze swego miejsca. Zwiedzając Jarrow pod Newcastle odnalazłem „Venerable” Bede, mnicha piszącego o Anglii ok. 700 r. n.e. Wspianale, do dziś aktualne Jego przemyślenia. Jestem Nim zafascynowany i proponuję Wam zajrzenie do Jego tekstów.

„Beda (ang. Bede), zwany **Czcigodnym**^[5] lub **Wspaniałym**, łac. *Venerabilis*, sang. *Bæda* lub *Bēda* (ur. 672 w Wearmouth k. Sunderlandu w Anglii^[6] lub 673^[7], zm. 25 maja 735 w Jarrow) – anglosaski mnich benedyktyn, przebiter, od 7 r. ż. związany z klasztorami w Wearmouth oraz

Jarrow w Nortumbrii (obecnie *klasztór Wearmouth-Jarrow*), wszechstronny uczony. W Kościele katolickim, prawosławnym i anglikańskim uznany za świętego. W Kościele katolickim ponadto doktor Kościoła. Niektóre Kościoły protestanckie uznają go za bohatera wiary. Anglikanie i luteranie zaliczają go do odnowicieli Kościoła. Cały życiorys Bedy zawarty jest we wzmiance w jego dziele *Historii kościelnej narodu angielskiego (Historia ecclesiastica gentis Anglorum)*" https://pl.wikipedia.org/wiki/Beda_Czcigodny

Zosia staje się takim kronikarzem naszych czasów.

Pozdrawiam, z szermierczym gestem. [Leszek nawiązuje do pasji Jurka Marcinkowskiego]

Leszek

List od Leszka zamieszczony 26 sierpnia 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4079>, pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (1).
Przydługi wstęp autorki bloga.

PRAKTYKA PO PIERWSZYM ROKU STUDIÓW I „ZABAWNE” WYDARZENIA NA BLOKU OPERACYJNYM

Po pierwszym roku praktykę odrabiałem w Kutnie u Ojca na chirurgii, gdzie było ordynatorem. Pozwolił mi stanąć na czwartego do cholecystektomii. Wystarczyło trzymać ręce na stole. Po ok. 45 minutach nagle ciemno przed oczami i wałnąłem głową o posadzkę (to od tego uderzenia jestem zwariowany). Ojciec nie komentował – jak następnego dnia znów stanąłem i znów wałnąłem. Ojciec tylko kazał jednej salowej uważać – co by za mną stała – bym więcej nie niszczył posadzki. Obok przygotowany był wózek na który mnie kładli z uniesionymi nogami.

Oczywiście pełnia śmiechu i kompromitacja (?) dla ordynatora.

Ich śmiech kazał mi pokazać. Pokazać, że się nie dam. Po kilku dniach przeszło i się nie powtórzyło nigdy....

Nie zapomnę kilkogodzinnej trepanacji czaszki w czasie tej praktyki i zakładania koleżance z klasy gipsu na złamaną miednicę. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem żywą kobietę i to jeszcze pięknej budowy. To będzie inna opowieść ...

Na złość losowi musiałem zostać chirurgiem.

W czasie operacji najlepsze jest to, że nic więcej Cię nie obchodzi.

Sam najdłuższą robiłem 13 godzin. Redakcja żuchwy z dnem jamy ustnej i rekonstrukcja płåtami uszypułowanymi. Oboje przeżyliśmy ☺.

Inna historia o której napiszę. Trzeba walczyć do samego końca. (!!!)

A najdłuższa, do której asystowałem w Warszawie to 25 godzinna resekcja (po kawałkach) wątroby i częściowo trzustki z rekonstrukcją nowych dróg żółciowych motocyklisty z Kutna zresztą. Nie został dawcą organów.... Chłopak przeżył !!!

List od Leszka zamieszczony 5 września 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4166> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (4).
Omdlenia na „wesoło” .

SPOLICZKOWANIE PRZEZ DZIEWCZYNĘ, ZMIANA GRUPY Z 15- TEJ DO 1-SZEJ, SPOTKANIE ANDRZEJA HYŻEGO I WSPÓLNE RÓWNOLEGŁE Z MEDYCYNĄ STUDIOWANIE CHEMII A POTEM PSYCHOLOGII

Wiąże się z tym historia, która dopiero 2 lata temu się wyjaśniła w Baranowie. Po prostu mam załeganie afektu (może Jacek Wciórka by pomógł). [Jacek jest naszym kolegą ze studiów, znanym psychiatrą, profesorem medycyny, przyp. Z.K.]

Zaczynałem w grupie 15-tej razem z Zosią Konopielko wtedy Łukaszewicz i Irenką Mastoń wtedy Dąbrowską. Może pamiętacie jak się spóźniłem pierwszego dnia i Woźniak chciał mnie wyrzucić? Opowiem kiedyś....*[oczywiście pamiętam jak stanąłeś w drzwiach z płonąca buzią – może tylko zgrzany i spocony z powodu biegu na uczelnię ?- podczas gdy wszyscy siedzieliśmy jak trusie przy naszym stole – ale co było dalej – nie wiem– już kiedyś pisałam, że ten właśnie Twój obrazek mam w oczach – bo siedziałam naprzeciwko drzwi wejściowych do naszej Sali w Anatomicum w pamiętnym 1965 roku – Z.K.]*

Po 2 tygodniach przyszedł do nas Andrzej Roszak, którego późniejszy Kierownik Katedry Anatomii, Profesor Woźniak również chciał uwalić. Zresztą udało mu się z Basią Pawełą. Stanąłem w Jego obronie, przez 2 tygodnie zakuwaliśmy wstecz i na bieżąco i już nie mógł. Andrzej Kiersz był naszym asystentem. Potem z Nim pracowałem na Przybyszewskiego.

Na zajęciach z histologii kiedyś pochyliłem się nad mikroskopem jednej z naszych Koleżanek (zamilczę nazwisko), która się o coś spytała. Naprawdę. Nie miałem jeszcze wtedy (prawiczek) żadnych sprośnych myśli. Chciałem Jej pomóc i coś wyjaśnić!

I nagle – bęc- bez żadnego słowa i wiadomego mi powodu dostałem siarczysty policzek na odlew. Jeszcze mnie (i jak dotychczas) nikt w twarz nie uderzył i do tej pory mnie to piecze.

Nie zaboląła gęba – ile całe moje jestestwo .

Zrobiłem się czerwony, zatkało mnie. Przecież nie oddam kobiecie! To ja bilem w pysk za kłamstwa, oszczerstwa, ale żeby mnie? za co? Przecież mi przez głowę nie przeszła najmniejsza niezdrowa myśl! Ale ukarałem Ją najsrożej jak można.

Po pierwsze primo – zamilkłem.

Po drugie primo – postanowiłem się do Niej już nigdy w życiu nie odezwać. Powietrze.

Po trzecie primo – wstydziłem się wobec całej 15/16 grupy i przeniósłem się do 1/2 grupy z Andrzejem Hyżym (był pierwszy na liście przyjętych na studia ze 120 punktami!)

Po czwarte primo – nie mogłem znieść że ktoś mnie tak znieważył a ja nie mogłem odpowiednio zareagować. Za nic! Za szczere dobre chęci! Żebym choć na milimetr w czymś uchybił! Wtedy jeszcze nie wiedziałem co to Kobieta.! Trauma i strach przed kobietami zostały do końca życia...

I wyobraźcie sobie że w tym twardym postanowieniu wytrzymałem do Baranowa. PONAD PÓŁ WIEKU! Zobaczyłem mojego odwiecznego wroga na balu 2 lata temu. No cóż, stoję nad grobem, to czas się z „babskiem” pogodzić. Poprosiłem do tańca i nie odmówiła. Oczywiście z mety padło moje pytanie: – za coś mnie na histologii nad mikroskopem w twarz uderzyła? – Bo chciałeś mnie pocałować! O ja głupi ! Gdybym wiedział że za to – to bym od razu się na Nią rzucił i wymusił prawdziwy pocałunek. Żeby miała prawo mnie za to prać po gębie!. Uśmialiśmy się.

A mimo mojej rzuconej na Nią klątwy zaszła bardzo daleko zostając dyrektorem jednego ze Szpitali w Poznaniu. Jej mąż, anestezjolog pracował z siostrą mojej Mamy w innym Szpitalu, bardzo Go lubiłem za rajdy i Ciocia miała o Nim wysokie mniemanie. Trochę mi Go było żal że dostał taką jędzę, ale chyba do dziś się na Niej nie poznał.

Teraz po latach myślę, że to nie ja ale Ola miała pocałunek na myśli i tylko moje dziewictwo nie pozwoliło mi trzeźwo rozpoznać głębokiego podświadomego marzenia tej wspaniałej i kochanej dziewczyny.

Gdyby nie ten policzek, to kto wie... może by nosiła moje nazwisko ☺.

W sumie dobrze się stało że Jej nie skrzywdziłem swoim małżeństwem z Nią i trafił się Jej wspaniały mąż.

Mam nadzieję, że przy okazji następnego Zjazdu poproszę Ją, jeśli się zgodzi, o braterski pocałunek.

Olu, wybac mi moja głupotę i przerost „ego”. Serdeczne pozdrowienia dla Męża !

Ale skutkiem publicznego spoliczkowania były moje przenosiny do grupy Andrzeja Hyżego, bo potem razem z Nim studiowaliśmy równolegle chemię na drugim roku w Collegium Chemicum i trochę później prawie 2 lata psychologii – bo Andrzej Hyży i Kajtek Petrykowski też tam poszli. Poszedłem za Nimi. Nie chciałem być gorszy.

Zresztą psychologia się przydała. Moją pracę na zaliczenie roku była dysertacja o osobowości. Wybrałem temat „Osobowość Niemowlęcia”. Do dziś jestem przekonany, że niemowlę trzeba traktować jak dorosłego z szacunkiem, rozumieć i spełniać jego potrzeby. Teraz nad tym problemem głowi się Pani Profesor Monika Brzezińska w Poznaniu (posłuchajcie Jej wykładów na SWPS !).

Ale ja byłem prekursorem tej dyscypliny ponad pół wieku temu ! Zresztą chyba dzięki temu jedna z moich Córek poszła i skończyła psychologię. Wejdźcie na stronę „Cayman Isles Crisis Centre”.

Ile dobrego się zdarzyło dzięki temu praśnięciu mnie w pysk przez Olę !!

Olu ! jesteś Wielka! Będę Ci wdzięczny do końca moich dni i uwiecznię to zdarzenie dla potomnych – jak to przypadek i nieporozumienie zmieniają świat. A jak to zrozumiałem za co – to nie omieszkam zarobić na kolejne uderzenie w twarz. Teraz będę wiedział za co !

PS .

Moje najukochańsze Irenko i Zosiu! (już nie wiem – która bardziej Kochana). Napisałem by prawda historyczna Was pogodziła. Niech PRAWDA WAS WYZWOLI!. I mam nadzieję, że dojdzie do wydania książki (*dotyczy pamiątek kolegów naszego rocznika – przyp. Z. K.*) przez Irenę co nie przeszkadza Zosi snuć wspomnień na blogu.

List od Leszka zamieszczony 8 września 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4226> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (5).
Mediacje i opowieści z humorem

WSPOMNIENIA O KRZYSIU LINKE I CHÓRZE AKADEMII MEDYCZNEJ W POZNANIU

Krzysiu Linke był członkiem Chóru Stuligrosza, zdaje mi się. Na studiach miałem z Nim dość powierzchowny kontakt, bo było mi przykro, gdy jako prezes Chóru Akademii Medycznej w Poznaniu ciągle szukałem nowych członków, a On się nie angażował.

Teraz zrozumiałem, ale dopiero po latach co pośrednio wynikało z naszych długich rozmów, gdy robiłem staż specjalizacyjny na internie do medycyny rodzinnej.

Chór to nie tylko chęć i potrzeba śpiewania. To grupa bliższych i dalszych przyjaciół, a przede wszystkim charyzma dyrygenta.

Trudno było Krzysiu Linke wejść do gorszego zespołu pod gorszym dyrygentem, którego miał przedtem. Taka wybitnie jednoczącą osobowością był dr Jerzy Fischbach, ale przecież ze Stuligroszem nikt nie mógł się równać.

Zresztą wspaniały, jednoczący, charyzmatyczny Jerzy Fischbach jako bezpartyjny został pozbawiony możliwości dalszego kierowania Chórem Akademii Medycznej w Poznaniu. To była Wielka tragedia również dla Chórzystów. On Chór stworzył, dyrygował i Jego osobowość przyciągała.

Niestety, jak Krzysiu Linke, po przebytych doświadczeniach z muzyką, wówczas nie kwapiłem się do Chóru. Znam dr Fischbacha z opowieści, zwłaszcza Ani Górecznej – koleżanki z naszego roku (studia w latach 1965 -1971) na Akademii Medycznej w Poznaniu .

W 1968 r. byłem działaczem Komisji Kultury Rady Uczelnianej ZSP. Ówczesny jej szef partyjniak JH zaproponował mi „współpracę” przy usunięciu dr Fischbacha. Jakies śmieszne, naciągane zarzuty, jak to w polityce, nie tylko ówczesnej, „bo taka jest potrzeba”. Nie zgodziłem się, a najbardziej mnie bolało wyrzucenie Jej Wielkiego Założyciela. Chór za Jego kadencji był żywą, wesołą grupą towarzyską i zbierał nagrody na festiwalach międzyuczelnianych. Śpiewał też za granicą. Chórowi groziło rozwiązanie. Ania Góreczna a naszego roku próbowała zbierać nowych członków. Jako posiadający podstawowe, rozszerzone o korepetycje, wykształcenie muzyczne z Kutna (dzięki temu, że ojciec wywiózł mnie do pasania krów, gdy musiałem powtarzać II klasę w Szkole Muzycznej i nie chciałem się dalej uczyć muzyki – ale wobec takiego pomysłu Ojca – potulnie ukończyłem tę szkołę) uważałem, że nie można zmarnować tego, co dr Jerzy Fischbach stworzył. Ania Góreczna zaproponowała mi zostanie prezesem Chóru. Jako wesoły człowiek, lubiący śpiewać, czułem że to moje powołanie dla zachowanie w pamięci dzieła jego Twórcy, zmuszonego do emigracji.

Nowi członkowie Chóru pochodzili z różnych lat studiów. Śpiewała tam razem ze mną moja późniejsza pierwsza żona, Danusia Pawlak. Do dzisiaj na wspólnych, rodzinnych uroczystościach śpiewamy „Gaude Mater Polonia”. Ona i Ania Góreczna, alty, ja baryton ze Stasiem... Podporą basów był „Generał” Andrzej Polimirski. W sopranach była piękna blondynka Ewa Lutkowska. Główny trzon Chóru AM Poznań stanowili jednak studenci czwartego Wydziału Akademii Muzycznej. Duszą towarzystwa był Marek Bykowski. Od strony chóralnej najmilej wspominam śpiewanie „Exultate Deo...” Scarllattiego w Kościele na Górze Przemysława. Oczywiście też „Mruczkowe Bajki” Nowowiejskiego, które do dziś potrafimy zaśpiewać.

Najwięcej członków z nowego naboru miał nasz Chór w latach 1969-1971 – nawet nieco ponad 40. W 1969 roku na wiosnę pojechaliśmy do Charkowa. Na 40 członków było chyba około 26 chórzystów, a reszta to zasłużeni członkowie Rady Okręgowej ZSP. Jechał z nami również Krzysztof Jaślar i szef późniejszego Kabaretu TEY Zenon Laskowik.

Z Anią Góreczną dostaliśmy podpis autora „Anatomii prawidłowej” Prof. Sinielnikowa, który był kierownikiem Katedry Anatomii na Uniwersytecie w Charkowie. Kilka koncertów, ale najbardziej zapamiętałem akademię w rocznicę urodzin Lenina. Ceremoniał – jak na Mszy Świętej z „kazaniem” samego Lenina, odtworzonym z płyty, po którym burza oklasków. Tak wspaniale „przemawiał”!!! Patrzyliśmy z boku na tą bałwochwalczą euforię tambylców, ale nie wypadało nie wstać, jako że byliśmy gośćmi... Utkwiły mi w pamięci rozliczne kawały, które Zdzichu i Krzysztof robili z systemu.

Gdy przyjechaliśmy, na ulicach były półmetrowe hałdy śniegu. W ciągu 2 dni całkowicie zniknęły, bo wszyscy mieszkańcy w czasie „subotnicy” je wysprzątałi. Mieszkańcy czuli, że robią to dla swego dobra. To może po części wynikało z systemu politycznego, ale – jak widać – totalitaryzm potrafił być pożyteczny w czasach kryzysu.

Gospodarze zawieźli nas pod Charków i kazali grabić jakiś las. To się nazywało, że to „park”. Oczywiście wygłupy, żarty. A to było miejsce pochówku polskich oficerów, o czym nas nie poinformowano. Do dziś myślę o tym ze zgrozą, że nie szanowaliśmy tego miejsca. Gospodarze nam

tego nie powiedzieli. Myślę, że celowo mogli nas tam wpuścić, żebyśmy się zabawiali na grobach Polaków. Wolałbym wierzyć, że sumienie jakiegoś „wierchuszki” nas tam wysłało, żebym po latach wspominał to miejsce.

Niezapomniane były obozy w Łagowie Lubuskim pod światłym kierownictwem Jurka Marcinkowskiego. Ostatnio spotkałem w Kościanie jedną z członkiń, żonę Włodka Zydorcza, psychiatrę o dwa lata młodszą, których skojarzył na jakiejś imprezie Piotr Drews. Bardzo szczęśliwe i dobre małżeństwo. Włodek jest szefem organizacji Małych i Średnich Przedsiębiorstw i razem rok temu próbowaliśmy założyć nową partię polityczną „ORP” – „Obywatelska Rzeczpospolita Polska”. Rozpad nastąpił przez typowe polskie kłótnie.

Niestety zerwałem z Chórem zaraz po uzyskaniu dyplomu lekarza.

Staże, dyżury po 30 godzin na dobę (tak! wówczas to było możliwe: po pracy w szpitalu, poradnia szkolna – 2 godziny – z jednoczesnym dyżurem w Pogotowiu Ratunkowym do rana i z jednoczesnym zabezpieczeniem „Pomocy Wieczorowej” – 4 godziny – zresztą za grosze). Po kolejnym dniu u Prof. Wojnerowicza znowu szkoła, pomoc wieczorowa i jeszcze wieczorem 2 godziny w więzieniu pod lwnem. Kiedyś, po takich 40 godzinach pracy, tzw. „klawisze” [pracownicy więzienni] przyprowadzili mi 40-latkę, który nie chciał pracować. Uważali, że jest chory psychicznie. Rozmowa – zorientowany, zdrowy i wreszcie pytam, dlaczego nie pracuje. – bo nigdy nie pracowałem. A z czego Pan żyje? z renty 70-letniej mamusi. Uważałem za swój obowiązek nawrócić go „na dobrą drogę”. Opowiedziałem mu o swojej pracy prze ostatnie 40 godzin i spytałem jak on się czuje, gdy patrzy na takiego jak ja zapracowanego człowieka. Odpowiedź pamiętam do dziś:

„A po coś pan taki głupi?!”. Klawisze pękali ze śmiechu, ale nie wiem, czy później czasem ruszył łopatą.

Cale życie miałem takie poczucie, że po studiach Chór zdradziłem. Myślę, że Krzysiu Linke miał podobne poczucie w stosunku do swej chóralnej przeszłości u Stuligrosza, bo był Opiekunem Chóru z ramienia Uczelni. Jednak wykształcenie muzyczne tkwi w nas i przy sprzyjających okolicznościach się odzywa.

I teraz Krzysiu Linke.

Cztery lata temu postanowiłem na starość znaleźć sobie inne, spokojniejsze zajęcie w miejsce chirurgii i rozpocząłem na wolontariacie w Poznaniu na Osiedlu Rumcajsa (koło Lotniska Ławica) specjalizację z medycyny rodzinnej. Przylatuję rzadko do Poznania [na Lotnisko Ławica], na kilka dni kiedy akurat nie mam zajęć w Anglii. W czasie urlopu chciałem odrobić staż z interny. Wiec po ponad 40 latach do Kliniki do Krzysia Linke. Spotkanie jakbyśmy się rozstali wczoraj. Niekończące się opowieści o Chórze. Krzysiu wrócił do korzeni. Opowiadał o licznych wyjazdach na festiwale, koncerty po całej Europie. Byłem dumny, że udało mi się przechować najtrudniejszy okres po wyrzuceniu Jerzego Fischbacha. Krzysiu był wspaniałym kontynuatorem Jego dzieła. A najważniejsze, że Chór AM w Poznaniu pod Jego kuratelą tak wspaniale rozkwita. W ciągu tego miesiąca rozmawialiśmy często. Czułem Jego ogromną życzliwość i opiekę w moich nieudolnych wysiłkach do bycia internistą. Chirurg ma proste rozwiązania, co prawda z ogromną odpowiedzialnością. Lecz internista musi być mądrym lekarzem, by pomagać i rozwiązywać prawdziwie trudne, zawiłe i niejasne problemy. Większy szacunek czuję tylko do pediatrów, którzy w rzeczywistości muszą badać i matkę i dziecko i leczyć oboje. Niestety, miałem tylko miesiąc stażu w Szpitalu im. Krysiewicza w Poznaniu, bo wysłano mnie do Stacji Krwiodawstwa.

Byłem świadkiem Krzysia pracy lekarskiej i profesorskiej. Krzysiu badał wnikliwie i widać było Jego osobiste zaangażowanie w rozwiązywaniu problemów pacjenta.

Z obawą mówił o zakusach na Jego Katedrę i planach usunięcia Go ze stanowiska z racji emerytury. Myślę, że nie miał pomysłu na czas swej emerytury. Całego siebie oddał swej pracy zawodowej. Umiał położyć nacisk na rzeczy istotne dla pacjenta, pomijając błędy poprzedników.

Pamiętamy Jego wspinały profesorski wykład na naszym spotkaniu w Baranowie w 2015 roku. Zmarł nagle na zawał serca [16 grudnia 2016 r.]. Myślę, że niestety do Jego śmierci przyczyniła się typowa polska zawiść między lekarzami i zakusy na Jego pozycję związane z Jego wiekiem emerytalnym.

W Anglii każdy lekarz wręcz stara się jak najwięcej nauczyć swych następców. Nie ma tu stanowiska ordynatora, a każdy specjalista jest samodzielny. Każdy ma swoich pacjentów przyjętych na jego dyżurze lub badanych w jego poradni. Specjalista – „Consultant”- ma zespół złożony z tzw. „SpR” – Specialist Registrar’a, „SHO” Senior House Officer’a, i jednego lub dwóch (HO) House Officer’ów. Nie ma walki między specjalistami. Tylko raz byłem świadkiem, gdy Hindus Subramanian wykańczał świetnego Mr Davidsona, chirurga rekonstruującego piersi w Środkowej Anglii. Wyjątek potwierdzający regułę. Nie żeby mówić o tym pacjentom. Jest wyścig szczurów, polegający na ambicji i doskonaleniu się, lecz nie na wykańczaniu się. Wygrywa naprawdę najlepszy. A wygrana nie oznacza wykończenia kogoś, a zdobycie najlepszych umiejętności. Potem się idzie w bardzo wąską specjalizację. W Durrham (gdzie spoczywa Venerable Bede od 780 r. n.e.) poznałem młodą chirurga plastyka, która umiała odtwarzać piersi tylko jedną metodą. Nie miała dyżurów, co prawda pracowała w Poradni, ale na sali operacyjnej robiła tylko jedno, zresztą świetnie.

Myślę, że Krzysiu Linke padł ofiarą typowej polskiej zawiści, polskiego piekła, przed którym nie potrafił się obronić. Zbyt delikatny, ufny, otwarty.

Byłby wspinałym mentorem i nauczycielem zawodu każdego lekarza w Anglii, gdzie korzysta się z doświadczenia i wiedzy takich osób dopóki sami tego chcą. Z powodu lepszych zarobków tylko niektórzy pasjonaci pracują po dojściu do emerytury, ale jest przeogromna różnica we wzajemnych relacjach.

Mówienie źle i krytykowanie innego lekarza przed pacjentem dyskredytują całkowicie tego, który to mówi. Przy mnie nigdy nikt nie powiedział słowa krytyki wobec lekarzy poprzednio leczących.

Krzysiu Linke nie miał szczęścia do współpracy w życzliwym otoczeniu.

W Anglii po 65 roku życia dostaje się od państwa emeryturę, ale nadal można pracować do późnej starości, o ile pozwala zdrowie i umiejętności. Widać ze mną jeszcze nie jest tak źle, choć świadomie się coraz bardziej ograniczam. Krzysiu nie miał tego szczęścia, bo Jego wrogom zależało na Jego stanowisku. Dla mnie Krzysiu dużo zrobił. Dał mi szansę na nową specjalizację a przede wszystkim uratował i rozwinął „mój” Chór AM.

Leszek Milanowski, Sherwood Forest Hospitals NHS Foundation Trust, Anglia, w grudniu 2018 r.

Tekst zamieszczono 18. grudnia 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4509> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (15).
Wspomnienia o Krzysiu Linke i Chórze Akademii Medycznej w Poznaniu

WYMARZONA ONKOLOGIA

Wiecie, jak trudno po studiach było zostać w Poznaniu bez stałego zameldowania.

Pomógł mi dr Wąsiewicz, późniejszy kierownik Katedry Medycyny Społecznej na Dąbrowskiego w Poznaniu, który przyjął mnie na etat w Pogotowiu Ratunkowym Powiatowym, a zaraz potem Profesor Wojnerowicz.

1 września 1971 – pierwszy dzień na onkologii. Starsi o rok koledzy Paweł Murawa, Włodek Antkowski, Adam Madeja – robili mnie na szaro przy każdej okazji. Ale co miało według Nich mnie przestraszyć to tylko wzmacniało....

PROFESOR WOJNEROWICZ (wówczas Docent) mój Szef pchał wszystkich do nauki. Pozwolił odrobić roczny staż kiedy byłem u Niego na etacie .

Kusił mnie ginekolog, śp. dr Szlapka w Raszei. gdzie po stażu miałem tam przez pół roku dyżury. Starał się zrobić ze mnie ginekologa, ale onkologia nie dawała spać. Nauczyłem się od Niego jak odbierać trudne porody i jak delikatnie trzeba się obchodzić z macicą po porodzie.

Przydało mi się to później, na dyżurach w Środzie Wielkopolskiej, kiedy przed przyjazdem Ordynatora, Dr Dubiela z Poznania – kolegi Stryjka i Cioci ze studiów – musiałem łyżecznować położnicę w trzecim dniu po porodzie. To takie miękkie ciasto, gdzie nie czuje się dna. Przebić łatwo. Leci krew jak z garnka, kobieta coraz bledsza a krew też dopiero jedzie z Poznania. A położne – patrzą – pomagają swoim doświadczeniem – Panie doktorze, tylko nie za głęboko. Zrobiłem. Bez pchania, na płaskiej dłoni, samym ciężarem łyżki, z nieco mocniejszym naciskiem przy wyciąganiu. Nie tylko pacjentka, ale i ja też przeżyłem przed przyjazdem krwi i Ordynatora. Zdziwiony nie chciał wierzyć że udało mi się nie przebić macicy. Z nauk dr Szlapki i pozostałych którym asystowałem przy porodach przydało mi się również odebranie porodu pośladowego w Środzie. Z palcem w jego buzi. Bez uszkodzenia dziecka.

Byli wspaniałymi Nauczycielami i życzliwymi kolegami dla takiego nieopierzonego doktora.

Profesor Wojnerowicz pozwolił szybko odrobić wszystkie staże dzięki czemu już po 2 latach miałem jedynkę u prof. Drewsa. Po trzech latach po studiach. Była to szybka jedynka. *[jedyńka – tak popularnie mówiło się o pierwszym stopniu specjalizacji, który zwykle zdobywało się przez 3 lata. Dopiero potem przystępowało się do tzw. dwójki, która też trwała co najmniej dwa lata. A bywało że znacznie dłużej, gdy były problemy z oddelegowaniem na staże. Na marginesie niedawno w Polsce zlikwidowano dwustopniową specjalizację, wracając do systemu powojennego – przyp. Z.K.]*

Od razu rozpocząłem staże do dwójki z chirurgii onkologicznej. Więcej mnie nie było niż byłem na Garbarach- bo po kolejnych 2 latach już zdałem – i zostałem najmłodszym specjalistą chirurgii onkologicznej w Polsce.

I to dzięki Ojcu naszej Koleżanki *[dla niewtajemniczonych – Eli Wojnerowicz, naszej koleżanki z roku na poznańskiej Akademii Medycznej – przyp. Z.K.]* która zawsze bardzo mi się podobała ale miała godniejszych i bardziej przystojnych absztyfikantów. Kręcił się koło Niej najprzystojniejszy Andrzej Pawlak nasz kolega, późniejszy mąż Eli, więc szans nie miałem. J

Profesor Wojnerowicz na zawsze zostanie dla mnie ideałem Szefa, mimo swojego trudnego charakteru. Jemu również zawdzięczam zrobienie wszystkich staży do drugiego stopnia z chirurgii ogólnej. Dzięki Niemu po latach mogłem prawie od razu po krótkim stażu u Profesora Fibaka zdawać dwójkę z chirurgii ogólnej bez której w Anglii nie mógłbym pracować. Chyba że na zmywaku, co zresztą podsumował Maciek, Brat Moich Córek, Który Nie Jest Moim synem. Wspaniały, dowcipny facet .

W UK nie ma chirurgii onkologicznej, choć jest specjalizacja chirurgii piersi. Zajmuję się nią po zostaniu członkiem Królewskiego Towarzystwa Chirurgów.

Właśnie Profesor Wojnerowicz był od lat 50 ubiegłego wieku – prekursorem chirurgii piersi w Polsce, co po pół wieku zostało utworzone w Zjednoczonym Królestwie.

Gdyby nie On, nie miałbym na Wyspach czego szukać, kiedy tzw. „koledzy”- typu „lekarz lekarzowi wilkiem”, chcieli mnie w Lipnie wsadzić do ciupy. Ich wszystkich życie pokarało a ja dzięki ich „wysiłkom” wylądowałem na Wyspach i mogę realizować swoje umiejętności z chirurgii rekonstrukcyjnej i ogólnej. Tu nie przyjmuje się nikogo z kryminalną przeszłością. Straciłem 10 lat na walkę z korupcją moich podwładnych i korupcją sądu w Lipnie. Nie chciałem się zgodzić na zmianę sędziny, która była siostrzenicą dyrektora szpitala (też pokarany przez obżarstwo i wódkę cukrzycą). Uważałem, że każdy sędzia jest powołany do sprawiedliwego sądenia. O, głupi! Okazało się, że nie każdy, więc ostatecznie sprawa oparła się o Sąd w Strasburgu i skończyła sromotną klęską oszczerców. I tak to dopiero Strasburg to „wynaDgrodził” kosztem wszystkich Polaków – także Waszym. *[chyba chodzi o znaczne finansowe odszkodowanie przyznane Leszkowi, które zostało wypłacone ostatecznie z pieniędzy polskich podatników – przyp. Z.K.]*

We wszystkich zawodach są skorumpowani karierowicze ale patrzcie co się teraz dzieje z polskim sądownictwem! Przestałem wierzyć w niezawisłość sędziów. Dziś, gdy nie ma trójpodziału władz nie miałbym szans.

Tekst zamieszczono 12 marca 2019 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4607> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (20) .
WYMARZONA ONKOLOGIA

DOKTORAT I RÓŻNE MYŚLI NA KONIEC

Profesorowi Wojnerowiczowi zawdzięczam zrobienie doktoratu z immunologii czerniaka – był promotorem. Założyliśmy grupę badającą odporność w czerniaku i raku płuc, bo dr Krzysko z Szamarzewa *[popularna skrótowa nazwa szpitala w Poznaniu – przyp. Z. K.]* też był zainteresowany badaniem odporności.

Zaczęło się żmudne gromadzenie danych.

Badaliśmy 123 pacjentów z czerniakiem – by ocenić ich naturalną odporność sprawdzaliśmy reakcję na tuberkulinę i DNCB (neoantygen: Dwu-Nitro-Chloro-Benzen) – przed , 3 dni, 3 tygodnie i 3 miesiące po operacji oraz w stanach terminalnych i ustalaliśmy kto z nich przeżył. Przez kolejne 7 lat było żmudne zbieranie danych , przez to zaniedbywanie życia rodzinnego, zdobywanie pieniędzy na obliczenia statystyczne (które wówczas mnie kosztowały 50 tys. złotych) wykonywane na komputerze w Polfie na Grunwaldzkiej. Pierwsza Żona była bardzo dzielna i wytrzymała. Potem była już obrona pracy doktorskiej – w Warszawie gdy już mieszkalem w Kutnie i zacząłem pracę u Profesora Bernera w Łodzi..

Na stopce po podziękowaniach miało się znaleźć : „Poznań – Łódź- Kutno- Warszawa”. Recenzentami byli- starszy brat naszej koleżanki KRYSI STEFFEN, Profesor Steffen, Profesor Dux obaj z Warszawy i profesor Szczygieł z Krakowa. Z samej obrony najlepiej pamiętam pomoc mojej Żony Elżuni (anestezjolog) i chętnie bym się z Daną i z Nią podzielił tym tytułem.

Ale największe przeżycie miałem rok wcześniej, gdy po zawale serca w Kilonii, byłem na rehabilitacji w Polanicy Zdroju. Miałem już wszystkie dane i trzeba było wyciągnąć wnioski. Eureka! zobaczyłem wówczas, że pacjenci z większą odpornością na DNCB i dobrą reakcją na tuberkulinę (ale nie nadmierną) żyli dwa razy dłużej w grupie z przerzutami do węzłów chłonnych , a bez przerzutów niewielu umarło. Potwierdzone to zostało statystycznie.

Uważam, że lekarze tylko pomagają człowiekowi w jego walce z rakiem, bo NAJWAŻNIEJSZA JEST ODPORNOŚĆ WŁASNA.

Potwierdzał to później profesor Mackiewicz w Poznaniu na Garbarach. Hodował swoje autoszczepionki i badał populacje białych krwinek. Najnowsze metody leczenia czerniaka i nowotworów opierają się właśnie na wzmacnianiu własnej odporności.

Ale zamiast do pracy naukowej ciągnęło mnie do chirurgii – do osiągnięcia natychmiastowego efektu po udanej operacji.

Ech, gdybym tylko dalej publikował i kontynuował badania nad odpornością w nowotworach... A NOBEL BYŁ TAK BLISKO!...

Zresztą pobyt w Polanicy, kolebce polskiej chirurgii plastycznej zaowocował późniejszą specjalizacją. Zamiast na zabiegi rehabilitacyjne, w miesiąc po zawale chodziłem asystować słynnemu profesorowi Krausowi i i wówczas docentowi Kobusowi. Rekonstrukcja po okaleczających operacjach onkologicznych!

Satysfakcja i spełnienie, choć pamięta się niepowodzenia.

Po latach zakrętów robię to co umiem i co jest pasjonujące. Szkoda że przez „tzw. kolegów-wilków z Lipna” nie pracuję w Polsce. A już się tak dobrze zaczynało! We wsak niewielkim Lipnie na początku lat 90-tych ubiegłego wieku...

Na Zjeździe Chirurgii Onkologicznej w 1991 roku w Ciechocinku, który organizowaliśmy, dostaliśmy pierwszą nagrodę za operacje rekonstrukcyjne w chirurgii onkologicznej. Wszyscy trzej „wilcy” też zostali uhonorowani i byli dopisani do moich prac. Gdy jeden z nich zobaczył nagrodę : 500 złotych polskich – powiedział, że nie warto było się wysilać. Plakaty i przezrocza kosztowały drożej *[tu przypomnienie – w tamtych czasach raczej nie tworzone plakatów przy użyciu drukarki komputerowej – z reguły pisano i ilustrowano ręcznie a prezentacja prac odbywała się przy zastosowaniu tzw. przezroczy – czyli tekstów i rycin na foliach lub kliszach fotograficznych – przyp. Z. K.]*

To był szczyt oddziału chirurgii onkologicznej w Lipnie, utworzonego przez naszego Kolegę, śp. LESZKA HALICKIEGO.

Założyłem wówczas, jako trzeci w Polsce w Lipnie po Poznaniu i Warszawie – Poradnię Stomijną . Moja pacjentka po przedniej resekcji odbytnicy została nawet prezeską Stowarzyszenia Chorych ze Stomią, a dzięki temu zaprzyjaźniłem się z JASIEM KOBUSZEWSKIM *[tak, to ten wyśmienity aktor, wszystkim znany, który przez lata funkcjonuje, stale na scenie, pomimo stomii – przyp. Z.K.]* . Druga pacjentka po obustronnej mastektomii z powodu zaawansowanego wieloogniskowego raka została prezeską „Różowej Wstążki” w Bydgoszczy. Obie Panie świadczą o wyższości własnej odporności nad chirurgią w leczeniu nowotworów. Trzeba walczyć do końca. Po moim odejściu, z onkologii w Lipnie zostało wspomnienie. Jednemu z tych „wilków” po pijanemu w drodze do Włocławka nie „wyprostował” się zakręt i skasował prokuratora. W końcu został badaczem mięsa w rzeźni, mimo, że otworzyłem mu i dzięki mnie skończył specjalizację. A profesor Krauss, twórca polskiej chirurgii plastycznej uczeń Dr Michałka-Grodzkiego – Wuj naszego Kolegi śp. WOJTKA MICHAŁKA-GRODZKIEGO , kiedy spotkałem Go dużo wcześniej na Zjeździe – już wtedy ostrzegał mnie przed nimi

Lata lecą i pewnie niedługo bo już jest prawie po 70-ce nie będą mnie chcieli na chirurgii piersi .

Na szczęście 3 lata temu w Poznaniu zacząłem specjalizację z medycyny rodzinnej w katedrze śp. Profesor Horst, młodszej siostry naszej Koleżanki – HANKI HORST. Jej Ojcem, PROFESOREM HORSTEM, zresztą kolegi mojego Ojca, Jego Genetyką i Patofizjologią byłem kiedyś zafascynowany. To też prowadziło do onkologii.

A propos medycyny rodzinnej to znowu sprzed nosa odeszła wspaniała okazja zrobienia specjalizacji „krótka ścieżka” do której namawiał mnie prof. Berner w Łodzi. Ale co? Ja? Doktor nauk medycznych trzech chirurgicznych specjalizacji miałem zostać „tylko” lekarzem rodzinnym? Na pieczętce by się nie zmieściło! A na Wyspach GP taki lekarz może zarobić rocznie do £ 200 000. Przeliczcie na złote. Kolejna stracona życiowa szansa, którą będę chciał odzyskać jak zdołam zrobić specjalizację. Pierwszy staż z interny zaliczyłem już u sp. KRZYSIA LINKE. Moim zdaniem zmarł nagle przez „lekarz lekarzowi wilkiem”.

Tekst zamieszczono 18 marca 2019 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4611> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (21). Doktorat

WARTO BYĆ ŻYCZLIWYM (parafraza z prof. Władysława Bartoszewskiego) czyli :

JAK JAJECZNICA RATOWAŁA ? ŻYCIE

Nigdy nie wiemy jak nasze zachowanie może wpłynąć na nasze lub czyjeś losy. Jak nie wcześniej to może i po latach.

Na początek listopada moja córka miała termin porodu. W połowie miesiąca pojedyncze skurcze, wydawało się, że wody odeszły, ale nie została przyjęta do porodu. Bardzo dobra i życzliwa ginekolog dr B. opiekująca się córką, dała skierowanie na stymulację, bo było już po terminie. Przyjęta do Raszei (*tak w skrócie nazywają poznaniacy szpital im. Raszei – przyp. Z. K.*), ale dyżurny ginekolog zignorował Jej wskazania i kazał czekać. To był czwartek rano. Dzwoniłem do Niego z Londynu, przedstawiłem się, poprosiłem o opiekę, powiedziałem o skierowaniu ale zostałem zignorowany.

Załatwiłem sobie zastępstwa i w czwartek wieczorem poleciałem z Londynu do Poznania. Na szczęście Pani dr B. zdecydowała że sama w piątek zacznie stymulację porodu.

Zatrzymałem się w „Hotelu Włoskim” i od razu wykupiłem pokoje dla Jej Mamy, z którą byłem rozwiedziony – by zamieszkała wspólnie z Córką z mojego pierwszego małżeństwa oraz dla mojego Syna z Żoną. Jako samotny, odrzucony „byk” (pozostałość po ksywie „Krowa” ze szkoły) miałem osobny pokój.

W piątek szczęśliwy poród, piękna Wnuczka. Planowany wypis na poniedziałek. W sobotę hucznie obchodziliśmy razem z teściową i mężem Córki “18”-te urodziny mojej byłej Żony a w niedzielę Jej imieniny. Wnuczka była dla Niej najwspanialszym prezentem.

W poniedziałek rano okazało się że Wnuczka ma szmery i musi mieć ECHO serca. Konsultująca kardiolog dziecięcy, dr. G. była poza Poznaniem na konferencji, a dopiero w czwartek przychodzi dr M. Córka z Wnuczką muszą pozostać w szpitalu.

Ja miałem bilet powrotny do Anglii na wtorek po południu. Muszę wrócić koniecznie, ale przecież szmery u Wnuczki nie pozwolą mi wyjechać, a nie mogę być dłużej nieobecny. W tym zamorskim kraju pacjenci są zapisywani z dużym wyprzedzeniem i co najmniej ponad 20-tu miałoby przełożony termin z mojej winy. Przedłużenie przyjęcia pacjenta z podejrzeniem nowotworu ponad 2 tygodnie oznacza, że szpital nie dostanie za tego pacjenta pieniędzy. Straty tysięcy funtów dla szpitala z mojej winy. Nie ma usprawiedliwienia. Typowy “paragraph 22”.

Więc telefon do ważnego K., powiedziałem że jestem lekarzem, że Stryjek był tam kiedyś ordynatorem chirurgii dziecięcej. Odpowiedź zaskoczyła. Nie ma ostrych wskazań, nie ma potrzeby przywiezienia niemowlęcia na badanie, ma czekać do czwartku.

To kto jest najważniejszym kardiologiem dziecięcym w Poznaniu? Jakaś profesor Aldona Śliwińska. Jestem za stary by znać młodych poznańskich lekarzy. Moje pokolenie prawie w całości się już wykruszyło. Telefon do sekretariatu, ale Pani profesor w poniedziałek nie ma czasu. Przyjmuje prywatnie ale zapisy są na kilkanaście dni naprzód. Podałem nazwisko i sekretarka ostatecznie umówiła mnie z Nią w Klinice w sekretariacie na popołudnie zaznaczając, że mam być punktualnie, bo Pani Profesor ma wykład.

Na trzęsących nogach wchodzę do gabinetu, bez większych nadziei przedstawiam swoją gorącą prośbę o pilne ECHO w Klinice. Przecież Pani Profesor najlepiej ocenia szmery u noworodka które w 90% mijają po kilku dniach (przewód Botalla), ale nie można wykluczyć poważnej wady. Ważna jest dynamika i dlatego ECHO pozwala na rozpoznanie zagrożeń i ew. wskazań do interwencji.

Proszę usiąść.

Siadam na brzegu fotela z podkurczonymi nogami obawiając się odmowy. Muszę jutro wracać, a ECHO dopiero za 3 dni. Pada pytanie:

Czy Pan ma coś wspólnego z doktorem Milanowskim?

Tak, On i mój Ojciec byli braćmi i przez całe studia mieszkaliśmy u Stryków na Obozowej.

Proszę Pana, opowiem Panu pewną historię, zaczęła Pani Profesor. Po skończeniu studiów dyżurowałam w Pogotowiu i na pierwszy dzień stażu na chirurgii dziecięcej po nocnym dyżurze, zmęczona, śpiąca zgłosiłam się do ORDYNATORA. Ten popatrzył na mnie, spytał dlaczego jestem zmęczona. – Dziecko, Ty przecież musisz odpocząć, powiedział. Wezwał salową, poprosił o przygotowanie dla mnie JAJECZNICY i jakiegoś tapczanu żeby wypocząła.

Jak to usłyszałem – usiadłem głęboko rozparty w fotelu, założyłem nogę na nogę i powiedziałem, że teraz to już za tą jajecznicę nie może Pani Profesor odmówić mojej prośbie. Kazała zgłosić się wieczorem tego samego dnia do Jej prywatnego gabinetu.

Wypis na własne życzenie. W Jej poczekalni długa kolejka, przyjęcie poza kolejnością, badanie kliniczne, ECHO i od razu rozpoznanie. Fizjologia. Cała Rodzina szczęśliwa. Żadnych pieniędzy nie chciała przyjąć. Spokojnie mogłem wracać do pracy.

Poszliśmy do Cioci, Profesor Milanowskiej pochwalić się Wnuczką i podziękować za Jej Męża, śp. Dr Zbigniewa Milanowskiego. Była już bardzo chora. Odeszła po 3 miesiącach, ale ta wiadomość ogromnie Ją ucieszyła. Myślę, że wówczas jeszcze raz pomyślała jakiego miała wspaniałego męża.

List od Leszka zamieszczony 8 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4342> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (9). Przypowieść o tym jak Dobro rodzi Dobro

MÓJ KONTAKT Z JURKIEM I NAWIĄZANIE DO OBOZU CHÓRU AM ORAZ PRZYJAŹNI POMIMO ROZWODÓW

Co do Jurka. Nie widzieliśmy się od absolutorium. Do 4-go roku studiów byliśmy bardzo serdecznymi przyjaciółmi. Jako prezes Chóru AM poprosiłem Go, aby został kierownikiem naszego obozu w Łagowie z ramienia ZSP. Oczywiście pieniędzy na wyżywienie było za mało, więc znalazły się „martwe dusze” które się zapisały, lecz na obóz nie pojechały. Jedliśmy za Nich. JUREK bardzo serio i

odpowiedzialnie przejął się swoją rolą i zabronił mi to rozliczać. Ja uważałem że skoro komuna nas oszukuje to ja mogę też dla dobra członków Chóru (40 osób). JUREK był legalistą, zresztą Jego Ojciec był kierownikiem Katedry Medycyny Sądowej. Z prawem za Pan brat. Nasze drogi się rozeszły. Spotkaliśmy się po pół wieku na pogrzebie mojej Cioci, prof. Kazimiery Milanowskiej, byłego Krajowego Konsultanta Rehabilitacji. Akurat szedłem z moimi obydwiema (z obydwiema pediatrią i anesteziologiem się rozwiodłem) byłymi Żonami pod ręką. Nie mógł zrozumieć jak to możliwe. Potem na stypie siedział w Ich towarzystwie i zobaczył, że można się wzajemnie szanować. Chyba dlatego teraz napisał, że czegoś się mógłby się ode mnie nauczyć.

List od Leszka zamieszczony 29 sierpnia 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4095> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (2). Leszek, Jurek i nasza reszta

O MOICH DWÓCH MAŁŻEŃSTWACH, TOLERANCJI I RELACJACH Z DZIEĆMI

Jak było pomiędzy nami ? Po pierwszym rozwodzie układaliśmy się spokojnie, na chłodno, ale z pełnym porozumieniem, myśląc od tym, co może być najlepsze w tej sytuacji dla dobra obu córek. Regularnie, co dwa tygodnie spędzałem weekendy z obiema, młodsza była ze mną przez pierwsze dwa lata, dopóki nie chciała wrócić do Mamy. Zawsze sprawdzałem im lekcje. Od początku widziały rozwój mojego drugiego związku. Wspólne wakacje ze wszystkimi dziećmi z ich młodszym nowym bratem, pod namiotem, nauka pływania od wieku 1,5 roku życia, kibicowanie zdobywania karty pływackiej w 5 – tym roku życia przez ich najmłodszego brata. Podziwiałem moją drugą żonę za pozbycie się naturalnej zazdrości i niechęci, choć Jej Mama początkowo nie była zadowolona. Jednak później stała się wspaniałą Babcią dla moich dwóch córek z pierwszego małżeństwa. Przed drugim rozwodem, zaproponowała mi mieszkanie u Niej, gdzie teraz jest mój polski adres.

Wydaje mi się , że przyczyną takich układów było pozbycie się nienawiści, choć początki bywały trudne. Tolerancja dla drugiej strony.

Umożliwienie wyrobienia sobie u każdego z członków rodziny własnego zdania wobec innych , unikanie ocen , zwłaszcza negatywnych. Pozytywne pozostawiając sobie samemu.

Najważniejsze – to chyba nie przenoszenie własnych niechęci na dzieci, ochrona ich przed konfliktami dorosłych, podążanie za potrzebami dzieci a nie za swoimi. Dzieci zawsze kochają jednakowo oboje rodziców a jeśli znajdzie się na ich drodze tolerancyjny partner drugiej strony , to same wybierają według własnego systemu ocen. Bolesna jest rywalizacja o dzieci między rodzicami. Tylko dzieciom szkodzi. I tak kiedyś same ocenią i wybiorą lub pogodzą się z faktami.

Wielki na mnie wpływ wywarł przeczytany w liceum „Traktat o życiu godziwym” Tadeusza Kotarbińskiego i jego definicja „opiekuna spolegliwego” - na którym można polegać. Polecam ...

List od Leszka zamieszczony 18 września 2018 w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4256> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (6). Meandry życia rodzinnego

Ludwik Krzysztof Szereszewski zwany Krzysiem lub Szerszeniem (22.06.1945 – 05.09.1971). Wspomnienia i zaskakujące Piękno Jego Duszy odkryte przed nami przez Krysie Anioł i Ewę Reinke. Wiersze Krzysia, które przekazał Ewie Reinke.

Jakże był samotny ze swoją Wielką Bujną Duszą tęskniącą do ludzi, przyjaźni, zainteresowania, może podziwu – a też miłości z myślami poetyckimi kłębiącymi się w głowie i mnogością pięknych kadrów

do złapania w obiektyw... Duszą, która nie mieściła się w tym skromnym ciele – była za duża, nieujarzmiona i chyba dlatego wybrał inny świat

Zofia Konopielko (z d. Łukaszewicz): *Gdy w roku 1965 rozpoczynaliśmy studia na Akademii Medycznej w Poznaniu jeszcze nie wiedzieliśmy, ba, nawet nie myśleliśmy o tym co nas czeka.... Od tamtego października, gdy staliśmy dumni, radośni ale też przejęci na dziedzińcu Anatomicum minęło już bardzo wiele lat – czegoś się nauczyliśmy, dostawaliśmy nieraz „po głowie”, nauczyliśmy się żyć z porażką ale też zwyciężaliśmy – żyjemy i dostaliśmy od losu okazję by się spotykać. Jednak wielu z nas przedwcześnie odeszło do drugiego ponoć lepszego świata. Jeśli chorowali i na ich choroby nie było już leku – pochylaliśmy się bezradnie nad tym faktem, ale niektórzy sami sobie odebrali życie. Dlaczego? stale wraca to pytanie. Pamiętamy Ich wszystkich, wspominamy a dopóki żyjemy – Oni żyją w nas*

Podjęliśmy temat opowieści o naszych zmarłych Kolegach jesienią, trochę nieświadomie, że zbliżymy się do listopadowego Święta Pamięci ... Jakiś czas temu rozmawiając z Jurkiem o kolegach, którzy tragicznie odeszli dowiedziałam, że m. in. w młodym wieku popełnił samobójstwo Krzysztof Szereszewski. Postać Krzysia Szereszewskiego zapamiętałam dość dobrze. Napisałam Postać – bo w ogóle Go nie znałam, tylko pamiętam Jego sylwetkę faktycznie może trochę przypominającą szerszenia w skali makro – bo tak Go nazywali chłopcy, wywodząc to określenie od Jego nazwiska – był niewysokim chłopakiem – chodził nieco wychylony do przodu – pewnie z powodu silnej wady wzroku bo nosił duże okulary z grubymi szklami i ... jakby przemykał obok... chyba był w sąsiedniej grupie na zajęciach z anatomii...

Jerzy T. Marcinkowski: Z nami – podczas studiów lekarskich w Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1965-1971 – był m.in. Kolega Ludwik Krzysztof Szereszewski. Postać, która wbijała się innym w pamięć z uwagi chyba głównie na to, że nosił ze sobą zeszyt do którego wpisywał dowcipy, jakie usłyszał, bądź sam ułożył. Ten zbiór posiadanych przez Niego dowcipów był przeogromny. Ludwik Krzysztof Szereszewski był starszy od nas o parę lat, bo wcześniej studiował mikrobiologię, ale gdzie – niestety nie pomnę. I po studiach zamierzał w tym kierunku się specjalizować. Wszystko jednak przedwcześnie się zakończyło przez Jego próby samobójcze. Nie mam pojęcia z jakiego powodu.

Ponoć miał powiedzieć do śp. Krzysia Urbańskiego, że nie da swego zdjęcia do albumu dyplomatycznego, bo już wtedy go nie będzie. I rzeczywiście nie było. Popełnił kolejne, po licznych próbach samobójczych, samobójstwo (leki) po którym Go nie odratowano. Nie mieliśmy pojęcia dlaczego!

Nasz kolega z roku ze studiów lekarskich śp. Ludwik Krzysztof Szereszewski miał mnóstwo pasji życiowych. Pisał wiersze. Robił artystyczne zdjęcia. Ale brakowało mu odwzajemnionej miłości, bo Jego postura nie przyciągała fizycznie... Miał zbyt wielką duszę i olbrzymie marzenia, które nie były spełniane... i to go zgubiło!

Grób Ludwika Krzysztofa Szereszewskiego (ur. 22.06.1945 – zmarł 05.09.1971) znajduje się na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie. Jest pochowany w ładnym grobowcu pośrodku małżeństwa Rozalia Lasotowa i Antoni Lasota – zasłużonych nauczycieli, którzy Go adoptowali. Jest tam ładne zdjęcie Krzysia – takiego Go dokładnie pamiętam, łącznie z tym, że był zafascynowany twórczością Stanisława Hermana Lema (1921-2006) – polskiego pisarza *science fiction*, filozofa i futurologa. Nieopodal na tymże Cmentarzu spoczywa jeszcze jeden Nasz Kolega z Roku – Wiesław Jurga (19.04.1946-03.10.2003).

Leszek Milanowski: A czy pamiętacie Szereszewskiego? To dla mnie zagadkowa postać. Zaraz po odebraniu dyplomu odebrał sobie życie. Z początku kładłem to na karb bardzo prawdopodobnych

zaburzeń psychicznych. Dla mnie to było niewytłumaczalne. No, odebrał, to odebrał. Z racji Jego samotności i pewnego jakby „wywyższania się” co kilka (mało) razy odczułem dziś uważam, że Jego targnięcie się na życie było jakąś moją współwiną. Każdy myślał o sobie, nie patrzyliśmy na kolegów wokół, nie staraliśmy się zrozumieć i akceptować. Dziś jesteśmy bardziej ze sobą związani niż na studiach. To na pewno stygmat naszych przeżytych lat (broń Boże podobno jakiegoś „wieku emerytalnego”), doświadczeń życiowych i lekarskich. Szereszewski na pewno nie miał wśród nas przyjaciół. On sobą odstręczał. Ale czy to usprawiedliwia nasz brak zainteresowania? Na pewno miał jakieś psychiczne zaburzenia, ale czy to może usprawiedliwić naszą obojętność? Nie była to postać ciekawa. Ale w końcu był naszym kolegą. „Solidarność” nieco zmieniła moją ocenę otoczenia. Choć kłamstwa, oszustwa, obrażania są nadal ale czy to może nas zdenerwować? Wiemy swoje. Na pewno kolega Szereszewski nie jest postacią, którą warto wspominać, ale rzuca światło na nasze charaktery. Te ostatnie filozoficzne rozważania są pewno dalszym ciągiem zarzuconych studiów z psychologii, ale widzę, jak do rzeczywistości podchodzi moja Córka, psycholog na Kajmanach. Dobrze, że mamy ze sobą kontakt. Wasz, Leszek

Wojtek Kasprzak: Jak myślę o genialnych schizofrenikach przypomina mi się kolega Szereszewski. Potrafił dokładnie zacytować to, co było napisane drobnym drukiem, 10 linia od góry, na 98 stronie „Bochenka” [to słynny 7-tomowy podręcznik do anatomii pod redakcją Bochenka - przyp. Z. K.]. Pod koniec studiów rozpoznali u niego schizofrenię. Marzył żeby być lekarzem wiejskim. Nie chcieli mu dać prawa wykonywania zawodu. Byłby perłą każdego zakładu teoretycznego. Chciał być jednak lekarzem wiejskim i wobec odmowy uzyskania prawa wykonywania zawodu lekarza – się powiesił. Serdecznie ściskam wszystkich co mnie jeszcze pamiętają, tych co nie pamiętają też Wasz Wojtek Kasprzak

Krystyna Anioł: Witam Was i skoro już przypominamy sobie pewne szczegóły z życia Tych, co odeszli i to tuż przed Ich świętami: dodam może mało znane fakty lub pominięte, bo nie byliśmy jeszcze lekarzami i nie przywiązywaliśmy do nich adekwatnej wagi. Krzysztof Szereszewski vel LUX, bo tak podpisywał w „ITD” swoje przednie felietony. Byłam z Nim na krótkim obozie „naukowym” w Powierciu (może myślę miejscowość), ale koło Słupska, również z Zakładu Higieny. Chodziliśmy badać wodę w studniach... Krzysztof zawsze miał aparat fotograficzny, robił przepiękne ujęcia, artystyczne, białe-czarne, z cieniem, z negatywem, z filtrem itp. Potem je sam wywoływał, cieniował, poprawiał... Miałam swego czasu sporą kolekcję własnych fotografii z Jego ręki... Należał do typu astenicznego „cherlaka” i być może zaciekał Go moja atletyczna siła (wtedy jeszcze uprawiałam lekką atletykę w II-ligowym GKS „Olimpia” Poznań i jednocześnie siatkówkę w KS. „Energetyk” Poznań, również II-liga...o czym wiedzieli tylko nauczyciele Studium WF AM i ...J.M. Rektor Roman Góral, bo przenosili moje tzw. „sztywne karty” do AZS przed MTU: Mistrzostwa Typu Uczelni – w piłce siatkowej, lekkiej atletyce, narciarstwie i nawet raz w piłce koszykowej (...). Ad rem: ta siła którą musiałam jakoś uwolnić, bo to nie był obóz sportowy, a taki nijaki... spowodowała, że podczas jakiegoś dłuższego marszu, przechodząc obok rzeczki Parsęty – rozebrałam się odpowiednio do pływania i popłynęłam sobie środkiem rzeczki, a Krzysztof biegł po nabrzeżu, robiąc zdjęcia i układając zapewne kolejne strofy wierszy...

a pisał rzeczywiście wspaniale. Rytm i rym wiersza dosłownie spływał mu z pióra. Może pamiętacie sytuacyjny wiersz, który wywiesił przed aulą na Przybyszewskiego na Dzień Kobiet, pamiętam jego fragmenty do dzisiaj.

Tłumaczył też poezję rosyjską – przysłał mi wiersz „swój” Siergiusza Jesienina pt. „Pieśń o psie”, przy którym serdecznie się splotałam.

Po powrocie z tej eskapady, a przed zgrupowaniem sportowym w Sierakowie Wielkopolskim pojechałam jako p.o. lekarz na rozbrykaną, męską kolonię do Chodzieży, gdzie za każde przekleństwo aplikowałam 50 lub 100 przysiadów, a mogłam to robić, bo sekundował mi kierownik kolonii, który był moim nauczycielem WF z Liceum. Tamże otrzymałam od Krzyśka TEN WIERSZ pt. „Jak się Anioł utopił w Parsecie...” mam go do tej pory. Do wglądu, jak zaznaczył, bez prawa kopiowania, przesłał mi ogromny zbiór swoich wierszy... trochę je jeszcze pamiętam.

Gdyby taki dorobek zaginął w rodzinie byłaby ogromna szkoda. A być może tak się stało.....

Krzyś miał ojczyma i przyrodniego brata, który zawsze był w tej rodzinie na miejscu pierwszym...Krzyś na ostatnim... ale miał wiernego psa.

Po obozie, nie pamiętam w jaki sposób dotarliśmy do domu Krzysia w Koszalinie ul. Zgoda 15 (przypomniałam sobie jak zakończyłam to pisanie...), chyba była z nami Teresa Tuflecka, Olga Czekąła, nie wiem kto jeszcze... zaprowadził nas do swojego królestwa: poziom dolny domu to było ogromne laboratorium fotograficzne. Pies był też ogromny i wspaniały.

...przewijam taśmę myślową ...kochał się STALE w Monice... to było wiadome i dla niej chyba tworzył wiersze najpiękniejsze... chociaż nie odpowiadała na jego adorowanie... załamał się na piątym roku... trochę zagubił się, chyba był leczony, przerwał studia (?) nie wiem, ale nie dotarł z nami na szósty rok. PODOBNO: otrzymał dyplom rok po nas, nie wiem jak było z prawem wykonywania zawodu, ale wiem, że pracował w szpitalu w Koszalinie, otrzymał salę z pacjentami, jeden z pacjentów mu „odszedł na wieczne łowiska”, Krzyś uważał, że to jego вина... przyszedł do domu i w ukochanym laboratorium powiesił się... Nie wiem ile w tych podaniach z ust do ust jest zawarte prawdy. Może więcej będzie wiedziała Ulka Mikołajczak-Mejer z Koszalina.

A w ogóle to po tylu latach pewne fakty, słabo odkurzane, zacierają się i to dodatkowo mnie, która nabyła tego „nosa” i „rozumu” lekarza jakieś kilka lat po studiach... bo studia dla mnie to była CHWILA największych sukcesów i najcięższych kontuzji, jakich doznałam w sporcie. A nagrodę rektorską za dobre wyniki w nauce dostałam raz (po czwartym roku), gdy prawie pół roku byłam do pasa w gipsie po kolejnym urazie narciarskim... Tak, nawet mój Ojciec (dożył 98 lat +2017) żartował, że studia przeszkadzały mi w uprawianiu sportu... ale miałam ten komfort, że mogłam uczyć się nocami... gdy była cisza... nigdy nie mogłam uczyć się z kimkolwiek, choć próbowałam, bo przecież nie mieliśmy wszystkich podręczników, skryptów, to była bieda... nawet śmierdzące denaturatem arkusze z kserokopiarki wietrzyłam na balkonie by w nocy nie lać na nie łez. Podziwiałam tych wszystkich, którzy potrafili uczyć się w akademiku... i do tej pory podziwiam np. Ulkę Mikołajczak, z którą spotykamy się w gronie lekarzy sportowych... KONIEC, więcej ode mnie nie dowiecie się, chyba, że napadnie mnie ponownie, o północy PAMIĘĆ. Przyznam, że ulżyło mi, gdy wygadałam się do was, bo już od dawna miałam zamiar przekazać te informacje, o Krzysztofie Ludwiku Szereszewskim - „szerszeniu”, ale przyjaznemu gronu i być może spowodować, że te jego wiersze będą mogły być kiedyś wydrukowane... dla potomnych. Serdecznie Was pozdrawiam – Krystyna Anioł-Strzyżewska. PS. Witam i uzupełniam z pamięci nieprawdziwe dane podane w pierwszym pisaniu o L.K. Szereszewskim. Otóż nie Powiercie k. Koła, a wieś PUSTARY w gminie Dybówo k. Kołobrzegu, bo tam płynie Parseta... Wspaniały pies Krzysztofa to był Ralph....

Teksty zostały zamieszczone 29. października 2018 r. blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4379> pod tytułem: Ludwik Krzysztof Szereszewski we wspomnieniach i zaskakujące Piękno Jego Duszy w opowieści Krysi Anioł

Ewa Reinke: Na zajęciach z pediatrii przy ul. Nowowiejskiego, postępowaliśmy za panem doc. Skalskim gęsiego, wąskim korytarzykiem utworzonym z jednej strony przez oszkłone boksy z chorymi zakażnie dziećmi a z drugiej była ściana. Wtedy Krzyś Szereszewski pospinał nas paskami fartuchów [z

tyłu każdy fartuch miał pasek zapinany na dwa guziki]. Pierwszy student został przypięty do docenta. Utworzyła się dyskretnie chichocząca gąsienica postępująca zgodnie za mistrzem. W pewnej chwili pan docent Skalski odwrócił się i z takim dobrotliwym uśmiechem powiedział: „oj dzieci, dzieci”.

Nasz kolega Krzysz Szereszewski napisał wiele uroczych wierszy. To był delikatny, dobry człowiek. Nie wiem jak spoza grubych szkielek okularów jawił mu się świat. Dla nas miał zawsze uśmiech i serdeczność. Uwielbiał opowiadać dowcipy. Krzysz był stypendystą Ziemi Koszalińskiej. Pojechał na zorganizowany przez fundatorów rajd dla stypendystów w Koszalińskie. W czasie kolacji chodził od stolika do stolika i proponował „dam wam dwa złote i opowiem kawał”. Otrzymywał odpowiedź, że dostaje pięć złotych i niech idzie dalej. Ponieważ Krzysz nie ustawał w okrutnej chęci ciągłego raczenia towarzystwa „wizytami”, kochający koledzy owinęli go (jakże bezcennym wówczas) papierem toaletowym na kształt mumii i wynieśli z sali.

WIERSE KRZYSIA: przepisane z zeszytu który od Niego otrzymałam (pisownia tekstów wierszy oryginalna).

POCHWAŁA RUDEGO KOLORU.

Kolory! O wy cuda świata widzialnego! / Tyle wam zawdzięczamy, wy przecież możecie / Zrobić wszystko piękniejszym. Nic niemożliwego / Nie stanie wam na drodze, jeśli tylko chcecie. / Zdobicie liście wiosną, kwiaty w pełni lata, / I owoce jesienią, w zimie kryształ lodu... / Dzięki wam radość czerpię z oglądania świata. / Jest wszak do cudownego podobny ogrodu. / Chciałbym was kiedyś w długi rząd uszeregować. / Chciałbym z was wybrać kolor od innych piękniejszy. / Lecz nie wiem- który trzeba z was ukoronować: / Głęboki, pastelowy, bledszy, czy ciemniejszy? / Wiem już! Rudy, miedziany, albo kasztanowy, / Który Tycjan rozstawił w obrazów bezliku, / Który pięknie ozdabia pięknych dziewcząt głowy, / Który spostrzec możecie na każdym jamniku. / Ruda jesień- pamiętam te przepastne lasy... / Rude liście na grabach, na dębach, na klonach. / Rude liście leszczyny, rudych liści masy, / Cały las w rudych barwach, cały w rudych tonach. / Ach te słońca zachody o wieczornej porze! / Przez szpary w rudych liściach blaski zarydzałe, / Padają, opar wstaje w rudym kolorze, / Las tonący w rudości, rude...Zycie całe! / Ruda, po rudej korze, zwinna mknie wiewiórka, / Na mchu rudym pod brzozą, która stoi w dali / Rudy rydz, ruda sarna w krzewy daje nurka, / Rudy płomień ogniska rude chaszcze pali. / Na rudawą przesiekę, między rude drzewa, / Na rudawe ściernisko, kędy rude strachy, / Rudy z mroku rudą ciemność znieńcka rozlewa. / W rudej czapie wszedł miesiąc nad rudawe dachy. / Przy rudej budzie stojąc rudy kundel wyje / Za rdzawy szarpiąc łańcuch na domostwa strąży. / Rudy kot sierść nastroszył, rude łapki myje

.....

Tak miło się o świecie rudobarwnym marzy... / Nie darmo wielki Tycjan rude chwalił włosy, / Wielki Show z dumą nosił wielką rudą brodę. / Szczęśliwsze są zazwyczaj rudych ludzi losy, / Więc my na rudy kolor zaprowadźmy modę.

Poznań 8 stycznia 1967

Opozycjanin

KUJONOM

Świt błądy spędził mroki, wrony zakrakały, / Zmykały nocne mary w piwniczne komysze. / Ranne blaski nieśmiało ziemię oświećlały, / Zgrzyt wczesnych tramwajów przerywały ciszę / I o takiej to porze oczy niewyspane / Podniosła sponad książek miss Strońska Danka / Radowały jej serce tomy

przeczytane, / Tak łatwe, jak dla dzieci najprostsza czytanka. / A gdy zmrok znowu spłynął, nad trupem schylona / Określała bez trudu żyły i żyłeczki. / Za głowę się chwyciła Lodzia zachwycona. / Dr Zimny wpisywał już "A" do książeczki. / Wiosna lat przeminęła, krzyży z pięć wybiło, / Doktor Danka poczuła dziwne przypadłości: / To głowa ją bolała, to w oczach się cięło, / To reumatyzm przewiercał schorowane kości. / Tak się na niej zemściły noce nieprzespane, / Spędzone nad książkami i czajnikiem kawy. / Tak znać o sobie dały święta zarywane, / Gdy w ustach nic nie miała...prócz duchowej strawy. / Jej liczni, bez dyplomów co prawda, koledzy / Zachowali swe nerki i żołądki zdrowe. / Więc pomnij, co wyniknie, jeśli z głodu wiedzy / Zacznesz wbijać ją sobie nałogowo w głowę

Opozycjanin. 12.XII.1965

Do...

Ewie złożyć życzenia- bardzo, bardzo trudne. / Ona tak eteryczna, wiotka jak aniołek; / Bibułka przy niej-karton, smukła trzcina-kołek, / Nawet myte w chromiance będzie przy niej brudne. / Oby Ci się Ewuniu w życiu powiodło, / Obyś nigdy nie była bardzo Zawstydzona, / Lecz by wkrótce z Ciebie dobra była żona, / By łatwo Ci się dzieci w Klinice rodziło. / Życzę Ci tego, Ewo i chociaż spóźniony / W życzeniach, mówię szczerze i w życzenia wierzę. / Niech Ci się w życiu spełnią, a nie na papierze, / Ażebyś była wzorem- nie kochanki-żony! / Czego Ci życzyć jeszcze Niezłomna Dziewico, / Aby nie zbrukać Twego serca niewinnego? / Nie wiem- nie chcę Cię dotknąć- Boże! broń od tego, / Abym rumieniec wstydu przywiódł na Twe lice. / Wierzę bowiem, że skryta jest w Twojej pamięci / Znajomość anatomii - czwarty tom Bochenka. / Kto by śmiał Cię szkalować - niech mu uschnie ręka, / Niech on i jego dzieci zostaną przeklęci! / A bardziej serio życzę: / ciuchów pełnej szafy, / książek moc na regałach, płyt do adapteru, / zmian, [ale zmian na lepsze] Twego charakteru / i... niech Cię bogi strzegą od małżeńskiej gafy!

P.S.

Nim oddasz rękę, serce, zajrzyj w tego d u s z ę, / Którego będziesz żoną. Przepraszam składam, / Jeśli Cię w czymś dotknąłem - do Twych stóp upadam... / Lecz Jacek wiersz chce zabrać, więc już kończyć muszę.

Opozycjonin 08.01.1967

[pisownia tekstów wierszy oryginalna]

Magda Zabel

Hej Kochani. Na myśl o wspomnieniach z tamtych lat, gęba sama mi się uśmiecha. Byliśmy wtedy młodzi, piękni i o ileś kilo lżejsi. Chętnie dorzucę mały kamyczek do kopca tych wspomnień.

Na docieklive a wręcz namolne pytania kolegów dotyczące rodziny, uzupełniam. Moja Mama urodziła się w Krakowie, a Ojciec w Nowym Sączu ale potem zamieszkał w Zakopanem, gdzie też odbył się ślub moich Rodziców. Ja urodziłam się w Chorzowie (ale tylko z powodu możliwości rodzenia ze znieczuleniem). Dzieciństwo do 7 r. ż. spędziłam w Zakopanem, a potem po rozwodzie moich rodziców, często spędzałam wakacje w Zakopanem mając tam Tatę, Babcię, Wujostwo, chrzestnych. Co do pytania o lekarzach w Rodzinie, teraz wiem że mój pradziadek ze strony Ojca Wacław Przybylski dr n.med. Uniwersytetu Jagiellońskiego i Jego synowie byli lekarzami, ale wtedy tak nikt mi tego nie punktował. Dzieciństwo w tym pięknym pejzażu wśród kochającej Rodzinki było beztroskie. Jednak już wtedy lub nieco później przewijał się w opowiadaniach moich Bliskich

wierszyk adoratora mojej pięknej Mamy z czasów młodości. Autor- Aleksander Antoniewicz. (Aleksander Woysym-Antoniewicz, znany tekściarz m.in.dla Mieczysława Fogga, Stanisława Grzesiuka, kabaretu Dudek) tak do Niej napisał: „Przy małej wódce, przy dużej gadce, / wpisał się Wujcio Małgorzatce, / ten cały wierszyk to właściwie wszystko / życzę byś szybko została dentystką / i byś ze śmiechu nie dostała kolek / tego Ci życzy wujcio Lolek”. Kto wie, czy ten wierszyk mnie, urodzonej oczywiście znacznie później, jakoś nie naznaczył i czy nie była to przepowiednia mojej drogi zawodowej?. Ale na poważnie - dobrze zapamiętałam, że dla mnie przykładem zawodu dentysty była nasza sąsiadka w kamienicy w Poznaniu (zresztą były dwie dentystki i obie miały prywatne gabinety) u której się leczyłam. Była to pani dr Danuta Tomaszewska. Tak więc już w 2, a może 3 klasie szkoły podstawowej postanowiłam być dentystką. Przez długie lata, bez śladu wątpliwości czy wahań niezmiennie trwałam w tym postanowieniu, aż wreszcie zaczęłam realizować marzenie. Dostałam się na Akademię Medyczną w Poznaniu i zostałam studentką !!!

Byłam absolwentką żeńskiego 7-Liceum Ogólnokształcącego im. Dąbrówki w Poznaniu, stąd mój zachwyt, że w mojej grupie było tylu chłopaków, a co jeden to przystojniejszy. Koledzy prześcigali się w opowiadaniu kawałów a niektórzy w opisywaniu swojej bujnej przeszłości. Stąd mimo ogromu nauki było fajnie i wesoło.

Moja grupa to chyba była 16-ta i moimi koleżankami między innymi z tych, których najbardziej pamiętam były Romka Łukaszewska, Hania Paluszkiewicz, Halinka Jankowska, Bożenka Szymańska a kolegami Wiesław Misiurewicz, Jurek Zgrajek, Irek Stróżyk, Maciej Zabel, Krzysztof Linke, Jurek Rożek, Andrzej Pawlak, Marian Zydorczak. Wtedy przyjaźniłam się z Halinką, która wprowadziła mnie na zajęcia z tańca turniejowego prowadzone w Zamku co stanowiło miłą „odskocznię” od trudnych o obciążających psychicznie zajęć na studiach.

[Centrum Kultury "Zamek" to jedna z największych tego rodzaju instytucji w kraju, a w Poznaniu największy ośrodek upowszechniania kultury, która swój program kieruje do szerokiego grona odbiorców. Każdego roku odbywa się tu około 700 imprez: wystaw, koncertów, seansów filmowych, spektakli teatralnych, spotkań, warsztatów edukacyjnych i wiele innych wydarzeń kulturalnych. „Zamek” realizuje również imprezy plenerowe: „Imieniny Ulicy Święty Marcin”, Jarmark Świętojański, sylwester miejski oraz finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. „Zamek”, będąc jednostką samorządowa, włącza się w ważne poznańskie przedsięwzięcia, jest otwarty na inicjatywy różnych środowisk, a także współpracuje z wieloma instytucjami i ośrodkami kulturalnymi z miasta, kraju oraz z zagranicy. <https://www.poznan.pl/mim/main/de/-,poi,192/-,44829.html>].

Na pierwszym roku postrachem była oczywiście anatomia, dla której na ćwiczenia z dnia na dzień trzeba było przyswoić spory materiał (od 50 do 100 stron) i wtedy naszym ratunkiem były streszczenia z „Bochenka”. Naszymi asystentami na pierwszym semestrze byli dr R. Zimny (neurochirurg), dr T. Sobusiak – (pediatra), którzy konsekwentnie egzekwowali wiedzę. Byli to świetni asystenci, choć bardzo wymagający. W drugim semestrze zajęcia prowadził już bardzo sympatyczny i wesoły dr A. Kompf i było mniej stresowo, zwłaszcza że z Nim przerabialiśmy tzw. układ rozrywkowy czyli moczowo-płciowy.

Pamiętam też w tamtym czasie w zimie kolejki do szatni w Anatomicum bo połowa roku kończyła ćwiczenia o tej samej porze. Każdy „rycerz” walczył o płaszcz dla swej wybranki lub dla wielu koleżanek. Po wielu latach dowiedziałam się że brat Macieja (Zabla, późniejszego męża autorki-przyp. JTM) śp. Jerzy donosił Rodzicom, że Maciej to walczył o płaszcz po anatomii dla takiej blondyneczki.

Pamiętam jeszcze pierwszy sprawdzian z parazytologii na którym trzeba było rozpoznać kolejno preparaty pod mikroskopem co ileś sekund na sygnał jakiegoś dzwonka i ja, jak to ja, pomyliłam kierunek tych „biegów” ale potem nadgoniłam.

Warto też wspomnieć jakim obciążeniem było szkolenie wojskowe, które odbywało się w Collegium Anatomicum w każdą sobotę i do tego w mundurach. Tam spędzaliśmy bardzo dużo czasu - przedłużające się całonocne kolokwia z anatomii, oczekiwanie na schodach o „suchym pysku” było koszmarem. Nie było wtedy barków i ławeczek jak teraz w tym budynku. Za to czułam się wyzwolona na poligonie; okazało się, że mam dobre oko i strzelałam w środek tarczy.

Żyłam przede wszystkim nauką, ćwiczeniami, kolokwiami i egzaminami i żałuję że tak mało zaliczyłam tzw. imprezek. Jedną z nich były imieniny Rysia Kaftańskiego (3. kwietnia) na które zostaliśmy zaproszeni Maciej i ja do słynnego wtedy „Słowiana” na Mielżyńskiego. Pamiętam, że byli tam też: Bogdan Jesiołowski chyba z Ewą Stawińską i Marek Raciborski.

[„Słowian” to winiarnia Słowiańska w której na fortepianie grywał wcześniej m.in. Krzysztof Komeda <https://www.jazzpress.pl/wyrozniome/jazzowa-mapa-polski-poznan>. Krzysztof Komeda, właśc. Krzysztof Trzcński (ur.1931 w Poznaniu, zm. 1969 w Warszawie) – polski kompozytor i pianista jazzowy, twórca muzyki filmowej. Pionier jazzu nowoczesnego w Polsce. (...). Napisał muzykę do 65 filmów. Pierwszym filmem zilustrowanym muzycznie przez Komedę była etiuda filmowa Romana Polańskiego *Dwaj ludzie z szafą* (1958), ostatnim zaś również film tego reżysera – *Dziecko Rosemary* (USA, 1968), ze słynną „Kołysanką” jako motywem przewodnim. Z wykształcenia lekarz laryngolog”. Absolent Akademii Medycznej Poznaniu. https://pl.wikipedia.org/wiki/Krzysztof_Komeda]

Potem poszliśmy do kina na film pt. „Niagara” z Marilyn Monroe – podczas seansu panowie spali a my przeżywałyśmy.

[„Niagara” – dreszczowiec amerykański z 1953 w reżyserii Henry’ego Hathaway’a. Obsada: Marilyn Monroe jako Rose Loomis, Joseph Cotten jako George Loomis, Jean Peters jako Polly Cutler, Max Showalter jako Ray, Richard Allan jako Patrick, Denis O’Dea jako inspektor Starkey; Fabuła: Małżeństwo Rose i George Loomisowie mieszkają w niewielkim motelu położonym po kanadyjskiej stronie Niagara. On, mocno znerwicowany, żyje w napięciu. Ona, piękna, zmysłowa blondynka urodą i stylem bycia przyciąga uwagę mężczyzn. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Niagara_\(film\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Niagara_(film))]

Bardzo miło też wspominać obóz studencki po drugim roku, który odbywał się w DarłóWKu nad morzem w sierpniu 1967 roku. Obóz ten jak to w czasach komuny miał charakter społeczno-wychowawczo-wypoczynkowy. Kierownikiem obozu był pan prof. Edmund Chróścielewski (kierownik Katedry Medycyny Sądowej). Co kryło się pod tym „charakterem” - otóż mieliśmy pogadanki, byliśmy podzieleni na podgrupy do prac medycznych i mieliśmy oczywiście wesoły czas wolny. Na obozie tym z tzw. kierownictwa był już wspomniany prof. Edmund Chróścielewski z żoną p. dr Marią (lek. stomatolog – specjalistą protetykiem), docent Mieczysław Stański z żoną i córeczką, czasowo był dr Zygmunt Przybylski, dojechała też do nas wtedy Pani doc. Marią Goncerzewicz z mężem (uczestniczką obozu była też Ewa - Jej córka- obecnie prof. med. Ewa Bernatowska). Najśmieszniejsze było to, że załatwiałam ten obóz w tajemnicy przed Maciejem „bo co powiedziała by świat, i co powiedziała by Mamusia” gdybym pozwoliła sobie na wakacje z chłopakiem. Takie to były czasy. Ale tak się złożyło, że Maciej miał jechać na zakładowe wczasy z rodzicami do Dziwnowa, więc niedaleko od DarłóWka i dlatego zabrał się z nami w drogę naszym autobusem i na obozie już został. Do tego głównie przyczynił się Pan prof. Edmund Chróścielewski, który zarekwirował potrzebnego chłopaka i jak mówił „nie może dopuścić do rozłuki tych gołąbeczków”. Na obozie był też Pan mgr Józef Strzyż - fotograf z Zakładu Medycyny Sądowej, który pomimo że miał całą nogę w gipsie pływał w morzu a, co najważniejsze, robił dokumentację fotograficzną. Na obozie z naszego roku byli też Andrzej Baszkowski i rodzeństwo z Afganistanu: Anisa i Achmed Sharifi. Ja z Andrzejem byliśmy w grupie stomatologicznej, którą opiekowała się p. dr Konieczna z Kliniki Chirurgii Stomatologicznej i moim obowiązkiem była sterylizacja narzędzi (głównie kleszczy do rwania zębów), czyli ich gotowanie. Na obozie była też Ewunia Kabat (obecnie Barabasz) i było dwóch Syryjczyków. Jeden z nich nazywał się Józef Stalin i dopisał się do mojego listu do mojej Mamy, że jestem „miła i moralna”. Oprócz tzw. pracy społecznej mieliśmy pogadanki z filozofii, z medycyny sądowej, wycieczki i wesoły czas wolny. Obóz był świetny, i żał było wyjeżdżać. Po czwartym roku studiów wybraliśmy się z Maciejem na drugi obóz, który był w Torzymiu przy Ośrodku Przeciwgruźliczym. Na tym obozie z naszego roku były też Hania Paluszkiewicz, Romka Łukaszewska i był też Rysiu Kaftański i Leszek Kaszecki. Tam część

kolegów robiła badanie dzieci pod kątem owsicy, część siedziała w laboratorium i robiła analizy [patrz fotografia]. Z wakacyjnych praktyk też mam miłe wspomnienia. Po pierwszym roku byłam na Oddziale Chirurgii Szczękowej, po drugim byliśmy z Maciejem na praktyce laboratoryjnej w Szpitalu Zakaźnym na Zawadach. Tam na zmianę po 2 tygodnie było się albo na analizach moczu a potem na morfologii krwi. Kierownikiem tego laboratorium była mgr Kryska, która miała zwyczaj pytać na jakim jest się etapie pracy lub czy jest się na bieżąco. Byliśmy z Panią magister zaprzyjaźnieni, a potem jeszcze z Jej siostrą lekarzem internistą mieliśmy kontakt z tytułu ćwiczeń z interny w Szpitalu im. Franciszka Raszei na Mickiewicza. Po 3-cim roku i po praktyce internistycznej w Szpitalu im. Józefa Strusia przy ul. Szkolnej zapragnęłam się przenieść na Wydział Lekarski, ale na szczęście nie udało się. Po czwartym roku na praktykę, wreszcie już stomatologiczną wybrałam się do mojego Zakopanego (skąd przyjechałam do Poznania w 1955 r.). Praktykę odbywałam w Sanatorium dla dzieci w Kuźnicach, a mieszkalam u rodziny. Po jakimś czasie Maciej do mnie dojechał i mieliśmy fajne wakacje.

Również miło wspominam te obowiązkowe zgrupowania na pochodach pierwszomajowych i z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego, bo byliśmy razem i było to zawsze miłe spotkanie koleżeńskie.[patrz foto].

Na 3-cim roku byliśmy już rozdzieleni na grupy lekarskie i stomatologiczne. Należałam do grupy stomatologicznej trzeciej albo czwartej i były w niej koleżanki: Irena Gorzelanna-Szawan, Ewunia Karasińska, Grażyna Wyderska, Ola Koła, Irena Dąbrowska, Ola Styperek i Zosia Woźniak. Koledzy w tej grupie to Guciu Litewka, Wiesiu Bródek, Zdzisław Rybski (niestety nie pamiętam kto mógł być jeszcze).

Na czwartym roku bardzo podobała mi się chirurgia stomatologiczna, na co niewątpliwie miał wpływ nasz asystent dr Leszek Lewandowski [późniejszy profesor i kierownik Katedry i Kliniki Chirurgii Szczękowo-Twarzowej; zmarł w 2011 r.].

Na piątym roku jednak moje zainteresowanie padło na ortodoncję, z której po studiach zrobiłam specjalizację. Jeżeli chodzi o tzw. przebieg kariery zawodowej - to przez 14 lat byłam zatrudniona ZOZ Wilda [Zespół Opieki Zdrowotnej Poznań-Wilda], a potem przez prawie 25 lat pracowałam w Zakładzie Ortodoncji Akademii Medycznej. Przez pierwsze 3 lata w ZOZ Wilda prowadziłam Ruchomy Ambulans Stomatologiczny dla Przedszkoli, obejmując przedszkola na Dębcu i na Wildzie. Choć pięknie to brzmiało, ale polegało głównie na przeprowadzkach co 3-4 miesiące do następnego gabinetu. Jednak nie były to gabinety stomatologiczne tylko lekarskie - i w każdym musiałyśmy z moją higienistką rozpakować i rozłożyć sprzęt. Po wyleczeniu dzieci, należało to wszystko spakować i było przewożone przypadkowym środkiem lokomocji do następnego przedszkola. Następnie cały cykl się powtarzał, przy czym najwięcej czasu zajmowało rozpakowanie i pakowanie sprzętu. Kilukrotnie spotykałyśmy się w tym samym Gabinetzie lekarskim z Aliną Urbańską, która pracowała też w tzw. Higienie szkolnej. Potem przez rok pracowałam w Poradni protetycznej pod kierunkiem dr H. Grajkowskiego a następnie znowu wróciłam do Gabinetów szkolnych. Najpierw leczyłam młodzież i nauczycieli w Technikum Mechanicznym na Dębcu przy ul. Czechosłowackiej a potem dzieci i nauczycieli w Szkole Podstawowej nr 25 przy ul. Prądyńskiego. Obowiązywała wtedy zasada tzw. leczenia planowego, co należało realizować, z wielką chęcią prowadziłam profilaktyczne leczenie ortodontyczne i wygłaszałam pogadanki dla dzieci i rodziców.

Dopiero po odchowaniu własnych dzieci „wzięłam się” za specjalizację. Pierwszy stopień ze stomatologii dziecięcej zdałam 1982 r. Potem rozpoczęłam specjalizację z ortodoncji jako drugi stopień, ale w Ministerstwie wymyślono, że likwidują specjalizację dziecięcą i usiłowano mi wmówić że nie mam jedyńki pomimo tego, że ona była trudniejsza i dłuższa niż stomatologia dorosłych. I

dopiero po specjalnym pozwoleniu musiałam jeszcze raz zaczynać otwierać specjalizację drugiego stopnia - z ortodoncji. Jednocześnie - zaczęto wprowadzać wolne soboty, które musiałam odrabiać na stażach. Podczas odbywania stażu w Zakładzie Ortodoncji poznańskiej Akademii Medycznej Kierownik Zakładu prof. Barbara Perzyna [1923-2017] zaproponowała mi pracę, początkowo na etacie PSK-2. Kiedyś koleżanka, lekarz innej specjalności, ale sama mająca od dzieciństwa kontakt z ortodontami napisała do mnie m.in. tak: „A na marginesie podziwiam Ortodontów – artyzm, wyobraźnia, cierpliwość, tolerancja”. Odpisałam tak: jeżeli chodzi o ortodoncję to jest to dziedzina medyczna dla ludzi wrażliwych na piękno, na piękny uśmiech, na przywracanie pacjentom wiary w siebie i odzyskiwanie komunikacji społecznej. Przez wiele lat zajmowałam się leczeniem dzieci i młodzieży z wadami rozwojowymi w obrębie twarzoczaszki i udawało mi się osiągać dobre i piękne efekty leczenia. Była to radość obopólna. Leczyłam też pacjentów z zatrzymanymi kłami gdy inni specjaliści nie widzieli szansy na ich sprowadzenie do łuku. Zęby te były zatrzymane albo od strony przedsionkowej, czasami leżące poziomo pod nosem albo od strony podniebiennej za jędynkami, lub dwójkami. Często musiałam najpierw robić dla nich miejsce w łuku plus korygować równocześnie współistniejącą wadę zgryzu. To zresztą było przedmiotem mojego doktoratu... Pracując w Zakładzie Ortodoncji poznańskiej Akademii Medycznej, poza pracą z pacjentami musiałam oczywiście brać też udział w zajęciach dydaktycznych ze studentami. W 1993 r. przeszłam na etat Akademii Medycznej stając się pełnoprawnym nauczycielem akademickim, przechodząc przez kolejne szczeble od wykładowcy poprzez starszego wykładowcę do adiunkta po obronie pracy doktorskiej. Tematem mojej pracy była „Wartość prognostyczna oceny radiologicznej w przebiegu leczenia zatrzymanych kłów szczęki”. W czasie mojej pracy w Zakładzie Ortodoncji byłam Kierownikiem specjalizacji 10 lekarzy, którzy ją pozytywnie ukończyli. W 2009 r. przeszłam na emeryturę pracując nadal w swoim gabinecie (który założyłam w 1988 r.). Od 2010 r. pracuję też w Poradni ortodontycznej (zorganizowanej wspólnie z moimi młodszymi kolegami) gdzie w ramach specjalnego programu NFZ zajmuję się wyłącznie najtrudniejszymi chorymi z rozszczepami i innymi wadami rozwojowymi w obrębie twarzowej części czaszki.

Z Maciejem już tyle dziesiątków lat tworzymy rodzinę, mamy dwóch synów i trzy wnuczki. I „to by było na tyle”, życzę Wszystkim koleżankom i kolegom zdrowia i jeszcze wielu miłych spotkań. Magda Zabel.

Majka Jankowska

Pamiętam ćwiczenia z anatomii. W grupie razem ze mną byli Ziutek Dorożyński, Krysia Broniarz, Aniela Groszkowska, Marysia Mizerny. Opiekunem na zajęciach był dr Sobusiak. Jednego razu przed południem mieliśmy zajęcia z wojska na poligonie w Biedrusku. Mjr Andrejczuk zrobił nam zajęcia z musztry. Tego dnia na poligonie było błoto po deszczach. Kazał nam się czołgać. Wracałyśmy w brudnych płaszczach do Poznania, do Collegium Anatomicum. Po południu na anatomii mieliśmy kolokwium. Poprosiliśmy asystenta o przełożenie na inny dzień. Nie zgodził się i grupa dostała minus. Poszliśmy na skargę do prof. Józefa Kołaczковского, ale nic nie uzyskaliśmy. Za to asystenci postanowili, że jeżeli chcemy wojny, to będziemy ją mieli. Oświadczyli, że studenci byli, ale może ich nie być, a oni są i będą. Musieliśmy skapitulować. Zrobili nam kolokwium, na którym Ziutek mówił o nerwie twarzowym i udało się. Zaliczyliśmy wszyscy. Grupie, która siedziała za szafą tego dnia, nie zaliczono. Zdawałam kolokwium z układu moczowo-płciowego. Zdawaliśmy w trzy osoby. Nie mogłam od razu zaliczyć i podchodziłam trzy razy. W końcu udało się. Za to bez problemu udało mi się zdać kolokwium z układu krążenia, gdzie dostałam pytanie z koła tętniczego mózgu. Za asystentem wisiła plansza z tym krążeniem, które przeczytałam z tablicy. On tego nie zauważył. Straszne było kolokwium z kości. Nasi wspaniali asystenci wrzucili je pod prześcieradło i kazali nam przez nie po kształcie rozpoznać je i podać nazwy po łacinie.

Na pierwszym roku mieliśmy biologię. Z Ziutkiem Dorożyńskim mieliśmy najlepsze oceny z ćwiczeń i uważaliśmy, że egzamin zdamy co najmniej na piątkę. Uważaliśmy, że jesteśmy gwiazdami. Tu po raz pierwszy mieliśmy, można to tak nazwać, egzamin praktyczny testowy z rozpoznawania preparatów pod mikroskopem. Był określony limit czasu, a jego zakończenie ogłaszał dzwonek. Na egzamin ustny nikt nie chciał wejść ze mną i Ziutkiem, no bo z takimi gwiazdami to się nie wchodzi. W końcu weszła jedna z koleżanek. Pytania były przechodzące. I po zakończonej odpowiedzi był komentarz ze strony profesora, „dobrze ale oczekiwałem więcej”. W efekcie z tego egzaminu my gwiazdy wyszliśmy z dwójkami, co zaskoczyło wszystkich, a koleżanka zaliczyła.

Z wojska pamiętam jak trzy dni siedziałam w areszcie. Było to na I-ym roku. To były jedne z ostatnich zajęć. Mieliśmy jechać na poligon. Ponieważ nie było autokaru, stwierdziłyśmy z koleżanką, że zdążymy pójść do kiosku po papierosy. Gdy wróciłyśmy plutonu nie było, bo odjechali. Czekałyśmy, aby zabrać się z chłopcami. Było gorąco. Rozpięłyśmy nasze bluzy, siedziałyśmy na schodach i paliłyśmy. Nagle zobaczyłyśmy, że chłopcy stają na baczność. Szedł płk Zbigniew Psuja i oni oddawali honor, a my rozluźnione nie pomyślałyśmy o tym. Mjr Lewandowski zabrał nas na poligon. Po tygodniu zostałyśmy wspólnie z majorem wezwani do raportu do dowódcy Studium Wojskowego. Przeprowadzono śledztwo i przedstawiono nam zarzuty: „nie miały dokumentów, były rozebrane, nie oddały honoru, paliły papierosy”. Wytlumaczyć się nam nie pozwolono i dostałyśmy trzy dni aresztu. Areszt znajdował się w pomieszczeniach magazynowych wojska w podziemiach Collegium Anatomicum przy prosektorium. Musiałyśmy czyścić broń i ją składać. Do jedzenia dostałyśmy suchary i czarną kawę. Około godziny 22-ej magazynier przychodził i wypuszczał nas do domu. W ostatni dzień o nas zapomniał. Siedziałyśmy tam trochę wystraszone, bo obok w klatkach były psy do doświadczeń i w wannach w formalinie zwłoki ludzkie. Magazynier przypomniał sobie o nas późno w nocy i przyszedł nas wypuścić.

Na juwenalia chodziłam głównie z politechniką. Moja koleżanka, Krysia mieszkała z rodzicami, którzy kazali jej wrócić do domu o północy. Bawiłyśmy się dobrze, a tu wracać do domu. Poszłam z Krystyną do jej rodziców. Wparowałam do mieszkania, obudziłam jej ojca i zaczęłam mu tłumaczyć, żeby pozwolił Krysi na dłuższą zabawę, bo a jestem od niej starsza i nic się jej nie stanie pod moją opieką. Ojciec ryknął śmiechem, że ktoś przebrany za pazia będzie się opiekował jego córką. Matkę Krysi również to rozbawiło. Przygotowała nam kanapki i pozwoliła, aby Krystyna wróciła o 2- ej w nocy. Dobrze było i to.

Przez pierwszy rok studiów mieszkałam w akademiku przy ul. Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce]. To były straszne warunki. Mieszkałam na ostatnim piętrze. W pokoju było 6 łóżek ustawionych piętrowo, dwa krzesła i kwadratowy stół, który służył do różnych celów: jako stół do nauki, jedzenia, malowania się. Dziewczyny z Poznania przychodziły do nas, ale nigdy nie zaprosiły do siebie.

Marzec 1968 rok. Mieszkałam wtedy przy ul. Fredry obok Collegium Maius. Wiedziałam, że pod „Adasiem” (pomnik Adama Mickiewicza - przyp. JTM) odbywają się wiece. Były tłumy młodzieży, ale też i innych mieszkańców Poznania. Wokół placu i na pobliskich ulicach stały budy z milicjantami. Pewnego razu, ktoś w tłumie krzyknął i milicja rzuciła się na ludzi. Bili pałkami i wywozili z miasta. W to zamieszanie dostał się major Lewandowski, który na wojsku mówił nam, żebyśmy tam nie chodzili, bo nie wiadomo o co chodzi. Major chciał zobaczyć jak te zgromadzenia wyglądają. Był po cywilnemu i został pobity. Wylądował w szpitalu, gdzie długo trwało leczenie. Później mówił nam, że wierzy w to co mówimy, bo mówimy prawdę. Jak na placu zaczynały się rozruchy, to wszyscy uciekali do pobliskiego, ale znajdującego się nieco na uboczu naszego Collegium Maius. Mieliśmy tam ćwiczenia z farmakologii. Zakładem Farmakologii kierował wówczas prof. Alfons Chodera. Jednego razu do sali,

gdzie pisaliśmy na tablicy recepty, wpadli milicjanci i zaczęli nas okładać pałami. Bronił nas asystent, któremu udało się wyprosić ich z sali.

Po pierwszym roku praktykę wakacyjną miałam w szpitalu u prof. Wiktora Degi. Była ona ciekawa, bo pozwolono nam obserwować zabiegi operacyjne, szczególnie u dzieci. Tam też trzeba było zajmować się dziećmi, aby czuły się mniej samotne. Kiedyś dziecko poprosiło, żebym narysowała mu konia. Talentu do rysunków nie mam i koń, który wyszedł nie był podobny do konia. Dziecko się rozplakało. Widocznie musiało to być coś strasznego.

Po trzecim roku miałam praktykę w szpitalu w Dąbrowie Górniczej. Trafił się wypadek w kopalni, gdzie zostali zasypani górnicy. Cała służba zdrowia została zmobilizowana do akcji ratowania ludzi. Postawiono mnie na izbie przyjęć i kazano zbierać wywiady od przywożonych górników. Nikt się mnie nie pytał, czy to umiem. To była dobra szkoła, kiedy musiałam sama działać. Innego dnia musiałam wyjechać karetką do kopalni, aby tam na miejscu udzielać pierwszej pomocy. Dla mnie wtedy to był horror, ale i praktyka. Po czwartym roku miałam praktykę w poradni stomatologicznej.

W czasie studiów byłam starościnią grupy. Każdy starosta był w Radzie Roku. Były omawiane problemy studentów, szczególnie dotyczące nauki. Na jednym z zebrań okazało się, że jedna osoba nie ma zaliczenia z dermatologii. To byłam ja. Po prostu zapomniałam. Obok mnie siedział profesor z dermatologii z którym ustaliłam od razu termin zaliczenia. Wyszło wtedy też, że jedna osoba nie ma zaliczenia z okulistyki. I to był „Generał” [Andrzej Polimirski], który również zapomniał. Sam też był w tej Radzie.

W mojej grupie na początkowych latach byli: Krystyna Broniarz, Małgorzata Krajewska, Marysia Mizerny, Tadek Kaczmarek. W grupie stomatologicznej byli: Zosia Sierakowska, Wanda Grońska, Teresa Białęcka, Rysiek Koczorowski, Forajta, Cent.

Po studiach przez rok pracowałam w ramach Asystenckiego Studium Przygotowawczego w Instytucie Stomatologii w Zakładzie Stomatologii Zachowawczej, a później – kiedy nie otrzymałam etatu – w ośrodku zdrowia na terenie ZOZ Wieluń, do emerytury.

Marek Tuszewski (1948- 1998). Kilka słów z życia zawodowego. Wspomnienie Jerzego T. Marcinkowskiego, Wojciecha Kasprzaka

Profesor Marek Tuszewski był wybitnym chirurgiem, specjalistą w dziedzinie chirurgii ogólnej i układu pokarmowego. Zdobył wykształcenie na Akademii Medycznej w Poznaniu, gdzie uzyskał specjalizację I i II stopni z chirurgii ogólnej. Niestety w internecie nie można znaleźć danych dotyczących zatrudnienia Marka w Poznaniu, ale prawdopodobnie współpracował z prof. Romanem Górale, który od 1 kwietnia 1970 r. do chwili śmierci, tj. do 1989 r. był kierownikiem pierwszej w Polsce Kliniki Chirurgii Gastroenterologicznej, powstałej na skutek podziału II Kliniki Chirurgicznej. Marek Tuszewski jest wymieniany obok Prof. Górala jako redaktor książki: Patofizjologia, klinika i chirurgiczne leczenie wybranych chorób metabolicznych (otyłość, hiperlipidemia, cukrzyca) / pod red. Romana Górala i Marka Tuszewskiego), Wydawnictwo: Państwowe Wydawnictwo. Naukowe, Warszawa; Poznań, 1982 https://katalog.gumed.edu.pl/discovery/fulldisplay?docid=alma991000742119708344&context=L&vid=48FAR_GUM:48GUM&lang=pl&search_scope=MyInst_and_CI&adaptor=Local%20Search%20Engine&tab=Everything&query=sub,exact,Hiperlipidemia,AND&mode=advanced&offset=0,

Marek Tuszewski był też redaktorem i autorem podręcznika: Chirurgia układu pokarmowego (wyd. SAWW, Poznań, 1989), ważnego kompendium wiedzy dla studentów i pielęgniarów.

W latach 1994- 1997 Marek Tuszewski pracował jako ordynator oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej w Zielonej Górze kierując też pracami klinicznymi. W 1996 r. obronił pracę doktorską we Wrocławiu o tytule Trzustka, którą realizował w ramach redakcji Chirurgii przewodu

pokarmowego. Zmarł niespodziewanie w 1998 r. Jego grób znajduje się na cmentarzu Junikowo w Poznaniu.

W środowisku akademickim jest znany jako dusza integrujących inicjatywy: to on zorganizował w 1991 r. pierwsze spotkanie swojego rocznika po 20 latach od ukończenia studiów. Spotkania te, zapoczątkowane przez niego, kontynuowane są regularnie, także po jego śmierci budując silną więź środowiskową. (przy opracowywaniu tego krótkiego niepełnego życiorysu korzystaliśmy też z danych, które zebrał ChatGPT)

Wspomnienie Jerzego T. Marcinkowskiego: Marek Tuszewski mieszkał koło mnie na Osiedlu Kopernika w Poznaniu - a było to m.in. w okresie kiedy obowiązywały kartki na żywność i inne materiały, w tym buty. I Marek był niezwykle dynamiczny w tym aby mieszkańcom jak najbardziej ułatwiać zaprowiantowanie - i on, profesor, poważnie się angażował w społeczną działalność organizowania kolejek do sklepów itp.

Kiedy w 1997 r. ukazał się podręcznik pod moją redakcją pt. Podstawy higieny Wydawnictwo Volumed, Wrocław (Wydawnictwo Volumed już nie istnieje, niestety) i byłem wówczas w tymże Wydawnictwie, to dowiedziałem się, że Marek Tuszewski zamierzał tam wydać dzieło swego życia: wielki, ilustrowany atlas operacji gastroenterologicznych! I dobrze pamiętam minę tego Wydawcy, gdy mu powiedziałem, że Marek właśnie umarł!!! Nie wiem, czy to dzieło się w końcu ukazało, ale raczej nie!

W środowisku poznańskich chirurgów ale też innych lekarzy przetrwała opowieść kiedy to Marek po nieudanej operacji chyba bariatrycznej u osoby ze środowiska obecnie zwanego Romami, a wówczas Cyganami musiał salwować się ucieczką z Kliniki przez okno przed rozjuszoną grupą współplemieńców. Do tej pory wskazuje się to okno, które zostało „ochrzczone” mianem „okno Marka Tuszewskiego”

Ciepłe wspomnienie **Wojciecha Kasprzaka o Marku Tuszewskim** : „uzyskaliśmy niewielkie pomieszczenie mieszczące łóżko, łóżeczko dziecka i niewiele więcej. Był jednak jeden ważny problem. Pomieszczenie było nieogrzewane (w innych pomieszczeniach były piece węglowe). Poproszony z spółdzielni kominiarz znalazł w jednej ścian „pokoju” przewód kominowy. Jak zobaczył otoczenie zrezygnował z honorarium. Zacząłem szukać przenośnego niezbyt drogiego, używanego pieca kaflowego. Był taki w ogłoszeniu na IV piętrze starego domu na ul. Garbary, za 1000 zł. Mieliśmy wszystkiego 1200 zł. Podzieliłem się tym problemem w czasie zajęć z Markiem Tuszewskim. Marek był zawsze pierwszy do pomocy i do draki. Namówił kilku kolegów, w tym Bogusia Wikięta (przykro mi że pozostałych nie pamiętam, w sumie było nas 4-5). Wyruszyliśmy na Garbary. Piec wyglądający dosyć rozpaczliwie stał już na schodach, a ważył ponad 100 kg. Marek zaczął negocjacje cenowe z mocno starszą właścicielką. Wynikało z nich jasno że skoro piec jest niepotrzebny, to pani powinna go podarować biednemu studentowi medycyny i jego marznącemu niemowlęciu, a przyszły lekarz na pewno się odwdzięczy. Kobieta szybko zrezygnowała z oporu i zaczęliśmy piec transportować na ulicę, przed bramę. Zaczęliśmy się rozglądać za jakimś samochodem. Stała nieopodal „nyska” (mała półciężarówka NYSA). Kierowca zdecydował się na przewiezienie naszego skarbu. Marek zmobilizował kilku przechodniów (argumentując że to piec dla marznącego dziecka medyka) i piec został wtaszczony na „nyskę”. Kiedy wyładowaliśmy piec z pomocą kierowcy przed dom Nowowiejskiego 25, Marek ruszył na klatkę schodową, żeby zmobilizować lokatorów do pomocy przy wniesieniu pieca. Ja widząc co się święci pobiegłem do pobliskiego monopolowego i za część pieniędzy kupiłem kilka butelek wódki i ogórki kiszane. Kiedy wróciłem z wódka i zagrychą piec już był w pokoju. (...). Kiedy w późniejszych latach były zajęcia które ich mniej interesowały, Franek Rajewski i Marek siadali w ostatnim rzędzie, przekładali przez oparcie krzesła sąsiada z przodu cienki sznurek i ćwiczili węzły chirurgiczne. Marek też został znakomitym chirurgiem, chyba pierwszym profesorem z

naszego roku. Niestety jednym z pierwszych który nas opuścił. (...). Oficerowie zamierzali mnie 'nauczyć wojska' na obozie w Kłodzku. Uratował mnie Marek Tuszewski, podobnie jak ja zagrożony, oraz fakt że dowództwem obozu były osoby z AM we Wrocławiu. Oficer polityczny płk Bechter z Wrocławia poszukiwał utalentowanych do organizacji występów artystycznych w dniu przysięgi. Marek Tuszewski zgłosił mnie jako „grającego na wszystkich instrumentach” (rzeczywiście po średniej szkole muzycznej, poza fortepianem klezmerzyłem nieźle na akordeonie), a ja - Marka w rewanżu jako konferansjera. Jako „artyści” zostaliśmy wyłączeni z „normalnego” wojska i przydzieleni do kancelarii. Program jaki był, taki był, ale został nawet włączony do przedstawienia na zewnątrz, jako prezent: „wojsko dla ludności Kłodzka”.

Maria Buchwald-Rogalka

Wspomnienia z lat 1964 – 1971 i dalszych... Po zdaniu matury w II Liceum Ogólnokształcącym w Ostrowie Wielkopolskim w roku 1964 starałam się o przyjęcie na Akademię Medyczną we Wrocławiu. Egzamin zdałam, ale nie zostałam przyjęta. Rodzice moi prowadzili przedsiębiorstwo przewozowe, a więc reprezentowali sektor „prywaciarzy”, czyli miałam „złe” pochodzenie społeczne. Postanowiłam więc pracować w szpitalu w charakterze salowej, co miało zwiększyć moją szansę na przyjęcie na studia medyczne po zdaniu egzaminu w następnym roku. W 1965 roku ponownie złożyłam podanie do AM we Wrocławiu, ale odesłano mi wszystkie dokumenty z adnotacją o rejonizacji i zaleceniem złożenia ich w Poznaniu, co oczywiście uczyniłam. I tak na początku lipca 1965 roku w sali wykładowej Zakładu Patomorfologii przy ul. Przybyszewskiego rozpoczęły się egzaminy pisemne z biologii, chemii i fizyki oraz języka obcego – w moim przypadku języka rosyjskiego. Egzaminy były anonimowe, to znaczy nie podpisywało się arkusza imieniem i nazwiskiem, tylko nadanym numerem, który na kartce z danymi kandydata wrzucało się do urny. Po ocenie prac pisemnych była jeszcze rozmowa z Komisją rekrutacyjną. Odpowiadałam na pytania p. doc. Przemysława Gabryela i p.doc. Marii Goncerzewicz, poznałam oceny z przedmiotów egzaminacyjnych, a na koniec odezwał się zasiadający w komisji tzw. czynnik społeczny, jak się okazało zapoznany z moim pochodzeniem i zadał mi 2 pytania: „pani ojciec to prywatna inicjatywa?” – odpowiedziałam: tak. Drugie pytanie brzmiało: „to do jakiej grupy gospodarki zaliczyłaby pani ojca? – na szczęście przypomniałam sobie ten podział z „Wiadomości o Polsce i świecie współczesnym” - przedmiotu zdawanego na maturze, więc odpowiedziałam: do drobnych kapitalistów. Po chwili p. doc. Maria Goncerzewicz wyraźnie podkreśliła, że przez rok po maturze pracowałam fizycznie w szpitalu. Więcej pytań nie było. Po powrocie do domu i zdaniu dokładnej relacji z egzaminów, mój ojciec zwątpił czy ja się kiedykolwiek na studia dostanę.

Ale po ogłoszeniu wyników i przyjęciu na studia byłam bardzo szczęśliwa. W październiku 1965 rozpoczął się I rok nauki. Mieszkałam w wynajętym pokoju przy ul. Marcelesińskiej razem z moją koleżanką z liceum, która rozpoczęła studia biologiczne. Pokój był usytuowany w willi, na parterze, narożnikowy, ogrzewany piecem kaflowym nie do końca sprawnym, więc raczej miałyśmy „zimny wychów”. Przy przedstawionym planie zajęć na I roku nie bardzo miałam czas na palenie w piecu. Dobrze, że na biologii nie mieli tylu zajęć, więc jakoś radziłyśmy sobie.

Cały I rok składał się ze studentów 2 wydziałów: lekarskiego i stomatologii. Studiowaliśmy razem przez trzy lata. W każdej z 16 grup byli studenci i z lekarskiego i ze stomatologii. W I semestrze mieliśmy zajęcia z 7 przedmiotów w sumie 31 godzin wykładów i ćwiczeń. Biologia z parazytologią, Anatomia opisowa, Histologia z embriologią, Propedeutyka lekarska, Elementy socjologii,

Wychowanie fizyczne, Język obcy. I semestr kończył się egzaminem z biologii u profesora Gerwela, a pozostałe przedmioty zaliczeniami.

Ćwiczenia z anatomii odbywały się 4 x w tygodniu po 2,5 godziny. Adiunkci straszili nas, że trzy nieobecności na ćwiczeniach powodują skreślenie z listy studentów. Obszerny materiał zadawany z dnia na dzień powodował, że zarywało się noce. A i tak na początku wszyscy obrywali oceny D, a nawet E czyli najgorsze. Siedzieliśmy przy stołach w białych fartuchach i chustkami na głowach i wyglądaliśmy jak dojarki z PGR-u. Dookoła stały szafy z utrwalonymi preparatami anatomicznymi, a na stole sekcyjnym leżały zwłoki do preparowania. Przed zajęciami i w czasie przerw poznawaliśmy się. I tak się złożyło że obok mnie usiadła Iwona Bączyk, a dalej Ewa Pawlarczyk i Ela Bieniek. Wszystkie pochodziły z Poznania i chodziły do tej samej klasy w liceum. Ja byłam z prowincji. Zaprzyjaźniłyśmy się. W II semestrze kontynuowaliśmy naukę anatomii, histologii, języka obcego i rozpoczęliśmy Elementy matematyki i statystyki oraz Szkolenie wojskowe. Zajęcia z matematyki prowadzone były przez doc. Albrychta (wykłady) i jego asystentów (ćwiczenia). Atmosfera na zajęciach nie była zbyt miła, a zapamiętałam głównie karę zadaną przez prowadzącego wykład z powodu braku ciszy w trakcie wykładu (na Sali znajdowało się ok. 300 osób). Każdy student/ka musiał/a napisać 100 razy zdanie: „Na wykładach z matematyki należy zachowywać się zgodnie z dobrymi obyczajami”. Przed następnym wykładem starosta roku starosta roku Kajtek Petrykowski położył na katedrze zebrane „kary” od 16 grup studentów naszego roku. Sporo tego było.

Szkolenie wojskowe trwało 9 semestrów. Zajęcia 1 x w tygodniu 6 godzin w mundurach wojskowych. Oprócz wykładów, musztra, a także ostre strzelanie na poligonie w Biedrusku. Również umundurowani braliśmy udział w pochodach 1 Maja. Czasami odnosiłam wrażenie, że to Akademia Medyczna jest przy Studium Wojskowym, a nie odwrotnie.

Na koniec I roku zdawaliśmy 2 egzaminy: z anatomii u prof. Kołaczkowskiego i histologii u prof. Miętkiewskiego. Materiał był obszerny. Ale wtedy uczyłyśmy się razem: Iwona, Ewa, Ela i ja z dobrymi rezultatami. Na dalszych latach dołączyła do nas Małgosia Ludwig.

Na drugim roku najważniejszymi przedmiotami były: Chemia, Fizjologia i Biofizyka i Biochemia. Trzeci rok z Anatomią patologiczną, Fizjopatologią, Farmakologią i Mikrobiologią, Propedeutyką chorób wewnętrznych i Propedeutyką pediatrii przygotowywał nas do zajęć klinicznych przy łóżku chorego. Od IV roku studenci z wydziału stomatologii mieli już zajęcia oddzielnie. Studenci z wydziału lekarskiego zostali podzieleni na 10 grup. Byłam w grupie IX. W następnych latach mieliśmy głównie zajęcia w klinikach, a przedmioty kliniczne kończyły się egzaminami lub zaliczeniami. Z położnictwa mieliśmy internat, w czasie którego mieszkaliśmy w klinice, a oprócz zajęć na sali porodowej po 12 godzin, w nocy budzono nas celem obserwacji cięć cesarskich na sali operacyjnej. Drugi internat - z psychiatrii odbywał się w Gnieźnie. Mieszkaliśmy na terenie szpitala psychiatrycznego, a zajęcia prowadziła p. doc. Schrammowa, u której zdawaliśmy również egzamin końcowy.

W okresie wakacyjnym odbywaliśmy praktyki: po I roku w szpitalach w charakterze pomocy pielęgniarских. Praktykę odbywałam z moimi koleżankami w Szpitalu przy ul. Szkolnej. Po II roku praktyka w laboratoriach analitycznych (ja miałam tę praktykę również w laboratorium szpitalnym przy ul. Szkolnej). Po III roku była praktyka w oddziałach szpitalnych (ja na chirurgii w Ostrowie), gdzie zapoznawaliśmy się z codzienną pracą lekarzy, a więc wizyty poranne, badanie chorych, wykonywanie opatrunków, pisanie historii chorób i II-ga asysta przy zabiegach operacyjnych. Po IV roku - praktyka w sanepidzie. Chodziłyśmy razem z pracownikami na kontrole do zakładów pracy na pomiary natężenia hałasu w halach produkcyjnych albo do sklepów z żywnością, skąd zabierano z półek różne produkty celem ich zbadania w laboratorium. Potem, pod mikroskopem pokazywano nam różne robaczki w pokruszonych ciastkach, których opakowania były pełne tłustych plam. Z tej

praktyki zapadła mi w pamięci kontrola w zakładzie mięsnym, gdzie odpreparowywano mięso od kości ubitych w rzeźni zwierząt i produkowano wędliny, a wówczas jeden rodzaj o nazwie kiełbasa bieszczadzka. Po obejrzeniu całego procesu produkcji tejże kiełbasy i warunków sanitarnych w masarni, na koniec kontroli przyniesiono nam półmisek z ową kiełbasą, ale nikt nie miał ochoty jej próbować. Po V roku praktyk wakacyjnych nie było, ale chłopacy mieli obóz wojskowy. VI rok jak i poprzednie minął na wykładach, ćwiczeniach w klinikach i zdawaniu egzaminów i zaliczeń.

W czerwcu 1971 roku w ostatnią sobotę mieliśmy uroczyste dyplomatorium w auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Było to ogromne przeżycie dla nas wszystkich, a także przedstawiciele naszych rodzin biorących udział w uroczystości. Potem pożegnania i rozjechaliśmy się do swoich domów.

Praca, praca, praca... Od 1 sierpnia 1971 roku rozpoczęłam roczny staż. Po stażu zdecydowałam się rozpocząć specjalizację z chirurgii ogólnej (wtedy było można wybierać specjalizację) w tym samym szpitalu. 1 kwietnia 1975 roku razem z kolegą z naszego roku Winicjuszem Kozłowskim zdaliśmy egzamin z chirurgii ogólnej I stopnia w Klinice Chirurgii przy ul. Przybyszewskiego. I dalej pracowaliśmy w Ostrowie Wlkp. W ramach dokształcania proponowano nam różne kursy. I tak się złożyło, że pojechałam na tygodniowy kurs do Ośrodka Onkologicznego w Poznaniu przy ul. Garbary, a w dniu jego zakończenia p. dr Sobocińska, która była organizatorem szkolenia zapytała mnie, czy nie chciałabym robić specjalizacji z onkologii, a dokładniej radioterapii. Propozycja ta była podyktowana reformą administracyjną państwa (powstało wówczas 49 województw) i zamiarem utworzenia w każdym mieście wojewódzkim poradni onkologicznej.

Oczywiście trzeba było ustalić warunki odbywania stażu specjalizacyjnego, bo najbliższy ośrodek szkoleniowy był w Poznaniu. Powstały wojewódzkie poradnie onkologiczne w Pile, Lesznie, Koninie i Kaliszu, czyli w województwach powstałych po okrojeniu województwa poznańskiego. Po utworzeniu tych poradni lekarze z poznańskiego szpitala onkologicznego 1 x w tygodniu przyjmowali pacjentów, diagnozowali i kierowali do leczenia. Począwszy od listopada 1976 roku, od 1-szego do 10-tego dnia każdego miesiąca przebywałam w Poznaniu i odbywałam staże na poszczególnych oddziałach i w zakładach szpitala onkologicznego, a dodatkowo w pozostałe środy miesiąca jeździłam do Kalisza i pod okiem dr n. med. Ireny Sobocińskiej uczyłam się pracy ambulatoryjnej. Pracowałam nadal w oddziale chirurgii, więc miałam możliwość wykonywania zabiegów operacyjnych. W listopadzie 1978r. zdałam egzamin specjalizacyjny I stopnia z radioterapii onkologicznej. Od stycznia 1979 roku prowadziłam samodzielnie w poradnię onkologiczną w Ostrowie i rozpoczęłam staż specjalizacyjny na II stopień radioterapii. Dojeżdżałam co miesiąc na tydzień do Szpitala Onkologicznego w Poznaniu przy ul. Garbary i na kursy do Instytutu Onkologii w Warszawie. Egzamin II stopnia zdałam w Warszawie w listopadzie 1982 roku. W poradni onkologicznej pracowałam do końca roku 1999. Poza ambulatoryjnymi przyjęciami pacjentów, nadal wykonywałam zabiegi operacyjne pacjentów onkologicznych korzystając z łóżek oddziału chirurgii, konsultowałam pacjentów u których podejrzewano lub rozpoznano nowotwór, chorych wymagających dalszego leczenia kierowałam do Ośrodków onkologicznych, stosowałam ambulatoryjną chemioterapię i leczenie objawowe. Pod koniec roku 1999 złożyłam ofertę do Wielkopolskiej Kasy chorych na świadczenia z zakresu onkologii w ramach ambulatoryjnej specjalistycznej opieki medycznej i dostałam kontrakt na rok 2000, a potem co roku na dalsze lata do roku 2005. Od 2003 roku już nie było Kas Chorych, tylko Narodowy Fundusz Zdrowia. W ramach kontraktu wykonywałam również drobne zabiegi chirurgiczne. Powstały poradnie leczenia bólu przewlekłego i przejęły opiekę paliatywną. Nie podawałam chemioterapii, bo powstał oddział w Pleszewie i stopniowo wycofywano się z podawania cytostatyków w warunkach ambulatoryjnych, a poza tym zmieniały się co rok wymagania stawiane świadczeniodawcom co do wyposażenia gabinetów, sprzętu itd. Na rok 2006 nie dostałam kontraktu mimo złożonej oferty i dowiedziałam się, że mam „złą” specjalizację. Jak się okazało, że w dawnym regionie kaliskim brakuje

onkologów, pod koniec stycznia 2006 roku zaproponowano mi ponowne złożenie oferty, ale nie zdecydowałam się. Od tej pory mam tylko gabinet prywatny i o wiele mniej stresów i nadal pracuję. Gdy ukończyłam 60 lat, w grudniu 2006r. zostałam „stypendystką ZUS”.

Podczas wyprawy naszych koleżanek i kolegów w 2004 roku w Bieszczady i do Lwowa w rozmowie z Jurkiem Marcinkowskim w czasie jazdy pociągiem opowiadałam jak funkcjonuje ambulatoryjna specjalistyczna opieka lekarska po wprowadzeniu reformy służby zdrowia w 1999 roku na przykładzie mojej pracy. Był nieco zdziwiony tymi opowieściami i zaproponował mi, żebym to opisała, bo mógłby to być temat do pracy doktorskiej. Trochę zaskoczona po powrocie zaczęłam opracowywać dane rok po roku poczynając od 2000, a kiedy nie otrzymałam kontraktu na rok 2006 dokończyłam opracowanie do końca roku 2005 czyli cały 6-letni okres współpracy z Kasą Chorych, a następnie Narodowym Funduszem Zdrowia. W 2007 roku na naszej wyprawie w Karlowych Varach powiedziałam Jurkowi, że jestem gotowa przedstawić to, co zebrałam. Potem dowiedziałam się co jeszcze mnie czeka i tak *step by step* po spełnieniu wszystkich wymagań 02.10.2009 r. zdałam egzamin z przedmiotu, a obronę pracy miałam 21.10.2009 r. Promotorem był Jerzy T. Marcinkowski.

Nasze spotkania po studiach. Pierwsze spotkanie było po 20 latach czyli w 1991 roku w Poznaniu. Nie mogliśmy się nagadać. Niektórzy mieli już tytuły profesorskie, innym było blisko do nich. Na przyjęciu w Hotelu PARK nad Maltą siedzieliśmy przy stołach wg grup z czasów studiów. Poczuliśmy się jak za czasów studenckich i postanowiliśmy spotykać się częściej. Uzgodniliśmy następne spotkanie na 25 – lecie zakończenia studiów. Piotr Janaszek, który nie mógł być na 20-leciu urządził je w 1996 roku w Ślesinie i wtedy mieliśmy spotkanie od piątku do niedzieli. Wówczas zapadła decyzja, żeby spotykać się co rok. I tak jeszcze 2 razy spotkaliśmy się w Ślesinie, a po tragicznym wypadku samochodowym w grudniu 1998 roku, w którym Piotr zginął, Marlena i Piotr Drewsowie urządzili zjazd Niemcezech (1999). Oprócz wymienionych wcześniej spotkań, byłam jeszcze na naszych zjazdach w Puszczykowie (35-lecie rok 2001), potem w Pradze (2002), w Krakowie i Zakopanem (2003), w Wilnie (2005), w Baranowie okazji 35-lecia (2006) i 40-lecia (2011), w Kazimierzu Dolnym (2012), w Warszawie (2014) i z okazji 50-lecia naszej znajomości w 2015 w Baranowie.

Rodzina. Tydzień po dyplomatorium czyli 3 lipca 1971 roku wyszłam za mąż za Andrzeja Rogalkę, który prowadził Zakład Rehabilitacji Leczniczej w ostrowskim szpitalu. Poznaliśmy się przed maturą. W marcu 1973 roku urodziłam pierwszą córkę - Katarzynę. Druga córka - Karolina urodziła się w kwietniu 1976 roku, a trzecia - Joanna w czerwcu 1980 r. Wszystkie córki urodziły się w ciągu 7 lat, w trakcie moich specjalizacji, a biorąc pod uwagę moje wyjazdy do Poznania na staże specjalizacyjne i kursy - nie było łatwo (zwłaszcza mojemu mężowi). Dzieci szybko wyrosły, skończyły studia Kasia – rehabilitację, Karolina – socjologię, a Joanna – chemię. Mamy dwie wnuczki wieku 14 lat i 1,5 roku.

Maria Buchwald-Rogalka grupa IX; 63-400 Ostrów Wielkopolski ul. Promienista 13 Tel. 605 261-912 e-mail Maria.rogalka@wp.pl

Maria Jolenta Nowakowska (Mariolka) z d. Hołoga

Rodzinka i ja. Mama – była w domu z nami i dorabiała malując abażury. Wzory były różne, m.in. były też Chinki, smoki i takie tam. Ażury wystawiała na targach poznańskich. Któregoś dnia podeszli do stoiska Chińczycy – oglądali i nagle zaczęli się bardzo śmiać. Mama dochodziła w czym rzecz – okazało się że między namalowanymi Chinkami umieściła jakiś znak chiński – bo się jej bardzo podobał – a to było jakieś okropnie świńskie słowo ☺.

Tata był z zawodu księgowym (głównym w budowlanej „dwójce” która budowała m. in. nasz akademik na Przybyszewskiego czy osiedle Rataje). Ale jego pasją była koszykówka- w Gnieźnie był trenerem – m.in. Łopatką Mieczysława który w końcu grał w FIBA w Stanach Zjednoczonych. Wówczas był to naprawdę sport amatorski – koszulki i spodenki tato przynosił do domu, my odpruwaliśmy numerki, mama prała i potem przyszywała. Żeby ułatwić mamie pracę, tato kupił na targach poznańskich pralkę – kwadratową, wirnik w dole bębna. Radość wszystkich ogromna bo nikt czegoś takiego nie miał no i praca będzie lżejsza. Jednakże trwało to do pierwszego prania – wirnik wyrwał w każdej koszulce i spodenkach kwadraciki... Mam brata i siostrę, która już jako dziecko bawiła się w nauczycielkę – celowo pisała z błędami a potem sama je poprawiała. Była tak przejęta rolą, że którejś nocy musiało jej się to śnić bo stanęła nad babcią i: zawołała – jak nie umiesz to do kąta i ...zerwała kołdrę z przestraszonej babci ... Pasja została – do dziś uczy (jest żoną dyr. Szkoły Kenara w Zakopanem). Dlaczego tam? wyszła za mąż za górala a jej teść był lutnikiem jednym z pierwszych w Polsce, założył klasę lutniczą w tej szkole. Na jego skrzypcach grało wielu skrzypków m.in. Wiłkomirska... jest pochowany na słynnym zakopiańskim bardzo starym cmentarzu Na Pęksowym Brzysku. Mąż siostry to też lutnik....Jedna cecha nas łączy oprócz genów – żadne z naszych dzieci nie poszło w ślady rodziców – jedynie szwagier kontynuuje pracę swojego ojca. Można by pomyśleć, że w takiej rodzinie to ja też sportowiec. I tu się mylisz – po znajomości (wszyscy w -iści ojca znali) miałam tróję z wf a oceny poprawiające z 2 dostawałam np. za to.... że pierwsza rozebrałam się na lekcje.. Denerwowało mnie to więc w 2 klasie liceum zdałam egzamin na sędziego Lekkiej Atletyki co sobotę i niedzielę sędziowałam więc jak takiej uczennicy nie dać 3 na koniec roku, prawda? sędziowałam Szewińskiej- Kirszenstein, Sidle itd. Problem rozwiązałam sama przed rokiem po udarze koleżanka dała mi skierowanie na rezonans i mówi: poprzednio badałam ciebie na leżąc więc albo wtedy nie zauważyłam albo teraz miałaś udar mózgu idę do domu, myślę (czasem mi się to zdarza) i nagle olśnienie: przecież to wynik urazu okołoporodowego – stąd te kłopoty z równowagą od dzieciństwa (nie jeżdżę na rowerze, tyżwach, nie robiłam stania na rękach, nie przeskoczyłam kozła i skrzyni). I przez całe życie przynosiłam wstyd tacie że ma córę łamagę – jego koledzy to wszyscy którzy uczyli wf lub trenerzy

Tekst zamieszczono 21 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4045>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (8).
Rodzice

Atmosfera mojego domu rodzinnego. Nadal zawsze słucham wiadomości z naszych okolic, szczególnie lubię radio Poznań a w nim zawsze o północy grają Rotę – to wynik starych i stałych poznańskich priorytetów – DZIECI WRZESIŃSKIE, ROTA, itp. Dla nas zawsze w opowieściach dziadków i rodziców Niemiec był WRÓG – dużo pracy nad sobą wymagała zmiana u mnie tego myślenia

Jak wiadomo po I wojnie światowej a sprawą negocjacji Piłsudskiego poznańskie nie zostało włączone do Polski i dlatego wybuchło Powstanie Wielkopolskie w którym duża część mojej rodziny m.in. dziadek Jan brali udział a wielu w nim poległo ... Nic więc dziwnego że Piłsudski w Wielkopolsce nie miał dobrych notowań (ja też nic dobrego o nim od dziadków nie słyszałam). Nie zapomnieli tego Naczelnikowi nigdy ... Potęgował to fakt, że po jego śmierci, w Buku rodzeństwo dziadka wyszło na ulice (była to wielka demonstracja), nieśli trumnę i wołali: ... he he he ... kurwiarz zdechł (nawiązanie do jego znanych licznych romansów – podobno zmarł na kiłę). Za to skończyli w więzieniu ...

Dziadek, Ojciec Mamy – Jan Szajek z Buku był wielkim patriotą- miał 2 tomy Historii Polski – oprawione w czerwoną skórę z dużym białym orłem i w wolnych chwilach czytał nam ... nie wiem czy to odniosło oczekiwany przez niego skutek czy była to wina nauczyciela (zabierał nas na wykopki na swoje pole i dawał ocenę w zależności od tego kto ile zebrał) – ale historia była najmniej lubianym przedmiotem w szkole przypomniał mi się ten pan od historii – chyba były pracownik UB

znęcał się nad uczniami np. ostro zakończonym ołówkiem dźgał pod paznokcie, stawiał ucznia przed pierwszą ławką przykładając kij pod brodę i odginał dziecko w tył ...Tato, który był przewodniczącym komitetu rodzicielskiego interweniował wielokrotnie a na te wykopki nie pozwolił mi jechać – powiedział: masz mieć ocenę za wiedzę a nie za roboty. Gdy pan Bomba (o dziwo pamiętam jego nazwisko!) zapytał mnie, dlaczego nie byłam – to mu powiedziałam ... byłam tak gnębiona że groziła mi 2 na koniec roku. Tato zażądał egzaminu komisyjnego i przed komisją zdałam na 5... Potem sprawa nabrała tempa i pan został zwolniony ze szkoły (podobno ze szkolnictwa wyleciał). Ale historii nie polubiłam co dziadek miał mi za złe...

Tekst zamieszczono 18 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4021>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (6). Dziadek, dramat Wielkopolan i lekcje historii

Opiszę drugich dziadków - o dziwo o dziadku Antonim Hołoga (ojcu mojego Taty) dowiedziałam się niedawno przez mojego bratanka. Mieliśmy tylko 1 zdjęcie dziadka a teraz mamy sporo dziadek miał fabrykę? zakład? Wódek. Zmarł nagle młodo – została babcia – Zofia z 3 dzieci. Postanowiła wrócić do swoich rodziców. Wszystko co się zmieściło – spakowała do auta, a resztę zostawiła. Jakieś płyny wylane zostały w ogrodzie – zabrała tylko 1 butelkę, którą potem w Gnieźnie sprzedała i zdumiała się że mogła za to żyć przez miesiąc ...

Była wykształconą osobą -skończyła studium nauczycielskie i zawsze mnie chciała nauczyć niemieckiego mówiąc że język wroga i przyjaciela należy znać – ja pytałam który wróg a który przyjaciel ... A brat dziadka Kazimierz Hołoga, był lekarzem w Nowym Tomyślu – za ratowanie ludzi w czasie wojny został beatyfikowany a w Nowym Tomyślu jest szkoła, ulica jego imienia i są zjazdy rodzinne co parę lat na Kaziuki – jego imieniny

Tekst zamieszczono 19 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4034>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (7). Rodzice Taty. Rzecz o przyszłym świętym.

Mroczne czasy licealne w Poznaniu z naszym kolegą ze studiów Hirkiem Głowackim w tle.

Przeprowadziłam się do tego miasta do 3 klasy ogólniaka. Pierwsza lekcja z panią dyrektorką- Hołogą [moje nazwisko panińskie] była 8 w dzienniku – byłam jasną blondynką, miałam gęste kręcone włosy spięte w koński ogon. Pani dotarła do mnie przy czytaniu obecności i zaczęła się: skąd jesteś? - gdy odpowiedziałam, że z Gniezna, nauczycielka na to – „no to pamiętaj że tu nie jest tak jak na prowincji, jakie miałaś oceny z,,, nie myśl że tu się dobre oceny daje za nieuctwo – w Poznaniu trzeba się uczyć i pamiętaj – ostatni raz tleniłaś sobie włosy i robiłaś trwałą – więcej ma się to nie powtórzyć!!! na moje próby usprawiedliwienia się: nie bądź bezczelna, nie przerywaj!!!” Trzymała mnie na stojąco tak pytając i komentując aż do dzwonka. Trudno się dziwić, że Poznania nie lubiłam i bardzo prosiłam bym mogła wrócić do dziadków, do Gniezna i tam chodzić do szkoły. Jednak rodzice nie ulegli a i mnie się ułożyło w klasie. Ta pani nawet mnie z czasem polubiła, widziałam że bardzo starała się zmienić moją nieufność do siebie ale niewiele to dało... Tak dalece że na studniówkę nie poszłam a wygoniona przez mamę jeździłam tramwajami do ostatniego kursu... W klasie był wtedy Hirek Głowacki który potem był z nami na roku i jako jedyny głośno odezwał się: co pani się jej czepia! Polubiłam go od razu! Hirek miał buzię mocną, często się odzywał w obronie innych aż w końcu musiał zmienić szkołę. Spotkaliśmy się na studiach, teraz mieszka w Niemczech, jest ginekologiem i regularnie przyjeżdża na nasze zjazdy... na motorze!

Tekst zamieszczono w 23 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?paged=3&cat=2898>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (10). „Poznań przywitał deszczem”.

Kiedy podjęłam decyzję, która była we mnie od zawsze – by zostać lekarzem, oczywiście jak wszyscy zdawałam egzaminy wstępne. Przebiegały dokładnie tak, jak już opisywali koledzy. Były emocje i ogromna radość gdy znalazłam swoje nazwisko na liście osób przyjętych na wymarzoną Akademię Medyczną w moim Poznaniu!!!

Anatomia - nasza grupa składała się z końcówki 3 i początku 4 grupy; histologia- pamiętam tylko tyle że asystent koniecznie chciał umówić się z moją przyjaciółką Teresą a ona odrzucała jego propozycje;

Zajęcia w Anatomicum, pierwsze „operacje” czyli sekcje. Na zajęciach byliśmy spięci, przerażeni i próbowaliśmy to oswoić żartami. Moim sąsiadem był laborant który wydawał kości – przynosił mi do domu to co było akurat potrzebne i mieliśmy pomoc do nauki – Bochenek i kości razem pomagały w zakuwaniu tej niezliczonej ilości nazw ale i żarty z tym się wiązały. Przyjechała babcia, siadamy do obiadu bez rodziców a ja przypominam jej o DOKŁADNYM umyciu rąk babcia wychodzi – przy jej nakryciu układam dłoń kościotrupa od sąsiada. Po powrocie babcia przestraszona krzyczy a my oczywiście w śmiech ... babcia przestraszyła się początkowo ale że miała duże poczucie humoru to po kilku dniach odwzajemniła nam się – podała na talerzach surowy groch zalany wodą – prawdziwy obiad był schowany ☺

Tekst zamieszczono w 6 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4193>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (16). Kości, babcia, chirurgia.

Na marginesie. Przypomniam pierwsze zajęcia z anatomii patologicznej na Przybyszewskiego – prowadził doc. Łukaszewski (pamiętam nazwisko bo przyjaciel Ojca i potem wiele mi pomógł w chorobie męża – sprowadził endoprotezę ze Szwecji bo u nas jeszcze ich nie było – oczywiście my musieliśmy zapłacić 1000 dolarów) no więc zajęcia, sala, stół a na nim zwłoki oczywiście nagie. Zawołany jeden z kolegów (oczywiście nazwiska nie podam) zaczyna zestresowany referować ale zapomniał powiedzieć płci. Docent go pyta: a płeć? mężczyzna nie – kobieta nie – mężczyzna? cisza wielka – w końcu kolega podchodzi od strony stóp chwyta i siłą rozchyła nogi nieboszczyka i podaje płeć. Rozbroił wszystkich – śmiech był gromki.... takie głupotki zostają gdzieś w zakamarkach mózgu i nagle wychodzą ...

Ten fragment zamieszczono 3 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4134>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (15). Obrazek z anatomii patologicznej.

Z innych zajęć na pierwszym roku studiów, pamiętam tylko, że matematyka - na dużej sali wykładowej kliniki na ulicy blisko obecnej Hali widowiskowej.

3. wojsko: I kompania - dowódcą był mjr Andrejczuk (hurra! pamiętam), coś wykladał niejaki Z.- okropny facet - dawał kilka dwój i by potem u niego poprawiać, on nas obłapywał. My miałyśmy sposób: chodziło się wkoło biurka a te na korytarzu podglądały przez dziurkę od klucza i gdy ta w środku zniknęła z pola widzenia to się wpadało ze skargą u szefa. Było trochę hałasu ale się uspokoił; zdjęcie w mundurze mam

4.marzec 68: chyba coś uciekło z pamięci

5. Juwenalia na 1-szym roku; Zabrałam ze sobą siostrę która miała 12 lat a to z tego powodu że jako jedyna mieściła się w stare „gacie” mojej babci – z górą na ramiona i rękawkami, do kolan, z licznymi haftami i koronkami, z klapą na guziki w tyle. Zrobiła furorę aż ja miałam zepsutą zabawę bo musiałam jej pilnować bo chłopcy liczni ją porywali i uciekali z nią przez całą trasę czyli św. Marcina. Już nigdy jej nie zabrałam...

Najpiękniejszą studentką wtedy została wybrana nasza koleżanka - Ewa Lutkowska obecnie Baszkowska, żona naszego kolegi z roku.

6. zakwaterowanie; mieszkalam w domu rodzinnym. Nasza paczka to była: Teresa Tułeczka, Andrzej Szkaradkiewicz, Jadzia Szpaderska (nie żyje), Leszek Milanowski i Staszek Parchimowicz (który zmarł po drugim roku studiów). Pamiętam gdy jechaliśmy w korytarzu pociągiem na Śląsk na jego pogrzeb, ktoś z kolegów zatrzymał pociąg (przypadkowo?).

Mój tata załatwiał nam bilety do filharmonii, bo zakłady pracy dostawały dla robotników a oni nie chcieli brać. Tak więc co piątek chodziliśmy do filharmonii na koncerty a do opery sami kupowaliśmy bo należeliśmy do klubu Pro Symphonika. Nota bene sylwester 2013 również spędzałam na koncercie w Auli i jakie było moje zdziwienie że też tam po latach, spotkałam Teresę Tułecką, Andrzeja Szkaradkiewicza, Grażynę i Bolesława Stawnych - i gdy reszta tańczyła my przegadaliśmy całą przerwę w koncercie ciesząc się ogromnie.

7. praktyki wakacyjne: praktykę po pierwszym roku studiów miałam w ortopedii w Klinice prof. Degi. Uprosiłam wejście na salę w czasie zabiegu dzielna byłam do momentu gdy w ruch poszła piła – dźwięk okropny, dziwnie słodki zapach – nie trwało długo i kolana stały się miękkie opuściłam salę i już wiedziałam że zabiegowcem na pewno nie będę

Ten fragment zamieszczono w 6 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4193>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (16). Kości, babcia, chirurgia

Po 2 roku studiów odbyliśmy z Teresą Tułecką praktykę w szpitalu w Gdyni. Dodatkowo załatwiliśmy sobie w wydziale zdrowia nadzór medyczny nad wycieczkami szkolnymi i pływaliśmy statkami po zatoce do Helu i bliżej a po 3 roku w Sanepidzie w Gdańsku - sprawdzałyśmy m.in. bary i lodziarnie na sopockiej plaży czyli było miło a my podejrzewałyśmy że dali specjalnie taką fuchę studentkom z Poznania by mieć nas z głowy a nam dać trochę swobody. Zdjęcie mam też w albumie

Przypominałam sobie te praktyki: moją i Teresy: – załatwiliśmy ją w szpitalu w Gdyni (mieszkanie było u mojej cioci) ... pierwszą noc posadzili nas przy konającej staruszce – przeżycie okropne ale dzielnie dotrwałyśmy do rana. Myślę, że nas testowali bo następne dni były miłe – nawet pozwalali nam wcześniej wychodzić... no to wyszłyśmy i skierowałyśmy się prosto do Wydziału Oświaty oferując nasze usługi jako medyczki na wycieczki dzieci ze szkół i kolonii statkami Gdynia – Hel – Gdynia kłopotów wielkich nie było a czas spędzony miło ...Praktyki w sanepidzie (*obowiązujące po 4 roku studiów na Akademii Medycznej – przyp. Z. K.*) załatwiliśmy w Sopocie. Tam nie puszczali nas na samodzielne kontrole –za poważne działania mieli. Ale zabierano nas na inspekcje lokali na plaży – po kontroli pracownicy Sanepidu wracali do biura pisać raporty a my zostawałyśmy na plaży....wyniosłyśmy trochę z tej praktyki: w głowie wiadomości o sanepidzie a na plecach pęcherze od słońca (zwłaszcza ja – blondynka, bardzo wrażliwa na słońeczko).

Tekst zamieszczono w 20 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4260>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (19). Praktyki studenckie, trochę o zamiłowaniach, zwyczajach, jasnej cerze i o ... laptopie.

8. rajdy: oj oj!! Dużo! Na pewno po górach Stołowych – mam zdjęcia i to by była dłuższa opowieść.

9. obozy tzw. obozy medyczno-sportowe były od pierwszego roku. Odbywały się zimą (w Szczyrku) i latem (Komańcza i pobliskie góry). Zimowe w Szczyrku skończyłam z dwoma wypadkami: - złamanie nogi - i gorszy który wywołał szok w rodzinie: obcięcie włosów z dość długich na zapałkę (moje włosy się kręca więc długo były RÓWNANE. Niezapomniane też są obozy letnie np. w Międzywodziu i podczas wyprawy na Śnieżnik na polanie było bardzo dużo jagód, które zrywaliśmy na potęgę.

Gdy byliśmy na obozie medyczno – sportowym organizowanym przez Preisnera na Śnieżniku wybrałam się z Teresą Tułecką i Staszkiem Parchimowiczem w dół do miasta. W drodze powrotnej złapała nas potężna burza, więc Staszek chwycił nas za ręce by pomagać nam wejść. Z naszej trójki ja byłam najwyższa i co mnie zajmowało??? Stale w głowie miałam pytanie co powiem ich rodzinom gdy piorun W NICH trafi!! Chyba mówiłam to na głos, bo dostało mi się po wejściu co niemiara – za głupie

myśli i za brak wiadomości z praw fizyki: piorun strzela w najwyższy punkt i w takim przypadku giną wszyscy o! nadokuczało mi towarzystwo do końca obozu. Ale prawa fizyki pamiętam do dziś ☺

Tekst zamieszczono 27 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4085>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (13). Czesy studenckie.

Praca podczas studiów. Pod koniec każdego miesiąca zapisywaliśmy się wstępnie w Lechii na Starołęce do pracy przy składaniu kartonów do proszku słynnego wówczas proszku do prania IXI. Każdego określonego dnia siedzieliśmy przy długim stole, obok na wózkach stały wielkie paki kartonów, które przywiezione do fabryki były ściśle sprasowane. My musieliśmy nadać im kształt sześcianów by maszyna za naszymi plecami mogła nasypać w nie proszek. Było nas po kilkunastu studentów no to wesoło było! W czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich przez kilka lat pracowałam na stoiskach jako sekretarka a po ich zakończeniu sprzedawano wszystkie eksponaty - do dziś mam serwis kawowy z Chodzieży, który tam kupiłam. To był szczęśliwy okres życia.

Potem był ślub, wyjazd za mężem do Kępna i zaczęło się... Mąż zachorował (choroba Stilla [rzadka choroba autoimmunologiczna, która objawia się zapaleniem stawów i może prowadzić do zmian w wielu narządach wewnętrznych; towarzyszą jej objawy podobne do grypy, takie jak gorączka, bóle mięśni i stawów, wysypka, powiększone węzły chłonne i śledziona; choroba występuje najczęściej w młodym wieku, od 16. do 35. roku życia]), zaczął zaliczać kolejne szpitale w Polsce, musieliśmy za 1000 dolarów kupić endoprotezę (po pewnym czasie drugą) i trwało to przez wiele lat. Zmarł gdy miałam 39 lat. Zostałam z dwójką małych dzieci. W Kępnie zrobiłam specjalizację z pediatrii, pracowałam w szpitalu i przychodni (tzw. etat dzielony), byłam zastępcą ordynatora aż w końcu ordynatorem (do emerytury). Byłam kierownikiem specjalizacji kilkunastu młodych osób.

Wracając do pierwszej mojej pracy w Kępnie muszę opowiedzieć pewną historię. Otóż dyrektor szpitala w rozmowie o podjęciu pracy powiedział mi, że mieszkanie na mnie czeka. Mimo protestów taty i jego nalegań bym sprawdziła – byłam pewna że jeśli DYREKTOR powiedział „że jest” – to jadę na gotowe. Kupiłam meble w Poznaniu, meble załadowano na wynajęte auto, ja z dzieckiem wsiadłam do szoferki i jazda do Kępna (mąż już był w szpitalu od kilku miesięcy). Przyjeżdżam pod szpital, zgłaszam się do dyrektora po klucze a on w szoku. Mieszkanie czekać będzie ale ...kiedy?? Dziś rozumiem szok jaki przeżył widząc taką naiwniaczkę. Cóż było robić. Meble zawiozłam do teściów którzy mieszkali pod Kępnem – rozładowano je pod domem i ekipa transportowa odjechała w swoją stronę. Dostałam wolne od dyrektora na czas szukania dla mnie mieszkania. Ostatecznie znaleziono je po zmarłej kobiecie, w jej rodzinnym domu przejętym jak to kiedyś było przez miasto. Mieszkanie było jeszcze pełne jej rzeczy. Szpitalni pracownicy posprząтали, wymalowali i po 2 tygodniach mogłam się wprowadzić. Byłam „blokową babą” czyli kaloryfery, gaz a tu..... Moja radość nie trwała długo bo ...jak gotować na kuchenie węglowej?????????. Jak się wymyć i wykąpać gdy piec w łazience ma kocioł nad paleniskiem a ja nie mam węgla i w ogóle nie wiem jak się do tego zabrać. Czyli szkoła przetrwania. Jak zawsze miałam szczęście do ludzi.

Na tym samym piętrze mieszkała córka zmarłej z całą swoją rodziną. Pewnie zrobiło się jej żal takiej ofiermy jaką zobaczyła i zaopiekowała się mną. Zaoferowała że zajmie się dzieckiem gdy będę w pracy, pomagała w nagrzaniu wody. Miała synów w moim wieku z którymi z biegiem czasu zaprzyjaźniliśmy się, pomagali rąbać drzewo, nosić węgiel Ja, kiedyś panienka z dobrej poznańskiej kamienicy gdzie były wszelakie wygody, wszystkiego się uczyłam. Widziałam jak teściowa dokłada do pieca w kuchni co jakiś czas a że nie widziałam jak pali w piecu kaflowym to też tak dokładałam w moim piecu w pokoju przez kilka początkowych miesięcy. Co kilka godzin wybiegałam ze szpitala (było to ok 100 m od mojego domu) by podtrzymać ogień i dziwiłam się dlaczego tylko ja to robię. Wytłumaczyłam sobie że inni mają rodziny i oni im podtrzymują ogień. Sprawa wyjaśniła się po kilku miesiącach – przyjechał teść i stwierdził że piec się podniósł. Doszedł przyczyny, nauczył a ja zaczęłam

szukać mieszkania w bloku by uwolnić się od prac górniczych. Rąbanie drzewa też musiałam ćwiczyć – mimo różnych niecelnych trafień udało się i ręce mam!!! Brak piecyka gazowego również był przyczyną różnych niespodzianek. Z głową pochyloną przed paleniskiem podpatrywałam gdzie jest płomień i celowałam by garnek z mlekiem był nad nim.. Wielokrotnie z mleka zrobił się ser. Wiedziałam że za pierwszą wypłatę MUSZĘ kupić maszynkę gazową ...

Tekst został zamieszczony w 17 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4359>, rozdział:
Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (23). Słowo nie zawsze jest święte – czyli rzecz o zaskakujących początkach życia w Kępnie.

O zmarłych kolegach: Włodek Janowski był chirurgiem w Ostrzeszowie - 15 km ode mnie. Któregoś dnia zmarło kilka osób po operacjach i jak się później okazało przyczyną był zainfekowany sprzęt na bloku (najbardziej igły a dla przypomnienia tych odległych czasach nie było wtedy jeszcze w Polsce sprzętu jednorazowego). Jednak zanim to ustalono, miejscowa społeczność urządziła zmasowaną, bardzo ostrą nagonkę na operującego tych chorych Włodka, który tego nie wytrzymał psychicznie i skrajnie wykończony ostatecznie się powiesił. Jadzia Szpaderska felczerka, była z nami przez pierwsze 2 lata, pracowała na Grochowskiej w gabinecie zabiegowym ja ją zastępowałam czasami pracowałam tam dłużej, jeździłam karetką po domach dawać dożylnie strofantynę i eufilinę!! Dziś wydaje się to niewyobrażalne, by studentka 2 roku medycyny mogła samodzielnie podawać takie leki jak strofantyna w domu chorego. Tak, tak dyrekcja przyjęła mnie - takie były czasy!

Przed wszystkim byłam pediatrą. Czytam wpisy naszych Kolegów i widzę ile napisali o sobie. Ja w prowincjonalnym miasteczku robiłam niewiele ale takie niewielkie miałam też możliwości. Ale przede wszystkim byłam pediatrą - od lekarza stażysty do ordynatora.

- specjalizację zrobić nie było łatwo: konieczne były staże poza Kępnem, w klinikach - w Poznaniu przed I stopniem a przed II stopniem specjalizacji w Warszawie. A tym czasie czekały na mnie moje małe jeszcze wtedy dzieci i chorujący bardzo poważnie, przewlekłe mąż.

- byłam równocześnie kierownikiem krwiodawstwa co wymagało przeszkolenia i nabycia kwalifikacji w wojewódzkiej stacji krwiodawstwa w Kaliszu.

- z kolegą rehabilitantem zostałam organizatorem obozów rehabilitacyjnych dla dzieci. Niezbędne więc było: pozyskanie wojskowych namiotów a następnie organizacja bazy w namiotach rozstawionych w parku przy szpitalu/oddziale rehabilitacyjnym. Ponadto do moich obowiązków należało badanie dzieci w szkołach, kwalifikacja a też stały nadzór nad nimi w czasie obozu.

- byłam też założycielem i pierwszym prezesem „Fundacji ZDROWIE na rzecz szpitala w Kępnie” która działa do dziś.

- ponadto zostałam radną pierwszej kadencji i działałam w komisji zdrowia.

- otrzymałam srebrny medal zasługi od profesora Zbigniewa Religi (Ministra Zdrowia w tym okresie)

- współpracowałam z żoną ówczesnego Prezydenta RP- Jolantą Kwaśniewską - od jej Fundacji otrzymałam fundusze na „Motylkowe Szpitale”, które umożliwiły przeprowadzenie remontu i przyozdobienie sal dziecięcych w oddziale. Jednak samo zdobycie środków finansowych to było mało - musiałam znaleźć sprawną i punktualną ekipę budowlaną co było zadaniem niełatwym a też zwerbować z kępińskich szkół przy czynnym udziale zaangażowanych pedagogów zdolną i chętną do pracy młodzież. Za przysłowiowe frico ta radosna ekipa wymalowała na ścianach piękne barwne wyraziste obrazy z bajek takie jak smerfy, czerwony kapturek itp. co znacznie wpłynęło na

samopoczucie i szybsze zdrowienie moich małych pacjentów a też miało pozytywny wpływ na przerażonych chorobą dziecka rodziców o podnoszeniu nastroju wśród personelu nie wspominając.

- zostałam ujęta w książce „Złote myśli ludzi wielkiego serca, umysłu, talentu”. [dane z Internetu: 2001, „Złote myśli ludzi wielkiego serca, umysłu, talentu”. Wydawca: Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Jest to „...Bibliofilska pozycja zawierająca aforyzmy i cytaty z literatury polskiej. Współautorami są ludzie świata nauki, kultury i sztuki, przedsiębiorcy i społecznicy kształtujący polską rzeczywistość przełomu tysiącleci. Ilustrowana reprodukcjami obrazów mistrzów malarstwa polskiego i młodych adeptów sztuki malarskiej”]. Kto mnie podał do redakcji nie mam pojęcia – podejrzewam że krwiodawcy bo kilka numerów mi zrobili m.in podali mnie na wybory radnego – zrobili plakaty i przesłałam ... Pewności jednak nie mam bo mimo że pytałam w redakcji zastaniali się tajemnicą i nie wyjawili. byłam zdziwiona gdy dostałam zaproszenie na Zamek w Warszawie po odbiór – było nas tam dużo z różnych profesji – próbowałam dowiedzieć się ale nie powiedzieli kilka miesięcy poprzedzających wręczenie otrzymałam pismo z fundacji „Zdążyć z pomocą” bym przysłała moje „myśli”. Znowu za jakiś czas chcieli zdjęcie (w tej fundacji – działał też Religa który był obecny na wręczaniu) i w końcu otrzymałam zaproszenie na wręczenie książki ale kto dał im moje namiary – skąd się o mnie dowiedzieli to zagadka do dziś Przewodniczącym tej edycji i głównym wręczającym książkę w Zamku warszawskim był Religa!

Ale co ja opowiadam takie historyjki – Wy mieliście mnóstwo podobnych a nawet ważniejszych wydarzeń i nic nie mówicie nie mniej przyznaję, że ta książka jak i otrzymanie medali (brązowy i srebrny) sprawiło mi satysfakcję że dostrzeżono taką małą miejscinę (!!!)

Teksty zamieszczono 9 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4235>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (17). Tajemniczy mail i znak zapytania oraz 16 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4252>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (18). W jakimś stopniu „ poukładana” tajemnica Mariolki?

Koperta życia. Chciałam jeszcze opowiedzieć o Kopercie życia którą wymyślił i zastosował Poznań może 10 lat temu może trochę więcej. – Na lodówce – magnes z czerwonym krzyżem jako znak – że w lodówce jest koperta. W kopercie dane: imię, nazwisko, kontakty do bliskich i leki które dana osoba bierze ... [teraz można ściągnąć z Internetu gotowe wzory krótkiej historii chorób albo zamówić gotowe z kopertami i magnesami na lodówkę]. Gdy ja sama już o wszystkim się dowiedziałam, powieliłam przed 2 laty tj. ok 2015 r. – sprawę „nadałam ” w zarządzie powiatu i zrobili też tak.... na początku tego roku był finał akcji..... sprawdziło się to u mojej mamy – złamała nogę i gdy lekarz PR zadzwonił do mnie – już wszystko wiedział dzięki Kopercie – choć w tym wypadku dobrze, bo mogłam osobiście udzielić mu wyjaśnienia. Ale gdybym nie była dostępna pod telefonem? – seniorzy – zwłaszcza ci którzy mieszkają sami – chwalą to, wiem że już korzystali z koperty!!! – a pracownicy Pogotowia Ratunkowego i Straży podchwycili i zaakceptowali od razu – wiem – że gdy jadą – sami szukają koperty! Miałam zajęcie – rozwoziłam koperty i instrukcje po całym powiecie..... może to robiłam dla ludzi (w straży i pogotowiu mówili że w stresowych sytuacjach nie mogą dowiedzieć się najprostszych rzeczy) nic wielkiego nie robiłam – „spapugowałam” tylko mądrych poznaniaków. Ale też ja miałam z tego dużo radości..... odwiedziłam kolegów ze wszystkich ośrodków – zawsze kawa, pogaduchy, wspomnienia czas minął szybciej ...teraz mam pisanie za które dziękuję no i tak czas emerytki lepiej minie

Tekst zamieszczono 25 stycznia 2019 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4576>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (Mariolki) (26). KOPERTA ŻYCIA

Jeszcze **powrót do mojego życia jako lekarki: wezwanie do porodu** – jedziemy daleko, rodzącą na nosze i powrót do szpitala. Karetka pędzi, kobieta krzyczy więc stajemy na poboczu blisko szpitala. Odebrałam poród w tej małej karetce, zaopatrzyłam pępowinę i na oddział. Tam gromki śmiech bo

....kobieta ma na sobie wielkie pantalony a z nogawki zwisa pępowina. Takich różnych przypadków każdy z nas ma cały zbiór, prawda?

Jurek odpisał: wielka prośba do Mariolki: jakie to są te wielkie pantalony i czy nie przeszkadzały w porodzie?! Czy kobieta może urodzić nie zdejmując dużych pantalonów? wyobraź sobie że do tego porodu też bym nie uwierzyła! Nogawka w nich była tak wielka czyli szeroka że ja NIE WIEDZIAŁAM że one tam są – myślałam że są 2 spódniczki...

Tekst zamieszczono 25 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4377>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (24). Poród w pantalonach

Niedawne Miłe sercu zdarzenie. Wczoraj dzwoni do mnie Ola, wnuczka zmarłej dawno koleżanki z pytaniem czy jestem w domu i czy może przyjść. Oczywiście jestem i czekam z radością bo nie widziałyśmy się lata – Teresa (koleżanka zmarła już kilka lat temu a jej dzieci mieszkają we Wrocławiu i przyjechały na grób rodziców). Przyszła Ola i przyniosła..... zaproszenie na swój ślub. Zdumiałam się bardzo i oczywiście zapytałam o powód. – dlaczego ja? Ola otwiera trzymany w ręce mały portfelik, wyciąga z niego karteczkę i snuje opowieść. Bo ciociu – mam tu pierwszy rachunek za moją pracę i pamiętam! Zdumiona nic nie wiem. Jej babcia Teresa była moja starszą przyjaciółką, ordynatorem noworodków. Gdy Ola przyjeżdżała do babci często się widywałyśmy – stąd zostałam jej ciocią. Któregoś dnia miałam dyżur, Teresa jak zwykle przyszła na wizytę (taki był u nas zwyczaj który znieśli niedawno – ordynatorzy robili wizyty również po południu oraz w dni wolne od pracy). Na oddział noworodków, gdzie właśnie była Teresa, dzieci nie mogły wchodzić, więc Ola została ze mną. By się nie nudziła poprosiłam ją o „pomoc” w wypełnianiu historii chorób – dałam czysty blankiet i Ola dzielnie pisała. Teresy długo nie było – coś musiało się dziać więc czas upływał ciekawie. Po „pracy” napisałam „rachunek” i zesłałam z Olą do Kasy gdzie jej wypłacili pieniądze (podejrzewam że przedtem nieznacznie dałam kasjerce trochę bilonu na ten cel bo oczywiście nie pamiętam tego zdarzenia). I właśnie ten rachunek Ola trzyma w ręce bo ZAWSZE wiedziała ŻE BYŁA TO JEJ PIERWSZA WYPŁATA. Uśmiełyśmy się serdecznie a mnie rozczuliła pamięć Oli. Wróciły wspomnienia o Teresie, jej rodzinie, dawnych szczęśliwych czasach. Czyli znowu człowiek nie pomyśli że głupotki coś dla innych znaczą i to na długo a nawet po latach nabierają innego wymiaru. Zwłaszcza dzieci są wrażliwe na zachowanie dorosłych o czym my zwykle zapominamy. Przypomniła się ta prawda. I to wszystko dzięki Oli która zachowała te ulotne chwile!!!!

Tekst zamieszczono 11 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4345>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (22). O „głupotkach” i pamięci.

Zabawna historia z mojej pracy w Kępnie. Tadeusz jeszcze zmęczony śpi więc ja chcę być cicho by go nie budzić – nie kręcę się po mieszkaniu (Mariolka kiedyś pisała, że Jej Połowa czyli Tadeusz bardzo intensywnie dyżuruje i chyba nadal jest ordynatorem oddziału neonatologii w mieście sąsiadującym z Kępnem – przyp. Z.K.). Co pozostaje w tej sytuacji??? – komp a przy kompie wpadło mi wspomnienie to opiszę – następna głupotka: był w szpitalu „sprytny” pracownik od sprzątania terenu chłop lubił odwiedzać bary i pić napoje wzmocnione w większych ilościach, a że mieszkał daleko, w polu znalazł więc sposób na łatwiejsze powroty do domu dzwonił z baru że w danym miejscu leży nieprzytomny a potem tam się kładł i czekał gdy przyjechała karetka kazał odwozić się do domu ... któregoś dnia mam dyżur, wezwanie do nieprzytomnego na drodze. Zajeżdżamy na miejsce – Bernard- sanitariusz mruga do mnie, podchodzi do Bernarda, chwyta przegub i mówi: pani doktor – on nie żyje podchwyciłam temat i mówię dajcie nosze, musimy zabrać – nie zostawimy go tutaj – Bernard nie żyje. Dają nosze, kładą go – Bernard nie daje oznak życia gdzie wieziemy? do kostnicy- nadal zwłoki. Podjeżdżamy do szpitala po klucze od kostnicy – nie ma zmiany – Bernard nie daje oznak życia ... otwierają drzwi kostnicy – nadal nie ma reakcji – Bernard nie daje oznak życia ... biorą

nosze – są na schodach do wejścia i nagle przerażony Bernard gwałtownie zeskoczył z noszy – puścił soczystą wiązanekę i biegiem się oddalił. Nasz śmiech był nie do opanowania ale telefony o nieprzytomnym się skończyły ...

Tekst zamieszczono 29 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4303>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (21). Fajna metoda:)

Moje „szybkie spanie”. Witam Cię jak zobaczysz o której piszę to uwierzysz że szybko śpię. Miałam to od zawsze – czym denerwowałam rodziców którzy spali jak normalni ludzie ale w życiu skorzystałam na tym: dyżury nie były nigdy dla mnie uciążliwe, śmiały się pielęgniarki że nie zdążyły zadzwonić a już byłam bo słyszałam. Słyszałam też płacz dzieci ale często to czego nie powinnam też mam nawet dowód na to dyżurowe niespanie – zrobiłam na dyżurach dwa albumy – jeden rodzinny niby drzewo – od moich dziadków ale wkleiłam małe opisy z datą urodzenia, zgonu i miejscem pochówku – wnukowie będą mieli przypominajkę – tym bardziej że są to miejsca od morza do Tatr – a drugi który obecnie krąży po szpitalu – szpitalny: powklejałam chronologicznie zdjęcia poczynawszy od czasów z pielęgniarkami – siostrami zakonnymi. A że w szpitalu pracowaliśmy ale też były wspólne spotkania wigilijne, wielkanocne w dyrekcji a w „klubie” zabawy sylwestrowe poza tym spotkania, zjazdy konferencje – to zdjęć nzbierało się na gruby album. Oczywiście wszystkie opisałam a że wiele osób już nie żyje – to młodzi mają co oglądać. Często się śmiałam że te albumy są dowodem że czuwałam na dyżurach czyli znowu potwierdza się reguła że nie ma tego co by na dobre nie wyszło! W życiu też mi niespanie pomogło bo dzieci – lekcje, mąż (*który bardzo długo chorował i odszedł przed wielu laty – przyp. Z. K.)* – zabiegi, ćwiczenia, dom jak każda kobieta a potem nocami książki i nauka czyli w górze wiedzą co człowiekowi dać. W rodzinie średnia snu jest stała krajowa – brat mógłby zarabiać spaniem – dwanaście godzin snu to dla niego mało ...

... szukałam zdjęć bo wiem że miałam fotografię dziadka przed sklepem obok swojej fabryki likierów i drugie z wnętrzem sklepu, inne z babcią w aucie i nie mam w szufladzie z albumami a nie chcę po nocy kręcić się by młodych nie budzić....

Tekst zamieszczono 22 września 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4267>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (20). Mariolka „szybko śpi” ☺.

Miałam wielkie szczęście do ludzi. Wróciłam właśnie z kaplicy szpitalnej – msza. Czasami tam chodzę – spotykam kolegów, pogadamy. Dzisiaj też tak było – spotkałam pielęgniarki z oddziału, które mnie ze sobą zabrały: kawa, domowe ciasto i... niech no pani siada - wyrosły włoski na brodzie - to usuniemy. Czyli wróciłam do domu po strawie duchowej, cielesnej i jeszcze gładka na twarzy. Takie były zawsze. Gdy po udarze trafiłam z OIOM-u na wewnętrzny codziennie rano przychodziły, brały mnie na wózek i wiozły pod prysznic i dopiero ja położona do czystego łóżka a one wracały do siebie.... Jak byłam lepsza a jeszcze nie pamiętałam liter przynosiły książki dla dzieci i od nowa poznawałam? uczyłam się? Muszę przyznać że miałam wielkie szczęście do ludzi. Kucharki wiedziały że lubię mleczną zupę (dzieci nie chciały to ja zawsze piłam bo zostawała w wiadrze) więc po udarze codziennie kucharka przynosiła mi kubek takiej zupy na wewnętrzny, bo dla wewnętrznego nie gotowały.... Inny dowód: z lasów przywozili nam do szpitala choinki. Panowie z ekipy oprawiali, a ja brałam kilka gałązek i znowu – po udarze – telefon do mnie: gałązki zostawiliśmy w portierni, proszę niech ktoś odbierze. I tak jest do dziś....Miłe jest też to że do dzisiaj dostaję przepiękne kwiaty na imieniny od obecnego szefa i dziewczyn nie muszę przekonywać że smak tej zupy i zapach daglezi jest nie do przecenienia tak samo miła jest dzisiejsza kawa.... A teraz mój wnuk (lat 4) przyszedł powiedzieć że zrobił ciasto na pizzę a tata TYLKO mu pomagał więc ruszam sprawdzić ☺

Tekst zamieszczono w 15 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=3972>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej (3). Szpital w Kępnie – Serce wśród Serc.

Kolegom... na pocieszenie. No to było tak z udarem – zawsze byłam „szkiełko i oko” a nie „czucie i wiara” i nie wierzyłam w opowieści o zaświatach, a tu po udarze gdy byłam nieprzytomna, co wynikało z opowieści kolegów, widziałam obok swojego łóżka szpitalnego wszystkich zmarłych kolegów i koleżanki ze szpitala - rysy znane ale przezroczyste - równo ubrani w jakieś zwiewne opończe, uśmiechnięci, ręce wyciągnięte po mnie dodawali mi otuchy - zaczęłam podnosić się by iść z nimi i spojrzałam na kolegę którego bardzo lubiłam ale nasze poprzednie, gdy jeszcze żył, rozmowy wyglądały na zaczepki. Widząc go teraz, też powiedziałam - odczep się nigdzie z tobą nie idę...Wtedy wszyscy uśmiechnięci odsunęli się w bardzo jasną świetlistą smugę - drogę. Gdy byłam w lepszej kondycji zaczęłam po raz pierwszy w życiu czytać o takich zjawiskach i wiele razy powtarzało się, że bliscy przeprowadzają na drugą stronę zmieniło mnie to trochę i nie jestem już taka ostro na NIE no i jeśli tak jest to nie ma się czego bać.....

Tekst zamieszczono 13 sierpnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=3960>, rozdział: Z pamiętnika Marii J. Nowakowskiej. Wstęp autorki bloga.

Michał Dolata (1947 – 2012). Bardzo krótkie wspomnienie Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz
Był rok 1965 r., kiedy rozpoczął się nasz I rok studiów na Akademii Medycznej w Poznaniu. Mam w oczach obraz nas- skupionych i nieustannie czujnych bo byliśmy jak w szkole codziennie a czasem niepodziewanie już traktowani jak odpytywani. Widzę nas młodych i pięknych, najczęściej przerażonych ale z ciekawością w oczach, siedzących wokół okazałego stołu posadowionego nieopodal majestatycznego kamiennego postumentu- stołu sekcyjnego. I tak przesuając się wzrokiem zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara rozpoznaję twarze Bogdanka Jesiołowskiego, Michała Dolaty, Irenki Dąbrowskiej, Krysi Graduszewskiej (obecnie Czerebiej), Anki Mieszała, Wojtki Michałek –Grodzkiego, Jurka Marcinkowskiego, Moniki Brzezickiej (obecnie Mejer) a nawet swoją. zupełnie różną od tej dziś oglądanej w lustrze. Tak więc z Michałem Dolatą byliśmy w jednej grupie na anatomii, wspólnie przeżywalimy ten czas stresów, bywało, że nawet traumy ale też i radości. Od dawna nie żyje już Wojtek Michałek –Grodzki o młocno - białej cerze z krwistymi rumieńcami, którego wspomnieliśmy w tym rozdziale, o Michale Dolata nikt nam nie opowiadał, poza tym, że ożenił się z Anką Mieszałą i oboje przenieśli się już niestety do tego drugiego ponoć lepszego świata... poszukując ich śladów w interencie znajdujemy jedynie....nekrolog ale też przy tej smutnej okazji, kilka informacji – że był onkologiem długo pracującym w Pile, zmarł nagle w wieku 64 lat, pozostawił Córkę, i dobrą pamięć wielu kobiet, którym uratował życie ...

Z Michałem, Moniką Brzezicką a czasem z Jurkiem Marcinkowskim przez chyba cały okres I roku studiów łączyliśmy po mieście, wpadaliśmy do teatrów, kawiarni a przede wszystkim rozmawialiśmy. Potem nasze drogi się rozeszły, ale Michał pozostaje w mojej pamięci jako urodziwy Chłopak o dużych wyrazistych oczach i profilu rzymianina, bo tak Go widziałam na anatomii gdyż siedział zwrócony do nas bokiem, Chłopak z poczuciem humoru, parszający śmiechem, czytany- imponował mi znajomością książek, których pomimo też ukończenia studiów nie poznałam...i to tyle, niestety tylko tyle.... może dzięki przekazaniu Koleżankom i Kolegom tych Pamiętników Ktoś doda jakąś opowieść o Michale gdyż poza utrwalaniem pamięci te wspomnienia też temu służą....

Nekrolog opublikowany w Głos Wielkopolski dnia 04.05.2012: Pozostaniesz na zawsze / w sercach i pamięci tych, / którzy Cię bardzo kochali

Z żalem zawiadamiamy, że dnia 28 kwietnia 2012 r. przeżywszy lat 64, zmarł ś.p. Michał DOLATA. lekarz onkolog. Nabożeństwo pogrzebowe odprawione zostanie w kościele św. Antoniego w Pile dnia 7 maja 2012 r. o godz. 13.00. Wyprowadzenie zwłok z kaplicy cmentarza komunalnego w Pile odbędzie się dnia 7 maja 2012 r. o godz. 14.00.

Pogrążeni w głębokim smutku - córka z rodziną i przyjaciółmi; Piła, Szamotuły, Zielona Góra, Poznań

Nieco więcej informacji przybliżającym nam Michała zawarto w portalu Piła Nasze Miasto: „W poniedziałek na Cmentarzu Komunalnym w Pile pochowano Michała Dolatę, znanego chirurga onkologa, który przez wiele lat praktykował w pilskim szpitalu. Setki osób przybyły na pogrzeb znanego i cenionego chirurga onkologa Michała Dolaty. Lekarz zmarł nagle, w wieku 64 lat. Całe lata pracował w pilskim szpitalu. Żegnali go koledzy po fachu, wśród nich dyrektor szpitala Teresa Kwiecińska-Koźmińska. Przybył także były prezydent Piły Zbigniew Kosmatka. W ostatniej drodze Michałowi Dolacie towarzyszyli licznie bracia kurkowi i to nie tylko z Piły, ale z całego regionu. Żegnali go z honorami, ze sztandarami. Było też wiele kobiet, którym uratował życie”. 8 maj 2012

Piła. Zmarł znany pilski onkolog Michał Dolata. Rodzina i znajomi pożegnali go w poniedziałek [online:] <https://pila.naszemiesto.pl/pila-zmarl-znany-pilski-onkolog-michal-dolata-rodzina-i/ar/c1-1393175>

Michał Ryglewicz – wywiad z Michałem przeprowadził Jerzy T. Marcinkowski

Rozmawiają Michał Ryglewicz (MR) i Jerzy T. Marcinkowski (JTM).

JTM. Dlaczego chciałeś zostać lekarzem?

MR: Nie miałem wyboru, żadnych wahań odnośnie wyboru zawodu lekarza, gdyż zarówno mój Ojciec jak i Matka byli lekarzami – ginekologami-położnikami. W czasie gdy mieszkaliśmy z Rodzicami w Poznaniu przy ulicy Słowackiego – a wówczas było mniej profesorów medycyny i wszyscy się znali – to bardzo często w naszym domu gościli tacy profesorowie, jak: Zdzisław Stolzmann [Dziekan Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu w latach akademickich 1956/1957-1959/1960], Roman Rafiński – laryngolog dziecięcy, Edward Czarnecki – fizjolog, Roman Drews - chirurg, Henryk Bręborowicz i inni. Na Radzie Wydziału Lekarskiego było ich wówczas tylko 15-20 - nie jak teraz. Często spotykali się nie tylko w teatrze czy operze ale i w słynnym poznańskim Hotelu 'Bazar' zbudowanym w 1842 r. , gdzie mieściły się też różne Towarzystwa m.in. naukowe ale przede wszystkim była i jest przepiękna klimatyczna restauracja z salą balową. Były też spotkania z okazji imienin czy innych okoliczności i zawsze towarzyszyły tym spotkaniom rozmowy głównie na tematy medyczne i szpitalne – dlatego od dziecka „przesiąkłem” medycyną.

JTM. Opowiedz Michale o swoim Ojcu.

MR: „Przed II wojną światową mój ojciec dr Karol Ryglewicz [1900-1955] - po uzyskaniu dyplomu w 1923 roku – chciał zostać chirurgiem. Z tych powodów zwrócił się do prof. Antoniego Tomasza Jurasza z prośbą o zatrudnienie w Klinice Chirurgii. Prof. Jurasz wyraził zgodę pod warunkiem zamieszkania na terenie szpitala, dla dyspozycyjności przez 24 godziny oraz zobowiązania się bycia kawalerem przez okres 10 lat. Ponieważ ten ostatni warunek wydawał się ojcu dość trudny, z prośbą o zatrudnienie zwrócił się do prof. Bolesława Kowalskiego – kierownika Katedry i Kliniki Położnictwa i Chorób Kobiety UP w Poznaniu przy ul. Polnej 33. Warunki stawiane przez prof. Kowalskiego były takie same, jednak okres bezżenności krótszy – jedynie ☺ 9-letni. To zdecydowało, że ojciec wybrał ginekologię i położnictwo!

Przed wojną duże znaczenie miał osąd moralności lekarza. Na przykład lekarz, który w tamtych latach rozwiódł się, bądź miał inne nieuporządkowane problemy z życia prywatnego niezgodne z obyczajowością, był zagrożony bojkotem towarzyskim. Po wojnie mój ojciec jako pierwszy z

ginekologów-położników powrócił do Poznania, gdzie reaktywował działalność Kliniki Ginekologii i Położnictwa Uniwersytetu Poznańskiego. Kierownictwo tej Kliniki objął później prof. Bolesław Kowalski, który był jej kierownikiem w okresie przedwojennym. Ojciec był również organizatorem Oddziału Ginekologii i Położnictwa w dzisiejszym Szpitalu im. św. Rodziny w Poznaniu przy ul. Niegolewskich. W 1953 roku ojciec dostał nakaz pracy do zorganizowania Kliniki Ginekologii i Położnictwa na Śląsku, w dzielnicy Zabrze – Rokitnica. Dojeżdżał tam z Poznania. Pewnego razu zimą pociąg już ruszył i wpadł pod koła i zginął na miejscu. Ja wówczas miałem 7 lat.

JTM. Ciekawa droga, zresztą nasi Rodzice mieli podobną, szczególnie że w PRL-u obowiązywały nakazy pracy i dlatego urodziłem się w Wadowicach.... I drugi problem - nie wiedziałem, że przed II wojną światową kierownik kliniki mógł wymagać, by lekarz długo pozostawał bezżenny....

MR. „Tak, lekarza można było traktować gorzej niż więźnia - bo nie tylko zamieszkanie na terenie szpitala, ale dyspozycyjność przez 24 godziny. A przecież wszyscy doświadczyliśmy jaki wpływ miały na nasze zdrowie dyżury – nie tylko ciężka praca, ale też dobrze pamiętam nieustanny niepokój który towarzyszył tej stałej gotowości....

JTM. Tak, wszyscy to dobrze pamiętamy... Zmieniając temat rozmowy chciałem zapytać o to czy pamiętasz „wypadki poznańskie” czerwca 1956 r., bo ja pomimo tego, że miałem tylko 8 lat a już zamieszkaliśmy w Poznaniu - doskonale pamiętam te przerażające huki strzelaniny i świsty pocisków ponad głowę docierające aż na ul. Dolną Wildę 38, gdzie wtedy mieszkałem w nieistniejącym już domu z muru pruskiego; wtedy bawiłem się przed domem – nie było tam jeszcze budynków i pływalni przy ulicy Chwiałkowskiego – powstały dopiero później. Potem pamiętam spacer z Mamą, która zabrała mnie tam mówiąc abym to dobrze zapamiętał co zobaczę – i widziałem okna domów przy ulicy Dąbrowskiego – gdzie toczyły się walki w pobliżu Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej mieszczącej się przy ulicy Kochanowskiego – wybite szyby, albo potłuczone szyby w oknach sklepane przez ludzi taśmami papierowymi i ulice przeorane pociskami i chodniki pogniecione gąsienicami czołgów...

[Poznański Czerwiec (Czerwiec '56) – pierwszy w PRL-u strajk generalny i demonstracje uliczne, które miały miejsce na końcu czerwca 1956 w Poznaniu. Protesty zostały krwawo stłumione przez wojsko i milicję, a samo wydarzenie było przez propagandę PRL bagatelizowane jako „wypadki czerwcowe” lub przemilczane. Obecnie przez część historyków i uczestników Czerwiec '56 bywa określany także jako poznański bunt, rewolta oraz powstanie poznańskie
https://pl.wikipedia.org/wiki/Pozna%C5%84ski_Czerwiec]

MR. Miałem wówczas tyle lat ile Ty, więc mam jedynie pojedyncze obrazy utrwalone w pamięci. Wówczas przebywałem w Puszczykowie pod Poznaniem: „Ludzie wracali torami kolejowymi do domu do Puszczykowa – bo pociągi gdzieś zatrzymano i w tym czasie przestały kursować się. Inny obrazek dotyczył zdarzenia pod posterunkiem milicji który był w pobliżu naszego domu w Puszczykowie. W tym samym czasie, kiedy ludzie szli torami z Poznania a pociągów nie było widać pod posterunek podjechała ciężarówka a na jej platformie był ciężki karabin maszynowy (ckm) na silnych metalowych „nogach”. Przyglądałem się z daleka a budziło to we mnie zaciekanie ale też grozę, gdy nagle zauważyłem że do wysiadających z ciężarówki milicjantów przyskoczyli jacyś mężczyźni i rozbili wszystkich mundurowych Tę akcję podziwiałem a może nawet pomyślałem że są bohaterami, takimi jak w czasie wojny o których czasami ktoś mi opowiadał czy przypadkowo usłyszałem, gdy rozmawiali dorośli...”

JTM. To były bardzo silne przeżycia z naszego dzieciństwa. Czerwiec 1956 roku – reminiscencja wojny którą przeżyli nasi rodzice a też może budzący się w nas patriotyzm?

A co pamiętasz Michale z okresu naszych studiów ?

MR. Z okresu studiów pamiętam głównie stres przed egzaminami, które były wówczas ustne i na egzamin przychodziły poszczególne grupy studenckie...

JTM. Z punktu widzenia przedmiotu, którym się zajmuję nadal nauczając studentów Twoja uwaga jest bezcenna. Higiena psychiczna, stres to uwarunkowania zdrowia psychicznego. Jakże musieliśmy być silni, że przetrwaliśmy czas studiów i potem równie stresującej pracy zawodowej będąc takimi jacy jesteśmy – zawsze ciekawi świata i raczej pogodni – co można zauważyć w czasie corocznych spotkań naszego roku.... Z tego wniosek, że jesteśmy bardzo silnym pokoleniem....

MR. Potwierdzam Jurku a nawet czasami się dziwię „oglądając” swoje życie z tej obecnej już dość odległej perspektywy, że dałem radę i pomimo „dojrzałej młodości” nadal pracuję i dyżuruję...

JTM. Wiesz Michale, że czasem wspominam nasz pamiętny obóz wojskowy po piątym roku studiów a Ty?

MR. Jeśli już pytasz Jurku, to ja głównie zapamiętałem jazdę pociągiem na ten obóz wojskowy – gdy przyszedł do nas ‘generał’ [Andrzej Polimirski] z Michałem Krzakiem, którzy już byli ‘napruci’ i powiedzieli, że tam w pociągu w dalszym wagonie sprzedają piwo ... więc tak się potem i inni ‘napruli’, że część nie wysiadła w Kłodzku, a pojechała dalej, część dotarła na miejsce, ale bez bagaży, których zapomnieli zabrać.

Wspominam też przygodę na końcu obozu z majorem Andrejczukiem u którego zdawałem musztrę. Po tym egzaminie drugi major, Lewandowski, zawołał mnie: „Andrejczuk cię wzywa”, po czym padło pytanie: „czy się zgadzam z oceną?”. Zapytałem „Nie wiem z jaką”. Mjr na to „Z niedostateczną”. Od razu odparłem: „Nie zgadzam się” – więc ten każe mi ciągnąć następne pytania. Byłem pewien, że odpowiem, bo w bliskim sąsiedztwie miejsca gdzie odbywał się egzamin, ale w rowie leżał „obryty” i uczynny kolega, który nam wszystkim podpowiadał. Andrejczuk to zauważył i Ten egzamin miał i mógłby mieć swoje możliwe reperkusje. Otóż to była „Potem bardzo ważna sprawa – gdy dostaliśmy cywilne ciuchy leżałem na podłodze bo na łózkach nie można się było kłaść – usłyszałem nagle moje nazwisko więc wstałem i powiedziałem, jak nas uczono: ‘Tak jest obywatelu majorze’. Okazało się, że wcześniej major Andrejczuk powiedział, że... ten Ryglewicz będzie rzucał we mnie kamieniami jak mnie spotka w Poznaniu. I wyniknęła z tego niezręczna sytuacja.

Jednakże ten obóz wojskowy, najczęściej wspominano po studiach – to były przeżycia które nas bardzo zjednoczyły.

JTM. Mam nadzieję Michale, że jednak kamieniami za mjr Andrejczukiem nie rzucasz ☺. Jednakże ten obóz wojskowy, jak najczęściej wspominano po studiach – to były przeżycia które nas bardzo zjednoczyły. To może teraz pora na pytanie dotyczące pierwszej po studiach pracy. Jak było z Tobą ?

MR. „W tym czasie, gdy kończyliśmy otwierał się Instytut Pediatrii i Szpital Wojewódzki przy ulicy Lutyckiej – mieliśmy przez to możliwości zatrudnienia. Miałem starszego brata – laryngologa, który pracował w Szpitalu im. Franciszka Raszei. Wprawdzie dostałem wtedy propozycję etatu na laryngologii dziecięcej – ale dość długo wahałem się, bo chciałem robić specjalizację z chirurgii u profesora Aleksego Krokowicza ale szanse na zatrudnienie tam nie było. Ponadto nie chciałem być dla mojego brata laryngologa konkurencją. Jednak ostatecznie ‘wdepnąłem’ do Instytutu Pediatrii na tę laryngologię dziecięcą. Kierownikiem Kliniki był wówczas doc. Roman Rafiński – który miał bardzo dużą praktykę prywatną i pewnie z tego powodu chyba nie został profesorem. A może przyczyną były jego silne i często wyrażane poglądy prawicowe – dla przypomnienia był to czas PRL- u i władzy komunistycznej... [Klinika Otolaryngologii Dziecięcej w Poznaniu powstała w roku 1972. Jej twórcą i

pierwszym kierownikiem, w latach 1972 – 1977, był dr hab. med. Roman Rafiński. W latach 1977 – 1994 Kliniką kierował prof. dr hab. med. Andrzej Soboczyński. W latach 1994 – 2010 kierownikiem kliniki był prof. dr hab. med. Michał Grzegorowski, który od 2004 do 2011 roku jednocześnie pełnił funkcję konsultanta krajowego w otolaryngologii dziecięcej. Od 2010 roku Kliniką Otolaryngologii Dziecięcej kieruje dr hab. med. Jarosław Szydłowski].

Pierwszy stopień specjalizacji z laryngologii dziecięcej zdałem już po 2,5 roku. Cieszę się, że wybrałem laryngologię dziecięcą, bo w szpitalu nie było 'podgryzania', ale bardzo miła atmosfera. I jeszcze dzisiaj, gdy chodzę tam na dyżury, spotykam się z dużą życzliwością młodszych kolegów.

JTM. a czy miałeś kiedyś okazję pracować za granicą?

MR. Obecnie nasza medycyna jest już europejska. Ale jeszcze w czasie gdy Polska była zamknięta za „żelazną granicą”, miałem okazję pracować we Francji, gdzie przez pół roku byłem na praktyce w szpitalu w Grenoble – to nie było żadne stypendium – sam sobie tą praktykę załatwiłem. Tam się napatrzyłem na bardziej skomplikowane zabiegi z mikrochirurgii ucha – pod mikroskopem. U nas wtedy były jeszcze zabiegi bardziej radykalne. System pracy we Francji był wtedy inny niż w Polsce....

JTM. czy pracując nieustannie założyłeś rodzinę i czy masz dzieci. Czy któreś poszło w Twoje ślady?

MR. Mam trzech synów z których jeden skończył medycynę w Poznaniu. Mieszka i pracuje jako lekarz w Kanadzie, bo poznał na stażu studentkę z Kanady, która przejechała do Poznania; studiowała na Wydziale Anglojęzycznym Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Ona nie wyobrażała sobie pracy tutaj. Syn zrobił tam nostryfikację i pracuje jako lekarz rodzinny w Kanadzie.

JTM. a może Michale chciałbyś coś przekazać młodym medykom?

MR. Studentom i młodym lekarzom przekazuję: żeby pracowali z wielką pasją i niekoniecznie patrzyli na profity, które spływają. Obecnie młodzież jest nastawiona od samego początku że muszą zarabiać i to dużą kasę. Po kilku miesiącach już się angażują w prywatne gabinety i ostatecznie mają znacznie mniej czasu na doksztalcanie się.

Mieczysław Wisielica (1947-2023). Wspomnienia własne o śp. żonie, naszej koleżance ze stomatologii – Barbarze Dreszer- Wasielicy, o czasach studenckich, rodzinnych i zawodowych spisane dnia 29.11.2015 r. Nekrolog...

Propozycja pisania wspomnień z okresu studiów była dla mnie dużym zaskoczeniem. Powoli wracały w pamięci epizody, fakty, przeżycia, zdarzenia, refleksje, przemyślenia, które można by opisać, podać, przypomnieć. Jednocześnie przychodziły do głowy wątpliwości związane z lukami w pamięci, rozmyciem w czasie wielu zdarzeń, ich zniekształceniem. Osoby z mojej rodziny i inni malkontenci, którym mówiłem o pomysle Jurka Marcinkowskiego opublikowania naszym pamiętników zadawały pytania kto i ile osób będzie czytało nasze „wypociny”, kogo będzie to interesowało, kto będzie to finansował, ilu autorów potrafi ciekawie opisać swoje losy, życie prywatne i zawodowe? Na pewno problemem jest duży upływ czasu i związane z tym zniekształcenia faktów.

Wspomnienia studenckie. Bezpośrednio po studiach wyjechałem do Białegostoku (później to wyjaśnię) i utraciłem kontakt z koleżankami i kolegami ze studiów. Spotykaliśmy się przypadkowo na zjazdach chirurgicznych lub gastrologicznych, albo na imprezach organizowanych przez Alicję Kaczmarek-Michalewicz. Brałem udział tylko w spotkaniach z okazji okrągłych rocznic ukończenia studiów 25 Poznań, 1998 Ślesin, 30, 35, 40 Baranowo i 50 rocznicy egzaminów wstępnych na AM, które odbyło się w tym roku pod hasłem „Znamy się już 50 lat”. Świadomie rezygnowałem z corocznych spotkań z dwóch powodów a mianowicie mój udział to wypadnięcie, oprócz dni spotkania, dodatkowo dwóch dni na dojazd i powrót. Jednak główną przyczyną było to, że prawie

wszystkie miejsca, dokąd jeżdżono, miałem okazję zwiedzić nawet kilkakrotnie wcześniej, jako że uwielbiam turystykę.

Do moich wstępnych uwag dodam jeszcze nadzieje, że dobrzy redaktorzy poprawią moje błędy związane z pamięcią, wyeliminują znaki zapytania i słowa „chyba”. A może były na roku osoby, które pisały pamiętniki i teraz się ujawnią.

Dobrze się złożyło, że w Białymstoku jest przygotowywana książka (monografia) pt. „Chirurgia specjalistyczna w Uniwersytecie Medycznym i szpitalach białostockich”, w której będzie zamieszczony również mój życiorys. Pozwolę sobie dołączyć go do mojego wstępu i opisu okresu studiów. Szanowni redaktorzy na pewno potrafią połączyć to w całość i coś z tego wyjdzie.

Startujemy. Liczby mają na celu tylko przejrzystość tekstu i mogą zostać pominięte:

1. Egzamin wstępny pisemny wspominam dobrze, chyba nie był trudny. Pamiętam tylko jedno pytanie (a było ich siedem) z optyki, aby opisać budowę i działanie mikroskopu. Późniejszy egzamin (rozmowa kwalifikacyjna) odbywała się chyba na Fredry, była krótka i sympatyczna. Po oczach i zachowaniu komisji widziałem, że będę studentem. Spokojnie wróciłem do domu i oczekiwałem na powiadomienie listowne. Dodam, może nieskromnie, że z mojego miasta (liceum w Rawiczu) zdawało na poznańską Akademię Medyczną 7 osób a zdałem tylko ja, z czego rodzice byli dumni.

2. Początek studiów był dla mnie bardzo trudny. Nie miałem jeszcze 18 lat. Nie znałem Poznania. Brakowało informacji dla zagubionych studentów z adresami i mapkami np. zakładów, sal wykładowych, pracowni, stołówki, biblioteki, obowiązujących przepisów i wymogów. Zamieszkałem w akademiku w drewnianych barakach (przy ul. Sowińskiego i ul. Grunwaldzkiej) z dwoma kolegami Ludwikiem Krzysztofem Szereszewskim i Romanem Błażejczakiem. Ludwik był już po studiach (częściowych?) z biologii i nie musiał się uczyć. Jego ciągłe rozmowy (gadulstwo) utrudniały mi w pierwszych dniach naukę, głównie anatomii. Trudno mi było znaleźć miejsce w jedynej wspólnej kuchence na cały barak lub pod prysznicem. Regularnie nie zaliczałem ćwiczeń z anatomii. Chyba w trzecim tygodniu nie wytrzymałem i dzięki znajomościom ojca trafiłem na Grunwaldzką 143 do domu Państwa Pawłowskich, gdzie mieszkalem przez 5 lat studiów. Akademik wspominam niemiłe. Nie wiem czy wypada pisać, że z kuchenki zginęły zostawione przeze mnie gotujące się jajka. Po pierwszym roku, a może później? gdzieś przepadł mi Ludwik. Krążyły wieści że popełnił samobójstwo, ciekaw jestem jaki był powód (mam kiepskie zdjęcie z akademika). Po ulokowaniu się na stacji odżyłem, mogłem się uczyć spokojnie, nadrobiłem zaległości. Ponieważ trenowałem i grałem w koszykówkę w okresie liceum w Rawickim Kolejowym Klubie Sportowym, od początku studiów zamiast zajęć wychowania fizycznego na basenie trenowałem w uczelnianym AZS i jeździłem na mecze do Rawicza. Nie pamiętam czy od III lub II roku zrezygnowałem z meczów z drużyną RKKS-u. Pozostał AZS, treningi dla przyjemności, udział w Ampach (Akademickie Mistrzostwa Polski Akademii Medycznych) co dwa lata (Gdańsk, Poznań, Katowice). W Poznaniu zdobyliśmy Mistrzostwo Polski. Pamiętam niestety tylko kilka nazwisk kolegów – Bracia Krasoniowie (Bogdan i ?), ich kolega Mocek, Jasiu Busza, ... Żyła, Witek Szyfter, Krenc?

Na przełomie roku 1965/66 miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie charakterystyczne dla tamtych lat. Dostałem wezwanie na Komisję (sąd?) za niedopełnienie obowiązku zmiany zameldowania ze stałego w Rawiczu na czasowe w Poznaniu w nowym dowodzie osobistym. Spotkałem tam na korytarzu kolegę ze studiów Stefana Stamma, który mi później po latach o tym fakcie przypominał. Żadne moje tłumaczenia przed wysoką komisją nie pomogły, zostałem ukarany mandatem, chyba trzystuzłotowym.

3. O matematyce na II semestrze właściwie mogę jedynie napisać, że całki i różniczki były dla mnie za trudne i sam nie wiem jak je zaliczyłem. Później, już po latach, w pracach naukowych musiałem korzystać z pomocy matematyka.

4. Ten punkt chętnie bym pominął, jako że niewiele pamiętam. W juvenaliach brałem udział tylko jeden raz, nie wiem na którym roku, chyba nie dojrzałem do nich. Byłem w jakimś tłumie na Placu (Parku) Mickiewicza. Pamiętam silne światła reflektorów (chyba wojskowych) aż do nieba i tyle. Wracałem do domu pieszo, po północy. Byłem trzeźwy i żadnych hasel nie widziałem.

5. ad marzec 1968 r. Zebranie roku z dziekanem pamiętam było chyba w ramach wykładu z patofizjologii. Rozumiałem obawy i „zadania” władz uczelni. Pamiętam wystąpienie naszego kolegi studenta (...) popierającego władzę.

Wiosna 1968 r. była dla mnie bardzo ważna ale z innych powodów. W połowie lutego, wracając tramwajem do domu, podeszła do mnie koleżanka ze Stomatologii o imieniu Barbara. Jak się później okazało wysiadała na tym samym przystanku co ja i mieszkała niedaleko. Taki był sam początek naszej miłości. Prosiło mnie kilka osób (m.in. Irena Masłoń, Zosia Mucha-Zommer) abym napisał coś więcej o Barbarze, co niniejszym czynię. Urodziła się 16.10.1948 r. w Ślesinie koło Konina. Taka mała dygresja (ciekawostka) – w dniu 30 urodzin Barbary Karol Wojtyła został wybrany na papieża, a Wanda Rutkiewicz zdobyła Mount Everest (oboje zaszli tak wysoko). Nasze uczucie powoli rozwijało się. Mama Basi w tym czasie leżała w szpitalu wojskowym w Poznaniu z powodu powikłań po zawale serca. Zmarła 12.04.1968 r. – niestety nie było mi dane poznać przyszłej teściowej. Czas biegł szybko.

W wakacje musiałem poprawić farmakologię i być na obozie w Pustarach (na południe od Kołobrzegu). Nie pamiętam dokładnie co to był za obóz i kto nim kierował [był to obóz naukowo-społeczny zorganizowany przez Zakład Higieny Akademii Medycznej]. Chodziło, w ramach higieny, o przeprowadzenie badań środowiskowych z mieszkańcami tej wioski. Pamiętam, że chodziliśmy też po łanach zboża i wrywaliśmy maki, chabry – był upał. Byłem tam z Barbarą, zaliczyliśmy festiwal piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu.

6. Akademik p. punkt 2

7. Wojsko na studiach to nieszczęsny problem. Zaczęło się na drugim semestrze pierwszego roku. Dostaliśmy mundury: ciężki zimowy płaszcz (musiałem go skrócić o kilkanaście centymetrów), czapkę, buty, pas. Zajęcia odbywały się w każdy wtorek, głównie w Collegium Anatomicum na Świącickiego. Nie lubiłem musztry, strzelania (poligon Biedrusko), zniekształcania historii II Wojny Światowej na zajęciach. Obóz wojskowy po piątym roku w jednostce wojskowej w Kłodzku trwający pięć lub sześć tygodni jakoś przeżyłem chociaż był dołujący. Niemile wspominam pobudki, musztry, warty, ciągły rygor, posiłki. Pamiętam wyjazdy samochodami wojskowymi poza teren jednostki w ramach ćwiczeń taktyczno-strategicznych i jakieś zadania na mapach wojskowych. Przygotowywaliśmy się przeciwko agresji wojsk NATO (chyba Duńczykom). Taka była komunistyczna propaganda. Jeździliśmy w kierunku wschodnim: Złoty Stok, Paczków, Nysa, Ząbkowice Śląskie. Na obozie sporo schudłem z powodu stresów i przewlekłych biegunek (może po grochówkach). Nie było przyjemnie, najlepiej świadczy o tym fakt wypadnięcia włosów Andrzejowi Woźnicy. Korzyścią kilkutygodniowego obozu wojskowego było zacieśnienie przyjaźni, lepsze poznanie się kolegów, zapamiętanie zdarzeń na późniejsze długie lata. Łatwiej obóz było przeżyć osobom umiejącym sobie załatwić piwo. Z przyjemnych rzeczy pamiętam przysięgę, na którą przyjechał mój Tato, dziesięcioletni brat Romek oraz Barbara z kilkoma koleżankami, które wcześniej zarezerwowały pokoje w hotelu, jako że po przysiędze mieliśmy przepustki.

Nie pamiętam czy po piątym roku miałem jakąś praktykę szpitalną i jak spędzałem czas z Barbarą. Wiem, że skończyła stomatologię i uparła się, żeby studiować na Wydziale Lekarskim. Wówczas obowiązywały przepisy, że aby specjalizować się w chirurgii szczękowej (o której marzyła), trzeba było mieć też odbyte studia lekarskie IV-VI roku. Rektorzy Akademii Medycznych w Poznaniu, Warszawie, Lublinie i chyba w Gdańsku nie wyrazili na to zgody. Dopiero rektor w Białymstoku zgodził się, ponieważ w Akademii Medycznej organizowano w tym czasie Wydział Stomatologii i potrzebni byli asystenci stomatolodzy. Tak więc na ostatni rok studiów zostałem w Poznaniu sam. Pozostały listy i rzadkie telefony przez pocztę. Spotkaliśmy się dopiero w czasie ferii zimowych, kiedy to przyjechałem pierwszy raz do Białegostoku. Jakoś ten rok przeżyłem. Ostatni egzamin z laryngologii u prof. Zygmunta Szmeji – ojca obecnego prof. Jacka, chirurga – zdałem 25.05.1971.

Dyplomatorium odbyło się w Auli Uniwersyteckiej. Przeglądając ostatnio tablo znalazłem w nim pośłótkę wycinek z gazety o naszej uroczystości rozdania dyplomów. Podano też informację, że z 240 słuchaczy, którzy rozpoczęli w 1965 r. studia, naukę ukończyło w terminie 198 osób (6 z odznaczeniami). Po wojnie poznańska uczelnia wykształciła 5599 lekarzy medycyny i 1936 lekarzy stomatologów. Mój dyplom ma numer 5400 (mam zdjęcie z odbioru dyplomu).

Barbara zaliczyła IV rok Wydziału Lekarskiego w Białymstoku. W czerwcu pojechałem do niej i razem udaliśmy się do pełnomocnika ds. zatrudnienia absolwentów, który uwarunkował mojej zatrudnienie zalegalizowaniem naszego związku. Śluby udało się odbyć 11 i 14.08 w Poznaniu. W podróży poślubnej byliśmy z Almaturowem w Kijowie, Moskwie i na Krymie.

Od 01.10.1971 r. zostałem zatrudniony w Szpitalu Wojewódzkim im. Jędrzeja Śniadeckiego w Białymstoku, gdzie pracowałem do 31.12.2012 r. (ponad 41 lat w tym samym budynku).

Przesyłam w załączeniu „zawodowy” życiorys przygotowany do monografii pt. „Chirurgia specjalistyczna w Uniwersytecie Medycznym i szpitalach białostockich” i proszę o dołączenie do moich wspomnień w ramach punktu 14 wytycznych dotyczących Pamiętników.

9. W indeksie znalazłem następujące praktyki wakacyjne: chirurgia – III Kl. Chir. 1-28.07.1966, laboratorium – Kl. Neurologii, 3-29.07.1967, Powiatowa Stacja San.-Epid. w Rawiczu 1-28.08.1969 – pamiętam m.in., że jeździłem z dyrektorem sprawdzać pod względem sanitarnym kolonie szkolne, stołówki, mleczarnię, restaurację i masarnię. Odbyłem również chyba trzykrotnie praktyki wakacyjne w Powiatowym Szpitalu w Rawiczu w Oddziale Wewnętrznym i Chirurgicznym. Z pobytu w oddziale wewnętrznym dobrze pamiętam pacjentkę z ciężkim przełomem tarczycowym, którą udało się wyleczyć. W późniejszej pracy przełom spotkałem po wielu latach tylko jeden raz, konsultując oddział wewnętrzny. W oddziale chirurgicznym asystowałem do wielu operacji chirurgicznych, urologicznych i urazowych. Mile wspominam powyższe praktyki. Miały one duży wpływ na późniejszy wybór specjalizacji.

W czasie kilku wakacji wyjeżdżałem we wrześniu na obozy sportowe do Sierakowa (15 km na wschód od Międzychodu) do ośrodka nad Jeziorem Jaroszewskim. Mieliśmy tam dobre warunki do zdobywania kondycji jak również odpoczynku. Kierownikiem obozu był zawsze mgr Michalski (przepraszam ale nie pamiętam imienia). Był to Pan w starszym wieku, miły, sympatyczny, zawsze uśmiechnięty, lubił wcześniej rano zbierać grzyby w okolicznych lasach. Myśmy maszerowali na śniadanie a On wracał z koszem grzybów, które suszył w kotłowni. Uczestnicy wracali z obozu z opalenizną i wrażeniami a mgr z torbą suszonych grzybów. Już dawno temu miałem informację, że w ośrodku w Sierakowie wszystko się zmieniło i bym go nie poznał – muszę się tam wybrać.

Z Barbarą byłem latem na dwóch obozach żeglarskich w Giżycku i zimą dwa razy na obozie bojerowym. Zdobyliśmy stopnie żeglarza. Dopiero w czasie studiów nauczyłem się jeździć na nartach będąc w czasie ferii zimowych na obozie na Hali Szrenickiej koło Szklarskiej Poręby.

Pisząc o praktykach może jeszcze wspomnę internaty z położnictwa (na Polnej) [Ginekologiczno-Położniczy Szpital Kliniczny im. Heliodora Święcickiego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, ul. Polna 33, 60-535 Poznań] i psychiatrii w „Dziekance” k. Gniezna [Wojewódzki Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych „Dziekanka” im. Aleksandra Piotrowskiego, ul. Poznańska 15, 62-200 Gniezno; www.dziekanka.net]. Na pierwszy poród zareagowałem zasłabnięciem i musiałem opuścić porodówkę, potem już było dobrze. Mieliśmy dobrą atmosferę w pokoju. Pozostały zdjęcia nie do publikacji. W czasie pobytu w Dziekance była jesień: szaro, deszczowo, wietrznie, smutnie, dołująco, o pacjentach nie wspomnę. Na koniec pobytu nasz kolega z grupy Wojtek Orlicki zaprosił nas do domu rodziców na sympatyczną imprezę z posiłkiem, muzyką i tańcami. Wojtka spotkałem jeszcze później na zjeździe Towarzystwa Chirurgów Polskich w Gdańsku w 1985, a potem przepadł – ponoć jest w Kanadzie. Chciałbym jeszcze wspomnieć kolegę Zbyszka Bąka. Spotykałem go czasem w tramwaju na Grunwaldzkiej. Zimą chodził zaskakująco lekko ubrany, nie mogłem na to patrzeć, trudno rozmawiało się z nim, żył w swoim świecie. Występował w teleturnieju „Wielka Gra” w dziedzinie fizyki osiągając wysoki poziom. Potem też mi przepadł. Chciałbym też napisać o Jacku Wciórce, którego wielką karierę zawodową można było obserwować w mediach. Wiem, że jest zasłużonym profesorem, członkiem komitetu redakcyjnego Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN 1995, był (jest?) prezesem Polskiego Towarzystwa Psychiatrii, dyrektorem Instytutu Psychiatrii w Warszawie, itd., itd. Kochany Jacku może wpadną Ci w ręce nasze wypociny i znajdziesz czas, aby je przeczytać. Myślę, że jesteś doskonale zorganizowany i znajdziesz dobę lub więcej, aby spotkać się przy najbliższej okazji z koleżankami i kolegami ze studiów. Należy się to Tobie, nam, naszej Alma Mater, którą ukończyłeś i która Cię ukształtowała. Oczywiście nie umniejszam Twoich zdolności i pracowitości. Serdecznie Cię pozdrawiam i żyję z nadzieją spotkania. Alicjo, nie zapomnij wystać Jackowi powiadomienia.

Zbliżając się do końca jeszcze kilka prywatnych informacji. Na szóstym roku mieszkałem na ul. Kraszewskiego 15 razem z bratem Zenonem, który zaczął studia medyczne na pierwszym roku. Aktualnie jest ordynatorem Oddziału Chirurgicznego w Wojewódzkim Szpitalu w Lesznie. Mój drugi brat Roman jest stomatologiem (po białostockiej AM w 1983r.) i pracuje w gabinecie prywatnym w Kościanie.

Moja Żona, Barbara skończyła Wydział Lekarski (1973) jednocześnie pracując w Klinice Chirurgii Szczękowej. Zdała specjalizację, a w 1980 r. obroniła doktorat. Wcześniej w 1976 r. urodziła córkę Justynę która jest aktualnie adiunktem w Klinice Gastroenterologii i matką trojga dzieci, moich kochanych wnucząt. W styczniu 1988 r. Barbara niestety zmarła w czasie porodu drugiej córki, Sylwii. Nie chciałem wracać i pisać o szczegółach tej tragedii. Spoczywa w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Ślesinie. Sylwia po skończeniu dwóch fakultetów na Uniwersytecie Warszawskim oraz Marketingu i Zarządzania na SGH, mieszka z mężem w Warszawie. Byłem sześć lat wdowcem, zakochałem się ponownie w pięknej Ani (mgr pielęgniarstwa), pracującej na bloku operacyjnym naszego szpitala. Pobraliśmy się w 1993 roku, a w roku następnym urodził się nasz syn Mateusz, który aktualnie jest studentem III roku Wydziału Architektury Politechniki Białostockiej. Z Barbarą przeżyłem prawie 17 lat a z Anią już 22.

Kończąc nasze bardzo skrócone życiorysy chciałbym podkreślić, że Akademia Medyczna w Poznaniu miała duży wpływ nie tylko na wykształcenie mnie jako lekarza, ale również na ukształtowanie mojej postawy życiowej, podejścia do chorych, pracy, życia.

Będąc już po studiach daleko od poznańskiej uczelni zawsze byłem dumny, że jestem jej absolwentem i okazywałem to przy różnych okazjach. Wielu moich nauczycieli akademickich mam przed oczyma, a koleżanki i koledzy pozostaną bliscy mi na zawsze. Szkoda, że to wszystko tak szybko przemija, a dobrze, że zostanie chociaż częściowo utrwalone w naszych pisemnych wspomnieniach.

Operować lubię bezkrwawo. [Tekst autorstwa Mieczysława Wasielicy pt. Operować lubię bezkrwawo pochodzi z książki Cud w medycynie wydanej nakładem Wydawnictwa Literackiego (ISBN 978-83-08-04434-6) Rok wydania 2010. str. 161- przyp. syna Mateusza]

Nie mówię pacjentom, ile jeszcze zostało im czasu. Nawet jeśli są w ciężkim stanie i naciskają, by wyliczyć im miesiące, tygodnie czy dni reszty życia. Mówię, jak jest, niczego nie koloryzując, nie boję się przyznać do własnej bezradności, gdy medycyna nie pozwala mi już ratować człowieka, ale czasu mu nie odmierzam. Nie jestem zegarmistrzem, jedynie chirurgiem, który zbyt długo już operuje, by nie wiedzieć, że nie ma w medycynie niewzruszonych reguł. No, może poza jedną: o życie trzeba walczyć do końca, bo nie my, ludzie, mamy w tej materii ostatnie słowo.

*

Parę tygodni temu przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” wywiad z młodą okulistką z Bydgoszczy, która wprawiła w zdumienie swoich pacjentów, czekających przed jej gabinetem na wizytę, następującym oświadczeniem: „Dzień dobry, przepraszam za spóźnienie, ale trudna operacja się przeciąga. Muszę wrócić na salę jeszcze na 20 minut, potem będę już tylko dla państwa”. Dla lekarki było to coś oczywistego – traktuje innych tak, jak sama chciałaby być traktowana. Zdaje sobie sprawę, że leczenie to współpraca lekarza z pacjentem, dlatego trzeba choremu dokładnie i rzeczowo wyjaśnić, na czym polega jego dolegliwość, dlaczego musi brać akurat te leki, czym grozi niedostosowanie się do jej zaleceń. Wie dobrze, że leczenie jest wtedy skuteczniejsze. W każdym chorym widzi przede wszystkim człowieka, któremu trzeba poświęcić trochę uwagi, uspokoić, gdy tego potrzebuje, wysłuchać. Na koniec deklaruje: „Gdy mam pacjenta, nie mogę ograniczyć się do leczenia tylko oka. Muszę zaopiekować się nim kompleksowo. Czasem, gdy mam pacjenta w stanie poważnym, nie mogę przestać o nim myśleć po wyjściu ze szpitala. Ale trzeba zachowywać umiar. Mówię sobie: OK, jeszcze przeanalizuję to rozwiązanie, a potem muszę się zrelaksować, pobyć ze sobą, z rodziną”.

Pomyślałem, bardzo nieskromnie: tak właśnie wygląda całe moje życie – chirurga ze szpitala wojewódzkiego, w mieście oddalonym od metropolii i najważniejszych ośrodków naukowych. Piętnastu chirurgów na oddziale, ponad dwa tysiące chorych rocznie, z których większość ma problemy z wątrobą i drogami żółciowymi. Czasami sto dwadzieścia, a czasami sto pięćdziesiąt razy, w roku staję przy stole operacyjnym. Pęcherzyk żółciowy operuję godzinę, „trudną” tarczycę – trzy godziny, żołądek – sześć godzin, trzustkę – jeszcze dłużej. Tak jest w każdym szpitalu, w moim z reguły też nie dzieje się nic spektakularnego – lekarze i chorzy walczą o zdrowie. Tylko tyle. Blisko stu osobom z tych ponad dwóch tysięcy nie udaje nam się pomóc. To pięć procent wszystkich przyjmowanych co roku na oddział. Dużo to czy mało? Jeżeli chce się rozmawiać o ludziach, statystyka niewiele powie, lepiej zapytać o to rodziny zmarłych; dla nich każda z tych śmierci to było całe sto procent.

Są jednak pacjenci, którzy uczą mnie, że śmierć nie zawsze musi oznaczać przegraną. Pamiętam takie jasne postaci, którym chciało się nieba przychylić za ich mądrość i dzielność w każdym calu, choćby panią z dziewięcioma krzyżykami na karku, mocno schorowaną. Całe życie mieszkała na wsi gdzieś pod Białymstokiem, ciężko pracowała. Nie potrafię przypomnieć sobie, co jej dolegało – chyba była to martwica jelit. To beznadziejna sytuacja: zator albo zakrzep zatykają naczynia krwionośne, przez co jelita cienkie nie są odpowiednio ukrwione i stają się czarne. Czasami w takich sytuacjach jeszcze

otwieramy brzuch, sprawdzając czy nie pomogłoby wycięcie części jelit objętych martwicą, ale z reguły chirurg niewiele ma do roboty w takich przypadkach. A bez jelita cienkiego, które odpowiada za wchłanianie przez organizm substancji odżywczych, nie ma przecież życia. Zastanawia mnie, że zatarły mi się w pamięci szczegóły choroby tej starszej pani, za to ją pamiętam bardzo dobrze – zadziwiała pogodą ducha i trzeźwym podejściem do życia, choć nie ukrywałem przed nią jej stanu. Odpowiedziała: „Panie doktorze, ja już swoje przeżyłam. To co miałam zrobić, zrobiłam. Proszę mi pozwolić odejść”. Ograniczyłam swoją działalność do podawania leków przeciwbólowych; zmarła po kilkunastu godzinach.

Ale można też inaczej. Przekonałem się o tym, lecząc panią, u której podczas rutynowego badania wykryto nowotwór żołądka. Pacjentka miała skończone 90 lat. Choć była sprawna, zdrowa, pełna sił, podjęcie decyzji o przeprowadzeniu operacji nie przyszło lekarzom łatwo: mieliśmy jej wyciąć cały żołądek, a następnie połączyć przełyk z jelitem cienkim. (Życie bez żołądka jest możliwe, tylko trochę bardziej niż zazwyczaj uciążliwe, bo trzeba dość często przyjmować pokarmy.) Zastanawialiśmy się, czy starsza pani wytrzyma operację? Jak zareaguje na znieczulenie? Czy planowane zespolenie zagoi się i jak będzie funkcjonowało? Czy chora przetrzyma czas bezpośrednio po operacji, kiedy grozi jej zapalenie płuc, krwotoki, powstanie skrzepów, zaniki pamięci, nawet zawał serca? Powikłań, jakie mogą się pojawić, jest mnóstwo. Widziałem to wiele razy u starszych osób, które mimo wieku wydają się sprawne i pełne energii, wystarczy jednak, że położą się na kilka dni do łóżka, choćby z powodu banalnej infekcji, by momentalnie stracić siły. Z racji wieku naczyńia dostarczające krew do mózgu są sztywne, miażdżycowe, szybko więc u człowieka osłabionego ciężką operacją mogą się pojawić zaburzenia psychiczne: chorzy nie poznają bliskich, wyrrywają sobie z żył wenflony i przewody przyłączonej do nich aparatury, nie mamy z nimi żadnego kontaktu. Organizm chorego albo jest na tyle silny, że da temu radę, albo zginie. Uprzedzałem o powikłaniach rodzinę i samą pacjentkę, która z takim nowotworem mogła żyć, bez większych dolegliwości, nawet rok. Niczego nie ukrywałem, bo ryzyko przy tak rozległej operacji jest spore. „Nic to” – usłyszałem od starszej pani. „Przeżyłam łagry, może przetrzymam i to”. Ulegliśmy prośbie. Tydzień po operacji chora jest w bardzo ciężkim stanie. Wszystko wisi na włosku. [*Chora operację zniosła dobrze i mimo ciężkiego stanu pooperacyjnego wyzdrowiała.* [M. Wasielica, *Operować lubię bezkrawo w Cud w medycynie*, Wydawnictwo Literackiego (ISBN 978-83-08-04434-6), 2010, str. 163- przyp. syna Macieja].

Nigdy nie mówię rodzinie, że jestem z przebiegu operacji zadowolony. Po operacji dobrze powinien się czuć pacjent, nie chirurg, więc lepiej ugryźć się w język. Tym bardziej, że przecież nie wiemy, co komu pisane, a chorzy „lubią” zaskakiwać: ci, którzy wydają się być bez szans na powrót do zdrowia, odzyskują siły; ci, którzy powinni łada dzień stanąć na nogach – umierają; chory z banalną przypadłością, nagle ma powikłania, a osoba, u której spodziewamy się tylko komplikacji, tydzień po operacji idzie do domu. Tu nic nie jest oczywiste: dlaczego ciężkie operacje, które rozpoczynamy z duszą na ramieniu, kończą się sukcesem, a trudne rany goją się bez komplikacji, pacjenci odzyskują przytomność i wracają do sił? Proszę się jednak nie przerażać – w tym, co mówię, kryje się nie tylko strach przed nieznanym, ale i obietnica nadziei na powrót sił i zdrowia.

Tak, opadają mi czasem ręce. Marzę, by zakończyć wreszcie operację i już martwić się, co będzie z pacjentem. Zdarza się, że stoję w miejscu, nie mam pomysłu, co robić dalej. Tym bardziej podziwiam pacjentów za cierpliwość i zaufanie, z jakim znoszą to, co im fundujemy. Wie pani, jak wrzeszczy poparzone dziecko, któremu zmienia się opatrunek? Ja wiem. Wiem też, jak boli zastrzyk, i nie chciałbym być ukłuty ani razu, a mam pacjentów z brzuchem rozciętym od góry do dołu, „skanalizowanych” przy pomocy iluś tam drenów, sond, sączków, kroplówek. Leżą wiele dni, nie mogą się poruszyć i wciąż są czymś nakłuwani. Są chorzy, z reguły bardzo ciężko, którzy nigdy na nic się nie uskarżają, a każde cierpienie znoszą z godnością. Ta dzielność wciąż mi imponuje. Czasami

zastanawiam się, czy choroba wybiera tych najdzielniejszych, czy może wydobywa z nas pokłady odwagi, o jakich nie mieliśmy pojęcia?

Zawsze powtarzam, że trzeba mieć nadzieję, ale obserwując moich pacjentów, czasami mam wrażenie, że byłbym pierwszym, który by ją podczas tak ciężkiej próby stracił.

*

Wiedziałem, że w niczym pacjentce nie pomogę, od kiedy otworzyłem brzuch – złośliwy nowotwór pęcherzyka żółciowego był w takim stadium zaawansowania, że mowy nie było o jakimkolwiek leczeniu. Chora zginęła kilka tygodni po operacji. Innym razem leczylimy dwudziestokilkuletniego chłopaka. Po otwarciu brzucha zobaczyliśmy przede wszystkim rozsiany nowotwór. Był wszędzie. Po operacji wziąłem badania histopatologiczne i usiadłem w moim gabinecie, by porozmawiać z ojcem pacjenta. Rozmawialiśmy bardzo rzeczowo. Przyznałem, że jego syn jest w sytuacji beznadziejnej i nie damy rady go uratować... Usłyszałem wtedy słowa, które zdarza mi się słyszeć coraz częściej, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie tak stawiają sprawę: „Jak lekarz może powiedzieć coś takiego – że mój syn umrze?”. Dla mnie było to uczciwe przedstawienie sytuacji, dla ojca pacjenta przejaw bezradności. On nie potrafił pogodzić się ze śmiercią dziecka, mnie widać przypadła rola osoby, która miała w nim podtrzymywać złudne nadzieje. Sam przekonuję pacjentów, że walczyć trzeba do końca, tyle że w pewnym momencie już nie o życie, przetaczając kolejne butelki krwi i antybiotyków, ale o to, by ktoś, kogo nie mamy szans ocalić, mógł spokojnie umrzeć: bez bólu, wśród swoich. To też jest walka i to jeszcze jaka! Niełatwo przecież pogodzić się bliskim z tym, co nieuchronne, do końca zapewniając chorym poczucie bezpieczeństwa i miłość. Obserwuję te zmagania za każdym razem, gdy mam na oddziale, tak jak teraz, starszą panią, która ciężko pracowała całe życie na wsi, wychowała pięcioro dzieci, poświęcając im większość swojego życia, a kiedy się okazało, że po wyjściu ze szpitala wymaga opieki, żadne z dzieci nie potrafi zdobyć się na to, by wziąć ją do siebie. Nie osądzam. Wiem, że to trudne: zmienić poukładane życie, czasami wyhamować tempo, by znaleźć czas na bycie z kimś uzależnionym od naszej opieki, któremu trzeba podać zupełka po łyżce, zmienić pampersa, pamiętać o lekarstwach. To bardzo wymagające. I mniej spektakularne od wydzwaniania do kolejnych lekarzy, byle tylko mieć pewność, „że zrobiłem wszystko, co można”. W sytuacjach granicznych „wszystko” oznacza często to, że się po prostu jest: tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

*

Na ostrym dyżurze zdarzają się operacje ze wskazań życiowych, kiedy nie ma czasu na zbyt długie deliberacje. Chory, na przykład z powodu zapalenia otrzewnej będącego konsekwencją zaniedbanych niedrożności czy martwicy jelit, przedziurawienia przewodu pokarmowego, ciężkich krwotoków czy urazów jest w tak złym stanie, że bez operacji umrze na pewno. W takiej sytuacji nie możemy czekać na śmierć, nie mamy nic do stracenia – trzeba wykorzystać nawet nikłą szansę, a nuż stanie się cud. I czasami tak się faktycznie dzieje, ale niezwykle rzadko, mimo naszych wysiłku, kosztów i stresu.

Na pewno jednak łatwiej przeskoczyć największe trudności, gdy chory i jego rodzina są uprzedzeni o tym, co ich może czekać. Dlatego lubię rozmawiać z chorymi, zresztą dobrze zebrany wywiad stanowi połowę sukcesu diagnostycznego. Rozmowa nie może wyglądać byle jak. Trzeba posadzić chorego przed sobą, w gabinecie. Nie na korytarzu, gdzieś pod oknem czy przy drzwiach sali. Mówię: chcemy zrobić to i to, powikłania mogą być takie i takie. Jeżeli faktycznie pojawią się problemy, nie chciałbym, by ktoś poczuł się zaskoczony, czy, nie daj Boże, oszukany. Zdaję sobie sprawę, że im więcej czasu poświęcę na rozmowy przed operacją, tym łatwiej mój pacjent zniesie to, co ewentualnie przyjdzie później.

Gdy informacje na temat stanu chorego są zbyt skąpe, pierwsze co słyszę w przypadku wystąpienia powikłań to: „schrzanili operację”. My?! Czy lekarzom może zależeć na komplikacjach albo czyjejś śmierci? Zakładam, że bliscy pacjentów, którzy tak mówią, nie robią tego ze złej woli. To raczej wyraz zagubienia, wynikający właśnie z braku informacji, które pozwoliłyby im skonfrontować nadzieje na pełny powrót do zdrowia ich bliskich z prawdziwym stanem rzeczy. Chory i jego rodzina powinni wiedzieć jak najwięcej, zwłaszcza, że nieraz o przebiegu leczenia decydują drobiazgi. Choćby takie: zdarza się, że po operacji jelita nie podejmują pracy i powstają w nich niedrożności. Dlaczego? Być może jelita źle się ułożyły, przegięły, skręciły; być może coś uciska z zewnątrz, pojawiła się nieszczelność jakiegoś zespolenia; być może powstało zakażenie albo ropień.

Jako ordynator czuję się odpowiedzialny za cały oddział i każdą operację – przyjęło się, że jestem proszony na blok operacyjny, by oglądać wszystkie operacje trudniejsze i nietypowe, np. wycinanie tkanek zaatakowanych przez nowotwór. Omawiam je z lekarzami, dyskutujemy o wszystkim, co nas niepokoi. Nawet jak operuję na jednej sali, proszą mnie na drugą, bym doradził: wycinać czy nie wycinać, co zespolić, jak zaszyć brzuch. Chcę wiedzieć i widzieć jak najwięcej.

Poprosiłem też współpracowników, by wszystkie pretensje pacjentów czy ich rodzin, były kierowane do mnie. Sam chcę wyjaśniać i uspokajać. Wiem, jakie to trudne, tym bardziej, że ludziom coraz trudniej pogodzić się z tym, że coś nie idzie po ich myśli. Niepowodzenie? Śmierć? To jest wykluczone! Nawet w takiej dziedzinie jak medycyna, gdzie porażka jest często nieuchronna, mimo naszych umiejętności i dobrych chęci. Tymczasem to ona – śmierć, czyli te pięć procent zgonów na dwa tysiące pacjentów przechodzących przez mój oddział, to dla mnie największy problem. Pozostałe dziewięćdziesiąt pięć procent wychodzi zdrowych i zadowolonych – niektórzy nas chwalą, niektórzy opuszczają oddział nie mówiąc „dziękuję”, nie interesuje ich nawet nazwisko chirurga, który ratował im zdrowie.

*

Zdarza się, że operuję po nocach, tzn. budzę się w środku nocy i leżąc na łóżku myślę o tym, co czeka mnie rano. Choćby tydzień temu: zdarzyło się powikłanie podczas operacji dróg żółciowych u młodej dziewczyny, prawdopodobnie z winy chirurga (skądinąd, bardzo doświadczonego fachowca), co być może obciąży pacjentkę na całe życie. Przeczytałem całą dokumentację. Próbowałem sobie wyobrazić, jak operacja mogła wyglądać: co ich zaskoczyło? czego nie zauważyli? jak to teraz naprawić? jaką metodę operacji wybrać? co zrobić, by rana się goiła a drogi żółciowe jednak funkcjonowały?

Nie zamiotę błędów pod dywan, a to, co się stało będzie mi ciążyło do końca mojego życia. Zbieram się i jadę do szpitala. Jeśli w takich sytuacjach zastanawiam się, co jest w tym zawodzie najlepszego... to przekonanie, że mimo wszystkich trudności, wielu osobom udaje nam się pomóc. Tym dziewięćdziesięciu pięciu procentom – prawie dwóm tysiącom ludzi, którzy wychodzą do domu wyleczeni i zapominają o szpitalu, oddziale, leczeniu, Wasielicy. Wycięte wyrostki, załatane przepukliny, usunięte kamienie z woreczka żółciowego, po których ustają bolesne dolegliwości, załatane czaszki i kości uszkodzone w wypadkach...

A pacjenci, którym wyleczyliśmy trzustki? To muszę opisać: leczenie zapalenia trzustki trwa wiele miesięcy, a chirurdzy miewają z nim najwięcej kłopotów, bo choroba potrafi być nieprzewidywalna i uderzyć tak silnie, że chory ginie w ciągu kilku godzin, wywołując wcześniej olbrzymie spustoszenia w jamie brzusznej i całym organizmie. Możemy się nawet nie spostrzec, jak pojawi się w trzustce i tkance okołotrzustkowej martwica, a w przestrzeni zaotrzewnowej ropnie. Do tego dołączy niewydolność płuc, nerek i innych narządów, wysoka temperatura, zaburzenia psychiczne.

Chorzy są wielokrotnie operowani, wymagają przetoczeń krwi, stosowania antybiotyków z najwyższej półki. Sam ich widok może przerazić: dziury w brzuchu, mnóstwo przewodów, przeptywów, wnętrzości są właściwie na wierzchu. A gdyby jeszcze przysłuchać się rozmowom lekarzy! Spadnie bilirubina, czy nie? Jeśli do jutra nie drgnie, nie ma sensu kroić człowieka. I wtedy dochodzi nagle do przełomu: bilirubina idzie w dół, człowiek łąduje na stole operacyjnym, a po tygodniu przechodzę przez salę i widzę, jak ten sam człowiek siedzi na łóżku i czyta gazetę.

Sam lubię operować tarczycę – bo to materia wymagająca cierpliwości, opanowania, precyzji. Po prostu koronkowa robota. Nie można się spieszyć, a wszystko musi przebiegać bezkrwawo, delikatnie i czysto.

To jednak margines – najtrudniejsze, krańcowe sytuacje. W porównaniu z kolegami latami leczącymi cukrzycę, nadciśnienie, schorzenia neurologiczne czy psychiatryczne, i tak znajduję się w uprzywilejowanej sytuacji, bo jest mi dane dużo częściej niż im cieszyć się skutecznym wyleczeniem swoich chorych.

*

Nawet gdy lekarz ma dziennie stu chorych czekających na wizytę, poradzi sobie. Pod warunkiem, że potrafi rozmawiać z ludźmi, i to nie tylko o chorobach. Trzeba mieć czas na rozmowę, szczególnie kiedy pacjenci są nieskorzy do zwierzeń, zagonieni do gabinetu lekarskiego przez przejętą rodzinę albo wystraszeni rozpoznaniem, np. raka jelita grubego w zaawansowanym stadium. Wtedy zaczyna się wypytywanie: kiedy zaczęły się bóle? Po Wielkanocy? Na pewno dopiero wtedy, wcześniej nic się nie działo? Jest pan pewny, że nie... A koło Bożego Narodzenia brzuch pana nie bolał? A bolał jednak, dobrze. A wzdęcia brzucha zdarzały się? Tak? No proszę. Jeść mógł pan wszystko? Nie? I dowiaduję się, że pacjent już od dawna pewnych rzeczy nawet nie bierze do ust, że ma wzdęcia, częste bóle brzucha, a przez ostatnie dwa lata schudł ze dwadzieścia kilo. Już nie potrzebuję dodatkowych badań, by ustalić, dlaczego guz wykryty dopiero co wygląda tak, jakby miał dwa lata.

Do postawienia właściwej diagnozy potrzeba więc wiedzy, czasu i chęci. Wtedy dopiero zauważę u pacjenta jakieś dziwne zgięcie, nieodpowiednią postawę, może mnie zastanowi dlaczego na krześle siedzi „półgębkiem” (hemoroidy? guz?). Zwrócę uwagę na zapadnięte gałki oczne albo nienaturalną błądź, zapytam, czy ma suchy język, jak często wymiotuje (to podręcznikowe objawy, np. zapalenia otrzewnej czy pęknięcia wrzodów). Nawet gdy pacjent przychodzi na izbę z rozpoznaniem, na przykład kamica żółciowa, nie zawieszam myślenia. W naszym szpitalu rocznie pojawia się sześciuset, siedmiuset chorych z dolegliwościami dróg żółciowych i wątroby – to największa grupa pacjentów. Obawiam się, że w wielu wypadkach wygląda to tak: ktoś ma bóle brzucha i nie może jeść, idzie do lekarza podstawowej opieki, który często, niestety, nie zbiera wywiadu, a nawet – to już zgroza! – nie bada brzucha. Nawet go nie dotknie! Wiem, bo pytam o to pacjentów. Tymczasem minimum dziesięć minut powinno trwać opukiwanie i osłuchiwanie pacjenta; na stojąco, na leżąco i po wysiłku.

Zamiast badania lekarskiego, pacjent dostaje skierowanie na badanie USG, na które czeka miesiąc albo i dłużej. Wreszcie go badają i znajdują kamienie w pęcherzyku żółciowym. Pacjent wraca do swojego lekarza, który znowu traktuje go dosyć pobieżnie, i wypisuje skierowanie do szpitala, gdzie mają usunąć kamienie. Lekarz nie dopuszcza myśli, że jego pacjent, poza kamieniami w woreczku żółciowym, może mieć nowotwór żołądka albo kamień w nerce, albo zapalenie wyrostka, albo wiele innych schorzeń, też wywołujących bóle brzucha. Nie dowie się o tym, bo nie przeprowadził dokładnego wywiadu ani nie zbadał brzucha.

Nie rozmawiając z pacjentem, nie mam też szans zauważyć, że czasami nic szczególnego mu nie dolega, chce tylko pogadać albo się wyżalić. Bywa, że dolegliwości nie wynikają ze zmian

fizjologicznych w organizmie, ale z problemów duszy i serca. Człowiek leży na gastrologii i trzy tygodnie, przeglądamy jego układ pokarmowy właściwie na wylot, całe laboratorium zaangażowane, od wyników kolejnych badań puchnie księga choroby... I nic. Aż w pewnym momencie, pacjent zaczyna opowiadać, że opuściła go żona, albo że wyleciał z pracy, albo że dziecko jest ciężko chore. O to go jednak żaden z lekarzy nie zapytał, zastanawiając się skąd te biegunki, ostre bóle brzucha i ogólnie złe samopoczucie. Tymczasem pacjent nie śpi po nocach, nie może jeść, a wiadomo przecież, że przeżycia psychiczne mają wpływ na trawienie i wydzielanie enzymów, których nadmiar szkodzi błonie śluzowej żołądka. Gdy się rozmawia z pacjentem, jego osobiste problemy nie mają prawa lekarzowi umknąć.

Najbardziej tajemnicze są nowotwory, bo pojawiają się znikąd i często nie dają za wygraną, mimo prób leczenia. Gdy nie umiemy sobie z nimi poradzić, szybko pojawia się pytanie, do którego momentu możemy wycinać kolejne zaatakowane nowotworem tkanek? Kiedy się poddać? Chorzy wiedzą, że cała nadzieja w chirurgu: jeżeli raz wyciął i drugi, a mimo to znowu pojawiły się przerzuty, to on – po konsultacjach z gastrologami, radiologami, fachowcami od rezonansu magnetycznego – zdecyduje czy kroić chorego ponownie, dając mu jeszcze jedną szansę.

Całkiem niedawno musiałem powiedzieć: „dosyć – chowamy skalpel”. Chory miał za sobą trzy operacje jelita grubego, z powodu przerzutów nowotworu wycięliśmy mu też spory kawałek płuc. Kolejna wznova pojawiła się na żebrach i przeponie, a tam nie damy już rady nijak ubytków załatać. I poddaliśmy się. Bardzo proszę mnie nie pytać, co lekarz wtedy o sobie myśli...

*

Patrzę, jak się wszystko zmienia. Ustrój się zmienił, ministrowie zdrowia przychodzą i odchodzą, powstały Kasy Chorych a potem powołano w ich miejsce Narodowy Fundusz Zdrowia, ile reform, ile zmian... Nawet w firmach farmaceutycznych, współpracujących z moim szpitalem, co rusz inna blondynka przyjeżdża z lekami. A ja wciąż jestem w tym samym miejscu. Taki stały punkt. I to nie jest złe. Coś powinno być na swoim miejscu, choćby chirurg w najbliższym szpitalu. Postaram się jednak nie zasiedzieć na stanowisku. Poza szpitalem też jest życie.

Wystarczy mi, że ludzie po latach od operacji, zaczepiają mnie na ulicy i mówią, że uratowałem życie i zdrowie ich żony, córki, dziadka. Kiedyś próbowałem policzyć, ilu ludzi zoperowałem od 1971 roku, kiedy rozpocząłem praktykę lekarską. Wyszło, że blisko dwadzieścia tysięcy, czyli takie sobie miasteczko.

O ósmej wieczorem czekam na telefon ze szpitala. Od czterech lat, dzień w dzień, gdy zbliża się dwudziesta, nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Z trudem znoszę nawet kilkuminutowe spóźnienie. Dyżur kończę kilka godzin wcześniej, ale jako ordynator zdecydowałem, że powinienem być na bieżąco z tym, co dzieje się w szpitalu i dlatego proszę lekarza na dyżurze o omówienie tego, co się działo na oddziale po zakończeniu przeze mnie pracy: jacy chorzy zostali przyjęci, bo nie wszystkich zdążę obejrzeć, co się działo na dyżurze, jakie przeprowadzili zabiegi i operacje, co u chorych, którzy już leżą na oddziale. Jeśli trzeba, pakuję się i jadę do moich pacjentów....

Niestety po latach od tej jakże żywej, mądrej, często dramatycznej opowieści naszego Kolegi czytamy:

„Z głębokim żalem informujemy, że w dniu 12 grudnia 2023 roku w wieku 76 lat zmarł dr n. med. Mieczysław Wasielica.

– Absolwent Akademii Medycznej w Poznaniu z 1971 roku, specjalista chirurgii ogólnej, były ordynator oddziału chirurgii ogólnej Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Białymstoku, były

Zastępca Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Białymstoku, wieloletni działacz samorządowy odznaczony medalem Gloria Artis Medicinae Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku (...). Prezydium Okręgowej Rady Lekarskiej w Białymstoku składa najszczerze kondolencje rodzinie i wszystkim” za: <https://oilbialystok.pl/zegnamy-dr-mieczysława-wasielice/>

Mieczysław Wasielica został pochowany 15 grudnia 2023 r. na Cmentarzu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Białymstoku.

Olga Heim (z d. Kleczewska)

ad 1. Egzaminy wstępne musiały być szczęśliwe bo się dostałam, a startowałam drugi raz. Wprawdzie bardzo chciałam być lekarzem medycyny, np. ginekologiem. Tak mi się wtedy wydawało. Bardzo szybko stwierdziłam jednak że wybór stomatologii to było to i nigdy tego nie żałowałam. Oczywiście wybór bym i dzisiaj powtórzyła.

Ad 2. Szczególnie pamiętam zajęcia z anatomii. Widzę nas stojących i czekających w Collegium Anatomicum na Śniadeckich.... potem jak Pan, chyba Andrzejewski, rozwozi nam elementy ciał ludzkich czyli tzw. preparaty na zajęcia. Zawsze było wesoło - Pan też był wesoły i chyba lubił żartować. Byliśmy jedną wielką rodziną studencką - Bywało często, że na ćwiczeniach właśnie z anatomii opowiadaliśmy sobie kawały. Nie pamiętam kto to był w mojej grupie, kto miał szczególny dar opowiadania i wtedy jeden z kolegów (dzisiaj myślę, że to był Andrzej Woźnica) mówił: poczekajcie, poczekajcie po czym brał specjalny notes i zapisywał te dowcipy.

Prawdziwa atmosfera była zawsze na wykładach. Chodziliśmy tłumnie. Np. sala wykładowa na ul. Polnej była wypełniona po brzegi. Wykłady na godz. 8.00 a potem spacer na kawę tzw. paczką. Przepiękny kolor kawy (niestety w szklance ale może dlatego taka piękna) ze śmietanką i do tego drożdżówka z kruszonką pycha! Albo kawa mrożona w Merkurym. Nigdy tak dobrej potem nie piłam. „siła młodości”.

Niestety na I albo II roku oblałam egzamin z biochemii u prof. Haliny Karoniowej, która popsuka mi wakacje a potem powiedziała, że za to mam teraz ocenę ‘dobry’...

ad 3. Była matematyka. Zajęcia jak dobrze pamiętam były na Engla i że zajęcia nie były bardzo „bolesne”, ale potem jak zawsze było wesoło.

ad 4. Oczywiście zawsze braliśmy udział w juwenaliach. Były marsze, śpiewy, chyba jazda na wozie przez miasto, Zabawa w klubie Od Nowa na Starym Rynku. Rozbawieni, powrót ulicami, zmęczeni, pieszo np. ze Starego Rynku na Łazarz. Haseł zupełnie nie pamiętam.

ad 5. Niestety marca 1968 r. - wydarzeń na naszej uczelni przyznaję, że wstydem - kompletnie nie pamiętam.

ad 6. Mieszkałam z rodzicami i z tego powodu nie mogłam wracać z imprez do domu kiedy chciałam a tylko o określonej godzinie niestety sporo przed północą. Później już, w dorosłym moim życiu, często żartowałam, smucąc mamę, że mam „problemy z sercem”, bo miałam trudne dzieciństwo i młodość (z powodu tego zakazu i zupełnie też nie poznałam życia w akademiku ;-)

ad 7. Na zajęcia z wojska chodziłam krótko, bo potem byłam zwolniona. Mam wprawdzie jedno zdjęcie w mundurze, które na koniec z innymi prześlę. Pamiętam też że byłam dobra ze strzelania. czyli coś tam zaliczyłam.

ad 8. W rajdach niestety nie uczestniczyłam.

ad 9. Pamiętam, że uczyłam się w pewnym momencie z Elą Wojnerowicz w pięknym ogrodzie jej rodziców na ul. Libelta. Niestety nie pamiętam jaki to był przedmiot ale wiem tylko, że słońce nie bardzo, w każdym razie mnie, sprzyjało skupieniu na nauce. Ale było bosko!!

Od III roku albo IV byliśmy już w grupach stomatologicznych. Numeru grupy nie pamiętam. Byli ze mną: Andrzej Baszkowski nasz niezastąpiony, starosta, który, jak jakaś dziewczyna mówiła, że jest w ciąży to pytał: „jak to? bez uzgodnienia ze mną?”. W grupie byli też Zosia i Romek Zommerowie, Michał Krzak, Joanna Musiał... która pewnego razu oświadczyła nam wchodząc na zajęcia, że kochany Afrulek (pies) zżarł jej nowe buciki. Byli też: Basia Kujawa-Pietruszewska, Dzitka, Zbyszek Wojtyła, Andrzej Polimirski - to była grupa!!

Ćwiczenia ze stomatologii zachowawczej odbywały się tak, że na 1 fotel przypadało 2 studentów i z reguły ponaglaliśmy się, żeby zdążyć przyjąć pacjenta i też coś zaliczyć. Pamiętam że moją asystentką na zachowawczej była p. dr Magas, która uwielbiała wszystko wachać bo jej pasją była zgorzel. Była też z naszą grupą dr Honorata Limanowska, wspaniała Pani prof. Maria Kobylańska, z którą często spotykałam się później wielokrotnie na konferencjach naukowych w różnych częściach kraju i nawet za granicą, tzn. w NRD. Zawsze wspominaliśmy Poznań. Prof. Rudolf Sarrazin [1906-1974], protetyk który często opowiadał nam na wykładach jak wytwornym pacjentkom robił korony na zęby przednie w których umieszczał np. brylanty.

[to dla nas, którzy napisaliśmy monografię pt. Modyfikacja ciała to bardzo ciekawa informacja. Myśleliśmy bowiem że ten zwyczaj zaczerpnięty od Majów czy starożytnych Chińczyków do nas dotarł dopiero dziś. A tymczasem ta moda dotarła do Polski już w połowie XX w. - P. Rosińska, Modyfikacja uzębienia w: Modyfikacja ciała. Kręta droga od urody życia do...znaczenia po śmierci (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko), Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra, 2021, s. 43- 51]

Na ćwiczeniach musieliśmy chodzić w niezwykle twarzowych białych czepkach i stać przy fotelu, czyli przyjmować pacjenta na stojąco.

Gdy po ślubie, na V roku znalazłam się w Łodzi, to byłam bardzo zdziwiona, że można mieć fotel dla siebie na całe ćwiczenie. A jednak mimo tych poznańskich trudności fotelowych, przychodząc do Łodzi miałam „wyrobite” grubo ponad 100 % tzw. normy zabiegów ze stomatologii zachowawczej.

Najczęściej na stomatologii uczyłam się z Basią Kujawą Pietruszewską. Była wspaniałą, niesamowicie temperamentną dziewczyną, istny ogień. Szalone prywatki (Yesterday [The Beatles] i Michael [Joseph Jackson]) i Witek (później mąż) z Basią. Okrutny los zabrał ją z naszego grona krótko po naszym pierwszym spotkaniu po 25 Latach, które świętowaliśmy nad Maltą.

Ciesząc się spotkaniem Was wszystkich za mało czasu poświęciłam Baśce, obiecałam sobie że następnym razem ale następnego razu już nie było..

ad 11. Na pierwszych 3 latach wspólnych byłam w grupie między innymi z Hanią Horst, Maciejem Strzyżowskim, Hanią Bergiel, Jackiem Nowakowskim, Elą Wojnerowicz, Michałem Ryglewiczem, Andrzejem Pawlakiem, Andrzejem Woźnicą, Marry, Elą Sieńko, Ewą Ginelli. Natomiast na stomatologii byliśmy razem z: Andrzejem Baszkowskim, Zosią i Romkiem Zommerowie, Basią Kujawą, Dzitką Wikieł, Asią Musiał, Magdą Zabel. Była też Olga Kleczewska czyli ja, Grażynka, Zosia, był Michał Krzak, Andrzej Polimirski, Zbyszek Wojtylak, itd....

ad 14. Po IV roku wyszłam za mąż i przenieśliśmy się do Łodzi. Mimo mojej miłości do Poznania i wszystkiego co w tym mieście było dobrego, okazało się, że w Łodzi bardzo zyskałam w sensie zawodowym. Po pierwsze b. dobre warunki fotelowe na stomatologii, (jak pisałam - każdy student miał swój fotel), b. dobrze nauczana protetyka, wszyscy koledzy byli po całej serii ćwiczeń na IV roku z materiałoznawstwa protetycznego, sami robili prace – tak jak technicy dentystyczni. Tu musiałam douczyć się bo w Poznaniu wtedy przerabialiśmy głównie bezzębie całkowite i wyciski gipsem. Tak

było!! Była b. dobra periodontologia łódzka - szkoła Prof. Jańczuka który był uczniem prof. Fuchsa a następnie przeszedł do Szczecina i był wieloletnim kierownikiem Zakładu Chorób Błony Śluzowej i Przyzębia w Szczecinie) i prof. Jędrzejewskiej (moja wieloletnia szefowa). Miałam to szczęście, że dostałam pracę w Łodzi, choć nie było to łatwe bo obowiązywały przydziały pracy w terenie. Najpierw przez rok pracowałam w tzw. higienie szkolnej w Łodzi a krótko po urodzeniu syna, przyszła propozycja (o którą wcześniej zabiegałam) pracy - asystenta w Instytucie Stomatologii w Zakładzie Chorób Błony Śluzowej i Przyzębia. I tak na tej periodontologii przepracowałam 33 lata uzyskując specjalizacje I stopnia ze stomatologii ogólnej, II stopnia ze stomatologii zachowawczej i II stopnia z periodontologii, a rok po urodzeniu córki zrobiłam doktorat.

W międzyczasie mąż „robił swoje” na Politechnice Łódzkiej na wydziale Inżynierii Chemicznej i Ochrony Środowiska aż został profesorem Belwederskim. Syn Darek skończył budownictwo, a potem architekturę na Politechnice Łódzkiej gdzie pracuje cały czas i jest już po habilitacji (specjalizuje się w budownictwie ekologicznym) [obecnie profesorem]. Córka Katarzyna - po studiach filologicznych (filol. francuska) a potem MBA w Szwajcarii w dziedzinie marketing i hotelarstwo, pracuje i mieszka w W-wie. Mam jedną ukochaną wnuczkę Weronikę (u syna) która ma 6 lat i zaczęła chodzić do szkoły do pierwszej klasy.

Na marginesie przypominam takie sobie zdarzenie w pracy. Pewnego razu mając zajęcia ze studentami z periodontologii na V roku przygotowywany był pacjent do zabiegu chirurgicznego na przyzębiu. Pacjent był rośłym, postawnym mężczyzną w wieku około 45 lat lekarzem weterynarii, b. spokojnym. Sala kliniczna gdzie prowadziłam zajęcia ze studentami przylegała do sali operacyjnej. Na tej sali odpowiednia atmosfera sterylność, rękawiczki, maseczki, siostra itd. Koleżanka wykonując zabieg podała znieczulenie przewodowe, włożyła tampony sterylne do jamy ustnej, w rękę pojawił się skalpel i już miała przystąpić do cięcia.. włożyła lewą rękę do jamy ustnej żeby odchylić policzek i w tym momencie pacjent z przerażenia stracił na chwilę przytomność, chciała szybko usunąć tampony, wtedy pacjent bezwiednie zacisnął zęby przegryzając rękawiczkę i ugryzł ją skutecznie w palec. a właściwie przegryzł jej palec. To były początki wiedzy o AIDS, krzyk z zza ściany - zdenerwowany lekarz, widoczna krew nie pacjenta.... wystraszony pacjent który się po chwili ocknął, bardzo i bardzo przeproszał panią doktor. Zabieg się oczywiście nie odbył, a pani doktor i pacjent pojechali do szpitala zakaźnego na ew. badania. Nie trudno wyobrazić sobie w jakiej atmosferze przebiegła reszta ćwiczeń. nie mówiąc o przerażeniu pacjentów siedzących na sali na kilku innych fotelach, gdyż wszystkie się mieściły na jednej. Inna zupełnie historia z pracy zawodowej, która u nas od lat wywołuje uśmiech - na kolokwium pytam studenta o opis i przebieg jednej z chorób przyzębia, a student odpowiada, że proces ten występuje u starszych osób. Pytam w jakim wieku? On oświadcza: „około 30-35 lat”.

[Piotr Janaszek \(1947-1998\). Biografia i wspomnienia kolegów ze studiów na poznańskiej Akademii Medycznej](#)

Piotr Janaszek urodził się w Poznaniu 21 kwietnia 1947 roku. Już w czasie studiów medycznych (1965-1971) interesował się problemami osób z niepełnosprawnościami, działając w Klinice Ortopedii w Poznaniu pod kierunkiem Profesora Wiktora Degi – światowej sławy lekarza i wielkiego humanisty. Piotr staje się Jego Niezwykłym uczniem. Będąc jeszcze studentem współzałożył i był przybocznym Drużyny „ Nieprzetarty szlak” przy tej Klinice – realizując formę rehabilitacji poprzez obozy harcerskie. Po uzyskaniu dyplomu lekarza w 1971 roku Piotr przeprowadził się do Konina i podjął pracę w Szpitalu Powiatowym (później Wojewódzkim) gdzie stworzył Oddział Rehabilitacji Dziecięcej (pierwszy w Polsce w szpitalu wojewódzkim), Poradnię Zaopatrzenia Ortopedycznego, Oddział Wojewódzki Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem i jeden z pierwszych w Polsce Warsztat Terapii Zajęciowej dla osób z ciężkim kalectwem. Piotr pełnił również funkcję Sekretarza Narodowego w Rehabilitation International – najstarszej międzynarodowej organizacji zajmującej się problemami

ludzi z niepełnosprawnościami – afiliowanej przy ONZ. Był członkiem Rady Nadzorczej Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oraz doradcą Pełnomocnika Rządu d.s. Osób Niepełnosprawnych. Od 1981 roku organizował w Koninie Ogólnopolskie Przeglądy Filmów „Żyją Wśród Nas” (to jedna z 4 tego typu imprez w świecie).

Piotr Janaszek był przede wszystkim twórcą nowatorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzieci i Młodzieży w Mielnicy nad Gopłem, który rozpoczął działalność na początku lat 80 ubiegłego wieku a jego głównym celem była integracja osób niepełnosprawnych ze społeczeństwem. Ośrodek powstał nakładem wielkich sił i środków. Każdego roku przebywało tu 250 osób z najcięższym kalectwem z całego kraju i z zagranicy. Ludzie z całej Polski pisali do Niego listy z prośbą o przyjęcie na turnus rehabilitacyjny – niektóre były tylko adresowane „Doktor Mielnica” i docierały do rąk adresata.

W 1989 roku Piotr założył w Koninie Fundację Mielnica z filią w Nowym Jorku. Powstały wówczas dwa Warsztaty Terapii Zajęciowej – najpierw w Koninie, który był jednym z pierwszych w Polsce, drugi – powstał po kilku latach w Mielnicy ; Zakład Pracy Chronionej ; Przychodnia Rehabilitacyjna; Klub Sportowy Osób Niepełnosprawnych „Spartakus”. Istnieje nadal Ośrodek Kształcenia Instruktorów Terapii Zajęciowej a ponadto mieszczą się tu Redakcje Kwartalnika „Warsztat Terapii Zajęciowej” i ” Wiadomości Mielnickich”. Założono tu także Hostel dla Matki z Dzieckiem Niepełnosprawnym. W Koninie organizował pierwsze Ogólnopolskie Olimpiady Umiejętności Osób Niepełnosprawnych „Abilimpiada”. Jedynej tego typu imprezie w Polsce nadano imię Doktora Piotra Janaszka. Piotr rozpoczął także tworzenie Środowiskowego Domu Samopomocy dla Osób z Upośledzeniem Umysłowym, w którym znalazło opiekę i zajęcie 35 osób upośledzonych umysłowo z okolic Konina.

„Doktor Piotr Janaszek, jako jeden z niewielu w Polsce – pokazał, że turystyka zagraniczna osób niepełnosprawnych jest możliwa. Miał wielu przyjaciół na całym świecie. Dzięki kontaktom zagranicznym udało Mu się organizować pobyty osób niepełnosprawnych w Szwecji, Holandii, Czechach, Francji, Niemczech, Węgier, Włoch i Francji. Gdy przebywał w Stanach Zjednoczonych od razu zorganizował dzięki współpracy i wsparciu wielu przyjaciół Amerykańskich – w 1990 roku a potem w 1991 i 1992 roku przyjazdy grup niepełnosprawnej młodzieży do Nowego Jorku. Piotr z wielkim zaangażowaniem pomagał młodzieży niepełnosprawnej w podjęciu studiów i pracy. Sprowdzał z zagranicy transporty darów dla organizacji charytatywnych”.

Był przy tym Człowiekiem bardzo skromnym. Zawsze podkreślał, że to zasługa całego zespołu i oddawał hołd swoim poprzednikom. „Nigdy nie chwalił się odznaczeniami i wyróżnieniami, które otrzymywał, chował je głęboko na dno szuflady... Otrzymał ich wiele. Wiadomo jednak, że najważniejszym dla Niego odznaczeniem był Medal im. Karola Marcinkowskiego przyznany w 1984 roku przez Akademię Medyczną w Poznaniu, której był absolwentem, nagroda im. Hanny Dworakowskiej Serce na Dłoni (1988r.). Dzieci odznaczyły Go Orderem Uśmiechu – był dla nich „Doktorem Mielnicą”, człowiekiem który „leczył je uśmiechem” i zarażał radością życia. „

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nadał pośmiertnie Doktorowi Piotrowi Janaszce Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Pośmiertnie zostały także przyznane: Medal „Twórcy Polskiej Rehabilitacji” z numerem 50. – ostatnim z wybitych z Jego inicjatywy, tytuł „Wielkopolanina Roku 1998” przyznany przez słuchaczy Radia Merkury, tytuł „Człowieka Wielkiego Serca” przyznany przez widzów poznańskiego programu Wyzwanie.....

Tekst został opracowany na podstawie: <http://www.mielnica.org.pl/test1-3> ; <https://podajdalej.org.pl/o-nas/patron-fundacji/> i 02. grudnia 2018 r. zamieszczony blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4430> pod tytułem: Jedno krótkie życie Niezwykłego Lekarza – Piotra Janaszka. Biografia.

Wspomnienia Koleżanek i Kolegów z lat studiów lekarskich o śp. Doktorze Piotrze Janaszku. Razem z Piotrem przebyliśmy długie 6 lat (1965-1971) studiów na Wydziale Lekarskim ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu (obecnie Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu) uwieńczone dyplomem lekarza medycyny. Dużo się wtedy działo. Z nieopierzonych bardzo młodych ludzi powoli przekształcaliśmy się w poważnych doktorów. Studia były trudne i wymagające ciągłej koncentracji, co powodowało silny stres. I gdyby nie obecność takich Kolegów jak Piotr, którzy wnosili swój entuzjazm, wielką aktywność i radość życia, wielu z nas pogrążałoby się jedynie w nauce, nieustannym zdenerwowaniu czy dawałoby radę a czasem w depresyjnych myślach. Piotr był jak świeży, wiosenny żywotny wiatr... niesprawiedliwy i okrutny Los nam Go odebrał...

Teraz, wspominając Piotra, przeglądamy karty z naszego albumu absolutorijnego. Byliśmy ujęci w 10 grup. W 1-szej poniżej pokazanej – patrzy na nas, zza swoich okularów, tak jak kiedyś – spokojnie i elegancko z tłącym się uśmiechem – Piotr Janaszek. Nasz Piotr...

W 1971 roku zostaliśmy już absolwentami Wydziału Lekarskiego – nasz rok wydał „na świat” 223 młodych lekarzy medycyny... i każdy poszedł w swoją stronę. Niektórzy tylko spotykali się w szpitalach, przychodniach, czy utrzymywali kontakty towarzyskie...

Do pierwszego wspólnego spotkania doszło z inicjatywy naszego już śp. Marka Tuszewskiego dopiero po 20 latach od absolutorium. Właśnie to spotkanie – w 1991 roku – zostało uwiecznione na poniżej podanym zdjęciu. Jesteśmy na nim wspólnie z ówczesnym dziekanem Wydziału Lekarskiego śp. Prof. Kazimierzem Rzymskim i ówczesnym kierownikiem Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej śp. Prof. Edmundem Chróścielewskim.

Po przedwczesnym odejściu śp. Marka Tuszewskiego „pałeczkę” organizatora spotkań naszego roku przejął Piotr Janaszek. W roku 1997 oraz 1998 zorganizował je w Ślesinie k/Konina – i zapewne organizowałby następne, gdyby nie Jego tragiczna śmierć w 1998 roku. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że widzimy Piotra po raz ostatni... możemy teraz rozmyślać. Na pewno to spotkanie wyglądałoby inaczej – nie jak zwykle w małych grupkach rozmowy, czy tańce, tylko koncentracja na Piotrze i innych kolegach... poznawanie Ich Człowieczeństwa a może problemów o których przy takich okazjach mówi się rzadko... możemy tylko żałować, że tak mało znaleźliśmy Piotra. Kolejne nasze roczne spotkania, od tego czasu systematyczne – były już, niestety, bez obecności Piotra. (Jerzy T. Marcinkowski)

Wspomnienie Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz – grupa VIII. Kiedy niedawno usłyszałam od Kolegów z poznańskiej Akademii Medycznej, z którymi nawiązałam kontakt po ponad 50 latach – gdy powiedzieli, że nasz Kolega Piotr Janaszek zginął tragicznie w młodym wieku, w pełni sił i aktywności zawodowej – początkowo nie mogłam sobie przypomnieć tego Chłopaka. W czasie pierwszych trzech lat studiów wspólnie spędzonych (potem przeniosłam się za mężem do Akademii Medycznej w Warszawie) przyjaźniłam się z kolegami ze „wspólnego stołu” w Collegium Anatomicum i tych mam stale w pamięci. Piotr był w jakiejś odległej anatomicznej grupie. Wszak minęło już ponad pół wieku od naszych studiów. Nałożyły się też w pamięci wspomnienia czasu warszawskiego... ale stale nękała mnie myśl, że jakoś dziwnie: to Imię i Nazwisko – Piotr Janaszek – było mi bliskie i jakby dobrze znajome. I rozmyślając nad tym, i oglądając zdjęcia kolegów z absolutorium nagle zobaczyłam Piotra Janaszka i wtedy przyszło jasne i wyraźne przypomnienie:

Właśnie nadszedł początek października 1965 roku, kiedy staliśmy wielką grupą – my, świeżo „upieczeni” studenci Akademii Medycznej na dziedzińcu Collegium Anatomicum w Poznaniu. Ten dzień mam w oczach. Na twarzach wszystkich rysowało się przejęcie, ale też i duma, że osiągnęliśmy swój cel. O tym co nas czeka większość z nas nie miała nawet wyobrażenia...

Egzaminy były trudne – zdawaliśmy pisemnie biologię wybierając jeden z trzech proponowanych tematów, następnie fizykę, chemię i język obcy. Potem była rozmowa z Komisją Egzaminacyjną nazywana potocznie testem na inteligencję. Wakacyjny czas oczekiwania na wyniki trochę się dłużył, choć młodość miała swoje prawa i długo nie mogła się frasować. I wreszcie dotarła do mnie informacja (do mojego gorzowskiego domu zadzwonił poznański kuzyn), że już są wyniki. Pognałam więc pierwszym pociągiem do Poznania. Na parterze Collegium Maius przy ul. Fredry 10 w Poznaniu tłoczyła się już gromadka młodych. Po prawej stronie wisały upragnione tablice z listami przyjętych i nieprzyjętych na studia. Stanęłam za plecami innych wyciągając szyję i gorączkowo przesuwając wzrok szukając swojego nazwiska. Może kuzyn źle przeczytał oznajmiając, że zostałam studentką – jak zawsze nie byłam pewna, dopóki sama nie zobaczę i nie „dotknę”. Wielu odchodziło smutnie unosząc porażkę lub wyraźnie radowało, ba, nawet rzucało się na szyję nieznanemu koledze. W ten sposób Leszek Milanowski (który napisał krótkie wspomnienie o Piotrze – zamieszczone dalej) poznał Tereskę Gawrońską – piękną, eteryczną blondynkę, przedwcześnie zmarłą tuż po studiach, w dodatku z dzieckiem w łonie...

Traf chciał, że obok mnie stał wysoki, szczupły, przystojny blondyn w dość dużych okularach o grubych szklach. Powiedział do mnie – jesteście kolegami. Nazywam się Piotr Janaszek. Nieśmiało się też przedstawiłam, bo w tej 18-tej wiosnie życia taka byłam. Poza tym przybyłam z prowincjonalnego Gorzowa Wielkopolskiego, nikogo nie znałam i byłam sama w tym tłumie. **Piotr powiedział – teraz będę mógł realizować swoje marzenie i odszedł...**

Wszyscy chcieliśmy zostać lekarzami, nieść pomoc ludziom, choć nie wszyscy (myślę sobie) mieli konkretny pomysł w jaki sposób to będą robili – jaką specjalizację wybiorą. Piotr wydał mi się jakby bardziej od nas dojrzały – a może tak to teraz oceniam, z perspektywy minionych 53 lat i posiadając wiedzę o Jego ścieżce zawodowej.

Z Piotrem znaleźliśmy się w innych grupach anatomicznych, więc widywałam Go z daleka. Zawsze był otoczony kilkoma dość niewysokimi koleżankami, jakoś radosny – chyba dość rozmowny, one „szczebiotliwe” – może tylko im tłumaczył zawiłości medyczne, może dowcipem rozładowywał bardzo napiętą atmosferę przed zajęciami prosektoryjnymi. Nie wiem o czym rozmawiali, ale widziałam jak ludzie do Niego lgnęli, a On ich wyraźnie integrował. Czasem wymienialiśmy się w biegu uśmiechami, ale na bliższe kontakty nie było czasu. Wszyscy byli zajęci nauką i raczej zaprzyjaźnieni z kolegami z grupy, co owocuje naszymi teraz odnowionymi serdecznymi kontaktami. Dzięki Facebookowi odnalazłam przed 2 laty Leszka Milanowskiego, Jurka Marcinkowskiego a ostatnio Hirka Głowackiego – gdyż przyszła pora na powroty do tamtych czasów. Do czasów naszej wczesnej młodości, kiedy wszystko było Pierwsze... I tylko żał, że nie zdążyłam już spotkać Wszystkich Najciekawszych Kolegów do których niewątpliwie należał Piotr Janaszek... No cóż, takie jest życie, a żał daremny... Piotr żyje w naszych ciepłych myślach, wspomnieniach... Jest z nami w czasie smuty i radości.

Dowiedziałam się teraz, że był kontynuatorem pomysłu corocznych zjazdów wycieczkowych naszego roku – i po tylu latach, kiedy od nas tragicznie odszedł – nadal corocznie koledzy się spotykają. I pomimo tego, że PESEL niektórych nie oszczędza, przybywają z wielką chęcią i radością, bo oddaje im to młodość... młodość Piękną i Szumną...

Już teraz wiem, czytając biografię Piotra – o czym marzył mówiąc mi o tym dość enigmatycznie przed tablicą przyjętych na studia – „teraz mogę zrealizować swoje marzenia. Marzył już wtedy, ten młodzieńcu 18-latek, by pomagać ludziom w najtrudniejszej sytuacji życiowej – bo zwykle długotrwałej i zwykle wymagającej pomocy osoby drugiej przez cały czas. Pomagać niepełnosprawnym to Wielka Idea. Dawać Im Światło, swoją Radość życia, którą niewątpliwie miał,

objaśniać jak żyć by była Pełnia... a może Dobry Bóg uznał, że Piotr dał swoim ziemskim podopiecznym wszystko i nadeszła pora na zajmowanie się tymi, którzy już w Niebie...

Wspomnienie Hieronima (Hirka) Głowackiego – grupa V: „Kilka dni temu Jurek Marcinkowski zapytał się mnie, czy pamiętam Piotra Janaszka i czy mógłbym coś o Nim napisać. Pomimo że to już prawie 50 lat czasu przeszło i obrazy się zacierają, to widzę Piotra zawsze w grupie kolegów, zawsze „w środku”. Piotr nigdy się nie pchał „do przodu”, ale też nie zostawał „w tyle”. On był po prostu pomiędzy nami. Uprzejmy, koleżeński, towarzyski, uczynny. Piotr – wysoki, szczupły, przystojny chłopak – cechował się zawsze uśmiechniętą twarzą. Można by powiedzieć, że miał uśmiech od ucha do ucha. Na twarzy miał dosyć silne okulary, które jakoś do niego pasowały. Często przychodził w poważnym garniturze z teczką pod pachą, co niezbyt pasowało do jego chłopięcego uśmiechu.

W 1996 roku przez przypadek dowiedziałem się o spotkaniu w Koninie. Telefon do Piotra, radość wielka. I on zorganizował mój przejazd z dworca do jego Ośrodka. Tylko dla mnie! Już w tym czasie był znany jego organizatorski talent. Od tego czasu były dla mnie nasze regularne spotkania ‘Janaszka Spotkaniami’. Jego tragiczny wypadek ogarnął nas wszystkich ogromnym smutkiem. Za to, że był inicjatorem i organizatorem naszych spotkań, za to, że nas po 25 lat po studiach znowu połączył, proponuję nasze koleżeńskie coroczne spotkania ‘Janaszka Spotkaniami’ nazwać”.

Wspomnienie Leszka Milanowskiego – grupa II: Piotra Janaszka obserwowałem z daleka. Jego Matka – Zuzanna prowadziła prywatną pracownię ortopedyczną (w Poznaniu przy ul. Dolna Wilda – przyp. JTM] niedaleko Kliniki Ortopedii i Rehabilitacji [obecnie: Ortopedyczno-Rehabilitacyjny Szpital Kliniczny im. Wiktora Degi Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu przy ul. 28 Czerwca 1956 r. 135/147 – przyp. JTM).

W okresie niedoboru sprzętu do rehabilitacji była to nadzieja dla niepełnosprawnych. Myślę, że Piotr w pewien profesjonalny sposób kontynuował tradycje rodzinne.

Dumny byłem, gdy w telewizji wraz z red. Komorowskim propagował opiekę na niepełnosprawnymi dziećmi. Wiem, że byli ogromnymi przyjaciółmi, bo mam do dziś kontakt. Żałuję, że za Jego życia nigdy nie odwiedziłem Jego obecnej Fundacji.

Zginął na trasie Kutno-Konin tej samej nocy, gdy w czasie potężnej śnieżnej zamieci sam wracałem z Kutna do Lipna. On na pewno ‘nie wszytek umarł’ jak pisał Jan Kochanowski....

Wspomnienia „dziewczyn z Naszego Roku”: „Widziałyśmy jak Piotr wchodził na ponure zajęcia z anatomii. Wypatrywałyśmy, bo z nim ‘wchodziło słońce’. Wysoko nad nami ‘świecił’, bo był słusznego wzrostu, ale wspinając się na palce zaglądałyśmy w Jego oczy – dobre i pogodne. Zza szkielek okularów migotały do nas te chochliki i dawały nam siłę. Burza jasnych włosów momentami wydawała się złota. Był z nami, wesoły i uśmiechnięty... był... jak bardzo ciężko mówić był... ale dopóki żyjemy, jest nadal wśród nas – nasz Kolega Piotr, stale żywy i rozdający radość...”

Wspomnienia Jerzego T. Marcinkowskiego – grupa VIII: Śp. Piotr Janaszek nie miał nigdy jakichkolwiek problemów z nauką podczas studiów; był poważny, kiedy należało zachowywać powagę, ale w spotkaniach z Koleżankami i Kolegami z Roku był żartobliwy, wesoły, wzbudzający zainteresowanie naszych dziewczyn.

W latach 1970-1981 brałem udział w organizowaniu i prowadzeniu obozów naukowo-społecznych dla studentów AM w Poznaniu w miejscowościach: Pustary, Łagów Lubuski, Osowa Sień, Leszno, Zbąszyń, Żary, Konin. Wyniki badań wówczas przeprowadzonych w Koninie opisał dr socjologii Zbigniew Woźniak (późniejszy profesor). I wtedy w Koninie spotykałem się z Piotrem Janaszkiem i mogłem obserwować jaki wielkim autorytetem cieszył się w środowisku konińskim.

I jeszcze jedna ważna pasja Piotra. Dokumentacja. Nie tylko zwykła integracja którą uwielbiał i umiał wypełniać, ale utrwalanie ludzi i zdarzeń. Śp. Piotr Janaszek, który roku 1997 oraz 1998 zorganizował spotkania Naszego Roku w Ślesinie k/Konina, zredagował bardzo zgrabnie książeczkę, w której każdy z naszego rocznika miał możliwość przedstawienia siebie: dwa zdjęcia (z okresu absolutorium oraz aktualnego) + opis swojej działalności zawodowej + (nieobligatoryjnie) opis swojej sytuacji rodzinnej. Piotr wyczuwał konieczność pisania pamiętników lekarskich naszego rocznika – dla potomności. Po latach realizujemy tenże zamysł – z nadzieją, że Piotr patrzy z góry i może pochwała – oczywiście żal, że w tym nie uczestniczy, bo na pewno miałby więcej ciekawych pomysłów, uwag krytycznych... Na pewno znajdą się tam następujące oficjalne dane: Śp. Piotr Janaszek w swej działalności zawodowej i społecznej wyraźnie wzorował się na tym, co stworzył profesor Wiktor Dega (1896-1995) – współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego, jeden ze światowych pionierów rehabilitacji, któremu udało się w 1960 utworzyć w Poznaniu pierwszą na świecie Katedrę Medycyny Rehabilitacyjnej. Doktor Piotr Janaszek otrzymał wiele wyróżnień za zaangażowanie w swoją pracę zawodową i społeczną, w tym Medal Karola Marcinkowskiego, który był ustanowiony przez Akademię Medyczną w Poznaniu w 1983 roku „Za wybijającą się postawę moralną i społeczną w działalności lekarskiej i opiekuńczej wobec ludzi chorych i niepełnosprawnych”. Należy podkreślić, że Piotr Janaszek otrzymał ten medal z numerem 2. Numer 1 otrzymała dr Wanda Błęńska, która stworzyła i prowadziła przez 43 lata ośrodek dla trędowatych w Ugandzie.

I pozwalam sobie zacytować słowa Leszka Milanowskiego który za Kochanowskim napisał: „nie wszytek umarł” ... dopóki żyjemy, Rodzina, znajomi, my i pacjenci – żyje pamięć... a dzieło śp. Piotra Janaszka które rozpoczął – Fundacja Jego Imienia – prowadzona przez Nieodrodne Córki Zuzannę i Olgę jest świadkiem Wielkości pomysłodawcy... jesteśmy dumni z Pań, Pani Zuzanno i Olgo, bo trochę jesteście naszymi dziećmi – choć Córkami Kolegi z niezapomnianych lat studiów...

List od Pani Zuzanny (starszej Córki Piotra). Dzień dobry, przepiękna opowieść powstała z tej korespondencji! Dziękuję bardzo. Dziś dla nas smutna rocznica... Wspomnienia Koleżanek i Kolegów zamieściliśmy na stronie Fundacji. To dla nas niezwykle ważne wspomnienia, bo z tych czasów Taty nie znamy... Zapraszam na: <https://podajdalej.org.pl/aktualnosci/wspomnienia-kolezanek-i-kolegow-z-lat-studiow-lekarskich-o-sp-doktorze-piotrze-janaszku/>. Pod Państwa wspomnieniami można pobrać Taty felietony. Jako dziennikarz z zamiłowania pisał ich mnóstwo. Planujemy udostępniać kolejne artykuły. Zapraszam do lektury, pozdrawiam serdecznie i jeszcze raz dziękuję za Państwa ogromne zaangażowanie i tak piękne upamiętnienie Taty, Zuzanna

Powyższe teksty zostały zamieszczone 6 grudnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4449> pod tytułem: Jedno krótkie życie Niezwykłego Lekarza – Piotra Janaszka. Wspomnienia kolegów ze studiów ...

Relacja z premiery filmu „Doktor Piotr”, 2020 r.

30 listopada 2019 r. w szczelnie zapełnionej sali kinowej konińskiego domu kultury odbyła się premiera filmu „Doktor Piotr”, skrótovej opowieści o naszym tragicznie zmarłym przed 20 laty Koledze z Akademii Medycznej w Poznaniu (studia na Wydziale Lekarskim 1965–1971) – Piotrze Janaszku. Film okazał się przejmujący, choć równocześnie radosny. Były też opowieści o Piotrze oraz wiele zdjęć i filmików o niebywalej wartości dokumentalnosentymentalnej. Na spotkanie przyjechali koleżanka i koledzy ze studiów: Urszula Mikołajczak Mejer (Koszalin), Hieronim Głowacki (Oldenburg in Holstein, Niemcy), Leszek Milanowski (Londyn), Franciszek Rajewski (Poznań) i Jerzy T. Marcinkowski (Poznań). Pozostali z różnych powodów, chyba głównie zdrowotnych, nie uczestniczyli w spotkaniu, lecz byli obecni emocjonalnie i duchowo, czemu dali wyraz, pisząc emaile do głównych organizatorek, córek Piotra – Zuzanny Janaszek Maciaszek i Olgi Janaszek Serafin.

Po seansie Zuzanna Janaszek Maciaszek zaprosiła na kameralne spotkanie przyjaciół Piotra, dawnych współpracowników oraz podopiecznych i odczytała fragment wspomnień koleżanki ze studiów Zofii

Konopielko z d. Łukaszewicz o pierwszym spotkaniu z Piotrem w lipcu 1965 r. w dziekanacie Akademii Medycznej pod tablicą ogłoszeń, gdzie zamieszczono listę przyjętych na studia. Po przeczytaniu swojego nazwiska na liście przyjętych na studia Piotr przedstawił się jej i powiedział: „Teraz mogę realizować swoje marzenia”. Tak, mając zaledwie 18 lat, wiedział, co chce robić w życiu i konsekwentnie to realizował.

Po spotkaniu napisał do nas Hieronim Głowacki, który mieszka od wielu lat w Niemczech i przebył setki kilometrów, by dotrzeć do Konina. Oto fragment jego listu: „[...] Piotr marzył. Żeby coś osiągnąć, trzeba marzyć. Bo z marzeń powstają wizje, dalsze cele, plany, realizacja. Ale to jest tylko połowa sukcesu. A żeby coś osiągnąć, trzeba wierzyć w siebie, w swoje postępowanie, we właściwość swoich planów. Piotr wierzył w siebie. [...] Dlatego droga młodzieży, [...] jeżeli chcecie coś w życiu osiągnąć, musicie marzyć, [...] i musicie wierzyć w siebie [...]”.

W czasie spotkania po seansie Franciszek Rajewski przypomniał słowa z filmu: „Piotr wydobywał zastraszone dzieciaki z niepełnosprawnością z zamkniętych domów, komórek, gdzie ukrywali je rodzice w latach 70. ubiegłego wieku”.

W tym czasie Polska, daleko za Zachodem dawno otwartym na niepełnosprawność, była mrocznym zaściankiem. Rodzice wstydzili się niepełnosprawnych dzieci, bo wytykano ich palcami, a nawet wyśmiewano. Wtedy to Piotr, wychowanek prof. Wiktora Degi – znanego szeroko w świecie ortopedy z Poznania, który pierwszy w naszym kraju doceniał wagę rehabilitacji – zaczął działać z wielkim rozmachem. Porzucił ścieżkę kariery zawodowej i naukowej i zaczął pracować wśród ludzi – organizował pierwsze kolonie dla dzieci z niepełnosprawnościami, stworzył osadę dziecięcą „Mielnica”. Piotr był pionierem, a przy tym człowiekiem radosnym i pełnym entuzjazmu. Pokonywał trudności, w tym wrogość ludzi władzy, wynajdował sponsorów, by swoim podopiecznym pokazywać świat, zabierać ich na wycieczki, nawet do Ameryki. Jedyłą jego nagrodą był uśmiech dzieci. Swoją wielką ideę czerpał z tradycji rodzinnych. Miał zaledwie 51 lat, gdy 6 grudnia 1998 r. zginął w wypadku samochodowym.

Na stronie Fundacji Podaj Dalej (<https://podajdalej.org.pl/>), którą prowadzą córki Piotra, można znaleźć wiele informacji o historii tej rodziny. Píše o tym również Eugenia R. Dabertowa w książce „Doktor Piotr. Pasje życia Piotra Janaszka”.

Prawdopodobnie wszystko zaczęło się od dziadka Piotra Janaszka – Piotra Niedzieli, który przebywając w szpitalu po wypadku jako 16-latek zaczął rzeźbić figurki lekarzy. Ci zauważyli jego talent i skierowali go do fabryki protez. Przedsiębiorczy przodek Piotra Janaszka już w 1910 r. założył w Berlinie własny warsztat, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wrócił do Poznania i już w 1920 r. otworzył pierwszy w tym mieście warsztat ortopedyczny. Jego liczne wynalazki opatentowano w Polsce i w Berlinie. Piotr Niedziela potrafił tak rzeźbić protezy z drewna topolowego, by były lekkie i nie uwierały kikutu nogi. Wymyślił też ruchome stopy. W czasie II wojny światowej Niemcy zniszczyli jego dorobek. Aresztowany przez gestapo najpierw trafił do katowni w Domu Żołnierza przy ul. Niezłomnych, potem do Fortu VII, a następnie do obozu koncentracyjnego w Dachau i ostatecznie Mauthausen Gusen, gdzie zmarł. Po wojnie jego żona Marianna ze starszą córką Zuzanną otworzyły warsztat w rodzinnej kamienicy Niedzieliów. Któregoś dnia ich warsztat odwiedził prof. Wiktor Dega, który poszukiwał fachowców, bo planował otworzyć warsztaty ortopedyczne w swojej Klinice Ortopedii. Od tej pory ożyła dawna znajomość profesora z rodziną, którą już przedtem poznał dzięki pracom Piotra. Nasz kolega Piotr Janaszek kiedyś napisał, że po ojcu Janaszku odziedziczył poczucie humoru i nieprzyzwoity optymizm, a także drugi po genie Niedzieliów gen społecznikowski. Empatię miał po mamie Zuzannie, która była przedwojenną harcerką, a w czasie wojny sanitariuszką. Piotr urodził się 21 kwietnia 1947 r.

Po naszym konińskim spotkaniu tak napisał Leszek Milanowski: „[...] Nie znam nikogo, kto by nie uważał Piotra za swojego przyjaciela. [...] Od początku, gdy Go poznałem, nie spodziewałem się, że zajmie się innymi niż niepełnosprawnymi, gdy koło Kliniki Ortopedycznej profesora Wiktora Degi zobaczyłem szyld «Niedziela – Janaszek Pracownia Sprzętu Ortopedycznego». [...] Po 20 latach od Jego odejścia Jego Koleżanki i Koledzy, Jego «niepełnosprawni» Wychowankowie wciąż o Nim pamiętają i przychodzą ze swoimi sprawnymi dziećmi. Mówią, że nauczył Ich wiary w siebie. [...] Prawdziwie Wielki Człowiek, odszedł wcześniej, lecz Jego dzieło nadal żyje”.

Niebawem po spotkaniu w Koninie otrzymaliśmy list z po dziękowaniem od córek Piotra.

J. T. Marcinkowski, Wspomnienie o Piotrze Janaszku, Wielkopolska Izba Lekarska, Biuletyn Informacyjny nr 3 (302), Poznań, marzec, 2020, <https://wil.org.pl/wp-content/uploads/wil-03-2020-issu.pdf>

Ryszard Musialik (1947-2013). Wspomnienia spisane w 2015 r. przez żonę, koleżankę z roku, od 2019 śp. Danutę Pupek-Musialik)

Pożegnanie – wspomnienia o ś. p. dr med. Ryszardzie Musialiku (Danuta Pupek-Musialik). Rysiek, mój mąż, odszedł tak nagle, że do dziś nie mogę w to uwierzyć. W pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia 2012 stracił przytomność, a 8 stycznia 2013 już nas opuścił. Odszedł w ciszy, skromnie, tak jak sam żył. Miał bardzo wielu przyjaciół. Swoją pracowitością i uczynnością zaskarbił sobie wdzięczność wielu osób. Nigdy nie odmawiał swojej pomocy. Całe życie zawodowe – 40 lat – przepracował w szpitalu im. F. Raszei. Kiedy odchodził na emeryturę otrzymał stosowne papiery i zdawkowe słowa „do widzenia”. Ale jego serce było przez wiele lat, aż do końca życia, związane z Państwową Strażą Pożarną. Wpierw pełnił tam służbę jako lekarz zakładowy, a po rozwiązaniu poradni nadal charytatywnie leczył, wspomagał, załatwiał konsultacje każdemu strażakowi, poczynając od osób z najmłodszym stopniem, aż do generałów. Społeczność strażacka wysoko ceniła jego postawę jako lekarza i człowieka. Wyrazem tej wdzięczności było przyznanie dr med. Ryszardowi Musialikowi wielu odznaczeń resortowych, w tym najwyższych odznaczeń przyznawanych nielicznym ludziom obdarzonych wiedzą, kulturą oraz po prostu dobrym sercem. W tym czasie zrobił doktorat z zakresu laryngologii pt.: „Wpływ tonsillektomii u osób dorosłych na zachowanie się stężeń i profilów glikozylacji wybranych białek ostrej fazy” (2000 r.). Recenzenci uznali tę pracę za wyróżniającą się.

Świętej pamięci Rysiek uwielbiał podróże, a gdy nie mógł zrealizować swoich planów namiętnie studiował mapy, wskazując drogę do planowanego celu. Mając tak wielu przyjaciół, zaproszony został na wakacje do Stanów Zjednoczonych; zwiedził większość krajów europejskich. Odwiedził swojego przyjaciela lekarza mieszkającego w Ghanie, w centralnej Afryce.

Był osoba nie przystającą do otaczającej rzeczywistości. W mojej pamięci pozostanie jako oddany mąż i ojciec. W okresie mojej choroby spędził ze mną cały miesiąc siedząc przy szpitalnym łóżku i pomagając mi przetrwać ciężki okres mojego życia. Teraz Rysiek odszedł, ale pozostanie w naszych myślach i sercach. Jak mówią nagrobne napisy: „Człowiek tak długo żyje jak długo pozostaje w naszej pamięci”. Pisząc te smutne wspomnienia cisną mi się na usta słowa naszego wieszczą, Juliusza Słowackiego. Oto fragment „Testamentu” naszego poety. Słowa te bardzo przystają do osobowości Ryśka i niechajże zakończą to wspomnienie o moim mężu, ojcu, lekarzu, pełniącym służbę dla dobra innego człowieka. „Żyłem z Wami, cierpiałem i płakałem z Wami. Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny. Dziś rzucam Was i dalej idę w cień – z duchami”.

Do zobaczenia drogi Ryśku po drugiej stronie Styksu, w krainie wiecznej szczęśliwości. Żona Danuta Pupek-Musialik, 2015 r

nekrolog z dnia 10.01.2013

Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci naszego drogiego Kolegi i Współpracownika
ś+p

dr. n med. Ryszarda Musialika

Zmarły był wieloletnim pracownikiem Oddziału Laryngologicznego Szpitala im. F. Raszei w Poznaniu, doskonałym specjalistą-laryngologiem, prawdziwym Przyjacielem chorych i wspianiałym Kolegą.

Oddział nasz poniósł niepowetowaną stratę.

Ordynator, Lekarze, Pielęgniarki Oddziału Laryngologicznego

Żonie i Córce

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Ryszard był też naszym kolegą z roku i mężem Danusi . Poza kilkoma słowami na jego temat które napisał Hirek – Ryszard Musialik stał zawsze w 3 rzędzie, nie pchał się do przodu. Skromny, zawsze uśmiechnięty. Niestety, więcej nie pamiętam. , może ktoś jeszcze coś opowie o tym skromnym towarzyszu życia Danusi ? zobaczymy nadzieja zawsze powinna być

<http://zofiakonopielko.pl/?p=4815>

I wybraliśmy jeszcze inne fragmenty z opowieści Danuty Pupek- Musialik z 2017 r. :

„Pani Irena, bardzo dobra osoba, bardzo dbała o moją cnotę. Ponieważ mój pokój był przechodni, a zatem musiała dostać się do swojej sypialni przez mój pokój, zorganizowała tzw. „deskę cnoty”. Ponieważ już wtedy byliśmy parą z Ryśkiem, późniejszym moim mężem, a uczyliśmy się razem, w nocy, wspomniana „deska cnoty” nie pozwalała zamknąć drzwi, bo jej położenie na podłodze było kontrolowane, co powodowało bardzo przyzwoite nasze zachowanie. „Deska cnoty” przeszła do historii naszego małżeństwa. (...) Na III roku był egzamin z filozofii. Mój partner, Rysiek Musialik, niewiele umiał i zdecydował, że nie będzie podchodził do egzaminu ustnego. Przyszedł do mojego pokoju z „deską cnoty”, aby poinformować mnie o braku dostatecznej wiedzy filozoficznej. Ubranie miał tzw. codzienne, bez krawata i białej koszuli. Koledzy, gdy się o tym dowiedzieli, przyjechali do mnie: był to Andrzej Baszkowski i Zosia Zommer ze swoją sympatią. Orzekli, że Rysiek musi zdawać; nie pyta prof. Mieczysław Stański, lecz któryś z adiunktów. Chłopacy dali Ryśkowi koszulę, krawat i garnitur i popędzili na egzamin. O dziwo zdał, ale ubranie musiał oddać – przebieranka znowu w moim pokoju.

(...). Dziś Ryszarda nie ma wśród nas. Pozostały obrazy, urok tamtych lat. Ja nadal pracuję jako kierownik Katedry; 19 osób zrobiło u mnie doktorat, a 3 kolegów habilitacje. Jako profesor mam prawo pracować do 70 lat. Zobaczymy jak się życie dalej potoczy. Zostałam sama z córką, także lekarzem, oraz poczuciem szybko mijającego czasu”.

Hieronim Głowacki kiedyś napisał: Ryszard Musialik stał zawsze w 3 rzędzie, nie pchał się do przodu. Skromny, zawsze uśmiechnięty. Niestety, więcej nie pamiętam.<http://zofiakonopielko.pl/?p=4815>

Nekrolog z dnia 10.01.2013

„Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci naszego drogiego Kolegi i Współpracownika
ś+p

dr. n med. Ryszarda Musialika

Zmarły był wieloletnim pracownikiem Oddziału Laryngologicznego Szpitala im. F. Raszei w Poznaniu, doskonałym specjalistą-laryngologiem, prawdziwym Przyjacielem chorych i wspianiałym Kolegą.

Oddział nasz poniósł niepowetowaną stratę.

Ordynator, Lekarze, Pielęgniarki Oddziału Laryngologicznego
Żonie i Córcie
składamy wyrazy głębokiego współczucia”.

Szymon Tyliszczak (1947-2014). Wspomina naszego Kolegę i wspólny z Nim czas Józef Ryżko.
Wspomnienie o Szymonie Tyliszczaku. Na pierwszym roku Szymon kojarzył mi się ze skórzaną kurtką z postawionym futrzanym kołnierzem, odkrytą głową i tubalnym, pełnym spokoju głosem, kiedy szliśmy grupą studentów z akademika na Grunwaldzką do przystanku przy Grochowskiej lub wracaliśmy po zajęciach do akademika.

Od trzeciego roku studenci naszego roku zostali przeniesieni do akademika przy ul. Palacza. Dla nas był to skok cywilizacyjny. Pokoje ogrzewane były kaloryferami, a nie dmuchawami pod sufitem. Co więcej, ściany były otynkowane a nie z pomalowanych desek. W pokojach było poza tym znacznie ciszej, a ponadto krótszy przemierzaliśmy dystans do przystanku tramwajowego niż z akademika przy Grunwaldzkiej. Dalej za to było do baru mlecznego. Od czwartego roku zamieszkaliśmy w trójkę z Szymonem i Józkiem Banaszkiewiczem. Za ścianą mieszkał Józek Nagalewski, który często do nas zachodził i opowiadał zabawne lub mniej zabawne historie ze swoich czasów felcherskich. A niekiedy, kiedy był pod wpływem, to śpiewał fragmenty arii operowych. Szymon był szczęśliwym posiadaczem radia marki AGA z magicznym okiem, z którego chętnie słuchał rytmów bałkańskich. Był to refleks Jego karpackich korzeni rodzinnych. Raczej więcej czasu spędzaliśmy nad książkami. Szymon miał zwyczaj podkreślania kolorowymi kredkami ważniejszych linijek tekstu podręczników. Często zwracaliśmy Mu uwagę, że zapominał podkreślić tę, czy inną linijkę, ponieważ większość z nich była kolorowa.

Miał zwyczaj powtarzać dziewczynom, że studiował w seminarium duchownym, przez co od razu sporo zyskiwał w ich oczach. Nie wiem czy dzisiaj taki chwyt byłby skuteczny.

Pamiętamy, że tamtych zamierzczłych czasach wisiały w dziekanatach listy studentów wszystkich grup, a nawet stopnie z egzaminów. Nikogo to nie raziło. Nikt nie czuł się z tego powodu dyskryminowany ani pokrzywdzony. Konsekwencją łatwości znalezienia jakiego nazwiska była opisana poniżej sytuacja.

Którego dnia Szymon wraz z kuzynem o tym samym imieniu i nazwisku (studentem rolnictwa) poszli żeńskiego akademika na Winogradach, do pokoju, w którym przebywała studentka ogrodnictwa ówczesnej Wyższej Szkoły Rolniczej i zapytali: Czy mamy przyjemność z panią Marią Tyliszczak? Po odpowiedzi twierdzącej powiedzieli: Pani pozwoli, że się przedstawię – Szymon Tyliszczak jestem, a drugi z nich mówi to samo. Zaskoczona Maryla poprosiła o jakiś dokument. W ten sposób poznali się i byli parą do końca studiów i krótko po ich ukończeniu. Szymona nie obowiązywały godziny odwiedzin u Maryli, ponieważ portierzy pamiętali, że idzie odwiedzić siostrę. Początkowo jednak okazywał legitymację studentką.

Jak pamiętamy, po wypadkach marcowych 1968 r. Władysław Gomułka zniósł stypendia pieniężne dla studentów dwóch ostatnich lat. Zatem już na czwartym roku należało rozejrzeć się za sponsorem oferującym stypendium fundowane. Postanowiliśmy z Szymonem wrócić na Ziemię Lubuską. Napisaliśmy listy do kilku wydziałów zdrowia (Zielona Góra, Nowa Sól, Żary, Głogów). Z Zielonej Góry odpowiedź przyszła bardzo szybko, oferująca nam i mieszkanie i zatrudnienie oraz specjalizację do wyboru. Szybka odpowiedź była argumentem, że im na nas zależy. To skłoniło nas do podpisania umowy z Zieloną Górą. Blok, w którym mieliśmy mieszkać był na ukończeniu. Zaproponowano nam czasowy pobyt w pomieszczeniu dawnego laboratorium analitycznego w śródmieściu. Znajdowało się tam kilkanaście kurków z gazem (gaz był wyłączony) i ponad 20 gniazdek elektrycznych podłączonych

do sieci. Do tego były 2 łóżka szpitalne, szafa i piec kaflowy. W sąsiednim pokoju mieszkał zaopatrzeniowiec przychodni z rodziną. Pracę rozpoczęliśmy w sierpniu. Ja zacząłem staż na pediatrii, a Szymon na internie. Szymon wówczas myślał o medycynie ogólnej.

Jesienią zaczęły się chłody. W związku z tym ogrzewaliśmy się kilkoma spiralami 1000 W, takimi od żelazek elektrycznych, zawieszonymi na gwoździach wbitych do listewek i prowizorycznie podłączonych do gniazdek. Zimą to nie wystarczyło. Sąsiad poradził nam, żeby wieczorem, raczej żeby nas nikt nie widział, przejść przez ogródek na podwórze znajdującej się po sąsiedzku Przychodni Zdrowia Psychicznego i tam nabrać węgla do wiaderka. Lofix na podpałkę dostaliśmy. Pożytek z pieca był niewielki, ponieważ wracaliśmy wieczorami i raczej używaliśmy spiral.

Późną jesienią 1971 r. wybuchła epidemia grypy. Jako młodzi lekarze zostaliśmy oddelegowani do akcji „Grypa”. Każdego dnia wręczano nam adresy około 50 pacjentów do załatwienia i zeszyt gdzie odnotowywaliśmy dane pacjenta, adres, nr statystyczny choroby i zastosowane leczenie. Nie prowadzono historii chorób. Wizyty załatwiane po 15.00 były płacone ekstra tj. po 15 zł za każdego pacjenta. Ja byłem już po stażu pediatrii to mnie wysyłano do dzieci. Szymon jeździł do dorosłych. Często jeździło się do 22 – 23 wieczorem. Którego dnia przyszedł do nas sąsiad zza ściany i powiedział, że zwalnia się Ośrodek Zdrowia w Świdnicy, dużej wiosce położonej 10 km na Zachód od Zielonej Góry. Czy ktoś z nas nie byłby tym zainteresowany? Szymon odpowiedział, że chciałby ten ośrodek zobaczyć. Mieścił się on w ładnym budynku, położonym na skarpie, z mieszkaniem dla lekarza na piętrze, a drugie mieszkanie zajmował stomatolog z rodziną. Szymonowi ośrodek spodobał się. Był do obsadzenia za kilka miesięcy.

Tymczasem ukończono blok przy ul. Ptasiej 40. Połowa mieszkań miała być dla służby zdrowia i połowa dla milicjantów. Większość mieszkań była dwupokojowa. Mieszkania dla służby zdrowia rozdzielano w Wojewódzkim Wydziale Zdrowia. Nam przydzielono dwupokojowe mieszkanie na 10 piętrze. Zamysł rozdzielających był taki aby jedno mieszkanie dać panom a drugie paniom licząc, że dojdą do porozumienia i wymienią się pokojami, a wszyscy będą zadowoleni. Entuzjazmu wśród nas to nie wzbudziło. Odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy w miarę komfortowym akademiku. I tak się czuliśmy.

Na wiosnę wszystkim stażystom wymówiono zatrudnienie w szpitalu proponując przejście do przychodni rejonowych i kontynuować staż, a następnie rozpocząć specjalizację na zasadach 4 godziny w szpitalu i 5 godzin w poradni. Mnie skierowano do poradni dziecięcej na Wiśniowej (5 min. od domu). Szymon zaczął już dojeżdżać do Świdnicy. Po 2-3 miesiącach kupił Syrenę na raty, korzystając z preferencji dla lekarzy wiejskich. Latem zaczął Szymon urządzać mieszkanie dla siebie w ośrodku zdrowia. Relacje z Marylą zaczęły się psuć, a w życiu Szymona pojawiła się Ania – z zawodu i zamiłowania ogrodniczka. Zajęli się również dość sporym ogrodem przy ośrodku, co było dla nich dużą frajdą. W 1975 r. Szymon skończył specjalizację I stopnia z interny. Praca w ośrodku dawała Mu sporo satysfakcji. Czuł się w niej spełniony. Włączył się w społeczność miejscową. Wyrazem popularności Szymona był wybór do rady gminy. Po latach, z dużego placu przyległego do ośrodka Szymon wydzielił działkę, na której rozpoczął budowę domu, w którym zamierzał mieszkać w przyszłości. Po kilku latach dom został ukończony.

Szymonowie mieli troje dzieci, z których najstarsza córka urodziła się z nieoperacyjną wadą serca. Była konsultowana w wielu ośrodkach krajowych i zagranicznych. Mimo ostrożnego rokowania jest już osobą dorosłą, zamężną i wychowuje córkę. Syn Szymona ukończył studia medyczne we Wrocławiu. Przez kilka lat pracował w ośrodku, a przed dwoma laty wyemigrował do Kolonii, gdzie specjalizuje się w neurologii. Najmłodszy syn Szymona z żoną wyemigrowali do Berlina. Ostatnia dekada życia Szymona naznaczona była cierpieniem. Zaczęło się od upadku na złodowaciałym śniegu

przed domem i urazie części krzyżowej kręgosłupa, a na zdjęciu rtg stwierdzono zmiany, które oceniono jako osteoporotyczne. W tym kierunku poszła dalsza diagnostyka, a próby leczenia w ośrodkach poznańskich nie przyniosły poprawy. W końcu wykonano badanie szpiku kostnego, co pozwoliło na ustalenie rozpoznania. Znajdował się pod troskliwą opieką Kliniki Hematologicznej UM w Poznaniu oraz hematologów zielonogórskich. Po autotransplantacji szpiku przez ponad 5 lat utrzymywała się remisja choroby. W ostatnich miesiącach życia dołączyły się komplikacje hematologiczne, w wyniku których Szymon wymagał stałego pobytu w Klinice. Niemal przez cały ten pobyt, aż do końca, opiekowała się nim troskliwie córka. Szymon zmarł w marcu 2014 r. Pochowany został na Cmentarzu Parafialnym w Świdnicy k. Zielonej Góry.

[Tadeusz Kaczmarek \[1947-2012\] \(wspomnienia Jerzego T. Marcinkowskiego i syna Szymona\)](#)

Jerzy T. Marcinkowski opowiada: Upalny dzień czerwca 2002 roku, duszno i gorąco pomimo szeroko otwartych okien w Dziekanacie Wydziału Lekarskiego I Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu przy ul. Fredry 10. Trwa egzamin w przewodzie doktorskim „Zatrudnienie osób niepełnosprawnych w świetle obowiązujących przepisów i orzeczeń lekarskich oraz opinii wybranych grup społecznych”. Egzaminowany z wielkim zapałem odpowiada na pytania Komisji doktorskiej... i w pewnym momencie jedna z pań, profesor, wstaje, nalewa wodę do szklanki i podaje doktorantowi ze słowami „Proszę się napić, bo przecież zaschło Panu w gardle”. Po kolejnym pytaniu druga pani profesor czyni podobnie, ponownie podając egzaminowanemu szklankę wody. Potem Komisja stwierdza, że już naprawdę dosyć usłyszała, prosząc aby teraz doktorant zaczekał na korytarzu na werdykt, ale ten ociąga się z wyjściem, bo chce jeszcze tyle powiedzieć! Wreszcie drzwi za doktorantem się zamykają, a Dziekan Andrzej Obrębowski mówi „No i co?” A członkowie Komisji: „Niesamowity był! Celująco...!” Taki właśnie był dr n. med. Tadeusz Kaczmarek, a mnie wtedy rozpieła duma, bo to mój kolega z roku, doktorant którego byłem promotorem, przyjaciel...

Tadeusz ukończył Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Poznaniu w 1971 roku. Jego największą życiową pasją była chirurgia, której dalszą karierę we wczesnych latach pracy zawodowej przerwał dramatyczny wypadek – złamanie kręgosłupa na skutek upadku ze schodów w drodze do Oddziału Chirurgicznego Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Pile, w którym wówczas pracował. Po tym zdarzeniu musiał radykalnie zmienić obrany kurs w zakresie pracy lekarza w inne dziedziny medycyny.

Stał się twórcą i kierownikiem Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Medycznych w Pile (1975-1983). Był lekarzem okrętowym (1982), zastępcą dyrektora ds. leczenia Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Pile, pracując tamże (1984-1985) na Oddziale Nefrologii, organizatorem i kierownikiem nowej Przychodni Międzyzakładowej przy Z.S.O. „Polam” (1985-1990), dyrektorem Zespołu Opieki Zdrowotnej w Pile (1991-1997), twórcą i prezesem Spółki Lekarskiej „Labor-Med” w Pile (1992-2009), Głównym Lekarzem Orzecznikiem Oddziału ZUS w Pile (1997-2001), przewodniczącym Komisji Lekarskich Oddziału ZUS w Pile (2005-2009), od 2001 kierownikiem Działu Organizacji, Nadzoru i Szkolenia Wielkopolskiego Centrum Medycyny Pracy w Poznaniu, gdzie pracował niemalże do końca życia pomimo ciężkiej, nieuleczalnej choroby.

Pozostawił po sobie około 30 publikacji, głównie w „Orzecznictwie Lekarskim”, „Przeglądzie Epidemiologicznym”, „Archiwum Medycyny Sądowej i Kryminologii” oraz „Problemach Higieny i Epidemiologii”. Inne obszary jego działalności, to: przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia przy Szpitalu Miejskim, potem Wojewódzkim Szpitalu Zespołowym w Pile (1973-1980), przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego (1984-1990), delegat na I Zjazd Polonii Medycznej w Częstochowie w 1990 roku, członek Ogólnopolskiego Komitetu Organizacyjnego Izb Lekarskich, pełnomocnik ds. organizacji izby lekarskiej

na terenie województwa pilskiego (1989-1990), sekretarz Okręgowej Bydgosko-Pilskiej Izby Lekarskiej (1990-1995), członek Polskiego Towarzystwa Higienicznego.

Przed wszystkim pozostanie na zawsze w naszej pamięci jako jeden z tych, którzy całe swoje życie poświęcili w imię służenia zawsze i wszędzie tzw. słusznej, ważnej, uczciwej i przyzwoitej jakiejś sprawie - zarówno w sferze życia prywatnego jak i stricte zawodowego. Jako człowiek był nadzwyczaj skromny, uczciwy i prawy, jako lekarz zawsze sumienny, zdyscyplinowany i w pełni poświęcający się każdej wykonywanej pracy w różnych dziedzinach i dyscyplinach - zarówno klinicznych, jak i administracyjnych, w których funkcjonował.

List Szymona Kaczmarka (syna Tadeusza) do Jerzego T. Marcinkowskiego. Szanowny Panie Profesorze. Przesyłam Panu Profesorowi życiorys mojego kochanego ojca i kilka moich refleksji o nim. Na wstępie pozwolę sobie na prozaiczne stwierdzenie – proszę wybaczyć za śmiałość mojego zdania – ale jestem w pełni przekonany, że przesyłam te informacje chyba jedynemu jego prawdziwemu przyjacielowi, pomijając najbliższą rodzinę. Ojciec za takiego Pana Profesora uważał, darzył Pana olbrzymią sympatią, poważaniem i szacunkiem. Dużo mi o Panu Profesorze i o waszej koleżeńskej współpracy opowiadał, zawsze z wielkim humorem i atencją.

Pozwolę sobie jeszcze nadmienić, że osobiście nie mogę się z samymi, niedawno zaistniałymi faktami pogodzić, i że jest mi chwilami bardzo trudno zaakceptować zaistniały stan rzeczy i bieg na jego skutek dalszych życiowych wydarzeń, ale wzorując się na przykładzie sposobu funkcjonowania w życiu i traktowania czy też radzenia sobie w tzw. trudnych życiowych sytuacjach mojego ojca wiem, że muszę przetrwać i z determinacją żyć dalej i walczyć ze wszystkimi zawirowaniami życiowymi, jakie ironiczny los może zawsze człowiekowi zaoferować.

Mój ojciec – był przede wszystkim, jest i pozostanie na zawsze jednym z tych, którzy całe swoje życie poświęcili w imię jakiejś jednej nadrzędnej dla siebie idei – w jego przypadku było to służenie zawsze i wszędzie tzw. słusznej, ważnej, uczciwej i przyzwoitej jakiejś sprawie, zarówno w sferze życia prywatnego jak i stricte zawodowego. Jako człowiek był nadzwyczaj skromny, uczciwy i prawy – powiem patetycznie, dla mnie był szlachetny, – jako ojciec wspaniały i kochający, jako lekarz zawsze sumienny, zdyscyplinowany i w pełni poświęcający się każdej wykonywanej pracy w różnych dziedzinach i dyscyplinach zarówno klinicznych jak i administracyjnych, w których funkcjonował.

Życiowe losy mojego ojca Pan Profesor zapewne dobrze zna z jego opowiadań, tak mi się przynajmniej wydaje, dlatego też tylko pozwolę sobie przypomnieć jeszcze o jego osobistych pasjach i zainteresowaniach. Największą życiową pasją ojca była jak sądzę chirurgia, której dalszą karierę we wczesnych latach pracy, przerwał na progu dramatyczny wypadek – złamanie kręgosłupa na skutek spadnięcia ze schodów w drodze do szpitala na oddział chirurgiczny. Po tym zdarzeniu ojciec musiał radykalnie zmienić obrany kurs w zakresie pracy lekarza w inne dziedziny medycyny.

Ojciec był typowym intelektualistą – bibliofilem, kochał książki, które zbierał całe życie i nigdy się z nimi nie rozstawał. Szczególnie zafascynowany był prozą morską a zwłaszcza w twórczości Josepha Conrada. „Lorda Jima” Josepha Conrada – ojciec znał praktycznie na pamięć. Opublikował w 2004 r. książkę pt.: Joseph Conrad – Refleksje o Morzu i Statkach, Życiu i Ludziach – w której ujął całokształt poglądów i myśli Josepha Conrada o wszystkich aspektach ludzkiej egzystencji. Zawarte w książce 450 cytatów, zarówno bardzo znanych jak i dotychczas nieczęsto zauważanych, pochodzi ze wszystkich dzieł Conrada które ojciec osobiście przeczytał.

Ojciec całe życie był dla wszystkich bardzo wyrozumiały – zawsze postępował w imię zasad godności i przyzwoitości ludzkiej – pojęciom które w dzisiejszym brutalnym świecie wydają się archaiczne. W swojej chorobie traktujący siebie samego w sposób niezauważalny w sensie niezwracania niczyjej

uwagi na swoje dolegliwości i cierpienia, wręcz przeciwnie zachowując się przez cały czas od momentu zachorowania na nią w sposób nadzwyczaj gorliwy i żywotny, wiedząc i zdając sobie sprawę z rzeczywistości jaką niosła ona za sobą, do samego końca aktywnie żyjąc i walcząc z nią. Ojciec jako lekarz doskonale sobie zdawał sprawę z kolei dalszych losów, jakie życie mu zafundowało na skutek jego choroby. Leżąc w szpitalu po pierwszej operacji jaką przeszedł, powiedział: „wyrok zapadł – tylko egzekucja została oddalona”. Ojciec ofiarnie i z wielką determinacją walczył z okrutną chorobą kilka lat – na początku 2009 roku trafił do szpitala w Pile, potem rozpoczął się długotrwały i trudny proces leczenia, stanowiący jego heroiczne zmagania z nieuleczalnym i śmiertelnym schorzeniem nowotworowym.

Ojciec nigdy się nie poddawał w życiu i nie poddał się, także w tym najtrudniejszym dla niego okresie życia – w listopadzie zeszłego roku jeszcze chodził do pracy i przyjmował pacjentów w pilskim Oddziale Wielkopolskiego Centrum Medycyny Pracy. Pod koniec listopada 2012 r. po raz ostatni, znowu trafił do szpitala w którym zakończył swe zmagania z życiem. Jak na ironię przewrotnego losu, mój ojciec był inicjatorem i współtwórcą pierwszego wybudowanego w Pile hospicjum. (...). Podsumowując tak ujęty życiorys mogę jeszcze dodać, że ojciec w całym swoim zawikłanym życiu, zawsze kierował się jedną z naczelnych zasad etycznych w medycynie – „Primum non nocere”.

Leszek Milanowski (kolega z roku): Tadek Kaczmarek był ostoją spokoju, rozwagi i równowagi gdy się z Nim obcowało. Dla mnie był punktem odniesienia i recenzentem moich różnych poczynąń. Nigdy nie widziałem Go zdenerwowanego, niepewnego. Jego spokój udzielał się innym. Bardzo lubiłem z Nim rozmowy, które pozwalały patrzeć na rzeczy z innego punktu widzenia. Kiedyś na jakimś Zjeździe Chirurgów spotkałem się z Nim i Michałem Dolata. To było już po śmierci Ani Mieszała, Żony Michała. Rozmawialiśmy o chirurgii onkologicznej. Nie wiedziałem o Jego późniejszym wypadku. Jego dalsze losy, znalezienie innej drogi w realizacji samego siebie jako lekarza pokazują mi również, że w życiu trzeba walczyć do końca. Taki też widzi mi się Tadek. Tadek!, Ty nie całkiem umarłeś, bo żyjesz w swoim Synu. Jak się tam spotkamy gdzie Ty już jesteś, powiem Ci, że możesz być dumny z siebie i Twego Syna. Leszek Milanowski

Oba teksty zostały zamieszczone w 2018 r. w rozdziale blogu: Z pamiętnika Jerzego T. Marcinkowskiego pt. Wspomnienie o Tadeuszu Kaczmarcu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4240> i List od Szymona Kaczmarka, syna Tadeusza <http://zofiakonopielko.pl/?p=4247>. Znaczne fragmenty z artykułu autorstwa Jerzego T. Marcinkowskiego zawartego w czasopiśmie Hygeia. T.47.nr 4 (2012) s. 390 1509 – 1945 <https://polona.pl/item/dr-n-med-tadeusz-kaczmarek-1947-2012-we-wspomnieniach,Mzk0MDI2Mzk0/#info:metadata> –

Teresa Gawrońska – Deja (1947- 1972). Wspomnienia koleżanek i kolegów.

W materiałach archiwalnych Gazety Wielkopolskiej z 1972 r. podano: Zmarła Teresa Gawrońska – Deja. 25- letnia lekarka, pogrzeb odbędzie się w Gnieźnie. Jednak nie ma informacji na którym z 4 cmentarzy została pochowana....

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz: O Teresce Gawrońskiej – tragicznie zmarłej w młodości naszej koleżance – rozmawialiśmy już od pewnego czasu – a właściwie od momentu naszego powtórnego spotkania po 50 latach – Leszek Milanowski z czułością, Jurek Marcinkowski, z męską oceną, że piękna, silna, zdecydowana, zawsze z planem na życie a jednocześnie z głosem w którym była i stal, szkło i aksamit. Nigdy nie byłam z Nią blisko – ale mam Ją stale w oczach – bo była zjawiskowej urody – krucha i właściwie przezroczysta – z bardzo jasną karnacją i półdługimi prostymi włosami w kolorze nici babiego lata – blond ale z jakimś światłem – jawiła się jak istota nieziemska – jak Anioł będący tu tylko na chwilę... i tak też było...

Leszek Milanowski: W tłumie oczekujących na egzaminy wstępne na studia w Akademii Medycznej znalazłem się przypadkiem obok ślicznej blondynki. Takiej typowej, o jakich dziś się mówi „mądra jak blondynka”. Naprawdę cała trzęsła się ze strachu co się rzucało w oczy bardziej niż u innych. Złapała

mnie za ramię. Teraz już się nie przyznam – czy przypadkiem nie z chęci Jej poderwania nawet w tak krytycznej chwili – ale wtedy raczej w moim naturalnym odruchu chęci pomocy potrzebującym, pokazałem swoją spolegliwą (za Kotarbińskim) stronę. [Leszek już kilkakrotnie wspominał, że w tak młodym wieku przeczytał wszystkie dzieła profesora Kotarbińskiego] – Niech Pani się nie boi. Przecież przygotowywała się Pani przez całą szkołę średnią, zdała Pani maturę, zrobiła Pani wszystko żeby do egzaminu przystąpić i musi Pani zdać. Chyba trochę się uspokoiła. – Na sali nie mogłem Jej znaleźć. Mimo własnych problemów ciągle szukałem Jej wzrokiem. Mi przeszkadzał jakiś facet, który i tak się nie dostał. Widocznie był krótkowzroczny bo ciągle pokazywałem mu moje odpowiedzi. Po przyjeździe do Poznania by sprawdzić wyniki skierowałem pierwsze kroki do Collegium Maius. Tłumek przed tablica i jest moja blondynka! Znów się cała trzęsie. Ja spokojny choć przybity podchodzę i pytam: – Może ja pomogę Pani się znaleźć? Jak Pani się nazywa?” – Teresa Gawrońska, a Ty?” „- Leszek”. Ja zaczynam ciągnąć palcem od góry, Ona od dołu coraz bardziej zdenerwowana i trzęsąca. Jest! spotkaliśmy się w połowie.

Jaka odmiana! Rzuciła mi się na szyję, zaczęła całować – „to dzięki tobie, Lechu”. a ja ciągle myślałem o swojej „klęsce”. – Poczekaj na mnie chwile, muszę wejść do Sekretariatu. „Tylko Lechu się pośpiesz” – odtąd już tak zawsze mnie nazywała. Gdy sprawdziłem w sekretariacie, że mam same piątki, poza fizyką i nie mogę obejrzeć swojej pracy czułem się przybity a wręcz depresyjny gdy tymczasem Tereska czekała a ja zamiast zaprosić Ją do kawiarni, odprowadziłem na przystanek i pojechałem smutny w drugą stronę.

Potem znaleźliśmy się w jednej grupie. Zawsze się denerwowała – ale gdy wymienialiśmy na anatomii spojrzenia, to już ani Andrzej Kiersz, ani Witold Woźniak [nasi asystenci na anatomii] nie potrafili Jej zniszczyć. Dobrze się przygotowywała, choć ja już nie miałem do Niej serca za to, że była świadkiem mojej „klęski”. O Teresce już nie myślałem. Gdzie mi tam do tak pięknej kobiety. Ma na pewno wielu lepszych ode mnie wielbicieli. Tereska zawsze wydawała mi się taka uduchowiona, naiwna, egzaltowana, błędząca w obłokach blondynka na której próbował się mścić najpierw Woźniak na anatomii, a potem pewnie i inni asystenci zwracający uwagę na Jej urodę. Na pewno nie miała lekko, ale miło mi myśleć, że w pewności siebie i racjonalnego rozpoznania swoich możliwości pomogło spotkanie ze mną. O ile wiem, nigdy nie powtarzała żadnego egzaminu, ale wyglądała na zawsze zdziwiona. Typowa „blondynka” z wyglądu i na pierwszy rzut oka jak to się dziś mówi. Była w rzeczywistości zaprzeczeniem tego epitetu. Po dyplomie wyszła za mąż za naszego starszego o rok Kolegę, z którym zresztą jakiś czas potem pracowałem u Wojnerowicza. Mieszkali po sąsiedzku na Obozowej w domku, w którym potem mieszkała Ela Wojnerowicz z Andrzejem Pawlakiem. W czasie ciąży uporczywe wymioty ciężarnych. Dostała Dolargan, zapaść, tragiczne odejście. Byłem świadkiem tragedii Zdżicha M. A mnie też to mocno przybiło. Jakby wtedy skończył się okres studiów, który z Nią się zaczął... Tereska była piękną kobietą, jednocześnie życzliwą, otwartą, nikomu nigdy źle nie życzyła. Nie była w stanie. To nie było w Jej charakterze. Ja będę Ją pamiętał zawsze i chciałbym, by pamięć o Niej przetrwała. Choć to już ponad pół wieku od kiedy Ją poznałem. Nie wiem gdzie jest pochowana. Chciałbym postawić dla Niej świeczkę.

Dla mnie Tereska była taka „anielska”. Nie wiem, dlaczego się wokół Niej nie zakręciłem. Nie było czasu na romanse. Ale byłem głupi! Po zawale i reanimacji w Kilonii u Profesora Hammelmanna w 32 roku życia zmądrzałem. Zdecydowanie za późno...

PS: pisane w pociągach między Londynem, Birmingham, Norwich, Chesterfield latem 2018 roku

Henryk Zdun tak pisze o Teresce: „Niezapomniany przebieg miał egzamin z fizjologii u profesora Jana Kiersza. Zdawałem w parze z sympatyczną śp. Teresą Gawrońską. W trakcie egzaminu zadzwonił telefon. Profesor przyłożył telefon do czubka dużej, tysej głowy i zaczął rozmawiać. Teresa na ten widok wybuchła głośnym śmiechem. Profesor przerwał rozmowę, wpisał jej do indeksu dwóję i wyprosił. Natomiast mnie przepętał podwójnie, także za nią, oczywiście także z roli przewodnictwa kostnego w słyszeniu. Był jednak sprawiedliwy i zdałem egzamin z wynikiem bardzo dobrym. Natomiast wkrótce niespodziewanie zakończyła się sympatia Teresy do mnie. Stało to się na zimowym obozie narciarskim w Karpaczu. Jako jeden z młodych samców szukających adrenaliny, zjeżdżałem na sankach z Polany im. Bronka Czecha do kościółka Wang osiągając dużą prędkość w końcowym odcinku trasy. Teresa, ciekawa jak to dziewczyny, zapragnęła zjechać ze mną tą trasą. Jednak sanki z dwoma osobami zjeżdżają jeszcze szybciej. Zjechaliśmy szczęśliwie, ale Teresa głośno modliła się w czasie całego przejazdu. Po zjeździe powiedziała, że jestem wariat i nie chce mnie znać. I tak została przerwana nić sympatii. Nikt nie przewidział, że umrze już za 5 lat jako pierwsza kobieta z roku i to z powodu zatrucia ciążowego”

Ula Drązkiewicz

1. Egzamin wstępny. Na egzamin wstępny pojechałam na złość panu dyrektorowi liceum, który się ze mnie wyśmiał. Twierdził, że takie coś jak ja to tylko do pracy się nadaje, a nie na studia. Chciałam zobaczyć profesorów, studentów i to wszystko co ich otacza, ich świat. Byłam tak rozkojarzona, że zamiast na Przybyszewskiego pojechałam na ul. Paderewskiego, ale tam nie było żadnego szpitala. Złapałam taxi i w ostatniej chwili, pewnie jako ostatnia zdążyłam wejść na salę. Samego egzaminu specjalnie nie pamiętam. Nie bałam się, bo byłam przekonana, że i tak się nie dostanę na studia. Po informacji, że jestem przyjęta radość była duża, no i musiałam iść na te studia.

2. Pierwsze i bardzo przykre doświadczenie spotkało mnie na anatomii, chyba na trzecich ćwiczeniach. Pan docent (nie pamiętam nazwiska), przyszedł na ćwiczenia i trzech studentów, w tym ja, zawołał do odpowiedzi. Pokazał nam klisze rtg i pytał o różne szczegóły. Oczywiście nie bardzo umieliśmy. Ja akurat nie znałam nazw łacińskich - w szkole nie miałam łaciny. Zostaliśmy wyrzuceni z ćwiczeń. A pan doc. krzychał „w białych fartuchach możecie lody sprzedawać”. Wróciłam do akademika, przepłakałam wieczór. Pomyślałam, ale się nastudiowałam, tylko trzy tygodnie. O nie. Nie dam się. Nauczę się tej łaciny i anatomii. Było trudno, ale egzamin zdałam dobrze. Do dzisiaj mam w domu siedem tomów podręcznika anatomii Bochenka.

Inna smutna historia to egzamin z patofizjologii u pana prof. Antoniego Horsta. Mój indeks zgubił się i nie mogłam wejść na salę. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Poszłam do dziekanatu po egzaminie, którego nie pisałam. Pani z dziekanatu powiedziała, że wszystkie indeksy zabrał starosta. Zaparłam się, że nie wyjdę z pokoju dopóki go nie przeszukam. Odstawiłyśmy szafkę, a mój indeks leżał sobie za szafą. Egzamin zdawałam sama w sierpniu, zdałam go dobrze - byłam bardzo dumna, ale też dużo się uczyłam.

Były też śmieszne wypadki. Prałyśmy fartuchy z ćwiczeń i oglądałyśmy serial w TV. Oczywiście fartuchy się spaliły, wanienska się stopiła, było ciemno od dymu.

3. Matematyka na I-m roku Nie miałam problemów, byłam dobrze przygotowana ze szkoły, ale nie lubiłam tych zajęć.

4. Juwenalia i hasła. Najmilej wspominam pierwsze juwenalia. Stroje były pożyczone z opery i teatru. Mieszkańcy miasta byli b. mili dla studentów. Bawili się z nami. Hasło, które powtarzaliśmy brzmiało „niech nam żyje i podраста Józiu Szydlak pederasta” (ja znam: niech nam żyje i podраста Jasiu Szydlak chluba miasta). Na następne juwenalia w mundur ubraliśmy kukłę i wywiesiliśmy ją za okno a dużym

napisem: OTO OSTATNIA DZIEWICA. Oj, była za to kara, że już nigdy nic nie przebierałyśmy. W ostatnie juwenalia nie bawiłam się, bo zaraz po ich miałam ważne kolokwium i uczyłam się. Ale pierwsze są niezapomniane do dziś. Kiedy opowiadam moim wnukom, że ich babcia kiedyś siedziała na łwie przy wejściu do opery lew zaryczał (powszechna jest poznańska opowieść- że kamienny lew pod Operą zaryczy wtedy, gdy przejdzie koło niego dziewczica - ale od dziesięcioleci lew milczy - przyp. ZK)

5. Marzec 1968. Bardzo się bałam. Chodziliśmy pod pomnik Adama Mickiewicza, uciekaliśmy i słuchaliśmy nowinek. Dokładnie pamiętam ćwiczenia z farmakologii w Collegium Maius przy ul. Fredry 10 u doc. Alfonsa Chodery. Nagle do sali, w której były zajęcia wpadło 6 chłopaków z Politechniki. Uciekali. Pan Docent powiedział: „spokojnie ćwiczymy”. Ale przybyli chłopcy nie mieli fartuchów. Ustawiliśmy się tak, aby wyglądało, że każdy ma fartuch. Jeden fartuch na dwoje. Wpadli panowie w czarnych płaszczach, popatrzyli, policzyli nas. Pan docent poprosił, aby nie przeszkadzali, bo mamy bardzo ważne ćwiczenie. Pokrzyzczeli i wyszli z sali. „Kota uśpiliśmy na zawsze”. Był problem z wyjściem, ale jakoś się udało.

6. Przez cały okres studiów mieszkłam w akademiku na ul. Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce]. Najgorszy był I rok. Sześć łóżek w pokoju. Ustawione piętrowo. Każde inne z materacami różnymi, których w żaden sposób nie dało się ułożyć. Zerwane sprężyny, które wiązałyśmy sznurkami. Ja spałam na pięttrze. Tylko raz spadłam na śpiącą podę mną koleżankę. Ale co roku było coraz lepiej. Pokój nauki nazywany ryjownią okupowany zazwyczaj do 24-02 w nocy. Chodziłam spać wcześniej, ale wstawałam o 4-tej bo wtedy ryjownia była tylko moja i mogłam się uczyć. Im byłyśmy na wyższym roku, tym niższe piętro pokoju w akademiku i ładniejszy i luźniejszy. Ciepła woda pod prysznicem była 2x w tygodniu i to tylko 3-4 godziny. Kąpałyśmy się w zimnej wodzie i było szczęście jak udało się załapać na trochę ciepłej i to też nie długo, bo była kolejka. Pamiętam takie zdarzenie. Nasza koleżanka Stenia, na 4 lub 5 roku, była w wysokiej ciąży. Usiadła na popsutym krześle, które się pod nią rozpadło. Przyjechało pogotowie i zabrało ją do szpitala. Bardzo byłyśmy zaniepokojone. Na drugi dzień dowiedziałyśmy się, że Stenia została szczęśliwą mamą.

Na czwartym roku jedna z koleżanek chodziła o 3-4 rano do piekarni po bułki. Dostawała je za darmo. Wracając krzyczała na korytarzu - gorące bułeczki, gorące bułeczki. Najchętniej byśmy ją udusiły.

W naszych kieszeniach piąteków nie było zbyt wiele i dlatego chodziliśmy do sklepu rybnego na przeciwnym rogu ulicy, z naczynkiem do pani sklepowej z prośbą. „Pani do wody ze śledzi!”. Pani sklepowa nalewała nam wodę, wrzucała cebulkę i moskaliki i coś tam marudziła. Woda od śledzia z chlebem bardzo smakowała. Były to chwile smutne, ale też i wesołe.

7. Wojsko. Wojska nie wspominam dobrze. Tyle nauki- taktyka i to do niczego mi się nie przydały. Jednego razu poszliśmy na wagary do kina Olimpia-uciekliśmy z zajęć. Kurtki cywilne na mundur i w nogi. Siedzimy w kinie roześmiane i nagle ktoś trąca nas w ramiona. Obracamy się, a to nasz dowódca kpt. Gondor też na wagarach. Skończyło się dobrze. Nie lubiliśmy oddawać honorów zwykłym szeregowcom na ulicy. Po jakiejś karze i godzinach poza kolejnością byłyśmy tak wystraszone, że idąc zimowym ciemnym rankiem na zajęcia oddałyśmy honor kolejarzowi - mundur – to trzeba oddać honor. Lubiłam jeździć do Biedruska na poligon.

8. Rajdy. Czasem brałam udział w pieszych wędrówkach. Pamiętam rajd do Rogalina. Było bardzo zimno, ale fajnie, wiosna. W czasie wędrówki dziewczyny ugadały sobie chłopaków i na miejscu były same pary. Ja spałam bardzo blisko pieca, a ponieważ nie miał mnie kto grzać wsadziłam nogi do ciepłego pieca. Nazajutrz rano wszyscy się śmiali, że Ula ma parę z piecem. Ale za to było mi ciepło i miałam suche buty.

9. Praktyki wakacyjne. Dobrze pamiętam zdarzenie, kiedy mieszkaliśmy w męskim akademiku na Grunwaldzkiej. Jeden z naszych kolegów przechwalał się, że żadna dziewczyna mu się nie oprze - kiwnie palcem i już jest jego. To koledzy zrobili mu niespodziankę. Przebrali jednego z chłopaków za dziewczynę, która się do niego wdzięczyła, wręcz zachęcała go do pójścia z nią do łóżka. Co było dalej nie muszę pisać. Nasz kolega nigdy już się nie przechwalał, że tak lubią go dziewczyny.

11. Moja grupa to VI. Jest kilka osób, które spotykają się na zjazdach i wycieczkach. Zmieniliśmy się. Pamiętam wyjazd do Marleny i Piotra Drewsów. Wsiedliśmy do autobusu przy ZOO i jedna z koleżanek bardzo mnie uściskała, wyczuła mówiąc, że ona jedzie bo ja jadę. Nie bardzo wiedziałam kto to jest. Zapytałam o to Kasię z którą siedziałam. Katarzyna zamiast powiedzieć mi kto to, zawołała na cały autobus-Ona nie wie kto to. Było mi wstyd, że nie poznałam koleżanki. Wtedy ściskająca mnie wcześniej dziewczyna podeszła i przedstawiła się - To ja, Mrugas. Nie mogłam uwierzyć. Cały autobus aż huczał od śmiechu. Po prostu zmieniliśmy się. Z pięknych młodych dziewczyn i chłopców staliśmy się osobami w podeszłym wieku.

Urszula Mikołajczak

Matura – w I LO w Gorzowie Wielkopolskim 1965 r. Z tego samego liceum wyszedł nasz kolega z roku – Andrzej Polimirski – „Generał”. Nie wiem do końca skąd wywodzi się ten jego przydomek, ale ja mogę wiązać go ze wspólnymi obozami harcerskimi z LO. Pamiętam głównie taki w Bukowinie Tatrzańskiej, kiedy Andrzej robił apele. A teraz, w październiku 2015 r. byliśmy na zjeździe w szkole (50 lat!!!) i wyobraźcie sobie, żyje jeszcze jedna nasza nauczycielka – od łaciny i francuskiego i całkiem dobrze się ma...

Egzamin wstępny - zdawałam na sali wykładowej na Polnej. Potem była jeszcze taka rozmowa kwalifikacyjna. Pamiętam panią prof. Halinę Karoń. Z wszystkich zadawanych pytań pamiętam, że nie znałam znaczenia słowa „patologia”. Wnioskowałam coś z kontekstu i odpowiadałam. Musiało być chyba z sensem. Nie było Internetu, żeby potem sprawdzić jego znaczenie. I jakiś czas biedziłam się z sobą zanim poznałam znaczenie tego słowa. Potem kluczowe w zawodzie!

Mieszkanie na studiach. Całe sześćoletnie moje życie studenckie to ukochany ‘babiniec’ na Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce] i jego kierowniczką, samotną, nieogarnioną Pani Alina Bortnowska. Żywot w tym domostwie zaczął się mocno niewygodnie, na dziś niewyobrażalnie. Pokój koszarowy dla 6 osób. Trzy metalowe łóżka piętrowe. Dwie wysokie, wąskie szafy, jak w szatni fabrycznej. Kwadratowy stół i 4 krzesła (a nas 6). Nie wiem czy dokładnie wymienię nasz skład, bo mogę mylić z sąsiedztwem ale były to: Henia Mikuła, Basia Mrugasiewicz, Marlena Małecka, Irena Makowska. Myślę, że też Krysia Kasprzak. Sama się dziwię, że nie pamiętam ale to było 50 lat temu! Po sąsiedzku były Krysia Grzybowska, Wiesia Gieras, Aniela Kowal. Z tą trójką zamieszkałam na drugim roku. No ale ten pierwszy pamiętam tylko z nawału nauki. Anatomia, anatomia! W pokoju były 4 krzesła więc uczyliśmy się przy stole, na łózkach, na kocach złożonych w kostkę i przy własnej lampce na korytarzu. Co kontakt (znaczy elektryczny) wzdłuż korytarza, to stanowisko naukowe. No był jeszcze znakomity pokój nauki na końcu korytarza z kilkoma stolikami. Zatem co wieczór każdy zdobywał swoje miejsce do nauki i jako podstawę indywidualności musiał mieć swoją lampkę biurową (nocną), bo ludzie kończyli naukę o różnych godzinach nocy i nie należało innym przeszkadzać. Najdłużej jednak na korytarzu uczyły się farmaceutki. Pamiętam, że wtedy stworzyłam na własną potrzebę przysłowie ztorzeczące zamiennie za „obyś uczył cudze dzieci” – na „obyś studiował farmację”.

Nie pamiętam, żebyśmy na tym pierwszym roku zażywały jakichś rozrywek. Każda chciała jakoś wszystko zaliczyć i nie wylecieć z uczelni. Przewietrzeniem umysłów było piesze przejście z Wawrzyniaka [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej

dzielnicy Jeżyce] do Collegium Anatomicum. No a szczególną radością było wykorzystanie bonów śniadaniowych w barze „Kociak” przy obecnym Św. Marcinie na zjedanie różnych słodkości.

Do naszych czasów w akademikach; naszym i innych w Poznaniu nie było żadnych odwiedzin płci przeciwnej. Dopiero w czasie naszych studiów władze odpuszczały w tej kwestii. Tu chciałam powiedzieć, że działając w samorządzie studenckim miałyśmy z Krysią Grzybowską znamienny udział w tej sprawie. Ja już na drugim roku zostałam wybrana na przewodniczącą Rady Mieszkańców naszego akademika. Na trzecim roku to zaszczytne stanowisko przejęła Krystyna. Mnie trafił się awans do Rady Uczelnianej ZSP – komisja DS-ów (koordynacja pracy rad mieszkańców domów: naszego akademika, na Mielżyńskiego i chłopców na Palacza). Trzy ostatnie lata studiów „pracowałam” w Radzie Okręgowej ZSP (siedziba przy ul. Fredry, naprzeciwko Collegium Maius) jako szefowa Komisji DS-ów wszystkich poznańskich uczelni. Dowód- załączona legitymacja służbowa. To były dobre czasy. Na taką legitymację wchodziło się o każdej porze do wszystkich akademików, klubów studenckich. No, powiem - nie nadużywałam. Robiłam z zespołem kolegów konkursy na najlepiej pracującą radę mieszkańców, wycieczki, spotkania. Była też odpowiedzialność. Byliśmy wzywani np. na posiedzenie Kolegium Rektorów i łajani za różne rozróbę w akademikach. Trudne rozmowy z prorektorem Ewarystem Pawełczykiem [1917-2008] (pseudonim ‘Tygrys’), bo chłopcy na Palacza coś zbroili, itp. No ale też załatwialiśmy pozytywne sprawy jak remonty akademików, z każdym rokiem dalsze rozszerzanie ilości odwiedzin w akademikach. Pokoje małżeńskie przyszły już po nas. Zresztą już też po naszych studiach został oddany akademik na Przybyszewskiego. Zawsze było za mało miejsc dla naszych studentów w akademikach i pamiętam, że chyba od trzeciego roku, też na wniosek samorządu została uruchomiona instytucja SIS (społeczny instruktor sanitarny!!!). W ten sposób w każdym akademiku Poznania nasze studentki (nie pamiętam, czy chłopcy też) - tak chyba też, bo przecież w męskich akademikach byli panowie, dostaliśmy jeden dwuosobowy pokój w którym mieszkali nasi studenci i mieli tam apteczkę pierwszej pomocy. No i jak umieli, udzielali pomocy studentom innych uczelni.

Hasło: marzec 1968. Powiem tak. To był jeszcze czas, kiedy pomysły wolnościowe powstawały w umysłach co bardziej odważnych kręgów, w rodzinach o tradycjach patriotycznych. W damskim akademiku „kujonek” nie mówiło się o tym. Pamiętam, że jako przedstawiciele samorządów zostaliśmy wezwani do dziekanatu przez „Tygrysa” i otrzymaliśmy zwięzłą instrukcję: pod żadnym pozorem nie wychodzić z DS-ów, nie rozpowszechniać żadnych ulotek a otrzymane lub znalezione donieść do dziekanatu. Jakiegokolwiek niepodporządkowanie się tym zarządzeniom miało skutkować nieodwołalnym relegowaniem z uczelni. Trochę nas tym zastraszało. Siedziałyśmy w akademiku.

Praktyki wakacyjne. Tu muszę pokazać moją kompletną wtedy niewiedzę o aseptyce i dzielące nas 50 lat od tamtych czasów. Praktyka pielęgnarska po pierwszym roku. Położnictwo na Polnej. Przyjęty mnie bardzo miłe pielęgniarki. Szczególnie zabiegowa. Nauczyła mnie iniekcji domięśniowych. Ale też pierwszego dnia dałam popis, który wspominałyśmy salwami śmiechu, jak do nich potem przychodziłam. Zadanie - podmywanie leżących wtedy chyba przez dwa albo trzy dni położnic. Procedura: położnica leży na łóżku, unosi tyłek, podsuwasz jej basen. Następnie trzymając w lewej ręce blaszany dzbanek z roztworem nadmanganianu potasu polewasz od góry jej krocze. W prawej ręce masz długą pensetę anatomiczną z tamponem gazy, którym w kierunku od spojenia łonowego do odbytu ścierasz wydzielinę wrzucając na końcu ten brudny tampon do leżącego pod pupą pacjentki basenu. Procedurę powtarzasz kilka razy uzyskując czystość krocza. Ostatni raz osuszasz krocze suchym tamponem gazy, zabierasz basen, podkładasz pacjentce czystą wkładkę z ligniny. Procedura jasna!! Natomiast panie pielęgniarki nie poinstruowały studentki Mikołajczak. Gdy padło hasło - idziemy podmywać! No to idziemy. Studentce dano wózek ze sprzętem, drugi obsługiwała pielęgniarka. Inne stały za szybą i patrzyły. A studentka Mikołajczak polewa krocze położnicy i posuwa

tamponem gazy trzymanym pensetą z góry na dół i od odbytu do góry kilka razy. Tak „przeleciałam” trzy pacjentki na jednej sali i pojechałyśmy dalej. Instrukcję otrzymałam przed drugą salą. A po ok. godzinie było ponowne podmywanie (poprawne) na sali pierwszej. Potem dowiedziałam się, że pacjentki z sali drugiej twierdziły, że na tej pierwszej leżą jakieś protegowane, bo je podmywają kilka razy dziennie.

Praktyka po drugim roku - laboratorium Szpitala Chorób Płuc przy ul. Szamarzewskiego. Cały miesiąc ta sama czynność - elektroforeza białek krwi. Warto przypomnieć tę technologię, bo dziś w dobie analizatorów komputerowych może się to wydać nieprawdopodobne. Otóż na koniec wąskiego (ok. 3x15 cm) paska specjalnej bibuły nakrapiało się pipetą kroplę odwirowanej surowicy. Kilka pasków, czyli badanie kilku pacjentów umieszczano się w urządzeniu, które na drodze przepływu prądu rozdzielało na pasku frakcje białka w postaci ciemnych plam o różnej wielkości. Tak więc albuminy stanowiły największą plamę, globuliny alfa 1 - drugą mniejszą, alfa 2 – kolejną i tak dalej. Po zakończeniu tego rozdziału należało wziąć pasek pacjenta, rozciąć nożyczkami wszystkie plamy frakcji, każdą umieścić w naczynku z płynem i potem kolorymetrycznie ustalić procentową zawartość poszczególnych frakcji białka. Oj nacięłyśmy się tej bibułki i naliczyłyśmy procentów. Byłam tam z jakąś naszą koleżanką, ale nie pamiętam, kto to był.

Praktyka po 3 roku - Oddział Chorób Wewnętrznych w Szpitalu w Gorzowie. Bardzo przydatna. Nauczyłam się doskonałej techniki wkłuć dożylnych, co się przydało przez całe życie na chirurgii dziecięcej, jak nie dawały sobie rady panie pielęgniarki (sic!!!). Po latach zamieniły się tylko igły na wenflony. A w tamtym czasie u wszystkich dziadków „szła” strofantyna, eufilina i tak np. 20 codziennie.

Kolejne wakacje jeździłam już na kolonie jako p.o. lekarza. Też było wiele przeżyć a i strachu nie mało. Jak odbyłam dwa turnusy kolonii to były pieniądze na wycieczkę. Pracując w ZSP miałam łatwiejszą możliwość „załatwienia” wycieczki zagranicznej z ALMATUR-u. To znaczy najpierw brało się pożyczkę z kasy studenckiej w Radzie Okręgowej (odpowiednik bezprocentowej kasy zapomogowo-pożyczkowej która wówczas funkcjonowała w zakładach pracy) i w ciągu roku należało ją spłacić. Tym sposobem byłam na wycieczce Moskwa-Krym-Kijów i w Jugosławii w Rovini, w Budapeszcie i Wiedniu. A na tym Krymie spotykaliśmy się w ramach przyjaźni ze studentami rosyjskimi. Jak nasi chłopcy „przechylili co więcej”, to sypały się ostre kawały na temat relacji polsko-rosyjskich i wtedy Rosjanie byli przerażeni i taki Sasza co się koło mnie kręcił (kupił mi nawet taką dużą, rosyjską lalkę z warkoczami) mówił z niepokojem: ty Ula im powiedz, żeby tak nie mówili i żeby byli cicho, bo my będziemy mieli wielkie kłopoty, a w ogóle czemu wy tak mówicie o Sojuszu (to była popularna nazwa ZSRR - przyp. ZK), przecież my utrzymujemy Polskę i inne kraje RWPG, wszystko macie od nas. Cóż, tak ich uczono.

W ciągu całych studiów oblałam 2 egzaminy, obydwie w tej samej sesji - zimowej na III roku. To były mikrobiologia i farmakologia. Na mikrobiologii, za pytanie – jak pani poda pacjentowi surowicę przeciwwężcową? No, nie wiedziałam. Więc sobie pomyślałam, no jak jest ampułka z przygotowaną dawką, to pewnie można ją podać całą i tak powiedziałam. A Pan Profesor krótko: to w imieniu tych pacjentów, których pani zabije tą całą ampułką surowicy - żegnam panią. Frakcjonowanej metody podawania surowicy (met. Besredki) nauczyłam się na całe życie. I na chirurgii dziecięcej mogłam zawsze ją wyrecytować paniom pielęgniarkom i kolegom też. Przydatność tego w życiu nie była częsta, bo dzieci były już szczepione, nawet przypominająca dawka anatoksyny nie była często potrzebna. Powiem, że częściej podawałam surowicę przeciwko jadowi żmij, bo w koszalińskich lasach żmije zygzakowate nie są rzadkością i kilka razy w roku (latem) mieliśmy na oddziale dzieci pokąsane, czasem dramatycznie. Wtedy surowicę przeciwko jadowi podaje się też metodą frakcjonowaną.

Teraz trochę o przyjaźniach. Przyjaźnie rodziły się głównie w akademiku. Najtrwalsza – to Krystyna Grzybowska. W akademiku mieszkaliśmy razem 5 lat. Kończąc przyrzekałyśmy sobie tę przyjaźń do grobowej deski. Planowałyśmy się odwiedzać, być chrzestnymi naszych dzieci, nie mieć przed sobą tajemnic. W większości tak przetrwało. Niestety, odległość Gniezno – Koszalin, gdzie mieszkam utrudnia częstsze kontakty, ale odwiedzamy się, dzwonimy do siebie. Krystyna jest też matką chrzestną mojej córki. Kolejne dwie przyjaźnie z akademika to Anielka Kowal, specjalista reumatolog - mieszka teraz w Chojnicach (113 km od Koszalina) i jak tylko mamy okazję zagwarzyć, to to robimy. Niestety nie chce jeździć na wycieczki. I jeszcze szczególna przyjaźń z osobą, która zbyt wcześnie nas pożegnała, to Wiesia Gieras. Pochodziła z Konina i tam pracowała. Była laryngologiem. Sprowadziła mnie do Konina w 1979 roku, kiedy tam otwarto nowy Szpital Wojewódzki i otwierał się oddział chirurgii dziecięcej. Zawsze chciałam realizować tę specjalizację. Niezwłocznie skorzystałam z tej możliwości. Wiesia miała ciepłą, kochającą się rodzinę. Mąż Karol jest chemikiem. Zналиśmy się wszyscy na studiach. Mają dwóch synów. Wiesię dopadła choroba nowotworowa. Wydawało się, że zażegnana. Dochodziło pięć lat. Niestety pojawił się przerzut do kręgosłupa. Nie udało się opanować tej wznowy. Widziałyśmy się może 3-4 tygodnie przed odejściem. Byłam u niej w szpitalu. Bardzo wierzyła, że jej się uda. Niestety. Opatrzność zabrała ją w poranek niedzieli wielkanocnej.

O mnie. Po studiach pracowałam w Szpitalu Powiatowym w Szubinie koło Bydgoszczy – stamtąd miałam stypendium fundowane. Powiatowy Wydział Zdrowia spisał się dobrze, bo staż zaczęłam 1 września a 1 października dostałam klucze do nowiutkiego M3. Po stażu zaczęłam pracę na chirurgii, nawet otworzyłam specjalizację, ale ciągle szukałam możliwości realizowania chirurgii dziecięcej. Szubiński pracodawca nie zgodził się na taką specjalizację w Bydgoszczy. Potrzebny był człowiek do pracy na miejscu. Wpuszczono mnie na głęboką wodę. W poradni chirurgicznej pracowałam krótko ze specjalistą a potem sama. Część godzin na oddziale i w niedługim czasie dyżury, oczywiście z 'dwójkowiczem' [specjalistą drugiego stopnia] pod telefonem. Z tamtego czasu pamiętam dwie ciekawostki. Identyczne zapalenie wyrostka u bliźniaków jednojajowych. Mama przywiozła na dyżur chłopca, miał może ok. 12 lat. Rozpoznałam zapalenie wyrostka, przyjął chłopca do oddziału a mama mówi: „Zaraz przywiozę pani drugiego. Oni zawsze tak samo chorują”. Powiedziałam pani, że w tej chorobie to raczej niemożliwe. Jednak za kilka godzin dotarł i drugi. I jakież było nasze zdziwienie, kiedy śródoperacyjnie obydwa wyrostki były identyczne w postaci zgorzelinowego zapalenia. A druga sprawa, to była pierwsza operacja wyrostka wykonana w asyście pielęgniarki instrumentariuszki. Dyżur pod telefonem miał specjalista, który był dyrektorem szpitala. Przyszedł, ustalił wskazania do zabiegu i zapytał ile wyrostków robiłam w asyście specjalisty. Powiedziałam, że jeszcze żadnego. A do ilu asystowałam? No może do około dwudziestu. Na to pan dyrektor – to tego zrobisz z pielęgniarką, bo ja mam robotę papierkową, zawołacie mnie jak otworzysz (gabinet dyrektora był obok sali operacyjnej). I tak było. Na szczęście pacjent był chudy, wyrostek prosty. Pacjent przeżył. Ja też.

Po ponad roku szubińskiej chirurgii znalazłam się w Szpitalu Wojewódzkim w Koninie w Oddziale Chirurgii Dziecięcej. Przeprosiłam kochanych Szubiniaków i odeszłam. W Koninie pod wodzą doktora Giełwanowskiego zdałam 'jedynekę' i pracowałam tam 6 lat Tam pracowali też wtedy Wiesia Gieras, Piotr Janaszek, Romek Łukaszewski i kol. Świącicki (nie pamiętam jak miał na imię).

Od stycznia 1979 roku (pamiętnej zimy stulecia) zakotwiczylam na długo w Koszalinie bo aż do emerytury. Zrobiłam 'dwójkę' z chirurgii dziecięcej i całe zawodowe życie jej poświęciłam pracując w Oddziale Chirurgii Dziecięcej Szpitala Wojewódzkiego.

W tym momencie zacytuję opowiadaną kiedyś sytuację z relacji koleżeńskich między nami ze wspólnego roku studenckiego, mianowicie relację służbową z Panem Profesorem Józefem Ryżko z CZD [Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie]. Otóż czasem trzeba była skorzystać z leczenia dziecka

w ośrodku o wyższej referencyjności. Jak zadzwoniłam i przedstawiłam się, pan Profesor po wielu latach mnie pamiętał a jak dzwoniłam jakiś kolejny raz to powiedział: „Mów o co chodzi, ale zanim powiesz, to już masz to załatwione”. Czy nie super?! Cały nasz kochany Józio!

Od stycznia 2015 roku pożegnałam oddział. Ponieważ jednak ‘nie zasypiałam gruszek w popiele’ i na wypadek wszelaki zrobiłam jeszcze specjalizację zachowawczą – medycynę sportową, to teraz się tym zajmuję, prowadząc poradnię. Dobrze wiecie, że medycyna sportowa to nie bieganie po boisku tylko orzecznictwo, więc nawet babci przystoi. A powiem, że doświadczam i tu wiele radości jak dzieciaki po zawodach wpadają do poradni z pucharami i medalami, żeby się pochwalić, a jak się cieszą jak im pokazuję przechowywane w karcie poradnianej wycinki z gazet o ich sukcesach. Fajne!!

Do tego trochę pracy dodatkowej. Od 2002 roku byłam konsultantem wojewódzkim ds. medycyny sportowej Województwa Zachodniopomorskiego i jestem nadal, kilka lat prezesem Oddziału Zachodniego (Wielkopolska, Województwo Lubuskie i Zachodniopomorskie) Polskiego Towarzystwa Medycyny Sportowej. Organizowałam szereg konferencji naukowych z tej dziedziny. W Izbie Lekarskiej byłam dwie kadencje przewodniczącą komisji wyborczej a w obecnej kadencji Okręgowym Rzecznikiem Odpowiedzialności Zawodowej (piszę z dużych liter nie przez pychę, ale tak się nazywa organ samorządowy). Nie powiem, że jest lekko. Coś o tym wie Ola Stamm.

Żeby dokończyć ‘wymieniankę’ – w 2001 r. współzałożyłam z jedną z mam Oddział Zachodniopomorski Stowarzyszenia Chorych z Przepukliną Oponowo-Rdzeniową i z nimi trwam do dziś.

A co ja poza tym. Mam kochaną rodzinę: męża chirurga (po Łódzkiej AM), trzech synów i najmłodszą córkę Olę a nawet jestem szczęśliwą babcią sześciu wnuków. Nie dopadła mnie jeszcze żadna, zła choroba. Zwiedziłam trochę świata. Marzenie – żeby skończyła się kadencja rzecznika w Izbie lekarskiej. Wszyscy wiecie jak się teraz trudno pracuje, jakie są oczekiwania pacjentów (przecież słuszne!)

Wanda Grońska

Pamiętam, jak kiedyś na wojsko poszłam w czerwonych kaloszach. Przyczyną było to, że sznurowadła przy butach wojskowych porwały mi się, a ja nie miałam wtedy ani złotówki na nowe. Koleżanki do dzisiaj mi o tym przypominają. Kiedyś na apelu porannym prowadzący kapitan witał nas: „czołem żołnierze”. Należało odpowiedzieć „Czołem obywatelu kapitanie”. Odpowiadało się skrótem: „czołem telu tanie”. Z koleżanką odpowiedziałyśmy: „hau, hau,hau”. On nas wyczał i dostałyśmy areszt w magazynie broni (6 godzin czyszczenia karabinów).

Pamiętam moje dwa egzaminy. Na pierwszym roku egzamin z histologii u prof. Kazimierza Miętkiewskiego. Nie przygotowałam się na termin i chciałam go przełożyć. Musiałam znaleźć poważny powód. Poszłam i powiedziałam, że brat mi się utopił. Łzy lały mi się jak grochy. Byłam chyba lepsza od profesjonalnej aktorki. Profesor bardzo mi współczuł i przełożył termin. Ale do dzisiaj to pamiętam i mam wyrzuty sumienia. Jak brat wypływa w rejs, to modlę się, żeby nic mu się nie stało.

Innym wydarzeniem był egzamin na trzecim roku z mikrobiologii, w sesji zimowej (1968 rok). Zdawałam go z Halinką. Ja zdałam, a ona nie. Profesor przy wpisywaniu ocen do Kart egzaminacyjnych pomylił się, chociaż w indeksach miałyśmy prawidłowe dane. Poszłyśmy obie do niego i Halina przedstawiła sprawę. Profesor wyrwał nam indeksy, jednak mnie ponownie dopisał niedostateczny, a jej poprawił na trójkę. Byłam w tej sprawie u dziekana i rektora, ale nic nie

uzyskałam. Trafiłam też na zebranie ZMS-u. Tu powiedziano mi, żebym zdawała jeszcze raz, bo tak będzie lepiej. Powiedziano mi, żebym siedziała cicho, bo mam złe korzenie rodowe. Dowiedziałam się, że któryś z moich przodków był Żydem, a wtedy Żydzi opuszczali masowo Polskę (kolejna czystka narodowa).

Po studiach podjęłam pracę w Chełmnie Bydgoskim, gdzie pracowałam 1 rok. Następnie przez 3 lata pracowałam w Mińsku Mazowieckim i 10 lat olsztyńskim w Ukcie (Ukta). Później przeniosłam się do Warszawy, gdzie pracowałam do emerytury. Zrobiłam I stopień ze stomatologii ogólnej. Mam dwóch synów. Jeden skończył pedagogikę, a drugi psychologię. Mam jedną wnuczkę.

Wiesław Uryszek – relacja z rozmowy z Jerzym T. Marcinkowskim

WSPOMNIENIA WIESŁAWA ZANOTOWAŁ JERZY T. MARCINKOWSKI

„W **czerwcu 1956 roku** mieszkaliśmy na Wildzie i widziałem pochód protestu robotniczego z Zakładów HCP w stronę Placu Stalina (tak się wtedy nazywał obecny Plac Adama Mickiewicza). Pamiętam jak grupa osób na ulicy Krzyżowej rozbroiła posterunek milicji tam się mieszczący i zabrali im broń. Potem widziałem dwóch milicjantów uciekających w mundurach, ale bez broni. Dobrze że wypadki poznańskie skończyły się tak jak skończyły, bo generał Stanisław Popławski przygotowywał już dwie dywizje – byłaby rzeź w Poznaniu gdyby te dwie dywizje wkroczyły do Poznania. Dla młodych dzisiaj to jakaś ‘głęboka’ historia – nieistotne sprawy.

[**Stanisław Popławski**, ros. Станислав Гилярович Поплавский (ur. 9 kwietnia[?]/22 kwietnia 1902 w Wendyczanach, zm. 10 sierpnia 1973 w Moskwie) – polski i radziecki wojskowy i polityk, generał armii Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego (ludowego), dowódca Wojsk Lądowych (1947–1950), wiceminister obrony narodowej (1949–1956), członek Komitetu Centralnego PZPR (1949–1956), poseł na Sejm Ustawodawczy i na Sejm PRL I kadencji, członek Komisji Wojskowej Biura Politycznego KC PZPR nadzorującej Wojsko Polskie od maja 1949, Bohater Związku Radzieckiego (1945)
https://pl.wikipedia.org/wiki/Stanisław_Popławski]

Marzec 1968 – byłem na Placu Adama Mickiewicza, podnosiliśmy różne okrzyki, ale potem powiedziano: ‘rozejdźmy się bo za 10 minut będzie milicja – i rzeczywiście byli ‘suki’ milicyjne i wielu ludzi zatrzymali.

Mam siostrę – ale nie jest lekarzem. W **rodzinie nie było lekarzy – jestem pierwszym i ostatnim**. Byłem zainteresowany naukami biologicznymi, interesowała mnie fizyka i chemia ale zdecydowałem się na kierunek biologiczny. Studia wymagały wysiłku – każdy kierunek to też jest przecież ogrom wiedzy. Myślałem o tym, żeby może pójść na WAM [Wojskowa Akademia Medyczna] – to ciekawa droga, ale tam trzeba było być zaangażowanym politycznie – wojskowy w naszych czasach, w PRL-u, musiał należeć do PZPR. Mój kolega z liceum skończył z WAM, ale musiał być w PZPR, bo inaczej by nie awansował. Również na naszej Uczelni człowiek należący do PZPR miał łatwiejszą drogę.

Ileż życiorysów i karier było złamanych przez to, że nie należało się do PZPR. Młodzi nie mają o tym pojęcia. Obecnie młodzi są zainteresowani pieniędzmi i tym gdzie się lepiej zarabia.

Na studiach wszystkie zajęcia w jakiś sposób były ciekawe.

Po studiach przez krótki okres czasu pracowałem w **Poradni Chorób Tarczycy i Poradni Endokrynologicznej** w szpitalu przy ul. Przybyszewskiego. To były Miejskie Przychodnie Specjalistyczne przy ul. Przybyszewskiego. Osobnym zakładem były Wojewódzkie Przychodnie Specjalistyczne przy ul. Słowackiego 8/10. Potem obie przychodnie zintegrowano i ostatecznie włączono do Szpitala Wojewódzkiego przy ul. Lutyckiej.

Potem pracowałem razem z Wojciechem Kasprzakiem z naszego roku który pochodził z rodziny profesora Gerarda Straburzyńskiego, w Instytucie Balneoklimatycznym (później Instytut Medycyny Uzdrowiskowej). Tam pracowała też późniejsza docent Koczorowska-Graczykowska, ostatecznie

zrobiłem **specjalizację: fizjoterapia i balneologia**. Tak się jakoś składało, że pracownicy stopniowo odchodzili z tego Instytutu, ja też odszedłem do Zakładu Fizjologii Akademii Medycznej w Poznaniu. Po przejściu prof. Straburzyńskiego na emeryturę Instytut Balneoklimatyczny został zlikwidowany.

Potem pracowałem w **Zakładzie Fizjologii** naszej uczelni, czyli Akademii Medycznej w Poznaniu gdzie trwałem aż do emerytury. To był Zakład ciągle niedoposażony w aparaturę naukową. Głównym zajęciem była dydaktyka. Praca naukowa była trudna z uwagi na brak warsztatu naukowego, współpracy z kliniką.

Oдноśnie egzaminów uważam, że profesor który egzaminuje ustnie może rozwinąć temat w czasie egzaminu. Nie wiem czy obecne kształcenie i zdawanie egzaminów on line idzie po właściwej drodze.

Już przed pracą w Zakładzie Fizjologii zrobiłem **specjalizację z chorób wewnętrznych – w 1987 roku drugiego stopnia. Jednocześnie całe życie byłem i nadal jestem lekarzem dyżurnym.**

W Pogotowiu Ratunkowym pracowałem 36 lat – potem się wszystko zmieniło bo powstało ratownictwo medyczne. Ja jeszcze pamiętam jak były karetki G – ginekologiczne i K – kardiologiczne. Było Miejskie Pogotowie Ratunkowe przy ul. Chełmońskiego i Powiatowe Pogotowie Ratunkowe przy ul. Kościuszki. W nocy i wieczorem zastępowało lekarza rodzinnego; na początku byli jeszcze lekarze rejonowi – byłem takim przez rok. Roszczeniowość społeczeństwa była wtedy znacznie mniejsza aniżeli dzisiaj. Na przykład w powiecie za Mosiną – po dotarciu o czasie, zbadaniu chorego i podaniu odpowiednich leków, gdy rodzina była zadowolona częstowała nasz zespół kawą i plackiem – dzisiaj już takich poczęstunków chyba nigdzie nie ma.

W Pogotowiu Ratunkowym dyżurował lekarz ogólny, ale przypadki były różne, wymagające umiejętności innych specjalności. Przykładowo kiedyś otrzymaliśmy wezwanie do bólów brzucha. Pacjentka mieszkała na czwartym piętrze (oczywiście bez windy) ale już wdrapując się po stromych schodach usłyszeliśmy podejrzanе krzyki, trochę jakby nam znane. Dobiegając na miejsce ujrzeliśmy wijącą się na łożu niewiastę otoczoną gromadką dzieci i męża, który jakby nie rozumiał co się dzieje.. Oczywiście od razu zidentyfikowaliśmy ten rodzaj krzyku znany nam już z internatów i stażu na porodówkach i... sprawnie odebrałem poród wydobywając ku uciesze widzów zdrowego bobasa. Potem w roboczych fartuchach nieco zbrukanych krwią i wodami płodowymi pognaliśmy dalej, bo już przyszło wezwanie do wypadku komunikacyjnego, które pomimo nieporównywalnie mniejszej liczby aut niż obecnie, były na porządku dziennym. Obaj z Krzysztofem Urbańskim z naszego Roku, który jeździł jakiś czas na karetce K a potem ogólnej zawzięcie dyżurowaliśmy w Szpitalu im. Józefa Strusia który mieścił się początkowo przy ul. Szkolnej potem (obecnie przy ul. Szwajcarskiej).

Pewnym siebie nie byłem nigdy, bo każda sytuacja była inna, mnie jednak rutyna nie zjadła, ciągle nie wiedziałem z czym się spotkam. Agresji ze strony pacjentów było wówczas znacznie mniej.

Moje dyżury szpitalach. Pamiętam okres kiedy był jeden szpital dyżurny dla miasta i powiatu – w szpitalu przy ul. Przybyszewskiego był zwykle jeden ostry dyżur na tydzień. Inne szpitale miejskie miały znacznie więcej dyżurów ostrych. Kiedy szefem w szpitalu przy ul. Przybyszewskiego był prof. Kazimierz Bączyk, prof. Jan Hasik na gastroenterologii, profesor Maciej Gembicki na endokrynologii – to na ostrym dyżurze zwykle dwa łóżka czekały na chorych. A że pacjentów wymagających hospitalizacji było dużo – dlatego też były łóżka na korytarzu. Dzisiaj stało się to już najczęściej standardem - łóżka są na korytarzu – gdzie „upycha się” pacjentów z SOR. Dzisiaj jakby warunki się pogorszyły – chorych znacznie przybyło. Chyba nie tylko dlatego, wzrosła liczba ludności ale przede wszystkim, że wydłużyła się długość życia a wraz z nią wydłużyła, a wraz z nią narosła wielochorobowość ale również np. a udary mózgu zapadają coraz częściej osoby młode ...

Praca lekarza ponad siły?. Gdy byłem lekarzem rejonowym – to zdarzało się, że w okresie grypy przyjąłem 74 chorych a potem jeszcze mnie czekały wizyty domowe w swoim rejonie. A teraz lekarz rodzinny ma określoną ilość punktów: 20 pacjentów – jak jest więcej, to mówi się, że miejsca już dzisiaj nie ma....

Ja pracowałem jako lekarz ‘w dolinach’, ‘u podstaw’. Całe życie tyrałem – no i tyle. Ale takich jak ja było więcej, jak np. Krzysztof Urbański, który ciężko pracował. Kiedy ciężko zachorował jak się okazało śmiertelnie nikt z personelu a tym bardziej pacjentów tego nie wiedział po długiej i ciężkiej chorobie, zawsze był spokojny, skupiony na innych i jak zawsze szybko podejmował działania. Kiedy w 2014 r. nas opuścił, podczas pogrzebu pojawił się i utrzymywał w powietrzu śmigłowiec Pogotowia Ratunkowego oraz jednocześnie na chwilę włączyły sygnał karetki Pogotowia Ratunkowego...

Myślę a nawet jestem pewny, że tak samo jak my poznaniacy, intensywnie z pełnym poświęceniem się pracowały Koleżanki i Koledzy, mieszkający poza miastem, a w dodatku większość z nich założyła rodziny, mieli dzieci...

Uważam, że młodym trzeba przekazywać żeby pracować uczciwie, angażując się w pełni, być blisko cierpiących i ich rodzin, bo w ten sposób zyskuje się jakiś autorytet. Chorzy i personel wyczuwają każdy fałsz, udawanie czy lekceważenie pracy przez lekarza – i potrafią nawet po jakimś (często odległym) czasie to docenić.

To są takie moje wiadomości z ‘dolnej służby zdrowia’.

Dzisiaj powstało wiele nowych zawodów – bez takiej odpowiedzialności. Na nas, lekarzach i innych pracownikach ochrony zdrowia, zwanej do niedawna służbą przez całe życie ciążyła duża odpowiedzialność – my „mieliśmy i mamy” człowieka i za niego odpowiadamy.

Patrząc już z perspektywy wielu dekad lat pracy, ja - pomimo wielu trudności - jednak poszedłbym i dzisiaj tą samą dróżką.....

Wojciech Kasprzak

Poznań, wrzesień 2015, Wojciech Kasprzak grupa III. Moja sytuacja w czasie studiów była dosyć specyficzna, bowiem na pierwszym roku ożeniłem się z Basią, studentką historii sztuki, a w 1967 roku urodził się nasz syn Paweł (obecnie chirurg). Nie mieliśmy wsparcia rodziny i jako bardzo biedni z trudem przedzieraliśmy się przez życie. Poza studiami miałem się różnych prac (prostowanie kartoników w POLFIE, wyładowywanie wagonów z węglem, mycie samochodów itp.), żeby uzupełnić 500 złotowe stypendium Basi. Do urodzenia Pawła mieszkaliśmy osobno, Basia w domu studenckim na Stalingradzkiej – obecnie Al. Niepodległości (4 osobowy pokój z piętrowymi łózkami), z zakazem wstępu mężczyzn do akademika, pod groźbą jego utraty. A ja w jednym pokoju z babcią i siostrą, rodzice w drugim. Wspominam to, bo wiąże się z tym wspaniała przygoda przyjaźni studenckiej, którą przypomniał mi niedawno, w czerwcu 2015 w Baranowie Boguś Wikieł, uczestnik tej przygody. W naszym mieszkaniu był niezamieszkały pokój przechodni, rodzaj szerokiego korytarza prowadzącego do ubikacji. Po urodzeniu Pawła w czerwcu 1967 wprowadziliśmy się tam na dziko, odgradzając część korytarza szafami, przez co uzyskaliśmy niewielkie pomieszczenie mieszczące łóżko, łóżeczko dziecka i niewiele więcej. Był jednak jeden ważny problem. Pomieszczenie było nieogrzewane (w innych pomieszczeniach były piece węglowe). Poproszony z spółdzielni kominiarz znalazł w jednej ścian „pokoju” przewód kominowy. Jak zobaczył otoczenie zrezygnował z honorarium. Zacząłem szukać przenośnego niezbyt drogiego, używanego pieca kaflowego. Był taki w ogłoszeniu na IV piętrze

starego domu na ul. Garbary, za 1000 zł. Mieliśmy wszystkiego 1200 zł. Podzieliłem się tym problemem w czasie zajęć z Markiem Tuszewskim. Marek był zawsze pierwszy do pomocy i do draki. Namówił kilku kolegów, w tym Bogusia Wikięta (przykro mi że pozostałych nie pamiętam, w sumie było nas 4-5). Wyruszyliśmy na Garbary. Piec wyglądający dosyć rozpaczliwie stał już na schodach, a ważył ponad 100 kg. Marek zaczął negocjacje cenowe z mocno starszą właścicielką. Wynikało z nich jasno że skoro piec jest niepotrzebny, to pani powinna go podarować biednemu studentowi medycyny i jego marznącemu niemowlęciu, a przyszły lekarz na pewno się odwdzięczy. Kobieta szybko zrezygnowała z oporu i zaczęliśmy piec transportować na ulicę, przed bramę. Zaczęliśmy się rozglądać za jakimś samochodem. Stała nieopodal „nyska” (mała półciężarówka NYSA). Kierowca zdecydował się na przewiezienie naszego skarbu. Marek zmobilizował kilku przechodniów (argumentując że to piec dla marznącego dziecka medyka) i piec został wtaszczony na „nyskę”. Kiedy wyładowaliśmy piec z pomocą kierowcy przed dom Nowowiejskiego 25, Marek ruszył na klatkę schodową, żeby zmobilizować lokatorów do pomocy przy wniesieniu pieca. Ja widząc co się święci pobiegłem do pobliskiego monopolowego i za część pieniędzy kupiłem kilka butelek wódki i ogórki kiszzone. Kiedy wróciłem z wódką i zagrychą piec już był w pokoju. Kierowca „nyski” się trochę opierał, ale w końcu pękł i został z nami (rezygnując z zapłaty). Ale nadal było zimno. Ktoś z pomocnych sąsiadów przypomniał sobie że blisko mieszka staruszek zdun. Ściągnęli go w ciągu kilku minut na „marznące dziecko”. Niezbędna była jeszcze glina, która leżała na sąsiednim podwórzu. Po godzinie z pieca buchał żar, a dookoła pieca bawiło się ok. 10 facetów pijących za zdrowie kilkumiesięcznego Pawła. Po latach, już jako lekarz, byłem na każde zawołanie sąsiadów z kamienicy. Niestety staruszek zdun już nie żył, podobnie jak starsza pani - właścicielka pieca.

Inne wspomnienia. Musiałem zarabiać. Niezłą możliwość stanowiły kolonie letnie, gdzie mogłem pojechać jako wychowawca. Zwykle na trzy turnusy. Warunkiem było jednak zdanie do połowy czerwca wszystkich egzaminów. Szansę na to dawały egzaminy przedterminowe, czasami na ostatnim wykładzie. Pamiętam szczególnie jeden, z anatomii u prof. Kołaczewskiego. Najpierw był konkurs anatomiczny. Na stołach wystawiono preparaty, takie dość zasuszone, ok. 40. Biegało się dookoła korytarza, od stolika do stolika z preparatami. Im ktoś więcej preparatów rozpoznał, tym wyższa ocena. Premią za dobry wynik było dopuszczenie do egzaminu przedterminowego. Był on dosyć nieprzyjemny, bo zdawaliśmy z II rokiem (nasz rok był pierwszym kiedy anatomia kończyła się na I roku, wcześniej trwała 2 lata). Profesor usadził mnie obok 4 studentów z II roku i czego oni nie wiedzieli, to ja musiałem dopowiadać. Tak więc w I połowie czerwca zakończyłem pierwszy rok i mogłem pojechać na 3 turnusy kolonijne. Z anatomią wiążą się jeszcze inne wspomnienia, z asystentami. Pamiętam dwu bardzo mądrych, konkretnych i miłych asystentów. Jeden nazywał się Skórnicki (laryngolog), a drugi Mazela (pediatra). Większość była jednak niezbyt przyjemna. Tym zagrał na nosie Franek Rajewski. Franek wiedział z anatomii wszystko, z największych „Bochenków” (dotyczy 7-tomowej anatomii pod red. Bochenka - przyp. ZK) także to co było napisane drobnym drukiem. Początkowo asystenci próbowali go zaginać. Ale szybko się rozniósło że z Frankiem to nie przelewki, i bali się Franka jak zarazy. Franek w czasie odpowiedzi przymykał oczy, patrzył jakby „do środka” i wszystko widział. Najdrobniejsze naczynia, nerwy i struktury mózgu. Czasami napuszczony przez nas zadawał szczególnie niemiłym asystentom pytania. Od początku studiów mówił, że interesuje go wyłącznie chirurgia. I rzeczywiście został znakomitym chirurgiem, podobnie jak drugi kolega z mojej grupy - Marek Tuszewski. Kiedy w późniejszych latach były zajęcia które ich mniej interesowały, Franek i Marek siadali w ostatnim rzędzie, przekładali przez oparcie krzesła sąsiada z przodu cienki sznurek i ćwiczili węzły chirurgiczne. Marek też został znakomitym chirurgiem, chyba pierwszym profesorem z naszego roku. Niestety jednym z pierwszych który nas opuścił.

Wspomnień z studiów nie mam wiele. Byłem z dala od życia studenckiego naszego roku. Pamiętam kilka historii anegdotycznych. Pierwsza dotyczyła szefa fizjologii wspomnianego przez starsze roczniki,

prof. Edwarda Czarneckiego [1892-1970], który miał ksywę 'Eda Marynarz' (nie wiem dlaczego). Był znany z tego że miał swoje własne określenia przedstawiane na wykładach, i jeśli student na egzaminie tego określenia nie znał, wylatywał za drzwi z oblanym egzaminem. Na przykład na pytanie „gdzie znajduje się mózg?”, trzeba było odpowiedzieć „w szkatule kostnej”. Odpowiedź „w czaszce” – egzamin oblany. Wielkim oryginałem, którego mieliśmy możliwość jeszcze poznać osobiście, był histolog prof. Kazimierz Miętkiewski. Stary kawaler, charakteryzował się bardzo niedbałym, wyświechtanym garniturem i wielkimi, znacznie za dużymi butami. Miał otrzymać jakiś medal i jego asystentem było głupio, że będzie nieciekawie wyglądał. Chcieli mu kupić garnitur, co profesor zdecydowanie odrzucał (te w sklepie były zdaniem profesora nie do przyjęcia). W końcu namówili go do uszycia garnituru na miarę, u krawca. Profesor nie zgadzał się jednak na wizytę u krawca. W końcu zgodził się, że krawiec przyjdzie do jego gabinetu. Krawiec przyniósł garnitur do ostatecznych poprawek. Po 5 minutach od wejścia krawca do gabinetu czekający w gabinecie asystenci usłyszeli przerażający wrzask. Profesor wrzeszczał: „złodziej, bandyta, partacz, weźcie mi go sprzed oczu”, itd. Przerażeni weszli do gabinetu. Profesor stał w długich gatkach i usiłował wsadzić nogę w nogawkę trzymany przez krawca spodni. W żaden sposób mu się to nie udawało, bo but nr 45 nie chciał przejść przez nogawkę. Bo profesor nie uznawał spodni, których nie mógł założyć będąc w butach. Krawiec musiał uszyć nowe spodnie.

Niektórzy profesorowie byli nie tylko surowi, ale byli też wybitnie sadystyczni w czasie egzaminów. Profesor Stefan Różycki [1886-1953], poprzednik prof. Józefa Kołaczkowskiego [1910-1980], celował w specyficznych egzaminach. Od drzwi do jego biurka było kilka metrów. Kiedy biedny delikwent wchodził do niego na egzamin, musiał złapać kość którą rzucał do niego profesor. Zanim doszedł do biurka musiał dokładnie tę kość rozpoznać i opisać po łacinie. I to był dopiero wstęp. Osobiście poznaliśmy, co było mało przyjemne, profesora Czesława Gerwela, od biologii. Na egzamin do niego chodziło się czwórkami, a o możliwościach sadystycznych profesora oraz dziwactwach chodziły legendy. W tym czasie (1966 rok) zaczęły się pojawiać z zachodu ekstremalnie drogie koszule „non-iron”, czyli bez prasowania. Miały wygląd taki śnieżno-biały i nieco „nylonowaty”. Profesor na widok takiej koszuli „z Zachodu” dostawał podobno szału i delikwenta wyrzucał za drzwi. Palił papierosy i w czasie egzaminu przechadzał się z nie zapalonym papierosem. Jak niosła wieść, oczekiwał, że jakiś student poderwie się z gazową zapalniczką i zapali mu tego papierosa. Było to jednak ryzykowne, bo nie wiadomo było czy o to mu chodzi. Jeśli mu coś nie podobało, po 5 minutach wylatywała z „kablem” cała czwórka. Tak było w przypadku czwórki przede mną, kiedy właśnie jakiś kolega usiłował profesorowi nachalnie zapalić papierosa, bez jego woli. Nade mną Matka Boska czuwała, każdy dostał po jednym pytaniu i cała czwórka zdała.

Wybitnie stresowe dla mnie były ćwiczenia na fizjologii, z żabami. Ćwiczyliśmy dwójkami odruchy na dekapitowanych żabach. Trzeba było wyjąć żabę z pojemnika i dekapitować. To znaczy uderzyć jej głowę o brzeg umywalki, a następnie nożyczkami odciąć jej górną połowę głowy (z mózgiem i oczyma). Gdyby na szali było wyrzucenie z studiów, nie byłem w stanie tego zrobić. Ale koleżanki nie miały z tym najmniejszych oporów. Im drobniejsza i delikatniejsza - tym mniejsze miała opory. Więc całą „czarną” robotę z żabą wykonywała moja partnerka. Potem rozpinało się żabę na korkowej tacce przy pomocy szpilek, i wykonywało odpowiednie ćwiczenia. Z tym nie miałem kłopotów. Ale śnił mi się po nocach końcowy egzamin praktyczny. Wówczas cały proces dekapitacji żaby i ćwiczenie trzeba było wykonać osobiście. Był jeden wyjątek. Jeśli ktoś był zwolniony z egzaminu praktycznego. Dotyczyło to tych co zdali super wszystkie kolokwia. Niczego nie uczyłem się tak zajadle, jak wówczas fizjologii. Żeby być zwolnionym z egzaminu praktycznego „z żabą” Na szczęście się udało.

Wydarzenia 1968 roku. Rektorem naszej AM był prof. Witold Michałkiewicz (ginekolog), przewodniczący Kolegiów Rektorów uczelni poznańskich, przyjaciel komunistycznej władzy i wybitnie

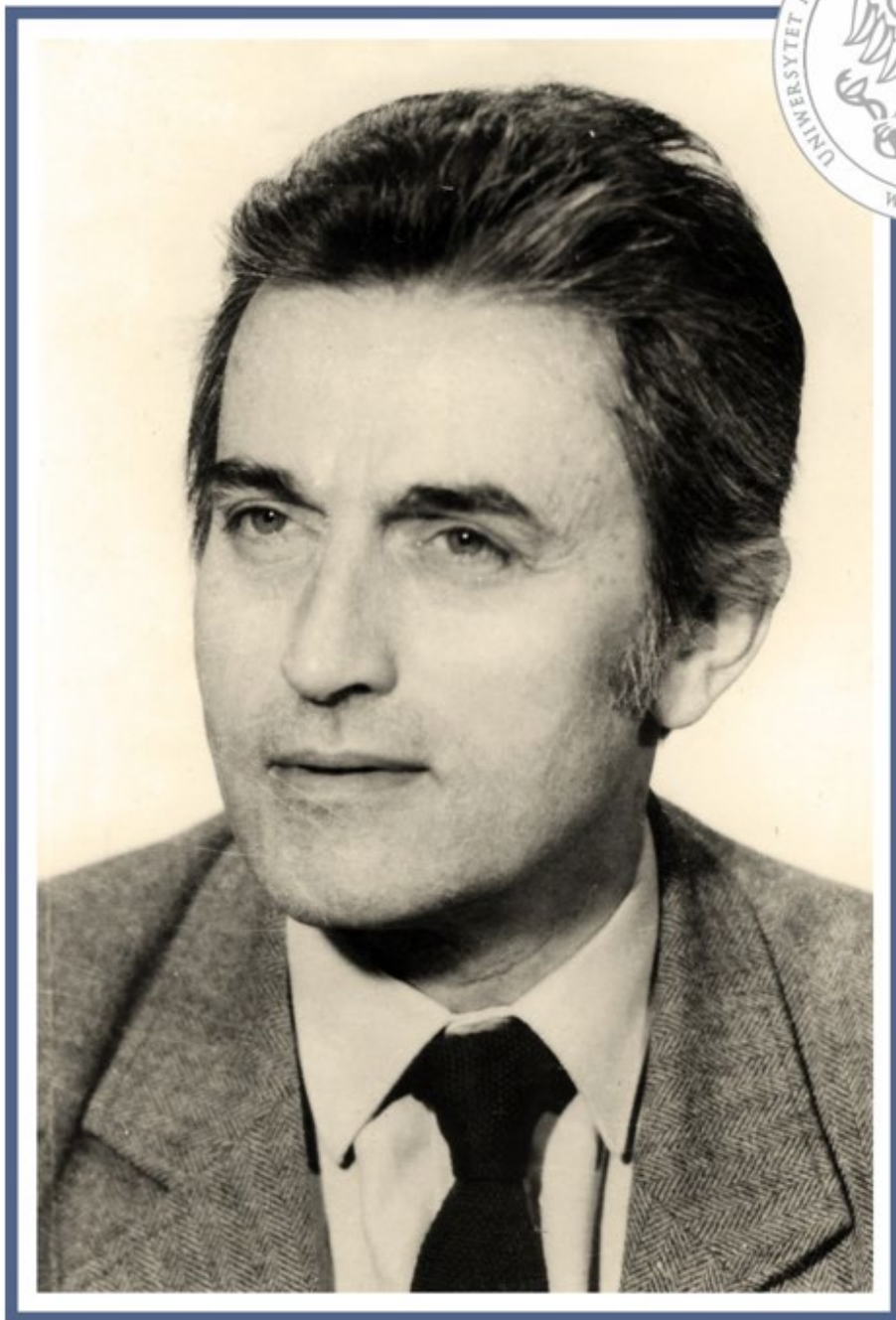
zaangażowany w ochronę uczelni przed „wichrzycielami”. O ile wiem, dwu naszych kolegów aresztowano za działalność antykomunistyczną w jakimś tajnym „kole żydowskim”. Obydwu relegowano z uczelni. Jeden skończył studia, ale chyba w Białymstoku, po czym wrócił do Poznania i swojej narzeczonej - dziewczyny z naszego roku. Drugi - o ile wiem - wyjechał do Stanów.

Spośród wspomnień z czasu studiów mam jedno bardzo fajne, chociaż zaczęło się, jak to u mnie w życiu, trudno. Chodzi o ćwiczenia na mikrobiologii. Niestety nie pamiętam nazwiska asystenta, któremu byłem szczególnie wdzięczny. Rok 1968/69 był dla mnie wyjątkowo trudny. Basia kończyła studia (na historii sztuki ostatnie egzaminy) i ratował nas tylko żłobek dla Pawła. Otwierali żłobek na ul. Spornej o 7.00. O 6.00 wyruszałem z Pawłem w wózku na ul. Sporną, żeby już o 6.45 czekać przed wejściem. Bo o 7.30 zaczynałem jakieś zajęcia. Po wejściu rozbierano dziecko, kładło się na brzuchu i ładowało w tyłek termometr. Jeśli temperatura była powyżej 37,5 - dziecka nie przyjmowali. I zaczynała się tragedia. Paweł zachorował na zapalenie ucha środkowego. Ból, temperatura 38 stopni itd. Zaczęły się wizyty u laryngologa, antybiotyki (wówczas były dostępne maks. 2-3 antybiotyki, pamiętam że Paweł dostawał ciągle erytromycynę). A jednocześnie często paracenteza, czyli strasznie bolesne przekłucie błony bębenkowej. W sumie tych paracentez i nawrotów w ciągu 6 miesięcy było 6. Za każdym razem materiał pobrany z ucha był posiewany. Byliśmy zrozpaczeni. Prawie nie dało się studiować. Ktoś z świadomych moich problemów studentów zgłosił je na ćwiczeniach z mikrobiologii. Na ćwiczeniach omawiano starą metodę, która wraz z erą antybiotyków straciła na popularności, czyli zastrzyki autoszczepionki. Przyniosłem wacik z ucha Pawła na ćwiczenia, na których wykonaliśmy pod kierunkiem asystenta autoszczepionkę: 30 zastrzyków o progresywnych dawkach, co II dzień. Zastrzyki przykre. Po autoszczepionce Paweł wyzdrowiał. Była to ostatnia choroba infekcyjna w jego życiu. Jego odporność na wszelkie infekcje była imponująca. Później, już jako lekarz, często korzystałem z autoszczepionek, wówczas zupełnie zapomnianych, z znakomitą skutecznością. Obecnie, kiedy „udławiliśmy” się antybiotykami efektywności działania autoszczepionek nikt nie lekceważy.

Pewnie my, wszyscy faceci wspominamy wojsko, chociaż też często wspomnienia wiążą się z naszymi wojskowymi koleżankami (wówczas nasze koleżanki odbywały normalne umundurowane wojsko). Nawet dosyć ładnie wyglądały w mundurach i beretach. Z tym beretem wiąże się szokujące przeżycie płk. Zalewskiego, prowadzącego m.in. praktyczne ćwiczenia w strzelaniu. W czasie strzelania z pistoletu dziewczyny miały problem z zamknięciem jednego oka. Wymyśliły sposób, że na jedno oko można nasunąć beret. Stawało się w miejscu strzelania, na komendę odbezpieczało pistolet i wykonywało strzał. Jedna z koleżanek odbezpieczyła broń, ale zamiast strzelać, wcześniej skierowała lufę pistoletu w kierunku swojej głowy, i lufą, z palcem na „cynglu”, poprawiała sobie nieco obsunięty beret. Po czym prawidłowo strzeliła. Płk Zalewski (dosyć pocziwy) był biały jak kreda. Chodziły plotki że dostał zawału, ale na szczęście to nie była prawda. Osobiście wspominam wojsko nie najlepiej, bo byłem typową ‘ofermą batalionową’. Miałem nawet z powodu wojska powtarzać rok, ale wybronił mnie bardzo przyzwoity szef studium, płk dr Zbigniew Psuja. Zasugerował nawet żeby mi poprawili na „dobry”, żeby wojsko nie odstawało od innych nieźle ocenianych przedmiotów. Oficerowie zamierzali mnie „nauczyć wojska” na obozie w Kłodzku. Uratował mnie Marek Tuszewski, podobnie jak ja zagrożony, oraz fakt że dowództwem obozu były osoby z AM we Wrocławiu. Oficer polityczny płk Bechter z Wrocławia poszukiwał utalentowanych do organizacji występów artystycznych w dniu przysięgi. Marek Tuszewski zgłosił mnie jako „grającego na wszystkich instrumentach” (rzeczywiście po średniej szkole muzycznej, poza fortepianem klezmerzyłem nieźle na akordeonie), a ja - Marka w rewanżu jako konferansjera. Jako „artyści” zostaliśmy wyłączeni z „normalnego” wojska i przydzieleni do kancelarii. Program jaki był, taki był, ale został nawet włączony do przedstawienia na zewnątrz, jako prezent: „wojsko dla ludności Kłodzka”. Ale co najważniejsze. Oficerowie z Wrocławia poprosili mnie kilkakrotnie żebym grał na akordeonie w czasie ich koedukacyjnych wieczorów oficerskich. Tak

się zaprzyjaźniliśmy, że zdałem u nich przed terminem wszystkie egzaminy wojskowe. Załatwiłem też sobie wcześniejsze zwolnienie z obozu, zaraz po zdaniu egzaminów, bo czekała na mnie 3 turnusy kolonii letnich, na które jechałem już jako p.o. lekarz. Ale stała się rzecz straszna. W czasie tych „grzecznościowych” egzaminów wszyscy wrocławscy oficerowie dawali mi stopień bdb. Kiedy już miałem się pakować i wyjeżdżać (oddali mi co najważniejsze dowód osobisty i cywilne ciuchy), ogłoszono że 5 najlepszych studentów w czasie uroczystej końcowej defilady odznaczy specjalnymi odznaczeniami i dyplomami jakiś ważny generał. I kto był wśród tych 5 wojskowych geniuszy? Oczywiście ja. Miałem nawet kłopot żeby się ubrać w te wszystkie wojskowe ciuchy na defiladę. Na szczęście kochani koledzy mi pomogli. Natomiast na temat musztry miałem zero wiedzy. Kiedy oddziały stały już w przepisowym ordynku pojawił się wielki generał. Miałem pecha, bo z tej odznaczanej piątki byłem alfabetycznie pierwszy. Kiedy mnie wyczytano, generał wygłosił formułkę o wybitnych zasługach plutonowego podchorążego Wojciecha Kasprzaka w szkoleniu wojskowym, musiałem wystąpić i pójść do generała po dyplom. No to, jak mnie mama uczyła, podszedłem spacerowym krokiem do generała, lewą ręką złapałem za dyplom, a drugą grabulę zafundowałem generałowi, dodając „panie generale, jest mi bardzo miło”. Po czym tyłem wycofałem się do szeregu. Chłopaki nie mogli się powstrzymać od śmiechu, ale też powiało grozą. Powód zrozumiałem dopiero kiedy następny geniusz wojskowy odbierał dyplom. Wyszedł defiladowym krokiem, zasalutował, trzepnął kopytami, wrzasnął „ku chwale ojczyzny obywatelu generale”, zrobił w tył zwrot, i defiladowym krokiem wrócił do szeregu. Następni geniusze podobnie. Koledzy przestali chichotać i byli przerażeni. „Oni, poznańscy oficerowie, cię chyba zabiją, bo wszystko pójdzie na ich konto. Że takiego idiotę wojskowego przedstawili do nagrody”. Ustaliliśmy, że muszę uciekać. W pokoju koszarowym miałem cywilne ciuchy i dowód osobisty. Kiedy maszerowaliśmy koło koszar, jakoś tak się przestawili, że uciekłem do budynku koszarowego. Za budynkiem był płot jednostki. Broń i mundur na łóżko, cywilne ciuchy na siebie, skok przez okno na tyłach budynku, z dużym trudem przez płot (strach dodaje siły) i byłem wolny. Następnego dnia byłem już na koloniach z Pawłem. Podobno mój bezpośredni dowódca mjr Buszewski miał duże przykrości, ale tyle mi nadokuczał w czasie 5 lat studiów że trudno mi było wzbudzić w sobie współczucie.

Planów zawodowych powziętych w czasie studiów nie zrealizowałem. Chciałem zostać ginekologiem. Wcześniej zacząłem uczestniczyć w kole ginekologicznym, które prowadził na Polnej późniejszy prof. Eugeniusz Grys. Pamiętam, że chodzili tam ze mną najwybitniejsi obecnie ginekolodzy z naszego roku. Nic mnie nie trzymało w Poznaniu. Wziąłem po III roku 700 złotych stypendium fundowane w Głogowie. Zdecydowały odwiedziny u ordynatora oddziału ginekologicznego, który serdecznie mnie zapraszał, kiedy skończę studia. Była tam też praca w muzeum dla Basi – historyczki sztuki. Pod koniec tych kolonii letnich, na które zjechałem z Kłodzka, Basia nagle zachorowała. Na bardzo groźną postać raka, która objawiła się masywnymi przerzutami do płuc. Jako student spotkałem się z olbrzymią pomocą lekarzy z Garbar. Od ordynatorki doc. Skowrońskiej, ale szczególnie bezpośrednio od dr Cezarego Ramlaua, późniejszego profesora, ojca mojego obecnego serdecznego przyjaciela, onkologa prof. Rodryga Ramlaua.



Cezary Ramlau

Walka trwała rok. Do końcowych egzaminów uczyłem się siedząc na Garbarach przy łóżku Basi. Tydzień przed naszym dyplomatorium Basia zmarła. Nie chciałem z 4-letnim Pawłem jechać do Głogowa. Nikogo tam nie znałem. Wystąpiłem o zgodę na staż w Poznaniu. Po roku pojechałem do Głogowa. Udałem się do zarządu miasta z prośbą o rozłożenie pieniędzy, które dostałem, w ciągu 3 lat, na raty. Prezydent Głogowa spytał mnie o powód. Kiedy go wyjawiałem, kazał mi napisać od ręki dwa zdania. Kiedy wróciłem do Poznania, po kilku dniach przyszło z Głogowa pismo, że miasto

darowuje mi wszystkie pieniądze. W miejscu gdzie miałem pracować znalazł się Boguś Wikeł, przyjaciel od zdobywania pieca, obecnie znany i powszechnie szanowany ginekolog w Głogowie. Tak koło się zamknęło. Specjalizacja z ginekologii okazała się dla mnie niemożliwa do osiągnięcia. Już chyba tego nie żałuję. Cieszę się, że ginekolodzy z naszego roku, z Janą Skrzypczak i Pawłem Ratajczakiem na czele, są tak znakomici i, w najlepszym tego słowa znaczeniu, znani.

Kończyły się studia. 10 dni przed dyplomatorium Basia nas opuściła. Okazało się że w muzeum, gdzie pracowała, była ubezpieczona. Dostaliśmy z Pawłem 15 tysięcy złotych. Co za to kupić? Nie mieliśmy prawie nic. Mój staż, dyżury na pomocy wieczorowe, itd. Paweł do przedszkola. Co by nas uratowało? Samochód. Za 15 tysięcy? Pojechałem z Pawłem na giełdę samochodową, wówczas na ulicy Bema. Za 15 tysięcy był jeden jedyny samochód, 15 letnia syrenka 103. Wyglądała okropnie. Rdza, dziury, tyse opony. Groza. Jedyne co miała, jak się okazało, to dobry to silnik, bardzo łatwo „zapalał”, nawet w czasie mrozu. Jak się robiła gdzieś dziura w karoserii, nalepialem łatę z papieru i psikałem lakierem (popielatym). Nie miałem pieniędzy na opony. Były wówczas opony, tzw. protektorowane. Na stare opony naklejano nowy bieżnik. Ale i te były dla mnie za drogie. Dowiedziałem się o „fachowcu” który specjalnym nożykiem wycina rowki w całkowicie zużytych oponach. Taki lifting starczał na miesiąc. Takie opony nie były dla mnie zbyt ryzykowne, bowiem super syrenka nie przekraczała 40 km/godzinę. Spotkałem się jeszcze z jedną pomocą, ze strony starszych kolegów. Wejście do Izby Przyjęć szpitala im. Józefa Strusia w którym pracowałem znajdowało się wówczas w połowie ul. Podgórznej. Samochody lekarzy dyżurnych mogły stać przed Izbą Przyjęć. Mój super samochód stał tam dziobem w kierunku hotelu „Bazar”. W zimie ówczesne samochody słabo „zapalały”, moja maszyna była pod tym względem cudowna. W czasie pierwszej zimy 1971/1972 koledzy lekarze dyżurni często się ze mną zakładali, że nie ma takiej możliwości żeby moja „ruina” natychmiast zapaliła i w ciągu minuty zniknęła za rogiem, w kierunku „Bazaru”. Za wygrany zakład mogłem na koszt zakładającego się napełnić bak syrenki do pełna. Wygrałem dużo takich zakładów. Później dowiedziałem, że zamożniejsi koledzy specjalnie się ze mną zakładali, w ramach przyjacielskiej pomocy.

Muszę jeszcze wspomnieć jednego wspaniałego człowieka, dr Leszka Sieńkę, dyrektora Szpitala im. Józefa Strusia. Znał wszystkich bonzów i oni go znali. Niemal każdego dnia ktoś dzwonił, że trzeba pomóc siostrze, babci itp. Dyrektor błyskawicznie „załatwiał” łóżko, ale za to oczekiwał kasy na jakiś remonty, sprzęt, itd. Po pół roku mojej pracy spotkałem się pierwszy raz z dyrektorem, o czym nawet nie marzyłem. Sekretarka zadzwoniła do ordynatora, prof. Leszka Przybyła, w sprawie jakiegoś pacjenta. Szefa nie było, więc dr Sieńko poprosił do gabinetu lekarza prowadzącego, czyli mnie. Tak, w wielkim stresie, na uginających się nogach, wkroczyłem do gabinetu wielkiego szefa. Kiedy zdałem relację z leczenia tej protegi, dyrektor wprost zapytał: „a co ja mógłbym dla pana zrobić, jakie ma pan marzenia?” Marzeń to ja miałem wiele, ale nieziszczalnych. Przypomniało mi się że właśnie oddałem w Telekomunikacji wniosek o założenie telefonu. To było wówczas marzenie „ściętej głowy”. Czas oczekiwania minimum 10 lat. W mojej kamienicy i w dwu sąsiednich nie było telefonu, nie było nawet kabla doprowadzającego. No to wyjąkałem dyrektorowi, że z telefonem byłoby mi łatwiej żyć. Rodzina, dyżury itp. Dyrektor pyta, czy złożyłem wniosek. Jeśli tak, to proszę jutro dać go mojej sekretarce. Wniosek następnego dnia oddałem, pełen optymizmu, że może sprawa przyspieszy się i dostanę telefon za 5 lat, a może dwa? Nie minął tydzień, kiedy przed kamienicę przy ul. Nowowiejskiego 25 zajechały wozy techniczne Telekomunikacji. Wkopywali z niemal 100 metrów kabli na ulicy, a potem w kamienicy w której to był pierwszy telefon, dla bardzo ważnego doktora, czyli mnie. Kiedy usłyszałem po kilku dniach w zakupionym aparacie sygnał telefonu, była to jedna z najszczęśliwszych chwil w moim życiu. Później z Leszkiem Sieńką zaprzyjaźniliśmy się bardzo. W 1990 r. tego wspaniałego lekarza i dyrektora zwolnili jako „komucha”. Nie znam człowieka, który by go źle

wspominał. Bozia opiekowała się nim troskliwie, jako szlachetnym człowiekiem. Żył długo, zachowując młodość i uśmiech. Zmarł niedawno, na cmentarzu były tłumy.

A co ze mną? Moja droga lekarska i naukowa była bardzo pokręcona. Także dlatego, że nie mogłem się zdecydować na żadną z (wówczas) podspecjalności interny. Kiedy zajmowałem się endoskopią i gastroenterologią, żał mi było kardiologii, a potem pulmonologii, hematologii, diabetologii, itd. Skończyło się na tym, że po 10 latach zajmowania się praktycznie i naukowo wieloma dziedzinami interny, wylądowałem na naukowym polu szeroko pojętej fizjoterapii. Ta dziedzina była polem moich licznych publikacji, pracy habilitacyjnej i kilku podręczników PZWL-u. Od 10 lat zajmuję się też naukowo kosmetologią, szczególnie terapią laserową w tej dziedzinie. Z tego wynika profil mojego prywatnego, kilkusobowego biznesu medycznego. A co z szeroką interną? Od 35 lat jestem ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych, od 15 lat pulmonologiczno-internistycznego w Wielkopolskim Centrum Pulmonologii i Torakochirurgii. Jeśli zdrowie pozwoli, po zakończeniu pracy w „państwowym” szpitalu zajmę się wyłącznie prywatnym gabinetem. Ożeniłem się, z równie jak Basia wspaniałą i kochaną Elżbietą, teatrologiem, profesorem UAM, kierującą obecnie Katedrą Wiedzy o Teatrze. Mam z nią dwie, już dorosłe, córki Anastazję i Weronikę. I razem z dziećmi Pawła, czworo wnuków. Najstarszemu dali na imię Wojciech. Kończy obecnie prawo. Tak więc jak w przyszłości spotkanie prawnika, Wojciecha Kasprzaka, to mój wnuk.

Wojciech Michałek-Grodzki (ok. 1947- ok. 1980). Wspomnienia.

Jerzy T. Marcinkowski: Studiowaliśmy w latach 1965-1971 na Wydziale Lekarskim ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu z Wojciechem Michałkiem-Grodzkiem dojeżdżającym na studia z Puszczykowa. Bardzo ciekawa i obszerna jest Kronika Publicznej Szkoły Powszechnej w Puszczykowie (1945-1972) gdzie pod pozycją 1244 figuruje „Michał-Grodzki W. Aleksander” (str. 172).

<http://www.wbc.poznan.pl/Content/371237/Kronika%20publicznej%20szko%C5%82y%20powszechnej%20w%20Puszczykowie.pdf>

Nasza grupa studencka nosiła numer początkowo 15 a potem 8.

Wojtek mieszkał wraz z matką.

Jego osobowość można w przenośni określić następująco: „stąpał bardzo mocno po ziemi”. Przy tym miał wszelkie, pozytywne bardzo, cechy „poznaniańskiej pyry”. W tym rozumieniu oznacza to nie tylko prawdziwego poznaniaka, który ze względu na mowę i sposób bycia daje się łatwo odróżnić od ludzi z innych regionów ale też posiadającego wyróżniające cechy jak pracowitość, punktualność, dokładność, gospodarność i ogólne „uporządkowanie”. Jedyne „minus” to taki, że Wojtek od wczesnej młodości palił papierosy, które kupowała mu mama idąc rano po sprawunki. Pośród studentów wyróżniał się szczególnie na zajęciach w Studium Wojskowym – mianowicie miał zawsze doskonale wyczyszczone buty żołnierskie; to były bardzo masywne buty koloru brązowego z grubą podeszwą gumową, „nie do zdarcia”, gdyż buty w wojsku – jak wiadomo – mają znaczenie wręcz strategiczne. Nie widziałem aby ktoś inny miał tak doskonale wyczyszczone buty a do tego wyprasowany zawsze mundur wojskowy!

Wojtek niezwykle poważnie podchodził do życia jak i do studiów. Przy tym był typem samotnika. Nie postrzegałem aby się interesował dziewczynami. W okresach emocji pojawiały się na jego policzkach rumieńce – bardzo charakterystyczne dla Jego postaci.

Wojtek po uzyskaniu dyplomu lekarza medycyny pracował w Szpitalu w Puszczykowie – wyspecjalizował się w chirurgii. Był bardzo pochłonięty pracą zawodową – do tego stopnia, że unikał spotkań towarzyskich nawet takich jak organizowanie „Sylwestra” w Szpitalu. Zapraszano go, ale nie przychodził – w tym czasie uzupełniał historie choroby pacjentów.

Mieszkał samotnie... i zmarł nagle w mieszkaniu, co dostrzeżono dopiero po kilku dniach.

Pamięć po Wojtku pozostaje piękna, bo nie sposób przypomnieć sobie jakiegokolwiek zdarzenia aby zachował się niewłaściwie, za to zawsze bardzo poważnie podchodził do życia, w tym nauki i pracy zawodowej.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz: Oczywiście Wojciecha Michałka-Grodzkiego mam w oczach. Siedział przy naszym stole w Collegium Anatomicum – ja z ówczesną przyjaciółką naprzeciwko wejścia, Wojtek po prawej naszej stronie. Chyba nigdy z nim nie rozmawiałam – może o coś pytałam – ale nie wiem czy odpowiadał – czy tylko się uśmiechał i oblewał rumieńcem. Miał bardzo jasną karnację skóry – mleczną nieomal, więc ów wieloplamisty (zadziwiający w kształcie) rumieniec płonął z daleka.

Wojtek wydawał się znacznie od nas starszy i poważniejszy. Może z powodu postury dorosłego wysokiego mężczyzny, albo też z powagi, czy jakiejś staranności w ubiorze – nie wiem...

Nie zapomnę sytuacji, która się powtarzała. Asystent, chcąc sobie ułatwić wywoływanie nas do odpowiedzi – mówił do niego Grodzki – Wojtek wtedy wstawał i z powagą oznajmiał jestem Wojciech Michałek-Grodzki. Skąd ta duma? Co się za nią kryło? Jakie dzieje rodzinne? Nie wiem czy kiedyś się dowiemy, choć napisałam do biblioteki w Puszczykowie, która wydała tę piękną kronikę szkoły – do której link podał Jurek – może nadejdzie jakaś odpowiedź, a może czas zatartł wszystkie ślady. Może Wojciech zabrał ze sobą do grobu *jakaś rodzinną tajemnicę. Jaka szkoda, że tak mało o sobie wiedzieliśmy, zajęci studiowaniem i naszą bujną młodością* Nazwisko złożone z dwóch w tamtych czasach było rzadkością jednak Internecie jest wymieniany dr Stanisław Michałek-Grodzki, twórca pierwszego w Polsce oddziału chirurgii plastycznej w Polanicy Zdroju... Wysoce prawdopodobne, że nasz zmarły Kolega Wojciech Michałek-Grodzki dlatego był tak dumny ze swojego nazwiska!!!

Leszek Milanowski: Ojciec Wojtka Dr Stanisław Michałek-Grodzki był „ojcem” chirurgii plastycznej w Polsce, twórcą słynnego szpitala chirurgii plastycznej w Polanicy [© Borgis Nowa Med 2019; 26(4): 146-150 *Maria Ciesielska1, 2 DOI: <https://doi.org/10.25121/NM.2019.26.4.146> Dr Stanisław Michałek-Grodzki (1889–1951) – twórca polskiej szkoły chirurgii plastycznej]. Jego pierwszym uczniem był słynny prof. Michał Krauss [1927-2010]. Gdy odrabiałem staże w Polanicy byłem dumny, że przyjaźniłem się z Jego synem. Piszę przyjaźniłem, może zbyt wielkie słowo ale imponowała mi Wojtka skromność, wyciszenie, spokój. Nigdy nie obnosił się że jest synem tego wielkiego Człowieka. Niestety Wojtek musiał się wychowywać bez Ojca [który zmarł w 1951 r.] i ukończywszy trudne studia medyczne, już pracując - w tak młodym wieku zmarł nagle.

Tekst zamieszczono 26 września 2018 r. w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4283>, pt. Z pamiętnika Jerzego T. Marcinkowskiego (21). Wojciech Michałek – Grodzki – wspomnienie,

Zofia Woźniak

Na juwenaliach, byłem z grupą studentów z różnych uczelni i na rogatkach Poznania zatrzymywaliśmy samochody, aby płacili nam myto, za wjazd do miasta. Później z tych pieniędzy kupowaliśmy piwo.

Praktyki wakacyjne: po I roku na ortopedii na oddziale dziecięcym pracowałam jako salowa i opiekunka do dzieci. Po czwartym roku byłam na praktyce stomatologicznej w Poradni w Pniewach. Tam mi pozwalano zbierać wywiad od pacjenta, chociaż w założeniu tych praktyk miałam wykonywać zabiegi stomatologiczne pod okiem lekarza. Miałam długie przerwy kawowe.

Na czwartym roku sesję wiosenną razem z Irenką i Olą zdałyśmy przed terminem. Pojechałam z Irenką nad morze, a później do pracy na koloniach. Kolonia była duża. Liczyła 300 dzieci. Irena rok wcześniej już tam jeździła i wiedziała jak zabrać się do pracy. Pierwszego dnia po przyjeździe

robiliśmy przegląd i badanie wstępne. Przy tym wyłapywałyśmy dzieci z wszawicą głowy i tego samego dnia robiliśmy odwyszawianie. Po tych zabiegach wyglądałyśmy cudownie. Nie miałyśmy rękawiczek i nasze ręce były zielone, jak również fartuchy, od Delacetu [Delacet to produkt leczniczy w płynie do stosowania we wszawicy głowowej]. W ten środek byłyśmy zaopatrzone dobrze. Na drugi dzień musiałyśmy dopilnować mycia głów. Bardzo się starałyśmy, by wszawica się nie rozprzestrzeniła i na koniec kolonii wszystkie dzieci wyjeżdżały z czystymi głowami.

Po studiach pojechałam do Żnina, aby tam odpracować stypendium fundowane. Kiedy przyjechałam nie było dla mnie mieszkania, chociaż fundator miał je zapewnić. Zostałam zakwaterowana w szkole, a po tygodniu wymusiłam od gminy mieszkanie, które było wolne po nauczycielach. W Żninie pracowałam 2,5 roku. Tam się urodziła moja córka. Później wróciłam do Poznania i podjęłam pracę w Wyższej Szkole Oficerskiej [Wyższa Szkoła Oficerska im. gen. Stefana Czarnieckiego]. Pracę zaczynałam o 6 rano, tak by żołnierze, mogli skoro świt leczyć zęby, bo nagminnie uciekali w ten sposób z gimnastyki. Prowadziłam tam leczenie planowe. W 1982 roku przeszłam do pracy w 111 Szpitalu Wojskowym [ul. Grunwaldzka 16/18], gdzie pracowałam do emerytury. W 1997 roku zrobiłam specjalizację z ortodoncji. Oprócz córki mam jeszcze syna i cztery wnuczki.

Zofia Zommer

Egzamin wstępny: bardzo się bałam. Z ustnego, który zdawałam na Fredry, pamiętam, że dostałam pytanie ile jest klamek u drzwi w Collegium Maius. Odpowiedziałam, że tyle ile drzwi x2. I to było tyle.

Na matematyce na kolokwium wszyscy ściągali ile się dało. Krzysiu Szereszewski przysłał mi ściągę, ale było napisane tak niewyraźnie, że nie wiedziałam, czy to jest 23 do potęgi 25, czy 232 do potęgi 5.

Ćwiczenia z anatomii miałam z dr Romanem Zimnym, który mówił, że jak będzie cicho, to studenci mogą sobie opowiadać kawały. W większości robił to Krzysiek Szereszewski, który wcześniej usłyszane dowcipy miał pozapisywane. Pod koniec pierwszego roku prof. Józef Kołaczkowski ogłosił, że na ostatnich wykładach można zdawać anatomię. Między innymi zgłosił się Romek (późniejszy mój mąż), który dostał pytanie o unerwieniu gardła. Zapomniał o nerwach czuciowych. Profesor mu podpowiedział: „A jak pan je lody, to co czuje?” Romek odpowiedział, że nie je lodów, bo ich nie lubi.

Z wojska pamiętam mjr. Andrejczuka, który na zajęciach z taktyki cały czas tłumaczył jak należy rysować tabelkę nieobecności. Musztra odbywała się na boisku i dawała w kość.

Marzec 1968. Na ćwiczenia z farmakologii wchodził „dziwny pan” i siadał w ostatniej ławce i słuchał. Bałam się.

Praktyki wakacyjne. Po pierwszym roku byłam na chirurgii szczękowej, gdzie robiłam tampony i rejestrowałam pacjentów. Po trzecim roku byłam na chirurgii ogólnej. Tam miałam praktykę pielęgnarską i tam nauczyłam się robić iniekcje, a po czwartym na chirurgii stomatologicznej, gdzie robiłam dużo ekstrakcji, które zostały mi zaliczone do limitu koniecznych do egzaminu.

Na pierwszym roku w sesji zimowej zdawałam biologię i z trzema koleżankami w pierwszym terminie – wszystkie oblałyśmy.

Z grupy pamiętam najbardziej wspomnianego już Krzysia Szereszewskiego, który się dziwnie zachowywał. Mówił mi, że w jego rankingu na dobrych i złych kolegów czasami pnę się do góry. Nie rozumiałam tego.

W 1970 roku wzięłam ślub z Romkiem. Po zakończeniu studiów przenieśliśmy się do Krobii [w Powiecie Gostyńskim]. Wtedy byłam w ciąży z moją pierwszą córką. Tam mieszkałam 4 lata. Do

Częstochowy sprowadziłam się w 1980 roku, gdzie urodziła się moja druga córka. Tu mieszkam do dzisiaj. Mam troje wnuków.

W 1978 zrobiłam specjalizację I stopnia ze stomatologii ogólnej, a w 1981 r. z ortodoncji.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz

Człek się nie rodzi w próżni. Kształtują go geny, doświadczenia przodków dziedziczone na zasadzie epigenetyki, wychowanie w rodzinie. Mają swój udział znajomi, przyjaciele, szkoła, uczelnia, wychowawcy, praca, nauczyciele zawodu, pacjenci i wreszcie samo życie....

Moja Mama, Stefania Jakubiec, córka Michała i Marianny urodziła się w 1907 r. w pięknej Kotlinie Żywieckiej, u stóp Skrzycznego, we wsi Godziszka. Jej Rodzice byli prostymi góralami beskidzkimi. Hodowali piękne czerwone krowy, bardzo kochali konie i z trudem uprawiali swoją gliniasto kamienistą ziemię. Nie wyobrażali sobie, że można żyć bez gór... mieli dużo dzieci, ale tylko Stefkę, moją Mamę, ciągnęło do książek. Często bywało tak, że zaczytana, zapominała o bożym świecie a krowy, które pasła, wchodziły w szkodę. Skutki były wiadome, długo widoczne pręgi na plecach od bata. No cóż, twarde warunki życia, twardzi ludzie... Miejscowa szkoła miała tylko 3 lub 4 klasy, ale był to liberalny zabór austriacki, więc uczono po polsku. Któregoś dnia do Jej ojca przyszedł ksiądz i długo rozmawiał, przekonywał aż przekonał, że to dziecko należy dalej kształcić. Oddano ją do Białej (obecnie połączonej z Bielskiem, mieszkała kątem w jednej izbie u Niemki, raz na kilka miesięcy ojciec przywoził worek ziemniaków i mleko w kankach. Najpierw piła świeże, potem kwaśne. To było jej jedyne pożywienie. Miała dopiero 10 lat, gdy samotnie wędrowała ulicami wielkiego dla niej miasta i nawet nie miała odwagi by rozpląścić nos na witrynie cukierni, tylko obserwowała z daleka i wąchała zapachy ciepła i słodczy. Nigdy tam nie wchodziła, bo była biedna. Potem zamieszkała w internacie przy Seminarium Nauczycielskim w Białej, które prowadziły suche czasami okrutne niemieckie zakonnice. Pobyt tam to temat na inną opowieść. W 1923 roku została nauczycielką i wyjechała do pracy na Wileńszczyznę. Jak mawiała, poza problemami ze znalezieniem pracy na miejscu, miała misję „by nieść kaganek oświaty” na rubieże odrodzonej Polski. Ale jak mniemam przyciągały ją nowe miejsca, środowiska bo do końca życia była bardzo ciekawa świata. Tam poznała Wacława Łukaszewicza, późniejszego mojego Tatę. Był synem Stanisławy z d. Rodziewicz i Tomasza Łukaszewicza. Rodzice Staśki byli kresową szlachtą tzw. mieszczanami co ponoć oznaczało jakiś ważniejszy szczebel, bo mogli pełnić służbę u boku najważniejszych w kraju. Ojciec Staśki, Bolek Rodziewicz był organistą w Rakowie (obecnie Białoruś). Jego ojciec walczył i zginął w Powstaniu Styczniowym, żonę wywieziono na Sybir i słuch po niej zaginął a władze carskie skonfiskowały majątek. Niestety nie znam imion tych moich prapradziadków. Jedyny ich chyba 12 letni syn, wspomniany Bolek, późniejszy mój pradziadek został sam. Przygarnął go przyjaciel rodziny ksiądz Eustachy Karpowicz, wychował i wykształcił. Bolek ożenił się z Michaliną Dowhopouł. Ich córka, a moja babcia Stasia Rodziewiczówna, była kuzynką Marii, pisarki. O jej wykształceniu nic nam nie wiadomo, prowadziła dom, zajmowała się liczną rodziną, ogrodem pełnym ziół i kwiatów. Babcia Stasia, jak już napisałam wyszła za mąż za Tomasza Łukaszewicza, zubożałego kresowego szlachcica. Zajmował się produkcją mleczarską na dużą skalę. Ponoć sery jego firmy były sprzedawane nie tylko w okolicy ale też daleko w głębi Rosji. Z tego związku Stasi i Tomasza, w 1908 roku, w Rakowie urodził się mój Tata. Już w dzieciństwie, pomimo tego, że do miasteczka kolej nie docierała, jednak gdy raz zabrano go do Mińska zakochał się w pociągach i był wierny tej miłości do końca swoich dni. Ukończył Wyższą Szkołę Techniczną w Wilnie, a dopiero po wojnie studia. Był inżynierem dróg i mostów a w Gorzowie Wlkp. i stopniowo awansując, został Naczelnikiem Oddziału Drogowego PKP (potem zmieniono te kolejowe struktury). W tamtych czasach w moim Gorzowie Wlkp. było to stanowisko najwyższe na kolei. Mój brat – Zenon – wbrew woli rodziców, został dziennikarzem, pisywał jakies

małe formy [np. Zenon Łukaszewicz, „Mój alfabet, albo pstryczki i potyczki”, Oficyna Wydawnicza Ziemia, Warszawa-Zielona Góra 1993] i był cytowanym krytykiem literackim.

W całej rodzinie byli m.in. nauczyciele, architekci, ludzie pióra, ale nikt nie zajmował się profesjonalnie zdrowiem ludzi. Tak więc jako medyk wyrosłam na ugorze.

Od dzieciństwa marzyłam, by zostać lekarzem. Właściwie nie wiem dlaczego.

Urodziłam się w 1947 roku w Gorzowie Wlkp., czyli na tzw. wtedy Ziemiach Odzyskanych gdzie Rodzice osiedli po wojnie. Mama przyjechała z Wileńszczyzny w starej marynarce ojca przepasanej sznurkiem i w jego butach z 10-letnim synem, zostawiając grób młodszego dziecka Wacusia w Smorgoniach pod Wilnem, a Tata wrócił do rodziny po 6 latach pobytu w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Spośród różnych możliwości zamieszkania, wybrali Gorzów, który wprawdzie był zniszczony (spalili go Rosjanie po 2 tygodniach od wyzwolenia), ale zachowała się większość ładnych poniemieckich kamienic, domów jednorodzinnych z pięknymi ogrodami i bujną roślinnością parków. Miasto położone na 7 wzgórzach cudnie przytulone do szerokiej Warty do tej pory budzi we mnie sentymentalne wspomnienia i skojarzenia.

Rodzice z trudem próbowali odbudować swoje życie. I wtedy urodziłam się ja. Mama przedtem poroniła, a gdy była w kolejnej ciąży (ze mną) lekarz myślał, że to jakieś zaburzenia cyklu, bo już miała 40 lat i zalecił diatermie. Tak więc urodziłam się dobrze naświetlana na wstępie, ale „dałam radę”. Nie tylko przetrwałam, ale też rosłam sobie bez problemów.

Moim wielkim światem było ukochane gorzowskie podwórko przy ul. Kosynierów Gdyńskich. Rozciągało się pomiędzy dużymi kamienicami i miało jedyne drzewo. Był to cherlawy ale dość rozłożysty bez, który rósł nad wielkim śmietnikiem. Na tym bzie przesiadywałyśmy z przyjaciółką Bajką. Ulubionym zajęciem było wyrywanie dziurek w liściach bzu. Powstawały wtedy piękne, misterne serwetki. Bezpiecznie usadowione na konarach bzu, zawsze obserwowałyśmy czy nie wyjrzy ze śmietnika szczur. Poza tym było wiele ciekawych przedmiotów na tej wielkiej górze śmieci pod nami. Stare buty, pudełka, buteleczki i dziwne szmatki. Przesiadywanie nad śmietnikiem oraz zabawy w błocie polegające na lepieniu z niego pączków, były to zajęcia bardzo miłe. Potem zaburzono je edukacją przedszkolną, której nie znosiłam. Jedynym wówczas moim zajęciem było sprawdzanie, czy dzieci wszystko zjadły, choć sama byłam znanym niejadkiem, oraz obieranie ziemniaków z panem dozorcą który miał arcyciekawą drewnianą nogę. To ostatnie działo się wtedy, gdy zapędzeni rodzice wracali z pracy i okazywało się, że zapomnieli mnie odebrać z przedszkola. Tak, to były najpiękniejsze przedszkolne chwile. Piwnica, tylko my z tym panem, słuchanie jego opowieści, nożyki, góra ziemniaków ... Potem doszło do przedszkole muzyczne, trochę przyjemniejsze, bo uwielbiałam tańce...

Rodzina była smutna, rodzice bardzo poranieni wojną, chorowali. Mieli już 40 lat i bardzo się o nich bałam. I pewnie wtedy pomyślałam, żeby w przyszłości im pomagać. Sama też często chorowałam. Zwykle dostawałam zastrzyki. Była to penicylina, która zaledwie w 1948 r. pojawiła się na rynku farmaceutycznym. Iniekcje wykonywał niski, gruby pielęgniarz, który przybywał do domu i gdy swoimi pękatymi krótkimi palcami nabierał zadziwiająco zręcznie płyn z fiołki, drętwiałam. Tym bardziej koncentrowałam się w sobie gdy wbijał mi grubą igłę w chudą pupę. Zaciskałam zęby bo czułam, że po tych zastrzykach zdrowiej. I że wreszcie będę mogła wyjść na ukochane podwórko.

I wówczas myślałam (a może dopiero teraz analizując, tak myślę że wtedy myślałam ☺), że niestety cierpienie jest rzeczą ludzką, ale czasem trzeba zacisnąć zęby. To były ćwiczenia z cierpliwości.

Początek marzenia. Gdy już byłam świadoma swojej wartości, pewnie pięcioletnia, podjęłam decyzję, że zostanę lekarzem. I wówczas na poważnie zaczęłam się przygotowywać do tego zawodu. Moją

pierwszą pacjentką była szmaciana niewielka lalka, zresztą jedyna. Gdy zaniemogła, a najczęściej „bolał ją brzuch”, początkowo przeprowadzałam fikcyjne operacje przy pomocy kredek. Ale któregoś dnia poniosła mnie wena. Zakradłam się do szuflady Mamy, gdzie trzymała nici, igły i co najważniejsze niewielkie nożyczki z zakrzywionymi czubkami. Ukryłam się w kątku, a może pod stołem, bo tam było najbezpieczniej i mówiąc, nie bój się lalczko, za chwilę będziesz zdrowa, zagłębiłam końce nożyczek w miękkim szmacianym brzuszku. Nie wiem skąd mi to przyszło, bo nie miałam własnych brzusznych czy operacyjnych doświadczeń. Ale przyszło. Długo, długo potem nawet się nie dziwiłam, gdy moi mali pacjenci poddawani też zabiegom urologicznym bawili się w cewnikowanie pęcherza moczowego... Dobrze pamiętam tę moją pierwszą operację i przerażenie, gdy z brzucha lalki zaczęły się wysypywać trociny. Nie umiałam jeszcze szyc, zresztą byłam zbyt wystraszona i jedynym wyjściem była rycząca ucieczka do Mamy. Mama stanęła na wysokości zadania, nawet nie krzyczała jak wtedy, gdy trzyletnie, uciekłyśmy z Bajką i jej braciszkiem z domu, nie wiem co pomyślała, ale może nic, nie przerażała się moim eksperymentem, tylko spokojnie dziurę w brzuchu lalki zaszyła. Mój boże, jak ja się potem opiekowałam tą lalką. Kompresiki ze szmatek przykładalam, brzuszki masowałam, nie mogłam patrzeć na szew bez wylewania łez. Ale powoli się przyzwyczaiłam, na wszelki wypadek już żadnej operacji nie przeprowadzałam. Ale gdy uznałam, że jest już zupełnie zdrowa, pojawiały się kolejne „choroby” wymagające wykonania przeze mnie jakiś zabiegów. Ale pomna wcześniejszego doświadczenia nie używałam już nożyczek. Pozostały kredki... Moja „praktyka lekarska” trwała długo. Aż przyszedł czas, gdy zabawy lalkami przestały mnie już interesować.

Pierwszy nauczyciel. Rok 1957. Gdy miałam 10 lat, zaczęłam zauważać niektórych znajomych moich Rodziców. Między innymi był to pan doktor Piotr Kunowicz. Bywał u nas często wraz z młodszą od niego, seksowaną żoną i ponurym synem. Zawsze obwieszczał, że jest Litwinem i nazywa się Kunowiczus i że wszyscy słynni Polacy byli też Litwinami. Wówczas przy stole zapadała niezręczna cisza. Ale wiadomo już było, że za chwilę nastąpi zmiana tematu na inny, niezwykle wszystkich frapujący. Bo istotą spotkania były też opowieści medyczne. Ba, nie tylko dr opowiadał różne historyjki czasami nawet mocno pieprzem posypane, ale też odpowiadał z powagą na licznie zadawane pytania. Każdego wysłuchiwał cierpliwie, potem dokładnie analizował objawy, głośno rozmyślał nad możliwą przyczyną i po rozpoznaniu choroby, szczegółowo ją omawiał. A potem proponował różne metody leczenia. Siedziałam gdzieś daleko, ale wyciągałam uszy. Temat był fascynujący. Ponadto bardzo mi się podobał ten pan doktor. Był poważny, dostojny majestatyczny nawet, pewien siebie, a ludzi traktował z uwagą. Zachwycała mnie jego pełna powagi sylwetka, głos i sposób opowiadania. Po bardzo wielu latach pamiętam Go bardzo dobrze. I mogę powiedzieć, że był moim pierwszym wzorem, pierwszym przewodnikiem duchowym po meandrach medycyny.

Wyobrażałam sobie, że właśnie tak należy rozmawiać z pacjentem. **Drugi nauczyciel. 1964 rok.** Pewnego dnia w sąsiedniej gorzowskiej kamienicy przy ul. Nowotki, obecnie Orłąt Lwowskich, bo tam do Oddziału Drogowego PKP w tym czasie się przenieśliśmy, zamieszkał dr Kaczmarek. Niestety nie zapamiętałam imienia. Po pewnym czasie moi Rodzice poznali Jego Rodzinę. Nie wiem, czy można tę znajomość nazwać przyjaźnią, ale wzajemne relacje były ciepłe i trwałe wiele lat. Nawet po wyjeździe Państwa Kaczmarków, a potem moich Rodziców do innego miasta, utrzymywano kontakty listowne. Cała ta rodzina była bardzo dorodna. Pani Domu była duża, kształtna, przystojna, urodziwa, z warkoczem zaplecionym w koronę wokół głowy, uśmiechnięta i zawsze elegancka. A Mama opowiadała że Pani ta była ogromnie pracowita, rozpoczynała dzień przed świtem i od razu zajmowała się pracami domowymi. Mama ją widywała o 3 nad ranem, gdy na balkonie rozwieszała pranie. Potem wychodziła do pracy (chyba była nauczycielką), a popołudniami do kawiarni, gdzie spotykała się z przyjaciółkami. Doprawdy mogła imponować innym kobietom. Mieli dwoje bardzo ładnych i mądrych dzieci. Syn Andrzej został lekarzem a Marychna farmaceutą. Ten nasz sąsiad był ordynatorem ortopedii w gorzowskim szpitalu. I po kilku latach, gdy obronił pracę doktorską, wszyscy

przenieśli się chyba do Włocławka a potem do Poznania. Moi Rodzice Go podziwiali, bo prowadzenie prac związanych z przygotowywaniem doktoratu w warunkach gorzowskich i przy bardzo absorbującej pracy, było trudne. Wymagało to także dojazdów do ośrodka klinicznego (chyba w Poznaniu). Podobno nie korzystał z żadnych przywilejów w tym czasie, wykonywał swój zawód i niewiele osób ze środowiska o tym wiedziało. A dla mnie pozostał przykładem człowieka, któremu „chciało się chcieć”. **Pierwsza lekcja.** Któregoś dnia byłam w domu. Mama krzątała się w kuchni. Mieszkanie było bardzo duże, więc dzieliły nas znaczne odległości. Nagle usłyszałam dzwonek do drzwi. Otworzyłam i przez jeszcze uchylone drzwi, wpadł sąsiad, ów dr Kaczmarek. Chyba nigdy u nas nie był. Zapytał gdzie jest Ojciec, popatrzyłam zdziwiona wskazując na sypialnię. Wbiegł tam szybko. Na wielkim łożu małżeńskim leżał mój Tata, obok na szafce nocnej stał telefon, ale słuchawka zwisała obok. Doktor już badał Ojca. Na szczęście było to chwilowe zastąpienie. Okazało się, że przed chwilą rozmawiali przez telefon i gdy nagle Tato przerwał rozmowę, doktor przybiegł do nas z pytaniem co się stało. Zapamiętałam to wydarzenie. Nigdy przedtem nie widziałam takiej akcji. Ujrzałam, jak należy szybko rozpoznawać sytuację, spieszyć z pomocą i w dodatku bez specjalnego zaproszenia... To była dla mnie lekcja jak powinien zachowywać się każdy człowiek, a szczególnie lekarz. **Pierwszy kontakt ze szpitalem i salą operacyjną.** Poza czasem, gdy urodziłam się w gorzowskim szpitalu, nigdy nie widziałam żadnego szpitala. Byłam już w klasie maturalnej a moja decyzja by zostać lekarzem była niezmienna. Ponieważ Mama tego nie akceptowała, pewnego dnia wpadła na pewien pomysł. Poprosiła wspomnianego powyżej dr Kaczmarka by umożliwił mi obejrzenie wnętrza szpitala z blokiem operacyjnym włącznie. Zgodził się. I tak znalazłam się po raz pierwszy w miejscu dla mnie niezwykłym. Byłam przejęta, bo miałam wrażenie, że dotykam ogromnej tajemnicy. Weszłam nieomal na palcach. I w tym gorzowskim szpitalu po raz pierwszy otworzyła się przed mną Wielka Biel (która towarzyszyła mi aż do emerytury, o czym wtedy nie miałam pojęcia, bo niby skąd?). Poczułam charakterystyczny szpitalny zapach. Widziałam pacjentów niekiedy skulonych na swoich łóżach bóleści. I wreszcie zbliżałam się do bloku operacyjnego. Emocje narastały. Z drżeniem ubrałam się w specjalne fartuchy. Dr Kaczmarek i jego asystent już zaczęli operację. Wstrzymywałam oddech, gdy nacinano skórę, powięzi i zobaczyłam najprawdziwszą kość. Kość żywego człowieka. Gdy rozpoczęto nawiercanie kości, a dookoła leciały wióry nagle poczułam się nieswojo. Wiertło było najprawdziwsze, takie jak do prac remontowych, w dodatku wydawało okropny wbijający się w czaszkę dźwięk. Ten obraz, zapach eteru, jednym słowem ten klimat spowodował, że poczułam się jak pewnego razu w kościele, kiedy to udało mi się zemdleć. Ponieważ już tego doświadczyłam kiedyś, resztką sił, na miękkich nogach, wyszłam z sali operacyjnej. Jednak pomimo tego doświadczenia, które mogłoby dołować, wywołać myśli, że się nie nadaję do zawodu medyka, nie zrezygnowałam ze swojego planu. W moim długim życiu, wracały do mnie tamte klimaty gorzowskiego szpitala. ... **Rok 1965.** I przyszedł czas ostatecznych decyzji. Matura zbliżała się wielkimi krokami. W LO otrzymaliśmy ankietę, którą mieli wypełnić rodzice i były tam pytania na temat przyszłych studiów swojej latorośli. Widziałam na własne oczy to, co napisali moi. Matka sugerowała Studium Nauczycielskie w Gorzowie a Ojciec - Politechnikę. Chcieli, żebym miała zawód taki jak oni. Chcieli kontynuacji. Bardzo lubili swoją pracę. A ja złożyłam dokumenty do uczelni, która wówczas nazywała się Akademia Medyczna (obecnie Uniwersytet Medyczny). W tym czasie uważano, że łatwiej się dostać na Pomorską Akademię Medyczną w Szczecinie. Ale ja wybrałam Poznań. Między innymi dlatego, że był dobry dojazd pociągami z mojego miasta rodzinnego. Poza tym studiował tam kolega, moje pierwsze zauroczenie Tomasz W. Ponadto pomyślałam, że „jak spadać to z wysokiego konia”, czyli jeśli się nie dostać, to przynajmniej do bardziej wtedy uznanej uczelni. Nie byłam przesadnie pobożna, ale w przeddzień egzaminu poszłam do poznańskiego kościoła uniwersyteckiego przy Fredry [Kościół Najświętszego Zbawiciela – zabytkowa świątynia przy ul. Fredry 11 w Dzielnicy Cesarskiej w Poznaniu]. W pustym kościele modliłam się tak: Boże, jeśli mam być złym lekarzem, to lepiej żebym się na te studia nie dostała. Tak więc decyzję zostawiając Bogu, bardzo spokojnie poszłam na egzamin 😊. **Egzaminy.**

Było jeszcze bardzo wcześnie. W Klinice przy ul. Przybyszewskiego staliśmy jak grupa spłoszonych zwierzątek. Wreszcie ktoś do nas wyszedł i zostaliśmy podzieleni na podgrupy i skierowani do różnych sal. Każdy dostał osobne, oddalone od innych miejsce. Miejsca te unosiły się amfiteatralnie, tworząc wizję sali kinowej. Ale to nie było moje ukochane i przyjazne gorzowskie kino „Słońce”. Tutaj było surowo i poważnie. Czułam, że właśnie rozpoczyna się prawdziwe życie. I w takiej to atmosferze zabarwionej grozą startowaliśmy. Rozdano nam płachty papieru z pytaniami, bo egzamin był pisemny. Maksymalnie koncentrując uwagę i natężając umysł, czytałam kolejne pytania z fizyki, potem z chemii i udzielałam odpowiedzi oraz rozwiązywałam liczne zadania. Te przedmioty nie były zbyt trudne. Wszak miałam same piątki na maturze (wtedy nie było szóstek) i kurs przygotowawczy organizowany przez Akademię Rolniczą w Poznaniu, na którym poza fajkami w pobliskim klubie studenckim Nurt, jednak uczyliśmy się ostro. Następnego dnia pisaliśmy egzamin z biologii. Należało omówić problem, dokonując wyboru z kilku zaproponowanych tematów. Napisałam jakiś elaborat. Nie pomnę jaki wybrałam temat ale jak się okazało potem, trochę mnie poniosła wena. Potem zdawaliśmy pisemny egzamin z języka rosyjskiego, który podobnie jak chemia i fizyka nie wydawał się skomplikowany. Jeszcze czekał nas egzamin ustny, a właściwie rozmowa z komisją. Nazywany był testem na inteligencję. Wiadomo było, że mogą być zadawane pytania z różnych dziedzin życia. Weszłam trochę spięta. Padały różne pytania z zakresu szerokiej wiedzy licealnej, głównie z biologii, na które odpowiadałam zwięźle i precyzyjnie. W pewnym momencie ktoś z komisji stwierdził, że jest bardzo dobrze, tylko dlaczego moja praca pisemna z biologii wypadła na tróję. Oznajmił też, że to, co tam napisałam, to może i kawał literatury, esej na przykład, ale jakoś biologii jest tam niewiele. Na chwilę straciłam rezon. Ale gdy na koniec zadano mi, jak się okazało, ostatnie pytanie, nieomal podskoczyłam z radości. Bo Pani z komisji zapytała o ulubioną lekturę. I wtedy poczułam, jak rosną mi skrzydła u ramion. I popruuuuunęłam. Bo jeszcze w LO w czasie lekcji, trzymałam pod ławką otwartą książkę, którą pochłaniałam nie pamiętając o bożym świecie. Była to pozycja „Ciała i dusze” Van Der Meerscha. Teraz przeniosłam się w świat tej książki i tak zapamiętałe opowiadałam, aż wreszcie dotarła do mnie sucha uwaga komisji - dziękujemy pani. Wysłałam, unosząc ze sobą niedokończoną opowieść o mojej książce.... Potem wróciłam ukochanym pociągiem do Gorzowa. Tam miałam dom, czekali na mnie Rodzice. Nie czułam niepokoju. Wiedziałam, że co ma być to będzie. Zrobiłam wszystko, by zdać te egzaminy. **Oczekiwanie na wyniki.** W moim Gorzowie, w tym czasie, jak zresztą i później, spotykałam się z koleżankami z LO, odkrywając uroki miejscowych kawiarni. Nadganiałyśmy czas, gdy z powodów niejasnych, nie chodziłyśmy do knajp. Może to tylko ja, zapóźniona w rozwoju nie chodziłam, może nie było wolno, może nie było takiej mody. Ale ważne, że zdążyłam potem ☺. Czasami przesiadywałam z książką na działce, opędzając się od pszczoł i os, które urzędowały w naszych starych drzewach. Książkę „zagryzałam” czarnymi porzeczkami i agrestem, bo właśnie pięknie płonęły dojrzałym lipcem na swoich krzakach. Dni spalone upałem przewalały się leniwie łapiąc w objęcia skrawki cienia. A nad moim światem była tylko pokorna i spokojna cisza. Czułam się jak w stanie nieważkości. Albo tak, jakbym wyskoczyła z samolotu i po gwałtownym spadaniu nagle zawisła w powietrzu gdyż otworzył się spadochron. Kołysały mnie chmury ... Mama nie zadawała pytań na temat egzaminu. Ja nie opowiadałam. Wydawało się, że porzuciłam myśl o medycynie. Wreszcie któregoś dnia Mama przełamując milczenie, powiedziała, że się cieszy, bo pewnie zostanę z nimi w Gorzowie i, że już pytała o miejsce w Studium Nauczycielskim. I że zrealizuję Jej marzenie, by zostać, tak jak Ona nauczycielką. Aż po 2 czy 3 tygodniach zadzwonił telefon... **Wyniki.** Pewnego dnia w naszym gorzowskim mieszkaniu rozległ się donośny dźwięk telefonu. Podniosłam słuchawkę, po drugiej stronie był Józek z Poznania, mąż kuzynki. Po radosnym tonie jego głosu wyczułam, że ma jakąś dobrą wiadomość. I tak właśnie było. Z przejęciem informował, że właśnie wraca z rektoratu Akademii Medycznej i że znalazł mnie na liście osób przyjętych. Ucieszyłam się, ale jak niewierny Tomasz, postanowiłam zobaczyć to na własne oczy. I dlatego następnego dnia, pierwszym porannym pociągiem wybrałam się do Poznania. Niepewnie przemierzałam ulice, serce biło coraz szybciej w

miarę jak zbliżałam się do rektoratu AM. Powitała mnie ta przepiękna budowla i jej niezwykle wewnątrz [gmach wzniesiony na działce przy ulicy Fredry (dawniej Paulikirchstraße), pomiędzy ulicami Al. Niepodległości (dawniej Königsring) i Tadeusza Kościuszki (dawniej Ober Wall), w latach 1908-1910 w stylu neobarokowym z elementami stylu neoklasycznego, jako część Dzielnicy Ciesarskiej]. Tym razem nie podziwiałam wielkiego, sięgającego nieba hallu gdzie na dookólnym obwodzie wspinały się na wysokość kilku pięter malownicze krużganki. Od razu zmierzałam w prawo tam, gdzie wisiły tablice z różnymi listami. Gorączkowo szukałam listy przyjętych na Wydział Ogólnolekarski. Gdy wreszcie znalazłam, mgła przysłaniała mi oczy, ale przetarłam je energicznie i zaczęłam czytać. I wreszcie odkryłam moje nazwisko. Było gdzieś na środku listy. Długo czytałam. Odeszłam, ale po chwili wróciłam i tak kilkakrotnie. Nie ulegało wątpliwości, zostałam studentką!!! Obok mnie stał smukły młodzieniec, który jak ja, szukał swojego nazwiska. Zdążył się przedstawić - Piotr Janaszek jestem. Gdy wreszcie to sobie uświadomiłam, że jestem studentką, poczułam wielką ulgę a potem coraz większą wszechogarniającą radość. Piotr równie radosny zdążył tylko powiedzieć: „teraz mogę realizować swoje marzenia” – i odszedł... Tanecznym krokiem wracałam na dworzec. Boże, jak ja wtedy kochałam to miasto, chciałam przytulać przechodniów. Widziałam, jak się do mnie uśmiechali. Miasto śpiewało a ja z nim ☺. Gdy znalazłam się w pociągu, w czasie 4 godzinnej podróży, powoli opadała adrenalinowa fala i przychodziły refleksje. Miarowy rytm kół przynosił różne myśli, coraz bardziej poważne. Oto wracam do domu, ale co potem? Skończyły się żarty i frywolna młodość. Będę w obcym mieście, wśród obcych ludzi. Czy podołam wymogom tej wymarzonej uczelni. Postanawiałam się nie poddać, brać życie za bary, i nie tylko przetrwać, ale może nawet zwyciężyć. Jedno było pewne, wkroczyłam w nowy i jeden z najważniejszych etapów życia. Czy już wtedy przeczuwałam, że nie wrócę do Gorzowa... i w niedalekiej przyszłości zacznę dźwigać z ludźmi cierpiącymi ich krzyż... pewnie nie... **Pierwsza praca.** Ale młodość ma swoje prawa. Wiatr młodości rozpędza refleksyjne myśli i smutki zasypuje czystą żywą radością. I właśnie tak się stało. Rozkwitała moja radość i entuzjazm. Zostałam studentką i dostałam się na wymarzone studia. I kochałam swój pociąg, który mnie unosił do domu. I stację Krzyż, gdzie miałam przesiadkę. I oglądałam zachwycające podgorzowskie wzgórza morenowe. I witałam się z Wartą, wielką rzeką, która od wieków przytulała moje miasto. Jak zwykle zatrzymałam się na gorzowskim peronie i podziwiałam widok, który pokazywał mój dom u podnóża cudnego, pokrytego kosodrzewiną wzgórza z górującymi nad nim koszarami. W domu rodzinnym czekali Rodzice. Nie wiem, czy się cieszyli ze mną. Nie zapamiętałam. Zapamiętałam tylko moją wszechogarniającą radość... Wkrótce zadzwonił do nas mój zielonogórski kuzyn- Witek i zaproponował mi pracę na kolonii, którą prowadził. Jego żona, Kazia, był tam lekarką i mogłam być jej przydatna. Oczywiście zgodziłam się, i ponownie wsiadłam do pociągu. Wylądowałam w Międzyrzeczu. Tam na mnie czekał Witek, urodzony na Syberii. Wsiadłam do półciężarówki, on był kierowcą. Zapamiętałam tę jazdę, szybką i niepewną. Hamował gwałtownie, wykonywał jakieś nieprzewidziane skręty. Dookoła był wielki las. Szczęśliwie dotarliśmy pod budynek kolonijny. Gdy wysiadaliśmy, Witek rozkosznie wytrzeszczył na mnie swoje bardzo błękitne oczy i zakomunikował, że się cieszy ze szczęśliwego dotarcia do celu, bo właśnie po raz pierwszy kierował samochodem. Do tej pory jeździł motocyklem, który stał spokojnie na parkingu Cieszyłam się razem z nim ☺. Kolonia mieściła się w szkole, chyba zawodowej, w Bobowicku. Przydzielono mi miejsce do spania w dużej sali, pełnej dzieciarni. Z torby wyjęłam kilka zgrzebnych ciuchów. W tamtych czasach myślenie o ubraniach było mi kosmicznie odległe. Zeszłam na dół, gdzie w pokoju lekarskim czekała lekarka, żona kuzyna, Kazia. Uderzyła w nos woń medykamentów i środków odkażających. Wchłaniałam ten zapach całym ciałem i z lubością. Chyba przeczuwałam, że tak będzie pachniało moje drugie równoległe do rodzinnego życie, ba, chyba nawet ważniejsze. Dyżurki pielęgniarskie, lekarskie, sale szpitalne... Nie mogłam zbyt długo delektować się zapachami, bo przyszła gorączkująca kolonistka. Obserwowałam, jak lekarka bada tę dziewczynę i starałam się zapamiętać kolejność czynności. Rozpoznała anginę. I wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam migdałki pokryte białawymi czopami i żółtymi nalotami.

Tak więc już miałam na koncie, na swojej białej zawodowej tablicy pierwsze rozpoznanie. To była angina. Potem było jeszcze poważniej, bo lekarka uznała, że trzeba dziewczynę leczyć penicyliną. Wtedy były tylko znane postaci tego leku do stosowania domięśniowego. Tak więc Kazia długo gotowała w metalowym pudełeczku igły i strzykawkę gdyż sprzęt jednorazowy to była odległa przyszłość. Następnie pokazała, jak otworzyć ampułkę z płynem do rozpuszczania leku. Otworzyłam. Potem trzeba było odkazić gumowy korek fiolki ze sproszkowaną penicyliną i wstrzyknąć tam płyn pobrany z ampułki. Po wymieszaniu, drugą igłą należało pobrać rozpuszczoną już penicylinę. Pod kierunkiem Kazi, wykonałam zadanie. Byłam przejęta i dumna. Zastrzyk wykonała już lekarka... Do moich obowiązków należało sprzątanie w gabinecie, sprawdzanie stanu higieny kolonistów. Krępujące było codzienne sprawdzanie, czy dzieciaki umyły nogi przez położeniem do łóżka. Wówczas zobaczyłam, że kilkoro z nich ma dziwne paznokcie matowe, porysowane i pokryte jakby błoną. Pokazałam to lekarce. Rozpoznała grzybicę paznokci i zleciła smarowanie jakimś czerwonym płynem. Po kilku dniach zdumiałam się, bo paznokcie odzyskały swój normalny wygląd. Musiałam też okresowo oglądać głowy dzieci, rozczesując im włosy. Bo wtedy bardzo popularna była wszawica. I oczywiście tutaj też ktoś przyjechał w takim „towarzystwie”. Pokazano mi jak wyglądają gnidy, malutkie przezroczystobiałe owalne kuleczki, przyczepione do włosa blisko skóry a w pobliżu pełzały sobie najprawdziwsze wszy. Ze zdumieniem zauważyłam, że w białych włosach wszy są białe, ale w czarnych ciemne. Natura pokazywała swoje chytne oblicze. Od tej pory zachwycałam się matką naturą.... Ale trzeba było wrócić do realiów. Pomna własnych doświadczeń z wszawicą, gdy mama kilka dni spędziła nad moją głową, spodziewałam się, że będzie tak samo i moje wakacje spędzę na walce z wszami. Ale Kazia wyjęła z szafki dyżurki lekarskiej cudowny lek. Znając realia, przygotowała się zawczasu. Podziwiałam jej przezorność. Miała także zapasy płótna, pewnie były to stare podarte prześcieradła. Podała mi butelkę z jakimś płynem. Przeczytałam na naklejce, że jest to ocet sabadylowy. Brzmiało tajemniczo, ale nie spodziewałam się fetoru, który niespodziewanie wałnął mnie w nos, gdy otworzyłam butelkę. Nie wiem, jak wytrzymały ten zapach nosy zawszawionych kolonistów. Musiałam owym płynem polewać ich głowy, a następnie zakładać kawałki płótna, modelując coś na kształt turbanów. Dzieciaki zostały zamknięte w izolatce. Nic dziwnego, bo pewnie innych kolonistów musiałybyśmy leczyć z powodu uporczywych wymiotów spowodowanych smrodem tegoż octu. Przez trzy kolejne dni zmieniałam okłady, aż do czasu gdy niespodziewani mieszkańcy w tajemniczy sposób zniknęli. Po wielu latach, w szpitalu dziecięcym, w którym pracowałam, pielęgniarki zapisywały w historiach choroby niektórych dzieci takie tajemne zdanie – „Założono czepiec”. Dzięki doświadczeniom kolonijnym dobrze znałam znaczenie tych słów.....

Błękitne wakacje. I tak oto dzięki cudownym właściwościom octu sabadylowego, w krótkim czasie udało się opanować wszawicę. Podziwiałam też wygląd już zdrowych migdałków i pięknych paznokci, z wyleczoną grzybicą. Oceniałam te wielkie sukcesy medycyny...

Teraz miałam czas na własne rozrywki.

Odwiedzałam tajemne miejsce, gdzie stał dawny dworek wypędzonych z naszego kraju Braci Polskich. Odczytywałam napis nad wejściem.

Kiedyś ujrzałam na terenie wielkiego jednolitego uprawianego pola ciemną grudkę. Poszłam w tym kierunku. Grudka potężniała, przybierała inny bardziej konkretny kształt. Stopniowo otwierał się widok na kamienny mur uwieńczony masą zieleni i koronami ogromnych drzew. Mur był wysoki, ale zamknięty w nim teren, maleńki, taka kamienna wysepka wśród pól. Podeszłam bliżej i znalazłam miejsce, gdzie można się było wspiąć i wejść do środka. Weszłam. I nagle znalazłam się w innym zamkniętym świecie. Dookoła były stare nagrobki i polskie napisy, polskie nazwiska. To był cmentarzyk Braci Arian.

Od tej pory nieustannie pielęgnuję marzenie, by tam wrócić

Nieopodal budynku kolonijnego wielkim błękitem zakwitało rozległe jezioro. Gdy małą złotą plażę opuszczali koloniści udając się na obiad i drzemkę poobiednią, to cudne miejsce było tylko moje. Delektowałam się ciszą, widokiem wielkiej lśniącej nieruchomości przede mną. Jezioro było leniwe i sennie. Zapraszało. Zanurzałam się powoli doznając rozkoszy które teraz mogę porównać do doznań seksualnych. Wtedy jeszcze tego nie znałam. Byłam białą kartą choć już albo dopiero niespełna osiemnastoletnią ale już kimś ważnym. Stale miałam w tyle głowy – jestem medyczką Pływałam i pływałam pieszczona ciepłą przyjazną wodą.

Potem wsiadałam do drewnianego kajaka i wyruszałam na samotną wyprawę. Płynęłam wzdłuż brzegu, pod pochylonymi koronami drzew. Te drzewa już umierały, i zmierzały do zjednoczenia z jeziorem. To było jak miłość.

Czasami odślaniały się jeziorne łąki, które nagle zakwitały drobnymi białymi kwiatkami. Wracałam po kilku godzinach unosząc w oczach dziewiczo czystą urodę tego miejsca.

Piękne, błękitne wakacje, niepowtarzalne, jedyne takie w moim życiu powoli dobiegały końca....

Poznań i Monika. I oto nadszedł 1. października 1965 r., kiedy już jako studentka Akademii Medycznej znalazłam się w Poznaniu. To miasto nie było mi całkowicie obce. Odwiedzałam je dość często z Ojcem, bo miałam krzywy zgryz. Chyba wtedy ortodoncja w Polsce dopiero raczkowała. Rodzice wozili mnie do Poznania, gdzie przy Śniadeckich urzędował dr Ostrowski. Uwielbiałam go, był miłym, rudawym blondynem, i nigdy nie krzychał, gdy kolejny raz meldowałam, że zgubiłam mój aparat nazębny. Zapamiętałam dobrze jego uśmiech. Dzięki niemu przekonałam się, jak ważny jest uśmiech lekarza, uśmiech mimo wszystko... Ale teraz to było inne spojrzenie na to miasto. Dojrzałe nieśmiałą radością a w dodatku samotne. Mój gorzowski dom był daleko i nie mogłam liczyć na wsparcie Rodziców. Zostawiłam opiekuńcze ramię Taty i mentorskie wykłady Mamy. Byłam sama. Ale i wyzwolona. Wszak lubiłam zmiany i nowe wyzwania. Miasto było ogromne i piękne. Pierwsze spotkanie studentów pierwszego roku odbyło się na dziedzińcu Akademii Medycznej przed Collegium Anatomicum. Wśród zgromadzonej tam licznie młodzieży zauważyłam grupkę, która wyróżniała się zachowaniem, pewnością siebie i eleganckimi ubraniami. Zaśmiewali się, coś sobie opowiadali, widać było, że są starymi znajomymi i że są zaprzyjaźnieni. Potem się dowiedziałam, że to nie tylko rdzenni poznaniacy, ale potomkowie słynnych poznańskich profesorów np. córka Horsta, Steffenówna, Berg. Byłam przejęta, ale spokojnie obserwowałam to, co się działo dookoła. Stałam sama, ale jakoś nie czułam się samotna. Po chwili podeszła do mnie smukła śniada dziewczyna. Miała duże brązowe oczy ocienione długimi gęstymi i prostymi rzęsami i trochę ciężkie powieki rozpoczynające się lekko zaznaczoną zmarszczką nakątną. Przypominała dziewczyny wschodu. Ale była bardzo wysoka, co nie przystawało do niewielkich Japonek czy Chinek. Ze swoją tajemniczą egzotyczną urodą od razu wzbudziła moje zainteresowanie. Zapytała, czy już jestem z kimś tutaj zaprzyjaźniona. Odpowiedziałam, że nie. Dowiedziałam się, że nazywa się Monika Brzezicka i mieszka w Poznaniu, ale nikogo nie zna. W przednim roku nie dostała się na studia, pracowała jako salowa zarabiając punkty do tegorocznej rekrutacji. Od razu poczułam szacunek przed osobą już tak doświadczoną ... Od tej pory razem spędzałyśmy bardzo wiele godzin i dni. Podziwiałam jej błyskotliwą inteligencję, wiedzę o życiu i zorientowanie w problemach studenckich. Okazało się, że jej siostra była już studentką 3 roku AM i zawsze nas uspokajała przed kolokwiami. Mówiła, że asystenci są normalnymi ludźmi, nie należy się ich bać, trzeba się uczyć, ale można mieć potknięcia. Bywałam w poznańskim domu Moniki, poznałam jej Mamę. Była macierzyńsko miękka raczej niewysoka, pulchna i ciepła. Nosila okrągłe okulary z grubymi szklami. Monika mówiła - moja mama „w rowerkach”. Mama w rowerkach miała wykształcenie filologiczne i chyba pracowała w uniwersyteckiej bibliotece. Była samą łagodnością i

zarażała nas spokojem. Gdy przychodziliśmy na kolokwium, pytałam Monikę, czy jej mama pozwoliła nam oblać. Odpowiadała, że tak, mama pozwoliła. Wobec tego wchodziliśmy do sali egzaminacyjnej zupełnie wyluzowane i zdawaliśmy bez trudu ☺. Po drugim roku studiów a może już nieco wcześniej nasze drogi się rozeszły. Pojawili się jacyś chłopcy... I żał, że nie potrafiliśmy unieść się ponad i ocalić to, co najważniejsze. Ocalić przyjaźń. Niestety. Pisząc ten pamiętnik zapragnęłam ją odnaleźć, ale nikt ze znajomych nie wiedział, gdzie rzucił ją los. Jednak cud aktualnego czasu – jakim są media społecznościowe okazały swoje pozytywne oblicze. Znalazłam na FB kolegów z poznańskich studiów i dotarłam do Moniki. Mieszka i pracuje w Limanowej ale okazało się po pierwszym entuzjazmie, że jesteśmy już za daleko od siebie... **Pierwsze zajęcia.** Pierwszym ważnym przedmiotem była biologia z parazytologią w bardzo stylowym budynku Uniwersytetu Poznańskiego. Nieopodal tańczyły kolorowe fontanny, elegancko ubrani ludzie spieszyli do Opery [Teatr Wielki im. Stanisława Moniuszki] albo Auli Uniwersyteckiej, gdzie odbywały się koncerty. A my tłoczyliśmy się przed salą do ćwiczeń. Wszędzie panował dziwny, nieznany zapach, Ktoś powiedział, że to formalina. Wreszcie podzielono nas na małe podgrupy i zaprowadzono do odpowiednich pomieszczeń. Z ciekawością oglądaliśmy preparaty poustawiane na regałach. W słoikach z płynem kołysały się frywolne owsiki, w innych zda się drzemał, zwinięty leniwie, tasiemiec uzbrojony albo nieuzbrojony. Jakież wątroby kąpały się w innym słoju, a w nich ulokował się „smakowity” bąblowiec. Ale nie zdążyliśmy obejrzeć wszystkich dziwów, gdy przyszedł asystent i rozpoczęły się ćwiczenia. Zajęcia z tego przedmiotu zakończyły się po 1 semestrze i egzamin z biologii był pierwszym egzaminem na tej uczelni. Postrach Zakładu, o którym krążyły złowrogie legendy, pan profesor Gerwel okazał się zupełnie normalnym człowiekiem, może tylko ja go tak odebrałam. Zdałam na 4, co było dość niezłą notą ... przy okazji chcę wspomnieć o zajęciach z **Fizjologii** które mieliśmy na drugim roku, bo jakoś przystają do opisanej tu biologii. Po części teoretycznej, zawsze były zajęcia praktyczne. Otrzymaliśmy deseczki z gwoździkami. Pan laborant serwował na nie różne nieżyjące już zwierzątka, które musieliśmy rozpinać na tej deseczce a potem uwalniać wnętrza tego „dania” i preparować głębiej i dalej, aż w końcu powstawał preparat, na którym można było pokazywać i nazywać kolejno, układ pokarmowy, nerwowy, moczopłciowy etc. Najlepiej zapamiętałam preparowanie glisty ludzkiej. Któregoś dnia pan laborant wszedł z wiadrami. Byliśmy ciekawe, co w nich jest. Zajrzaliśmy. A tam się kotłowały najprawdziwsze, żywe żaby. I teraz następował moment, który był straszliwy dla nas i dla żab. Tak straszliwy, że wreszcie po wielu latach zabroniono wykonywania podobnych ćwiczeń. Otóż należało wziąć żabę za tylne łapki, uderzyć jej głową o kant stołu i wprowadzić nożyczki do jamy ustnej, tak, by następnie odciąć górną część głowy. Wykonywałyśmy te polecenia, bo nie było wyjścia. Zresztą nie wiem, jakie skutki wywołałby nasz protest. Potem już nieżywą żabę rozpinałyśmy na deseczce, przypinając gwoździkami łapki oraz dwie połowy rozpiętego brzuszka... Rozpisałam się o biologii, przeskakując do fizjologii, ale przecież nasz I rok studiów to był zdominowany przez **Anatomię**. Poprzednie roczniki uczyły się jej przez dwa lata, a nam skrócono cykl edukacyjny do jednego roku, ale jednocześnie musieliśmy wchłonąć całą wiedzę maksymalnie skondensowaną. Wówczas nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, a nawet się cieszyliśmy, że ta katorga będzie trwała krócej. Na zajęcia z anatomii czekaliśmy z drżeniem serc. Tyle krążyło opowieści o tej królowej nauk medycznych. Opowiadano o straszliwej objętości wiedzy, którą należało pochłonąć. Ale przede wszystkim miało nastąpić spotkanie z ludzkimi zwłokami. Udawaliśmy, że jesteśmy odważni, temat gdzieś krążył niewidoczny, skrzętnie tajony w rozmowach. Ale pewnie każdy zadawał sobie w duchu pytanie, czy jestem silny, czy wytrzymam. To miał być pierwszy test na odporność i przydatność do wykonywania zawodu lekarza. I najzwyczajniej w świecie odczuwaliśmy lęk. Przecież byliśmy bardzo młodzi osiemnastoletni a niektórzy jeszcze młodszy i większość z nas całkiem niedawno opuściło ciepłe skrzydła mamy. Zajęcia odbywały się w Collegium Anatomicum, nieopodal pawilonów Targów Poznańskich i cudnej Palmiarni, której uroki odkryłam później. Gdy nadszedł wyczekiwany moment kulminacyjny, wkroczyliśmy do gmachu Anatomicum. Mogę mówić tylko o sobie, bo nie wiem jak

koledzy, ale mnie przygniatała powaga tego miejsca. Czułam się jak w obcym potężnym kościele i w wielkiej wewnętrznej ciszy, skupieniu i z namaszczeniem przekraczałam próg ...oczekiwałam Misterium... Jednak nie trwało to długo, bo trzeba było iść dalej. Obszerny hol, schody po prawej stronie, przytulone do ściany, kamienne, potem w lewo do sal, które nam wskazano. Zostaliśmy podzieleni na niewielkie, chyba 10-osobowe grupy i wkrótce zasiedliśmy wokół szerokiego drewnianego stołu, ustawionego na wprost wejścia do sali. Do dziś mam w oczach kolegów, jak wyglądali i gdzie siedzieli. Byli tam: okazały, pięknie kraśniejący wskutek emocji Wojtek Michałek-Grodzki. Pewnie wszyscy tak mieliśmy w tej naszej młodości, oblewaliśmy się rumieńcami, ale u niego kontrast z cerą był najwyraźniejszy. Był Bogdanek Jesiołowski, z błyszczącymi oczkami pod czarną czupryną, energiczny Leszek Milanowski o którym będę pewnie nie raz wspominała, Jerzy Marcinkowski wysoki o wyglądzie sportowca i podłużnych czasami uśmiechniętych oczach, wtedy jakby dość nieśmiały, był Michał Dolata o profilu rzymianina. Oj, zaczęłam od chłopaków, wybaczenie dziewczyny. Teraz pora na Was. ☺ Była z nami drobniutka i kształtna jak laleczka delikatna i miła Krysia Graduszevska, wspomniana już Monika Brzezicka o niezwykle oryginalnej urodzie Madonny ze starych ikon, Irenka Dąbrowska, Ola i Anna (nazwisk nie pomnę, chociaż widzę je jak żywe), no i ja. Niestety kogoś mi chyba brakuje, mam nadzieję, że ktoś przypomni....nie pomnę, czy na anatomii, czy na innych zajęciach poznałam Irenkę Umbreit, jesiennie złocistą Siedzieliśmy jak trusie, nieustannie zerkając na to co dookoła, a szczególnie na niemy pusty kamienny stół ustawiony naprzeciwko naszego drewnianego. Niepokoił. To tam miało się dokonać Misterium, myślałam z nabożeństwem. Pierwszy raz widziałam stół sekcyjny.. Pod ścianą gdzie drzwi wejściowe, oraz na ścianie za nami na potężnych regałach rozciągały się rzędy wielkich słoików. W każdym z nich było co innego. Serca, płuca a szczególnie płody w nich zatopione, przerażały... W rogu sali stał milczący dorodny kościotrup... Po chwili wszedł asystent pan Andrzej Kiersz (czy pamiętacie jego późniejsze wejścia gdy w przypiływie dobrego humoru przykładał obie otwarte dłonie do głowy, nieco nimi wachlował i uśmiechając się wesołkowato mówił: „skrzydełka kości klinowej”). Teraz był poważny jako i my i rozpoczęły się zajęcia. Już przedtem zapoznaliśmy się z zawartością atlasu anatomicznego Sinielnikowa i musieliśmy się nauczyć szczegółów budowy kości. Bo najpierw była osteologia. Nasz edukator lub jego pomocnik (nie pomnę), jednym słowem ktoś ważny, wniósł szufladopodobne pudła i poustawiał je przed nami na tym szerokim stole. Dopiero wtedy się domyśliłam, dlaczego jest aż tak szeroki. W pudłach były najprawdziwsze ludzkie kości. A może była to tylko czaszka, bo od niej zaczynaliśmy osteologię. Musieliśmy znajdować to, co pokazywał atlas a więc wszystkie struktury, płaszczyzny, wyrostki kostne, otwory i rowki dla przebiegających tam nerwów i naczyń. Każdy z tych elementów miał swoją nazwę polską i łacińską. Należało i to opanować perfekcyjnie i detalicznie do bólu. Nie zapomnę nawału nauki i męki trudnej do wyobrażenia przedtem bo przeskok z LO był tak wielki, że początkowo wydawał się nie do udźwignięcia. Codziennie musieliśmy opanować wiedzę zawartą w podręczniku Bochenka, codziennie ok. 200 stron. Niektórzy mieli książki, zwane może niesłusznie brykami, gdzie ta wiedza była skondensowana. Ktoś mi pożyczył kompendium wiedzy anatomicznej Krechowieckiego, korzystałam i z tego podręcznika. Jak widzę, jeszcze teraz są wznowienia tej niezwykle cennej książki. Przeżywalismy męki Tantala, ale daliśmy radę... Gdy po raz pierwszy trzymałam czaszkę w dłoni, wydawało mi się, że gdzieś w oddali pobrzmiwa pytanie Hamleta: Być albo nie być... Kiedyś jakimś cudem udało mi się wypożyczyć do domu podobny zestaw kości. Wówczas nie było sztucznych fantomów czy jakiś wizualizacji komputerowych jak teraz. Po prostu wtedy nie było komputerów.... Nie zapomnę uczucia, gdy siedząc w tramwaju kurczowo trzymałam torbę z pudłem, w którym wiozłam kości na bardzo dalekie osiedle Warszawskie, gdzie wynajmowałam małeńki pokój na górze jeszcze niewykończonego domu. W tym mieście, w tym tramwaju i tej torbie miałam szczątki człowieka, który kiedyś się urodził, żył jak każdy i umarł, pewnie bezimiennie. Może gdzieś tam, w zakamarkach jego czaszki został ślad jego radości, smutku. Czułam, że może nawet trzymam fragment jego duszy. Od tej pory ten nieznany mi człowiek, zamieszkał w

moim pokoiku na poddaszu. Już nie byłam tam sama. Ale pęd do wiedzy i przejęcie tym nowym rozdziałem w życiu zacierало łęki a wydobywało tylko chęć poznania i odkrywanie nowych dróg. A ta droga była jasno wytyczona i miała tylko jeden kierunek.- do przodu... **Pierwsza Sekcja.**

Zakończyliśmy naukę o kościach zwaną osteologią. Odpytywano nas codziennie, stawiano oceny jak w szkole. Krok po kroku zaliczałyśmy nawet na wrywyki to o co nas pytano. Na marginesie. Czy pamiętacie słynną „Lodzię”. Chyba była adiunktem. Nazwiska nie pomnę. Była duża, nieco zwalista wielce sroga i sam jej widok wprowadzał człeka w dygot. Zdawałam u niej - nie pomnę dlaczego u niej właśnie kolokwium ze znajomości kości nadgarstka. A była ich jakaś kosmiczna nieomal ilość. Trzymała w dłoni kilka, nakryte to było chusteczką. Należało obmacując rozpoznać jaka to kosteczka i wskazać oraz nazwać jej wszystkie ścianki, wypukłości, guzowatości. Pomimo wewnętrznego dygotu i bliskości oblicza pani adiunkt zdałam całkiem nieźle Ale miało być o sekcji, więc wracam do tematu. Gdy zapowiedziano, że teraz będziemy zdobywać wiedzę o układzie mięśniowym, padł wreszcie ten wyraz, który lękliwie ukrywał się w zakamarkach naszych myśli. „Jutro będą zajęcia sekcyjne”. Jednak nadszedł ten moment. Moment budzący grozę ale i ciekawość. Sekcja, a więc jutro mamy zobaczyć po raz pierwszy zwłoki ludzkie. Tego dnia byliśmy jak nigdy, zjednoczeni wspólnym podniosłym nastrojem. Ucichły zwykłe młodzieńcze wybuchy radości, głośnie rozmowy i nawoływania. Do Anatomicum wchodziliśmy nieomal na palcach i rozmawialiśmy szeptem. A tam panował bardzo intensywny zapach, znacznie silniejszy niż zwykle. Niektórzy odczuwali mdłości, które starannie hamowali. Otworzyły się drzwi naszej sali. Niepewnie zaglądaliśmy z daleka, koncentrując wzrok na zwykle pustym stole sekcyjnym. Tym razem tam leżał człowiek. Był nagi i bezbronny. Ciemnoczerwone i bardzo wychudzone skurczone zwłoki nie przypominały istoty ludzkiej, a raczej chudą rzeźbę, pozbawioną życiodajnych soków i pokrytą brązowo- czerwonym lakierem. W buchających oparach formaliny, nieśmiało, bardzo wolno, zbliżaliśmy się do stołu. Każdy z nas miał skalpel i pęsetę. Nie używaliśmy rękawiczek, może były za drogie, może nie uważano, że są potrzebne. I zaczęły się zajęcia. Najpierw asystent preparował pojedyncze mięśnie, potem każdy z nas wykonywał różne zadania sekcyjne. Wszak już wcześniej wszystko przerobiliśmy teoretycznie, studiując podręczniki i atlasy anatomiczne, więc koncentrowaliśmy się na tej wiedzy i czynnościach, które należało wykonać. I wtedy już odszedł nabożny lęk, zostawiając miejsce na naukowe dociekania.... Gdy opuszczaliśmy gmach Anatomicum, czuliśmy się jak po chrzcie, jak przechodzą marynarze. „Przekroczyliśmy Równik”. Nastąpił ten wyczekiwany moment, dostąpiliśmy największej tajemnicy- spotkania ze śmiercią. I już na pewno staliśmy się studentami AM. Jednak nie wszyscy wytrzymali napięcia i kilka osób zrezygnowało ze studiów. Dobrze, że na tym etapie... **Schody w Anatomicum.** Może to banalne co napiszę teraz, zwłaszcza wobec poprzednich treści. Ale w opowieściach o Anatomicum nie można pominąć wielkiej integracyjnej roli schodów. Od 1965 r. tam nie byłam, więc piszę to, co mam w oczach zapamiętane z tamtych lat. Może ktoś uzupełni, lub sprostuje... Jak już wspomniałam, schody w Anatomicum były monumentalne, dostojne, całe kamienne i przylegały do ściany holu po prawej od wejścia, łagodnie skręcając ku górze. Szeroka, również kamienna poręcz z zaklęśnięciem w środku spływała w dół najpierw dość prosto by na końcu, na wysokości parteru, lekko się zawiąć. Wyślizgana dłońmi, pewnie zawsze spoconymi studentów pierwszego roku AM, zawsze lśniła. Któregoś dnia jeden z kolegów (niestety nie pomnę który- coś mi się wydaje, że Bogdanek Jesiołowski), by rozładować pełne napięcia i powagi przerażające oczekiwanie na „śmiercionośne” zajęcia, siadał na poręczy i zjeżdżał z wielkim szumem, wypadając pupą na posadzkę parteru. Na chwilę było luźniej, atmosfera jaśniała, ale zaraz każdy się pochyłał nad rozłożonym na kolanach Bochenku, czyli podręczniku do Anatomii pod redakcją Pana o tym smakowitym i wonnym nazwisku... Bo my, stłoczeni wielce ciasno obsiadaliśmy wszystkie schody i ciemną masą piętrzyliśmy się w górę. W ostatniej chwili próbowaliśmy sobie wbić do głowy anatomiczną wiedzę, rzadziej gadaliśmy o czymś innym. Większość z nas paliła zwykle tanie cuchnące papierosy, więc otaczała nas nieodłączna, wielce „inspirująca” chmura dymu i smrodu będąca

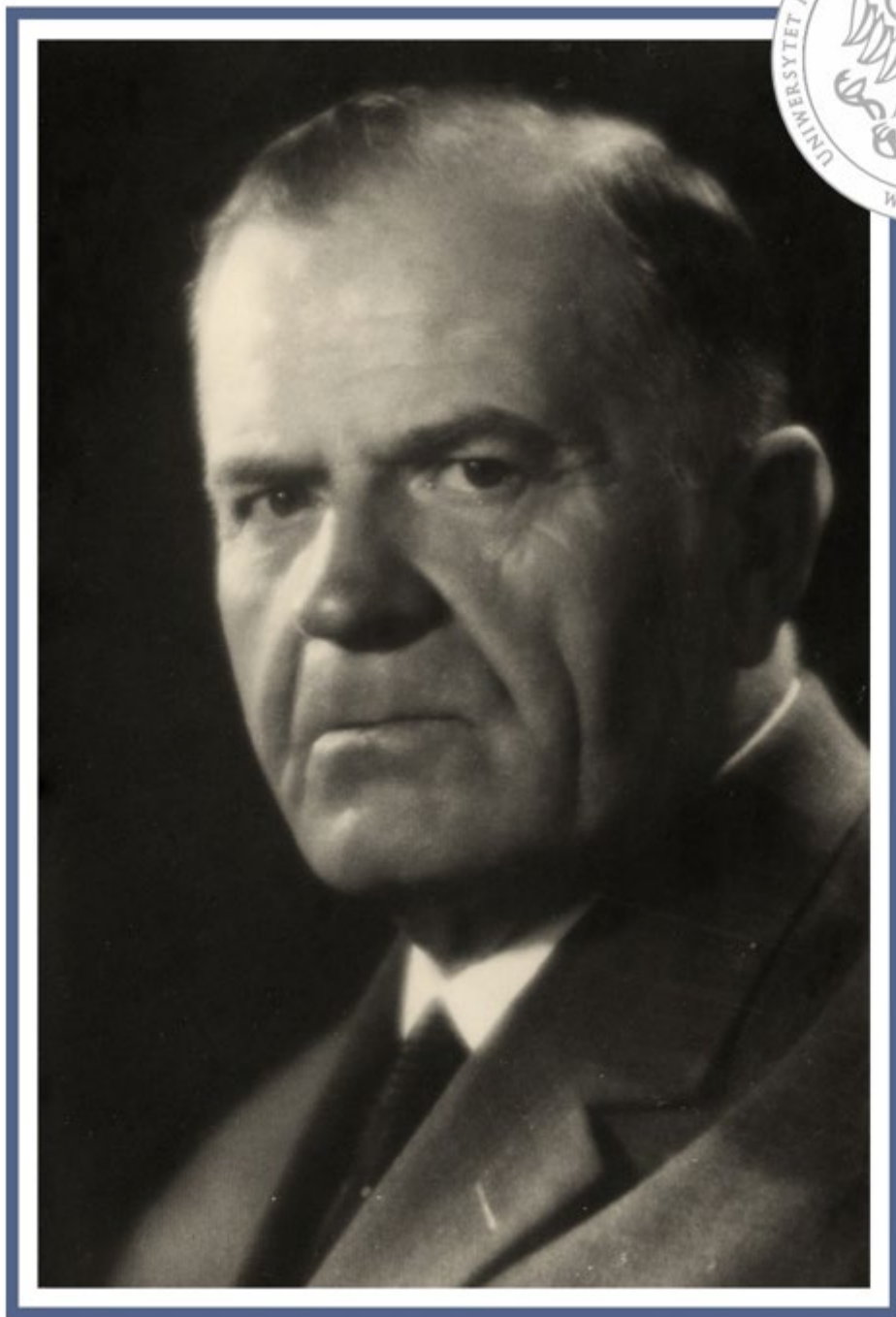
dowodem pełni dorosłości. Zawsze przesiadywałam obok Moniki, bo uczyłyśmy się razem. Do naszych ulubionych miejsc nauki należał też potężny gmach Biblioteki przy Ratajczaka oraz zjawiskowa Palmiarnia. Pomiedzy porannymi wykładami a popołudniowymi ćwiczeniami była luka czasowa, którą wypełniałyśmy, jak pewnie wszyscy inni zakuwaniem w tych miejscach. Obie mieszkaliśmy dość daleko od uczelni, na trasie wspólnego tramwaju, więc powrót do domu w czasie „okienka” był niemożliwy. Więc zmierzałyśmy do tej biblioteki czasem wstępując do baru o mileńkiej nazwie „Kiciuś”. **Egzamin z anatomii.** W czerwcu rozpoczynały się Międzynarodowe Targi Poznańskie i wobec wielkiej liczby gości, konieczne było udostępnienie akademików (w tamtych czasach hoteli było niewiele). Chyba dlatego wszystkie poznańskie uczelnie, nie tylko AM, kończyły zajęcia w maju. I nasz egzamin z anatomii odbywał w tym pięknym kwietnym miesiącu. Niewysoki energiczny człowieczek w białej czapie, którego już widywaliśmy na porannych wykładach, a czasami bardzo rzadko popołudniami, gdy mieliśmy ćwiczenia, na terenie Anatomicum, prof. Kołaczkowski nie budził specjalnego lęku. Wydawał się dobrotliwy nieomal ojcowski. Oznajmił, że możemy skorzystać z propozycji zdawania w terminie zerowym, biorąc udział w konkursie anatomicznym zwanym przepięknie Aurea Scapula [po łacinie: Złota Łopátka]. Pomyślałam, „raz kozie śmierć”, najwyżej nie zdam, mam jeszcze planowy termin. W czasie tego konkursu, m. in. trzeba było pokazać i nazwać jakieś naczynia, struktury czy nerwy na wyjętym z regałowej wysokiej butli sercu, mózgu czy rdzeniu kręgowym. Dokładnie nie pomnę szczegółów, choć jeden z preparatów dotyczył naczyń wieńcowych. To na pewno umiałam, ale coś mi widać nie poszło, pewnie zabrakło mobilizującego stresu i zapomniałam albo po prostu czegoś tam jeszcze nie wiedziałam, bo zdałam na 3. Po przemyśleniu, zdecydowałam jeszcze raz podejść do egzaminu w zwykłym, wyznaczonym już wcześniej terminie. Zdawałam u prof. Józefa Kołaczkowskiego, a może jednak u tzw. „Łodzi” pani docent Leokadii Młynarczyk [W. Woźniak: Assistant Professor Leokadia Młynarczyk, M.D. (1912-1973), *Folia Morphol* (Warsz) 1974;33(3):327-30], potężnej, budzącej grozę i słynnej z oryginalnych kolokwiiów co opisałam wcześniej.



Leokadia Młynarczyk

Ostatecznie anatomię zaliczyłam na 4. Już nie miałam ambicji by były piątki, każda pozytywna ocena w warunkach wyrwania z korzeniami z ciepłego gniazda rodzinnego, brutalnego przesadzenia do poddaszowej zimnej, jeszcze nie wykończonej klitki u obcych ludzi na dalekim osiedlu Warszawskim, samotności nagłej, przeskoku z nauki w LO i ogromu materiału do zapamiętania, każda pozytywna ocena cieszyła..... **Histologia.** Jednym z ciekawych przedmiotów, które przerabialiśmy na pierwszym roku studiów była histologia. To nauka o budowie zdrowych tkanek. Zakład Histologii mieścił się na parterze, w lewym skrzydle gmachu Anatomicum. Podręcznik w porównaniu z siedmioma tomami

anatomii pod red Bochenka, był niewielki, wiedza skondensowana i przystępna. Przygotowano dla nas preparaty mikroskopowe. I w tych szkiełkach był zakłęty dziwny, niewidzialny gołym okiem świat komórek. Komórki każdego narządu człowieka różniły się wyglądem. Na przykład te w tkankach gruczołów były obładowane substancją, które produkował gruczoł. W miarę poznawania tych tajemnic, zachwycaliśmy się Wielkim Budowniczym, który stworzył takie dziwy natury i obdarował je logicznym uporządkowaniem. Po porannych wykładach, następowała kilkugodzinna przerwa przed wieczornymi ćwiczeniami. Ten czas spędzałyśmy różnie. Na tym etapie zawsze z Moniką. Jak już wspominałam uczyłyśmy się w Palmiarni, wdychając urzekające zapachy i nasycając udręczony nauką mózg wonnym tlenem. Czasami jechałyśmy tramwajem do wielkiego monumentalnego gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, gdzie wśród kurzu wydobywającego się z książek, wbijałyśmy łokcie w pulpity ogromnych lakierowanych stołów i zakuwałyśmy. Przed ćwiczeniami z histologii upatrzyłyśmy sobie inne ustronne miejsce. Był to korytarz Zakładu Histologii. I tam w ciszy, siedząc na dużych drewnianych ławkach z wysokimi oparciami, oddychając odpowiednią czysto naukową atmosferą pogrążałyśmy się w lekturze podręcznika. Czasami przemyskał niewysoki człowieczek, o którym krążyła legenda na uczelni. Był to prof. Kazimierz Miętkiewski (mawiano o nim po prostu „Kazio”) kierownik Zakładu.



Kazimierz Miętkiewski

Zawsze się wpatrywałyśmy niedowierzająco, gdyż jak głosiła fama, pewnego dnia w ferworze badań naukowych wyciął sobie jądro, by mieć świeży materiał do dociekań histologicznych. Nie wiadomo, czy to była prawda, ale zawsze widząc Pana Profesora o tym myślałyśmy. Gdy przebiegał obok nas, wstawaliśmy grzecznie, mówiąc „dzień dobry”. Z ręką na sercu mogę przyznać, że nasze zachowanie nie miało żadnego podtekstu. Nie miałyśmy nawet w zamyśle podlizywać się profesorowi. Był tak roztargniony i jakby nieobecny, że nie było nawet cienia szansy, by zapamiętał te gorliwe, pracowite i grzeczne studentki. Ale przyszedł dzień egzaminu. Najpierw asystenci rozdali nam szkiełka z

preparatami. Każdy z nas zasiadł przy przydzielonym mikroskopie, miał określony czas na obejrzenie, rozpoznanie i przygotowanie się do odpowiedzi. Potem zapraszano nas kolejno do wielkiej sali wykładowej, gdzie w głębi siedział maleńki człowieczek. Zbliżaliśmy się uroczyście. I powoli mogliśmy już rozpoznać znajomą twarz profesora. Tym razem na jego twarzy zamiast nieśmiałego uśmiechu gościła mina iście marsowa. Usiadłam przed stołem egzaminacyjnym i wówczas nastąpił cud. Na twarzy Profesora Kazia ukazał się wielki szeroki uśmiech. Aaa to jedna z moich gorliwych studentek. Uśmiechnęłam się, ale w duszy siedział lęk, czy nie jest to podstęp i za chwilę łagodny prof. Kazio zamieni się w ryczącego lwa który poluje na zwierzynę szukającą protekcji. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Egzamin przebiegał w dobrym nastroju obu stron. Na zadawane pytania dotyczące obejrzanych wcześniej preparatów odpowiadałam spokojnie i pewnie. Potem padło jeszcze kilka pytań z całości materiału. Na wszystkie odpowiedziałam. Profesor Kazio wstał, podał mi chłodną i wilgotną rękę i podziękował. I jeszcze dodał, że życzy dalszych sukcesów a teraz z czystym sercem stawia piątkę. Wtedy nie było 6, więc ocena była maksymalnie dobra. Wybiegłam, unosząc swój czerwony indeks z ciężko zapracowaną piątką. W niedługą chwilę potem wyszła z sali Monika, równie zadowolona jak ja. Cieszyliśmy się jak dzieciaki... **Inne przedmioty.** Nie sprawiały problemów. Była to matematyka z elementami statystyki, fizyka, chemia ogólna. Chyba trwały przez pierwsze pół roku, ale nie jestem tego pewna. Wszystkie te przedmioty zaliczyłam na 4 czy piątki nawet. Nie musiałam uczestniczyć w zajęciach lektoratu z języka łaćńskiego, bo ten przedmiot miałam w LO, a uzyskana wtedy ocena bardzo dobra, zwalniała z zajęć na uczelni. Ponieważ mogłam skorzystać z dwuletniej nauki innego, dowolnego języka- wybrałam angielski. Miałam poczucie niedosytu, bo w domu nie przywiązywano wagi do nauki języków za to katowano mnie nauką gry na pianinie co ostatecznie polubiłam gdyż mogłam przelewać na dźwięki nastoletnie emocje. W szkole podstawowej i LO był obowiązkowy rosyjski, w LO dodatkowo łacina. Po latach się dziwiłam, dlaczego Rodzice nie wysyłali mnie na naukę jakiegoś dodatkowego „żywego” języka. Może zmęczeni czasami wojennymi, zmuszeni do życia za tzw. żelazną kurtyną, w Polsce komunistycznej, przestali wierzyć, że po latach przed młodymi otworzą się granice. Więc teraz sama postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce i nie idąc na łatwiznę uczyć się ponownie rosyjskiego, bo takie były możliwości, wybrałam zupełnie mi obcy język – angielski. Z przejściem wkuwałam słówka, zwroty, jakieś elementy gramatyki. Nawet nauczycielka, wielka, szczupła, nieco przygarbiona, z pomarszczoną buzią jak suszona śliwka Pani Pietruszanka (cóż za wspaniała wersja nazwiska - Pietrucha) była zadziwiona postępami i po dwóch latach zdałam egzamin na czwórkę. **Studium wojskowe. Dziurawe wojsko.** Od pierwszego roku studiów obowiązywało nas uczestniczenie w zajęciach wojskowych. Odbływały się w każdą sobotę od rana do godz. 15. Studium Wojskowe mieściło się na poddaszu Collegium Anatomicum. Gdy docierałyśmy do tych pomieszczeń gdzie roznosił się „ożywczy” zapach przepoconych skarpet i wilgotnego sukna, skutecznie zabijający fetor formaliny panujący na pierwszym piętrze, było fajnie i prawie relaksowo. Dodatkową atrakcję stanowili oficerowie-wykładowcy, którzy chyba jeszcze pamiętali szlaki spod Lenino i zaciągali wschodnim akcentem. Najpierw zabrano nas do magazynu z odzieżą. Każda z nas otrzymywała piękne obszerne górą a zwężające się u dołu spodnie, które teraz można by nazwać stale modnymi tzw. cygaretkami, krótką obszerną ale suto marszczoną w pasie bluzę z kieszeniami na piersiach zapinanymi na klapy i brązowe sznurowane skórzane półbuty. Do tego momentu byliśmy skłonne ten ubiór zaakceptować. Całość wyglądała nieźle. Ale o zgrozo, za chwilę wyniesiono naręcza ogromniastych, ciężkich szyneli z wcięciem w pasie i wielkim rozkloszowaniem dołu. Z wielkim trudem dobrałyśmy sobie odpowiedni rozmiar, a mimo tego wyglądałyśmy groteskowo. Wdzięczne wcięcie w pasie maskował szeroki, gruby sztywny skórzany pas. Ale głównym punktem programu były maleńkie naleśnikopodobne zielone, sztywne berety z „antenką”. Tak wystrojone, patrzyłyśmy na siebie pękając ze śmiechu. Bo trudno było płakać, chociaż niechęć i furia nami ciskała. Po pokwitowaniu odbioru ekwipunku odesłano nas do domu. Wyszłyśmy, z trudem dźwigając nasz mundur. Na kolejne zajęcia należało przybyć w pełnym rynsztunku. Słyszymy

przez miasto, uginając się pod ciężarem szynela, który w dodatku wciskał się pomiędzy nogi, utrudniając miarowy krok i ze wstydem, spod naleśników łyptałyśmy na przechodniów. Niestety budziłyśmy ogólne zainteresowanie. Ludziska się uśmiechali promiennie, z podziwem, niektórzy trochę złośliwie i zawsze kilku młodych chłopaków wołało za nami, „o idzie dziurawe wojsko”.... Wlokłyśmy się więc jako te wojskowe ofermy, stukając obcasami i wmawiałyśmy sobie, że powinnyśmy być dumne, bo na żadnej uczelni dziewczyny nie nosiły mundurów, tylko my, medyczki dostąpiłyśmy takiego wyróżnienia. Ale to nie było szczególne pocieszenie... Przez wiele godzin raczono nas wykładami z taktyki oraz szeregiem innych, których na szczęście nie zapamiętałam. Jedynie praktyczne zajęcia z bronią były dość ciekawe. Każda z nas w czasie ćwiczeń otrzymywała KBKS a potem KBK (bo chyba tak nazywały się karabiny i pistolety). Należało dokładnie poznać ich budowę, a następnie uczyłyśmy się samodzielnie rozbierać, składać i ładować tę broń. Jedynie czyszczenia jej było zajęciem obrzydliwym, gdyż używałyśmy jakiegoś paskudnego, tłustego i bardzo lepkiego smaru. I po takich zajęciach z trudem udawało się doczyścić nasze bardzo delikatne dłonie. Poza tym zdobywałyśmy wiedzę o granatach i takich innych wybuchających urządzeniach. No i oczywiście była musztra. Te zajęcia odbywały się na dziedzińcu Anatomicum i tutaj nas też nie oszczędzano. Z uporem ćwiczyłyśmy marsze i jakieś układy w szeregu. Potem dodatkowo były różne figury z bronią: „Na ramię broń, prezentuj broń” etc. Kilkakrotnie wywożono nas na poligon w Ławicy a chyba raz do Biedruska. Tam ćwiczyłyśmy czołganie, nieraz w błocie, z bronią i bez broni. Ale najprzyjemniej było pewnego dnia na poligonie w Biedrusku. Właśnie wstawał bardzo piękny i ciepły pewnie majowy dzień. Poligon był ogromny, wielka pusta przestrzeń wydawała się nieskończona, bo znikwała na horyzoncie. I nagle pełna fantazji wspomniana już Monika Brzezicka „urodziła” przedni pomysł, ja zrozumiałam ją bez słów i radośnie zaakceptowałam. Wypatrzyła jedyną kępę dość gęstych drzew i krzewów. I gdy zbliżyłyśmy się w szyku do tego zagajnika, by go okrążyć, dała sygnał i zgodnie zboczyłyśmy z trasy, nurkując pomiędzy drzewami. A tam był istny raj, zieleń, ptaki specjalnie cudnie nam śpiewały, słońce wyłaziło na niewielką polankę. Nie ociągając się, zdjęłyśmy bluzy zostając jedynie w stanikach i rozłożyłyśmy się wygodnie na trawie. Obudził nas ogromny uogólniony rechot. Gdy się ocknęłyśmy, ujrzałyśmy chłopaków w mundurach, którzy nas wypatrzyli i mieli radochę. Oj, mieli... Z wielkim wstydem ubrałyśmy się pośpiesznie i wyskoczyłyśmy z drugiej strony lasu pędząc prosto w ramiona naszego oficera. Jednak nasze niewinne miny, tłumaczenia niedyspozycją i zawadiackie ale i kokietyjne uśmiechy spod naleśnikowych beretów skutecznie zadziałały. Zmiękło serce nieustraszonego oficera na widok takich dwóch kupek nieszczęścia w ogromnych szynelach i berecikach z antenką. Udało się, darowano nam te wagary. Jednak już nie powtarzałyśmy takich numerów...ale za to było co wspominać... **Lekarstwo na stres...** I jeszcze wspomnienie o czasach z Moniką. Obie miałyśmy rozwichrzoną fantazję i stanowiłyśmy piękny radosny duet. Niewiele dziewczyn z pierwszego roku medycyny potrafiło się wyzwolić spod jarzma stałego zakuwania. A my dość często wyrwałyśmy się w świat, m.in. chodziłyśmy do klubów studenckich. Po zajęciach z anatomii, a więc już ciemnym wieczorem wsiadałyśmy do tramwaju, który nas unosił na piękne wzgórza, gdzie rozłożyło się osiedle studenckie. Był to prawdziwy kampus. To magiczne miejsce nosiło nazwę niezwykłą i dwuznaczną- Winogrady. Wchodziłyśmy do dość obskurnego klubu, który zachęcał znamienną nazwą „Nurt”. I poddając się nurtowi studentów, wpływałyśmy do tętniącego muzyką wnętrza, obładowane ciężkim tomem Bochenka oraz wielkim atlasem anatomii. Czasami bywałyśmy w klubie „Od Nowa” na Rynku Starego Miasta, gdzie już czasami występowała Kryśka Prońko [Krystyna Prońko ur. 14 stycznia 1947 w Gorzowie Wielkopolskim) – polska piosenkarka i wokalistka jazzowa, kompozytorka, wydawca i pedagog muzyczny. Honorowy Obywatel Gorzowa Wielkopolskiego] – moja gorzowska szkolna koleżanka. Podręczniki do anatomii nazywane przez nas pieszczotliwie „Bochenki” zalegały gdzieś na parapecie a my wpadałyśmy w wir zabawy... Na tle koleżanek z Uniwersytetu wypadałyśmy nieatrakcyjnie i blado. One miały długie, czerwone paznokcie. My krótko obcięte, gdyż asystent z anatomii tak zalecał. Mówił, czy chcecie by ktoś, kto

was całuje po rękach wyjadał resztki trupa spod paznokci. Raczej było to niemożliwe, ale kto wie, wszak wykonywałyśmy sekcje nie używając rękawic. I pomimo tego, że nikt nas po rękach nie całował, na wszelki wypadek obcinałyśmy paznokcie do granicy opuszków palców... Potem gorączkowo łapałyśmy piękne chwile, bo byłyśmy bardzo młode, spragnione poznawania życia ale już doświadczone dotykiem ciał nieżywych i te kluby, tańce, muzyka były dla nas jakby antidotum na traumę związaną z zajęciami anatomii czy biologii.... Wtedy jeszcze był zwyczaj tańca w parach. Więc kołysałyśmy się przy cudnej muzyce. Zapamiętałam tylko Niemena bo właśnie wschodził i do dziś mi śpiewa: „ Pod papugami” albo „ Bo czas jak rzeka” A kiedyś się dowiedziałam, że mam oczy jak dwa jeziora... **I jeszcze o czasach spędzanych z Moniką.** Mijały kolejne dni i miesiące studiów, a my kipiałyśmy młodzieńczą energią. Poza zakuwaniem i wykradaniem czasu na wieczorne tańce chciałyśmy czegoś więcej. I wówczas zrozumiłyśmy, że pragniemy chwil prawdziwej wolności. I nagle do którejś z nas przyszedł pomysł wyjazdu nad morze. Przecież tak dawno nie widziałyśmy morza. Postanowiłyśmy pojechać do Świnoujścia. Był późny listopad. W sobotni wieczór okutane w kilka swetrów i ciepłe kurtki spotkałyśmy się na poznańskim dworcu i wsiadłyśmy do nocnego pociągu. Miarowy turkot kół oddalał nas od Poznania a wszystkie codzienne problemy wtapiały się w zamglone tło. A ja dodatkowo rozkoszowałam się jazdą pociągiem, bo od dzieciństwa uwielbiałam takie podróżowanie. I to pozostało we mnie do tej pory. Ok. 4 nad ranem miałyśmy przesiadkę w Szczecin Dąbie. Pilnowałyśmy, by nie zapaść.. Wprawdzie już miałyśmy trening nocnego czuwania, gdyż wielokrotnie budziłyśmy się o tej porze, leżąc na otwartym podręczniku do anatomii. Za oknem było czarno, tylko w nikłym świetle połyskiwał pusty peron. Jednak po chwili zauważyłyśmy wielkie stada kotów. Niektóre smacznie spały na ławkach, inne wybudzone hałasem nadjeżdżającego pociągu, leniwie się przeciągały. Gdy po paru miesiącach ponownie jechałyśmy do Świnoujścia naszym nocnym pociągiem, mówiłyśmy - o, już widzimy koty, więc to na pewno Szczecin Dąbie. O świcie witało nas Świnoujście. Było cudnie. Miasto jeszcze spało, ulice były puste, wiatr hulał pomiędzy drzewami, nigdzie żywej duszy. Wstąpiłyśmy do hoteliku przy przystani promowej, gdzie poprosiłyśmy o umożliwienie skorzystania z łazienki. Personel był przesympatyczny. Widocznie przyzwyczajony do wizyt niespodziewanych gości. Wszak było to miasto portowe, miasto przystań dla różnych rozbitków życiowych. Nawet ofiarowano nam niewielkie śniadanie, oczywiście za skromną opłatą. Umyte i pożywione poszłyśmy na spotkanie z morzem. A ono na nas czekało. Nagle otwierało się szumne nieodgadnione i wypełniające horyzont. Usiadłyśmy na wymytych do białości umarłych konarach drzew mieszkających na plaży potem przeniosłyśmy się na moło i patrzyłyśmy patrzyłyśmy w szarobłękitny falisty bezmiar. Tam topiłyśmy swoje marzenia, brudy codziennego studenckiego życia, wszystkie lęki i przeżycia sekcyjne, ładowałyśmy akumulatory, by dalej żyć normalnie. Było pięknie i czysto. Na plaży spędzałyśmy czas od świtu do późnego popołudnia. Wieczorem wsiadałyśmy na prom, potem do pociągu nocnego. Rano wysiadałyśmy na dworcu w Poznaniu i bezpośrednio z dworca szłyśmy na wykłady. Koledzy, patrząc na nasze „zmarnowane” oblicza, pytali, gdzie balowałyśmy przez ostatnie noce. Nie odpowiadałyśmy. Milczałyśmy patrząc na siebie porozumiewawczo. W oczach Moniki widziałam bezkres naszego morza.... **Co się jeszcze działo na pierwszym roku.** Opisawszy nasze przygody z Moniką nie sposób pominąć innych mniej lub bardziej poważnych rozrywek, bo młodość miała swoje prawa. Najpiękniejszy był moment, gdy po zajęciach opuszczaliśmy uczelniane mury. Niestety działo się to zwykle po godzinie 20, gdyż tak długo trwały ćwiczenia na anatomii. Jednak chyba czasami zdarzało się to nieco wcześniej, bo gnaliśmy całą grupą z Kajtkiem Petrykowskim i Leszkiem Milanowskim na czele do Auli Uniwersyteckiej która była jednocześnie filharmonią. To oni byli w tym temacie prowodyrami, znali się na muzyce, rozumieli ją i lubili. Porywali nas swoim entuzjazmem i radością życia. Nie wiem czy ludzie, wytworni poznaniacy zajmujący miejsca obok nas wytrzymywali fetor, który wydzielaliśmy, przenosząc go z Anatomicum. Może tak nie było a tylko sobie tak wyobrażam. Potem już nie byłam w tym miejscu. Do tej pory, gdy widuję w TV tę przecudną salę (najczęściej w czasie Konkursu Wieniawskiego), wstrzymuję oddech z

zachwytu i widzę tam nas, stłoczonych gdzie na balkonie, wiwatujących a potem pędzących za Kajtkiem za kulisy po autografy sław muzycznych, które właśnie wystąpiły. A gdy jeszcze teraz gra z takim samym temperamentem Marta Argerich to nie widzę tej siwowłosej wprawdzie urodziwej jak niegdyś pani, ale tę młodzieńką, z czarną burzą na głowie, która wystąpiła w Poznaniu tuż po zdobyciu I nagrody w Konkursie Chopinowskim. Widzę ją, taką jak wtedy, samotną na estradzie z energią która nas zniewalała. Gdzieś jeszcze mam program z tego koncertu z Jej, tej Wielkiej autografem. I dziękuję Wam, chłopaki. A szczególnie Kajtkowi, który dawno zamieszkał gdzie indziej, co dla nas ziemskich pędraków wydaje się niemożliwe. Jak to Kajtek odszedł? Niestety. Ale dopóki my żyjemy i nie znikną zapisane tu słowa, Kajtek jest wśród nas. Taki sam energetyczny, pełen pomysłów z głową nabitą wiedzą nie tylko medyczną. A czy pamiętacie naszego „Kiciusia”? Już o nim wspomniałam, ale muszę jeszcze raz do niego wrócić. Z wielkim rozrzewnieniem znalazłam go po 40 latach w tym samym miejscu, tylko już nie ma ulicy Armii Czerwonej jak wtedy a jest św. Marcina. Nie ma to jak poznaniacy tradycjonałści, może będą dalej go pielęgnować i ochraniać przed typowym czasem „zdmuchiwania” obiektów do których ludzie się przywiązali co ma wpływ na ich zdrowie psychiczne. Ale jak na razie jest ok. To do „Kiciusia”, chyba jedynego wtedy i pierwszego w Poznaniu koktajlbaru (o innych nie słyszałam), wpadaliśmy z hałasem, pewnością siebie, my medycy, a może tylko my studenci, a może tylko my, których rozsada młodość. I cóż się dziwić rozradowanej współczesnej młodzieży. Byliśmy tacy sami, no może prawie tacy sami. Zajmowaliśmy kilka stolików, głośno rozprawiając, rozbawieni, szczęśliwi młodością i urodą życia, sączyliśmy koktajle owocowe, których cena była na naszą studencką kieszeń dostępna. Pyszne czasy w pysznym Kiciusiu. Niech żyje nasz Kiciuś!!! A w Poznaniu tyle się wtedy działo. Właśnie niedawno się narodził Polski Teatr Tańca. Jego niezapomniany twórca tancerz niezwykle Conrad Drzewiecki, Teresa Kujawa o dość masywnych udach, która z zadziwiającą lekkością piórka wyczyniała cuda taneczne. Niezapomniane różne w klimatach „Trzy balety” (pamiętam tylko środkowy – Joseph-Maurice Ravel [1875-1937] i jego Boléro), potem „Ognisty ptak”. Dopiero po 40 latach odwiedziłam Poznań, nie tylko odnalazłam Kociaka czyli naszego „Kiciusia”, ale powędrowałam zwyczajowo pod Operę. Gdy na plakacie przeczytałam aktualny program, osłupiałam. Dokładnie w tym dniu „dawano” „Trzy balety”, dokładnie te same jakie oglądałam w 1965 roku (na pewno był Ravel). Czyż nie było to niezwykle. Otrzymać taki dar od miasta które kiedyś pokochałam miłością pierwszą. Oczywiście byłam, nie wychodząc z podziwu dla tej trudnej sztuki baletowej, zbiegu okoliczności i uroku Opery. A taniec uwielbiałam jako dorastająca pannica, często płażałam, po latach mogę powiedzieć, że Isadorę Duncan naśladowałam, o której oczywiście wtedy nie miałam pojęcia. Ale w Poznaniu zakochałam się w balecie dojrzałą miłością, taką na całe życie. Gdy byłam w Operze Poznańskiej po 40 latach od tamtego, już nie „odnalazłam” Moniki ani żadnego z kolegów, być może bywałam wtedy tam sama jak w teatrze Nowym?, kiedy się rozsiadałam w łóży po lewej stronie patrząc od widowni, a w przerwie wyciągałam zeszyty i zakuwałam... I jeszcze przyszło do mnie jedno wspomnienie. Tereny nad Maltą. Nawet nie chciałabym być tam teraz, bo już nie ma naszej kwietnej bardzo pachnącej łąki, na zboczu spływającym do jeziora, gdzie leżałyśmy z Moniką, z książkami, popalając bardzo dorośle płaskie oczywiście bezfiltrowe „Dukaty” - pamiętam jakby to było wczoraj i zakuwałyśmy... nie ma już tamtej naszej Malty i nie ma nas... Ale jest nadal Poznań, taki jak kiedyś, pachnący rogalami świętomarcińskimi, cały pachnący, do szpiku kości, do najmniejszej peryferyjnej uliczki. Kupowało się ich dużo, bo ponoć w którymś miał być zatopiony los... potem już nigdy takich nie jadłam. Pozostało tamto wspomnienie i mój syn Marcinem nazwany, bo Poznań... **Praktyka po pierwszym roku studiów.** Po pierwszym roku studiów mieliśmy odbyć obowiązkowe miesięczne praktyki w szpitalu. Zostałam skierowana do Kliniki Chirurgii, którą prowadził słynny wtedy Pan Profesor Roman Drews.



Roman Drews

Do tej pory nie mieliśmy zajęć w klinikach, więc z namaszczeniem przekraczaliśmy bramę, przez którą wchodziło się do innego świata. Na dużym terenie rozlokowane były pawilony o ciekawej monumentalnej, jak zresztą cały stary Poznań, architekturze. A za drzwiami Kliniki Chirurgii otwierało się nasze przyszłe medyczne życie. Po krótkim powitaniu w zespole lekarzy, zesłano nas do dyżurki pielęgniarskiej i odtąd zarządzała nami siostra oddziałowa. Mieliśmy wykonywać pracę salowych, ale również zapewniano, że nauczymy się wykonywania zastrzyków. I najważniejsze, oficjalnie pozwolono nam w wolnych chwilach uzgodnionych z pielęgniarkami, zaglądać na blok operacyjny i przypatrywać się pracy zespołów chirurgicznych. Wybierałyśmy co ciekawsze operacje. Obejrzałam mnóstwo zabiegów wykonywanych na otwartym brzuchu. Tam wreszcie zobaczyłam, jak przydatna

może być wkuwana wiedza z anatomii. Byliśmy dumni i szczęśliwi. Kiedyś przywieziono niedosłatego samobójcę. W pijanym „widzie”, przeciął sobie nadgarstki, ale zaczynał od części grzbietowej, więc działał nieskutecznie. Jego dłonie zwisały smętnie utrzymując się jedynie na strzępkach stawów i kościach, które wyraźnie białały w ranie. Widok był przerażający. Wydawało się, że pacjent nie ma szans i utraci obie dłonie. Tkwił na bloku, obserwując działania lekarzy. A tymczasem przez wiele godzin dwa zespoły chirurgów, jeden przy lewej a drugi przy prawej ręce pacjenta, rekonstruowały uszkodzone mięśnie, ścięgna, naczynia. Niebawem po operacji, chory już trzeźwy i przerażony tym co zrobił, podniósł rękę i poruszył palcami. To dopiero była radość. Cieszył się cały zespół operatorów. Udało się. Czy pacjent nie ponowił próby, nie wiem, ale tym razem dłonie miał uratowane! Podziwiałam kunszt i cierpliwość zawodową oraz tolerancję lekarzy dla takich nieszczęśników. Przecież ten chory sam sobie zawinił, a nikt nie miał do niego pretensji. Może po wyzdrowieniu coś do niego dotarło, może nie... Kiedyś zajrzeliśmy na blok operacyjny neurochirurgii. W odróżnieniu od dość hałaśliwej sali operacyjnej chirurgii ogólnej, tutaj panowała przeraźliwa cisza. Na stole leżał pacjent z obnażoną czaszką a u wezgowia nieomal nieruchomo siedział neurochirurg. Wyglądał jak przybysz z dalekiej nieznanej planety, w zielonej czapce i dziwnymi okularami na nosie. Zamiast zwykłych szkieł, okulary posiadały jakby lunety. Lekarz był sam, nie widać było asysty, i skupiony dłużył w mózgu. Niewiele widzieliśmy, bo pole operacyjne było bardzo małe. I dlatego wkrótce nam się znudziło obserwowanie tej operacji. Wróciliśmy na naszą chirurgię ogólną, gdzie zawsze dużo się działo. Operacje, wszystkie ciekawe, odbywały się równolegle na dwóch salach i zawsze mieliśmy trudny wybór, na której sali pozostać. A tam wykonywano zda się proste zabiegi jak: usunięcia zropiałego wyrostka robaczkowego, resekcje żołądka, jelit, wycinanie pęcherzyka żółciowego. Widząc skuteczność, prawie natychmiastową, takiego działania lekarskiego, nieomal wszyscy zapalaliśmy namiętnością do chirurgii. Każdy sobie wyobrażał, że kiedyś też zostanie bardzo sprawnym zabiegowcem. Miałam wątpliwości, czy dam radę, czy np. nie zadrży mi ręka w nieodpowiednim momencie. Tak więc po pewnym dość długim czasie wyleczyłam się z myśli wybrania takiej specjalności. Nie da się ukryć, że łatwiej było zrezygnować z tej chirurgicznej namiętności, po obejrzeniu amputacji nogi. To chyba jeden z najbardziej przerażających zabiegów. Nacinanie tkanek miękkich nie robiło na nas specjalnego wrażenia, ale gdy pokazała się kość i chirurg rozpoczął długie piłowanie poczuliśmy się nieswojo. A potem jeszcze okropny obraz obciętej nogi, którą chirurg podawał pielęgniarce. Nikt z nas nie zemdłał, ale wyszliśmy pod dużym wrażeniem. Na ranę kikuta już wówczas zakładano opatrunek gipsowy ze sztucznie wymodelowaną nogą, który umożliwiał wczesne uruchomienie pacjenta i podobno zmniejszał częstość bólów fantomowych. To zadziwiający rodzaj bólu- pacjent długo po amputacji ma wrażenie, że boli go cała noga, nawet ten odcięty fragment. Do tej pory mam przed oczami ten blok operacyjny, układ drzwi wejściowych, stołu, wielkiej lampy nad nim i tę nieszczęsną samotną obciętą nogę. **Nasze podstawowe obowiązki na tej praktyce.** Odurzeni wrażeniami z bloku operacyjnego, wracaliśmy do swoich podstawowych obowiązków. Należało jeszcze raz prześcielić łóżka pacjentów, bo po naszym porannym ścieleniu nie został nawet ślad. Prześcieradła były już zmięte, brudne i zwykle zakrwawione oraz pokryte różnymi barwnymi wydzielinami i wydaliniami. Już na początku praktyki nauczono nas, jak zmieniać leżącym pacjentom prześcieradła, by nie powodować bólu, ale także specjalnie je podwijać pod materac, by żadna fałdka nie uciskała jego pleców. Przejmowaliśmy się naszymi chorymi, współczuliśmy gdy długo przebywali w szpitalu i bardzo cierpieli. I dlatego wszystkie zalecenia wykonywaliśmy z przejęciem i sumiennie. Większość pacjentów to doceniało i niektórzy nawet nam dziękowali. Trudno nie wspomnieć o jeszcze jednym obowiązku. Musieliśmy umiejętnie, by nie uszkodzić jakiejś części pacjenta, podkładać pod jego pupę basen. Łatwiej było obsługiwać tzw. kaczkę. Potem należało wymyć odpowiednią część ciała chorego a następnie wynieść naczynie wypełnione znaną wszystkim treścią. To zajęcie nie należało do najprzyjemniejszych, zwłaszcza gdy wypróżnienia były efektem lewatywy. Nie zapomnę długiej drogi do łazienki, którą należało przebyć ze zwykle bardzo ciężkim basenem, dobrze, że

posiadał przykrywkę. Nawet nie muszę zamykać oczu, by przypomnieć rozkład sal pacjentów, korytarza oraz miejsce naszej dalszej męki- drzwi do toalety. Bo za tymi drzwiami była miska klozetowa, do której wylewaliśmy cuchnącą zawartość. Koledzy opowiadali, że zwykle w czasie wykonywania tej czynności wymiotowali, ja należałam do grupy, której się udało zahamować powracające fale mdłości. Miesiąc praktyki minął jak jedna chwila. Pożegnaliśmy naszych chorych, klinikę, dziękowaliśmy pielęgniarkom za nauki, których nam udzielały i z nadzieją, że chyba możemy być lekarzami i pracować w szpitalu pojechaliśmy do swoich domów. Tam czekała Mama, ze swoimi opowieściami rodzinnymi, a ja chętnie słuchałam, zapominając o przebytych kolejnych chrycie medycznym... **Zielone słuchawki...** Wrażenia z czasów tej praktyki były tak silne, że zostały we mnie trwałe, stale świeży ślad. Do tej pory wspominam jedną pacjentkę, która była kobietą niezwykłą. Opiekowałam się całą salą, ale ta jedna Osoba była szczególna. Gdy codziennie wczesnym porankiem wchodziłam do sali mówiąc ogólnie dzień dobry, tylko Ona witała mnie promiennym uśmiechem i dobrym słowem. Kiedy obciąłam włosy, od razu zauważyła i doradzała, żebym wróciła do poprzedniej fryzury, bo jest dla mnie najlepsza. Jak dobrze zapamiętałam tę salę, miejsce po prawej stronie od wejścia, gdzie stało Jej łóżko. Pani nie mogła wstawać, ba, nawet nie przewracała się na boki, stale leżała nieruchomo na wznak. Jej łóżko prześcielały pielęgniarki. Nie wiedziałam dlaczego. Ale kiedyś poprosiła mnie, żebym jej zmieniła opatrunek, bo bardzo cierpi. Pobiełam do pielęgniarek z pytaniem, czy mogę. Otrzymałam wielki pakiet jałowej gazy i przystąpiłam do dzieła. Gdy podniosłam kołdrę, zobaczyłam na brzuchu chorej, luźno leżącą przesiąkniętą ropą i krwią cuchnącą gazą. Wcześniej pielęgniarki mnie pouczyły, że należy tylko ją zdjąć i położyć nową. Gdy uniosłam opatrunek, z przerażeniem zobaczyłam całkowicie otwarty brzuch z widocznymi pętlami jelit, pomiędzy którymi znajdowała się ropa przemieszana z kałem. Z ogromnym trudem zapanowałam nad mimiką, by nie pokazać przerażenia. Spokojnie położyłam na to miejsce świeżą gazę i przykryłam kołdrą. Po chwili Pani pięknie podziękowała, jak zawsze spokojna, łagodna i uśmiechnięta. Potem zapytałam lekarza o jej stan i dowiedziałam się, że ma rozsiany proces nowotworowy, jest po bezskutecznej operacji, w dodatku powikłanej ewentracją i stanem zapalnym. I dodał, że lekarze nie widzą szans na przeżycie. Gdy po miesiącu praktyki żegnałam się z Nią, jeszcze żyła. Odeszłam z nadzieją, że może jednak zdarzy się cud. Przecież cuda się zdarzają. Ona musiała wierzyć w cuda, bo gdy przychodziłam do niej rano, by zapytać jak się czuje i zmierzyć ciśnienie, zawsze się uśmiechała i mówiła: o jak dobrze, że panią widzę, pani ma zielone słuchawki, a zieleń to nadzieja. Faktycznie miałam stary stetoskop który otrzymałam od wspomnianego już kiedyś dr Kaczmarka z Gorzowa. To były słuchawki z zielonymi gumowymi przewodami!!! Po kilku dniach znajomości powiedziała, że jest pracownikiem Uniwersytetu, dantologiem. I zaraz spytała czy wiem, kim był Dante. Odpowiedziałam- tak Dante Alighieri, XIII wieczny poeta i filozof. Ale w duchu pomyślałam - mój Boże, Dante, to przecież autor poematu zatytułowanego „Boska Komedia”, który składa się z trzech ksiąg o nazwach: „Piekło, Czyściec i Raj”. I nagle sobie uświadomiłam, że wędruję po prawdziwym piekle, bo dookoła rozgrywa się tak wiele dantejskich scen. A ta Kobieta znajduje się w epicentrum swojego życiowego piekła, ale pewnie już widzi drzwi do kolejnej księgi zatytułowanej „raj”, bo się uśmiecha... Od tej pory miałam już tyle innych słuchawek, ale stale widzę tamte, zielone. I wyobrażam sobie moją Pacjentkę, która wyzwolona z ziemskich cierpień spaceruje z Dantem po zielonych rajskich pastwiskach... **Drugi rok studiów.** Po bujnym, trochę szalonym i przeżytym jakby na granicy snu i jawy pierwszym roku studiów, przyszła normalność. Byliśmy już na drugim roku medycznej edukacji. Czuliśmy rytm studiowania, systematycznej nauki i powoli uzyskiwaliśmy pewność, że damy radę. Spotkaliśmy się w mniejszym gronie, bo jedna koleżanka nie zdała egzaminów i nie mogąc powtarzać roku, musiała odejść. Inny kolega zrezygnował ze studiów na Akademii Medycznej, pomimo zdanych egzaminów, bo nie wytrzymał psychicznie. I dobrze, że zorientował się w miarę wcześniej i pewnie nie żałował decyzji. Tak jak na pierwszym roku, dwa razy w tygodniu o 6 rano wychodziłam na pływalnię, co pozwalało na zachowanie równowagi fizycznej i wyrównanie emocji. Potem maszerowałam na

wykłady. Moje zapiski tego, co na wykładzie były w miarę czytelne, no, może w miarę ☺ ale co pewien czas z równej linii liter wypływała w dół nieomal prosta krecha a potem wszystko wracało na swoje miejsce. To były ślady wędrówki długopisu, mojej omdlewającej ręki w czasie, gdy zasypiałam na wykładzie. Ten swoisty wykres mówił, że sen jednak nie trwał długo, szybko wracałam do pionu. Jakże szkoda, że nie zachowały się moje ówczesne zeszyty z tymi notatkami... Poza tym grałam w koszykówkę, którą uwielbiałam od czasów licealnych. Tu muszę przyznać, że namawiał mnie kolega z Sali anatomicznej - Jerzy T. Marcinkowski - bym się zajmowała tym sportem, sam trenował szermierkę. W rezultacie biegałam, kozłowałam, rzucałam do kosza i nawet należałam do zespołu reprezentacyjnego uczelni. Mądry był to chłopak, a przecież taki młody. Potrafił kierować dziewczyną i to kierować mądrze. Jednak nasze drogi bardzo szybko się rozeszły, ale wspominam ten czas mile. Z Jerzym bywaliśmy w Zakładzie Medycyny Sądowej AM, bo jego ojciec był tam docentem i czasami dawał nam różne zadania. Na przykład uporczywie, przez wiele tygodni ocenialiśmy wygląd kropli krwi, która zrzucaliśmy z różnej wysokości i pod różnym kątem. Niewielką ilość krwi otrzymywaliśmy z zaprzyjaźnionego laboratorium, w szybkim tempie przynosiliśmy do Zakładu, który znajdował się na parterze Anatomicum i natychmiast przystępowaliśmy do doświadczeń. Następnie wykonywaliśmy doświadczenie, mierzyliśmy, rejestrowaliśmy wszystkie parametry i wykonywaliśmy serie zdjęć. Mam nadzieję, że nasze obserwacje komuś się przydały. Po dekadach się dowiedziałam, że wyniki naszej pracy (choć mojej bezimiennej) zawarto w książce: Marcinkowski Tadeusz: „Dowody rzeczowe w praktyce sądowo-lekarskiej – Ślady krwi” (PZWL, Warszawa 1968).

Starsza od Moniki Brzezickiej, jej siostra, Basia właśnie rozpoczęła zajęcia na psychiatrii. Któregoś dnia zaproponowała, że nas przemyci na salę wykładową. Na każdym roku było ponad 100 osób, więc możliwa była anonimowość. Onieśmielone wysłuchaliśmy wielu wykładów i od tej pory zakochałyśmy się w psychiatrii. U mnie ten zachwyt przetrwał przez wiele lat, właściwie do końca studiów.

Zajęcia drugiego roku studiów nie były szczególnie emocjonujące, niewiele zapamiętałam z edukacji w tym okresie. Egzaminy zdałam poprawnie. **Zamieszkałam z Bajką.** Na opisanym powyżej II roku studiów mieszkaliśmy z Bajką. Jak dobrze, że pani, u której wynajmowałam na I roku niewykończony jeszcze pokój na poddaszu, zechciała tam ulokować swoją krewniaczkę, która przyjechała do Poznania na studia. Ciężko mi samotność na tym Osiedlu Warszawskim, położonym bardzo daleko od centrum. Od ostatniej pętli tramwajowej musiałam dość długo wędrować niewielkimi uliczkami. Tam już prawie „diabeł mówi dobranoc”, chociaż na szczęście nigdy go nie spotkałam. A w pokoiku na górze czekał na mnie tylko jedyny towarzysz niedoli i niemy świadek zakuwania- szczątkowy kościotrup. W tym czasie skontaktowałam się z dawną przyjaciółką z gorzowskiego podwórka, Bajką. Właśnie dostała się na wydział biologii Uniwersytetu Poznańskiego, miała ciocię w Poznaniu i zaoferowała mi wspólne zamieszkanie. Bardzo się ucieszyłam, bo byłam towarzyską i lubiłam Bajkę. I od tej pory jeździłam tramwajem na Junikowo, wysiadałam przy cmentarzu, nigdy nie czując lęku. W domku cioci było miło, zawsze nas witał kręcąc zabawnie kuprem pies, bokser o imieniu Bary. Po zajęciach, Bajka przesiadywała w dużym fotelu z ulubionymi orzechami laskowymi w czekoladzie i rozłożoną książką. Zakuwała straszliwie, nasza anatomia wydawała się pestką przy systematyce roślin. Ja wymykałam się na długie marszobiegi z Jurkiem Marcinkowskim, który mieszkał niedaleko i jak już wspominałam, był moim kolegą z grupy. Gnaliśmy przez cudne lasy aż do Rokietnicy czy Kiekrza, w obie strony pieszo. Po powrocie zastawałam Bajkę wprawdzie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawiałam, ale pograżoną w smacznym śnie. Systematyka roślin, którą przerabiała na I roku biologii była powalająca. Ja wypoczęta i zrelaksowana oraz napełniona świeżym leśnym powietrzem, zwałałam się do łóżka, nie zapominając jednak o tym, by nastawić budzik na godz. 3 i zasypiałam snem kamiennym. Budziłam się bez problemów, uczyłam się intensywnie do 5, potem nastawiałam budzik na 6. I zasypiałam ponownie. Gdy wstawałam o 6, czułam, że się przespałam z wiedzą, więc

została ona ugruntowana i dobrze zachowana. Taki system nauki zdawał egzamin, co się wyrażało w niezłych ocenach i przetrwał do lat, kiedy się uczyłam do egzaminów specjalizacyjnych... **Juwenalia.** Któregoś dnia postanowiliśmy z Bajką wziąć udział w Juwenaliach. Kusiło nas, by obejrzeć rozbawione, pełne studentów miasto. Niezawodna ciocia Bajeczki wydobyła z szafy jakieś ciuchy i pomogła w przebieraniu. Zostało to utrwalone na zdjęciach, które przechowuję w wielkim pudle. Ja byłam wysoka, Bajka niższa. Przebrałyśmy się - ja za damę ze spalonego teatru w wielkim kapeluszu, a Bajka za jej partnera w meloniku. Jedyną wadą stroju Bajki, czego nie przewidziałyśmy, było to, że zmieniłyśmy jej płeć. Gdy na rozbawionych ulicach chłopaki porywały nas do tańca, omijały Bajkę, niby mężczyznę, szerokim łukiem. Ale gdy to zauważyłam, szybko zlikwidowałyśmy jej przylepiony wąsik i męski kapelusz. I od tej pory Bajka ze swoją bardzo kobiecą urodą rozpromieniona i radosna miała powodzenie i zabawa trwała oj miłe ulotne chwile ... **Praktyka po drugim roku studiów.** Po drugim roku zgodnie z zaleceniem uczelni odbyłam miesięczną praktykę w laboratorium poznańskim chyba przy Ratajczaka, ale po przeciwnej stronie ulicy Św. Marcina niż nasza biblioteka. Mój Boże, jak dobrze ją pamiętam, nawet jej zapach. Do naszych obowiązków należało mycie szkła laboratoryjnego, tzw. pipetowanie surowicy i wykonywanie pod nadzorem różnych badań, najczęściej moczu. Pipetowanie odbywało się przy użyciu szklanej rurki, którą należało napełnić do określonego poziomu surowicą znad skrzepłej krwi i przenieść w ten sposób materiał do probówek, gdzie odbywały się dalsze badania. Nie było pipet automatycznych, ani nawet zaopatrzonych w gumową pompkę. Więc tradycyjną metodą wkładałyśmy końcówkę rurki do ust, wsysałyśmy płyn do zaznaczonego poziomu w rurce, zatykałyśmy palcem końcówkę, którą przedtem trzymałyśmy w ustach i nad pustą probówką odsuwałyśmy palec, a wtedy zawartość wypływała pod ciśnieniem powietrza. Przy niedokładnym lub zbyt energicznym wsysaniu, można było poczuć surowicę w ustach. Zdarzyło mi się to parokrotnie, ale, podobnie jak większość kolegów, zupełnie nie myślałam o możliwości zakażenia jakimiś wirusami obecnymi w tej surowicy. Wtedy chyba nie wykonywano żadnych badań w tym kierunku, a o wielu wirusach nikt nie miał pojęcia. Po praktyce spędziłam piękne dwa tygodnie w Jedlinie Zdroju, na zaproszenie ulubionej mojej przybranej Cioci **Mieszkanie jak w kołchozie, na III roku studiów i katar.** Po drugim roku medycyny ciocia Bajki uznała, że pokoi, który zajmowałyśmy, może wynająć robotnikom uzyskując znacznie większy czynsz. Bajka zdecydowała się na zamieszkanie w akademiku. A mnie zaprosiła koleżanka z grupy, Marylka Durkiewicz do swojego lokum przy ul. Siewierskiej. Oczywiście Marylka nie była właścicielem domu, ale mnie zachęcała i zaprotegowała. Mieszkałyśmy na pięterku, w pokoju, gdzie znajdowały się 4 metalowe łóżka i niewielkie biurko. Dodatkowym „walorem” tego pokoju, był fakt, że stanowił przejście do kolejnego dwuosobowego. Tak więc mieszkaliśmy tam razem ze mną 6 dziewczyn. Dla dopełnienia tych „komfortowych” warunków miałyśmy do dyspozycji łazienkę z wielką wanną. Na szczęście z kranów zwykle płynęła zimna woda, więc nie musiałyśmy czekać w długiej kolejce. Na Siewierskiej czułam się bardzo dobrze, bo uwielbiałam takie życie, nieomal zbliżone do kołchozowego bo przypominało mi słodkie czasy kolonijne. Urzędowałyśmy jak na tratwach, siedząc na swoich łóżkach, zawałonych książkami i zakuwałyśmy. Jako, że dobiłam do owego „okrętu jako ostatni majtek”, przydzielono mi miejsce obok drzwi wejściowych i drzwi do drugiego pokoju. Miałam więc miałam świetne warunki dla „trzymania ręki na pulsie” naszej ekipy podróżującej po meandrach wiedzy. **Mój katar i pierwsza pomyłka diagnostyczna.** W nieomal kołchozowych warunkach kwatery przy ul. Siewierskiej w Poznaniu, naprawdę czułam się znakomicie. Jednak nękała mnie przewlekła przypadłość zdrowotna. Od ponad roku miałam uporczywy ogromniasty katar. Wprawdzie nie towarzyszyły mu żadne inne objawy, jak np. stany gorączkowe (wprawdzie nie mierzyłam temperatury) ani nawet bóle głowy, ale dolegliwość była przykra. Niejednokrotnie podczas zajęć musiałam opróżniać nos, przerywając monotony ton wykładu hałaśliwym trąbieniem. Do tej pory się dziwię, że wykładowca wykazywał niezwykłą tolerancję i nigdy nie otrzymałam polecenia opuszczenia sali wykładowej. Koledzy też chyba byli w tym temacie aniołami...Kilkakrotnie odwiedzałam laryngologa w Gorzowie, otrzymywałam

antybiotyki, najczęściej modne wówczas tetracykliny, wkrapiałam do nosa różne krople. Ale ta terapia nie odnosiła żadnego efektu. Któregoś dnia uznałam, że jest to na pewno zapalenie zatok. Powędrowałam więc po raz kolejny do laryngologa, przedstawiłam swój punkt widzenia i grzecznie, ale zdecydowanie poprosiłam o wykonanie punkcji zatok. Laryngolog wprawdzie się trochę opierał, twierdził, że wg niego zabieg nie jest potrzebny. Ale widząc moją zdeterminowaną minę widocznie poczuł się zagrożony, że nie opuszczę gabinetu. Przygotował długie druty, strzykawki. Siedziałam na fotelu dumna, że ustaliłam ostateczne rozpoznanie i spokojnie czekałam na manewry laryngologiczne. Wkrótce miałam te wielgaśne druty w nosie, nie zapamiętałam bólu i po chwili laryngolog pokazał mi nerkę, do której w moim mniemaniu zbierał treść opróżnianych zatok. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałam, że nerka była pusta. Lekarz obwieścił, że jak sugerował wcześniej, nie stwierdził zapalenia zatok. Wyszłam z gabinetu z mieszanymi uczuciami. Wprawdzie nie potwierdziła się moja diagnoza, ale zabieg się odbył, więc jeden etap diagnostyczno-terapeutyczny miałam za sobą. **Pierwszy medyczny sukces:)** Ponieważ katar czuł się dobrze w moim nosie, postanowiłam walczyć z nim dalej. Przypomniałam sobie metodę leczenia wodą opracowaną przez księdza Kneippa, o której kiedyś opowiadała wspomniana już Monika Brzezicka. Ktoś z jej rodziny w ten sposób, wyleczył sobie zapalenie przydatków. Chyba gdzieś poczytałam na ten temat, resztę opracowałam sama. Po pierwsze, odrzuciłam krople na katar. Następnie wsypywałam do szklanki ciepłej wody łyżeczkę soli i starannie mieszałam zawartość, by sól uległa rozpuszczeniu. Potem przystępowałam do płukania nosa. Musiałam wypatrzeć moment, gdy wszystkie koleżanki z naszej kołchozowej ul. Sieradzkiej dokonały ablucji i zostawiały łazienkę do mojej dyspozycji. Zamykałam się w tym pomieszczeniu i z powagą i przejęciem, wierząc święcie w skuteczność metody, zajmowałam się swoim zabiegiem. Technicznie było to proste. A mianowicie napełniałam dłoń słoną wodą a następnie wciągałam wodę jedną dziurką nosa. Zatrzymywałam oddech, wykonywałam okrężne ruchy głową, by woda docierała w różne zakamarki nosa i po chwili energicznie wydmuchiwałam zawartość z nosa. Potem przychodziła kolej na drugą dziurkę. Zabiegi wykonywałam systematycznie, dwa razy dziennie. I jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku dniach wydmuchiwana woda nie zawierała mojej nieomal odwiecznej ropnej treści. Początkowo nie dowierzałam, ale ujrzałam na własne oczy to co ujrzałam i śmiało mogłam powiedzieć. Mój katar ustąpił!!! To było niezwykle zawodowe doświadczenie. Jeszcze długo potem zalecałam innym wykonywanie takich zabiegów. Zachwycałam się tą prostą i skuteczną metodą. Jak dobrze, że kiedyś żyli ludzie, którzy potrafili obserwować przyrodę, człowieka, jego schorzenia i odkrywali takie proste zależności- zalety zwykłej słonej wody. Podziwiałam ich i w myślach składałam im hołd. Dopiero po bardzo wielu latach, chyba około roku 1990, uwierzyła w to zwykła medycyna. I dzisiaj na szczęście pierwszym zabiegiem w przypadku kataru jest nawilżanie i poprawianie ukrwienia śluzówki nosa poprzez miejscowe stosowanie słonej wody. Przemysł farmaceutyczny „poczuł bluesa” i w aptekach możemy znaleźć wiele preparatów o tym składzie, pięknie opakowanych, o wymyślnych nazwach, i co jest niebagatelne – słonych cenach...

Mocne wspomnienie z III r. studiów. Do tej pory mam w sobie jeszcze jedno mocne wspomnienie z czasów kiedy tam uczyliśmy się farmakologii. Uczyliśmy się, to małe słowo- zakuwaliśmy jak szaleni...Otóż był wtedy pamiętny „marzec 1968 roku” a my kończyliśmy III rok studiów, chyba nieświadomi tego, co się dookoła dzieje....może niektórzy z nas wiedzieli, ale należałam do grupy mieszkających w Poznaniu na stancjach, gazet nie czytywałam, radia po prostu nie miałam a rodzice, którzy zawsze mnie uświadamiali politycznie, byli daleko...Tego dnia siedzieliśmy na którejś z drewnianych, szerokich prostych ław z oparciami (pamiętam je doskonale) na parterze Collegium Maius, gdy gwałtownie, z wielkim hałasem rozwarły się drzwi wejściowe i wpadła grupka młodych, mocno zziębniętych, jakby zdezorientowanych, wystraszonych ludzi. Prawie natychmiast, widać ktoś śledził przez okno wydarzenia na ulicy, otworzyły się drzwi do zakładu Farmakologii. Cichutko wyszedł

nasz asystent - i niecierpliwym, pospieszającym gestem zapraszał tę grupkę do środka. Uciekający szybko się zorientowali, pobiegli w tym kierunku i po chwili zniknęli w czeluściach Zakładu Farmakologii a drzwi za nimi się zamknęły z ledwie słyszalnym szelestem... nieomal w tym samym momencie, ponownie z hukiem otwarto główne wierzaje i wtargnęło kilku milicjantów, pewnie była to słynna grupa ZOMO (o czym się dowiedziałam później), byli uzbrojeni „po zęby”, czapy nasunięte nisko na czoło z paskami zapiętymi pod brodą. Biła od nich agresja i wrogość... najpierw rozglądali się nerwowo, bacznie, dysząc jak psy gończe my, niemi świadkowie, zda się wrośliśmy w ławy, siedzieliśmy cichutko „jak trusie”, tylko nogi nam dygotały z przerażenia i oczy mieliśmy jak talerze....zrozumieliśmy od razu, że ścigali tę grupkę młodych ... Zachowaniem przypominali wściekłą sforę spuszczoną z łańcucha, stukając podkutymi butami obiegli piękne krużganki, tupali po pięknych dostojnych schodach, spenetrowali wszystkie zakamarki i ostatecznie jak niepyszni opuścili nasze dostojne Collegium Maius... teraz sobie myślę, że pewnie byli pod wpływem jakiś środków pobudzających... przecież byli też chłopcami, jak ci, których ścigali, gdzieś tam czekały kochające matki....

Pierwsze zajęcia kliniczne. Na trzecim roku medycyny, rozpoczęliśmy upragnione zajęcia kliniczne, nazywane na tym etapie edukacji propedeutyką medycyny. Nasza grupa miała szczęście odbywać zajęcia z propedeutyki interny w II klinice Chorób Wewnętrznych. Tą kliniką kierował wówczas sam Prof. Jan Roguski. Pan Profesor był niewysoki, szczupły, miał szlachetne rysy twarzy, był zawsze starannie i elegancko ubrany. Emanował spokojem, wewnętrzną równowagą i bardzo nam imponował. Był też niezwykle nauczycielem. Uczył nas nie tylko medycyny, ale przede wszystkim zachowań przyszłych lekarzy. Zapamiętałam pierwsze uwagi Profesora, by np. nie trzymać rąk w kieszeni w czasie obchodu a także w czasie rozmowy z pacjentem. Taki luzacki styl bycia mógłby być źle odebrany przez chorego, jako wyraz nonszalancji i lekceważenia. Pacjenci byli informowani o tym, że będą uczestniczyli w szkoleniu studentów. Jednak zawsze pytano ich o zgodę, pozostawiając ostateczną decyzję woli tych chorych. Większość z nich się zgadzała bez oporów, byli nawet dumni z wyróżnienia i chętnie opowiadali o sobie i swoich dolegliwościach. W czasie badania, należało zachować szacunek dla terytorium pacjenta, jakim było jego łóżko szpitalne. Nie wolno było na nim siadać, a należało przysunąć stółek jak najbliżej chorego i z tej pozycji, z pewnego dystansu rozpocząć rozmowę i badanie. Potem Pan Profesor, krok po kroku, instruował nas, a raczej demonstrował na konkretnych przykładach, jak rozmawiać z pacjentem, wysłuchiwać skarg, ale równocześnie tak kierować rozmową poprzez umiejętne stawianie pytań by zbierać uporządkowaną wiedzę, którą nazwano już bardzo dawno wywiadami lekarskimi. Zwracano nam uwagę na to, by od pierwszego kontaktu z chorym przyjmować postawę przyjazną temu człowiekowi, patrzeć mu w oczy, ale nie zapominać o równoczesnym śledzeniu jego sposobu poruszania, wyglądu, szczegółów twarzy, kończyn. Jednocześnie wszystkie spostrzeżenia należało od razu wiązać dane z wywiadu z objawami widocznymi jeszcze przed podjęciem bezpośredniego badania oraz zapamiętywać. Potem przystępowaliśmy do badania lekarskiego. Wiedzę teoretyczną mieliśmy już opanowaną, teraz dotykaliśmy ciała chorego i to nie w zwykłych celach pielęgnacyjnych, jak bywało na praktyce studenckiej. Teraz mieliśmy szczytne zadania, do których podchodziliśmy z wielkim przejęciem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że uczestniczymy w niezwykle misterium poznawania człowieka. Poznawania tego, co jest w nim podobne do innych ludzi i tego, co jest różne, jedyne, niepowtarzalne i często zaskakujące....**Badanie klatki piersiowej.** W tych czasach chyba nie było żadnych filmów szkoleniowych ani nagrań z utrwalonymi odgłosami słyszalnymi podczas opukiwania granic płuc czy serca lub dźwiękami poszczególnych tonów serca. Uczyliśmy się więc od Pana Profesora, który opowiadał i pokazywał. Potem każdy z nas powtarzał poszczególne elementy badania. Byliśmy przejęci, młodzieńczo wrażliwi i staraliśmy się wchłonąć całą wiedzę, przekazywaną nam w czasie zajęć z propedeutyki medycyny. Nie zapomnę drżenia swojego serca, gdy usłyszałam bicie serca

obcej, chorej osoby. Ten moment stał się elementem przełomowym w dalszym życiu medycznym. Poczułam niezwykłą więź z drugim człowiekiem, który powierzał mi swoje największe tajemnice. To było przekroczenie cudzego zakłętego kręgu intymności. **Zagadka.** I nadszedł dzień, gdy otrzymaliśmy samodzielne zadanie. Profesor przydzielił każdemu z nas pacjenta, którego musieliśmy zbadać i potem zdać relację z wyników tego badania. Chorzy ci byli rozmieszczeni w różnych salach, tak więc znalazłam się sam na sam i oko w oko z kilkoma panami leżącymi na mojej sali. Weszłam do niej nieomal na palcach, z wielkim przejęciem i starannie ukrywanym niepokojem. Panowie leżeli sobie na łózkach i czułam, jak mnie lustrują spojrzeniami. Widać było, że bardzo nie cierpieli, bo byli uśmiechnięci, a w ich oczach nawet z pewnej perspektywy można było zobaczyć rozpalające się łobuzerskie ogniki. Powiedziałam ogólne dzień dobry, przedstawiłam się, powiedziałam w jakim celu przychodzę i zapytałam, który z panów nazywa się tak i tak. Odezwał się, leżał pod oknem, skąd rozpościerał się przedni widok na całą salę. Czułam się jak na celowniku. Rozejrzałam się, szukając stołka. Ale już jeden z panów, usłużnie przysunął do mnie stołek z okrągłym siedziskiem. Widocznie byli już zaznajomieni z systemem ciągłych badań przez różnych studentów i znali zwyczajnie pana Profesora. Tym razem trafił im się niezły kasek- niebrydka, młodziutka i przejęta studentka. Takie lubili najbardziej. Sprawdziłam, czy stołek znajduje się w odpowiednim miejscu. Powtarzałam w duchu, że jak zalecano, muszę się usadowić po prawej stronie badanego. Następnie dość sprawnie zebrałam wywiady na wszystkie możliwe tematy: dotyczące stanu zdrowia, trybu życia, sposobu odżywiania i wszelakich obciążeń genetycznych. Etc. etc. Odpowiadał płynnie, pewnie powtarzał tą śpiewkę dość często. Potem chętnie się rozebrał, pewnie chciał się pochwalić wielką postacią wytatuowaną pod lewym obojczykiem. Gdy oglądałam to znalezisko, powiedział, że jest to jego Baśka. Ale to odkrycie nie wiązało się z jego stanem zdrowia, najwyżej świadczyło o bujnym życiu. Poprosiłam, by przespacerował się w kierunku drzwi i z powrotem. Zerwał się żwawo z łóżka i wykonał polecenie. Widziałam, że nie utykał, nie zbaczał z linii prostej co mogłoby sugerować jakieś schorzenie ortopedyczne lub neurologiczne. Więc uznałam, że wszystko było ok. Potem dokładnie obejrzałam jego skórę, zbadałam węzły chłonne i przystąpiłam do opukiwania granic serca i płuc. Umiałam już odpowiednio ustawiać dłoń, trochę mi to przypominało edukację przed zajęciami gry na fortepianie. Tak więc ułożyłam palce prawej dłoni w lekkim zgięciu i poruszając całą dłonią jedynie w stawie nadgarstkowym, uruchomiłam mechanizm jakby młoteczka. Delikatnie uderzałam palcem środkowym w powłoki klatki piersiowej, miejsce przy miejscu, idąc od obojczyków, następnie od lewej linii pachowej przedniej w kierunku domostkowym. I w tym momencie znieruchomiałam. Nie usłyszałam charakterystycznej zmiany odgłosu, przy przejściu znad terenu płuc nad teren który zajmuje serce. Powtórzyłam ten manewr jeszcze raz, wyciągając uszy, którym nie dowierzałam. Myśli moje dość chaotycznie gnały po całej skołatanej głowie. Przecież starannie wykonywałam wszystkie czynności, słuch, nawet muzyczny miałam niezły a coś mi się nie zgadzało. Wyglądało na to, że pacjent w ogóle nie ma serca. Może rozrosły się jego płuca, uzyskując megarozmiary i zakryły biedne serce- myślałam gorączkowo. Powoli jednak coś mi zaczęło świtać, ale zanim przystąpiłam do opukiwania płuc po prawej stronie klatki piersiowej, usłyszałam ryk. Panowie długo powstrzymywali emocje, przecież doskonale znali przyczynę mojego zakłopotania i teraz pokładali się ze śmiechu. Udał się najlepszy kawał, przebój sezonu. Pacjent parsknął, prychnął i krztusząc się ze śmiechu zakomunikował, że serce to on ma i to całkiem zdrowe, tylko natura go obdarowała pewną odmianą rozwojową. Teraz bardzo się cieszy, mówił dalej, że może służyć jako model do badania. Zawsze mu się udaje zaskoczyć studentów i wtedy wszyscy w sali mają radochę. Pozwala im to zapominać o dolegliwościach, przyspiesza zdrowienie. Ich sala jest najweselsza i najzdrowsza w całej klinice, tempem sukcesów terapii cieszą się wszyscy lekarze. Powinien zostać rezydentem-demonstratorem w tej klinice, by poprawiać wyniki leczenia wszystkich chorych. Bo śmiech to zdrowie, powiedział. Teraz to, co mi mgliście świtało w głowie, nabrało jasnego światła i wkrótce znalazłam serce po prawej stronie klatki piersiowej pacjenta. Jego granice wskazywały na lustrzane odbicie serca

prawidłowo położonego. Jest to określane mianem dekstrokardii. Zdarza się to nieczęsto. Wiedziałam już, że może temu towarzyszyć odwrócenie narządów w jamie brzusznej i wówczas mówimy o situs inversus – tj o odwróceniu trzew. Sprawnie wysłuchałam szmery zastawkowe i byłam gotowa do zdania relacji panu Profesorowi. Gdy opisywałam swoje odkrycie, bardzo szczerze przyznałam, że w procesie diagnozowania brali udział wszyscy pacjenci. Profesorowi podobało się moje wyznanie i pochwalił za to, że potrafię się przyznać do swoich trudności. Powiedział też, że zawsze warto rozmawiać z pacjentem i przedstawiać mu swoje wątpliwości, dzielić się uwagami i w ten sposób angażować go w proces diagnozowania i wynikających z tego postępowań terapeutycznych. Po wielu latach wracam myślami do tego, co powiedział Profesor i nadal się zastanawiam, jak dalece lekarz powinien informować pacjenta o swoich wątpliwościach. Czy jest gdzieś linia ograniczająca, jeśli jest, to niezwykle delikatna i płynna. Przecież każdy człowiek jest inny i inaczej reaguje. Tylko jak to wyczuć i przewidzieć reakcję? To jedno z najtrudniejszych zadań lekarza. **Lokalizacja bólu.** Pan Profesor Roguski wielokrotnie przypominał, że przystępując do badania brzucha, na wstępie należy zapytać pacjenta o to, czy odczuwa ból. Jeśli tak, to w którym miejscu i jaki jest jego charakter. Wspominał o nietypowych objawach różnych schorzeń. Ale wiedza teoretyczna nie zdała by się na nic, gdyby nie zajęcia kliniczne. Jak zwykle nieocenieni byli nasi pacjenci. Bardzo chętnie z nami rozmawiali i opowiadali o swoich i cudzych przeżyciach. Poświęciliśmy dużo czasu na takie rozmowy. To była prawdziwa szkoła życia. Taka, której się nie zapomina. Należało tylko wsłuchać się w to, co ten człowiek ma nam do przekazania. W dzisiejszym wiecznie zapędzonym świecie, jakże mało uwagi poświęca się innym. Rozmyślałam o tym po latach i podsumowuję swoje doświadczenia zawodowe. I wiem, że najlepsze były lekcje udzielane mi przez chorych, pielęgniarki i własne czasami żmudne docieranie do sedna sprawy. Tak więc i tym razem, jeden pacjent opowiadał, jakie miał objawy zawału serca. Bolała go szczęka, żołądek, bark. Chodził po lekarzach różnych specjalności. Był konsultowany przez stomatologa, gastrologa i ortopedę. Nikt nie znalazł schorzenia z zakresu swojej specjalności. Wreszcie załapał na ulicy, został zawieziony do szpitala. I tutaj się okazało, że przeżył zawał mięśnia sercowego. Miał chłop naprawdę dużo szczęścia, że uszedł z życiem. Teraz leżał sobie spokojnie na swoim szpitalnym łóżku, całkowicie unieruchomiony, mógł jedynie gadać. Takie to były czasy, gdy pacjent z zawałem musiał pozostawać w łóżku przez okres 3- 6 tygodni. Pomyślałam wtedy, że chyba faktycznie jest nam pisane, co ma się wydarzyć. Przecież czasami wystarczy nagle zamknięcie światła tętnic wieńcowych i spotyka nas nagła śmierć. A bywa, że pacjent normalnie funkcjonuje mimo ciężkiej choroby. Uczyłam się, jak nieprzewidywalna jest natura ludzka. Może nawet z tego okresu utrwaliłam w sobie sposób myślenia, który można by nazwać katastroficznym. Starałam się sobie wyobrażać wszystkie możliwe aspekty sprawy, przewidywać przebieg chorób i w jakiś sposób przeciwdziałać zabezpieczając się przed skutkami. Ale zdaję sobie sprawę, że czasem wyobraźni nie staje i życie zaskakuje. Z drugiej strony cieszę się, że coś mnie jeszcze zaskakuje. I wiem, że dlatego warto żyć, by stale poznawać..... Inny pacjent leczył się z powodu bólów pleców. Miał wprawdzie duże zmiany w rtg kręgosłupa, ale choroba się nasilała, nie pomagały zastrzyki. Wylądował w szpitalu, gdzie rozpoznano zapalenie trzustki. Słuchając opowieści pacjentów, starałam się zapamiętać te wszystkie historie. Jak wyraźnie została zobrazowana teoretyczna wiedza o tzw. odruchach trzewno- skórnych. Przenoszenie bólu w inne regiony ciała odbywa się za pomocą układu nerwowego noszącego nazwę- autonomiczny. Przecież tego uczyliśmy się na zajęciach z fizjologii, ale teraz usłyszałam przykłady z życia wzięte.

Badanie brzucha. W czasie wspomnianych zajęć z propedeutyki interny oczywiście uczyliśmy się jak badać brzuch. Ileż narządów ukrywało się pod tą nieomal jednolitą powłoką. Z reguły wszystkie były położone w miejscach typowych, które widziałam w wielu atlasach oraz w czasie zajęć sekcyjnych. Ale dowiedziałam się, że niezwykle rzadko natura płata figle, by nie usypiać czujności lekarza i narządy człowieka układu po przeciwnych niż spodziewana stronach. Nazywane jest to odwróceniem trzew

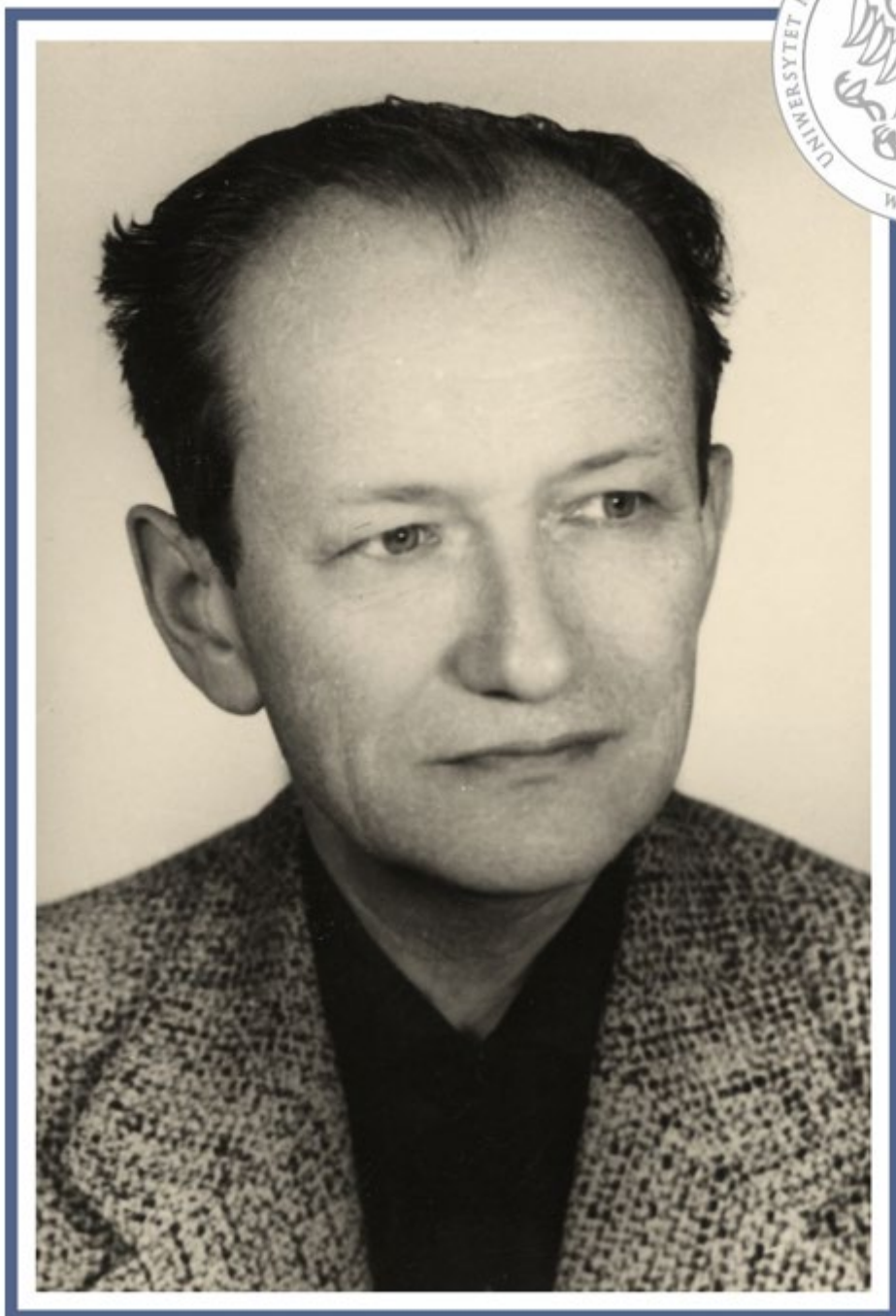
(situs inversus). Organizm pacjenta funkcjonuje prawidłowo, tak że posiadacz odwróconych trzew wielokrotnie dowiaduje się o tym w czasie dokładnego badania lekarskiego a bywa, że się w ogóle nie dowiaduje. Pan Profesor Roguski opowiadał nam o takich przypadkach, uczulał na przewidywanie takiej możliwości, pokazywał zdjęcia rentgenowskie a któregoś dnia zaprosił swojego znajomego, właściciela odwróconych trzew. Właśnie on był moim pierwszym pacjentem, u którego oceniałam narządy zlokalizowane w klatce piersiowej. Jak przebiegało to badanie, opisałam poprzednio. Pan profesor uprzedzał nas, że chyba najtrudniejszym elementem badania przedmiotowego, tj. badania polegającego na użyciu jedynie zmysłów lekarza, jest ocena stanu narządów w jamie brzusznej. Profesor wymagał, by przystępując do badania lekarskiego mieć zadbane dłonie, paznokcie krótko obcięte, zwracał uwagę dziewczynom, by unikać jaskrawych lakierów do paznokci, bo mogłoby to drażnić pacjenta. Najpierw należało zapytać chorego, w którym miejscu odczuwa jakąś dolegliwość. Następnie układało się dłoń jak najdalej od bolesnego miejsca, tak, by cała przylegała do powierzchni ciała pacjenta. Czynność ta musiała być wykonywana miękko i delikatnie. I potem stopniowo, lekko i pulsująco uciskając opuszkami palców należało przesuwając dłoń w kierunku bolesnego miejsca.... Typowe badanie brzucha rozpoczynało się od dołu biodrowego, wolno kierując się po obwodowej części brzucha. Po drodze ocenialiśmy brzeg wątroby, jeśli była powiększona- jej wielkość- tzn. na ile palców wystaje spod łuku żebrowego, jej spoistość, powierzchnię. Poszukiwaliśmy bolesności w nadbrzuszu, co mogło sugerować schorzenie żołądka lub trzustki, potem powiększonej śledziony i ocenialiśmy czy nie wyczuwa się przepełnionego kałem jelita grubego. Nad spojeniem łonowym czasami można było wyczuć pęcherz moczowy. Gdy był wypełniony, a pacjent nie oddawał moczu, można było podejrzewać różne przyczyny tego stanu np. zatkanie cewki moczowej przez kamień, nowotwór albo schorzenie neurologiczne. Wędrując przy pomocy delikatnego badania palpacyjnego po powłokach jamy brzusznej, czasami można było odkryć jakieś zgrubienia lub wyraźne guzy. Potem sprawdzaliśmy obecność innych objawów, które musieliśmy sami sprowokować. Uczyliśmy się więc, jak to wykonywać. Poznaliśmy zasady wywoływania objawu Jaworskiego, Blumberga, Chełmońskiego i Goldflama. Te pierwsze nauki odebrane w poznańskiej klinice zapamiętałam na całe życie. Byliśmy tacy młodzi, przejęci i zaangażowani. Co się z nami stało potem? Jakie były nasze drogi, może napotkaliśmy progi, których nie daliśmy rady pokonać? Gdzie się podział nasz entuzjazm, optymizm i wola precyzyjnego doskonałego wykonywania zawodu? A może to wszystko przetrwało, tylko stało się chlebem powszednim, rutyną. Po prostu się zestarzeliliśmy i życie stało się zwyczajne i bezbarwne.

Deskowaty brzuch.. Któregoś dnia profesor Roguski zaprosił nas do sali, gdzie na łóżku leżał bardzo cierpiący pacjent. Nie poruszał się, miał podkurczone nogi. Mówił, że ma silne bóle brzucha, które promieniują do barków i nasilają się przy każdym ruchu. Profesor od razu powiedział nam, że te objawy sugerują zapalenie otrzewnej. W odróżnieniu od napadu kolki nerkowej, gdy chory jest niespokojny, zmienia pozycję ciała, nasz pacjent unikał ruchów i by zmniejszyć natężenie bólu, sam intuicyjnie wybierał nieruchomą pozycję, która zmniejszała napięcie mięśni. Pan profesor zapytał chorego, czy zgodzi się, byśmy dotknęli delikatnie jego brzucha. Podziwiałam, że mimo cierpienia, pacjent nie protestował. Wiedział, że lada moment znajdzie się na bloku operacyjnym, gdyż lekarz który go przyjmował do szpitala podejrzewał uszkodzenie ściany żołądka(perforację) wymagające pilnego zabiegu operacyjnego. Najdelikatniej jak potrafiłam, położyłam dłoń na brzuchu chorego. Poczułam niezwykłą twardość powłok brzusznych. To był klasyczny brzuch tzw. deskowaty, określane też jako obrona mięśniowa a będący wynikiem odruchowo napiętych mięśni. Informacje na ten temat znajdowaliśmy już wcześniej w podręcznikach interny. Ale to było zupełnie coś innego, wiedza teoretyczna nabrała innego wymiaru. Tutaj był żywy człowiek i jego cierpienie. Wiedzieliśmy też, że w tym stanie często dochodzi do porażennej niedrożności jelit co się manifestuje się zatrzymaniem gazów i stolca. Zapytałam o to, a pacjent potwierdził. Przyłożyłam mój zielony fonendoskop do jego powłok i nie usłyszałam prawidłowych szmerów perystaltycznych. W jamie brzusznej chorego panowała zupełna cisza. Podziękowaliśmy choremu, że umożliwił nam badanie w tak dramatycznej

dla niego sytuacji. Chyba nie bardzo kontaktował, był sam ze swoim cierpieniem. Po chwili do sali weszły pielęgniarki i powoli wytaczały łóżko z cierpiącym w kierunku bloku. Szliśmy za nim, jak w nabożnej procesji, cicho, prawie na palcach. W duchu życzyliśmy mu powodzenia. Nie myśleliśmy wtedy, że należało także życzyć powodzenia lekarzom. Nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, jak bardzo jest zaangażowany chirurg, ile poświęca własnych sił, i właściwie w czasie zabiegu staje się jednym organizmem ze swoim chorym. Profesor wyraził zgodę na to, byśmy poszli na salę operacyjną. Zabieg przebiegał sprawnie, faktycznie, jak podejrzewano, była to perforacja żołądka. Następnego dnia od razu pognaliśmy się na salę pooperacyjną. Z daleka ujrzelśmy naszego pacjenta. Mimo cewników wystających mu z nosa, zauważyliśmy, że się do nas uśmiecha. To był niesamowity człowiek, dzielny, przyjazny ludziom, dzięki niemu poznawaliśmy prawdziwą medycynę. Dziękowaliśmy mu wtedy i do tej pory mu dziękuję. Nie wiem jak potoczyło się jego życie, może już cieszy się innym światem, ale pozostał na stałe w mojej wdzięcznej pamięci....Gdy pobiegliśmy na blok operacyjny, by sekundować chirurgom w czasie operacji naszego pacjenta, dowiedzieliśmy się, że stosowana jest znana od ponad 80 lat metoda Rydygiera. Po przyjeździe do domu od razu otworzyłam Encyklopedię (dla przypomnienia Internet jeszcze nie był w powszechnym użyciu a nam nie znany w ogóle) i poczytałam o tym nieco ekscentrycznym niesamowicie zdolnym profesorze który był też znany z tego, że nienawidził kobiet. **Guz w brzuchu.** Pod koniec zajęć z propedeutyki interny w poznańskiej klinice, otrzymaliśmy samodzielne zadanie zbadania brzucha pacjenta. Nie udostępniono nam dokumentacji medycznej, należało jedynie zebrać wywiad, zbadać chorego i zdać relację z wyników tego badania. Mnie przydzielono pacjentkę w ostatniej sali kliniki. Jak zwykle weszłam tam z powagą i tajonym lękiem. Jej łóżko znajdowało się po lewej stronie od wejścia. Oceniłam sytuację, i odetchnęłam z ulgą, że przysuwając taboret do łóżka, znajdę się tak jak należy po prawej stronie pacjentki. Była to kobieta o zniszczonej, zmęczonej twarzy, ale patrząc w jej młode jeszcze oczy, oceniałam że chyba ma niewiele ponad 40 lat. Była poważna i smutna. Rozpoczęłam rozmowę, zadawałam pytania na które odpowiadała z pewnym ociąganiem. Została skierowana do szpitala w celu wyjaśnienia dość tajemniczych objawów jak mdłości poranne, sporadyczne wymioty, dziwne odczucia smakowe i w efekcie utratę masy ciała. Od razu pomyślałam o najgorszym. Wszystkie objawy niestety pasowały do bardzo poważnej choroby, a mianowicie raka trzustki, właśnie tak opisywanej w podręcznikach. Zadałam mnóstwo dodatkowych pytań, w tym o liczbę ciąż i porodów. Miała troje zdrowych i dość dużych dzieci. Wcześniej przekwitła, nawet bez specjalnych objawów typowych dla klimakterium. Przebywała w szpitalu już ponad miesiąc. Tempo postępowania diagnostycznego było wg niej dość ślamazarne. Może lekarze chcieli mieć czas na obserwację, pomyślałam. Wykonano jej podstawowe badania krwi i moczu, z których jak powiedziała, nic niepokojącego nie wynikało. Dzielnie przeżyła gastroskopię, do której używano grubej sztywnej rury i dość cienką i jak makaron dość łatwą do połknięcia sondę dwunastniczą. W tych badaniach też na szczęście nic nieprawidłowego nie znaleziono. Zanim przystąpiłam do wykonywania zadania, tj. oceny jamy brzusznej, tak jak należało dokonałam badania całego jej organizmu.. Oceniałam chód i podstawowe objawy neurologiczne. Oczywiście badanie neurologiczne było nieudolne, bo jeszcze tego nie przerabialiśmy w praktyce. Ale od czego była wiedza podręcznikowa, której miałam pełną głowę. Mdłości mogły przecież być objawem jakiegoś schorzenia w obrębie układu nerwowego, myślałam gorączkowo. Wreszcie nadszedł moment, by przystąpić do głównego zadania. Pacjentka nie zgłaszała żadnego bólu, więc odważnie rozpoczęłam działania. Nie znajdowałam miejsc bolesnych, ani żadnych nieprawidłowości. Gdy doszłam do uciskania okolicy nad spojeniem łonowym coś mi się nie spodobało. Nie byłam pewna, czy nie wyczuwam kości łonowej, ale opanowując emocje, powtórzyłam ocenę. Jednak coś wyczuwałam nad spojeniem łonowym. Było to twarde równe niebolesne zgrubienie. Pomyślałam, że jest to przepełniony pęcherz moczowy. I dlatego ponownie spytałam o to, czy zgłasza jakieś problemy z oddawaniem moczu. Chora przyznała, że ostatnio częściej niż zwykle oddaje moc, a nawet musi w tym celu wybudzać się w nocy i wędrować do

łazienki. Ale dowiedziała się, że w kilku badaniach moczu nie stwierdzano zmian chorobowych. Nie informowałam chorej o swoim odkryciu, podziękowałam za umożliwienie mi pierwszego samodzielnego badania, powoli podeszłam do drzwi. Gdy zamknęłam je za sobą, rzuciłam się wielkim pędem w kierunku gabinetu lekarskiego. W pokoju panowała cisza, jedynie zakłócana skrzypieniem piór. To lekarze wypełniali dokumentacje pacjentów. Gdy gwałtownie wpadłam do ich gabinetu, podnieśli głowy znad papierów i popatrzyli na mnie z wyrzutem, że zakłócam im spokój. Oprzytomniałam, wyciszyłam się i zapytałam kto zajmuje się moją chorą. Odezwał się lekarz urzędujący w głębi pokoju, podeszłam dostojnie, i z powagą oznajmiłam, że odkryłam w brzuchu mojej pacjentki guz. Myślałam, że wszyscy osłupieją i wpadną w podziw nad moją spostrzegawczością. Czekałam na jakieś okrzyki a może nawet przerażenie, że do tej pory niczego nie rozpoznali. Jednak nikt nie reagował, wszyscy opuścili głowy i dalej skrobali w historiach chorób. I wtedy lekarz, który zajmował się moją pacjentką oznajmił, że początkowo też myślał o różnych schorzeniach, podejrzewając te najgorsze. W dniu przyjęcia do szpitala jeszcze niczego patologicznego nie wyczuwało się w brzuchu. Ale dobrze, że pacjentka pozostała dłużej, bo właśnie niedawno ją ponownie dokładnie zbadał i odkrył to samo co ja. Wyraźnie coś się zmieniło w czasie tego miesiąca. Dzisiaj skierował ją na konsultację ginekologiczną, w wyniku której rozpoznano zwykłą ciążę. Byłam zaskoczona, przecież mówiła mi, że już przestała miesiączkować, i na pewno przebyła klimakterium. A ja w swojej nieomal dziecięcej naiwności, nawet nie pomyślałam, że w życiu tak jak w medycynie to co wydaje się niemożliwe, czasami właśnie jest możliwe...Dobrze zapamiętałam tę lekcję.... Nie wiem jak potoczyły się losy pacjentki, czy się cieszyła, że nie ma choroby nowotworowej, czy tę radość zabijał lęk co będzie dalej. Posiadanie kolejnego dziecka nie dla każdego było radością.... Na marginesie, działo się to w roku 1967. To były czasy, gdy nie wymyślono jeszcze badań ultrasonograficznych ani prostych do wykonania prób ciążowych. Ale myślenie było takie samo jak dzisiaj, przynajmniej powinno być... Już nie będę tu wspominała, czego jeszcze nauczył nas prof. Roguski- na pewno były to wszystkie główne objawy świadczące o patologii i zapamiętałam te lekcje do dziś. Gdy przez kolejne lata oceniałam objawy Blumberga, Jaworskiego, Goldflama często myślę o otrzymanych lekcjach i nas, tedy takich młodych gdy sumiennie wykonywaliśmy wszystkie elementy badania lekarskiego w czasie pierwszych zajęć klinicznych otwierał się przed nami tajemny świat medycyny. Nie wiem, jak to wyglądało na uczelni warszawskiej, bo przeniosłam się do niej po III roku studiów, czyli już po propedeutyce medycyny, ale teraz, z perspektywy czasu podziwiam tę rzetelną i bardzo poważną edukację prowadzoną przez „szkołę poznańską”. A może, tak myślę, bo byliśmy bardzo młodzi, wszystko było nowe i pozostało w pamięci jako pierwsze wielkie zauroczenie... Gdy porządkowaliśmy wszystkie dane z wywiadu i badania przedmiotowego, próbując je dopasować do różnych chorób, o większości których nie mieliśmy bladego pojęcia, byliśmy poważni i przejęci. Ale gdy powoli krystalizowały się różne obrazy chorobowe, co to było wielką radością, coraz bardziej odkrywaliśmy, że medycyna jest naprawdę ciekawa i docieramy do jądra tajemnicy. Jak dobrze, że jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy jak daleko jesteśmy do tego jądra. Jak wiele przed nami stopni poznawania wiedzy, ile niespodzianek po drodze, jak wielkie jest nieustanne zadziwienie naturą i jej meandrami. I co ciekawe, w miarę upływu lat pracy w zawodzie ten ostateczny cel – dotarcie do jądra poznania coraz bardziej się oddalał. W tych czasach byliśmy tego nieświadomi i optymistycznie patrzyliśmy w przyszłość. **Sztuczna nerka.** Ileż się działo w tej klinice, którą zawiadywał Prof. Roguski. I jakie miałam szczęście mieć takiego nauczyciela. Któregoś dnia, w czasie zajęć z propedeutyki interny, zaproszono nas do specjalnego pomieszczenia. Lekarze byli przejęci i czuliśmy, że zobaczymy coś niezwykłego, nadzwyczajnego. Wchodziliśmy kolejno, tłocząc się pod ścianą. Prawie cały pokój zajmowała maszyna: warczał silnik, pluskała pompa a w centrum stał ogromniasty kocioł z przykrywą. Gdzieś daleko, poza tymi urządzeniami dostrzegaliśmy zwykłe szpitalne łóżko a na nim chudziutki człowiek o szarej twarzy. Na krawędzi łóżka spoczywała jego koścista ręka z której wyprowadzone były przewody wypełnione krwią. Gdyby nie obecność pacjenta, wydawać się mogło,

że pomyliliśmy pokoje i teraz znajdujemy się w jakimś pomieszczeniu technicznym. Profesor z dumą wyjaśnił nam, że mamy szczęście, i oto jesteśmy w tej klinice w czasach historycznych. Bo całkiem niedawno rozpoczęto tutaj nową erę w leczeniu polskich pacjentów z niewydolnością nerek. Ta metoda, która zmieniła rokowanie w ciężkich chorobach nerek nazwana jest dializą. A aparatura, którą teraz oglądamy jest tzw. sztuczną nerką. Wykonali ją inżynierowie z Poznańskich Zakładów Cegielskiego. Wydaje się, że nasze zajęcia były tak niedawno, a to już minęło ponad 50 lat. I obecnie takie urządzenia to już XXI wiek, niektóre mają format mieszczący się nawet w kieszeni, ale nie zmieniła się zasada zabiegów. Oczywiście zaraz po przyjeździe do domu przeczytałam wszystko co się dało o przewlekłej niewydolności nerek, metodach leczenia i historii dializoterapii. Nawet gdy już pracowałam w CZD na nefrologii opowiadałam kolegom o aparaturze poznańskich inżynierów, o tym jak wyglądała... i o prof. Janie Roguskim i jego pasji. W tym miejscu jednak warto w skrócie opisać historię polskiej dializoterapii. W 1957 r. powstał ośrodek dializ w Pradze czeskiej. Leczone tam kilku pacjentów z Polski. W 1958 r., chyba jeszcze wówczas docenci Jan Roguski (nasz poznański profesor!) i Witold Orłowski z Akademii Medycznej w Warszawie przekonali polskie władze, że wożenie tylko niektórych naszych pacjentów do Pragi jest wstydem dla kraju.



Witold Orłowski

Nie było to łatwe, ale obaj lekarze byli uparci, ogarnięci ideą i co najważniejsze nie mogli patrzeć jak umierają ich chorzy, którym można było pomóc. Wyobrażam sobie ich determinację. I wreszcie przekonali komunistyczne władze i nastąpił moment dawno oczekiwany i podniosły- zakupiono dwie szwedzkie sztuczne nerki. Jedną umieszczono w II Klinice Chorób Wewnętrznych w Poznaniu, kierowanej jeszcze przez prof. Adama Biernackiego a następnie prof. Jana Roguskiego, a drugą w I Klinice Chorób. Wewnętrznych w Warszawie, gdzie działał późniejszy profesor Witold Orłowski. Aparaty działały przez kilka lat, potem polscy lekarze i inżynierowie wprowadzili kilka istotnych

usprawnień w oryginalnych urządzeniach a właściwie skonstruowali je od początku. To była data rewolucyjna w polskiej nefrologii. Od tej pory w Polsce uratowano życie wielu pacjentom z przewlekłą niewydolnością nerek. Jak już pisałam wcześniej, miałam szczęście oglądać to urządzenie w poznańskiej Klinice, niespełna 8 lat po zainstalowaniu. Już wtedy było nieomal w całości zrekonstruowane przez polskich inżynierów z poznańskich zakładów Cegielskiego. I dostałam zaszczepienie poznania Wielkiego Człowieka Polskiej Medycyny, wspaniałego Lekarza i Nauczyciela, niewysokiego szczupłego o arystokratycznych rysach, pasji w oczach i wielkiej klasie Profesora Jana Roguskiego. A po trzech latach, w czasie zajęć w Akademii Medycznej w Warszawie oglądałam dializy i z lękiem postrzegałam bardzo surowego Profesora Witolda Orłowskiego, który przy nas studentach, odpytywał swoich błędnych asystentów... (ale to już inna historia). Jednak do tej pory podziwiam odwagę ludzi, którzy nie wahali się, by w taki ryzykowny, nie pozbawiony ciężkich powikłań sposób ratować swoich chorych...

Propedeutyka pediatrii. Zajęcia kliniczne na III roku studiów były zdominowane przez wrażenia z propedeutyki interny, odbywanej w Klinice Profesora Roguskiego. Ale w tym samym czasie prowadzone były też zajęcia z propedeutyki pediatrii. Niestety były to tylko wykłady. Widocznie tak przewidywał plan. Dlatego też nie było mocnych wrażeń, które by się wryły w naszą świeżą i chłonną pamięć. Zapamiętałam jedynie ówczesną panią Docent Marię Goncerzewicz, która wykladała ten przedmiot. Zwykle spacerowała za katedrą, czasami coś pokazując na tablicy. Była bardzo przystojna, wysoka i dostoja. Pięknie nosiła dumną głowę, z włosami ciasno zaczesanymi i upiętymi w kok szczelnie zamknięty na kształt muszli z bocznym wejściem. W czasie wykładu wpatrywałyśmy się z zachwytem w tę wysoką energetyczną piękną kobietą. Gdy tworzone Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, została dyrektorem naczelnym z misją zorganizowania zespołu kierowników klinik. Poradziła sobie z tym trudnym zadaniem, ściągając najlepszych fachowców z różnych ośrodków w kraju. Poznałam Panią profesor po wielu latach, gdy 1 maja 1981 roku rozpoczęłam pracę w CZD. Jakby czas się dla niej zatrzymał. Ta sama postura jak kiedyś, prosta sylwetka, chód dostoja, jedynie krótkie, ale gładko uczesane włosy no i elegancja, wytworność, czasami łagodny uśmiech. Pielęgniarki w Izbie Przyjęć opowiadały, że codziennie rano tam była i sprawdzała jak są ubrane. Spod ich różowych (my mieliśmy turkusowe) fartuchów nie mogło nic wystawać, żaden rąbek spódnicy, rękawa etc. Gdy któraś dziewczyna była w ciąży, od razu ją przesuwano na inne miejsce pracy. Bo Izba Przyjęć miała być wizytówką szpitala. I była! Pani Profesor interesowała się asystentami wszystkich klinik CZD. Gdy kolega nieznośnie długo „dziergał” swój bardzo ciekawy doktorat, bo wołał pracę z pacjentami, pani Dyrektor mawiała do naszej, Prof. Teresy Wysznińskiej- „co z tym J.K., napisz pani jemu wreszcie te prace” jeśli pomnicie Panią profesor Goncerzewicz, to była cała Ona! Jednym słowem czuło się, że CZD ma prawdziwego gospodarza, nieomal rodzica.... **Rok 1968 - początek lat warszawskich. Nie ma jak Poznań!** Gdy po III roku studiów wyszłam za mąż, przeniosłam się do AM w Warszawie. Ta uczelnia różniła się od poznańskiej. Zresztą tak, jak różni byli mieszkańcy tych miast. Poznaniacy, mieszkający w swoim mieście od pokoleń, byli uporządkowani i przewidywalni W czasach moich studiów w Poznaniu, myślałam o nich, zresztą nie tylko ja myślałam Tuwimem-„... straszni mieszczanie w strasznych mieszkaniach...”. Wtedy „uporządkowany” Poznań wydawał się nudny. Prawdziwi warszawiacy zginęli w Powstaniu albo wypędzeni po Powstaniu zmienili miejsce zamieszkania. Zresztą chyba nigdy nie mieli tej klasy co poznaniacy. Pewnie jedną z przyczyn był długi wpływ zaborcy rosyjskiego. Ponadto klimat obecnej Warszawy tworzyli przybysze, którzy niedawno opuścili swoje wsie i miasteczka. I w atmosferze panującego w tym mieście ogólnego chaosu, zaczęłam doceniać walory mieszkania i studiowania w spokojnym stabilnym takim jak Poznań mieście i na uporządkowanej uczelni. Byłam zdziwiona, bo podczas gdy terminy kolokwium i egzaminów w Akademii Poznańskiej były znane dużo wcześniej i nie ulegały zmianom, tutaj do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, kiedy będziemy zdawali. Nierzadko zdarzało się, że wreszcie ustalone terminy były

zmieniane dosłownie w ostatniej chwili. Nie było żadnych obecnych wynalazków komunikowania się, niewielu miało w domu telefon, więc jedynie istniała niezawodna „poczta pantoflowa”. Gdy ktoś nagle odkrył w dziekanacie na tablicy, że planowany za tydzień egzamin będzie jutro, w popłochu szukał możliwości kontaktu z kolegami. Bywało, że za późno...W czasie zajęć w klinice w Poznaniu, Prof. Roguski uczył nas, by nie siadać na łóżku badanego pacjenta, a w czasie obchodu z szacunku do pacjenta nie trzymać rąk w kieszeni. Tutaj, już w czasie pierwszych zajęć klinicznych zauważyłam, że dopuszczalne jest nie tylko siedzenie na łóżku chorego, ale wręcz nieomal wylegiwanie się obok :) oczywiście trochę teraz przesadziłam, ale ten fakt przejmował mnie niechęcią. Jednak powoli się przyzwyczajałam. Jak widać do wszystkiego można się przyzwyczaić „ **Jak przygoda - to tylko w Warszawie...**”. Muszę jeszcze opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, bo teraz zabawnie zadziwia, chociaż wtedy wcale takie nie było. Pierwsze dziecko, wymarzoną córeczkę Justynkę (obecnie ekonomistkę), urodziłam na początku V roku studiów, a mianowicie 3 października. A moja grupa rozpoczynała zajęcia 1 października. Panicznie się bałam opuszczać zajęcia, by mieć trudne do nadrobienia zaległości. Przyczyna była głębsza niż moja sumienność. Moja Mama nie chciała bym się tak wcześnie za mąż wydawała i wyrażała wątpliwości, czy dam radę. Ja postanowiłam udowodnić, że będzie ok. I stąd pomysł, by się przenieść do innej grupy, takiej która rozpoczynała zajęcia nieco później. Dziekan nie widział przeszkód i zjawiłam się 10 października, tj. 7 dni po porodzie na zajęciach w PZH przy ul. Chocimskiej. Do dzisiaj pamiętam z jakim trudem siedziałam na wysokim stołku, które mieliśmy do dyspozycji. Jakoś przetrwałam. Chodziłam na zajęcia z tą nową grupą. Gdy po pierwszym kolokwium, zjawiłam się w dziekanacie przed tablicą z wynikami, znalazłam swoje nazwisko z oceną. Ale jakiś duszek mi podszeptał by zajrzeć na tablicę sąsiednią, gdzie były wyniki mojej poprzedniej grupy. I za zdziwieniem zobaczyłam również swoje nazwisko z adnotacją – nie zgłosiła się. Pognałam więc w te pędy do pani sekretarki, która obiecała, że temat uporządkuje. Zadowolona wróciłam do domu. I jakież było moje zdziwienie, gdy po kolejnym kolokwium nic się nie zmieniło. Wisiałam sobie na dwóch listach, na jednej z pozytywną oceną, a na drugiej - „nie zgłosiła się”. Tym razem też poszłam grzecznie do sekretariatu, chociaż z trudem hamowałam wzburzenie. Pani zapoznała się z problemem, przeprosiła i obiecała, że wszystko uporządkuje. Myślicie, że coś się zmieniło? Jeśli tak, to jesteście w grubym błędzie. Sytuacji powtórzyła się kilkakrotnie, nawet się zapisałam na audycję do dziekana, ale właśnie go nie było. Czas płynął... Po pewnym czasie na jakis zajęciach spotkałam Jacka Imieł, z którym kiedyś się zgadałam, że rozpoczynaliśmy razem studia w Poznaniu (chyba się przeniósł do Warszawy rok po mnie). Opowiedział mi zabawną (jak dla kogo) historię. Nawet nie wiedziałam, że jest bardzo aktywny, działa w jakiejś studenckiej radzie i bierze udział w posiedzeniach Rady wydziału (czy jak to się nazywa).. Któregoś dnia dziekan oznajmił wszystkim, że będzie rozpatrywana sprawa studentki, która się nie zgłasza na zajęcia, nic nie zalicza i w ogóle nie wiadomo gdzie jest. Wnioskował o skreślenie z listy studentów. Jacek osłupiał. Po czym wstał i oznajmił, że taką zna dobrze, że jest z nią w grupie i idzie jej bardzo dobrze. Ponoć w wysokim gremium zapanowała mała konsternacja. Porównano listy studentów, znalazły się nawet moje błagalne podania i wreszcie honorowo skreślono mnie z tej nieszczęsnej poprzedniej listy. Na koniec V roku dostałam nagrodę rektorską, no nie, moi mili, nie za tę aferę, a za najprawdziwsze oceny z egzaminów ☺. Ale za to miałam bardzo fajnych kolegów z obu grup.... Dziękuję Ci Jacku za uratowanie skóry... Nieźle prawda? Moi mili, nie na darmo śpiewają „Jak przygoda - to tylko w Warszawie....” **I w skrócie warszawskie czasy.** Dalsze wspomnienia ze studiów na Akademii Medycznej w Warszawie chyba nie będą interesowały moich poznańskich kolegów. Spisałam je dla moich dzieci i wnuków równie obszernie, ale sobie drzemiam w komputerze. Może warto tylko wspomnieć, że miałam tu wspaniałych profesorów jak wspomniany przy okazji omawiania sztucznej nerki Tadeusz Orłowski, Jan Nielubowicz, chirurg transplantolog, jeden z twórców nowoczesnej polskiej kardiologii Zdzisław Askanas, czy prof. Lejmabachówna pediatra z krwi i kości Studia ukończyłam jak większość z nas w 1971 roku. Aha, zapomniałam wspomnieć, że na VI roku studiów

15. grudnia 1970 r. urodziłam drugą córkę Ewę (obecnie mgr inż.). Udało mi się wcześniej zaliczyć internaty z ginekologii i rehabilitacji, więc miałam trochę wolnego czasu....Potem czekałam na staż, wysiadując w Dziekanacie pod drzwiami Pełnomocnika d/s zatrudnienia. Jak wspominałam na wstępie, nie miałam żadnego medyka, przewodnika duchowego który by mi doradził jakieś staże kliniczne. Nawet o takowych nie wiedziałam. I wreszcie któregoś dnia się doczekałam. Przydzielono mi pracę w niedawno utworzonym Zespole Opieki Zdrowotnej (oj, te reformy) na Żoliborzu. Zawarłam umowę o pracę na zasadzie chyba wszystkim znanej (przez rok od godziny 8-12 odbywał się staż w szpitalu i od 13-17 praca w Przychodni Rejonowej na internie. Po stażu należało odpracować jeszcze trzy lata w przychodni. Praca ta na warszawskim Wrzecionie pod Hutą Warszawa m.in. z racji specyficznego społeczeństwa, bo większość mieszkańców to osoby wysiedlone z dość „szemranej” dzielnicy zwanej Annopol gdzie budowano bloki, dała mi wiele doświadczeń nie tylko medycznych. Najczęściej były to osoby starsze, więc musiałam „ogarniać” wiele problemów u jednego pacjenta, ale poznałam też wiele problemów ogólnoludzkich, które miały wpływ na zdrowie somatyczne, nie bałam się kontaktu z ludźmi, pacjentami. Do tej pory myśląc tak jak wtedy, starałam się „ogarniać” wielorakie problemy zdrowotne, zajmując się rodziną a głównie starymi rodzicami. Tuż po stażu urodziłam trzecie dziecko, syna Marcina, który został neurochirurgiem. Moim marzeniem była jednak praca z dziećmi. Nawet złożyłam podanie do dyrektora ZOZ o przeniesienie do Poradni pediatrycznej ze zobowiązaniem, że będę robiła specjalizację w ramach wolontariatu. Niestety (a jak się potem okazało, że bardzo dobrze), odpowiedziano mi, że nie mogą zabierać internistów bo chętnych do pracy nie ma i stale są wolne etaty. Wobec tego kupowałam sobie gazetę- Służbę Zdrowia, w której zamieszczano informacje o tzw. konkursach na stanowiska w szpitalach. Czytywałam przez parę miesięcy, aż wreszcie znalazłam odpowiednie. Poszukiwano człowieka na młodszego asystenta w Szpitalu Zakaźnym im. Dzieci Warszawy przy ul. Siennej w Warszawie. Od zaprzyjaźnionych pediatrów wiedziałam, że jest to pożydowski znakomity szpital, z tradycjami, i świetną szkołą pediatryczną, gdzie szkołą się do specjalizacji lekarze z całej Warszawy. A co było bardzo ważne, zespół jest przesympatyczny. Zgłosiłam się więc, ot, tak „z ulicy”. Przyjęto mnie przyjaźnie, ale poinformowano, że ogłoszenie było zamieszczone tylko zgodnie z procedurami, ale mają już swojego kandydata na to miejsce. Równocześnie dodano, że może pojawi się szansa, gdyż jeszcze trwa nabór lekarzy do oddziałów szpitalnych Centrum Zdrowia Dziecka (Poradnie już funkcjonowały, ale właśnie zakończono budowę szpitala) i nieoficjalnie wiadomo, że kilka osób z zespołu do którego aspirowałam ma zamiar tam się zatrudnić. Odeszłam z zapewnieniem, że otrzymam telefon, gdyby odżył temat wolnego etatu. Wielkiej nadziei nie miałam, na szczęście miałam pracę, więc przyjęłam pozycję wyczekującą. Aż któregoś dnia jednak telefon zadzwonił, zaproszono mnie na ponowną rozmowę, i otrzymałam wymarzoną pracę. Kierownik poradni pożegnał mnie kwiatami, co było wysoce zaskakujące i porzuciłam moje babcię, z których wiele było niepiśmiennych, porzuciłam osiedlowych zaprzyjaźnionych wielce pijaczków a też pana dozorcę, który w moim bloku prowadził bimbrownię i właśnie wrócił z więzienia, bo dostał odpowiedni wyrok za tę nielegalną działalność a poszła siedzieć jego żona Otylia która dostała wyrok za pogryzienie policjanta w czasie akcji zdejmowania bimbrowni. Wyroki odsiadywali kolejno, bo mieli kilkoro dzieci. Były też panie, które pisywały dla mnie (a raczej o mnie) wiersze, oraz starsi panowie którzy bywali w przychodni bardzo często, chyba po to, by obśliniać mi rękę w soczystym pocałunku, etc etc. I tak 1 grudnia 1975 roku zostałam pracownikiem Szpitala im. Dzieci Warszawy przy ul. Siennej. Miejsce było magiczne, piękny gmach wzniesiono przed ponad 100 laty by leczyć tam biedne dzieci żydowskie - był pełen duchów. Przed laty, przez pewien czas pracował tam Janusz Korczak, czułam jego obecność w przepięknej bibliotece z wielką liczbą cennych pięknie wydanych woluminów. W czasie Powstania Warszawskiego był tam szpital i wykonywano wiele operacji. Tam zdobyłam nie tylko wiedzę praktyczną ogólnopediatryczną, ale też neurologiczną, bo oddział neuroinfekcji był znakomity i bardzo ciekawy. Gdybym mogła osiąść w tym oddziale (a byłam tam tylko w ramach rotacji, by

nauczyć się do dyżurów) a nie na przydzielonych „żółtaczkach”, bez dwóch zdań bym została. Niestety oddział żółtaczkowy, mój macierzysty nie budził zachwytu, tam po prostu niewiele się działo. Jednak moja fascynacja neurologią neuroinfekcjami jakby się przeniosła na syna, który jak wspomniałam został neurochirurgiem. W 1979 roku urodziłam czwarte dziecko- Paulinę (obecnie doktor psychologii). Nieomal do końca ciąży dyżurowałam, bo jak wszyscy moi koledzy pamiętają, w tamtych czasach nie było zwyczaju zwalniania z dyżurów z tak błahego powodu ☺. Na urlopie macierzyńskim, który wtedy trwał 3 miesiące poszłam na staż do II stopnia specjalizacji z pediatrii do CZD. Przydzielono mnie do Oddziału Nefrologii, którym kierowała Pani prof. Teresa Wyszyńska. Już wcześniej Ją poznałam, gdyż w 1978 roku zdawałam egzamin z pediatrii w Jej oddziale w Miejskim Szpitalu przy ul. Kopernika. Przewodniczyła komisji, zaliczyłam piątkę, częściowo „za sprawą” przesympatycznego małego grubaska, który w czasie egzaminu praktycznego szepnął do mnie – „a ja mam zespół nerczycowy, ale nie reaguję na sterydy” ☺. Pani Profesor Teresa Wyszyńska pokazywała nam wtedy salkę na strychu którą nieomal całą zajmowało tylko jedno łóżko. To tam, w prawie ekstremalnie trudnych warunkach prowadzono pierwsze w Polsce dializy otrzewnowe u dzieci. Pacjenta wnoszono i wynoszono po bardzo stromych i wąskich schodach. Ledwie się tam wdrapaliśmy. Pani Profesor była przemiłą, bezpośrednią w kontaktach, kobietą „klasą” i dwoma herbami, humanistą ale przede wszystkim wielkiej klasy specjalistą, autorką jedyne go wówczas podręcznika nefrologii dziecięcej. Ona pierwsza się odważyła przeprowadzić dializy otrzewnowe u dzieci. Podziwiałam Ją a po latach najwyraźniej pokochałam. W czasie wspomnianego stażu do II stopnia specjalizacji, Pani prof. zaproponowała mi etat w CZD, u siebie w oddziale. Poczułam się dowartościowana, ale znaczna odległość z mojego Żoliborza (23 km) i przywiązanie do szpitala przy ul. Siennej zdecydowały, że początkowo odmówiłam, jednak po drugiej propozycji, z zaznaczeniem że jest to już ostatni wolny etat, wyraziłam zgodę. Pani profesor mnie przekonała, że warto coś innego zobaczyć, poznać i najwyżej po roku zmienić pracę. Jak się okazało dotrwałam tam do emerytury. Egzamin na II stopień specjalizacji z pediatrii zdałam też na 5 w 1983 roku. Nie zapomnę czasu nauki, gdzie siedziałam z otwartą książką, Paulina na moich kolanach mazała ołówkiem po tej książce, a mąż leżał i czytał gazetę. Po pewnej chwili wychylił się zza gazet i oznajmił: Dziwiłbym się, gdybyś w tych warunkach zdała tę „dwójkę”, po czym wrócił za gazetę. Opowiadałam z uśmiechem, bo to tylko incydent. Tak w ogóle to wszystko było dobrze. Zabezpieczał nas finansowo, tolerował moje naukowe i zawodowe „wzloty”, no i chciał tak jak ja, mieć dużą rodzinę. W 1991 roku obroniłam doktorat pt. Izolowany krwinkomocz u dzieci a stany zagrożenia kamicą układu moczowego. Interesowałam się nie tylko ww. problemami ale też czasami powiązaną z nimi osteoporozą. W CZD był oddział rehabilitacji, gdzie m.in. leczono dzieci z zaburzeniami mineralizacji kości. Opracowałam standardy postępowania diagnostycznego prowadziłam kilka grantów, przez wiele lat byłam kierownikiem przyklinicznej dużej Poradni nefrologii i Nadciśnienia Tętniczego u dzieci. W CZD pracowałam od 1 maja 1981 roku, do 2003, kiedy przy okazji kolejnej reformy zdrowia nie wytrzymałam. Właśnie wymediowałam z Kasami Chorych korzystne wyceny porad uzasadniając tym, że w warunkach ambulatoryjnych, często w ramach pobytu dziecka z rodzicami w hoteliku przy CZD wykonujemy szereg badań, zabiegów etc. Pozwalało to unikać hospitalizacji. Jednak gdy uzyskałam to, co chciałam, nadeszła kolejna reforma i powstał NFZ. Kolejne boje już przestały mnie interesować. Zdecydowałam się więc na pożegnanie z CZD. Od razu przejaśniał mi świat. Już nic nie musiałam, Jednak praca na dwóch etatach (4 dzieci i 8 wnuków), opieka nad długo leżącymi rodzicami, chorobami w rodzinie była nie lada wyzwaniem. Jeszcze czasami, chociaż rzadziej zaglądam do prywatnej przychodni zaprzyjaźnionych urologów, ale częściej dzwonią do mnie pacjenci- ci dawni i nowi, których ktoś polecał. Udzielam więc porad telefonicznych i mailowych w zakresie jaki jest możliwy w takim systemie. Mam czas na dom, ogród, zwiedzanie Polski, sporadyczną opiekę na wnukami a przede wszystkim pisanie, moją pasję... Od 2011 r. prowadzę wielotematyczny blog pod adresem: zofiakonopielko.pl, w którym przed laty zawarłam przedstawiony tu opis czasów studiów w

poznańskiej AM. Pisząc o tym okresie zatęskniłam do kolegów z którymi od dziesięcioleci nie miałam kontaktów. I dzięki FB udało mi się ich znaleźć. Jednym z nich jest prof. Jerzy T. Marcinkowski, dzięki któremu odkryłam rozległe, jakże inne niż czasie studiów obszary higieny. Od czasu pandemii COVID-19, napisaliśmy recenzowanych 7 książek (8 jest już redakcji). Oto tytuły: 1.Przewodnik po rozległych obszarach higieny i epidemiologii. Kompendium (red Marcinkowski JT, Konopielko Z, Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2021; 2.Tatuaże. Gdy ciało staje się tłem (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z, Wiśniewska P), Wydawnictwo Silva Rerum, Poznań, 2021; 3.Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2021; 4.Modyfikacja ciała. Kręta droga od urody życia do...znaczenia po śmierci (red. 5. Higiena psychiczna w krajobrazach miejskich.....zatopienie w pejzażu? W poszukiwaniu triady Witruwiusza: trwałości, użyteczności i piękna (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2022; 6.Tajemnicze bóle kręgosłupa odcinka lędźwiowo-krzyżowego. W kręgach wiedzy, wątpliwości i kontrowersji epidemiologów, lekarzy, fizjoterapeutów i psychologów (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2023; 7. Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej (red. Marcinkowski JT, Rosińska P, Konopielko Z) Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2023.

NIEZAPOMNIANY CHÓR AKADEMII MEDYCZNEJ

Ponieważ w opowieściach kolegów przewija się temat tego chóru, tej szczególnej aktywności wymagającej poświęcania czasu i sił którą łączyli w sposób dla wielu razem studiujących niepojęty z trudami nauki na Akademii Medycznej, nie sposób pominąć Chóru w tych Pamiętnikach. To nie były tylko omawiane przez nas wypady do Filharmonii, Opery czy Teatru, ale ciężka praca dodatkowa i jednocześnie pasja godna podziwu

[Opowieść koleżanki z roku Joanny Paździora \(z d. Piotrowiak\)](#)

Czas studiów, nie obfitował wyłącznie w edukację medyczną. Pewnego dnia, dowiedziałam się, od koleżanki, Ani Górecznej [Anna Góreczna-Derewianka (1947-2017)], o działalności **chóru im. Stanisława Wiechowicza, Akademii Medycznej w Poznaniu**. Znów, hołdując zasadzie, że zawsze warto podjąć próbę realizacji konkretnego zamiaru, udałam się na przesłuchanie. Przeprowadzał je **pamiętny dr Jerzy Fischbach** o którym wspomniałam przy okazji opisywania problemów na anatomii. Stojąc tyłem do klawiatury fortepianu, musiałam udzielać informacji na temat liczby usłyszanej w danej chwili dźwięków. Za każdym razem odpowiadałam bezbłędnie i zostałam przyjęta. Szczerze mówiąc, śpiewanie było dla mnie jak narkotyk. Chór nauczył mnie jeszcze większej dyscypliny i otworzył przede mną drzwi do świata, który był wówczas dostępny tylko nielicznym. Mam tu na myśli wyjazdy do różnych miejsc w Polsce i zagranicę, dotowane przez uczelnię. Po wspomnianych praktykach, w sierpniu, 1968 roku, pojechałam, na cały miesiąc, na obóz wokalny do Łagowa Lubuskiego. Śpiewaliśmy i spędzaliśmy lato nad jeziorami. Pływaliśmy kajakami, opalaliśmy się. Zakwaterowano nas w hoteliku, który później miał służyć prywatnym wczasowiczom. Stołowaliśmy się w restauracji „Pod basztą”. Jedzenie było wspaniałe! Raz w tygodniu, w czwartki, po kolacji, organizowano dla nas dancing. Poza młodzieńczymi przyjemnościami, czerpaliśmy z naszych wyjazdów dodatkową, wyższą satysfakcję. Jako przyszli lekarze, w ramach arteterapii, występowaliśmy przed pacjentami klinik, szpitali, sanatoriów. Po powrocie z Łagowa wróciliśmy do Poznania i po paru dniach pojechaliśmy z całym chórem na Węgry. Był to czas zamieszek w Czechosłowacji. Jechaliśmy przez Lwów, tranzytem. Byliśmy młodymi ludźmi, nie funkcjonującymi w świecie wszechobecnych mediów. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze wówczas sprawy z rangi sytuacji politycznej. Kiedy więc pociąg zatrzymał się we Lwowie, na obowiązkowy, parogodzinny postój, beztrudnie z niego wyszliśmy, by poznać miasto. Niektórzy koledzy, szczególnie studenci Akademii

Ekonomicznej, skorzystali z tej okazji, by pohandlować kremami NIVEA. Kiedy wróciliśmy na peron, okazało się, że nasz pociąg jednak odjechał. Pozostaliśmy na dworcu bez odpowiednich biletów. Władze kolei, chciały nas zawrócić z powrotem, ale wśród kolegów byli tacy, którzy potrafili sprawę załatwić. Złożyliśmy się po parę rubli, na tak zwaną „wzjatkę” i po całej nocy oczekiwania, wczesnym rankiem, pojechaliśmy na Węgry. Tym razem, podróżowaliśmy już lepszym pociągiem, z kuszetkami. Najpierw zajechaliśmy do Debreczyna. Zamieszkaliśmy w akademiku tamtejszej Akademii Medycznej. Następnie ruszyliśmy do Eger i tu, przenocowaliśmy w hotelu turystycznym. Byliśmy tak podekscytowani, że nawet przystaliśmy na towarzystwo pcheł. Kolejnym etapem był Budapeszt i wycieczka na Puszczę oraz Balaton. To były piękne wakacje, nie tylko ze względu na możliwość zobaczenia wielu wspaniałych miejsc. Wspomnienie drugiej połowy studiów, to skojarzenia z wyjazdem do Charkowa. Uczelnie w Charkowie i w Poznaniu, nawiązały umowę w zakresie wymiany studenckiej. Razem z nami, jechali studenci z Uniwersytetu Adama Mickiewicza i Akademii Muzycznej, a także grono działaczy z ZSP. Z tamtej wyprawy wspominam Zenka Laskowika, Krzysia Jaślara, później gwiazd Kabaretu TEY, a także Zbyszka Górnego, który zrobił karierę jako dyrygent słynnych „Biesiad”. Naszym przewodnikiem muzycznym, był już wtedy mgr Stanisław Wiernowolski, asystent na Akademii Muzycznej. Uroczy, spokojny człowiek, ale dr Jerzemu Fischbachowi nie dorównywał muzycznym zaangażowaniem, ani znajomościami w kręgach artystycznych. Dojazd do Charkowa, został zaplanowany na trasie Kijowa, miasta, które zwiedziliśmy już bez żadnych niemiłych przygód. Sam Charków wspominam w sposób bardzo szczególny. Po wizycie w tamtejszej Akademii Medycznej i fabryce traktorów, zostaliśmy zaangażowani do sprzątnięcia parku, w którym rosły wyłącznie brzozy, w ściśle regularnym porządku. Po latach, dowiedziałam się, że był to cmentarz poległych w Starobielsku. Wśród nich, spoczywa brat babci mojego męża, Wiktor Pasionek, kapitan wojsk łącznościowych, wymieniony w Księdze Katyńskiej. Wspominając moją aktywność w chórze, przywołuję jeszcze sylwetki wspaniałych kolegów. Prezesem był Andrzej Stasik, dwa lata ode mnie starszy, student wydziału lekarskiego. Ukończył studia wraz z naszym rocznikiem. Ożenił się z Halinką Ślipczyńską, stomatologiem. Halina pochodziła z Katowic, więc Andrzej, tak jak ja, osiedlił się na Śląsku. Był bardzo zdolnym chirurgiem. Uzyskał stopień doktora nauk medycznych i został ordynatorem na Oddziale Chirurgii w Szpitalu im. Św. Józefa w Mikołowie. Dwa razy spotkaliśmy się na korytarzu Narodowego Funduszu Zdrowia. Za każdym razem, tak bardzo cieszyło nas nasze spotkanie, że obejmując się i całując po koleżeńsku, wzbudzaliśmy zainteresowanie innych. Andrzej już nie żyje, od kilku lat. Przegrał walkę z chorobą nowotworową. Nie sposób wymienić tu wszystkich znajomych, więc podam jeszcze kilka nazwisk, które tworzyły naszą nieformalną, artystyczną rodzinę: Jurek Stokowski (zastępca prezesa i skarbnik), Ewa Lutkowska, Andrzej Polimirski (pseudonim „generał”).

Opowieść Leszka Milanowskiego:

Nasz kolega z roku, obecnie śp. Krzysiu Linke był członkiem Chóru Stuligrosza, zdaje mi się. Na studiach miałem z Nim dość powierzchowny kontakt, bo było mi przykro, gdy jako prezes Chóru Akademii Medycznej w Poznaniu ciągle szukałem nowych członków, a On się nie angażował. Teraz rozumiem, ale dopiero po latach co pośrednio wynikało z naszych długich rozmów, gdy robiłem staż specjalizacyjny na internie do medycyny rodzinnej. Chór to nie tylko chęć i potrzeba śpiewania. To grupa bliższych i dalszych przyjaciół, a przede wszystkim charyzma dyrygenta. Trudno było Krzysiu Linke wejść do gorszego zespołu pod gorszym dyrygentem, którego miał przedtem. Taka wybitnie jednoczącą osobowością był dr Jerzy Fischbach, ale przecież ze Stuligroszem nikt nie mógł się równać.

Zresztą wspomniał, jednoczący, charyzmatyczny Jerzy Fischbach jako bezpartyjny został pozbawiony możliwości dalszego kierowania Chórem Akademii Medycznej w Poznaniu. To była wielka tragedia również dla Chórzystów. On Chór stworzył, dyrygował i Jego osobowość przyciągała.

Niestety, jak Krzysiu Linke, po przebytych doświadczeniach z muzyką, wówczas nie kwapiłem się do Chóru. Znam dr Fischbacha z opowieści, zwłaszcza Ani Górecznej – obecnie śp. koleżanki z naszego roku (studia w latach 1965 -1971) na Akademii Medycznej w Poznaniu.

W 1968 r. byłem działaczem Komisji Kultury Rady Uczelnianej ZSP. Ówczesny jej szef partyjniak JH zaproponował mi „współpracę” przy usunięciu dr Fischbacha. Jakies śmieszne, naciągane zarzuty, jak to w polityce, nie tylko ówczesnej, „bo taka jest potrzeba”. Nie zgodziłem się, a najbardziej mnie bolało wyrzucenie Jej Wielkiego Założyciela. Chór za Jego kadencji był żywą, wesołą grupą towarzyską i zbierał nagrody na festiwalach międzyuczelnianych. Śpiewał też za granicą. Chórowi groziło rozwiązanie. Ania Góreczna a naszego roku próbowała zbierać nowych członków. Jako posiadający podstawowe, rozszerzone o korepetycje, wykształcenie muzyczne z Kutna (dzięki temu, że ojciec wywiózł mnie do pasania krów, gdy musiałem powtarzać II klasę w Szkole Muzycznej i nie chciałem się dalej uczyć muzyki – ale wobec takiego pomysłu Ojca – potulnie ukończyłem tę szkołę) uważałem, że nie można zmarnować tego, co dr Jerzy Fischbach stworzył. Ania Góreczna zaproponowała mi zostanie prezesem Chóru. Jako wesoły człowiek, lubiący śpiewać, czułem że to moje powołanie dla zachowania w pamięci dzieła jego Twórcy, zmuszonego do emigracji.

Nowi członkowie Chóru pochodzili z różnych lat studiów. Śpiewała tam razem ze mną moja późniejsza pierwsza żona, Danusia Pawlak. Do dzisiaj na wspólnych, rodzinnych uroczystościach śpiewamy „Gaude Mater Polonia”. Ona i Ania Góreczna, alty, ja baryton ze Stasiem... Podporą basów był „Generał” Andrzej Polimirski. W sopranach była piękna blondynka Ewa Lutkowska. Główny trzon Chóru AM Poznań stanowili jednak studenci czwartego Wydziału Akademii Muzycznej. Duszą towarzystwa był Marek Bykowski. Od strony chóralnej najmilej wspominam śpiewanie „Exultate Deo...” Scarlattiego w Kościele na Górze Przemysławowa. Oczywiście też „Mruczkowe Bajki” Nowowiejskiego, które do dziś potrafimy zaśpiewać.

Najwięcej członków z nowego naboru miał nasz Chór w latach 1969-1971 – nawet nieco ponad 40. W 1969 roku na wiosnę pojechaliśmy do Charkowa. Na 40 członków było chyba około 26 chórzystów, a reszta to zasłużeni członkowie Rady Okręgowej ZSP. Jechał z nami również Krzysztof Jaślar i szef późniejszego Kabaretu TEY Zenon Laskowik. Z Anią Góreczną dostaliśmy podpis autora „Anatomii prawidłowej” Prof. Sinielnikowa, który był kierownikiem Katedry Anatomii na Uniwersytecie w Charkowie. Kilka koncertów, ale najbardziej zapamiętałem akademię w rocznicę urodzin Lenina. Ceremoniał – jak na Mszy Świętej z „kazaniem” samego Lenina, odtworzonym z płyty, po którym burza oklasków. Tak wspomniałem „przemawiał”!!! Patrzyliśmy z boku na tą bałwochwalczą euforię „tambylców”, ale nie wypadało nie wstać, jako że byliśmy gośćmi... Utkwiły mi w pamięci rozliczne kawały, które Zdzichu i Krzysztof robili z systemu. Gdy przyjechaliśmy, na ulicach były półmetrowe hałdy śniegu. W ciągu 2 dni całkowicie zniknęły, bo wszyscy mieszkańcy w czasie „subotnicy” je wysprzątały. Mieszkańcy czuli, że robią to dla swego dobra. To może po części wynikało z systemu politycznego, ale – jak widać – totalitaryzm potrafił być pożyteczny w czasach kryzysu. Gospodarze zawieźli nas pod Charków i kazali grabić jakiś las. To się nazywało, że to „park”. Oczywiście wygłupy, żarty. A to było miejsce pochówku polskich oficerów, o czym nas nie poinformowano. Do dziś myślę o tym że zgrozę, że nie szanowaliśmy tego miejsca. Gospodarze nam tego nie powiedzieli. Myślę, że celowo mogli nas tam wpuścić, żebyśmy się zabawiali na grobach Polaków. Wolałbym wierzyć, że sumienie jakiegoś „wierchuszki” nas tam wysłało, żebym po latach wspominał to miejsce.

Niezapomniane były obozy w Łagowie Lubuskim pod światłym kierownictwem Jurka Marcinkowskiego. Ostatnio spotkałem w Kościanie jedną z członkiń, żonę Włodka Zydorcza, psychiatrę o dwa lata młodszą, których skojarzył na jakiejś imprezie nasz kolega z roku Piotr Dreds. Bardzo szczęśliwe i dobre małżeństwo. Włodek jest szefem organizacji Małych i Średnich Przedsiębiorstw i razem rok temu próbowaliśmy założyć nową partię polityczną „ORP” – „Obywatelska Rzeczpospolita Polska”. Rozpad nastąpił przez typowe polskie kłótnie.

Niestety zerwałem z Chórem zaraz po uzyskaniu dyplomu lekarza.

Staże, dyżury po 30 godzin na dobę (tak! wówczas to było możliwe: po pracy w szpitalu, poradnia szkolna – 2 godziny – z jednoczesnym dyżurem w Pogotowiu Ratunkowym do rana i z jednoczesnym zabezpieczeniem „Pomocy Wieczorowej” – 4 godziny – zresztą za grosze). Po kolejnym dniu u Prof. Wojnerowicza znowu szkoła, pomoc wieczorowa i jeszcze wieczorem 2 godziny w więzieniu pod Iwnem. Kiedyś, po takich 40 godzinach pracy, tzw. „klawisze” [więzienni] przyprowadzili mi 40-latkę, który nie chciał pracować. Uważali, że jest chory psychicznie. Rozmowa – zorientowany, zdrowy i wreszcie pytam, dlaczego nie pracuje. – bo nigdy nie pracowałem. A z czego Pan żyje? z renty 70-letniej mamusi. Uważałem za swój obowiązek nawrócić go „na dobrą drogę”. Opowiedziałem mu o swojej pracy prze ostatnie 40 godzin i spytałem jak on się czuje, gdy patrzy na takiego jak ja zapracowanego człowieka. Odpowiedź pamiętam do dziś: „A po coś pan taki głupi?!”. Klawisze pękali ze śmiechu, ale nie wiem, czy później czasem ruszył łopatą.

Cale życie miałem takie poczucie, że po studiach Chór zdradziłem. Myślę, że Krzysiu Linke miał podobne poczucie w stosunku do swej chóralnej przeszłości u Stuligrosza, bo był Opiekunem Chóru z ramienia Uczelni. Jednak wykształcenie muzyczne tkwi w nas i przy sprzyjających okolicznościach się odzywa.

Zamieszczono 18 grudnia 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4509>
pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (15). wspomnienia o Krzysiu Linke i Chórze Akademii Medycznej w Poznaniu

List Leszka Milanowskiego do dr Fischbacha po Koncercie w Woźnikach

Wielce Szanowny Panie Doktorze. Jest to trzecia wersja listu pisanego do Pana po koncercie w Woźnikach [kościół klasztorny OO. Franciszkanów pw. św. Stygmatów św. Franciszka w Woźnikach] i po Pana e-mailu z 29 stycznia. Żadna poprzednia nie wydała mi się wystarczająco oddawać moje odczucia po spotkaniu z Panem. Przepraszam, że tak późno odpowiadam na Pana list z 29 stycznia. Po prostu praca. Dopiero w niedzielę mogę usiąść nad odpowiedzią. Bardzo, bardzo żałuję, że z powodu niesprzyjających przypadkowych okoliczności nie zdążyliśmy z Zosią na spotkanie przed koncertem. Może i dobrze, bo miałem szczerą ochotę stanąć obok Andrzeja Polimirskiego, ale poza moja ulubioną staropolską siedemnastowieczną kolędą „Lulajże Jezuniu”, która jest motywem w Scherzo h-mol op. 20 Fryderyka Chopina nic nie potrafiłbym zaśpiewać. Solowy głos Pani Małgorzaty Maciołek przyprawiał mnie o drżenie. Nie nadawałbym się. Nie miałbym sumienia kaleczyć wspaniałego wykonania Chóru swym dawno nie ćwiczonym głosem. Kolęda „Lulajże Jezuniu” ma tak głębokie bernardyńskie i poznańskie korzenie. Była przechowywana w Klasztorze Bernardynek w Staniątkach a oryginalny tekst z 1705 roku jest w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Jest tak głęboko wrośnięta w polską tradycję. Jacek Kaczmarski w swej „Wigilii na Syberii” I Lucjan Rydel w Chórze Aniołów w swym „Betlejem” świadczą o głębokich polskich korzeniach tej kolędy. Przecież wykonanie każdej chóralnej pieśni, zwłaszcza na głosy, wymaga uczestnictwa w próbach. Co ważniejsze jeszcze więcej jeśli Pan ma ambicje przedstawiania tak wspaniałych starodawnych kolęd jak pierwsze dwie i nie tylko w doskonałym profesjonalnym wykonaniu pod swoją dyрекcją.

Odkryciem była dla mnie siedemnastowieczna pierwsza kolęda „Magnum Nomen Domini” Bartłomieja Pekieła. Tak trudna a tak subtelnie poprowadzona przez Pana. No i dwa razy nasz

poznański Feliks Nowowiejski. „Witaj Jezu Ukochany” i „Jezusek Czuwa”. Widać jak głęboko w nas tkwi kolędowa tradycja. Byłem przy ostatnich chwilach Jego Syna w czasie mojej pracy w Pogotowiu w Poznaniu. Nic nie dało się zrobić. A nazwisko robiło na mnie wrażenie.

Widać że dobór repertuaru przez Pana to pokazanie Pana polskiego patriotyzmu. Nie wiedziałem, że takie kolędy w ogóle istnieją. To nie był zwykły koncert kolęd. To był niezwykle koncert niezwykle kolęd. A słowa wiążące Pana Witalisa Nowickiego powodowały że było to jak ciekawe, niemal mistyczne a żywe przedstawienie.

Przy dwóch ostatnich słyszanych kolędach musiałem już z niecierpliwością spoglądać na zegarek, by nie spóźnić się na samolot do Londynu.. Przeżywałem te kolędy z ogromnym napięciem. Z wielkim zaangażowaniem wsłuchiwałem się w słowa „Chrystus Pan się narodził” Kazimierza Wiłkomirskiego do słów Juliusza Słowackiego. Siedziałem obok sławnej skrzypaczki Wandy Wiłkomirskiej z Kajtkiem Petrykowskim w roku 1967 na Konkursie Wieniawskiego w Poznaniu w czasie studiów. Dobrze znaleźliśmy zakamarki Collegium Iuridicum, garderoby, przejścia służbowe z czasów wcześniejszych bez biletowych wtargnięć na Koncerty Poznańskie. Oczywiście nie stać nas było na drogie bilety na Koncert Laureatów. Zresztą bilety dawno wyprzedane. Po pokonaniu znanych sobie labiryntów i ominięciu wszelkich kontroli z jaskółki zauważyliśmy dwa wolne miejsca w pierwszym rzędzie na parterze na których nikt nie odważał się siadać. Jako stali bywalcy Filharmonii Poznańskiej uważaliśmy się za uprawnionych i z pierwszego rzędu oklaskiwaliśmy najpierw Michaila Bezwierchnyj’ego a potem Piotra Janowicza. Niestety przed występem Kaii Danczowskiej jeszcze nie mieliśmy dobrego rozeznania. I nikt nie śmiał wyrzucić z pierwszego rzędu tak zacnych i i ważnych jak my gości.

Doktor Jerzy Fischbach, dyrygent Chóru Poznańskich Madrygalistów imieniem Wacława z Szamotuł odkrył przede mną „Jasną Kolędę” Juliusza Słowackiego i Niewiadomskiego „O Gwiazdo Betlejemską” ze słowami księdza Zygmunta Odelgiewicza i mojego ulubionego i i szanowanego Alojzego Orszulika. Nie znana mi była osiemnastowieczna „My też pastuszkowie” w opracowaniu Mieczysława Makowskiego. Niesamowity i niecodzienny dobór repertuaru.

Już w drzwiach dopadła mnie angielska kolęda „Słuchaj brzmie Aniołów Śpiew” Charlesa Wesleya w opracowaniu Feliksa Mendelsohna. Chyba Pan doktor umieścił ją w repertuarze specjalnie dla mnie. Sam śpiewam ją w oryginalnej angielskiej wersji w czasie Świąt Bożego Narodzenia w naszym kościele Świętego Józefa w Londynie. Gdy akurat mam dyżury w tym okresie zawsze włączam się do śpiewania kolęd do przypadkowych wykonń amatorskich chórów, które odwiedzają szpitale i chorych w tym okresie. A ta akurat jest tak popularna, że niezmiennie zawsze jest w repertuarze. Rostło mi serce.

Ta kolęda pokazywała mi jakim Pan jest człowiekiem jednoczącym, a nie dzielącym. Mimo wszystkich przeciwności, jakie Pana spotkały w życiu a zwłaszcza w pamiętnym 1968 roku gdy usuwano Pana z kierownictwa Chóru Akademii Medycznej w Poznaniu, którego w 1959 roku był Pan założycielem a ja tego świadkiem. Do dziś mam poczucie winy, że nie stać mnie było na stanięcie w Pana obronie. W każdym z nas chyba tylko poza Panem tkwi jakieś poczucie konieczności konformizmu. Ja porównuję Pana do Profesora Władysława Bartoszewskiego z Jego dewizą „Warto być człowiekiem porządnym”.

Mimo przeciwności, stwarzanych Panu trudności i upokorzeń jest Pan w tym miejscu, gdzie nadal daje Pan innym dowody swej wielkiej sztuki i umiejętności organizacyjnych. Potrafi Pan wokół siebie gromadzić ludzi. Do dziś żałuję, że nie byłem członkiem Pańskiego Chóru jak Andrzej Polimirski, który zawsze dla mnie będzie nosił ksywę „General” jak kazał się na studiach nazywać. Z wielką satysfakcją czułem, że jako Prezes Chóru Akademii Medycznej w Poznaniu za swego powiedzmy – podwładnego, mam „generała”.

Na parkingu dopadła mnie międzynarodowa, też przez mnie śpiewana po angielsku a kiedyś w oryginale po niemiecku „Cicha Noc” Friedricha Reicharda. To było niesamowite, gdy ta kolęda biegła za mną. Nie mogłem ruszyć z miejsca dopóki się nie skończyła.

W pracy w Anglii się dziwili, że chce mi się wstawać o czwartej rano w sobotę, by w południe po 7 godzinach być w Polsce, a po zaledwie 30 godzinach wracać by o 2-giej w nocy w poniedziałek być w pracy na ósmą. Zapowiadała się dłuższa wizyta, bo miałem bilet na piątek i powrót w poniedziałek z planowanym uczestnictwem w spotkaniu w Klasztorze Franciszkanów w Woźnikach. Przyznam, nieskromnie, że za swoją zasługę poczytuję sobie ściągnięcie na koncert Andrzeja Polimirskiego oraz przyjazd Zosi i Jurka. Jestem pewien, że Ich obecność sprawiła Panu również bardzo wiele radości. Cieszę się szczerze.. (...). Przyznam się, że Andrzeja Polimirskiego już pochowałem 3 lata temu, gdy po trzech dniach po swej operacji na wózku przyjechał na spotkanie naszego roku do Baranowa. Widać, że jest to człowiek niezniszczalny jak Pan. Żaden wyjęty z życia czas (bo to nie poświęcenie a nagroda) i żadne nawet podwójnie wydane pieniądze nie były przeszkodą w wysłuchaniu Pana Choru i zamienieniu z Panem tych kilku słów.

Rozumiem, co czuje artysta przed koncertem. Jak musi być całkowicie skupiony, nie może się rozpraszać, a jednak znalazł Pan chwilę, bym zdążył Panu złożyć moje wyrazy szacunku.

Dla mnie jest Pan wzorem człowieka niezłomnego, którego trudno jest naśladować. Ja czuję swoje ograniczenia byle i terazniejsze, ale Pana historia życia, Pana dzieła, Pana praca świadczą że można pokonać wszelkie trudności. Dziękuję Panu Bogu, że zachował Pana w zdrowiu i aktywności do teraz, bym miał okazję Pana spotkać. Nie wiem, czy jest jeszcze na świecie aktywny dyrygent w dziewięćdziesiątych latach swego życia. Nie wiem za ile miesięcy znów pojawię się w Polsce, ale na pewno przyjadę na kolejny koncert w wykonani Pańskiego Chóru Madrygalistów. Oby jak najszybciej. Proszę powiadomić Panią Ewę Sumelkę o moich zamiarach.

Zdaje sobie sprawę, że pierwsza część mojego listu brzmi jak recenzja z koncertu w Woźnikach. Chciałbym by została gdzieś udokumentowana, bo nigdzie podobnych recenzji Pana koncertów nie spotkałem. Słowo napisane zostaje w pamięci. Nie roszczę sobie praw autorskich.

Kopie niniejszego listu przesyłam również Zosi Łukaszewicz-Konopielko i Irenie Dąbrowskiej-Masłoń, które zbierają nasze studenckie wspomnienia do ich wykorzystania. Znając poczucie prywatności Pana Doktora za to przepraszam, ale Pańskie życie i Pana dokonania nie mogą być tylko Pana własnością. Z wyrazami najgłębszego szacunku i podziwu, Leszek Milanowski

Zamieszczono 5 lutego 2019 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4584> , pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (19). List do dr Jerzego Fischbacha



dr Jerzy Fischbach dyryguje Chórem i orkiestrą w czasie koncertu w kościele klasztorным OO. Franciszkanów pw. św. Stygmatów św. Franciszka w Woźnikach (zdj. ZK)

Korespondencja Zofii Konopielko z d. Łukaszewicz z dr Jerzym Fischbachem i Leszkiem Milanowskim - nawiązanie do marca 1968 r.

Gdy otrzymałam od Leszka tekst zamieszczony w poprzednim wpisie, miałam niejake wątpliwości czy Pan dr Jerzy Fischbach zgodzi się na publiczne ujawnianie niektórych faktów z Jego życia. Wysłałam więc opowieść Leszka z właśnie takim pytaniem. Wkrótce otrzymałam odpowiedź, przy okazji stale zachwycając się wielką formą dość wiekowego już Pana Doktora – ogromną aktywnością, zaangażowaniem w prowadzeniu Chóru Madrygalistów im. Wacława z Szamotuł, ale też sprawnością w posługiwaniu się słowem no i komputerem. A to w całości tekst tego maila:

Droga koleżanko Zofio!

Każdy list od Pani sprawia mi olbrzymią przyjemność. Po pierwsze używa Pani pięknej formy języka polskiego.

Po drugie jednak z pobudek egoistycznych (niestety) bo lubię być chwalony. Na usprawiedliwienie tego drugiego uczucia podam, że od pierwszych lat studiów, jak i przez wiele, wiele lat życia zawodowego spotykałem się z innymi, przeciwnymi reakcjami otoczenia.

Żyłem przecież w bardzo trudnych czasach, często byłem śledzony, a często pewnie wydawało mi się, że jestem śledzony. Z tych powodów unikałem osobistych kontaktów z otoczeniem. Teraz tego

bardzo żałuję, bo byłem – jak wiem dziś – otoczony wielu wartościowymi ludźmi. Szkoda. Brak mi z Nimi kontaktów.

Były też skierowane przeciw mnie działania, które ugruntowały we mnie autentyczne przekonanie, że to co robię jest mało warte!!

Była praca zawodowa, naukowo-dydaktyczna, aż przyszli po mnie TRZEJ PANOWIE „personalni” Akademii Medycznej (którym podlegał nawet Rektor!!!) i powiedzieli: „my sobie nie życzymy, aby Pan pracował dalej na tej uczelni”.

Wcześniejsze „wywalenie mnie” z kierownictwa chóru było tylko przygrywką mająca pozbawić mnie atutów pracy społecznej dla Akademii Medycznej. Byłem bezpartyjny.

Założenie i prowadzenie chóru AM

W tych czasach, to była nie tylko chęć umuzykalnienia medyków, ale też przede wszystkim chęć kształtowania cech osobowości i kultury. Przyszłych lekarzy. (było to działanie również z nakazu ustnego danego mi przez Kardynała Wyszyńskiego- Ale to nie w tym miejscu).

W momencie usuwania mnie z kierownictwa chóru atmosfera była bardzo gorąca. Uważałem wtenczas, że nawiązywanie czy utrzymywanie kontaktów z moimi byłymi chórzystami było niewskazane dla dobra ukończenia przez nich studiów. Były takie groźby wypowiedziane przez ówczesnego prorektora.

To było dla mnie smutne rozstanie, bardzo to przeżyłem. Nikt z obecnie jeszcze żyjących i zmarłych chórzystów nie wyobrażał sobie jak ja to przeżyłem.

Można to porównać do nagłej utraty najbliższej Rodziny!!! A moje uczucia smutku pogarszał fakt, że nie miałem jeszcze swojej rodziny.....

Mogłem tylko liczyć na to że członkowie dawnej rodziny śpiewaczej po uzyskaniu dyplomu odszukają mnie i nawiążą kontakty tak bardzo mi potrzebne.

Były takie 3 osoby. Dwie z nich do dziś śpiewają u mnie w prowadzonych przez mnie poznańskich Madrygalistach im. Wacława z Szamotuł.

W latach 80-tych, kiedy rektorem został prof. Jerzy Wójtowicz, to prof. Krzysztof Linke, piastujący funkcję prodziekana Wydziału Lekarskiego II znalazł mnie i zaproponował w Imieniu Władz Uczelni, abym wrócił na stanowisko kierownika chóru. Niestety musiałem odmówić z kilku względów: osobistych, nie byłem już pracownikiem AM, no i wiedziałem, że w gronie kierownictwa uczelni są 4 osoby bardzo mi nieżyczliwe. Była to smutna, ale przemyślana decyzja.

Po czasie prof. Krzysztof Linke pofatygował się do mnie jeszcze raz prosząc w imieniu Rektora o wskazanie osoby, która by mogła w dalszym ciągu prowadzić chór studencki AM. Wskazałem prof. Przemysława Pałkę. Wybór mój był jak widać trafny – bo prowadzi mój chór już tyle lat.

Ja bardzo żałuję, że nie powtarzałem się sam nawiązać osobistego kontaktu z prof. Krzysztofem Linke. Człowiekiem dużej kultury osobistej oraz znawcy chóralistyki. Szkoda że teraz odszedł tak przedwcześnie.

Ja nie lubię się narzucać. Pozdrawiam wszystkich, którzy pozytywnie oceniają współpracę ze mną. A jeżeli chcą nawiązać choć bierny, lub czynny w mojej pracy chóralnej, to proszę Szanowną Koleżankę o ułatwienie kontaktu ze mną. To wielka sprawa. Śpiewać można bez względu na wiek. Muzyka odmładza. Pozdrawiam Jerzy Fischbach

Ten list wysłałam Leszkowi, podając adres mailowy Pana Doktora i chyba jeszcze tego samego dnia dostałam do wiadomości mail Leszka adresowany do Dr Fischbacha:

Wielce Szanowny Panie Doktorze. Jestem wdzięczny losowi a zwłaszcza Jurkowi i Zosi, że pozwolili mi z Panem się skontaktować. Myśmy zawsze z rozrzewnieniem i żalem wspominali czasy, gdy Pan był Dyrygentem, Opiekunem, dobrym duchem Chóru. Nie śpiewałem pod Pana batutą, ale znam z opowieści zwłaszcza śp. Ani Górecznej-Derewianki.

Chór pod Pana batutą był grupą RADOSNYCH. Chór AM w Poznaniu był radosną grupą życzliwych entuzjastycznych przyjaciół którą namiastkę próbowałem kontynuować. Wówczas wszyscy wspominali Pana okres jako najlepszy dla Chóru. Może fajnie było z Jurkiem na obozie w Łagowie, ale brakowało Pana entuzjazmu. Cieszę się tylko, że chyba trochę dzięki mnie Chór przeżył po 1968 roku ale już nigdy nie był taki.

Wiedzieliśmy co zostało stracone, bo następny dyrygent, nie będę wymieniał nazwiska. człowiek na pewno porządny i fachowiec, nie umiał stworzyć atmosfery gdzie chciałoby się tam spotykać, co było za Pana czasów. Przetrwaliśmy dzięki studentom wydziału czwartego WSM w Poznaniu im. Wieniawskiego. Nie zapomnę zwłaszcza Marka Bykowskiego, z którym straciłem kontakt.

Nie wiem, dlaczego po okresie szaleństwa nie zwróciliśmy się do Pana o powrót. Może miałem za mało czasu. Zresztą samemu, gdy Uczelnia nie chciała mnie przyjąć na staże poczułem się z niej wyrzucony i z Chórem zerwałem. Nawet nie wiem, co się dalej działo. Raz tylko wlałem z Córką przez okno w 'Aspirynce' jakieś 20 lat temu i miałem okazję bawić się w tym towarzystwie na zamkniętej imprezie. Już wówczas Krzysiu Linke był opiekunem Chóru. Brakuje mi Jego relacji. Inni ludzie, nieznani, nawet nie wiedzieli kto był Twórcą Chóru.

Żywe wspomnienia i relacje o działalności Chóru dostałem od śp. Krzysia Linke na rok przed Jego tragicznym odejściem. On wiedział, że byłem kiedyś prezesem i czułem się, jakby zdawał mi sprawozdanie z tego co się działo z Chórem za Jego kadencji. Duma i mnie rozpierała. Jego zabiła ambicja i poniżenie, jakie Go spotkało.

Jurek zajmuje się czasem przejścia na emeryturę, co i mnie powinno dotyczyć. Niestety, boję się tego i dlatego ciągle pracuję. Chyba jestem ostatnim czynnym chirurgiem z naszego roku 1971, ale to ze strachu. Potrzebuję jakiegoś zajęcia równie pasjonującego. Zosia i Jurek wspaniale wspierają.

Szanowny Panie Doktorze, Nie wiem kto teraz jest opiekunem Chóru po Krzysiu. Niniejszym zlecam Jemu służbowe polecenie odnalezienia człowieka.

Jurka zapładniam następnym zadaniem. Co stoi na przeszkodzie zorganizowania spotkania obecnych członków oraz weteranów Chóru i Jego założyciela tj. Pana Doktora. Łączą nas wspólne przeżywanie czegoś co Piękne – a nazywa się Muzyką.

Proponuję każdemu napisanie kilku wierszy wspomnień, Jurek mógłby to zebrać i na takim spotkaniu dostalibyśmy garść prawdy o sobie.

Mój stosunek do Pana Doktora Pan zna. Osobiście bardzo Pana proszę, by Pan napisał kilka słów o swoich z Chórem przeżyciach, o jego początkach, wyjazdach, może pamięta Pan nazwiska?.

Ja z bezsilnej złości, jeszcze a latach 70 ubiegłego wieku zniszczyłem swoje prywatne archiwum Chóru. Szkoda. Chyba po latach Pana świadectwo traktowania Polaków jakie Pana spotkało byłoby

również cennym świadectwem traktowania innych jak „gorszego sortu”. Oby te czasy nigdy nie wróciły.

Przecież na pewno obserwował Pan z daleka moje skromne wysiłki, które nie umywały się do Pana charyzmy. Nie mam tego co Pan geniuszu.

Łączę najlepsze życzenia Świąteczne. Tego maila wysyłam również do Zosi i Jurka. Z wyrazami głębokiego szacunku, Leszek Milanowski

Równocześnie Leszek napisał do mnie:

Zosiu. Dzięki za ten list. Widać, że zadra lat komuny ciągle w nas tkwi. Dziś wszyscy możemy sobie wyrzucać, że myśmy nie skontaktowali się z Dr Fiszbachem, a Jemu też zabrakło wyobraźni, że system może kiedyś upaść.

Mnie zresztą i tak spotkały małe szykany, gdy nie zgodziłem się na podpisanie jedynie słusznej rezolucji przywiezionej z komitetu wojewódzkiego pzpr (celowo małe litery). Wyrzucony z ZMS-u, o mało nie pojechałem na praktykę do Glasgow, ale co to za szykany!

Zabrakło kręgosłupa, zresztą pewnie byłoby tak, jak Pan doktor pisze.

Kamasze i wyrzucenie ze studiów.

Tak działa strach przed każdym reżimem, że podporządkowujemy się nawet myśłom dyktatora.

Ania mi mówiła, że mamy zakaz kontaktowania się. Posłusznie wykonywałem zalecenia. Czuję się jak kolaborant tamtej władzy. Ale kto przewidywał, że przyjdzie Wałęsa ?

Zosiu, Dziękuję za kontakt. Leszek Milanowski

Zamieszczono (oczywiście za zgodą autorów wypowiedzi) w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4517>, dnia 20 grudnia 2018, pt. W 1968 roku 'jakbym nagle utracił najbliższą Rodzinę' – powiedział dr Jerzy Fischbach.

NASZ ROK W INTERNECIE

Dr n. med. Andrzej Baszkowski (1947-2021)



Andrzej Baszkowski

Kongres FDI w Poznaniu. „To z tego spotkania pochodzi zdjęcie Andrzeja Baszkowskiego i pani profesor Marii Kobylańskiej, dwojga niezwykłych osobowości z którymi wielu z nas miało szczęście i zaszczyt współpracować”. <https://pts.net.pl/ostatnie-pozegnanie-z-dr-n-med-andrzejem-baszkowskim/>

Andrzej Baszkowski tak pisał w Biuletynie Wielkopolskiej Izby Lekarskiej, w listopadzie 2019 r:

„**Życie**... Literatura fantastycznonaukowa często straszyla nas nieuchronną zagładą naszej cywilizacji. Przyczyny bywały różne: konflikt nuklearny, kompletna degradacja środowiska naturalnego, przeludnienie, ataki terrorystyczne... Dziś na pierwszy plan w zagrożeniach, obok żywiołów, wysuwają się terroryści. Dokonują coraz to bardziej zuchwałych zamachów z coraz większą liczbą ofiar. Okazuje się także, że nie ma na naszej Ziemi zakątka wolnego od tej plagi. Należy też zrewidować dotychczasowy obraz zamachowca – terrorysty. To nie analfabeci z biednych obozów dla uchodźców czy wiosek, nieuświadomieni i łatwi do manipulowania. Tacy nie poprowadzą nowoczesnego samolotu ani nie odpalą skutecznie rakiety. To młodzi mężczyźni, często dobrze wykształceni, świadomi tego, co robią, i przekonani do swoich racji. Ich determinacji nie powstrzyma nawet ryzyko śmierci. Gotowi są użyć każdej dostępnej broni. Liczy się skuteczność, czyli liczba ofiar. Tak już na świecie jest, że każdy wynalazek wymyślony w najbardziej pokojowym celu natychmiast ktoś inny przekształca w nowy, skuteczniejszy środek zabijania.

Nie ma granicy zła i cierpień, jakie ono niesie. Teraz mówi się, że praktycznie nie można zagwarantować pełnego bezpieczeństwa ani tego, że terroryści nie wejdą w posiadanie broni atomowej, biologicznej, chemicznej czy tej najnowocześniejszej pozwalającej na zniszczenie elektronicznego zabezpieczenia systemów zarządzania, bezpieczeństwa, kontroli i obronności. A stąd już mały krok do wywołania katastrofy, np. w elektrowniach atomowych, spowodowania odpalenia rakiet przez zapozorowanie ataku innych rakiet czy wywołania chaosu w bankach... Specjaliści twierdzą, że to nie wymysły. Raczej należy się zastanawiać, kiedy to nastąpi: wcześniej czy później.

Świat musi się bronić i chce to robić. Ale żeby był w tym skuteczny, musi mieć zgodę na zabijanie... Nie ma innego sposobu. Można co najwyżej użyć eufemizmu, że chodzi o eliminowanie zagrażających osobników, dla których śmierć jest stanem oczekiwanym. Albo, jak mówi armia, o zgodę na eliminowanie siły żywej... I taka zgoda została zasygnalizowana nawet z Watykanu.

Kilka dni temu byliśmy na cmentarzach. Wspominaliśmy naszych kochanych, którzy odeszli, naszych bliskich, których także już nie ma, naszych kolegów, z którymi jeszcze wczoraj rozmawialiśmy... Uświadamialiśmy sobie coraz większą pustkę wokół nas. Czasem rano nie mamy do kogo zadzwonić...

Magia cmentarnej atmosfery. Cisza, migotanie światełek, zapach palonych świec... Czy nie wystarczy normalna kolej rzeczy: narodziny, życie, śmierć? Koniecznie muszą być terroryści i wojny?

Ten felieton napisałem 18 lat temu. Czy coś na tym świecie poprawiliśmy?”

Andrzej Baszkowski”, Wielkopolska Izba Lekarska, listopad 2019, https://wil.org.pl/wp-content/uploads/biuletyn_wil_11.2019.pdf

„Dnia 12 grudnia 2021 zmarł dr n.med. Andrzej Baszkowski, specjalista chirurgii stomatologicznej, współtwórca Wielkopolskiej Izby Lekarskiej, redaktor naczelny Biuletynu WIL, autor wstępnego felietonu czytanego zawsze z ogromnym zainteresowaniem. Dr Baszkowski był przewodniczącym i wiceprzewodniczącym Komisji Stomatologicznej WIL a także wiceprezesem Wielkopolskiej Izby Lekarskiej i Komisji Stomatologicznej NRL, wieloletnim członkiem Naczelnej Rady Lekarskiej. Był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dr Baszkowski to także nasz ceniony negocjator z Narodowym Funduszem Zdrowia, zawsze zwolennik ugody i kompromisu, wyznawca tezy „będziesz ciężko pracował ale będziesz godnie żył” oraz „najlepszą modlitwą jest praca”. Andrzej był autorem opracowań z dziedziny historii stomatologii w Wielkopolsce, dowcipnym, pełnym uroku erudyta. Zmarł za wcześnie ku ogromnemu żalowi wszystkich którzy z Nim współpracowali, podróżowali i spierali się o autonomię stomatologii w ramach wspólnej izby lekarskiej. Był fantastycznym, ciepłym, mądrym człowiekiem.

Dr Andrzej Baszkowski był też członkiem i współpracownikiem Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego, jurorem w konkursach podczas Saldentu i CEDE, duszą towarzystwa podczas spotkań na Kongresie FDI w Poznaniu. To z tego spotkania pochodzi zdjęcie Andrzeja Baszkowskiego i pani profesor Marii Kobyłańskiej, dwojga niezwykłych osobowości z którymi wielu z nas miało szczęście i zaszczyt współpracować.

Pogrzeb Andrzeja Baszkowskiego zaplanowano na 23 grudnia 2021 o godz. 13.10 na Cmentarzu Junikowskim.

Jako społeczność Polskiego Towarzystwa stomatologicznego rodzinie dr n. med. Andrzeja Baszkowskiego składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Poznań, dnia 20 grudnia 2021”

<https://pts.net.pl/ostatnie-pozegnanie-z-dr-n-med-andrzejem-baszkowskim/>

„12 grudnia 2021 r. zmarł dr Andrzej Baszkowski, specjalista chirurgii stomatologicznej, współtwórca zębów Wielkopolskiej Izby Lekarskiej, w tym jej biuletynu, którego był redaktorem naczelnym i do którego pisał nieocenione i chętnie czytane słowo wstępne.

Przewodniczył Komisji Stomatologicznej WIL, był też wiceprezesem Okręgowej Rady Lekarskiej WIL, wieloletnim członkiem Naczelnej Rady Lekarskiej i wiceprzewodniczącym Komisji Stomatologicznej NRL.

Doktor Andrzej Baszkowski dał się poznać na arenie ogólnopolskiej jako ceniony uczestnik negocjacji z Narodowym Funduszem Zdrowia, z których zdawał relacje w felietonach „Gazety Lekarskiej”. Sojusznik ugody i kompromisu, wyznawca tezy: ‘będziesz ciężko pracował, ale będziesz godnie żył’ oraz ‘najlepszą modlitwą jest praca’.

Autor opracowań z dziedziny historii stomatologii w Wielkopolsce, dowcipny, pełny uroku erudyta. Zmarł za wcześnie ku ogromnemu żalowi wszystkich, którzy z Nim współpracowali, spierali się o autonomię stomatologii w ramach wspólnej izby lekarskiej, podróżowali i wędrowali po lesie z kijkami. Bywali w operze i na balach. Był fantastycznym, ciepłym, mądrym człowiekiem.

Był autorem książek „Od negocjacji po kompromis. Skutki wprowadzenia powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych na życie zawodowe lekarzy polskich do roku 1950” oraz „Wielkopolska Izba Lekarska. Tradycja i współczesność 2000-2019”, a także współautorem monografii poświęconej historii WIL.

Andrzej został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi i najwyższym odznaczeniem samorządu lekarskiego ‘Meritus pro Medicis’. W 2019 r. podczas poznańskiej gali 30-lecia odrodzenia izb lekarskich odebrał statuetkę im. Józefa Strusia. Rok 2021 przyniósł Andrzejowi Baszkowskiemu podczas jubileuszu 100-lecia powstania Izby Lekarskiej Poznańsko-Pomorskiej, jako głównemu autorowi uroczystości, nagrodę za krzewienie pamięci historycznej o lekarzach i lekarzach dentystach.

Był też członkiem i współpracownikiem Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego, jurorem w konkursach podczas Saldentu i CEDE, duszą towarzystwa w czasie

spotkań na Kongresie FDI w Poznaniu. Był osobowością niezwykłą. Na zawsze pozostanie w pamięci tych, którzy mieli szczęście i zaszczyt z nim współpracować.

Żegnaj Andrzeju!

Anna Kurhańska-Flisykowska, Anna Tarajkowska”

Wspomnienie. Dr Andrzej Baszkowski (1947-2021), Gazeta Lekarska, gazetalekarska.pl Data publikacji: 18 marca 2022

<https://gazetalekarska.pl/wspomnienie-dr-andrzej-baszkowski-1947-2021/>

Prof. dr hab. Piotr Dylewicz

Akademia Nauk Stosowanych im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie

Specjalności: kardiologia, rehabilitacja kardiologiczna

Art. m.in.: P. Dylewicz, M. Krzywicka, Healthness - nowe wyzwanie dla kardiologii prewencyjnej, Artykuł, Folia Cardiologica, 2015; P. Dylewicz, D. Sobczak, The application of walking training in the rehabilitation of patients after coronary artery bypass grafting, Kardiochirurgia i Torakochirurgia Polska, 2015

<https://ludzie.nauka.gov.pl/in/profiles/2K45YuJ7o8g/publications>

Prof. dr hab. n. med. Piotr Dylewicz: „>>Nieuczesane<< myśli >>pierwszego prezesa<< na srebrny jubileusz WIL, czyli: Czego nauczyłem się przez 25 lat w Izbie i poza nią”:

„ - Nie zapominać w żadnej sytuacji, że wśród wielu cech, które świadczą o wielkości lekarza, najważniejszą jest POKORA.

- Wystrzegać się owacji na stojąco. Świat jest pełen efekciarzy zarówno wśród bijących brawo, jak i oklaskiwanych. Srebrny jubileusz izby jest najlepszym, bezkompromisowym sędzią.

- Potrafić powiedzieć NIE, gdy spotykamy się z działaniami zagrażającymi naszemu poczuciu ludzkiej godności. Pozostawanie biernym, ale wiernym jest bezpieczne jedynie na krótką metę. Koniec bywa najczęściej żałosny.

- Pamiętać, że także w środowisku lekarskim sprawdza się stara prawda, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Można to dostrzec również w 25-letniej retrospekcji naszego życia samorządowego.

- Przedstawiać swoje stanowisko możliwie już w pierwszej wypowiedzi i to niezależnie od treści zadanego pytania. Druga okazja może się nie pojawić.

- Unikać rozmów z dziennikarzami przez telefon. Umawiać się na osobistą rozmowę, wyłącznie po godz. 15.00. O tej porze nikt z mediów się nie pojawi, a my mamy czas na wyjaśnienie sprawy we własnym gronie.

- Szanować dorobek i doświadczenie starszych koleżanek i kolegów, niezależnie od pozycji zawodowej i społecznej, jaką udało im się osiągnąć.

- Wierzyć w młodość i postęp, a równocześnie pomagać następcom tworzyć mosty między naukami medycznymi a sztuką leczenia oraz uczyć PRYZWOITOŚCI i UCZCIWOŚCI w stosunku do pacjentów, ich rodzin i współpracowników.

- Nie komentować nigdy publicznie czyjś niepowodzenia. Też kiedyś możemy mieć słabszy dzień.

- Pogodzić się z myślą poety: 'Nikt żywy w kraj młodości raz drugi nie wraca, Młodość, raz już miniona, minęła niezwrotnie...’.

Prof. dr hab. n. med. Piotr Dylewicz”

Nieuczesane” myśli „pierwszego prezesa” na srebrny jubileusz WIL, czyli: Czego nauczyłem się przez 25 lat w Izbie i poza nią, Wielkopolska Izba Lekarska, grudzień 2014/styczeń 2015

Prof. dr hab. Marian Grzymisławski



Marian Grzymisławski: prof. dr hab. n. med. - profesor nauk medycznych. Kierownik Pracowni Dietetyki Klinicznej działającej przy Katedrze i Klinice Gastroenterologii, Dietetyki i Chorób Wewnętrznych na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Członek Komitetu Żywienia Człowieka Polskiej Akademii Nauk, wieloletni Redaktor Naczelny czasopisma „Nowiny Lekarskie” (obecnie Journal of Medical Science). Członek wielu towarzystw naukowych. Autor i współautor publikacji z zakresu dietetyki.

<https://pzwł.pl/autor/Marian-Grzymislawski,a,1542149?srsId=AfmBOoqilJcVrgalQJAdPztOTDGRg4CA-IsqY1F6FrDlly372qVviblx>

Lek. med., specjalista ortopedii i rehabilitacji Piotr Janaszek (1947-1998)

Piotr Janaszek (ur. 21 kwietnia 1947 w Poznaniu, zm. 6 grudnia 1998 w okolicach Bardzinka) – polski lekarz, specjalista ortopedii i rehabilitacji, harcmistrz ZHP, społecznik, publicysta.



Życiorys zawarty w Wikipedii:

Urodził się w rodzinie kultywującej etos pracy organicznej^[1]. Jego rodzicami byli: Zuzanna z domu Niedziela, która przez ponad 50 lat prowadziła warsztat ortopedyczny przy Dolnej Wildzie 20 w Poznaniu oraz Witosław – uczestnik kampanii wrześniowej, wieloletni pracownik NBP.

Ukończył III LO im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu. Podczas studiów na Akademii Medycznej w Poznaniu (1965–1971) współtworzył Drużyny „Nieprzetartego Szlaku” przy Klinice Ortopedycznej w Poznaniu, realizując formę rehabilitacji poprzez obozy harcerskie. Był uczniem prof. Wiktora Degi^{[2][3]}.

W 1968 został podharcmistrzem 16. Poznańskiej Drużyny Harcerskiej im. Gen. Józefa Bema, a w 1983 harcmistrzem^[4].

Po uzyskaniu dyplomu lekarza rozpoczął pracę w Szpitalu Powiatowym (później Wojewódzkim) w Koninie. Stworzył tam Oddział Rehabilitacji Dziecięcej (pierwszy w Polsce w szpitalu wojewódzkim), Poradnię Zaopatrzenia Ortopedycznego, Oddział Wojewódzki Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem (od 1993 roku był prezesem zarządu głównego TWK) i jeden z pierwszych w Polsce Warsztat Terapii Zajęciowej^{[2][3][5]}. Z jego inicjatywy w 1987 powstała Żeńska Drużyna Starszoharcerska „Humanitas” przy Liceum Medycznym w Koninie^[6]. Od 1981 roku organizował w Koninie Ogólnopolskie Przeglądy Filmów „Żyją wśród nas”^[7], poświęcone problemom osób niepełnosprawnych^{[2][3]}.

Był twórcą nowatorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej w Mielnicy nad Gopłem, którego głównym celem była integracja osób niepełnosprawnych ze społeczeństwem^{[2][5][8][9]}. W 1989 roku stworzył w Koninie Fundację Mielnica^[10], przy której uruchomił: dwa Warsztaty Terapii Zajęciowej (WTZ w Koninie był jednym z pierwszych w Polsce; WTZ w Mielnicy powstał kilka lat później), zakład pracy chronionej, przychodnię rehabilitacyjną, Klub Sportowy Osób Niepełnosprawnych „Spartakus”, Ośrodek Kształcenia Instruktorów Terapii Zajęciowej, Hostel dla Matki z Dzieckiem Niepełnosprawnym, a także redakcję kwartalnika „Warsztat Terapii Zajęciowej” oraz „Wiadomości Mielnickich”^{[2][5][11]}.

Organizował też pierwsze Ogólnopolskie Olimpiady Umiejętności Osób Niepełnosprawnych „Abilimpiada” (w Koninie) oraz pobyty osób niepełnosprawnych w Szwecji, Holandii, Czechach, Francji, Niemczech oraz w USA^{[2][5]}.

Był zapraszany na konferencje naukowe m.in. w Wiedniu, Nowym Jorku, Pradze. Uczestniczył w Kongresach Rehabilitacji Europejskiej, a od 1992 uczestniczył w konferencjach Papieskiej Rady ds. Służby Zdrowia w Watykanie. Od 1996 organizował corocznie w Poznaniu ogólnopolskie sympozja dotyczące rehabilitacji^[6].

Był także publicystą i felietonistą. Publikował m.in. w „Nowym Medyku”, „Szpilkach”, „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, „Głosie Wielkopolskim”^[12], polonijnym „Kurierze” i „Białym Orle”, a także nowojorskim „Nowym Dzienniku”^[6].

Zginął w wypadku samochodowym 6 grudnia 1998 wracając z Warszawy z mikołajkowego spotkania z dziećmi niepełnosprawnymi^{[3][5]}. Pochowany na cmentarzu parafialnym św. Jana Vianneya w Poznaniu^[4].

Funkcje i członkostwa

Był członkiem Komitetu Ochrony Praw Dziecka, pełnił funkcję sekretarza Krajowej Rady Zdrowia Związku Młodzieży Wiejskiej. Był przedstawicielem Polski w Rehabilitation International z siedzibą w Nowym Jorku^[2]. W 1994 powołany do ministerialnego zespołu doradców ds. osób niepełnosprawnych. Był też członkiem rady nadzorczej Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON)^[2] oraz doradcą Pełnomocnika Rządu ds. Osób Niepełnosprawnych^[3], członkiem komisji informacji Wielkopolskiej Izby Lekarskiej. Od 1997 był członkiem międzynarodowej organizacji Ashoka.^[6]

Upamiętnienie

Idee Piotra Janaszka są wdrażane w życie w Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka „Podaj Dalej” w Koninie^{[13][14][15]}, zarządzanej przez córki lekarza Zuzannę Janaszek–Maciaszek oraz Olgę Janaszek–Serafin.^{[16][17][18][19]}

W 2009 roku została wydana książka „Doktor Piotr. Pasje życia Piotra Janaszka” autorstwa Eugenii R. Dabertowej^[20].

Od 2012 rondo u zbiegu ulic Wyszyńskiego, Jana Pawła II, Popiełuszki i Wyzwolenia w Koninie nosi imię Doktora Piotra Janaszka^[21]. Piotr Janaszek jest też patronem Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Rychwale^[22].

30 listopada 2019 odbyła się w Koninie premiera filmu dokumentalnego „Doktor Piotr” w reżyserii Zdzisława Siwika juniora^{[1][23][24][25][26]}.

Odnaczenia i wyróżnienia

Medal im. Karola Marcinkowskiego z nr 2 przyznany przez rektora i senat Akademii Medycznej w Poznaniu (1984)^[2]

Nagroda im. dr Hanny Dworakowskiej Serce na Dłoni (1988)^[2]

Nagroda Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej I stopnia za osiągnięcia w dziedzinie rehabilitacji leczniczej (1988)^[3]

Nagroda Pracy Organicznej przyznana przez *Głos Wielkopolski* (1991)^[3]

Brązowy i Złoty [Krzyż Zasługi](#)^[3]

Złoty Krzyż Za Zasługi dla ZHP^[4]

Nagroda im. Doktora Lecha Wierusza nadawana przez TWK (1997)^[3]

[Order Uśmiechu](#) (1998)^{[3][27][28]}

Złoty Medal Alberta Schweitzera przyznany przez Polską Akademię Medycyny (1998)^[3]

Tytuł „Wielkopolanina Roku 1998” przyznany przez słuchaczy [Radia Merkury](#) (1998)^[2]

[Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski](#) (pośmiertnie)^{[2][3]}

Medal *Twórcy Polskiej Rehabilitacji* z numerem 50. (pośmiertnie; ostatni z wybitych z jego inicjatywy)^{[2][3]}.

Przypisy

- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) Jerzy T. Marcinkowski, [Biuletyn Informacyjny Wielkopolskiej Izby Lekarskiej, nr 3\(302\)](#) [online], marzec 2020, s. 26-27.
- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [f](#) [g](#) [h](#) [i](#) [j](#) [k](#) [l](#) [m](#) [Jedno krótkie życie Niezwykłego Lekarza – Piotra Janaszka. Biografia. – Spojrzenie](#) [online] [dostęp 2020-04-15] (pol.).
- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [f](#) [g](#) [h](#) [i](#) [j](#) [k](#) [l](#) [m](#) [Doktor Piotr Janaszek](#) [online], [www.podajdalej.org.pl](#) [dostęp 2020-04-15].
- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) Ryszard Dubisz, [Harcerskie miejsca pamięci na terenie dzielnicy Poznań - Jeżyce](#) [online], s. 31, 2006.
- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [O Doktorze Piotrze, który niepełnosprawnym dzieciom dał skrzydła](#) [online], [www.podajdalej.org.pl](#), 6 grudnia 2018 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
- ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) Eugenia R. Dabertowa, *Doktor Piotr. Pasje życia Piotra Janaszka.*, 2009, [ISBN 978-83-928256-0-9](#).
- ↑ Andrzej Moś, Izabela Bobrowska, *Jaka jesteś MUZO? ? Szkic do historii Amatorskiego Klubu Filmowego MUZA 1973-2013.*, 2014, s. 8, 21-22.
- ↑ Emilia Traczyk, [Integracja](#), grudzień 2018, s. 38-40, [ISSN 1232-8510](#).
- ↑ Mariusz Lubecki, *Rola ośrodków rehabilitacyjno-ortopedycznych w polskim modelu rehabilitacji medycznej w drugiej połowie XX wieku.*, *Rozprawa na stopień doktora nauk medycznych z Katedry i Zakładu Historii Nauk Medycznych Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.*, 2010, s. 155-157.
- ↑ [Mielnica](#) [online], [www.podajdalej.org.pl](#) [dostęp 2020-04-15] (pol.).
- ↑ Janusz Michalak, [Doktor Piotr](#) [online], *Wprost*, 13 grudnia 1998 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
- ↑ Piotr Janaszek, *Pojedynki z głupotą, Felietony z lat 1990 - 1998, które ukazywały się na łamach "Głosu Wielkopolskiego" w dodatku "Solidarność - Poznań".*, 1999, [ISBN 83-85274-47-2](#).

13. ↑ [Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka „Podaj dalej”](http://www.podajdalej.org.pl) [online], www.podajdalej.org.pl [dostęp 2020-04-15] (pol.).
14. ↑ [Osada Janaszkowo](#) [online] [dostęp 2020-04-15] (pol.).
15. ↑ [Mieszkania Treningowe](#) [online] [dostęp 2020-04-15] (pol.).
16. ↑ [Konin: Córki kontynuują dzieło ojca](#) [online], TV Wielkopolska, 14 stycznia 2019 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
17. ↑ [6 kadencja, 56 posiedzenie, 4 dzień - Poseł Elżbieta Streker-Dembińska](#) [online], orka2.sejm.gov.pl [dostęp 2020-04-15].
18. ↑ [20. rocznica tragicznej śmierci Doktora Piotra Janaszka. Niepełnosprawnym dzieciom dał skrzydła](#). [dostęp 2020-04-15].
19. ↑ [Wyjątkowy projekt Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka "Podaj Dalej"](#) [online], PolskieRadio.pl [dostęp 2020-04-15].
20. ↑ [Nasz Doktor](#) [online], www.niepelnosprawni.pl [dostęp 2020-04-15] (pol.).
21. ↑ [Rondo imienia Doktora Piotra Janaszka](#) [online], www.podajdalej.org.pl, 29 listopada 2012 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
22. ↑ J.S.K. Internet, [Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Piotra Janaszka w Rychwale](#) [online], SOSW w Rychwale [dostęp 2020-04-15] (pol.).
23. ↑ [Doktor Piotr – Ikona Wielkopolski – Konińska Fundacja Kultury](#) [online] [dostęp 2020-04-15] (pol.).
24. ↑ [Wielkie święto Przyjaciół Doktora Piotra](#) [online], Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka „Podaj dalej”, 1 grudnia 2019 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
25. ↑ [Konin. Doktor Piotr – wizjoner, który wyprzedził epokę](#) [online], TV Wielkopolska, 2 grudnia 2019 [dostęp 2020-04-15] (pol.).
26. ↑ [Doktor Piotr](#) [online], www.konin.pl [dostęp 2020-04-15].
27. ↑ [kawalerowie – OrderUśmiechu.pl](#) [online] [dostęp 2020-04-15] (pol.).
28. ↑ LM Lokalne Media, [Piotr Janaszek 20 lat temu odznaczony Orderem Uśmiechu](#) [online], LM.pl - Portal Wielkopolski Wschodniej [dostęp 2020-04-15] (pol.).

Dr n. med. Wojciech Kasprzak



Dr n. med. Wojciech Kasprzak, prof. Wyższej Szkoły Hotelarstwa i Gastronomii (WSHiG) w Poznaniu - specjalista chorób wewnętrznych, gastroenterologii, pulmonologii i fizjoterapii. Praktyk i zarazem wykładowca akademicki (fizjoterapia, medycyna uzdrowiskowa, turystyka zdrowotna). Dr n. med. Wojciech Kasprzak w 1989 roku założył Prywatny Gabinet Lekarski SALUS, który z powodzeniem prowadzi do dzisiaj (obecnie współpracuje z wieloma specjalistami). Dr n. med. Wojciech Kasprzak jest autorem i współautorem 9 podręczników akademickich i ponad 80 prac naukowych publikowanych w polskich i zagranicznych czasopismach naukowych.

<https://pzwł.pl/autor/Wojciech-Kasprzak,a,1498755?srsId=AfmBOoo8r-bNKMXXOuOz8xKGJHElrQgbd05jUDkw66riV1I969xMZQ>

Wojciech Kasprzak jest specjalistą chorób wewnętrznych, balneoklimatologii i medycyny fizykanej. Do 1991 roku był kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych Instytutu Medycyny Uzdrawiskowej w Poznaniu oraz wicekonsultantem krajowym w dziedzinach balneoklimatologii oraz medycyny fizykanej. W następnych latach Wojciech Kasprzak był ordynatorem Oddziału Pulmonologiczno-Internistycznego w Wielkopolskim Centrum Pulmonologii i Torakochirurgii w Poznaniu.

Od 2000 roku Wojciech Kasprzak jest profesorem uczelnianym Wyższej Szkoły Hotelarstwa i Gastronomii w Poznaniu, gdzie prowadzi zajęcia z zakresu polskiej i zagranicznej medycyny uzdrowiskowej oraz turystyki zdrowotnej w aspekcie kompleksowej fizjoterapii, np. w ośrodkach typu SPA.

Prof. Wojciech Kasprzak jest autorem ponad 60 publikacji w polskich i zagranicznych czasopismach naukowych oraz dysertacji habilitacyjnej przedstawionej w 1998 roku na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu, dotyczącej pogranicza chorób wewnętrznych oraz uzdrowiskowej i poza uzdrowiskowej fizjoterapii.

Prof. Wojciech Kasprzak wraz z prof. Tadeuszem Miką jest współautorem opublikowanego w 2000 roku w PZWL podręcznika „Fizykoterapia”, popularnego i wznawianego do dzisiaj.

Następne publikacje w PZWL powstawały przy współautorstwie dr Agaty Mańkowskiej: Fizykoterapia, medycyna uzdrowiskowa i SPA, monografia Fizjoterapia kliniczna (red. naukowa W. Kasprzak) oraz Fizjoterapia w kosmetologii i medycynie estetycznej.

Agata Mańkowska jest absolwentką fizjoterapii na Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Jest autorką publikacji w polskich i zagranicznych czasopism dotyczących wykorzystania różnych form fizykalnych w medycynie. Od ponad 20 lat Agata Mańkowska specjalizuje się w laseroterapii wysokoenergetycznej stosowanej w dermatologii i kosmetologii. Wyniki tych obserwacji opublikowała w formie pracy doktorskiej i obroniła na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu.

Dr Agata Mańkowska aktualnie pracuje w Wyższej Szkole Edukacji i Terapii. Zajmuje się szczególnie szkoleniem w zakresie fizykoterapii i kosmetologii.

Obecnie prof. Wojciech Kasprzak i dr Agata Mańkowska prowadzą praktykę lekarską i fizjoterapeutyczną w Gabinecie SALUS – dr Kasprzak w Poznaniu”.

<https://www.facebook.com/KosmetologiaAnnaKolodziejczak/posts/wojciech-kasprzak-jest-specjalist%C4%85-chor%C3%B3b-wewn%C4%99trznych-balneoklimatologii-i-medy/427063462060284/>

Dr n. med. Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz



em. Kierownik Kliniki Nefrologii i Nadciśnienia Tętniczego, Instytut „Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka” w Warszawie, od 2011 r. prowadzi wielotematyczny blog: <http://zofiakonopielko.pl/>

„Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz Ur. 28.09.1947 r. w Gorzowie Wlkp. - Studia: Akademia Medyczna (1965-1968 Poznań; 1968-1971 Warszawa) - Praca: lata 1971-1975 Przychodnia Rejonowa ZOZ Warszawa Żoliborz lata 1975-1981 Szpital im. Dzieci Warszawy (zakaźny) Ul. Sienna 60, Warszawa lata 1981-2004 Klinika Nefrologii i Nadciśnienia Tętniczego IP - Centrum Zdrowia Dziecka, adiunkt. Kierownik Poradni Nefrologicznej przy tej Klinice - Aktualnie emerytura - 2 stopnie specjalizacji z pediatrii - Doktorat 1991 r. - granty i liczne publikacje z dziedziny nefrologia, choroby metaboliczne (zaburzenia gospodarki wapniowo-fosforanowej, osteoporoza u dzieci) - Aktualnie prace wspólnie z prof. Jerzym T. Marcinkowskim - Pasje - fotografia; od 2011 roku prowadzenie wielotematycznego bloga (zapiski rodzinne, ścieżki edukacji, historia Szpitala im Dzieci Warszawy, przyroda, ciekawe miejsca w Polsce, książki, własne fantazje itd.) – Pochodzenie: ojciec, Wacław szlachta kresowa tzw. dworzanie, bliski krewny Marii Rodziewiczówny, inżynier dróg i mostów matka: Stefania, góralka beskidzka, nauczycielka brat: Zenon, dziennikarz, literat, krytyk literacki - Rodzina Od 1. 06. 1968 zamężna 4 dzieci (ekonomista, inżynier, neurochirurg, psycholog) 8 wnucząt 1 prawnuczka”.

<https://wydawnictwo-silvarerum.eu/product-author/konopielko-zofia/>

Od czasu pandemii COVID-19, z Jerzym T. Marcinkowskim i wsp. napisała i zredagowała 7 recenzowanych książek (8 jest już redakcji). Są wydane w wersji papierowej ale też jako e- booki a większość jest dostępna online. Oto tytuły: 1. Przewodnik po rozległych obszarach higieny i epidemiologii. Kompedium (red Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2021; 2. Tatuaze. Gdy ciało staje się tłem (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z, Wiśniewska P), Wydawnictwo Silva Rerum, Poznań, 2021; 3. Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2021; 4. Modyfikacja ciała. Kręta droga od urody życia do...znaczenia po śmierci (red. 5. Higiena psychiczna w krajobrazach miejskich... zatopienie w pejzażu? W poszukiwaniu triady Witruwiusza: trwałości, użyteczności i piękna (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2022; 6. Tajemnicze bóle kręgosłupa odcinka lędźwiowo-krzyżowego. W kręgach wiedzy, wątpliwości i kontrowersji epidemiologów, lekarzy, fizjoterapeutów i psychologów (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2023; 7. Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej (red. Marcinkowski JT, Rosińska P, Konopielko Z) Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2023.

A oto niewielkie fragmenty zapisków z bloga: **Na medycznej ścieżce – z pamiętnika Zofii Konopielko.**

Kochani! Dziś miał być wpis pamiętnikowy Leszka Milanowskiego, który pięknie nam podał to co wie na temat naszego kolegi ze studiów na AM w Poznaniu śp. Wojciecha Michałka-Grodzkiego i rozjaśnił wiele niejasności. Okazało się, jak już wpisałam na „stronie” pamiętnika Jurka (wczorajszy wpis), że był synem Ojca Polskiej Chirurgii Plastycznej – dr Stanisława, czego nam nigdy nie powiedział

... dziś zaglądając do smartfonu – jednak jego wyszukiwarka jakoś więcej mówi, niż Google w laptopie – wpisałam Wojciech Michałek-Grodzki i ukazał się mój wpis sprzed laty, który kopiuję:

Opublikowane w Lipiec 4, 2012

Na medycznej ścieżce. Koledzy z czasów poznańskich

W naszej grupie było niewielu chłopaków i nie stanowili oni dla nas, dziewczyn – bardziej od nich dojrzałych, jak zwykle w tym wieku – specjalnej atrakcji.

Jednym z nich był Wojtek Michałek-Grodzki.

Wojtek był ogromnym blondynem o różowej pulchnej twarzy i wielkich bardzo błękitnych oczach. Mógłby grać rolę w filmach o polskich wieśniakach ale też odpowiednio ubrany w kontusz, z wąsami, podgoloną czaszką i szablą u boku byłby znakomitym wizerunkiem polskiego szlachcica.

Poruszał się flegmatycznie i właściwie nigdy się do nas nie odzywał. Zawsze był przygotowany i spokojnie beznamiętnie odpowiadał na pytania asystenta.

W czasie gdy „nasz Andrzejek” [asystent na anatomii - Andrzej Kiersz (1940-2024)] sprawdzał listę obecności i dukał kolejne nazwiska, jakby celowo nie doczytywał drugiego członu nazwiska naszego kolegi Wojciecha Michałka-Grodzkiego. Powtarzało się to nieomal codziennie. Albo była to mała złośliwość albo roztargnienie asystenta.

I wkrótce poznaliśmy reakcję Wojtka. Najpierw chrząkał znacząco, potem wzdychał ciężko i po chwili nabierał z wielkim świstem powietrza w płuca. Następnie szurał krzesłem i powoli wyłaniał się zza stołu. Oczywiście zajęcia były przerwane i wszyscy wgapiali się na Wojtka. On w końcu stawał na baczność i dopiero wówczas wydawał z siebie gromki ludzki głos - jestem Wojciech Michałek-Grodzki.

Nas asystent podbiegał do niego, unosił się na palcach, bo był niskiego wzrostu i zaglądając mu w oczy, sepleniąc powtarzał nazwisko Wojtka lecz już poprawnie. Zajmowało to trochę czasu, więc cieszyliśmy się jak dzieci w szkółce, że mniej zostanie czasu na odpytywanie.

Każdy z nas w ogóle by nie zwracał uwagi na błędnie przeczytane własne nazwisko, ale nie dotyczyło to Wojtka.

Wyobrażam go sobie jako bardzo dostojnego pana doktora, pewnie budzi szacunek i lęk u pacjentów i imponuje uporem... A tak naprawdę nie wiem co się z nim działo dalej i jaki był naprawdę.....

PS. Na koniec pozwolę sobie dodać trochę może humorystycznie:

Otóż chciałam oficjalnie, tu, w tym miejscu przeprosić chłopaków z naszej grupy – bo napisałam, że nie stanowili dla nas, dziewczyn specjalnej atrakcji – czym wzburzyłam Leszka w messengerowej Grupie. Chłopcy byli bardzo atrakcyjni, inteligentni, błyskotliwi, ale tak zajęci swoimi sprawami i wkuwaniem anatomii oraz codziennymi sprawdzianami naszej wiedzy, albo obserwowaniem i adorowaniem studentek z innych grup – nie wiem, że chyba nas i naszych nieśmiałych zalotów nie dostrzegali

Dr n. med. Krzysztof Kupczyk



Lekarz Krzysztof Kupczyk z Odolanowa został laureatem papieskiego, honorowego odznaczenia Benemerenti, przyznawanego za długoletnie zasługi dla Kościoła katolickiego.

[Odolanowski lekarz z papieskim odznaczeniem | Kurier Ostrowski](#)

Laureat to lekarz specjalista w zakresie chorób wewnętrznych. Od wielu lat przyjmuje pacjentów w Przychodni Lekarza Rodzinnego w Odolanowie, mających problemy ze schorzeniami układu pokarmowego. Ponadto jeden dzień w tygodniu sprawuje opiekę medyczną nad mieszkańcami Odolanowskiego Domu Pomocy Społecznej. Przychodzi do nich z wizytą również w każdą niedzielę.

Prof. dr hab. Małgorzata Krajewska-Walasek



„Prof. dr n. med. Małgorzata Krajewska – Walasek jest specjalistką w dziedzinie genetyki klinicznej, laboratoryjnej genetyki medycznej oraz pediatrii. Jednym z Jej osiągnięć jest zorganizowanie od podstaw Poradni Genetycznej w Instytucie „Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka”, która prowadzi działalność na rzecz rodzin ryzyka genetycznego z całej Polski. Jako kierownik Zakładu Genetyki

Medycznej IPCZD w latach 1991-2017 stworzyła nowoczesny warsztat diagnostyczno-badawczy, zapewniający możliwość prowadzenia wysokospecjalistycznych badań diagnostycznych chorób genetycznych oraz badań naukowych z wykorzystaniem najnowocześniejszych technik, w tym techniki NGS/WES, czyli sekwencjonowania nowej generacji.

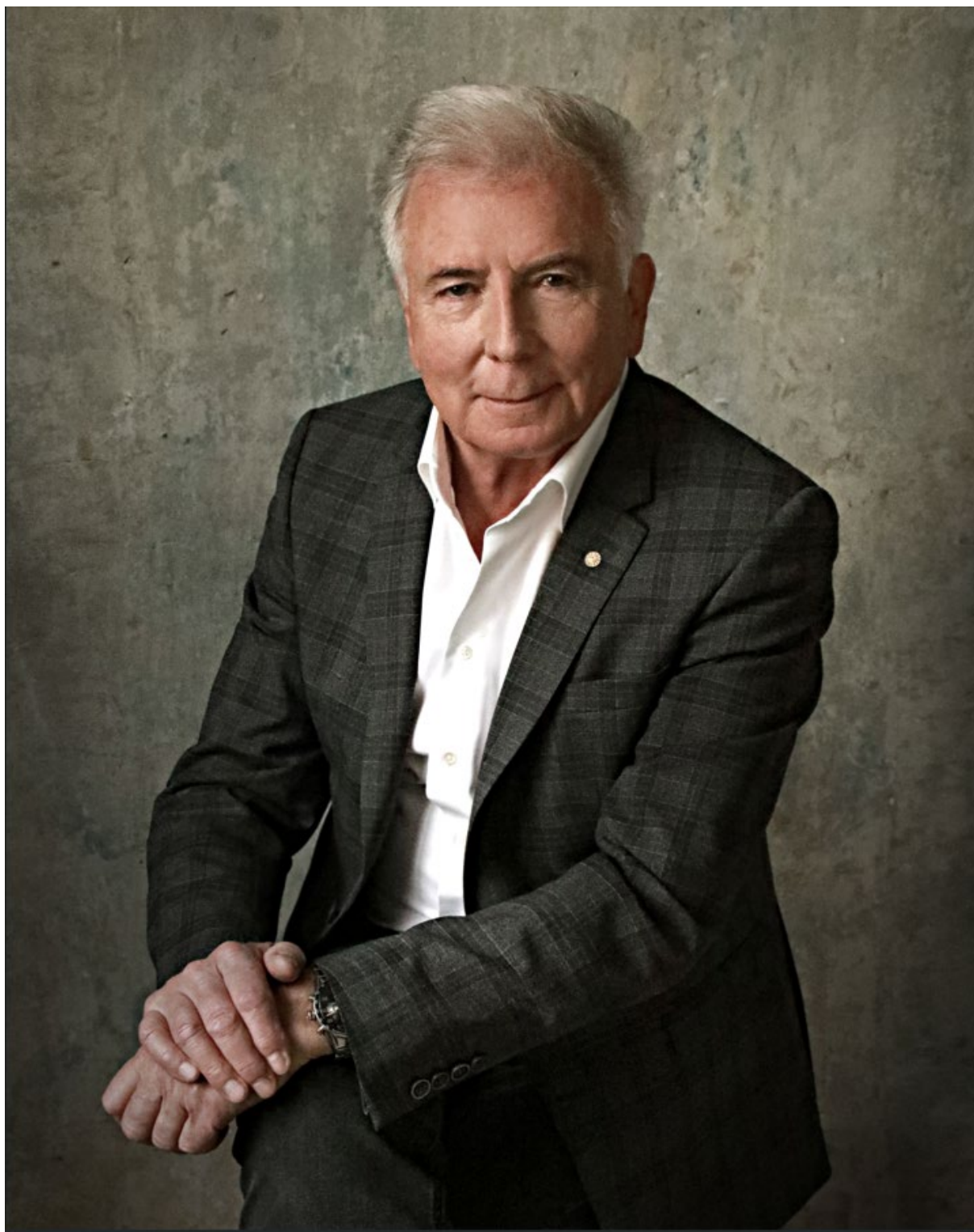
Prof. Krajewska-Walasek udzieliła porad genetycznych licznej populacji chorych i ich rodzinom, w tym kobietom ciężarnym z ryzykiem wystąpienia wad u płodu oraz parom z niepowodzeniami ciążowo – porodowymi i niepłodnością oraz dzieciom z rzadkimi chorobami genetycznymi. Jej szczególne zainteresowania obejmują identyfikowanie rzadkich, genetycznych zespołów dysmorficznych, które przebiegają pod postacią niepełnosprawności umysłowej, opóźnionego rozwoju fizycznego, dysmorfii twarzy oraz wad wrodzonych.

Małgorzata Krajewska-Walasek **zdołała międzynarodową renomę w dziedzinie genetyki klinicznej**, a jej dorobek naukowy jest ceniony na całym świecie, obejmując ponad 250 publikacji, które w większości ukazały się w renomowanych czasopismach zagranicznych.

W 2015 roku została uhonorowana przez Polskie Towarzystwo Pediatryczne medalem „Gloria Pediatrca” za działalność na rzecz pediatrii i rozpoznawania chorób genetycznych u dzieci w Polsce. W 2018 roku Kapituła Centrum Zdrowia Dziecka jednogłośnie przyznała Jej Statuetkę Meritus pro Nati, za wieloletnie kierowanie Zakładem Genetyki Medycznej w Instytucie „Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka” oraz ogromny wkład w rozwój badań genetycznych w Polsce”

<https://aureamed.pl/nasz-zespol/malgorzata-krajewska-walasek/>

Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski



Ryszard Koczorowski – profesor nauk medycznych o specjalności protetyka stomatologiczna, stomatologia ogólna; profesor zwyczajny Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu[1].

W 1978 uzyskał doktorat, w 1996 habilitację, a w 2009 tytuł profesora. Od 2004 był zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego, a od 2011 profesora zwyczajnego. Jest specjalistą II stopnia z protetyki stomatologicznej i I stopnia ze stomatologii ogólnej, a także certyfikowanej umiejętności implantologicznej OSIS-EDI, twórcą uczelnianego programu i organizatorem pierwszej w Polsce Kliniki Gerostomatologii zajmującej się interdyscyplinarnym leczeniem stomatologicznym osób powyżej 65 roku życia^{[2][3]}.

Działalność w Uniwersytecie Medycznym im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu:

Członek Senatu Uniwersytetu Medycznego im Karola Marcinkowskiego w Poznaniu (od 2016)^[4].

Członek Senackiej Komisji Nauki UM w Poznaniu (od 2012 do 2016)^[5].

Członek Wydziałowej Komisji ds. tytułu profesorskiego oraz stanowisk profesorskich w UM (od 2012 do 2018)^[6].

Redaktor Naczelny ogólnopolskiego czasopisma „Dental forum” firmowanego przez UMP (od 2004 do 2019)^{[7][8]}. Od 2020 roku redaktor honorowy tego czasopisma^[7].

Członek Komisji Konsultacyjnej FAM od 1993 roku ds. jedyne polskiego systemu implantologicznego „Osteopant”^[9].

Działalność poza uczelnią:

wiceprezydent Polskiego Stowarzyszenia Implantologicznego (PSI) od 2010^[3]. Od 2013 roku kierownik ogólnopolskiego cyklicznego szkolenia PSI „Curriculum Implantologiczne” w Katowicach oraz przewodniczący Międzynarodowej Komisji Egzaminacyjnej w zakresie umiejętności implantologicznych Fellow (I°) i Diplomate (II°)^[3].

Członek Grupy Założycielskiej Euro-ICOI (International Congress of Oral Implantologists) w Berlinie (2015)^[10].

Członek Prezydium Zarządu Głównego PTS od 2002^[6].

Członek Zarządu Oddziału Poznańskiego PTS (od 1997 do 2018)^[11].

Członek Sekcji Polskiej *International Pierre Faucharda Academy* z siedzibą w USA od 2012^[6].

Członek German Society of Oral Implantology od 2012^[6].

Członek The International Congress of Oral Implantologists od 2012^[6].

Członek European Prosthodontic Association (EPA)^[6].

Członek International Association for Dental Research (IADR)^[12].

Członek American Association for Dental Research (AADR)^[6].

Działalność publicystyczna:

Redaktor Naczelny ogólnopolskiego czasopisma *Dental Forum* firmowanego przez Uniwersytet Medyczny w Poznaniu i Zarząd Główny PTS – od 2004 i członek Rady Naukowej DF.

Zastępca Redaktora Naczelnego *Poznańskiej Stomatologii* od 1999 roku (wydawanej przez oddział poznański PTS) a później Redaktor Naczelny tego czasopisma.

Członek Rady Naukowej takich czasopism jak: *Journal of Stomatology*, *Dental and Medical Problems*, *Protetyka Stomatologiczna*, *Implantologia Stomatologiczna*, *Stomatologia Współczesna*, *Inżynieria Stomatologiczna – Biomateriały*, *Implantoprotetyka*, *Stomatologia Estetyczna*, *Art of Dentistry*, *Sztuka Implantologii*, *Stomatologia*, *E-Dentico*.

Recenzent prac w *International Journal of Maxillofacial Surgery* (od 2009). Autor lub współautor 430 publikacji w tym opublikowanych w czasopismach z listy filadelfijskiej (Impact Factor)^[8].

Prof. Ryszard Koczorowski jestem aktualnie vice-prezydentem Polskiego Stowarzyszenia Implantologicznego (największego w Polsce Towarzystwa Implantologicznego), a po śmierci prezydenta M. Dudy pełnił funkcję prezydenta PSI.

Nagrody:

Indywidualna Nagroda Ministra Zdrowia II stopnia w roku 2011 za publikację książkową^[13].
Godność „Lidera Pracy Organicznej” nadana przez Towarzystwo H. Cegielskiego w 2015 roku^[14].
Nagroda zespołowa Ministra Zdrowia^[15].
Order św. Stanisława.

Odnaczenia:

Złoty Krzyż Zasługi (2012)^[6].
Honorowa Odznaka miasta Poznania (1989)^[6].
Medal Komisji Edukacji Narodowej (2017)^[16].
Statuetka STAR Implantologists (PSI) za działalność na polu implantologii i implantoprotetyki^{[3][17]}.
Statuetka Honorowego Hipolita nadana przez Towarzystwo Hipolita Cegielskiego (2015)^[14].
Honorowy tytuł uczelniany KALOS KAGATHOS^[18].

Zainteresowania:

Ryszard Koczorowski jest czynnym tenisistą. Swoją przygodę ze sportem zaczął już w latach 70. Może pochwalić się takimi osiągnięciami, jak: letnie Grand Prix Wielkopolski Amatorów, zimowe Grand Prix Wielkopolski Amatorów^[19]. Mistrz Świata Lekarzy na hali, wicemistrz Świata Lekarzy na kortach ziemnych oraz 30-krotny mistrz Polski w różnych kategoriach wiekowych^[20].

Przypisy:

1. ↑ [Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2020-02-18].
2. ↑ Jolanta Sielska, *Fakty UMP*, czerwiec 2014.
3. ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) Mariusz Duda, *Implantologia Stomatologiczna*, 2012.
4. ↑ [Skład Senatu – Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu](#) [online], [ump.edu.pl](#) [dostęp 2018-03-20] (pol.).
5. ↑ [Komisje senackie – Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu](#) [online], [ump.edu.pl](#) [dostęp 2018-03-20] (pol.).
6. ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [f](#) [g](#) [h](#) [i](#) Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski, [Prof. dr hab. Ryszard Koczorowski | Kierownik Kliniki Gerostomatologii, profesor zwyczajny Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.](#) [online], [koczorowski-ryszard.pl](#) [dostęp 2018-03-20] (pol.).
7. ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) [Dental Forum](#) [online], [www.dentalforum.ump.edu.pl](#) [dostęp 2020-02-18].
8. ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) Helena Czechowska, *Fakty UMP*, wrzesień 2017, [ISSN 1899-2978](#).
9. ↑ Jolanta Sielska, *Gazeta Poznańska*, 12 października 2005.
10. ↑ Mariusz Duda, *ICOI World News*, październik 2017.
11. ↑ [Zarząd](#) [online], [pts-oddzialpoznan.ump.edu.pl](#) [dostęp 2018-03-21].
12. ↑ Ryszard Koczorowski, *Wielkopolska Izba Lekarska*, maj 2015.
13. ↑ Wiesława Biczysko, *Biuletyn informacyjny UMP*, sierpień 2011.
14. ↑ Skocz do: [a](#) [b](#) Dominik Górny, *Nasz Głos Poznański*, 25 kwietnia 2016.
15. ↑ [Ministerstwo Zdrowia – Portal Gov.pl](#) [online], Ministerstwo Zdrowia [dostęp 2020-02-18] (pol.).
16. ↑ Adam Zadrzywiński, *Fakty UMP*, 2009.
17. ↑ Krzysztof Makuch, *Wielkopolska Izba Lekarska*, 2015.
18. ↑ Andrzej Baszkowski, *Wielkopolska Izba Lekarska*, październik 2016.

19. ↑ [40 LAT NA KORCIE – Wielkopolski Tenis & Squash](#) [online] [dostęp 2018-04-10] [zarchiwizowane z [adresu](#) 2018-04-10] (pol.).
20. ↑ *Tenis Wielkopolski*, 2019.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Ryszard_Koczorowski

Prof. dr hab. Krzysztof Linke (1946-2016)



https://www.bing.com/images/search?view=detailV2&ccid=9rd%2FDrpK&id=E362EDF2DDDC6CF90C29F0AAF50B56D8273C8173&thid=OIP.9rd_DrpKCgpgEVnUBNDIlgHaJd&mediaurl=https%3A%2F%2Fth.bing.com%2Fth%2Fid%2FR.f6b77f0eba4a0

[a0a601159d404d0c8c6%3Frik%3Dc4E8J9hWC%252fWq8A%26riu%3Dhttp%253a%252f%252fwl2.ump.edu.pl%252fmedia%252fuid%252f4809327dc29ee - 4bb0%252f8a7da2.jpg%26ehk%3D8PAvNyfRhK3vYNQxI%252ffJSEQ4KFARqRiqFWW6FSQcWq4%253d%26risI%3D%26pid%3DlmgRaw%26r%3D0&expw=800&expw=626&q=prof.+dr+hab.+krzysztof+linke&simid=608009869446361065&form=IRPRS&T&ck=175CBDDAFE2AD4C60A022C78D2AF1C9&selectedindex=0&itb=0&ajaxhist=0&ajaxserp=0&vt=0&sim=11](http://a0a601159d404d0c8c6%3Frik%3Dc4E8J9hWC%252fWq8A%26riu%3Dhttp%253a%252f%252fwl2.ump.edu.pl%252fmedia%252fuid%252f4809327dc29ee-4bb0%252f8a7da2.jpg%26ehk%3D8PAvNyfRhK3vYNQxI%252ffJSEQ4KFARqRiqFWW6FSQcWq4%253d%26risI%3D%26pid%3DlmgRaw%26r%3D0&expw=800&expw=626&q=prof.+dr+hab.+krzysztof+linke&simid=608009869446361065&form=IRPRS&T&ck=175CBDDAFE2AD4C60A022C78D2AF1C9&selectedindex=0&itb=0&ajaxhist=0&ajaxserp=0&vt=0&sim=11)

Krzysztof Linke (ur. 27 kwietnia 1946 w Poznaniu, zm. 16 grudnia 2016^[2]) – polski specjalista chorób wewnętrznych, prof. dr hab. nauk medycznych^[1].

Urodził się 27 kwietnia 1946^[2]. W 1976 obronił pracę doktorską otrzymując doktorat w zakresie nauk medycznych^[2], a 22 lutego 1993 habilitował się na podstawie oceny dorobku naukowego i pracy zatytułowanej *Zanikowe zapalenie błony śluzowej żołądka. Możliwości i ograniczania metod rozpoznawczych z uwzględnieniem żołądkowego układu regulacji hormonalnej*^{[1][2]}. 21 października 2003 uzyskał tytuł naukowy profesora nauk medycznych^{[1][2]}. Pełnił funkcję kierownika Katedry i Kliniki Gastroenterologii, Żywienia Człowieka i Chorób Wewnętrznych na II Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu^[1].

Jego żoną była Aleksandra z którą miał syna Michała^[2].

Wybrane publikacje

- 2004: *Wpływ palenia tytoniu na przebieg choroby Leśniowskiego-Crohn'a u chorych z obecnym wariantem mutacji genu NOD2/CARD 15 w populacji polskiej*^[1]
- 2006: *CD4+ and CD8+ lymphocytes in chronic liver diseases*^[1]
- 2006: *Effect of creatine supplementation on antioxidant status in patients with chronic liver disease*^[1]
- 2008: *Clinical utility of the assessment of fecal calprotectin in Leśniowski-Crohn's disease*^[1]
- 2012: *Infliximab and adalimumab modulate apoptosis of lamina propria lymphocytes in patients with Crohn's disease in Fas-independent pathway*^[1]

Przypisy

[↑] Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [f](#) [g](#) [h](#) [i](#) [j](#) [k](#) [l](#) [Prof. Krzysztof Kazimierz Linke](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2018-12-31].

[↑] Skocz do: [a](#) [b](#) [c](#) [d](#) [e](#) [f](#) [g](#) [h](#) [i](#) [Prof. zw. dr hab. Krzysztof Linke](#). PDF. [dostęp 2018-12-31]. [zarchiwizowane z [tego adresu](#) (2019-01-01)].

https://pl.wikipedia.org/wiki/Krzysztof_Linke



Jerzy Tadeusz Marcinkowski (ur. 1 maja 1948[1] w Wadowicach) – polski lekarz, neurolog, profesor zwyczajny, higienista. W latach 2001–2018 kierownik Katedry Medycyny Społecznej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu[2][3]. Od 2018 kierownik Katedry Higieny i Epidemiologii Wydziału Lekarskiego i Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Zielonogórskiego. Stały biegły sądowy w dziedzinie neurologii od 1983.

Życiorys

Dzieciństwo i rodzina

Urodził się 1 maja 1948 w Wadowicach w rodzinie lekarskiej. Ojciec, Tadeusz Marcinkowski, wilnianin (1917–2011) – ówczesny doktor medycyny (potem profesor zwyczajny, kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie), a także filozof (studia magisterskie i doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim). Matka - Maria Aleksandra Marcinkowska z domu Rzewuska – lekarz pediatra (1918-1975), urodzona w Petersburgu, w rodzinie z tradycjami bankierskimi. Oboje rodzice rozpoczęli studia przed II wojną światową, kontynuowali na tajnym

Uniwersytecie Ziemi Zachodnich w Warszawie (w nieistniejącym już Szpitalu Ujazdowskim) i zakończyli na Wydziale Lekarskim w ówczesnym Uniwersytecie Poznańskim (byli pierwszym powojennym rocznikiem) i zgodnie z obowiązującym systemem podlegali nakazowi pracy, często zmieniając miejsce zamieszkania (Pakość na Kujawach, Tarnów, Jaworze-Nałęże, Wadowice, Zielona Góra, Komorniki k/Poznań - gdzie razem z dziećmi przeżywali elektryfikację wsi).

Wspomnienia ojca Jerzego Tadeusza – Tadeusza Marcinkowskiego – dotyczące udziału w bitwie nad Bzurą we wrześniu 1939 (m.in. ciężko ranny, brak własnej zgody na amputację nogi), walki w powstaniu warszawskim, studia i okres powojenny były tak barwne, że zostały zamieszczone, jako pokłosie ogólnopolskiego konkursu, w książce „Pamiętniki lekarzy” (Wydawca „Czytelnik”, Warszawa 1966).

W domu rodzinnym często przypominano postać dziadka - Stanisława Marcinkowskiego (1882–1939), magistra farmacji, powstańca wielkopolskiego, zamordowanego przez hitlerowców w Lasach Tucholskich w drodze do obozu koncentracyjnego. Jego grobu, pomimo starań rodziny, nie odnaleziono.

Dorastał wraz ze starszą siostrą Ewą – primo voto Marcinkowska-Drażkowska, secundo voto Colonna-Walewska (ur. 1945) – oraz młodszym bratem Stanisławem Januszem (ur. 1951). Wszyscy zostali lekarzami.

Jako dziecko wraz z rodziną przeniósł się do Poznania, gdzie w 1961 ukończył Szkołę Podstawową nr 54. Maturę uzyskał w 1965 w I Liceum Ogólnokształcącym im. Karola Marcinkowskiego, które znajdowało się w pobliżu Zakładu Medycyny Sądowej, gdzie w wolnych chwilach, jeszcze jako licealista, pracował z ojcem, pracownikiem naukowym tego Zakładu.

Okres studiów

W 1965 rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim poznańskiej Akademii Medycznej, jednocześnie pracując naukowo. Pierwsze samodzielne opracowanie naukowe to artykuł „Częstość występowania cech serologicznych wśród ludności polskiej A, B, O, AB oraz A1, A2 a także układu MN – na podstawie danych pracowni serologicznej Zakładu Medycyny Sądowej AM w Poznaniu” zawarty w książce jego ojca Marcinkowski Tadeusz „Dowody rzeczowe w praktyce sądowo-lekarskiej – Ślady krwi” (PZWL, Warszawa 1968). Należał do trzech Studenckich Kół Naukowych (1. przy Zakładzie Higieny, 2. Socjomedycznym przy Zakładzie Filozofii i 3. Anatomopatologicznym). Za działalność studencką wyróżniony w 1970 praktyką wakacyjną w szpitalu we włoskim Palermo. Ponadto był członkiem zarządu Studenckiego Towarzystwa Naukowego oraz członkiem plenum Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich.

Praca naukowo-dydaktyczna

W 1971 otrzymał dyplom lekarza medycyny i został pracownikiem naukowo-dydaktycznym Zakładu Higieny Ogólnej macierzystej uczelni. W 1973 został starszym asystentem, a rok później uzyskał stopień doktora nauk medycznych (1974)^[2] i awansował w 1975 na pozycję adiunkta. Po ukończeniu stażu podyplomowego w 1972 rozpoczął pracę w ramach wolontariatu w Klinice Neurologii Akademii Medycznej w Poznaniu, gdzie ukończył specjalizację pierwszego, a następnie drugiego stopnia (w poznańskiej Klinice Neurologii pracował dwadzieścia lat). Pracował także w Poradni Przeciwpadaczkowej. W latach 1974-1999 pracował w Poradni Neurologicznej Zespołu Opieki Zdrowotnej Poznań-Grunwald. Od 2000 prowadzi prywatny specjalistyczny gabinet neurologiczny.

W latach 1994–1996 pełnił obowiązki kierownika Zakładu Higieny Instytutu Medycyny Społecznej na Wydziale Lekarskim i zmienił profil prac badawczych Zakładu, dostosowując go do możliwości

laboratoryjnych. W 1998 został powołany przez rektora do pełnienia obowiązków zastępcy dyrektora Instytutu Medycyny Społecznej Akademii Medycznej w Poznaniu; w 2001 był jego dyrektorem, a od likwidacji Instytutu w 2001 i przekształcenia go w Katedrę Medycyny Społecznej, pełni funkcję kierownika tej Katedry.

W 1998 uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk medycznych^[2] na podstawie oceny dorobku naukowego oraz rozprawy *Studium higieniczno-socjomedyczne funkcjonowania chorych z przewlekłym wirusowym zapaleniem wątroby*^[4]. W 2004 został mianowany na stanowisko profesora nadzwyczajnego Akademii Medycznej w Poznaniu^[2]. W 2013 otrzymał tytuł profesora nauk medycznych^[5]. W tym samym roku został zatrudniony jako profesor zwyczajny w Wyższej Szkole Bezpieczeństwa w Poznaniu. W 2015 awansował na stanowisko profesora zwyczajnego w macierzystym Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Od 2017 jest wykładowcą na Wydziale Medycznym Uczelni Łazarskiego^[6]. Od 2018 jest wykładowcą na Wydziale Lekarskim i Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Od 1983 jest stałym biegłym sądowym Sądu Wojewódzkiego (Sądu Okręgowego) w Poznaniu jako specjalista-neurolog. Jest także powoływany do Uczelnianego Zespołu Orzekającego przy Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, który zajmuje się m.in. wydawaniem opinii sądowo-lekarskich w sprawach karnych, cywilnych i z zakresu ubezpieczenia społecznego.

Jest członkiem wielu towarzystw i gremiów naukowych^[2]: Polskiego Towarzystwa Higienicznego (2006-2010 wiceprezes, 2010-2018 prezes, od 2018 wiceprezes)^[7], Polskiego Towarzystwa Medycyny Społecznej i Zdrowia Publicznego, Polskiego Towarzystwa Neurologicznego oraz Polskiego Towarzystwa Orzecznictwa Lekarskiego. Ponadto członek Komitetu Zdrowia Publicznego Polskiej Akademii Nauk, Komitetu Higieny i Epidemiologii PAN, Komitetu Epidemiologii i Zdrowia Publicznego PAN, Komitetu Ergonomii Oddziału Wielkopolskiego PAN (od 1997) oraz członek Rady Sanitarno-Epidemiologicznej przy Głównym Inspektorze Sanitarnym i przewodniczący Komisji Bezpieczeństwa Zdrowotnego Wody (2014-2017)^[2]. Konsultant wojewódzki w dziedzinie epidemiologii dla województwa wielkopolskiego oraz lubuskiego (od 1997). Od 2013 jest też członkiem Rady Fundacji Pomocy Humanitarnej Redemptoris Missio. Od 2007 należy także do zespołów badawczych w ramach European Huntington's Disease Network, gdzie prowadzi badania naukowe dotyczące choroby Huntingtona.

Promotor 48 ukończonych przewodów doktorskich^[4] Recenzent 67 rozpraw doktorskich. Przewodniczący/członek komisji/recenzent w 9 przewodach habilitacyjnych. Recenzent w 7 przewodach profesorskich.

Publikacje

Jest autorem ponad 950 publikacji z dziedziny higieny, epidemiologii i zdrowia publicznego oraz funkcjonowania systemu opieki zdrowotnej, rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych, higieny szpitalnej, zakażeń szpitalnych, jakości opieki medycznej, edukacji zdrowotnej, uzależnień i możliwości przeciwdziałania w tym obszarze, chorób zawodowych, wypadków przy pracy^{[8][9][10][11][2][3]}.

Pełni funkcję redaktora naczelnego: kwartalnika naukowego „Problemy Higieny i Epidemiologii” (od 2005), „Hygeia Public Health” (od 2010) oraz „Medicus Mundi Polonia” (od 2015; pismo Fundacji Pomocy Humanitarnej Redemptoris Missio w Poznaniu).

Jest także redaktorem trzech podręczników akademickich z obszaru higieny, epidemiologii i zdrowia publicznego oraz autorem pięciu podręczników o podobnym zakresie tematycznym.

Odznaczenia

Wielokrotnie odznaczany i nagradzany. Posiada m.in.: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, odznakę honorową „Za zasługi dla ochrony zdrowia”, Medal za Długoletnie Pożycie Małżeńskie oraz odznaczenia Polskiego Towarzystwa Higienicznego^[2].

Życie osobiste

Jego pasje to: szermierka, jazda konna, podróże oraz medycyna holistyczna i filozofia. Od 1972 żonaty z Anną Marią z domu Łukasiewicz, nauczycielką. Ma dwóch synów: Maciej Jerzy (ur. 1974) – śpiewak w Teatrze Wielkim w Poznaniu; Michał Mikołaj (ur. 1975) – oficer policji w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Wnuczki: Apolonia, Michalina, Laura.

Przypisy

1. ↑ [Jerzy Tadeusz Marcinkowski, powiązany z POLSKIE TOWARZYSTWO HIGIENICZNE](#) [online] [dostęp 2018-01-25] (pol.).
2. ↑ [Skocz do: a b c d e f g h Profesor dr hab. med. Jerzy Tadeusz Marcinkowski](#). [keizp.pan.pl](#). [dostęp 2018-01-25].
3. ↑ [Skocz do: a b Prof. zw. dr hab. n.med. Jerzy T. Marcinkowski - kierownik Zakładu](#). [higiena.ump.edu.pl](#). [dostęp 2018-01-25].
4. ↑ [Skocz do: a b Prof. dr hab. Jerzy Tadeusz Marcinkowski](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2018-01-25].
5. ↑ Postanowienie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 czerwca 2013 r. nr 115-7-13 w sprawie nadania tytułu profesora ([M.P. z 2013 r. poz. 642](#))
6. ↑ [prof. dr hab. n. med. Jerzy Marcinkowski](#). [lazarski.pl](#). [dostęp 2018-01-25].
7. ↑ [Zarząd Główny](#). [pth.pl](#). [dostęp 2018-01-25].
8. ↑ [Jerzy Tadeusz Marcinkowski](#). Katalog [PubMed](#). [dostęp 2018-01-25].
9. ↑ [Jerzy Tadeusz Marcinkowski \(publikacje i cytowania\)](#). [scholar.google.pl](#). [dostęp 2018-01-25]. (ang.).
10. ↑ [Bibliografia publikacji UM w Poznaniu \(wyszukiwarka\)](#). [bg.ump.edu.pl](#). [dostęp 2018-01-25].
11. ↑ [Marcinkowski, Jerzy Tadeusz \(1948- \)](#). Katalog elektroniczny [Biblioteki Narodowej](#). [dostęp 2018-01-25].

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Marcinkowski_\(lekarz\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Marcinkowski_(lekarz))

Od czasu pandemii COVID-19, Jerzy T. Marcinkowski z koleżanką z roku – Zofią Konopielko z d. Łukasiewicz – napisał i zredagował 7 recenzowanych książek (8 jest już w redakcji). Są wydane w wersji papierowej ale też jako e-booki a większość jest dostępna online. Oto tytuły: 1. Przewodnik po rozległych obszarach higieny i epidemiologii. Kompendium (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2021; 2. Tatuże. Gdy ciało staje się tłem (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z, Wiśniewska P), Wydawnictwo Silva Rerum, Poznań, 2021; 3. Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2021; 4. Modyfikacja ciała. Kręta droga od urody życia do...znaczenia po śmierci (red. 5. Higiena psychiczna w krajobrazach miejskich.....zatopienie w pejzażu? W poszukiwaniu triady Witruwiusza: trwałości, użyteczności i piękna (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2022; 6. Tajemnicze bóle kręgosłupa odcinka lędźwiowo- krzyżowego. W kręgach wiedzy, wątpliwości i kontrowersji

epidemiologów, lekarzy, fizjoterapeutów i psychologów (red. Marcinkowski JT, Konopielko Z), Wydawnictwo Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2023; 7. Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej (red. Marcinkowski JT, Rosińska P, Konopielko Z) Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa, 2023.

Lek. med., specjalistka chirurgii, Alicja Michalewicz z d. Kaczmarek



W rozdziale tych Pamiętników pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów, już niestety śp. Danuta Pupek – Musialik podkreśla: „Największy wkład pracy w organizowanie naszych spotkań ma niewątpliwie Kol. Alicja Kaczmarek-Michalewicz”.

„Od ponad 20 lat pałeczkę organizatora przejęła nasza starościna („Szeryf”) Alicja Michalewicz, która z żelazną konsekwencją, cierpliwością i urokiem osobistym co roku, już od zimy nas mobilizuje, a program proponuje i odpowiada za realizację ‘Boss’ Roman Nowicki. Składamy Im nasze podziękowania i życzymy dalszej siły w działaniu”.

J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko, My, radośni absolwenci wydziału Lekarskiego (1965- 1971) i Stomatologii (1965- 1970) poznańskiej Alma Mater. Wojaże po Żuławach pod egidą Pani Muzyki, Wielkopolska Izba Lekarska, Biuletyn Informacyjny, nr 9, Poznań, 2019, str. 14- 16, <https://wil.org.pl/wp-content/uploads/wil-09-2019-issuu.pdf>

„Taki zjazd lub wycieczka, w której bierze udział kilkadziesiąt osób to duże wyzwanie organizacyjne. Ktoś musi wziąć to w swoje ręce. Te ‘ręce’ należą do Alicji Kaczmarek-Michalewicz, która jest i dobrym duchem ale i szeryfem, taki tytuł nadano jej podczas poprzedniego zjazdu. To ona wymyśla

kierunki wycieczek, telefonuje, zawiadamia, zbiera pieniądze, ponagla, jeśli trzeba. Sztab zjazdowy tworzy kilka osób, które spotykają się co jakiś czas i ustalają program spotkania czy wycieczki na przyszły rok”, Czechowska H, Znamy się już 50 lat, Fakty UMP 4/2015, https://www.ump.edu.pl/files/12_sub_212_1426152293_4_2015.pdf

Jerzy T. Marcinkowski w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów podaje: „Alicja Kaczmarek-Michalewicz, która na wzorową organizację naszych dorocznych spotkań poświęca wiele miesięcy pracy. Zleciła Ona naszemu koledze prof. Krzysztofowi Linke (obecnie śp.) przedstawienie zbiorcze sylwetek nas wszystkich. Krzysztof – w oparciu o materiały otrzymane od naszej starościny – przygotował bardzo ciekawą prezentację multimedialną, żywo komentowaną przez słuchaczy. To przecież była mowa o naszym życiu. I tutaj przyszedł mi pomysł do głowy: opublikować nasze pamiętniki lekarzy”.

Dr n. med. Andrzej Pawlak (1946-2024)



Ambasador Polskości – prof. dr Andrzej Pawlak

Andrzej Pawlak to wybitna postać w świecie medycyny, którego profesjonalizm i zaangażowanie przyczyniły się do rozwoju polsko-francuskiej współpracy naukowej i medycznej.

Urodzony w 1946 roku w Kaliszu, dr Pawlak swoje życie zawodowe poświęcił ginekologii i położnictwu, zdobywając tytuł doktora nauk medycznych i specjalizując się w tych dziedzinach. Od 1991 roku związany z Francją, dr Pawlak kontynuuje swoją pracę w Klinice Jeanne d'Arc w Paryżu oraz w prywatnym gabinecie. Jest cenionym ekspertem, który odpowiada za szkolenie praktyczne lekarzy przygotowujących się do egzaminów specjalistycznych z ginekologii i położnictwa przy Uniwersytecie Medycznym Picardii w Amiens oraz pełni funkcję biegłego sądowego. Jego zasługi dla medycyny zostały docenione nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Jest inicjatorem stażu we francuskich szpitalach dla 35 lekarzy z Polski oraz organizatorem licznych kongresów i spotkań polsko-francuskich, które koncentrowały się na problematyce raka szyjki macicy, piersi, prostaty oraz technik operacyjnych w ginekologii i położnictwie. Przewodniczył również międzynarodowym sesjom z udziałem zaproszonych lekarzy z różnych krajów na Światowych Kongresach Lekarzy Polskich oraz Kongresach Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników.

Prof. dr hab. Danuta Pupek-Musialik (1947-2019)



Danuta Pupek-Musialik (zm. 16 grudnia 2019) – polska specjalistka chorób wewnętrznych, prof. dr. hab. n. med.[1][2]

Studiowała na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu[1]. Obroniła pracę doktorską, następnie habilitowała się na podstawie dorobku naukowego i pracy[2]. 26 listopada 1998 nadano jej tytuł profesora w zakresie nauk medycznych[2].

Objęła funkcję profesora zwyczajnego i kierownika w Katedrze i Klinice Chorób Wewnętrznych, Zaburzeń Metabolicznych i Nadciśnienia Tętniczego na I Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu[2].

Odznaczenia

- [Medal za Długoletnią Służbę](#)^[1]
- Złoty [Krzyż Zasługi](#) (2008)^{[1][3]}

Publikacje

- *Ocena stężenia wybranych interleukin, czynnika martwicy nowotworów, insulinemii i leptynemii u otyłych z nadciśnieniem tętniczym*^[2]
- *Czy otyłość nasila proces zapalny u chorych z nadciśnieniem tętniczym?*^[2]
- 2006: *Assessment of knowledge on arterial hypertension and diabetes in the context of life-style among patients of a specialist clinic*^[2]
- 2006: *Analysis of dietary intake of iron, copper and zinc and their serum and hair levels in hypertensive adults*^[2]
- 2006: *Patient v. physician – a positive relation, or possibly a conflict of attitudes or interests*^[2]
- 2010: *Ciśnienie tętnicze, wybrane parametry antropometryczne i cechy stylu życia wśród młodzieży z miasta i wsi*^[2]
- 2016: *Effects of endurance and endurance – strength exercise on biochemical parameters of liver function in women with abdominal obesity*^[2]

Przypisy

1. ↑ [Skocz do: a b c d e](#) [Nie żyje prof. Danuta Pupek-Musialik](#). www.termedia.pl. [dostęp 2019-12-21].
2. ↑ [Skocz do: a b c d e f g h i j k l m](#) [Prof. Danuta Pupek-Musialik](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu *Nauka Polska (OPI PIB)* [dostęp 2019-12-21].
3. ↑ [M.P. z 2009 r. nr 24, poz. 309](#)

https://pl.wikipedia.org/wiki/Danuta_Pupek-Musialik

Dr hab. n. med. Franciszek Rajewski



[dr hab. n. med. Franciszek Rajewski – Neomedycy](#)

STUDIA – AKADEMIA MEDYCZNA W POZNANIU

5 rok praktyka w Klinikach ortopedycznej i chirurgicznej we Włoszech (Perugia).

w 1971 r Klinika Chirurgii Urazowej i Ogólnej (z pododdziałem chirurgii dziecięcej),

od 1986 Klinika Ortopedii im. prof. W. Degi

od 1989 r Klinika Ortopedii Dziecięcej

od 1999r ordynator wydzielonych łóżek ortopedycznych w Szpitalu Klinicznym im. prof. W. Degi

W okresie pracy w Klinice Chirurgii Urazowej i Ogólnej i uzyskuje I i II stopień specjalizacji z Chirurgii Ogólnej i otwiera specjalizację z urologii. W 1978 roku uzyskuje tytuł dr nauk medycznych na podstawie pracy NEUROGRAFIA, czyli metoda kontrastowego badania nerwów obwodowych. Metodę tę, jako drugi na świecie, wprowadza do diagnostyki u pacjentów z obrażeniami nerwów kończyn (w ówczesnym czasie była ona jedyną metodą obrazowania nerwów) Od 1981 do 1986 r pełni funkcję ordynatora Kliniki Chirurgii Urazowej i wykonuje zabiegi operacyjne w pełnym zakresie z chirurgii urazowej, ogólnej, urologii, chirurgii naczyń oraz operacje następstw obrażeń czaszki, mózgu, zabiegi obrażeń klatki piersiowej i jamy brzusznej, wybrane zabiegi obrażeń twarzoczaszki oraz chirurgii dziecięcej. **Na kilka tysięcy wykonanych zabiegów operacyjnych należy odnotować zakończone sukcesem:**

zeszycia pękniętej ściany serca po zamkniętym urazie klatki piersiowej,

operacja usunięcia około 70 % rozfragmentowanej w następstwie urazu wątroby,

przyszyć amputowanych piątą czterech palców ręki z odzyskaniem pełnej ich sprawności

W 1986 r. przyjmuje propozycję Prof. Jerzego Króla, wybitnego autorytetu, o niezwyklej wiedzy i umiejętnościach (oraz ogromnej kulturze), przejścia do Kliniki Ortopedii Szpitala Prof. W. Degi. Równocześnie Prof. Jerzy Król jest opiekunem specjalizacji z Ortopedii i Traumatologii. **W tym okresie wprowadza do Kliniki wykonuje:** – przedni dostęp do kręgosłupa lędźwiowego, sympatektomie w powikłaniach zrostu kości z przyczyn naczyniowych Po raz pierwszy endoprotezoplastykę stawu kolanowego za pomocą endoprotezy związanej (zawiasowej) u 70 letniej pacjentki poruszającej się od 5 lat na kolanach, z powodu zwknięcia stawów konsultuje chorych z przyczyn pozaortopedycznych, zastępując konsultantów zewnętrznych W 1987 r. po akceptacji Prof. Jerzego Króla, opracowuje zasady, a następnie wprowadza do realizacji w Klinice Ortopedii metodę Ilizarowa, która spowodowała rewolucję w leczeniu wszystkich schorzeń narządu ruchu u dzieci i dorosłych, a uzyskane wyniki leczenia były do tej chwili nieosiągalne. Poza tym metoda ta wypełniła istniejącą lukę, w arsenale metod operacyjnego leczenia chorób ortopedycznych i najcięższych następstw urazów rajewskimed.pl Zostaje również oddelegowany przez Prof. J. Króla do stworzenia bazy naukowej, dydaktycznej i szkoleniowej, dla lekarzy z kliniki poznańskiej i spoza). Należy podkreślić, że lekarzy obecnie pracujący w dwóch wiodących ośrodkach w Polsce (Poznań i Otwock) pochodzą ze szpitala klinicznego im. Prof. Degi, których udało dr Rajewskiemu przekonać do metody Ilizarowa, mimo początkowych oporów.

Rozwój metody Ilizarowa w Polsce 1996 r. (jako pierwszy, po wieloletniej przerwie habilitowania w Klinice Ortopedii Szpitala im. Prof. Wiktora Degi), uzyskał tytuł dr hab. med. w zakresie chirurgii urazowej i ortopedii. Praca habilitacyjna była pierwszą pozycją w Polsce, wszechstronnie omawiającą metodę Ilizarowa ze wszystkimi szerokimi jej możliwościami leczniczymi, jak również problemami. Praca została umieszczona w Internecie, również w języku angielskim, dla szerokiego korzystania i miała wiele odsłon oraz była wielokrotnie cytowana w piśmiennictwie i pracach doktorskich i habilitacyjnych. Jako pierwszy w Polsce w 1989 roku wykonuję osobiście operację wg Ilizarowa, stosując instrumentarium skonstruowane pod swoim kierunkiem przez poznańskich precyzyjnych rzemieślników ze szwedzkiej stali. Wykorzystując możliwości metody Ilizarowa wprowadza nowe kompleksowe strategie leczenia wad wrodzonych i obrażeń kończyn. Wprowadza do leczenia opracowaną przez siebie, jako pierwszy w świecie artrodistazę pozwalającą leczyć uszkodzenie stawów i zabezpieczać je przed destrukcją i zwknięciem podczas wydłużania kończyn. Obecnie artrodistaza stanowi element dystryktorów produkcji zachodniej, kosztownych najnowszej generacji. Wprowadza do Kliniki artroskopię dziecięcą zakupując za wcześniej zebrane fundusze, oryginalny sprzęt Strykera, z shaverem 9- PIERWSZE TAKIE URZĄDZENIE W KLINICE) i odpowiednim oprzyrządowaniem. Od roku 1999 prowadzi samodzielnie leczenie na wydzielonych łóżkach ortopedycznych w Szpitalu im. prof. W. Degi wykonując cały zakres operacji u dzieci i dorosłych, w tym endoprotezoplastykę stawów biodrowych i kolanowych. W roku 1999 Niemieckie Towarzystwo Lekarzy Polskich w Berlinie przekazuje do leczenia dzieci z Ukrainy (z powodu wysokich kosztów w Niemczech), którym dotychczas zapewniali leczenie (w tym operacyjne) dysplazji stawu biodrowego i jego zaburzeń odżywczych. Przez wiele lat prowadzi działalność charytatywno-społeczną. Otrzymuje wiele wyróżnień za swoją pracę jako lekarz i za działalność charytatywno-społeczną m.in. ORDER UŚMIECHU (drugi po Prof. W. Dedze). **LISTY GRATULACYJNE OD:**

Wojewody i Marszałka Wlkp.

Wojewody Pomorskiego

Senatu Rzeczypospolitej Polskiej

Prezydentowej J. Kwaśniewskiej

Zostaje Człowiekiem Wielkiego Serca w Plebiscycie TV

Otrzymuje Medal Senatu RP

Otrzymuje medal Sint Sua Praemia Laudi

i wiele listów z podziękowaniami od rzeszy leczonych pacjentów

Prywatnie lubi muzykę, spektakle operowe – uczestniczy we wszystkich premierach w Teatrze Wielkim w Poznaniu.

Z żoną Jolantą Twardowską-Rajewską stworzył działający 20 lat Salon Literacki im. Gosienieckiego, w którym gościli znakomici przedstawiciele świata nauki i znakomici artyści. Obecnie wiele czasu poświęca wnukom, gdyż dla swoich dzieci z racji zaangażowania zawodowego i charytatywno-społecznego miał niewiele czasu. Dzieci jego są w swoich zawodach uznanymi specjalistami również zaangażowanych w działalność charytatywno-społeczną. Jest miłośnikiem dużych psów (obecnie Akita Amerykańska i Terier Rosyjski). Zakres procedur diagnostycznych w schorzenia i urazy narządu ruchu u dzieci i dorosłych to: **USG bioderek niemowląt – konsultacja i leczenie:**

dysplazja bioderek,

wady postawy u dzieci

Leczenie najskuteczniejszą metodą ILIZAROWA, którą wprowadza w Klinice Profesora Wiktora Degi:

wad wrodzonych kończyn,

wydłużanie kończyn,

podnoszenie niskiego wzrostu,

skrócenia kończyn,

urazów narządu ruchu (złamania, zwichnięcia),

powikłań złamań kości,

stawów rzekomych po złamaniu,

ropnych zapaleń kości,

wrodzonych stawów rzekomych,

zwyródnienia stawów,

dny moczanowej, schorzeń kręgosłupa,

schorzeń kręgosłupa wg McKenzi,

blokady przeciwbólowe i lecznicze,

leczenie osoczem bogatopłytkowym

W 1987 r. przedstawia uznanemu w kraju i zagranicą autorytetowi medycznemu – Prof. Jerzemu Królowi, Kierownikowi Kliniki Ortopedii Szpitala im. Prof. Wiktora Degi, projekt wprowadzenia w klinice leczenia metodą Ilizarowa, uzyskując jego akceptację. W celu realizacji tej koncepcji zostaje oddelegowany przez Profesora do tego zadania (stworzenie bazy naukowej, dydaktycznej i szkoleniowej, dla lekarzy z kliniki poznańskiej i poza).

Problemy utrudniające wprowadzenie metody Ilizarowa:

1. brak funduszy (szpital nie mógł przeznaczyć żadnych środków na ten program)
2. brak akceptacji lekarzy Kliniki dla metody (nie byli przekonani odnośnie bardzo dobrych wyników leczenia, uważając Prof. Ilizarowa za „oszustą i mitomana”)
3. brak jakiegokolwiek dostępnej literatury naukowej na temat tej metody.

Jedyną osiągalną informacją okazały się popularne artykuły w codziennych gazetach moskiewskich, które na prośbę dr Rajewskiego dostarczały przebywające tam osoby z Poznania; zawarte w nich fotografie chorych z dystraktorami Ilizarowa stanowiły dla dr Rajewskiego podstawę stworzenia całego instrumentarium i wszystkich osiemdziesięciu elementów dystraktorów. (Wykonali je zdolni precyzyjni poznańscy rzemieślnicy! społecznie). Było to pierwsze i jedyne rodzime instrumentarium – elementy dystraktorów Ilizarowa w Polsce. Tytanowe pierścienia (stosowane u najmłodszych dzieci) dystraktora, przywozili od producentów z Ukrainy pacjenci, których dzieci dr Rajewski leczył w kraju (patologie stawów biodrowych). Dopiero w 1990 r. „Cermet” z Krakowa przygotował rodzimą produkcję stabilizatorów.

W celu realizacji wprowadzenia do Kliniki metody Ilizarowa, dr Rajewski założył Stowarzyszenie Pomocy Osobom z Nierównością Kończyn i Niedoborem wzrostu oraz Fundację Rozwoju Metody Ilizarowa.

Podstawowe wytyczone cele to: Edukacja indywidualna i grupowa: spotkania z pacjentami i rodzicami dzieci zakwalifikowanych do leczenia i w trakcie procesu leczenia, podczas których przekazywane były informacje nt. rozwoju metody, roli rodzica w prowadzeniu wydłużenia, wykonywania opatrunków, prowadzenia rehabilitacji domowej oraz zasad prowadzenia obserwacji leczonego dziecka, dla wczesnego wykrywania ewentualnych zaburzeń procesu leczenia. Wydany został „Kalendarz wydłużanego dziecka” – poradnik stworzony społecznie z udziałem współpracujących psychologów, rehabilitantów, plastyka, muzyka.

Wdrażanie do leczenia metody Ilizarowa wymagało opracowania:

- techniki wykonania operacji: sposobu zakładania dystraktora (perfekcyjna znajomość anatomii dla precyzyjnego wprowadzania licznych implantów, mocujących dystraktor do kości)
- ustalenia tzw. czasu trwania fazy latencji czyli najkorzystniejszej przerwy między operacją a rozpoczęciem wydłużania, w zależności od wieku leczonego i rodzaju schorzenia
- stosowanie właściwej prędkości wydłużania, w zależności od obfitości powstającej nowej kości
- strategii postępowania po usunięciu dystraktora
- opracowanie dostosowanej do metody rehabilitacji we wszystkich okresach leczenia

Metoda Ilizarowa, spowodowała istotną rewolucję w leczeniu wszystkich schorzeń narządu ruchu u dzieci i dorosłych,. Poza tym wypełniła istniejącą lukę, w arsenale metod operacyjnego leczenia chorób ortopedycznych i najcięższych następstw urazów.

Przykłady: rajewskimed.pl

ZNACZENIE I KORZYŚCI WPROWADZENIA METODY ILIZAROVA

- wyeliminowanie pooperacyjnych ropnych powikłań kostnych
- jednoczasowa, kompleksowa strategia leczenia
- korzystniejsza alternatywa dla amputacji
- ochrona chrząstki stawowej w trakcie wydłużania kończyny
- ochrona chrząstki nasadowej wydłużanej kości
- brak potrzeby przetaczania krwi (eliminacja potencjalnego zakażenia HIV i HCV)

- minimalna (około 0,5-1 cm) długość rany dostępu do kości
- operacja możliwa, mimo rozległych blizn
- operacje możliwe, mimo znacznego upośledzenia ukrwienia kończyn (AO- w trakcie dystrykcji powstają liczne naczynia włosowate: angiogeneza)
- operacja, mimo ropnego ogniska w sąsiedztwie
- skrócenie (zazwyczaj do dwóch dni) pobytu w szpitalu
- możliwość wczesnego rozpoczęcia rehabilitacji, w tym chodzenia po operacji

. Jako pierwszy w Polsce w 1989 r. dr Rajewski wykonał osobiście operację wg Ilizarowa, stosując instrumentarium wytworzone pod swoim kierunkiem (jw.).

. Opisywaną „jako pierwszą w Polsce” operację met. Ilizarova – we Wrocławiu w 1988 r. – wykonali lekarze z Czech, oddelegowani z Kliniki Uniwersytetu Karola w Pradze, wraz z instrumentariuszką i całym sprzętem produkcji czeskiej.

. Zabiegi operacyjne wykonywane w Szpitalu Degi od początku obserwowali a następnie asystowali tam pracujący lekarze (dr dr Koczewski, Czubak, Napiontek, Jóźwiak, Shadi, Pietrzak i inni, jak również lekarze spoza Kliniki), przekonując się do ich skuteczności, wbrew wcześniejszemu sceptycznemu podejściu. Po 6 latach byli gotowi do samodzielnego leczenia, korzystając z nabytego doświadczenia.

Od 1989 dr Rajewski wykonał największą ilość operacji tego typu w Polsce. W 1993r Ministerstwo Zdrowia, doceniając tę pracę, przyznało Klinice znaczne fundusze, co pozwoliło na rozbudowę bazy operacyjnej, diagnostycznej i sprzętowej.

Jako jedyny z krajów postkomunistycznych, dr Rajewski zapraszany był na międzynarodowe konferencje ASAMI & FE-Association for the Study and Application of the Ilizarov's Method & External Fixation, dzieląc się w wystąpieniach również swoim doświadczeniem. Jako jedyny polski lekarz wówczas otrzymał od twórcy metody Prof. G. Ilizarowa, osobiste zaproszenie do swojej Kliniki w Kurganiu na 3 miesięczny pobyt naukowy. Podczas zagranicznych i krajowych konferencji i workshopów, dr Rajewski wymieniał z uczestnikami tych gremiów swoje spostrzeżenia i doświadczenie. W tym czasie również spotkał młodego lekarza, obecnie światowej sławy Prof. Paley'a z Florydy, który odbywał praktykę pod okiem prof. Ilizarowa w Kurganie a w 1986 r. wprowadził leczenie met. Ilizarova w USA. Prof. Paley ostatnio zapraszany jest do Polski, również do Kliniki Ortopedii Dziecięcej w Poznaniu, gdzie przeprowadza zabiegi instruktorskie.

Prof. Paley w swojej klinice na Florydzie operuje z sukcesem od lat nasze dzieci, z najpoważniejszymi wadami narządu ruchu. (Koszt leczenia w USA waha się od 300 000,00 do 1 000 000,00 PLN).

Dr Rajewski wyniki leczenia prezentował na licznych kongresach krajowych i zagranicznych. W 1994 r podczas kongresu PTO i Tr przedstawił 10 prac prezentujących wyniki leczenia metoda Ilizarowa, inicjując ciekawą, merytoryczną dyskusję przedstawicieli różnych krajów uczestniczących, co odwrotnie zaowocowało licznymi propozycjami zagranicznych zaproszeń. W kraju, w 1996 r w Puszczykowie k/Poznania, w zorganizował Międzynarodową Konferencję poświęconą metodzie Ilizarowa z udziałem autorytetów z Włoch, Holandii, Belgii i bogatym programem naukowym (oraz socjalnym!). Dr Rajewski przewodniczył licznym sesjom naukowym na różnych kongresach, konferencjach i innych spotkaniach naukowych, poświęconych metodzie Ilizarowa. Organizował szkoleniowe sympozja dla lekarzy, w tym lekarzy rodzinnych, którzy często po raz pierwszy dowiedzieli się o możliwości skutecznego leczenia i kontaktu z ośrodkiem, leczącym metodą Ilizarowa.

Wielokrotnie zapraszany był przez różne stowarzyszenia, kliniki, towarzystwa, w celu zaprezentowania możliwości tej metody.

W kraju dr Rajewski brał udział w odbywających się spotkaniach lekarzy, wzorujących się na włoskim ASAMI. Na jednym z takich spotkań w Zakopanym, przedstawił prace w oparciu o własne doświadczenie, wynikające ze znacznej liczby wykonanych operacji, ukazujące możliwości i wszechstronność leczenia metodą wg Ilizarowa. Prezentacje prac, bogato ilustrowana zdjęciami, pogłębiły również aspekt merytoryczny – naukowy spotkań, poświęconych metodzie Ilizarowa. Miało to zapewne udział w powstaniu w 1994 r.: ASAMI-Poland.

W 1989 dr Rajewski wprowadził monitorowanie za pomocą USG procesu powstawania regeneratu, czyli nowej kości w procesie jej wydłużania, co pozwoliło ograniczyć do minimum badanie rtg, eliminując tym samym niebezpieczeństwo sumowania dawek szkodliwego promieniowania. Do tej pory wykonywano w trakcie monitorowania wydłużania od 15 do 50 kontroli rtg.

Po raz pierwszy w świecie, w oparciu o uzyskiwane obrazy USG regeneratu dr Rajewski stworzył podział nowo powstającej kości na kilka typów, z których każdy wymaga odpowiedniej prędkości wydłużania lub nawet okresowego zatrzymania dystrakcji.

Również jako pierwszy w świecie wprowadził dynamiczną formę monitorowania USG, czyli ciągłe monitorowanie wydłużania, co pozwoliło uzyskiwać jak najwartościowszy regenerat.

Również w oparciu o USG oceniał wytrzymałość nowo powstałej kości, co ma nadal istotne znaczenie, w podjęciu decyzji o czasie usuwania dystraktora.

Ta forma bezpiecznej diagnostyki obrazowej USG w monitorowaniu procesu wydłużania kości została szybko wdrożona w licznych ośrodkach.

W 1990 r dr Rajewski wprowadził nowy sposób mocowania do kości dystraktorów wg Catagniego, zwiększając tym samym bezpieczeństwo leczenia, co wkrótce zostało zastosowane w całym kraju.

Również w tym samym roku, jako pierwszy w świecie, wprowadził do leczenia stosując badania podstawowe doświadczalne (w tym ocenę w mikroskopie elektronowym) artrodiatazę (dynamiczne objęcie dystraktorem wydłużanego segmentu kończyny wraz z sąsiadującym stawem), która zabezpiecza stawy podczas wydłużania kończyn przed kompresją, zwłknięciem, czy usztywnieniem. Poza tym, artrodiataza, jak wynika z Jego badań doświadczalnych, zapobiega destrukcji stawów z powodu ich unieruchomienia i umożliwia znaczniejsze wydłużenia.

Również w badaniach doświadczalnych wykazał, jako pierwszy w świecie, leczniczy wpływ artrodiatazy na zmiany zwyrodnieniowe stawów, co również potwierdziły wyniki leczenia chorych. Jako pierwszy w Polsce (i jak wynika z dostępnych informacji również w Europie), wykonuje z sukcesem u kilkuletniego dziecka, z ropnym, pooperacyjnym zapaleniem kości piszczelowej (była groźba amputacji) operację, polegającą na wycięciu około 8 cm fragmentu martwej kości, z jednoczesnym wypełnieniem ubytku wewnętrznym (windowym) transportem fragmentu zdrowej kości. rajewskimed.pl.

Ta operacja zapoczątkowała kolejne, liczne (skuteczne w 100%) operacje leczenia ropnego zapalenia kości i stawów rzekomych, co w wielu przypadkach uchroniło chorych, zakwalifikowanych w kraju i za granicą, przed amputacją kończyn (wyniki były prezentowane na Kongresie PTOiTr w Poznaniu i Lublinie).

Jako pierwszy w kraju opracował strategię kompleksowego leczenia wrodzonego stawu rzekomego, którą zastosowano z powodzeniem u dwojga dzieci. Wcześniej często, wielokrotnie powtarzanie tradycyjne leczenie, było nieskuteczne i kończyło się amputacją.

W latach 1989 i 1990 po raz pierwszy w kraju, opracował kompleksową strategię leczenia następstw ropnego zapalenia stawu biodrowego w okresie noworodkowym. Strategia ta oparta została na prześledzeniu losu wszystkich chorych leczonych w Klinice Profesora Wiktora Degi. Należy podkreślić, że podjęcie tego problemu nie było łatwym zadaniem, o czym świadczy fakt, że jego opracowania

podejmowało się wcześniej, bez powodzenia, kilku doświadczonych pracowników Kliniki. Ocena materiału i przeprowadzenie badania chorych, którzy zgłosili się na wezwanie, pozwoliły na wyodrębnienie podstawowych typów uszkodzeń stawów biodrowych. Dr Rajewski prześledził i ocenił całą historię następstw schorzenia i dalszego ich losu oraz skutki podejmowanego, często nieskutecznego leczenia. Strategia ta polegała na osteotomii podpórczej miednicy, kotykotomii nadkolanowej dla wydłużenia kości udowej i skorygowania odwiedzenia kończyny, oraz korekcji jej torsji i osi. Chorzy poddani przedstawionemu leczeniu, zachowywali ruch w stawie biodrowym, mieli równej długości kończyny, skorygowana torsja i zaburzenie osi a zwiększenie napięcia i siły mięśni pośladkowych, w znacząco poprawiało sposób chodzenia. Do tej pory najczęściej wykonywano artrodezę (usztywnienie) stawu biodrowego.

Ocenił również jako nieskuteczną, opartą o niewłaściwe wskazania (brak w minionym okresie narzędzi diagnostycznych jak USG czy artroskopia), dotychczasową strategię leczenia następstw zapalenia stawu kolanowego w okresie noworodkowym polegającą na operacyjnym obniżeniu jednego z kłykci kości udowej (problem wynikał z niewidocznienia w rtg kłykcia, który w rzeczywistości był obecny, ale jego kostnienie było opóźnione w wyniku przebytego zapalenia stawu). Od tej pory nie wykonywani już opisanych operacji.

Również po raz pierwszy w kraju, wykonał operacyjne poszerzenie (pogrubienie) obwodu goleni w przypadku jej znacznego wyszczuplenia, w wyniku uszkodzenia nerwu strzałkowego.

W 1991 r jako pierwszy w kraju wprowadził do leczenia metodą Ilizarowa, system Dyna-Splint, zarówno w wersji do połączenia z dystraktorem jak i do stosowania w rehabilitacji po jego usunięciu. System ten pozwalał na zachowanie w różnym zakresie ruchu w stawach sąsiadujących z wydłużonym segmentem. Zabezpieczał również stawy przed przykurczami i zwichnięciami. Możliwości systemu przedstawiłem na spotkaniu w Zakopanym.

Doświadczenie dr Rajewskiego w stosowaniu metody Ilizarowa, pozwoliło wspólnie z doświadczonym psychologiem klinicznym, dr psychologii Renatą Strzyżewską, opracować i wdrożyć ją w drugim roku życia, do leczenia znacznego niedoboru wzrostu u dzieci z achondroplazją (średni wzrost dorosły to 90-125 cm). Zabiegi te na świecie nie były wykonywane i nie wykonuje się ich nadal w tak wczesnym wieku dziecka, bo jak tłumaczą lekarze również w kraju, są one w tym wieku niewykonalne z przyczyn „technicznych” (m.in. z powodu małych rozmiarów kości). Wprowadzenie tak wczesnego wieku dla operacji niskiego wzrostu, okazało się sukcesem. Dzieci doskonale znosiły zabieg: już po 2 dobach, akceptowały dystraktor i dalej cały proces leczenia, uzyskując od 22 do 30 cm zwiększenia wzrostu w okresie około 1 do 1,5 roku leczenia. Strategia ta pozwoliła szybko przywrócić sprawność i godność małym pacjentom.

Wprowadza on również zmianę taktyki w podnoszenia wzrostu u dzieci z niskorostnością wprowadzając wydłużanie symetryczne- najpierw obydwie podudzia a następnie po 2 miesiącach przerwy, obydwie uda. Takie postępowanie wyeliminowało zwichnięcie stawu biodrowego podczas tak ekstensywnych wydłużeń, co stanowi najcięższe powikłanie w okresie dystrakcji.

Wychodząc z założenia, że dla skutecznego leczenia i osiągnięcia pożądanego wyniku, istotne znaczenie ma postawienie precyzyjnego rozpoznania, dr Rajewski wprowadził w klinice artroskopię dziecięcą, zakupując za wcześniej zebrane fundusze, nowoczesny, oryginalny sprzęt Strykera, z shaverem (pierwsze takie urządzenie w Klinice!) i odpowiednim oprzyrządowaniem. Należy wspomnieć, że w tym czasie Klinika dysponowała jedynie artroskopem z darów. Po raz pierwszy wprowadził pełną obrazową, dokumentację badań artroskopowych. Dla eliminacji powikłań w procesie wydłużania oraz oceny wykonywania ekstensywnych wydłużeń, zorganizował Pracownię Biopsji z pełnym jej wyposażeniem (w tym aparat do USG) i automatycznym sprzętem do pobierania

tkanek. Jako pierwszy opracowuje i wprowadza wczesne, od momentu rozpoczęcia chodzenia, postępowanie u dzieci z -wrodzonym ubytkiem bliższego końca kości udowej. Wprowadzona strategia ma zabezpieczyć dziecko przed przykurczami w stawach biodrowych i kolanowych oraz pożądanego ustawienie stopy, jak również przed zwichnięcia rzepki czemu sprzyjało.

Jako pierwszy wprowadza wydłużenie znacznego skrócenia stopy, opracowując konfigurację dystraktora jak również sposób jego mocowanie. Stwierdza, że wprowadzenie stabilizacji wszystkich palców, zapobiega zwichnięciom palców, co uniemożliwia kontynuację wydłużania i zmusza do cofnięcia uzyskanego wydłużenia.

Również po raz pierwszy wykonuje skuteczne i trwałe korekcie deformacji stopy u dzieci z przepukliną oponowo-rdzeniową z zaburzeniami ukrwienia i unerwienia, których leczenie metodą otwartą powikłane jest często zakażeniem pooperacyjnych ran i w konsekwencji rozległym bliznowaceniem, pogłębiającym deformacje.

W 1996 r jako pierwszy, po wieloletniej przerwie habilitowania w Klinice Ortopedii Szpitala im. Prof. W. Degi, uzyskał tytuł dr hab. med. w zakresie chirurgii urazowej i ortopedii na podstawie pracy: „Ocena wybranych czynników wpływających na zwiększenie bezpieczeństwa wydłużanej kończyny”. Praca habilitacyjna dr Rajewskiego była pierwszą pozycją w Polsce, wszechstronnie omawiającą metodę Ilizarowa, ze wszystkimi jej szerokimi możliwościami leczniczymi, proces monitorowania powstawania regeneratu, jak również istotne spostrzeżenia praktyczne. Praca została umieszczona w Internecie również w języku angielskim. Stanowiła i nadal stanowi zasób wiedzy, która w istotny sposób wpływa globalnie na rozwój metody Ilizarowa, a co najważniejsze – na bezpieczeństwo jej stosowania.

PODSUMOWANIE

Jak widać z przedstawionego materiału wdrożenie metody Ilizarowa do leczenia spowodowało rewolucję w terapii wszystkich schorzeń narządu ruchu, w tym obrażeń, u dzieci i dorosłych, a uzyskane wyniki leczenia były do tej chwili nieosiągalne. Poza tym metoda wypełniła istniejącą lukę, w arsenale operacyjnego leczenia chorób ortopedycznych i najcięższych następstw urazów.

Przykłady: rajewskimed.pl

Używane często zamiennie dla metody Ilizarowa określenie „osteogeneza dystrakcyjna” jest niewłaściwa, co powinno innych autorów opracowań, zachęcać do pogłębienia wiedzy w tym zakresie.

Te znaczące osiągnięcia we wdrożeniu i rozwoju metody Ilizarowa znalazły potwierdzenie w ogromnej już liczbie wyleczonych ułomności, zapobieganiu kalectwu, eliminowaniu poczucia wykluczenia i przywracaniu ludzkiej godności.

Choć, zwłaszcza w okresie wprowadzania do leczenia metoda Ilizarowa charakteryzowała się względnie dużym odsetkiem powikłań, jest metodą tolerancyjną dla leczonego, gdyż wiele z tych powikłań, pozwala wyleczyć z sukcesem, tym samym sposobem.

Istotny wpływ, co należy podkreślić, na wprowadzenie do leczenia metody Ilizarowa i jej rozwój mieli Prof. Andrzej Wall kierownik Kliniki Ortopedii w Wrocławiu i Prof. Witold Szulc kierownik Kliniki Ortopedii w Warszawie. Osobiste pobyty profesorów w Kurganie, poskutkowały organizacją (latach 1989 -1991) 3 turnusów szkolenia polskich lekarzy u Prof. Ilizarowa. Również z ich inicjatywy zostali sprowadzeni do klinik lekarze z Kurgania, którzy aktywnie uczestniczyli w leczeniu chorych, przekazując swoje bogate doświadczenie polskim kolegom.

Należy również podkreślić rolę Prof. Stanisława Mazurkiewicza z Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej, w rozwoju metody Ilizarowa poprzez mi wprowadzenie mechatronicznego

systemu leczenia deformacji kończyn w oparciu o dystraktor pierścieniowy.

W tym miejscu należy podkreślić znaczenie dla rozwoju polskiej szkoły wdrażania metody Ilizarowa, wybitnego autorytetu, o niezwyklej wiedzy i umiejętnościach oraz ogromnej kulturze Prof. Jerzego Króla.

Prof. Król, mimo sceptycznego nastawienia lekarzy Kliniki Ortopedii Szpitala im. Prof. W. Degi wobec leczenia wg Ilizarowa, postanowił w celu realizacji tego zadania oddelegować dr Rajewskiego do zorganizowania i wdrożenia tej metody w klinice, który również otrzymał polecenie stworzenia bazy naukowej, dydaktycznej i szkoleniowej, dla lekarzy z kliniki poznańskiej i z kraju.

Pod patronatem Prof. Króla powstaje pierwsze polskie instrumentarium i dystraktory Ilizarowa oraz opracowanie strategii prowadzenia leczenia.

To wszystko owocuje rozpoczęciem w 1989 r leczenia metoda Ilizarowa i szkolenia lekarzy.

Niestety, nie doszło do utworzenia proponowanego przez zemnie Centrum Ilizarowa w Poznaniu oraz zorganizowania w Klinice Ortopedii Dziecięcej oddział urazowego dla dzieci, tak brakujących w Poznaniu. Spowodowało to długie oczekiwanie na leczenie i kontynuowanie wysyłania dzieci na operacje do Prof. Paley'a na Florydzie.

Zapewne historia wdrażania i rozwoju metody Ilizarowa, zostanie odnotowana i znajdzie swoje należne miejsce w opracowaniach naukowych.

Należy również podkreślić, że lekarzy obecnie pracujący w dwóch wiodących ośrodkach w Polsce (Poznań i Otwock) pochodzą ze szpitala klinicznego im. Prof. Degi, których udało dr Rajewskiemu przekonać do metody Ilizarova, wbrew wcześniejszemu sceptycznemu podejściu.

Należy z całą stanowczością stwierdzić, że opracowany w 1951 roku przez Prof. Ilizarowa przestrzenny stabilizator jest typem stabilizatora cyrkularnego, wykorzystujący do mocowania wszczepy w postaci drutów Kirschnera. Stabilizator ten należy do stabilizatorów podatnych, w których pożądaną charakterystykę uzyskuje się poprzez zmianę wartości sił naciągu wstępnego wszczepów. Unifikacja części dystraktora pozwala na zbudowanie różnego rodzaju konfiguracji przestrzennej, aby otrzymać układ o najbardziej optymalnych parametrach dla danego przypadku i typu leczenia. Właściwe napięcie implantów powoduje uzyskanie pożądanego podatności poosiowej dystraktora oraz zwiększenie stabilności całego układu: kość – implanty - stabilizator. Stabilizator w ten sposób charakteryzuje się dużą sztywnością i ogólną stabilnością, co pozwala na poruszanie się z obciążaniem w czasie leczenia. Równocześnie uzyskuje się w nim określoną podatność spełniającą wymóg tzw. dynamizacji, tak korzystnej z uwagi na zachodzący w trakcie leczenia proces funkcjonalnej adaptacji tkanki kostnej do zewnętrznych obciążeń.

Należy podkreślić, że obecnie stosowane do produkcji tych dystraktorów materiały takie jak mi: tytan, aluminium czy włókna węglowe, nie tylko zwiększyły ich estetykę, ale przede wszystkim znacząco obniżyły ich wagę.

Należy całą stanowczością stwierdzić, że stworzony przez Prof. Ilizarowa dystraktor pierścieniowy i opracowana przez niego metoda leczenia, przetrwał próbę czasu i nie zastąpi go obecnie żaden stosowany dystraktor. To tłumaczy nazwanie Prof. Ilizarowa po jego śmierci w 1995 r dla uczczenia pamięci wybitnego ortopedy -GENIUSZEM ORTOPEDII.

Wszystkie stosowane obecnie dystraktory charakteryzują się bardzo wysoką ceną, i żaden z nich oprócz wyglądu, oprzyrządowania i oprogramowania, nie ma żadnej przewagi nad współcześnie stosowanym dystraktorem Ilizarova.

Należy przypomnieć, że stworzony przez Prof. Paleya Modular Rail System (dystraktor MRS), został wyposażony w moduł umożliwiający zastosowanie artrodiatazy, którą po raz pierwszy świecie opracował i wdrożył do leczenia dr Rajewski (cena 40 000.00PLN)

Sterowany elektronicznie samowydłużający się gwóźdź śródszpikowy sterowany elektronicznie ma ograniczona możliwość korygowania znacznych deformacji osiowych i nie powinien być stosowany do wydłużeń uda, ponieważ uniemożliwia utrzymanie prawidłowej osi mechanicznej kończyny jak również nie pozwala na ochronę sąsiadującego stawu ponieważ uniemożliwia zastosowanie artrodiatazy.(cena 285 000,00 PLN)

Również tzw. rama Taylora z komputerowym wspomaganie stosowana w świecie od 2004 r jest jedynie zmodyfikowanym aparatem Ilizarova.

Poza tym, należy z całą stanowczością stwierdzić, że stosowanej opracowanego przez Prof. Ilizarowa techniki leczenia, wymaga wszechstronnej wiedzy oraz ogromnego doświadczenia.

<http://www.rajewskimed.pl/>

Prof. dr hab. Józef Ryżko





prof. dr hab. Józef Ryżko, lekarz pediatra, gastroenterolog. Od ponad 40 lat zajmuje się chorobami przewodu pokarmowego, w tym endoskopią zabiegową, zaburzeniami metabolicznymi, a także dietetyką i syndromatologią.

[prof. dr hab. Józef Ryżko - Pracownicy PANS w Krośnie](#)

- W okresie od 1965 r. do 1971 r. – Studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu.

Uzyskane specjalizacje

- W 1975 r. specjalizacja I stopnia z pediatrii,
- W 1979 r. – specjalizacja II stopnia z pediatrii,
- W 1998 r. – specjalizacja z gastroenterologii,
- W 2014 r. – specjalizacja z gastroenterologii dziecięcej.

Stopnie naukowe

- W 1982 r. – Doktorat pod kierunkiem prof. dr hab. Marii Goncerzewicz tytuł pracy „Ocena gospodarki wapniowo-fosforanowej w zespołach złego wchłaniania u dzieci”.

- W 1991 r. – Habilitacja, praca pt. „Metabolizm witaminy D w chorobach wątroby u dzieci”,
- W 1998 r. – Tytuł profesora nauk medycznych.
 - Zatrudnienie w Oddziale Dziecięcym Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze na stanowisku kolejno asystenta i starszego asystenta,
 - w okresie od 1980 r. do 2016 r. (przejście na emeryturę) – Zatrudnienie w Klinice Gastroenterologii, Hepatologii, Zaburzeń Odżywiania i Pediatrii Instytutu Pomnika Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie na etatach kolejno starszego asystenta, adiunkta, docenta i profesora,
 - w okresie od 1990 r. do 2009 r. – Stanowisko zastępcy kierownika w/w Kliniki,
 - w okresie od 2009 r. do 2016 r. – Stanowisko kierownika w/w Kliniki,
 - W okresie od 2004 r. do 2018 r. zatrudnienie w Instytucie Pielęgniarstwa i Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Rzeszowskiego na stanowisku profesora zwyczajnego,
 - od 2005 r. – zatrudnienie w Zakładzie Pielęgniarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Krośnie, Karpackiej Państwowej Uczelni w Krośnie, obecnie Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Krośnie na etacie profesora – zatrudnienie jest kontynuowane,
 - Lipiec 2019 r. – Kliniczny Oddział Pediatrii Szpitala Uniwersyteckiego w Zielonej Górze.

Wybrane monografie

1. Ryżko J.(red); „Choroby przewodu pokarmowego” w „Pediatria” red. W. Kawalec, R. Grenda, H. Ziółkowska. Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2013 9str. 476-568.
2. Ryżko J. Zaparcia i nietrzymanie stolca w „Gastroenterologia dziecięca- podręcznik do specjalizacji”. red. P. Socha, D. Lebensztejn, D. Kamińska. Media Press sp. zoo. Warszawa 2016. str. 62-66.
3. Ryżko J.: Wymioty cykliczne i migrena brzuszna w „Gastroenterologia dziecięca- podręcznik do specjalizacji”. red. P. Socha, D. Lebensztejn, D. Kamińska. Media Press sp. zoo. Warszawa 2016. str. 57-59.
4. Ryżko J., Oracz G.: Wady i choroby wrodzone trzustki” w „Wielka Interna. Gastroenterologia” red. A. Dąbrowski. Medical Tribune, Warszawa 2019, Wyd. II, cz. II str.731-739.

Wybrane artykuły w czasopismach międzynarodowych

1. Jankowska I., Czubkowski P., Kaliciński P., Ismail H., Kowalski A., Ryżko J., Pawłowska J.: Ileal exclusion in children with progressive familial intrahepatic cholestasis. J. Ped. Gastr. Nutr., 2014, 58, 92-95.
2. Oracz G., Pertkiewicz J., Kierkuś J., Dądański M., Socha J., Ryżko J.: Efficiency of pancreatic duct stenting therapy in children with chronic pancreatitis. Clin. Endosc., 2014, 80, 1022- 1029.
3. Pac M., Bernatowska E., Kierkuś J., Ryżko J., Cielecka- Kuszyk J., Jackowska T., Mikołuc B.: Gastrointestinal disorders next to respiratory infections as leading symptoms of X-linked agammaglobulinemia in children – 34 year experience of single center. Arch.Med. Sci., 2017, 13, 2, 412- 417.

Wybrane artykuły w czasopismach polskich

1. Dobrzańska A., Charzewska J., Weker H., Socha P., Mojska H., Książek J., Gajewska D., Szajewska H., Stolarczyk A., Marć M., Czerwionka- Szaflarska M., Ryżko J.,

- Wąsowska -Królikowska K., Chwojnowska Z., Chybicka A., Horvath A., Socha J.: Normy żywienia zdrowych dzieci w 1.-3. roku życia- stanowisko Polskiej Grupy Ekspertów. Część II Omówienie poszczególnych składników odżywczych, Stand. Med., 2012,9, 319- 324.
2. Iwańczak B., Ryżko J., Kierkuś J., Jankowski P., i inni.: Leczenie biologiczne nieswoistych zapaleń jelit u dzieci w latach 2004- 2013. Pol. Merk. Lek, 2014, 36, 311- 315.
 3. Kierkuś J., Szczepański M., Gliwicz D., Dądański M., Kotlarz D., Klein Ch., Ryżko J., Socha P.: Interleukin 10 receptor deficiency in a Polish pediatric patient with early onset inflammatory bowel disease. Przegl. Gastroenterol., 2013, 8 (3), 202- 205.
 4. Binkowska-Bury M., Marc M., Nagorska M., Januszewicz P., Ryżko J.: The opinions of Polish nurses and patients on nursing protests. Coll. Antropol., 2013, 37, 3, 691-699.
 5. Jankowska I., Czubkowski P., Kaliciński P., Ismail H., Kowalski A., Ryżko J., Pawłowska J.: Ileal exclusion in children with progressive familial intrahepatic cholestasis. J. Ped. Gastr. Nutr., 2014, 58, 92-95.
 6. Jarzębicka D., Sieczkowska J., Ryżko J., Oracz G.: Terapia biofeedback w leczeniu czynnościowego zaparcia stolca. Stand. Med., 2014, 11, 3, 396- 401.
 7. Ryżko J., Ryżko J.: Profilaktyka zaparcia stolca u dzieci. Stand. Med. Profil. Zdrow., 2016, 1, 63-68.
 8. Ryżko J., Ryżko J.: Manifestacje pozajelitowe nieswoistych zapalnych chorób jelit. Stand. Med. Pediatrya, 2018, 15, 224-236.

W 1983 r. i 1986 r. – Nagroda Ministra Zdrowia za badania nad witaminą D.

Działalność w towarzystwach naukowych

- Polskie Towarzystwo Gastroenterologii, Hepatologii i Żywienia Dzieci, – w okresie od 1998 r. do 2016 r. członek Zarządu, a w latach od 2004 r. do 2008 r. przewodniczący Zarządu Głównego,
- Członek Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Gastroenterologicznego oraz Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego,
- W okresie od 1991 r. do 2010 r. – Udział w pracach Komisji Żywienia Dzieci i Młodzieży przy Komitecie Żywienia Człowieka Polskiej Akademii Nauk.

Prof. dr hab. Jana Skrzypczak



prof. Jana Skrzypczak, konsultant wojewódzki w dziedzinie ginekologii i położnictwa

Linke A, Jesteś potrzebna, masz dla kogo żyć! Rozmowa z prof. Janą Skrzypczak, konsultantem wojewódzkim w dziedzinie ginekologii i położnictwa, Gazeta Lubuska, 2021, <https://gazetalubuska.pl/jestes-potrzebna-masz-dla-kogo-zyc-rozmowa-z-prof-jana-skrzypczak-konsultantem-wojewodzkiem-w-dziedzinie-ginekologii-i/gh/c14-15882745>

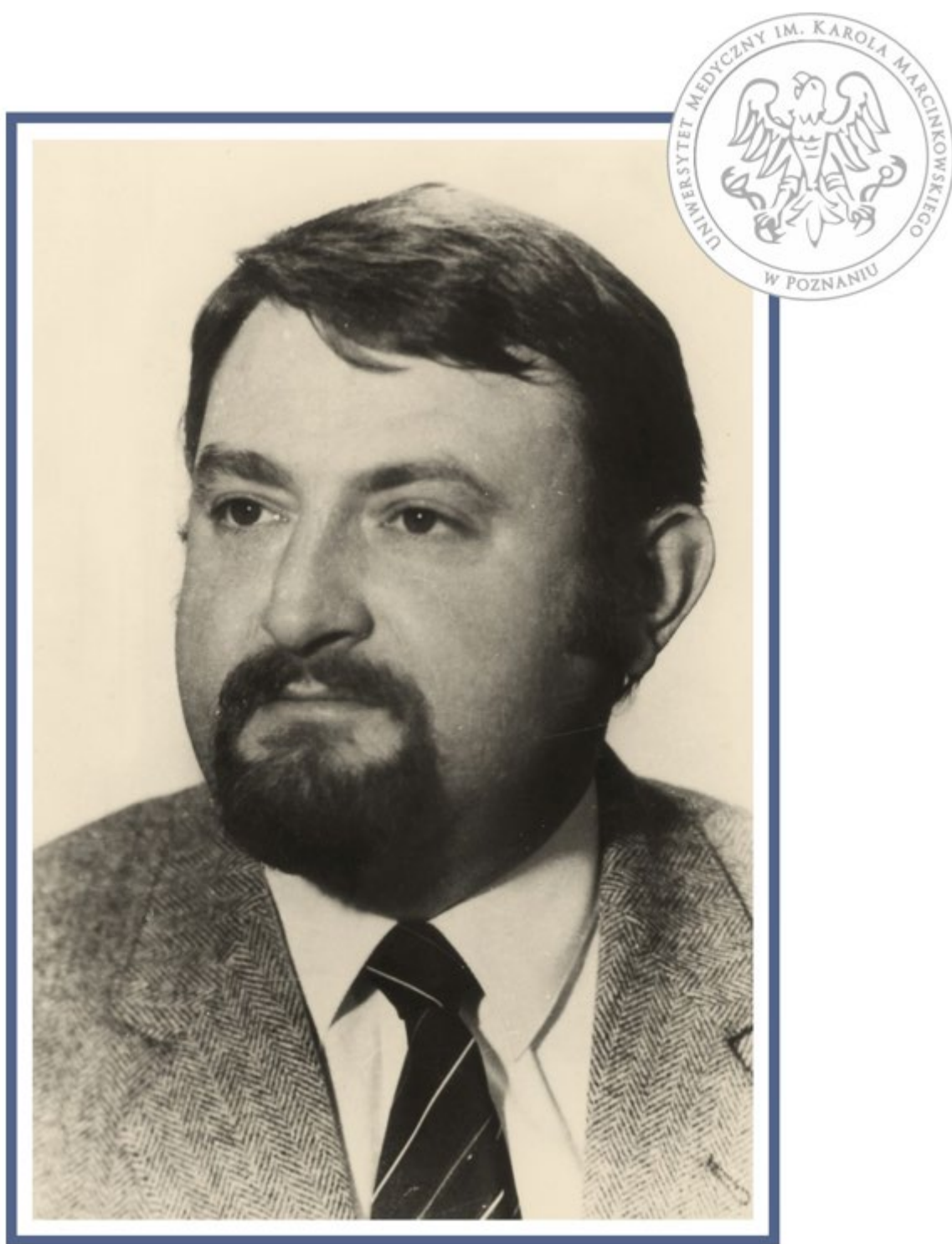
Prof. dr hab. Andrzej Szkaradkiewicz



Rozmowa z prof. dr. hab. Andrzejem Szkaradkiewiczem, kierownikiem Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej. 2001,
<https://poznan.naszemiasto.pl/penicyliny-wylecza-z-waglika/ar/c8-5418601>

Odporność przeciwdrobnoustrojowa a zakażenie bakteryjne, prof. dr hab. Andrzej Szkaradkiewicz
Katedra i Zakład Mikrobiologii Lekarskiej UM w Poznaniu, Medycyna Praktyczna, 20.12.2019
<https://infekcje.mp.pl/publikacje/wideo/222978,odpornosc-przeciwdrobnoustrojowa-a-zakazenie-bakteryjne>

Prof. dr hab. Marek Tuszewski (1948-1997)



Marek Tuszewski



Fot. 8. Centralna Sterylizatornia przed otwarciem. Od lewej: Danuta Szczeszek, Teresa Dziachan, Jędrzej Bandurski i Marek Tuszewski (drugi od prawej).

[Szpital Wojewódzki im. Karola Marcinkowskiego w Zielonej Górze \(1945-2015\)](#)

Tadeusz Dzwonkowski, Robert Skobelski, Hieronim Szczegółka: Szpital Wojewódzki im. Karola Marcinkowskiego w Zielonej Górze (1945-2015)

[Szpital Wojewódzki im. Karola Marcinkowskiego w Zielonej Górze \(1945-2015\)](#)



Niestety Marek Tuszewski odszedł przed czasem rozkwitu Internetu i niewiele o Nim tam informacji. Jedynie można znaleźć wykaz prac naukowych z których warto wymienić m.in.:

- Tuszewski Marek, Stan czynnościowy i morfologiczny wątroby po chirurgicznym leczeniu otyłości sposobem Payne-De Winda: praca doktorska, Promotor: Góral Roman (1925-), Polska, Gastroenterologia, Poznań, Rok wydania: 1976

- Patofizjologia, klinika i chirurgiczne leczenie wybranych chorób metabolicznych (otyłość, hiperlipidemia, cukrzyca), Autorzy: Góral Roman (1925-). Rd., Tuszewski, Marek. Rd., Bagieńska, Irena. Ws., Polska Akademia Nauk. Wydział VI - Nauk Medycznych, Wydawca: Warszawa ; Poznań: Państw. Wydaw. Naukowe ISBN: 8301042540, Rok wydania: 1982

- 15 lat działalności Kliniki Chirurgii Ogólnej i Gastroenterologicznej Instytutu Chirurgii 1970-1984, Temat: Akademia Medyczna, Poznań. Chirurgia - Polska. Gastroenterologia - Polska. Rok wydania: 1985 Wydawca: Poznań: Akademia Medyczna, Współtwórcy: Augustyniak, Alicja. Oprac. Tuszewski, Marek. Red., Akademia Medyczna im. Karola Marcinkowskiego (Poznań).

- VI Sympozjum Sekcji Chirurgii Endokrynologicznej Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego (27-28 maja 1993) oraz Konferencja Naukowa Kliniki Chirurgii Ogólnej i Gastroenterologicznej (28-29 maja 1993): materiały spotkania naukowego, Autorzy: Polskie Towarzystwo Endokrynologiczne. Sekcja Chirurgii Endokrynologicznej, Wydawca: Poznań: Wydawnictwo "Pallottinum", Rok wydania: 1993, Współtwórcy: Tuszewski, Marek. Red., Uwagi: Streszczenia referatów zawarte w tej publikacji wydane są jako suplement Biblioteki Poznańskich Roczników Medycznych

<https://opac.gbl.waw.pl/search/description?q=%22Tuszewski%2C+Marek.%22&index=3>

Marek Tuszewski nigdy nie zapomniał czasów studiów na poznańskiej Akademii Medycznej, którą ukończył razem ze wszystkimi w 1971 r. Był niezastąpionym animatorem życia towarzyskiego i stale koleżanki i koledzy takim Go pamiętają. „Po raz pierwszy spotkali się w 1991 roku po dwudziestu latach od absolutorium. Ten zjazd zorganizował kolega z roku, starosta roku Marek Tuszewski chirurg, który już niestety nie żyje”.

Czechowska H, Znamy się już 50 lat, Fakty UMP 4/2015, https://www.ump.edu.pl/files/12_sub_212_1426152293_4_2015.pdf

Prof. dr hab. Jacek Jan Wciórka



Jacek Jan Wciórka (ur. 1948^[2]) – polski lekarz [psychiatra](#), profesor medycyny, pracownik [Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie](#).

W 1971 ukończył studia medyczne w [Akademii Medycznej w Poznaniu](#), od 1972 pracuje w I Klinice Psychiatrii Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Specjalizację z psychiatrii uzyskał w 1977, w 1978 obronił pracę

doktorską *Środowisko szpitalne w świadomości pacjentów depresyjnych*, w 1989 otrzymał stopień doktora habilitowanego na podstawie pracy *Między przyswajaniem a oddalaniem: postawy pacjentów wobec przeżywanych zaburzeń schizofrenicznych*. W tym samym roku został kierownikiem I Klinice Psychiatrii. W 2001 otrzymał tytuł profesora nauk medycznych^[3].

Członek zarządu [Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego](#), w latach 2004-2007 jego prezes. Promotor i recenzent wielu prac doktorskich i habilitacyjnych. Koordynator Komisji Reformy Opieki Psychiatrycznej Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz członek Komitetu Nauk Neurologicznych PAN.^[4]

W 2001 został odznaczony Złotym [Krzyżem Zasługi](#)^[5]

Przypisy

1. ↑ [Prof. dr hab. Jacek Wciórka](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska ([OPI PIB](#)) [dostęp 2009-08-05].
2. ↑ [Jacek Wciórka w bazie polona.pl](#)
3. ↑ [Biogram na stronie Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie](#). [dostęp 2019-08-12]. [zarchiwizowane z [tego adresu](#) (2019-08-12)].
4. ↑ [informacja na stronie Rzecznika Praw Obywatelskich](#)
5. ↑ [M.P. z 2001 r. nr 40, poz. 659](#)

Prof. dr hab. Maciej Jan Zabel



zdj. z: https://pl.wikipedia.org/wiki/Maciej_Zabel

Maciej Jan Zabel (ur. 23 czerwca 1947 w Mosinie) – polski histolog i biolog komórkowy, prof. dr hab., profesor Katedry Anatomii i Histologii Collegium Medicum Uniwersytetu Zielonogórskiego[3] oraz profesor Katedry Morfologii i Embriologii Człowieka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu[1][2].

Życiorys

W 1971 ukończył studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu[2], w 1974 obronił pracę doktorską, w 1982 uzyskał stopień doktora habilitowanego[2]. 9 października 1990 nadano mu tytuł profesora w zakresie nauk medycznych, w 1996 uzyskał tytuł profesora zwyczajnego[1]. W latach 1992–2007 kierował Katedrą Histologii i Embriologii Akademii Medycznej we Wrocławiu, a w latach 2006–2017 – Katedrą Histologii i Embriologii Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu[4]. Obecnie jest Prorektorem ds. Collegium Medicum Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz profesorem w Zakładzie Histologii i Embriologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu oraz Katedrze Anatomii i Histologii Uniwersytetu Zielonogórskiego[1].

Doktor honoris causa Uniwersytetów Medycznych w Białymstoku (2009) i we Wrocławiu (2013) oraz Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego (2020), a także członek honorowy trzech towarzystw naukowych[3]. Stypendysta Fundacji Humboldta w Uniwersytetach w Würzburgu, Hamburgu, Kilonii i Berlinie[3].

Pełnione funkcje

Pełnił lub pełni szereg funkcji w strukturach międzynarodowych (Komitet Wykonawczy International Federation of Societies for Histochemistry and Cytochemistry) i jako przewodniczący struktur i organizacji krajowych badań naukowych (Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych, Zespół Nauk Medycznych KBN, Rada Nauki MNiSW, Zespołu ds. Nagród Ministra MNiSW, Komitet Sterujący Programu INNOMED NCBiR, Komitet Cytobiologii PAN, Polskie Towarzystwo Histochemików i Cytochemików, Rada Naukowa Instytutu Genetyki Człowieka PAN, Rada Naukowa Instytutu Immunologii i Terapii Dośw. PAN, Zespołu Współpracy Polsko-Niemieckiej MEiN „Neurobiologia”) oraz jako członek towarzystw, fundacji naukowych i 6 kolegów redakcyjnych czasopism, a także Rady Naukowej Instytutu Matki Polki, Komisji Nagród Premiera RP, Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych[3].

Działalność naukowa i publikacje

Najważniejsze kierunki badań Macieja Zabła to: biologia nowotworów, markery nowotworowe i krążące komórki nowotworowe, apoptoza w fizjologii i patologii, hormonalna regulacja gospodarki wapniowej, regulacja ekspresji hormonów, biologia molekularna w morfologii, fizjologia pęcherzyków jajnika, badanie biodostępności leków. Jego dorobek naukowy to ponad 420 prac oryginalnych oraz ponad 500 komunikatów zjazdowych[5][6]. Był kierownikiem 12 projektów badawczych KBN, NCN, NCBiR oraz międzynarodowych ERA-NET.

Jest redaktorem 16 monografii i podręczników oraz autorem ponad 40 rozdziałów. Był promotorem 33 rozpraw doktorskich i opiekunem 9 habilitacji oraz recenzentem ponad 100 rozpraw doktorskich, postępowań habilitacyjnych i profesorskich[5].

Odznaczenia i nagrody

[Medal Komisji Edukacji Narodowej](#)[2]

Krzyż Kawalerski [Orderu Odrodzenia Polski](#)[2]

Złoty [Krzyż Zasługi](#) (2002)[7]

11 nagród I stopnia Ministra Zdrowia[3]

Przypisy

1. ↑ [Skocz do: a b c d e Prof. dr hab. Maciej Zabel](#), [w:] baza „Ludzie nauki” portalu Nauka Polska (OPI PIB) [dostęp 2020-10-28].
2. ↑ [Skocz do: a b c d e f g Prof. dr hab. n. med. Maciej Zabel](#), [uz.zgora.pl](#). [dostęp 2020-10-28].
3. ↑ [Skocz do: a b c d e Biogram Macieja Zabła na stronie Uniwersytetu Zielonogórskiego](#) [online] [dostęp 2020-12-17] [zarchiwizowane z [adresu](#) 2023-03-11].
4. ↑ [prof. dr hab. n. med. Maciej Zabel. Portfolio na stronie Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych \(KRAUM\)](#) [online] [dostęp 2020-12-17].
5. ↑ [Skocz do: a b Biblioteka Główna Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu – Raport Autora](#) [online], 17 grudnia 2020.
6. ↑ [Scopus preview – Zabel, Maciej – Author details – Scopus](#) [online], [scopus.com](#) [dostęp 2020-12-17].

TRADYCJE COROCZNYCH SPOTKAŃ KOLEŻANEK I KOLEGÓW Z NASZEGO ROKU

Nasze spotkania po studiach (od 1991- 2015).

Maria Nowakowska z d. Hołoga (Mariolka) w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów m.in. wspomina: „Pierwsze spotkanie było po 20 latach czyli w 1991 roku w Poznaniu. Nie mogliśmy się nagadać. Niektórzy mieli już tytuły profesorskie, innym było blisko do nich. Na przyjęciu w Hotelu PARK nad Maltą siedzieliśmy przy stołach wg grup z czasów studiów. Poczuliśmy się jak za czasów studenckich i postanowiliśmy spotykać się częściej. Uzgodniliśmy następne spotkanie na 25-lecie zakończenia studiów. Piotr Janaszek, który nie mógł być na 20-leciu urządził je w 1996 roku w Ślesinie i wtedy mieliśmy spotkanie od piątku do niedzieli. Wówczas zapadła decyzja, żeby spotykać się co rok. I tak jeszcze 2 razy spotkaliśmy się w Ślesinie, a po tragicznym wypadku samochodowym w grudniu 1998 roku, w którym Piotr zginął, Marlena i Piotr Drewsowie urządzili zjazd Niemczech (1999). Oprócz wymienionych wcześniej spotkań, byłam jeszcze na naszych zjazdach w Puszczykowie (35-lecie rok 2001), potem w Pradze (2002), w Krakowie i Zakopanem (2003), w Wilnie (2005), w Baranowie okazji 35-lecia (2006) i 40-lecia (2011), w Kazimierzu Dolnym (2012), w Warszawie (2014) i z okazji 50-lecia naszej znajomości w 2015 w Baranowie”.

„Znamy się już 50 lat”, spotkanie w 2015 r., relacja z rysem historycznym tradycji zjazdów opublikowana przez dziennikarkę Faktów UMP (Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu).

Tak o nas napisała p. Helena Czechowska na łamach: Fakty UMP: „Znają się od 50 lat czyli właściwie od zawsze. Rozpoczynali studia medyczne w 1965 roku. Po dyplomie wybrali różne drogi zawodowe ale wspólnotą pozostali do dziś. Dają temu wyraz podczas corocznych, wyczekiwanych spotkań.

Po raz pierwszy spotkali się w 1991 roku po dwudziestu latach od absolutorium. Ten zjazd zorganizował kolega z roku, starosta roku Marek Tuszewski chirurg, który już niestety nie żyje. Następny zjazd odbył się w Ślesinie a jego organizatorem był nieodżałowanej pamięci doktor Piotr Janaszek, który Mielnicę koło Ślesina przekształcił w ziemię obiecaną dla osób niepełnosprawnych.

Ich rocznik liczył ponad dwieście osób, dołączyli do nich także stomatolodzy. Na zjazd przyjechała połowa ale to wystarczyło, żeby zapragnęli te spotkania kontynuować. Przez następne lata wyjeżdżali na wspólne wycieczki i w taki sposób zwiedzili całą Polskę i kraje sąsiednie. Było wspólne zwiedzanie Bieszczadów, było Zakopane, Wrocław i Milicz, Świnoujście, Lublin, Warszawa był Berlin i Drezno, Lwów i Wilno, Praga i Wiedeń. Szczególnie miło wspominają gościnę, którą przygotowali dla nich Marlena i Piotr Drewsowie mieszkający w Niemczech. Zaprosili kolegów z roku do siebie. Ugościli 60 osób.

Na te spotkania przylatują i przyjeżdżają z całego świata: z Australii, Kanady, USA, Austrii, Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji i Szwecji. Pośród rozlicznych zajęć – są przecież lekarzami, a 14 spośród nich profesorami medycyny – znajdują czas i energię na te coroczne, koleżeńskie spotkania. To chwile tylko dla nich, powrót do młodości cóż, że tylko we wspomnieniach, czas pogawędek, ale i dobrej zabawy.

W czerwcu w Hotelu „Edison” w Baranowie odbył się właściwie ich jubileuszowy zjazd pod hasłem „Znamy się już 50 lat”. W spotkaniu uczestniczyło 95 osób. Rocznik liczył 274 osoby wraz no ale czas

robi swoje: około 30 osób już nie żyje, wielu z różnych powodów nie mogło przyjechać. Tym bardziej godna podziwu jest determinacja tych, którzy chcą się spotykać i już planują następną wycieczkę – w przyszłym roku pojadą do Torunia.

Taki zjazd lub wycieczka, w której bierze udział kilkadziesiąt osób to duże wyzwanie organizacyjne. Ktoś musi wziąć to w swoje ręce. Te „ręce” należą do Alicji Kaczmarek-Michalewicz, która jest i dobrym duchem ale i szeryfem, taki tytuł nadano jej podczas poprzedniego zjazdu. To ona wymyśla kierunki wycieczek, telefonuje, zawiadamia, zbiera pieniądze, ponagla, jeśli trzeba. Sztab zjazdowy tworzy kilka osób, które spotykają się co jakiś czas i ustalają program spotkania czy wycieczki na przyszły rok. Stałe grono to profesorowie Krzysztof Linke i Ryszard Koczorowski, doktorzy: Aleksandra i Jacek Stammowie, Anna Horst-Szymczyńska, Andrzej Polimirski, Paweł Ratajczak i Andrzej Baszkowski. Na każde spotkanie przygotowują jakąś niespodziankę, a to adresownik z kontaktami do wszystkich, a to zbiór piosenek, żeby ułatwić wspólne śpiewanie czy pamiątkowy znaczek.

Każdy zjazd ma bogatą dokumentację zdjęciową.

Przez 25 lat nazbierało się tego sporo. A ponieważ każdy z uczestników ma za sobą długą lekarską praktykę to może niektórzy pokuszą się o spisanie swoich wspomnień i tak powstaną pamiętniki lekarzy? Byłyby dokumentem czasu, obrazem epoki. Wspomnieniem ludzi z jednego rocznika, którzy nie przestali być kolegami ze studiów”.

Czechowska H, Znamy się już 50 lat, Fakty UMP 4/2015, https://www.ump.edu.pl/files/12_sub_212_1426152293_4_2015.pdf

Relacja z corocznego spotkania naszego roku w Baranowie. Apel Jerzego T. Marcinkowskiego o pisanie pamiętników lekarzy, 2015

W dniach 12-14 czerwca 2015 r. w Hotelu „Edison” w podpoznańskim Baranowie 1 odbyło się spotkanie lekarzy i lekarzy dentystów, którzy studiowali na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu (obecnie: Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego) w latach 1965-1971. To doroczne spotkanie odbyło się pod hasłem „Znamy się już 50 lat” – co uzmysławia najistotniejsze, że znamy się już bardzo długo.

Rozpoczynaliśmy studia w liczbie około 350. W roku 1970 dyplom lekarza stomatologii otrzymały 72 osoby a w 1971 roku dyplom lekarza 202 osoby, czyli ogółem 274 osoby. Obecnie w 2015 roku na dorocznym spotkaniu było nas 95, w tym 17 stomatologów – czyli stanowiło się 34,7%. Dużo to, czy nie? Oceniając ten odsetek uwzględnić trzeba jeszcze śp. Koleżanki i Kolegów – oj, to około 30 osób, niestety.

Z naszego grona część przyjeżdża na wszystkie spotkania, a niektórych nie widzieliśmy nigdy – i to pokazuje postawy ludzkie. Ale najważniejsze, że było to – jak zawsze zresztą – bardzo miłe spotkanie. To, że się odbyło, jest zasługą naszej starościny („szeryfa”) Alicji Kaczmarek-Michalewicz, która na wzorową organizację naszych dorocznych spotkań poświęca wiele miesięcy pracy. Zleciła Ona naszemu koledze prof. Krzysztofowi Linke przedstawienie zbiorcze sylwetek nas wszystkich. Krzysztof – w oparciu o materiały otrzymane od naszej starościny – przygotował bardzo ciekawą prezentację multimedialną, żywo komentowaną przez słuchaczy. To przecież była mowa o naszym życiu. I tutaj przyszedł mi pomysł do głowy: opublikować nasze pamiętniki lekarzy. W przeszłości tego rodzaju dzieła wydawane były wielokrotnie. Na przykład „Pamiętniki lekarzy” (red. Jan Borkowski) opublikowało przed II Wojną Światową Wydawnictwo Orion – był to zbiór opowieści o doświadczeniach lekarzy z pacjentami w latach 30. XX w. Kolejne wydawnictwa tego rodzaju to: „Lekarze przemysłowi” (Ossolineum, 1965), „Pamiętniki lekarzy” (Czytelnik, 1968), „Pamiętniki chirurgów” (Czytelnik, 1972). Wszystkie te pozycje są niewątpliwie bardzo ciekawe, gdyż zawierają wiele myśli godnych uwagi nie tylko dla lekarzy, ale także tych, którzy zastanawiają się nad organizacją systemu opieki zdrowotnej. Zawsze wszelkiego rodzaju pamiętniki tworzą cenny dokument czasu, który daje obraz epoki, w jakiej ich autorzy żyli i

pracowali. Żał aby naszego życia nie opisać. Stąd mój apel do Koleżanek i Kolegów, nie tylko z naszego rocznika – przysyłajcie swoje lekarskie pamiętniki: opisy swojej pracy zawodowej, refleksje, przemyślenia. Przecież będą to bardzo ciekawe wspomnienia związane tematycznie z drogą życiową, zwłaszcza drogą zawodową. Jest możliwość ich wydania a stworzone wspólne dzieło z pewnością będzie powodem dumy dla autorów i zostanie przeczytane z zainteresowaniem przez innych. Czekam na teksty do pamiętników pod adresem mailowym: jtmarcin@gmail.com

Jerzy T. Marcinkowski

Program wycieczki do Białowieży. t e r m i n: 07 - 11. 06. 2017

DZIEŃ I: 07. 06. 2017 /środa/

Godz. 7.30 - zbiórka uczestników - Poznań, parking ul. Chwiałkowskiego 34 /POSiR/

Godz. 8.00 - wyjazd do Białowieży

Godz. 12.00 - 14.00 - posiłek po drodze - obiad

Godz. 16.00 - 17.00 - przejazd do Białowieży, zakwaterowanie w Hotelu „Białowieski”

Godz. 19.00 - kolacja /bufet/ w Hotelu "Białowieski"

czas wolny - zalecane korzystanie ze strefy wellness Hotelu "Białowieski"

DZIEŃ II: 08. 06. 2017 /czwartek/

Godz. 9.00 - śniadanie - bufet

Godz. 10.00 - wypoczynek na terenie Hotelu: zalecany spacer po okolicy oraz korzystanie z bazy rekreacyjnej Hotelu /baseny, gejzery powietrzne, jacuzzi, itp./

Godz. 13.00 - 17.00 - zwiedzanie Białowieży z przewodnikiem: zabytki architektury regionalnej, Cerkiew Prawosławna, Kościół św. Teresy, Park Pałacowy

Godz. 19.00 - biesiada pod wiatą grillową przy muzyce /DJ/

DZIEŃ III: 09. 06. 2017 /piątek/

Godz. 9.00 - śniadanie - bufet

Godz. 11.00 - 16.00 - przejazd kolejką wąskotorową na trasie: Hajnówka - Topiło - Hajnówka, spacer ścieżką edukacyjną z przewodnikiem , przerwa w Barze "Ostatni Grosz", /możliwość posiłku - dania regionalne/, powrót do Hotelu

Godz. 16.00 - 19.00 - wypoczynek na terenie Hotelu: zalecane korzystanie z bazy rekreacyjnej Hotelu /baseny, gejzery powietrzne, jacuzzi, sauny, łaźnie parowe, itp./

Godz. 19.00 - kolacja /bufet/ w Hotelu, czas wolny

DZIEŃ III: 10. 06. 2017 /sobota/

Godz. 9.00 - śniadanie - bufet

Godz. 11.00 - 15.00 - zwiedzanie z przewodnikiem: rezerwat pokazowy żubrów, spacer ścieżką edukacyjną "Puszczańskie Drzewa", powrót do Hotelu

Godz. 15.00 - 19.30 - czas wolny, zalecane korzystanie ze strefy wellness

Godz. 19.30 - uroczysta kolacja w klubie nocnym przy muzyce / DJ/

DZIEŃ IV: 11. 06. 2017 /niedziela/

Godz. 8.00 - śniadanie - bufet

Godz. 10.00 - wykwaterowanie z Hotelu i wyjazd w drogę powrotną /możliwość zbiorowego posiłku - obiad - za dodatkową opłatą/

około 19.00 - przewidywana godzina powrotu do Poznania

Zapewniamy: - transport autokarowy

- noclegi w pokojach 2-osobowych z łazienkami

- bezpłatne korzystanie ze strefy wellness w Hotelu

- wyżywienie zgodnie z programem wycieczki

- opiekę pilota i przewodników

- bilety wstępu
- ubezpieczenie NNW

Cena: 1.300,-PLN Opracował: Roman Nowicki – BOOS

Zjazd – wycieczka naszego roku, Olsztyn i okolice, 2018 r.

Absolwenci Akademii Medycznej w Poznaniu (1965-1970 stomatologia; 1965-1971 lekarski) - rocznik niezwykle....

Tym razem temat nabrzmiewał od maja 2017 r., bo jednak przybywało nam lat i wątpliwości - co będzie za rok? Jednak pojechaliśmy! Jak co roku od kilkudziesięciu już lat! W dniach 23-27 maj 2018 r. odbyła się wycieczka „Naszego Roku”. Miastem docelowym był Olsztyn i stamtąd planowane wypady, by bliżej poznać Warmię i Mazury.

To już minęły 53 lata od pierwszego naszego spotkania na dziedzińcu dostojnego gmachu Collegium Anatomicum w Poznaniu, gdy staliśmy w tłumie nieznajomych lub z nielicznymi znajomymi jeszcze z LO, czuliśmy się wybrani, bo pokonaliśmy trudne egzaminy wstępne z pozytywnym efektem - zostaliśmy studentami ówczesnej Akademii Medycznej! I czekała nas długa droga, której nikt jeszcze nie znał, lecz przeczuwał lub słyszał o niej od starszych kolegów. W tym pamiętnym dniu - na tym dziedzińcu, już nawiązały się pierwsze sympatie, padły pierwsze słowa do nieznajomego, odkrycia podobnego błysku w oku kolegi czy koleżanki - i tak tworzyła się nasza Wspólnota. Pozostaliśmy jej wierni przez 6 lat studiów i - jak się okazało - przez kolejne dziesięciolecia. Po 20 latach od ukończenia studiów niezapomniany śp. Marek Tuszewski (profesor chirurgii) zaproponował spotkanie całego Roku. Jego osoba jednoczyła wszystkich, jasna czupryna i przenikliwy wzrok scalał najbardziej nieufnych i opornych. Od tego czasu systematycznie - co rok - odbywaliśmy wspólne wycieczki po Polsce a i za granicę – zwykle 5-dniowe, organizowane przez profesjonalne biuro turystyczne. Było ich już kilkadziesiąt - to wydaje się nieprawdopodobne, ale jest prawdą! Dzięki nim Nasza Wspólnota żyła, żyła swoim tętnem, biciem naszych serc, wzlotami umysłów i młodzieńczymi pomysłami. Tak jest do tej pory.

Gdy Alicja Kaczmarek-Michalewicz przejęła pałeczkę organizatora, po przedwczesnym, niespodziewanym odejściu do ponoć Lepszego Świata naszego Marka Tuszewskiego, nic się pozornie nie zmieniło. Została „szeryfem” ze swoimi pomysłami i inicjatywą, niespożytą energią – i dzielnie sobie poradziła z legendą Marka. Choć jesteśmy pewni, że i On nam stale towarzyszy, spoglądając ze swojej dali, uśmiecha się do nas i wspiera tych, którzy wątpią w celowość takich spotkań. Bo nie da się ukryć, po ostatniej ubiegłorocznej białowieskiej eskapadzie, niektórzy postanawiali już nie kontynuować tradycji, bo nogi, bo coś tam z sercem, albo wreszcie wnuczki i wnuki zajmują każdą wolną chwilę. Jednak wbrew obawom, że grupa nie będzie już tak liczna, dopisało wielu –zapełniliśmy cały autobus.

Przybyłem na miejsce zbiórki wcześniej, więc obserwowałem z daleka jak zbliżali się do autobusu. Wyłaniali się ze swojej dość mrocznej, jeśli zajrzeć w kalendarz – siedemdziesiątki i więcej – ale w miarę zbliżania się przyspieszali, niektórzy panowie zda się wciągali brzuchy a panie chyba dyskretnie poprawiały odzież wyszczuplającą, by uwidocznic piękną talię osy i zgrabną pupę. Oczywiście tym razem żartuję, ale faktycznie tak było - krok sprężysty i młodość, młodość, młodość. „To idzie młodość” - chciałem zaśpiewać za Markiem Nowakowskim jak w świetnym spektaklu teatralnym sprzed laty. Przywitania kordialne, przytulenia, obejmowania, zapachy perfum męskich i damskich zmieszane, włosy rozwiane wiatrem, lśniące w upalnym majowym słońcu...

Walizki powędrowały do schowka, koledzy zręcznie pokonywali stopnie wiodące do autobusu, w tym oczywiście ja, a przedtem - naturalnie - pierwsze wskakiwały panie. Calutki autobus, pełen uśmiechów, radości gadania już rozpoczętego, szczebiotu i huraganowych wybuchów śmiechu.

Widziałem, jak zdejmują maski poważnych doktorów, ojców, dziadków, statecznych mężów. Poszedłem w ich ślady. Twarze gładkie, ani jednej na nich zmarszczki - metamorfoza totalna. W tyle autobusu już grupka chłopaków z wodą ognistą, nie żeby się „sponiewierać”, lecz by zaszumiło w głowie i ciele młodością - tylko trochę szumiło, jak kiedyś...

Krajobraz za oknem przemykał szybko, piękna trasa przez Gniezno, Inowrocław... Po drodze obiad w restauracji „Cykada” k/Brodnicy. Och cóż za nazwa, śpiewała nam Kora „Cykady na Cykladach” a my z nią i nasze serca śpiewały też naszą pieśń młodości... I dalej do Hotelu „Omega” w Olsztynie. A potem mnóstwo atrakcji: Lidzbark Warmiński – Zamek, Stoczek – Klasztor, Reszel – Zamek, Św. Lipka – Sanktuarium Matki Bożej, Mikołajki – rejs statkiem po Jeziorze Śniardwy, Giętrwałd – Sanktuarium Maryjne. A w Olsztynie: Stare Miasto, Wysoka Brama, Zamek, Katedra. Fachowo opracował tę naszą wycieczkę Pan Roman Nowicki (BOOS). Wieczorami jednoczyły nas jeszcze bardziej wspólne biesiady z DJ (Disc Jockey), kolacje, grille, czekanie aż zasną wyjątkowo upalne w tym roku majowe dni, wpatrywanie się na słońce zachodzące nad nieomal przyhotelowym Jeziorem Ukiel i obserwowanie (jest tam w pobliżu piękny, rozległy Ośrodek Sportu i Rekreacji) młodych sportowców, którzy z uporem pokonywali etapy odbywającego się tu właśnie triathlonu...

Potem powrót z wielkim ładunkiem energii, radością że zdaliśmy test naszych sił - daliśmy radę odbyć tę jednak dość intensywną wycieczkę, z nadzieją, że kolejne nasze wyjazdy czekają i ufnością, że świat przed nami stoi otworem - tylko chcieć!

Podsumowując - byliśmy i jesteśmy młodzi dzięki takim spotkaniom, wspólnemu przeżywaniu, łapaniu pięknych chwil, jakich dzięki takim wyjazdom jest niemało w naszym życiu...

Tak, drogie koleżanki i drodzy koledzy z innych roczników – szczególnie młodszych – doprawdy warto się spotykać by ocalać zdrowie i młodzieńczy uśmiech!!! Bo dobre, wyborowe towarzystwo, wesóły śmiech i nasycanie oczu pięknym pejzażem - TO JEST W ŻYCIU BARDZO, BARDZO WAŻNE! – uwierzcie nam starszym i doświadczonym....

Tekst zamieszczony w Biuletynie Wielkopolskiej Izby Lekarskiej

My, radośni absolwenci (...) poznańskiej Alma Mater. Wojaże po Żuławach pod egidą Pani Muzyki, 2019

Muzyka była z nami. Nie od razu i nie ciągle. Przybyła nieco zadyszana trzeciego dnia pobytu na koleżeńskim spotkaniu. Bo najpierw, już przy przywitaniu przed autobusem, trzeba było się godnie zaprezentować – makijażem starannym i jeszcze pachnącą salonem piękności fryzurą o barwach wczesnej jesieni czy zimy zaimponować, a także nacieszyć się sobą, obejrzeć, komu przybyło przez ten rok niewidzenia się krągłości, a kto niespodziewanie odzyskał młodzieńczą sylwetkę. „No cóż, na niektórych twarzach zmarszczki się pogłębiły i gęściej rysowały” – stwierdzali w duchu z niejaką satysfakcją ci, którzy pewni swej genetycznie lub kosmetycznie gładkiej skóry lubili się chełpić wyglądem. Ale inni myśleli: „Nic to, to tylko ślady intensywności życia – mapa drogowa naszych wrażeń” i z dumą pokazywali swe wyrzeźbione oblicza, bo bez tych dróg przeoranych na twarzach byłyby one nijakie, mdłe i pozbawione wyrazu. Może takiego myślenia nie było, bo któż odgadnie, co się lęgnie w cudzych głowach, chyba że gdzieś na uboczu wymieniano między sobą uwagi na ten temat.

Nie wiem jak było, więc znając trochę życie, pozwalam sobie na takie rozwijanie tematu. Zresztą i tak patrzyliśmy na siebie jakby przez swoisty filtr zakrywający minione półwiecze – przez tę kalkę widzieliśmy siebie osiemnastoletnich, stłoczonych, czasem nieśmiałych, ale dumnych i radosnych, bo właśnie wkraczaliśmy na medyczną ścieżkę – my, świeżo upieczeni studenci I roku naszej Alma Mater – poznańskiej uczelni, ówczesnie zwanej Akademią Medyczną. I nic to, że był wtedy 1965 r. – zaledwie 20 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej i nosiliśmy brzemień traumy naszych ojców – a teraz przyszedł 2019 – nie zmieniliśmy się wcale. Dokonywaliśmy podobnych, choć chyba bardziej uniwersalnych wyborów przyjaźni czy koleżeństwa i w autobusie byliśmy rozszczębiotani. Byliśmy zjednoczeni wspólną medyczną drogą, którą już prawie pokonaliśmy – tylko nieliczni jeszcze mają z nią kontakt. Byliśmy też zjednoczeni wspólnymi corocznymi spotkaniami, które odbywają się z wielką regularnością od 26 lat. Tak właśnie było – zjednoczeni tym wspólnym czasem radości byliśmy też

zachwyceni faktem, że żyjemy, że jesteśmy i że nam się chce... I że przywracamy sobie nawzajem tamten czas pierwszy, który minął tak niepostrzeżenie...

Tak więc nasza radosna grupa studencka (łącznie 36 nagle odmłodzonych seniorów) wysypała się z autobusu i wkrótce została zaokrętowana na stateczek, a po chwili wznosiła się wraz z nim na wody Kanału Elbląskiego. Jak pisze nasza Koleżanka – Ewa Barabasz – rejs ten to sam urok, siła nachylenia, napędzanie kół wodą, a także zachwycające jezioro Drużno z trzciną, kwitnącymi nenufarami i ptactwem.

Niestety chłopaki nie wyskoczyły do wody, by jak w słynnej scenie z „Nocy i dni” zerwać kwiaty wybrance. Tak więc nasza grupa, wielokrotnie wydobywana na ląd wraz z naszym pojazdem by ponownie wrócić na nurt kanału, wesoło wędrowała, zachwycając się kadrami soczystej zieleni.

Ci, którzy nie znali tego miejsca – a takich było nas całkiem sporo – cieszyli się, że warto żyć, by stale poznawać nowe. Również ci, którzy już tu byli z jednakową radością podziwiali przesuwający się pejzaż... No a potem czekały już szeroko otwarte wrota Hotelu Elbląg w Elblągu. Niezupełnie tak było, bo nie były to wrota a szklane tafle, które się bezszelestnie rozsuwały – jak na czterogwiazdkowy hotel przystało. Rynek dyszał upałem i czarował kamieniczkami wzniesionymi z ruin wojny, kiedy to 98 procent miasta w 1944 r. legło w gruzach w czasie ciężkich walk napierających i przynoszących hipotetyczną wolność Rosjan z broniącymi się Niemcami.

Odświeżone sumptem mieszkańców i unijnymi pieniędzmi przypominało starówkę toruńską, na której kiedyś też wspólnie buszowaliśmy. Przedwieczorna kąpiel w hotelowym basenie umilała życie kilkunastu osobom z naszego roku. Oczywiście potem była wytworna obiadokolacja i mały spacer, gdy miasto zmęczone upałami usypiało. „Żyć nie umierać w takich warunkach” – myśleli postronni obserwatorzy, choć nie my, bo mieliśmy inne zajęcia. A więc kolacyjne i pokolacyjne rozmowy o życiu, też zawodowym – ordynatorach i młodych lekarzach, o czasach na świecie niespokojnych i może o wielu innych problemach, które omawiano już w zwyczajowo tworzących się grupkach.

Następnego dnia był ogląd Elbląga. Przewodnik opowiadał, że miasto odbudowano tuż po wojnie, choć nie z miejscowych cegieł, które pojechały transportami kolejowymi do Warszawy według zasady: „Cały naród buduje swoją stolicę”. Gruz ze zburzonego kościoła św. Mikołaja, który zachwyca architekturą i freskami oraz ołtarzami wykonanymi z elementów innych okolicznych świątyń ewangelickich – tenże gruz wywożono platformą kolejową posuwającą się we wnętrzu na szynach...

Zadumaliśmy się nad wojną, okrucieństwem tego czasu, a może też dawnymi mieszkańcami... Zresztą każdy myślał o czym chciał, może tylko wznosił modły do Najwyższego, by z tego miejsca zostały wystuchane. Kto wie.

Elbląg – dość duże przemysłowe miasto oddychało wokół kościoła zanurzone w swojej depresji, bo założone na terenie położonym 1,8 m poniżej poziomu morza, ale też pięknie się wspinało na Wysoczyznę Elbląską, która promieniuje aż na Wileńszczyznę (tu myśli o kresowych kiedyś powojennych mieszkańcach). Miasto to otrzymało nazwę od swojej rzeki, którą kocha za to, że własna, ale też że tak bardzo oryginalna, bo wypływa z jeziora Drużno i wpada do Zalewu Wiślanego, pokonując zaledwie 14,5 km. Jest żeglowna i traktowana jako morskie wody śródlądowe, bo bywa, że do tego jeziora wpływają cofające się wody Bałtyku.

To tyle informacji, gdyż wielkie ich mnóstwo otrzymaliśmy od panów przewodników, a zapamiętać wszystkiego nie sposób, zresztą pewnie potem doczytamy ze wszechobecnego Internetu.

Bo tak, tak, jesteśmy z nim zaprzyjaźnieni, pomimo wieku, powiedzmy, późnej dojrzałości. Oczywiście zaliczyliśmy też Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu, o którym pisanie zajęłoby tyle miejsca, że redakcja „Biuletynu” załamałaby ręce.

W czasie wolnym spędziliśmy uroczne chwile w towarzystwie pięknych koleżanek nad malowniczymi lodami, co zostało utrwalone na zdjęciach. Zabrakło niestety czasu, a może też nie było chęci, by się wdrapać na wieżę widokową katedry pw. św. Mikołaja w Elblągu. Późniejsze próby okazały się nieudane, gdyż wieża zamykana jest o godzinie 18.00 i nikt nie jest wpuszczany pół godziny wcześniej.

Po bezskutecznych naszych prośbach odeszliśmy z kwitkiem, pomstując pod nosem. Ale oto ktoś doczytał, że może nie tak piękny, ale ciekawy jest widok z Bramy Targowej, którą oglądaliśmy z przewodnikiem wcześniej. O jej historii dużo by mówić, ale pamiętamy, że dawno, dawno temu mały piekarczyk uratował miasto przed Krzyżakami i od niedawna stoi odlany z brązu maleńki bohater, którego od razu polubiliśmy. Tak więc marząc o widoku starówki właśnie z tej wieży, zdążyliśmy tam wpaść i po pokonaniu szerokich schodów sięgających około czwartego piętra, podziwialiśmy widoki obramowane pięknymi szerokimi murami. O tak, takie właśnie widoczki kochamy i zostają nam one w oczach, jak wszyscy zgodnie stwierdzili...

Potem nastały kolacyjne gawędy i sen z wrażeniami zamkniętymi pod powiekami.

I oto następnego dnia dołączyła do nas Pani Muzyka. Lekko zdyszana, bo spóźniona – ale zdążyła przybyć. Pozwoliła nam odpocząć w Bazylice Archikatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny we Fromborku wśród śpiewów organowych piszczałek, z barokowymi obrazami tego potężnego instrumentu i pokazem jego możliwości przez bardzo młodego organistę, który – usadzony na dole pod organami – dokonywał cudów muzycznych. Machina ta działała tak cudnie, że gdy ogłoszono koniec pokazu możliwości tych organów, nikt nie wstawał pośpiesznie, tylko łykał jeszcze ostatnie dźwięki zawieszone pod sklepieniem bazyliki i zda się spadające na głowy słuchaczy. A może to było tylko złudzenie. Piękny czas obcowania z muzyką klasyczną, poważną i przejmującą kończył się.

Jednak Pani Muzyka tylko uśpiła naszą czujność, pozornie nas pożegnała, rozkołysała i odprowadziła do Hotelu Elbląg, gdzie rezydowaliśmy. Niby się z nami rozstała i wróciła do swojej fromborskiej bazyliki, gdy nagle, podczas pożegnalnej kolacji, pojawiła się ponownie – nie jako stateczna dama w stroju z epoki Mozarta czy Bacha, tylko jako młoda dziewczyna we współczesnej kreacji. Rozsiała swą energię wśród dyskutujących grupiek kolegów i zaprosiła do wspólnej zabawy – oj, działo się na tym parkiecie, działo... Płasy nas, młodych, nieustannie młodych dzięki temu, że przywróciliśmy tamte nasze pierwsze lata – trwały do późnej nocy i – jak pisze Ewa – ten akord „Jesteś szalona” (pewnie motyw znanej piosenki) oddał pełen obraz pożegnania z Elblągiem. A w drodze powrotnej było jeszcze mnóstwo przeżyć w zamku krzyżackim w mieście Gniew.

Och, młodszy nasi Koleżanki i Koledzy – nie zapominajcie o spotkaniach, gdy zda się już wessało Was własne życie - może ta opowieść doda Wam sił, gdy poczujecie oddech starszego wieku... Jest szansa, by to odwrócić – choć na chwilę wrócić do szalonej, zielonej młodości. To my Wam mówimy, my, którzy – jak widać – przeskoczyli lekko i zwinnie swoje siedemdziesiąte urodziny.

Warto wspomnieć o inicjatorach spotkań naszego roku, już niestety niebędących z nami: śp. Prof. Marek Tuszewski, a po Nim śp. Dr Piotr Janaszek. Od ponad 20 lat pałeczkę organizatora przejęła nasza starościna („Szeryf”) Alicja Michalewicz, która z żelazną konsekwencją, cierpliwością i urokiem osobistym co roku, już od zimy nas mobilizuje, a program proponuje i odpowiada za realizację „Boss” Roman Nowicki. Składamy Im nasze podziękowania i życzymy dalszej siły w działaniu.

Pod znakiem „Ptaków Ognistych”. Relacja z kolejnej tradycyjnie corocznej wycieczki naszego roku, Szczecin, 2023 r.

Zaczynaliśmy razem studia na Wydziale Lekarskim z Oddziałem Stomatologii ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu w 1965 roku – i nadal jesteśmy związani węzłem wspólnego czasu – od pierwszego dnia gdy zebraliśmy się na dziedzińcu Collegium Anatomicum i już wtedy rodziły się sympatie „od pierwszego wejrzenia”, oczywiście nie zawsze były to związki w dosłownym znaczeniu – choć i małżeństw wśród kolegów, które przetrwały do dziś, było wiele – ale były to więzi przyjaźni a jeśli nawet nie, to związali nas wspólni nauczyciele akademicy, „dygot” przed kolokwiami, egzaminami, wyprawy do Filharmonii czy wówczas otwartego właśnie modnego bardzo coctailbaru kryjącego się pod piękną polską nazwą „Kiciuś”, który nadal w naszej pamięci króluje przy obecnej ul. Św. Marcin, były też szalone tańce w dwóch wówczas najbardziej popularnych klubach „Nurt” i „Od nowa”. Złączył nas też.....niezapomniany zapach a właściwe fetor formaliny. Mieliśmy szczęście oglądać i słuchać tak wielkich profesorów, jak np. Józef Kołaczkowski, Kazimierz Miętkiewski, Czesław Gerwel, Adam Jankowiak, Józef Wiza, Roman Drews, Mieczysław Wójtowicz, Olech Szczepski, Hieronim Powiertowski, Aleksander Zakrzewski, Witold Orłowski, Adam Burda, Józef Strzyżowski, Maria Chmielowa, Jan Kiersz, Alfons Senger, Andrzej Pilawski, Edmund Chrościelewski, Tadeusz Marcinkowski, Witold Michałkiewicz, Stefan Bączyk, Antoni Horst, Alfons Chodera, Eligiusz Preisler i płk Zbigniew Psuja.

Chcieliśmy w tym miejscu napisać, że jesteśmy nadal bardzo zaprzyjaźnieni, ale to nie tak, nie zawsze są to przyjaźnie w pełnym rozumieniu określenia, ale jest to magnetyzm wspólnych czasów, magnetyzm którego przyciąganie odczuwamy już od wiosny każdego roku - to zew swoisty, pierwotny zew, któremu poddaje się nasza większość. Każde spotkanie to wyzwanie, zmierzenie się z upływem lat i mapą życia zapisaną na twarzach, czasem z niepełnosprawnością, ale patrzymy na siebie tamtymi, sprzed ponad 50 lat oczami i widzimy tamtych siebie – pełnych młodzieńczej werwy i nadziei na piękne życie. Widzimy siebie nawzajem przez odmładzającą kalkę, jak w cudzie *Photoshopu* i odczuwamy bijącą z nas dawną energię.

Tak więc co roku pędzimy z różnych polskich miast, krajów do naszego Poznania skąd tradycyjnie wyjeżdżamy na wspólne wycieczki – oczywiście w coraz to nowym kierunku – i to nie tylko w Polsce. Tym razem, na piękne wczesno czerwcowe dni 2023 r. zaprosił nas Szczecin – a organizował wyjazd jak zwykle nasz Pan Roman Nowicki (BOOS).

Oglądając słynną rzeźbę Władysława Hasiora „Ogniste Ptaki” (w Parku im. Jana Kasprowicza w Szczecinie) przysłała do nas myśl. To my - kiedyś grający barwami młodości, wylatujący marzeniami w nieboskłon. Uwięzieni na postumencie życia, zawodu, cierpień ludzkich, niemocy wobec śmierci, zrywamy się co roku do lotu i szybujemy w dal. Otrzepujemy przyszarzałe codziennością i upływem lat piórka i nagle, gdy jesteśmy razem i zda się zdobywamy świat na wspólnej wyprawie jesteśmy tak piękni nieśmiertelnie piękni jak te rzeźby Hasiora. Ogniste Ptaki to my... Ponieważ nie wszyscy mogli już być w realu na naszej wycieczce/wyprawie, to część była obecna on line (Messenger, WhatsApp, e-maile i telefony). Wszyscy cieszyliśmy się więc, że doczekaliśmy tak ciekawych czasów i możliwości korzystania z Internetu, bo najważniejsze jest utrzymywanie/kultywowanie naszego obecnie trwającego już 58 lat niewygasającego magnetyzmu zlokalizowanego tam, w naszej Alma Mater.... Jesteśmy przecież Jej dziećmi, wielką rodziną....

I to jest najważniejsze przesłanie od naszego senioralnego już rocznika do młodszych i najmłodszych: wynoście to światło które gdzieś płonie w waszych uczelniach, odbierajcie ten swoisty magnetyzm

wzajemnych związków a często też wielkich przyjaźni. Bo to jest MOC. Siła, która pomaga w często trudnym życiu, NADZIEJA że przyjdzie wczesna wiosna i z nią czas spotkania, spełnienia cudu przemiany w młodość, przemiany w „Ogniste ptaki” Hasióra czekające w Szczecinie, ale też te zwykłe, które wysoko szybują na niebie.



Przed Zamkiem Książąt Pomorskich w Szczecinie na którym widać bardzo ważne przesłanie: „Carpe Diem”.



Słynna rzeźba Władysława Hasióra „Ogniste Ptaki” (w Parku im. Jana Kasprówicza w Szczecinie).

Tekst i zdjęcia: prof. dr med. Jerzy T. Marcinkowski, dr med. Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz; Tekst zamieszczony w Biuletynie Wielkopolskiej Izby Lekarskiej

Relacje z corocznego wycieczkowego zjazdu naszego roku. Moszna - Katowice – Opole z wątkami o naszym pokoleniu w tle. 2024 r.

Relacja z corocznego wycieczkowego zjazdu byłych studentów Wydziału Lekarskiego 1965-1971 i stomatologii 1965-1970 dawnej Akademii Medycznej w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Medyczny) z wątkami o naszym pokoleniu w tle. Poznań – Moszna - Katowice – Opole w dniach 27-30 czerwca 2024 r.

Czerwiec 2024 roku był okrutnie upalny. Ale my, pokolenie nazwane przez amerykańców tylko boomersami od niezwykle licznych przyrostu nowourodzonych (baby boom) niczego już się nie boimy. Bo my polscy boomersi inni niż amerykańscy bo urodzeni na skrwawionej naszej ziemi dwa lata po zakończeniu II wojny światowej, zapewne epigenetycznie obciążeni traumą rodziców ale też ich siłą, wolą przetrwania- I mimo wszystko optymizmem, tego okrutnie upalnego czerwca nie wystraszyliśmy się wcale...

Jeśli ktoś nie przybył na nasz kolejny coroczny zjazd absolwentów to miał ku temu ważne powody- a to zgrupowanie surfingowców na Kos a to sanatorium czy wreszcie opieka nad kimś z poprzedniego pokolenia a czasem decyzja opuszczenia tego ziemskiego padołu łez i chęć szybowania w przestrzeniach międzygwiazdnych... tak więc ostatecznie było nas tym razem 17 osób by powiększyć tę liczbę należy wymienić też przybyłego z opóźnieniem - bo dopiero przypomniała mu była żona Dana - Leszka Milanowskiego ze swoim repertuarem zawsze śpiewanych w tych okolicznościach dość frywolnych piosenek ale za to pięknym nadal głosem dawnego chórzysty...

Jakie mieliśmy motywy by spotkać się ponownie? Czy chęć powtórzenia pięknych chwil spotkań sprzed roku i sprzed kilkadziesiąt lat gdy zasiadaliśmy w Collegium Anatomicum. Czy chęć sprawdzenia „że jeszcze żyjemy pełną piersią”? Czy ciekawość świata? Tym bardziej że nigdy Boss

nieomal odwieczny organizator naszych spotkań nie proponuje czasu w hamaku pod palmą z drinkiem i bezmiarem lazuru przed oczami. Organizator zawsze ambitnie wyznacza nam ścieżki na których może nigdy nie byliśmy a nawet jeśli to na tyle dawno że już wszystko zdążyło się zmienić.

Tak więc tego dnia grzecznie podążyliśmy na miejsce zbiórki pod poznańskim stadionem, potem w klimatyzowanym minibusie ucinaliśmy pogawędkę sącząc wodę mineralną. Jeszcze jakby onieśmieleni bo przecież w latach 60. XX w. utożsamialiśmy się z pięknym wierszem Małgorzaty Hillar czytowanym z zapartym tchem: „My z drugiej połowy XX wieku/rozbijający atomy/ zdobywcy księżycy / wstydzimy się / miękkich gestów / czułych spojrzeń / ciepłych uśmiechów / Kiedy cierpimy / wykrzywiamy lekceważąco wargi / Kiedy przychodzi miłość / wzruszamy pogardliwie ramionami / Silni cyniczni / z ironicznie zmrużonymi oczami / Dopiero późną nocą / przy szczelnie zasłoniętych oknach / gryziemy z bólu ręce umieramy z miłości”. I okazało się że trochę tacy byliśmy wtedy na tym pierwszym roku studiów w 1965 r, nie zawsze potrafiliśmy mówić wprost o uczuciach co czasem zmieniło całe nasze życie... I jest dobrze teraz. Życie jest piękne i nasza radość ze spotkania i z tego upału nawet i widoków za oknem naszego minibusiku. Jest dobrze. Zwiedziliśmy bajkowy pałac w Mosznej szukając śladów właścicieli właściwie zapomnianych a na zewnątrz grupa nastolatków ze szkoły muzycznej grała Mozarta. Było więc barokowo na zewnątrz i barokowo w naszych rozpalonych i już pootwieranych na kolegów sercach... potem Katowice i przedziwny lodowaty nowoczesnością z wtopionym starym budynkiem iście jak diament osadzony w lśniącej powierzchni tego co nowe wyrosło. To Hotel Diament przy ul Dworcowej i tam kolacja uśmiechy tematy różne chyba o życiu bo raczej nie z życia medyków. Może ktoś jednak zaczął opowieść o jakiejś chorobie czy pacjencie ale nieśmiało i umilkł wobec braku aprobaty. Odrzuciliśmy więc medycynę, politykę, zostało o rodzinach i ostatnich memach obejrzanych w necie i może były dowcipy kiedyś nazywane "z brodą" czyli stare powtarzane wielokrotnie i zawsze choćby z tego powodu śmieszne. Potem wieczorny spacer szlifowanie bruków jak się mawiało w czasach naszej młodości. I zadziwienie że tylu młodych wprawdzie wytatuowanych ale beztróskich radosnych a nawet rozbawionych.....

*Na zadane pytanie: Dlaczego warto się spotykać? odpowiada **Leszek Milanowski** snując wspaniałą opowieść osadzoną głęboko w historii...*

O wyjeździe do Katowic w 2024 r. dowiedziałem się na pogrzebie Andrzeja Pawlaka. Właściwie na „stypie” zorganizowanej przez Hankę Horst w Jej domu. Stworzyła wspaniałą wszystkim życzliwą atmosferę. Paweł Ratajczak powiedział też o spotkaniu organizowanym we wrześniu 2024 roku przez Michała Krzaka w Jego „okręgu wyborczym”. Od razu zadeklarowałem udział w obu. Po kilku tygodniach nawet prosiłem Romana Nowickiego (BOOS) o rezerwację w hotelu dla mnie i Jurka Zgrajka. Niestety Jurek później odmówił, rzekomo z uwagi na swój stan zdrowia. Po prostu pieści się ze sobą, a daję głowę, że dziennie bierze wiele mniej pigułek ode mnie – „delikatny Pieściuch”. I to przez Niego się spóźniłem. Po prostu zapomniałem. I bym w ogóle nie pojechał, gdyby nie pierwsza wybranka mego złamanego serca – Dana Milanowska z domu Pawlak z Szamotuł. W piątek zadzwoniła z pytaniem, dlaczego nie ma mnie w Katowicach. Natychmiast w sobotę rano moja Pani Menadżer – Wiktoria – odwiozła mnie do Katowic. Pierwszą, spotkaną przed hotelem osobą był Paweł Ratajczak, potem przed windą spotkałem Hirka, a w holu już jak zawsze eleganckiego Wiesia Uryszka. Hirek nie chciał mnie wpuścić do swego pokoju ze względu na swoją Pamelę. Ale i tak później się z Nią wycałowałem – tak mi się zdawało – na co jest dokumentacja fotograficzna Hirka. Hirek doprowadził mnie do pokoju Andrzeja Roszaka. Całe szczęście, bo do rozpoczęcia kolacyjnego spotkania zostało pół godziny, a ten rzekomo „żelazny” aktywny chirurg spał, leniuch rzekomo wyczerpany po intensywnym zwiedzaniu Katowic. Kiepsko z Nim, bo potrafi nocami nadal stać przy stole operacyjnym a spacerek miał Go wykończyć. No cóż, Andrzejku, nie poddawaj się i częściej trenuj dyżury chirurgiczne. Mieszkał z Jasiem Głębockim, chociaż to ja miałem z spać z Andrzejem – proszę bez (ż)aluzji, bo obaj jesteśmy nadal adoratorami pięknych kobiet, a ja, zwłaszcza naszych

Koleżanek. Nad Andrzejem już dawno straciłem wpływ i kontrolę, choć z Jego deklaracji ciągle priorytetem jest wierność i jedność w Rodzinie... Miałem okazję sobie porozmawiać z Jasiem Głębockim. Przede wszystkim o nas jako o lekarzach. Po raz pierwszy w życiu tak szczerze i otwarcie między nami. Szczęka mi opadła gdy poznałem - potwierdzony wpisem w dowodzie osobistym - Jego wiek. Był lekarzem Wojewódzkim w Poznaniu, nadał pracuje jako lekarz Pogotowia (sic!) - specjalista medycyny kolejowej. A ma sześć lat więcej od nas!!! Pracowałem kilka lat w Poznaniu w Pogotowiu, jak większość z nas i wiemy co to za „miody” zwłaszcza nocą lub na dyżurach w czasie pandemii. Pełen szacunek i podziw. Dobry dla nas przykład. Żałuję, że wcześniej się z Nim nie zaprzyjaźniłem. A znałem Go od czasu wspólnego obozu sportowego w Sierakowie w 1967 roku gdy udało mi się „poderwać” moją pierwszą wybrankę Danę – Mamę moich dwóch najstarszych Córek. Jasiu to Wielki Człowiek, wspaniały lekarz, dobry przykład naszej wiecznej aktywności lekarskiej. Większość z nas jeszcze pracuje. Jesteśmy lekarzami do końca naszych dni. Chciałbym mieć Jego kondycję fizyczną. Mam również wielkie zasługi w obudzeniu drugiego „zmęczonego śpiocha” - Jurka Marcinkowskiego. A i tak spóźnił się. Miał za to iście „profesorskie” spóźnione wejście. Aha, zaraz po przyjeździe zadzwoniłem do pokoju Hanki Horst, ale nie chciała mnie zaprosić tłumacząc, że nie wie, czy Jej „współspaczka” byłaby z tego zadowolona. Uszanowałem to i dopiero gdy na bankiecie usiadłem między Hanką a Olą Heim uświadomiliśmy Hanke, że ja co jakiś czas posyłam do Łodzi i często kontaktuję się z Olą w sprawie moich pacjentów z chorobami i nowotworami śluzówki jamy ustnej. A poza tym Ola jest przyjaciółką mojej kolejnej miłości, Elżuni z Włocławka, matki mojej Córk i Syna, która – najpewniej słusznie – jak nadal uważa, wyrzuciła mnie na bruk. To nie koniec. Trudno byłoby nam siedzieć nad talerzami gdyby nie humor i śpiewacza aktywność Hanki Horst. Nasi Ojcowie razem w Poznaniu kończyli studia medyczne w 1939 r. Na Ich roku było kilku kolegów o niemiecko brzmiących nazwiskach. Wiemy, jakim polskim patriotą był Profesor Antoni Horst, Recenzentem mojej pracy doktorskiej o immunologii czerniaka był Ich Kolega – Profesor Kazimierz Dux. Ojciec mi opowiadał, że kiedyś w Poznaniu, w czasie okupacji na ulicy spotkał kolegę z roku – w niemieckim mundurze – Friedricha Entressa (wnuka Polki z Wielkopolski) [Friedrich Karl Hermann Entress - ur. 8 grudnia 1914 w Poznaniu, zm. 28 maja 1947 w Landsbergu – zbrodniarz wojenny, jeden z lekarzy SS pełniących służbę w niemieckich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej oraz SS-Hauptsturmführer.]. Ten ostrzegł Ojca, żeby więcej się z nim nie spotykał, bo to może być dla Ojca niebezpieczne. A Entress mordował z Mengelem w Auschwitz. Po wojnie Entress za swoje zbrodnie został powieszony. We wspomnieniach o Entressie jest akapit o jego znęcaniu się nad swoim dawnym wykładowcą. Entress jest dla mnie przykładem i dowodem, że polityczna ideologia nigdy nie może górować nad lekarskimi hipokratesowskimi powołaniami. Prawda Michale i Jasiu?

Gdy zaczęliśmy śpiewać około dziesiątej, to te chóralne śpiewy skończyły się o pierwszej w nocy. Na spotkaniu zdecydowaną większość miały stomatolożki: dwa do jednego. Przyznam szczerze, że większości bym nie rozpoznał, gdyby nie panieńskie nazwiska, ale moją nową idolką stała się Zosia Zommer, żona śp. Romana Zommera, naszego Kolegi. Śpiewała piosenki harcerskie z Jej czasów obozu w Ślesinie. Teraz jest to bardzo mi bliskie miejsce, bo tam ma swoją siedzibę w Janaszkuwie Fundacja Podaj Dalej im. Piotra Janaszka - naszego Kolegi z Roku, w której opiekuję się osobami z niepełnosprawnościami - podopiecznymi obu Córek Piotra, Natalii Janaszek i Olgi Janaszek, prowadzących tę Fundację.

Zrobiło mi się przykro, gdy Jurek Marcinkowski chciał wspomnieć naszych Kolegów i Koleżanek którzy już odeszli. Został skonfundowany przez jedną z naszych Koleżanek – bo rzekomo to nie był czas na wspomnienie zmarłych. Otóż nie zgadzam się. Żyć będziemy tak długo jak długo będzie ktoś o nas pamiętał. Życie jest choroba śmiertelną. Każdego z nas czeka i na pewno nadejdzie. Czy to może być stresujące dla nas żywych? Nie - moim zdaniem. W 32 r.ż. z powodu zawału serca w Niemczech widziałem nad sobą równą kreskę na aparacie EKG, serce zaskoczyło po drugiej dosercowej

adrenalinie. Miałem czas pomyśleć o życiu. Naprawdę, po zatrzymaniu akcji serca jesteśmy jeszcze świadomi przez co najmniej 2 minuty. Miałem czas pomyśleć, co było najważniejsze. Byłem spokojny, rozliczyłem się ze sobą a gdy sobie uświadomiłem, że będę żył wiecznie w moich dzieciach dali akurat drugą adrenalinę. I serce zaskoczyło. Elżunia – moja była Małżonka – mówi do dziś, że „diabli nie biorą złego, bo wiedzą że jego” ale późniejsze specjalizacje z chirurgii plastycznej i chirurgii ogólnej, doktorat, urodzenie kolejnych Dzieci, odnalezienie kolejnej Córkę, aktywność zawodowa do dziś - udowadniają, że widocznie miałem wyznaczoną taką drogę, by jeszcze coś dobrego zostawić. Dopiero po zawale, na który po pobycie w Kilonii leczyłem się pod opieką Rysia Dziamskiego – pamiętacie Rysia? Warto żyć, być aktywnym i dawać z siebie tyle ile się da. Do końca. Mam wrażenie, że aktywnie pracując uciekam przed nieuchronną śmiercią. Nie wiem, czy się spotkamy za rok, ale na pewno pojedę do Michała Krzaka, by znów się spotkać i weselić z tymi, którzy jeszcze są wśród żywych. Różnice polityczne między mną a Michałem i Jasiem pozostaną i co z tego, skoro Atos i Dartagnan mogli nadal przyjaźnić się z Aramisem i Portosem w kolejnych tomach przygód „Trzech Muszkieterów” mimo różnic politycznych? Do zobaczenia.

*A teraz relacja **Hieronima Głowackiego (Hirka)**, uczestnika tego spotkania w realu, mieszkającego i pracującego od wczesnych lat 70. XX w. w Niemczech*

Słowo przyjaźń z punktu dzisiejszego widzenia, jest wielkim słowem, uczuciem, które w tamtych czasach zupełnie inną wartość miały. Pomimo to pozostaniemy przy tym określeniu. Uczucia przyjaźni, pomimo że były intensywne, to raczej krótkie. Również powód do wspólnego spotkania, albo raczej powody do wspólnych spotkań z czasami się zmieniały. Inne były w dziewięćdziesiątych latach, 20 lat po studiach i w czasie intensywnej własnej pracy zawodowej. Inaczej jest teraz, po 50 latach studiów i w czasie, w którym coraz rzadziej pracujemy zawodowo.

W latach dziewięćdziesiątych i na początku 2000 zaczynały się rozmowy najczęściej z pytaniem: „pamiętasz wtedy...?” Wracało się bardzo chętnie do studenckich przeżyć wszelkiego rodzaju. Mówiło się bardzo dużo o zdanych albo niezdanym egzaminach, sympatycznych i niesympatycznych profesorach, o obozach wojskowych, studenckich Balach, jak też prywatnie. Rozmowy te były wzdłuż w poprzek, zarówno tematycznie, jak też osobowo często wielu z nas mówiło naraz o tym samym, bo też wielu mieli podobne przeżycia.

Od początku naszych spotkań, które trzeba podkreślić, że inicjatorem tych spotkań był świętej pamięci Piotr Janaszek, można było zauważyć, że powstawały grupki osób, które również w czasie studiów wspólnie się uczyły, albo też bawiły.

Na początku było nas ponad 100 osób, ale z biegiem czasu miały nasze spotkania były coraz mniej liczne – 50 osób, potem 40, 30 i teraz na koniec zostało nas 20 osób. Można by powiedzieć, że 20 osób stanowi tak małą grupę, że nie uda się stworzyć z nich tak zwanych podgrup. Ale tak nie jest, nadal są związki, czy sympatii, czy przyjaźni, pomiędzy jednymi drugim jak też pomiędzy jedną czy drugą osobą.

Też tematy naszych rozmów zmieniły się z czasem. Na początku przeważały rozmowy o studiach, procentowo można by powiedzieć dwie/trzecie tematów dotyczyły studiów. Reszta rozmów dotyczyła pracy zawodowej, inna część rozmów dotyczyła rodziny. Najczęstsze pytania były: „masz męża?”, albo „jesteś żonaty?”, „masz dzieci i ile?” Zawodowo były pytania: „co robisz?”, „gdzie pracujesz?”, „jesteś zadowolony albo zadowolona z pracy zawodowej?” Za tymi pytaniami miało się wrażenie, że rozmówca chciałby to samo pytanie otrzymać, bo z jej czy jego widzenia osiągnął bardzo dużo. Co ciekawe, jeżeli to pytanie nie zostało zadane, to wtedy ten czy tamten czy inny zaczął opowiadać jakie przypadki miał w pracy, co automatycznie doprowadzało do pytania – „co robisz?”, „gdzie pracujesz?” Stanowisko – szef czy zastępca, padało tak zupełnie „przypadkowo”.

W latach 2010 i później zjawiają się w rękach smartfony - i razem z nimi możliwość przedstawienia zdjęć. Tak więc tematy czasów studiów, zabaw i obozów wojskowych stały się coraz rzadsze. Zaczyna się pojawiać duma z własnych dzieci i wnuków, zaczyna się temat wnuków jako centralny temat. Jakie to mądre, jakie to utalentowane, uzdolnione. Wprost wdraża pytanie, czy stwierdzenie – cała babcia czy cały dziadek.

Czterdzieści lat po studiach idą pierwsze osoby na emeryturę. Zaczynają się rozmowy o chorobach, nie pacjentów, tylko własnych. O chorobach, jakby to miało być usprawiedliwienie, że nie można dalej pracować. To znaczy w zasadzie chęć dalszej pracy istniała dalej. A więc po 50 latach studiów, mając 75-76 lat pracuje dalej wiele osób zawodowo i są z tego bardzo zadowoleni, nawet dumni. Również ta sytuacja – praca zawodowa tak/nie – jest podstawą do wielu rozmów i dyskusji. Chociaż ostatnich czasach zajmuje czołowe miejsce temat wnuki ich osiągnięcia. Jak już pisałem, rozmowy te są często podkreślane przez pokazywanie wielu zdjęć w smartfonie.

Też do życia należy też śmierć, rozmowy o zmarłych kolegach są raczej rzadkie, na podstawie wspomnienia, jakby to była wstydliva treść rozmowy...

Na zadane wszystkim kolegom pytania które potem wymienia Hieronim Głowacki (Hirek) szeregując zgodnie z własnymi odczuciami i obserwacjami, zarówno Maria Nowakowska (Mariolka) i Ewa Barabasz odpowiadają, że głównym motywem uczestniczenia we wszystkich takich zjazdach jest przyjaźń z okresu studiów ale też nawiązana podczas tych spotkań, jednak Hirek na pierwszym miejscu wymienia nostalgię za czasami studiów – czyżby za tym ukrywała się tęsknota nasilona wieloma latami spędzonymi poza krajem - za Poznaniem, miastem w którym się urodził, studiował, dojrzewał i stawiał pierwsze kroki już jako młody lekarz – miastem które było mu jak matka... Hirek pisze tak: Pytanie, jakie są podstawy do spotkania, spróbuję poniżej krótko opisać: Jednym z najważniejszych powodów do uczestniczenia w spotkaniach, zjazdach była nostalgia za czasami studiów - Chęć powrotu do przeszłości i wspomnienia starych, dobrych czasów; Przyjaźń z okresu studiów – Silne, długotrwałe więzi często stanowią główny motywator do uczestniczenia w zjazdach. Przyjaźń z okresu studiów na początku spotkanie było bardzo ważne, z biegiem czasu się troszeczkę zaciemniła, zamazała, zacierała. Ale nie zanikła. Nawet na ostatnim spotkaniu można było zobaczyć, kto z kim w czasie studiów chętnie przebywał; Możliwość tylko takiego spotkania – chociaż ten aspekt jest bardzo ważny, to mało kto to wspominał. Można by powiedzieć, że te spotkania są same przez się zrozumiałe; Przyjaźń nawiązana już na zjazdach - zawiązywanie przyjaźni z biegiem czasu jest coraz trudniejsza. Doświadczenia życiowe sprawiają, że każdy z nas staje się coraz ostrożniejszy. Czy powód do przyjazdu, aby nawiązać nową przyjaźń jest powodem, jeżeli tak, to podświadomie; Poczucie jedności i solidarności z racji wspólnych studiów - poczucie jedności Solidarności zauważam za każdym razem w trakcie z każdego spotkania. Na studiach, gdzie ponad 200 studentów studiowało, trudno jest mówić o jedności. Jednak Solidarność można było odczuwać. Tak w czasie studiów jakich po studiach zauważałem te same osobowe grupy. Jedne elitarne, inne normalne. Z biegiem czasu zaczęło to się zacierać, w szczególności, kiedy osoby, które ton nie dawały od nas spowodowane śmiercią czy chorobą odchodziły; Poczucie obowiązku uczestniczenia, bo wypada pojechać – być może uczucia obowiązkowego uczestnictwa istniały, to się bardzo mało o tym mówiło. Tym bardziej, że jak już ktoś przyjechał, to potem nie żałował; Ciekawość kondycji innych i ew. porównania ze swoją – ciekawość kondycji, zarówno psychicznej jak i fizycznej, była podstawą uczestniczenia w spotkaniach. Chociaż tego się nigdy oficjalnie jawnie nie wypowiadało, to jednak takie uczucie było ewidentne z rozmów pomiędzy koleżankami i kolegami; Chęć zwiedzania – Nie tylko chęć zwiedzania była motywacją do spotkań, ale również możliwość zwiedzania. Wiele osób wspominało, że byli tak wdrożeni w pracę zawodową czy rodzinną, że nie mieli czasu pomyśleć o wycieczkę. Urlop, to tak, ale wycieczka? Na to nie było czasu. Dlatego też połączenie wspólnej

przygody, zwiedzania i odkrywania, jak też powrotu do znajomych kątów Polski i Europy, do tego przeżycie wspólnych chwil, było często podkreślona; Przyjemność długich wieczornych rozmów – tematów do długich wieczornych rozmów, dyskusji, było na początku dużo i też na końcu byłoby dużo, ale kondycja fizyczna raczej na to nie pozwalała. Trzeba było szybko wskoczyć do łóżka, żeby następnego dnia być wypoczętym...

Żegnając się w Poznaniu, tradycyjnym już miejscu spotkania przytulaliśmy się do siebie obejmując „na misia”. Tak kiedyś nazywano czułe, wręcz rytualne powitania przywódców dawnych krajów tzw. komunistycznych. A czasy te dobrze pamiętamy, urodziliśmy się w czasach zimnej wojny, w 1961 r. wzniesiono mur berliński, za „żelazną kurtyną” trwaliliśmy do 42 wiosny życia, czyli do 1989 r., kiedy nadeszło wyzwolenie. Pomimo izolacji od cywilizowanego świata, prężności warunków naszej młodości przenikała jednak do nas wiedza medyczna ze świata, pracowaliśmy i wielu z nas nadal pracuje intensywnie w zawodzie a też zachowaliśmy witalność i radość życia co obrazują opisy tu zamieszczone. Wszystkim Medykom - naszym młodym Następcom...życzymy podobnych spotkań wycieczkowych a przede wszystkim Uśmiechu, który może „przenosić góry”.....

Jerzy T. Marcinkowski, Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz, Hieronim Głowacki, Leszek Milanowski, Ewa Barabasz, Maria Nowakowska, Zjazd Roku 1965-1971, WIELKOPOLSKA IZBA LEKARSKA, Biuletyn, 2024 s. 36 – 37 https://wil.org.pl/wp-content/uploads/PRO_WIL-09-2024_net.pdf

Biskupin – Wenecja – uroczę zakątki Bydgoszczy – Ostromecko, 2025

Biskupin – Wenecja – uroczę zakątki Bydgoszczy – Ostromecko. Kolejna z tradycyjnie corocznych wycieczek lekarzy medycyny (absolwenci 1971 r.) i lekarzy stomatologii (absolwenci 1970 r.) poznańskiej Alma Mater

[Tekst i zdjęcia: Jerzy T. Marcinkowski, Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz, Hieronim Głowacki]

Gdybyśmy wszyscy się zebrali i podjęli dyskusję dokąd się wybrać w tym roku na nasz tradycyjny, od dziesięcioleci coroczny zjazd – ile osób – tyle byłoby propozycji. Jednym marzyło się morze, bo dawno tam nie byli, innym śnią się góry. Można sobie wyobrazić jaką „burzę mózgów” przeżywało grono Kolegów, które przed laty pod dowództwem Alicji Kaczmarek-Michalewicz – naszego „szeryfa” debatowało nad planem wspólnej, przyszłej wycieczki. Stopniowo całość przekazywano sprawdzonemu już przez nas organizatorowi wycieczek, p. Romanowi Nowickiemu ...właścicielowi poznańskiego biura turystycznego o dumnej nazwie BOSS, który tworzy plany kolejnych wycieczek z naszym Kolegą Pawłem Ratajczakiem, który przejął obowiązki naszego „szeryfa”. Tym razem zostaliśmy właściwie zaskoczeni ich propozycją: ooo, Biskupin - byliśmy jeszcze czasach szkolnych, coś mogło się zmienić? przejazd kolejką wąskotorową na trasie: Biskupin - Wenecja, posiłek w Wenecji – kolejka to dla dzieci może a z tą Wenecją to jakiś żart chyba. A Bydgoszcz? Toruń to jest perełka, byliśmy - ale Bydgoszcz? – przecież większość zabytków II wojna światowa zamieniła w ruiny a też kiedyś została zapamiętana szara i taka jak inne miasta czasów PRL-u, . Jednak pojawiło się zaciekawienie ocieplone przypomnieniem naszych ulubionych kolegów ze studiów, którzy tu się urodzili, wrócili, pracują albo osiedli w okolicach. Przez ich pryzmat miasto wydało się bliższe i tym bardziej interesujące, szczególnie, że liczne artykuły w Internecie o rozkwicie turystycznym miasta zachęcają. Tak więc niektórzy rozpoczęli studiowanie tego programu i często niezależnie od programu a tylko z chęci bycia razem podjęli decyzję – jedziemy !!! :



PROGRAM WYCIEZKI DO BYDGOSZCZY

TERMIN: 28. 05 - 31. 05. 2025

DZIEŃ I: 28. 05. 2025 /środa/

Godz. 8.00	- zbiórka uczestników - Poznań, parking przy STADIONIE MIEJSKIM, ul. Bułgarska 17
Godz. 8.30 - 10.00	- wyjazd z Poznania, przejazd na trasie: Poznań - Biskupin
Godz. 10.00 - 15.00	- zwiedzanie Biskupina z przewodnikiem, przejazd kolejką wąskotorową na trasie: Biskupin - Wenecja, positek w Wenecji - przejazd na trasie: Wenecja - Bydgoszcz, zakwaterowanie w Hotelu „QUBUS”
Godz. 15.00 - 18.00	
Godz. 18.30	- obiadokolacja w Hotelu „QUBUS”****
Godz. 20.00	- czas wolny, odpoczynek /zalecany spacer po okolicy/

DZIEŃ II: 29. 05. 2025 /czwartek/

Godz. 8.00	- śniadanie - bufet
Godz. 10.00 - 12.30	- spotkanie z przewodnikiem w recepcji Hotelu, przejazd na Stary Rynek” i zwiedzanie: Most Staromiejski, Bulwary na rzeką, Stary Port, Rybi Rynek, Katedra Św. Mikołaja i Marcina - najstarsze zabytki miasta - czas wolny
Godz. 12.30 - 13.30	
Godz. 13.30 - 16.30	- c.d. zwiedzania z przewodnikiem: Wyspa Młyńska, Wenecja Bydgoska, punkt widokowy na Młynach Rothera, rejs po Brdzie z degustacją wina i sera
Godz. 16.30 - 18.30	- czas wolny
Godz. 18.30	- obiadokolacja w Hotelu „QUBUS”

DZIEŃ III: 30. 05. 2025 /piątek/

Godz. 8.00	- śniadanie - bufet
Godz. 10.00 - 12.30	- zwiedzanie z przewodnikiem: objazd po mieście, Trasa Uniwersytecka, Bazylika Św. Wincentego, aleja Ossolińskich, Dzielnica Muzyczna, Park Kochanowskiego, rzeźba Łuczniczki, Filharmonia Pomorska, Fontann Potop, ul. Cieszkowskiego
Godz. 12.30 - 13.30	- czas wolny
Godz. 13.30 - 16.00	- c.d. zwiedzania z przewodnikiem: Barka Lemara, Muzeum Szypierstwa, Muzeum Mydła i Historii Brudu, Planty nad Starym Kanałem Bydgoskim - czas wolny
Godz. 16.00 - 19.00	
Godz. 19.00	- uroczysta obiadokolacja w Hotelu „QUBUS”

DZIEŃ IV: 31. 05. 2025 /sobota/

Godz. 8.00	- śniadanie - bufet
Godz. 10.00 - 12.00	- wyjazd z Hotelu, przejazd na trasie: Bydgoszcz - Pałac w Ostromecku
Godz. 12.00 - 14.00	- zwiedzanie zespołu pałacowo-parkowego z przewodnikiem w Ostromecku
Godz. 14.00	- obiad w pałacowej restauracji
Godz. 15.30	- wyjazd w drogę powrotną do Poznania
Godz. 18.00	- przewidywana godzina powrotna do Poznania

Opracował: Roman Nowicki - Biuro „BOOS”

I wkrótce było tak jak opisuje Hieronim Głowacki (Hirek), mieszkający w Niemczech, który pospieszył na nasze spotkanie przemierzając ok. 640 km do Poznania, gdzie dołączył do Koleżanek i Kolegów czekających już na przyjazd autokaru. Myślał po drodze: „Bydgoszcz - bliskie miasto Poznania, 129 km, i pomimo to nieznane. Już kiedyś ta grupa odwiedzała Wilno, czy Wiedeń, Lwów, to odległości ponad 600, nawet 750 km ‘co autobusem nie jest małym skokiem’. Ale teraz odległość 129 km dla ‘młodzieży’ rocznika 1948-1946 i parę lat starszych może być już w pewnym sensie stresem. Jednakże te 129 km, to mniej niż 2 godziny w autokarze, z przerwą i smacznym jedzeniem, pewnie będzie łatwo pokonana. Tak więc początek - tam gdzie stoi autobus powoli ze wszystkich stron pojawiają się sylwetki, które w pierwszym rzędzie poznawane są po walizkach na rolkach. Mając w pamięci dźwiganie wypchanych ciężkich toreb turystycznych – walizki na kółkach to genialny wynalazek tych czasów, myślę. Realne obrazy w oczach, w tym pokoleniu, zaczynają się „dzięki” zaćmie zacierać. Na szczęście do tradycji należą zapamiętane z ubiegłego roku te same ruchy Koleżanek i Kolegów, sposób poruszania się, a nawet szczegóły, jak: ubranie, kurtka, krawat. Te parę osób z „problemami biodrowymi”, można ominąć zamglonym nieco wzrokiem a postrzegać jedynie oczami duszy daną osobę kiedyś młodą i sprawną. Pomimo czasem licznych problemów zdrowotnych wszyscy zapisani przyjechali. A więc powitanie zawsze podobne: - uśmiechy, ach jak to ślicznie, że jesteś. Wyglądasz nadal bez zmian. Itd. A propos „wyglądasz bez zmian” - moje spostrzeżenie - pierwsze wrażenie jest realistyczne - ona, on się postarzał. Ale po mniej niż 5 minutach widzi się twarze naszych przyjaciół jak za studenckich czasów. Obrazy w głowie z czasów młodości zwyciężają. Nie ma żadnych zmarszczek, oczy jasne błyszczące. Dobrze, że mamy wspomnienia.

Pierwsza stacja **Biskupin**. Zna każdy. Dlatego dla nas jest to „powtórka”, choć niektórzy ze zdziwieniem zauważają, że nie ma charakterystycznej wieży i części murów. Przewodnik objaśnia, że stale trwają prace archeologiczne, które umożliwiają dokładny opis i wizualizację tej dawnej osady a wcale nie ma już pewności, że była wówczas brama. Jednocześnie zachwyca nas możliwość zajrzenia do otwartych wałów co odsłania ich konstrukcję skrzyniową. Tak więc Biskupin nadal wart jest odwiedzania choćby raz na 20, 30 lat – mówi przewodniczka, z którą uśmiechając się do swojego PESELu umawiamy się już na kolejne spotkanie za te kolejne... 20 lat ☺. Potem była podróż kolejką wąskotorową – zabawną – z przypomnieniem dziecięcych zachwyków, i ostatecznie **Wenecja**, która jak się okazało, była osadą którą z Mościsk ówczesny właściciel Mikołaj Nałęcz (Chwałowic) żyjący w XIV w. przemianował na ukochane miasto, gdzie odbył studia, czyli Wenecję. Może mu się kojarzyło to miejsce z położeniem na przesmyku trzech jezior: Biskupińskim, Weneckim i Skrzynka. Nazywano go potem: Mikołaj z Wenecji a nawet, o czym warto poczytać - Diabeł Wenecki, Krwawiec. Jednakże to z jego inicjatywy powstał tu zamek obronny oraz kościół, na miejscu którego do dziś istnieje świątynia z XIX w. Po samym obiedzie w tejże Wenecji, już autokarze pędzącym do Bydgoszczy może znalazła się osoba, która zamiast gadać z Koleżanką patrzyła w okno i rozważała jaką rolę w życiu odgrywały studia – czas płonących serc i bywało, że pierwszych miłości. Może ów Mikołaj wrócił do Polski z obrazem pięknej weneckanki o migdałowych oczach a potem widział je w wodach swoich jezior...

„Następnego dnia zwiedzanie **Bydgoszczy** - program intensywny, jak i dalsze dni. Wydaje mi się, że nastolatki by za nami nie nadążyły” – pisze Hirek. Nie było łatwe sporządzić zaproponowany i powyżej zamieszczony plan BOSSa, gdyż miejsca warte zwiedzania są liczne, a każde ciekawe... po obejrzeniu wielu z nich może niektórzy wspominają np. Katedrę św. Marcina i Mikołaja z nieprawdopodobnie pięknym sklepieniem, ale też miejscem słynnych niedawnych wykopalisk, które znajdują się na *Wyspie Młyńska*, zwanej też przestrzennym sercem Bydgoszczy. Wyspa od razu nas zachwycała - dookoła woda, dalej piętrzący się ogrom zieleni, aleje starych drzew, klimatyczne ławeczki – a wszystko zanurzone w szumie spadającej wody na jazie i przepuście. Dalekie tętnienie miasta zda się odległe i nierzeczywiste... Z zadumanego zachwywu wydobył nas głos przewodnika, który zaproponował obejrzenie jednej z atrakcji turystycznych znajdujących się na wyspie - i warto było, gdyż jest to Europejskie Centrum Pieniądza (Muzeum Okręgowe) gdzie podziwialiśmy m.in. w nim stała wystawę „**Skarb bydgoski**” uznawany za wyjątkowe odkrycie w skali kraju i istotne w wymiarze europejskim. Skarb został odkryty w 2018 r. przez archeologów którzy prowadząc badania w katedrze św. Marcina i Mikołaja w Bydgoszczy na wysokości drzwi zakrystii, pod posadzką, znaleźli resztki drewnianej skrzyni z której zachowały się jedynie okucia. Zawartość tej skrzyni zachwycała i nadal zachwyca, gdyż

zawierała skarb pochodzący prawdopodobnie z okresu potopu szwedzkiego. Skarbem tym jest ok. 200 różnych wyrobów, głównie ze złota, jak: piękne ozdobne aplikacje naszywane na odzież, srebrne i złote guziki zwane kiedyś guzami, wytworne pierścionki, grawerowane złote obrączki a też srebrne medaliony, łańcuszki, krzyżyki a nawet amulet – „wilczy kieł”. Ponadto znaleziono tam 486 złotych monet, z okresu od przełomu XV/XVI w. do roku 1652 i wiele srebrnych XVII w. Opisując teraz wrażenia z tej wystawy musimy się posłużyć materiałami pomocniczymi, gdyż trudno było wszystko zapamiętać: „W zbiorze monet dominują dukaty bite w mennicach Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich od 1595 do 1652 r. Oprócz tego wśród monet są dukaty emitowane m.in. przez władców austriackich, węgierskich, szwedzkich, arcybiskupstwa magdeburskie i salzburskie, różne miasta niemieckie oraz przez Gdańsk i Bazyleę. Napotkano też podwójny dukat Jana Kazimierza wykonany w Poznaniu oraz dukat Zygmunta III Wazy bity w Toruniu. Pojedyncze złote monety pochodzą z oddalonych od Bydgoszczy krajów: Imperium Osmańskiego, Anglii i Kastylii”.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Skarb_bydgoski. Nasyceni wrażeniami Skarbu Bydgoskiego – tym bardziej, że odkrytego tak niedawno – można było obejrzeć też inne atrakcje turystyczne na tej Wyspie: Galerię Sztuki Nowoczesnej inne Zbiory Archeologiczne (Muzeum Okręgowe) czy magiczny Dom Leona Wyczółkowskiego. W zieleni wyspy ukryte są też domy - rozrzucone nieco chaotycznie prawie wszystkie zabytkowe a też dawne młyny, magazyny zbożowe, kaszarnie, spichrze. Ciekawym miejscem w Bydgoszczy, choć początkowo niektórym z nas zdawało się, że banalnym (ale potem zmienili zdanie), okazało się też **Muzeum Mydła i Historii Brudu**, które mieści się w jednej z odrestaurowanych pięknych kamieniczek z końca XVIII i początku XIX w. ulokowanych przy ul. Długiej znajdującej się na tyłach Rynku. Niektórzy z nas mieli okazję zwiedzać muzea higieny np. w Dreźnie czy w Kijowie, ale Bydgoskie jest niepowtarzalne. „To jedyne miejsce na świecie poświęcone tak prozaicznej czynności, jak mycie się. Wizyta w muzeum to niezapomniana podróż w czasie, od starożytności po współczesność. Rozpoczyna ją umycie rąk i własnoręczne zrobienie mydła, które można zabrać na pamiątkę a potem można poznać traktowanie mycia się od czasów starożytnych, poprzez średniowiecze, kiedy wobec panujących epidemii dżumy, „w 1348 r. król Francji Filip VI polecił lekarzom z Uniwersytetu Paryskiego by zbadali zarazę i znaleźli jej przyczynę. Medycy uznali, że przyczyną choroby były gorące kąpiele. Gorąca woda miała według nich rozpułchniać i osłabiać ciało. skórę, pod wpływem gorącej wody otwierały się pory przez które wnikała do organizmu zaraza znajdująca się powietrzu. Należało zatem żyć brudnie i przestać się myć, aby uniknąć zakażenia”. „Święty Hieronim mawiał, że ‘ten, którego chrzest oczyści, drugi raz myć się nie musi’. Posłuchało go tak wielu, że inny święty – Tomasz z Akwinu – nie mogąc wytrzymać odoru niemytych ciał, zalecał używanie kadzideł w kościele”. Na koniec zwiedzania tego muzeum, przypomniano, że Bydgoszcz wpisała się w historię higieny, gdyż tu w czasie PRL-u produkowano słynne proszki których zapach jeszcze pamiętamy: ‘Cypisek’ czy ‘Pollena 2000’. J. T. Marcinkowski, Z. Konopielko, Epidemie bakteryjne przeszłości-współczesne zagrożenia Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii, (red. J. T. Marcinkowski, Z. Konopielko), Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uczelni Łazarskiego, Warszawa, 2021, str. 97

Największym skarbem Bydgoszczy jest **rzeka Brda**, już czysta ekologicznie, z odnowionymi bulwarami, imprezami muzycznymi i sportowymi. Można też poznawać uroki miasta z magicznej perspektywy płynąc rzeką - najczęściej korzystając z tramwaju wodnego ale też ze stateczków o pięknych nazwach jak np. „Słonecznik”. Wszyscy uczestnicy naszego zjazdu wspominają ten uroczy czas na pokładzie – pełen relaks, niespiesznie przesuujące się widoki miasta. Może niektórzy Koledzy konsumując pyszne sery, patrzyli w oczy Koleżanek odnajdując w nich żar swojej i ich młodości nucąc pod nosem za Johannem Straussem: „Wino Kobieta i Śpiew”. A potem już śpiewali wszyscy i czuli się jak w raju myśląc, że choćby dla takich chwil warto „Żyć nie umierać”

Może któraś z Koleżanek i też chyba większość Kolegów za największą atrakcję Bydgoszczy uzna posąg dziewczyny napinającej łuk. **Łuczniczka** - jeden z symboli miasta o długiej i burzliwej historii, jest naga, zgrabna (ma 105 cm w biuście, 77 cm w pasie i 105 cm w biodrach). Posadowiona w parku im. Jana Kochanowskiego i jej burzliwe dzieje podał nam Przewodnik, jednak z racji mnogości różnych

informacji musimy teraz skorzystać z dostępnego w Internecie opracowania z podaniem wiarygodnych źródeł -: „jest jednym z ostatnich dzieł berlińskiego artysty Ferdynanda Lepckego z 1908 r. Jej droga do Bydgoszczy była długa, gdyż najpierw była prezentowana w Berlinie i Monachium, a pomniejszona wersja posągu była pokazywana w Bydgoszczy na wystawie Niemieckiego Towarzystwa Sztuki i Wiedzy. Bydgoszczanom tak bardzo spodobała się *Łuczniczka*, że postanowili kupić jej kopię. Jednak ostatecznie zamożny bankier żydowskiego pochodzenia Louis Aronsohn kupił dla miasta oryginał rzeźby a niektórzy twierdzili, że pozująca artyście modelka była jego córką. „Gdy *Łuczniczka* przybyła do Bydgoszczy i została uroczystie odsłonięta 18 sierpnia 1910 roku w 60. rocznicę urodzin jej nabywcy, stanęła tuż obok nieistniejącego już Teatru Miejskiego i... zaczęły się kłopoty. Co bardziej pruderyjni bydgoszczanie uznali ją za nieprzyzwoitą. Podczas świąt religijnych postać dziewczyny ubierano lub zasłaniano parawanem. Rozpoczęła się batalia o usunięcie jej z centrum miasta, by swą nagością nie siała zgorszenia. Wśród zwolenników ustawienia jej w mniej eksponowanym miejscu była między innymi aktorka Pola Negri, która przed wojną kupiła w Bydgoszczy kamienicę. W rezultacie w połowie lat 20. *Łuczniczkę* przesunięto nieco w głąb placu teatralnego, jednak już kilkanaście lat później, decyzją władz niemieckich, wróciła na swoje miejsce. *Łuczniczka* przetrwała wojnę, pożar i wyburzenie Teatru Miejskiego. Ustąpiła w latach 50. przed Armią Czerwoną. Na placu teatralnym postanowiono wzniesć pomnik wdzięczności jej bohaterom i chyba uznano, że jej nagość może ich niepokoić. Pomnik wdzięczności nie doczekał się realizacji, ale *Łuczniczka* znalazła nowe miejsce – zdobi park im. Jana Kochanowskiego. I jak przed laty jej piękne kształty podziwiać mogą miłośnicy sztuk dramatycznych, stoi bowiem naprzeciwko Teatru Polskiego. (...) Nad historyczną kiedyś używaną i zamieszkałą barką *Lemarg*, na linie przerzuconej nad Brdą, kołysze się **Przechodzący przez Rzekę** – nagi młodzian ze strzałą w ręku. Niektórzy twierdzą, że ma zamiar oddać ją *Łuczniczce*. Linoskoczek zawitał do Bydgoszczy 1 maja 2004 r., by upamiętnić wejście Polski do Unii Europejskiej. Jego autorem jest Jerzy Kędziora. Rzeźbiarz na linie umieścił też jaskółkę (z niemieckiego *Schwalbe*) dla uczczenia Andrzeja Szwalbego, wspomnianego już założyciela Filharmonii Pomorskiej”. <https://polskanapiechote.waw.pl/bydgoszcz-turystyczna-niespodzianka>

Nad tętniącym miastem co pewien czas bo o godz. 9.00, 12.00, 15.00 i 18.00 unosiła się piękna, jak nam powiedziano- kaszubska melodia. To skomponowany w 1946 r. przez Konrada Pałubickiego **hejnał Bydgoszczy** nadawany z wieży kościoła pod wezwaniem – Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Kościół przetrwał drugą wojnę światową. Do wnętrza wiedzie neorenesansowy portal. Wewnątrz jest doskonale zachowany strop z połowy XVII wieku, zdobiony malowanymi rozetami, wśród których nie ma dwóch identycznych.

Nie zabrakło też wydarzeń które wywoływały uśmiech na naszych twarzach. Przewodniczka nas nie uprzedziła tylko zapowiedziała czas wolny, ale obowiązkową zbiórkę o godzinie 13.13 (można też było zjawić się tam o 21.13 ale w tym czasie już „urzędowaliśmy” w Hotelu). Miejscem zbiórki była kamienica przy Starym Rynku 15, kiedy nagle otworzyło się okno w jej szczycie i w oparach dymu, zanosząc się upiornym śmiechem, wyłoniła się **postać Twardowskiego**. To dla wielu z nas, którzy o tym nie wiedzieliśmy, było pełnym zaskoczeniem a nawet szokiem bo wydało się tak niepoważne – szczególnie że pamiętaliśmy słynne poznańskie Koziołki – dostojne na tle pełnego humoru pomysłu z bydgoskim Twardowskim. Gdy ów powrócił do swojego lokum i jeszcze bolały nas brzuchy ze śmiechu, Przewodniczka opowiedziała miejscową legendę. Otóż pewnego dnia w mieście pojawił się ogromny kogut a na nim siedziały cztery postaci – Twardowski, jego sługa Maciek oraz diabełki - Smółka i Węgliszek. Ta przedziwna grupa zatrzymała się w gospodzie Zgorzelec gdzie ogłoszono iż Twardowski będzie spotykał się mieszkańcami udzielając im porad a też pomocy. Jako pierwszy zgłosił się burmistrz miasta, który poprosił o odmłodzenie, gdyż z racji sędziwego wieku nie może sprostać wymaganiom młodej żony. „Od razu Mistrz z pomocą diabełków przygotował napar z tajemnych ziół, w którym wykapał staruszka. Kiedy po kilku godzinach z kotła wyszedł młodzieniec, po powrocie do

domu niestety nie poznała go ani żona, ani nikt ze służby i tym bardziej zbiegający się licznie mieszkańcy. Zaprzeczano, że jest to ich mąż, burmistrz i wypędzono go z domu oraz zdjęto ze stanowiska. Zgrabną puentą ponownie rozśmieszyła nas przewodniczka oznajmiając: – „niech będzie to przestrogą dla wszystkich bez umiaru korzystających ze zdobyczy medycyny estetycznej”.

Nie sposób wymienić wszystkich atrakcji, których dostarczyła nam Bydgoszcz zaskakując pięknem i pomysłami, by przyciągnąć turystów ale też dawać radość mieszkańcom.

Opuściliśmy to miasto z żalem i mocnym postanowieniem ponownych odwiedzin....

Opuściliśmy Bydgoszcz z żalem, ale prawa życia nakazywały wracać do domu. Po drodze do Poznania zahaczyliśmy do pobliskiego **Ostromecka** nie tylko na pyszne jedzonko, ale też na krótkie zwiedzanie i poznanie historii. Powitały nas urocze domy z czerwonej cegły oraz dwa pałace: osiemnastowieczny, rokokowy Pałac Stary i neoklasycystyczny Pałac Nowy wzniesiony w latach 40. XIX stulecia. Mieliśmy możliwość zwiedzania Starego Pałacu w którym mieści się kolekcja osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych fortepianów zgromadzonych przez Andrzeja Szwałbego, organizatora życia muzycznego w Bydgoszczy. Był bowiem taki okres w historii Bydgoszczy, kiedy znajdowało się tam najwięcej w Europie producentów słynnych na cały świat fortepianów. Jednym z nich był dziadek naszej Koleżanki. Ale to już inna historia.... Poza informacją o Ostromecku, np. że XIII w. rezydowali tu Krzyżacy, opowiedziano nam legendę: otóż w XV w. gdy majątek przeszedł w ręce rycerskiego rodu herbu Pomian jednemu z przedstawicieli rodu ulubiony koń uratował życie podczas bitwy. Jednakże podczas tej akcji ratowania koń doznał tak poważnego urazu szczęki, iż nie mógł jeść. „Rycerz odwdzieczył się koniowi za uratowanie życia, fundując mu sztuczną szczękę, i to nie była jaką, bo szczerozłotą. Po śmierci koń został pochowany na terenie parku”. Nieustannie trwają poszukiwania miejsca pochówku a przede wszystkim tej złotej szczęki konia ale do dziś nic nie odnaleziono Na opowiadanie bardzo ciekawych historii kolejnych rodów właścicieli Ostromecka, które też poznaliśmy, nie mamy tu miejsca, ale warto zajrzeć na stronę internetową prowadzoną rzetelnie na podstawie wiarygodnych źródeł: <https://polskanapiechote.waw.pl/bydgoszcz-turystyczna-niespodzianka>

Kiedy opuściliśmy tę magiczną osadę i krótkce powitał nas Poznań, były tradycyjnie czułe pożegnania a teraz Hirek (Hieronim Głowacki tak komentuje nasze spotkanie: „Punktem kulminacyjnym naszych spotkań były wieczory. Każdego wieczoru, po kolacji zaczynają się najmielsze i najpiękniejsze chwile naszych spotkań. Zdania zaczynają się z – a pamiętasz wtedy...; a na tym egzaminie...; a na wykładach.... Cała nasza młodość staje nam przed oczami i w tym momencie czujemy się też, jak wtedy – młodzi. Biedni są ci, którzy nie mają wspomnień!!!”.

A my dodajemy, że podczas chyba pierwszej kolacji w bydgoskim Hotelu, przed wspomnieniami, Hirek zaprezentował pięknie opracowaną przez siebie prezentację multimedialną - gród i Muzeum słowiańskie w Niemczech, które znajduje się w jego miejscu zamieszkania tj. w Oldenburgu w Holstein. Ten Gród Słowiański leży 400 km od granicy polskiej, w środku Niemiec. Kolega pokazał też parę wspólnych cech z grodem Biskupina bo Jego niezmienną ideą jest pokazanie, iż niezależnie od tego gdzie rzucił nas los mamy wspólnych przodków i stale powinniśmy być razem - na dobre ale też i na złe....

Hirek kontynuuje relację: „Jurek Marcinkowski (dla młodych profesor, dla nas po prostu Jurek) przedstawił też prezentację ze studiów, podkreślonymi oryginalnymi naszymi zdjęciami. My w mundurach, my na wycieczce, my... i my.. i my w różnych sytuacjach. I tutaj znowu zaczęło się podobnie. A kto to był? Alina? A co ona robi i najczęściej dlaczego nie przyjeżdża... Następnego dnia, już po kolacji Jurek przedstawił nam przeszłość, ale też czasy współczesne. Wyświetlał na dużym ekranie nasze tablo z absolutorium – omawiał każdą grupę studencką wraz z przedstawicielami tej grupy - od pierwszej, do ostatniej, do dziesiątej. Każda studentka, każdy student był nazwany po imieniu i nazwisku. Szacunek. W sumie ponad 220 nazwisk i twarzy. Przy tym od razu Koleżanki i Koledzy wtrącali wesołe, interesujące historie. Z zadumą zatrzymywaliśmy się nad tymi, których już nie ma pomiędzy nami. Też pojawiały się wspomnienia ale zawsze pełne refleksji nad przemijaniem....

Podsumowując - turystyka jest ważna i pouczająca, ale dla nas są najważniejsze wspólne chwile, wspólne wspomnienia, rozmowy, ale też wspólne milczenie. Te momenty dają nam siły do następnego roku, do następnego spotkania”.

Jurek dodaje: „Co to za spotkanie bez oglądania zdjęć? Więc je wspólnie oglądamy i szeroko komentujemy, a wiele zdjęć mamy i to już najczęściej nie w formie tradycyjnej, papierowej, a w swoich telefonach, wręcz tysiące – i tutaj chcemy się pochwalić, że opanowaliśmy telefony komórkowe, laptopy i komputery, których przecież w okresie naszych jeszcze nie było – zaczęły się dopiero pojawiać wiele lat później. Ale najchętniej chwalimy się naszymi wnuczkami i wnukami a Leszek Milanowski opowiadając o swojej rodzinie i przekazywania jak w sztafecie przysłowiową pałeczkę ze swoim materiałem genetycznym kolejnym pokoleniom lubi oznajmiać: „Nie wszystkich umrę”. Jak już podaliśmy w ZAPOWIEDZI WYDAWNICZEJ NASZYCH PAMIĘTNIKÓW są to często powtarzane słowa za rzymskim poetą Kwintusem Horacjuszem Flakkusem, czyli słynnym Horacym (65 – 8 r. p. n. e.) które zawarł w Pieśni III pisząc: *Non omnis moriar, multaque pars mei Vitabit Libitinam* przetłumaczył na język polski w XVI w. Jan Kochanowski: Nie wszystkich umrę, i wielka część mnie / Uniknie Libitiny. Jednocześnie nieco sparafrazował słowa Horacego nie używając określenia Libitiny tj. bogini śmierci, i zamieścił je w swojej Pieśni XIX z Ksiąg wtórych, zaczynającej się od słów: „**Nie wszystkich umrę, wiele ze mnie tutaj zostanie**”... Kochanowski, będąc wykształconym humanistą renesansu i znawcą literatury antycznej, mówił zgodnie z myślą Horacego o nieśmiertelności poezji i sławy.... Spisując swoje wspomnienia oczywiście nie mamy na celu uzyskanie sławy o której myślał Horacy, ale chcemy też porządkować własne myśli za *Markiem Aureliuszem (II w. p. n. e), który w dziele Rozmyślenia (łac. Meditationes) uważa, że: „Pisząc i mówiąc do samego siebie, człowiek dochodzi do większej jasności i porządku w myślach”*. Jednak przede wszystkim marzymy by ofiarować potomnym fakty, obrazy i emocje swojego życia i ostatecznie uzyskać....nieśmiertelność...

Dalej powtarzamy za zapowiedzią wydawniczą naszych Pamiętników, bo powtarzać warto, że naszym marzeniem jest to, by Młodzi Medycy pracujący w coraz trudniejszych czasach pędzącej cywilizacji, znaleźli chwilę by zanotować to, co się wydarzyło ale też spotykać się po latach od swojej wielkiej aktywności zawodowej jak my, radosne i właściwie zwyczajne pokolenie boomersów

STYL ŻYCIA ZA NASZYCH STUDENCKICH CZASÓW I NIEŚWIADOME ? W TAMTYCH CZASACH PRÓBY OCHRONY WŁASNEGO ZDROWIA PSYCHICZNEGO

Różnorodne problemy dotyczące m. in. zdrowia psychicznego, otyłości, stylu życia, zaburzeń snu, stresu, wypalenia zawodowego uzależnień, zaburzeń żywienia i odżywiania, dysmorfofobii czy tematyki kultu ciała omówiono wraz z rysem historycznym dotyczącym rozpoznawania problemów w monografii pt. *Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii* (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko), Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uczelni Łazarskiego, Warszawa, 2021,

Szczególnie na początku studiów wielu z nas, którzy przybyli z mniejszych miejscowości czuło się zagubionymi w wielkim mieście jakim jawił się Poznań. Sytuację pogarszały niekiedy skrajnie trudne warunki życia na stancjach a szczególnie w akademikach. Oddaleni od domu i bliskich nie czuli ich wsparcia. Byliśmy tak młodzi, że nie zauważaliśmy urody tego wieku tym bardziej, że często „buzowały w nas” typowe młodzieńcze emocje jak np. porzucenie przez dziewczynę czy chłopaka. Wobec wspomnianego już zamknięcia „za żelazną kurtyną” i „przaśnych” czasów PRL-u właściwie nie istniał problem nadążania za modą choć niektóre dziewczyny malowały we wzory bawełniane beżowobure, zwykle opadające pończochy czy samodzielnie sporządzały z plastikowych kwiatków modne wówczas klipsy [kolczyki noszono jedynie sporadycznie] a tylko nieliczne, których rodzice pracowali np. na placówkach w krajach zachodu błyszczały elegancją. Dużo chodziliśmy, gdyż aut było niewiele, a jeśli - to mogło być tak jak opowiada **Wojciech Kasprzak** opowiada o swojej sytuacji

młodego lekarza w 1971 r., gdy ożenił się na pierwszym roku studiów, niebawem urodził Mu się Syn a przed absolutorium zmarła żona: „Mój staż, dyżury na pomocy wieczorowe, itd. Paweł do przedszkola. Co by nas uratowało? Samochód. Za 15 tysięcy? Pojechałem z Pawłem na giełdę samochodową, wówczas na ulicy Bema. Za 15 tysięcy był jeden jedyny samochód, 15 letnia syrenka 103. Wyglądała okropnie. Rdza, dziury, łysy opony. Groza. Jedyne co miała, jak się okazało, to dobry to silnik, bardzo łatwo „zapalał”, nawet w czasie mrozu. Jak się robiła gdzieś dziura w karoserii, nalepialem łatę z papieru i psikałem lakierem (popielatym). Nie miałem pieniędzy na opony. Były wówczas opony, tzw. protektorowane. Na stare opony naklejano nowy bieżnik. Ale i te były dla mnie za drogie. Dowiedziałem się o „fachowcu” który specjalnym nożykiem wycina rowki w całkowicie zużytych oponach. Taki lifting starczał na miesiąc. Takie opony nie były dla mnie zbyt ryzykowne, bowiem super syrenka nie przekraczała 40 km/godzinę. Spotkałem się jeszcze z jedną pomocą, ze strony starszych kolegów. Wejście do Izby Przyjęć szpitala im. Józefa Strusia w którym pracowałem znajdowało się wówczas w połowie ul. Podgórznej. Samochody lekarzy dyżurnych mogły stać przed Izbą Przyjęć. Mój super samochód stał tam dziobem w kierunku hotelu „Bazar”. W zimie ówczesne samochody słabo „zapalały”, moja maszyna była pod tym względem cudowna. W czasie pierwszej zimy 1971/1972 koledzy lekarze dyżurni często się ze mną zakładali, że nie ma takiej możliwości żeby moja „ruina” natychmiast zapaliła i w ciągu minuty zniknęła za rogiem, w kierunku „Bazaru”. Za wygrany zakład mogłem na koszt zakładającego się napełnić bak syrenki do pełna. Wygrałem dużo takich zakładów. Później dowiedziałem, że zamożniejsi koledzy specjalnie się ze mną zakładali, w ramach przyjacielskiej pomocy”.

Również, co obecnie niewyobrażalne dla młodych, posiadanie **telefonu zwykłego, stacjonarnego**, ze zwykle pozwijanym sznurem było dla większości niedoścignionym marzeniem. „W PRL-u telefon był towarem deficytowym. Na otrzymanie numeru, a potem na aparat czekało się nawet 10 lat. W połowie lat 80. XX w. na 100 mieszkańców Warszawy przypadało 19 abonentów telefonicznych, czyli 80 osób na 100 nie miało w domu telefonów. To nie bajka i nie opowieść w stylu science fiction”.

<https://www.onet.pl/styl-zycia/oludziach/pamietasz-ile-czekalo-sie-na-telefon-w-prl-u/b57d2tt,30bc1058>

Wojtek Kasprzak opowiada o sytuacji szczególnej otrzymania takiego telefonu, której był szczęśliwym uczestnikiem. „Muszę jeszcze wspomnieć jednego wspaniałego człowieka, dr Leszka Sieńkę, dyrektora Szpitala im. Józefa Strusia. Znał wszystkich bonzów i oni go znali. Niemal każdego dnia ktoś dzwonił, że trzeba pomóc siostrze, babci itp. Dyrektor błyskawicznie ‘załatwiał’ łóżko, ale za to oczekiwał kasy na jakiś remonty, sprzęt, itd. Po pół roku mojej pracy spotkałem się pierwszy raz z dyrektorem, o czym nawet nie marzyłem. Sekretarka zadzwoniła do ordynatora, prof. Leszka Przybyła, w sprawie jakiegoś pacjenta. Szefa nie było, więc dr Sieńko poprosił do gabinetu lekarza prowadzącego, czyli mnie. Tak, w wielkim stresie, na uginających się nogach, wkroczyłem do gabinetu wielkiego szefa. Kiedy zdałem relację z leczenia tej protegi, dyrektor wprost zapytał: ‘a co ja mógłbym dla pana zrobić, jakie ma pan marzenia?’. Marzeń to ja miałem wiele, ale nieziszczalnych. Przypomniało mi się że właśnie oddałem w Telekomunikacji wniosek o założenie telefonu. To było wówczas marzenie ‘ściętej głowy’. Czas oczekiwania minimum 10 lat. W mojej kamienicy i w dwu sąsiednich nie było telefonu, nie było nawet kabla doprowadzającego. No to wyjąkałem dyrektorowi, że z telefonem byłoby mi łatwiej żyć. Rodzina, dyżury itp. Dyrektor pyta, czy złożyłem wniosek. Jeśli tak, to proszę jutro dać go mojej sekretarce. Wniosek następnego dnia oddałem, pełen optymizmu, że może sprawa przyspieszy się i dostanę telefon za 5 lat, a może dwa? Nie minął tydzień, kiedy przed kamienicę przy ul. Nowowiejskiego 25 zajęchały wozy techniczne Telekomunikacji. Wkopywali z niemal 100 metrów kabli na ulicy, a potem w kamienicy w której to był pierwszy telefon, dla bardzo ważnego doktora, czyli mnie. Kiedy usłyszałem po kilku dniach w zakupionym aparacie sygnał telefony, była to jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu”.

O możliwości nabywania „dóbr” rozmaitych a czasie PRL- u którym żyliśmy do 1989 r. można przeczytać cytowanym poniżej artykule:

Kartki były istotnym elementem życia codziennego w PRL-u, kiedy brakowało wszystkiego: mebli, sznurka do snopowiązałek, a nawet - papieru toaletowego. 33 lata temu PRL-owskie władze wprowadziły kartki na mięso i wędliny. Od 28 lutego 1981 roku, przez ponad osiem lat, artykuły te można było nabywać po cenach urzędowych tylko w ograniczonych ilościach. Reglamentacja towarów była wynikiem silnych niedoborów na rynku. Pierwsze kartki - na cukier - wprowadził rząd Piotra Jaroszewicza, w 1976 roku. Na skutek stale narastających trudności gospodarczych, system kartkowy stopniowo rozszerzano - w lutym 1981 roku wprowadzono kartki na mięso, a 30 kwietnia tego samego roku - także na wszelkie przetwory mięsne oraz masło, mąkę, ryż i kaszę. We wrześniu, system kartkowy objął też mydło, proszek do prania i papier toaletowy. Po wprowadzeniu stanu wojennego, 13 grudnia 1981 roku, na kartki można było kupić między innymi czekoladę, alkohol, benzynę i buty. Kartki upoważniały jedynie do zakupu towarów, za produkty tradycyjnie płacono się pieniędzmi. Jednocześnie ze sprzedażą na kartki, funkcjonował formalnie nielegalny, ale bardzo powszechny system handlu samymi kartkami, szczególnie na benzynę, papierosy i alkohol. Ludzie wymieniali się kartkami, bądź nimi handlowali. Kartki nie gwarantowały pewności, ani sprawności zakupów. Najczęściej trzeba było stać w długich kolejkach. W związku z tym rozpowszechniła się instytucja "stacja kolejkowego", który za określone wynagrodzenie stał w kolejce i kupował towary dla innych osób. Przed sklepami często zawiązywały się komitety kolejkowe, które według społecznej listy próbowały sprawnie i sprawiedliwie zorganizować nabycie deficytowych produktów. Reglamentowane towary można było zdobyć również w inny sposób, jednak za 'większe pieniądze'. Początkowo istniał nielegalny, zwany spekulantstwem, a później zalegalizowany handel towarami deficytowymi, poza systemem kartkowym. Od 1986 roku prawie wszystkie towary można było kupować w wybranych sklepach po tak zwanych 'cenach umownych', które były średnio dwa-trzy razy wyższe od cen urzędowych. (...). Reglamentacja towarów, czyli system kontroli dystrybucji towarów w PRL, funkcjonowała do lipca 1989 roku. Została wycofana przez rząd Mieczysława Rakowskiego. (...). W czasach PRL powstawały sklepy dla uprzywilejowanych. Mimo, że nie obowiązywały w nich kartki, nie mogli tu kupować wszyscy. Przykładem były konsumy, sklepy zakładowe, niedostępne dla osób spoza danego zakładu. Konsumy tworzyły sieć sklepów i stołówek dla pracowników MSW, MO i SB. Potocznie nazywano je 'sklepami za żółtymi firankami'. Podobny system sprzedaży dotyczył artykułów i towarów luksusowych. Największe różnice były widoczne w dystrybucji samochodów. **Osoby uprzywilejowane, głównie prominentni działacze partyjni, ich rodziny czy znajomi, otrzymywali talony, na które mogli nabyć Fiata 125p lub 'malucha' za cenę o połowę niższą, niż musiał zapłacić zwykły, nieustosunkowany obywatel".**

<https://www.bankier.pl/wiadomosc/33-lata-temu-PRL-owskie-wladze-wprowadzily-kartki-na-mieso-3070049.html>

Na szczęście nie były to czasy mediów społecznościowych i nie doświadczaliśmy hejtu.

Podobnie jak wszyscy aktualnie młodzi nie myśleliśmy o tym, że kiedyś będziemy starsi, że o zdrowie należy dbać już teraz. Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz pamięta opowieść ukochanej szefowej, prof. Teresy Wyszyńskiej - gdy mówiła swojemu nastoletniemu synowi, że trzeba pójść do stomatologa, „bo gdy będziesz miał 30 lat- stracisz zęby”. A ten odparł: „Matka, gdy będę miał 30 lat- to po co mi zęby”. Podobną historię przytacza Olga Heim z d. Kleczewska, która m.in. opowiada: „historia z pracy zawodowej, która u nas od lat wywołuje uśmiech - na kolokwium pytam studenta o opis i przebieg jednej z chorób przyzębia, a student odpowiada, że proces ten występuje u starszych osób. Pytam w jakim wieku? On oświadcza: około 30-35 lat”.

Tak więc nasz czas studiów i lata późniejsze to długo brak troski o własne zdrowie, niehigieniczny tryb życia jak np. namiętne, modne wtedy palenie tradycyjnych papierosów co opisujemy w jednym z ostatnich rozdziałów.

Dbłość władz komunistycznych o sprawność fizyczną młodych

Należeliśmy do pokolenia dla którego światem pełnej wolności były podwórka, wchodziliśmy na wysokie kostropate drzewa, zjadaliśmy zielone niedojrzałe jabłka, zimą jeździliśmy na łyżach często przywiązywanym sznurkiem do buta, chłopcy bawili się wojnę, dziewczyny grały w klasy.... nasza koleżanka **Krysia Anioł**, która do tej pory zajmuje się sportem, tak pięknie pisze we wspomnieniach zamieszczonych w tym pamiętniku (rozdział Opowieści Koleżanek i Kolegów) o roli aktywności fizycznej w Jej życiu: „Wychowałam się na podwórku trzech rodzin, w gronie pięciu chłopaków, w tym mój jeden brat. W różnych zabawach, gonitwach starałam się im dorównać i dlatego, w szkole podstawowej byłam najszybsza z dziewcząt, podobnie w liceum. Jednak to przysłowiowe podwórko wychowuje do życia aktywnego (...). Przez całe życie uprawiałam jakiś sport od łucznictwa i gimnastyki przyrządowej w szkole podstawowej, do lekkiej atletyki i piłki siatkowej w liceum i na studiach. Po ukończeniu szkoły podstawowej trenowałam w II ligowym GKS "Olimpia" Poznań lekką atletykę, jednocześnie grałam w piłkę siatkową w MKS, Później AZS i KS "Energetyk" Poznań, również

w II lidze. W czasie studiów reprezentowałam Uczelnię na MTU w piłce siatkowej, lekkiej atletyce i narciarstwie, aż do 10 lat po studiach jako asystent.... (...). Pracowałam już wtedy w nowo powstałym Instytucie Sportu w Warszawie, który powołano w 1978 roku, w miejsce poprzedniego INKF (Instytut Naukowy Kultury Fizycznej). Jestem członkiem Zarządu i przewodniczącą Sądu Koleżeńskiego Polskiego Towarzystwa Medycyny Sportowej od sześciu kadencji, jestem delegatem lekarzy sportowych na Zjazdy Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie, prowadzę sekcję ringo lekarzy w OIL, jestem od 2001 roku Prezesem Polskiego Towarzystwa Ringo i w roku bieżącym mamy 53. Mistrzostwa Polski w Ringo w Błoniu k. Warszawy 28 czerwca, natomiast Mistrzostwa Polski Lekarzy i innych Profesji Ochrony Zdrowia w Ringo odbędą się w Warszawie w dniu 14 września na stadionie GKS "Świt" na Jelonkach, na które serdecznie zapraszam..... bo w ringo może grać każdy o różnym stopniu zaawansowania sportowego i wydolności psychofizycznej. Wydaje się, że bez tak ogromnej dawki sportu w całym moim życiu, nie tylko nie przeżyłabym ciężkich przecież studiów, ale nie dotrwałabym do dnia dzisiejszego w takiej kondycji, ponieważ nadal pracuję na pełnym etacie....”.

Ewa Barabasz z d. Kabat tak pisze w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów: „Niestety na drugim roku, przeskakując przez linkę skręciłam kolano. Uraz był poważny i do dnia dzisiejszego mam kłopoty z chodzeniem zwłaszcza po schodach. Uprawiam sport regularnie i to ratuje mnie przed artroskopią i operacjami (...). Jeszcze chciałam dodać, że dzięki profesorowi [Zygmuntowi Przybylskiemu] z Zakładu Medycyny Sądowej, który miał patronat nad sportem studenckim - jeździłam na nartach, bo to on wciągnął mnie w uczestnictwo w sportach (Sieraków - piłka nożna i koszykówka). Zwardoń - narty zjazdowe - to było narciarstwo zupełnie inne, inny sprzęt i żadnych wygód typu orczyki i kolejki linowe. Iwona Bączyk i Danusia Siudzińska też jeździły i do dziś uprawiają ten sport”.

Mieczysław Wasielica (obecnie śp.) zdążył nam opowiedzieć przed 10 laty: „Ponieważ trenowałem i grałem w koszykówkę w okresie liceum w Rawickim Kolejowym Klubie Sportowym, od początku studiów zamiast zajęć wychowania fizycznego na basenie trenowałem w uczelnianym AZS i jeździłem na mecze do Rawicza. Nie pamiętam czy od III lub II roku zrezygnowałem z meczów z drużyną RKKS-u. Pozostał AZS, treningi dla przyjemności, udział w Ampach (Akademickie Mistrzostwa Polski Akademii Medycznych) co dwa lata (Gdańsk, Poznań, Katowice). W Poznaniu zdobyliśmy Mistrzostwo Polski”.

Henryk Zdun, w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów m.in. tak pisze: “Nie da się ominąć we wspomnieniach studenckich wychowania fizycznego i magistra Kobielskiego. Obecność na tych zajęciach była konsekwentnie wymagana. Ale dzięki temu ja nauczyłem się pływać i jeździć na nartach. Był propagatorem konieczności ćwiczeń fizycznych, które powinni uprawiać nawet ludzie niepełnosprawni. Koleżanki na ogół nie lubiły zajęć wychowania fizycznego i do dziś nadmiernie chętnie wydają dzieciom zwolnienia z zajęć wychowania fizycznego. Mgr Kobielski mawiał często ,nieprawda, że baby są słabe, baby są tylko rozpieszczone’. Dzisiaj, gdy oglądam wyniki w kobiecym sporcie lub paraolimpiady, przypominam sobie zawsze te jego słowa. Poza tym mam na co dzień przykład mojej żony, nawiasem mówiąc absolwentki Wydziału Farmacji A.M. w Poznaniu. Była jedną z najlepszych pływaczek w Polsce. Później, będąc żoną i matką , przez kilkanaście lat z powodzeniem uprawiała taternictwo, ale wspinała się zawsze z mężczyznami. Bardzo szybko i zdecydowanie, a zarazem bezpiecznie, prowadzi samochód. Nigdy nic ją nie bolało i nie miała słabości. (...). Na III roku ćwiczenia i egzaminy przebiegły bez emocji. Poszukując możliwości ćwiczeń siłowych trafiłem na salę przy ulicy Matejki. Ćwiczyli tam bokserzy i ciężarowcy. Przygarnął mnie trener ciężarowców i prawie w tajemnicy przed kolegami uprawiałem ten sport do końca studiów. Miałem tam wielu przyjaciół. Trener żałował, że moje studia są tak czasochłonne, bo osiągałem dobre wyniki. Ponieważ w szkole średniej uprawiałem boks, szybko zaprzyjaźniłem się z trenującymi tam bokserami Olimpii Poznań i byłem dla nich sparing partnerem do końca studiów. Gdy w AZS brakowało młociarzy, nauczono mnie i tego sportu. W okresie wiosenno-letnim rzucałem młotem”

Znaczną część naszego życia spędziliśmy w PRL-u, kiedy tematem stylu życia i zdrowia psychicznego studentów medycyny nikt się nie zajmował. Owszem, przywiązywano wagę do sprawności fizycznej - np. w latach 1950-1989 obowiązywały „centralne normy sprawnościowe” także na uczelniach medycznych. Uczelnie medyczne współpracowały z resortami zdrowia i sportu dbając o ogólną sprawność przyszłych lekarzy. Zajęcia z wychowania fizycznego były obowiązkowe, a zaliczenia z WF -u miały formę egzaminów sprawnościowych. Po r. 1989, czyli po transformacji ustrojowej, zmniejszono nacisk na obowiązkową kulturę fizyczną a testy sprawnościowe zniknęły z uczelni medycznych. WF pozostał wprawdzie w programach pierwszych lat, ale zwykle bez formalnych testów a uczelnie zaczęły traktować aktywność fizyczną bardziej jako edukację zdrowotną. Kolega z roku Jurek Marcinkowski wspomina testy sprawnościowe, które musieliśmy przejść na pierwszym roku- był to bieg na 60 m, skok w dal, wzniesienie, rzut kulą itp. Dzięki skrzętnie notowanym wynikom na przestrzeni lat można było porównać jak zmieniają się te parametry i wyprowadzić wnioski o kondycji fizycznej osób młodych. Podczas naszych studiów można było zamiast typowego WF wybrać zajęcia na pływalni, co wielu z nas preferowało, choć wolne terminy to była np. 6 rano bo od 8 zaczynał się „kierat” na uczelni.... Ponadto część z nas uczestniczyła w różnych zajęciach już strictly sportowych, np. Jurek Marcinkowski zajmował miejsca na podium w szermierce, przy Akademii Medycznej Poznaniu działała drużyna koszykówki do której należała m.in. Zofia Konopielko wówczas Łukaszewicz. Oczywiście o tzw. siłowniach czy klubach fitness nawet nikomu się wówczas nie śniło. Dopiero w 1983 r. , gdy byliśmy już miarę doświadczonymi lekarzami (było to 12 lat po naszym absolutorium), znana gimnastyczka Hanna Fidusiewicz, która jako pierwsza Polka ukończyła specjalistyczny kurs aerobiku w Paryżu, otworzyła pierwszy w Polsce fitness klub – Fitness Klub ‘POD SKOCZNIĄ’ w Warszawie.

https://centrumsportu.gumed.edu.pl/attachment/attachment/69856/5_Historia_Fitness.pdf

Na co dzień nie korzystaliśmy z transportu miejskiego (aut nie posiadaliśmy, zresztą w tamtych czasach było ich niewiele). Czasami odstraszały nas przepełnione tramwaje do których można było wskakiwać w biegu lub doczepiać się do wiszącego przy wejściu grona pasażerów którzy najczęściej tylko jedną nogę mieli na stopniu, o jeździe na zderzakach nie wspominając... Jeśli tramwaj był nieprzepełniony bardzo lubiliśmy takie, które miały z tyłu otwarte niewielkie platformy i tam się lokowaliśmy by poczuć wiatr we włosach i zapach miasta... Ale ogólnie lubiliśmy dużo chodzić, przemierzać ulice Poznania szczególnie o magicznej wieczornej i nocnej porze - dla nas często jedynej dostępnej z racji zajęć trwających do późnych godzin czy uprawialiśmy marszobiegi poza miasto, najchętniej w okolicy nieodległych pięknych jezior i lasów....

O tym jak się odżywialiśmy w czasach studiów, szczególnie my, spoza Poznania ..

Z uwagi na ogrom zadawanego z dnia na dzień materiału do nauki, nie spaliśmy nocami, czasami zasypialiśmy na wykładach. Otyłość nie była tak powszechna jak obecnie- wystarczy obejrzeć zdjęcia z tych lat obrazujące np. tłumy na basenach gdzie ludzie mogą zachwycać sylwetkami. O anoreksji czy bulimii, ortoreksji, pregoreksji czy m.in. bigoreksji niewielu wtedy słyszało a „dzięki zamknięciu za żelazną kurtyną” słynna lalka Barbie podejrzewana o generowanie mody na skrajne wychudzenie, popularna od 1959 r. Stanach Zjednoczonych dotarła do Polski po upadku komunizmu i otwarciu rynku na kraje zachodnie czyli dopiero na początku lat 90. XX . w.

Tak więc żyjąc w nieświadomości a często niewiedzy o różnych czyhających zagrożeniach zdrowia a czasem nawet życia, żywiliśmy się bez zwracania uwagi na jakość posiłków, nikt nie liczył kalorii, jeszcze też nie nadeszła moda na wegetarianizm weganizm czy inne teraz powszechne diety.

Magda Zabel wspomina gdy na I roku AM w Anatomicum: „spędzaliśmy bardzo dużo czasu - przedłużające się całodienne kolokwia z anatomii, oczekiwanie na schodach o ‘suchym pysku’ było koszmarem. Nie było wtedy barków i ławeczek jak teraz w tym budynku”.

O sposobie odżywiania się mieszkających w domach rodzinnych w Poznaniu niewiele wiadomo, ale my, mieszkający na stancjach czy w akademikach coś na ten temat wiemy.

Ula Drązkiewicz m. in. tak opowiada: „W naszych kieszeniach pieniędzy nie było zbyt wiele i dlatego chodziliśmy do sklepu rybnego na przeciwnym rogu ulicy, z naczynkiem do pani sklepowej z prośbą. ‘Pani do wody ze śledzi!’. Pani sklepową nalewała nam wodę, wrzucała cebulkę i moskaliki i coś tam marudziła. Woda od śledzia z chlebem bardzo smakowała”.

Większość z nas korzystała ze stołówki studenckiej, gdzie mieliśmy szansę konsumować ciekawą i tzn. wodnistą zupę o szaroburej barwie zwaną przez nas „zupa ze ścierki” albo cynaderki czy ozór w jakimś szarym sosie w którym pływały ziarna nota bene bardzo zdrowej kaszy gryczanej. Jerzy T. Marcinkowski zapamiętał dobrze ogromne powierzchnie tej stołówki (podaje, że mieściła się przy ul. Śniadeckich) i nieustanny rybi zapach unoszący się nad stołami gdyż bardzo często podawano smażonego dorsza z surówką. O dziwo nadal lubi i konsumuje chętnie ryby a nawet tamte dania wspomina z sentymentem...

Aniela Groszkowska w rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze: „Chodziliśmy do stołówki na Święcickiego. Była duża. Ci z nas, którzy nie mieli bonów mogli za darmo dostać zupę. Nie był to szczyt możliwości kulinarnych kucharek. Z reguły była szaro-bura, chyba że to miała być pomidorowa lub czerwony barszcz, z namiastką jarzyn, ale było sporo pyrów [popularna nazwa ziemniaków w gwarze wielkopolskiej]. Miałam też bony śniadaniowe do barów mlecznych. Szybko odkryliśmy, że w barach nie opłaca się jeść, a lepiej w nich kupić masło i śniadania i kolacje robić w akademiku. Resztę bonów można było wydać w „Kociaku”, wtedy na Armii Czerwonej (obecnie ulica ma nazwę pierwotną Św. Marcin), na pyszne desery mleczne”.

Krystyna Graduszevska- Czerebiej wspomina: „W czasie studiów ważne było nie tylko mieszkanie, ale również jedzenie. Od drugiego roku przyznano mi bony żywieniowe na trzy posiłki dziennie. Obiady jadałam w stołówce uczelnianej, z reguły były dobre. Jednakże od czasu do czasu serwowano danie dla mnie koszarne. Pani z kuchni wrzucała na talerz solonego śledzia ‘typiącego okiem’ i papkę ziemniaczaną. Z tego powodu do dnia dzisiejszego nie mogę polubić śledzia. Bony śniadaniowe i kolacyjne oszczędzałam, aby w barze kawowym ‘Kociak’ wymienić je na poziomki z bitą śmietaną. Nigdy później ten deser nie smakował mi tak bardzo jak w czasie pobytu w Poznaniu”.

Henryk Zdun w rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów wspomina: „Średnio raz w tygodniu część z nas udawała się na kotleta mielonego do baru „As” przy Placu Wolności. Ja zapotrzebowanie na białko pokrywałam taną końską kielbasą. W tej społeczności trzeba było umieć dzielić się, zwłaszcza żywnością. Gdy po świniobiciu moja mama pakowała różne szynki, kielbasy, itp. do walizy, nie wyprowadzałam jej z błędu że nie będę mógł spożyć sam tych smakołyków. Gdy pojawiał się taki chłopak ze wsi, to grupa głodomorów odbierała mu walizkę już przy wejściu. Odbывała się uczta Baltazara, a sponsor był tylko jednym z uczestników uczty. Kto nie umiał się podzielić był pokarany przez los. Jeden z współlokatorów przyniósł pewnego wieczora chyba z kopę jaj w foliowym worku. Usmażył na boczku 2-3 jajka. Resztę w worku wywiesił za okno (lodówek wtedy nie mieliśmy). Zapach jajeczniczy rozchodził się po całym baraku, ale głodomory musieli zadowolić się tylko zapachem. Rano budzą mnie jęki: „o zbójce, o bandyci”. Unoszę głowę i widzę jak wyciąga zza okna worek pełen zbitych jaj, gotowych do smażenia. Nieznany sprawca wyszedł w nocy z baraku i pobił wszystkie jajka. Usmażono więc wielką jajecnicę dla wszystkich chętnych, a ów nieszczęśnik w niedługim czasie wyprowadził się naszego baraku. Wspaniałe uczty bywały w okresie uboju nutrii. Jeden z kolegów, którego rodzice mieli dużą fermę nutrii, przywoził całe walizy trudnego do sprzedaży mięsa z nutrii. Oczywiście potrzebna była też ‘woda życia’ i na trawienie i na odstresowanie. Wytwarzał ją w kuchence kolega z farmacji Staszek Sobiak, dziś znany profesor chemii leków. Gdy raz pewnego razu

odwiedziła niespodziewanie nasz barak komisja z dziekanatu, spotkała Staszka nadzorującego pracę instalacji. Na pytanie jednej z pań co to jest, Staszek objaśnił spokojnie, że jako student farmacji przygotowuje się do ćwiczeń i usiłuje wytworzyć zasadę Schiffa. Nie wiem do dzisiaj co to jest. Ale komisja pochwaliła go za tak duże zaangażowanie się w naukę”.

Jerzy T. Marcinkowski czytając te opowieści przypominał sobie, że podczas obozu wojskowego w Kłodzku (po V roku studiów- chętnie opisywany przez wielu Kolegów), pewnego dnia podano jakąś dziwną potrawę, którą zjadł z apetytem bo był bardzo głodny. Ale koledzy gromadnie odłożyli łyżki i oznajmili że jeść tego nie będą. Dowódcy potraktowali to bardzo poważnie, bo strajk głodowy żołnierzy może być klęską armii – zawiadomiono więc wyższych rangą aż sprawa dotarła do Warszawy, skąd niebawem przybyła bardzo ważna osoba, która zdecydowała szereg badań żywności zalegającej w magazynie oraz napisano na ten temat mnóstwo raportów. W tym czasie Koledzy pałaszowali co tylko mogli śledząc z uśmiechem te wydarzenia a Jurek pomimo tego, że zjadł dziwne „toto” nie zachorował..... Może były to słynne wówczas puszki z Unry, których niektórzy z nas nie poznali w ogóle, ale chyba wojsko w PRL-u posiadało niezłe, gromadzone przez lata zapasy....wokół tych puszek krążyły też mroczne legendy zapewne podsycane przez komunistyczne władze chcące zachować jak najwięcej tych darów dla siebie. Jedną z nich np. była „że mogą zawierać prochy zmarłych za Oceanem rodaków”... było to tym bardziej tajemnicze, gdyż od czasów prasłowiańskich kremacja na naszych ziemiach nie była wówczas jeszcze znana ...

„Paczki pomagały odbudować kraj po wojnie, utrzymać więzi z rodziną, stworzyć namiastkę luksusu, wreszcie - odzyskać wolność. Paczki z zagranicy. Polacy otrzymywali je przez cały okres komunizmu. Przesyłkom i historiom ich adresatów Muzeum PRL poświęciło niedawno otwartą wystawę ‘Paczka z Ameryki’. (...) . Polacy mówią na tę organizację pieszczotliwie ‘ciocia UNRRA’, albo ze złością, rozwijając jej skrót jako ‘Urząd niesprawiedliwego Rozdzielania Rzeczy Amerykańskich’. Że o smalcu z paczek krążyły plotki, że jest z małego tłuszczu i że powtarzano sobie wierszyk ‘Jedzie UNRRA na rowerze, marmoladę w kubie wiezie, a ludziska się radują, że se chlebek posmarują’. Do dzisiaj Hania pamięta jeszcze tylko jedno - smak czekolady. -Chyba wtedy pierwszy raz dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak czekolada - mówi. Ta amerykańska, którą dostała razem z bučikami, była zapakowana w puszkę z napisem ‘otworzyć tylko w przypadku braku innych racji żywnościowych’. (...) Ostatnia pomoc z UNRRY dotarła do Polski pod koniec 1946 roku. Na jej kontynuowanie nie zgodziły się komunistyczne władze, traktujące amerykańskie wsparcie jako formę ingerencji w suwerenność Polski Ludowej”, A. Suława, Skarby z UNRRA i rzuty od innych ciotek. W paczkach przysyłano do Polski też wolność, Dziennik Polski, 23 czerwca 2017, [online:] <https://dziennikpolski24.pl/skarby-z-unrra-i-rzuty-od-innych-ciotek-w-paczkach-przysylano-do-polski-tez-wolnosc/ar/12203627>

Jedynym dostępnym w naszych czasach napojem była lepka oranżada, którą jak mawiano produkowano z rozpuszczonych cukierków zwanych wtedy landrynkami. Można było też kupować oranżadę w proszku (właściwie były to maleńkie kryształki), którą jak za młodszych lat czerpało się z niewielkiej torebki zwilżonym śliną palcem a potem ten palec się oblizywało. Któż tedy pomyślał o uprzednim umyciu rąk Obecnie młodzi nie wyobrażają sobie świata kiedy nie było coca-coli. A tak było. Po raz pierwszy Coca-Cola zawitała do Polski w 1957 r. na Targi Poznańskie ale nie było jej na zwykłych półkach sklepowych a można ją było kupić tylko za dewizy w sklepach Pewexu i Baltony do których jedynie nieliczni mieli dostęp. „Karmiono” nas, zamiast ostrzeżeń o szkodliwości tego napoju nachalną propagandą: „Przez wiele lat Coca-Cola była określana przez polskie władze „konsumpcyjnym symbolem wrogiego systemu”, o czym może świadczyć takie hasło jak „Coca-Cola to imperializm w płynie”. Dopiero w 1971 r., za rządów Edwarda Gierka, do Polski na negocjacje przyjechali z Rzymu przedstawiciele The Coca-Cola Company. Prezes Paul Graul (Czech z pochodzenia) i wicepremier ówczesnego rządu, Mieczysław Jagielski, podpisali umowę na licencyjne rozlewanie napojów. Budowa pierwszej linii produkcyjnej ruszyła w lutym 1972 r. [gdy już od roku byliśmy lekarzami] w Browarze Warszawskim, a pierwsze napełnione butelki zjechały z linii 19 lipca. Początkowo butelki były sprowadzane z Hiszpanii”. <https://www.coca-cola.com/pl/pl/social/historia-coca-cola-w-polsce>

Z reguły bylejakość naszych studenckich posiłków nie oznaczała, że nie lubiliśmy smacznych dań. Bardzo rzadko wpadaliśmy do Baru Myślińskiego [może była inna nazwa ale nie można znaleźć tego lokalu w wykazie kultowych barów Poznania] przy ul. Matejki, naprzeciwko wejścia do Parku Wilsona

i magicznej Palmiarni. Na stołach tej niewielkiej wąskiej przestrzeni już królowały ogromne pyzy gotowane na parze, polewane sosem mięsnym. Dla niektórych nie znających odrębności kulinarnych, jak np. dla Zofii Łukaszewicz wielkim zadziwieniem było odkrycie, że warszawskie pyzy to zupełnie inne danie.... Częściej „urzędowaliśmy” w pobliskim Anatomicum Barze Mlecznym przy ul. Matejki, gdzie po raz pierwszy wielu z nas znających tylko kwaśne mleko sporządzane w domu, poznawało smak jogurtu. Był on podawany w dość szerokiej zda się wtedy niektórym - wytwornej butelce i zawierał gdy się poprosiło - łyżeczkę dżemu. Innym smakołykiem tego baru był słynny poznański gzik a z tą dość dziwną nazwą niektórzy, pochodzący spoza Poznania spotkali się po raz pierwszy. Okazywało się, że jest przepyszny twarożek ze szczypiorkiem który wkrótce stał się naszym daniem „koronnym”. Do tej pory te barowe smaki rozkosznie powracają w pamięci.... Odkryciem tej epoki były koktajle mleczne które serwował Bar Kociak, zwany przez nas pieśczośliwie Kiciusiem przy ul. Św. Marcin (a w latach 1945–1989 ul. Czerwonej Armii). Jak opowiadają Koleżanki i Koledzy, którym przysługiwały bony żywnościowe, chętnie korzystali z możliwości zamiany ich na bony do barów mlecznych czy Kociaka. *Kociak zasługuje na odrębny podrozdział, gdyż stanowił pewnego rodzaju centrum kulturalne - więc wspomnimy o nim w rozdziale pt. Higiena psychiczna.*

Na kolejnych latach, gdy mieliśmy zajęcia na Fredry 10, zdarzało nam się wpadać do pobliskiej kawiarni WZ na słynne ciastko zwane Brzdąc... Spisując te wspomnienia z niejakim rozczeniem zaglądaliśmy do Wikipedii znajdując tam historię lokalu i ostatnie zdjęcie, gdzie już niestety dawny napis zniknął, a zastąpiły go inne, będące znakiem czasów. Pozostały te same piękne łukowe okna, przeszklone wejście i... nasza ciepła pamięć. Znana nam kawiarnia pod nazwą WZ to: Kawiarnia

Dobskiego – jedna z największych i najmodniejszych kawiarni międzywojennego Poznania, zlokalizowana w centrum przy ul. Fredry 12.

Kawiarnia była nieformalnym miejscem spotkań poznańskiego środowiska uniwersyteckiego (bliskość gmachów uczelnianych), ale także zasiadali tu lekarze, prawnicy, literaci i artyści (w pobliżu stoi gmach Teatru Wielkiego). Odbýwały się tu popularne koncerty i wieczorne dancingi połączone z partiami brydża. W ogródku latem grywano w szachy. Właścicielem początkowo był Wincenty Dobski, a od początku lat 30. XX wieku - Stanisław Jóźwiak (właściciel *Warszawianki* z Placu Wolności). Powodem sprzedaży były problemy finansowe Dobskiego w okresie wielkiego kryzysu. Do najślawniejszych gości lokalu należeli: Zenon Kosidowski, Zygmunt Latoszewski i Witold Noskowski. Po II wojnie światowej w lokalu mieściła się restauracja „WZ”, następnie restauracja „Wiejska Zagroda”, restauracja orientalna „Wook” i obecnie restauracja sieciowa „Chłopskie Jadło”¹ https://pl.wikipedia.org/wiki/Kawiarnia_Wincentego_Dobskiego_w_Poznaniu



https://pl.wikipedia.org/wiki/Kawiarnia_Wincentego_Dobskiego_w_Poznaniu

Anna Horst-Szymczyńska, córka profesora naszej uczelni Antoniego Horsta, więc zdawało nam się wtedy, że z zamożnej rodziny, w rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów wspomina: „Na wykłady chodziliśmy wszyscy, bo to była okazja do spotkania koleżeńkiego. Prawie zawsze po wykładach chodziliśmy na jakąś kawę - średnią bez cukru albo herbatkę bez cytryny - było taniej, a z kasą różnie bywało - ale nie zawsze po to, żeby się tam czegoś nauczyć - cóż – młodość”.

Olga Heim z d. Kleczewska opowiada: „Prawdziwa atmosfera była zawsze na wykładach. Chodziliśmy tłumnie. Np. sala wykładowa na ul. Polnej była wypełniona po brzegi. Wykłady na godz. 8.00 a potem spacer na kawę tzw. paczką. Przepiękny kolor kawy (niestety w szklance ale może dlatego taka piękna) ze śmietanką i do tego drożdżówka z kruszonką pycha! Albo kawa mrożona w Merkurym. Nigdy tak dobrej potem nie piłam. ‘siła młodości’”.

Palenie tradycyjnych papierosów i spożywanie alkoholu w czasach naszych studiów

W czasach naszych studiów i długo potem palenie papierosów było bardzo popularne – jeszcze teraz oglądając filmy z tamtych lat niektórych dziwi, że zwykle aktorzy występują z nieodłącznym papierosem w dłoni czy w ustach. Pomimo tego, że już latach 30. i 40. XX w. opublikowano w Niemczech i w wielkiej Brytanii pierwsze badania wskazujące na związek palenia papierosów z rakiem płuc potwierdziły to dwa kluczowe badania epidemiologiczne z USA i z w wielkiej Brytanii w 1950 r. ale dopiero w 1964 r. uznano ten fakt oficjalnie i od lat 70. i 80. XX w. Światowa Organizacja Zdrowia WHO i inne instytucje zajmujące się zdrowiem rozpoczęły intensywną kampanię antynikotynową. W Polsce dopiero w 1995 r. uchwalono pierwszą ustawę O ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych wprowadzając zakaz palenia m.in. w

szkołach, urzędach, środkach transportu. Nakazano też umieszczanie ostrzeżeń zdrowotnych na paczkach papierosów. 15 listopada 2010 r. wszedł w życie zakaz palenia w miejscach publicznych

<https://onkologia.org.pl/pl/palenie-tytoniu> ; <https://www.prawo.pl/zdrowie/zakaz-palania-papierosow-na-ulicach-czy-jest-mozliwy-w-polsce,531028.html>

Oczywiście w czasach naszych studiów i długo później o aktualnych „wynalazkach” jak np. e-papierosy, które pojawiły się dopiero w 2003 r. nie było mowy.

Nikt nie zwracał uwagi na to, że korytarz Collegium Anatomicum tonął od dymu czekających na zajęcia. Palono wówczas namiętnie we wszystkich przestrzeniach publicznych pociągach, samolotach a palenie przez studentki nawet należało do tzw. studenckiego szpanu. Powszechne było powiedzenie, że kobieta która pali pachnie mężczyzną, ale mężczyzna, który nie pali, pachnie....kozą. Były to papierosy bez filtrów, często trzeba było wypływać kawałki chyba zdrewniałych łodyg tytoniu, ale nosiły dumne nazwy jak np. Sporty które nazywano żartobliwie „dokoła boiska” czy bardziej wytworne bo spłaszczone Dukaty. Opowiadając te historie z perspektywy jakże odległego czasu należało podziwiać Kolegów, którzy jak np. Jurek Marcinkowski chyba nigdy nie zapalili papierosa a musieli wytrzymywać w parach dymu, smrodu, doznając zapewne też szkód na zdrowiu ale o skutkach biernego palenia wówczas nikt nie słyszał...

Koledzy w swoich opowieściach tu zamieszczonych niejednokrotnie wspominali o tym, że gdzieś tam pojawiał się **alkohol**, ale dotyczyło to szczególnych okoliczności. Jednak jednocześnie na uczelni nie zwracano uwagi czy ktoś się pojawiał „pod wpływem” i może tak nie było, bo wszystkim bardzo zależało by nie „zawalić studiów”. Jednakże zdarzyło się kiedyś, że wywołany do odpowiedzi kolega podchodził do katedry „na miękkich nogach”. I gdy stał obok asystenta nieco się chwiejąc, ten z wielką pobłażliwością rzekł wtedy: o widzę, że kolega dziś niedysponowany, proszę wrócić na miejsce.... Odnosnie uzależnienia od alkoholu, to zdarzyły się też na Naszym Roku takie przypadki – i to już w okresie studiów. Jak wspomina Jurek Marcinkowski - śp. Krzysztof Urbański opowiedział mu, że podczas przygotowań do naszego dyplomatorium jeden z kolegów przyszedł z butelką wódki, której część wypił i wtedy stwierdził, że teraz może już sprawnie pomagać w przygotowaniach. W późniejszych latach rozwinęła się u niego marskość alkoholowa, której istnieniu zaprzeczał i dalej konsumował alkohol, co zakończyło tragiczne, śmiertelne krwawienie z pękniętych żyłaków przełyku. To ważna uwaga dla młodych, obecnie studiujących – konieczność systematycznej profilaktyki w tym zakresie już w okresie studiów. O innym koledze opowiadano, że na suto zakrapianych libacjach pił na umór i zdarzyło się, że „zakąsił” gryząc kieliszek wódki który opróżnił a połknięte kawałki stały się przyczyną „ostrej jazdy” do szpitala gdzie musiał przeżyć operację....

Ślad o alkoholu można znaleźć we wspomnieniach Henryka Zduna, który w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze o czasie studiów i życiu w akademiku: „Oczywiście potrzebna była też ‘woda życia’ i na trawienie i na odstresowanie. Wytwarzała ją w kuchence kolega z farmacji Staszek Sobiak, dziś znany profesor chemii leków. Gdy razu pewnego razu odwiedziła niespodziewanie nasz barak komisja z dziekanatu, spotkała Staszka nadzorującego pracę instalacji. Na pytanie jednej z pań co to jest, Staszek objaśnił spokojnie, że jako student farmacji przygotowuje się do ćwiczeń i usiłuje wytworzyć zasadę Schiffa. Nie wiem do dzisiaj co to jest. Ale komisja pochwaliła go za tak duże zaangażowanie się w naukę”.

Jan Głębocki w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów wspomina: „Wszyscy, którzy byli na obozie w Kłodzku, doskonale to wiedzą, ale posłuchajcie jak do tego doszło. Jechaliśmy na obóz wojskowy nocnym pociągiem. Nie wiem czy był chociaż jeden z nas bez butelki wódki. W każdym razie picie było powszechne. Pijani zameldowaliśmy się o świcie w naszej jednostce wojskowej (...).często wychodziliśmy na miasto nielegalnie, przez płot. Pijani koledzy z Wrocławia w razie wylegitymowania

przez patrol i odwiezieni do jednostki, nie trafiali do aresztu natomiast my lub katowiczanie, zawsze w nim lądowaliśmy”.

Jurek Marcinkowski w rozdziale *Opowieści Koleżanek i Kolegów* pisze: „Alkohol na obozie wojskowym w Kłodzku [po 5 roku studiów]. Osobiście nie piłem alkoholu w trakcie całych ćwiczeń wojskowych. Inna rzecz to picie alkoholu w drodze do Kłodzka – pamiętam, jak dojechaliśmy pociągiem do Kłodzka – jak wesoło było w pociągu i w pieszej wędrówce z dworca do jednostki wojskowej. W drodze powrotnej raczej nikt od alkoholu nie stronił”.

Używki

Aniela Groszkowska w rozdziale pt. *Opowieści Koleżanek i Kolegów* opisuje swoje pierwsze doświadczenie z kofeiną: „Z innych egzaminów pamiętam z farmakologii, że tak trzęsły mi się ręce, że pierścień benzoesowy, który miałam narysować wyglądał jak połamany człowieczek. Do tego egzaminu uczyłam się długo w nocy i rano byłam nieprzytomna. Dziewczyny dały mi tabletkę z kofeiną. A ja nigdy do tamtej pory nawet nie piłam kawy, a co dopiero tabletki. Byłam rozdygotana: trzęsły mi się ręce, serce biło jak szalone i dlatego wyszedł taki pierścień”.

Jak z tego wynika jednak koleżankom nie były obce „stymulatory” o czym świadczy poczęstowanie Anieli tabletką z kofeiną....

Na temat innych używek nikt z Koleżanek i Kolegów nie wspomina, choć zostało zapamiętane pewne wydarzenie. Otóż czekając na egzamin, jedna z dziewczyn siedząc na krześle po prostu...zasnęła. Nie można było jej się dobudzić. Oczywiście na egzamin nie weszła a potem opowiadała, że przez całą noc intensywnie się uczyła tym skuteczniej, gdyż ktoś z rodziny dostarczył jej amfetaminę. Niestety lek przestał działać w najbardziej nieodpowiednim momencie...

Podążanie za modą? Problem tatuowania ciała.

Jak podano we wstępie do tych Pamiętników: Wobec wspomnianego już zamknięcia „za żelazną kurtyną” i „przaśnych” czasów PRL-u właściwie nie istniał problem nadążania za modą choć niektóre dziewczyny malowały we wzory bawełniane beżowobure zwykle opadające pończochy czy samodzielnie sporządzały z plastikowych kwiatków modne wówczas klipsy [kolczyki nosiły jedynie nieliczne] a tylko nieliczne, których rodzice pracowali np. na placówkach w krajach zachodu błyszczały elegancją... Podobnie wytworne były studentki z rodzin tzw. prywaciarzy tzn. posiadających własne biznesy co było w PRL- u źle widziane. Ale nawet drobni sklepikarze pomimo restrykcji dawali sobie całkiem sprawnie radę i z reguły byli zamożni a ich dzieci wyróżniały się na tle szaroburych tłumów ulic PRL-u.

Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy **tatuowanie ciała**. Zbyt świeża i bolesna była przekazywana nam przez rodziców pamięć wojny- widok numerów obozów koncentracyjnych na przedramieniu naszych bliskich, sąsiadów czy osób przypadkowo spotkanych którzy nie zdążyli ich zastonić (co często czynili) związane było z osobistym cierpieniem osoby oglądającej gdyż dziedziczyliśmy epigenetycznie traumę przodków. Zresztą tatuaże można było też ujrzyć na ciałach marynarzy, przestępców czy osób z tzw. marginesu społecznego, co opisaliśmy w dwóch tematycznych monografiach z 2021.

Tatuaże. Gdy ciało staje się tłem (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko, P. Wiśniewska, Wydawnictwo Silva Rerum, Poznań, 2021 i Modyfikacja ciała. Kręta droga od urody życia do znaczenia po śmierci (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko), Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra, 2021.

Ponadto podczas zajęć z Medycyny Sądowej w sali Muzeum tego Zakładu i Katedry dla niektórych pomimo doświadczeń sekcyjnych, było niejakiem wstrząsem a może tylko tematem rozważań nad losem ludzi, z których po śmierci zdjęto płaty skóry z różnymi tatuażami i zanurzono w słojach z formaliną. Zdjęcia oraz opisy podano w jednym z rozdziałów naszej książki o Tatuażach: J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko, Cz. Żaba, 100- letnie eksponaty tatuaży Muzeum Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu w: Tatuaże. Gdy ciało staje się tłem (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko, P. Wiśniewska, Wydawnictwo Naukowe Silva Rerum, Poznań, 2021, str. 45-63.

Być może, że wszelakie tego rodzaju preparaty znikną wkrótce z zakładów Uniwersytetów Medycznych, pojawiają się bowiem głosy, że należy z szacunku dla zmarłych je godnie pochować....

Nasze, studenckie „Uczty duchowe” nawet w... „Kociaku” ale przede wszystkim w Filharmonii, Operze czy Teatrze

Kociak jako centrum relaksu i zażartych dyskusji

28.02.2023 na stronie internetowej Przewodnik Poznański pojawił się tytuł; Kawiarnia Kociak – powrót legendy PRL!. W tym artykule przypominany jest czas Kociaka naszych studiów, kiedy tam często bywaliśmy : „Siermiężne, przypominające typowy, spółemowski bar mleczny wewnątrz nigdy nie było puste, na wolny stolik, niezależnie od pory dnia trzeba było odczekać czasem nawet kilkadziesiąt minut. Gdy otwierano Kociaka, na początku lat 60-tych ubiegłego wieku nie miał on jeszcze konkurencji w postaci młodszych o ponad dekadę lokali Hortexu, więc szybko stał się celem licznych pielgrzymek nie tylko mieszkańców Poznania, ale też turystów i gości targowych. Dla okolicznych mieszkańców był nieodzownym elementem niedzielnego rytuału: po mszy w pobliskim kościele św. Marcina trzeba było wstąpić na obowiązkowe ‘słodkie’. Lokal oferował bogaty wybór ciast, ale głównym powodem wizyty były desery: Ambrozja, Delicja czy Anula to nazwy, które do dzisiaj wywołują pełen nostalgii uśmiech. (...). Kociak przetrwał wszystkie zawieruchy dziejowe i w praktycznie niezmienionej formie działał aż do 2020 roku. Dopiero pandemia i związane z tym obostrzenia zmusiły właścicieli, czyli Spółdzielnię Smak-Coop do zamknięcia lokalu w marcu 2020. A gdy w dodatku rozpoczęto trwający do dzisiaj remont ul. Św. Marcin, to wydawało się, że zniknie bezpowrotnie z mapy Poznania. Na szczęście wkrótce pojawiają się na scenie pp. Mieszalowie: Tata, Paweł to nie tylko uczeń legendy poznańskiego cukiernictwa, Wojciecha Kandulskiego i stażysta w znanych francuskich i belgijskich cukierniach, ale także wychowawca wielokrotnych medalistów Mistrzostw Świata Młodych Cukierników, a syn, Adrian jest doświadczonym managerem w branży gastronomicznej. Obaj Panowie podjęli się reaktywacji Kociaka”. <https://przewodnikpoznanski.pl/kawiarnia-kociak-powrot-legendy-prl/>

Tak więc Kociak nadal istnieje co nieustannie wzrusza dając poczucie bezpieczeństwa w tym zmieniającym się nieustannie świecie i to w gwałtownym tempie. Z rozczuleniem często zaglądamy pod ten adres na Facebooku: https://www.facebook.com/kawiarniakociak/?locale=pl_PL .



Zdjęcie chyba nie z okresu naszych studiów, ale ten sam magiczny neon !!!, <https://przewodnikpoznanski.pl/kawiarnia-kociak-powrot-legendy-pr/>

Do słynnego, aktualnie istniejącego też Kociaka zwanego przez nas pieśczośliwie Kiciusiem przy ul. Św. Marcin (a w latach 1945–1989 ul. Czerwonej Armii) bardzo często gnaliśmy (oczywiście per pedes) jak do wodopoju, wieczorową porą dość liczną rozbawioną grupą po zajęciach z anatomii czy po koncercie w Filharmonii zajmując kilka stolików. Zofia Konopielko w swoim blogu tak pisała przed

laty „Na przykład jednego dnia Kajtek rzucał hasło- na Kiciusia !!! Węć po zajęciach rzucaliśmy się gromadką do drzwi wyjściowych z Collegium Anatomicum. Był zwykle późny wieczór. Szliśmy ulicami Poznania, podziwiając jak pięknie miasto w rozpalających się światłach. Trasa była dość długa, może ze 2-3 km. Przemierzaliśmy jedną z głównych ulic zwaną wtedy Czerwonej Armii obecnie Św. Marcina i docieraliśmy do Kiciusia. Był to niewielki bar, położony po lewej stronie ulicy, idąc w kierunku Starego Miasta. Ulokowany na parterze wielkiej kamienicy stanowił w naszych latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia nowy element w krajobrazie miasta. Miał lśniąco wielkie szyby i wyraźny napis- Kiciuś. Nie było tam alkoholu a jedynie wyroby cukiernicze. Jednak największym hitem w tamtych czasach były cocktaile mleczne. Dla nas to była niezwykła nowość, wielka pycha z pianką. Oczywiście zajmowaliśmy kilka stolików, zamawialiśmy coctaille. Czekaliśmy tykając ślinkę i gadaliśmy. W ogóle nie zapamiętałam naszych rozmów, ale nastrój był wesoły a nawet wesołkowaty. Musieliśmy ‘odparowywać’ ciężkie doznania nauki anatomii, ponure sekcje i wydalić z siebie odór formaliny, którym nasiąkaliśmy w Anatomicum”.

Tekst Z. Konopielko zamieszczony 4 października 2018 w blogu: <http://zofiakonopielko.pl/?p=4353> pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (11). Kazimierz Petrykowski (Kajtek) stale obecny w naszej pamięci....

Filharmonia

Dzięki współczesnym wynalazkom jak internet, Fb itd, dziękując losowi, że mogliśmy dożyć takich fascynujących czasów, otrzymaliśmy szansę by po półwieczu braku kontaktów spotkać się ponownie. Od razu podjęliśmy temat naszych studenckich „uczci duchowych” co zanotowano w blogu: *„w Grupie messengerowej wspominaliśmy z Mariolką wyprawę do Filharmonii i Opery w Poznaniu, przypominałam, że w tamtym czasie – rozpoczynającym się w 1965 roku – gdy razem studiowaliśmy ukochaną medycynę – byłam na koncercie Marthy Argerich. Świeżo po zdobyciu I Nagrody na Konkursie Chopinowskim, kruczowłosa o wielkim temperamentie zawładnęła sceną, widownią, całą Uniwersytecką Aulą i na zawsze zapisała się w naszej pamięci”*

Ten fragment można znaleźć a blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=4564> pod datą 17 stycznia 2019, pt. Z pamiętnika Leszka Milanowskiego (18). „Na wszystkie smutki...” – spotkanie z muzyką i wiecznie młodą Marthą Argerich

Innym silnym przeżyciem związanym z poznańską Filharmonią były koncerty związane z Międzynarodowym Konkursem im. Henryka Wieniawskiego, który odbywa się nadal w przepięknej Auli Uniwersyteckiej. Mieszkając poza Poznaniem, nadal każdego roku czekamy na październik który przenosi nas w tamten czas młodości, zanurzamy się w śpiewie skrzypiec, obrazach młodych przejętych wirtuozów i czekamy na momenty, gdy kamera TV przenosi swoje oko na wspaniałe sklepienia, wnętrza Auli a z mgły czasów wyłaniają się nasze cienie ...

Oto zarys historii tych Konkursów:

Po raz pierwszy odbył się w 1935 roku w Warszawie^[2]. Inicjatorem międzynarodowych spotkań młodych skrzypków był bratanek Henryka, Adam Wieniawski, a organizatorem Warszawskie Towarzystwo Muzyczne. Jego celem było propagowanie muzyki kompozytora oraz zapewnienie promocji wybitnym skrzypkom. Kolejne edycje miały się odbywać co pięć lat, jednak plany przerwała II wojna światowa. Drugi konkurs zorganizowany został po 17 latach, w 1952 roku w Poznaniu. Od tej chwili konkurs odbywa się zazwyczaj co pięć lat w Auli UAM, a organizatorem jest poznańskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Mi%C4%99dzynarodowy_Konkurs_Skrzypcowy_im._Henryka_Wieniawskiego

Leszek Milanowski we wspomnieniu o śp. naszym niezwykłym koledze- Kazimierzu Petrykowskim (Kajtku) zamieszczonym w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze: **Koncerty w poznańskiej Filharmonii**. Chodziliśmy na Koncerty Poznańskie z Mariolą Hołogą [Mariola Jolenta Nowakowska] i Tereską Tułecką. Tam spotkaliśmy Kajtkę i odtąd chodziliśmy razem. Kajtek wspaniale interpretował np. Vivaldiego „Cztery Pory Roku”, Symfonie Beethovena i Koncerty Czajkowskiego. Zarażał nas swoją wyobraźnią. Na koncerty wchodziliśmy tajemnymi wejściami bez biletów. Na konkursie Wieniawskiego chyba w 1967 roku razem z Kajtkiem po przejściu przez Collegium Iuridicum i garderobę artystów z jaskółki (tak nazywano najwyższe piętro w teatrze, operze czy filharmonii,

często nieomal przyczepione pod sufitem – zwykle przypominające gniazdo jaskółki – z bardzo słabą widocznością ale za to bardzo tanie – przyp. Z. K.) wypatrzyliśmy dwa wolne miejsca w pierwszym rzędzie obok Profesor Ireny Dubiskiej na finałowym koncercie. Usiedliśmy jak najważniejsi goście. No bo przecież na te miejsca nie trzeba było kupować biletów. Głośno i długo biliśmy brawa wspaniałemu Rosjaninowi (muszę sprawdzić nazwisko) ale Pani Dubiska patrzyła na nas zgorszona jak na komunistycznych prowokatorów. Wtedy pierwszy raz widzieliśmy i słuchaliśmy wspaniałego Konstantego Kulkę [Konstanty Andrzej Kulka (ur. 5 marca 1947 w Gdańsku) – polski skrzypek wirtuoz, solista, kameralista, pedagog]”.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz we wspomnieniu o Kazimierzu Petrykowskim (Kajtku) w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze: „Kiedy Kajtek rzucił hasło – dzisiaj muzyka, wiedzieliśmy, że czeka nas uczta w Filharmonii. Koncerty filharmoniczne odbywały się w Auli Uniwersytetu Poznańskiego. Docieraliśmy tam jak zwykle per pedes, zatapialiśmy się w tłum bardzo eleganckich mieszkańców Poznania. Mieliśmy na sobie zwykłe łachy codzienne, nieustannie nosiłam kraciastą albo burozieloną luźną koszulę, w której zatracąłem osobowość żeńską a stawałam się zwykłym sztubakiem o charakterze uniseks. Czasy zresztą był zgrzebne co odpowiadało mojej osobowości, bo nigdy nie lubiłam się stroić... Gdy przekraczaliśmy próg Filharmonii, zagarniał nas wielki świat. Już nie baraszkowaliśmy jak zwykle, ale poważnie zajmowaliśmy miejsca na parterze ogromnej wielkiej sali. I była tylko muzyka. Tam słuchałam jak gra i oglądałam piękną młodą dziewczynę z długimi, kruczoczarnymi włosami, odkrycie w świecie muzycznym, która nazywała się Martha Argerich. Ileż minęło już lat, a ona stale koncertuje. I nadal jest piękna, może tylko trochę inaczej... Po koncertach Kajtek zrywał się z miejsca i inicjował spontaniczne wielkie wszechogarniające brawa. Potem pędziliśmy za nim za kulisy. Tam jeszcze raz gratulował artystom i prosił o autografy. Wcześniej zaopatrywaliśmy się w programy. Ustawialiśmy się za Kajtkiem grzecznie w kolejce po upragniony podpis światowych sław. Do tej pory przechowuję programy m.in. z tamtego koncertu z podpisem tej Wielkiej Pianistki, chyba jedynej takiej”....

To wydarzenia kulturalne nie było wszystkim dostępne, gdyż ceny biletów przekraczały możliwości naszych studenckich kieszeni. Jednakże „dzięki” specyfice czasu PRL- u, jak pisze w tych Pamiętnikach Maria Jolenta Noakowska (Mariolka): „Mój tata załatwiał nam bilety do filharmonii, bo zakłady pracy dostawały dla robotników a oni nie chcieli brać. Tak więc co piątek chodziliśmy do filharmonii na koncerty a do opery sami kupowaliśmy bo należeliśmy do klubu Pro Symphonika. Nota bene sylwester 2013 również spędzałam na koncercie w Auli i jakie było moje zdziwienie że też tam po latach, spotkałam Teresę Tułecką, Andrzeja Szkaradkiewicza, Grażynę i Bolesława Stawnych - i gdy reszta tańczyła my przegadaliśmy całą przerwę w koncercie ciesząc się ogromnie”.

My pozostali, do Filharmonii czy teatru chodziliśmy kupując jedynie tzw. wejściówki, a potem próbowaliśmy zająć wypatrzone wolne miejsce, choć najczęściej siadywaliśmy na schodach czy stopniach pomiędzy rzędami, najczęściej na balkonie po prawej stronie lub na parterze po prostu pod ścianą.

Teraz dzięki internetowi możemy czytać nie wychodząc z domu: „Bogate, a zarazem skomplikowane są dzieje FILHARMONII POZNAŃSKIEJ – zarówno instytucji, jak i jej nazwy. Sięgają one lat dwudziestych minionego wieku. Wtedy to ‘umuzycznieni’, a patriotycznie nastawieni mieszkańcy Poznania, przyzwyczajeni już przez zaborców do bujnego życia koncertowego, postanowili powołać – wzorem dużych środowisk europejskich, Filharmonię – oczywiście Poznańską. Choć nazwa ta nie łączyła się jeszcze wówczas z instytucją organizującą koncerty, ze specjalnym budynkiem czy salą, wyrażała tęsknoty muzyczne i aspiracje środowiska. Urzeczywistnienie ich nie było o tyle trudne, że

w 1919 roku powstała w Poznaniu polska opera z pełną orkiestrą. Wystarczyło zatem rozszerzyć jej działalność na repertuar estradowo-symfoniczny. Tak się stało, i w sali operowej pojawiły się koncerty symfoniczne „Filharmonii Poznańskiej”. Nie były one ani częste, ani regularne – zależały od możliwości pogodzenia ich z repertuarem operowym. Ale były, i cieszyły się dużym powodzeniem”.

<https://filharmoniapoznanska.pl/o-filharmonii/historia-i-patron/>

„Filharmonia Poznańska, usytuowana w sercu miasta, powstała z inicjatywy grupy lokalnych entuzjastów sztuki, którzy pragnęli stworzyć przestrzeń dedykowaną kulturze muzycznej. W początkach XX wieku, kiedy Poznań prężnie się rozwijał i zyskiwał na znaczeniu jako ośrodek akademicki i kulturalny, potrzeba budowy nowoczesnej filharmonii stała się oczywista. Projektantami gmachu zostali renomowani architekci, którzy zdecydowali się na styl neoklasycy, łączący elegancję z funkcjonalnością. Wprowadzenie elementów akustycznych, które były nowością w tamtym okresie, miało zapewnić idealne warunki dla przyszłych koncertów i występów. Budowa filharmonii została sfinansowana dzięki wsparciu lokalnych przedsiębiorców oraz dotacjom rządowym, co świadczyło o ogólnonarodowym znaczeniu projektu. Pierwszy kamień węgielny został położony w 1904 roku, a uroczyste otwarcie obiektu odbyło się kilka lat później, co było wielkim wydarzeniem dla mieszkańców miasta i regionu. Od samego początku filharmonia stała się domem dla wielu znaczących wydarzeń kulturalnych, przyciągając artystów międzynarodowej sławy oraz stając się ważnym punktem na mapie europejskich instytucji kulturalnych. Uroczyste otwarcie Filharmonii Poznańskiej miało miejsce w 1910 roku, stanowiąc kulminacyjny moment długiego procesu planowania i budowy. Ten dzień przyciągnął do nowego gmachu liczne grono miłośników muzyki oraz znaczące postacie ze świata polityki i kultury. Inauguracyjny koncert, na którym wykonano dzieła największych kompozytorów, takich jak Beethoven i Chopin, został przyjęty z entuzjazmem przez publiczność i krytyków. Wspomnienia z tego wydarzenia szybko rozprzestrzeniły się po całym kraju, przyczyniając się do wzmocnienia reputacji Poznania jako ośrodka muzycznego o wysokim standardzie. W kolejnych latach działalności, Filharmonia Poznańska szybko stała się jednym z głównych miejsc życia kulturalnego miasta. Organizowane tu koncerty, recitale i festiwale przyciągały zarówno lokalnych mieszkańców, jak i gości z innych części Polski oraz z zagranicy. Artyści światowej sławy regularnie pojawiali się na poznańskiej scenie, a programy koncertowe zawsze starano się wzbogacać o innowacyjne elementy, co pozwalało na ciągłe rozszerzanie muzycznych horyzontów publiczności. Te pierwsze lata działalności nie tylko utrwaliły pozycję filharmonii na kulturalnej mapie Europy, ale także zadecydowały o jej dalszym, dynamicznym rozwoju.

Okresy historyczne pełne wyzwań odcisnęły swoje piętno na działalności Filharmonii Poznańskiej, co testowało jej wytrzymałość i zdolność do adaptacji. Czas dwudziestolecia międzywojennego, a następnie okupacja niemiecka i radziecka przyniosły serię trudności, które zagroziły jej funkcjonowaniu. W czasie II wojny światowej, budynek filharmonii doświadczył poważnych uszkodzeń, a działalność muzyczna była znacznie ograniczona. Pomimo tych przeciwności, dzięki determinacji lokalnej społeczności, udało się zachować i częściowo przywrócić funkcje kulturalne tego miejsca, co było świadectwem niezłomności ducha mieszkańców i ich przywiązania do sztuki.

Po zakończeniu wojny, wraz z nowym porządkiem politycznym, Filharmonia Poznańska stała przed kolejnym wyzwaniem – rekonstrukcją i ponownym zaistnieniem na kulturalnej mapie Polski. Dzięki wsparciu państwa oraz lokalnych mecenasów sztuki, przeprowadzono niezbędne prace remontowe, które przywróciły dawny blask budynku. W kolejnych dekadach, mimo politycznych i ekonomicznych turbulencji PRL, filharmonia nie tylko przetrwała, ale i rozkwitła, organizując międzynarodowe festiwale i przyciągając artystów z całego świata. Te trudne lata umocniły rolę filharmonii jako bastionu kultury i sztuki, dowodząc jej zdolności do przekraczania barier i łączenia ludzi niezależnie od zewnętrznych okoliczności”.

<https://filharmonia.poznan.pl/historia-filharmonii.html>

Ostatnio pojawiły się plany wybudowania nowego obiektu, co podaje się na różnych portalach: „Obecnie Filharmonia korzysta z pomieszczeń Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, a koncerty realizuje w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Mam nadzieję, że nadal Filharmonia będzie miała możliwość czasem zagrać w auli uniwersyteckiej, jako jednej z lepszych akustycznie sal w Polsce. Nawet to, że powstanie nowa przestrzeń do prezentacji muzyki na terenie targów nie oznacza, że chcielibyśmy już na zawsze pożegnać wnętrza uniwersyteckie – podkreśla Marek Woźniak, Marszałek Województwa Wielkopolskiego”.

<https://www.portalsamorzadowy.pl/wydarzenia-lokalne/filharmonia-poznanska-bedzie-miec-nowa-siedziba,335775.html>

16 maja 2023 r. podano, że do 2029 r. ma powstać Centrum Muzyki w Poznaniu.

J. Piasecka-Gabryel, Centrum Muzyki w Poznaniu powstanie do 2029 roku. Niebawem zostanie ogłoszony konkurs na projekt, Głos Wielkopolski, 16 maja 2023, https://gloswielkopolski.pl/centrum-muzyki-w-poznaniu-powstanie-do-2029-roku-niebawem-zostanie-ogloszony-konkurs-na-projekt/ar/c1-17545811#google_vignette



Collegium Minus w Poznaniu – zabytkowy, neorenesansowy gmach zlokalizowany w obrębie poznańskiej Dzielnicy Cesarskiej przy Placu Adama Mickiewicza^{[2][3]}. Obiekt został wybudowany na potrzeby Akademii Królewskiej w Poznaniu w 1909 według projektu Edwarda Fürstenaua. Uroczyste otwarcie nastąpiło 18 stycznia 1910. Obecnie mieści przede wszystkim Aulę Uniwersytecką i Rektorat UAM, a także siedzibę SAUAM, Małą Aulę i inne agendy uniwersyteckie. https://pl.wikipedia.org/wiki/Collegium_Minus_w_Poznaniu

Poznańska Opera czyli Teatr Wielki

Koleżanki z roku w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów tak piszą: Ewa Barabasz (z d. Kabat) „w rozmowie ‘na inteligencję’ [dotyczy egzaminu wstępnego na Akademię Medyczną]z p. profesor Marią Goncerzewicz [1917-2020 – późniejszy dyrektor Instytutu „Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka” w Warszawie] usłyszałam, że to nie do wiary aby były takie rozbieżności! Zadała mi pytanie czy

chodzę do operetki. Odpowiedziałam, że nigdy. Powiedziała mi, że to skandal że nie byłam w operetce. Odgryzłam się Pani Profesor: ‘chodzę do opery przynajmniej 1 raz w miesiącu’”.

Maria Nowakowska (z d. Hołoga) wspomina : „Tak więc co piątek chodziliśmy do filharmonii na koncerty a do opery sami kupowaliśmy bo należąc do klubu Pro Symphonika mieliśmy ulgowe bilety”

Z przyjemnością można przeczytać, że „Ponad pół wieku nieprzerwanie działamy pod skrzydłami Filharmonii Poznańskiej propagując ideę wychowania dzieci i młodzieży poprzez sztukę. Naszą działalnością edukacyjno-artystyczną pokazujemy, jak magiczna i piękna jest muzyka – nie zawsze poważna.<https://prosinfonika.eu/>



Pocztówka z wizerunkiem ówczesnego Teatru Miejskiego, ok. 1910 r.

https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/e/e3/Teatr_Wielki_w_Poznaniu_%28Poznan_Opera_House%29%2C_1910.JPG



Teatr Wielki w Poznaniu. Fot. PAP/A. Cierieszko. Zdjęcie zapewne współczesne, gdyż za czasów naszych studiów niewyobrażalne było deptanie trawników a coś dopiero wylegiwanie się na nich....

O gmachu Opery czytamy teraz: „Fasadę budynku stanowi w rzeczywistości olbrzymi portyk wzniesiony zgodnie z regułami architektury klasycznej starożytnego Rzymu. Kilkadziesiąt monumentalnych stopni ograniczają po bokach rzeźby: po lewej kobiety na lwie (symbolizująca Lirykę), a po prawej mężczyzny z idącą przy nim panterą (przedstawiającego Dramat). Na szczycie schodów stoi sześć olbrzymich jońskich kolumn, dźwigających trójkątny tympanon zwieńczony symbolem budynku – pegazem. Od wschodu znajduje się pawilon dawnej restauracji, a od zachodu osobne wejście dla cesarza. Wewnątrz wspaniale dekorowane halle, foyer i inne pomieszczenia. Na widowni mieszczącej obecnie 858 miejsc, uwagę zwraca kryształowy żyrandol i bogate dekoracje ścian. Pierwotnie na tympanonie znajdował się cytat z poematu *Die Künstler (Artyści)* Friedricha von Schillera: „Der Menschheit Würde ist in eure Hand gegeben. Bewahret sie! Sie fällt mit euch! Mit euch wird sie sich heben!”, który został usunięty z fasady po przejęciu budynku przez władze polskie w roku 1919. Fontanna usytuowana przed teatrem jest architektonicznie integralną częścią budynku i bezpośrednim przedłużeniem symbolu pegaza. Pod wpływem uderzenia kopyta pegaza, na górze Helikon – jednej z siedzib muz - miały trysnąć wody źródła Hippokrene. Źródło było poświęcone muzom, ponieważ pobudzało natchnienie, a sam pegaz stanowi symbol natchnienia poetyckiego i plastycznego. Po obu stronach zejścia do fontanny znajdują się dwie wazy z piaskowca, ozdobione analogicznymi rzeźbami, jakie znajdują się na froncie budynku teatru”.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Teatr_Wielki_im._Stanis%C5%82awa_Moniuszki_w_Poznaniu

Nie zapamiętaliśmy czy była możliwość korzystania z wejściówek w Operze, ale chyba tak, bo obejrzelśmy wiele spektakli w tym oczywiście słynne poznańskie balety gdzie tańczył Conrad Drzewiecki (1926 - 2007)

Conrad Drzewiecki „W 1951 został solistą baletu Opery Poznańskiej, a następnie jego kierownikiem (1963–1973). W latach 1971–1980 pełnił funkcję dyrektora artystycznego Państwowej Szkoły Baletowej w Poznaniu. Jako choreograf pracował również za granicą między innymi: w Ballet Nationale J.M.F., Het National Ballet w Amsterdamie, Danza Nazionale de Cuba w Hawanie, Staatsoper i Deutsche Oper w Berlinie, Stadttheatern Malmö i Narodne Divadlo w Pradze. Początek jego działalności datuje się na przełom lat sześćdziesiątych i

siedemdziesiątych. Wprowadził do repertuaru Opery Poznańskiej kompozycje choreograficzne, które syntezowały technikę neoklasyczną i taniec modern. Działalność ta zaowocowała wkrótce powstaniem Polskiego Teatru Tańca” https://pl.wikipedia.org/wiki/Conrad_Drzewiecki „Polski Teatr Tańca (do 29 stycznia 2018 działający pod nazwą Polski Teatr Tańca – Balet Poznański) – teatr założony w 1973 z inicjatywy władz miejskich (uchwała Rady Narodowej m. Poznania z dnia 22 czerwca)^[1] i środowiska artystycznego Poznania. Pierwszym dyrektorem był Conrad Drzewiecki”. https://pl.wikipedia.org/wiki/Polski_Teatr_Ta%C5%84ca

czy masywna, ale o niesamowitym opanowaniu ciała i niebywałej w tańcu lekkości Teresa Kujawa.

Teresa Kujawa (1927 - 2020) „pracowała jako tancerka Opery Dolnośląskiej (1947–1949) i Opery w Poznaniu (1949–1958, od 1952 solistka), związana z zespołem Théâtre d'Art du **Ballet** podróżowała m.in. po Europie Zachodniej, następnie powróciła do pracy w Operze w Poznaniu (1960–1971). Od 1971 roku pracowała jako baletmistrzyni Opery Wrocławskiej. <https://taniecpolka.pl/ludzie-tanca/teresa-kujawa/> ; <https://plus.gloswielkopolski.pl/teresa-kujawa-byla-legenda-i-nestorka-polskiej-sceny-baletowej/ar/c13-14953860>

Poznański Balet uruchamiał w nas myślenie o możliwościach ciała ludzkiego, co znając już anatomię wydawało się wręcz nieprawdopodobne . Pokonanie ciała w tańcu to dla nas był symbol pokonania siebie a też swojej niepewności i lęków których przeżywalismy niemało w czasie studiów a potem właściwie przez całe zawodowe życie....

Fajfy

Fajf to nazwa naszych spotkań i szalonych zabaw lat 60. XX w. Wzięła się od angielskiego five o'clock, czyli godziny piątej, kiedy to przed wojną w wielu miejscach odbywały się imprezy taneczne. Od lat 80. XX w. zastąpiono je nazwą dyskoteka, choć aktualnie obserwuje się nostalgiczny powrót do fajfów....

W Poznaniu, od 1964 r. w nowo wybudowanym akademiku Politechniki Poznańskiej przy ul. Zamenhoffa działał Studencki klub Agora, od 1960 r. w jednym z budynków w zespole akademików przy ul. Dożynkowej na Winogradach działał Klub Nurt a od 1958 r. w kamienicy przy ul. Wielkiej na Starym Mieście – klub Od nowa. Poza fajfami najważniejsze było działanie tam teatrów studenckich, klubów dyskusyjnych z udziałem znanych polskich pisarzy, poetów, publicystów, malarzy, rzeźbiarzy, architektów i muzyków. W Od nowa m.in. „prezentowali się młodzi jazzmani: Krzysztof Komeda, Jan Ptaszyn Wróblewski, Jerzy Milian, Włodzimierz Nahorny i Tomasz Stańko. Z inicjatywy Roberta Satanowskiego w klubie rozpoczęło działalność Towarzystwo Przyjaciół Opery, Jacek Jaroszyk prowadził Studyjny Ośrodek Filmowy, teatr popularyzowała Wszechnica Teatralna Zbigniewa Osińskiego (...) Galeria odNOWA, która promowała nowatorskie tendencje w sztuce oraz umożliwiała studentom i absolwentom uczelni plastycznych prezentację własnej twórczości. (...) Działalność klubu i galerii w lokalu przy ul. Wielkiej zakończył Bal Agonalny zorganizowany 29 sierpnia 1970 roku. Zamknął się wówczas ważny i bogaty etap w dziejach poznańskiej kultury studenckiej”. <https://cyryl.poznan.pl/kolekcja/klub-od-nowa-1965-1968-fotografie-jerzego-nowakowskiego/>

Halina Biedzińska-Janowicz we wspomnieniach zawartych w rozdziale: Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze: „Do dzisiaj wspominamy tzw. fajfy w różnych klubach studenckich. Najpopularniejszym klubem była ‘Dziupla’ przy WSR [wówczas: Wyższa Szkoła Rolnicza, obecnie Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu] i ‘Agora’ na Politechnice Poznańskiej”.

Anna Horst – Szymczyńska we wspomnieniach zawartych w rozdziale: Opowieści Koleżanek i Kolegów tak pisze: „W akademiku nie mieszkalam, ale często bywałam jako, że najlepsze imprezki towarzyski tam właśnie się odbywały - szczególnie sympatycznie wspominam „Wawrzyńka” [Dom Studencki Nr 1 „Wawrzynek” przy ulicy Wawrzyniaka 23/25 w poznańskiej dzielnicy Jeżyce]”.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz m.in. tak pisze: „Lekarstwo na stres... I jeszcze wspomnienie o czasach z Moniką. Obie miałyśmy rozwichrzoną fantazję i stanowiłyśmy piękny radosny duet. Niewiele dziewczyn z pierwszego roku medycyny potrafiło się wyzwolić spod jarzma stałego zakuwania. A my dość często wyrывaliśmy się w świat, m.in. chodziliśmy do klubów studenckich. Po zajęciach z anatomii, a więc już ciemnym wieczorem wsiadałyśmy do tramwaju, który nas unosił na

piękne wzgórza, gdzie rozłożyło się osiedle studenckie. Był to prawdziwy kampus. To magiczne które zachęcał znamienną nazwą 'Nurt'. I poddając się nurtowi studentów, wpływałyśmy do tętniącego muzyką wnętrza, obładowane ciężkim tomem Bochenka oraz wielkim atlasem anatomii. Czasami bywałyśmy w klubie 'Od Nowa' na Rynku Starego Miasta, gdzie już czasami występowała Kryśka Prońko [Krystyna Prońko ur. 14 stycznia 1947 w Gorzowie Wielkopolskim) – polska piosenkarka i wokalistka jazzowa, kompozytorka, wydawca i pedagog muzyczny. Honorowy Obywatel Gorzowa Wielkopolskiego] – moja gorzowska szkolna koleżanka. Podręczniki do anatomii nazywane przez nas pieszczotliwie „Bochenki” zalegały gdzieś na parapecie a my wpadałyśmy w wir zabawy... Na tle koleżanek z Uniwersytetu wypadałyśmy nieatrakcyjnie i blado. One miały długie, czerwone paznokcie. My krótko obcięte, gdyż asystent z anatomii tak zalecał. Mówił, czy chcecie by ktoś, kto was całuje po rękach wyjadał resztki trupa spod paznokci. Raczej było niemożliwe to całowanie, ale kto wie, wszak wykonywałyśmy sekcje nie używając rękawic. I pomimo tego, że nikt nas po rękach nie całował, na wszelki wypadek obcinałyśmy paznokcie do granicy opuszków palców... Potem gorączkowo łapałyśmy piękne chwile, bo byłyśmy bardzo młode, spragnione poznawania życia ale już doświadczone dotykem ciał nieżywych i te kluby, tańce, muzyka były dla nas jakby antidotum na traumę związaną z zajęciami anatomii czy biologii.... Wtedy jeszcze był zwyczaj tańca w parach. Więc kołysałyśmy się przy cudnej muzyce. Zapamiętałam tylko Niemena bo właśnie wschodził i do dziś mi śpiewa: 'Pod papugami' albo 'Bo czas jak rzeka'”.

Praca podczas studiów

Wojciech Kasprzak m.in. wspomina” „Moja sytuacja w czasie studiów była dosyć specyficzna, bowiem na pierwszym roku ożeniłem się z Basią, studentką historii sztuki, a w 1967 roku urodził się nasz syn Paweł (obecnie chirurg). Nie mieliśmy wsparcia rodziny i jako bardzo biedni z trudem przedzieraliśmy się przez życie. Poza studiami miałem się różnych prac (prostowanie kartoników w POLFIE, wyładowywanie wagonów z węglem, mycie samochodów itp.), żeby uzupełnić 500 złotych stypendium Basi”. **Maria Nowakowska z d. Hołoga (Mariolka)** m.in. opowiada: „Pod koniec każdego miesiąca zapisywaliśmy się wstępnie w Lechii na Starołęce do pracy przy składaniu kartonów do proszku słynnego wówczas proszku do prania IXI. Każdego określonego dnia siedzieliśmy przy długim stole, obok na wózkach stały wielkie paki kartonów, które przywiezione do fabryki były ściśle sprasowane. My musieliśmy nadać im kształt sześcianów by maszyna za naszymi plecami mogła nasypać w nie proszek. Było nas po kilkunastu studentów no to wesoło było! W czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich przez kilka lat pracowałam na stoiskach jako sekretarka a po ich zakończeniu sprzedawano wszystkie eksponaty - do dziś mam serwis kawowy z Chodzieży, który tam kupiłam. To był szczęśliwy okres życia”. **Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz** wspomina: Gdy nadchodził czerwiec, poznańskie uczelnie już musiały zakończyć sesje egzaminacyjne, by zwolnić akademiki dla gości przybywających na targi. My, nie będący poznaniakami z reguły wyjeżdżaliśmy do domów, ale spora część studentów pracowała na Targach. Koleżanki odpowiadały z jakim trudem uczyły się zręcznego przenoszenia kilku na raz talerzy pełnych smacznego jadła lub tac ze szklankami wypełnionymi kolorowymi napojami. Zdarzało się, że piwo lądowało na głosie klienta a jeśli był z Zachodu, nie reagował tak wrogo jak niejeden Polak, a nawet uśmiechając się oznajmiał przerażonej dziewczynie, że nic nie szkodzi.... osobiście, podobnie jak wiele Koleżanek pracowałam na koloniach jako p. o. higienistka/ pielęgniarka....

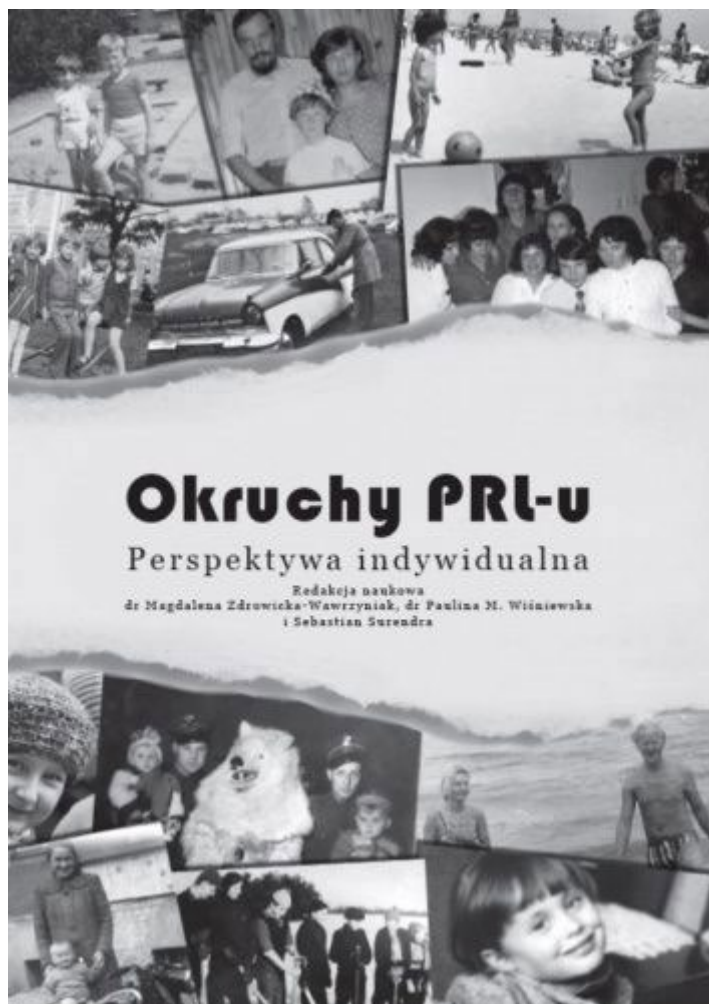
Wytworny dookołny świat

Podczas gdy w czasie PRL-u, np. w Warszawie otworzył się tylko raz na tak wielką skalę barwny, błyszczący, czysty, piękny a przede wszystkim uśmiechnięty świat Zachodu, a było to podczas V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w 1955 r.

V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów – Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie w dniach od 31 lipca do 14 sierpnia 1955. Festiwal miał stać się dowodem wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Do Warszawy przyjechało ok. 30 tysięcy młodych ludzi ze 114 państw^[2], w tym z krajów kapitalistycznych i krajów Trzeciego Świata. Dla nich była to okazja zapoznania się z życiem za „żelazną kurtyną”, dla warszawiaków okazja spotkania się z ludźmi z krajów niedostępnych dla obywateli Polski Ludowej. Dla starannie wyselekcjonowanych delegacji z ZSRR i krajów demokracji ludowych festiwal stanowił dowód, że można bawić się w sposób daleki od urzędowego rytuału. Dla warszawiaków i osób przyjezdnych z całej Polski atrakcją stanowiły różnokolorowe stroje zagranicznych gości i ich swobodny styl życia. Festiwal przyczynił się w znacznym stopniu do wydarzeń października 1956.

https://pl.wikipedia.org/wiki/V_%C5%9Awiatowy_Festiwal_M%C5%82odzie%C5%BCy_i_Student%C3%B3w

Tymczasem w Poznaniu corocznie mogliśmy być świadkami gdy ulice zapęłniały eleganckie zachodnie auta w tym ogromne amerykańskie zwane wtedy „krążownikami szos”, które nadawały miastu niepowtarzalny klimat, bo właśnie rozpoczynały się Międzynarodowe Targi Poznańskie (MTP)



Na zdj. .m. in. Jurek przed amerykańskim „krążownikiem szos”, podczas MTP, fotografia okładki monografii, gdzie są nasze rozdziały: J. T. Marcinkowski, Z pamiętnika: niezapomniane Komorniki. Moja Mama- Bohaterka Dnia Każdego, str. 121- 143, Z. Konopielko, Życie w świecie podwójnym, str. 143- 175 w: Okruchy PRL- u. Perspektywa Indywidualna (red. M. Zdrowicka – Wawrzyniak, P. M. Wiśniewska, S. Surendra, Wydawnictwo Naukowe Silva Rerum, Poznań, 2021,

Czytając historię tych Targów, którą dalej podajemy gdyż jest bardzo, bardzo ciekawe, nie trudno się dziwić, że styl życia i bycia poznaniaków był tak wytworny odbiegając od np. warszawiaków. Poza zachowaną odwieczną tradycją mieszczańską, Międzynarodowe Targi Poznańskie podtrzymywały ten styl, utrwały i stanowiły barierę przed tendencjami pauperyzacji społeczeństwa PRU- u.

A oto historia Międzynarodowych Targów Poznańskich – skopiowano fragmenty z podanych poniżej portali:

W 1911 w Poznaniu na terenach u zbiegu obecnych ulic Roosevelta i Bukowskiej odbyła się Wystawa Wschodnoniemiecka. Wzniesiono wtedy charakterystyczną Wieżę Górnolaską, którą zaprojektował Hans Poelzig, profesor politechniki w Berlinie. Idea zorganizowania przez Polaków targów w Poznaniu narodziła się w 1917 r., podczas zjazdu Związku Towarzystw Kupieckich w Poznaniu. Pomysł na organizację cyklicznych wystaw wcielony został w życie parę lat później, po wygraniu przez Polaków Powstaniu Wielkopolskim. I Targ Poznański, jak wówczas nazywała się impreza, miał miejsce w 1921 (od 28 maja do 5 czerwca), (...). Pierwsze targi o charakterze międzynarodowym miały miejsce w 1925. Intensywny rozwój w okresie hossy lat 20. XX wieku ukoronowała olbrzymia Powszechna Wystawa Krajowa, którą zwiedziło 4,5 mln osób. W tym samym 1929 zaczął się Wielki Kryzys. Mimo trudnej sytuacji gospodarczej firma przetrwała i w końcu dwudziestolecia międzywojennego stała się jedną z największych tego typu w Europie. II wojna światowa przerwała jej działalność. Na terenach MTP umieszczono fabrykę samolotów Focke-Wulf, cel alianckich nalotów. Podczas walk w 1945 zniszczono 85% terenów targowych. Pierwsza impreza targowa po wojnie odbyła się w 1946, zorganizowano wtedy wystawę „Dom i Odzież”. Od 1947 znów Targi stały się imprezą międzynarodową i od tego czasu MTP rozwijają się i modernizują.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Mi%C4%99dzynarodowe_Targi_Pozna%C5%84skie

W 1929 roku, w dziesiątą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, na terenie MTP Poznań Expo odbyła się Powszechna Wystawa Krajowa. Było to największe jak dotąd wydarzenie handlowe w historii naszego kraju. Korzystanie ze wszystkich targowych atrakcji wymagało kilku dni i mocnych nóg, aby przejść wiele kilometrów przez tereny targowe. Aby ułatwić zwiedzanie, organizatorzy udostępnili małe pojazdy elektryczne do przewozu gości. (...). W celu odwiedzenia Targów Poznańskich dostępne były loty komercyjne z Gdańska i Warszawy. Loty obsługiwał Związek Przewoźników Lotniczych „Aerotarg”. Pierwszy lot do Warszawy zorganizowano 29 maja 1921 r. Trwał około dwóch godzin, a cena biletu była dość wysoka – 6 tys. marek polskich. Linia lotnicza działała do 16 czerwca 1921 r. Przewiozła ponad 100 pasażerów i ok. 2 tys. 3000 kg przesyłek. Z tej okazji Poczta Polska wydała swoje pierwsze znaczki pocztowe (o wartości 25 i 100 marek polskich). (...). Telewizor był jednym z najważniejszych wynalazków XX wieku, obecnym na Targach Poznańskich niemal od samego początku. Pierwszy polski telewizor został zaprezentowany na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 roku. Dopiero trzy lata po światowej premierze tego wynalazku. Pierwszy polski telewizor skonstruował Stefan Manczarski, jeden z inżynierów zatrudnionych w Ministerstwie Poczty i Telegrafów. Telewizor prezentowany na targach został zakupiony przez Departament Radiokomunikacji Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Osiem lat później w Warszawie powstała Eksperymentalna Stacja Telewizyjna Polskiego Radia. (...). W 1956 roku francuscy wystawcy zainstalowali na Iglicy ogromną antenę telewizyjną. Wykorzystali sprzęt Radia Industrie do emisji pierwszych eksperymentalnych programów telewizyjnych podczas Targów Poznańskich. Ich sprzęt telewizyjny nigdy nie wrócił do Francji. Władze województwa wykupiły urządzenia i podjęły decyzję o utworzeniu w Poznaniu centrum telewizyjnego, które rozpoczęło działalność na terenie restauracji Belvedere. 1 maja 1957 r. ośrodek nadał pierwszy sygnał telewizyjny. Program cieszył się stosunkowo niewielką widownią, gdyż w mieście zarejestrowanych było wówczas zaledwie 100 telewizorów. (...). Prototyp komputera osobistego został zaprezentowany na targach w 1971 roku. Został zaprojektowany przez Jacka Karpińskiego i nazwany jako K-202. Komputer został wyposażony w 16-bitowy mikroprocesor, który wykonywał milion operacji na sekundę i działał w oparciu o system operacyjny Karpiński. Komputer był produkowany do 1973 roku, ale sytuacja polityczna uniemożliwiła jego masową produkcję. (...). 10 sek. Tyle czasu potrzeba na wywołanie zdjęcia wykonanego w amerykańskim pawilonie targów w 1963 roku. Aparat błyskawiczny, którym zrobiono to zdjęcie, wzbudził powszechny podziw. Rok wcześniej w pawilonie amerykańskim zorganizowano studio fotograficzne dla dzieci. Rodzice biorący udział w pokazie otrzymali bezpłatne zdjęcia swoich dzieci od amerykańskich wystawców. <https://www.mtp.pl/pl/o-nas/historia/>

WIELOLETNIE TEMATY ‘TABU’ – TO STAN ZDROWIA PSYCHICZNEGO STUDENTÓW MEDYCYNY I LEKARZY. A JAK BYŁO NA NASZYM ROKU?

O naszym zdrowiu psychicznym nikt wówczas nie myślał. Podobnie jak o zdrowiu psychicznym studentów w ogóle ale też nie myślano o lekarzach.

Jak podano we wstępie do tych Pamiętników: Szczególnie na początku studiów wielu z nas, którzy przybyli z mniejszych miejscowości czuło się zagubionymi w wielkim mieście jakim jawił się Poznań. **Mieczysław Wasielica** (obecnie śp.) zdążył nam opowiedzieć przed 10 laty: „Początek studiów był dla mnie bardzo trudny. Nie miałem jeszcze 18 lat. Nie znałem Poznania. Brakowało informacji dla

zagubionych studentów z adresami i mapkami np. zakładów, sal wykładowych, pracowni, stołówki, biblioteki, obowiązujących przepisów i wymogów”. Sytuację pogarszały niekiedy skrajnie trudne warunki życia na stancjach a szczególnie w akademikach. Oddaleni od domu i bliskich nie czuli ich wsparcia”.

Jednocześnie mieszkający w Poznaniu czuli się ograniczani przez rodziców. Olga Heim z d. Kleczewska opowiada: „Mieszkalam z rodzicami i z tego powodu nie mogłam wracać z imprez do domu kiedy chciałam a tylko o określonej godzinie niestety sporo przed północą. Później już, w dorosłym moim życiu, często żartowałam, smucąc mamę, że mam ‘problemy z sercem’, bo miałam trudne dzieciństwo i młodość (z powodu tego zakazu i zupełnie też nie poznałam życia w akademiku ;-)”.

Byliśmy tak młodzi, że nie zauważaliśmy urody tego wieku tym bardziej, że często „buzowały w nas” typowe młodzieńcze emocje jak porzucenie przez dziewczynę czy chłopaka. (...). Na szczęście nie były to czasy mediów społecznościowych i nie doświadczaliśmy hejtu. Nasz czas studiów i lata późniejsze to długo brak troski o własne zdrowie, niehigieniczny tryb życia jak np. namiętne, modne wtedy palenie tradycyjnych papierosów co opisujemy w poprzednim rozdziale.

O naszym zdrowiu psychicznym nikt wówczas nie myślał. Podobnie jak o zdrowiu psychicznym studentów w ogóle ale też nie myślano o lekarzach.

Nasilony stres, doświadczanie dyskryminacji a nawet przemocy w opowieściach Koleżanek i Kolegów

Przewlekły stres

Ula Drążkiewicz tak opisuje m.in. swój czas sięgający lat licealnych: „Na egzamin wstępny pojechałam na złość panu dyrektorowi liceum, który się ze mnie wyśmiał. Twierdził, że takie coś jak ja to tylko do pracy się nadaje, a nie na studia. Chciałam zobaczyć profesorów, studentów i to wszystko co ich otacza, ich świat (...). Pierwsze i bardzo przykre doświadczenie spotkało mnie na anatomii, chyba na trzecich ćwiczeniach. Pan docent (nie pamiętam nazwiska), przyszedł na ćwiczenia i trzech studentów, w tym ja, zawołał do odpowiedzi. Pokazał nam klisze rtg i pytał o różne szczegóły. Oczywiście nie bardzo umieliśmy. Ja akurat nie znałam nazw łacińskich - w szkole nie miałam łaciny. Zostaliśmy wyrzuceni z ćwiczeń. A pan doc. krzychał ‘w białych fartuchach możecie lody sprzedawać’. Wróciłam do akademika, przepłakałam wieczór. Pomyślałam, ale się nastudiowałam, tylko trzy tygodnie. O nie. Nie dam się. Nauczę się tej łaciny i anatomii. Było trudno, ale egzamin zdałam dobrze. Do dzisiaj mam w domu siedem tomów podręcznika anatomii Bochenka”. **Halina Biedzińska-Janowicz** m. in. tak napisała: „ (...) pięć lat spędzonych w żeńskim Domu Studenta w Poznaniu przy ulicy ks. Wawrzyniaka. Początki tej drogi nie były łatwe. Paraliżował nas stres związany z rozłąką z rodziną, samotność i strach przed porażką i wydaleniem ze studiów. Dokuczała ciasnota w 5-6 osobowych pokojach, sypianie na metalowych, piętrowych łóżkach z mocno zniszczonymi sprężynami i materacami. Ze względu na powszechny brak podręczników i atlasów uczyłyśmy się w grupach, powtarzając głośno teksty. (...) w różnych miejscach budynku szukałyśmy spokojnego kąta do nauki”. **Krystyna Graduszevska – Czerebiej** wspomina m. in.: „Nauka na pierwszym roku zajmowała dużo czasu. Do dziś uważam, że ten rok miałam ‘wyrwany’ z życiorysu, ponieważ bardzo dużo uczyłam się, aby nie ‘wylecieć’ ze studiów. Asystenci na zajęciach z anatomii straszili bowiem naiwny nowy ‘narybek’, że trzy oceny niedostateczne to koniec nauki w Akademii Medycznej (...). Do tych niedouczonek asystent mówił ‘nadajesz się do żłobka lub przedszkola a nie na wyższą uczelnię’”. **Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)**, m. in. tak opowiada: „Rozpoczęłam samodzielne życie. Musiałam zadbać o siebie, organizować książki, fartuchy do ćwiczeń, czepki na głowę i załatwiać wiele innych spraw. Ten początek był dla mnie bardzo trudny, ale powoli wdrażałam się we wszystko. Z czasem okrzeplałam i czerpałam radość z samodzielności. W akademiku, początkowo, miałyśmy w pokoju

jeden podręcznik do anatomii, ale wkrótce każda z nas zaopatrzyła się we własny. Nigdy nie zapomnę pierwszych zajęć z tego przedmiotu i stresu przez wejściem do prosektorium. Wszyscy dzielili się z innymi swoimi makabrycznymi wyobrażeniami o tym, co nas za chwilę czeka. Atmosferę podkreślał niemiły zapach formaliny. Powoli oswajaliśmy się ze specyfiką ćwiczeń, 'preparatami ludzkimi' – tak nazywały się zwłoki". **Henryk Zdun** w rozdziale Opowieści Koleżanek i Kolegów, m.in. tak pisze: „Po całym dniu wykładów i obowiązkowych do późnych godzin wieczornych ćwiczeń, trzeba było przed snem nauczyć się kilkadziesiąt stron. Opuszczone, nawet z powodów losowych, ćwiczenia trudno było odrobić. Nie warto było opuszczać wykładów, bo wykładający profesor szybko orientował podczas egzaminu, że student opuszczał wykłady. Wtedy sytuacja studenta była nie do pozazdroszczenia. Na ćwiczenia chodziło się z gorączką. Koledzy studiujący na innych uczelniach, zwłaszcza na Uniwersytecie, nie mogli nadziwić się, że tak przeciąża się studentów na medycynie. Oni naprawdę studiowali. Mieli czas na różną działalność, kluby studenckie, rozrywkę, sex i inną aktywność. Nasze studia, zwłaszcza na pierwszych latach, to brak czasu, chroniczne zmęczenie i niewyspanie. Niestety czekało to większość z nas przez całe życie zawodowe, a bywało, że do śmierci". **Jerzy Zgrajek** zdążył przed swoim odejściem do drugiego ponoć lepszego świata, przed 8 laty tak napisać: „Na III roku egzamin z mikrobiologii zdawałem za trzecim podejściem, już jako komisyjny. To było duże napięcie nerwowe, które obezwładniało przede wszystkim intelektualnie. Było to okazja, żeby uzmysłowić sobie swoją przeciętność". Nasilony stres towarzyszył nam przez cały czas studiów, opisuje to barwnie **Aniela Groszkowska** w rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów: „Na egzaminie z mikrobiologii [a był to już III rok studiów] u prof. Józefa Wizy [1905-1975] zdawaliśmy po trzy osoby. Pytania były przechodnie. Kiedy pierwsza osoba nie wiedziała lub odpowiedź była nie pełna, to dopowiadała druga i trzecia. Odpowiadałam jako trzecia. Byłam 'obryta jak dzik'. Profesor bardzo poważny, nagle zaczął się dziwnie uśmiechać przy mojej odpowiedzi. Poprosił o mój indeks i wtedy dopiero zauważyłam co go rozbawiło. Indeks trzymałam w ręce na kolanach, a one mi tak skakały ze zdenerwowania, że rozbawiło to profesora. Dziwne, że nie drżał mi głos, tylko nogi". Dalej Aniela pisze: „Z ćwiczeń niesekcyjnych najbardziej mi utkwił w pamięci „internat” z ginekologii i położnictwa w Klinice na ul. Polnej, a zwłaszcza poród operacyjny przy pomocy *vacuum extractor*. Prowadził go chyba jakiś młody położnik, bo zakładał *vacuum* 3x i pelota 2x wyskakiwała bez dziecka. Po drugim założeniu zaczęło mi się robić słabo, ale wytrzymałam jeszcze do wyciągnięcia na szczęście żywego noworodka, po czym film mi się urwał. Przypominałam na dużej sali porodowej. Coś strasznie gniotło mnie w podudzia. Otwieram powoli oczy: pod moim nosem wężyk z tlenem, a wokół łóżka porodowego na którym leżę z nogami na jego tylnej części, stoją lekarze, w tym główny dyżurny dr Zaremba, anestezjolog i wszyscy koledzy. Szok, chciałam się zapaść ze wstydu pod ziemię". **Wojciech Kasprzak** m.in. wspomina „Moja sytuacja w czasie studiów była dosyć specyficzna, bowiem na pierwszym roku ożeniłem się z Basią, studentką historii sztuki, a w 1967 roku urodził się nasz syn Paweł (obecnie chirurg). Nie mieliśmy wsparcia rodziny i jako bardzo biedni z trudem przedzieraliśmy się przez życie. Poza studiami miałem się różnych prac (prostowanie kartoników w POLFIE, wyładowywanie wagonów z węglem, mycie samochodów itp.), żeby uzupełnić 500 złotych stypendium Basi. Do urodzenia Pawła mieszkaliśmy osobno, Basia w domu studenckim na Stalingradzkiej – obecnie Al. Niepodległości (4 osobowy pokój z piętrowymi łózkami), z zakazem wstępu mężczyzn do akademika, pod groźbą jego utraty. A ja w jednym pokoju z babcią i siostrą”.

Pomimo doświadczania nasilonego i właściwie przewlekłego stresu Zofia Konopielko (z d. Łukaszewicz) tak pisze: *Gdy w roku 1965 rozpoczynaliśmy studia na Akademii Medycznej w Poznaniu jeszcze nie wiedzieliśmy, ba, nawet nie myśleliśmy o tym co nas czeka.... Od tamtego października, gdy staliśmy dumni, radośni ale też przejęci na dziedzińcu Anatomicum minęło już bardzo wiele lat – czegoś się nauczyliśmy, dostawaliśmy nieraz „po głowie”, nauczyliśmy się żyć z porażką ale też zwyciężaliśmy – żyjemy i dostaliśmy od losu okazję by się spotykać....*

Doświadczanie dyskryminacji podczas studiów

Wanda Grońska wspomina m.in. : „Pamiętam, jak kiedyś na wojsko poszłam w czerwonych kaloszach. Przyczyną było to, że sznurowadła przy butach wojskowych porwały mi się, a ja nie miałam wtedy ani złotówki na nowe. Koleżanki do dzisiaj mi o tym przypominają. (...). Innym wydarzeniem był egzamin na trzecim roku z mikrobiologii, w sesji zimowej (1968 rok). Zdawałam go z Halinką. Ja zdałam, a ona nie. Profesor przy wpisywaniu ocen do Kart egzaminacyjnych pomylił się, chociaż w indeksach miałyśmy prawidłowe dane. Poszłyśmy obie do niego i Halina przedstawiła sprawę. Profesor wyrwał nam indeksy, jednak mnie ponownie dopisał niedostateczny, a jej poprawił na trójkę. Byłam w tej sprawie u dziekana i rektora, ale nic nie uzyskałam. Trafiłam też na zebranie ZMS-u. Tu powiedziano mi, żebym zdawała jeszcze raz, bo tak będzie lepiej. Powiedziano mi, żebym siedziała cicho, bo mam złe korzenie rodowe. Dowiedziałam się, że któryś z moich przodków był Żydem, a wtedy Żydzi opuszczali masowo Polskę (kolejna czystka narodowa)”. **Maria Buchwald-Rogalka** m.in. opowiada: „Po zdaniu matury w II Liceum Ogólnokształcącym w Ostrowie Wielkopolskim w roku 1964 starałam się o przyjęcie na Akademię Medyczną we Wrocławiu. Egzamin zdałam, ale nie zostałam przyjęta. Rodzice moi prowadzili przedsiębiorstwo przewozowe, a więc reprezentowali sektor ‘prywaciarzy’, czyli miałam ‘złe’ pochodzenie społeczne. Postanowiłam więc pracować w szpitalu w charakterze salowej, co miało zwiększyć moją szansę na przyjęcie na studia medyczne po zdaniu egzaminu w następnym roku (...). I tak na początku lipca 1965 roku w sali wykładowej Zakładu Patomorfologii przy ul. Przybyszewskiego rozpoczęły się egzaminy pisemne (...). Po ocenie prac pisemnych była jeszcze rozmowa z Komisją rekrutacyjną. Odpowiadałam na pytania p. doc. Przemysława Gabryela i p.doc. Marii Goncerzewicz, poznałam oceny z przedmiotów egzaminacyjnych, a na koniec odezwał się zasiadający w komisji tzw. czynnik społeczny, jak się okazało zapoznany z moim pochodzeniem i zadał mi 2 pytania: ‘pani ojciec to prywatna inicjatywa?’ – odpowiedziałam: tak. Drugie pytanie brzmiało: „to do jakiej grupy gospodarki zaliczyłaby pani ojca? – na szczęście przypominałam sobie ten podział z ‘Wiadomości o Polsce i świecie współczesnym’ - przedmiotu zdawanego na maturze, więc odpowiedziałam: do drobnych kapitalistów. Po chwili p. doc. Maria Goncerzewicz wyraźnie podkreśliła, że przez rok po maturze pracowałam fizycznie w szpitalu. Więcej pytań nie było. Po powrocie do domu i zdaniu dokładnej relacji z egzaminów, mój ojciec zwątpił czy ja się kiedykolwiek na studia dostanę....Ale po ogłoszeniu wyników i przyjęciu na studia byłam bardzo szczęśliwa (....)”. **Wiesław Uryszek** opowiada m. in. : „Myślałem o tym, żeby może pójść na WAM [Wojskowa Akademia Medyczna] – to ciekawa droga, ale tam trzeba było być zaangażowanym politycznie – wojskowy w naszych czasach, w PRL-u, musiał należeć do PZPR. Mój kolega z liceum skończył z WAM, ale musiał być w PZPR, bo inaczej by nie awansował. Również na naszej Uczelni człowiek należący do PZPR miał łatwiejszą drogę. Ileż życiorysów i karier było złamanych przez to, że nie należało się do PZPR. Młodzi nie mają o tym pojęcia ”. **Wojciech Kasprzak** m.in. wspomina : „Wydarzenia 1968 roku. Rektorem naszej AM był prof. Witold Michałkiewicz (ginekolog), przewodniczący Kolegiów Rektorów uczelni poznańskich, przyjaciel komunistycznej władzy i wybitnie zaangażowany w ochronę uczelni przed ‘wichrzycielami’. O ile wiem, dwu naszych kolegów aresztowano za działalność antykomunistyczną w jakimś tajnym ‘kole żydowskim’. Obydwu relegowano z uczelni. Jeden skończył studia, ale chyba w Białymstoku, po czym wrócił do Poznania i swojej narzeczonej - dziewczyny z naszego roku. Drugi - o ile wiem - wyjechał do Stanów”.

Przemoc?

Maria Buchwald-Rogalka opowiada m.in. : „Ćwiczenia z anatomii odbywały się 4 x w tygodniu po 2,5 godziny. Adiunkci straszili nas, że trzy nieobecności na ćwiczeniach powodują skreślenie z listy studentów. Obszerny materiał zadawany z dnia na dzień powodował, że zarywało się noce. A i tak na początku wszyscy obrywali oceny D, a nawet E czyli najgorsze. Siedzieliśmy przy stołach w białych fartuchach i chustkami na głowach i wyglądałyśmy jak dojarki z PGR-u. Dookoła stały szafy z

utrwalonymi preparatami anatomicznymi, a na stole sekcyjnym leżały zwłoki do preparowania (...). Zajęcia z matematyki prowadzone były przez doc. Albrychta (wykłady) i jego asystentów (ćwiczenia). Atmosfera na zajęciach nie była zbyt miła, a zapamiętałam głównie karę zadaną przez prowadzącego wykład z powodu braku ciszy w trakcie wykładu (na Sali znajdowało się ok. 300 osób). Każdy student/ka musiał/a napisać 100 razy zdanie: 'Na wykładach z matematyki należy zachowywać się zgodnie z dobrymi obyczajami'. Przed następnym wykładem starosta roku starosta roku Kajtek Petrykowski położył na katedrze zebrane 'kary' od 16 grup studentów naszego roku. Sporo tego było". **Krystyna Graduszevska-Czerebiej** wspomina m. in. : „Nauka na pierwszym roku zajmowała dużo czasu. Do dziś uważam, że ten rok miałam 'wyrwany' z życiorysu, ponieważ bardzo dużo uczyłam się, aby nie 'wylecieć' ze studiów. Asystenci na zajęciach z anatomii straszili bowiem naiwny nowy 'narybek', że trzy oceny niedostateczne to koniec nauki w Akademii Medycznej (...). trzeba było znać nazwę narządu, kości, naczynia w którym tkwiła szpilka. Czasem udało się nazwać bezbłędnie, czasem nie. Do tych niedouczonej asystent mówił 'nadajesz się do żłobka lub przedszkola a nie na wyższą uczelnię'. Było to bardzo deprymujące". **Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)** m.in. opowiada: „Nadszedł egzamin ze słynnym prof. Czesławem Gerwelem. Był to szok i koszmar. W pierwszym terminie nie zdążyłam udzielić odpowiedzi i już byłam za drzwiami. Drugi raz, tak samo. Pozostał egzamin komisyjny. Był to najgorszy moment w moim studenckim życiu". **Wojciech Kasprzak** wspomina m. in. „Pierwsza dotyczyła szefa fizjologii wspomnianego przez starsze roczniki, prof. Edwarda Czarneckiego [1892-1970], który miał ksywę 'Eda Marynarz' (nie wiem dlaczego). Był znany z tego że miał swoje własne określenia przedstawiane na wykładach, i jeśli student na egzaminie tego określenia nie znał, wylatywał za drzwi z oblanym egzaminem. Na przykład na pytanie 'gdzie znajduje się mózg?', trzeba było odpowiedzieć 'w szkatule kostnej'. Odpowiedź 'w czaszce' – egzamin obłany (...). Niektórzy profesorowie byli nie tylko surowi, ale byli też wybitnie sadystyczni w czasie egzaminów. Profesor Stefan Różycki [1886-1953], poprzednik prof. Józefa Kołaczkowskiego [1910-1980], celował w specyficznych egzaminach. Od drzwi do jego biurka było kilka metrów. Kiedy biedny delikwent wchodził do niego na egzamin, musiał złapać kość którą rzucał do niego profesor. Zanim doszedł do biurka musiał dokładnie tę kość rozpoznać i opisać po łacinie. I to był dopiero wstęp. Osobiście poznaliśmy, co było mało przyjemne, profesora Czesława Gerwela, od biologii. Na egzamin do niego chodziło się czwórkami, a o możliwościach sadystycznych profesora oraz dziwactwach chodziły legendy. W tym czasie (1966 rok) zaczęły się pojawiać z zachodu ekstremalnie drogie koszule 'non-iron', czyli bez prasowania. Miały wygląd taki śnieżno-biały i nieco 'nylonowaty'. Profesor na widok takiej koszuli 'z Zachodu' dostawał podobno szału i delikwenta wyrzucał za drzwi. Palił papierosy i w czasie egzaminu przechadzał się z nie zapalonym papierosem. Jak niosła wieść, oczekiwał, że jakiś student poderwie się z gazową zapalniczką i zapali mu tego papierosa. Było to jednak ryzykowne, bo nie wiadomo było czy o to mu chodzi. Jeśli mu coś nie podobało, po 5 minutach wylatywała z 'kablem' cała czwórka. Tak było w przypadku czwórki przede mną, kiedy właśnie jakiś kolega usiłował profesorowi nachalnie zapalić papierosa, bez jego woli. Nade mną Matka Boska czuwała, każdy dostał po jednym pytaniu i cała czwórka zdała (...). Wybitnie stresowe dla mnie były ćwiczenia na fizjologii, z żabami. Ćwiczyliśmy dwójkami odruchy na dekapitowanych żabach. Trzeba było wyjąć żabę z pojemnika i dekapitować. To znaczy uderzyć jej głową o brzeg umywalki, a następnie nożyczkami odciąć jej górną połowę głowy (z mózgiem i oczyma). Gdyby na szali było wyrzucenie z studiów, nie byłam w stanie tego zrobić. Ale koleżanki nie miały z tym najmniejszych oporów. Im drobniejsza i delikatniejsza - tym mniejsze miała opory. Więc całą 'czarną' robotę z żabą wykonywała moja partnerka. Potem rozpinało się żabę na korkowej tacce przy pomocy szpilek, i wykonywało odpowiednie ćwiczenia. Z tym nie miałam kłopotów. Ale śnił mi się po nocach końcowy egzamin praktyczny. Wówczas cały proces dekapitacji żaby i ćwiczenie trzeba było wykonać osobiście. Był jeden wyjątek. Jeśli ktoś był zwolniony z egzaminu praktycznego. Dotyczyło to tych co zdali super wszystkie kolokwia. Niczego nie uczyłam się tak zajadle, jak wówczas

fizjologii. Żeby być zwolnionym z egzaminu praktycznego 'z żabą' Na szczęście się udało". **Majka Jankowska** wspomina m. in.: „Jednego razu przed południem mieliśmy zajęcia z wojska na poligonie w Biedrusku. Mjr Andrejczuk zrobił nam zajęcia z musztry. Tego dnia na poligonie było błoto po deszczach. Kazał nam się czołgać. Wracaliśmy w brudnych płaszczach do Poznania, do Collegium Anatomicum. Po południu na anatomii mieliśmy kolokwium. Poprosiliśmy asystenta o przełożenie na inny dzień. Nie zgodził się i grupa dostała minus. Poszliśmy na skargę do prof. Józefa Kończakowskiego, ale nic nie uzyskaliśmy. Za to asystenci postanowili, że jeżeli chcemy wojny, to będziemy ją mieli. Oświadczyli, że studenci byli, ale może ich nie być, a oni są i będą. Musieliśmy skapitulować. Zrobili nam kolokwium". Majka dość szczegółowo opisując traumatyczne doświadczenie kary za niezawinioną przyczynę wspomina: „Z wojska pamiętam jak trzy dni siedziałam w areszcie. Było to na I-ym roku.(...). Areszt znajdował się w pomieszczeniach magazynowych wojska w podziemiach Collegium Anatomicum przy prosektorium. Musiałyśmy czyścić broń i ją składać. Do jedzenia dostałyśmy suchary i czarną kawę. Około godziny 22-ej magazynier przychodził i wypuszczał nas do domu. W ostatni dzień o nas zapomniał. Siedziałyśmy tam trochę wystraszone, bo obok w klatkach były psy do doświadczeń i w wannach w formalinie zwłoki ludzkie. Magazynier przypomniał sobie o nas późno w nocy i przyszedł nas wypuścić". Majka pisze dalej: „Po trzecim roku miałam praktykę w szpitalu w Dąbrowie Górniczej. Trafił się wypadek w kopalni, gdzie zostali zasypani górnicy. Cała służba zdrowia została zmobilizowana do akcji ratowania ludzi. Postawiono mnie na izbie przyjęć i kazano zbierać wywiady od przywożonych górników. Nikt się mnie nie pytał, czy to umiem. To była dobra szkoła, kiedy musiałam sama działać. Innego dnia musiałam wyjechać karetką do kopalni, aby tam na miejscu udzielać pierwszej pomocy. Dla mnie wtedy to był horror, ale i praktyka". **Maria Nowakowska (Mariolka)** opowiada o doświadczeniach na wojsku: „coś wykładał niejaki Z. - okropny facet - dawał kilka dwój i by potem u niego poprawiać, on nas obłapywał. My miałyśmy sposób: chodziło się wkoło biurka a te na korytarzu podglądały przez dziurkę od klucza i gdy ta w środku zniknęła z pola widzenia to się wpadało ze skargą u szefa. Było trochę hałasu ale się uspokoił".

Co było możliwe za PRL-u? wspomina Maria Nowakowska (Mariolka): „Otóż dyrektor szpitala w rozmowie o podjęciu pracy powiedział mi, że mieszkanie na mnie czeka. Mimo protestów taty i jego nalegań bym sprawdziła – byłam pewna że jeśli DYREKTOR powiedział 'że jest' – to jadę na gotowe. Kupiłam meble w Poznaniu, meble załadowano na wynajęte auto, ja z dzieckiem wsiadłam do szoferki i jazda do Kępna (mąż już był w szpitalu od kilku miesięcy). Przyjeżdżam pod szpital, zgłaszam się do dyrektora po klucze a on w szoku. Mieszkanie czekać będzie ale ...kiedy?? Dziś rozumiem szok jaki przeżył widząc taką naiwniaczkę. Cóż było robić. Meble zawiozłam do teściów którzy mieszkali pod Kępnem – rozładowano je pod domem i ekipa transportowa odjechała w siną dal. Dostałam wolne od dyrektora na czas szukania dla mnie mieszkania. Ostatecznie znaleziono je po zmarłej kobiecie, w jej rodzinnym domu przejętym jak to kiedyś było przez miasto. Mieszkanie było jeszcze pełne jej rzeczy. Szpitalni pracownicy posprząтали, wymalowali i po 2 tygodniach mogłam się wprowadzić. Byłam 'blokową babą' czyli kaloryfery, gaz a tu..... Moja radość nie trwała długo bo ...jak gotować na kuchence węglowej?????????. Jak się wymyć i wykąpać gdy piec w łazience ma kocioł nad paleniskiem a ja nie mam węgla i w ogóle nie wiem jak się do tego zabrać. Czyli szkoła przetrwania. Jak zawsze miałam szczęście do ludzi".

„Klucze” do dobrostanu psychicznego podczas naszych studiów

Wsparcie rodziny i dobry związek

Krystyna Graduszevska – Czerebiej we wspomnieniach napisała m.in. : „Stanowiliśmy bardzo zżyłą rodzinę, więc początkowo było mi dosyć trudno z dala od domu”. **Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)**

opowiada m.in. : „W pierwszym dniu egzaminów wstępnych, przyjechał mój tata, nauczyciel. Jego obecność, w tym momencie, miała dla mnie ogromną wartość. ‘W osobie cioci i Hani [Paluszkiewicz], miałam namiastkę rodziny, za którą bardzo tęskniłam (...). Z czasem okrzeplam i czerpałam radość z samodzielności”

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz przetrwała traumatyczny I rok studiów dzięki odwiedzinom w domach poznaniaków. Mieszkając na odległym osiedlu Warszawska na niewykończonym surowym poddaszu domku obcych ludzi, często wpadała na ul. Ułańską, gdzie nieodmiennie z radością witały ją uroczne żywiołowe Lisiaki- synowie kuzynki Jadzi i Józia Lisów a potem „grzała się” w ciepłe ich domu. A też dzięki przyjaźni z Moniką Brzezicką bywała w Jej mieszkaniu mogła się przytulać do Jej bardzo empatycznej Mamy. Ponadto będąc córką kolejarza, miała tanie bilety kolejowe i na pierwszym roku studiów co tydzień wyjeżdżała do rodzinnego domu w Gorzowie Wlkp. A dla przypomnienia nie były to obecne weekendy, pracowało się w soboty (wolne soboty – początkowo pojedyncze w roku w Polsce wprowadzano od 1973 r.). Studentki i studenci Akademii Medycznej w każdą sobotę mieli zajęcia z wojska po których dopiero można było podążyć na dworzec by po 4 godzinach z przesiadką w Krzyżu przywitać się ze swoim miastem ale wracać już w niedzielę....Jedyną korzyścią z tej przymusowej rozłąki z rodzicami i miastem było szybsze dojrzewanie, zdobywanie samodzielności a potem większa łatwość adaptacji do innych miejsc zamieszkania....

Joanna Bukalska (z d. Musiał) tak wspominając swój pierwszy rok studiów co aktualnie, z perspektywicznego oglądu kolegów razem kiedyś studiujących może wydawać się beztróską. Być może tamtych czasie jednak Joanna to mocno przeżywała, ale będąc mieszkanką Poznania, mogła na co dzień rozmawiać z rodzicami (o czym też pisze) a ponadto kluczem do pogodnego nastroju i poczucia dobrostanu był dobry, szczęśliwy związek z chłopakiem, który był z nią od początku studiów. Joanna pisze: „Natomiast histologii uczyłam się i uczyłam, a termin egzaminu ciągle przekładałam prawie w nieskończoność. Ale nauka w Strzeszynie połączona z opalaniem, kąpielami i pogaduchami z Jasiem oraz jazdy skuterem – czerwoną Lambrettą – nie były sprzyjającymi okolicznościami - jeżeli chodzi o naukę, oczywiście. No ale na początku lipca zdałam. We wrześniu miałam poprawkę z biologii, ale też mi poszło nieźle (...). Między egzaminem ze stomatologii zachowawczej a chirurgią stomatologiczną wzięłam ślub cywilny z Jankiem Bukalskim. Całe studia chodziliśmy ze sobą”.

Nasz entuzjazm i poczucie szczęścia z dostania się na uczelnię

Dokonanie wyboru uczelni medycznej, uważanej za najtrudniejszą już samo w sobie było wyzwaniem. Z zasady więc tę decyzję podejmowali najsilniejsi..... Temat przewija się w wielu opowieściach. Ale chyba najbardziej poetycko opisała to **Joanna Paździora (z d. Piotrowiak)**: „Ciepłe powietrze unosiło zapachy wczesnej jesieni. Świat, w moich oczach, był jasny i barwny, pulsował szczęściem. A ja pędziłam, przed siebie, ulicami Poznania, by jak najszybciej doświadczyć tego, o czym marzyłam od najmłodszych lat. Miałam właśnie rozpocząć studia medyczne. Był to dzień 1 października 1965 roku”.

Zajęcia dodatkowe

Magda Zabel wspomina m.in.: „zajęcia z tańca turniejowego prowadzone w Zamku co stanowiło miłą ‘odskocznik’ od trudnych o obciążających psychicznie zajęć na studiach”.

O zajęciach sportowych podaje się w rozdziale Styl życia – aktywność fizyczna....

Zamieszczono tu też odrębny rozdział o Chórze Akademii Medycznej

Blisko kultury- teatry, Opera, Filharmonia a nawet kawiarnie i kluby studenckie...

Temat omówiono szeroko w poprzednim rozdziale

Rajdy, Juwenalia

Opowieści wielu Koleżanek i Kolegów opisują tę młodzieńczą radość. A tak m.in. bar w nie opisuje to **Krystyna Graduszevska – Czerebiej** pisze: „Na dalszych latach studiów było już łatwiej. Był więc czas na teatr, kino, życie towarzyskie. Uczestniczyłam w studenckich rajdach turystycznych o pięknych nazwach jak: ‘Przylatujące ptaki’, ‘Odlatujące ptaki’, ‘Parasolowe’ i innych. Mile wspominam coroczne juwenalia. Przebrani w różne przedziwne stroje wędrowaliśmy ulicami Poznania. Przechodnie życzliwie uśmiechali się do nas, a niektórzy wrzucali symboliczną złotówkę na potrzeby biednych żaków. Utkwił mi w pamięci pewien fakt: obcokrajowiec na Starym Rynku otworzył bagażnik samochodu wypełniony po brzegi kartonami ze słodyczami i częstował uczestników juwenaliów garściami smakołyków. Cieszyłam się także wtedy, gdy koleżankę z mojej grupy, Ewę Lutkowską, wybrano ‘Najmilszą Dziewczyną’ juwenaliów”.

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz tak opisuje swój udział Juwenaliach: „postanowiliśmy z Bajką [przyjaciółka z gorzowskiego podwórka, studiująca biologię na UAM, razem mieszkaliśmy na II roku studiów) wziąć udział w Juwenaliach. Kusiło nas, by obejrzeć rozbawione, pełne studentów miasto. Niezawodna ciocia Bajeczki wydobyła z szafy jakieś ciuchy i pomogła w przebieraniu. Zostało to utrwalone na zdjęciach, które przechowuję w wielkim pudle. Ja byłam wysoka, Bajka niższa. Przebrałyśmy się - ja za damę ze spalonego teatru w wielkim kapeluszu, a Bajka za jej partnera w meloniku. Jedyną wadą stroju Bajki, czego nie przewidziałyśmy, było to, że zmieniłyśmy jej płeć. Gdy na rozbawionych ulicach chłopaki porywały nas do tańca, omijały Bajkę, niby mężczyznę, szerokim łukiem. Ale gdy to zauważyłam, szybko zlikwidowałyśmy jej przylepiony wąsik i męski kapelusz. I od tej pory Bajka ze swoją bardzo kobiecą urodą rozpromieniona i radosna miała powodzenie i zabawa trwała oj miłe ulotne chwile ...”.

Doświadczenie zwykłej ludzkiej życzliwości

Wzajemne odruchy serca Koleżanek czy Kolegów już w czasie studiów znaczyły wiele. Zdziwić może teraz, że kilka Osób pisze o podpowiadaniu nie tylko czasie egzaminów już trakcie studiów ale przede wszystkim na egzaminie wstępnym. Przecież i wtedy była ostra konkurencja, kilkunastu kandydatów na jedno miejsce a podpowiadający jakby tego nie brał pod uwagę a główną myślą była pomoc drugiemu...Istotne też było wspieranie nie tylko psychiczne. Chyba najtrudniejsze warunki na studiach miał **Wojciech Kasprzak**, który wcześniej się ożenił i miał maleńkiego synka. Tak po ponad 50 latach wspomina pomoc kolegi: „Podzieliłem się tym problemem w czasie zajęć z Markiem Tuszewskim. Marek był zawsze pierwszy do pomocy i do draki. Namówił kilku kolegów (...).Marek ruszył na klatkę schodową, żeby zmobilizować lokatorów do pomocy przy wniesieniu pieca. (.....). Uratował mnie Marek Tuszewski (....). Marek Tuszewski zgłosił mnie jako ‘grającego na wszystkich instrumentach’ (rzeczywiście byłem po średniej szkole muzycznej, poza fortepianem klezmerzyłem nieźle na akordeonie), a ja - Marka w rewanżu jako konferansjera. Jako ‘artyści’ zostaliśmy wyłączeni z ‘normalnego’ wojska i przydzieleni do kancelarii”. O swoim przeżyciu już z czasu pracy zawodowej opowiada **Krystyna Graduszevska – Czerebiej**: „Zapamiętałam zwłaszcza transport 15-letniego Grzesia z ciężką, złożoną, siniczą wadą serca do Kliniki Kardiochirurgii w Zabrze. Była późna jesień, padał śnieg z deszczem, który w godzinach wieczornych przeszedł w prawdziwą zamięć. Wycieraczki karetki nie nadążały oczyszczać szyb, trudno było rozwinąć większą prędkość, a ponadto trzeba było co jakiś czas zatrzymywać się aby podać chłopcu sinemu jak śliwka, dożylnie leki. Wszyscy skrajnie wyczerpani dotarliśmy do Zabrze ok. godz. 21. Tam natychmiast podbiegł do karetki personel kliniki i zajął się pacjentem. Mnie poproszono do gabinetu lekarskiego, aby przedstawić historię choroby Grzesia. Po chwili do gabinetu wszedł lekarz w ubiorze operacyjnym, który właśnie skończył trudną wielogodziną operację. Tym lekarzem był profesor Zbigniew Religa. Ze skupieniem słuchał mojej relacji- podsumowując ‘zobaczymy, w jaki sposób można będzie pomóc chłopcu’. Potem poprosił pielęgniarkę aby zaparzyła mi gorącą herbatę, bo „przecież czeka panią doktor długa droga do

domu". Niby drobiazg, ale byłam zaskoczona i wzruszona troską i tym że tak wspomniały, znany w całej Polsce (i nie tylko w Polsce) lekarz potrafił zniżyć się i dostrzec wysiłek młodej lekarki"

Muzyka

Jerzy Zgrajek, przed 8 laty, tj. przed odejściem „na wieczny dyżur”: zdążył przekazać nam swoją opowieść „Od III roku studiów zaangażowałem się w działalność Klubu ‘Aspirynka’. Mogłem dać upust moim zainteresowaniom muzycznym, a przy okazji trochę sobie dorobić grosza. Tutaj poznałem aktywność studencką z innych uczelni i doświadczyłem tego, jaką siłę ma przekaz muzyczny”. Leszek Milanowski wspomina : Jerzy Zgrajek „był bardzo ciepłym, życzliwym człowiekiem, życzliwym wszystkim wokół siebie. Był niezwykle fanem współczesnej muzyki rozrywkowej, klasycznej, rockowej, miał niesamowicie bogatą płytotekę. W czasie naszych wspólnych studiów (1965-1971), na zajęciach wojskowych sporządzał własne listy wówczas aktualnych przebojów na które głosowali wszyscy studenci...”. **Wojciech Kasprzak** opowiada (tu powtarzamy fragment cytowany powyżej choć innym kontekście): „Oficerowie zamierzali mnie ‘nauczyć wojska’ na obozie w Kłodzku. Uratował mnie Marek Tuszewski, podobnie jak ja zagrożony, oraz fakt że dowództwem obozu były osoby z AM we Wrocławiu. Oficer polityczny płk Bechter z Wrocławia poszukiwał utalentowanych do organizacji występów artystycznych w dniu przysięgi. Marek Tuszewski zgłosił mnie jako „grającego na wszystkich instrumentach” (rzeczywiście po średniej szkole muzycznej, poza fortepianem klezmerzyłem nieźle na akordeonie), a ja - Marka w rewanżu jako konferansjera. Jako ‘artyści’ zostaliśmy wyłączeni z ‘normalnego’ wojska i przydzieleni do kancelarii. Program jaki był, taki był, ale został nawet włączony do przedstawienia na zewnątrz, jako prezent: ‘wojsko dla ludności Kłodzka’. Ale co najważniejsze. Oficerowie z Wrocławia poprosili mnie kilkakrotnie żebym grał na akordeonie w czasie ich koedukacyjnych wieczorów oficerskich. Tak się zaprzyjaźniliśmy, że zdałem u nich przed terminem wszystkie egzaminy wojskowe. Załatwiłem też sobie wcześniejsze zwolnienie z obozu, zaraz po zdaniu egzaminów, bo czekała na mnie 3 turnusy kolonii letnich, na które jechałem już jako p.o. lekarz”.

Podróże nawet w marzeniach

Obecnie śp. Danuta Pupek – Musialik, przed opuszczeniem naszego świata, zdążyła opowiedzieć o mężu – **Ryszardzie Musialiku**, pisząc m.in. tak: „Świętej pamięci Rysiek uwielbiał podróże, a gdy nie mógł zrealizować swoich planów namiętnie studiował mapy, wskazując drogę do planowanego celu”. **Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz** w tej opowieści o Ryśku odnajduje siebie. Zawsze uwielbiała podróże, dalekie wyprawy, ale przyznaje, że równą a może nawet większą przyjemność sprawiało ich planowanie. A teraz gdy z racji konieczności sprawowania opieki nad bardzo bliską Osobą doznaje podobnego uczucia śledząc wyprawy Koleżanek czy Kolegów z których zdają relacje np. na Fb, Messengerze czy WhatsAppie. To nie jest to samo co np. oglądanie w internecie filmików z podróży nieznajomych osób – to poprzez bliskość z daną osobą jakby fizyczne uczestniczenie....

Zachowane dawne obiekty Poznania, pamiętające też czasy naszych studiów mają wpływ na nasz aktualny dobrostan

Wspomniany już Kociak jak i liczne ocalałe z pożogi wojennej, odbudowane czy pozostawione dawne, projektowane z myślą o potrzebach człowieka, teraz tchnące wielką historią obiekty w mieście to niezbędny dla higieny psychicznej element trwałości ale też użyteczności i piękna, co zauważał już rzymski architekt żyjący w I w. p.n.e. Marcus Vitruvius Pollio słynny Witruwiusz, to jest „kotwica” potrzebna każdemu... Doceniamy to do tej pory, znajdując te same ukochane kiedyś miejsca w Poznaniu ale też w innych miastach czujemy się bezpieczni, spokojni a nawet radosni....

Higiena psychiczna w krajobrazach miejskich. Poszukiwanie triady Witruwiusza: użyteczności, trwałości i piękna (red. J.T. Marcinkowski, Z. Konopielko), Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, 2022.

Nasze studenckie życie było nieodłącznie związane z „Collegium Maius w Poznaniu – gmach wzniesiony na działce przy ulicy Fredry (dawniej *Paulikirchstraße*), pomiędzy ulicami Al. Niepodległości (dawniej *Königsring*) i Tadeusza Kościuszki (dawniej *Ober Wall*), w latach 1908–1910 w stylu neobarokowym z elementami stylu neoklasycznego, jako część Dzielnicy Cesarskiej^{[2][3]}. Budynek wzniesiono na potrzeby Komisji Kolonizacyjnej, powołanej przez Sejm Pruski z inicjatywy Ottona von Bismarcka w 1886 w celu wykupu ziemi z rąk polskich i przekazaniu jej niemieckim osadnikom^[3]. Po wybuchu powstania wielkopolskiego przeniosła tu swoją siedzibę Naczelna Rada Ludowa, a później Urząd Osadniczy likwidujący kolonie utworzone przez Komisję Kolonizacyjną. Następnie budynek jako Collegium Medicum przejął Uniwersytet Poznański. 13 maja 1926 odbył się tutaj bardzo liczny wiec studencki przeciwko Józefowi Piłsudskiemu, zakończony pochodem na Plac Wolności. Powzięto decyzję o zawiązaniu Akademickiego Komitetu Obrony. Działania te zakończyły się fiaskiem i nie obroniły Poznania przed rządami sanacji^[4].





Zdjęcia autorstwa A. Savin , CC BY-SA 3.0, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=30326062>

W okresie okupacji hitlerowskiej w budynku mieściło się prezydium policji. Podczas wyzwania miasta Poznania w styczniu i lutym 1945 o sam obiekt oraz w jego pobliżu toczyły się dość intensywne walki – ślady odłamków do dziś widoczne są wewnątrz budynku. 2 marca 1940 harcerze Szarych Szeregów Zygmunt Ciesielski i Bernard Intek, współpracując z Adamem Plucińskim, wywiesili na kopule polską flagę^[4].

Po reformie szkolnictwa wyższego z 1950, która utworzyła akademie medyczne, większość budynku zajmowała Akademia Medyczna w Poznaniu (dzisiejszy Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu), w tym jej władze, których siedziba znajduje się tu do dziś. Właścicielem collegium pozostawał jednak nadal Uniwersytet Poznański (dziś Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Od 2008 mieści się tu Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Po przeprowadzce wydziału na tyłach budynku powstała nowoczesna biblioteka dla studentów filologii klasycznej, słowiańskiej i polskiej. Jej uroczyste otwarcie nastąpiło 25 września 2009 roku^[5].

Architektura i wystrój. Na osi głównej znajduje się półokrągły ryzalit przykryty kopułą, która obecnie nieznacznie różni się od swojego stanu pierwotnego m.in. jest niższa, bardziej przysadzista i posiada inne otwory okienne. Niegdyś elewację zdobiło 6 rzeźb ulokowanych na tamburze (miedzianej wówczas) kopuły: cystersa, Krzyżaka, mieszczańskiego Salzburchyka i Holendra oraz chłopów z Westfalii i Szwabii – „apostołów niosących niemiecką cywilizację na wschód” (usunięte dopiero w 1945). Godny uwagi jest hall główny o przeszklonym dachu, wyłożony różnobarwnym marmurem z obiegającą go wokół galerią. Wewnątrz hallu znajduje się popiersie Karola Marcinkowskiego.

Na fasadzie znajduje się tablica upamiętniająca brawurową akcję poznańskich harcerzy, którzy w 1940 na kopule będącego wówczas siedzibą policji budynku wywiesili polską flagę”.

https://pl.wikipedia.org/wiki/Collegium_Maius_w_Poznaniu

Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz 8 lipca 2018 r. opisała w blogu <http://zofiakonopielko.pl/?p=3775> swoje pierwsze spotkanie z Collegium Maius, kiedy ona, dziewczyna z niewielkiego miasta stanęła w zachwycie oglądając przepiękne krużganki....

Wprawdzie zajęć w **Collegium Minus w Poznaniu** nie mieliśmy, ale ten obiekt nieustannie mijaliśmy podążając na zajęcia z Anatomicum do Collegium Maius a też do zachycającej Filharmonii. „Budynek Collegium Minus w Poznaniu wzniesiono według projektu sporządzonego w pruskim Ministerstwie Robót Publicznych przez Eduarda Furstenausa. Prace rozpoczęto w 1907 roku. Uroczystego otwarcia dokonano w 1910 roku. Gmach składa się z dość skromnego budynku szkolnego oraz wyeksponowanej auli. Do dnia dzisiejszego najbardziej reprezentacyjnego wnętrza w mieście. W okresie pruskim pełnił funkcję auli akademickiej oraz sali koncertowej.

Wnętrze Collegium Minus odgrywało ważną rolę w realizacji programu Domu Stowarzyszeń Niemieckich. Wprawdzie do wybudowania odrębnego budynku nie doszło, ale program Domu zrealizowano w trzech różnych budowlach. W akademii znalazły się pomieszczenia Niemieckiego Stowarzyszenia Artystycznego i Naukowego, a także Domu Ewangelickiego i Banku Spółek Raiffeisena. Nawiązująca do stylu północnego renesansu forma gmachu wyróżnia się oryginalną redakcją architektonicznego tematu. Polega to na połączeniu kościelnego schematu bryły oraz wnętrza typowego dla protestanckich zborów emporowych z kształtem ujętej wieżami bryły renesansowego pawilonu zabawowego. Ikonograficzny program pierwotnego wystroju wnętrza auli, z nieistniejącą już alegorią Muzyki w środkowym polu plafonu.

Z budynkiem Collegium Minus sąsiadują inne okazałe gmachy Dzielnicy Cesarskiej. Wśród nich są Zamek Cesarski, Teatr Wielki (poznańska opera), Collegium Iuridicum, Akademia Muzyczna, Kościół Najświętszego Zbawiciela, a także i budynek poczty. Małą architekturę przed Collegium Minus reprezentują pomniki: Ofiar Czerwca 1956 i Adama Mickiewicza. Dawniej znajdował się tam pomnik Otto von Bismarcka oraz Pomnik Wdzięczności”. <https://www.przewodnicy-poznan.com.pl/atrakcje-turystyczne/collegium-minus/>

„**Filharmonia Poznańska**, usytuowana w sercu miasta, powstała z inicjatywy grupy lokalnych entuzjastów sztuki, którzy pragnęli stworzyć przestrzeń dedykowaną kulturze muzycznej. W początkach XX wieku, kiedy Poznań prężnie się rozwijał i zyskiwał na znaczeniu jako ośrodek akademicki i kulturalny, potrzeba budowy nowoczesnej filharmonii stała się oczywista. Projektantami gmachu zostali renomowani architekci, którzy zdecydowali się na styl neoklasycy, łączący elegancję z funkcjonalnością. Wprowadzenie elementów akustycznych, które były nowością w tamtym okresie, miało zapewnić idealne warunki dla przyszłych koncertów i występów.

Budowa filharmonii została sfinansowana dzięki wsparciu lokalnych przedsiębiorców oraz dotacjom rządowym, co świadczyło o ogólnonarodowym znaczeniu projektu. Pierwszy kamień węgielny został położony w 1904 roku, a uroczyste otwarcie obiektu odbyło się kilka lat później, co było wielkim wydarzeniem dla mieszkańców miasta i regionu. Od samego początku filharmonia stała się domem dla wielu znaczących wydarzeń kulturalnych, przyciągając artystów międzynarodowej sławy oraz stając się ważnym punktem na mapie europejskich instytucji kulturalnych”.

<https://filharmonia.poznan.pl/historia-filharmonii.html>

„**Ulica Święty Marcin**. Początki traktu sięgają XII w., kiedy to na jego terenie istniała historyczna osada nosząca nazwę Święty Marcin (stąd pochodzi nazwa ulicy Święty Marcin a nie św. Marcina). Osadę przyłączono do Poznania dopiero w 1797 r. Sama ulica ma stosunkowo krótki rodowód - jej rozkwit datuje się po 1870 r., kiedy to rozpoczęto budowę kilkupiętrowych kamienic. Największe zmiany nastąpiły jednak na początku XX w. Wówczas to Niemcy podjęli decyzję o budowie reprezentacyjnych obiektów państwowych od strony najważniejszego traktu - drogi Berlińskiej (prowadzącej do Berlina i Wrocławia). Powstał wówczas m.in. zamek cesarski, gmach Dyrekcji Poczty

i Ziemstwa Kredytowego. Wielka sylwetka neoromańskiego zamku podporządkowywała wszystkie pozostałe - potężne przecież budowle. Powstałe wówczas obiekty są do dzisiaj jednymi z najważniejszych elementów, charakteryzujących sylwetę Poznania. Na ulicy Święty Marcin znajduje się wiele ważnych dla miasta obiektów, w tym m.in. jeden z najstarszych w Poznaniu kościołów - św. Marcina, Akademia Muzyczna, Collegium Iuridicum, Collegium Minus wraz z Aulą Uniwersytecką, Collegium Historicum, postawiony w 1981 r. pomnik poznańskich Krzyży, oraz działające nieprzerwanie od 1908 r. (pod nazwą Theater Apollo, a potem Collosseum) kino Muza”.

<https://www.poznan.pl/mim/s8a/czy-wiesz-ze,doc,576/-,3287.html>

ZAINTERESOWANIE ZDROWIEM I HIGIENĄ PSYCHICZNĄ

Nasza fascynacja psychologią i psychiatrią

Studując w latach 1965- 1971 mieliśmy szczęście uczyć się nowoczesnej psychiatrii, którą zaproponował na początku XIX w. i wprowadził w życie francuski lekarz, Philippe Pinel (1745- 1826), często uważany za „ojca współczesnej psychiatrii”. Jako pierwszy zaczął traktować chorych psychicznie zgodnie z duchem praw każdego człowieka do życia w wolności i decydowania o własnym losie. Zaczął stosować w ich leczeniu terapię zajęciową. Stwierdził także, że ruch powoduje u chorych poprawną aktywność i polepsza ich funkcjonowanie, co zaowocowało powstaniem *rehabilitacji psychologicznej*. Jego praca utorowała drogę współczesnej psychoterapii..

https://pl.wikipedia.org/wiki/Philippe_Pinel. Wielu z nas poza medycyną, już czasie studiów nie tylko interesowało się psychologią ale też ją równolegle studiowało. Przykładem **Leszek Milanowski**, który tak napisał we wspomnieniach: „(...) trochę później prawie 2 lata psychologii – bo Andrzej Hyży i Kajtek Petrykowski też tam poszli. Poszedłem za Nimi. Nie chciałem być gorszy. Zresztą psychologia się przydała. Moją pracą na zaliczenie roku była dysertacja o osobowości. Wybrałem temat ‘Osobowość Niemowlęcia’. Do dziś jestem przekonany, że niemowlę trzeba traktować jak dorosłego z szacunkiem, rozumieć i spełniać jego potrzeby. Teraz nad tym problemem głowi się Pani Profesor Monika Brzezińska w Poznaniu (posłuchajcie Jej wykładów na SWPS !). Ale ja byłem prekursorem tej dyscypliny ponad pół wieku temu ☺ ! Zresztą chyba dzięki temu jedna z moich Córek poszła i skończyła psychologię. Wejdźcie na stronę ‘Cayman Isles Crisis Centre’”. Psychiatrią tak bardzo zafascynował się nasz kolega – **Jacek Wciórka**, że wybrał tę specjalizację, w krótkim czasie po poznańskich studiach został zatrudniony w wiodącym wówczas Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, został profesorem i był wieloletnim kierownikiem I Kliniki tejże placówki. **Aniela Groszkowska**, którą już tu cytowaliśmy kilkakrotnie też silnie pozytywnie przeżyła zajęcia z psychiatrii pisząc w rozdziale pt. Opowieści Koleżanek i Kolegów: „Na ostatnim roku na wykładach z psychiatrii profesor [Stanisław Dąbrowski (1922-2012)] udowadniał nam, jak trudno jest rozpoznać chorobę psychiczną. Tego dnia prowadził wykład ktoś inny niż profesor i całą godzinę opowiadał nam o splocie słonecznym. Słuchaliśmy zafascynowani. Na zakończenie wykładu profesor oznajmił, że wykladał chory człowiek - schizofrenik. Było to dowodem, że choroby psychiczne można leczyć i że wśród tych chorych są ludzie bardzo zdolni. Miało to zmienić negatywne społeczne nastawienie i częstą stygmatyzację osób z zaburzeniami zdrowia psychicznego...”. **Zofia Konopielko (z d. Łukaszewicz)** wspomina, że będąc na I roku AM Poznaniu, kilkakrotnie była na wykładach z psychiatrii, gdzie ją i Monikę Brzezicką „przemyciła” ówczesna studentka V roku- Barbara. Jednakże ostatecznie wybrała pediatrię, ale jeszcze pracując w przychodni rejonowej i „hodując” wówczas dwoje dzieci urodzonych na studiach a potem już całą czwórkę , z wielkim zapałem i nieomal zapartym tchem czytała książki słynnego psychiatry prof. Antoniego Kępińskiego, które dopiero się ukazały...I teraz tak opisuje „spotkanie” z prof. Antonim Kępińskim: Gdy już podjęliśmy pracę zawodową ale byliśmy bardzo młodzi i niedoświadczeni ukazały się książki które miały wpływ na wielu z nas gdyż pomagały

zrozumieć pacjenta a nawet czasem i siebie. Były to dzieła wydane już po śmierci wielkiego polskiego psychiatry Antoniego Kępińskiego (1918 - 1972) jak m.in. Psychopatologia nerwic (1972), Rytm życia (1972), Schizofrenia (1972), Melancholia (1974,) Psychopatie (1977), Lęk (1977), które czytało się z zapartym tchem, jak najlepszą beletrystykę. Dalej cytuje się obszerny fragment informacji o prof. Kępińskim zaczerpnięty z portalu culture.pl: „Dożył wydania tylko jednej swojej książki – Psychopatologii nerwic, reszta ukazała się po jego śmierci. Mimo ogromnego bólu, pisał do samego końca, realizując marzenie o wydaniu podręcznika, które kilkanaście lat wcześniej spełzło na niczym z uwagi na zbyt eseistyczny, literacki styl Kępińskiego. Po jego odejściu miało okazać się, że to właśnie dzięki niemu zyskał szerokie rzesze czytelników – dokładnie tak, jak chciał, jego książki trafiły daleko poza wąskie kręgi profesjonalistów (...). W ‘Rytmie życia’ pisał: Oddziaływanie psychiczne wymaga szczerości; jeśli mamy komuś naprawdę pomóc, musimy tego rzeczywiście chcieć. [...] [Wszystkie słowa, gesty, wyraz twarzy stają się fałszywe; chorego trudno tu oszukać, wyczuwa on fałszywą maskę lekarza. W eseju ‘O psychoterapii krytycznie’ rozwijał ten wątek: Nim jednak lekarz-czarownik czy współczesny lekarz-fachowiec przystąpi do manualnej aktywności, działa on na chorego mniej lub bardziej świadomie przez samą swą obecność, swój spokój, pewność siebie, życzliwość; itd. Dalej w tekście zaznacza, że ‘lekarz-praktyk podchodzi do chorego jako do cierpiącego człowieka – jednostki niepowtarzalnej i nie dającej się całkowicie poznać i określić’. Choć dziś te słowa – miejmy nadzieję – zdają się oczywistością, holistyczne spojrzenie na człowieka było w czasach, gdy Kępiński pisał, ale przede wszystkim praktykował, naprawdę rewolucyjne (...). W 1950 roku podjął pracę w nowej siedzibie Kliniki Psychiatrii przy ul. Kopernika 21a – miejscu, w którym spędzi całą resztę swojego życia, nie tylko zawodowego. Równolegle prowadził też prywatną praktykę i uczył studentów. Choć był zainteresowany najnowszymi publikacjami, pisał i zdobywał kolejne stopnie naukowe, Kępiński spełniał się przede wszystkim jako praktykujący lekarz, na zawsze odmieniając oblicze szpitala, w którym pracował. Jak podaje Krystyna Rożnowska w biografii ‘Gra z czasem’, unikał roli biegłego sądowego i pisania opinii psychiatryczno-sądowych, mimo że miał stosowne uprawnienia. W 1960 roku otrzymał stopień naukowy docenta. Jak wspominali zarówno pacjenci i pacjentki, jak i współpracownicy i współpracownice, całkowicie poświęcał się pracy. Chętnie wprowadzał zmiany w funkcjonowaniu oddziału i szukał nowych rozwiązań. W grudniu 1948 roku Kępiński przeprowadził na sobie samym niezwykle eksperyment – kilkakrotnie zażył LSD, chcąc sprawdzić, czy ten świeżo zsyntetyzowany związek chemiczny okaże się przełomem w psychiatrii. Pod wpływem substancji notował na bieżąco swoje odczucia (w tych fazach eksperymentu, w których był w stanie to robić). Dziś prawdopodobnie zostałyby one nazwane ‘bad tripem’. By ustalić, czy substancja okaże się użyteczna w leczeniu psychiatrycznym, Kępiński podał ją również dwóm pacjentom. Dietyloamid kwasu D-lizergowego rozczarował jednak polskiego psychiatrę, który uznał, że związek pozbawiony jest potencjału leczniczego. Na kierowanym przez siebie oddziale Kępiński organizował zebrania, w których oprócz personelu uczestniczyli też pacjenci i pacjentki – omawiano wówczas wspólnie sprawy całej szpitalnej społeczności. Zaprosił Piotra Skrzyneckiego i Zygmunta Koniecznego z Piwnicy pod Baranami, by dawali występy kabaretowe w szpitalu, licząc również na to, że osoby chorujące pobudzone zostaną do własnej ekspresji twórczej. Założył Klub Pacjentów – rodzaj działającej w godzinach popołudniowych świetlicy, w której występowała nawet... Ewa Demarczyk. Wdrożył na Kopernika psychoterapie grupowe w 1956 roku. Dla osób, których stan na to pozwalał, wprowadził system przepustek – chorzy i chore mogli opuścić szpital i wyjść do miasta. Pacjenci mieli też prawo nosić na oddziale zwykłe ubrania. (...). Dożył wydania tylko jednej swojej książki – ‘Psychopatologii nerwic’, reszta ukazała się po jego śmierci. Mimo ogromnego bólu, pisał do samego końca, realizując marzenie o wydaniu podręcznika, które kilkanaście lat wcześniej spełzło na niczym z uwagi na zbyt eseistyczny, literacki styl Kępińskiego. Po jego odejściu miało okazać się, że to właśnie dzięki niemu zyskał szerokie rzesze czytelników – dokładnie tak, jak chciał, jego książki trafiły daleko poza wąskie kręgi profesjonalistów. W 1970 roku zdiagnozowano u Kępińskiego złośliwy

nowotwór szpiku kostnego. Ostatnie dwa lata ciężkiej choroby spędził mieszkając najpierw w gabinecie w Klinice Psychiatrycznej przy Kopernika 21, później – gdy jego stan znacznie się pogorszył – w Klinice Nefrologicznej przy tej samej ulicy. Gdy zdrowie nie pozwalało mu już leczyć (Kępiński stopniowo tracił zdolność poruszania się o własnych siłach), całkowicie poświęcił się pisaniu, wiedząc, że ma przed sobą bardzo niewiele czasu. W maju 1972 roku, na miesiąc i trzy dni przed śmiercią, został powołany na stanowisko profesora nadzwyczajnego Akademii Medycznej. Zmarł 8 czerwca 1972 roku”. Cytowane teksty zaczerpnięto ze strony: <https://culture.pl/pl/tworca/antoni-kepinski>

Ogólne informacje o szpitalach psychiatrycznych w Polsce i narodzinach higieny psychicznej

Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, w okresie 20-lecia międzywojennego tj. w II Rzeczypospolitej (1918-1939) Polska posiadała kilka znakomitych szpitali psychiatrycznych, z których niektóre były bardziej nowoczesne niż niejedne europejskie. Za najlepszy i najbardziej nowoczesny uznawany był: Szpital Psychiatryczny w Kochanówce (Łódź) Pełna nazwa: Państwowy Zakład dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w Kochanówce, otwarty w 1909 r. (jeszcze pod zaborami, w granicach Imperium Rosyjskiego), ale w II RP uważany za jeden z najnowocześniejszych w kraju. Charakteryzowała go nowoczesna architektura pawilonowa, otoczenie z dużą ilością zieleni, dbano o warunki sanitarne. Dobrze wykształcona kadra medyczna, często z doświadczeniem zagranicznym prowadziła nowoczesne, jak na ówczesne czasy metody leczenia psychiatrycznego, m.in. terapię pracą (ergoterapia), leczenie wstrząsowe. Do innych ważnych ośrodków psychiatrycznych w II RP należały: Kobierzyn (pod Krakowem), Tworki (pod Warszawą) - jeden z najstarszych szpitali psychiatrycznych, działający od XIX w. i pomimo nieco przestarzałej infrastruktury w porównaniu z ww, leczenie pod kierunkiem wybitnego polskiego psychiatry prof. Jana Mazurkiewicza było nowoczesne. Kolejnym ośrodkiem działającym od czasów pruskich (od początku XX w.) był nowoczesny, choć niżej niż poprzednio wymienione notowany szpital w Kocborowie (koło Starogardu Gdańskiego).

Funkcjonowanie polskich szpitali psychiatrycznych zostało nagle przerwane, kiedy „Zagłada chorych psychicznie podczas II wojny światowej w okupowanej Polsce zapoczątkowała ludobójcze działania III Rzeszy. Polska stała się dla nazistów poligonem doświadczalnym do wypracowania skutecznych metod zabijania ludzi na skalę przemysłową. Jednymi z pierwszych ofiar okupantów niemieckich były osoby z zaburzeniami psychicznymi. Dokonywane przez siebie zbrodnie hitlerowcy nazywali programem eutanazji (akcja T4), choć w rzeczywistości była to tanazja i stanowiła ideowe, psychiczne i techniczne przygotowanie do programu Holokaustu. Faktycznym celem programu eutanazji było wyniszczenie ludzi określanych jako ‘niezdolnych do współżycia społecznego i wiodących żywot niegodny życia’”.

T. Nasierowski, Zagłada osób chorych psychicznie w okupowanej Polsce. Początek ludobójstwa. Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2008, s.240-270., fragmenty [online:] <https://www.przerwane-milczenie.pl/poczatek-ludobojstwa.html>

Po zakończeniu II wojny światowej działalność szpitali psychiatrycznych była stopniowo wznawiana. Nie było to łatwe, gdyż część obiektów było zniszczonych, brakowało personelu który często też tak jak pacjenci był mordowany przez nazistów, wielu lekarzy wyjechało, brakowało leków, żywności i wyposażenia. Ostatecznie do 1950 r. wszystkie podjęły pracę - dawny Kobierzyn przemianowano na Szpital im. dr Józefa Babińskiego w Krakowie (dawny Kobierzyn) a w 1951 r. powstał Instytut Psychiatrii i Neurologii w Warszawie (IPiN), który wyznaczał standardy diagnostyki i terapii. Pracowali tam najwybitniejsi psychiatry – m.in. prof. Jan Mazurkiewicz (do 1968), i opisany już tu szczegółowiej prof. Antoni Kępiński (częściowo związany z IPiN, ale głównie z Krakowem).

Słynna od II Rzeczypospolitej nasza- znana ze studiów - Dziekanka i budzenie się higieny psychicznej w Polsce

Jednakże podczas naszych studiów w ramach nauczania higieny nie znajdowało się zdrowie psychiczne. Dopiero latach 80. XX organizowano konferencje i tygodnie higieny psychicznej np. 1984 r. odbyła się Lublinie – jednak dotyczyła głównie działań eksperckich a nie programów szkolnych

Od początku odzyskania Niepodległości przez Polskę, za tym trendem podążali też światli lekarze aktywiści. Już w 1923r. prowadzono działalność edukacyjną dla lekarzy i społeczeństwa obejmującą higienę psychiczną poza uczelniami medycznymi m.in. w przychodniach kierowanych przez dr Aleksandra Piotrowskiego i Oskara Bielawskiego którzy pracowali w zakładzie psychiatrycznym- słynnej **Dziekance pod Gnieznem**. Ta placówka poza tym, że wiodąca w tworzeniu higieny psychicznej w Polsce higieny psychicznej jest nam szczególnie bliska, bo tam w czasie studiów na Poznańskiej Akademii Medycznej mieliśmy zajęcia z psychiatrii . Dlatego dalej cytuję się obszernie fragmenty z historii i aktywności tego szpitala zaczerpnięte ze strony Dziekanka.pl:

„Dnia 17 czerwca 1890 roku starosta krajowy (ówczesny Landeshauptman) w Poznaniu nabył 117-hektarowy majątek „Dziekanka” pod Gnieznem za 186700 marek na własność ‘prowincji’ poznańskiej celem pobudowania na tym terenie zakładu psychiatrycznego. Budowę zakładu rozpoczęto w październiku 1891 roku a ukończono na przełomie września i października 1894 roku. Za datę rozpoczęcia działalności ‘Krajowego Zakładu Psychiatrycznego’ w ‘Dziekance’ (taką nazwę miał wówczas nasz szpital) uważa się 20 października 1894 roku, gdyż tego dnia przyjęto pierwszych 25 chorych przywiezionych z Krajowego Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach koło Poznania”.

<https://dziekanka.net/historia/>

„Z dniem I lipca 1919 roku funkcję dyrektora i naczelnego lekarza zakładu objął dr med. i dr phil. Aleksander Piotrowski, który przybył tutaj z Berlina. (...). Poza udoskonalaniem metod leczniczo-rehabilitacyjnych dyr. Piotrowski starał się zmienić stosunek personelu pielęgniarskiego i opiekuńczego do chorych. Dlatego też prowadził systematyczne szkolenie tego personelu zarówno w zakresie podstawowej wiedzy psychopatologicznej jak i podejścia do chorych, sposobów rozładowywania niepokoju i agresji. Szkolenia te prowadził osobiście bądź przez prymariuszy i ordynatorów. Dyrektor Piotrowski stale podkreślał, że nuda i bezczynność chorych na oddziałach jest źródłem niepokoju i wzajemnej agresji. Jego trud i zaangażowanie dawały stopniowo coraz lepsze efekty. W latach 1924-1925 dyr. Piotrowski wizytował szpitale psychiatryczne na terenie Austrii, Węgier, Włoch, Francji i Szwajcarii, jak również Turcji i Tunezji. W swoim obszernym sprawozdaniu, zamieszczonym w ‘Nowinach Psychiatrycznych’ w 1925 roku stwierdził, że chociaż widział szpitale o znacznie bardziej luksusowym wyposażeniu wewnątrz, to pod względem opieki nad chorymi szpital ‘Dziekanka’ należy do przodujących. Działalność naukowo-szkoleniową rozpoczął dyrektor Piotrowski od wprowadzenia codziennych konferencji lekarskich, na których lekarze składali sprawozdania z ważniejszych wydarzeń na oddziałach, omawiali stan cielesny i psychiczny ciężko chorych i zastosowane metody terapeutyczne. Na konferencjach tych rozpatrywano również trudne diagnostycznie przypadki chorobowe oraz orzeczenia sądowo-psychiatryczne. Od 1932 roku

odbywały się regularnie co dwa tygodnie naukowe zebrania lekarzy zakładu, często z udziałem lekarzy z Gniezna. Na zebraniach tych omawiano aktualne sprawy naukowe z zakresu psychiatrii, demonstrowano ciekawe przypadki psychiatryczne i neurologiczne, niejednokrotnie z udziałem gnieźnieńskich prawników. Lekarze, z dyrektorem Piotrowskim na czele, brali aktywny udział w posiedzeniach Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Psychiatrycznego, uczestniczyli w zjazdach naukowych psychiatrów polskich. W 1924 roku dla uczczenia 30-lecia szpitala dyrektor Piotrowski rozpoczął wydawanie miesięcznika 'Nowiny Psychiatryczne' – czasopisma poświęconego sprawom psychiatrycznym, naukowym i praktycznym. Był nie tylko jego założycielem, ale również redaktorem naczelnym. Po śmierci dyrektora Piotrowskiego (grudzień 1933 roku) redakcję 'Nowin Psychiatrycznych' objął dotychczasowy zastępca redaktora naczelnego, dr med. Oskar Bielawski, który wcześniej pracował w 'Dziekance', a od października 1929 roku został powołany na stanowisko dyrektora Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie. W czasopiśmie tym zamieszczano prace oryginalne, streszczenia i oceny prac autorów zagranicznych, sprawozdania z działalności zakładów psychiatrycznych. Lekarze tutejszego szpitala publikowali rocznie kilkadziesiąt prac. Najczęściej jednak autorami prac byli: dyr. Piotrowski i dr Bielawski. Tematami wiodącymi były zagadnienia uściślenia kryteriów diagnostycznych schizofrenii oraz katatonii, którą traktowano jako odrębną jednostkę nozologiczną. Dużą pomocą w działalności naukowej była bogata biblioteka lekarska. Za czasów dyr. Piotrowskiego tutejszy szpital prenumerował, głównie drogą wymiany na 'Nowiny Psychiatryczne' ogółem 52 czasopisma lekarskie, w tym 20 zagranicznych". <https://dziekanka.net/historia/>

Higiena Psychiczna w Polsce na tle innych krajów – kalendarium

Określenie **higiena psychiczna** po raz pierwszy zastosował amerykański lekarz – William Sweetser (1797 – 1875), autor publikacji *Mental Hygiene*, która ukazała się w 1843 r. w Nowym Jorku a rok później w Londynie. Podano tam też pierwszą definicję higieny psychicznej „jako rozwój zdrowych reakcji i nawyków psychicznych i emocjonalnych”. <http://famousamericans.net/williamsweetser/>

Twórcą i pomysłodawcą najpierw lokalnego, a następnie światowego ruchu higieny psychicznej był Clifford Whittingham Beers (1876-1943), amerykański pisarz, absolwent Yale i obiecujący finansista w branży ubezpieczeniowej. Przyczyną zainteresowania problemem były własne tragiczne przeżycia o których można przeczytać m. in. na stronach internetowych: <https://dezintegracja.pl/kulisy-sporu-wokol-panstwowej-wyzszej-szkoly-higieny-psychicznej-baley-kontra-dabrowski-pl/> czy <https://www.britannica.com/biography/Clifford-Whittingham-Beers>. Beers, pracując w stanie Connecticut założył w 1909 r. Towarzystwo: *Connecticut Society for Mental Hygiene* które rozszerzało swoją działalność i dołączali przedstawiciele innych krajów tworząc w 1919 r. Międzynarodowy Komitet ds. Higieny Psychicznej (*International Committee for Mental Hygiene*). W 1930 r., w czasie Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Higieny Psychicznej w Waszyngtonie, już istniały towarzystwa higieny psychicznej w 25 krajach. Poza istotnym postulatem, który dotyczył znaczącej roli środowiska społecznego w procesie leczenia chorych psychicznie równie ważny był temat profilaktyki zdrowia psychicznego, nazwanej właśnie „higieną psychiczną”. Ponieważ do realizacji tych postulatów niezbędny był wyszkolony personel, rozumiejący głęboki sens swojej pracy, więc pomyślano także o powołaniu odpowiedniej szkoły wyższej. Jak widać, od początku istnienia ruchu higieny psychicznej jego założycielom i zwolennikom nie chodziło o realizację spektakularnych „akcji”, lecz o systematyczne i wytrwałe działania polegające na zapewnieniu zdrowia psychicznego ogółowi społeczeństwa.

<https://dezintegracja.pl/kulisy-sporu-wokol-panstwowej-wyzszej-szkoly-higieny-psychicznej-baley-kontra-dabrowski-pl/>

Dla zobrazowania tego ważnego tematu, poniżej cytuję się teksty wykładów profesora Tadeusza Kobierzyckiego: „Początki ruchu higieny psychicznej wiązały się z potrzebą poprawienia sytuacji w zakładach psychiatrycznych i opieki nad umysłowo chorymi.

Pod koniec XIX wieku rozwinęły się idee pomocy chorym psychicznie, którzy byli traktowani podobnie jak więźniowie, tyle, że z udziałem ‘środków medycznych’. Opisuje je wyraźnie i dogłębnie Michel Foucault w swoich licznych pracach historycznych. **Jednocześnie ze szlachetnymi ideami pomocy chorym powstaje ruch badawczy, który chce określić po nowemu zagadnienia kwalifikowane dotąd do zakresu psychiatrii. Stąd pojawia się pojęcie ‘higieny psychicznej’.** Pojawiają się w pierwsze opracowania naukowe [pojawiają się w nich określone terminy] w Niemczech i w USA, a także w Wielkiej Brytanii:

Niemcy

1825 – (Niemcy) – J.C. H. Heinrich, w: Lehrbuch der Seelengesundheitskunde,

1838 – (Niemcy) – dieta psychiczna – w: Ernst von Feuchtersleben, w: Zur Dietetic der Seele , 1
USA

1843 – (USA) – mental hygiene /dr William Sweetser, Mental Hygiene, New York: Langley 1843

1868 – (USA) – mental hygiene /dr Isaac Ray, Mental Hygiene, Boston : Ticknor & Field, 1868

1873 – (USA) – mental hygiene /dr D.A. Gorton, Essay on the Principles of Mental Hygiene, Philadelphia: Lippincott 1873.

Na początku XX w.

1908 – Clifford W. Beers (1876-1943), publikuje: „The mind that found itself” / tłum polskie, dr Jan Jaroszyński, „Umysł, który sam siebie odnalazł” PIHP , Warszawa 1948

1908 – w USA, Connecticut – powstaje – Connecticut Society for Mental Hygiene

1909 – w USA – C.W. Beers zakłada – National Committee for Mental Hygiene / aktualnie Mental Health America.

Rosja

1887 – w Rosji – rodzą się idee neuropsychicznej higieny i profilaktyki – J.A. Sikorski na I Rosyjskim Zjeździe Psychiatrycznym

Polska

1880 – powstaje – ‘Przegląd Pedagogiczny’ / założyciel: Jan Władysław Dawid (1859-1914), pierwsze pismo poświęcone psychologii dziecka i pedagogice w świecie.

1880 -1953 – powstaje i działa szeroki ruch higieny psychicznej związany z ruchem eugenicznym.

W okresie międzywojennym Polskie Towarzystwo Eugeniczne liczyło ok. 10 tys. Członków.

Polska (Zabór Rosyjski) – Królestwo Kongresowe

1898 – powstaje – Warszawskie Towarzystwo Higieniczne (tu działa m. in. – Bolesław Prus)

1899 – powstaje – Warszawskie Towarzystwo Pomocy Lekarskiej i Opieki nad Psychicznymi i Nerwowo Chorymi (dr Karol Rychliński i dr Kornilowicz)

1904 – na 10 mln mieszkańców Królestwa Kongresowego było 1000 miejsc psychiatrycznych

1906 – pojawia się publikacja o opiece psychiatrycznej, w: „Medycyna w samorządzie...”.

1906 – powstaje Towarzystwo Żydowskie (założyciel dr Adam Wizel), podejmujące zagadnienia opieki psychiatrycznej.

1909 – odbywa się – I Zjazd Neurologów, Psychiatrów i Psychologów Polskich w Warszawie /dominują tematy neurologiczne, tylko dr Jekels i dr Jaroszyński mówili o psychoterapii, a dr Mikulski o badaniu psychologicznym/.

1910 – powstaje pierwsze laboratorium psychologii eksperymentalnej – w Warszawie – dr Edward Abramowski

Polska (Zabór Austriacki)

1905 – we Lwowie – dr Kazimierz Twardowski zakłada pierwsze laboratorium psychologiczne

1910 – wychodzi – ‘Neurologia Polska’ (jako pismo poświęcone neurologii, psychiatrii i psychologii)/

1912 – zjazd – II Zjazd Neurologów, Psychiatrów i Psychologów Polskich w Krakowie / dyskusja o psychoanalizie Z. Freuda/

1912 – w Krakowie, prof. Dr Jan Piltz zakłada klinikę neurologiczno-psychiatryczną / tu powstaje

poradnia dla dzieci psychopatycznych, trudnych do prowadzenia i z wadami wymowy/
1913 – powstaje Towarzystwo Neurologiczno-Psychiatryczne w Krakowie (zał. dr Jan Piltz)”.
<https://dezintegracja.pl/historia-ruchu-higieny-psychicznej-w-polsce/>

Dwudziestolecie międzywojenne (1918- 1939), II Rzeczpospolita

„1919 – Dr Józefa Joteyko – odejmuje pracę jako doc. UW na wydziale medycznym
1919 – Dr Józefa Joteyko – pracuje w Państwowym Instytucie Pedagogicznym, a po jego likwidacji pełni funkcje redaktora założonego przez siebie pisma psychologicznego – Polskie Archiwum Psychologii (do śmierci w 1928 roku)
1919 – powstaje zakład psychiatryczny Dziekanka pod Gnieznem, którego dyrektorem do 1933 roku jest dr Aleksander Piotrowski
1919 – powstaje pierwsza Poradnia Wychowawczo-Lecznicza w Warszawie – dr med. Tadeusza Jaroszyńskiego (neurologa, który zajmował się nerwicami lękowymi, histerią i psychoterapią); przez 10 lat był redaktorem „Neurologii Polskiej” – wykładowcą w PIPS i w Wolnej Wszechnicy Polskiej; autor książek – „Metody badań psychologicznych w szkole” i „Higiena wychowawcza”; był pierwszym kierownikiem miejskiej pracowni psychotechnicznej m/st. Warszawy”.
1920 – powstaje Polskie Towarzystwo Psychiatryczne
1920 – I zjazd psychiatryczny – przygotowany przez Ministerstwa Zdrowia , Opieki Społecznej i Ochrony Pracy
1922 – III zjazd psychiatryczny / dr med. Witold Chodźko – Minister Zdrowia, OS i OP powiedział – „polska szkoła psychiatryczna nie istnieje dotąd”.
1922 – powstaje Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej / dr Maria Grzegorzewska, założycielka i dyrektor aż do śmierci w 1967 r./
1922 – ustawa o ograniczeniu sprzedaży i spożycia napojów alkoholowych/ przeróbka ustawy w 1931, która sprowadziła jej znaczenie do zera.
1923 – powstaje – Komitet Lekarski – wspomniani lekarze- działacze z Dziekanki: dr A. Piotrowski, tworzy wspólnie z dr Oskarem Bielawskim przy Komitecie Lekarskim przychodnię, gdzie prowadzono wykłady popularno-psychiatryczne i informacyjne dla szerszej publiczności
1923 – współpraca w zakresie higieny psychicznej z dr Olah, radcą ministerialnym i dyrektorem zakładu psychiatrycznego pod Budapesztem.
1924 – powstaje inicjatywa idea założenia Ligi Higieny i Profilaktyki Psychiczej w Gnieźnie
1924 – powstaje pismo – „Nowiny Psychiatryczne” / dr med. A. Piotrowski/ z czasem pojawia się dodatek pt. „Wiadomości Pielęgniarskie”. Powstają też podręczniki dla lekarzy i studentów
1925 – zostaje utworzona pierwsza szkoła pielęgniarstwa psychiatrycznego/ dr med. A. Piotrowski/.
do 1933 – zakład psychiatryczny – Dziekanka pod Gnieznem / dyrektorem przez 14 lat jest dr med. Aleksander Piotrowski
1934 – próba powołania Ligi Higieny Psychiczej w Łodzi – w Łódzkim Oddziale Polskiego Towarzystwa Psychiatryków
1935 – ankieta – Prof. Borowieckiego i co znamienne, większość lekarzy opowiedziała się za kierunkiem somatycznym, biologicznym w psychiatrii
1935 – 1938 – wydawane jest czasopismo – ‘Higiena Psychiczna’ – artykuł wstępny zamieszcza – redaktor naczelny, psychiatra – dr Oskar Bielawski (z dyplomem zdobytym w Odessie), ówczesny dyrektor szpitala w Kościanie. (...)
1938 – wydano pierwszy Biuletyn Instytutu Higieny Psychiczej – poświęcony Higienie Psychiczej, Psychiatrii Dziecięcej i Pedagogice Leczniczej (ukazuje się cztery razy rocznie)”.

<https://dezintegracja.pl/historia-ruchu-higieny-psychicznej-w-polsce/>

Po II wojnie światowej (po 1945 r.)

„Anglia

1948 – Kongres Higieny Psychiczej w Londynie – ustalono, że przedmiotem higieny psychicznej jest „zdrowie psychiczne”

Polska

faza I ruchu higieny psychicznej: 1933 – 1948

1948 – na III Zjeździe Naukowym Higieny Psychicznej w Zagórzu powołano Polskie Towarzystwo Higieny Psychicznej (PTHP). Wśród znamienitych członków-założycieli PTHP znaleźli się m.in. wspomniany już dyr. Dziekanki: Oskar Bielawski, Tadeusz Bilikiewicz później kierownik Katedry i Kliniki Psychiatrii Akademii Medycznej w Gdańsku, czy Kazimierz Dąbrowski (1902 -1980) – polski lekarz, psychiatra, psycholog kliniczny, filozof oraz pedagog, założyciel Instytutu Higieny Psychicznej, którym kierował w latach 1935–1949”. <https://dezintegracja.pl/historia-ruchu-higieny-psychicznej-w-polsce/>

Biografia Kazimierza Dąbrowskiego jest niezwykle interesująca. Po maturze studiował kolejno medycynę na Uniwersytecie Warszawskim (1924-1926), gdzie miał kontakt z jednym z najwybitniejszych neurologów i psychiatrów Janem Mazurkiewiczem, oraz na Uniwersytecie Poznańskim. Równolegle studiował psychologię, początkowo na Uniwersytecie Poznańskim u Stefana Błachowskiego, Floriana Znanieckiego i Czesława Znamierowskiego (1926-1927), następnie kontynuował studia na Uniwersytecie Genewskim, oraz w *Instytucie J.J. Rousseau* w Genewie pod kierownictwem, Édouarda Claparède'a i jego asystenta, Jeana Piageta. Ostatecznie habilitował się w zakresie psychopatologii dziecka u J. Claparède'a i pracował u niego jako privatdozent), oraz u P. Boveta, F. Naville'a i M. Rocha. Specjalizował się w psychiatrii, psychopatologii, neurologii, neuropsychiatrii. W 1929 r. obronił jeden doktorat z medycyny sądowej na Uniwersytecie w Genewie u François Naville'a. Po powrocie do kraju obronił drugi doktorat z psychologii na Uniwersytecie Poznańskim u Stefana Błachowskiego (1931). Potem podjął studia podyplomowe w zakresie psychologii, psychopatologii dziecka i wychowania moralnego. Pierwsze idee *teorii dezintegracji pozytywnej* przedstawił już w Szwajcarii w pracy doktorskiej pt. "Les conditions psychologiques du suicide" (Genewa, 1929), w której posłużył się pojęciem *dezagregacji psychicznej*, jak też potem w rozprawie „Podstawy psychologiczne samoderżenia/automutylacji” (Warszawa, 1934). Idee te rozwinął w pracach w ramach dziedziny *higieny psychicznej*^[7], w której skład włączył filozofię, psychologię, medycynę, a także teologię i twórczość artystyczną i literacką. (...). W czasie studiów teologicznych na Uniwersytecie Warszawskim (1937-1938), władze wydziału zorientowały się kim jest student i przez to zostały przerwane i Dąbrowski został poproszony o prowadzenie zajęć w zakresie higieny psychicznej. Jeszcze przed 1939 r. był dyrektorem *Instytutu Higieny Psychicznej*, na które środki otrzymał między innymi z Fundacji Rockefellera. (...). Do Warszawy mógł powrócić dopiero po zmianach polityczno-społecznych, jakie zaszły w 1956 r. Powrócił do Zagórza pod Warszawą, do miejsca, w którym spędził okres okupacji, pracując jako lekarz i wykładowca, kształcący kadry w zakresie higieny psychicznej. Kazimierz Dąbrowski był przede wszystkim związany z ideą higieny psychicznej, bazującej na interdyscyplinarnie ujmowanych wynikach badań nauk szczegółowych. Idee te miały się materializować w Państwowym Instytucie Higieny Psychicznej, w Wyższej Szkole Higieny Psychicznej czy w Polskim Towarzystwie Higieny Psychicznej. Instytucje te zlikwidowane w latach 50. XX w. nie odrodziły się, a idee, które były przez nie rozwijane przedstawiane bywają dziś w krajach zachodnich jako nowe.

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_D%C4%85browski_\(psycholog\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_D%C4%85browski_(psycholog))

„Lata 1950-1960 to likwidacja, redukcja i zawieszenie placówek higieny psychicznej w Polsce!!!!.

[to dlatego w czasie naszych studiów na zajęciach z higieny na V roku, (1969) niewiele a raczej wcale nie mówiło się o higienie psychicznej !!!]

Polska, reaktywacja od 1960 r.

„1961 – reaktywacja – Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej,

1961-1966 – przewodniczący ZG PTHP – prof. dr med. Kazimierz Dąbrowski

– powstają czasopisma naukowe: kwartalnik *Zdrowie Psychiczne – Zagadnienia Higieny Psychicznej, Psychiatrii, Psychologii Klinicznej*; – od 1964 r. – dwumiesięcznik „Zagadnienia Wychowawcze w aspekcie Zdrowia Psychicznego”

1962 – powstaje – Zakład Higieny Psychicznej i Psychiatrii Dziecięcej w PAN /kierownik naukowy prof. dr med. Kazimierz Dąbrowski

1977 – powstaje – I Ośrodek Higieny Psychicznej dla Ludzi Zdrowych / Warszawa

1984 – powstanie Centralnego Ośrodka Higieny Psychicznej dla ludzi Zdrowych w Warszawie oraz ośrodków terenowych (Białystok, Lublin

1985-2004 – przewodniczący ZG PTHP – prof. dr hab./kryminologii/ Brunon Hołyst

– likwidacja CO HP dla Ludzi Zdrowych, zmiana statusu lub likwidacja ośrodków terenowych

2004 -2010 – przewodniczący ZG.PTHP – prof. dr hab. Andrzej Bałandynowicz /od 2004 r. PTHP uzyskuje status organizacji

użytku publicznego/
2010— — — — przewodniczący ZG PTHP — mgr Zenon Ukleja .

Opracowanie:

dr Tadeusz Kobierzycki – Studencka Szkoła Higieny Psychiczej – wykłady – Warszawa 1984-1996 [online:] <https://dezintegracja.pl/historia-ruchu-higieny-psychicznej-w-polsce/>

„Światowy Dzień Zdrowia Psychicznego (10 października) to międzynarodowy dzień globalnej edukacji w zakresie zdrowia psychicznego, zwiększania świadomości i wspierania walki ze stygmatyzacją społeczną. Po raz pierwszy obchodzono go w 1992 roku. Z inicjatywy Światowej Federacji Zdrowia Psychicznego (*World Federation for Mental Health*), globalnej organizacji zajmującej się zdrowiem psychicznym. Do roku 1994 obchody nie były poświęcone żadnemu konkretnemu tematowi poza ogólną promocją działań na rzecz zdrowia psychicznego i edukacją społeczeństwa. Aktualnie celem jest podnoszenie świadomości na temat kluczowych kwestii dotyczących ludzkiej psychiki i mobilizowania wysiłków w celu jej ochrony”. <https://tvn24.pl/polska/dzis-swiatowy-dzien-zdrowia-psychicznego-ilu-polakow-korzysta-z-pomocy-st8128497>

XXI w. - pierwsze zainteresowanie zdrowiem psychicznym lekarzy, studentów (przede wszystkim medycyny) – rozwój badań

Temat zdrowia psychicznego lekarzy a coś dopiero studentów medycyny uchodził za drażliwy i był wypierany z dyskursu naukowego. W czasie PRL-u psychiczne skutki pracy lekarzy pojawiały się jedynie w kontekście ogólnego stresu zawodowego, ale systematycznych badań naukowych nie było. Przykładowo w latach 70.XX w. były prowadzone badania przez psychologów pracy (np. przez Instytut Medycyny Pracy w Łodzi) które dotyczyły stresu zawodowego wśród personelu medycznego, ale nie wyróżniały lekarzy jako odrębnej grupy. Po transformacji ustrojowej, w latach 90. XX . notowano początki systematyzacji problemu. Pojawiały się pierwsze badania nad wypaleniem zawodowym lekarzy i pielęgniarek np. prowadził takie badania zespół pod kierunkiem dr hab., Zofii Kawęczyńskiej – Butrym z Uniwersytetu Marii Curie- Skłodowskiej w Lublinie (UMCS).

Od roku 2004 nastąpił rozwój badań nad stresem, wypaleniem zawodowym i depresją wśród lekarzy a też zaczęto analizować kondycję psychiczną lekarzy, rezydentów i studentów medycyny, wprowadzono testy standaryzowane (*GHQ- 28, Maslach - Burnout Inventory*), badano skutki depresji, lęku, samobójstw, nadużywania leków, uzależnień. Przełomowymi publikacjami i projektami były: w latach 2004- 2012 badania stresu i wypalenia zawodowego wśród rezydentów i anestezjologów (m.in. prof. M. Krawczyk, prof. M. Wojnar- UM czy badania z 2016 r. prowadzone przez zespoły Collegium Medicum UJ, CM, UMK, GUMED którymi kierowały m.in. dr hab. M. Bętkowska-Korpała, prof. B. Ślusarska. W tę tematykę wpisuje się też bardzo ważny z uwagi na późniejsze praktyczne zastosowanie wyników doktorat którego promotorem był nasz Kolega Jerzy T. Marcinkowski, który pisze: „i dlatego poprowadziłem jako promotor rozprawę doktorską dr med. Beaty Ziemskiej pt. ‘Stan zdrowia pracowników Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu’, która została obroniona w 2011 roku na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Wnioski z tej pracy wskazywały na to, że największymi problemami zdrowotnymi wśród lekarzy są zaburzenia psychiczne, wynikające głównie z przepracowania – zaledwie 1% lekarzy pracował tylko na jednym etacie! Rektor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, po zapoznaniu się z tą pracą, powołał Poradnię Psychologiczną dla personelu medycznego Uniwersytetu. Potem okazało się, że takie poradnie psychologiczne tworzone także w innych uniwersytetach medycznych”!!!.

Jerzy T. Marcinkowski w innym miejscu opowiada: Wśród lekarzy – a nie tylko w ogólnej populacji – także zdarzają się zaburzenia zdrowia psychicznego, w tym wypalenie zawodowe, depresje, samobójstwa, uzależnienia od alkoholu i innych substancji psychoaktywnych – i tak też zdarzało się na Naszym Roku. Zdarzyło się samobójstwo Naszego Kolegi posądzanego, jak się później okazało, całkiem niesłusznie o zgon pacjenta, którego operował. Narastają też liczby pozwów sądowych przeciwko szpitalom i lekarzom o błędy medyczne – i w noc przed taką rozprawą sądową zmarł jeden z kolegów z Naszego Roku. Zdarzały się też przypadki narkomanii – jednym z takich przypadków uzależnienia od leku narkotycznego Dolargan zajmowałem się jako zastępca Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Wielkopolskiej Izby Lekarskiej.

Problemem zdrowia psychicznego studentów podczas naszych studiów a także wiele lat później nikt się nie zajmował a obecnie jest szeroko badany i opisywany....
opracowanie własne

Może Koleżanki i Koledzy z naszego roku będą zainteresowani licznymi danymi z badań naukowych zawartych z rozdziale autorstwa Jerzego Marcinkowskiego pt. Studenci, zwłaszcza medycyny, wymagają szeroko rozumianego odpoczynku także od... przemocy z niedawno wydanej monografii: Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej (red. J.T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko). J. Marcinkowski, Studenci, zwłaszcza medycyny, wymagają szeroko rozumianego odpoczynku także od... przemocy, [w:] Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej, red. J.T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko, Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa 2024, s. 81-103, https://issuu.com/lazarski/docs/odpoczynek_issuu [dostęp 7.11.2024]

Oto ten rozdział przytoczony tu w całości:

„Czym jest uniwersytet? Jaka jest jego rola w kulturze i w społeczeństwie? Alma Mater... Określenie to stosuje się także do uczelni – i ma to głęboki sens. Mater –matka, czyli ta, która rodzi i która wychowuje, kształci. Uniwersytet ma w sobie podobieństwo do matki. Podobny jest do niej przez troskę macierzyńską. Ta troska jest natury duchowej: rodzenie dusz do wiedzy, do mądrości, kształtowanie umysłów i serc. Jest to wkład nieporównywalny z niczym.

Jan Paweł II

Odbywanie studiów na całym świecie jest szczególnym i pełnym nowych doświadczeń i wyzwań okresem w życiu młodych osób. Studenci doświadczają codziennego napięcia i stresu, który często przechodzi w fazę przewlekłą, mają obniżony poziom dobrego samopoczucia (decrease in well-being), notuje się też w tym okresie większą zachorowalność na określone schorzenia psychiczne. Badacze, zastanawiając się nad tym problemem, wskazują, co zresztą zna z autopsji prawie każdy studiujący, że możliwymi przyczynami są: nowa sytuacja życiowa, nowe znajomości i sytuacje, zwykle oddalenie od domu rodzinnego, rodziny i przyjaciół, konieczność opanowania znacznej ilości materiału w krótkim czasie, egzaminy, kolokwia, a też wysokie oczekiwania dotyczące uzyskiwania maksymalnie dobrych ocen, często wyniesione z domu czy z poprzedniej szkoły. Dla wielu młodych osób to wkroczenie w inny świat, a poprzednie i aktualne życie dzieli przysłowiowa przepaść².

Jak podaje się w publikacji z 2016 r., występowanie zaburzeń zdrowia psychicznego w okresie młodości ma istotny wpływ na poczucie dobrostanu, ale też na uzyskiwanie pozytywnych efektów całego procesu edukacji – a co z tym się wiąże – możliwości kariery zawodowej, właściwych relacji interpersonalnych, rodzinnych i odpowiedniej jakości pracy z pacjentami czy klientami. Dotychczasowe badania koncentrowały się na uczniach szkół podstawowych i średnich, a tych problemów u studentów właściwie nie zauważano. W związku z tym w ramach **Światowych Badań**

Zdrowia Psychicznego Światowej Organizacji Zdrowia (WHO World Mental Health Surveys) zajęto się związkami rezygnacji z kontynuowania studiów z zaburzeniami zdrowia psychicznego, przeprowadzając badanie w 21 krajach u młodych osób w wieku 18–22 lat. Oceniano 1572 studentów i 4178 osób w tym samym wieku – niestudiujących – w tej ostatniej grupie znalazły się 702 osoby, które przerwały studia. Przy użyciu Złożonego międzynarodowego wywiadu diagnostycznego (*Composite International Diagnostic Interview – CIDI*) według DSM-IV oceniono rozpowszechnienie i wiek wystąpienia zaburzeń lękowych, nastroju, zachowania i zażywania substancji psychoaktywnych w ciągu całego życia i w ciągu ostatnich 12 miesięcy przed badaniem oraz w wieku wystąpienia wskazanych wyżej objawów. Dla umożliwienia porównań posługiwano się systemem klasyfikacji DSM-IV stosowanym jeszcze w początkowym okresie badań. Zauważono, że jedna piąta (20,3%) studentów przez okres 12 miesięcy cierpiała na zaburzenia psychiczne klasyfikowane jeszcze według DSM-IV/CIDI (obecnie DSM-5) jako: stany lękowe, obniżenie nastroju, problemy z zachowaniem i nadużywaniem substancji psychoaktywnych. U 83,1% tych osób objawy te występowały jeszcze przed maturą. Stwierdzono, że gdy zaburzenia zaczynały się przed maturą, częściej rezygnowano ze studiów, sięgano po substancje psychoaktywne z następowym uzależnieniem – dotyczyło to zwykle kobiet, a wśród objawów dominowała duża depresja. Jedynie 16,4% uczniów/studentów z utrzymującymi się przez 12 miesięcy zaburzeniami zdrowia psychicznego otrzymało pomoc specjalistyczną. Wnioski wynikające z badania nie są pozytywne – a wykrywanie i skuteczne leczenie zaburzeń zdrowia psychicznego już na wczesnym etapie studiów, nie mówiąc o pomocy jeszcze przed maturą, mogłoby zmniejszyć zmęczenie, stres, poprawić możliwości edukacji i funkcjonowanie psychospołeczne. Jednak zapotrzebowanie na udzielanie tej pomocy przekracza dostępne zasoby różnych uczelni, kampusów, a też zauważa się niedobory specjalistów³

Na podstawie wskazanych wyżej badań Światowa Organizacja Zdrowia (World Health Organization – WHO) zajęła się odrębnie problemem zdrowia psychicznego studentów poprzez inicjatywę WHO **World Mental Health International College Student (WMH-ICS)**. Ma ona na celu: opracowywanie dokładnych danych epidemiologicznych na temat zaburzeń zdrowia psychicznego, terapii i jej uwarunkowań, stosowanie substancji odurzających oraz zaburzeń zachowania wśród studentów na całym świecie. Dodatkowym zadaniem tej inicjatywy było rozpowszechnianie metod profilaktycznych i terapeutycznych też prowadzonych za pośrednictwem Internetu, metod profilaktycznych o udowodnionej skuteczności opartej na dowodach naukowych oraz dbałość o zachowanie odpowiedniej ich jakości⁴.

Wstępny etap badań, 2018 r. Wobec zdobytej m.in. wiedzy, którą przedstawiono w 2016 r., o problemach zdrowia psychicznego studentów, powstał wspomniany projekt WHO World Mental Health International College Student. Wstępne wyniki pierwszego etapu badań przeprowadzonych w ramach tego projektu opublikowano w 2018 r. Uzyskano je na podstawie serii ankiet wśród studentów 19 uczelni w 8 krajach (Australia, Belgia, Niemcy, Meksyk, Irlandia Północna, Republika Południowej Afryki, Hiszpania, USA). Badania miały na celu oszacowanie rozpowszechnienia i podstawowych zależności socjodemograficznych zaburzeń psychicznych wśród studentów pierwszych lat studiów. Rozpoczynający studia w czasie pierwszego roku otrzymywali internetowe kwestionariusze samoopisowe, w których zawarto pytania umożliwiające ocenę występowania sześciu powszechnych zaburzeń zdrowia psychicznego: duża depresja, mania/hipomania, uogólnione zaburzenia lękowe, paniczne, używanie alkoholu i związane z zażywaniem substancji. Pytania dotyczyły okresu występowania zaburzeń (na przestrzeni całego życia i trwających 12 miesięcy) – dlatego nadal posługiwano się jeszcze klasyfikacją DSM-IV. Spośród wszystkich studentów, do których skierowano ankiety, jedynie 45,5% osób udzieliło pełnych odpowiedzi. Ostatecznie oceniano ankiety 13 984 respondentów studiujących w pełnym wymiarze godzin; 35% udzielających odpowiedzi zgłaszało wystąpienie co najmniej jednego z podanych zaburzeń w ciągu całego życia, a 31% miało co

najmniej jedno zaburzenie trwające 12 miesięcy. Objawy zwykle występowały we wczesnym lub średnim okresie dojrzewania i utrzymywały się w okresie badań. Nie zauważono silnych korelacji statystycznych zaburzeń z czynnikami socjodemograficznymi, jednak najsilniejsze zależności wykazywały czynniki takie jak: starszy wiek podejmowania studiów, płeć żeńska, nieżyjący rodzice lub rodzice pozostający bez związków małżeńskich, brak przynależności religijnej, nieheteroseksualna identyfikacja i zachowanie, niski ranking ukończonej szkoły średniej i zewnętrzna motywacja do zapisania się na studia. Z uwagi na wspomniane czynniki ryzyka nie jest pewne, czy stosowanie leczenia w tej sytuacji mogłoby przynieść korzyści. Jednak wyraźnie podkreślono, że istnieją wskazania do zwiększenia nakładów na odpowiednią opiekę psychologiczną, a nawet psychiatryczną, nad tą znaczną grupą studentów. Stanowiło to poważne wyzwanie nie tylko dla instytucji oświatowych, ale i rządów⁵. W oparciu o te wyniki u studentów z typowymi zaburzeniami psychicznymi i problemami emocjonalnymi rozpoczęto wdrażanie interwencji internetowych, dostępnych także dla studentów w krajach o niskich i średnich dochodach⁶. Kolejne wyniki badań – samookaleczenia bez intencji samobójstwa, ADHD współistniejące z innymi zaburzeniami zdrowia psychicznego Podsumowanie liczby badań nad zdrowiem psychicznym studentów różnych uczelni prowadzonych w latach 2012–2021. Wobec już poznanych trudności, których doświadczają młodzi ludzie z chwilą rozpoczęcia studiów (zmiana środowiska, systemu uczenia się, znacznych partii materiału do przyswojenia, izolacji społecznej czy wreszcie nieodpowiedniego traktowania studentów), i wpływu na jakość oraz funkcjonowanie w dalszym życiu dokonano przeglądu liczby artykułów indeksowanych w bazie Scopus i opublikowanych w latach 2012–2021. Zauważono, że wzrasta liczba podejmowanych badań nad zdrowiem psychicznym i samopoczuciem osób kończących studia. Dotyczyło to szczególnie okresu pandemii COVID-19, która z wiadomych względów wpłynęła na dobrostan wszystkich społeczeństw świata. Najwięcej publikacji pochodziło z ośrodków uniwersyteckich Wielkiej Brytanii i USA. Jednakże wskazano nie tylko na niewielką liczbę badań prowadzonych wspólnie przez kilka krajów, ale i słabe powiązania w tym zakresie pomiędzy organizacjami⁷.

Samookaleczenia bez intencji samobójstwa. Samookaleczenia bez intencji samobójstwa (*non-suicidal self-injury – NSSI*), zwane też czasem autoagresją, są często obserwowane wśród młodzieży jako reakcja na stres lub różne problemy zdrowia psychicznego, z którymi osoby te nie mogą sobie poradzić. Jest to problem, którym interesują się władze i pracownicy uczelni wyższych, jednak nie został on dostatecznie rozpoznany.

W 2021 r. opublikowano wyniki pierwszego w tym wymiarze badania o skali międzynarodowej dotyczącego NSSI wśród studentów pierwszego roku uczelni wyższych, w którym oceniano rozpowszechnienie i związek z zaburzeniami zdrowia psychicznego. W ramach tego badania przeprowadzonego z inicjatywy WHO – *World Mental Health International College Student (WMH-ICS)* za pomocą Internetu wysłano ankiety samoopisowe do 20 842 studentów pierwszego roku z 24 uczelni w dziewięciu krajach biorących udział w tym programie. Wykorzystano retrospektywne raporty dotyczące wieku zachorowania, badając uporządkowane w czasie powiązania między NSSI a zaburzeniami zawartymi w poprzedniej edycji DSM-IV i przyjętej od 2013 r. – DSM-58. Ustalono związki z nastrojem (duża depresja i zaburzenie afektywne dwubiegunowe), lękiem (lęk uogólniony i zespół lęku napadowego) oraz zaburzeniami związanymi z używaniem substancji (w tym wypadku alkoholu i narkotyków). Spośród osób z NSSI, które zdarzało się przez całe życie – 59,6% spełniało kryteria co najmniej jednego zaburzenia psychicznego. Pierwotnie rozpoznawane zaburzenia psychiczne prognozowały możliwość wystąpienia NSSI (mediana ilorazu szans 2,4), choć nie uzyskano informacji, czy wzajemna zależność czasowa wynosi 12 miesięcy. Jednocześnie NSSI było sygnałem późniejszych zaburzeń psychicznych (mediana ilorazu szans 1,8), umożliwiało też prognozowanie, że zaburzenia psychiczne będą się utrzymywały przez okres co najmniej 12 miesięcy i dotyczyło to

szczególnie uogólnionych zaburzeń lękowych (iloraz szans 1,6) oraz choroby afektywnej dwubiegunowej (iloraz szans 4,6). We wnioskach podkreślono wysoką częstość występowania samouszkodzeń wśród studentów pierwszego roku różnych uczelni, które poza wyrazem nieradzenia sobie ze stresem mogą być też behawioralnym markerem różnych powszechnych zaburzeń psychicznych⁹.

ADHD współistniejące z innymi zaburzeniami zdrowia psychicznego. Innym interesującym badaniem w ramach kolejnego projektu WHO WHO World Mental Health Surveys International College Student Project (WMH-ICS) była ocena rozpowszechnienia ADHD i związku z innymi zaburzeniami u studentów różnych uczelni, której wyniki opublikowano w 2022 r. Do około 15 991 studentów pierwszego roku (24 uczelnie, 9 krajów) wysłano online odpowiednie ankiety zwane WMH-CIDI-S.C., na które odpowiedziało 45,6% osób. Pytania umożliwiały ocenę występowania zespołu ADHD rozpoznane u 15,9% ankietowanych. U 58,4% osób z ADHD występowały choroby współistniejące (nadal oceniane według DSM-IV). Zgodnie z opracowaniem statystycznym (analiza klas ukrytych – LCA) ustalono, że 42,9% miało tzw. czyste ADHD, 36% ADHD internalizujące (problem ukryty), 11,3% współistniejące choroby afektywne dwubiegunowe i 9,8% eksternalizacyjne (uzewnętrzniające problem) ADHD. Wykazano, że ADHD i choroby współistniejące mogą znacznie utrudniać funkcjonowanie studentów (co zdarza się, szczególnie w tych przypadkach, często), a teoretycznie można rozważać, że w tej sytuacji obniżenie poziomu ADHD mogłoby poprawić funkcjonowanie. Autorzy analiz wskazują na celowość badań nad spersonalizowanymi programami pomocy uwzględniającymi wszystkie problemy zaburzeń zdrowia psychicznego¹⁰.

BADANIA WŚRÓD STUDENTÓW MEDYCyny

Przegląd i metaanaliza badań z 43 krajów – u studentów medycyny wyższa częstość depresji, lęku, rozdrażnienia, niepokoju, zmęczenia, zaburzeń snu – przyczyny

W przeglądzie i metaanalizie badań dotyczących zdrowia psychicznego studentów medycyny, opublikowanej w 2022 r., zauważono już dotychczas przeprowadzone metaanalizy, np.: dotycząca 167 badań przekrojowych (N = 116 628) i 16 badań podłużnych z 43 krajów. Na jej podstawie podano szacunkową ogólną częstość występowania objawów depresyjnych wśród 27,2% (zakres: 9,3–55,9%) studentów medycyny. Ponadto, jak wykazano w innych badaniach, studenci medycyny w porównaniu z populacją ogólną wykazywali istotnie wyższe wskaźniki objawów lękowych, częściej zgłaszali występowanie stanów niepokoju, lęku, rozdrażnienia, zaburzeń snu i ciągłego uczucia zmęczenia. Wśród przyczyn występowania, utrzymywania się, a też nasilania tych zaburzeń wskazywano dotyczące studentów wszystkich uczelni: zwykle oddalenie od rodziny, dobrze poznanych kolegów, problemy interpersonalne w nowym środowisku, bywa, że izolacja społeczna, ale też zmiana systemu edukacji w porównaniu z liceum. Jednakże na tle studiujących na innych kierunkach studenci medycyny muszą opanować w krótkim czasie większą ilość wiedzy, wykazują tendencje do perfekcjonizmu, a w czasie zajęć klinicznych spotykają się z ciężko chorymi pacjentami, często o złym rokowaniu, a również muszą oswajać się ze śmiercią. Te doświadczenia dla młodych osób, które często nigdy nie miały do czynienia z tymi problemami, są przyczyną nasilonego przewlekłego stresu, z którym radzenie sobie nie jest łatwe. Stąd częstsze są w tej grupie zaburzenia zdrowia psychicznego, wypalenie zawodowe, ale i używanie substancji psychoaktywnych. Większość władz uczelni medycznych, dostrzegając problem, włącza do programów edukacji medycznej odpowiednie i różnorodne interwencje, jak np.: zmniejszenie obciążenia nauką, czasem zmiany przekazywanych treści, zmiany w rozkładach zajęć, które mogłyby umożliwić choćby krótki odpoczynek. Ponadto są organizowane zajęcia profilaktyczne z zakresu promocji zdrowia, które mają znaczenie kluczowe w ochronie zdrowia psychicznego oraz indywidualne interwencje psychologiczne czy psychiatryczne¹¹.

Problem mobbingu i molestowania polskich studentów medycyny przez prowadzących zajęcia. Od lat, a właściwie od dziesięcioleci, polscy studenci podają, że często są źle traktowani przez asystentów – negowanie przydatności w pełnieniu zawodu lekarza, straszenie, że nigdy studiów nie ukończą, są też wyśmiewani, poniżani czy wręcz ignorowani. Opisywano np., że asystent celowo ukrywał się przed studentami i musieli go szukać. Uważa się, że to wynik podobnego traktowania aktualnych asystentów w czasie ich studenckiego życia, którzy powielają i przenoszą ten model na kolejne pokolenia. Niektórzy (zarówno asystenci, jak i niektórzy studenci) uzasadniają to koniecznością zahartowania młodych medyków na trudy życia zawodowego. Jednak jest to jedna z przyczyn obniżenia dobrostanu studentów i występowania różnych zaburzeń zdrowia psychicznego, co ma wpływ na jakość nie tylko efektów edukacji, ale i wykonywania późniejszej pracy, szczególnie w zakresie relacji lekarz–pacjent oraz relacji społecznych w ogóle. Ponieważ do tej pory często sami studenci w niektórych przypadkach uznawali, że widocznie tak musi być na wymarzonych zresztą, studiach medycznych – dlatego m.in. skala problemu w Polsce nie została poznana. O molestowaniu, także seksualnym, przez prowadzących zajęcia z młodymi medykami mówi się w Polsce w sposób jawny dopiero od niedawna. Studenci jednej z polskich uczelni medycznych opisywali swoje problemy w mediach społecznościowych, a ostatecznie skargi na przemoc werbalną i fizyczną, zachowania seksistowskie oraz molestowanie dotarły do Rzecznika Praw Obywatelskich (RPO). Jak podano na oficjalnej stronie internetowej RPO (fragment celowo cytowany w całości): „Według skarg niektórzy pracownicy w sposób wulgarny wyzywali i poniżali studentów. Wskazywali, że nie nadają się na studia medyczne i sugerowali rezygnację z nich. Studenci byli wyśmiewani i wyszydzani także z powodu swej niepełnosprawności. Do takich zachowań dochodziło m.in. podczas praktyk szpitalnych w obecności pacjentów. Niektórzy prowadzący uniemożliwiali studentom spełnianie potrzeb fizjologicznych w trakcie wielogodzinnych bloków zajęciowych. Część prowadzących miała stosować także przemoc fizyczną, szarpiąc i uderzając studentów podczas zajęć. Padały wówczas seksistowskie komentarze, że kobiety nie powinny studiować, lecz zajmować się pracą w domu, bo ‘są mniej zdolne od mężczyzn’. Zdarzało się uzależnianie zaliczenia od przyjścia przez studentki na egzamin w wyzywającym stroju bądź od określonego zachowania. Niektórzy pracownicy dopuszczali się molestowania. Jeden z nich uzależnił wpisanie oceny z zaliczenia od zgody studentki na odwiedzenie jej w mieszkaniu. Z kolei na obozie sprawnościowym ratownictwa medycznego prowadzący mieli czynić studentkom aluzje o podtekście seksualnym i dotykać je wbrew ich woli. Do podobnych sytuacji miało dochodzić podczas obozu żeglarskiego, gdy opiekunowie bez zgody studentek dotykały je, a także odwiedzali w pokojach¹².

Składający skargi wskazywali na panującą atmosferę zastraszania, strach przed zgłoszeniem nieprawidłowości, a często stosowanie strategii unikania konfrontacji z prowadzącymi zajęcia poprzez np. ukrywanie się w toaletach czy brudownikach szpitalnych. Zgłaszano również wywołane tą sytuacją silne reakcje emocjonalne u niektórych studentów i większości studentek, jak: płacz, obniżenie poczucia wartości, przydatności do zawodu, a nawet rezygnacji ze studiów czy zmiany kierunków studiów. Jedynie część udawała się do psychologa czy psychiatry. Przekazywane przez studentów różnych lat, ale też absolwentów, skargi świadczyły o tym, że zdarzenia tego typu nie miały charakteru incydentalnego, a są stale powtarzającą się praktyką, bowiem często dotyczyły tych samych kierunków i konkretnych osób prowadzących zajęcia. Próby zgłaszania problemu przez studentów oraz ich anonimowe wypowiedzi w ankietach nie przynosiły oczekiwanego efektu – władze uczelni nie reagowały właściwie. W tej sytuacji studenci pozbawieni wsparcia ze strony władz, z powodu przewidywanych możliwości identyfikacji i negatywnych indywidualnych czy dotyczących grupy konsekwencji ze strony prowadzących zajęcia, bali się opisywać nawet anonimowo sytuację. Studiujący wiedzieli też, że represje mogą się rozlać na ich przyszłe życie zawodowe, a nawet karierę

– gdyż wielu asystentów czy wykładowców mogło być potem ich przełożonymi czy współpracownikami”.

Gdy sprawa wreszcie dotarła do Rzecznika Praw Obywatelskich (RPO), po przeanalizowaniu uznał on, że „stanowi jaskrawą ilustrację konsekwencji braku jednolitych i powszechnie przyjętych na uczelniach wyższych standardów antymobbingowych i antydyskryminacyjnych”¹³. W 2018 r. RPO z grupą pracowników swojego Biura przeprowadzili badania w środowisku akademickim, mające na celu ocenę zjawiska molestowania w ogóle i molestowania seksualnego oraz zapewnienie wsparcia osobom doświadczającym tej formy dyskryminacji/przemocy. Jak podano na oficjalnej stronie internetowej RPO w 2020 r.: „Przepisy nie zapewniają bowiem pokrzywdzonym skutecznej ochrony w przypadku molestowania w obszarze edukacji, zwłaszcza w relacjach pozapracowniczych, czyli pomiędzy studentami czy w relacji wykładowca–studentka/student”¹⁴. Efektem badań był raport „Doświadczenie molestowania wśród studentek i studentów. Analiza i zalecenia”, wskazujący na dużą skalę tych negatywnych zjawisk w środowisku akademickim. Prawie połowa ankietowanych studentek i 30% studentów doświadczyło molestowania ze strony wykładowców czy ich asystentów w czasie edukacji. W tej sytuacji RPO podał rekomendacje, by na każdej polskiej uczelni, a nie jak do tej pory – na tylko nielicznych, powstawały wyspecjalizowane działy zajmujące się problemem molestowania i molestowania seksualnego, które wypracowywały odpowiednie strategie przeciwdziałania i tworzyły systemy wsparcia. Na najbardziej prestiżowych uczelniach świata już dawno ustalono związek pomiędzy poczuciem bezpieczeństwa studentów a wynikami edukacji i takie inicjatywy powstały. W 2019 r. wyniki tego raportu oraz rekomendacje przedstawiono na Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz ministrom: Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Obrony Narodowej, Zdrowia, Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej. Jednocześnie odbyła się dyskusja nad możliwościami wdrożenia tych rekomendacji¹⁵.

W uczelniach brakuje przepisów określających procedurę postępowania w przypadku nadużyć ze strony pracowników oraz służących zapobieganiu takim zachowaniom. Niektóre uczelnie przyjmują co prawda standardy antymobbingowe i antydyskryminacyjne, lecz co do zasady mają one zastosowanie jedynie do etatowych pracowników. Nie wszystkie uczelnie utworzyły wyspecjalizowany organ zajmujący się rozwiązywaniem konfliktów między pracownikami uczelni a studentami w postaci np. rzecznika akademickiego ds. studenckich bądź pełnomocnika ds. praw studenta albo pełnomocnika ds. przeciwdziałania mobbingowi. Brak tego rodzaju mechanizmów uniemożliwia skuteczną walkę z patologiami, ma negatywny wpływ na kształcenie studentów, a wręcz może prowadzić do ograniczenia ich konstytucyjnego prawa do nauki¹⁶ – podano na stronie internetowej RPO w 2020 r.

Na stronie Home – Porady prawne i wzory pism (prawna.eu) można odnaleźć informację, że skargę na wykładowcę z reguły zgłasza się do prodziekana ds. studenckich. Jednocześnie proponuje się zakup formularza za 17 zł¹⁷. Brzmi to jak ponury dowcip, gdyż w świetle powyżej przedstawionych problemów trudno sobie wyobrazić, że bez lęku o swoją przyszłość któryś ze studentów taką skargę zgłosi do władz swojej uczelni.

Zdrowie psychiczne studentów medycyny podczas pandemii COVID-19. Pandemia COVID-19, zakaźnej choroby wywoływanej przez koronawirusa SARS-CoV-2, rozpoczęła się 17 listopada 2019 r. jako epidemia w mieście Wuhan (środkowe Chiny) i w związku z globalizacją szybko przeniosła się na inne kraje i kontynenty. Światowa Organizacja Zdrowia (World Health Organization – WHO) oficjalnie ogłosiła w dniu 11 marca 2020 r. pandemię COVID-19, a 5 maja 2023 r. jej zakończenie. W Polsce rozporządzeniem Ministra Zdrowia z dnia 1 lipca 2023 r. odwołano stan zagrożenia epidemicznego¹⁸. Jednakże dyrektor generalny WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus ostrzega, że koronawirus nie zniknął i dlatego stanowi nadal ogromne wyzwanie dla medycyny, stąd zalecana jest czujność. Polscy

naukowcy, w tym wirusolożka z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie Agnieszka Szuster-Ciesielska, 6 maja 2023 r. ostrzegali, że „Niestety, zagrożenie na poziomie indywidualnym jeszcze nie zniknęło, tym bardziej, że SARS-CoV-2 nie jest wirusem sezonowym”¹⁹, a także należy się przygotować na następne pandemiczne prawdopodobnie wywołane też innymi drobnoustrojami²⁰.

Przegląd i metaanaliza badań opublikowanych do 1 kwietnia 2022 r.

W związku z sytuacją nieznaną do tej pory w skali globalnej, pandemią COVID-19, wywołującą powszechny stres, w kręgu zainteresowania badaczy na całym świecie znalazł się także stan zdrowia psychicznego studentów medycyny, którzy poza ogólnymi problemami byli narażeni na stres większy – jeszcze niedoświadczeni zawodowo, a zwykle zaangażowani w pomoc. Opublikowany w 2023 r. przegląd i metaanaliza badań przeprowadzonych w tym okresie dotyczyły wybranych danych z baz PubMed, Embase, Web of Science, psycARTICLES, APA PsycINFO, CNKI i Wan Fang, zamieszczonych tam od 1 stycznia 2020 r. do 1 kwietnia 2022 r. 201 artykułów, dotyczących 198 000 studentów medycyny. Ustalono, że depresja występowała u 41% badanych, lęk u 38%, stres psychiczny u 58%, 52% miało zaburzenia snu, 34% – zespół stresu pourazowego, 15% badanych doświadczało myśli samobójczych, a 38% wykazywało objawy wypalenia zawodowego. Wskazano na wysoką częstość wyżej wymienionych objawów, które występowały częściej u płci żeńskiej oraz u studentów z młodszych, przedklinicznych lat studiów. Wyszczególniono też inne czynniki ryzyka, jak: stopień narażenia na zakażenie SARS-CoV-2 i strach przed zakażeniem, stres związany z zajęciami na uczelni, obecność w przeszłości zaburzeń zdrowia psychicznego lub fizycznego, kłopoty finansowe, obawa przed pogorszeniem wyników edukacji, problemy z uczeniem się online, samotność, niska aktywność fizyczna, niskie wsparcie społeczne, problematyczne korzystanie z Internetu lub smartfonu oraz młody wiek.

Autorzy metaanalizy podkreślają znaczenie tych i podobnych badań, które stanowią cenną informację dla władz uczelni i ochrony zdrowia, umożliwiając identyfikację studentów z ryzykiem zagrożenia zdrowia oraz programowanie/ prowadzenie ukierunkowanych interwencji²¹

Ocena depresji, wypalenia zawodowego i radzenia sobie ze stresem wśród studentów medycyny w Polsce i badania porównawcze z Białorusią, 2022 r.

Polska. Badania nad zdrowiem psychicznym studentów medycyny podejmuje się też w Polsce. Przykładowo na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym prze prowadzono ankietę na próbie 864 studentów studiów licencjackich nauk związanych ze zdrowiem i jak podają autorzy w 2022 r., miało ono charakter pilotażowy. Wykorzystano Inwentarz wypalenia Oldenburga (*Oldenburg Burnout Inventory – OLBI*), określono obecność objawów depresyjnych za pomocą 9-punktowego Kwestionariusza Zdrowia Pacjenta (*Patient Health Questionnaire 9-item – PHQ-9*) oraz problemowe spożycie alkoholu za pomocą kwestionariusza CAGE. Badano też mechanizmy radzenia sobie ze stresem. „Średnie sumaryczne wyniki OLBI i PHQ-9 wyniosły odpowiednio $43,3 \pm 2,7$ i $11,3 \pm 5,8$ punktu. Kwestionariusz CAGE był pozytywny u 21,6% uczniów. Trzy najbardziej rozpowszechnione mechanizmy radzenia sobie ze stresem obejmowały nałogowe oglądanie telewizji, napadowe objadanie się i palenie kolejnych papierosów (odpowiednio 51,0%, 45,0% i 28,0%)”²². Autorzy badania wskazują na konieczność kontynuowania podobnych, monitorowania trendów oraz ustalenie odpowiednich interwencji w celu poprawy dobrostanu studentów tej uczelni²³.

Badania wśród studentów medycyny z Polski i Białorusi. W 2022 r. opublikowano wyniki badań dotyczących zdrowia psychicznego i aktywności fizycznej studentów medycyny w Polsce i na Białorusi podczas pandemii COVID-19, która stanowiła nieznaną do tej pory wyzwanie szczególnie dla pracowników ochrony zdrowia. Badania zostały przeprowadzone przez pracowników Katedry Fizjoterapii i Katedry Pielęgniarstwa Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w

Białymstoku, Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jana Pawła II w Białej Podlaskiej oraz Katedry Teorii Kultury Fizycznej i Medycyny Sportowej Uniwersytetu Państwowego im. Janki Kupały w Grodnie (Białoruś). Już wstępnie zauważano, że kraje biorące udział w badaniu przyjęły odmienne podejścia do problemu wystąpienia pandemii – dotyczyło to m.in. nowych obowiązków związanych z pracą. Ogółem zbadano 779 studentów medycyny (374 z Polski i 405 studiujących na Białorusi). Wykorzystano trzy wystandaryzowane narzędzia psychometryczne: Skalę Satysfakcji z Życia (*Satisfaction with Life Scale – SWLS*), Kwestionariusz Ogólnego Zdrowia (*General Health Questionnaire GHQ-28*) oraz Inwentarz Radzenia sobie ze Stresem (Mini-COPE). Dodatkowo zastosowano Międzynarodowy Kwestionariusz Aktywności Fizycznej (*International Physical Activity Questionnaire – IPAQ*). Zdecydowana większość studentów zarówno z Polski, jak i z Białorusi wykazywała wysoką aktywność fizyczną, jednak wśród studentów z Polski była ona wyższa – cechowało ich też większe zadowolenie z życia, a studentów z Białorusi w znacznie większym stopniu dotyczył dystres społeczny. Obserwacja według badaczy wskazuje na celowość monitorowania przez uczelnie stanu zdrowia psychicznego i fizycznego studentów i wdrażania programów profilaktycznych²⁴.

Pomoc psychologiczna dla studentów różnych uczelni w Polsce. W 2019 r. na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie aktualnie studiuje 16 tys. osób²⁵, z do psycholog zgłosiło się około 75 osób, w 2020 r. już 200, a w 2021 r. – 243 osoby. Tylko w jednym miesiącu, tj. w lutym 2022 r., z profesjonalnej pomocy psychologicznej skorzystało 86 studentów „Na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu było to odpowiednio 27, 68 i 72 osoby, a w styczniu 2022 r. zgłosiło się już 58 studentów”²⁶. Większość studentów uważa, że najbardziej skuteczne są konsultacje indywidualne, a nie warsztaty czy szkolenia. Jednocześnie władze wskazują, że w tej sytuacji konieczne byłyby większe fundusze, których uczelnie nie posiadają, i obecnie „w ramach uczelnianych jednostek nie ma możliwości prowadzenia długoterminowych terapii.

Działania podejmowane przez takie poradnie mają charakter bardziej doraźny”²⁷. W wywiadzie zamieszczonym na stronie internetowej gazety prawnej psycholog Monika Lassota-Golec pracująca w Poradni Psychologicznej Politechniki Wrocławskiej podaje, że możliwa liczba wizyt w zależności od problemu to kilka lub kilkanaście. Wielu zgłaszających się studentów wymaga od dawna psychoterapii, której ta poradnia nie prowadzi, jednak terminy w ramach NFZ są bardzo odległe²⁸.

Jak wynika z badań przeprowadzonych w 2020 r. przez Centrum Analiz Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS), aż 67% spośród 2815 ankietowanych studentów uważa, że „promocja wsparcia psychologicznego na uczelniach wyższych jest niewystarczająca. Z innego badania, przeprowadzonego w kwietniu 2020 r. przez NZS na próbie ponad 3000 studentów wynika, że 24% z nich «zdecydowanie» lub «raczej» skorzystałoby w ówczesnej sytuacji lockdownu z bezpłatnego wsparcia psychologicznego”²⁹.

Rzecznik Praw Pacjenta (RPO) o działaniach w zakresie zdrowia psychicznego polskich studentów. Pierwszym działaniem Rzecznika Praw Pacjenta (RPO) dotyczącym opieki psychologicznej czy psychiatrycznej nad polskimi studentami było podpisanie z Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w dniu 20 maja 2019 r. porozumienia o współpracy na rzecz osób doświadczających kryzysu psychicznego. Było to pierwsze takie porozumienie w Polsce podpisane ze szkołą wyższą³⁰. W styczniu 2021 r. opublikowano Raport RPO, który został przygotowany na podstawie informacji zebranych z kilkudziesięciu polskich uczelni. Podano w nim problemy psychiczne studentów oraz formy udzielanej przez uczelnie pomocy. Na podstawie tych informacji ustalono, że wśród studentów polskich placówek nadal aktualne są problemy, jak: niska samoocena, trudności z adaptacją, nieradzenie sobie ze stresem, doświadczanie myśli samobójczych, zaburzeń lękowych, depresyjnych, nerwicowych, a nawet zaburzeń osobowości. Obserwuje się też wysoką częstość zaburzeń

odżywiania, nadwagi, otyłości i związanych z nią kompleksów osobistych czy nawet piętnowania. Notowane są zaburzenia interpersonalne, problemy w komunikacji z rówieśnikami i kryzysy w relacjach koleżeńskich, uczuciowych czy rodzinnych, czasem nadmierne przeżywanie problemów innych osób lub zanik empatii, nawet z dyskryminacją osób z niepełnosprawnościami. Część młodych osób głęboko doświadcza samotności, czasem będącej wynikiem własnego izolowania się od środowiska i życia społecznego. Wśród osób ze środowiska akademickiego nierzadko zdarzają się uzależnienia, m.in.: od alkoholu, papierosów, narkotyków, hazardu, seksu czy Internetu. Dodatkowo bardzo wiele osób studiujących podaje nieustanne przemęczenie, brak koncentracji, poczucie braku perspektyw i możliwości rozwoju³¹. Uczelnie zauważają, że wśród przyczyn istotne jest „zderzenie się z rzeczywistością dorosłych. Problemem wywołującym kryzys mogą być trudności w poszukiwaniu pierwszej pracy, mobbing lub stalking, a w przypadku pracowników uczelni także wypalenie zawodowe”³². W odpowiedzi na zapytanie Rzecznika Praw Pacjenta dotyczące zdrowia psychicznego studentów i form pomocy ze strony uczelni uzyskano odpowiedzi, że starają się one zapewnić kompleksowe wsparcie psychologiczne, współpracując z placówkami ochrony zdrowia, organizacjami pozarządowymi czy stowarzyszeniami. Ponadto organizowane są warsztaty, szkolenia i wykłady dotyczące zapobiegania zaburzeniom zdrowia psychicznego. Wiele instytucji oddelegowuje swoich pracowników do wsparcia studentów w sprawach akademickich, a także w sprawach osobistych. Uczelnie prowadzą działania z zakresu coachingu, psychoterapii, interwencji środowiskowych czy terapii antystresowych. Tworzone są grupy wsparcia aktywizacji osób niepełnosprawnych. Niezwykle ważne są działania związane z psychoedukacją i promocją zdrowego stylu życia, edukacją prozdrowotną, a także działania profilaktyczne. Na niektórych uczelniach organizowane są zajęcia sportowe jako sposób na rozładowanie negatywnych emocji [...]. Niektóre uczelnie korzystają z pomocy studentów IV i V roku psychologii do udzielania wsparcia psychologicznego studentom młodszych lat. Organizowane są koleżeńskie grupy wsparcia dla tych studentów, którzy niechętnie zgłaszają się po pomoc fachową. Studenci, którzy sami mają doświadczenie kryzysu psychicznego, dzielą się swoimi doświadczeniami i pomagają w znalezieniu pomocy specjalistycznej. Niezwykle ważną formą wsparcia uczelni dla studentów jest pomoc w szukaniu placówki, która udzieli profesjonalnej pomocy. W tym celu uczelnie często nawiązują współpracę z konkretną poradnią zdrowia psychicznego. Wśród form pomocy wskazanych przez uczelnie znalazła się również możliwość pomocy finansowej oraz uzyskania urlopu zdrowotnego dla studenta, z możliwością zaliczania przedmiotów w sesji egzaminacyjnej. Co ważne, pomoc psychologiczna oferowana przez uczelnię jest bezpłatna zarówno dla pracowników uczelni, jak i studentów³³.

Wśród uczelni, które udzieliły odpowiedzi do 2020 r. Rzecznikowi Praw Pacjenta, 15 posiada w swojej strukturze poradnię zdrowia psychicznego, a jedna planuje utworzenie poradni. Wskazuje to na potrzebę istnienia takich placówek. Studenci chętnie korzystają z proponowanej im pomocy, z której mogą skorzystać w miejscu nauki. Z usług poradni korzystają również pracownicy uczelni³⁴. Jedna z uczelni w przesłanej odpowiedzi stwierdza, że nie zaobserwowała żadnych niepokojących zjawisk prowadzących do kryzysu psychicznego wśród studentów czy pracowników, zarówno w czasie pandemii, jak i wcześniej. Wsparcie psychologiczne zapewnia poprzez promocję projektu „Strefa Komfortu PSRP” i instruktaż BHP pracy zdalnej [...]. Kolejne trzy uczelnie wskazały, że nie prowadzą żadnej formy pomocy psychologicznej dla studentów i pracowników dydaktycznych – nie widząc takiej potrzeby. Wśród czterech z powyższych uczelni, trzy są o profilu wychowania fizycznego. Prawdopodobnym powodem braku problemów może być pozytywny wpływ aktywności fizycznej na stan zdrowia psychicznego³⁵. W Raporcie zawarto też komentarz „pracowników naukowych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego oraz Przewodniczącej Rady Młodych Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjenta”³⁶. Raport sporządzony przez Rzecznika Praw Pacjenta został przekazany do Ministerstwa Edukacji i Nauki wraz „z prośbą o informacje o działaniach planowanych w obszarze

szkolnictwa wyższego ukierunkowanych na zapewnienie i rozwinięcie wsparcia dla studentów i pracowników uczelni w kryzysie psychicznym”³⁷.

Jednakże 23 lutego 2022 r. w artykule na portalu internetowym gazetaprawna.pl podano, że na zadane pytanie skierowane do polskiego Ministerstwa Edukacji i Nauki – jak realizuje rekomendacje Rzecznika Praw Pacjenta dotyczące działań mających na celu zwiększenie dobrostanu psychicznego studentów – do czasu publikacji odpowiedzi nie otrzymano³⁸.

„Pomoc psychologiczna online dla studentów z całej Polski” – Inicjatywa Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej (PSRP), 2020 r. W kwietniu 2020 r. na stronie Ministerstwa Edukacji i Nauki podano: „Pomoc psychologiczna online dla studentów z całej Polski – to nowa inicjatywa Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej, który przygotował akcję «Strefa komfortu PSRP». Każdy student może skorzystać z terapii online i wziąć udział w webinarach prowadzonych przez specjalistów. Projekt dofinansowało Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego”³⁹. Zamieszczony jest tam odpowiedni link umożliwiający bezpośredni indywidualny kontakt z PSRP. „PSRP jest niezależną ogólnopolską organizacją, będącą ustawowym reprezentantem wszystkich studentów w Polsce. Zrzesza samorządy studenckie ze wszystkich uczelni publicznych i niepublicznych w kraju”. Działa od 25 lat, pracuje w 50 komisjach branżowych i obejmuje 1 265 269 studentów⁴⁰. Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce PSRP reprezentuje środowisko studenckie przed organami Państwa Polskiego oraz opiniuje akty prawne dotyczące studentów. Przedstawiciele Parlamentu stale uczestniczą w pracach organów władzy publicznej, komisjach sejmowych i senackich RP. Jest jedynym przedstawicielem Polski w Europejskiej Unii Studentów⁴¹.

Rodzaje i skuteczność interwencji psychoterapeutycznych cyfrowych – dostępnych online – u studentów różnych uczelni na świecie i w Polsce a także tylko medycznych, 2022 r. Studenci różnych uczelni. Grupa badaczy z ośrodków uniwersyteckich w Malezji, Wietnamie i Niemczech w marcu 2022 r. opublikowała przegląd i metaanalizę badań zatytułowane: Skuteczność cyfrowych interwencji w zakresie zdrowia psychicznego dla studentów uniwersytetów: przegląd ogólny. Autorzy, zauważając, jak ważnym problemem studentów uczelni wyższych na całym świecie jest niezadowolające zdrowie psychiczne, skupili się na opracowywanych w ciągu ostatnich lat cyfrowych interwencjach zdrowotnych. Zostały one uznane za obiecujące w kwestii poprawy samopoczucia także studentów, a badacze cytowanego przeglądu dokonali syntezy dowodów na ich skuteczność. W tym celu w kwietniu 2021 r. przeprowadzono systematyczne przeszukiwanie baz artykułów naukowych jak: *PubMed, Psychology and Behavioral Science Collection, Web of Science, ERIC i Scopus* pod kątem systematycznych przeglądów i metaanaliz dotyczących cyfrowych interwencji w zakresie zdrowia psychicznego skierowanych do studentów uniwersytetów. Wstępnie wybrano 806 publikacji, z których po usunięciu duplikatów i ocenie pod kątem kryteriów wyłączenia pozostało zaledwie siedem. Skuteczność interwencji cyfrowych była zgłaszana i sklasyfikowana według następujących sześciu grup: 1) interwencje internetowe, internetowe / dostarczane przez komputer (*web-based, online/computer-delivered interventions*), 2) komputerowa terapia poznawczo-behawioralna (*computer-based Cognitive Behavior Therapy – CBT*), 3) aplikacje mobilne i usługa krótkich wiadomości (*mobile applications and short message service*), 4) interwencje wirtualnej rzeczywistości (*virtual reality interventions*), 5) trening umiejętności (*skills training*), 6) relaksacja i terapia oparta na ekspozycji (*relaxation and exposure-based therapy*). Wyniki metaanalizy wykazały, że „interwencje internetowe/ komputerowe były skuteczne lub przynajmniej częściowo skuteczne w zmniejszaniu objawów depresji, lęku, stresu i zaburzeń odżywiania. Było to podobne w przypadku interwencji w zakresie szkolenia umiejętności, interwencji opartych na CBT i aplikacji mobilnych”⁴². Jednak wyniki dotyczące efektów cyfrowych interwencji w zakresie zdrowia psychicznego z wykorzystaniem wirtualnej rzeczywistości i relaksacji, a także terapia oparta na ekspozycji nie były

jednoznacznie potwierdzone. Jednocześnie zauważono różnice w programowaniu badań i niespójności w formułowaniu wniosków. Skuteczność w znacznym stopniu zależała zarówno od formatu przekazu internetowego, jak i wyboru problemu zdrowia psychicznego i właściwości docelowej grupy poddanej interwencji. Autorzy przeglądu wskazują, że uzyskano wystarczającą liczbę dowodów na korzystny wpływ na zdrowie psychiczne studentów interwencji przeprowadzanych za pomocą Internetu, jednak konieczne jest, by przyszłe badania były prowadzone według ujednoliconych schematów⁴³.

Studenci medycyny. Studenci, co już sygnalizowaliśmy, a przede wszystkim studiujący medycynę, są narażeni na nadmierny i przewlekły stres, niemniej często wśród nich występują pogorszenie dobrostanu, stany lękowe, depresyjne, jak również wypalenie zawodowe. U znacznej większości z nich problemy pojawiają się już w czasach licealnych, co wymaga szczególnej uwagi, zapobiegania i ewentualnej terapii. Jednak z uwagi na nasilające się zaburzenia zdrowia psychicznego w okresie studiów i w tym czasie niezbędne jest postępowanie ochronne i terapeutyczne, gdyż ma to wpływ nie tylko na osobiste negatywne doświadczenia, utrudnia zdobywanie wiedzy, ale też zaburza relacje z pacjentem, stając się problemem społecznym. W tym celu proponuje się odpowiednie programy dostępne online, możliwe do wykorzystania w każdym miejscu i czasie.

W wyniku przeglądu i metaanalizy badań zawartych w artykułach naukowych zamieszczonych w bazach *PubMed*, *ERIC*, *Cochrane* i *Web of Science* do stycznia 2022 r. opublikowanej w czerwcu 2022 r. znaleziono 723 artykuły, ale jedynie 11 z nich spełniło kryteria włączenia. Dotyczyły prowadzonych online treningów uważności, terapii poznawczo-behawioralnej lub wsparcia rówieśników. Dwa badania wykazały znaczne zmniejszenie postrzeganego stresu; jedno badanie wykazało obniżony poziom wypalenia. Jeden program miał znaczący natychmiastowy wpływ na uważność, empatię i odporność; dwa badania wskazały na wzmocnienie strategii radzenia sobie. Dwa programy oceniono jakościowo jako pomocne; trwają dwa badania. W dziewięciu badaniach brakowało grup kontrolnych; trwały dwa randomizowane badania kontrolowane. Znaleziono tylko kilka programów internetowych z ograniczonymi dowodami na skuteczność, które odnosiły do indywidualnych cech ochronnych, podkreślając ich znaczenie dla zdrowia psychicznego. Autorzy metaanalizy wskazują na konieczność zwiększenia liczby programów promujących zdrowie i profilaktycznych i ich włączenie do programów nauczania. Wobec znacznej wagi problemu dbałość o zdrowie psychiczne przyszłych lekarzy powinna się stać priorytetem edukacji medycznej⁴⁴.

J. Marcinkowski, Studenci, zwłaszcza medycyny, wymagają szeroko rozumianego odpoczynku także od... przemocy, [w:] Odpoczynek w panoramicznym spojrzeniu higieny psychicznej, red. J.T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko, Wydawnictwo Uczelnia Łazarskiego, Warszawa 2024, s. 81-103, https://issuu.com/lazarski/docs/odpoczynek_issuu [dostęp 7.11.2024]

Skutki doznawania przemocy podczas studiów medycznych

Paulina Rosińska, dr psycholog znajduje pewne paralele pomiędzy sytuacją pracowników ochrony zdrowia którzy doznają przemocy czy to jeszcze podczas studiów czy w czasie pracy a osobami będących ofiarami przemocy domowej i z cierpiącymi na zespół sztokholmski. P. Rosińska, Medycy w sytuacji ofiary - Przemoc wobec kobiet i przemoc domowa piekłem na ziemi w: Niedopasowanie do idei dobrego życia obszarem troski higieny. Od stereotypów do przemocy wobec dzieci i kobiet, (Red. J. T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko), wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra, 2025, str. 265. Autorka rozdziału monografii której współredaktorami i autorami jest Jerzy Marcinkowski i Zofia Konopielko rozważa: „Oczywiście trudno porównać sytuację osób więzionym wbrew ich woli, a przede wszystkim niezgodnie z prawem, czy sytuację porwanych bądź zamkniętych w kręgu przemocy domowej z pracownikami ochrony zdrowia, ale istnieją pewne paralele. Różnych form przemocy doświadczają też studenci, zwłaszcza uczelni medycznych, co potwierdzono szerokimi badaniami, udowadniając, że nie tylko muszą opanować ogromną, stale wzrastającą wiedzę czy zwykle po raz pierwszy spotykać na taką skalę cierpiących, stawać wobec śmierci, ale też zdarza się, że spotykają przemoc ze strony wykładowców⁹⁶. Wchodzący w życie

zawodowe młodzi medycy już z takim bagażem negatywnych doświadczeń, szczególnie przystępujący do pracy z entuzjazmem, zderzają się z realiami i w dość krótkim czasie mogą doświadczać przewlekłego nasilonego stresu. Kochając swoją pracę czy z innych powodów jej nie porzucając, tkwią w zamkniętym kręgu własnych emocji i bezradności, czego efektem jest często nie tylko wypalenie zawodowe, ale też PTSD 97. PTSD wiąże się z poczuciem stałego zagrożenia, pojawianiem się *flashbacków*, czyli gwałtownych odczuć, jakby wydarzenie traumatyczne trwało. Osoba dotknięta PTSD unika sytuacji, ludzi, a nawet zapachów czy dźwięków kojarzących się z doznaną traumą, miewa objawy natrętne – powracające wspomnienia, koszmary senne, dominuje obniżony nastrój, pojawia się strach, lęk zwłaszcza w nowych sytuacjach społecznych, zaburzenia relacji. Zdarzają się okresy długotrwałego pobudzenia, nasilenia aktywności, przeplatane stanami wycofania, apatii. Przy utrzymywaniu się zespołu i braku terapii osoba z PTSD najczęściej szuka uspokojenia w substancjach zwykle uzależniających czy zachowaniach kompulsywnych⁹⁸”.

P. Rosińska, Medycy w sytuacji ofiary - Przemoc wobec kobiet i przemoc domowa piekłem na ziemi w: Niedopasowanie do idei dobrego życia obszarem troski higieny. Od stereotypów do przemocy wobec dzieci i kobiet, (Red. J. T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko), wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra, 2025, str. 265

Długość życia lekarek i lekarzy – niższa od ogółu populacji?

W artykule: „Czy pracując jako lekarze, rzeczywiście skracamy sobie życie?” (Gazeta Lekarska gazetalekarska.pl, Data publikacji: 15 stycznia 2018) podano: „Powszechnie wiadomo, że zawód lekarza jest związany z olbrzymim stresem. W wielu krajach udowodniono, że jest zawodem związanym ze szczególnie wysokim ryzykiem samobójstw. Ponadto jego wykonywanie w Polsce, ze względu na niedofinansowanie, zwłaszcza publicznej ochrony zdrowia i niskie wynagrodzenia lekarzy, wiąże się z koniecznością spędzania nadmiernej ilości godzin w pracy. Z zawodem lekarza związana jest zwykle także konieczność pracy w godzinach nocnych w trybie dyżurowym. Czynniki wywierające niekorzystne działanie na zdrowie lekarza można podzielić na dwie grupy:

1. Obciążające psychiczne: a) codzienne obcowanie ze śmiercią, cierpieniem i bólem – trudno wtedy pozostać obojętnym i nie angażować się emocjonalnie; b) obciążenie nadmierną presją i oczekiwaniami ze strony pacjenta i jego rodziny; c) nieustanne zagrożenie popełnieniem błędu, którego skutki będą nieodwracalne i szkodliwe dla innych – brak w Polsce obowiązujących standardów postępowania w poszczególnych sytuacjach klinicznych; d) konieczność ciągłego aktualizowania wiedzy i używania olbrzymiego jej zasobu w sytuacjach stresowych; e) konieczność bezzwłocznego podejmowania kluczowych decyzji w sytuacjach zagrożenia życia pacjenta; f) ciągłe współzawodnictwo i rywalizacja, często konieczność współpracy w zespole złożonym z jednostek o różnych temperamentach oraz nadmierne oczekiwania przełożonych; g) nadmiernie rozbudowana biurokracja, wymagająca wypełniania licznych dokumentów.
2. Obciążające fizyczne: a) nadmierna liczba godzin pracy w tygodniu; b) deficyt snu spowodowany dyżurami medycznymi oraz związane z nimi nieregularne odżywianie; c) konieczność ciągłego utrzymania pełnego skupienia i koncentracji; d) w przypadku specjalności zabiegowych wielogodzinne zabiegi operacyjne; e) szczególnie w przypadku kobiet lekarek konieczność połączenia pracy zawodowej z prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci.

Biorąc pod uwagę tak wiele szkodliwych czynników wpływających na zdrowie lekarza, należałoby się spodziewać, że mogą one powodować również skrócenie życia. Już kilkakrotnie próbowano udowodnić tę hipotezę. Pierwsze wyniki analizy na podstawie lekarzy zmarłych w latach 2001-2006 w okręgu Śląskiej Izby Lekarskiej przedstawił dr Maciej Hamankiewicz, wykazując znaczne skrócenie czasu życia zwłaszcza wśród kobiet lekarek. Podobne wyniki przyniosły później inne badania dotyczące po raz kolejny Śląskiej, a także Dolnośląskiej oraz Beskidzkiej Izby Lekarskiej. We wszystkich przypadkach szczególnie znacząca różnica dotyczyła lekarek, które według uzyskanych wyników żyły

znacznie krócej od pozostałych kobiet. Jednak po opublikowaniu wyników, GUS zdecydowanie zaprotestował przeciwko metodyce w nich użytej.”

Warto też zwrócić uwagę na takie publikacje, jak np. Jerzy Dziekoński: „Ważne liczby” (Medical Tribune, 2015, 06), który podał m.in.: 54,5 roku – średni wiek lekarzy specjalistów w Polsce; 68 lat – średnia długość życia lekarza w Polsce (sic!); 37,6 roku – średni wiek lekarza uzyskującego specjalizację. Czy też inną publikację: „Długość życia lekarza a specjalizacja - Sprawdź, ile pożyjesz, czyli anesteziolodzy żyją szybko, umierają młodo”

Przedstawiliśmy te wszystkie fakty z myślą aby zainteresować młode lekarki i młodych lekarzy wartościami jakie niesie prozdrowotny styl życia.

REFLEKSJE O NASZYM ŻYCIU ZAWODOWYM... WYŚPIEWANYM TEŻ W PIOSENKACH

Luźne myśli o nas i życiu lekarza po 54 latach od Absolutorium

Dopiero dziś, po 54 latach od Absolutorium, gdy większość z nas dobiegła do finiszu ścieżki zawodowej, oglądamy z tej perspektywy nasz czas przeszły. Przeżyliśmy trudne studia medyczne, meandry czasu PRL-u, pracowaliśmy często ponad siły – np. dyżurując całodobowo – 2-3 razy w tygodniu, potem zostawialiśmy w pracy bez dnia wolnego a dopiero od 2007 r. rozpoczęto próby regulacji czasu pracy lekarza. Niepoliczalną teraz liczbę niedziel, świąt spędziliśmy szpitalu, czy jeżdżąc karetkami pogotowia ratunkowego podczas gdy inni ucztowali lub się bawili na balach sylwestrowych. Ponadto niezbędne było nieustanne szkolenie – zdobywanie specjalizacji która długo jeszcze była dwustopniowa co wymagało nie tylko wyjazdów poza dom do innych placówek medycznych czy na kursy ale też stale intensywnego uczenia się..... Nasze rodziny pozostawały same i zdarzało się, że po latach dzieci niektórych z nas wyrażały żal z tego powodu a nawet nas winiły za swoje niezbyt udane życie... Nierzadko pracowaliśmy w kilku miejscach by zabezpieczyć byt rodzinie. Na szczęście nie było tak popularne jak dziś pisanie pozwów do sądu tzw. „błędów lekarskich”, choć przed dekadami co najmniej dwóch naszych kolegów oskarżonych bezpodstawnie o śmierć pacjenta, procesy sądowe trwały długo, a zanim padł wyrok doznali linczu społecznego i odebrali sobie życie z tego powodu, jeden zmarł na zawał serca dzień przed rozprawą sądową a jeden wyjechał za granicę – i dopiero po tych faktach zakończono tamte sprawy sądowe, całkowicie nie znajdując winy lekarza!!! O ilu podobnych przypadkach Kolegów z naszego roku nie wiemy, bo po studiach utraciliśmy kontakt.....

Wobec utrzymującego się przez wiele lat naszej pracy braku sprzętu jednorazowego użytku i należytej jakości środków ochrony osobistej wielu z nas zaraziło się od pacjenta, głównie wirusem zapalenia wątroby. O HIV/AIDS świat dowiedział się dopiero po 10 latach trwania naszej pracy, kiedy po raz pierwszy w 1981 r. w Stanach Zjednoczonych odkryto wirus HIV, w 1983 r. wyizolowano go z węzłów chorego a dopiero potem poznano drogi przenoszenia się tego czynnika.

<https://www.gov.pl/web/wsse-poznan/hiv-i-aids>

Bardzo często „przynosiłiśmy do domu” problemy swoich pacjentów, bywało, że stawało się to przyczyną zaniedbywania własnej rodziny, nie zauważania jej potrzeb. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, bo nie było jeszcze tej potwierdzonej naukowo wiedzy - że być może posiadamy przynajmniej niektóre z elementów empatii emocjonalnej, która rozwinięta w pełni może ograniczać niezbędną w zawodzie lekarza empatię poznawczą i zwykle prowadzi do wypalenia zawodowego. O wypaleniu zawodowym lekarzy po raz pierwszy podano w latach 70. XX w. ale dopiero od roku 2001 dzięki rozwojowi neurobiologii rozróżnienie empatii emocjonalnej i poznawczej zostało zaakceptowane w psychologii. Wówczas też zauważono, że lekarz z dominującą empatią emocjonalną, początkowo

pracujący z ogromnym zapałem, entuzjazmem może po pewnym czasie nie tylko tracić chęć do pracy, ale może mieć zaburzoną obiektywną ocenę stanu pacjenta i ostatecznie częściej ulega wypaleniu zawodowemu. Pogarsza to jego jakość życia, bywa przyczyną depresji, poddawania się uzależnieniom, ma negatywny wpływ na relacje interpersonalne – nie tylko rodzinne, ale też środowiskowe. Medyk z rozwiniętym wypaleniem zawodowym, to człowiek obojętny na losy czy cierpienie innych, zniechęcony do pracy, zaniedbujący obowiązki, niechętny do udzielania pomocy a nawet czasem agresywny nie tylko w stosunku do kolegów i innych współpracowników ale przede wszystkim w stosunku do pacjenta.... J. T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko, Wypalenie zawodowe – narastający problem XXI w. : Ponadczasowa misja higieny i epidemiologii, Oficyna Wydawnicza Uczelni Łazarskiego, Warszawa, 2021. str.375- 382; P. Rosińska, Altruizm i jego różne oblicza w: Niedopasowanie do idei dobrego życia obszarem troski higieny (red. J. T. Marcinkowski, P. Rosińska, Z. Konopielko), wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2025, str. 283- 311

Pracując w skromnych warunkach jak na dzisiejsze czasy, przez co najmniej kilka jeśli nie kilkanaście lat pracy nie mieliśmy tak powszechnego jak dziś dostępu do ultrasonografu, tomografii komputerowej czy rezonansu magnetycznego a też wielu innych badań dodatkowych i powoli stawało się to możliwe dopiero w latach 80. XX w. Jakże często w pierwszym roku samodzielnej pracy byliśmy skazani na naszą skromną wiedzę, pomoc starszych kolegów, czy porady doświadczonych pielęgniarek. Ogólnie rzecz można, że dość długo kierowaliśmy się słowami Adama Mickiewicza z ballady Romantyczność przekonując pacjentów: „Ufajcie memu oku i szkiełku”...

Ostatecznie jednak wygraliśmy, jesteśmy, trwamy, wzruszamy się telefonami dawnych pacjentów nadal proszących o poradę – często już dla swoich dzieci. Niektórzy z nas jeszcze wykonują ten jeśli nie najtrudniejszy ale najbardziej odpowiedzialny chyba zawód, rosną nasze wnuki – czasem wybierają te same studia z nadzieją, że będą pomagać innym... czasami jeszcze nasze serca ożywają np. podczas corocznych spotkań Koleżeńskich. Nadal kochamy i chcemy być kochani...

Najważniejsze piosenki naszej wczesnej młodości – indywidualna perspektywa. Temat otwarty...

Nie zdążyliśmy zebrać od Koleżanek i Kolegów informacji o ich ulubionych i ważnych piosenkach z okresu studiów medycznych i dlatego podajemy tylko wybrane przez Zofię Konopielko z d. Łukaszewicz i Jerzego T. Marcinkowskiego. Może ten rozdział stanie się inspiracją dla Koleżeństwa i zaprezentowania swoich zdań i może innych propozycji a też opowiedzenia - które piosenki wczesnej młodości i dlaczego pozostają jako najważniejsze w Ich pamięci...

Piosenki Czesława Niemena często otwierały nam świat i budziły refleksje nad życiem. Doświadczenia Koleżanek i Kolegów dotyczące słuchania muzyki i piosenek określanych wtedy muzyką rozrywkową albo „lekką łatwą i przyjemną” w czasach licealnych były zapewne różne. Niektórzy mieli dostęp do płyt z muzyką Zachodu, czy słuchali Radia Luxemburg, ale Zofia Konopielko z d. Łukaszewicz (dalej określana jako narratorka), w czasach licealnych najczęściej słyszała falujące szумы i buczenia nieustannie zagłuszanej przez władze PRL-u Radia Wolna Europa, którego namiętnie słuchał Ojciec. Tak więc nie mając dostępu do jedynej w domu „skrzynki” grającej z zielonym zmieniającym kształty okiem, zazwyczaj słuchała tylko polskiego radia, kiedy Radio Wolna Europa milkło. Nadawane tam piosenki Ireny Santor jak i ona sama wydawała się wtedy nieco archaiczna, choć królowały porywające Czerwone Gitary, Niebiesko Czarni i Stan Borys czy Karin Stanek. Na pierwszym roku studiów czyli w latach 1965/1966 dla narratorki swoistym objawieniem był Czesław Niemen, którego piosenki - ballady nie tylko poruszały serce ale opowiadały o świecie... Być może narratorka już wtedy dojrzała do słuchania tekstów a może odrywała się od czytania poezji, czy powtarzania nieco dekadentckiego wiersza Małgorzaty Hillar – My z drugiej połowy XX wieku:

„My z drugiej połowy XX wieku / rozbijający atomy / zdobywcy księżycą / wstydzimy się / miękkich gestów / czułych spojrzeń / ciepłych uśmiechów / Kiedy cierpimy / wykrzywiamy lekceważąco wargi / Kiedy przychodzi miłość / wzruszamy pogardliwie ramionami / Silni

cyniczni / z ironicznie zmrużonymi oczami / Dopiero późną nocą / przy szczelnie zasłoniętych oknach / gryziemy z bólu ręce / umieramy z miłości” https://poezia.org/wz/Malgorzata_Hillar/2922/My_z_drugiej_polowy_XX_wieku

Narratorka jako 18-letnia studentka, oderwana od ciepłego domu rodzinnego, który pozostał w Gorzowie Wielkopolskim, w tym 1965 r. ... kotysząc się np. w klubie Nurt, w parach, bo wówczas z reguły jeszcze tak się tańczyło, ulegając magii melodii i głosu najbardziej wsłuchiwała się w teksty które opowiadał Czesław Niemen czerpiąc z nich siłę i nadzieję. I tak piosenka – ballada Niemena „**Pod Papugami**” w rytmie tanga przenosiła nas, udręczonych trudnymi studiami, nieustannym wkuwaniem, odpytywaniem - przenosiła nas w piękny, tajemniczy świat Zachodu, egzotyki której może jeszcze nigdy nie oglądaliśmy... bo w PRL-u tylko pojedyncze osoby mogły „zajrzeć za żelazną kurtynę” czasami wyjeżdżając daleko a nieliczni bywali jedynie w ZSRR czy w „demoludach” (potoczna nazwa państw bloku wschodniego), czyli krajach pozostających pod silnymi wpływami ZSRR tj. m.in. Czechosłowacji, NRD, lub pozostającej poza tą definicją – jawiącej się jak kraj Zachodu – Jugosławii. Tak więc na chwilę za sprawą „Pod papugami” przenieśliśmy się do baru nad lazurem dalekiego morza i nawet teraz czytając słowa tej piosenki czujemy, że przynosi wolność, morską bryzę i oderwanie od szarej codziennej rzeczywistości... Oto ten tekst:

: „'Pod papugami' jest szeroko nikłowany bar / Nad szklaneczkami chorągiewką żółtą świeci skwar / Tu przed dziewczętami kolorowa słodycz stoi w szkle / Wraz z papużkami chcą szczebiotać i kołysać się / Na powietrznych swych huśtawkach / Na parkietach i na mostach / Według kolorów włosów, sukien / I według wzrostu / 'Pod papugami' wisi lustro, w którym każdy ma / Most z lampionami, promenadę do białego dnia / Na powietrznych swych huśtawkach / Na parkietach i na mostach / Według kolorów włosów, sukien / I według wzrostu / 'Pod papugami' wisi lustro, w którym każdy ma / Most z lampionami, promenadę do białego dnia / 'Pod papugami' nawet wtedy, gdy muzyki brak / Pod papugami w kolorowe muszle gwiżdże wiatr / W kolorowe muszle gwiżdże wiatr / W kolorowe muszle gwiżdże wiatr” https://www.tekstowo.pl/piosenka,czeslaw_niemen,pod_papugami.html



Czesław Niemen w Hamburgu, 1972 r. fot. Tadeusz Rolke, <https://www.muzeumjazzu.pl/czeslaw-niemen-2/>

Czesław Niemen^①, właściwie Czesław Juliusz Niemen-Wydrzycki^[4] (ur. 16 lutego 1939 w Starych Wasiliszkach, zm. 17 stycznia 2004 w Warszawie) – polski artysta, muzyk, multiinstrumentalista, piosenkarz i wokalista rockowy^[1], kompozytor, autor tekstów piosenek. Jeden z najwybitniejszych twórców muzyki w Polsce. https://pl.wikipedia.org/wiki/Czesław_Niemen - „Najstynniejszą piosenką z wczesnego okresu jest utwór „Pod Papugami” z 1963, skomponowany przez Mateusza Świąćckiego, i nagrany przez Niemena z zespołem Bossa Nova Combo Krzysztofa Sadowskiego (Bossa Nova Combo & Czesław Niemen „Pod Papugami”) a piosenka była później wielokrotnie aranżowana i nagrywana w różnych wersjach: (Czesław Niemen & Akwarele – „Pod Papugami”, Audio 1969”

Podobne zdanie do naszego, przedstawionego powyżej, wyraża autor popularnego portalu aktualnie pisząc: „Słowa: ‘Pod papugami wisi lustro, w którym każdy ma; Most z lampionami, promenadę do białego dnia’ wskazują na to, że ‘Pod papugami’ to miejsce, które ma każdy z nas, widząc w nim swój most z lampionami i widoki, które pozwalają mu spokojnie spać. Piosenka opowiada o marzeniach, wolności, uciekającej młodości oraz dążeniu do własnych ideałów”. <https://www.groove.pl/czeslaw-niemen/pod-papugami/piosenka/398765>

Kołysaliśmy się też, myląc kroki bo nie wszyscy znaliśmy rytm wolnego walca w jakim od 1964 r. Niemen śpiewał swojego autorstwa tekstu i muzyki - kolejną balladę pt. „**Bo czas jak rzeka**”. Urzekają nas słowa: „Choć czas jak rzeka, jak rzeka płynie, / Unosząc w przeszłość tamte dni” i zachwycała liryka. Jednak chyba wtedy nie sięgaliśmy w głąb naszego dotychczasowego życia, bo czas pędził do przodu angażując nie tylko umysły, ciała ale też serca i emocje...ale teraz zgadzamy się z aktualną opinią i oceną przedstawioną na powyżej podanym portalu:

„'Czas jak rzeka' jest piosenką opowiadającą o życiu, wspomnieniach i tym, jaki wpływ na nas mają dawne chwile. Utwór nawiązując do czasów dzieciństwa muzyka, pokazuje, że były to najpiękniejsze momenty jego życia. Chwile, które wspomina po dziś dzień. Wylegiwanie się nad tytułową rzeką, która w dzieciństwie Czesława była nieodłącznym elementem każdego mijającego dnia. Porównanie biegu życia do rzeki pokazuje, że nie mamy zbyt dużego wpływu na to, co dzieje się z nami z biegiem czasu. Unoszenie w przeszłość tamtych - pięknych chwil to podkreślenie rozmywania się niektórych myśli i chwil w naszej pamięci. Słowa: 'Tak bardzo chciałbym być nad brzegiem jej; Więc niech wspomnienie dalej trwa' ukazują nam, że Niemen z dużą chęcią cofnąłby się w czasie, aby przeżyć te piękne momenty życia jeszcze raz, jednak wie, że nie jest w stanie tego zrobić. Przekazem utworu jest zatem to, aby doceniać każdy dzień, który jest nam dany, ponieważ za kilka lat może okazać się, że ciężkie, dzisiejsze chwile to najlepsze czasy w waszym życiu". <https://www.groove.pl/czeslaw-niemen/czas-jak-rzeka/piosenka/398735>

I trzecia najważniejsza dla narratorki wtedy i dziś aktualna, niestety ponadczasowa to piosenka Niemena **Dziwny jest ten świat**: „W 1967 roku piosenka zatrzęsała największymi polskimi scenami i socjalistyczną rzeczywistością. Głównie dlatego, że nikt przed nim nie wyśpiewał w tak dosłowny sposób tego, co wszystkim nam leżało na sercach. (...). 'Dziwny jest ten świat' jest piosenką autorstwa polskiego muzyka Czesława Niemena inspirowana utworami amerykańskich twórców Percy'ego Sledge'a i Jamesa Browna "When a Man Loves a Woman" i "It's a Man's Man's Man's World". Jest singlem promującym długogrający album artysty pod tym samym tytułem. Piosenka uznawana jest za kamień węgielny polskiej sceny rockowej i jeden z najbardziej rozpoznawalnych protest songów". <https://www.polskieradio.pl/10/3948/artykul/2070924,piosenki-na-100lecie-dziwny-jest-ten-swiat-spiawal-czeslaw-niemen>

Dla nas, urodzonych i dorastających w czasach „komuny” jak popularnie nazywano ten ustrój, jedynie niektórym z nas opowiadali rodzice czy bardziej odważni nauczyciele o paradoksach propagandy i wymogów władz PRL-u, represjach wobec myślących wolnościowo, zastrzegając jednocześnie by nikomu o tym nie mówić. I nie bardzo rozumiejąc nie mówiliśmy - zresztą z ówczesną zasadą „choćby cię smażyono w smole, nie mów co się dzieje szkole” dodając i w domu..... Żyliśmy więc w świecie podwójnym co narratorka opisała w rozdziale monografii Okruchy PRL-u.... Z. Konopielko, Życie w świecie podwójnym w: Okruchy PRL-u. Perspektywa indywidualna (red. M. Zdrowicka- Wawrzyniak, P. Wiśniewska, S. Surendra), Wydawnictwo Naukowe Silva Rerum, Poznań, 2021, str. 163- 175

Narratorka aktualnie rozmawiając z 16 letnim wnukiem zauważa jak bardzo świadoma świata, polityki, relacji społecznych jest współczesna polska młodzież, dyskutująca o tych problemach z rówieśnikami i w szkole. Nam, mającym 20 lat gdy słuchaliśmy w 1967 r. Niemena, i jego piosenki songu- Dziwny Jest ten świat, nie tylko szerzej „otwierały się oczy” ale była to dla nas lekcja przyspieszająca dojrzewanie społeczne. Jednak wierzyliśmy, że świat może jest dziwny ale dobry. I dziś, mając 78 lat, stwierdzamy z goryczą, że „Dziwny jest ten świat” nadal pozostaje wołaniem Niemena do ludzkości... która niestety Niemena nie słucha a jedynie hodzi własne upiory wysyłając je innym i rozsiewając truciznę... Jesteśmy tym przerażeni i stoimy bezradnie...

Ale wracając do tego jak jest omawiana ta pieśń w mediach cytujemy: „'Dziwny jest ten świat' to zdecydowanie największy hit Czesława Niemena, który to zmienił postrzeganie wielu ludzi na odbiór świata oraz własnego kraju, będąc przy tym hymnem wielu pokoleń żyjących w realiach socjalistycznej PRL. Opowiada on o tym, że pomimo setek lat wojen i ludzkich tragedii, nadal patrzymy na innych z niepokojem oraz pogardą, za to, że są w czymś od nas lepsi, lub po prostu inni. Przyzwyczajani do tego przez naszych rodziców, którzy przelewają nam to, co ich rodzice przekazali im, żyjąc choć przez chwilę w czasie wielkiej wojny, zamiast miłości do ludzi, promujemy nienawiść i obojętność w czasach, gdzie powinniśmy zachować się po prostu - jak człowiek. Czesław w swoich tekstach nawiązuje do zmiany tego, w jaki sposób działamy, co szczególnie słychać w słowach: 'Przyszł już czas; Najwyższy czas; Nienawiść zniszczyć w sobie'. Dość symboliczną kwestią

poruszaną przez artystę jest również wątek tego, jak bardzo bolesną rzeczą może być wypowiedziane słowo - szczególnie to w gniewie, co odnajdziemy w zwrotce: 'Czasem aż wstyd przyznać się; A jednak często jest; Że ktoś słowem złym; Zabija tak, jak nożem'. Rzeczą przerażającą jest to, że piosenka nadal jest bardzo aktualna pod względem treści - mimo tego, że powstała niemalże 50 lat temu w czasach, kiedy ustrój totalitarny niszczył w najlepsze w naszym kraju wszystko to, co w jakiś sposób nawiązywało do wolności. Stąd protest Niemena nabiera tak poważnego i kontrrewolucyjnego brzmienia". <https://www.groove.pl/czeslaw-niemen/dziwny-jest-ten-swiat/piosenka/398743>

Na marginesie warto też tu podać, że zachwycając się fenomenem Czesława Niemena ważna jest Jego osobowość i dlatego cytujemy tu opowieści o Nim: „Maria Wit z zespołu Błękitne Pończochy opowiada: 'Czesław od początku był perfekcjonistą – próby, próby i jeszcze raz próby. Każdy dźwięk musiał być czysty, jak łza. Czesław był typem przywódcy, który autorytet zdobywa nie krzykiem, tylko ciężką pracą. Przy czym to był ciepły facet. Wiem, co mówi się o życiu artystów podczas tras koncertowych, ale to były inne czasy. Nie stołowaliśmy się w restauracjach, wszystko woziło się swoje – grzałka, herbata, parówki. Oczywiście, balangi w pokojach hotelowych też były, ale Czesława nigdy to nie interesowało. Tylko praca. A rano się gimnastykował. Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o joggingu, więc on ciężarki z sobą woził, hantle. Bardzo dbał o sprawność fizyczną, ale nie z próżności, tylko żeby mieć kondycję na koncertach'. W 1963 Wydrzycki z Niebiesko-Czarnymi wystąpił na I Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, gdzie jego autorska kompozycja „Wiem, że nie wrócisz” nie zachwyliła publiczności ani jury. Wykonali wówczas także „Ciuciubabkę”: (Niebiesko-Czarni & Czesław Niemen – 'Ciuciubabka', Live in Opole 1963). W 1964 r. Niemen z zespołem zaśpiewali w warszawskiej Sali Kongresowej, przed występem Marleny Dietrich. Maria Wit wspomina: „To Marlena zażądała, by wystąpili wtedy Niebiesko-Czarni, bo wcześniej słyszała Czesława w Paryżu. Gdyby nie ona, władze nigdy by się na nasz występ z taką gwiazdą nie zgodziły. Gdy Czesław śpiewał 'Czy mnie jeszcze pamiętasz', Marlena stała za kulisami. Była zachwycona, zapytała mnie, czyj jest ten utwór, bo ona musi go sama zaśpiewać. Rok później niemiecka artystka nagrała 'Czy mnie jeszcze pamiętasz' na płytę 'Die Neue Marlene', z własnym tekstem: Marlena Dietrich – 'Mutter, hast du mir vergeben'", <https://www.muzeumjazzu.pl/czeslaw-niemen-2/>



<https://culture.pl/pl/tworca/czeslaw-niemen>

**Limited edition
SACD HYBRID**

Polskie Nagrania
catalogue selections



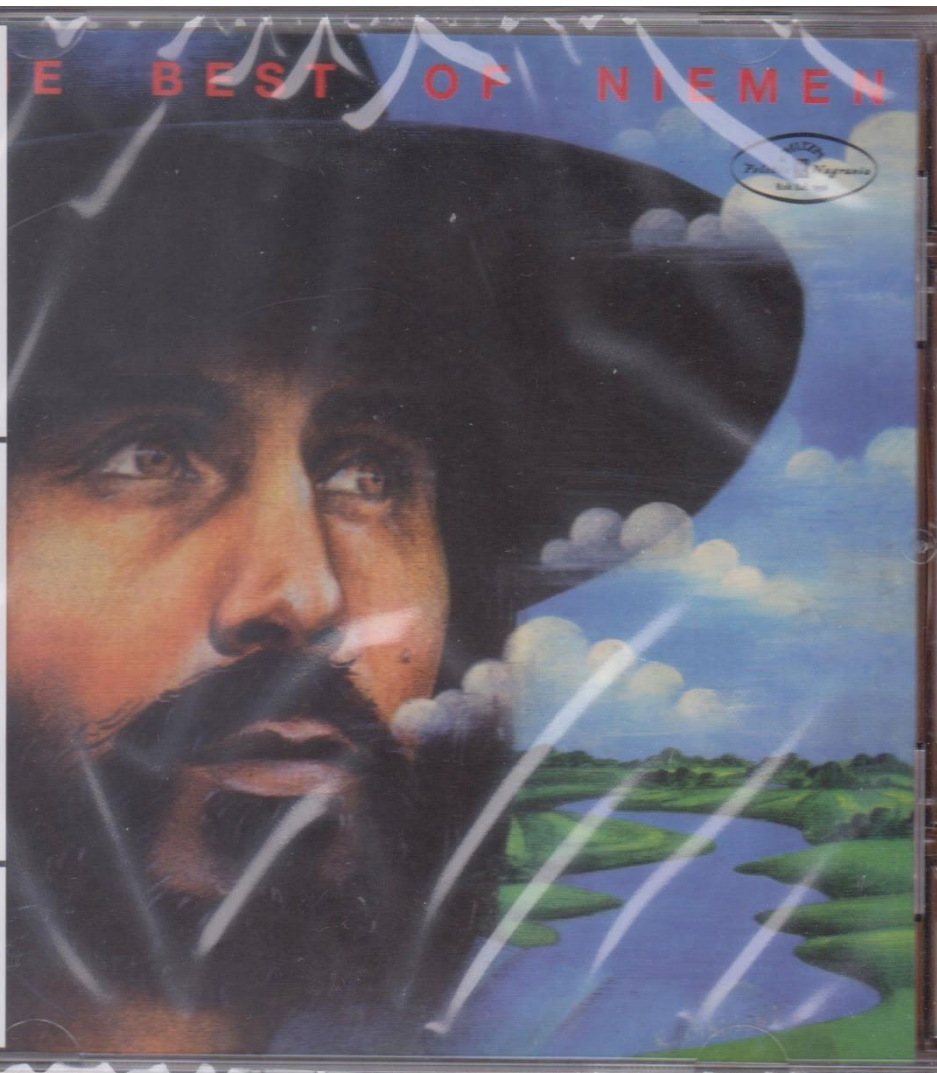
DSD
Direct Stream Digital

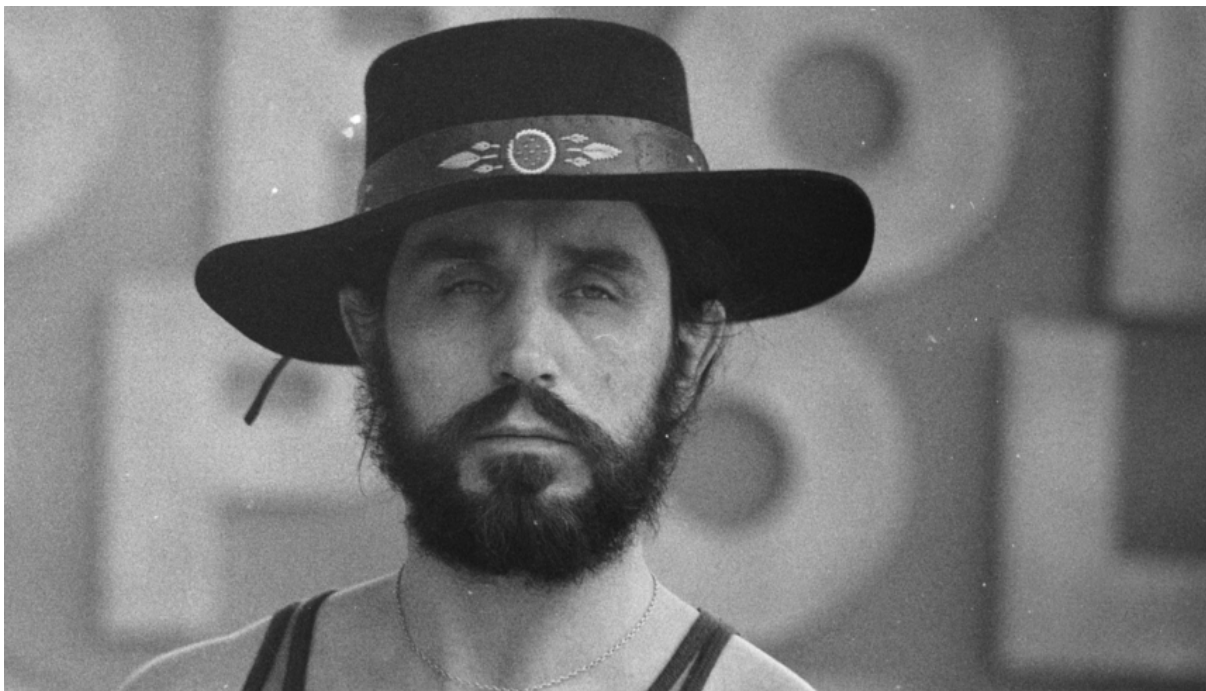
**STEREO
HYBRID**

CD Stereo/SACD Stereo. This hybrid CD/SACD can be played on any standard compact disc player. SACD Stereo requires a SACD player. DSD sampling frequency: 2.8224 MHz.

**Czesław
Niemen**
**The Best of
Niemen**

A special gift for
Niemen enthusiasts.
"The Best of Niemen"
compiles hits that
have defined the
artist's legacy.
Features two
bonus tracks, "Hej
dziewczyno, hej" and
"Być może i ty".





Czesław Niemen, Narodowe Archiwum Cyfrowe

Frank Sinatra - „My Way”

Jerzy T. Marcinkowski podaje, że skoro zaczęliśmy nasze Opowieści zawarte w tych Pamiętnikach od poezji to i kończymy poezją, proponując „My way” Franka Sinatry. To znana i lubiana przez nas piosenka – bo z okresu naszej młodości i znakomicie podsumowująca nasze życie, dodająca nam pewności siebie i przynosząca zadowolenie z tego, że byliśmy sobą...

A oto garść informacji też zaczerpniętych z internetu, dotyczących czasu kiedy przyszła do nas, tkwiących w czasie PRL-u ta piosenka. Otóż w 1949 r. władze PRL-u wydały zakaz grania w rodzimych rozgłośniach jakiegokolwiek niepolskiej lub nieradzieckiej muzyki, zabroniono też wykonywania jazzowych, gdyż „gatunek ten symbolizował zachodni styl życia, więc za jego granie można było popaść w tarapaty – na przykład zostać wyrzuconym z uczelni”. <https://culture.pl/pl/artykul/polska-muzyka-lat-50-kiedy-socjalizm-spotkal-sie-z-rebelia>. W drugiej połowie lat 70. XX w. właściwie zaprzestano zagłuszania Radia Luxembourg gdyż nadawało jedynie muzykę, ale oficjalnie przestano zagłuszać zarówno Wolną Europę i Radio Luxembourg dopiero w 1988 r. kiedy władze PRL-u zniosły zakaz słuchania tych stacji.

Nasza wczesna młodość upływała więc za „żelazną kurtyną” - muzykę z Zachodu na płytach czasami ktoś z nas zdobywał drogą całkowicie nieoficjalną i bywało, że słuchaliśmy jej na prywatkach (zwanych teraz domówkami). Bardzo często też sadowiać się obok dużego radia z uchem nieomal przy głośniku słuchaliśmy muzyki płynącej z Radio Luxembourg (które potocznie nazywaliśmy też „Luxy”). Była to słynna w latach 60.-80. XX w. stacja radiowa, nadająca muzykę młodzieżową i lansująca modę muzyczną wśród nastolatków Europy Zachodniej i Centralnej, w tym Polski. Wiele osób już bardzo dojrzałych wyraża zdanie, że ta rozgłośnia odegrała ważną rolę w świadomości polskiej inteligencji. https://pl.wikipedia.org/wiki/Radio_Luxembourg; <https://trojka.polskieradio.pl/artykul/1112557,przeboje-legendarnego-radia-luksemburg>. Na marginesie, myśląc o młodych czytelnikach tego „Pamiętnika...” warto wspomnieć, że w PRL-u zagłuszano nie tylko Radio Wolna Europa, gdzie nadawano prawdziwe nie nasączane komunistyczną propagandą czy przez władze filtrowane informacje ze świata. Ale nawet

zagłuszano piosenki nadawane w Radio Luxembourg. Aktualnie podaje się jako atrakcję turystyczną dawno nieczynną Radiostację Kontrwywiadu Radiówek położoną w lesie, niedaleko Warszawy, skąd nadawano nie tylko tajne komunikaty wojskowe, ale też zagłuszano „Głos Ameryki” i „Radio Wolna Europa”, poprzez nadawanie na częstotliwościach tych rozgłośni szumy i trzaski. Od lat 50. XX w. przez cały okres swojej działalności był najlepiej strzeżonym miejscem w Polsce.

<https://www.onet.pl/turystyka/szaryburekpl/zagluszano-stad-sygnał-wolnej-europy-pilnie-strzezone-miejsce-w-polsce/5xhyk54,30bc1058>

To właśnie w takich warunkach, „szlifując” przy okazji język angielski, po raz pierwszy usłyszeliśmy Franka Sinatrę, który po raz pierwszy nagrał i wydał „My Way” w **1969 roku**, ale nagrał ją w 1968 r. w studiu Western Records w Los Angeles. Uznaje się, że był to pierwszy raz, gdy Sinatra faktycznie zaśpiewał tę piosenkę w pełnej formie, która od razu stała się przebojem. Pierwotnie była to piosenka francuska pt. „Comme d'habitude” (1967) napisana przez Claude'a François i Jacques'a Revaux, ale Paul Anka z myślą o stylu i wizerunku Sinatry przetłumaczył ją dla niego na język angielski. Przez dekady na całym świecie „My Way” bardzo często wykonywano na pogrzebach, a także jest popularna w karaoke, gdzie kojarzona jest z poczuciem dumy z własnego życia. https://pl.wikipedia.org/wiki/My_Way ; <https://tvn24.pl/kultura-i-styl/sinatra-krolem-pogrzebow-najczesciej-na-swiecie-graja-my-way-ra282707-ls3510567>

Lubimy słuchać tej piosenki też dziś ale również wczytywać się w treści, określenia, refleksje które przynoszą polskie słowa - analizować i porównywać z naszym życiem oglądanym z perspektywy minionych własnych 77 czy 78 lat. Oto tłumaczenie „My Way”: na język polski:

Moja droga. Koniec jest już blisko / Widzę jak zapada kurtyna / Przyjacielu, powiem to prostymi słowami / Postawię sprawę jasno, jednego jestem pewien / Żyłem pełnią życia / Przejechałem wszystkie drogi / A co więcej, i co ważniejsze, zrobiłem to po swojemu / Żałuję kilku rzeczy, / Ale jest tego naprawdę niewiele / Zrobiłem, co musiałem, doprowadziłem wszystkie sprawy do końca, bez wyjątku / Zaplanowałem każdą trasę, ostrożnie stawiałem każdy krok w nieznanie / A co więcej, i co ważniejsze, zrobiłem to po swojemu / Tak, wiele razy / Brałem na siebie więcej niż byłem w stanie udźwignąć, / Ale kiedy dopadały mnie wątpliwości / Zakasałem rękawy i brałem się do roboty / Stawiłem temu wszystkiemu czoła, / podnosiłem dumnie głowę, zrobiłem to po swojemu / Kochałem, śmiałem się i płakałem / Wiele zyskałem, ale swoje straciłem / A teraz, kiedy tży już wyschły, zdumiewa mnie / Wszystko, co zrobiłem / I mogę powiedzieć, bez fałszywej skromności / O nie, o nie, nie jestem taki, zrobiłem to po swojemu / Kim jest człowiek, co ma? / Nie ma nic, jeśli nie jest sobą / Trzeba mówić to, co się naprawdę czuje i nie zachowywać się jak przegrany / Moje koncerty były wspaniałe, zrobiłem to po swojemu / Tak, to była moja droga

Kiedy słuchaliśmy tej piosenki pod koniec naszych studiów byliśmy dumni, że się udało i wierzyliśmy, że dalsza droga będzie jasna, tylko od nas zależna, spełniona...



Francis Albert Sinatra (ur. 12 grudnia 1915 w Hoboken w stanie New Jersey, zm. 14 maja 1998 w Los Angeles) – amerykański piosenkarz i aktor filmowy pochodzenia włoskiego, ze względu na swój status popularnie nazywany „The Voice”. Jego muzyka jest uznawana za ponadczasową, zaś on sam za najwybitniejszego amerykańskiego piosenkarza XX wieku. https://pl.wikipedia.org/wiki/Frank_Sinatra

„We Are the Champions”

I wreszcie przyszedł do nas czas na zaśpiewanie z naszym nieomal równolatkiem - Freddyem Mercurym (ur. jako Farrokh Bulsara w 1946 r. - zm. 1991) „We Are the Champions”. Autorem tekstu, kompozytorem i pierwszym wykonawcą z zespołem Queen w 1977 r. tej piosenki był sam Freddy - „brytyjski muzyk, piosenkarz rockowy i autor wielu innych tekstów, powszechnie uznawany za jednego z najlepszych wokalistów w historii muzyki popularnej”. https://pl.wikipedia.org/wiki/Freddie_Mercury Ponoć mówił, że pisząc ten tekst myślał o sporcie, a konkretnie o piłce nożnej, ale członkowie zespołu - o nawiązaniu kontaktu z publicznością. <https://jedylnka.polskieradio.pl/arttykul/1992071,We-are-the-champions---utw%C3%B3r-dla-sportowc%C3%B3w>. Rozmyślając nad treścią, triumfalnym brzmieniem muzyki i wykonania przez artystów równie dobrze można snuć wyobrażenia, że Freddy kiedyś pomyślał o swojej drodze życiowej – od chłopaka urodzonego w dalekim miejscu na świecie - autonomicznej części Tanzanii Zanzibarze (ówczesnej kolonii brytyjskiej) z rodziców przybyłych tam za pracą z Indii, mieszkającego przez pewien okres czasu u ciotki w Indiach a od 18 r.ż. (od 1964 r.) już razem z rodzicami, którzy przenieśli się do Wielkiej Brytanii. Nie był chłopakiem prostym, gdyż odbył staranną edukację szkół brytyjskich, jeszcze w Zanzibarze, potem w Indiach, w Anglii ukończył szkołę policealną - Isleworth Polytechnic (obecnie West Thames College) a następnie studia w Ealing College of Art na wydziale grafiki. W 1969 r. uzyskał dyplom ze sztuki grafiki i projektowania. W tym czasie występował na scenach teatralnej i muzycznej ale też pracował w marketach...

„We Are the Champions” to stale popularna piosenka, którą można też nazwać literacko - pieśnią, i pomimo tego że ze sportem w tle od razu stała się hymnem zwycięstwa... Może niektórym z nas już wcześniej marzyła się kariera i mistrzostwo jednak gdy została po raz pierwszy wykonana ta piosenka byliśmy na początku swojej drogi zawodowej pracując zaledwie 6 lat i tekst nas nie dotyczył.

Oceniamy siebie dopiero teraz, kiedy po 6 latach trudnych i stresujących studiów i 54 latach pracy zawodowej i gdy wsłuchujemy się w słowa tej pieśni - możemy sobie powiedzieć: **jesteśmy Mistrzami, jesteśmy Zwycięzcami!!!**

Tekst Freddy’ego głównie znany w wersji angielskiej, można tak tłumaczyć – oto fragmenty:

Jesteśmy Mistrzami. Spłaciłem swoje długi / Raz po raz / Odsiedziałem swój wyrok / Ale nie popełniłem żadnego przestępstwa / I popełniłem poważne błędy / Popełniłem kilka / Miałem swoją porcję piasku (w oczy) / Kopnięto mnie w twarz / Ale dałem radę / I muszę iść dalej, dalej, dalej i dalej / Jesteśmy mistrzami – mój przyjacielu / I będziemy walczyć do końca / Jesteśmy mistrzami / Jesteśmy mistrzami / Nie ma czasu (miejsca) dla przegranych / Bo jesteśmy mistrzami świata / (...) Ale to nie był rejs usłany różami, ani przyjemny / Uważam to za wyzwanie dla całej ludzkości / I nie zamierzam przegrać / I muszę iść dalej, dalej, dalej i dalej / Jesteśmy mistrzami - mój przyjacielu / I będziemy walczyć do końca / Jesteśmy mistrzami / Jesteśmy mistrzami / Nie ma czasu dla przegranych / Bo jesteśmy mistrzami świata. Tłumaczenie własne fragmentów tekstu zawartego na stronie:

https://www.tekstowo.pl/piosenka,queen,we_are_the_champions,strona,2.htm



Zdjęcie tyłu pomnika Freddiego Mercury'ego w Montreux, https://www.wikiwand.com/pl/articles/Freddie_Mercury. „3-metrowy pomnik z brązu przedstawiający lidera zespołu Queen - Freddiego Mercury'ego stoi na brzegu Jeziora Genewskiego w szwajcarskim mieście Montreux. Zaprojektowała go czeska artystka Irena Sedlecká, został odsłonięty w 5. rocznicę śmierci muzyka - 25 listopada 1996 roku. Pomnik dekorowany jest przez fanów świeżymi kwiatami. Freddie Mercury przybył do Szwajcarii w 1978 roku na Montreux Jazz Festival. Zespół postanowił nagrać tu swój album pt. „Jazz”. Artystę zauroczyła okolica, wynajął tu mieszkanie z widokiem na Jezioro Genewskie i kupił studio nagraniowe „Mountain Studio”. To właśnie w Szwajcarii nagrał swój ostatni album z zespołem, pt. „Made in Heaven” - jego okładkę zdobi grafika przedstawiająca Jezioro Genewskie”. <https://tropter.com/pl/szwajcaria/montreux/pomnik-freddiego-mercuryego>